

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA

1851.

NAUKOM, WIŚCIOM I PRZEMYSŁOWI

1851.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Tom czwarty.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLIV.

WARSZAWA

1851.

4767/44

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

5111-X
1851.

Tom czwarty.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLIV.

WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Załuskich.

1851.

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA

4620 1851 4

II

X-14143
4620 / 1851 II 4.

1851

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.



30,000,-

WARSZAWA

Wydawnictwo Biblioteki Narodowej, Warszawa, ul. Krakowska 217, tel. 517

1851

PAMIĄTKA PRZYJŚCIA

SZWEDZKIEGO DO WARSZAWY ROKU 1655.

DO CZYTELNIKA.

W uzupełnieniu artykułu p. *Grangier de la Marinière* o bitwie Szwedów z Polakami pod Warszawą w r. 1656, w zaprzeszłym numerze niniejszego pisma zamieszczonego, podajemy tu szczegóły téjże saméj epoki dotyczące, które wynaleźliśmy czyniąc poszukiwania celem wyjaśnienia życia i czynów Hieronima Radziejowskiego podkanclerza koronnego.

Ustęp ten między akta urzędowe miasta staréj Warszawy wciśnięty, tém jest ważniejszy, gdy przez naoczego świadka opisany został. Uczynił to pisarz miejski *Kazimierz Franciszek Prusowski* (o czém przekonać się można ze zwrotów w samym pamiętniku zamieszczonych, gdy sam o sobie mówi), który nie zaniedbał nigdy, ilekroć do tego zdarzyła się sposobność, ważniejsze wydarzenia w mieście w ten sposób pamięci potomności przekazywać. Wiadomości te różnego rodzaju, pisane w różnych epokach, jużto całkownie po łacinie, już po polsku, już naostatek mieszaniną łaciny z polszczyzną, skrętnie przez nas zewsząd w jedną całość zebrane, stanowią ciekawy pomnik historycznéj przeszłości saméj Warszawy. Uporządkowawszy takowe, ogłaszać je będziemy częściowo w niniejszém piśmie; obecnie dajemy ten tylko urywek pisany mieszaniną łaciny z polszczyzną, zachowując w polszczyźnie wyrażenia współczesne, a łacinę w przypisy ująwszy; a to dla dopełnienia, jako się wyżej rzekło, wiadomości z kądinąd czerpanych, a z niniejszemi ścisły związek mających.

St. Lisowski.

*Działo się w Warszawie, w piątek po świętym Wawrzyni cu
męczenniku najbliższy, dnia 13 sierpnia 1655 r.*

DLA UCZONEGO CZYTELNIKA

PAMIĄTKA PRZYJŚCIA SZWEDZKIEGO.

Gwałtowny napad (1) chcąc opisać, trzebaby go z fundamen-
tu okazy i okoliczności (2) jego od początku, z jakiej i czyjego
powodu (3), nie z wpływu niebieskiego, ale złości raczej ludzkiej
nagle i niespodzianie przypadł, zacząć. Ale żeby ta rzecz i bez
szerokości pisania i bez naruszenia kogóżkolwiek (gdyż prawda (4)
zwykła rodzić zazdrość albo nienawiść) (5) nie była; dlatego
rzeczy téj naturę (6), której zkąd i z jakich przyczyn owoc (7) do
nas przyszedł, historycznemu pióru i rozumowi opisać zostawi-
wszy zabawę, krótko co w tym zacnym przytrafiło się (8) mieście,
nanotować mi się zdało dla zabawy ucha rado-słuchającego i chci-
wego wiadomości przeszłych czytelnika. Naprzód iż kilka dni
przedtém (9) wiadomości przyszły o wojskach, że już z pomor-
skiej Wielką Polskę posiadli (10), z powodu mniej opierających
się (11), owszem pobłażających (12) Wielko-Polski mieszkańców,
którzy wolno (13) tego w granice wpuszczali nieprzyjaciela. Se-
nat (14) radził o sobie, o mieście króla Jego Mości (15) i gdzieby
bezpieczniej (16) Panu przebywać. (17) Jednym się to zdało, aby tu
w Warszawie mając w potrzebę artyleryjéj, zwołać całą szlachtę
łącznie (18), i tu jako w podobnym na wszystko miejscu, czekać nie-
przyjaciela i onemu dać odpór (19) i fortuny z nim spróbować, ma-
jąc i Wisłę z tyłu (20) i podlaskie posiłki (21) i inne możebne śro-
dki (22). Przemogła rada (23) Jego Mci ks. Andrzeja Leszczyń-
skiego arcybiskupa gnieźnieńskiego, które jakoby dla bezpieczniej-
szego położenia (24) w zamku łowickim, z którego (25) na bło-

(1) Paroxysmum. (2) Circumstantie. (3) Ab origine, qua et cujus
causa. (4) Veritas. (5) Invidiam seu odium. (6) Hujus rei naturam. (7) Partus.
(8) Accidit. (9) Illis praecedentibus diebus. (10) Possiderunt. (11) Mi-
nus resistentibus. (12) Conniventibus. (13) Libere. (14) Senatus Consul-
tum. (15) De se, Civitatis Majestatis Regiae. (16) Tutius. (17) Consistere.
(18) Convocare totam nobilitatem junctim. (19) Resistentiam. (20) A tergo.
(21) Subsidia. (22) Possibilia. (23) Praevaluit Consilium. (24) Prose-
cutori quasi consistentia. (25) Ex quo.

tach i wodach bezpiecznie K. J. M. i do Łowicza pojechał, gdzie na radzie oszukany w sam dzień św. Bartłomieja, ztamtąd ustąpić (1) musiał. Od zbliżających się nieprzyjaciół już już strach (2) wielki. Tymczasem postowie, niepocieśni ludzie, co bogatsi i możniejsi, kto mógł najlepsze rzeczy (3) wysłał, sam uchodził, kto zaś nie był taki i lubo się drudzy tacy (4) znajdowali, woli Bożej się oddali (5), i tu na wszelkie wypadki wystawić się woleli (6), anizeli krokiem ziemię mierzać, a wiatr z niebezpieczeństwem ostatecznym ciągle (7) bez oddechu w drodze i ucieczce łapać. Więc co dzień, co godzina (8), jako na inne miasta tak nierównie i na Warszawę strach (9); zwłaszcza że bez załogi wszelakięj (10) zostawała, a lud rozproszony co żywo się do miasta, do kościołów etc. garnął. Nareszcie d. 7 września (11) z podjazdu z miasta wysłanego dostało się języka pewnego, że już wojsko szwedzkie nadsięgnąć miało w Błoniu; jednak czyli to tylko podjazd, czy samo korpus wojska i jeżeli był sam król szwedzki obecny (12), żadnej nie było wiadomości. Całą noc strawiliśmy nad czuwaniem (13) około miasta samego. A iż nazajutrz, to jest dnia 8 września (14) w dzień Narodzenia Panny Najświętszej około godziny ósmęj (15) do niej trębacze: jeden Karola Gustawa króla szwedzkiego, drugi pana Hieronima Radziejowskiego z *kredensem* albo raczěj listem królewskim przyjechali, który te miał w sobie *kontenta*, abyśmy się deklarowali jako chcemy witać króla szwedzkiego: czy mu nieprzyjacielsko się sprzeciwić, (16) czyli pod opiekę (17) jego się oddać (18). Pomienionych trębaczów przed furte i zwodem przy kościele św. Ducha za bramą nowomiejską zatrzymawszy, z narady między sobą uczynionęj (19) nie zdało się puszczac ich lubo z zawiązanemi oczyma do miasta, ale raczěj u Ojców Dominikanów w klasztorze dać im audyencyą: i tak się stało. Wyszedł jegomość sam Olbrycht Gizicki stolnik wieluński, sekretarz J. K. M. natenczas tu przy zamku rezydujący; Jego Mość pan Alexander Gisa burmistrz natenczas; p. Jan Walenty Kociszowski,

(1) Ipso die S. Bartholomaei inde discedere. (2) Appropinquantibus jam jam hostibus terror. (3) Optimas res. (4) Tanti. (5) Resignarunt. (6) Omni fortunae sese exponere maluerunt. (7) Periculo postremo continue. (8) In dies et horas. (9) Metus. (10) Sine praesidio omni. (11) Ac tandem die septima septembris. (12) Praesens. (13) Tota nocte laboravimus in vigiliis. (14) Octava septembris. (15) Hora circiter octava. (16) Hostiliter opponere. (17) Protectioni. (18) Sese dedere. (19) Ex consilio inter se facto.

p. Stanisław Falkowic, p. Julius Gintter, p. Marcin Łukasze-
wicz rajcy; p. Wojciech Alexander Baranowic ławnik, p. Fran-
ciszek Kazimierz Prusowski gminny i pisarz ławnicy, p. Jan An-
dryszowic, p. Jan Stanisław Cyrus, p. Jerzy Kromer, Gmińscy
i wiele ludu innego, do OO. Dominikanów, do konwentu po-
mienionych prosili trębaczów, którzy w oratorjum zakonném (1)
czynili relatią przyjazdu swego i ambasady, i kredens albo
list od króla oddali; którzy przeczytawszy i owych ustnie
zleceń (2) wysłuchawszy, ze wszech stron będąc przygnębieni, nie
mogąc przeskoczyć, podléżć raczej i w pokorę się poddać posta-
nowili (3). Tam zaraz dawszy trębaczom declaratią, że przeciw-
ko J. K. M. szwedzkemu żadnej nieprzyjaźni okazywać (4) nie
myślimy, ani chcemy, ale całe opieki J. K. M. upraszać postano-
wiliśmy (5). Upewnieni słowem (6) trębaczów, że i król sam
jest w osobie swojej (7), i że to nie podjazd (któregośmy się bar-
dzo obawiali), ale całe korpus wojska idzie, zaraz posłów (8) do
króla naprzód uproszono: Jego M. pana stolnika wieluńskiego, pana
Kociszewskiego, pana Łukaszewica radziec i pana Prusowskiego
pisarza, do których się przymieszał i p. Jankotyński sekretarz i pi-
sarz kancelaryi J. K. M. koronnój; których, aby się prędko wy-
prawili, gdyż tuż, tuż król z wojskiem następował, trębacze napo-
minali (9). Tymczasem (10) nim się zgotowali posłowie (11),
tymczasem zlecono panu Baranowicowi, aby do domu swego za
Ś. Duchem trębaczów zaprosił i przyzwoicie (12) utraktował, co
zaszczytnie dopełnił (13). Tymczasem (14) Jego Mość pan stolnik
z panem Prusowskim konno i wiele innych przy nim wyjechało
z trębaczami, a widząc już do Woli przybliżające się wojska i kró-
la szwedzkiego, musieli skorzej i szybciej (15) pospieszyć, nie cze-
kając drugich posłów (16), zwłaszcza panów radnych, którzy ryd-
wanem się puścili; i tak w polu między Wolą a murowaną karcz-
mą do wsi Włochy nazwanój należącej, z królem Jego Mością
szwedzkim i wojskami jego zjechawszy się, z koni poziadawszy,
i one trzymać czeladzi oddawszy, pieszo do pocałowania ręki
i przywitania króla na koniu siedzącego, a rękę prawą na kolanie

(1) In oratorio conventuali. (2) Commissa. (3) Sententiarunt. (4)
hostilitatem attentare. (5) Institutimus. (6) Assecurati verbo. (7) In perso-
na sua. (8) Ablegatos. (9) Monuerunt. (10) Interea. (11) Ablegati sen
Internuntii. (12) Condligne. (13) Quod cum laude fecit. (14) Interim. (15)
Citius et celerius. (16) Ablegatos.

trzymającego, przystąpili, a oraz przez Jmci pana Radziejowskiego po prawej stronie (1) króla na koniu mrozowatym siedzącego o audyencyą uprosili; któremu król, jako polskiego języka i łacińskiego nieświadomy (2), zlecił nas czegobyśmy chcieli i żądali wysłuchać. Zsiadł tedy z konia p. Radziejowski i odwiódł, się z nami na stronę, a król stał na miejscu ze swoją świtą (3) różnych kawalerów, którego i nas, wojsko w półksiężyc (4) otoczyło. Przełożyliśmy (5) tedy nasze krzywdy (6) i jako bez załogi (7) zostawamy, i protekcyi J. K. M. szwedzkiego żądamy i o przyczynę W. M. naszego Mciwego pana jako kość z kości naszych i ciała z ciała naszego etc: (8) do K. J. Mci, abyśmy i wszelkiego stanu człowiek i oboja pleć (9), tak duchowni i świeccy przy zdrowiu i majątkach w wolnym wyznawaniu religii i odbywaniu nabożeństwa (10) zostawali, upraszamy. Życie i majątki nasze (11) pod nogi Mtu Jego K. Mci. (bo tak natenczas musiało być, choć nieszczerego serca) pokładając. Zawołany (12) tedy znówu do króla uczynił mu relatią skłonności naszych (13); przez którego król mile takową naszą łagodność i skłonności (14) przyjąwszy, nie tylko przy prośbach i żądaniach (15) naszych nas wszystkich zachować (16), ale i szczególną łaskę swoją (17) przyobiecał i całość zaręczył (18). Ruszył się potem król z miejsca, a panowie współpoślowie (19) nasi z rydwanem dopiero nadjeżdżali i witańia omieszkali, za którym wojsko około dziesiątka tysięcy około (20) porządne z armatą dział porządných i z wielkim około nich porządkiem, w nie do uwierzenia (21) komu liczbie (22) waleło się. Pominąwszy wieś Wielką Wolą, król obrócił wojsko wszystko potem prosto (23) ku Jazdowu, a sam do cekauzu jechał, gdzie porządną armatę obaczywszy, ruszył ramionami, głową potrząsnąwszy i Władysława dziełem (24) być powiedzianą przez pana Radziejowskiego usłyszawszy, zapłakał. Zrewidowawszy wszystek tak dolny jako i górny czekauz, pojechał do pałacu do Jazdowa, a p. Radziejowski dla bezpieczeństwa (25) miasta i oby-

(1) A dextro latere. (2) Ignarus. (3) Cum sua assistentia. (4) Medio lunari figura. (5) Exposulimus. (6) Nostram calamitatem. (7) Sine praesidio. (8) Os de ossibus nostris et carnem de carne nostra. (9) Et utriusque sexus. (10) Liberi religionis et devotivolis exercitio. (11) Vitas et substantias nostras. (12) Vocatus. (13) Propensionis nostrae. (14) Istam nostram facilitatem et propensionem. (15) *Petytach y desideriach.* (16) Conservare. (17) Optimam gratiam suam. (18) Et indemnitate cavet. (19) Conablegati. (20) Circiter. (21) Incredibili. (22) Numero. (23) Recte. (24) Vladislai operam (25) Pro securitate.

watelów swoim pułkiem rajturskim bramy i straż osadził, a załodze miejskiej (1) kazał do domów zniść i bezpiecznemi być; co bardzo bolało wszystko wojsko żeśmy się poddali i na spotkanie (2) królowi jechali, żeśmy ani razu do nich ognia nie dali, żeby byli mieli przyczynę nieprzyjaźni (3) i do rabowania pozór (4).

Tegoż dnia po obiedzie sam król objeżdżał miasto wewnątrz i zewnątrz (5) i zkadby na nie najniebezpieczniejsze napady (6) być mogły, rozważał (7), i jakoby je fortyfikować z swemi kawalerami rozmawiał; znowu do Jazdowa odjechał, za którego rozkazem (8) nastąpiło, aby chleba, piwa dla wojska pewna ilość odtąd (9) wydana była: co musiało być natychmiast (10). Potem zwolna (11) okup na miasto włożył 50,000 twardych talerów; dało tedy miasto za wielkiem uproszeniem, tak gotowemi pieniędzmi, srebrem, różnemi towarami, zbożem etc. dwadzieścia i jeden tysięcy twardych talerów, zosobna kościoły, szpitale, dwory, kamienice, duchowne okupować się musiały. Tymczasem (12) ruszył się ztąd król pod Kraków, zostawiwszy tu na swoim miejscu namiestnika czyli naczelnika Benedykta (13) Oxenstierna hrabiego (14), człeka bardzo dobrego i cnotliwego, który żadnej prywatnym (15) nie dopuścił czynić krzywdy i w wielkiej dyscyplinie miał załogę (16) tu zostającą, nad którym był komendantem Nering, Szkot. Wielka była staranność (17) tak urzędników (18) jako i prywatnych obywateli (19) od nich całe. Przecię zwolna (20) i pozorem nieukrzywdzenia (21) ludzi ubogich ssali, bo ich zamusieli opatrywać (22) po domach uszłożonych, a na nieobecnych (23) edykt wyszedł, aby w przeciągu sześciu tygodni (24) wracali się do własności (25) pod karą konfiskaty lub prawem kaduka (26); i siła oficerów, niektóre kamienice sobie prawem kaduka (27) poupraszały, i niektóre im się okupowali, niektóre obronną ręką uszły. Po tym wszystkim mieszczanom komendant z załogą (28) strzelbę i wszelkie oręża do boju sposobne, pod gardłem do najmniejszej sztuki, na zamek znieść i oddać jakoby (29) do zachowania (a to

(1) Praesidio civili. (2) Obviam. (3) Occasionem hostilitatis. (4) Praetextus. (5) Intra et ab extra. (6) Insultus. (7) Consideravit. (8) Mando. (9) Quota ex nunc. (10) In instanti. (11) Sensim. (12) Interim. (13) Viceregem sen praesidem. (14) Comitum. (15) Privatis. (16) Praesidium. (17) Observatio. (18) Officialium. (19) Privatorum civium. (20) Sensim. (21) Sub specte nullius Injuriae. (22) Providere. (23) Abscutes. (24) Intra sex septimanas. (25) Ad propria. (26) Sub poena confiscationis bonorum seu juris caduci. (27) Jure caduco. (28) Cum praesidio. (29) Quasi.

z obawy (1) zdrady jakiej), rozkazał, zapewniając słowem (2), że nic nie zginie i każdemu czasu swego będzie co jego oddane, byle każdy swoje nacechował, albo (3) podpisał strzelbę i broń i t. d. cechowali, podpisywali, kartki przylepiali Sasi i do zamku oddali. A przed oddaniem strzelby gdyśmy prosili, aby nas nie rozbrajali, (4) obiecując wszelką wierność (5), a w ostatku i przysięgę (6) ofiarowaliśmy; oni na to replikowali, że wprzód trzeba się z wojskiem koronnym orężem (7) rozprawić, i spróbować, Kraków posieść i koronę otrzymać, dopiero od was przysięgę (8) odebrać. I pozwolił komendant broni zwyczajnej, jako szabel i po czworgu strzelby, osobliwie panu burmistrzowi i *mnie pisarzowi*; inni wszyscy od siebie broń wszelką oddać musieli, a przy nożach samych zostali. Naród ten zdobyczy chciwy nie mogąc nic gwałtownym sposobem wydobyć (9), ale swym kształtem i sposobem nieznacznie jakoby rewizją (10) generalną postanowili, jeżeli wszyscy oddali strzelbę i inne oręża jeśli kto czego nie utaił, albo prochów i t. d. Rewidowali najmniejsze kąty, skrzynie sobie otwierając i z nich wykladać kazali rzeczy, a co się oczom podobało (lubo nic nie znaleźli), albo sereu przypadło o to prosili że albo mi daruj, albo przedaj; i tak umysł ludu jakoby z dobroczynności wyławiali (11), i często temi sposobami co raz szkodowali i zdradzali, a nie zdało się to jakoby za ciężar i szkodę, aż nierychło zmądrzeli się. A że pod ten czas znajdowały się między ludźmi różnej conditiej sprawy (12), te w sądzie ławniczym sposobem i prawem zwykłym sądzić bez brakowania osób, nawet stanu szlacheckiego ludzi sędzicieśmy musieli, z zachowaniem appellacyi do właściwego *forum*. A kiedy wytaczano (13) appellacye do namiestnika czyli naczelnika (14) Oxenstierna, to on rozpoznawszy prawność wyroku, nigdy nie odrzucając lecz owszem takowy potwierdzając, znowu do wykonania do tegoż sądu odsyłał, jako widzieć można w protokołach tychże akt, które tu w aktach niniejszych mniej potrzebne i godne nie są wpisane (15).

- (1) Metu. (2) *Assecurujac* verbo. (3) *Sive*. (4) *Nie disarmowali*. (5) *Fidelliatem*. (6) *Juramentum*. (7) *Marte*. (8) *Juramentum*. (9) *Violento altentare modo*. (10) *Insensibilliter quasi revisio*. (11) *Decipiebant*. (12) *Delicta*. (13) *Prosequowano*. (14) *Ad viceregem seu praesidem*. (15) *Inserowane*.

Rok 1656.

Arfurdus Witembergius sławny szwedzki jeszcze za Gustawa króla szwedzkiego w cesarstwie wojennik i generał alias feldmarszałek, *rodem* (1) Fin, zły i okrutny, Kraków opuściwszy, załogę (2) tam zostawiwszy, sam królowi Karolowi Gustawowi szwedzkiemu, pod Przemyśl jadącemu drogę zająchał, i tam w tych krajach ludu siła natraciwszy, z tymże królem tu do Warszawy powrócił, jakoś w ostatnich dniach kwietnia (3). Król zład poszedł z ostatkiem wojska przez Kujawy do Prus, a Witemberg tu został, dlatego, aby skarby i dostatki tak w Podgórzu, jako i tu powtórnie nalupione, nazdobywane i armatę, sztukami do Prus uprowadził, i sam za królem pospieszył. Aż jego zamiary odmieniła (4) mała woda, której co dalej ubywało. Do tego, wojsko litewskie, którego był regimentarzem Jegomość pan Sapieha wojewoda wileński, i rozdzielił je na dwoje, na tę stronę połowę większą przez most pod Szolcem zbudowany przeprowił, a resztek na tamtej stronie i powiaty niektóre zostawił. Do którego przystąpiło (5) i koronnego wojska i różnych powiatów pospolitego ruszenia niemało. Poczęli się pod miasto szanćcować; czego Witemberg postrzegłszy, aby takićj mnogości (6) mógł tym sposobnićj z garszcją ludu szwedzkiego, (którego tu i z chorymi rachując nad tysiąc więćj nie było), oprzeć się (7), naprzód dnia szóstego maja (8) miasto dobrze osztaкетовane i opatrzone na koło munitią, zamknął, i uczyniwszy wycieczkę na Krakowskie-Przedmieście zapalić je kazał i spalił, potem dwory na Senatorskiej ulicy i na wale, i Długą ulicę, dnia siódmego Maja z Mostową ulicą. W takićm położeniu rzeczy (9) z obu stron często się z dział niepokojąc, nasi Polacy nas tu granatami, kamieniami z moździerzów nawiedzali. Nakoniec (10) za szczęśliwym K. Jmć naszego Jana Kazimierza przyjazdem, nasze wojsko polskie, i to tylko gotota *alias* ciurowie i łóźni ludzie, którzy nie tak byli chciwi chwały i sławy (11) jako łakomi zdobyczy (12), ostrząc zęby, nie tak na Szwedy, jako na ubóstwo i substancye miejskie, odpowiadając nie żywić ani jednęj duszy (13), szturm przypuścili do pałacu

(1) *Natlone.* (2) *Praesidium.* (3) *Ultimis diebus aprilis.* (4) *Proposita varlavit.* (5) *Accessit.* (6) *Tantae multitudinis.* (7) *Resistere.* (8) *Die sexta maji.* (9) *His stantibus rebus.* (10) *Tandem.* (11) *Cupidit laudis et gloriae,* (12) *Avidi spoliati.* (13) *Autmam viventem.*

Kazanowskiego, którego łatwo (1) dostali i wzięli, następnie (2) i klasztor Bernardyński i mniszek, w czym największą obronę swęj pokładali Szwedzi, za których wzięciem Witemberg do traktowania skłonił się, i to zwyciężony i zmięczony (3) błaganiem i łzami (4) dam, *alias* białych głów, osobliwie generałowy Duglasowy i inszych, których tu było zostało natenczas wiele. Zawarł więc traktaty pod pewnemi warunkami (5), i nazajutrz (6), tojest dnia 1go czerwca (7), miasto otworzył i podał, które pan Grotauz pułkownik króla Jmc z piechotą odebrał. Dnia 2 czerwca (8) pan *Franciszek Kazimierz Prusowski*, na ten czas syndyk i pisarz wójtowski z panem Augustynem Horlemesen starszym gminnym, do króla Jmci do dworu pana podskarbiego koronnego Leszczyńskiego za wałem będącego z supliką wystłani, imieniem (9) miasta, a tój suplikiej przez pomienionego syndyka ułożonej (10) i pisaniej taka treść była:

Najjaśniejszy miłościwy królu panie, a panie
Nasz Miłościwy.

Ojcowska W. K. M. ku poddanym swoim łaskawość (11) tak nam utrapionym, prawie już zgłupiałym wiele pozwala, że przed nogi majestatu W. K. M., rozmaitość za szczęśliwym W. K. M. pana naszego miłościwego przyjazdem pokładamy, tojest płacz z weselem pomieszany. Wesele albowiem ztąd, że w dobrém zdrowiu i szczęśliwem W. K. M. pana naszego miłościwego, za prawicą Bożą (12) powodzeniu, szczęśliwym (13) uznawamy zwycięzcą i pogromcą (14). Za co Najwyższemu nasze ubodzy ludzie i już ledwo ziejący (15), lubo niegodne aż do najmniejszego (16) oddajemy dzięki. Płacz zaś i żal serdeczny z utrapienia i uciążliwości (16)... Nie baczemy tego za rzecz W. K. M. pana naszego miłościwego długą w tych czasach molestować legendą, nasze szkody wyliczając (17), które nie są do wypowiedzenia (18), lubo od innych inaczej osądzone będą (19). Boć to najwyższy

(1) Facilliter. (2) Consequenter. (3) Victus et emollitus. (4) Etulatu et lachrymis. (5) Certis conditionibus. (6) In crastino. (7) Die prima Julii. (8) Die secunda Julii (9) Nomine. (10) *Concipowanej*. (11) Clementia. (12) Cum dextera domini. (13) Gloriosum. (14) Debellorem et triumphatorem. (15) Vix hiantes. (16) Usque ad minimum. (17) Enumerando calamitates. (18) Sunt inenarrabiles. (19) Ab extra secus iudicantur.

a dojrzały sąd (1) W. K. M. pana naszego miłościwego, z inszych okoliczności (2) na oko widzieć, nie wszystkiego jednak dowodnie wiedzieć może ze zdania sprawy innych (3), które rzadko się sprawdzają (4). Nikt nie może pewniej i prawdziwiej (5) majestatowi W. K. M. szkody nasze przelożyć (6), jako my wszelkiego rodzaju ciężarami uciśnieni (7); gdy publiczną miastu do obrony i prywatną armatę odebrano, okup i miesięczne podatki (8) wymyślano i brano, wiele dóbr porabowano, i dotychczas żywności nam brano na rachunek publiczny (9), to jest skarbu (10) króla Jmć szwedzkiego, za surowém rozkazaniem. Miasto na kilkadziesiąt tysięcy różnemi dać musiało potrzebami; inaczéj (11) gardłem straszono. Nam prywatnym obywatelom (12), okrom szkód inszych, co zbóż, towarów i innych rzeczy, nie wspominamy spustoszenia (13) i z gruntu rujnej, także na rachunek obiecanéj zapłaty (14) pobrano, żal pisać nie dopuści. Tą jednak majestat W. K. M. pana naszego miłościwego supliką poważamy się pokornie upraszać, aby W. K. M. pan nasz miłościwy, jako ojciec łaskawy, na wiernych swoich poddanych wzgląd i baczenie, a przy traktatach, jeżeli jakie będą, mieć pomnienie raczył, aby te nasze straty jakimkolwiek sposobem, tak miastu jako i prywatnym (15) od nieprzyjaciela, za błogosławieństwem bożém i szczęśliwością W. K. M. ponizonego, nagrodzona być mogła. A my Pana Boga gorąco upraszać będziemy, aby W. K. M. pana naszego miłościwego, oddawszy w długie lata przy dobrém zdrowiu, szczęśliwości, strasznym nieprzyjaciolom uczynić (16) raczył pogromcą i sławnym zwycięzcą (17).

* * *

Po której suplikiej oddaniu przez Jmć księdza Trzebickiego podkanclerzego koronnego, po chwili (18) tenże Jmć ksiądz podkanclerzy wyszedłszy z pokoju, taką uczynił relacją albo odpowiedź (19): „J. K. Mość mile W. Mściów przyjął i uprzejmie suplikę, a że w dobrym zdrowiu W. Mościów zastał cieszy się i nie ma za złe, żeście się W. Mość nieprzyjacielowi żadnego nie uczy-

(1) *Supremum et maturum iudicium.* (2) *Ex aliis circumstantiis.* (3) *Ex aliorum relatis.* (4) *Verificantur.* (5) *Verius.* (6) *Nostras exponere calamitates.* (7) *Omni oppressorum genere gravati.* (8) *Disarmavano.* (9) *exactie.* (10) *In fidem publicam.* (11) *Thesauri.* (12) *Secus.* (13) *Privatis civibus.* (14) *In fidem sub promissione solvendi.* (15) *Privatis.* (16) *Efficere.* (17) *Debellatorem et gloriosum reddere victorem.* (18) *Post intervallum.* (19) *Responsum.*

niwszy odporu, zaraz podali, bo to było na W. Mość niepodobno, i inaczej być nie mogło; a cokolwiekieście W. Mść przez ten czas złego ucierpieli, to za wdzięczne od Pana Boga przyjmiecie: da Pan Bóg za szczęśliwością Jego Królewskiej Mości z łaski Bożej spokojniejszych czasów nagrodzi się to W. M. A co się tycze szkód w dobrach, przez nieprzyjaciela poczynionych, i okupu, to już nie do naprawy (1), ani tego nieprzyjaciela nagrodzić może. Co do strony towarów i innych rzeczy, na rachunek (2) skarbu wziętych, już J. K. M. dobrze o tém zawiadomiony (3), i nie przepomniał W. Mościów przy traktatach; kazał i tego dołożyć w punktach i w rachunkach, żeby to było przez nich zapłacono.— Tymczasem król Jmć poszedł na mszę do namiotu, który w tymże dworze w podwórzu był rozbity. Dnia 3 lipca (4) panowie kommissarze od Jego K. Mości naznaczeni, Ich Mciowie panowie hetmani, mianowicie pan Potocki wielki, Lanckoroński polny, pan Czarnecki kasztelan kijowski, Obuchowicz wojewoda smoleński, pan Gąsiewski podskarbi i hetman natenczas polny W. Ks. Litewskiego i inne kommissarze (5) do miasta w pewnej liczbie towarzystwa (6) przyjechali, innego żołnierstwa i innych dworskich K. Jmci bezpieczeństwu i spokojowi (7) miasta wygadując, a bardziej jeszcze Szwedów w mieście zostawających, nie kazał nikogo do miasta wpuszczać, aż ktoby miał kartę, własną ręką króla podpisaną. Ci panowie kommissarze u Szwedów, tak w zamku jako i w mieście rzeczy Króla Jmci i prywatnych (8) im pobrane i porabowane odebrali (9), co mogli i co przy nich znalazło się, a co też substelnie Szwedzi schowali (10), i z tém mogli ująć, im się w podziale dostało. Aleć panowie kommissarze trybem szwedzkim, jako oni podczas oblężenia czynili ziemianom, na instancją króla Jmci onych z miasta wypuszczając, że co wóz w bramę wpuścili, to się z nim wewnątrz (11) zawarli i trzęśli, pod pozorem strzelby albo prochów jakoby (12) szukając, co się im podobało brali. Ztąd model wzięwszy nasi panowie kommissarze już nie tak wozy, jako osoby obojga płci (13) trzęśli nawet w opasaniu, i na nogach wiele znajdując dostatków. A wyprawdziwszy Szwedów, wyprawiwszy Witemberka i innych kawalerów w drogę do Zamościa, prostych zaś żołnierzy (14) ku Pru-

(1) Irreparabile. (2) In fidem. (3) Informatus. (4) Die tertia Julii. (5) Commissarii. (6) In certo numero comitatus. (7) Securitati et quieti. (8) Privatorum. (9) Repetebant. (10) Occultarunt. (11) Intra. (12) Quasi. (13) Utriusque sexus. (14) Gregarium militem.

som konwokowawszy, ciż panowie kommissarze nad taxą tych wszystkich rzeczy, tak króla Jmci, jako téż prywatnych (1) zasię-
dli, i one wedle taxy (2), częścią kto się trafił sprzedawali, ale
więcej ich lekką taxą sobie otrzymali. Niemaló przytém pogi-
nęło i przepadło. Temi pieniędzmi albo raczój (3) rzeczami
wojsku płacili kwarciannemu; i tę kommissyą i taxę więcej czasu
bankietom, pijatykom pozwalając, niż pracy, aż do dnia 29 tegoż
miesiąca (4) odprawowali i onój nie dokończyli, ale co kto mógł
wziąć wziął i sobie zabrał (5), z czego się nie każdy cieszył,
o czém niżej (6).

Dnia 9 tegoż miesiąca magistrat, w którym natenczas przy-
dował (7) pan Alexander Gissa sekretarz króla J. M. metricant
skarbu koronnego, który po dokończeniu dorocznego burmistrzostwa
swego, które za czasu Szwedów jako z wielką fatygą (8), tak
téż nie z mniejszą chwałą i prawością (9) odprawował, powtór-
nie (10) do szczęśliwszych czasów uproszony był i zostawał na-
dal przy sprawowaniu rządów (11) burmistrza, gdyż wybory no-
wego burmistrza zwykle (12) przypadające w lutym (13) być nie
mogły, a to dla braku porządków do wyborów należących (14), gdy
i panów radziec niemaló i innych urzędników poujeżdżało było
przed Szwedami za granicę królestwa (15); ale była największa
w rozważaniu powodów racya potwierdzenia godności burmi-
strza (16), którą sobie Radziejowski jako pieczętorz i starosta war-
szawski porozumiany pretendował, aleć w tém omylony (17) zo-
stał. Zeszli do dworu J. Mci p. Leszczyńskiego, i tam króla J. Mci
z pokoju wychodzącego i na podjazd ku Zakroczymiu z wojskiem
kwapiącego się witali, i przy tym mu z wdzięczności (18) 200 czer-
wonych w jedwabném woreczku ofiarowali. Przywitanie z wdzię-
czną twarzą przyjął (19), a na ofiarę (20) rzekł: „nie potrzeba
tego niebożęta, nawydawaliście teraz dosyć; ale gdyście tak ochot-
ni, dajcie, nie mamci téż teraz nic przy sobie w kieszeni; dzie-

(1) Privatorum. (2) Juxta taxam. (3) Sive etiam. (4) Ad diem vi-
gesimam nonam ejusdem mensis. (5) Qui potuit capere coepit, et secum tulit.
(6) Infra. (7) Die nona ejusdem, Magistratus eul tunc praesidebat. (8) Sum-
ma cum fatiga. (9) Non cum minori laude et dexteritate. (10) Iterum.
(11) Ad continuandum regimen. (12) Electio ordinarie. (13) Novi procon-
sulis in Februario. (14) Ob defectum ordinum ad electionem pertinentium.
(15) Extra fines regni. (16) Ratio approbationis seu confirmationis pro-
consulis. (17) In hoc elusus. (18) Gratitudinis erga. (19) Grato accepto
vultu. (20) Oblate.

kuję Wam” i wsiadłszy na konia pojechał pod Zakroczym, gdzie nad Wisłą się stronę Szwedów w szanću dobrze oszańcowanych zastał, około których nie chcąc ludu tracić opuścił i powrócił. Tymczasem (1) panowie żołnierze nasi leżą, piją, dobrą myślą się bawią, zapłaty wołają, bić się z nieprzyjacielem nie chcą, póki zapłaty nie obaczą, na panów kommissarzów narzekają, króla J. Mci nie słuchają, podjazdów nie czynią, języka nie dostają, o potędze nieprzyjacielskiej się nie pytają. A isz król J. Mć jak prędko dokonczono mostu naprzeciwko górze szubienicznej, gdzie teraz szanć, kazał się wojsku litewskiemu przeprowadzić z armatą, bo znać był przeświadczony (2) o blizkim nieprzyjacielu, ilości (3) jego jednak nie wiedząc.

Gdy tak się rzeczy miały, dnia 28 (4) nieprzyjaciel pokazał się z boru od Białejłęki i potężnie poczał ognia i gęsto z dział dawać, któremu zarówno odpowiadano, i z tegoż boru wykurzono działami przez Wisłę od Polkowa.

Dnia 29 (5) nieprzyjaciel poszedł w pole, pomykając się z armatą ku Brudnu, chcąc naszym w szanću potężnym będącym tył wziąć, i gęsto do nich z dział ognia dając, którego siłę, siłą odpierano (6). Nasi, osobliwie wojsko litewskie pospołu (7) stanęło; poczał osobliwie usarz rwać szwedzkie wojsko. Tatarowie téż, których było kilka tysięcy, posiłkowali (8), aż poczęli Szwedzi pierzchać i jako potem sami zeznali (9), że już byli desperowali, ale ich wsparła piechota księcia Brandeburczyka, którzyby byli nasi trop albo dwa wytrzymali, tedyby byli na głowę uciekali, ale że wojska litewskiego nadruszono i Tatarów, musieli pierzchać, a nasze wojska koronne i powiatowe nie chciały posiłkować i króla J. Mci nie chcieli słuchać. Stało się (10) więc czego na żal i wstyd wielki potomności (11) nie godziłoby się pisać, tył podali (12). Czego jeszcze nieprzyjaciel, bo noc nadeszła, postrzedz nie mógł, raczej o swoim radził spoczynku (13), aż nazajutrz nie obaczy, tylko miejsce gdzie obóz leżał (14). Dopieroż na ostatek (15) wojsk naszych następować szybko zaczął, tak, iż nasi topieli się w Wiśle i drudzy aż za mil dziesięć oglądali się, za

(1) Interim. (2) Persuasus. (3) Quantitate. (4) Tandem his stantibus, die vigesima octava. (5) Die vigesima nona. (6) Vim, vi repellebant. (7) Communice. (8) Invaruit. (9) Fassi sunt. (10) Actum est. (11) Posteritati. (12) Terga dederunt. (13) Consulebat quieti. (14) Locos castrorum ubi posita erant. (15) *Reliquie.*

któremi ciekawy nieprzyjaciel i zajuszony, częścią wplaw przez Wisłę, częścią przewozem, bo nasi po odjeściu tego tam końca mostu albo szańcu, tu koniec mostu zapalili i niemal w pół go zgorzało, a było to dnia 30 lipca.

Dnia 30, gdy co żywo pieszo, konno, jako kto mógł na głowę uciekało, został jeszcze z piechotą, z którą był na załogę (1) komenderowany pan oberster Celari, który na miejscu załogi (2) zajechawszy do zamku do sklepu w którym deponowane były pomienione i przez panów kommissarzów nie zabrane rzeczy z wozami co mógł wziąć, wziął, (3) a w ostatku i z piechotą nie pożegnawszy się nawet, (4) uszedł, miasta odszedłszy niezamknionego; aż pomieniony wyżej pan Gissa burmistrz przestrzeżony, że miasto bez straży (5) zostało, pojedynczych kazał zwoływać obywateli (6), i tak jako mogli do północkska pracując, straż opatrzył (7).

Dnia 31. Pomieniony p. burmistrz i z panami kolegami swemi natenczas rezydującemi obawiając się, aby kosa zajuszonego nieprzyjaciela nie chciała się chłodzić na karkach naszych i wziętego w mieście Witemberka na mieszczanach i ich substancyach mścić się (8) nie chciano; tak sobie przy pomocy bożej uradzili i postanowili: że poszli osobiście do zamku do pana graffa Benedykta Oxensterna, który przedtém gubernatorem był przez wszystkie czas, który że był chory barzo, za łaską króla J. Mci został tu, a podobno ordynacją bozką na jakie takie miasta tego zachowanie (9). Bo też miał być być do Zamościa odesłany. Tam jego znowu polecili się protekcyi i opiece (10), jako ci, którzy w niwczym nie wykroczeni przeciwko królowi J. Mci szwedzkiemu i wojsku jego. Obiecał opiekę (11), posłał do króla szwedzkiego; przysłał król komendanta, który tu był także przedtém, niejakiemu Neringa rodem (12) szota, który z piechotą przyszedł i znowu miasto odebrał, i bronil, osobliwie rajtariej do miasta, tak szwedzkiej a bardziej curfistowskiej, która na Warszawie jako psi wściekli ostrzyła zęby i wiele złego ab extra czynili.

Po odebraniu miasta zwyczajem swym Szwedzi którzy tu zostawali musieli być prowidowani, a w ostatku co się im i kędy podobało, znowu rabowali, rzeczy przez Polaków zostawione ka-

(1) Pro praesidio. (2) Loco praesidii. (3) Capere coepit. (4) Nec vale dicto. (5) Custodire. (6) Convocare cives. (7) Custodia munivit. (8) Vindicare. (9) Salutem. (10) Protectioni et patrocinio. (11) Praestitit tutelam. (12) Natone.

zawszy przysięgać (1), odbierali etc., a u kogo się im i co podobalo, brali, rabowali aż do syta (2).

Król zaś sam szwedzki z curfisztem poszli z ostatkiem wojska (3) aż pod Radom ścigając (4) króla J. Mci naszego i wojska, i innych (5) za obozem się wlecących. Nakoniec z pomocą potężnej prawicy bożej (6) wyparci upadać zaczęli, bici od wojska koronnego i od Tatarów, którzy ich gnali aż ku Rawie, i tam trzy tysiące trupa położyli. A już też do tego znaczne z chorób szwedzkich między lud świeży curfistowski wkradło się powietrze, przeto król szwedzki i z curfistem widząc z obu stron (7) ludu swego klęskę (8) i od bożkiej i ludzkiej ręki polskiej, postanowili wrócić (9) z ostatkiem do królestwa swego (10), a tymczasem (11) mury około miasta rujnować kazał, aby wieczną pamięć i ślad po sobie pozostawić; a co bardziej (12) jeszcze, grozieli się ostatek w popiół obrócić i lud wyścinać. Magistrat słysząc takie niepożeszne głosy (13) i z początków, osobliwie rujnowania murów, możebne (14) sobie czyniąc wnioski (15), zabiegając aby do tego ostatniego i tak oplakanego nie przyszło końca, uczyniwszy między sobą radę (16) wyprawili dwóch języka niemieckiego dobrze świadomych (17) i godnych ludzi: pana Dawida Wejsa i pana Jana Landzberka ławników z supliką pokorną: jedną do króla szwedzkiego, z drugą do curfista, prosząc o miłosierdzie i protekcyą, aby miasto i wszystkich jego mieszkańców (18) tak na zdrowiach, majątkach i od rujnowania cali zostawali etc. Sprawiała to Opatrzność (19) boska w sercu króla J. Mci szwedzkiego, że znaleźliśmy łaskę w oczach jego (20), że murów do fundamentu dalej rujnować nie kazał, i wszystkich przy zdrowiu konserwował; a nadto jako pan baczny, wiedząc, iż po zrujnowanych murach miasto snadno by od swowolnego rabowane (21) być mogło żołnierza, a osobliwie curfistowskiego, który miał wędkę na nie, dał miastu pisaną *Salvanguardią* z podpisem ręki swojej, z pieczęcią i do tego kapitana ze dwudziestą i czterema żołdaków, którzyby za wyciągnięciem ludu szwedzkiego tu w mieście rezydującego, bronili miasta przy

- (1) *Prævio juramento.* (2) *Ad satietatem.* (3) *Cum reliquo exercitu.* (4) *Persequitur.* (5) *Et alios.* (6) *Tandem auxiliante potenti dextera Dei.* (7) *Utique.* (8) *Cladem.* (9) *Statuerunt reverti.* (10) *In regionem suam.* (11) *Interea.* (12) *Ad perpetuam vestigiorum suorum memoriam, et quod majus.* (13) *Voces.* (14) *Possiblem.* (15) *Illationem.* (16) *Facto inter se consilio.* (17) *Bene gnaros.* (18) *Cuncti habitatores ejus.* (19) *Providentia.* (20) *Invenimus gratiam in oculis ejus.* (21) *Spoliorum.*

czułości miejskiej od napadu (1) szwedzkiego lubo curfistowskiego ludu. Jakoż ziścił słowo swoje pańskie, że nasz przy zdrowiu tojest od zabijania uwolnieni, ale wielu chorobami ciężkimi zarazili i pomorzeli, wielu na majątku złupieli, kościoły zrabowali etc. To uczyniwszy w sam dzień Ścięcia św. Jana Chrzciciela (2) wyjeżdżając, dzwon od kościoła kolegialnego jeden wzięli, drugiemu wielkiemu nie mogąc radzić na drodze go zostawili przed dzwonnicyą, a od wału ku zachodowi jedną basztę rozwalili, a dwie prochami wysadziwszy na pożegnanie (3) wyjechali, którzy bodaj tu więcęj nie postali, ani imię ich. Dnia 29 sierpnia szwedzki lud z miasta Starój Warszawy, o czém się wyżej wypisało wyciągnął, zostawiwszy *pro salva guardia* kapitana z dwudziestą i czterech muszkietarów, z któremi nie był i trzech dni, bo jako usłyszał o następujących podjazdach polskich, wsiadwszy w łodzie na to przygotowane i z żołdakami, nocą do Nowodwora na kępę uszedł, i tak miasto aż do 14 września bez załogi (4) zostawało. Wyprawiono jednak do J. K. M. do Lublina z listem, którego treść taka:

Najjaśniejszy miłościwy królu panie, a panie
Nasz Miłościwy.

Poczuwając się z powinności uniżonego a wiernego poddaństwa, poczytaliśmy to za rzecz potrzebną oznajmić W. K. Mści panu naszemu miłościwemu, jako nieprzyjaciel łupu nienasycony, nietylko nas ubogich złupił (5) ludzi, ale też i residencyę szczęśliwój schronienie (6) majestatu W. K. Mci pałac, przykładem (7) murów miejskich zrujnowawszy: sam za łaską bożą tył (8) dawszy, tych łupów (9), osobliwie dział, marmurów i t. p. (10), dla małości wody, gdzie był postanowił (11) sprowadzić nie mogąc, jedne w wodzie, drugie na piaskach wpół Wisły pod Polkowem pozostawił (12). Które lubobyśmy jako wierni i życzliwi W. K. Mci pana naszego miłościwego poddani sprowadzić i wyratować chcieli; tedy dla małości wody, a najwięcęj niedostatku ludu, który z miasta przed plagą morowego powietrza, którą nas Pan

(1) *Incurrij.* (2) *Quo facto, Ipso die festi decollatiouis Sancti Johannis Baptistae.* (3) *Valetę.* (4) *Ad 14 septembris diem absque praesidio.* (5) *Depredatus est.* (6) *Receptaculum.* (7) *Ad exemplum.* (8) *Tergum.* (9) *Spoliatów.* (10) *Et similia.* (11) *Instituerat.* (12) *Reliquit.*

Bóg nawiedził (1) pouchodził, sposobu nie widzimy. Więc to najwyższemu (2) W. K. Mci pana naszego miłościwego posyłamy do rozstrzygnięcia sądowni (3), Pana Boga przytém o długo szczęśliwym przy dobrém zdrowiu i dostojenstwie W. K. Mci pana naszego miłościwego panowanie gorąco upraszając. W Warszawie, dnia 1 września (4), roku pańskiego 1656, najjaśniejszego majestatu W. K. Mci pana naszego miłościwego najniżsi podnózkowie i wierni poddani, burmistrz i rada miasta W. K. Mci starój Warszawy.

Respons króla Jmci:

Jan Kazimiérz król polski etc. etc.

Sławetni wiernie nam mili! Jako teraz wierność waszą ostateczną przeciwko nam wiarę i życzliwość, miłościwą naszą przyjmujemy wdzięcznością, tak one napotém w pamięci naszej mieć obiecujemy. A że nam wierność W. M. oznajmują o odbieźeniu szkuth i rzeczy pod Polkowem, przez Szwedów w Warszawie zabranych, zlecamy to wiernym W. M. i koniecznie mieć chcemy, abyście pilne około tego staranie uczynili, jakobyście te szkuty pod miasto sprowadzili i rzeczy z nich zabrawszy poprzątnęli i pochowali. A jeżelibyście temu dosyć uczynić nie mogli, tedy abyście rzeczy wszystkie na nich odbieźane zabrali, i na brzegu gdzie dobrze zakopali, aby ich nie tak snadnie nieprzyjaciel mógł dostać; w czém wyraźną wolą i rozkazanie nasze W. M. opowiedziawszy, łaskę naszą ofiarujemy i zdrowia dobrego od Pana Boga życzymy. Dan w Lublinie, dnia XIIIgo miesiąca września, M. D. C. L. W. panowania królestw naszych: polskiego VIII, a szwedzkiego IXgo roku. Jan Kazimiérz król.

Gdy tak rzeczy stały (5), powietrze poczęło się, i im dalej, tэм większy brało wzrost (6). Wiele ludzi dobrych Pan Bóg poczał brać, między któremi człeka godnego, cnotliwego, dobrego, a miastu temu bardzo potrzebnego, rodem zdrowego, godnej pamięci zanie sławnego pana Marcina Łukaszowicza rajcę i oraz pisarza radzieckiego, die 6 września (7), który w kościele św. Jana w grobie radzieckim pochowany, *requiescat in sancta pace*.

(1) visitavit. (2) altissimo. (3) sententiam iudicio. (4) die prima septembris. (5) his stantibus. (6) incrementum. (7) septembris.

MAUROWIE

NIEGDYŚ W HISZPANII, A DZIŚ W AFRYCE.

PRZEZ AUTORA :

O Danii i Norwegii, Bashach, Portugalii i t. d.

(Dokończenie).

XIII.

Mogador.

Statek nasz walczy z przeciwnymi wiatrami i wolno się suwa na zbatwanionój powierzchni oceanu. Drgające tętno maszyny kołami obracającój jeszcze żywiej czuć się daje pod falą, walącą młotem w żelazne piersi tego domu tak ludnego, raz wyniesionego wysoko w górę, to znowu pogrążonego w głębokościach. Wiatr świszczy w postronki, nagina maszty, dmie w komin jak w olbrzymią piszczałkę, i wstrząsa nim jak trzcina. Ale kapitan czoło mu stawia, czoło nietrwożliwe, nie grożące, ani też urągające, lecz czoło pogodne, spokojne. Obrachował on impet wiatru, wściekłość fali; ale téż zna dokładnie siłę swego statku, swój maszyny, a przedewszystkiém zna siłę szczęścia Brytanii na wszystkich oceanach. Spokojny, stoi jak posąg spizowy, nieporuszony, niezachwiany, a majtkowie i żołnierze rozproszeni na pokładzie, oparci o balustradę, o działa, lub zaczepieni o liny i drabiny, patrzą się w twarz swego kapitana jak w tęczę i czerpią w nią odwagę, spokojność i dumę. A każdy z tych majtków, z tych żołnierzy, ma siłę, wolą i rozum, a jednak takie zaufanie bez granic ma w swym przewodczy.

Angielski majtek ślepe ma posłuszeństwo dla swego przewodźcy; pozwala sobie rozbierać jego rozkazy, ale je wypełnia bez żadnego wahania: bo wieć, że każdy statek jednę powinien mieć duszę, tak jak jedno tylko ma życie. Żadnego zgietku, żadnych głośnych rozmów na pokładzie; wicher tylko wieje potężny.

Uczniowie marynarki i midszipmany siedzą w klassie i recytują przed professorem zadaną im lekcją; oficerowie po największej części zatrudnieni czytaniem w bibliotece okrętowej. I ja uzyskałem pozwolenie korzystania z jej książek. Wybieram jakiś rękopism spisany niedawno przez pierwszego porucznika Trydentu pana Westmoreland, i z niego wyczytuję następujące myśli o kształcie ogólnym kraju, którego część już poznałem, a część wielką jeszcze mam poznać.

Mogreb, czyli państwo najodleglejsze Zachodu (tak bowiem Maurowie nazywają kraj swój), zajmuje w Afryce taki prawie obszar, jaki Hiszpania w Europie. Umieszczone pomiędzy „*małym morzem*” (Śródziemnym), i „*morzem bez brzegów*” (oceanem), przecięte jest od wschodu na zachód długim pasmem gór, których śnieżne szczyty sięgają poza granice widoku w obłoki. Jest to Atlas, potężny Atlas, ów znany poetycznym Grekom król ziemi, na której pasły się nieprzeliczone trzody, na której rosły drzewa z liśćmi złotem świecącemi, z gałęziami złotemi i ze złotym owocem; król państwa obronnego wysokim murem i strzeżonego przez okropnego smoka. Skamieniały wpośród swego państwa olbrzymi starzec, dzwiga na swych barkach kopułę niebieską, a w łonie swém kryje nieprzebrane bogactwa.

To prawda: istnieją we wnętrzu Atlasu obfite a nigdy nieknięte żyły złota, srebra, miedzi i żelaza. Ale z grzbietów jego spływają na płaszczyzny bogactwa jeszcze prawdziwsze: wszystkie strumienie Barbaryi zachodniej spadają z tego łańcucha i z jego licznych rozgałęzień. Grecy mówili, że to łyzy olbrzymiego starca skrapiające ukochane jego królestwo.

Smoka z ognistym ogonem znajdujemy na południu, na pograniczu Sahary. To ów okropny *simuhu*, który wznosi, skupia, porywa z sobą na odległość kilku mil w morze, ogniem pałające piaski puszczy. Tam, na téj nieurodzajnej ziemi żyją owe hordy barbarzyńców, niechące podlegać nikomu, a żywiące się łupami na karawanach zdobytymi.

Od 20go aż do 32go stopnia północnego, puszcza zasiana jest ruchomemi górami piasku. Powietrze przepelnione pyłem piaszczystym jest nieprzejrzale, jak gdyby mgłą przesiąkłe. Nieraz ono w błędy fatalne wprowadziło żeglarzy; nie rozznali brzegów aż w chwili, gdy na nich zoczyli bałwany rozbijające się w białą pianę, a pędzeni prądem zachodnim nie spostrzegli niebezpieczeństwa i okręt zgruchotany tonął. Koczujące hordy patrzą z jaskiń na nieszczęsnych w przepaść pędzonych, i cieszą się z ich niedoli, bo do nich należeć będą łupy, do nich życie tych biędnych, jeżeli schronić się zdołają na brzegi te okropne.

Statki płynące do Senegalu, do Gwinei i do wysp Przylądka Zielonego, często tu przepadają, nie zostawiając żadnego po sobie śladu. Karty morskie nie wskazują z dokładnością położenia tych niebezpiecznych brzegów.

Na brzegach północno-wschodnich państwa marokańskiego wznoszą się niebotyczne, ostrokończaste skały. To prowincya zwana Rif, której mieszkańcy również barbarzyńscy jak Beduiny puszczy, łowami się trudnią na lądzie, a rabunkiem na morzu. I oni nie chcą ulegać cesarzowi Maroko. Puszczo Angadu i Mulaia przegradzają prowincyą Rif od Algiiery; od zachodu Rif przytyka do prowincyi zwanój El-Garb, wystającej jak głaz ogromny z Afryki i ścieśniającej morze Śródziemne przy jego ujściu do oceanu.

Od przylądka Spartel rozpoczyna się długa linia brzegów oceanu, i na niejto wjdzimy porty kupieckie dość znakomite, znane pod nazwiskiem Larasz, Rabath, Mazagran, Mogador. Inne miasta jak: Salé, Amazor, Safi, Santa-Cruz, leżą po największej części w ruinach. Na tym brzegu znajdują się całe miasta niegdyś sławne zamożnością, dziś zaś w zupełne ruiny, w zwaliska bez żadnej ludności przestoczone. Wielka zaraza w roku 1799, wyludniła wiele miejsc do szczętu i zadała ostatni cios nieszczęsnym miejscom, od wielu, wielu wieków chylącym się ku upadkowi.

Bystre i liczne strumienie spadają ze szczytów Atlasu, lecz zatkane przy ujściu do morza ławami piasku, którym niedbalstwo Maurów dało się skupić, potoki te i rzeki nie są spławnemi dla większych okrętów. Śniegi gdy stopnieją na Atlasie, i dęszce gdy padną, wówczas ta sama przyczyna, która robi rzeki niezdołnemi do spławu, staje się powodem okropnych powodzi. Wody nie mogą wylać się swobodnie w morze rozluczają się na

prawo i na lewo w okropne bagna, które potem wyziewami niezdrowemi zarażają powietrze i niezliczone sprowadzają choroby. W wielu miejscach wymarła z téj przyczyny cała ludność, wiele miast zaginęło w bagnach.

A jednak kraj ten opasany z czterech stron morzem, piaskami, górami i puszczą, zawiera jeszcze tysiące mil kwadratowych pokrytych najpyszniejszymi ogrodami starego Atlasu. Poprzecinana dolinami, płaszczyną i tarasem, którego rozmaite i różnostronne pochyłości sprzyjają bujności roślin, od zboża aż do owoców zwrotnikowych, ziemia ta obiecana pokrywa się czarującą wegetacją, w wielu miejscach do roku trzy daje żniwa, i to bez innéj zaprawy jak téj, którą pozostawinją stada pasącego się bydła lub téż popioły spalonej słomy.

Jackson, który szesnaście lat bawił w różnych prowincjach Maroko, daje przykład zastanawiającej siły roślinnej owego kraju. „Podróżowałem wówczas w prowincyi zwanéj Suza pomiędzy plantacyami oliwnemi; w bliskości miasta Messa znajduje się jedna z tych plantacyj nadzwyczajnie obszerna. Drzewa jéj są pyszne i wysokie jak u nas klony (mówi pan Jackson, Anglik), ale nie w szeregach ustawione, tylko w nieporządku rozsiane; co mię zastanowiło, inne bowiem plantacye w bardzo regularnych rosły szykach. Pytałem się o przyczynę téj nieregularności i dowiedziałem się, że jeden z cesarzewiczów obozował kiedyś w tém miejscu z całym swém wojskiem w pochodzie ku Sudanowi. Żerdzie służące do przymocowania koni były ścięte z drzew oliwnych rosnących w pobliżności, i wbite w ziemię, w której pozostały po opuszczeniu obozu. Potém te żerdzie przyjęły się i wybijały w las tak olbrzymi. Prawda, dodaje Jackson, przypatrzwszy się zblizka nagięciu drzew i porządkowi w którym były ustawione, rozpoznałem z dokładnością, że w ten sposób kawalerya obóz swój rozstawiać zwykła.”

Ta żyzna prowincya Suzy, która niegdyś osobne stanowiła państwo, dziś jeszcze jest najpiękniejszym brylantem w koronie cesarza Maroko. Drzewa oliwne, migdałowe, daktyle, pomarańcze i wino, trzcina cukrowa, najpiękniejsze indygo, udają się tutaj bez żadnej trudności, bez żadnej prawie pieczołowitości ze strony rolników. A okolice miasta stołecznego Farodant, to istny raj! Kwiaty współubiegają się tu o świetność kolorów z ptakami, węże są piękne a niejadowite, a mały i grzeczne i smaczne. Boże drogi, co to za kraj obiecany!

I klimat cudnie jest przyjemny; tylko w początku września *simuhu* świszczy tu i wyje, czasem tylko przez trzy dni, ale czasem także i przez dni dwadzieścia. Prawda, że tylko w południowych częściach téj krainy czuć się daje cała srogość tego nieznośnego wiatru, który zawsze poprzedza owe deszcze zwane *liali*, a padające przez dni czterdzieści najczęściej. I w części najmniej żyznej udają się jeszcze wybornie: pszenica turecka, proso, bawełna, indygo, ryż, szafran i konopie; a gummy, miodu, sezamów, soli, saletry jest podostatkiem.

Prowincya Haha posiada całe lasy arganu, drzewa, którego pestki zawierają wyśmienitą oliwę, nadzwyczajnie zdrową, i palącą się dwa razy dłużej, jak oliwa zwyczajnych oliwek. Tam także rośnie arar, owo trwałe, piękne drzewo, którego nigdy nie czepia się żaden robak.

Cedry, drzewo korkowe, dęby i świętojańska akacja, orzech i oliwki, figi, daktyle i pomarańcze, granaty i kasztany, magnolie, akacje, bzy, gieranie, kaktusy i aloesy, wszystkiego ogromne, zastanawiające mnóstwo; a zwierzyny i pięknego bydła, owiec, szczególnie wielkie, nieprzeliczone chmary.

„Jednakże“ dodaje pan Jackson, „wszystko chyli się ku widocznemu upadkowi w tym żyznym a ubogim kraju. Nikt tu nie jest pewnym swego: gdzie dostatek, tam może być niezadługo nędza, kalectwo i śmierć nawet. Tylko nędzarz żyje tu bez trwogi stracenia owocu swéj pracy, ale go głód zabija pomimo całego miłosierdzia Maurów, Arabów i Beduinów. Cesarze maurytańscy zakazują wywozu zboża, i na przekor aksyomatowi politycznemu, który głosi: „że tanióść zboża jest błogostawieństwem“, w Maroko im tańsze zboże, tém lud biedniejszy. Tak jest na nieszczęście na téj ziemi, że człowiek, gdy go nadzieja zysku nie pobudza, z mniejszą daleko pracuje gorliwością; człowiek zaś niepracujący, szkodliwym jest dla ziemi ciężarem, i pod pozorną nieruchomością, spokojnością próżniacką, często pała zawiścią, dumą i podstępem.

Rząd marokański daleko jest arbitralniejszym od rządu tureckiego. Sultán dzierży w swéj ręce życie, własność, a nawet i sumienie poddanych. Jako potomek Mahometa, księciem jest wszystkich prawowiernych: żadna rada, żaden dywan nie tamuje jego władzy; on jest najwyższym sędzią, nieomylnym tłumaczem koranu, i jak mu się podoba, jedynym jest wykonawcą prawa z jego własnej woli wynikającego.

Historja państwa marokańskiego łączy się aż do końca XVgo stulecia ściśle z historją całej Barbaryi. W owym czasie Merynidowie zostali strąceni przez Sanditów, później ustąpić musieli i szeryfowie Tafiletu, pod panowaniem których cesarstwo doszło do najwyższego stopnia oświaty i rozległości. Zachodnia część Algieryi należała wówczas do Maroko, a granice południowe rozciągały się aż pod Gwineę. Pod niemito król Portugalii Sebastian został zwyciężonym i zabitym. Lecz po śmierci Ahmeda, najpotężniejszego z szeryfów (w roku 1603), państwo rozpadać się zaczęło coraz więcej w wojnach domowych, tak, że łatwą było rzeczą Mulej szeryfowi, potomkowi Alego i Fatimy, zwać dawną dynastją, i utwierdzić nową, do dziś dnia rządzącą. Najsłynniejszym monarchą tej dynastji był Mulej-Ismaïl, panujący od roku 1672 do roku 1727 wprawdzie z wielką świetnością, Hiszpanom bowiem odebrał Larasz i Tangier, ale na wewnątrz z trudnym do uwierzenia ukrucieństwem. Własną ręką uśmiercił przeszło 5,000 ludzi, wynajdując najokropniejsze męczarnie dla tych, których wprzódy kochał, a pomiędzy takimi były własne żony i dzieci. Zon miał podczas swego długiego życia przeszło 8,000, synów spłodził 825, a córek 342.

Pod następcami Mulej-Ismaïła, niesnaski, wojny domowe, spory o berło i barbarzyństwa wszelkiego rodzaju, trwały aż do wstąpienia na tron Mulej-Sidi-Mohammeda (1757 do 1789), monarchy bardzo łagodnego i sprawiedliwego zarazem. Ono chciał wprowadzić cywilizacją europejską do swego kraju, i tém na siebie oburzył umysły fanatyków muzułmańskich. Po śmierci Mohammeda rozpoczęło się na nowo panowanie barbarzyńców, ale dobry sultan Mulej-Soliman, panujący od roku 1794 do roku 1822 byłby wrócił krajowi swemu pokój i szczęście, gdyby wielkie niedole, spadłe z woli Boga: zarazy, nieurodzaje, szarańcza i głody, nie były udaremniły jego szczerych usiłowań. Od roku 1822 panuje cesarstwu marokańskiemu sultan Mulej-Abderhamman, urodzony w roku 1778. Zaraz na początku panowania zdołał ukrócić zuchwałość góralów, dotychczas jedynie rabunkiem i buntami żyjących. Zresztą jak na Maura jest łagodnym, sprawiedliwym. Pod jego jednakże panowaniem zaszły wypadki, które na los kraju wielki muszą wpływ wyrzucić, i które państwo w ciągłym stanie trwogi utrzymują. Francuzi biorą Algier, i cesarz z jednej strony zagrożony przez Francuzów, z drugiej strony poduszczony przez fanatyków, często folguje

strachowi, a czasem także wbrew wszelakiemu rozumowi, bierze się do wojny. Już w roku 1832 Muley-Abderhamman chciał zagarnąć prowincją Oran, ale zaniechał tego zamysłu, po sprężystym wystąpieniu Francuzów do walki; dwanaście lat później, w r. 1844 Abd-el-Kader przyparty przez marszałka Bugeaud do granicy marokańskiej, umiał intrygami i potężnym wpływem, wywieranym na fanatyków, zmusić Muley-Abderhammana, do udziału w wojnie świętej. W sierpniu roku 1844 przyszło do trzech stanowczych walk: Tangier bombardowany przez księcia Joinville 6go sierpnia, Mogador 15go sierpnia, a 14go marszałek pobija nad rzeką Isly armią, dowodzoną przez samego cesarzewicza marokańskiego. Francuzi zawierają pokój, niewiele czyniący chwały ich dyplomacyi; pośrednikowi, to jest Anglii, zostawiają wszystkie korzyści zdobytych zwycięstw, a sami nie zatrzymują żadnej rękoi dalszego pokoju, zrzekają się nawet kosztów wojny.

W rok już potem występuje raz jeszcze niezwalczony żadnymi przeciwnstwami bohaterski Abd-el-Kader i niszczącą wojną zalewa Algierię. Wspieranym jest oczywiście ludźmi i końmi przez cesarza marokańskiego, bronią zaś i amunicją przez Anglików. Walka z Abd-el-Kaderem trwa aż do końca roku 1847, i kończy się poddaniem warunkowem Abd-el-Kadera. Francya republikańska nie chciała dotrzymać warunków zaprzysiężonych przez Francję monarchiczną (1). W zmianie formy rządu, Francya nie raz szuka i znajduje środki wykręcenia się z niejednej trudności politycznej i dyplomatycznej.

Wróćmy teraz do Trydentu, który popychany wiatrem i maszyną, przebiegł jak mewa morska w czterdzieści kilka godzin ogromną przestrzeń pomiędzy Larasz i przylądkiem Cautin, i minął Mechediā, Rabat, Dar el Beidę, Muzagon i przylądek Blamo; mijamy już nawet Saffi niegdyś wspaniałe miasto, dziś jeszcze 12,000 mieszkańców liczące. Jeszcze godzin kilka, a zobaczymy Mogador; ale noc zaskoczyła, trzymać się musimy na pełnym morzu, bo wnijsie do portu mogadorskiego dla mielizn i ław piasku bardzo niebezpieczne.

Równy ze świtem stajemy w porcie mogadorskim. Wlatuje na maszt Trydentu flaga Anglii, i witana jest odgłosem potężnych dział alcazaru.

(1) Winienem tu napomknąć, że podróżowałem w cesarstwie marokańskim jeszcze nim przyszło do kroków nieprzyjacielskich z Francją; dla całości tylko daję ten rys historyczny, sięgający aż do najnowszych czasów.

Fortyfikacye Mogadoru są okazałe; miasto samo 90 lat temu zbudowane na miejscu dawnéj Erythrei, regularném jest więcéj jak inne maurytańskie. Czysto jest zachowane. Z zewnątrz w żadnym domu nie ujrysz okien, chyba na minadorach i belwedrach wzniesionych na dachu. Meczetów wspaniałych nie masz tutaj, tylko minarety dość powabne; palmy sterczą nad ogrodami zamkniętymi zazdrośnie pomiędzy wysokimi murami domów starannie bielonych.

Miasto Mogador założoném zostało w r. 1760 przez Sidi Mohammeda dobrego monarchę, na brzegu piaszczystym półwyspu, opartego na skale. Sułtan zachwycony położeniem tego półwyspu, kazał sobie przynieść natychmiast wapna i kamieni, i własnoręcznie zaczął budować mur dotychczas istniejący, i jako wielką ciekawość podróżnym pokazywany. Mówią, że sułtan głównie dlatego polubił to nieurodzajne miejsce, że w jego bliskości znajduje się grobowcowa kaplica Sidi-Mogodola sławnego marabu. Mohammed chcąc sprowadzić kupców do Mogadoru udzielił im gruntu i uwolnił ich od podatków na długie czasy. Dziś Mogador stał się istotnie środkowym punktem europejskiego handlu, i zasługuje na uwagę geografa. Przystań jest bezpieczna, ale szczupła, i wejście do niéj niełatwe. Na wysokości górującej nad miastem a zwanéj językiem krajowym *Apadir*, wznosi się wspaniała alcazar czyli cytadella. Sześciu konsulów europejskich i dwóch amerykańskich rezyduje w Mogadorze. Mamy ich już wszystkich na pokładzie, bo gdzie się angielski okręt zjawi, tam się mocarstwa kupieckie tulą pod jego skrzydła.

Dowiadujemy się, że eskorta mająca nam towarzyszyć do Maroko już przybyła. Posyłamy pana Simoni do baszy, aby go przywitać i prosić o wstęp do miasta i o posłuchanie.

Wstęp do miasta uzyskany; posłuchanie na jutro. Basza obchodzi rocznicę śmierci pięciu żon, trzynastorga dzieci, mendla wujów i stryjów, i kopy całej dalszych krewnych.

Miasto Mogador, zwane przez Maurów i Arabów *Swirah* (czyli piękny widok), położone na brzegu oceanu Atlantyckiego pod 31m stopniem szerokości, 15 minut północ., 9 stop. długości zachod. od Londynu, wybudowaném jest w kształcie czworoboku podłużnego. Położone na półwyspie oblanym oceanem, często w chwilach wysokiego przyływu zupełnie otoczone jest falami. Mury wzniesione głazami i wapnem, sześć stóp mają

szerokości u podnoża, a 20 wysokości. Liczne wieżyczki wieńczą jego szczyty. Bateryc znajdują się u każdego promienia wkraczającego pod kątem ostrym w morze. W kącie wschodnim, w miejscu gdzie wylamano bramę, wystawiono okrągłą basztę 35 stóp wysoką, obroną czterdziestu armatami, częścią żelaznemi, częścią spiżowemi. Nadto znajduje się tutaj bateria pokryta, a tak silna, że jój żadna bomba nadwerężyć nie zdoła; zawiera także ze czterdzieści dział po części tylko spiżowych. Ze wszystkiemi tedy około 240 dział wymierzonych na morze. Połowa ich tak była rdzą zjadła, że pęknąć musiała przy pierwszym wystrzale ostrym, a druga połowa tak źle obsłużoną, tak źle w stosowną do kalibru amunicją opatrzoną, że wielkić także nie mogła zrobić szkody nieprzyjacielowi przywyklemu brać pod ostrą krędkę się swego działa, naboju i przestrzeni. Łatwo tedy było odnieść zwycięstwo nad fortyfikacyami imponującego Mogadoru, mianowicie, że okręty mogły się zbliżyć na pół wystrzału armatniego i walić do murów celnie i bystro z sześciuset kilkudziesięcią armat ciężkiego kalibru flotyli księcia Joinville.

Chrześcianańscy kupcy mają w Mogadorze wszelkie ze strony rządu marokańskiego zabezpieczenie. Mieszkają w samej fortecy pod zastoną i dział i murów. Żydzi najniewygodniejsze mają miejsce, a tam jednakże handel największy. Żydzi wszystko dają daleko taniej niż Maurowie lub chrześciance; spekulują jak wszędzie na łatwowierność kupujących, oszukują, szachrują, małym żyją, brudno się ubierają, najokropniej śmierdzą, ale się bogacą, i dlaczego bogacą?—żeby się dać odzierać przez baszę i kadego.

W tak nazwanem wielkiem mieście odbywa się targ, i tam mieszkają wyrobnicy. Piękny rynek otoczony kramami znajduje się w tej części.

Wyrabiają się w Mogadorze, pomiędzy innemi artykułami, pyszne haiki białe jak śnieg z delikatnej wełny, przedzonej wrzecionem żelaznym i tkanej bardzo prostym mechanizmem. Haik taki czworograniasty, szeroki na sześć stóp a długi na sześć pretów, kosztuje tylko dwa piastry hiszpańskie, to jest 18 zł. polskich. Dodawszy do takiego haiku oblamowanie z szczerozłotego galonka, zawiązanie na kaptur złotemi kutasami, można mieć wyborny i wygodny strój za dwa dukaty. Nie masz stroju

więcej malowniczego i świetniejszego od białego haiku. Plama niełatwo się przyjąć na nim, a łatwo się da wywabić mydłem, które się nabywa wraz z haikiem.

Wyroby żelazne mogadorskie także są nadzwyczaj piękne i tanie; siekiery, narzędzia stolarskie, ślusarskie, kłódki, noże, puginały trwałe są i nadobnie wyrobione.

Dwa tysiące murzynów wolnych żyje w Mogadorze także w osobnej części miasta; mieszać im się z Maurami niewolno, choć są wszyscy Mahometaninami. Murzynowi niewolno mieć kobiety białej, chyba chrześciankę, ale Maurom wolno mieć tyle niewolnic czarnych, ile im się podoba, a bardzo podobają się Maurom murzynki, gdyż są rosłe, tłuste i czarne jak pokost.

Zapomniałem powiedzieć, że żydzi są przegrodzeni wysokim murem od reszty miasta. Jedna tylko do tego ich schronienia prowadzi brama.

Przystań sama zabezpieczoną jest ze strony morza wyspą długą na trzy wiorsty, a szeroką na jedną wiorstę. Służy ta wyspa także na więzienie dla przestępców politycznych, których jest tutaj ciągle do tysiąca, po największej części *alcaldowie* (to jest urzędnicy policyjni) i wojskowi, niemogący się wykupić datkami spod zarzutu niewierności i przekupstwa. Trzymają ich tu po lat kilka w więzach, a gdy nie umrą, lub wykupić się nie mogą, wówczas ich puszczają na wolność i najczęściej znowu do służby biorą. Żadnemu cudzoziemcowi niewolno wstąpić na tę wyspę pod karą śmierci. Francuzi w r. 1844 nie szanowali tego zakazu, wyspę wzięli i na niej kilka miesięcy bawili. Więźniów jednakże nie uwolnili; Francuzi mają wielkie poszanowanie dla więzień politycznych, i sami je chętnie napelniają. Ludność Mogadoru dochodzi do 20,000; w r. 1790 już liczono do 30,000 mieszkańców, ale podczas zarazy wymarły dwie trzecie części ludności. Rasa ludzi jest piękna, atletyczna. Maura brzydkiego nie ujrysz tutaj; choroby ócz są częste.

Kobiet przedziwnej urody wiele bardzo w haremach. Niezmiernie są zalotne i do intryg gotowe. Żydzi ułatwiają wszystkie trudności i zastraszyć się nie dają żadną karą. Rok rocznie wieszają ich tu kilku za faktorowanie wiernością kobiet.

Stanęliśmy nie w bazarze, w którym nam basza kazał przygotować mieszkanie, lecz u pana Wilshire negocyanta angielskiego, a zarazem i konsula Wielkiej Brytanii. Nazajutrz rano w świetnym orszaku do 60 osób dochodzącym, konsulowie bowiem wszy-

stkich narodów raczyli nam pożyczyć swych sekretarzy, dragomanów, janczarów i niewolników, poszliśmy odwiedzić baszę. Staryto był niedołęga, a niezmiernie fanatyczny. Otrzymaliśmy z rąk jego zaręczenie, że podczas całej podróży i całego pobytu w państwie marokańskim nie doświadczymy ani jednej chwili przykrości, że droga życia naszego różami będzie zastaną i brukowaną powabami, o jakich nawet wspomnieć nie chcę. Al-Hamilt-Bej dał zrozumieć baszy, że co trzeci dzień będzie wyprawiał umyślnego posłańca z Maroko do konsula angielskiego w Mogadorze, i że konsul znów z swjej strony będzie utrzymywał rząd Wielkiej Brytanii w ciągłej wiadomości o naszym losie.

Staremu baszy niebardzo miłe było to oświadczenie. Zaczął oczami kręcić, zasepił się, wpadł w zachwycenie i powiedział: — „Królowa angielska wiedzieć nie może ile liści upadnie z najulubieńszego drzewa jej ogrodu.”

— To znaczy, że nas zgładzić możecie, a ona się ani spostrzeże? — odpowiedź Al-Hamilt-Bej. — Nie wierz temu! każda kropla krwi naszej cząstką jest życia królowej. Bóg wie dobrze, ile jest Anglików na świecie, i królowa wie i każdy z nas wie. Biada tym, którzy nam szkodzą: osiągnie ich kara bez zwłoki, oh potężny baszo i szeryfie!

Basza nic nie odpowiedział, tylko pytał kiedy chcemy w podróż wyruszyć.

— Jużemy wypoczęli z odbytych podróży i do nowych gotowi. Dziś po południu chcemy wyruszyć. Tak kazałem zapowiedzieć synowi cesarskiemu przez umyślnego posłańca, którego wysłałem zaraz po mojem przybyciu na dromedarze puszczy, szybkim jak uragan — rzecze Al-Hamilt-Bej. — O tej porze już wiedzą w Maroko żeśmy tu przybyli, bo tylko 60 szelilak jest ztąd do Maroko (to jest mil geograficznych 22), a murzyn Abur-Naza 70 szelilak robi na dobę na swym dzielnym mehari: tak nam ręczył konsul naszego kraju.

Murzyn Abur-Naza byłto goniec konsulatu angielskiego, wierny, wypróbowanej uczciwości i odwagi, a jego mehari, dromedar puszczy, słynął z szybkości swych nóg i z wytrzymałości.

Basza okropnie wywracał oczyma. Poznał, żeśmy mu niebardzo wierzyli, co też było prawdą, bo basza Mogadoru siedział ciągle na dwóch stołkach i w gruncie serca wielkim był nieprzyjacielem chrześcian.

Basza tłumił w sobie gniew, którego nie był przywykł hamować, długo milczał, aż nareszcie rzekł:

— Oh *enzaril* pioruny mego gniewu dościgną i najlotniejszego mehari. Abur-Naza nie powinien był oddalać się z tego miejsca bez méj wiedzy, bez spytania się przynajmniej, czy nie mam raportów jakich lub pytań przesłać do stolicy. Chwile Abur-Naza są policzone od téj minuty; oh wierzajcie mi *Emaza!*

— Abur-Naza jest sługą konsulatu angielskiego i jego życie pozostaje pod opieką wielkiej królowej, która rządzi potężną Anglią—odpowié Al-Hamilt-Bej.

— Każdy potomek proroka jest panem życia wiernego Mahometanina. Abur-Naza jest Mahometanem, a ja jestem szeryfem; czy nie widzisz tego, o niewierny? patrz na mój turban, na haik i na *dzellab!*

Prawda: turban, płaszcz i spodnie baszy zielone były jak salata.

Teraz znowu Al-Hamilt-Bej zamilkł i myślał co ma odpowiedzieć, bo był zaambarasowanym. A może téż tylko zwyczajem wschodnim udawał, że go zakłopotowała mądrość odpowiedzi baszy. Maur tak jest dumnym z swego rozumu, jak dandy warszawski z swych ciasnych butów, i niekiedy warto pochlebić zarozumiałości Maura.

Jeszcze się doktor H. namyślał nad odpowiedzią, gdy nagle uderzono w bębny, zatrąbiono w trąby i zaświszczono w pikoliny. Jawi się w sali audyencyonalnej niezapowiedziany niczém kapitan Trydentu na czele świetnego sztabu, złożonego z oficerów marynarki, piechoty i artylerji, a nawet i kilku oficerów kawalerji morskiej; wita się z baszą bardzo ceremonialnie, i przystępując prosto do kwestyi, zapowiada, że chce korzystać z eskorty po doktorów angielskich wysłanej, i przesłać do Maroko jeszcze tego wieczora upominki, ofiarowane cesarzewiczowi przez księcia Alberta małżonka królowej; że obliczywszy doskonale ciężar pakunku i znając drogę do Maroko, nierówną, poprzerynaną puszczami, piaszczystemi rzekami bez mostów, łańcuchami gór, częścią i bagnami, potrzebuje do przewiezienia podarunków 200 wielbłądów, 60 mułów, 40 koni zdatnych pod kawalerzystów, i 10 zdatnych pod oficerów kawalerji.

Basza oczy wytrzeszczył i o mało co się nie przewrócił do góry nogami, słysząc wyliczenie tego inwentarza; nareszcie krzyknął łapiąc się za głowę:

— Allah! bismillah! maszallah! cóżto wiezicie temu synowi cesarskiemu? to chyba skarby całej Anglii! Wielki, Wszehmocny Boże!

— Wieziemy mu całą baterią artyleryi konnej, mały statek parowy wojenny, w którym będzie mógł przewozić się po jeziorach i kanałach swego seraju, przytém dwanaście pontonów i inne podobne bagatele—odpowié zimno kapitan Bowley.

— To nie bagatele! Allah! bismillah! I dziś jeszcze w podróż wyprawić się chcecie? Ja ani za tydzień tyle sztuk bydlę spędzić nie jestem w stanie. We wszystkich duarach paszalików mego szukać ich muszę, i przynajmniej, że dwa bataliony wojska wyprawić po nie. Allah! bismillah! wy sami ledwo za tydzień na ląd przenieść zdołacie tyle i tak ciężkiego przyrzędu!

— Za godzinę wszystko będzie na brzegu, za trzy godziny wszystko być musi u punktu zboru, a dziś wieczorem jeszcze przed pacierzem zachodnim wyruszyć winna karawana ku stolicy. Taka jest wola moja: uwiadomiłem o niej cesarzewicza przez gońca konsulatu, murzyna Abur-Nazę. W téj chwili książe wygląda nas z niecierpliwością. Daj własne tve bydło, o potężny baszo! wiem, że go masz podostatkiem.

— Ah ja nieszczęsny! cesarzewicz zabierze me bydło wraz z podarunkami. Ach! ach! Abur-Naza, twa głowa wisi na nitce pajęczyny; chciałbym ją już widzieć u nóg moich!

Basza żalił się, narzekał, płakał i lży ronił i groził, ale stosować się musiał do rozporządzeń kapitana Bowley, który zimno objawiwszy swe żądania, wyniósł się bez wielkich ceremonij i wyładować kazał działa, pontony i statek parowy, rozebrany i upakowany już w Londynie w sposób taki, że za pomocą wozów umyślnie na ten cel zbudowanych, można go było zawieźć i na koniec świata.

Jakże tu nie wielbić narodu, dokazującego tak wielkich rzeczy z tak małym napozór wysileniem! Do téj chwili nawet nie wiedzieliśmy z czém i po co przybył Trydent do Mogadoru.

— Jakoś się nie zgadzało o tém—rzekł do nas kapitan Bowley, gdyśmy go pytali, czemu nas nie obznajmił z celem swéj podróży. —Nie miałem powodu tacić się z tém, co zapewne już całej Anglii, dzięki gazetom, wiadomo.

Basza tymczasem rozesłał wszystkich swych oficerów i spalisów po okolicy i kazał gwałtem spędzać bydło. Sam chociaż stary i słabowity wsiadł na koń, i latał jak oparzony po wszystkich kątach. Kawalerzyści angielscy mający eskortować działa próbowali koni, i odrzucali wszystkie mniej dobre. Oficerowie angielscy i marynarze udający się do Maroko, wybrali sobie bez wielkiej ce-

remonii najlepsze konie ze stajni samego baszy. Wszystko szło jak najlepiej, tylko basza kłął i rozpaczał.

Wieczorem, jeszcze dwie godziny przed zachodem słońca, cała karawana stała w pogotowiu. Mnóstwo się do niej przyłączyło Maurów i Arabów. Tak licznój i z tak różnorodnych żywiołów złożonej niełatwo można kiedy ujrzyć. Wysłano po nas z Maroko cały pluton owej sławnej kawalerii z samych murzynów złożonej, której cesarz marokański posiadał niegdyś przeszło 12,000, a dziś jeszcze do 6,000 utrzymuje. Pyszny, rostry lud, wybornie wyćwiczony, świetnie ubrany i w nadzwyczajnie kosztowną broń opatrzony. Na głowie noszą owe małe mameluckie hełmy z kolcem na czubie, otoczone czystym, białym zawojem. Z hełmu spada siatka stalowa na barki. Piersi także pokryte siatką stalową, wykrojoną w kształcie puklerza, i złotemi ozdobami przystrojoną. Haiki noszą purpurowe lub żółte, także dziubadory; mają włócznie krótsze od ułańskich lanc, ale z grotem stalowym na pięć ćwierci łokcia długim, obosiecznym, i tak czysto wypolerowanym, że swym blaskiem już przebija oko; przytém długie strzelby z kolbami dziwnego kształtu, złotem, koralami i perłami wysadzanemi, szaszki podobne do długich nożów, puginały i pistolety. Oficerowie noszą także włócznie buńczukami ozdobione, i tak bogato kamieniami, dyamentami nawet wysadzone, że w rześnistém świetle słońca wyglądają jak gorzące miecze archanioła. Pomiedzy oficerami nie masz ani jednego murzyna, tak jak pomiedzy żołnierzami i podoficerami nie znajdziesz ani jednego Maura. Właśnie na tej arystokratycznej różnicy rasy opiera się surowość subordynacyi, istniejącej w tym kosztownym, ale nadzwyczaj świetnym i walecznym korpusie.

Wszystkie konie różnej wprawdzie maści, pokryte ozdobami i złożonemi blachami, przechodzą szesnastą miarę i są z krwi czysto arabskiej.

Miernie taksując, wartość ubioru, broni i konia prostego kawalerzysty murzyńskiego przechodzi 10,000 zł. pol., oficera zaś dochodzi do 50,000; a tak wartość sześciu tysięcy kawalerzystów wynosi przeszło sto milionów złp. Nie liczę w to wartości życia ludzi samych. W bitwie pod Isly znajdowało się tylko 800 tych kawalerzystów; ani jeden nie wpadł żywcem w ręce Francuzów, ubito ich jednakże do dwustu; tylko 50 trupów zostało na placu boju, resztę unieśli sami murzyni.

Pomiędzy murzynami najpiękniejsi są z Numidii, najwaleczniejsi z Senegalu, a najwięcej wykształceni z Sudanu. Oficerowie wychowują się w osobnym korpusie kadetów w Mequinez pod okiem samego cesarza. Najwyższa i zarazem najbogatsza szlachta ma jedynie przystęp do téj szkoły, z której tylko wyborowi uczniowie, celujący pięknnością i zręcznością, dostają się do pułków murzyńskich. Examen bardzo jest trudnym: kawalerzysta musi w pędzie i w naznaczonym dystansie z konia strzelać, włócznią i puginalem ciskać, i sześć na dziesięć razy trafiać; inaczéj uważanym jest za niezdolnego do służby w gwardyi murzyńskiej.

Dość tu o téj pysznej kawaleryi; prócz niéj mieliśmy do 40 spahisów, dziesięciu oficerów gwardyi i spahisów, ze czterdziestu innych zbrojnych Maurów, i czterdziestu artylerzystów konnych angielskich, (kapitan sprawił im pyszne białe haiki i zawoje około kaszkietów, by ich zabezpieczyć od zabójczych promieni słonecznych). Wielbłądów i dromaderów było ze wszystkiém 263, mułów 85, osłów żydowskich 17, koni 102, palankinów 11, ludzi 247, nie licząc w to kobiety i dzieci siedzące w czterech lektykach zamkniętych; słowem, podobnej karawany dawno nie widziano w Mogadorze, i cała jego ludność zbiegła się na punkt zborny, aby być świadkami naszego odjazdu: był i basza o trzech buńczukach, i kapudan basza o dwóch, i bimbasza o jednym, kadowie, ulemy, santony, fakiny i imany.

Kapitan Bowley powierzył swemu piérszemu porucznikowi list księcia Alberta do cesarzewicza, i jemu oddał dowództwo nad Anglikami należącemi do wyprawy. Działa zagrzmiały, siadamy na koń, jeszcze raz ściskamy ręce przyjaciół. Muzyka janczarska na czele długiego hufca zagrała; ruszamy z miejsca, wstępujemy w morze piaszczyste oddzielające Mogador od dalekiego, kwiecistego widnokregu.

— *The Trident will watch on you!* — krzyknął nam jeszcze raz kapitan Bowley.

XIV.

Podróż z Mogadoru do Maroko.

Mogador otoczony jest prawdziwą Saharą w miniatu-rze, morzem piaszczystém, na którym rozkielznane wiatry i uragany igrają swobodnie, przewalają tumanami mielutkiego piasku,

i wznoszą wysokie pagórki, częstokroć nawet foremne wały, przecinające podróżnym wszelką komunikacją. Najczęściej cała powierzchnia téj małej puszczy wzburzoną jest jakby od bałwanów morskich, czasem powstają na niej w kilka godzin pagórki na 20, nawet na 30 stóp wysokie; nigdy wprawdzie tak prędko nie powstają te góry, żeby karawany całe pochłonać mogły, lecz nieraz powalą o ziemię człowieka i zakopią go pod sobą. Wierem porwane prochy jednego pagórka, kręcą się przez czas niejaki w powietrzu, a potem, własnym ciężarem padają na ziemię, i tworzą nowy pagórek. Dobrze wówczas należy zatykać usta i oczy, i trzymać się mocno na koniu, łatwo bowiem w takiej chwili oślepnąć i upaść na ziemię. Łatwo także stracić drogę pomiędzy usypanemi pagórkami, przegradzającemi widnokrąg, i tak często zmieniającemi się, że widać tylko niebo i piasek, a żadnego śladu kopyt końskich lub nóg wielbłądzich odkryć nie można na powierzchni, na której wir i wiatr w okamgnieniu wszelki ślad zaciera. Peryodycznie wiejące wiatry nasypują tu nieraz wał do 70 stóp wysoki, utrzymujący się stromo i spadziście samym przyciskiem wiatru ciągle wiejącego. Szczególna i zastanawiająca rzecz, że mały strumyk wpadający pod Mogadorem do morza, chłodząc i zgęszczając powietrze swemi wodami, nie pozwoli tym wałom przekraczać jego brzegów, i zachowuje tym sposobem miasto od zasypania.

Można sobie tedy wystawić, z jakimi trudnościami mieliśmy do walczenia, przebywając Saharę mogadorską, choć umyślnie wybraliśmy na jej przekroczenie wieczór, to jest porę dnia, w której wiatr wieje regularnie od strony morza, i gładzi powierzchnię piaszczystą. Największa była bięda z wozami, na których wieziono niektóre większe części maszyny parowej, niemogące być przewiezione na grzbiecie wielbłądów. Koła tych wozów umyślnie były obwiedzione szerokimi tarcicami, żeby się głęboko wpijać nie mogły w piasek. Używać wielbłądów do tych wozów nie można, ten bowiem zwierz do dźwigania przeznaczony, nie potrafi nic wlec za sobą; zaprządź go także nie można, bo nie ma u niego punktu oporu dla chomonta, dla szlej lub dla puślisk. Zaprzężono tedy po 16 mułów do wozów, i z nieskończoną trudnością postępując bardzo wolno, używając do każdego koła po kilku ludzi, dla odgarnięcia piasku wznoszonego kołami, tyle dokazano przecież, że w trzy godziny przebyliśmy niewygodną puszcę, ma-

jąca w tém miejscu najwięcej milę szerokości. Uszedłszy jeszcze z półtoréj mili po gruncie dość równym, zawinęliśmy około jedénastéj w nocy przy świetle pięknego księżycyca do *fondaku*, czyli obronnego karawan-seraju, który tutaj wznosi się w pośrodku lasku arganowego. Kolczaste to i bardzo nieregularnie rosnące drzewo, wydaje owoc podobny do orzecha włoskiego z łupiną ciernią i ściągającą; w środku téj łupiny znajduje się pestka bardzo twarda, zawierająca migdał oliwny, a oliwa z niéj wyciśnięta smaczniejszą jest od najlepszego masła. Kozy jedzą łupinę z wielką chciwością, ale wypluwają migdał; posługują się tedy Maurowie kozami, gdy zbierają migdał arganowy.

Przepędziliśmy noc bardzo europejską w owym *fondaku*, jedząc z oficerami angielskimi wyborny *bif-steak* bawoli z kartoflami Wielkiej Brytanii, pijąc *sherry* i grok z rumem Jamajki; nie brakło nawet plumpudingu, ani pasztetu z łodyg rumberbarowych. Stół podróźny, składany, przykryty bielutkim obrusem, założony srebrami, oświetlony lampami, niedrgającemi w żadnym wietrzyku; dalibóg nie tu nie przypominało Afryki pod naszym namiotem, na którym bujała flaga Wielkiej Brytanii.

Ale za to w reszcie karawany jakie charakterystyczne życie! Niedaleko od nas rozpięto namiot panów oficerów gwardyi muryńskiej: było ich trzech, z nikim się nie mieszały, dbali o swą godność jak junkry pruskie. Dalej koczowali około wspólnego ogniska i pod gołym niebem, otuleni w pstre burnusy oficerowie spahisów, dowódzca janczarów, kapudan obozu i przedniejsi Maurowie, podróźający z nami, i kilku sautonów, włóczących się bez celu od miejsca do miejsca. Rozmowa toczyła się żwawo pomiędzy nimi. Wielkie oczy bystre, chociaż i długimi rzęsami zaciemnione, twarze świecące jak bronz polerowany zpod czepca białości śniegu, zęby jak perły, broń drogiemi kamieniami osadzona: — wszystko połyskało w migającym świetle pryskającego ognia. Pogadanka szła żwawo, chociaż dwóch nigdy nie rozmawiało ludzi; jeden prawit, drudzy oczy weń wlepili, uszy nadstawiali i wołali: *allah! maszallah!* oh jakie dziwy!

Właśnie mówi Ali-Hakem wielki łowczy, sławny z swych wypraw przeciwko lwom Atlasu. W Tegedu o trzy mile zład, ma on namiot cały ze skór lwich uszyty; sto piętnaście paszczy lwich wieńczy ten namiot sławnego szejka, nieustraszonego w boju, i na łowach nieustraszonego, a mądrego w radzie.

— Tak, tak, oh przyjaciele!—mówi szejik Ali-Hakem—rozumwiają i zwierzęta pomiędzy sobą, tylko głosem nie dla wszystkich zrozumiałym: bo któż posiada rozum wszystkich języków, którymi się myśl wyjawia? tylko sam Allah!

— Tylko sam Allah—odpowiedzieli słuchacze—oh Allah, bismillah!

— „Tak tedy w dniach mej młodości—rzecze dalej szejik Ali-Hakem—wówczas, gdy się wąż czarny i błyszczący kędzierzawił, tu, gdzie teraz widzicie mą brodę śnieżną jak głowa Atlasu, wówczas rzadko przepędziłem noc całą pod dachem mego ojca. Pomrok nocny wywoływał mnie zpod namiotu, porywałem za strzelbę, i w gąszczu zaczynałem się na drapieżne zwierzęta, niszczące nasze stada. Raz obrałem stanowisko na skale zarosłej krzewami, górującej nad źródłem i nad bagnem. Miejsce to chętnie odwiedzały dziki, by tam myskować i pić w krynicy. Księżyc już był obiegił połowę firmamentu, ja długo czekałem napróżno, i znudzony zasnąłem. Wtém budzi mię szelest chrustu i łamanie gałęzi. Zapewne zwierz jaki duży nadchodzi, rzekłem do siebie, i zamek mej strzelby zrewidowałem, i wstałem ostrożnie, nim jeszcze *nieznajomy* wszedł do bagna. Potém słucham: krząka coś okropnie. Aha, to *el kunjar!* to odyniec, rzekłem do siebie. Istotnie, krokiem majestatycznym wstępuje w bagno dzik okropny. Księżyc srebrzył szerść jego długą, osiwiiał z starości, i jego kły potężne, lśniące jak ostrze dwóch kindżałów. Chodźno tu bliżej do krynicy, mówię do siebie, i cichaczem strzelbę odwiódłem.”

„Ale dzik ostrzy swe kły na kamieniu, zaczyna myskować, słuchy nadstawia, jakoś niespokojny; czy przeczuwa bliskość wroga? Ja dech w sobie wstrzymuję, on wyciąga ryj w powietrze, wacha i milczy także. Mnie to dziwi niemało, bo powiew szedł z tamtej strony; mnie tu czuć nie mógł *el-kunjar*. Ale szmer jakiś lekki dochodzi mnie z brzegów błota. Odyniec coraz niespokojniejszy, mówi do siebie przytłumionym głosem, ale najwyraźniej jak tylko być może: „do czarta! spodziewam się przecież, że tu zdrady nie ma!”

— Maszallah! oh dziwy! — zawołali naokoło ogniska wszyscy słuchacze szejika Ali-Hakem.

— Tak!—prawi dalej Ali—nawet powtórzył swą bezbożną mowę dwa, czy trzy razy *el-kunjar*. Aż tu ja patrzę, a z gąszczu

wyziera łeb okropny, kosmaty, dwa węgle iskrzą się w tym łbie, naczupurzonym ogromną grzywą. Oh! teraz poznałem o co idzie: to lew skradający się na brzuchu, zupełnie kocim obyczajem, ale tak prędko, jak koń w biegu. Mruczał sobie coś pod nosem, alem tego zrozumieć nie mógł. Już tylko o dwadzieścia kroków od odyńca odległy. Odyniec najeży się jak jęź, ja sam drzę ze strachu.“

„Odyniec osadza się na tylnych łapach, lew wpada nań jednym susem, wpada na kły potężne. Okropny ryk, razy spadają gęsto na obu walczących, obaj padają na ziemię, walka zacięta trwa z ćwierć godziny, potem z wielkiem dla mnie zadziwieniem dzik powstaje, wściekle uderza na swego nieprzyjaciela, i rozwała mu czaszkę. Ryczy lew, odpowiada mu zdaleka tysiąc szakalów. Odyniec topi swe kły w brzuchu płowego sułtana: sułtan zdycha. Odyniec pastwi się nad jego trupem i sam głosi swe zwycięstwo, mówiąc: „Ach sułtanie! z starym kunjarem niełatwa sprawa!“ Nareszcie poszedł się obmyć w krynicy, bo i on z licznych ran tracił posokę. Teraz mogłem do niego zblizka strzelać. Ale myślę sobie: czemuż go mam zabijać, kiedy on tak waleczny? sam na swą rękę lwa zwalczył i jego mi skórę zostawił. Może to czarownik, *dżin* jaki, trzeba go szanować. I kładę strzelbę na ziemi, czekam, żeby sobie dzik odszedł. On się kąpie i ciągle z sobą gaworzy. Znow dochodzi szelest jakiś lekki a szybki, łamią się gałęzie, wypada z krzaków lwica z głową wysmukłą i spostrzega lwa zdechłego, rozciągniętego na ziemi.“

„Co? znow zdrada jakaś“ — wykrzyknio odyniec.

„A lwica struchlała, zmartwiona, mówi ze łzami w oczach: „Oh Allah wielki! Wieprz niewierny, nazareńczyk, męża zabił mi mego; wieprz zabił sułtana puszczy. Oh Allah! ja się téj zbrodni pomszczę.“ To powiedziawszy lwica pusuwa się naprzód, ale spojrzawszy w oczy odyńca, cofa się nieboraczka krzycząc i płacząc: „Oh miłosierny Boże, jakie olbrzymie dziczysko! oh wieprzu nazareński!“

„Niech czarci wiecznie pieką twą babkę“ odpowie odyniec.

„Na to przekleństwo rzucone tak bezbożnie na matkę jej matki, lwica się zatrzymuje, bije swe boki ogonem, ryczy i wrzeszczy: „Tylko Allah jest zwycięzcą!“ i pada na dzika, rwie go swą paszczą za gardło, pazurami brzuch mu pruje. Dzik się od-

cina, ale któż opisać zdoła wściekłość gniewu obrażonej sultanki. Obłok zaciemnia mi księżyc, nic już nie widzę, tylko słyszę jęki, ryk i najokropniejsze przekleństwa. Znow nic nie słychać, księżyc wychodzi zza chmury. Dzik nieżywy, rozciągnięty, na nim leży lwica i posokę mu wypija z serca. Ja mierzę o siedm kroków do łba, zatopionego poza oczy w piersiach dzika, strzelam, legła sultanka płowa. Nazajutrz dwie nowe pyszne skóry zdobyły namiot mego ojca.“

— Wiele wam też zjedzą lwy bydła?—spytam starego szejka.

— W naszych stronach niewiele, bo umiemy trzymać owych sultanów w posłuszeństwie i w poszanowaniu cudzej własności. Czasem lew zje owcę, czasem porwie cielaka, nawet i krowę, gdy się oddali od stada. Lecz gdy się bydło trzyma kupy, wówczas i lew nie śmie doń dostąpić. Podczas nocy krowy obstepują cielęta wokół, a byki na zewnętrznym obwodzie pilnują porządku. Stadniki gdy tylko poczują lub usłyszą lwa zdaleka, zaczynają ryczeć i kopać ziemię rogami i kopytami. Gdy się zaś przybliży, wówczas całe stado nie czekając zaczepki puszcza się obces na lwa. Nieraz się zdarzy, że dobry stadnik powali lwa na ziemię i przebije go rogami. Sultan tedy widząc taką taktykę pomiędzy swojskiem bydłem, woli polować na gazelle, sarny, danielle i młode dziki, bo ze starym dzikiem to już trudniejsza sprawa.

— A człowieka czy napastują lwy często?

— Człowieka nacierającego lub uciekającego napastują i rozszarpują. Ale człowiek, gdy lwa spotka nie powinien być ani junakiem, ani tchórzem, tylko iść swoją drogą, jak gdyby nigdy nic, i nie oglądać się na lwa; wówczas płowy sultan widząc, że go się nie boisz, i że go obrażać nie chcesz, natrzywszy ci się do woli, pójdzie także swoją drogą. Lew jest szlachetnym zwierzęciem.

— Które też zwierzę najgadatliwsze? — spyta jakiś kupczyk chrześcijański z Mogadoru starego szejka Ali-Hakem z Tegedu.

— Prosię dzikie czy swojskie, i nazareńczyk — odpowie wręcz stary szejk, nie wiem czy w chęci obrażenia nas, należał bowiem do rzędu fanatycznych muzułmanów, nie przypuszczających, żeby nazareńczyk był czém inném, jak zwierzęciem.

Jeszcze na dobrą godzinę przed wschodem słońca ruszyliśmy w dalszą podróż. Droga dość szeroka i w dawnych czasach widać bardzo porządnie utrzymywana, murowana jeszcze przez Rou-

mów jak tu utrzymują, prowadziła po wzgórzach i dolinach na południu Atlasu, który z tej strony lekkimi tylko spadzistościami powoli wstępuje w mogadorską Saharę.

Ziemia wszędzie tu dobrze uprawna, pomimo tego wiele było ruin, mało wsi; częściej daleko duary ruchome, czyli obozy postawione w kształcie półksiężyca, łączącego się prawie zbliżeniami ku sobie rogami, lub też ustawione w dwa szeregi, pomiędzy które wpędzano nocną porą bydło i których boką zastawiano baryerami. W każdym bez wyjątku duarze był dom gościnny przeznaczony dla podróżnych, w każdym także można było dostać drobiu, jaj, nabiału, jęczmienia i słomy kukurydzwowej, i to za bezcen. Szeik duary winien strzedz własności podróżnych nie tylko w duarze, ale nawet na gruntach do niego należących; on za tę własność jest odpowiedzialny. Kilkunastu szejków zostają znów pod władzą tak nazwanych wyższych szejków, wybieranych przez samych wójtów. Ci sprawują swój urząd z wielką sprężystością; witali nas zawsze przy wstępie do ich okręgu.

Przedtém okolica ta miała być nadzwyczaj ludną; wielka ilość zwalisk murowanych, studni, dróg i ułamków wodociągów o tém przeświadcza. „Zaraza nas wytepiła” mówili szejkowie spytani przez nas o przyczynę tego wyludnienia.

— Ale czemuż mieszkacie w namiotach, kiedy wyraźnie wprzód mieszkacie musieliście w chatkach: tak okazuje wielka ilość chatek murowanych i opuszczonych.

— Łatwiej obóz unieść z sobą, jak dom murowany lub drewniany nawet, a nieraz, gdy nam baszę posła zdziercę, chciwosza, chcącego się zbożać, lepiej jest pójść w góry i lasy, i tam złe czasy przeczekać.

— A grunta wasze któż wtenczas uprawia?

— Nikt; grunta leżą odłogiem, my się żywimy jak możemy mlekiem krów i owiec, owocami leśnymi, zwierzyną; cierpimy, ale podatku nie płacim. Skarb na tém szkodzi i sultan, który wie bardzo dobrze, ile pieniędzy wpłynąć winno do jego skarbcu, pyta się, gdzie leży przyczyna; a gdy się dowiędzie, żeśmy uciekli w góry, wówczas dobry sultan posle nieraz *szuiszów* do baszy i każe mu gardło zasznurować. My wtenczas zstępujemy z gór i podatek znów płacimy najregularniej; wolimy bowiem żyć spokojnie z mąki i z kuskusu, przebiegać konno nasze piękne niwy, jak kryć się w górach, ucierać się z dzikimi zwierzętami i ze stokroć dzikszymi Berberami.

Tak rozumowali wieśniacy arabscy; lud to bardzo łagodny, pracowity i prawdziwie ze wszech względów wielkiego szacunku godny. Gdyby cywilizacya przyświeciła temu ludowi, ziemia nasza wielceby zyskała godnych obywateli: bo tam, gdzie miłość do pracy i pokoju kojarzy się z uczuciem godności, tam wielkie są zasoby szczęścia na przyszłość.

Kraj przybiera postać coraz powabniejszą. Piękne rzeki, czyste i rybne zbiegają z gór; roślinność ziemi zachwyca oko, ruiny tylko myśl zasmucają. Czemuż jednostajnie na tój samej ziemi rozwijać się nie może cywilizacya?

Tutaj są dowody, że niegdyś, w bardzo dawnych czasach była oświata.

Około 10tój przed południem, w odległości sześciu mil od Mogadoru stoimy w fondaku bardzo obszernym i gdzie wszystko na nasze przyjęcie było przygotowaném. Niezliczone mnóstwo Arabów z duarów okolicznych czekało nas tutaj, wielu także przyprowadzono i przywieziono chorych. Nikt pojąć nie jest w stanie, ile w tym kraju chory, biedny i cierpiący, wzbudza litości w zdrowych, bogatych i szczęśliwych. Czynności nasze lekarskie trwały godzin kilka. Musieliśmy rozpakować wszystkie lekarstwa i narzędzia chirurgiczne w osobnym na to przez Arabów wzniesionym namiocie, wykonać kilka operacyj, rozdać niezliczone mnóstwo lekarstw. A gdyśmy ukończyli czynności i posilili się wyborném mlekiem, bo apetyt nasz znikł w zbytniém znużeniu, wyruszyliśmy z fondaku jeszcze przy skwarze słońca, i strudzeni, śpiący, pierwszy raz w tój podróży szukaliśmy w palankinach spoczynku. Wstręt miałem dotychczas niezwalczony do tego palankinu; zdawało mi się, że człowiek nie na to przeznaczony, żeby bliźniego swego dźwigał jak bydłę; ale nasi niewolnicy nie zrozumieli przyczyn tego wstrętu, markotno im było nawet, żeśmy się nimi posługiwać nie chcieli; i aby nas przekonać, że się nie lekają pracy i że są mocnemi, kładli kamienie do palankinów i dźwigali je po dniach całych. By lepiej okazać gotowość służenia nam, przewali te kamienie: jeden Al-Hamilt-Bej, drugi Todor-Esfendy. Chcąc położyć koniec temu bałwochwalstwu, kazaliśmy wyrzucić głazy i sami zajęliśmy ich miejsce. Niebawem także zasnąłem lekko kołysany na barkach biednych Fellanów, dodających sobie ochoty odśpiewywaniem jakiegoś monotonnego, smętnego hymnu, jakiejś widać pochwalnej improwizacyi, bo często nasze nazwiska z epitetami nader pochlebniemi wspominane były w tych

hymnach. Zasnąłem, i przyznać muszę bardzo twardo, bo gdyśmy w fondaku nocnym stanęli, słońce już było zapadło za górą, którą wsiadając do lektyki widziałem piętrzącą się przed sobą.

Anglicy tu rozpakowali swą kuźnię podrózną i naprawiali wozy nadwerężone prędką podróżą po skalistych drogach. Każdy Anglik pracował za sześciu, nic jego oka nie uszło; podczas drogi kombinowali, wymyślali nowe wydoskonalenia, ścinali drzewa, przeistaczali je w koła mocne i trwałe i kuli te koła, mocniejsze pnie wydrążali, w nie pakowali lufy armat i wlekli je za sobą w miejscach, przez które inaczej przeprowadzić ich nie było można.

Ale powoli ucisza się wszystko, już bifsztyki i plumpuddingi zjedzone; Anglicy należycie zalkoholizowani winem i grokiem chrapią jak wieloryby. Maurowie patrzą na nich ze wzgardą i rozprawiają o bojach, łowach, koniach i huryskach. Wtém zdaleka dochodzi nas ciche, szybkie stąpanie dromedara.—To klus mehara puszczy—krzyknie jakiś Maur—to goniec konsulatu angielskiego.

Istotnie to był murzyn Abur-Naza, już z powrotem z Maroko. W 52 godzinach zrobił mil 33 i bawił w mieście godzin 14. List wręczył samemu królewiczowi i dostał od niego 60 cekinów nagrody: tak był uradowanym książe z wiadomości otrzymanych. Nie posiadał się z radości dobry murzyn, i jego szczęścia przytłumić nie zdołały nowiny o gniewie baszy, o jego pogrózkach.

—Nie obawiam się baszy na mym mehari; orzeł się strzelca nie lęka, gdy na swych skrzydłach wysoko buja w powietrzu, —rzekł Abur-Naza.

— Jednakże mój przyjacielu, jednakże—powie Al-Hamilt-Bej— basza ma długie ręce i mściwym jest bardzo.

— Nie sięgnie po mnie aż do konsulatu angielskiego, to pewna! —odpowiódł goniec—a zresztą, jeśli się spostrzegę, że coś złe pachnie, wówczas zabieram wszystkie me cekiny, a mam ich blisko 800 i umykam do Gambii, do mój ojczyzny, kazać się obwołać kacykiem, bom z kacyków rodu, i szlachetność wre w mój krwi.

— Przez puszcę Sahary?

— Przez puszcę. Ja się i puszczy nie obawiam: trzy razy ją przebyłem. Raz, gdy do niewoli pojmany przez króla Senegalu, poprowadzony byłem do Maroko i tam do wojska sultana sprzedany; drugi raz, gdy wykupiony z niewoli przez konsula angielskiego w Mogadorze, poszedł nad Senegal zdobyć tego mehari szybkiego jak piorun; trzeci raz, gdy zdobywszy dro-

medara wracał do Mogadoru. Teraz wiem jak trzeba postępować z przeszkodami i piasków, i głodu, i pragnienia, i w połowie księżycy przebiegnę ztąd aż na brzegi Złotej rzeki.

— O naucz mię, jak przebiedziesz przez puszcę w dni piętnaście—prosił Al-Hamilt-Bej.

— Nie mogę. Nikt prócz mnie nie ma takiego mehari, biegnącego równo z wiatrem północno-wschodnim, gładzącego w zimie powierzchnię piasków Sahary, zwilżonych deszczem; nikt prócz mnie nie usiedzi tak długo na dromedarzu pędzącym jak uragan. A potem wy do tych krajów nie tęsknicie, wy za wędchem rodzinnego powietrza nie umiecie kierować kroków waszych, i przeczuć oazy i źródła, bo tam nie masz słupów milowych, ani też języka ludzkiego; i gwiazdy są zwodnicze, bo niedostateczne: o 15 mil dalej lub bliżej poprowadzić, to wszystko jedno, a dzień stracony i życie stracone.

Tak utrzymywał murzyn Abur-Naza; i wszyscy Arabowie, Maury i murzyni przyznawali, że ma rację, że ziemia rodzinna i woda i powietrze pachną, i swym zapachem przyciągają bardzo.

Tak silne czują przywiązanie dzieci natury do swój ojczyzny!

— Słuchaj Abur-Naza, a gdy do kraju wrócisz i zostaniesz królem?—spyta porucznik Trydentu mówiący po arabsku.

— Wówczas wyślę deputacją do waszjej królowej, i ofiaruję jej mą rękę i me królestwo, w nagrodę za dawaną mi podczas lat kilku protekcją—odpowiódł Abur-Naza z największą spokojnością w świecie. On tak był pewnym, że królowa angielska z wdzięcznością jego ofiarę przyjmie, jak był pewnym swego mehari i swych ośmiuset cekinów. Ale wszyscy Anglicy oburzyli się naprawdę, słysząc Abur-Nazę traktującego tak lekko kwestyą małżeństwa królowej, i zaręczali Abur-Nazie, że królowa Wiktorya bardzo jest szczęśliwą z księciem Albertem, i nie pragnie innego męża, ani nowego królestwa.

I ta druga noc przeszła; wprawdzie, nie tak wygodnie jak poprzedzająca, bo bliskość gór pokrytych śniegiem wiecznym, dawała nam się we znaki przejmującym zimnem.

Ruszamy teraz już po wschodzie słońca, do przebycia bowiem drogi, która nas czekała, potrzeba było jasnego światła. Droga wije się ponad przepaściami, między lasami po grzbiecie skalistym gór.

Stajemy nad brzegiem rwącego, wartkiego strumienia. Na drugim brzegu bardzo wyniesionym i skalistym znajdowały się

dwa miasteczka murowane i murem otoczone; mnóstwo także tam było ogrodzeń pomniejszych częścią walących się, częścią jeszcze dobrze utrzymanych. Wszystkie domy miały płaskie dachy. Wiele małych ogródków rozsianych było tu i owdzie na spadzistości; rosła w nich kapusta, groch i pszenica turecka. W pewnej odległości od tych dwóch miasteczek zwanych Aba-Zebir i Igdna, wznosiło się ze dwadzieścia kapliczek czworograniastych, z małemi kopułami, czysto bielonych, i na 10 do 15 stóp kwadratowych objętości mających. Byłyto domki santonów, miasteczka te bowiem obfitują w świętych umarłych i jeszcze żyjących. Cała dolina mogła mieć milę długości i dobre pół mili szerokości. Podczas deszczów i po stopnieniu śniegów cała ta dolina zamknięta pomiędzy wysokimi murami, a mało mająca splywu, zatopiona jest przez wodę, której głębokość nieraz dochodzi w niektórych miejscach do 50 stóp. W tej chwili odbywały się żniwa, pasła się wielka ilość bydła, i mnóstwo ludu zatrudnionego było na polu. Rozległe te łąny okryte kukurydzą, jęczmieniem, miały niekiedy ćwierć mili długości; ogrody napełnione pięknymi włoszczyznami, pełno wszędzie drzew figowych, daktyłów, granatów, pomarańcz, wina i innych drzew owocowych. Żyło w tym miłym zakątku do 7,000 ludności. Powietrze musi być tu bardzo zdrowe, choroby bowiem epidemiczne nawiedzające tak często cesarstwo marokańskie, rzadko tu dochodziły i niewiele porywały ofiar. Nie wstępowaliśmy do tych miast, drogi bowiem główne prowadzą mimo miast; ale dwa te miasteczka są jedynemi ludniejszymi miejscami z Mogadoru do Moroko. Dalej od drogi leżą jeszcze dwa miasta. Około 10tej stanęliśmy w fondaku, od którego na ćwierć mili w bok leżą ruiny niegdyś potężnego miasta, zniszczonego temu lat 30 przez Muley-Ismaïla, pretendenta do korony cesarskiej. Tormenta, któremi zwalono mury jeszcze leżały pod rozwalinami. Całą ludność wytępiono do nogi, dzieci nawet i starców nie oszczędzono; dwieście tylko dziewic żywcem rozdzielono pomiędzy żołnierzy. Kości z ubitych jeszcze można było rozpoznać w gruzach. Nikt tu już nie mieszka w tém nieszczęsném miejscu.

Wieczorem stajemy w duarzo sławnego szejka i maraha Abu-Malekim-Hadzi. Znany ze swęj waleczności, cnoty i fanatyzmu w całym prawie kraju, żył sobie podczas pokoju jak prawdziwy święty w modłach, pokutach i postach. Zon miał cztery pięknych jak wiosna, a jednakże jak niegdyś Edward Wyznawca unikał teraz tego wszystkiego, co tylko materyalną przyjemność,

lub zmysłową rozkosz sprawić może. Łagodnego jednakże nie był charakteru: karał srogo wszystkie zbrodnie i występki, a najmniejsze winy nie uszły jego bystrego oka.

Bu - Malekim - Hadzi ani wcale nie lubił chrześcian, ani tóż chrześcijańskiej cywilizacyi, i błagał Boga pięć razy na dzień o sposobność zmierzenia się z niemi. Wojennym był dowódczą nie tylko swego duaru, lecz i trzech innych; przytém kapitanem honorowym gwardyi cesarskiej i dowodził szwadronem w czasie boju. Onto pierwszy uderzył na Francuzów w roku 1844 i śmierć znalazł bohaterską w bitwie pod Isly. Miał wówczas około lat 40.

Od duaru potężnych Ben-Malekitów do Maroko odległość wynosi zaledwie mil cztery.

XV.

Atlas i Maroko.

Trzeci dzień naszej podróży minął. Droga już wczoraj wieczorem oddaliła się była od gór i ciągnęła się po płaszczynie. Teraz od jednego razu, jeszcze długo przed wschodem słońca, zoczyliśmy na firmamencie, tuż blisko nad naszymi głowami w stronie południowo-wschodniej meteor jakiś, jaśniejący jak zorza północna w purpurowém, skupioném, rażacém świetle; meteor coraz większy, pyszniejszy, aż wzrosł do potężnych rozmiarów niebotycznej, gorejącej kuli. To stary Atlas, który dźwiga od tyłu tysięcy lat to nasze dobre i łaskawe niebo; to stary Atlas, któremu długo przed swém wejściem opowiada się, melduje słońce, u którego czeka w przedpokoju nim śmie wstąpić na ziemię!

Złotowłosy Febus przecież uzyskał pozwolenie wejścia nad naszą planetę; niebawem téż z niego korzysta, szybko wysuwa się zpod widnokręgu wschodniego tarcza, ogromna jak kopuła św. Piotra w Rzymie, pnie się coraz wyżej, wyżej, zalewa oceanami purpury śnieżne szczyty Atlasu, złoci fiolet jego podróży, barwi całe łany urodzajnych pól bałwanujących się na płaszczynach, a liczne strumienie spadające z rzewnych ocz wiecznego Tytana, przemienia w tumaniące się fale żywego srebra.

Zaprawdę, widziałem Morskie Oko, Jungfrau i Montblanc, zwiedziłem Pyrenee, Morrenę, Sierę Newadę, podziwiałem szkockich i norweskich gór uroki, ale coś podobnego Atlasowi nigdzie nie widziałem. Nie masz na kuli ziemskiej miejsca bliższego nieba, nie

masz przynajmniej miejsca, któreby w serdeczniejszych z niém było stosunkach; zdaje się, że Atlas jeżeli jest niższym od Cimborasso, Kordylierów, lub Himalai, sam jeden posiada klucz do téj lazuruwój kopuły, której śnieżne firanki dotykają głów jego.

Możnaby powiedzieć, że sam jeden Atlas jest klucznikiem, szambelanem nieba; ale przecież ja do podobnych porównań zniżać się nie mogę.

Postępowaliśmy równiną zatopieni w cudnym, uroczystym widoku. Z każdą minutą nowe odsłaniały się krainy brylantów, szmaragdów i rubinów, nowe wytryskiwały fontanny żywego złota i srebra z boków tego ogromnego Tytana, górującego jak Jowisz w Olimpie wysoko nad wszystkie inne olbrzymy Tellury. On w środku prawie tego długiego pasma sterczy, a wznosi swe śmiałe, błyszczące dyademem czoło tak wysoko w niebo, że zdaje się równych sobie ani chce uznawać, ani też nawet nie przypuszcza, żeby równi jemu istnieć mogli. On jest panem téj reszty gór i szczytów, bo jest ich ojcem, ich dobrodziejem; z jego boków spadają dobroczynne potoki na resztę krainy, i na resztę tych gór spadają dęszcze z wielkich krynic zawieszonych nad głową Tytana, skupionych tu, jego staraniem.

Okolice téż zaczęły przybierać postać jakąś ucywilizowaną; wiadać było, że się zbliżamy do stołecznego miasta. Tu i owdzie włości, wsie i miasteczka dobrze zabudowane; minarety w rozliczne chorągiewki strojne, śmieją się do nas tak rozkosznie; mnóstwo ludu wychodzi na drogę bez obawy: wszyscy tu już wiedzą z czém przybывamy, i po co przybывamy.

Tam znów wysokie zwaliska, glazy ogromne w chaotycznym nieładzie napiętrzone, tu szczątki wodociągu oparte o góry, świadczą, że krainie téj niegdyś przyświecało za czasów rzymskich światło cywilizacji; a gdzieniegdzie kobieta, na której źle zakrytej, bo starczej wypiętuowany znak męki Odkupiciela, dowodzi, że błogi geniusz chrystyanizmu przebywał tu w tych pięknych i godnych lepszego losu krainach. Czemuż nazawsze nie pozostali.... Może dlatego, żeby chrześcian zachęcać do pracy, przeświadczyć ich, że chrześcianizm jest dobrodziejstwem, które nie mieczem, lecz oświatą należy wprowadzać i czynną cnotą uprawiać.

Ale jakieżto hufiec złoty i szkarłatny błyszczy zdaleka w rzęsiśtém świetle słońca i Atlasu, a suwa się tak prędko, tak bystro po tém szmaragdowém błoniu? Zdaje się, że to zastęp aniołów, który wystąpił razem z promieniami Feba z lazurów niebieskich. Tylko

co byli o milę od nas, a teraz są już tylko o staje. Nie, to nie aniołowie, to gwardya murzynów i przyboczne agi. Już są tuż przed nami, strzelają mijając nas, krążąc około nas, sto lub dwieście razy; na uczczenie nasze wyprawiają *fantazyą*, krążą, bujają, krzyczą i strzelają; ale przypatrują się dobrze nam i podarunkom królowej Wiktoryi, a pomiędzy świetnym hufcem jest sam syn cesarski tylko *in-cognito*, jak przystoi na tak wielkiego pana, gdy koniowi zagłąda w zęby.

Porucznika Trydentu przywitano w szczególności. On prosi, aby podarunki królowej, oficerów eskorty i lekarzy angielskich mógł przedstawić jutro wieczorem w należyтым porządku samój cesarskiej mości, a tymczasem, by mu w mieście przeznaczyć mieszkanie i stosowne miejsce do złożenia łodzi parowej, do opatrzenia i umalowania jój, do umieszczenia pontonów na wodzie, a armat na lawetach. Prosi o koni świeżych i niezmarowionych sto pięćdziesiąt, o ludzi zręcznych, a szczególniej o murzynów z Sudanu, bo ci są najzręczniejsi. Do jutra musi być skończone dzieło olbrzymie, jakie w innych krajach i z innemi ludźmi ledwo by za rok stanęło na nogi. Wszystko ułatwione, na wszystko zezwolono, dano nawet czas do pojutra rano.

Hufiec szkarłatny prowadzi nas do Maroko i wystrzałami maskuje wszystko co nieładne. Miasto to bardzo rozległe, niegdyś w XII stuleciu do 700,000 ludności posiadające, dziś ledwo dwunastą jój część zachowało. Założoném zostało roku 1050, jak mówią na miejscu rzymskiego *Bocanum Hemerum*. Całe jest otoczone murem na 32 stóp francuzkich wysokim, w okręgu długim na dwie i pięć siódmych mili geograficznych. Na odległość połowy strzału z ręcznej broni, tojest na 150 kroków, znajdują się w tym murze wieżeczki, na większe zaś przestrzenie wysokie, potężne i działami wieńczone baszty. Ulice są wyludnione, domów bardzo wiele leży w gruzach, place publiczne nagie i ogolcone. Ale wszystkie meczety, a jest ich do 80, w dobrym jeszcze znajdują się stanie; kilka z nich bardzo pięknych: główny zaś meczet zwany *el Columbia* w XII stuleciu wzniesiony, okazałym jest, pięknej, Alhambry przypominającej struktury, i w szczegółach prawdziwie ozdobny, uroczy, a nawet wyszukano wykwintny.

Główny bazar i karawanseraj miasta, zwany tutaj *kaisarin*, pomieścić może do 10 000 ludzi i 5,000 bydła. Tu się zbierają karawany rozchodzące się w najodleglejsze strony: do Mequinezu, Tangieru, Suzy, Tafiletu, Mogadoru, a nawet owe wielkie karawany,

które dwa razy na rok idą do Tombuctu, miasta niedawno znanego światu, otoczonego dotychczas całym urokiem złotój tajemniczości.

Do właściwego miasta nie weszliśmy wcale, tylko do osobnego na wschód od Maroko leżącego grodu, otoczonego wyższym jeszcze jak miasto, a na obwód półtoręj mili długim murem. To sławny ów zamek i seraj sultanów marokańskich z ogrodami, w których uroki przyrody, walczą z pięknosciami sztuki. Ogrody te przebiega rzeka Tenesilt, i zasila swemi wodami głębokie jeziora, kanały, fontanny i wodociągi. Gmachy główne wzniesione z ogromnych głazów granitowych; pomniejszych gmachów, koszar i oficyn dla dworzan przeznaczonych daleko więcej niż w Wersalu, a domków osobnych na jedno piętro wzniesionych i po parkach i ogrodach rozsianych, przynajmniej ze dwieście pięćdziesiąt.

Ten gród niezmierny, w którym nie brakuje ani placów, ani dziedzińców, zamieszkuje często sam cesarz. W obecnej chwili zamieszkiwał go cesarzewicz i kilkunastu innych blizkich krewnych,

Osobne miejsce wraz z kanałem i jeziorem oddano panu Westmoreland porucznikowi Trydentu, nam zaś przeznaczono koszary, w których pomieścić się mogło do 500 ludzi, na założenie szpitalu dla ołtalmicznych.

Przeznaczono nam mieszkanie w domu zajmowanym zwykle przez obu pułkowników gwardyi; każdy bowiem pułk regularny ma tutaj dwóch dowódców: jednego wojennego, drugiego administracyjnego. W domu tym było do dziesięciu stancji w pawilonach, w środku wspólna sala wysoka i dość okazała, wychodząca z przodu na dziedziniec, z tyłu zaś na tę część ogrodu, która była wspólną i do użytku zapraszanych oficerów przeznaczoną; obok tej wspólnej części znajdowały się na prawo i lewo ogrody, wysokim murem odgraniczone od wspólnego, a przeznaczone do użytku prywatnego panów pułkowników i ich żon i kobiet.

Mebli zwyczajem wschodnim bardzo mało było w pokojach: dywany, sofy, kobierce, małe stoliki, i na tém koniec. Tylko w pokoju sypialnym umieszczono kilka krzesełek zrobionych widać umyślnie dla nas. Zresztą nie zapomniano niczego, co nam uprzyjemnić mogło pobyt w stolicy; miano wzgląd nietylko na gusta europejskie, ale także na gusta wschodnie, na wpływ klimatu zwalczający niejedną przesąd, nawet u surowych Platonizmem Anglików. Nasze domki w ogródku osobistym były bardzo przyjemnie zaludnione: znajdowały się w nich łazienki i altanki, gdzie przyjemnie można było odpoczywać.

Dano nam cukiernika sporządzającego od rana do wieczora kawę, lody, sorbety, konfitury i ciasteczka, ale o kucharzu nie pomyślano, czyli raczej zwyczajem tutejszym cesarzewicz kazał nam przynosić już gotowe potrawy. Zresztą, obdarzono nas zwykłym powitalnym podarunkiem, złożonym z żywności: z pięknego bawołu, z sześciu baranów, z kopy całej kur, z półkopy indyków i nieskończonej ilości pszągów, jarząbków; przytém było kilka worków różnej mąki, kilka ogromnych dzbanów różnej oliwy, owoców co niemiara. Służba nasza nie potrzebowała lękać się głodu.

Jeszcze przed rozstaniem się poszliśmy obejrzeć koszary na nowy szpital przeznaczone. Byłto budynek wzniesiony na dość wysokiém wzgórzu, o piętrze, z kamienia nieciosanego, spojonego bardzo dobrą gliną. Gmach ten, jak wszystkie większe maurytańskie, miał w środku dziedzińce, niestety bardzo szczupły i źle wentylowany; nadto tylna część wystawiona na południe, z kąd z Atlasu zimne i szkodliwe zapaleniom wiatry wieją, nie mogła służyć na szpital oftalmiczny. Delikatnyto bardzo organ oko, gdy się w niego wda zapalenie egipskiém zwane, a tak okrutne, że w dzień jeden często wydrze człowiekowi zmysł najpotrzebniejszy do szczęścia. Sale zatem wychodzące na południe nie mogły służyć dla zbytniego światła w dzień, a dla wiatrów Atlasu w wieczór i w nocy; sale wewnętrzne wychodzące na dziedzińce służyć nie mogły dla zepsutego powietrza. Pozostało tedy tylko z szesnastu sal, zawartych w gmachu, na dobry użytek sześć mogących pomieścić najwięcej 180 chorych; a z samego garnizonu miasta wówczas tylko do 12,000 dochodzącego, przeszło 1,000 było chorych, rozdzielonych częścią po szpitalach miejskich, częścią po szpitalach obozowych naprędce urządzonych. W mieście, którego ludność najwięcej do 70,000 dusz dochodziła, stosunkowo mniej daleko było chorych, pomimo brudnych zaułków, w których kryć się lubi klasa uboga, nader tu liczna, a najwięcej do zapaleń podobnych usposobiona.

Wszystkie te wiadomości dał nam pan Simoni dragoman cesarzewicza, i jak się teraz dopiero pokazało, jego przyboczny chirurg. Czemu nam dotychczas tań, że w nim mamy kolegę, tego nie wiem. Czy to przypisać należało przyrodzonej mu skrytości charakteru, czy też jakiejś polityce umyślniej, o tém sądzić nie jestem w stanie; dość, że pan Simoni, który dotychczas ani jednemu nam nie wyjawiał słowem, że należy do ciała lekarskiego, dał nam teraz najdoskonalsze sprawozdanie o stanie zdrowia stolicy i jej stałych i niestałych mieszkańców, o środkach użytych przeciw oftalmii egipskiej, o nieskute-

czności tych środków. Na 11,000 którzy dotąd zachorowali, ledwo 1,700 zupełnie wyzdrowiało, 2,600 straciło jedno oko, przeszło 3,200 oba oczy, reszta pozostaje w kuracji. Oznajmił nam także, że korpus cesarski uznany za taki przez rząd i przez władze patentowane, składa się z kilkunastu renegatów, po największej części Włochów, którzy przypadkiem, albo u cyrulików europejskich, lub też w szkołach lekarskich Europy, nauczyli się cokolwiek chirurgii lub medycyny, a z których ani jeden nie jest graduowanym doktorem lub nawet magistrem; potem z kilkudziesięciu chirurgów i lekarzy wysłanych z szkoły lekarskiej, założonej przez powyższych lekarzy i chirurgów w Maroko lat temu czternaście; nareszcie z kilkuset marabów, imanów, santonów i fakirów, leczących najczęściej zażegnaniem i czarodziejstwami, rzadko tylko ziółkami lub innymi lekarstwami. Patent na lekarza daje jakiś rodzaj komitetu medycznego, ustanowionego przez naczelnika szaiszów, to jest policyi karnéj; od patentu tego należy płacić skarbowi jakiś podatek stosunkowo do stopnia otrzymanego w patencie, a jest tych stopni siedm. Sztuka położnicza pozostaje całkiem w ręku kobiet; jeszcze nie myślano nawet o szkole akuszerki. Anatomiją wyklada w szkole lekarskiej jakiś pan Gennaro, stary Neapolitańczyk, renegat, na trupach kiedyniekiedy od mistrza wyroków śmierci zakupywanych. Cała ta nauka ogranicza się na wykładzie bardzo niedostatecznym osteologii, myologii i splachnologii, to jest na nauce o kościach, muszkułach i trzewiach.

To nam powiedział pan Simoni, a więcej powiedzieć nie chciał. Z każdą chwilą stawał się mniej mówiącym; widać, że mu szło bardzo o własną powagę. Posiada on rangę wyższego kapudana, odpowiadającą stopniowi majora.

Wzięliśmy się natychmiast do spisania w języku arabskim raportu, w którym wyluszczyliśmy, czeniu koszary na szpital przeznaczone nie mogą służyć dla więcej, jak dla 180 chorych. Zarazem prosiliśmy o przestanie nam 90 chorych świeżo zapadłych, i o 90 uważanych za niezdolnych do wyleczenia przez lekarzy tutejszych; przytém o przysłanie należytej liczby świeżych sienników, kołder, o sześć fur świeżéj słomy, o sześć postawów zielonego płótna na firanki do okien i około łóżek. Raport ten przestaliśmy księciu przez p. Simoni, który się do nas od czasu do czasu jawił.

Na drugi dzień bardzo rano, zaczęto nam znosić i zwozić chorych, słomę, sienniki i płótno, przydano nam do pomocy z tuzin łapserdaków, w dość obdartych sukniach żołnierskich. Byłito ucznio-

wie medycyny, przeznaczeni do służby wojskowej, po największej części synowie ubogich Maurów; żadnego pomiędzy niemi murzyna ani Araba, kilku tylko potomków europejskich renegatów.

Wzięliśmy się z wielką gorliwością do dzieła, rozklassyfikowali chorych na sześć klass według stopnia choroby, umieścili w salach na wygodnych łózkach, napój im sporządziliśmy chłodzący a smaczny z wody cukru i pomarańcz, wołu kazaliśmy ubić i sporządzić z niego rosół, baranów kilku zarznąć i z jęczmienną kaszą zrobić z nich potrawkę.

W samym seraju znajdowała się apteka cesarzewicza, trzymana przez hiszpańskiego renegata; pozwolono nam brać z niej co nam się podoba za kwitami. Ale materiały tej apteki bardzo źle były zakonserwowane: woleliśmy użyć własnych lekarstw, których na szczęście zabraliśmy z sobą bardzo wiele. Czynność rozwijamy niesłychaną: łapiemy wszystkich ludzi, na których twarzy błyskało jakie takie światelko rozumu, i przeznaczamy ich *proprio motu* do służby lekarskiej. Dragomani nasi, służący i niewolnicy, musieli pracować w zawodzie lekarskim. Nieoceniony był mój Mosiek: wszystko pojmował i wszystko robił nadspodziewanie ochoczo i dobrze. Nowe jakieś życie wstąpiło w tego dobrego żydka, od chwili, gdym go wziął w moję służbę.

— Dobrze, dobrze, mój poczciwy Mošku, dobrze mi się zasługujesz, zadowolony jestem z ciebie—rzekłem do mego dragomana. A on mi odpowiedział, uśmiechając się i kurcząc ramionami:

— Ny! i cóżbym ja dla pana nie zrobił? pan jesteś mądry jak kugiel, przenikliwy jak czosnek, i jednak miły jak łoksina. Ny! ja pragnę, żeby pan był kontent i szekielów zarobił milion, to i mnie się dostanie troszkę.

W południe, właśnie wtenczas, kiedy słońce dokuczliwie świeciło, pan Westmoreland zawitał do nas, postępując jak ksiądz z monstrencją pod baldachinem, dźwigany przez czterech murzynów.

— Znużony jestem jak może nigdy w życiu—zawoła porucznik Trydontu—ale widzę, że i panowie nie próżnowali. Jakto? już wszystko w porządku? już ten chaos przeistoczony w szpital? Oh! niech żyje nasza angielska czynność! Tylko my umiemy działać jak mężczyźni. Przyszedłem tu odpocząć w tej chłodnej sali, napić się kawy, i podrzémac z wami, *my good Doctors*.

Fajki i kawy dano, zapalono kadzidła, murzyni odpędzali od nas muchy, i odświeżali powietrze potężnemi wachlarzami; pogada-

ka trwała z kwadrans, spaliśmy z godzinę. Potém znów budzimy się, lody, kawa, fajka. Nareszcie pan Westmoreland rzeknie: „Z nowiną tu przyszedłem, może niebardzo pocieszającą; ale damy sobie radę. Jesteśmy *in corpore*: jeden dla wszystkich, wszyscy dla jednego. Cesarzewicz wysłał do mnie swego kasnadara, i prosił, abym was, moi *sidi tibiby*, nie przedstawiał jutro na urzędowej audyencyi. Co wy na to?”

Doktora Hamiltona niezmiernie ta wieść wzruszyła. „Jakto? mnic, Hamilton-Beja, ksiązę maurytański wzdraga się przyjąć na solennej audyencyi? i mego towarzysza także?”

— Tak istotnie, i mnie to dziwi, dlatego tu przyszedłem—odpowié pan Westmoreland.

Posłaliśmy po pana Simoni. Przyszedł niebawem. Zrazu udawał, że o niczém nie wie i godać nie chciał. Potém jednak wyповідаł się, że nie było przykładu w historii Maroko, żeby cesarz lub ksiązę z nim bezpośrednio spokrewniony przyjmował w uroczystych sposobnościach lekarzy, że to zapewne jest przyczyną woli cesarzewicza.

Nie podobała nam się ta odpowiedź. Wysyłamy Moška pokryjomu z listem do kasnadara, przyłączamy doń list rekomendacyjny, napisany przez kadego Tetuanu.

Mosiek wynalazł dobrą sposobność wręczenia listów kasnadarowi, tojest szefowi sztabu wojska cesarskiego, który zarazem był nauczycielem cesarzewicza.

Obiecał odpowiedzieć.

Dlatego jednakże nic nas nie wstrzymywało od czynności. Organizowaliśmy jak tylko było można; wieczorem przed zachodem słońca, wszystkie do przyjęcia zdadne sale napełnione były choremi.

Napisaliśmy nowy raport do cesarzewicza, prosząc o wyznaczenie nowych gmachów lub domów stosownie położonych, zarazem o przysłanie większej liczby uczniów medycyny na infirmierów zdolnych, o uposażenie szpitala regularnemi dochodami, a szczególniej żywnością, i o sprowadzenie z Gibraltaru lekarstw, których podaliśmy listę.

Ani jednego nie chcieliśmy przyjąć chorego do sal, które nam się zdawały być niestosownemi. Nieugięci byliśmy w naszym postanowieniu: woleliśmy pomieścić kilku w mieszkaniu dla nas przeznaczoném, ale żadnym sposobem odpowiadać nie chcieliśmy za chorych, nieużywających pierwszego warunku zdrowia, tojest dobrego a spokojnego powietrza.

Ztąd już wynikły pewne nieporozumienia pomiędzy nami a cesarskimi oficerami; aleśmy mniej dbali o łaski, jak o rezultat jasny i widoczny naszych starań.

Wieczorem, gdy już słońce zaszło, i gdy już w *wspólnym* ogrodzie używaliśmy chłodu, Mosiek wpadł do nas i oznajmił nam w sekrecie, że kaznadar cesarski kazał się wnieść *in cognito* do wielkiej sali.

Byłto pan nadzwyczajnie dostojny i łączący z rzadką pięknoscią, wielką gładkość w obejściu się i w manierach. Usiadł i przyjął kawę i fajkę, i zapewniwszy się, że nikogo nie było w sali, tak zaczął mówić po hiszpańsku:

— Zięć mój, który zarazem jest moim wujem i teściem, i od wielu wieków powinowatym méj rodziny, a co więcej mym bratem w duchu i wierze, polecił mi panów w wyrazach bardzo serdecznych, mówiąc, że sto lat przeżył z panami w kilku godzinach, że się z wami modlił razem do jednego Boga.

— Istotnie—odpowiédł dr Hamilton—kady Tetuanu bardzo był dla nas łaskawym, przypuścił nas do zaszczytu kosztowania z nim pokoju i szczęścia w swym seraju, i polecił nas twéj dostojności, chociaż nie śmieliśmy nawet prosić o tę łaskę.

— Poznał, że jesteście dobrmi, Boga w sercu waszém noszącymi ludźmi. Ja was tedy winienem obeznać z prawdziwym stanem rzeczy, żebyście się nie błakali jak w labiryncie, i nie winili dobrych za złych. Macie wielkiego i z każdą chwilą będziecie mieli większego przyjaciela w świetnym księciu, który, gdy Allah dozwoli, rządzić będzie kiedyś tém państwém; macie także wielu przyjaciół pomiędzy ludźmi postępowemi, dobrze myślącemi, którzy wiedzą, że żadne pieniądze w świecie nie są w stanie opłacić waszego poświęcenia się dla dobra ludzkości, dla dobra kraju, nieznanego wam dotąd; ale na nieszczęście macie już i nieprzyjaciół bardzo potężnych w naszym kraju, chociaż jeszcze nikomu krzywdy nie wyrządziliście. Santon cesarski, ten sam, co was nakłonił do odwiedzenia kraju naszego, szczególném a nieprzewidzianém zrządzeniem losu, stał się waszym wrogiem. Owa krwawa awantura na okręcie angielskim, wszystkiego złego była powodem. Santon wielką ma przewagę na dworze cesarskim w Mequinezie; tam was opisał jako nieprzyjaciół zaciętych islamizmu i oburzył przeciw wam umysł cesarza i umysły wszystkich fanatycznych starowierców, którzy w swych działaniach więcej się powodują zemstą i nienawiścią, jak dobrocią i ludzkością. Właśni moi synowie Mahomet-Mirza i Zelim-Mirza

do téjże partyi należą; matka ich bowiem córką jest nieboszczyka brata cesarza Muley-Ismaila, i jako księżęta pół krwi, synowie moi wychowanemi zostali w seraju cesarskim, i napojeni zasadami starowierców. Ja inną już oddawna obrałem drogę, zwiedziłem bowiem świat, i przekonałem się, że nienawiść i zemsta, żeby i naj-słuszniejsze, nie prowadzą do szczęścia i bytu, i szkodzą człowiekowi, tak, jak i najmniejszemu robaczkowi.

W pomoc téż przyszła intrygom santona Jussufa zazdrość tutejszych lekarzy; a to, pozał się Boże są z nader małym wyjątkiem albo ludzie nizcy, nieumiejący ocenić świętości powołania lekarskiego, albo téż nieudolni, lub poprostu bezczelni oszukańcy bez sumienia i najmniejszej wartości.

— Ależ przecie posiadacie i szkołę lekarską i komitet jakiś medyczny czuwający nad działaniami lekarzy, przyjętych w poczet takich i patentem obdarzonych—zapyta Hamilton.

— Ah Allah! bismillah! o wielki Boże! coto jest ta nasza szkoła lekarska! To zakład prywatny, niecieszący się ani podporą rządu, ani téż współczuciem prywatnych. Nauczyciele zyskali dworskie posady, lub téż pozwolenie praktyki lub handlu, oświadczeniem, że uczyć będą tego lub owego przedmiotu za darmo, a uczniowie uwalniają się od służby czynnej wojskowej tém, że się nibyto uczą sztuki lekarskiej. Komitet lekarski zaś składa się po wielkiej części z ludzi nieznojących ani sztuki lekarskiej, ani jój celu. Naczelnikiem jego został murzyn Abu-Zelim dawny podoficer gwardyi, za to, że raz nieboszczykowi Muley-Ismailowi, dowodzącemu głównie wojskiem sultana, ząb wyrwał obcęgami ślusarskiemi; zastępuje go uczony Abdala-Schelem-Hadzi, wiedzący doskonale co umiał Rhazes i Awicenna z medycyny, ale tak nieszczęśliwy w jój zastosowaniu, że gdy się dotknie chorego, tam zaraz trzeba posyłać po muftego i po grabarza; każdego bowiem o zakład zabije, tak zręcznie jak sznisza cesarski. W wydziale chirurgicznym zastępuje murzyna Abu-Bekira stary Sidi-Ganibert, frauczki renegat, dawny cyrulik serajowy i ogn rzezańców, uważany za wielkiego chirurga dlatego, że doskonale strzyże, goli i że w wieku męzkim zniósł dwie operacye chirurgiczne bardzo bolesne, które sam namiętnie lubi wykonywać na biednych murzynach do służby serajowej przeznaczonych. Tak widzicie zacni przyjaciele, że nasz komitet medyczny nie może się powodować bardzo zacnemi zasadami; żyje on z kubanów dawanych za examina i patenta, a dumaym jest bardzo z swych przywilejów. Już u was w Europie inówią, że nie w świecie nie przechodzi zazdrości lekarzy, że

jeden drugiemu żałuje kęsa chleba; tutaj u nos jeden drugiemu zazdrości paznogcia u palców i białka w oku. Tak tedy dzięki intrygom santona i partyi fanatycznój, zawistném okiem patrzącój na wszystkie wkraczania oświaty europejskiój, dzięki zazdrości tutejszych lekarzy, professorów i radców lekarskich, sam cesarzewicz, uważany przez własnego ojca za niebezpiecznego reformistę, związane ma ręce i z wielką tylko ostrożnością musi wam objawiać swą wdzięczność za wasze usługi, wyświadczone z tak dobrém sercem i z tak zastanawiającą gorliwością. Wié bowiem nasz świetny książę, coście już dzisiaj dokonali, i niebawem, zapewne już jutro rano zwiedzi wasz szpital; naturalnie, że *incognito*, tak jak i ja do was przybyłem. Przy uroczystości przyjęcia podarunków Alberta Mirzy przyjąć was nie może; zwróciłoby to na się oczy wszystkich zagorzałych staro-wierców, hydra zawiści podniosłaby na was wszystkie swe głowy, a i dobremu księciu zagroziłyby mogła. Co wy na to, o dobrzy i rozumni przyjaciele? Chcecie, abym wam wykonał przysięgę, że wszystko tak jest, jak wam opowiedziałem?

Dr. Hamilton z charakteru bardzo dumny uznał przecież słuszność powodów skłaniających syna cesarskiego do skromności w swych objawieniach życzliwości, i poprzestał na tém co słyszał, zaręczając, że w zupełności wierzy słowom kaznadara i że zrzekając się wszystkich dla niego dość mało znaczących honorów, wymagać będzie jedynie tego, co dla dobra chorych uważa za niezbędne.

— Wszystko, co zażądacie w tym względzie, będzie na waszo usługi. Już na tegim mehari wyexpedyowano gońca do Tangieru; za tydzień najdalej przybędą tu lekarstwa z Gibraltaru. Dobrze nawet robicie nie odstępując ani na włos od tego, co wam się zdaje być dla dobra chorych konieczném. Na wasze zaś jest usługi wszystko, co nasza ziemia wydaje najpiękniejszego w każdym względzie, jak o tém już musicie wiedzieć. Czy pobyt w tym domu jest wam przyjemny, czy usługa dobra?

Na te pytania odpowiedzieliśmy poważnie skinieniem głowy.

— Jutro przy uroczystości oddania cesarzewiczowi podarunków Alberta Mirzy, wielkie będą parady i uroczystości—rzeczce dalej kaznadar.—Panowie zapewne zechcą assistować w orszaku Europejczyków?

Dr. Hamilton odpowiedział, że jakkolwiek ciekawy widzieć z jaką pompą wystąpi świetny książę, uważa jednakże, że ubliżyłby swój godności assistując *incognito* przy tak uroczystej sposobności.

Kaznadar usiłował wszelkimi argumentami zwalczyć uprzedzenie doktora, ale tego dokazać nie mógł żadnym sposobem. Narzeczcie prosił, abyśmy mu wyświadczyli zaszczyt odwiedzenia go w swym pałacu po przyjacielsku, jak się odwiedza dobrego sąsiada.

— Chętnie bardzo odpowiemy na te szczerze zaprosiny, ale jedno jeszcze pytanie, potężny i czcigodny panie — rzekł dr. Hamilton. Powiedz nam, do jakiego stopnia można zaufać panu Simoni? Jego postępowanie względem nas dość jest zagadkowym.

— Zacharia Simoni pozostaje pomiędzy nami od lat dwudziestu kilku, synów ma kilkunastu w wojsku naszym, a jeszcze go nie znamy. Zawsze był i pozostał dla nas zagadkowym człowiekiem, tak jak wszyscy renegaci, którzy zakosztowawszy cywilizacji europejskiej, pędzeni burzą losu lub uciekając przed karą do nas przybyli i wyrzekli się religii dla nadziei zdobycia dóbr doczesnych. Simoni w dość wielkiem jest u księcia poszanowaniu: winien to taktowi swemu i wiadomościom rozlicznym i niepoślednim; jednakże co do zasad, fanatycznym jest wyznawcą starego, surowego islamizmu, a co więcej jeszcze zastanawia, zaciętym wrogiem Europejczyków. Prawda, że prawie wszyscy renegaci i odszczepieńcy wpadają w brzydką ostateczność wyrzekania się dotychczasowych sympatyj z wielką, teatralną nawet gorliwością; ale u Simoniego jeszcze coś innego musi być powodem téj skrytej a niepoohamowanej zemsty przeciw Europejczykom: zapewneto będzie pamięć doznanych lub zadanych krzywd, ciężąca na sercu lub na sumieniu tego renegata. Pan Simoni ciągle usiłuje wzbudzić w księciu naszym, który jest łagodnego charakteru, nienawiść przeciw chrześcianom, i aby lepiej dopiąć swego celu, łudzi go nadzieją wielkich zwycięstw łatwych do odniesienia na Francuzach. Na nieszczęście cesarzowicz nasz poczuwać się zaczyna do bohaterstwa, chociaż wcale na wojownika nie jest zrodzonym, bo nerwy ma bardzo słabe i w ogólności nie jest wytrzymałym na znoje i niewygody. Ja uważam poprostu pana Simoni za tajnego agenta emira Abd-el-Kadera, przekupionego umyślnie na to, żeby pobudzał księcia do wojny z Francuzami, i przewiduję najgorsze z tego skutki.

To mówił kaznadar cesarski, i wypadki późniejsze dowiodły, że go nie myliły przecucia.

Wyznaczono nam nazajutrz rano nowe koszary i 12 domków na przyjęcie nowych chorych. Liczba ich doszła do 450. Parady w dniu tym odbywały się z wielką świetnością. Działa grzmiały ze wszystkich baszt naokoło miasta i naokoło grodu cesarskiego w którym mieszkaliśmy, grzmiała artylerya pozycyjna i polowa

marokańska; grzmiały armaty przyprowadzone przez Anglików i działko na pięknej łodzi parowej „Muley-Abderhamman”, darowanej cesarzewiczowi.

Rozmaite i malownicze były stroje wojska defilującego pod naszymi oknami. Syn cesarski otoczony gwardyą przyboczną maurytańską, z samej szlachty złożoną, jechał na koniu bieluteńkim jak mleko w ubiorze purpurowym, wysadzany tak rześcisto dyamentami, że patrzeć nie można było na niego bez doznania boleści w oczach. Był to mężczyzna już 30 lat przeszło mający, z przyjemną, łagodną, ale dość śniadawą, prawie mulacką twarzą. Rysami charakterystycznymi lub też wyrazistością twarz ta nie odznaczała się wcale; mało w niej było dumy, mało także bystrości, a jednak szlachetnym było to oblicze może dlatego właśnie, że nie wyrażało dumy i udanej bystrości.

Sidi-Zelim-Szeryf nosił na swój twarzy i w swój osobie ślady kilku narodowości: istotnie krew arabska, etyopska i europejska w jego żyłach płynęła. Pradziadek jego jeszcze był czystym Arabem. Dziadek był synem Araba i mulatki maurytańsko-etyopskiej, sławnej z piękności i nieszczęść. Ojciec był dzieckiem splotonem z tego małżeństwa i noszącym na sobie wyraźne cechy etyopskiej rasy: twarz miał bardzo śniadą, czarniawo, a nie bronzowo-śniadą, czarny, kędzierzawy, prawie welniany miał zarost. Następca tronu syn takiego ojca i matki Europejki, jasnego włosa, zarost miał czerwony, ale starannie na czarno farbowany; powieki jednakże na brzegach czarniawe, rzęsy długie, jasne, a oczy jasne i wielkie, pełne łagodności; cerę jednakże dosyć śniadą.

Stawny z waleczności i rozumu Ali-ben-Taib-El-Genaui jechał na czele wojowników z plemienia Ulałów i Bokharis; El-Kebibi-Kaid potężnego plemienia Alof-Audumów maszerował piechotą na czele nowo zorganizowanego hufcu piechoty regularnej marokańskiej. Broń u niej dobra, angielska widać, bo już pistonowemi zamkami opatrzona, ubiór także jednostajny, różniący się kolorem batalionów; widać, że znane im szyki wojska europejskiego.

Sidi-el-Mamuba-ben-szerif z rodu cesarskiego, nominalny dowódca armii marokańskiej, ten sam, który później 30 maja 1844 roku zabitym został przez generała Lamoricière pod Uszdą, postępował na czele kawaleryi liniowej i gwardyi Udajów, to jest murzynów. Pięknyto hufiec, zazdrość mogący wzbudzić w każdym narodzie wojowniczym.

Daléj postępował oddział artyleryi polowéj cesarza marokańskiego: dwie półbaterye po 8 dział sześćcio-funtowych. Materiał, konie, zaprzęgi i ludzie, nieźły przedstawiały widok; kolor ciemnoczerwony mundurów doskonale był zastosowanym do czarnego koloru cery artylerzystów, złożonych z samych murzynów. W téj bronii nawet i oficerowie byli murzynami. Potępiono rasy lub kasty, wszędzie odzyskują swą wziętość, gdzie potrzeba rozumu. I tak przed niedawnemi czasy w wojsku pruskióm mieszczanin nie mógł dostąpić stopnia oficerskiego, chyba w artyleryi. I cóż z tego wynikło? Oto, że najlepsze głowy znalazły się razu pewnego nagromadzone w najuczeńszej bronii, a uważanej za najniższą. I w ewolucyach nawet artylerya marokańska nie stała daleko poza niektórymi europejskiemi. Działa wbiegały szybko na pozycyę, odprzodkowywano je, nabijano zręcznie, ale celowano niemi źle i trafiano jeszcze gorzej; gorzej daleko jak z dwufuntowych działek umieszczonych na grzbiecie wielbłądów. Dlatego téż ksiączę Albert dobry przyjaciel następcy tronu marokańskiego, posłał mu armaty wraz z artylerzystami, aby nauczyć Marokańczyków dobrze mierzyć i strzelać, i wzniecić w młodým księciu chęć do boju z dobrymi sąsiadami Albionu.

Na wszystkie parady i ewolucye lądowe i morskie patrzyliśmy z miraderu wzniesionego na dachu pałacyku naszego. Siedzieliśmy *incognito* nie w mundurach, tylko w wygodnym stroju maurytańskim: w lekkim zawoju i czepcu muślinowym, okrywającym twarz prawie całą, w szerokich dziabbadorach i w lekkiej długiej szubie. A siedzieliśmy na poduszkach z skrzyżowanemi nogami, paląc nargile, najczęściej zatopieni w myślach i milczący, czasem tylko wywrocając oczyma jak natchnieni, jeszcze rzadziej udzielając sobie myśli naszych słowami, dobrze naprzód przemyślanemi.

Tak mimowolnie przyjmować zaczęliśmy zwyczaje i giesta nawet naszych gospodarzy Maurów. Widać, że apatia najlepij się stosuje do przyrody kraju tak gorącego, i zresztą muiéj szkodzi w tym klimacie jak w innym.

XVI.

Maroko. Powrót do Mogadoru i do Europy.

Bawimy już od 10 dni w Maroko. Czas schodzi prędko, chociaż na jednostajném zatrudnieniu w szpitalu. Bóg błogostawi naszym pracom: wielka ilość chorych, trudnych jak się zdawało do

uratowania, odzyskała zmysł drogi widoku na jedno, nawet na oba oczy. Ze świeżo zapadłych, ledwo jeden na 25 traci oko. Pomimo tego mało nas wzywają do prywatnych chorych, tylko do wysokich panów, gdzie praktyka bardzo niewygodna. W mieście trwa jeszcze przesąd przeciw chrześcijańskim doktorom, wzywającym czarta na pomoc, jak się dali słyszeć nasi dobrzy marokańscy koledzy, renegaci, czy Maurowie.

Następca tronu już kilka razy odwiedził szpital. Chwalił nas, oświadczeniami i grzecznościami obsypywał, podarunkami nawet obdarzał, niewiele wprawdzie wartującami, aleśmy koniowi nie zagłądali w zęby i ciągle pracowali.

Epidemia ustawać zaczęła. Rozeszło się w mieście, że to w skutek modłów, które imany, mustowie, muezziny i fakiry stali ku niebu. Z kaznodarem jesteśmy ciągle w stycznościach szczerych i tajemnych, z panem Simoni zaś w stosunkach jawnych a nie-szczerych.

Naczelnik komitetu medycznego żądał, abyśmy go odwiedzili. Odpowiedzieliśmy dostojnemu mulatowi, że czasu nie mamy, że dobrze będzie przyjętym, jeżeli nas raczy uczcić swą wizytą. Pan prezes nie przyszedł.

Wypędziliśmy ze szpitalów wszystkich tak nazwanych uczniów szkoły lekarskiej wojskowej, bo do niczego nie byli zdolnemi; przekonaliśmy się nawet, że nam robią na przekor, i że niejednego niepowodzenia stali się umyślnemi przyczynami. Widocznie w znowie byli z panami radcami i lekarzami miejskiemi.

Należało zastąpić tych panów uczniów tak nazwanej szkoły lekarskiej innemi, na chirurgów pomocniczych i na infirmerów zdolnemi ludźmi. Nie brakło takich w Maroko. Murzyni i żydzi służyący tam w licznych zakładach łaźniennych, zręczniejszemi się okazali, ochotniejszemi i zdatniejszymi od wszystkich Maurów i renegatów marokańskich. Łatwo ich było nauczyć puszczenia krwi, stawiania baniek i pijawek, i innych manipulacyj niższej chirurgii. Kilkunastu z tych murzynów wyszło nawet na bardzo zręcznych wojskowych felczerów, podczas naszego krótkiego pobytu w Maroko. Pan Simoni i kilku z młodych lekarzy uznali przecież, że można się było czegoś nauczyć w naszej praktyce i nie opuszczali żadnej sposobności przypatrywania się naszym działaniom podczas godzin wizytowych. Prócz tych godzin, każdemu do szpitala nienależącemu, czy lekarzowi, czy oficerowi, żeby najdostojniejszemu wstęp był wzbroniony,

infirmierom zaś pod żadnym pozorem niewolno było oddalać się z niego. Porządku pilnowała warta cesarska i janczarowie do naszej służby przeznaczeni.

My pilnowaliśmy szpitala, a nas z drugiej strony pilnowała warta cesarska. Spostreśliśmy wkrótce, że wszystkie nasze kroki są śledzone, że żadne z naszych działań nie uchodzą oka gospodarzy: we wszystkich wycieczkach do miasta i do okolic towarzyszyła nam warta, nibyto dla honoru. Często wstępowaliśmy do dzielnicy żydowskiej, opasanej osobnym murem, w samym mieście na końcu zachodnim, w miejscu, gdzie rzeka Tenesif przebiegająca całe miasto, wychodzi pod pokrytym mostem, dobrze kratami i działami opatrzonym z miasta Maroko. Zakupywaliśmy różne towary w tej dzielnicy u żydów, z którymi, chociaż lubią oszukiwać, zawsze łatwiejsza sprawa, jak z Maurami, również chciwymi jak żydzi, a więcej wymagającymi, po największej części bardzo złośliwymi i zawsze na chrześcian rozjątrzonemi.

Proszono nas, abyśmy nigdy nie puszczaali się inaczéj do miasta, jak w lektykach dobrze zasłoniętych; utrzymywano, że spotkać nas może jaka niegrzeczność ze strony Maurów, jeśli téj ostrożności zaniedbamy. Zmieniano nam nawet lektyki co trzeci lub czwarty dzień, dla usunięcia wszelkiéj obawy. Warta nam tedy towarzyszyła, nie janczary, lecz gwardya cesarska komenderowana przez starego oficera, który stale u nas przebywał i z oka nie spuszczał *tibibów*.

Oficer wchodził z nami do sklepów i tam usiadłszy ze skrzyżowanemi nogami na kantorze, nic nie mówił, ale na wszystkie nasze ruchy i mowy pilną zwracał uwagę. W wycieczkach konnych za miasto, także nam towarzyszył nasz Argus. Jedném słowem, byliśmy w Maroko gośćmi bardzo pilnie strzeżonemi.

Mosiek zapoznał nas z kilkoma żydami bardzo majątnemi. Udało nam się parę razy oszukać baczość naszego baszy i odwiedziiliśmy tych żydów w ich mieszkaniach. Wielki i zupełnie niespodziewany u nich znaleźliśmy przepych: najpiękniejsze kobierce i jedwabne ciężkie materye, złote kandelabry zdobity ściany, sufit i podłogę; kobiety bogato, lecz niekoniecznie gustownie ubrane, witały nas z wielką serdecznością, dziękując za wyświadczonej im zaszczyt. Wiele było prawdziwie pięknych pomiędzy temi kobietami: typ takiz jak i u nas, charakter twarzy zawsze ten sam, chociaż marokkańscy żydzi utrzymują, że pochodzą z pokolenia Levi, i że tak wielka pomiędzy nimi a innemi żydami zachodzi różnica, jak pomiędzy niebem

a ziemią, lub też koniem a osłem. Bardzo też są dumni ze swego szlactwa, i za nic w świecie nie chcą się mieszać związkami małżeńskimi z żydami, których tu nieraz burze losu, lub szacherka z dalekich stron zawieje.

Pomimo tego nie masz pomiędzy żydami maurytańskimi uczonych żydów, jak pomiędzy naszymi. Belfery ich wykładają stary testament i talmud w arabskim tłumaczeniu; bardzo rzadko trafi się tutaj żyd umiejący po hebrajsku, a taki jest uważany za nadzwyczajnie uczonego.

Tylko wewnątrz domów żydzi ubierają się czysto; na ulicach wszyscy chodzą prawie w łachmanach brudnych i ciemnego koloru, a to aby ująć chciwości Maurów, pozwalających sobie wielkich względem nich nadużyć.

Raz bawiąc u jednego żyda, który dużo po świecie podróżował, dowiedziałem się, że się znajduje nieopodal w karawanseraju żydowskim Izraelita jakiś bardzo biedny, a urodzony w Polsce.

Zelektryzowała mnie ta nowina. Tu u podnoża Atlasu znaleźć rodaka, choćby tylko w biednym żydku, to przecież wielka rozkosz. Posłałem mego Mośka na odszukanie tego żyda i dodałem mu janczara do eskorty. Przyprawdzają mi biednego, ze strachu truchlejącego żydka; mógł mieć około lat dwudziestu sześciu, ale okropnie był wynędzniały i obdarty, przytęp na jedno oko nie widział.

— Żydka, mówisz ty po polsku? — przemówiłem do biedaka. On już i tak struchlały zaczął się trząść na całym ciele, otworzył usta i przemówić nie mógł ani słowa. Widziałem jednakże, że mnie rozumie, i dodałem: — nie bój się biedaku, ja ci nic złego nie zrobię: ja twój przyjaciel, *rodak*.

Teraz dopiero żydek odzyskał zmysły, przyskoczył do mnie, do nóg mi upadł i znów skoczył na nogi i całować mnie zaczął po rękach; nawet do twarzy mi się dobrał z rzewnością, o jakiej nikt sobie nie zdoła zrobić wyobrażenia. Krzyczał jak opętany: „ja z Polski, ja z Brodziech, był tam jegiomość? Aj waj! issydues! ja syn starego Szinula. Aj waj mir! on już nie żyje! zabili go te hultaje jak wracał z Tafiletu z proszkiem złotym, z jedwabiem, z kością słoniową, perfumami Arabii i innymi drogiemi towarami.”

I nuż znowu biedny żyd płakać, szlochać i wyrwać sobie brodę. Nareszcie się przecież uspokoił i mógł opowiedzieć historią swego życia i swych nader ciekawych wędrówek. Ojciec Icka Szlamy był kuśnierzem i handlarzem futer w Brodach, i dobrze mu się

bardzo wiodło: dzieci miał przeszło mendel. Wtém wybuchu w Brodach cholera; z samej rodziny Icka umiera ośm osób. Stary Szmul Szlama przymuszony pokutować na worku popiołu przez ośm tygodni, bo taki zwyczaj u prawowiernych żydów, zasmakował podczas pokuty w czytaniu ksiązek religijnych, a szczególnie w talmudzie. Książki te i medytacye tyle dokazały, że Szmul oddał się całkiem religii, że handel swój i skład wyprzedał, i z całą pozostałą mu familią, a było tego jeszcze sporo, bo i żona i siedmioro dzieci, do Jerozolimy pociągnął. I tu w Jerozolimie także Szmul zamiast pracować i szachrować, książkom się jedynie, modłom i medytacyom oddawał, aż się wkradła do rodziny bięda okropna. Ocknął się wówczas Szmul, i chociaż już niemłody, zakupił za resztę swego majątku towarów i poszedł w świat, naprzód do Beyrut, obiecując, że wróci za półtora roku z pięknym majątkiem. A znał się na handlu doskonale stary Szmul: wiedział co gdzie tanie i co gdzie poszukiwane. Poszedł w świat i dał znać o sobie z Beyrutu, potem z Alexandryi, z Kairu i z Tripolis, a potem już nie pisał i Bóg wie co się z nim stało, bo rok jeden i drugi minął, a listów nie było, ani wiadomości. Wówczas rodzina Szmula doszła do najwyższego szczebla nędzy, a litości mało jest pomiędzy żydami w Jerozolimie; daleko jej więcj w Polsce. I Szmulowa powiedziała do swych dwóch synów starszych: idźcie i odszukajcie ślad ojca. Icek i Boruch Szlama dostali się naprzód do Tripolis; tam im powiedzieli żydzi, że Szmul tu był, sprzedał jedne towary z korzyścią, zakupił drugie bardzo tanio i pociągnął do Tunis. Icek i Boruch Szlama poszli do Tunis i tam im powiedzieli żydkowie, którzy się za ręce trzymają, że Szmul Szlama przewany mądry sprzedał i kupił towary z wielkim zyskiem i bez najmniejszej straty, i poszedł do Algieru, a z Algieru poszedł do Bony, a ztamtąd do Tangieru, a z Tangieru do Mekinez, a ztąd do Maroko, a z Maroko do Tafiletu, i wszędzie mu szło dobrze. Synowie Szmula poszli za nim w trop. Ale w podróży z Maroko do Tafiletu, w tak nazwanych Mamman-Saharach, *simuhu* wiał tak okropnie i tak zabójczym żarem piekło słońce, że wszystkie wody wyschły w butelkach i nawet w żołądkach wielbłądzych. Znaczna część karawany wymarła w najokropniejszych męczarniach, a pomiędzy temi był Boruch Szlama, i znaczna część rozchorowała się na różne choroby, a szczególnie na zapalenie ócz. Icek Szlama stracił oko nim jeszcze przybył do Tafiletu, ale choć chory, zbolący i zmartwiony po stracie brata, zaraz pytał o ojca i dowiedział się, że mądry żyd z Jerozolimy był tutaj z towarem, i sprzedał go dobrze,

zakupił inny i wrócił z Tafiletu do Maroko jeszcze przed rokiem; że spieszno mu było bardzo, i że nie czekał zebrania wielkiej karawany, tylko z małą się puścił. Miał już wtenczas cztery wielbłądy, noszące najprzedniejsze towary Indu, Arabii i puszczy, ogromne paki napelnione piaskiem złotym, aromatami, jedwabnemi materjami, skórami, strusiami piórami, koszenillą, gummą i kością słoniową.

Biędny Icek przeczuł całą okropność prawdy, przeczuł, że ojciec jego musiał zginąć w tój podróży. I w wielką wpadł rozpacz i włosy sobie wrywał i suknie darł na sobie i krzykami swemi rozdzierał powietrze. Tu żył od kilku tygodni w karawanseraju zebrząc kawałka chleba i nie wiedząc co ma robić, kiedy przybył do niego jakiś człowiek z jasną brodą, a w sukniach maurytańskiego kupca i zaczął do niego mówić po arabsku. Icek mało znał ten język. Wówczas nieznajomy zaczął mówić po hebrajsku; Icek zdziwiony opowiedział mu po hebrajsku całą swą historją. A nieznajomy przemówił do niego po polsku. Icek jeszcze więcej zdziwiony rzucił się nieznajomemu do nóg i błagał go o pomoc i o radę; a ten dobry nieznajomy dał mu pieniądze i powiedział, że się sam dowię z kim Szmul Szlama ruszył w podróż, i czy kto wrócił z tój karawany do Tafiletu. Nikt nie wrócił z nięj niestety; nikt nie mógł powiedzieć, czy karawanę pochłonał *simuhu*, lub tęcz, czy się stała ofiarą berberskich rabusiów. Nieznajomy często przychodził do Icka i radził mu wrócić do Maroko, pytać się wszędzie po drodze o wiadomości i prosić syna cesarskiego o pomoc w razie, gdyby stary Szmul miał być zabitym, lub uprowadzonym przez Berberów. Oprócz tego dał mu list do jakiegoś kupca w Maroko.

— A któż był ten nieznajomy?

— To był zapewne misyonarz katolicki, rodem z jakiegoś kraju, w którym mówią po polsku—odpowiē Icek.

— Zkądże to wnosisz?

— Bo on i moie chciał nawracać na chrześcianina, ale ja tak byłem skołatany, żem ani słuchał tego, co on mi mówił. On tylko udawał, że był kupcem, ale nim nie był w istocie, bo o zysk nie dbał wcale. I na sztuce leczenia znał się także i niejednego wyleczył. Ale zawsze mówił o Bogu, i krzyż nosił na samém sercu wypiętnowany. Arabowie bardzo go czcili, kilku z nich nigdy go nie odstępowało i zwali go *talibem*, a imię miał Sidi Andra Emkadem, to znaczy po polsku: ojciec Andrzej.

— I cóż się z nim stało?

— Wybierał się w bardzo daleką podróż, aż do Tombuctu, za wielką puszcę Sahary. Ja zaś poszedłem za jego radą i niewiele dbając o życie puściłem się napowrót do Maroko, zasięgając wszędzie wiadomości o mym ojcu. Na nieszczęście dowiedziałem się całej okropnej prawdy. Na połowie drogi ztąd do Tafiletu, o 16 dni podróży z jednego i drugiego miejsca, dzicy Berberzy z El-Harib napadli na karawanę i wymordowawszy wszystkich kupców, uprowadzili z sobą wszystkie wielbłądy i kilku furmanów wielbłądzich. Z ciężkiem od żalu sercem wracam do Maroko i list Sidi Andra Emkadema oddaję kupcowi; ten mi wyrabia posłuchanie u syna cesarskiego, który jest dobrym i sprawiedliwym panem, i raz w tydzień sędzi sprawy wszystkich biednych. I mnie wysłuchał cierpliwie i dał mi 10 cekinów złotych prosząc, abym miał cierpliwość, że może z pomocą Boga można będzie wysledzić sprawców zbrodni, skarać ich przykładnie i odebrać im choć część majątku ojca mego. Sekretarz dobrego księcia spisał najdokładniej całą mą skargę, i wiem, że wyprawiono listy do baszów; ale już czekam cztery miesiące i jeszcze mnie nie powołano do następcy tronu: może już cała sprawa zapomniana.

— A jak się nazywa kupiec, do którego ci dał list Sidi Andra Emkadem?

— Nazywa się Abu-Bekir-em-Amor i mieszka w Kaissaryi na lewo od wnijscia, handluje pargaminem, papierem i starymi książkami, i także zna się na lekach, ziołach i kamieniach. Każdy w Kaissaryi zna Abu-Bekim-em-Amora.

Dałem Ickowi kilka cekinów i obiecałem wstawić się za nim do następcy tronu, przez Ali-Solima baszę, kaznadara, zawsze pełnego dla nas dobroci.

Nie tracąc ani chwili czasu kazałem się zanieść do Kaissaryi, to jest do głównego karawanseraju, dla wyszukania Abu-Bekira-em-Amor.

Wszyscy znali go tu doskonale. Siedział sędziwy Abu-Bekir w małym sklepiku za stołem papierów i ksiąg, otoczony butelkami i saszczkami, puszkami i szkatuleczkami różnej wielkości i rozmaitych kolorów. Brodę miał czarną, świecąca po pas, i zarostu tyle na bladej twarzy, że mało co ję wyzierało; na oczach bystrych błyszczały okulary, na głowie już łysiej zawój nosił czysty, zresztą jednakże prawie brudno był ubrany.

Pod pozorem kupienia książek wdałem się w rozmowę, i korzystając z pierwszej sposobnej chwili opowiedziałem sędziwemu księgarzowi kto jestem, i że tu znalazł rodaka w żydku, który przywiózł

kupcowi list z Tafiletu od osoby, która zapewne także jest mym rodakiem.

Sledczym wzrokiem wpatrywał się we mnie Abu-Bekir, narzeczcie rzekł do mnie po włosku:

— Jakto? pan nie jesteś Anglikiem i dla dogodzenia swęj ciekawości podróżujesz pod protekcyą tego narodu, który prawdziwéj wiary najzaciętszym jest wrogiem?

Aha! pomyślałem sobie, to niezawodnie ksiądz katolicki, a odpowiedziałem:

— Nie uważam Anglików za nieprzyjaciół ludzi, ani téż chrystyanizmu.

— A tak jest w istocie, panie doktorze. Ludzkość, religia, chrystyanizm, wszystko to u Anglika jest tylko narzędziem do zdobycia materyi, a nie celem, nie głównym przedmiotem. Wierz mi pan, że tak jest. Wypudki wkrótce okażą słuszność mego twierdzenia. Kto jest największym nieprzyjacielem Francyi? — oto Anglia, a Francya jakkolwiek dziś nizko stoi, nie przestała jeszcze być mieczem i tarczą przedziwnéj i jedynéj wiary.

Te słowa przekonały mnie, że mój Abu-Bekir-em-Amor był zaciętym Jezuitą, i nie myliłem się wcale.

— Wielebny ojcze, widzę bowiem, że jesteś kapłanem: wielebny ojczel— odpowiedziałem— i Francuzi hołdują Mammonowi i Baalowi, może jeszcze serdeczniej od Anglików. Najlepszych swych przyjaciół opuszczają gdy trwoga, a może i rękę na nich podniosą, gdy interes chwilowy przemoże. Ale mniejsza o Anglików i Francuzów, mnie tu do ciebie wielebny ojcze sprowadziło co innego, ważniejszego. Dowiedziałem się, że mam ziomka uż w Tafilecie: co mogło zarzucić tak daleko syna téj saméj co i ja ziemi?

— Nic go tam nie zarzuciło—odpowié Abu-Bekir-em-Amor— zaprowadziła go tam gorliwość o dobro jedynéj ojczyzny godnéj chrześcianina—gorliwość o dobro naszego świętego kościoła. Sidi Andra Emkadem jest pośrednikiem pomiędzy mną a braćmi naszymi, pracującymi w winnicy Pańskiéj w Tombuctu; on jest ważném ogniwem téj niezmiernéj sieci, która otacza kulę ziemską i jest na tym świecie reprezentantem Opatrzności boskiéj. Brat mój zbłądził, że część tajemnicy powierzył niewiernemu żydowi; uniesiony uczuciem miłości do kraju i rodaka, przekroczył przeciw prawu nami rządzącemu; ale mu darować musimy, bo nikt prócz niego nie mógłby dokazać tego, co on dowodzi, nikt się więcéj nie poświęca dla dobra ogółu. On na swym szybkim mehari odbył w dwóch latach pięć

razy podróż z Tafiletu do Tombuctu i napowrót. Tego może jeszcze żaden człowiek nie dokazał. Ale czy wiesz mój synu, coto jest owa puszcza Sahary?

— Wiem, wiem mój ojcze: to piekło na ziemi — odpowiem misyjonarzowi.

— Trywialnego użyłeś porównania, ale masz słuszość, to piekło! Żaden jeszcze Europejczyk nie zdołał wytrzymać przez godzin sześć kłusu dromedara puszczy; Sidi Andra obdarzony jakąś siłą nadzwyczajną wprost mu od Boga daną, w tydzień jeden staje z Tafiletu w Tombuctu, w siedm dni pędzony uraganem robi przeszło 200 mil geograficznych drogi, i dwa razy tylko staje podczas podróży dla napojenia swego dromedara. Karawany dopiero w pięćdziesiąt dni stają z Tafiletu w Tombuctu, i tam odpoczywają półtrzecia miesiąca. Sidi Andra odpoczywa tylko dni dziesięć. On się poświęcił dla naszej wiary, bo raz zginąć musi w téj okropnej podróży, i zakopany pod piaskiem przepadnie, nie zostawiając na ziemi ani śladu. Ale on tylko w niebie pragnie znaleźć nagrodę i tam ją mieć będzie: my wszyscy o to Boga błagamy.

— Nie wiesz wielebny ojcze, z jakich okolic jest ten rodak, którego umiem ocenić zasługę i poświęcenie?

— Nie wiem ani zkąd jest, ani jak się nazywa swém rodziném nazwiskiem. Wiem, że jest Słowianinem, i że opuszczając seminarjum misyjonarskie w Rzymie, chciał być wysłanym tam, gdzie niebezpieczeństwo i trudy największe. Kościół jest jego ojcem, wiara jego matką, a nadzieja chrześcian jego ojczyzną.

Więcej w tym względzie nie mogłem się dowiedzieć od ojca Amora, tak się bowiem nazywał ów misyjonarz, znany tu i uwielbiany powszechnie jako człowiek surowej cnoty, wysokiego rozumu i wielkiej czynnej dobroci. Rząd tutejszy przenikał tajemnicę jego, chociaż była dobrze tajoną, ale ze względu na cnoty misyjonarza, patrzył na resztę przez szpary. Tak prawdziwo zasługa wszędzie, nawet i u fanatycznych barbarzyńców znajduje uznanie.

Nie byłem w stanie dowiedzieć się niczego więcej o ojcu Andrzeju. Zapewne już oddawna leży pogrzebany pod gorejącemi piaskami Sahary, i rodzina jego zapewne nie wie, że syn ten naszej ziemi rozkrzewił wiarę na niej czerpaną, aż na okropnej puszczy dalekiego nieba.

Może téż w sprawozdaniach missyi katolickiej wspomnianém jest gdzie nazwisko ojca Andrzeja? Szkodaby było, żeby tak piękny przykład poświęcenia zatraconym został.

Wróćmy jeszcze do sultańskiego seraju, w którym murzyni uczą się ciągle mustry artyleryjskiej od owych *dragonów angielskich*, którzy tu nibyto dla eskortowania podarunków przybyli, a w Maroko stanawszy, na instruktorów artylerji marokańskiej wyszli. Płacono każdemu po gwinei dziennie, i przytém nie zapomniano przysyłać wszystkim codziennie monę, składającą się z całej menażeryi bydła i drobiu.

W trzecim tygodniu naszego pobytu zaledwie stu pozostało chorych w szpitalu. Lekarze tutejsi obeznali się z właściwym sposobem leczenia oftalmii egipskiej, i potrafili spożytkować zdobyte wiadomości. Najlepiej udawały się ciągle irrygacye wody letniej na oczy. Łatwo je użyć w szpitalach: nad szeregiem łóżek, przeciągaliśmy rynny z trzciny bambusowej, dobrze wyłobionej, a w części tych rynien, przypadającej nad oczy, kazaliśmy wiercić dwie małe dziurki w odległości dwóch ócz; przez te dziurki dopiero przeciągaliśmy kawałki szpagatu stosownej grubości, które wisiały nad oczami na trzy cale. Z rynien napełnionych najczystsza wodą źródlaną, staczały się krople téj wody na oczy, chłodziły je bardzo przyjemnie, i obmywały z nich ropę. Po płótnie woskowém, należycie podłożoném pod głowę pacjenta, staczała się woda na podłogę marmurową, inną bowiem nie było w całym mieście. Marmur tu i tani i dobry, i kilka tysięcy ludzi żyje z wydobywania go z Atlasu, i z obrabiania go.

Niesfornym, niechęcącym trzymać ócz pod szpagatem, a takich było niemało, przekłuwaliśmy uszy, i za pomocą jedwabnych sznurków przywiązywaliśmy ich za nie do łóżka. Często także musieliśmy przywiązywać ręce i nogi naszym pacjentom. Nic nas nie zrażało do osiągnięcia celu.

Nie każdego można było wyleczyć temi prostemi środkami: często należało się uciekać do wypalenia oka kamieniem piekielnym, do innych środków zewnętrznych i wewnętrznych bardzo sprężystych. W ogóle lekarstwa wszystkie, byleby były stosownemi, bardzo skutecznie i prędko działały na tych synów natury, nieprzupalonych alkoholem, nieprzedziurawionych merkuryuszem.

Nawet i *lepra*, *elefantiasis*, *pellagra*, *psoriaris* i inne choroby skór niezwykłe w Europie, ustępowały po użyciu systematyczném środków krew czyszczących, i poty wolne pędzących. Na zwalczenie zapaleń, rzadko uciekaliśmy się do innych środków przeciwzapalnych, jak do saletry i innych obojętnych soli.

Następca tronu zadowolony był z rezultatu naszych działań, często nas odwiedzał w szpitalu, dwa razy nawet przyszedł *in cognito* odwiedzić nas w domu.

Dla Ieka uzyskaliśmy sto cokinów konsolacji, i solenną obietnicę, że sprawa jego, której uznawano słuszność, nie pójdzie w zapomnienie. W chwili obecnej nic nie można było dokazać więcej: prawie wszystkie berberyjskie plemiona stały w pogotowiu pod bronią, i domagały się ogłoszenia wojny świętej przeciw Francuzom, którzy przyparli Abd-el-Kadera tuż pod granicą marokańską. Emir umiał przez agentów swych gęsto rozsianych wzburzyć umysły wszystkich fanatyków, i rozochocić rabusiów przeciw chrześcianom. Cesarz z natury swój wcale niebitny, nie cierpiał przeciw Francuzów, i co więcej, nie śmiał opierać się żądaniom fanatyków; a cesarzewicz chociaż lubił Francuzów i europejską cywilizacyą, nie umiał się oprzeć ochocie zmierzania się z zapasnikami tyle zachwalonemi. Wrzały namiętności w kraju tak namiętnym jak marokański; przyszło musiało wkrótce do wybuchu. Partya umiarkowanych i rozumnych nader była nieliczną w radzie cesarzewicza, nader trwożliwą w radzie cesarza. Spokojni wieśniacy pragnęli pokoju, ale ich własni szejkowie, posiadający po największej części stopnie honorowe wojskowe w armii cesarskiej, uważali za rzecz niestosowną opierać się ogólnemu usposobieniu umysłów, dążącemu do wojny.

Taki był stan rzeczy w początku czwartego tygodnia naszego pobytu w Maroko. Przewidywaliśmy burzę, ale póki garnizon angielski, chociaż tak nieliczny, stał w seraju sułtana, nieczego nie lekaliśmy się wcale, dla własnej osoby przynajmniej.

Zrobić wycieczkę daleką w Atlas, to było móm najserdeczniejszém życzeniem w tej chwili; ale rzecz ta była niemożliwa: żaden nawet z Europejczyków tutaj przebywających nie miał odwagi jęj dokonać. Tylko najniższe stopy tej świetnej góry były zamieszkałe przez włóścian, wyżej pięły się lasy i bory, pieczary i jaskinie, służące za przytułek Berberom i dzikim zwierzętom. Dalej były skaliste i przepadziste okolice, a nakoniec wieczne śniegi, nigdy całkiem nietopniejące.

Atlas, ten Bóg tajemniczy, ten dzwignacz nieba, nigdy z tej strony i przez nikogo nie został wyzutym z swego panienstwa. Sterczał jak kręgiel przed naszemi oczyma, i urągał się z odwagi ciekawych synów Europy. Tylko na stopy jego można było robić wycieczki, i nieraz w śmiałym pędzie arabskich rumaków dotarliśmy do lasów dziewiczych, opasujących starego Tytana.

Raz, byłoto już w końcu lipca, powołani do szejka Ben-Zo-Dar-Ziodacerów znaleźliśmy się w powabnej i żyznej okolicy na południu Maroko. Dr. Hamilton zatrudniał się rozmową z szejkiem, ja zaś pobiegłem sam jeden ku studni starodawnej, pomiędzy pagórki, przepaści i duary Arabów. Mówili nam, że ta studnia jest zabytkiem Rumów, tojest Rzymian. Byłoto pod wieczór. Słońce chyliło się ku widnokręgowi, który w tém miejscu dość płaszczysty. Staję u studni, zdaleka oznaczonej wysokimi drzewami, otaczającemi ją jak duchy opiekuńcze. Studnia to monumentalna. Węzem się wily schody prowadzące aż do zwierciadła wody, a schody te opatrzone poręczą tak były wygodne, że nie mógł oprzeć się ochocie zejścia aż na dół. Zadumałem się, siedząc na kamiennych schodach. Aż tu naraz spuszcza się ponad głowy memi koneweczka gliniana, aż do zwierciadła wody. Sam niepostrzeżony patrzę w górę. Boże! coto za anioł czerpie tę wodę? Za ledwie ubrana, bo tylko w jasno-niebieskiej koszulce wełnianej, chyli się dziewica ku głębi, i czerpie wodę wędką, u której na długim sznurze wisiała koneweczka. Na głowie pokrytej czarnemi jak heban włosami, w dwa długie warkocze splecionemi, nosiła czerwoną krymeczkę; oczy miała czarne ukosem wycięte, a twarz jak statua Praxitelesa, nieporównanej piękności, ale brązowa jak spiż, rumieniący się w blasku wschodzącego słońca. Wszystkie ruchy i wszystkie wdzięki tój młodej istoty jaśniały szlachetnością, i czułym językiem przemawiały do serca, zwłaszcza, gdy się młoda Arabka przechyliła przez balustradę studni.

Czerpnęła wodę i w górę windowała konewkę, ale ostrożnie, aby jej nie zbić o żelazne poręcze, albo o same schody. I ja za koneweczką pobiegłem w górę, bo z tym aniołem chciałem się poznać.

Wychodzę tedy ze studni i wołam:—Oh! jutrzeńko dnia mego, oh Zorayo! daj się napić wody.—Ona na głowie trzyma koneweczkę i ucieka, ucieka prędko jak antylopa, i krzyczy: *dżin! dżin!* tojest duch! duch!

— Nie, to nie *dżin*, kochanie, to tylko *rumi* spragniony, który błaga, abyś mu udzieliła choć kropelkę z tój wody, bo umiera z pragnienia—rzeknę dalej, błagając.

— *Rumi? rumi?* — odrzekła dziewica, i z ciekawością w tył spojrzała.—Ja *rumia* nigdy nie widziałam: jak wygląda *rumi*?

— Ot tak wygląda! patrz na mnie dziewico: wygląda jak wszyscy!

— Chodź więc oh *rumi!* chodź, kiedyś spragniony — rzecze dziewica arabska, i z głowy zdejmuje koneweczkę, o łono ją opiera, i brzegi naczynia do mych ust zbliża.

— Ja klękam i piję, i długo piję, bom istotnie był spragniony. — Ale miła dziewico, czémże ci wywdzięczę—rzekłem ocierając brodę.—Patrz, tu na spodzie téj koneweczki musi być coś dla ciebie.—Istotnie na spodzie koneweczki błyszczał piękny nowiuteński cekin złoty.

Ach jaka była radość młodej dziewczyny! ona jeszcze nigdy w swém życiu złota nie posiadała. I tego nie wyda cekina, tylko go przekłuje i we włosach nosić będzie.

Ale trzeba znów napełnić koneweczkę, bo woda z niej wypita i wylana. Ileto nieporównanej gracyi w ruchach a piękności w tych bosych nogach, stokroć kształtniejszych od wszystkich utworów dłuta najpiérwszych rzeźbiarzy. Cały raj cudnych uroków!

— Powiedz śliczna dziewico, jak się nazywasz?—rzekłem do méj nowéj przyjaciółki.

— Imię mi Azali—odpowié Arabka.

— A daleko ztąd mieszkasz?

— Oh tuż blisko: patrz w tym duarze, którego chatki pod koronami palm i pomiędzy jaśminami stoją.

— I pozwolili ci pójść saméj czerpać wodę?—pytam dalej.

— Ja prawie sama pozostałam w tym duarze z małemi dziećmi i starcami. Mężczyzni co broń mogli nosić, lub téż chłopcy co już krzyzcé tego umieją, poszli zrobić obławę na lwa, który nam trzody pustoszy; wszystkie zaś dorosłe kobiety są na weselu w drugim duarze. Ja pozostałam w domu, bo nie mam się w co ubrać: przed tygodniem pożar wybuchnął w naszej chatce i w nim spłonął cały mój ubiór święteczny. Sama jedna jestem w chatce mych rodziców, w téj nowéj chatce, którą nam przyjaciele wystawili—dodała Azali rumieniąc się i patrząc mi figlarnie w oczy.

— Ale psa macie bardzo złego, nieprawda?

— Psa mamy złego, ale go zamknę w obórcie, żeby nie szczekał—rzecze Azali z ową niewianą minką dziewiczej naiwności.

— Słuchaj Azali, zobacz na spodzie twéj koneweczki, może tam znajdziesz jaki cekin, bo ich tam wiele w téj studni.

Azali zdjęła konewkę z głowy i znalazła w niej drugi złoty pieniążek. Ach jak była uszczęśliwioną! jak ją ozdabiała radość!

Azali pobiegła do duaru z koneweczką prózną na swéj pięknej zakłopotanej głowie. A ja stałem długo na tém miejscu i zapłakaném okiem ściagałem lotny cień znikający w nocnej pomroce.

Długo marzyłem i walczyłem z sobą. Wszedł srebrny księżyc. Azali po wodę nie wraca. Bądź zdrowa arabska dziewico,

jutro łowić znów będziem złote cekiny. Oh! księżycu! z dalekiego przychodzisz wschodu, i palcem mi grozisz.

Bądź zdrowa arabska dziewico! na zawsze!

Już koń osiodłany, wszyscy na mnie czekają. Siadam na koń, wszystkich za sobą zostawiam.

— *Oh irehm?* (kto idzie)? — pyta warta seraju Abderhammana.

— *Engle Tibib! Fodor-Efendi! Ered miatah! ikdam* (angielski doktor, Fodor-Efendi. Otwórz bramę natychmiast).

Nazajutrz po południu wchodzi mister Westmoreland do nas i zacięrając ręce śmieje się rozkosznie.

— Oho! zwiastujesz nam jakieś nowiny? — zapyta dr. H.

— I ważne, i wielkie. Wygraliśmy sprawę przeciw Francuzom — odpowie Westmoreland. — Wojna święta w Maquinez już ogłoszona w tej chwili, pojutrze zaś ogłoszoną będzie w Maroko. Dalej w drogę; Francuzom nawarzyliśmy dobrego porteru: idzie o to, żebyśmy go nie skosztowali sami. Wasi chorzy już się dobrze mają; jutro w drogę wszyscy razem, nieprawdaż? Chyba, żebyście chcieli tu pozostać na własną rękę, ale nie radzę, to lud fanatyczny, i bijąc się za wiarę, gotów przyjaciół chrześcian wziąć za nieprzyjaciół Franków.

Pozegnanie nastąpiło na uroczystej audyencyi; podarunki dane, doliłóg dość skromne, aleć to ciężkie czasy, wojna przed wrotami, a chorzy już wyleczeni; już nie masz o co prosić. Kasnadar pożegnał się z nami czule: nie był on chętnym owój świętej wojnie i przewidywał klęski dla swego kraju. Icek już był założył mały handelek i w najlepsze szachrował. Abu-Bekir-el-Amor znikł gdzieś od dni kilku; jego pomocnik Maur, skrycie do chrystyanizmu nawrócony prowadził handel i utrzymywał, że pryncypał poszedł do Tafiletu zakupić towary.

Wracamy do Mogadoru: już nas gwardya Negrów nie eskortuje, spahisów tylko i janczarów dodano nam kilkunastu do straży.

Podróżujemy bardzo szybko bez dział, bez fregat i bez pontonów, a podarunki marokańskie nie ciążą nam wcale. Saharę mogadorską przebywamy przy świetle księżyca; wielka spokojność w atmosferze: puszcza piaszczysta niezatumaniona, rosą zwilżona, gładką była tym razem i połyskiwała jak ogromne prześcieradło w srebrnym blasku księżyca.

Mijamy grobowiec świętego Mogadola, mijamy i El-Kawar, to jest miejsce spoczynku umarłych dzieci Mahometa. Muezzin na minarecie wzywa do modlitwy: Maurowie, Arabowie i Negry zsiadają z koni i wielbłądów, myją się w rzece, ścielą burnusy na ziemi i twarzą

zwróceni ku wschodowi klękają i modlą się rzewnie do Allii. Żydzi zebrani w osobną gromadę kiwają się, przypasawszy przykazania Mojżeszowe do głowy i ściągawszy rzemieniem rękę lewą, tak jak to zwykli czynić hussyci w Pinczowie i w Kolbuszowej. Chrześcianie tylko pozostali na swych koniach, lecz je zwrócili ku wschodowi także, i w tej chwili uroczystej myślą o Bogu i o Synie jego, który nam zwiastował, że kiedyś wszyscy będziemy braćmi, i że wojny ustaną, skoro w serce trybunów ludzkości wstąpi szczerą miłość dla ludów.

Most zwodzony, wysoki mur, a na nim dwie zbliżone do siebie baszty, to brama lądowa Mogadoru.

— *Ok irehm!*—krzyczy warta.

— Angielscy żołnierze wracający z Maroko—odpowiada kapudan prowadzący nas.

— Poczekajcie aż słońce wejdzie i basza wam wstępu dozwoli; ale odstepcie na 200 kroków od bramy—odpowiódł oficer od warty.

Chcemy parlamentować. Oficer każe wam wziąć broń na ramię i chce strzelać. Nie masz rady, koczować musimy.

Świtać już zaczyna. Coś czarnego pnie się jak pajak na szczyt bramy, i zatyka coś okrągłego czarnego na jeden z haków, sterczących jak kły dzika ponad łukiem bramy.

To głowa człowieka.

Słońce wschodzi, wschodzi prędko, prawie nagle pierzchają nocne ciemności i znika niepewność.

To głowa Abur-Nazy zatknięta na haku, to głowa gońca konsulatu angielskiego, tego samego, co chciał być królem Gambii i zenić się z królową Wiktoryą.

Biędny murzyn padł ofiarą gniewu i słowności baszy. Prawda, baszy nie wrócono wielbłądów: wielką poniósł dzięki Abur-Nazy stratę.

Wpuszczają nas do miasta, biegniemy do konsulatu. Wita nas pan Wilshire, konsul angielski.

— Co się stało z Abur-Nazą?—pyta pan Westmoreland.

— Co się stało? Śpi w swój budce tu na dziedzińcu konsulatu, w budce janczarskiej—odpowiódł konsul, nie spodziewając się niczego.

Spieszmy do budki. W jednym pokoju śpi janczary i chrapią jak trąby janczarskie; w drugim pokoiku śpi Abur-Naza, ale nie chrapi, bo nie ma czem chrapać.

— Głowę gdzieś podział nieborak, dalibóg nie masz jej tu nigdzie—rzecze pan Wilshire nie wychodząc z angielskiej flegmy.

— My widzieliśmy kogoś co zatykał głowę Abur-Nazy na hak bramy lądowej, i potem sobie poszedł,—odpowiédł pan Westmoreland.

— Ale to zapewne nie sam Abur-Naza wyniósł swą głowę na przewietrzenie—rzecze znów mister Wilshire. To sprawka baszy i figiel szaiszy jego.—O tak zręcznym kacie w życiu mém nie slyszalem—rzecze dalej pan Wilshire.—Niedawno, będzie temu ze dwa miesiące, nie! zaledwie siedm tygodni; niedawno mówię, basza kazał szaiszy pójsć do żydowskiej dzielnicy i ściąć głowę jednemu żydowi handlującemu mąką i podejrzanemu o fałszowanie swego towaru. Szaisza przebrał się i głowę zasłonił burnusem umyślnie, aby go nie poznano, i szedł kupca właśnie w chwili, gdy ten nachylony przymieszywał krédę do beczki napół napelnionej mąką. Raz tylko machnął krzywym pałaszem, a głowa spadła w beczkę, i sam żyd dał nurka w mąkę. Nawet nikt z przytomnych nie spostrzegł się na figlu, i wielkie było zadziwienie żydów, gdy kupcu wyciągnęli z beczki bez głowy. Basza śmiał się do rozpuku z tój operacyi i kazał wdowie po Abramku dać za to szaiszy trzydzieści cekinów. Ale *à propos*, cóż poczniemy, czy wypowiemy wojnę cesarstwu marokańskiemu?”

— Oh nie! my nie na to tu przybyli, żeby Francuzom pomagać. Tułów Abur-Nazy pochowamy *ad acta*, i przy stosownej okoliczności upomnimy się za krzywdy. Wkradać się do konsulatu angielskiego i w ten sposób golić głowy jego sługom, to przeciez bardzo niegrzecznie.

A tak polityka chwilowa skłoniła tym razem Anglików do strawienia głowy Abur-Nazy, w tym właśnie czasie, w którym Francuzi upominali się zbrojną ręką o głowę pana Wiktora Darmon, Marsylczyka, konsula Hiszpanii i Sardynii, ścietego w Mazagan z rozkazu baszy. Z czego wypada, że дума angielska gotowa kapitulować, gdy idzie o upokorzenie rywalki.

Kapitan Bowley krążył na swym Trydencie po wszystkich wybrzeżach Afryki zachodniej, na południe posuwał się aż do brzegów Gwinci i tam polował na rozbójników morskich i na handlarzy niewolników. Za kilka dni jednakże wpłynął do przystani Mogadoru, już po ogłoszeniu *dżehadu*, to jest wojny świętej.

Te kilka dni przepędzaliśmy bardzo cicho i prozaicznie w obrębie murów konsulatu angielskiego. Basza raczył nas ostrzedz, że przy wzburzonym stanie umysłów ludu byłoby niebezpieczną rzeczą zwracać na się jego uwagę wycieczkami w głąb kraju, lub nawet w samo miasto.

Opuszczamy Mogador właśnie w dwa miesiące po wylądowaniu na brzegi Tangieru. W kilka dni później stawamy w Gibraltarze, gdzie wielka radość z wojny sprowadzonej na Francją. Cieszono się tu błogą nadzieją, że nieliczna francuzka armia zgnieconą zostanie w pierwszej potyczce przez marokańskie hufce.

Książę Joinville już krążył około Melilla, Ceuty, Alhucenas, Gibraltaru i Tangieru. Trzy miał statki liniowe o 120tu działach, jedną fregatę o 52, trzy brygi i 9 statków parowych. Jeszcze oczekiwano innych statków.

Z Gibraltaru przesłaliśmy niewolników naszych obdarzonych przez nas wolnością i pieniędzmi do Tangieru, z Tangieru zaś sprowadziliśmy rzeczy nasze i owę biedną Nubijkę, którą dr. Hamilton był nabył. Miała się już lepiej i z wielką niecierpliwością nas oczekiwała. I Mosiek wrócił do Tangieru, gdzie miał żonę i kilkanaście bachorząt; uzbierał on sobie do trzechset cekinów złotych w tej podróży i za nie zakupił towarów w Gibraltarze i założył handelek w Tangierze. Może już oddawna jest milionowym panem.

Nowiny nadeszły z Tangieru i z prowincyj północnych Maroko. Wszystko się brało ochoczo do oręża, jeden tylko wieśniak arabski niechętnie opuszczał swą rolę i swą pracę. Pod każdą strefą, w każdym narodzie, chrześcijańskim czy niechrześcijańskim, praca jest kolebką rozumu i uczciwości; kto się w niej zamiluje, kto ją uszanuje, ten ścigać nie będzie za zdobyczą, ten nie zechce zawdzięczyć przypadkowi żadnej korzyści.

A cóż jest szczęście wojny, jeśli nie przypadek?

Żal mi tych poczciwych włóścian arabskich: wielkie posiadają przymioty. Gościnni są i litościwi, pracowici, bogobojni, a przytém skromni w gustach, daleko mniej materyalni jak wiele ludów chrześcijańskich. Arabski rolnik gdy pracę dzienną skończy, wsiada na koń i buja po błoniach i puszczech, szybszy od wiatru i uraganu, lub też zapala ognisko, zbiera około niego swych przyjaciół, opowiada, lub przysłuchuje się opowiadaniom. Bieg konia go upaja i myśl jego czaruje, brzydzi się winem, o wódce nigdy nie słyszał. W boju jest mężny, nieustraszony w walce z dzikimi potworami puszczy, w giestach swych poważny i pełen gracyi. Czytać i pisać nie umie i nie wie nawet, że człowiek wymyślił jakieś sztuczne frazesa na zdefiniowanie swych praw przyrodzonych; ale instynktownie jakoś wie, pojmuje i czuje, że owo stworzenie podobne do niego twarzą i wszystkiemi organami, nie może być od nie-

go nieskończenie wyższém, ani téż nieskończenie niższém, chociażby było w brylanty osadzoném, lub chodziło w łachmanach.

Wié on dobrze o tém, że na jedno skinienie szeika, kadego, kaïda, baszy lub sultana grad batogów sypnie się na jego pięty, a nawet i głowa spaść może; ale szeik jest ojcem, którego sobie wybrał, kady sędzią uczonym oddawna znanym z uczciwości, kaïd chciwym poborcą podatków cesarskich, basza najczęściej zdziercą, a sultan jedynym jego panem, na którego dopiéro na drugim świecie wolno się zalić lub uskarżać. Szeika tedy kocha, kadego wielbi, kaïda się strzeże, przed baszą ucieka, przed sultanem pada na kolana, gdy go zoczy, i bez strachu i bojaźni wyjawia swe żale, gdy mu niesprawiedliwość podrzędnych zanadto dokuczy: bo jedynie tylko sultan ma prawo bezwzględne do jego życia i do jego mienia; uchodzić przed jego sprawiedliwością na tym świecie niewolno, bo on jest z rodu Mahometa, doczesnym stróżem Boga: uległość dla niego jest artykułem wiary.

Tak tedy włóścianie arabscy chociaż ubodzy i ciemni, spodłoniemi jeszcze nie są. Mają monarchę gdzieś tam daleko żyjącego, uznają zwierzchników z własnej woli, lub z woli cesarskiej postanowionych; ale dostawiwszy kontyngens i opłaciwszy podatki, za wolnych się uważają ludzi, i zbrojnym oporem lub ucieczką w góry odpowiadają na wkroczenie baszy i kaïdego w ich swobody.

Rolnik arabski choć mu błogie światło chrystyanizmu nie przyświeca, pracowitym jest, moralnym i co się nazywa dobrym człowiekiem. Owéj chwilowój i przemijającej rzewności religijnej, której doświadczają czasem i najgorsi ludzie, wprawdzie nie znają; ale myśl religijna przez nich pojeta, ciągłą potrzebą poezyi w serce wcielona, czuwa nad Arabem bezprzestannie, towarzyszy mu wszędzie, nigdy go nie odstępuje prawie, gdyż chwile gniewu u niego są nader rzadkie.

To dzieci natury nieczepsute, nieznajdujące w zapomnieniu samego siebie ani uroku, ani ulgi, nieoddające się ani pijaństwu, ani téż poddające się zapalczywości.

Z alkoranu pojeli tylko to, co się najłatwiej do ich zatrudnienia, do ich położenia da zastosować, a to jest do pewnego stopnia mądrém i dobrém; w żadne nie wchodzi dyskusye dogmatyczne, wyłączające takich lub owakich bliźnich z prawa do litości Boskiej, lub z prawa do szczęścia wiecznego. „Bóg go sędzić będzie” mówią patrząc na złego człowieka.

Prawdziwie nie ma pod słońcem ludu zdolniejszego, więcéj usposobionego do korzystania z dobrodziejstw chrystyanizmu. Na-

uka Chrystusa przez tak prostych, rzetelnych ludzi przyjęto, będzie prawdą, ciągłym czynem popartą, a nie ową niepewną wiarą zaczynającą się od tliwości, a kończącą na nietolerancyi; błakającą się bezustannie pomiędzy bojaźnią śmierci i chciwością przyjemnych wrażeń, tak jak ją na nieszczęście pojmują owi nowożytni religijni uczuciowcy.

Włóścianie, czyto będą Arabowie, czy Maurzy, czy Beduini mahometańscy i izraelscy, stanowią najwięcej interesującą, najważniejszą i najliczniejszą klasę ludu marokańskiego. Jest ich przeszło 4 miliony, a zatem większa połowa ludności marokańskiej z wieśniaków się składa. Klasa ta pod rządem mądrym i sprężystym, stałaby się narzędziem odrodzenia dla całej północnej Afryki.

Maur, *szlachcic tego narodu*, co go nazywają marokańskim, pokrywszy Hiszpanią pysznymi pomnikami, błyszczący niegdyś jak meteor na firmamencie sztuk i nauk, nie posiada nawet samowiedzy swęj świetnej przeszłości: dziś chyli on swe czoło pokornie. Wszystko u niego przeżyte, wszystko zjadłe: dla niego nie masz przyszłości, nie masz odrodzenia, nawet cudzoziemskie jarzmo wskrzosić go nie jest w stanie do życia i honoru. Pod obcym panowaniem (jak się to w Algierji wykazuje), Maur nauczy się od swego zwycięzcy wszystkiego złego: wiarołomstwa, rozpusty, karciarstwa, nawet pijaństwu gotów się oddać.

Inny przedstawiają widok, inne nadzieje rokują wieśniacy arabscy. Korzyści cywilizacyi, na które od tak dawna spragniona czeka ziemia afrykańska, od téj klasy ludu najpierw ocenionemi zostały.

Dr T. Tripplin.



MAHOMET I JEGO ALKORAN.

(Wyjątek z nowego przekładu alkoranu, wprost z oryginału, przez A. Kazimierskiego;
podług wydania 1847 r. w Paryżu) (*).

Mahomet (albo Mohammed, według pisowni i wymawienia narodów wschodnich) urodził się d. 1 kwietnia 579 r. (1) po narodzeniu Jezusa Chrystusa, w Mekce, mieście Hedjazu, prowincyi arabskiej. Abdallah syn Abdhal Mottaliba był jego ojcem, a Amina, córka Wahiba, jego matką. Tak więc podwójnie należał do pokolenia Koreitów, licznego i potężnego, które się wzbogaciło przez handel, a wślawiło przez panowanie nad Mekką i pilnowanie świątyni Kaaba. Pokolenie to bardzo dawném szczyliło się pochodzeniem. Izmael syn Abrahama osiadł w Mekce, i został ojcem pokolenia, które w późniejszej epoce otrzymało nazwę Koreitów. Historycy muzułmańscy wyprowadzają jednozgodnie genealogią Mahometa przez dwadzieścia jeden pokoleń, aż do Adnana, jednego z potomków Izmaela; na Adnanie nie rodowodu zerwana tworzy przerwę, którą napróżno starano się zapełnić. Dodają historycy, że każdy z przodków Mahometa miał uwydatnioną na swojej twarzy światłość prorocką, która ostatecznie na osobę syna Abdallaha spłynęła, i z nim także wygasła.

Jeżeli nie przykładamy wiary do cudów, które miały towarzyszyć narodzeniu się i wiekowi dziecinnemu Mahometa, nic nie

(*) *Le Koran. Traduction nouvelle faite sur le texte Arabe, avec notes commentaires et preface du traducteur. Paris, 1847, 8vo.* Pierwsze wydanie wyszło w r. 1841.

(1) Nie zgadzają się na dzień i rok urodzenia Mahometa. Jedni podają liczby 569 i 571 po narodz. Chryst. opierając się na muftemaniu, że Mahomet miał 63 lat umierając w 652 r., drudzy cytują rok *stonia*, tak nazwany od wyprawy Abrahama przeciwko Mekce, (patrz rozdz. CV koranu) jako datę urodzin proroka; lecz wypadek ten nie ma stałe oznaczonego czasu.

znajdziemy szczególnego w jego życiu, aż do czasu apostołstwa. Ojciec go odumarł w drugim miesiącu, a matka w szóstym roku życia. Wychowaniem zajmował się z początku dziadek, a później wuj jego Abu-Taleb. Towarzyszył temuż w podróży do Bosra w Syrii mając lat 13, i tamto, powiadają, spotkał się z mnichem nestoryańskim Bahirą, który odgadując świetne powołanie młodego Koreity, miał go szczególniej czujności wuja polecić, zalecając strzedz go od żydowskich przebiegów. Powróciwszy do Arabii, Mahomet należał do wojny El-fidiar (pogwałcenie świętego miesiąca), którą pokolenie jego z Benu-Hawazinami prowadziło. Małą tu przecież miał sposobność popisania się z meztwem, albowiem jako zbyt młody, zbierał tylko rzucone przez walczących pociski i strzały. W 24 roku był dwa razy w Yémen, a w roku następnym odbył drugą podróż do Syrii z niejakim Meissarą plenipotentem bogatęj wdowy nazwiskiem Khadidia. Tą razą miał sposobność rozmawiania z kilku chrześcijańskimi mnichami, co wielki wpływ na jego wyobraźnię wyrzuciło. W tej podróży takim było sprawowanie się Mahometa, że Khadidia za powrotem z Syrii, oddała mu swą rękę i swój majątek. Dwudziesto-pięć latni Mahomet oskarował swoją 40-letnią oblubienicę 20 młodych wielbłądzie, tytułem weselnego daru. W pięć lat później Koreici odbudowywali świątynię Kaaba, która się stała pastwą płomieni. Kiedy przyszło wmurować w jednym rogu świątyni czarny kamień, do którego wszyscy osobliwsze czuli poszanowanie, wszystkie stronnictwa pokolenia dobijały się o ten zaszczyt; do sprzeczki mało brakowało. Postanowiono wreszcie poddać się wyrokowi pierwszego obywatela, który wejdzie drzwiami świątyni. Mahomet, który także zajmował się odbudowywaniem, odszedłszy ztamtąd na kilka godzin, znów powraca. Ustanowiony sędzią, każe kłaść kamień na płaszczu, którego końce trzymane były przez naczelników wszystkich pokoleń, sam zaś na właściwem ustawia go miejscu.

Mahomet już i tak przezwany El-Emin, to jest uczciwym i wiernym człowiekiem, powiększył sobie takim postępkim szacunek publiczny; godząc bowiem roszczenia czterech familij, potrafił nikogo nie obrażając, spełnić czyn zaszczytny w pamiętnęj dla Koreitów okoliczności. Począwszy od téj epoki aż do lat 40 życia, to jest aż do czasu apostołstwa, nie nam historia o życiu Mahometa nie podaje. Od młodych jeszcze lat widziano w nim zawsze skłonność do samotności: nieraz z całą rodziną usuwał się w góry Harra, w pobliżu Mekki leżące, i tam całe noce na rozpamiętywaniu sam jeden

trawil. Wspomnienia podróży syryjskich, rozmowy z chrześcianami i żydami po całej Arabii rozszaniami, widok ich religijnych sporów, pobożność zakonników, dzikie i hałaśliwe życie Arabów:—wszystko to nie uchodziło zapewne bacznej uwagi Mahometa. Zapaliła się niedługo jego głowa, poczuł w swych żyłach krew Izmaela syna Abrahamowego, zachowawcy dogmatu jedności Boga, i sądził, że mu było przeznaczoném, tak jak i jego naddziadowi, skruszyć bałwany współziomków.

Miał wówczas lat 40. Pewnego dnia zajęty myślami, zdawał się słyszeć głos mówiący doń: „Czytaj.“ — „A cóż czytać będę?“ — „Czytaj w imię Boga, który stworzył człowieka ze krwi skrzepniętej, który wykładał ludziom pismo, i nauczał ich tego, czego nie znali“ (koran rozdz. XCVI). Znajdował się pośrodku góry, i usłyszał wołanie: „O Mahomecie! tyś apostołem Boga, a jam jest Gabryel.“ Głos ten wskazuje mu prorockie posłannictwo; opowiada to widzenie żonie, a ta znowu krewnemu swemu Warce-ben-Naufel, uczonemu w pismach. Ten przypuszcza możliwość objawienia i widzi w Mahomecie Mojżesza Arabów (1). Khadidia pierwsza przyjmuje nową wiarę; po niej Ali syn Abu-Taleb, Zaid wyzwolieniec Mahometa i Abu-Bekir, (później kalif) uważani są za pierwszych muzułmanów. Lecz wpływ moralny, który Mahomet wywiera na pobliskich sobie, nie mógł się jeszcze przedrzeć poza obręb tego ścieśnionego kółka, i po upływie trzech lat dopiero, po wielu tajnych schadzkach i prelekcjach, jawną wypowiedział wojnę starożytnym wyznaniom swoich współobywateli. Pierwsze kazania Mahometa ściągnęły nań naprzód śmiechy, a potem zazdrość i nienawiść, które go nawet w jego własnej rodzinie ścigały. Chociaż ten zawód od publiczności doznany, sto-

(1) Młodzi osobami otaczającymi Mahometa w początkach jego czynów publicznych, jedna szczególnie zasługuje na uwagę: jest nią *Warka-ben-Naufel*, który miał posiadać dokładną znajomość biblij. P. v. Hammer w dziele ogłoszonem w r. 1830 p. t.: *Gemäldesaal* (obrazy celulejszych bohaterów islamizmu) dziwi się, że europejscy biografowie Mahometa, tak mało zwrócili uwagi na człowieka, który jako chrześcjanin, mlich, a co więcej, jako pierwszy tłumacz pisma świętego na język arabski, miał mieć wielki udział w ukształceniu Mahometa, a tem samem w utworzeniu alkoranu. Nie wiemy na czem się opiera p. Hammer mieniąc Warkę-ben-Naufel, który był Koraity, mlichem i tłumaczem biblij; lecz dosyć porównać opisy historii żydów i ich proroków w koranie i w biblij, aby się przekonać że nie pochodzą od człowieka znającego gruntownie pismo święte, i że to są raczej wspomnienia, w których ciągle obok prawdy i autentyczności napotyka się fałszywe i apokryfność.

króć został nagrodzony wstąpieniem do jego sekty kilku znakomitych ludzi, jak naprzykład Hamzy i Omara, wielka liczba nowowierców musiała opuścić Mekkę i schronić się aż do Abissynii przed prześladowaniem bałwochwalców. Koreici nawet zawarli układ, żeby wyjść z wszelkich z Benu-Haszemitami stosunków, dlatego, że ci dla związków krwi z Mahometem trzymali. Sam nareszcie zmuszony opuścić rodzinne miasto, Mahomet przepędził trzy lata między górami, otoczony najzagorzalszemi swemi sektarzami. Ztamąd przeniósł się do miasta Tajef, w celu wyszukania stronników przeciwko mieszkańcom Mekki, lecz go tam same zniewagi i wyszydzenie spotykały; powrócił jeszcze raz do Mekki i znalazł bałwochwalców bardziej niż kiedykolwiek nieprzyjawnymi nowemu wyznaniu. Po bezskutecznych wstawieniach się do rozmaitych pokoleń arabskich, tamże na pielgrzymkę zgromadzonych, opuścił to miasto i przeniósł się do Jatryb, miasta Hedziazu, przezwanego odtąd Medyną (Medinet en'Nabi, miasto proroka), gdzie go liczni i oddani sprawie jego przyjaciele wzywali. To oddalenie się z Mekki dokonane przez podstęp, który Mahometa od pewnej śmierci uchronił, zostało odtąd nazwane hegirą (*hidired*, ucieczka) i jest początkiem ery mahometańskiej. Odtąd Mahomet ujrzał się na czele wychodźców Mekki, Mohadgerów i Ansarów (posiłkowców) obywateli jatrybskich, którzy przybyli do Mekki dla towarzyszenia mu. Coraz bardziej rozwijając zasady swojej nauki, na każdym miejscu w czasie drogi, gdzie tylko zatrzymać się mógł, miewał przemowy i uorganizowaniem swoich posiłków zajmował się. W drugim roku hegiry polecił, ażeby każdy muzułman wybrał sobie przyjaciela i połączył się z nim nierozzerwalnym braterskością węzłem; i kiedy piękne to postanowienie wprowadzało ścisłą jedność pomiędzy nowowiercami, inne w tymże samym roku wydane zmierzały ku odłączeniu muzułmanów od innych sąsiednich im narodowości.

Rok ten upamiętniony został ważnym wypadkiem. Mahomet wiedząc, że karawana Koreitów z 950 ludzi złożona przybliżyła się do Medyny, wyszedł z miasta, spotkał nieprzyjaciół (1 marca 624 r.) pod Bedr, i pobił ich do szczytu. Ten pierwszy dowód odniesionój nad bałwochwalcami przewagi nie tylko ich nie zniszczył, ale nawet i nie rozbroił; natchnął jednakże muzułmanom ufność we własne siły, i wywyższył Mahometa z prostego apostoła, na przywódzcę siły zbrojnej. Skoro rozważymy, że po dwunastu latach propagandy, Mahomet w tém pierwszym starciu zaledwo dwóch jeźdźców i 311 piechurów naprzeciw nieprzyjaciela mógł stawić, łatwo pojmiemy trudności jakie nowe napotykało wyznanie, jak niemniej

ważny wpływ najmniejszego nawet powodzenia. Zwycięstwo pod Bedr miało skutek stanowczy i przeważny; w roku następnym Mahomet przewodzi już 1000 ludzi, z których 700 bije się z 3,000 Koreitów. Bitwa ta miała miejsce pod Ohad, i z początku zwycięstwo ku stronie Mahometa przechylając, o mało co nie stała się także przyczyną jego zguby: muzułmanie gwałtowną chciwością zapaleniu żądzą, rzucili się na łup przy pierwszym zablýśnieniu szczęścia, a wszczęty ztąd nieład z rąk im wyrwał zwycięstwo. Mahomet walcząc śmiało razem z nacierającymi, został ranionym. W następnym jednakże roku pod Radij, pod cysterną Mauna i z potężnym pokoleniem Benu-Mostalak stoczone z chwałą bitwy, sownie odwetowały poniesione poprzednio straty. W szóstym roku hegiry, Mahomet zawarł z niewiernymi rozejm na lat 10; postępek ten mógł go poróżnić z najzagorzalszemi stronnikami, którzy zbyt dosłownie trzymali się wyklęcia zagrożonego wszystkim zawierającym jakiebądź z niewiernymi układy. Nie napróżno jednakże użył tego czasu Mahomet: poszedł on oblegać żydowskie pokolenie Kaibar. Opanowanie tego miejsca, bronionego z zapamiętałością, uczyniło go panem wielkiej liczby jeńców i miejsc okolicznych, a między innymi Fadaku, który na własność rodziny swojej obrócił. Zapewniony ostatniemi zwycięstwami o pięknej przyszłości czekającej jego posłannictwo w Arabii, Mahomet uznał właściwem dać o tém wiedzieć władzcom państw sąsiednich, i słał poselstwo do szacha perskiego, cesarza rzymskiego, króla Abissynii i kilku innych jeszcze książąt tak chrześcian, jako też i pogan, z listami w których do przejścia na islamizm namawiał. Te wezwania rozmaicie widziane i z początku żadnego nie wywierające wpływu, niemało się potem przyczyniły do rozszerzenia sławy arabskiego apostoła.

Należało przecież uderzeniem stanowczym opanować Mekkę. Pokój zawarty z Koreitami zdawał się odwlekać tę chwilę, i muzułmanie na mocy tego dziesięcio-letniego przymierza wpuszczeni w święte Mekki progi dla spełnienia religijnych obrządków, nie chcieli i nie śmieli być napastnikami. Zbieg jednakk okoliczności zrządził, że Koreici wysłali posłki na pomoc pokoleniu Benu-Bekr z którym w przyjaznych żyli stosunkach, naprzeciw pokoleniu Benu-Khozaa, sprzymierzonemu z Mahometem. Ten poczytując takie wtrącanie się pogwałceniem zaprzysiężonej umowy, poczynił natychmiast potrzebne przygotowania, i pomimo niedawno poniesionej straty w wyprawie na Muta przeciwko Grekom, na czele 10,000 zbrojnego żołnierza pod mury Mekki się sunął. Ponieważ nieprzygoto-

wani Koreici żadnego prawie nie stawiali oporu, miasto bez żadnych trudności dostało się w ręce muzułmanom. Był to dnia 12 stycznia 630 r. po Chryst., a 8 roku hegiry.

Mahomet odbył wjazd tryumfalny na wielbłądźcy, i po siedmiokrotném objechaniu Kaaby (1), wszedł do świątyni i własną ręką poganińskie bałwany zburzył. Tego samego jeszcze dnia, w południe, muczczin z wierzchołka Kaaby godzinę modlitwy ogłosił.

Zachwycony tak wielkiem i do tego bez żadnych poświęceń otrzymaném powodzeniem, Mahomet okazał się łaskawym dla zwyciężonych; wygnanie, któremu wszyscy mieli uledez, 6 mężczyzn i 4 kobiety jedynie dotknęło.

Niezwłocznie po opanowaniu Mekki, wysłał kilka oddziałów jazdy dla ukrócenia okolicznych pokoleń, i w tym samym jeszcze roku wojował z trzema połączonemi pokoleniami pod Honain. Wypadek téj walki z początku niekorzystny dla muzułmanów, którzy wtedy we 12,000 ludzi w pole wyruszyli, jedynie tylko przytomności umysłu Mahometa, a jak jego biografowie arabscy mieć chcą, uczynionemu przezeń cudowi zawdzięczać wypada. Oblężenie miasta Tajef świetnie 8my rok hegiry zakończyło; nie prędzej jednak jak w roku następnym mieszkańcy tego grodu dobrowolnie się poddali i nową wiarę przyjęli. W 9tym roku zawojowano Jemen, i w wyprawie pod Tabuk opanowano kilka księstw północnej Arabii. Tuż Mahomet dowodził już na czele 10,000 konnicy i 20,000 piechoty. Niedługo jednak cieszył się ze swoich powodzeń. Po odprawieniu pielgrzymki do Mekki, i po zwiedzeniu miejsc świętych, które później *nawiedzeniem pożegnalmém* nazwano, wrócił do Medyny i aż do końca 10go roku w niej zostawał. W początku 11go roku czując się słabym, w domu Ajeszahi jednej ze swoich żon leczyć się i doglądać kazał, ciągle układając plany do nowéj wyprawy przeciwko fałszywemu prorokowi Mossailamah, i w meczecie poutykalne swe sprawując obrządki. Na trzy dni dopiero przed jego śmiercią Abu-Bekr odmówił przed ludem modlitwę. Umarł 13 Rabi el auel 11go r. hegiry (8 czerwca 632 r. po Chryst.) w 63 roku życia, podług obliczenia Abulfedy, który 40sty rok za epokę jego apostolstwa naznacza.

(1) *Kaaba* albo *kasoba* jest to pewien rodzaj cytadeli, albo zamku obronnego. W Mekce w sławnym meczecie Beith-Allah (dom boży) jest kaaba (dom w kształcie kwadratu) mający 10 metrów obwodu, zbudowany podług jednych przez samego Adama lub Abrahama, a podług drugich przez aniołów. Jest także jedna kasoba w Algierze w stronie północnej tego miasta: była zwykłym mieszkaniem ostatniego deya Algieru, Abdel-Kadera; w niej téż znaleźli Francuzi jego skarby.

Pogrzebiony został w tém samym miejscu, na którém skonał, a grób jego, ponad którym pobożność muzułmańska przeslicznie wystawiła meczet (1), został aż do dni naszych przedmiotem czci i częstych pielgrzymek.

Śmierć jego przywiodła naród w osłupienie, nie wszyscy nawet chcieli temu wierzyć.

Wielu bardzo Arabów chciało porzucić swoje wyznanie, i jedynie tylko władza Abu-Bekra i Omara zdołała ich od tego odciągnąć. Prorok Arabów nie zostawił po sobie potomka płci męskiej i nie uczynił żadnego testamentalnego rozporządzenia. W ostatnich dniach choroby, prosił raz o atrament i papier, chcąc na nim ostatnią swoje wypisać wolą, przeznaczoną, jak mówił na to, ażeby Arabowie nigdy w błąd nie wpadli. Nie spisano wcale słów przedzgonnych Mahometa; może też wołał on poruczyć los swego ludu któremu z towarzyszków więcej zdolnemu i bardziej jak on szanowanemu. Szeitowie, stronnicy Alego, zięcia Mahometa, twierdzą, że on na wiele lat przed śmiercią, Alego spadkobiercą swoim ogłosił; przytaczają słowa alkoranu i wiele bardzo podań, które ścisły między Mahometem a dziećmi Alego z Fatimy zrodzonymi ustanawiają związek, i które podług nich nie powinny być w testamencie pominięte. Łatwo zresztą wytłumaczyć sobie zapamiętałą nienawiść Szeitów ku Omarowi, skoro się pomyśli, że to on głównie przeszkodził przekazaniu ostatniej Mahometa woli. Mahomet miał 15 żon ślubnych, a 11 nieprawnych. Dopóki Khadidia żyła, nie miał żadnej innej żony. Z wyjątkiem jednego syna Ibrahima, którego mu powiła Kopt Marya, a zmarłego przed nim, wszystkie jego dzieci były z Khadidii. Czterech synów: Kacem, Tajeb, Taher i Abdallah; i cztery córki: Fatima, Zeinab, Rokaja i Omm-Koltum. Pomędzy jego żonami znakomitsze są: Khadidia, Ajeszah, Hafsa, Zeinaba i Omm-Habiba. Liczba ta żon, zaślubionych po większej części w ostatnich latach życia, jest przeciwną rozporządzeniom koranu, który cztery tylko

(1) Budowa grobu jest okrągła, nad nim kopuła, a wokoło niej galeria. Wszystkie drzwi doń wiodące, jak niemniej oprawa okien, są srebrne; wewnątrz bogate wysadzanie drogiemi kamieniami, między którymi odznaczają się głównie dwa dyamenty rzadkiej wielkości; oprócz tego wiele innych pysznych ozdób. Zapewniają, że trumna Mahometa spoczywa na ziemi, chociaż podług mniemania Turków ma się znajdować w komnacie ze ścianami magnezem wykładanemi, które przyciągając żelazną trumnę, w powietrzu utrzymywać ją mają.

żony mużulmanom mieć dozwala (rozdział IV). Mahomet bynajmniej niemający ochoty stosować się do tego przepisu, poślubił między innymi Zeinabę, żonę Zaidu, swojego wyzwolenca, wtenczas, kiedy ten nie chcąc się panu swemu przeciwieć, z nią się rozwiódł. Ponieważ ten wypadek wielkiego między mużulmanami chałasu był powodem, Mahomet powołał się na objawienie nieba, które mu podług upodobania żenić się dozwalało. (Alkoran rozd. XXXIII). Nie jestto jedyna okoliczność, w której Mahomet na podoręczu przed złośliwością swoich wyznawców objawieniem się zaślania. Rozdz. XXIVty jest szczytem tego rodzaju zgorszenia w oskarżeniu o niegodziwość, której się na Ajeszahie dopuścił. Mużulmanie jednak mimo to, nie przypisując złąd żadnych szkodliwych skutków świętemu ich proroka posłannictwu, dalecy od obwiniania go o przekraczanie zasad, cały naród obowiązujących, mniemają, że prorok nie był przymuszonym je zachowywać, i że w swoim charakterze zesłannika bożego i najwyższego kapłana, miał prawo do niektórych jemu wyłącznie, służących przywilejów. Tak więc moc niegrzeszenia dla każdego proroka nieodbitcie konieczna, w pełni przyznana mu została.

Pisarze mahometańscy przekazali nam liczne szczegóły o życiu prywatnym i o osobie Mahometa, czerpane z podań przez jego towarzyszy utrzymywanych. Służą one zarazem za dopełnienie i rozwinięcie alkoranu. Trudno jest dziś wyrzec, czy Mahomet umiał czytać i pisać? Przydomek *proroka nieumiejętnego, nieuczonego*, który sobie sam w alkoranie z pewnym rodzajem przesady nadawa, dlatego, ażeby tém lepiej przy jego natchnieniu odbijał, oznacza może że nie uczył się biblii. Tenże sam przymiot nadaje także wszystkim Arabom, dopóki jeszcze nie posiadali księgi objawienia. Staranność z jaką Arabowie poezją i grummatykę uprawiali, nie pozwala całkiem odmawiać im umysłowego wykształcenia, a nawet z kilku miejsc koranu przypuszczać można, że Mahomet o sztuce pisania miał jakie takie pojęcie. Wyrecał się jednak sekretarzami, którzy, co on im dyktował, pisali. Między nimi Ali, Othman, Zaid syn Haretha, Moawia i Obai, są najwięcej znani. Nie będąc bogatym, miał czém zaspokoić swoje i licznej familii potrzeby; w miarę powiększania się zdobyczy, piąta część łupu z prawa należała się naczelnikowi (kor. r. VIII) i stanowiła jego mienie. Kiedy więc życie-pisarze Mahometa mówią nam o nadzwyczajnej jego wstrzemięźliwości i licznych umartwieniach,

kiedy nam opowiadają z rozrzewnieniem, że prorok Boga, nieraz żołądek sobie ściskać był przymuszony, ażeby mu mniejszy głód dokuczał, albo też że całemi miesiącami nie widziano u niego dymu w kominie, że chleb pszenny, mleko i daktyle, często jedyną jego były strawą: to raczej w tém zwykły sposób życia Arabów i umartwienia, nieodłączne od czynnego i awanturniczego żywota, jak niedostatek i biedę upatrywać należy. Własnymi rękami uprawiał swój ogród i naprawiał suknie; ale miał dwadzieścia dwa konie (1), pięć mułów, z których najznajomszy nazwiskiem *Doldol*, dwa osły: *Ofair* i *Jafur*, cztery wielbłądźce pod wierzch, a dwadzieścia mlekodajnych, sto owiec i kilka kozłat. Z dziewięciu szabel jakie miał, najstłyniejsza, która potem Alemu się dostała, jest *dhul fikar*, o dwóch klingach rozbiegających się ku końcowi ostrza; między innemi 3 lance, 3 łuki, 7 przyłbic, 3 tarcze, 1 sztandar biały, chorągiew czarną 1, zwaną *Okab* czyli czarny orzeł, aż do dzisiejszego dnia w Konstantynopolu przechowywaną. Na jego srebrnej pieczęci były wyryte wyrazy: „Mohamed apostoł boży.” Niektóre z przedmiotów do niego należących, jak np. płaszcz (borda) i laskę, długi czas w skarbcach kalifów Abbasidów chowano. Zawój (turban) zielony był powierzchowną oznaką pokolenia, zrodzonego z Fatimy, a kolor czarny godłem jego linii pobocznej. Co do osoby, Mahomet był wzrostu średniego, silnej głowy, ręce i nogi miał tegie, brodę gęstą, skład ciała kościsty i krzepki, oczy czarne, włosy gładko przyczesane, nos orli, policzki pełne i rumiane, zęby nieco rzadkie.

Mimo podeszłego wieku, zaledwo kilka włosów białych z jego brody i z czupryny wyglądało. Powiadają, że je miał starannie czernić. Na plecach między barkami miał narosł wielkości jaja gołębiego, którą za znamię proroctwa uważano. Miła jego powierzchowność nabierała więcej jeszcze wdzięku przez jakiś wyraz dobroci i szlachetności; grzeczność i słodycz charakteru najbardziej mu serca współrodaków jednała. Zawsze dla wszystkich uprzejmy, nigdy pierwszy nie żegnał człowieka, który doń przychodził, i nie opuszczał ręki skoro mu ją kto podał. W LXXXtym rozdziale alkoranu surowo sobie wyrzuca niespokojność, której wobec biédnego człowieka dał przystęp. Był

(1) Kommentatorowie wspominają o jednej jego klaczy słwój *El-Borak*, która szybciej mlała lecieć niż sama błyskawica.

téz dla wszystkich ubogich nadzwyczaj miłosierny (1). Przewodząc przeszło siedmnastu wyprawom wojennym, nieraz dał dowody prawdziwego męstwa. Był litościwym i chętnie zapominał urazy: najzaciętszym nieprzyjaciółom przebaczał, skoro tylko objawiali chęć przyjęcia jego religii. Nic téż żalowi jego wyrównać nie zdołało, kiedy się raz dowiedział, że pewien dowódzca oddziału wbrew zaprzysiężonej wierze, nieprzyjaciół pogan straszliwie mordował, chcąc przez to jedynie własnej zemście dogodzić. Taki tryb postępowania mógł także mieć i polityczne przyczyny. Opowiadają, że po wzięciu Mekki przywiedziono mu jednego z najzgorzalszych nieprzyjaciół; Mahomet długi bardzo czas milczał, i w końcu mu przebaczył; poczem obracając się do towarzyszków rzekł im: „Milczałem, sądząc, że który z was porwie się na tego człowieka i zabije go”: „Oczekiwaliśmy twojego znaku.” „Nie przystoi prorokom, odpowie Mahomet, czynić oczami znaki zdradę zwiastujące.” Był to nauką, jak na przyszłość milczenie jego tłumaczyć sobie należało.

Najlepszym dowodem gieniuszu i zręczności Mahometa, są ostatecznie osiągnięte przez niego korzyści. Mahometanie uważają je za zrządzenie Opatrzności, a w cudach przez Mahometa dokonanych widzą sankcyą nieba. Mahomet oznajmia w alkoranie, że posłannictwo jego miało jedynie za cel oznajmiać, ostrzegać i wzywać Arabów ku czci jedyne Boga; lecz jeżeli w alkoranie żadnego téj skromności nie widzimy śladu, nie możemy również zapewnić, czy niektóre głoszone przez niego dwuznaczniki, przez jego stronników gorliwie rozpowszechniane, nie dały powodu niedorzecznym baśniom o cudach, jakoto: o wstąpieniu do niebios, o pękniętym księżycu, o uzdrowieniu ślepego, i o mnóstwie innych, które muzułmanie prawie za artykuły wiary swojej uważają. Najświatlejsi Mahometanie, a przynajmniej najmniej

(1) Przejęty tak chwalebne mi zasadami Mahomet, miłość swoją nie tylko na ludzi, ale nawet i na całą naturę rozlewa, zwierzęta nawet nie wyjącając (kor. rozd. Vty). Zasady te wliernie dochowują jego wyznawcy. I tak: podróżnicy po krajach wschodnich wspominają, że wielka jest liczba minaretów, na wierzchołkach których umieszczono małe naczynia z ziarnem; a ptastwo wkoło latając, ma się czém przynajmniej na domach bożych pożywiać. Co za wymowna nauka miłosierdzia i dobroczynności! Łatwo się pojmuje przewagę proroka nad umysłami mass, mówi z tego powodu p. Davezles, skoro się widzi, że kościół jego chleb pomiędzy ubogich rozdziela i ptaszkom pożywienie daje.

łatwowierni, którzy nie poprzestają na kilku ogólnych aluzyach i na przymuszonem tłumaczeniu koranu na korzyść rzeczywistości cudów, uważają tę księgę za najwznioślejszy cud, który prorok jakikolwiek mógł kiedy spełnić. Dzieli się ona na 114 rozdziałów, z których pierwsze przeszło po sto, a ostatnie zaledwie po kilka mieszczą w sobie wierszy.

Rzecz cała nie jest ułożona podług treści; a opowiadania proroków żydowskich i innych narodów, pomieszane są z ogólnymi przepisami, z ustawami przechodniami, w ten sposób, że trudno jest odszukać nic chronologiczną mów, jakie Mahomet bądźto w Mekce, bądź w Medynie miewał. Bywało także, że niektóre przepisy okolicznościami wywołane, w trakcie wypadków zmoderowaniu uległy, co dało początek wielu przepisom odwołanym i odwołującym; chcąc je zaś odróżnić, trzeba się przejąć płomiennem uczuciem, które cały owiało islamizm.

Alkoran skreślony jest stylem zwiezłym, często ciemnym, który bez pomocy komentarzy, dla samych nawet Arabów byłby niezrozumiałym: komentarze zaś opierają się na powadze ksiąg w pierwszych czasach po Mahomecie wydanych. Rzeczywista redakcyja koranu nie jest zapewne tą, którą sam Mahomet zrobił. Zbiór wierszy pisanych na liściach, na tabliczkach i na skórkach baranich, zawdzięczamy Zaidowi, kompilatorowi koranu z czasów Abu-Bekra. Okoliczność jednakże ta nie zdoła Mahometa uwolnić od zarzutu, że raczej przez niewiedomość, jak z umysłu przekształcał i fałszował historiją. Odpisy koranu upowszechnione za kalifatu Abu-Bekra i Omara, widoczne przedstawiają różnice, i jedynie kalifowi Osmanowi winniśmy zniszczenie wszystkich exemplarzy, które nie zgadzały się z dochowanym przez Hafsę, wdowę po Mahomecie. Nie tu miejsce wdawać się w ocenianie alkoranu jako świętego kodeksu, jako zbioru praw moralnych, cywilnych i politycznych Arabów. To dzieło aż dotąd mylnemu ulegało sądowi. Zbytńia sierzdystość uwzięła się na jego potępienie i wydaje o nim najniedorzeczniejsze zdania. Widząc mużłmańskie narody upadającemi i niejako w poniżeniu, z którego ciężko im się będzie wydzwignąć, przypisywano stan taki wpływowi alkoranu. Zadaleko się może posunięto, i w teoryi zanadto wysoko ceniono wpływ, który jakakolwiek bądź religia na przekształcenie charakteru pewnych pokoleń wywierać może; i przypisano alkoranowi wypadki, które same ciężko było odwrócić. W alkoranie w miejscach wyjętych z ewangelii, lub inaczej

mówiąc, wspólnych z zasadami moralnymi całej ludzkości, w rozporządzeniach i przepisach w części nowych, a w części z dawnego życia społeczeństw arabskich czerpanych, wszędzie góruje myśl jedności Boga, i stosunek jaki z tymże człowiek za pomocą modlitwy ma zaprowadzać; dalej niesprawiedliwością jest obwiniać religią Mahometa o materyalizm, dlatego, że nagrody przeznaczone dla wybranych, pod postacią ziemskich uciech okazał. Jako kodeks religijny, moralny, cywilny i polityczny (bo u muzułmanów jest on źródłem wszelkiego prawa i wszelkiej nauki), alkoran grzeszy przez niedokładność i ciemność; jako pomnik umysłowości narodu, który go przyjął i wieku, który go wydał, nie jest wysokięj bardzo wartości i nie zdoła znieść porównania z którąkolwiek ustawą świętą przez starożytność nam przekazaną. Jedyne zasługę jaką mu niemuzułmanie przyznać mogą, jest to, że stał się zabytkiem językowym, a pod tym względem nie jesteśmy zdaje się w stanie należną oddać mu sprawiedliwość, albowiem niezależnie od głębokiej znajomości języka arabskiego, i obyczajów owego czasu, (przez co moglibyśmy pochwyć ściśle znaczenie wyrazów, przenosi, oraz całą subtelność wyrażen), trzeba by się postawić na stopniu widzenia narodu, tak różnego usposobieniem od narodów europejskich. Jednakże niektóre opowiadania nauczające i wzruszające z historii świętej, obraz wszechmocności i dobroci Bożej, przepisy pełne zbudowania się o miłosierdziu ludzkim, są znakomitej piękności, i łatwo wnieść, że obraz kar, którym niewierni uledz mają, i uroczysta wzniosłość dnia zmartwychpowstania i sądu ostatecznego, mogły poruszać i pociągać umysły. Muzułmanie mniemają, że nie jest dozwolonem człowiekowi zarazem coś tak doskonałego i tak wzniosłego jak alkoran utworzyć. Pojawiły się wprawdzie na łonie islamizmu sekty, utrzymujące, że nie tylko koranowi wyrównać, ale nawet przewyższyć go można; zdanie przecież takie zawsze za herezyą poczytanem było; a koran już naprzód je potępił. (Rozd. IIgi). Nie dla piękności jednakże wystowienia, które powierzchowną tylko zaletę stanowi, alkoran umacnia wiarę swoich wyznawców; jest on księgą objawienia, słowem Bożem, przez które poprzednie ustawy uzupełnić się i dokonać miały; i kiedy zacząwszy od pierwszych wieków islamizmu poczęto rozumować nad treścią słowa Bożego, posunięto się do mniemania, że koran był przedwieczny i niestworzony. Mahomet w którego ręce powierzony został, otrzymał tytuł pośrednika rodzaju ludzkiego, ksią-

żenia apostołów, pieczęci proroków, wybrańca chwalebneho; jest to najszlachetniejszy i najdoskonalszy utwór w stworzeniu; istota w obliczu której miało miejsce stworzenie świata, i która do obcowania Bożego przypuszczona, o kilka kroków tylko świętej się jego wszechmocności przypatruje. Alkoran sam nie podobnego o swoim twórcy nie mówi; ale takie wystawianie Mahometa jest od wieków podstawą teologii muzułmańskiej.

Alkoran jako księga święta i źródło wszelkiej umiejętności muzułmańskiej, zrodził bardzo obszerną gałąź literatury i niezliczone mnóstwo przypisów, z których najcelniejsze są: Zamakszarego, Dielaleddirego, Beidhaaniego, Jahia, Feizi. Poznano go dopiero w Europie około połowy XVIgo stulecia, z tłumaczenia Bibliandra, które niewierném i zupełnie niezgodném z arabskim okazało się tekstem. Pierwszy dobry przekład, służący za wzór wszystkim innym jest Maracego. Hinckelmann wydał tekst arabski w r. 1696 w 4ce. Piękne było także petersburskie wydanie alkoranu z rozkazu cesarzowej Katarzyny, ale jest nadzwyczaj rzadkie.

Później wyszły dwa wydania w Kazaniu: jedno w formacie arkuszowym, a drugie w ćwiartce. Jerzy Sale ogłosił w r. 1734 w 4ce angielskie tłumaczenie, przedrukowane w Londynie r. 1836, w 2 tomach w 8ce, z wierszami numerowanemi.

Są oprócz tego tłumaczenia francuzkie i niemieckie. Pierwsze francuzkie zrobił Duryér w Amsterdamie r. 1770, 2 tomy w 8ce.

Gunther Wahl orientalista niemiecki, podał swoje tłumaczenie do druku w r. 1820, w 8ce.

Z roku 1834 mamy lipskie steryotypowe wydanie koranu przez p. Flügel.

Savazy, autor podróży do Egiptu, przełożył łacińskie tłumaczenie Maracego; Garcin de Tassy powtórnie je wydał z przydatkiem treści zasad islamizmu.

Uhleman przygotował już podobno nowy przekład niemiecki z komentarzami.

Tłumaczenie Salego jest bez zaprzeczenia najlepsze, najmiejtniejsze i najpożyteczniejsze, dla notat czerpanych w komentarzach arabskich.

Co się zaś tyczy dzieł opisujących żywot Mahometa, oprócz notat na czele prawie każdego przekładu umieszczanych, znaną jest biografia Mahometa Prideux'go r. 1697, w 8ce, po angiels-

sku. Życie Mahometa wyjęte z Abul-Fedy i tłumaczone na łacinę przez Gagnera, Oxfort. 1723 r., format arkuszyowy. Opis życia Mahometa przez Boulainvilliersa, Londyn 1730 i Amsterdam 1831. Gagnier z zapałem i bardzo słusznie krytykuje to dziełko w przedmowie do późniejszego dzieła swego p. t.: Życie Mahometa zebrane z pisarzy mahometańskich przez Gagniera. Amsterdam, 1732 r. 2 T. w 8ce. Historia życia Mahometa przez Turpina, 1773 r. 3 T. w 12ce. Życie Mahometa Abul-Fedy znajduje się na początku roczników *moslemici* tego autora, tłumaczone przez Reislea. Tęto część wielkiego dzieła Abul-Fedy wydał w Paryżu r. 1837 w 8ce Noël-Desvergers, p. t.: Życie Mahometa, tekst, przekład i przypisy. Jestto ze wszystkich najlepsze i najpoprawniejsze wydanie.

WYJĄTKI Z ALKORANU (1).

ROZDZIAŁ I^{szy} (2).

Dan w Mekce. — 7 wierszy.

W imię litościwego i miłosiernego Boga (3).

1. Niechaj będzie chwała Bogu, władcy światów,
2. Miłosiernemu i litościwemu,
3. Królowi dnia sądnego.
4. Czczymy Ciebie Panie, i Twojej opieki wzywamy,

(1) Wyraz *koran* albo *kur'an* znaczy czytanie. Z przedimkiem *al*, to czytanie; książka w osobliwym znaczeniu. Koran nazywają jeszcze inaczej *el-kitáb*, księga; *kitabullach*, księga Boga, *kelimehulahl*, słowo boże; *el-tenzil*, księga z góry zesłana; *el-dhikír*, napominanie; *el-forkan*, różnica między godziwem i niegodziwem, złem i dobrem; *el-mos'haf*, kodeks.

(2) Rozdział pierwszy jest nazwany *fatihat el-kitáb*, t. j. rozdział zaczynający księżkę, lub prosto *el-fatiha*; zowią go jeszcze *sab' ol-messani*, siedm wierszy powtarzanych; muzułmanie bowiem odmawiają je częściej niżeli inne, i uważają za modlitwę, do której rozmaite łaski są przywiązane. Inaczej wreszcie nazywają go *omnol-kitáb*, matka księgi.

(3) Po arabsku *bismillah'irrahmani rrahim*. Wezwanie to znajduje się na czele każdego rozdziału alkoranu, z wyjątkiem rozdziału IXgo. Wyraz *rahman* stosuje się do Boga, jako obdarzającego wszystkie istoty bez wyjątku swoją łaskawością; *rahim* zaś znaczy miłosierny, w znaczeniu ściślejszem do wiernych i dobrych tylko stosującym się, to jest do tych, którzy na jego miłosierdzie zasługują.

5. Prowadź nas drogą prostą,
6. Drogą tych, których obsypałeś twemi dobrodziejstwami (1),
7. Nie zaś tych, którzy zasłużyli na gniew twój, ani tych, co błądzą (2).

ROZDZIAŁ IVty.

Kobiety.

Dan w Medynie. — 175 wierszy.

W imię litościwego i miłosiernego Boga.

1. Śmiertelni! bójcie się Pana, który was wszystkich wyprowadził z jednego człowieka, dla którego utworzył niewiastę, i który ich potomstwem okrył ziemię. Bójcie się Pana, w imieniu którego wzajemnie sobie czynicie pytania (3). Szanujcie wewnętrzności, które was nosiły. Bóg postrzeża sprawę nasze.

2. Powróćcie sierotom, do pełnoletności doszłym, majątności ich; złe za dobre im nie oddawajcie. Nie spożywajcie ich schedy, mieszając ją z mieniem waszém, bo to okropna zbrodnia.

3. Jeśli się boicie ukrzywdzać sieroty, żęńcie się tylko z dwiema, trzema lub czterema kobietami, które się wam podobają. Gdybyście się jeszcze obawiali popełnić niesprawiedliwość, żęńcie się z jedną, choćby tylko niewolnicą (4). Postępowanie takie dopomoże wam w słuszności. Wydzielajcie żonom waszym posag przyzwoity, a jeśli wam dobrowolnie części jego ustąpią, używajcie jój k' woli i wygodzie waszój.

4. Nie oddawajcie niedołącznym dóbr, które Bóg waszym powierzył staraniom, lecz sami niemi zarządzając, karmijcie ich i odziewajcie; a gdy do nich mówicie, słodkich i miłych dobierajcie wyrazów.

(1) Te wyrazy mają znaczyć: *tych, których Ty obdarzyłeś* i t. d. to jest proroków i posłanników bożych.

(2) Komentatorowie stosują wyrazy: *którzy ściągnęli na siebie gniew twój*, do żydów, a wyrazy: *którzy błądzą*, do chrześcian. W ogóle Mahomet traktuje zawsze łagodniej chrześcian jak żydów.

(3) Arabowie mieli zwyczaj prosząc o co mawiać: „Na imię Boga powiedz mi, albo uczyni mi to.”

(4) W tekście jest: „z tą, którą wasza prawica nabyła.” wyrażenie używane dla oznaczenia kupionego niewolnika albo też jeńca wojennego.

5. Uważajcie na zdolności umysłowe sierot, aż do wieku ich zamężcia; jeśli mają sąd zdrowy, oddajcie im majątek. Strzeżcie się strwonić go, a z powierzeniem go im, nie kwapcie się.

6. Opiekun bogaty niech nie tyka dóbr wychowanców swoich, którzy już porośli, a opiekun biedny, w małej tylko części z nich korzystać może.

7. A gdy im będziecie oddawać majątek, czyńcie to przy świadkach. Zdacie przed Bogiem rachunek z czynności waszych, a to wam jest dostateczna.

8. Mężczyźni powinni mieć majątek przez ojców, matki i krewnych sobie pozostawiony; kobiety niech także mają spuściznę swoje. Czy spadek jest wielki czy mały, zawsze im się z niego część pewna należy.

9. Kiedy rodzice, sieroty i ubodzy obecni są działom, dajcie im także cośkolwiek, uczciwie się i mile do nich odzywając.

10. Niechaj ci, którzy się boją zostawić po sobie dzieci w niemowlęctwie, nie nadużywają z położenia sierot, niech się Boga boją i mówią w szczeroci.

11. Kto nieprawnie mienie sierot przejada, wprowadza ogień we wnętrzości swoje, a kiedyś od gorącego płomienia pochłonięty zostanie.

12. Bóg każe wam, rozdzielając majątek pomiędzy dzieci, dawać synowi dwa razy tyle co córce; jeśli są same tylko córki, a będzie ich więcej jak dwie, mają prawo do $\frac{2}{3}$ części spadku; jedna połowę tylko dostanie. Ojciec i matka zmarłego biorą każde $\frac{1}{6}$ część spadku, jeżeli pozostały dzieci. Jeśli ich nie ma, a wstępni biorą spadek, matka bierze $\frac{1}{3}$ część; jeśli pozostali bracia, matce należy się $\frac{1}{6}$ część czystej pozostałości, po spłaceniu wszelkich długów i legatów testatora. Nie wiecie, które z waszych rodziców lub dzieci jest wam potrzebniejsze. Takie jest rozporządzenie Boga: on jest mądry i umiętny.

13. Połowa majątku kobiety zmarłej bezpotomnie przynależy się mężowi, a czwarta część tylko, jeżeli pozostawia dzieci, po potrąceniu zapisów i długów.

14. Wdowy biorą czwartą część majątku męzowskiego, jeśli nie ma dzieci, a ósmą część kiedy dzieci są; a to po potrąceniu zapisów i długów.

15. Jeśli męczyzna odbiera spadek po jakim odległym krewnym lub krewniej, a ma brata albo siostrę, każdemu z nich po $\frac{1}{6}$ części spadku ustąpić winien; jeżeli ich jest więcej, wszyscy

mają prawo do $\frac{1}{3}$ części spadku, po strąceniu zapisów i wszelkich należności.

16. Bez narażenia spadkobierców na jakikolwiek błąd uszczerbek. Bóg wam to zaleca. On jest mądry i litościwy.

17. Takie są przykazania Boże. Ci, co słuchają Boga i Jego apostoła, wprowadzeni zostaną do ogrodów źródłami zroszonych, i wiecznie w nich zostawać będą. Jestto niewypowiedziane szczęście.

18. Kto się okaże nieposłusznym Bogu i apostołowi, i przestąpi prawo Boże, będzie wtrącon w ogień wieczny i sromotną ulegnie karze.

19. Jeżeliliby która z kobiet waszych popełniła czyn haniebny (1), zwołaj czterech świadków. Jeśli świadectwa ich jednozgodnie przeciw niej świadczą, zamknij ją w domu twoim, póki śmierć jój życia nie zakończy, lub póki jój Bóg środka ocalenia nie poda.

20. Jeżeli dwóch z pomiędzy was popełni czyn niegodny, ukarście ich obu (2); lecz jeśli okażą żal i poprawią się, dajcie im pokój, bo Bóg lubi przebaczać i jest miłosiernym.

21. Przebaczenie Boże należy się tym, którzy zgrzeszyli przez niewiedomość i zaraz żal okazali. Bóg im przebacza, bo On jest mądrym i umiejętnym.

22. Żal na nic się nie przyda temu, który nieustannie w złe wpada, a przy nadejściu śmierci wykrzykuje: żałuję! Na nic on nie posłuży niewiernym umierającym. Przygotowaliśmy dla takich dolegliwe karanie.

23. Wierni! nie macie ustanawiać się spadkobiercami żon waszych, przeciwko ich woli, ani też zabraniać im iść za mąż (skoroście się z niemi rozłączyli), w chęci owładnienia ich uposażeniem; chybaby zbrodnia ich jawną była. Wychodźcie z nie-

(1) Jest tu zarówno mowa o wszeteczeństwie i cndzołożtwie, bo wyraz kobieta (*nisa*) nie ma wyłącznego znaczenia małżonki; cudzołożnica zowie się zwykle *zina*. W początkach Islamizmu zamrurowywano kobietę za podobne przestępstwo. Kara przecież ta alkoranem przepisana nie była. Później zastąpiono ją dla osoby wolnej chłostą i wygnaniem, a dla zamężnej *sonna*, ukamienowaniem, obostrzając takim prawem rozporządzenia XXIV rozdz. koranu objęte.

(2) Ustęp ten stosuje się zapewne do sodomii, a komentatorowie przez wyrazy „ukarście ich obu” rozumieją napominanie publiczne, albo też policzkowanie pantoflami.

mi uczciwie. Kiedy pomiędzy waszemi żonami są takie, których nie kochacie, może być, że właśnie nie kochacie tej, którą Bóg wielkim uczynić chciał skarbem.

24. Jeśli chcecie rozłączyć się z żoną, której daliście posag wartości jednego talentu (1), a połączyć z inną kobietą, nie odbierajcie pierwszej posagu. Czyżbyście chcieli wydrżać go jęj przez jawną niegodziwość i niesprawiedliwość?

25. Wydrżać, poprzednio z nią mieszkawszy, i oddawszy jęj wiarę swoję?

26. Nie żęncie się z niewiastami, które były małżonkami ojców waszych; jestto zwyczaj niedobry, a nawet szpetny i obrzydly: dopuśćcież utrzymywać się temu, co się już raz stało.

27. Zabrania się wam żęnić z waszemi matkami, córkami, siostrami, ciotkami i stryjenkami, siostrzeńcami od sióstr, lub od braci, z mamkami lub siostrami mlęcznymi, z matkami waszych żon, z dziewczętami powierzonymi waszjęj opiece i zrodzonymi z kobiet, z któremiście wespół mieszkali. Lecz jeśliście razem z niemi nie mieszkali, nie ma zbrodni w takiem małżeństwie. Nie żęncie się również z córkami synów przez was splodzonym, ani z ich siostrami. Jeżeli się zaś już co stało, Bóg będzie wyrozumiały i miłosierny.

28. Nie pozwala się wam poślubić mężatek, wyjąwszy tych, które jako niewolnice wpadły w ręce wasze. Takie jest prawo Boże. Zresztą możecie kupować żony za pieniądze, utrzymując je wszakże w dobrych obyczajach, a nie w rozpuście. Wyznaczcie tej, z którąście mieszkali przyobiecany posag; jestto konieczne. Nie jest zbrodnią zawierać umowy z wiadomością przepisów prawa. Bóg jest mądry i umięjtny.

29. Kto nie będzie dość bogatym, aby się mógł żęnić z kobietami uczciwymi i wiernymi, pojmie prawowierne niewolnice. Bóg zna waszę wiarę. Pochodzicie wszyscy jedni od drugich, (a Adam jest waszym wspólnym ojcem). Żęncie się z niewolnicami za poprzedniem pań ich zezwoleniem. Uposażcie je przyzwoicie. Niech będą czyste, unikają wszeteczeństwa i nie mają kochanków.

30. Jeżeliby po zamęzcium popelniły cudzołoztwo, niech ponoszą połowę kary na żony wolne (2) naznaczonej. Prawo to jest

(1) Po arabsku kintar 1000 denarów czyli pieniążków złotych.

(2) Jawnie to dowodził, że cudzołoztwo nie karano śmiercią, bo inaczej nie byłoby mowy o połowie kary.

ustanowione dla tych, którzy obawiają się grzechu, żyjąc w bez-
 zeństwie. Lecz większąby była zasługa wasza, gdybyście się po-
 wstrzymywali. Bóg jest wyrozumiałym i miłosiernym.

31. Bóg jasno chce wyłożyć wam wolę swoją, i prowadzić
 was na drodze przodków waszych. On przyjmie żal wasz, bo jest
 mądrym i umiejętnym.

32. Podoba się Bogu skrucza wasza, lecz ci co słuchają na-
 miętności, w przepaść was chcą wciągnąć. Bóg pragnie wam osło-
 dzić jarzmo wasze, sam bowiem przez się człowiek słaby stwo-
 rzon jest.

33. Wierni! nie trwońcie waszego mienia na rzeczy mar-
 ne (1). Niech się handel odbywa za ugodą zobopólną; nie zabi-
 jajcie jedni drugich, sam Bóg miłosiernym jest względem was.

34. Ktokolwiekby tak przez niegodziwość i przez złość po-
 stąpił, od ognia zginie. Zaprawdę, nietrudno będzie Bogu to
 uskutecznić.

35. Jeśli potraficie unikać ciężkich grzechów, które wam
 popełniać zabroniono, zmażemy winy wasze i przygotujemy wam
 wnieście do raju.

36. Nie pożądajcie dóbr, któremi Bóg jednych nad drugich
 wywyższył. Mężczyźni i kobiety, każdy dostanie to, na co sobie
 zarobił. Boga prosić trzeba o dary. On posiada znajomość
 wszystkiego.

37. Wskazaliśmy każdemu spadkobierców, którzy mają pra-
 wo do odbioru puścizny zostawionéj im przez ojców, matki, kre-
 wnych i tych, z któremi umowę zawarli. Oddajcie każdemu co
 mu się przynależy, bo Bóg jest świadkiem wszystkich uczynków
 waszych.

38. Mężczyźni mają pierwszeństwo nad kobietami, ponieważ
 Bóg dał im wyższość nad niemi, że je wyposażają z dóbr swoich.
 Żony cnotliwe są posłuszne i pokorne; troskliwie dochowują
 w nieobecności mężów tego, co Bóg nietkniętém zachować roz-
 kazał. Mężowie doznający ich nieposłuszeństwa, mogą je napo-
 minać, zostawić same w ich łóżach, a nawet bić je; uległość
 niewiast powinna dla nich być ochroną od złego z niemi obcho-
 dzenia się. Bóg jest wielki i wspaniałomyślny.

39. Jeśli się obawiacie poróżnienia między małżonkami,
 przyzwijcie sędziego polubownego z familii męża i żony. Jeżeli

[1] Komentatorowie rozumieją przez to lichwę, gry, podarki dla prze-
 kupowania sędziów, i t. p.

małżonkowie pragną zgody, Bóg pozwoli im żyć w zobopólném porozumieniu, bo on jest umny i wszystkiego świadomy.

40. Czciście Boga, jego tylko jedynie wyznając. Okazujcie dobroć ojcom i matkom, krewnym, sierotom, biędnym, klientom obcym i krwią z wami połączonym, towarzysom, podróżnym i niewolnikom waszym. Bóg nie cierpi dumnych i zarozumiałych.

41. Nie lubi skąpców, którzy skąpstwo innym zalecają, a sami starannie kryją mienie od Boga im dane. Przygotowaliśmy dla niewiernych haniebną karę.

42. Nie lubi takich, co rozdają jałmużnę dla chępliwości i nie wierzą w Boga i w dzień ostateczny. Kto tylko ma szatana za towarzysza, złe towarzystwo ma.

43. Czyżby co stracili wierząc w Boga w dzień ostateczny, i rozdając jałmużnę z dóbr im od Boga udzielonych, skoro ten Bóg zna czynności ludzkie?

44. Bóg nikomu krzywdy nie wyrządzi, nawet na wagę atomu; dobry uczynek podwójnie opłaci i wspaniałą zań udzieli nagrodę.

45. Co poczną źli, skoro przeciwko nim stawimy świadków ze wszystkich narodów, i twojój własnej Mahomecie zażądamy co do nich opinię. W tym dniu straszliwym niewierni i nie posłuszni prorokowi, woleliby wpaść w ziemię i skryć się przed widokiem wszystkiego. Przed wiekuistym jednakże żadnego uczynku ukryć nie potrafią.

46. Wierni! nie módlcie się po pijanemu: poczekajcie, aż będziecie w stanie zrozumieć odmawiane przez siebie wyrazy. Nie módlcie się kiedyście nieczyści: wstrzymajcie się dopóki nie dopełnicie obmywania, chybabyście w drodze byli. Jeśliście słabi albo w podróży, gdyście odbywali naturalną potrzebę, lub obcowali z kobietą, potrzyjcie sobie twarz i ręce choćby najmniejszym pyłkiem w braku wody (1). Bóg jest wyrozumiały i miłosierny.

47. Czyście nie zauważyli tych, którzy część tylko pism świętych dostali? Rozpowszechniają błąd i chcą was z prawej drogi sprowadzić; lecz Pan zna nieprzyjacioly wasze. Dosyć wam być pod opieką i strażą Boga.

48. Pomiedzy żydami są tacy, którzy przedstawiają słowa biblii, mówiąc: słyszeliśmy, lecz wykonywać nie chcemy. Uwa-

(1) Ten rodzaj oczyszczenia zowie się *Tecimnum*.

żaj o czémeś dotąd jeszcze nigdy nie słyszał i pojmij nas.—Gmatwają własne słowa językiem i szkalują prawdziwą religią.

49. Czemuż raczej nie powiedzą:—słyszeliśmy i usłuchamy. Pojrzyj na nas i skłoń ku nam ucho twoje.—Mowa podobna byłaby daleko uczciwsza i pożyteczniejsza. Lecz Bóg ich przeklął dla ich niedowiarstwa, i mała jest tylko między nimi liczba wiernych (1).

50. Wy coście dostali biblią, uwierzcie temu co Bóg zesłał z niebios na potwierdzenie waszych ksiąg świętych, a to wprzód, nim rysy twarzy waszych starte i na przeciwną stronę odwrócone zostaną (2). Uwierzcie zanim was wykniemy, jakieśmy wykłeli pogwałcicieli szabasu. Rozkaz Boga natychmiast został spełniony.

51. Bóg zbrodni bałwochwalstwa nie przebaczy; odpuści inne grzechy komu tylko zechce; ale ten, który z Bogiem inne istoty brata, okrutną popełnia zbrodnię.

52. Widzieliście tych ludzi, jak się starali usprawiedliwiać? Lecz Bóg będzie miał za usprawiedliwionych tych tylko, których zechce, i nikt najmniejszej od niego nie dozna krzywdy.

53. Czy nie widzisz, jak na rachunek Boga kłamstwa kowają? Starczy to jednak, aby ich uznać winnymi nieprawości.

54. Czy nie uważałeś że ci, którym dano część pism świętych wierzą jeszcze w Dijbta i w Thaguta (3), i mówią niewiernym, że lepszą sobie jak sami wierni obrali drogę?

55. Ichto Bóg niebłogostawieństwem swoim okrył. A któż będzie mógł popierać przez Boga wykłetych?

56. Czy dostaną się do królestwa o którym marzą, oni, co bliźniemu *obola* dać załowali?

57. Czy będą innym łaski Bożej zazdrościć? A przecieśmy dali linii Abrahama i pisma święte, i mądrość, i wielkie królestwo.

58. Jedni z nich wierzą w proroka, drudzy od niego stronią. Na ich zbrodnię jednak starczy ognia piekielnego.

59. Tych, co nie zechcą uwierzyć w znaki nasze, na gorący wystawimy ogień. Skoro się ich skóra spali, w inną ich przy-

(1) To znaczy, że niewiele Izraelitów na islamizm przeszło.

(2) Jestto dosłowne tłumaczenie tekstu. Dwojako ten kawałek układają: potępieni będą mieli albo wykręconą szyję, w ten sposób: że co było na przodzie, na tył się obróci; albo też ich rysy twarzy, usta i nos będą starte, i na wzór tyłu głowy zrównane.

(3) Nazwisko bóstw pogańskich Arabów.

obleczemy, ażeby im dać uczuć męki s'raszliwe. Bóg jest potężny i mądry.

60. Wierni zaś i dobroczynni wnijdą do ogrodów strumieniami oblanych, pozostaną tam wiecznie; znajdą rozkoszne cienie i kobiety od wszelkiej wolne zmayı.

61. Bóg każe oddawać rzecz wam powierzoną. prawemu jej właścicielowi i sądzić uczciwie bliźnich waszych. Jestto piękne zalecenie Boga. On wszystko widzi i słyszy.

62. Wierni! bądźcie posłuszni Bogu, apostołowi i przelozonym waszym. Nieporozumienia swoje zanoście przed Boga i przed apostoła (1), jeśli wierzycie w Boga i w dzień ostateczny. Jestto najlepszy sposób zakończania waszych sporów.

63. Czy nie widziałeś tych, którzy niby wierzą w księgi tobie i przed tobą zesłane, a chcą być sądzeni przez Thaguta, chociaż im było zabronione weń wierzyć (2)? Szatan pragnie ich jak można najdalej od prawdy odwieść.

64. Chociaż im się powie: Nawróćcie się do księgi zesłanej z nieba apostołowi, to oni obłudni odwrócą się na to i oddalą.

65. Cóż poczną, gdy w nagrodę ich czynów, wielkie na nich zawiśnie nieszczęście? Przyjdą do ciebie, i zaklinać się będą na Boga, że dobrego tylko i zgody pragnęli.

66. Bóg czyta w głębi ich serc. Ty zerwij z nimi i zgrom ich surowo w słowach duszę przenikających.

67. Zesłaliśmy apostołów dlatego, aby ich słuchano. Jeżeli ci, którzy dopuszczali się nieprawości powrócą do ciebie, jeżeli będą błagać Boga o odpuszczenie im grzechów ich, a prorok się za nimi przyczyni, znajdą Boga łaskawym i gotowym do przyjęcia ich skruchy.

68. Przysięgam na twego Boga, że nie staną się wiernymi, dopóki cię nie obiorą sędzią sporów swoich. Potém zaś widząc, że łatwo jest wierzyć temu, coś postanowił, sami się uspokoją.

69. Gdybyście im kazali samym sobie śmierć zadać, albo kraj swój opuścić, niewielu z nichby usłuchało. A jednak wy-

(1) To jest radzcie się koranu, który jest słowem Bożem.

(2) Zwrot ten ma się odnosić do jakiegoś postanowienia Mahometa, wyrzeczonego w sprawie między pewnym żydem i muzułmanem wynikłej. Ten ostatni sądząc się być obrażonym, nie chciał uleść wyrokowi, i pragnął przez kogo innego być sądzonym. Omar, zostawszy kalfem, kazał mu ściąć głowę i tém całą rzecz zakończył.

pełniając rozkaz Boga, mogliby i korzyść przez to osiągnąć, i wiarę swoją umocnić.

70. Byliby wynagrodzeni wspaniale i naprowadzeni na proste gościniec.

71. Kto uwierzy w Boga i w apostoła, wnijdzie do towarzystwa proroków, sprawiedliwych, męczenników i ludzi cnotliwych, których Bóg swemi dobrodziejstwami osypał. Jakżeż pięknie stanowiąc będą społeczeństwem!

72. Taka jest szczodroblivość Boga. Jego nauka wszystkiemu starczy.

73. Wierni! bądźcie przezorni na wojnie, i postępujcie naprzód albo oddziałami tylko, albo razem.

74. Znajdzie się między wami taki, który się zwolna wlec za wami będzie, a w razie przegranej rzeczy: Bóg mi okazał swą szczególniejszą łaskę, że w bitwie nie znajdował.

75. Jeśli Bóg da wam zwyciężyć, rzeczy (jak gdyby żadna przyjaźń między nim a wami nie istniała):— Gdyby się Bogu było podobało, abym z niemi walczył, odniósłbym łup obfity.

76. Niech ci, którzy gardzą życiem doczesnym dla życia przyszłego, walczą na drodze Boga; a czy zostaną zwyciężeni, czy też sami zwyciężą, damy im zawsze wspaniałą nagrodę.

77. Dlaczegoż nie mielibyście waleczyć na drodze Pańskiej, kiedy słabi, kobiety i dzieci wołają:—Panie, wywiedź nas z tego miasta złych, daj nam obrońcę, ześlij nam opiekuna!

78. Wierni walczą na ścieszcze Bożej, a niewierni na drodze Thaguta. Walczcie więc ze stronnikami szatańskimi, a zaprawdę, podejścia ich będą bezsilne.

79. Uważaliście tych, którym się rzekło: Odpocznijcie w walce na chwilę, pomódlcie się i rozdaćcie jałmużnę; a kiedy potem znów walczyć im kazano, wielu z nich, bojąc się nieprzyjaciół, tak jakby Boga samego, a może i więcej nawet, zawołało: Panie! czemuż nam wojnę nakazujesz? czemu raczej nie dozwolisz, abyśmy doszli do naturalnego końca dni naszych?—Odpowiedz im:— Ten tu świat małej jest wartości, życie przyszłe dopiero jest prawdziwym szczęściem dla tych, którzy Boga się boją. Tam was ani na odrobinę nie oszukają.

80. Gdziekolwiek będziecie, śmierć was dosięże; osiągnęłyby was nawet w więzycach wyniosłych. Kiedy niewierni odniosą jakie korzyści, mówią: to pochodzi od Boga. Jak popadną w jaką

niełaskę, wołają: to twoja sprawa Mahomecie! Odpowiedz im natenczas: Wszystko od Boga pochodzi. Co to jest, że ten naród wiele jeszcze rzeczy zrozumieć nie może?

81. Jeśli ci się co dobrego przytrafi, od Boga je masz; zło zaś od ciebie pochodzi (1). Wysłałiśmy cię Mahomecie do ludzi z powołaniem proroka. Świadcstwo Boga jest dostateczne.

82. Kto proroka słucha, Boga słucha. Nie zesłałiśmy cię na to, abyś był stróżem tych, co się od ciebie odwracają.

83. Przed tobą mówią: Słuchamy. W twojej zaś nieprzytomności wielu z nich knuje w czasie nocy zamiary, przeciwne temu co wyrzekli; lecz Bóg spisuje ich zdrady. Oddal się od nich i ufaj Bogu; dosyć ci, Jego tylko mieć obrońcą.

84. Czy nie słuchają pilnie koranu? Gdyby kto inny a nie Bóg był jego stwórcą, czyżby w nim nie upatrzili tysiącznych sprzeczności?

85. Skoro posłyszą nowinę, która albo im bezpieczeństwo rokuje, albo téż ich trwoży, zaraz ją rozgłaszają. Gdyby ją oznajmili prorokowi, lub naczelnikom swoim, chcący się o niej dowiedzieć usłyszeli by ją z ust tych ostatnich. Gdyby łaska i miłosierdzie Boże nie czuwały nad wami, wielu z was usłuchałoby rad szatańskich.

86. Walcz na ściesze Bożej, i sobie tylko trudne do wypełnienia zadawaj obowiązki. Pobudzaj wiernych do walki. Bóg czuwa nad wstrzymaniem gwałtowności niewiernych. On od nich mocniejszy, a kary Jego są jeszcze sroższe.

87. Kto się będzie przyczyniał w celu chwalebnym, osiągnie owoc przyczynienia swego, a kto się wstawi w złym celu, ukaranie poniesie. Bóg zważa na wszystko.

88. Gdy ci się kto pokłoni, odkłoń mu się jeszcze grzeczniej, a przynajmniej odkłoń się. Bóg wszystko liczy.

89. Bóg sam tylko jest Bogiem. On was zgromadzi w dniu zmartwychwstania; o tém nie ma żadnej wątpliwości. A któż w swych słowach jest nad Boga prawdziwszy?

(1) Aby te wyrazy z zamieszczonemi w wierszu poprzedzającym pogodzić, komentatorowie czynią uwagę: że wszelkie zło z grzechów ludzkich pochodzi.

90. Czemu się dzielicie na dwa stronnictwa, skoro rzecz o obłudników idzie (1). Bóg ich zniweczył za ich nieprawości. Czy chcecie prowadzić tych, którym Bóg dał zbłądzić? Nie ma ścieżki dla tego, któremu Bóg zbłądzić dozwala.

91. Chcąc wszystkich widzieć równemi, chcieli was tak, jak siebie, na niewiernych wy kierować. Nie zawierajcie z nimi związków, dopóki nie opuszczą kraju swego dla sprawy Pana. A gdyby znowu popadli w niewiarę, łapcie ich, i na każdym miejscu zabijajcie. Nie szukajcie między niemi ani obrońców, ani przyjaciół;

92. Z wyjątkiem tych, którzyby u waszych sprzymierzonych przytułku szukali, i z wami, albo z własnym pokoleniem wojować musieli. Gdyby Bóg chciał, dałby im przewagę nad wami, i byłibyście ciągle zwyciężani. Jeśli złożą broń swoją i o pokój was proszą, Bóg zabrania wam zaczepiać ich.

93. Znajdą się i tacy, którzy zechcą nabyć wasze i narodu swego zaufanie. Ilekroć tylko wezmą udział w buntach, porażeni zostaną. Jeśli się na bok nie usuną, pokoju zawrzeć nie zechcą i dalej się z wami biją, chwytajcie ich i każć im zadawajcie, gdzie ich tylko napotkacie. Dajemy wam nad niemi władzę nieograniczoną.

94. Dlaczegożby jeden wierny miał zabijać drugiego wiernego umyślnie? Jeśli się to komu mimowoli przytrafi, ma wyzwolić jednego prawowiernego niewolnika, i zapłacić rodzinie zmarłego cenę krwi prawem oznaczoną; chyba, że mu tę sumę na jałmużnę zamienić dozwolą. Za przypadkowe zabicie wiernego z narodu nieprzyjacielskiego, wyzwala się jednego prawowiernego niewolnika. Za śmierć człowieka z narodu sprzymierzonego, wyzwoli się prawowiernego jeńca, i wypłaci rodzinie zmarłego sumę przepisaną. Kto zaś nie znajdzie niewolników do wykupienia, ma pościć przez dwa miesiące z rzędu. Takie są środki zmazania winy przez mądrego i umiejętnego Boga ustanowione.

95. Kto umyślnie zabije wiernego, otrzyma piekło w nagrodę, i będzie w niem wiecznie zostawał. Zagniewany Bóg przeklnie go, i na okrutne skaże męki.

(1) To się stosuje do tych, którzy prosili Mahometa aby ich odprawił przed przybyciem do Medyny, a później złączyli się z poganami. Muzułmanie wahali się, czy trzeba było uważać ich za niewiernych, i jako takich śmiercią ukarać.

96. Wierni! kiedy idziecie na świętą wyprawę, waście uczynki wasze. Niech chciwość dóbr świata tego nie skłoni was do nazwania niewiernymi (1) tych, których spotykacie, i którzy się wam kłaniają. Bóg posiada nieskończone bogactwa. Takeście dawniej robili. Niebo wam to przebaczyło. Rozważajcie więc, zanim zaczniecie działać. Bóg wie o wszystkich uczynkach waszych.

97. Wierni, którzy pozostaną w domach swoich nie zniewoleni potrzebą poświęcać siebie i mienie swoje, nie będą uważani zarówno z temi, którzy walczyli na drodze Boskiej. Bóg wyżej tych, aniżeli tamtych ceni; wszystkim On wprawdzie piękne poczynił obietnice, ale dla walczących przeznaczył nagrodę większą jak dla tych, którzy w domach swoich zostają.

98. Wyróżniałość i miłosierdzie wyższym są jeszcze stopniem. A Bóg zaprawdę jest wyrozumiałym i miłosiernym.

99. Aniołowie odbierając życie tym, którzy niegodnie względem siebie samych postępowali, zapytali ich: z kąd jesteście? Odpowiedzieli: Jesteśmy słabemi ziemianami. Aniołowie im na to rzekli: Ziemia Boża czyż nie jest dość obszerną; nie mogliścież, opuszczając kraj wasz gdzieindziej szukać schronienia? Otóżto dlatego piekło będzie ich mieszkaniem. Jakże niegodziwą obrałi sobie drogę!

100. Mężczyźni tylko i kobiety słabe, oraz dzieci niezdolne pojąć co jest podstęp, i nieumiejące same sobą kierować, ci może tylko otrzymają przebaczenie Boga, gdyż on jest wyrozumiałym i miłosiernym.

101. Kto opuści kraj swój dla sprawy Boga, nie sam jeden tylko to uczyni, a posiędzie w obfitości dobra ziemskie. Kogo zaś po opuszczeniu kraju dla sprawy bożej śmierć zaskoczy, wynagrodzić mu to będzie obowiązkiem Boga, boć On jest wyrozumiałym i miłosiernym.

102. Nie będzie grzechem, jeśli bojąc się być złapanemi przez niewiernych, w czasie odhywania wędrówek po kraju, skrócicie wasze modlitwy; niewierni są waszemi jawnemi nieprzyjaciołmi.

(1) Często się zdarzało, że Mahometanie spotykając w wycieczkach swolch ludzi nieznanym, zabijali ich. Dla uwolnienia się mawiali, że to byli niewierni, gdy tymczasem złupić ich i obdrzeć jedynym ich było zamiarem.

103. Kiedy będziesz w pośrodku wojsk swoich, i rozkażesz odmawiać modlitwę, niech jedna część żołnierzy z bronią w rękę się modli; po odprawieniu aktów uwielbienia (1) niech w tył się cofnie, a jój miejsce niech zastąpi druga część wojska, która się jeszcze nie modliła. Niech wszyscy zostają pod bronią i mają się na ostrożności. Niewierni radziby napaść was z nienacka, gdy opuścicie broń i pakunki wasze. Jeśli wam dęszcz przeszkadza, lub słabi jesteście, możecie zdjąć z siebie uzbrojenie; w każdym razie miejcie się na ostrożności. Bóg srogie dla niewiernych gotuje karanie.

104. Po skończeniu modlitwy myślcie jeszcze o Bogu, stojąc, siedząc albo na bokach leżąc. Skoro tylko zostajecie w bezpieczeństwie, odprawiajcie modlitwę. Ona jest dla wiernych obowiązkiem do pewnych stałych godzin przywiązany.

105. Nie ustawajcie w ściganiu nieprzyjaciół waszych. Jeśli cierpicie, oni także cierpieć będą; lecz wy możecie spodziewać się od Boga tego, czego oni spodziewać się nie mogą. Bóg jest mądry i umiętny.

106. Postaliśmy ci księgę prawdy, abyś sądził ludzi tak jak cię Bóg nauczył. Nie wchodź w sprzeczkę z niegodziwymi i błagaj Boga o przebaczenie. On jest wyrozumiały i miłosierny.

107. Nie spieraj się z nami o tych, którzy ohydnie względem samych siebie postąpili. Bóg nie cierpi wiarołomcy i zbrodniarza.

108. Mogą ukryć plany swoje przed wzrokiem ludzkim, ale nigdy przed Bogiem. Kiedy w czasie nocy miewają rozmowy, które się Bogu nie podobają, On przy nich jest. Wiedzą swoją obejmuje wszystkie sprawy ich.

109. Spieracie się ze mną o nich na tym tu świecie; lecz któż z Bogiem spierać się będzie na ich korzyść w dniu zmartwychpowstania? Kto będzie ich obrońcą?

110. Kto się złego dopuścił uczynku, popelnił nieprawość względem własnej duszy swojej; lecz niech błaga potem Boga o przebaczenie, a znajdzie Go pobłażającym i miłosiernym.

111. Ktokolwiek grzeszy, czyni to na zaturę swoją. Bóg jest mądry i umiętny.

(1) Modlitwa mahometaniska składa się z klęczeń r' k' a, i uwielbień, *sudud*, które zasadzają się na leżeniu plackiem na ziemi.

112. Ktokolwiek błądzi lub grzeszy, i błąd swój na niewinnego zwała, zarzutem kłamstwa i oczywistego grzechu obciążon będzie.

113. Gdyby nie łaska Boga i Jego ku tobie miłosierdzie, wielu tych, którzy zamierzili zwieść cię z prawej drogi, dokonałoby zamiaru swego. Lecz oni sami się zbłąkali, a tobie zaszkodzić nie zdołali (1). Bóg zesłał na ciebie księgę i mądrość; nauczył cię tego, o czémś nie wiedział. Wielką Bóg okazał łaskę względem ciebie.

114. Nic dobrego między sobą potajemnie nie mówią. Lecz kto zaleca jałmużnę, dobre uczynki, albo zgodę między ludźmi, czyniąc to dla przypodobania się Bogu, niewątpliwie wspaniałe wynagrodzenie otrzyma.

115. Kto ścierać się będzie z prorokiem po czasie jego objawienia, i postępować drogą niewiernych: odwrócimy się ku niemu plecami, tak jak on się od nas odwrócił, i przybliżymy go do ognia *gehenny*. Co za okropne rozwiązanie!

116. Bóg nie daruje zbrodni tym, którzy z Nim inne bóstwa bratają; resztę przebaczy komu zechce: lecz kto tylko stowarzysza z Nim innych bogów, jest na drodze fałszywej, daleki od prawdy.

117. Wzywają raczej bóstwa niewieście, aniżeli Boga (2); raczej nieposłusznego szatana, jak Boga.

118. Niechaj niebłogosławieństwo boże ciąży nad nim. On rzekł: zabieram pewną część twoich służących; dam im się zbłąkać, żądze w nich obudzę, powiem aby mi poobcinali uszy niektórych zwierząt, rozkażę im naruszyć stworzenie boże (3). Kto szatana raczej niż Boga za obrońcę bierze, nieochybnie zginie.

119. Obietnice im czyni i żądze ich pobudza, lecz szatan obiecuje jedynie w celu zaślepienia.

(1) To się ma odnosić do kradzieży popełnionej przez syna jednego z towarzyszy Mahometa, którego winę chciał prorok na żyda jakiegoś zwalić. Mahomet był już gotów przyznać wygraną swojemu współwyznawcy, gdy wtém wiersze 112 i 113 zostały mu objawione.

(2) Arabowie czczą Lat, Ozza i Menat, które córkami Boga być mieniały.

(3) Mahomet wyrzuca tu niektóre zwyczaje Arabów pogan; komentatorowie sądzą, że przez powyższe wyrazy chciał on potępić kastracyą niewolników, wyciskanie znaków na ich twarzy i ciele, przypilowywanie zębów i występki przeciwko naturze, tak pomiędzy kobietami, jako też i mężczyznami praktykowane.

120. Gehenna będzie ich mieszkaniem, z którego nie znajdą wychodu.

121. Tych zaś co wierzą i dobre uczynki spełniają, wprowadzimy do ogrodów strumieniami zroszonych, i pozostaną tam wiecznie na mocy prawdziwego przyrzeczenia bożego. A któż nad Boga jest nieomylniejszy w słowach?

122. Nie stanie się to podług waszego, albo też waszych pisarzy świętych przywidzenia. Kto tylko popełni zło, złem odpłacone mieć będzie, i żadnej przed Bogiem obrony i wstawienia nie znajdzie.

123. Mężczyźni, czy kobiety, byle tylko byli wierni i dobroczynni, wejdą do raju i co do najmniejszej nawet części nagrody swojej oszukani nie zostaną (1).

124. Któż piękniejszą wyznawa religią nad tego, który się całkowicie Bogu porucił, wykonywa dobre, i postępuje według wyznania Abrahama prawdziwego wyznawcy? Bóg obrał sobie Abrahama przyjaciele.

125. Bożem jest, co tylko istnieje na ziemi i niebie. Bóg ogarnia wszystko.

126. Zapytywać będą ciebie (Mahomecie) o kobiety; powiesz im: Wszak was Bóg o nich nauczał, czyta się wam z koranu przepisy, odnoszące się do sierot dziewcząt, którym nie dajecie to, co wam nakazano, a żenić się z nimi nie chcecie. Nauczają się was jak się obchodzić z dziećmi bezwłasnowolnymi, zaleca się wam uczciwość w wychodzeniu z sierotami. Nie spełnicie żadnego dobrego uczynku, o którymby Bóg nie wiedział.

127. Jeżeli kobieta obawia się gwałtowności męża swego, albo też jego ku sobie odrazy, nie będą winni, jeśli się zgodnie z sobą ułożą (2): zgoda wielkiem jest dobrem. Ludzie skłonni są do skąpstwa; jeżeliście dobroczynni i boicie się Boga, On się dowie o czynnościach waszych.

128. Nigdy nie możecie jednakowo ze wszystkimi żonami się obchodzić, chociażbyście tego jak najusilniej pragnęli. Strzeżcie się więc całkowicie za popędem idąc, jedną z nich, jak gdyby w zawieszaniu zostawiać; jeśliście wspaniałomyślni i boicie się Boga, On będzie wyrozumiałym i miłosiernym.

(1) Na objętość dolka przy daktylowej pestce.

(2) Pozwolonem jest kobiecie odstąpić pewną część, a nawet i cały swój posag mężowi, w celu otrzymania jego zezwolenia na rozwód.

129. Jeżeli się dwoje małżonków rozłączy, Bóg ich darami swojemi obdarzy. On jest mądry i niezmierny.

130. Wszystko co jest na ziemi i na niebie, Jego jest własnością. Zaleciliśmy już tym, którzy dostali pismo święte przed wami, jak również i wam, bać się Boga i strzedz się niewiary. Jeśli tak czynicie, wiedźcie, że wszystko w niebie i na ziemi Jego jest. Ono bogaty i pełen chwały.

131. Co tylko jest w niebie i na ziemi, do Niego należy. Dostyc jest mieć Boga obrońcą.

132. Śmiertelnik! jeśli zechce, da wam zniknąć i innych na wasze miejsce postwarza ludzi. Zaprawdę, Bóg dostyc jest potężnym, aby to mógł zrobić.

133. Czy żąda kto nagrody ziemskiej? Tak tego, jako też i przyszłego świata nagroda od Boga zależy. On wszystko widzi i słyszy.

134. Wierni! świadczcie sprawiedliwie przed Bogiem, czy to przeciwko wam samym, czy też przeciwko rodzicom, krewnym, bogatym lub ubogim. Bóg bliższy jest od was tak bogatego, jak i ubogiego. Nie słuchajcie namietności waszych, z bojaźni, abyście nie zgrzeszyli. Jeśli nie chcecie świadczyć albo się od tego wstrzymujecie, wiedźcie, że Bóg zna czynności wasze.

135. Wierni! wierźcie w Boga, w apostoła, w księgę jemu objawioną, i w pismo święte przed nim zesłane. Kto nie wierzy w Boga, w Jego aniołów, w Jego księgi, w Jego apostołów i w dzień ostateczny, w obłąkaniu zostaje.

136. Wierni którzy popadli w niewiarę, potem się poprawili, a w końcu znowu niewierni stali, nie otrzymają przebaczenia Bożego, i nie będą naprowadzeni na prostą drogę.

137. Zapowiedz obłudnikom bolesną karę;

138. Tym, co szukają przyjaciół między niewiernymi, a nie między sprawiedliwymi; czy to robią dla jakiej próżnej chwały? Chwała, Bogu się tylko należy.

139. Już wam to wyłożono w koranie, że kiedy się zbieracie dla słuchania znaków Bożych, albo w takowe nie wierzą, albo je w śmiech obracają. Strzeżcie się więc zasiadać wspólnie z niewiernymi, dopóki o czym inném mówić nie zaczną, bo moglibyście stać się im podobni. Bóg razem i obłudników i niewiernych w piekle (w gehennie) osadzi.

140. To są ci, co idą za wypadkami: jeśli wam Bóg dozwoli zwyciężyć, powiadają: czyż nie jesteśmy z wami? A kiedy

się niewiernym powiedzie, mówią im: mieliśmy przeważną siłę, i wspieraliśmy was przeciwko wiernym. Bóg osądzi ich w dniu zmartwychwstania, a niewiernym nie da pierwszeństwa przed sprawiedliwymi.

141. Obludni chcą oszukać Boga; a tymczasem Bóg ich pierwszy zawiedzie. Kiedy się zabierają do modlitwy, czynią to niedbale, popisując się przed ludźmi, a nie myśląc o Bogu;

142. Wahając się między jednym a drugim, i ani do tego, ani owego nie należąc. Lecz nie znajdzie drogi ten, kogo Bóg obłąkał.

143. Wierni sprawiedliwych, nie zaś niewiernych za przyjaciół wybierajcie. Czyż chcecie dostarczyć Bogu dowód niezbity przeciwko samym sobie?

144. Obludni będą strąceni na same dno przepaści ognia, i żadnej nie otrzymają pomocy.

145. Lecz ci, którzy się nawrócą, poprawią, stale do Boga przywiążą, i szczerem i w wierze swojej okażą, znowu się z wiernymi połączą. Bóg zaś przyzna sprawiedliwym świetne wynagrodzenie.

146. Za cóżby na was Pan Bóg zsyłał kary, gdybyście byli i wdzięczni i wierni? Bóg lubi być wdzięcznym i wie o wszystkiém.

147. Nie cierpi On, kiedy kto złe rozgłasza, chyba by sam był ofiarą ucisku. Bóg wszystko widzi i słyszy.

148. Czy rozgłaszacie lub ukrywacie dobre, albo też przebaczacie złe, Bóg zawsze jest wyrozumiałym i potężnym.

149. Ci, co nie wierzą w Boga i w jego apostołów, i oddzielają go od nich, mówiąc: Wierzmy jednym, lecz nie wierzymy drugim (wyróżniają się pośrednio),

150. Cito są prawdziwie niewierni. Przystosowaliśmy dla nich sromotne męczarnie.

151. Ci zaś, którzy wierzą w Boga i w jego apostołów, żadnej między niemi nie czyniąc różnicy, nagrodzeni będą. Bóg jest wyrozumiały i miłosierny.

152. Ludzie mający już pisma, żądają od ciebie księgi z nieba zesłanej. Od Mojżesza więc jeszcze chcieli. Mówili doń: pokaż nam Boga samego; lecz na ukaranie ich złości, roztoczyliśmy nad niemi burzę straszliwą. Potem zaczęli ubóstwiać cielce, mimo to, żeśmy im okazali znaki oczywiste. Lecz myśmy im przebaczyli, i daliśmy tego jawne dowody Mojżeszowi.

153. Wzniesiliśmy ponad głowami ich górę Synai, jako zakład naszego związku, i rzekliśmy im: Wejdźcie do bramy miasta, bijąc czołem przed Panem; nie przestępujcie sabbatu. Zawarliśmy z nimi uroczyste przymierze.

154. Lecz oni to przymierze pogwałcili, znaki Boże zaprzeczyli, a proroków swoich pozabijali. Nasze serca są nieukształcone, rzekli. Tak jest, Bóg przyłożył pieczęcie na ich serca, i stali się niewiernymi, bo mała jest bardzo liczba wiernych.

155. Nie wierzyli w Jezusa, a na Maryą wymyślali kłamstwa bezecne.

156. Mówią: Zamęczyciśmy Messyjasza Jezusa, syna Maryi, apostoła Bożego. Nie, oni go nie zabili, nie ukrzyżowali; człowiek jemu podobny za niego podstawiony został. Wielu wiedziało o tém, ale z wieści tylko i niedokładnie; spierali się, chociaż byli w wątpliwości. W samą rzecz oni go nie zabili. Bóg go wniósł do siebie, a On jest mądry i potężny.

157. Nie będzie ani jednego człowieka z liczby tych, co wierzyli w pismo święte, któryby przed śmiercią w niego nie uwierzył (1). W dniu zmartwychwstania, On (Jezus) będzie świadczył przeciwko nim.

158. W nagrodę ich złości i za to, że drugich od czei Boga odwodzą, zabroniliśmy im używać pokarmów wysmienitych, które dawniej nie były im zakazane.

159. Ponieważ pobierają lichwę, która jest zabronioną, i spożywają dobra cudze na fatalaszki, przygotowaliśmy im jako niewiernym dolegliwe karanie.

160. Lecz tym z pomiędzy nich, którzy gruntownej są nauki (2), jako téż i wiernym wierzącym w to co było objawione tobie i przed tobą, odmawiającym modlitwy, rozdającym jałmużnę, wierzącym w Boga i w dzień ostateczny: tym wszystkim wspaniale przyznamy wynagrodzenie.

161. Uczyniliśmy przed tobą objawienie, tak jakieśmy je uczynili przed Noem i prorokami, którzy po nim żyli: Abrahamem, Izmaelem, Izaakiem i Jakóblem, przed 12tu pokoleniami,

(1) Jedni twierdzą, że Mahomet rozumiał przez to, iż czyto chrześcianin, czy żyd zapytany przed zgonem od anioła, wyzna swą wiarę w Jezusa. Drudzy, że Jezus ma jeszcze wrócić na ziemię, aby zabić antychrysta i umrzeć: wtenczas cały świat uwierzy weń.

(2) To jest żydom niezonym w biblii, przyjaciółom Mahometa, chociaż nowego nie przyjęli wyznania.

Jezusem, Jobem, Jonaszem, Aaronem, Salomonem, i obdarowanym psalmami Dawidem.

162. Niektórych posłanników Bożych daliśmy ci już poznać, lecz byli i tacy o których ci zamilczymy. Bóg rzeczywiście rozmawiał z Mojżeszem.

163. Posłannicy mieli obowiązek oznajmiać i ostrzegać, dlatego, aby ludzie zadają nie mieli przed Bogiem wymówki po skończonem apostołstwie. Bóg jest mądry i potężny.

164. Bóg sam jest świadkiem tego, co ci w mądrości swojej zesłał; aniołowie także to widzieli. Lecz świadectwo Boga jest dostatecznem.

165. Niewierni i ci, którzy drugich z Bożkiej sprowadzają drogi, dalecy od prawdy, fałszywo zajmują stanowisko.

166. Bóg nie przebaczy niewiernym i niegodziwym, i nie wskaże im prawej drogi.

167. Chyba drogę *gehenny*, w której wiecznie zostaną; a to łatwo będzie Bogu uskutecznić.

168. Ludzie! apostoł zwiastuje wam prawdę Pana waszego. Wiercie więc ję dla własnego dobra, a jeśli zostaniecie niewiernymi, On się bez was obejdzie, bo wszystko co tylko na niebie i ziemi istnieje, do niego należy. On jest mądry i umiętny.

169. Wy, którzyście otrzymali pismo święte, nie przesadzajcie w wierze waszej (1), i mówcie o Bogu tylko to, co jest prawdą.....

170. Messyasz chętnie jest sługą Boga, tak jak aniołowie, którzy go otaczają.

171. Bóg zgromadzi kiedyś i pysznych i dumnych;

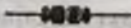
172. Wiernym i dobroczynnym w zupełności należność wypłaci, a nawet powiększy ją ze szczodrobliwości łaski swojej; lecz pysznych i dumnych na straszliwe wystawi karanie.

173. Nikt nie będzie chciał być im opiekunem lub obrońcą przeciwko Bogu.

174. Śmiertelni! Pan zsyła wam dowód jasny jako światłość. Bóg przyjmie na łono miłosierdzia swego i łaski swojej tych, którzy Go nie odstępują i wierzą weń. On ich skieruje na prostą drogę.

(1) To ma znaczyć: wy żydzi wierzele w posłannictwo Jezusa, a wy chrześcijaule nie uważajcie go za Boga, lecz szukajcie prawdy.

175. Radzić się ciebie będą. Powiesz im: co się tyczy dalszych krewnych tak was Bóg naucza: jeśli kto umiera bezdzietnie, a pozostawia siostrę, to ona otrzyma połowę jego majątku. Brat także będzie spadkobiercą siostry, jeśli umarła bezpotomnie. Dwie siostry mają prawo do dwóch trzecich części braterszczyzny. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.



176. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

177. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

178. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

179. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

180. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

181. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

182. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

183. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

184. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

185. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

186. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

187. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

188. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

189. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

190. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

191. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

192. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

193. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

194. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

195. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

196. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

197. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

198. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

199. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

200. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkim.

ULAMEK

Z PAMIĘTNIKA NIEBOSZKI.

WSTĘP.

Spuszczając się myślą po złotej nici wspomnień, co się to jasno wije przez młodości lata, przez wiek dzieciństwa, i dopiero w niepamięci pierwszego brzasku żywota znika, w nie się rozwiewa; spuszczając się po tej nitce w minione lata, przerzucam z namiętnością wszystkie pamiątki, jak stronnice książki zbutwiałej, i nie wiem, ażali to zmartwychwstanie ducha z przeszłości niewięcej obudza smutku, niż wesela; nie więcej radości ztąd, że się już tyle przykrój uszło drogi, niż żalu za ową przeszłością, co zawsze świetną błyszczała nadzieją, a rzeczywistego szczęścia nie dosięgła nigdy!

Na każdej stronnicy widzę zawód, pamiątkę jakiejś śmierci, ślad jakiejś żałoby, i strumień łez jednostajnie płynący. Wszystkie ideały, jak promienie słońca o lodową skałę, rozbiły się kolejno o gładką rzeczywistość. Tu myśl szlachetna sponiewierana, tam głupstwo natrzęsające się z prawdy; a wszędzie, wszędzie prawie wyrasta cień na niwie, cnotą chrześcijańską, miłością Bożem zasianą!

Stanąwszy nad grobem tej przeszłości, załamałam ręce! Było to chwila zwątpienia, okropnego zwątpienia!... Nie mogłam płakać, chociaż serce łzami nabrzmiało rozsadało mi piersi!...

Nie myśląc o niczym, usiadłam przy stoliku, i otworzyłam mój pamiętnik. List wypadł z niego. List, który niedawno ze czcią nosiłam na sercu jak relikwią świętą; był to list zmarłej kobiety, pisany krótko przed śmiercią. Jej myśl ostatnia, ostatnie tchnienie zawarte było w tych zimnych, martwych głoskach. Te głoski przetrwały wiele, nie zmieniły się pod wpływem czasu, nie rozsypały się w popiół.

Na widok tego listu łzy trysnęły mi z oczu, paląca jakaś boleść przypomniała mi, że żyję; a treść pisma przywiodła na pamięć obowiązek, jaki na mnie wola umierającej włożyła.

Kiedyś, wśród jednej z tych rozmów pełnych uroku, co zdrojem szczęścia płyną z serc młodych, przyrzekłyśmy sobie wzajem, że gdyby nas nieprzewidziane okoliczności przed śmiercią rozdzielić miały, ta, która dłużej na ziemi pozostanie, odprawi choć raz w życiu pielgrzymkę do grobu zmarłej.

W tém przedśmiertném piśmie było przypomnienie układu, obowiązującego mnie wolą testamentową nieboszki.

.....„Kiedy to pismo dojdzie rąk twoich, już mnie tu nie będzie..... Pamiętaj o przyrzeczonej pielgrzymce do grobu, który się przedemną otwiera! A mówiąc o grobie, myślę o biednych dzieciach moich.... Truchleję o ich wychowanie, o ich całą przyszłość.... Poznasz kiedyś dom nasz, męża mojego, bliższe stosunki sąsiedzkie...; wiadome ci są niektóre szczegóły, inne śmierć powlecze zapomnieniem.... Oby tylko dzieci moje były szczęśliwsze!....”

Te były ostatnie słowa, już skrzepłą nakreślone ręką. Przyjął stopiła się w uczucie macierzyńskiej miłości: myślała o dzieciach i o mnie.

O biedna matko! biedna ofiaro!—pomyślałam sobie, i dusza moja utonęła w magnetyczném jasnowidzeniu przeszłości! To, com niegdyś widziała, com zasłyszała o niej od chwili naszego rozłączenia, czegom się domyśliła z jej listów, z urywanych, cierpkich odpowiedzi brata, który ją odwiedzał co rok prawie, i znał bliższe stosunki, tajemne okoliczności, w które smutny żywot téj kobiety zdawał się ręką losu wpleciony:—wszystko przesunęło się w méj pamięci wyraźnie, jaskrawo.....

Już ona przetrwała czyscowe męki tego świata, i cześć, pókój wieczny jej duchowi! Ależ te biedne dzieci! te dzieci, o których ona umierając, z boleścią myślała!.... Ależ ten mąż, o którym nigdy należytego powzięć nie mogłam wyobrażenia....

Dziwne rzeczy snuły mi się po głowie. Przypomniałam sobie nagle okoliczności, które towarzyszyły temu małżeństwu, i dreszcz mnie zimny przejął.

Matka Heleny owdowiawszy wkrótce po naszym rozłączeniu, miała, jak to u nas mówią, interesa, a prosto, długi hipoteczne i podatki zaległe, których nie było czém spłacić. Wypadało zatem wioskę wydzierżawić, i znaleźć dzierżawcę z kapitałem.

Pan Jan Ciemięga, były porucznik, a od lat dwudziestu gospodarz na cudzej roli, z gotowiutenkiemi 60,000 stanął w rzędzie pretendentów do dzierżawy, i otrzymał pierwszeństwo. W rok jakoś potem umarła matka, a w pół roku Helena napisała do mnie list smutny, poważny, oznajmując mi w kilku słowach, że czyniąc zadosyć woli umierającej matki, idzie za pana Ciemięgę, nie czekając końca żałoby.

Nie było w tym liście ani jej myśli, ani jej serca; wszystko powleczone było przymusem, zpod którego wydierało się ku mnie cierpienie! Głoski niektóre były dla mego oka wykrzyknikami boleści, inne błyszczały kroplami łez palących, a inne wydawały tłumione jęki; przytém słowa powiązane w zdania były suche, czeze, zimne jak lodowata skorupa...

Odtąd korespondencya nasza trwała bez przerwy lat kilka i zakończyła się listem, z którego wyjątek przytoczyłam. Moje odezwy brzmiały zawsze dźwiękiem naszej przeszłości, wspomnieniami lat dziecińczych, lat dziewięcnych, nad którymi dziś jeszcze rozśmiać się i zapłakać warto. Wydobywałam dla niej zpod serca wszystkie skarby tkliwych pamiątek, wszystkie nadzieje przyszłości, aby ideałem lat ubiegłych i lat oczekiwania pełnych wskrzesić w niej zapał i rozbudzić iskrę dawnego współczucia.

Jej zaś listy wszystkie prawie, podobne były do owego, który mi zapowiadał to małżeństwo. Powoli, odzwyczaiła się i przestała mówić o sobie; treścią jej listów były zawsze dzieci. Poznałam, że one zajmowały nieustannie jej myśl i serce. O mężu nigdy wyraźnej nie było wzmianki.

Myślałam całą godzinę. Noc przemarzyłam, a wkrótce potem wybrałam się w drogę. Dla siebie samej, w skrytości serca, odbywałam pielgrzymkę do grobu świętej—może męczennicy; dla profanów, dla świata, jechałam do ciotki mieszkającej w Lubelskiem, w sąsiedztwie pana Ciemięgi.

* * *

Był to jakoś w połowie listopada. Nocy i ranki chłodne, dnie posępne a suche, i ziemia żółtym liściem zasłana, zapowiadały zbliżającą się pomrokę jesienną porę.

Mróż biały posrebrzył zeschniętą trawę, mglisty obłok unosił się ponad ziemią, a słońce łzawą, tęskną zrenicą patrzyło na ludzi. Wśród ciężkiej walki z gęstą warstwą mgły, odprawującej powolne wniebowstąpienie swoje, słońce wydierało się ku nam, lecz zwolna gasnąc, sztywniało, jak martwa zrenica trupa, którego

powieki nie przymknięto; i mgła stała między światłem a ziemią: niebiosa pobladyły, wilgotne trawy poczerniały na niwach, ptastwo stadami się zlatywało, i dąszecz drobny, zimny, przejmujący w gęstej mgle spadać zaczął na ziemię.

Był to ostatni dzień mojej pielgrzymki.

Naliczono mi jeszcze około sześciu mil do Woli, w której mieszkała moja ciotka. Po drodze miałam wstąpić do wsi, gdzie spoczywały zwłoki Heleny.

Dojeżdżaliśmy do miasteczka pamiętnego konfederacją, a dziś zalecającego się topielami czarnego błota, pewną liczbą walących się domów, brudem i nędzą mieszkańców, drewnianą uniacką cerkwią i opasłym dzierzawcą, którego żona i córki sprowadzają fioki ze Lwowa, śpiewają włoskie arye po *polsku* i parodują niclitościwie utwory Liszta na klawicymbale.

O małości nie utonęli w tém historycznym mieście.

Wydobyszy się na równą drogę, woźnica oznaczył gościniec znakiem krzyża świętego, mówiąc:

„Będzieto jeszcze z jakie półtoręj mili, ale że droga górzysta i po dąszczu oślizła, to się wolno pojedzie.”

Miałam przed sobą około dwóch godzin czasu. Usnąć nie mogłam: myśl żalu i tęsknoty pełna, ciężyla mi ołowiem na sercu. Wzięłam książkę. Był to jakieś myśli o wychowaniu, jakaś rozprawa o uczuciach, jakiś systemat naukowy; a wszystko razem miało być modłą, wedle której nowe pokolenie kobiet ukształcić się było powinno. Systematyczny i kategoriyczny wykład obowiązków religijnych, zastanowił mnie. Bo jeżeli religią, to wiele znaczące dziś słowo, pojmujemy tylko zewnątrznie; jeżeli duszą i ciałem przywiążemy się do formy, do litery, nie przenikając sercem wzniosłych zasad i najrozleglejszej idei: jakież owoc wyda to zeschłe ziarno? O! zachowaj nas Boże, aby wiara nasza była martwym, zlodowaciałym trupem, bez miłości, bez czynu!.. Żebyśmy świecąc ludziom faryzejską cnotą, niosły Bogu w ofierze serce obojętne na cierpienia, na nędzę i ucisk bliźniego; żebyśmy z założonemi próżniacko rękoma, pożywały chleb powszedni, potem i krwią biędnego skropiony. O! zachowaj nas Boże od takiej cnoty....

Doczytując ostatnich kartek rozdziału, wyjechałam na wzgórze. Droga wązka i kręta ciągnęła się żółtym paskiem wśród pagórków, okrytych zielonemi kępami sośniny. Ten żółty pasek,

stykał się z czarną zakłęską groblą, ściskającą rozlane wody zarosłego miejscami stawu. Wśród grobli sterczał ponuro zasargany młyn wodny; wokół niego biegła boso dziatwa w obdartych koszulach, prosięta nurzały się w błocie, a gęsi z przeciągłym krzykiem ulatywały na środek stawu. Na prawo wznosił się na pochyłości wzgórze wiejski nieogrodzony cmentarz. Krzyż niegdyś czerwono malowany, i gęsto posiane mogiły bez pomników, bez ozdób, świadczyły, że tam spoczywają kości kilku zapracowanych pokoleń, o które potomność niewiele się troszczy. Tylko znak zbawienia, święte godło męczeństwa, wzniesione kosztem włóściańskiej gromady — krzyż, z wyciągnionymi ramionami sterczał wśród mogił, jakby przygarnąć, przytulić chciał do serca kości męczenników, których żywot przewlókł się w ciężkim a krwawym znoju! Dalej w prawo, wyglądał murowany kościółek wśród zabudowań słomą pokrytych; za kościołem nikła wieś w parowie, a za wsią ukazywały się potężne mury, w czarne, białe i czerwone płyty, ręką czasu i niedbalstwem człowieka poznaczone. Tuż obok kościoła była plebania z gospodarskim zabudowaniem: stajnia i stodoła bez dachu, obora rychłym upadkiem grożąca, a dom mieszkalny lubo murowany, więcej podobien był do karczmy, niż do plebanii. Przed domem stał średniego wieku mężczyzna z fajką w ustach, w zielonym surducie barankiem podszytym, i w butach palonych, który donośnym i ostrym głosem lajał stojącego przed nim włóścianina. Chciałam się zapytać tego człowieka o miejscowego proboszcza, o którym nieraz wiele dobrego słyszałam od Heleny, a którego znajomość takby mi się przydała w obecnej chwili.

Na zapytanie moje o księdza Pawła, człowiek z fajką w ustach odpowiedział mi z szczególnym wyrazem spojrzenia i głosu:

— Ho! ho! ho! moja Mościa Dobrodziejko! już z księdza Pawła dawno nieboszczyk.

— A jego zastępcą?..

— Ja jestem, moja Mościa Dobrodziejko!.. Cóż pani do księdza Pawła miałaś za interes?

— O! żadnego interesu, ale pragnęłam się z nim widzieć w przejeździe... A pan Ciemięga, czy mieszka jeszcze w tych dobrach? Czy go zastanę w domu?

— Pan Ciemięga jest przecie dziedzicem i zapewne zastaniesz go pani, bo nie zwykł z domu wyjeżdżać.

— Dziękuję panu. Więc pojedziemy do dworu.— Zastępca czyli następca ks. Pawła dziwne na mnie zrobił wrażenie: głowa prawie łyśa, profil sfinxa, spojrzenie bystre, głos rubaszny i przeraźliwy tego człowieka, przypominał mi ów typ starych ekonomów, których ród u nas jeszcze nie zagiął. Czy podobna, ażeby taka powierzchowność okrywała duszę wiejskiego plebana, duszę opiekuńczego anioła, anioła pocieszyciela rodziny włościan!

Z okiem lżą zaszłém, z bijącym sercem jechałam ku dworowi. Dwie murowane kolumny, z których tynk pooblatywał, świeciły starą cegłą, żółtemi gdziegdzie plamami równie starego wapna, parodując bramę tryumfalną do zwalisk starego zamku. O kilkaset kroków sterczała kamienica o piętrze, z bramą na przestrzał otwartą, do której wjeżdżano po chwiejącym się mostku, zarzuconym nad dość głębokim ale suchym rowem. Z bramy na przestrzał otwartą wjechałam na wielki kolisty dziedziniec, po którym indyki i gęsi wydeptywały resztę żółtkłej trawy, a wieprze nurzały się w kałuży rozlanéj przed oficyną, gdzie była kuchnia. Nad drugimi drzwiami, obok kuchni, wisiał wymalowany orzeł, znak mieszkania wójta, a z sieni rozlegał się na zewnątrz krzyk bolesny, przeplatany odgłosem niemniej bolesnych razów, i wrzask człowieka, który obsypywał kogoś obelgami i złorzeczeniami. Psy leżące przed kuchnią zaszczekały i zawyły żałośnie, ale żaden z miejsca nie powstał.

Zmieszana i wystraszona zajechałam przed dom murowany bez piętra, o dziesięciu frontowych oknach, o wielkim krużganku na sześciu słupach wspartym, do którego prowadziły szerokie, kamienne, potężnie zabłocone schody. Ponad domem wznosiła się wieżycza z ganeczkiem, na którego poręczy powiewały, jak flagi statku, stare zgrzebne worki, kolorowe nasypki i świeżo poprane szmaty. Przed domem stało kilka zaszlochanych kobiet, z których dwie zawodziły głośnym płaczem; najstarszą z nich uspokażał młody parobczak, którego oczy iskrzyły się dziwnym blaskiem, a po twarzy dwie łzy się toczyły.

— Cichoście jeno matulu, co wam pomoże tak zawodzić: taj go może nie zabiją odrazu.

— Oj! dolaż moja dola! — jęczała stara kobiéta—O! joj, joj! jooj!
— Wtém, niska, czerwona, otyła kobiéta wypadła z sieni z pękiem kluczków w rękę i przeraźliwym głosem zakrzyzczała:

— Poszli precz wy draby; tylkobyście się naprzykrzali, tylko pana gniewacie; a jak dostanie który, to się baby złażą i beczą przed domem. Pójdziecie mi ztąd precz, wy chamy, gałgany!

I biędni ludziska ustępowali z przed domu, a stara w płachtę owiniona kobiéta coraz głośniej zawodziła.

Struchlałam, nie wiedząc czy wysiąść, czy zawrócić w dalszą drogę; ale już było zapóźno.

Weszłam do ogromnej sieni cegłą brukowanej; doły i wyboje błotem naniesione, biało brudne ściany, wychudłe psy po kątach leżące, nową we mnie obudziły odrazę.

Służący domowy wpuścił mnie drzwiami na lewo do wielkiej izby, a sam zniknął natychmiast.

Człowiek wpadający nagle do wilczej jamy, pochwycony ze snu do jaskini łotrów, lub wepchnięty za życia do piekielnej otchłani, wyobraziłby sobie może uczucie jakiego ja w téj chwili doznałam.

Izba do której mnie wpuszczono, była niegdyś wapnem bielona, ale kurzem i pajęczyną pokryta, miała wątpliwego koloru ściany. Brudna, dębowa, spaczona miejscami podłoga; trzy wielkie okna, jak trzy wylupiaсте oczy pozbawione powiek i rzęsów, oświetlały aż nadto wewnętrzny nieporządek mieszkania. Pod oknami poustawiane na ziemi w kępy donice z pożółkłemi krzewami, których liście pokrywała gruba warstwa pyłu. W jednym kącie fortepian zamknięty, w dwóch innych kanapka o trzech nogach i sofa perkalem pokryta: przy drzwiach orzechowe biurko atramentem zlane; ogromna spluwaczka z prostych zbita desek; kilka rycin krzywo na ścianie pozawieszanych, których pod strzaskanemi napół szklami, pod kurzem i brudem rozpoznać nie było można;—nakoniec ogromny komin i piec jeszcze ogromniejszy, składały wewnętrzny obraz téj mieszkalnej izby.

Patrzałam naokoło siebie z osłupieniem, gdy nagle drzwi od sieni szeroko się rozwarły i mężczyzna silnej budowy, cały zadyuszany, około lat 50 mający, wtoczył się do pokoju. Powierzchność tego człowieka miała coś zatrważającego, a przynajmniej dla mnie już i tak wystraszonej tém, co wokoło siebie słyszałam. Oczy wielkie i bystre, czoło płaskie, nos krótki otwarty, usta pobladłe i wilgotne, włosy prawie siwe a rozczochrane, przypominały mi lwa widzianego kiedyś w menażeryi, tylko że lew miał lwią powagę, a człowiek z podobieństwem do lwa miał wyraz obłąkanego w paroksyzmie szaleństwa. Biała nakrochmalona chustka, której zmięte końce spadały na piersi, owijała szyję wysoko aż pod uszy. Długi surdut, zapięty w stanie na jeden guzik, dopełniał ubranie tego człowieka.

— Zapewne mam przyjemność widzieć p. Ciemięę?—rzekłam nieśmiało zdobywając się na pytanie. Zagadniony wśród ciągłego sapania odpowiedział mi:

— Tak jest — i stanął przedemną jak wryty, zanurzwszy ręce w kieszenie surduta.

— Pan Dobrodziej odebrałeś zapewne list, w którym przypominałam mu dawną moję znajomość z jego żoną, a opierając się na prawach przyjaźni łączącej mnie niegdyś z Heleną, prosiłam pana o pozwolenie odwiedzenia jej dzieci...

— Tak, tak—odpowiedział pan Ciemięga—ale moje dziewczęta pojechały na odpust z siostrą proboszcza, i nie wrócą aż jutro.

— Gdybym była pewna, że to panu nie robi różnicy, zaczęłabym do jutra, jakkolwiek spieszenie dążyć do mojej ciotki.

— Można zaczekać; myślę, że jutro po nabożeństwie przyjadą.

Pan Ciemięga stał zawsze jak wryty przedemną, a ja przed nim, nie wiedząc jak sobie to szczególne przyjęcie tłumaczyć; ale przebywszy pierwszy ogień postanowiłam czekać. Po tej lakonicznej rozmowie, pan Ciemięga uklonił się grzebnąwszy w tył prawą nogą, i wyszedł zostawiając mnie samą. Niedługo weszła z zadaną twarzą owa otyła kobieta, którą na wstępie samym ujrzałam, i otworzyła przyniesionym kluczem wielkie drzwi na prawo do salonu.

Ten salon byłato oaza wśród puszczy, perła w śmietniku, dyament oprawiony w zardzewiałe żelazo. Otwierano go tylko dla szczególnych i rzadkich gości, do liczby których i ja musiałam należeć. Zrozumiałam to nieme zaproszenie i weszłam do owego salonu.

Po odejściu natrętnych świadków, zaczęłam troskliwie oglądać wszystkie sprzęty, wszystkie porozstawiane drobiazgi, a każdy prawie był dla mnie wspomnieniem. Skutkiem pory jesienniej, niezamieszkania i nieprzewietrzenia, wilgoć i chłód połączone z wonią pleśni, napelniały powietrze tego pokoju zimnym tchem grobowym. Rzekłbyś, że ztąd dopiero co umarłego wyniesiono, albo że tu jeszcze gdzieś ukryte leży ciało niepogrzebane.

Poblądte wizerunki rodziców Heleny, kilka lepszych oryginałów szkoły flamandzkiej, dwa wielkie lustra wisiały na białych ścianach, w środku pajak brązowy z szklanemi wisiadatkami błyskał ogniem rzniętego dyamentu; na stolikach porozstawiane drobiazgi, a pomiędzy nimi zabawki dziecinne: flaszeczki, kałama-

rzyk, koszyk z drzewa wyrobiony i mała szklaneczka. Byłyto upominki z naszych lat dziecięcych, upominki dane w dzień imienin wśród serdecznych uścisków i łez radosnych.

Częstokroć rzecz napozór drobna, liść zeschnięty, zmięty i pożółkły papierek, są dla serca skarbami, kiedy ręka przyjazna dotknęła się onych w stanowczej chwili, kiedy nad nimi wymówione zostały miłości lub przyjaźni słowa, kiedy tę drobnostkę gorącym ocenając sercem i nazwiskiem *pamiątki* poświęcamy.....

W kącie stała przymknięta szafka z książkami. Przez szyby odczytywałam ich nadpisy, nie śmiejąc bliżej się im przypatrzeć. A jednakże.... oh! jakbym też była chciała wysledzić w tych martwych, otaczających mnie sprzętach, tajemną treść spędzonego między nimi żywota; jakżebym była chciała dowiedzieć się od nich co ona myślała, co cierpiała myśląc, kiedy mnie jej zimne, czeze dochodziły listy! Gdyby choć jaki dziennik, jaki pamiętnik, jaki ślad, któryby mi ukazał w prawdziwem świetle jej kilkoletnie małżeńskie pożycie.....

Ten mój przegląd nagle przerwany został odgłosem dzwonka i wezwaniem na wieczerzę. Nie byłam głodna, jednak odmówić nie wypadało, gdy odwiedziny moje i tak, o ile uważałam, nie przypadały gospodarzowi do smaku.

Pan Ciemięga czekał na mnie w sieni ze świecą, i zaprowadził przeciwnymi drzwiami do jadalnej izby.

Była to rodzona siostra tej, do której zostałam wpuszczona na samym wstępie. Też brudne ściany, też czarna i spaczona podłoga, też trzy ogromne okna i także zielone kępy geranium i tureckiego pieprzu warstwą pyłu pokryte. Małe, zakłęste krzeselka, czarną skórą obite, dwie czarne szafy, stół na środku i stół przy piecu:—oto sprzęt cały. Na ścianach wisiały jakieś jaskrawe wizerunki, których podobieństwa ani znaczenia do cieć nie mogłam; w kącie zegar z kukułką ośm razy zasyczał.

Kiedyśmy wchodzili, powstał w kącie siedzący, małego wzrostu mężczyzna; przed domem jednocześnie zaturkotała bryczka, i wkrótce potem ukazał się we drzwiach ksiądz proboszcz.

Pan Ciemięga kiwnął na służącego, który przyniósł flaszkę wódki i kieliszek, poczem usiedliśmy do wieczerzy.

— No, i cóż tam proboszczu?—odezwał się p. Ciemięga—No, i cóż? jakże tam ten pogrzeb? jakże stypa?

— Ha! cóż?—odpowiedział przewlekłym głosem proboszcz—dali obiad, ale wino było *kiepskie*, i nie było się z kim zabawić.

— Jakto? a pan Wincenty? a kapitan? a konsyliarz Proszkiewicz?

— Ah, gdzie tam! Co pan chcesz, z temi kobiętami to trzeba oszaleć, i dobrze też że nam się żenić niewolno. Tu matka nieboszczyka, tu siostry, tam żona mdleje i płacze, na serce chorują, tak, że mało umarłego z grobu nie poruszają. Ja się tam temu nie lubię przypatrywać i zaraz też po obiedzie wyjechałem.

— Oho! to ci się nie udało, kiedy nie było z kim w *djabelka* zagrać. Ale bo też się księdzu niegodzi grać w *djabelka*—dodał z głośnym śmiechem p. Ciemięga.—Wszak prawda Pani Dobrodziejko, że księdzu *zasię* od *djabelka*.

Odpowiedzić było z mój stróny rzeczą niebezpieczną, lecz szczęściem nikt odpowiedzi nie czekał.

— No, a mowę nad grobem tyś miał zapewne—dodał pan Ciemięga—toś się tam musiał *wściekać* (1) proboszczu! Nie uwierzysz Pani Dobr. jakato zapamiętała sztuka z tego proboszcza, kiedy jest na ambonie. A pięknie mówi... bardzo pięknie!...

Nowy turkot przed domem, nowego zapowiedział gościa; jakoż po chwili wszedł wysoki, barczysty mężczyzna, którego tytułem kapitana powitano.

— O wilku mowa, a wilk tuż—zawołał proboszcz—A cóż to kapitanie, uciekłeś od stypy!?

— A co ja tam miałem robić? — odparł kapitan szepleniąc.

— No, to sobie tu zagramy w wisteczka, kapitanie.

— A ktoby tam grał w wisteczka, sędzio dobrodzieju! ja usypiam rachując lewy i robry.

— To jak wam się podoba, ja zawsze do gotowego—odpowiedział gospodarz.

Mężczyzna, którego wchodząc zastaliśmy w jadalnej izbie, połykał w milczeniu dar Boży i zdawał się obojętnym na rozmowę obecnych, gdy go zagadnął proboszcz:

— A cóż konsyliarz na to?

— Ja Moci Dobrodzieju nigdy nie grywam, nigdy nie lubiłem, nie umiałem grać w karty; a mnie to na co, Moci Dobrodzieju...

— Konsyliarz to sobie lubi fabryki... spekulacyjki... Jakże się tam udał ten krochmal?.. a ów karuk, co to go koty zjadły?.. ha! ha! ha!

(1) Byłoto ulubione przysłowie p. Ciemiegi.

— Wolne żarty, Moci Dobrodzieju, wolne żarty. Takto tak, Moci Dobrodzieju, takto tak, czasem się coś nie uda, czasem się coś zepsuje, Moci Dobrodzieju; takto tak Moci Dobrodzieju.

Tu pan konsyliarz połknął ostatni kawałek pieczeni i zapił szklanką piwa koniec swój przekonywającej obrony.

Po wieczerzy rozwiązał się język panu Ciemiędze, ale na moje nieszczęście; bo siląc się na dowcipy opowiadał swego utworu dykteryjki, nadziewając je obrażającemi dwuznacznikami, z których śmiał się sam do rozpuku.

Chcąc nadać inny kierunek téj wesołej rozmowie, zwróciłam uwagę na wizerunki wiszące na ścianie w czerwono pomalowanych ramach.

Pan Ciemięga wziął świecę w rękę i podniósł ją do góry, bo pomimo dwóch świec na stole zapalonych, w czarnej ogromnej izbie było zupełnie ciemno. Pan Ciemięga z całą tedy uprzejmością na jaką się mógł zdobyć, przyświecając okopconym ścianom, pokazywał mi wiszące na nich malowidła.

Byłyto portrety całej prawie żyjącej jego rodziny. Począwszy od pana Ciemięgi aż do starego domowego kota, każdy siedział jak zaklęty w czerwonych ramach, przypatrując się w milczeniu odgrywanym codziennie scenom w téj ponurój izbie, któraby posłużyć mogła za wzór niejednemu z flamandzkich malarzy, zdejmujących z natury obrazy karczemnej hulanki.

Spojrzawszy na te okropne utwory artysty-bazgracza, przypomniałam sobie bóty na okiennicy wymalowane w jednym z naszych miasteczek, oznaczające mieszkanie *fabrykanta obuwia*. Zaiste, owe buty więcéj były warte pod względem wykonczenia i podobieństwa, od zgromadzonej na ścianie rodziny Ciemięgów.

Ganic nie mogłam, chwalić nie miałam sumienia; oglądałam przeto w głębokiém milczeniu tę parodyą sztuki.

Pan Ciemięga pewien że podziwiam te arcydzieła, odezwał się głosem zadowolenia pełnym:

— A wié Pani Dobr., że to wszystko zrobił guwerner moich dzieci!?

— Doprawdy?

— O tak! to człowiek mający rzadki talent! Powiadam pani, wszystko umie!

— To szczęście znaleźć takiego człowieka.

— Boto widzi pani, gra na fortepianie, po francuzku trzepie jak Francuz, był kilka lat w Paryżu, a maluje odrazu, na oczekaniu.

— A gdzież się ten pan znajduje?

— Wyjechał na parę tygodni do Warszawy. Szkoda, że go Pani Dobr. nie poznasz, bo to człowiek rzadki.... Powiadam, wszystko umie!

— Młody chłopak, ale zdatny—bąknął ksiądz proboszcz.

— I pan nie wahałeś się powierzyć wychowania swoich córek młodemu człowiekowi?...

— A cóżto szkodzi? Zresztą powiem pani szczerze, że ja nie chcę, żeby moje dziewczęta były mądre; wcale tego nie chcę; niech się nauczą gadać po francuzku, kiedy na tém świat stoi, trochę klepać na fortepianie i trochę malować, to będzie z nich aż nadto....

W téj chwili drzwi się z trzaskiem rozwarły, a w nich ukazała się zaperzona klucznica, która groźnym głosem zakrzyczała na służącego:

— Cóżto! ty chamiel! ty mucu jakiś! Co ty mi będziesz bił chłopca, ja ciebie nauczę!...

Służący uniewinniał się półgłosem, a pan domu spojrzawszy ostro na niego, odezwał się bojaźliwie do krzykliwej gospodyni:

— Proszę cię, daj pokój; wiész, że tego nie lubię...

— Co mi tam!—zakrzyczała i trzasnąwszy drzwiami znikła przed oczu.

Po wieczery i ukończoném sprawdzeniu podobieństwa rodziny Ciemiągów z ich wizerunkami, gospodarz domu wyjął z kantorka dwie talie brudnych kart, rozłożył stolik obity podartém i poplamioném suknem, postawił na nim dwie łojowe świeczki i dał znak do rozpoczęcia gry, co było dla mnie znakiem pożegnania tych panów.

Pan Ciemięga powtórzył ze mną ceremonią przeprowadzenia przez sień ciemną i zaslaną psami, które na noc uciekały z dworu pod strzechę.

Wróciwszy do przeznaczonój mi sypialni, do owego pokoju w którym technienie śmierci i technienie wspomnień cisnęło mi piersi, puściłam się szybkim chodem wzdłuż i wszérz téj izby, żeby rozbić kipiącą chmurę myśli, żeby stopić złodowaciałą bryłę co mi w piersiach stęzała, żeby ją wypłakać łzami tęsknego żalu...

Lecz daremnie!.. Trzy wielkie, obnażone okna, wychodzące z przeciwnéj strony domu na ogród, biły we mnie światłem księżycowéj nocy i naprószonym całunem śniegu. Na błękitnawém tle sklepienia leciały chmury stadem rozpierzchłych gęsi, muszcząc z przymileniem zasępioną twarz księżycą; pomiędzy nimi błysnęła kiedyniekiedy gwiazdka nieśmiało i wnet nikła wśród nawalnej chmur powodzi, a księżyc stał ziemi niechętnie światło, przedzierając się ku niej drżącym i słabym promieniem. Szkielety drzew obnażonych ciągnęły się pasmem w czworobok, którego czwartą ścianą była długość domu, a wznosząc się niby hebanowe ramy rzucały cień na rozpostarty przed okiem śniegowy całun. Na tym całunie, w pewnej od siebie odległości, dziwne jakieś kamienne posągi, pozbawione: ten głowy, ten ręki, ów nogi, a tamten przerwany do połowy, sterczały jak wojownicy skamienieli wśród walki na pobojuwisku; a dwa piramidalne świerki, jak dwa zakłète karły, wieczną okryte zielonością, stały niewzruszone naprzeciwko siebie.

Wicher szalał dokoła, szturmował do okien, świstał w dymnikach, huczał ponad głową, jęczał płaczkliwie ponad mogiłą zmarłych, i porywał z sobą w nieskończoną przestrzeń odgłos radośnych okrzyków, bolesnych westchnień i przekleństw rozpacz; tylko pobojuwisko skamieniałych rycerzy okute w czarne kościotrupów szeregi, w głuchém pogrążone było milczeniu.

Na stojącym w kącie stoliku leżała czarna safianowa teka, obok palącej się w lichtarzu świecy. Spodziejając się znaleźć tamże cośkolwiek z jéj przeszłości, choćby tylko kwiatki jéj ręką malowane, poważylam się otworzyć tę zapyloną tekę, do której zapewne od jéj śmierci nikt nie zaglądał. Otworzyłam. W jednéj kieszonce były prawie wszystkie moje listy; w drugiéj jakiś rękopism jakby z umysłu nieczytelnie kreślony, w którym jednakże nietrudno mi było poznać rękę nieboszki.

Zobaczywszy to, zdało mi się, że ją samą ujrzałam, że mi się duch jéj w tych głoskach objawił, żeśmy się obie w krainie duchów spotkały. Nie widziałam nic przed sobą, nic za sobą, tylko pismo nieboszki.

Byłażto jéj spowiedź, czy testament?

Przeczuciłam najprzód wszystkie kartki, nie patrząc na wyrazy kreślone: niektóre z nich rozplynęły się na papierze pod kroplą łzy gorącej; — i kiedy jéj ciało w proch się oddawna rozsypało,

ta Iza, niby cząstka nieśmiertelnej duszy, przetrwała cierpienia ziemskie i świadczyła o nich.

* * *

Pókim był dziecięciem, mówiłem jako dziecko, rozumiałem jako dziecko, rozmyślałem jako dziecko; lecz gdy się stał mężem, zaniechałem rzeczy dziecięcych.

Św. Paweł do Koryntów w r. XIII.

Pamięć — to żywy posąg Memnona, co przy świetle promieni słonecznych wydaje smętne, harmonijne dźwięki: to pamięć moja! Ona bez słów jest tylko przeddźwiękiem uczuć i myśli, co się potokiem rozlały w świat ducha i popłynęły tam! w nieskończoność!

Gdy zamknę oczy, to przeszłość cała, moja i nie moja, jak obrazek cudowny świeci w mej duszy. Wszystko co zmarło, wraca do życia: łzy i uśmiechy dziecięcia, uroczy smutek lat młodzieńczych, długie, senne marzenia o niebie przyszłego szczęścia; a dalej, dalej idzie bolesne w świat przejrzenie, pierwsza omyłka, pierwszy zawód, i na tém się kończy poezya naszego żywota.

Po takim śnie krótkim, zbroimy się w pancierz cnót archańskich, w tarcz odwagi, w miecz słowa; bierzemy na się wszystko, co tylko boskiego zlał Bóg na ziemię, i wstępujemy, jako bierzmowani rycerze ducha, do walki sami z sobą i z otaczającym nas światem. Jestto walka na śmierć lub życie! Człowiek powstanie z niej mężem, albo zginie robakiem, podniesie się aż do bóstwa, lub zniży do poziomu bydłęcia; a to co zostanie pomiędzy jednym a drugim, niewarte wspomnienia: to co nie walczyło o życie, życia niewarte! Jeżeli bój zacięty, to i chwala wielka; a cokolwiek wypadnie, anioł nieśmiertelności włoży walczącemu na skronie wieniec z najświętszych usiłowań.

Wpółśród tej walki, nieraz pierś, co tchnęła poświęceniem dla braci, stygnąc zaczyna, iskra boskiego ognia gaśnie, zasypuje się popiołem! Myślelibyście, że się wszystko kończy dla człowieka; ale szczęściem czy nieszczęściem, to tylko przesilenie, ostatnie sił wytężenie, ale jeszcze nie śmierć, jeszcze nie upadek, jeszcze nie ciemność wiecznego zwątpienia.

Bo zawsze po pierwszych zawodach następuje odrętwienie, a po niém wraca znowu niezóm niezwykcioną w nas siła uczucia; i wtedy cień obleka się w ciało, przeobrażone w nas uczucie rozlewa się czynem wokoło, przechodzi w rzeczywistość, w prawdę, w ludzkość!

Oto cała biografia ducha naszego, cała historia jego ziemskiej pielgrzymki; może z opuszczeniem kilku odcieni i wariantów, które treści jego nie zmieniają bynajmniej.

Choćby mnie za to mędracy świata tego ukamienować mieli, powiadam: iż nie wierzę w żadną potęgę rozumu, ale za to, ze czcią religijną wierzę w potęgę serca. Wszakże człowiek wiele rzeczy pojmuje, przenika, odgaduje, i nieraz rozwiąże najtrudniejszą hipotezę życia społecznego nachylając rozum do serca, jeżeli to serce pełne uczuć braterskich, pełne miłości i wiary!

Ale dajmy temu pokój!... Ludzie uczeni i nieuczeni tyle już papieru zapisali o rozumie i sercu, o nauce i głupstwie, że rozprawiać dziś o tém byłoby prawie śmiesznością, a przynajmniej rzeczą niepożyteczną dla tych, co piszą i dla tych, co czytają.

Dziwne mi się nieraz myśli po głowie płacząc! Taka przecudna panorama rozwija się w głębi ducha, a objawić tego wszystkiego oczom ludzkim nie potrafię inaczéj, jedno słowem. A czémże jest słowo dla oka? Czém barwa dla ucha? Czém dźwięk dla podniebienia?—zagadką... zagadką... Wiele rzeczy minionych pamiętam dokładnie, inne widzę tylko poza mgłą ważniejszych wypadków, a inne jeszcze są wciąż przytomne, widzialne, i po nich to, niby po drogoskazach łatwiej zstąpić w przeszłość!...

Widzę najprzód przez mgłę jak mnie niania, moja pocziwa Marysia, na rękę nosiła; słyszę, jak mi nad kołyską śpiewała piosnkę o *kalinie co w dole stała*, jak mnie uczyła chodzić po zielonym kobiercu kwiecistej łąki, jak ręce do modlitwy składała, a święconym obrazkiem uroki i podstępny szatański od śpiącej dziecińy odzęgnywała.

Opowiadano mi później, że matka karmiąc mnie utraciła po kilkodniowej chorobie starszego syna; a w żalu swoim podając mi pokarm z piersi zmartwieniem zatrutej, wyrzekła te okropne w ustach matki słowa: „Kiedy on umarł, to niech i ją Bóg zabierze!”. Ale Bóg zabrać nie chciał dziecięcia, któremu biedna zrozpaczona matka śmierci życzyła; bo On wiedział, że to były słowa rozpaczki bezmyślnéj, a nie głos jéj serca!

Żyłó więc dziecię skazane słowami matki; przetrwało kilkodniowe konwulsye i zwalczyło śmierć, która porzucając zdobycz swoję, wypiętnowała na jego obliczu tę bladość tajemniczą, co to zawsze światu jakieś ukryte cierpienie zwiastuje.

Rok w rok musiało przetrwać jaką chorobę, śmierci się okupić częścią sił żywotnych; bo powiadam, iż to było dziecię

skazane, któremu życie miało być walką, nadzieja zawodem, wesela żałobą, a dzień ostatni zmartwychwstaniem ciała i duszy. Widocznie też słabło na siłach, gasło w oczach matki, któraby wtedy życie własne za życie dziecięcia była oddała; i jak przedtém modliła się do Boga: „śmierci! śmierci!”, tak potém modlitwą serca wzywała: życia! życia!

Biędna matka! nie wiedziała o co prosiła ani przedtém, ani potém.

Niedostatek sił fizycznych, pewne rozprężenie organizmu nerwowego, zabijając powoli ciało, wpłynęło na rozwijanie się władz duchowych, rozdrażniło myśl i uczucie, i usposobiło dziecię do pojmowania życia—przez cierpienie! Okoliczności zewnętrzne wzmogły jeszcze ten stan anormalny. Rodzice poczuli zawczasu nucić dziewczynce smutną zwrotkę ziemskich boleści, zawczasu ją oswoili z wiedzą złego i dobrego—raj niewiadomości był dla niej stracony! Chciano aby odrazu myślała jako człowiek; nie dano jej być dziecięciem i grzech pierworodny stał się dla niej pokutą za grzechy świata! Pomiędzy innymi powiedziano jej, że jeden człowiek stać się może zgubą drugiego, że dobry czyn nie bywa przez ludzi nagradzany, a zły niezawsze karany; że miłość i sprawiedliwość sąto ideały, dotąd w księgach zawarte, duchem świętych mężów opromienione, lecz niemające związku z rzeczywistością i w sprawę ludzką dotąd niewcielone.

Czy to było źle, czy dobrze?—ja nie wiem. Ale to wiem, że dziewczynka w 7mym roku pojmowała przeznaczenie swoje, nie jak dziecko, ale jak człowiek. Nie lubiła lalek, nie miała zabawek; dzieci jej unikały, bo była smutna, cicha i zamyślona; starsi wruszali ramionami, a matka radziła się lekarzy.

Istotnie potrzeba było lekarza, ale nie lekarstwa sporządzonego według łacińskiej recepty.

— Dajcie pokój—mówił ojciec—jej trzeba ruchu, świeżego powietrza, swobody, rozrywki: przyjdzie ona z czasem do siebie.

Stosownie do tego przepisu, zostawiono mi ruch, wolność próżnowania i wywożono mnie na świeże powietrze. W istocie odżyłam cokolwiek za rogatkami wielkiego miasta.

Taki był wstęp do życia.

Nie uczyłam się niczego naprawdę do lat dziesięciu. Nie wiem nawet, kto, gdzie i kiedy nauczył mnie czytać, i jakim wypadkiem wzięłam piérwszy raz pióro do ręki. Ale to pamiętam,

że ojciec, zamiast bajek o zaczarowanych pałacach i zaklętych księżniczkach, opowiadał mi wielkie zdarzenia historyczne, oswajał pamięć z imionami zacnych mężów, zapełniając myśl prawdą, zawsze prawdą teraźniejszości i przeszłości, ażebym kiedyś prawdę przyszłości zrozumieć mogła i w potrzebie sama ją z własnej piersi wysnuła. Czasem matka przypomniawszy sobie jakie ważniejsze współczesne zdarzenie, jakiś wypadek w związku będący z historią, rozwinęła zajmującą powieść, ciekawy a przerażający niekiedy dramat, po którym łzy i krew ciekną naprzemiennie. Słuchałam jej całą duszą, bo ona zawsze dodać mogła: „ja tam byłam, ja to widziałam; mój ojciec, moi bracia także tam byli...”

Już mi dziś trudno obliczyć, ile takie rozmowy plennych ziarn w umysł rzuciły, jak ważnym były wstępem do naukowego wykształcenia, jak przysposobiły serce do ukochania prawdy najwyższej. Kiedy słyszę jak dzieci moich sąsiadek popisują się nabytymi z książek wiadomościami, jak ośmioletnie dziewczęta umiejące zaledwie czytać, znają na palcach historią wszystkich bożków greckich, i pięcioma językami budują w swojej głowie wieżę Babelu: zaprawdę, litość mnie bierze! I myślę sobie, dlaczego ludzie mający pretensją do naukowości, mający rozsądek w powszedniem życiu, tak go mają niewiele w najważniejszym zakresie swego powołania? Dlaczego jeszcze tylu zabitych na umyśle i umarłych na sercu, kiedy oto przed nami, wśród nas takie obfite źródło *żywej wody*, taka niewyczerpana skarbnica wiedzy stoi otworem? I dlaczego jedni szukają w niej tylko zaspokojenia potrzeb materialnych, drudzy, nasycenia próżności; a mało komu przyjdzie na myśl, żeby z niej wydobyć prawdę rzeczywistą, prawdę, co się ma z duchem naszym związać, z życiem zespolić, i rozwinąć w niem owę twórczą potęgę, co jak pieśń cudowna w obłoki uderzy, a potem iskrami rozsypie i światłem cudownem rozplynie się na ziemi..

Tak więc do lat dziesięciu nauczyłam się przypadkiem czytać i pisać, bo nie pomnę odkąd zaczęłam czuć i myśleć. Bez żadnego przymusu matka wzwyczaiła mię do pracy, nauczyła wielu rzeczy praktycznie, o których siedząc na ławce szkolnej nie byłabym się nigdy dowiedziała. Korzystała z każdej okoliczności aby mi wskazać obowiązki, jakie religia wkładana w wszystkich ludzi w ogóle. Nigdy powinności człowieka nie ujęła w formułkę, w zdanie uświęcone, gdzie najczęściej martwa litera zastępuje żyjącego ducha; ale starała się zawsze naukę życia czynem objawić.

Ztąd poszło, iż potrzeba istotnego, rzeczywistego pożytku zamieniła się u mnie w drugą naturę, stała się warunkiem życia towarzyskiego, i wyrobiła to przekonanie, że niezgięta wola w połączeniu z pracą, koniecznie czyn odpowiedni wydać musi.

Później, w zetknięciu się z ludźmi zjednało mi to przydomek kobiety oryginalnej, excentrycznej, poza obrębem konwencyonalnego świata żyjącej, może nawet szalonej! ale mniejsza o to.

Dla mnie też atmosfera owego świata była istotną malaryą włoską, duszę zabijającą! Ona tłumiła swobodę w mojej piersi, lodowaciła mi serce, wysuszała mózg, i byłaby sprowadziła śmierć duchową, gdyby mnie okoliczności z tego ciasnego koła nie były wyrwały.

Długo opierali się rodzice naleganiom ciotek, babek i troskliwych o moje wychowanie przyjaciółek, utrzymujących, że czas wielki systematycznie ze mną nauki rozpocząć. Wkrótce też stało się zadosyć ich woli.

Rzucona pomiędzy gromadę dzieci, z odmienném zupełnie usposobieniem, pozbawiona naraz i pieszczot matki, i poważnej z ojcem rozmowy, do zabawy i pustot rówieńnic moich należałam z konieczności, a często ich wesołość pobudzała mnie do płaczu.

Rzecz dziwna, ilekroć zapytywano mnie o przyczynę łez moich, nie umiałam na to odpowiedzieć. Czułam tylko, że mi jakaś niewymowna rzewność opłynęła duszę, nacisnęła ją jak chmura majowa, i łzami ulżyła dziecięcej tęsknocie.

Przypominam sobie, że najczęściej dzień upłynął na obojętnie wykładanej nauce, której słuchałam jak niemieckiego kazania, bo mnie dotąd najwięcej sercem uczono pojmować, i nie przykrojono rozumu do ramek szkolnego wykładu. I nie powiedziano mi, czyli ta praca mozolna wyda jaki owoc pożyteczny dla świata, czy ta nauka, którą mi gwałtem w głowę kładzono pod karą złej kreski, ma się kiedyś z życiem mojem zespolic, czy ona uczyni mnie lepszą, świętszą, szczęśliwszą!

Ponieważ mi tego nikt nie powiedział, wyrozumowałam sobie sama, że mnie oddano do szkoły dlatego, żeby tak zrobić jak wszyscy; że nauczyciele dlatego uczą, bo ich to bawi, a ja dlatego się uczyć muszę, bo mi kazano. Wyrobiwszy w sobie takie przekonanie, uczyłam się z konieczności, bo inaczej zrobić nie mogłam.

Po kilkoletniej nauce, dzięki profesorowi, który jak kometta zjawiał się na miesiąc przed każdym egzaminem, a potem zniknął na czas nieograniczony, dowiedziałam się, że ziemia jest okrą-

gła i że Warszawa leży nad Wisłą. W czasie téj kilkutygodniowej gwałtownej nauki, tworzył się w mojej głowie okropny zamęt geograficzny bez początku i końca. I tak np. od miast stołecznych w Europie, przechodziłam nagle do najwyższych zagadnień astronomicznych, a ztamtąd do fizyki, geologii i t. d.

Pod względem historii i literatury jeszcze podobno było gorzej. Cały rok krążyliśmy w królestwie Sardanapala i Nabuchodonozora, nie wiedząc nawet w jakiej części świata gnieździli się niegdyś Assyryjczycy. Jednocześnie z Assyryjczycami wykładano nam dzieje państw zachodnich z czasów po-Chrystusowych, wspomniano coś o Rzymie, coś o cesarstwie byzantyjskiem, a na zakończenie dano słów kilka o wojnach Napolcońskich i o przedwstępnych do jego panowania wypadkach. Taką mieszaninę zdarzeń, wieków i nazwisk przewano nauką historii. Do niej przyczepiono w takimże samym porządku literaturę wszystkich narodów, poczynawszy od Pentateuku Mojżesza, a skończywszy na tragediach Woltera.

W arytmetyce stałam zawsze najniżej, tak, iż opuszczając szkołę nie umiałam jeszcze najprostszego działania piśmiennie rozwiązać. Liczby pozostały dla mnie nazawsze martwemi znakami, żadnej myśli niewyobrażającemi. Rachunkowość pojęłam później w życiu praktycznem, gdy potrzeba usunęła wstręt do obliczania rzeczy i wypadków.

Jedyną rozrywką moją było pismo. Uczucia i myśli dziecinne spisywałam po zeszytach naukowych, a potem marzyłam, płakałam nad nimi i odczytywałam je w cichości. Byłoto jakieś szczególniejsze przepelnienie ducha, jakaś niewypowiedziana siła uczucia, co mi się potokiem z piersi wydzierala! A gdzie miał popłynąć ten potok? z czém się złąć na całą wieczność?—Bóg wie! Jam wówczas nie wiedziała, i dzisiaj może jeszcze, gdyby mi przyszło wskazać cel najświętszych rozpamiętywań moich, nie znalazłabym go nigdzie. Był tam Bóg i wszyscy święci aniołowie Jego; duchy senne, nieujęte; ludzie, tłumy ludzi, których nie znałam; najwyższe ideały cnoty, wielkie natchnienia, które światem wstrząsają i porywają go z sobą w przestrzeń, dalej, dalej! To wszystko przedstawiało mi się w zachwycających obrazach, które czciłam łzami uwielbienia, bo inaczej uczyć nie mogłam!

A kiedy przeminął dla mnie czas szkolnej nauki, czas bezowocnej pracy rozumu (bo rozum zawsze u mnie podrzędne miał zajmować miejsce); kiedy mi przestali kłaść w głowę niezliczone

mnóstwo wyrazów, nagromadzonych w przerażającym bezładzie, uczulam się swobodniejszą. Bryła lodu spadła mi z mózgu, wszystkie władze duszy zbudziły się naraz do czynu, do działania na własny rachunek, o własnych siłach. Władza myślenia zaczęła się równoważyć z władzą uczucia, a zlewając się w jeden akord, w jeden ton zbiorowy, obie razem tworzyły harmonią życia; bez téj harmonii nie masz życia! nie masz człowieka!

Władze nasze jednostronnie rozwinięte, będą zawsze tylko władzami, zawsze czuciem, uczuciem lub myślą, materią, pojęciem lub miłością — ale niczém więcej. Aby się stały w nas prawdą, objawem życia, trzeba koniecznie ostatecznej syntezy tych boskich pierwiastków w duchu człowieczym; a czego potrzeba człowiekowi jako jednostce, tego tém bardziej potrzeba ludzkości, jako zbiorowi jednostek.

Jak nie ma życia bez myśli, tak go nie ma bez uczuć i bez pojavów zewnętrznych, które biją o zmysły. Wszystko razem składa świat i życie jego. To taka prawda, iż ktokolwiekby zerwał jedną z trzech strun owój Bożej lutni, tenby rozerwał całość przeznaczenia swego na ziemi.

Człowiekowi, który z woli Bożej zesłany został na zwycięztwo przez cierpienia i walkę, dana jest broń troista i tarcz troista: aby nacierał i odpierał, obalał i dźwigał, burzył i budował; aby żył i umierał i zmartwychpowstał na wieki. A ten, któremu się tyle nędzy i tyle chwały dostało w udziale, żyć nie może jako zwierzę, jako anioł, jako cień myśli, ale ztroić się musi ową potrójną siłą, aby jako syn ziemi i nieba żył człowiekiem w pełni z ludzkością, a w zjednoczeniu z Bogiem.

* * *

Chwała dobrego człowieka, jest świadectwo dobrego sumienia.
Św. Paweł do Koryntów.

Mój dziadek było sobie oryginalny człowiek: wszyscy go poważali jako ucziwego człowieka, a jednak wszyscy się z nim spierali, wszyscy mu przeczyli, ilekroć potracono o jaką żywotną kwestyą, o jaką wielką prawdę, o jaką uświęconą opinią.

Ludzie, przyjaciele i stronnicy *większości*, nazywali go mi-zantropem, dziwakiem, odludkiem. Jak można było sprzeciwić się ich zasadom, lekceważyć ich pojmowanie rzeczy dokonanych i niedokonanych? Jak można ganić to, co świat cały chwali, lub

vice-versa, chwalić to, co on potępia? Toż istne szaleństwo! Człowiek mądry powinien tak myśleć, tak czuć, tak postępować, jak wszyscy.... To praktyczny, spekulacyjny eklektyzm, przyjmować terazniejszość za wiekuiłą prawdę, żyć w niej ciałem i duszą, a o resztę nie pytać. Za pozwoleniem. A.... a coby z tego wynikło napotém? a coby było wynikiło z przeszłości nateraz, gdyby tylko eklektycy byli na świecie od potopu aż do naszych czasów? Niewątpliwie musiałyby drugi potop martwą ziemię oblać, i musiałyby znowu jakiś wybrany szaleniec zbudować arkę, dla ocalenia rodu ludzkiego!....

Owóż mój dziadek był szalenicem, jeżeli chcecie; fanatycznie przywiązany do swoich opinij, do swoich przekonań, wpadał w największe uniesienie, jeżeli ktoś przeczył jego pojęciom; lecz w ogóle rozpraw nienawidził, ludzi gadatliwych unikał, a książki swoje, gazety i fajkę kochał nadewszystko.

Cały świat był wówczas pod wpływem jakiegoś uroku i naoslep uwielbiał wielkie czyny wygnańca z św. Heleny: po całej ziemi kadzidła płonęły na cześć jego, w stosach ksiąg, niby historycznych wznosiły się ołtarze dla tego bożka; Francuzi zrobili go synem Jowisza i Latony, a inni wynaleźli imię jego w Apokalypsis! Wielki, wielki! wołano zewsząd. Być może.

Mój dziadek nienawidził bałwochwalstwa. Byłto chrześcjanin nieuczny, ale w sumieniu swoim przekonany, i sumienie starczyło mu za wszystko:—za opinią, za chwałę, za życie! Dla niego bożek nie był nawet człowiekiem; w jego zwycięztwach widział tylko łyż i krew, w pogodzeniu się z kościołem, obłudę, kierowaną osobistemi widokami; a jeżeli z wielkiej boleści wyszło wielkie dobro, to przypisywał jedynie zrządzeniom mądrój Opatrzności, która nawet czyny złych ludzi skierować potrafi na korzyść ogółu. Chwałą człowieka jest wola jego, poparta usiłowaniem, chociaż niezawsze uwieńczona skutkiem. Ludzie sądzą ludzi po czynach, Bóg po chęciach. On sprawiedliwszy od ludzi. Jeżeli niezmierną a świętą żądze w człowieku ścisną okoliczności, tak, że ręki ku działaniu wyciągnąć nie może, czy dlatego mniejszą i świętszą jest wola jego? A jeżeli złe żądze ludzkie tak się połamią i pokruszą w ręku Boga, że z nich proch tylko, a z tego prochu, Bożym duchem owianego, wyjdzie świat nowy: czyż dlatego mniej zbrodniczą była wola człowieka?

Tak myślał mój dziadek. Na palcach znając historiją, wszystkie wnioski opierał na faktach dokonanych. Przeszłość była mu

szkołą doświadczenia i we względzie osobistym, i we względzie powszechnym; a rozpatrując się w niej wszechstronnie, powiadał tym, którzy mu przeczyli: „Tak nie jest, ale tak być powinno, ale tak będzie! chociaż niezaraz, chociaż nieprędko. Kto chce być mądrym w terażniejszości, kto sobie przyszłość chce stworzyć, niech zgłębi wieki minione, rozpozna w nich złe i dobro, a potem niech sądzi i wyrokuje nie według opinij świata, lecz według sumienia. Ono mu będzie wyrocznią i prorokiem na drodze życia: rozświeci przed nim jasną pochodnię prawdy i zaprowadzi tam, dokąd wieki dążą. Służalcem opinii nigdy nie byłem, i do śmierci nim nie będę; a jeżeli niepodobna skojarzyć wyobrażeń naszych na drodze pokoju, na cóż się zdały spory? To, czego mnie nauczyła przeszłość, tego was przyszłość nauczy; i kiedyś, kiedyś! nastąpi zgoda pomiędzy nami; ale mnie już wtedy nie będzie!”

Mój dziadek miał słusność: alboż tak się nie dzieje? Czy to co jest, nie urosło kosztem tego co było? Wszak to, co dziś zowie się fałszem, jutro może nazwie się prawdą; co dziś zbrodnią i hańbą, jutro może się nazywać cnotą i chwałą; bo wyobrażenia ludzkie z pracą wydobywają się na jasność słoneczną, z boleścią pozbywają się stariej pleśni, ale się dźwigają, pracują i utwierdzają powoli. Przypomnijmy sobie czém było chrześcijaństwo w opinii świata za Cezarów?—hańbą i zbrodnią; czém jest dzisiaj?—to wiemy. Doznawszy wielu przykrych zawodów w bezpośredniem zetknięciu się z ludźmi, mój dziadek, rzecz dziwna! nie cierpiał ludzi, a kochał ludzkość; nie wierzył ludziom, bo go oszukiwali, zdradzali, nie pojmowali; ale kochał w nich ideał blizki urzeczywistnienia w doskonalszej przyszłości. Człowiek pospolity, nie potrafiłby może zrobić w sercu swoim rozgraniczenia pomiędzy człowiekiem a człowieczeństwem, pomiędzy szpetną rzeczywistością a pięknym ideałem, pomiędzy złem przechodniem a dobrem wiecznym; lecz jemu to łatwo było. Trudno by się było domyśleć po zinnem, prawie opryskliwem obejściu jego w potocznem życiu, ile w tém sercu płomiennych żądź wrzało, ile w téj głowie świętych myśli wzrosło, jak tam rozum był wiarą, a serce miłością! To też było zakolać do tego serca w potrzebie, w smutku, to się ono wnet otworzyło i świętymi błysło skarbami. Było odrazu i słowo współczucia, i uczynek braterski. Zawsze tam upor i dziwactwo ustępowały sercowym wzruszeniom; zawsze pamięć krzywd doznanych ustępowała miłości.

Pamiętam, że to co było w domu, w rodzinie najslabsze, najbiedniejsze, do tego on się przywiązywał najsilniej, brał pod swoją wyłączną opiekę, otaczał staraniem i zasłaniał od wszelkiego ucisku i przemocy. Ale i to jeszcze ludzie na karb dziwactwa liczyli, i w tém widzieli jakąś przekorę, potrzebę czynnego zaprzeczenia temu, co jest, dlatego tylko, że jest; dlatego, aby jednemu ze zdaniem swoim występować przeciw wszystkim. A wszakże kierowało nim zawsze uczucie najściślejszej sprawiedliwości, wolne od wszelkich osobistych i zewnętrznych wpływów. Bo jemu nie o to chodziło, aby z ludźmi, z otaczającym go światem zachował zgodę, lecz ażeby sam z sobą pozostał w zgodzie.

Był to bez wątpienia samolubne wyosobienie swego ja, wydzieranie się zpod jarzma panującej ogólnie opinii; lecz oraz śmiałe przyznanie się do swjej indywidualności, nie lada jaka odwaga cywilna i samodzielnie wyrobione przekonanie, niechwiejące się za lada wiatru powiewem, jak to bywa u ludzi nie mających wiary w swoje pojęcia!

Poza rojem marzeń dziecięcych, widzę jeszcze starca jak w porze letniej przechadzał się pomiędzy grządkami swego ogrodu, z założonemi w tył rękoma, z głową na piersi spuszczoną; jak zasiadał pod cieniem starego klonu i w głębokim zamyśleniu spędzał ostatnie dnia godziny. A chociaż wokoło niego wesoło swawoliła dziatwa, i wrzawa odzywała się raz śmiechem, raz płaczem: to mu jednak wątku myśli jego nie przerwało. On promieniem ducha swego sięgał dalej, dalej! w nieskończoność, w przestwor miejsce i czasów.

I było dobrze temu duchowi poza obrębem małości i drobnostek obecnych; wszystko złe i dobre, wielkie i małe było mu celem, znakiem i Apokalipsą ujrzaną i zrozumianą w przyszłości.

Babka moja była to sobie pocziwa kobiéta, jakich wiele było naówczas, jakich wiele dotąd na świecie; czciła w mężu istotę wyższą, kochała dzieci, pieściła wnuki, pieski i kotki, krzątała się około domu, w życiu swoim nikomu nie zrobiła krzywdy: to téż nazywano ją powszechnie *dobrą i miłą* osobą. Jest to najwyższa pochwała na jaką się świat dla kobiety zdobyć może, najwyższe pojęcie cnoty uosobione w niewieście.

Prócz książki do nabożeństwa i kalendarza w nadzwyczajnych okolicznościach, nic więcéj nie czytała; i dziwić się temu trudno, bo wtedy jeszcze nawet romansów Walter-Scotta nie tłumaczono, a cała nasza beletrystyka stała prawie niżej zera. Zre-

szta, najpiękniejszy kwiat uczuć naszych, to co wówczas jedni nazywali poezią, a drudzy waryacją: to czytywała młodzież z ognistém sercem, nie zaś stare babunie w okularach; a gdyby się która przez ciekawość na taki wybryk zdobyła, przewaliby ją sąsiedzi filozofką, heretyczką, Bóg wie nie czém!! I nie mamy im tego ani za zbrodnię, ani za potwarz; bo to co było, być musiało, i to co jest, być musi, a to co będzie, także jest z góry prawem konieczności zawarowane.

Bajki Krasickiego, psalmy, piosnki Książnina lub Karpińskiego, składały powszechnie bibliotekę ówczesnych literatek, grupujących się w przyszłości około *Pamiętki po dobrej matce*. Pisma treści czysto-naukowej, jako przechodzące pojęcia niewiasty, jako niepotrzebne, a może nawet szkodliwe, troskliwie przed nią usuwano; bo lękano się, aby kiedyś zasmakowawszy w rozkoszach umysłowych, nie zateęskniła do wznioślejszego dla siebie stanowiska w rodzinie ludzkiej; aby téj, która miała być tylko córką, żoną i matką, nie zachciało się jeszcze być człowiekiem. Lękano się, aby ukochawszy najprzód siebie w rodzinie, nie ukochała następnie siebie i rodziny w ludzkości; aby to, co dotąd wokół niej było próżnią, zaświatem, nie zamieniło się dla niej w pełnię życia, w świat obecny i przyszły....

Postęp przypuszczano tylko w rolnictwie, w mechanice, w rękodzielnictwie, a nawet w odkryciach astronomicznych; ale postęp w duchu nieśmiertelnym, ale przeprowadzenie myśli doskonałej w żywot doskonały i wzniesienie człowieka do wyższego, chrześcijańskiego pojęcia siebie w wszechświecie przez zrozumienie obowiązków łączących go z ogółem—to bynajmniej nie wchodziło w zakres usiłowań ludzi, mających siebie za największych myślicieli. A kiedy ich tak mało obchodził ogół, czémże zaiste mogła być dla nich wyosobniona z ogółu kobieta! Ludzie klasycyści!.... Oni widzieli w niej to tylko, co niegdyś widział wielki Heziodes: —głupstwo i próżność. A tego nie widzieli, co widział Chrystus:—poświęcenie i miłość!

.....

Czemu tak jest, a nie inaczej?—To najtrudniejsza zagadka, nad której rozwikłaniem pracowali mędracy wszystkich wieków; a szkoda, że nie pracowali nad czém inném, możeby się dotąd już sama ta zagadka rozwikłała. Zamiast przypuszczeń dowolnych, mielibyśmy pewniki; zamiast błąkań losowych, mielibyśmy zasadę niewzruszoną, opoczystą, którejby bramy piekła samego nie prze-mogły.

Mój Boże! kiedy téżto ludzie przyjdą, nie powiem do pewnej refleksyi nad sobą, bo tego mają aż nadto, ale do zrozumienia siebie jako istot celowo stworzonych, nietylko na *dzis*, ale i na *jutro*!... Gdybyśmy mieli rozleglejszy pogląd na fakta dopełnione w przeszłości, na pojedyncze wypadki magnetycznie ku sobie dążące, w jeden zlewające się strumień, który wiecznie, pomimo niezliczonych przeszkód ku swemu płynie celowi; gdybyśmy to wszystko po ludzku i po Bożemu zrozumieli: wiara nasza urosłaby w górę niebotyczną, sercem wstąpiłibyśmy na jój wierzchołek i tam rozbitoby namiot ku spoczynkowi, i rzeczyśmy mogli: „Dobrze nam tu!”

Szczęścia! szczęścia! wołają wszyscy: szczęścia dla siebie, szczęścia dla swoich! a znaleźć go nie umieją. Czy go nie ma w istocie? Czy próżną żądzę wlał Stwórca w piersi nasze? Czy zwodniczą byłaby nadzieja, co się rodzi z pierwszym zakwittem myśli, a kończy z ostatniem westchnieniem człowieka? I czy on jeden w szeregu stworzeń miałby pożądać wieczną tęsknotą najwyższego dobra, któreby wiecznie usuwało się przed nim? Każde jestestwo znajduje w naturze żywoły odpowiednie potrzebom swoim, świat obecny zaspokaja wszystkie potrzeby jego, i tylko człowiek, syn ziemi i nieba, miałby umierać wiecznym pożądaniem, a nie osiągnąć nigdy ukojenia swój żądzę?....

Pomyślenie takowe byłoby okropnym bluźnierstwem. Utwierdzenie się w niém, byłoby śmiercią ludzkości, jój potępieniem wiecznym! Bo warunkiem życia jest właśnie to szczęście do którego dążymy, którego się pracą wiekową dobija człowiek. A szczęściem najwyższém jest cnota podniesiona do ideału, do heroizmu, do bóstwa samego. Im bliżsi jesteśmy tego ideału, tém bliżsi Boga, tém szczęśliwsi. Im goręcej go pożądamy, tém jesteśmy lepsi. Bo i jakże sobie wyobrażamy to przyszłe niebo nasze?—ażali nie najwyższém ukojeniem ducha? ażali nie najwyższą archanielską miłością dusz czystych? A niebo serc naszych w życiu obecném może być inne? Oh! nie ten najuboższy, kto najwięcej utracił, i nie ten najnieszczęśliwszy, kto najwięcej ucierpiał;—ale ten, który nigdy nie kochał, i nigdy innéj boleści prócz własnej nie uczuł.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OPIS HISTORYCZNY

ZAŚLUBIN KRÓLEWICA JAKÓBA SOBIESKIEGO.

PRZEZ

Alexandra Wijnerta.

Triumphator animorum
 Serenissime Jacobo Princaps
 Domum Neoburgicam meritis
 Et Patriam expugnasti,
 Novam Tibi erigit Portam,
 Instaurat et orbem amor Poloniae.

Napis na kolumnie przy kościele ks. Bernardynów.

Po konwulsyjnych wstrząśnieniach kraju, jużto przez wojny szwedzkie, już też przez wewnętrzne domowe rozterki, jakie w ciągu panowań Jana Kazimierza i Michała Korybuta Polskę gorączkowo trapiły; rządy Jana Sobieskiego, króla, z wnętrza członków narodu do władania nim powołanego, zdawały się, iż zawsze po gwałtownych chorobach, kraj nasz samą jego naturą uleczą, i do pierwotnych sił, mocy, potęgi i chwały doprowadzą. Waleczność Jana IIIgo, dzielna jego obrona całego chrześcijaństwa, odebrały w części nietylko utracone poprzednio kraje, ale nadto sławę oręza polskiego w całej Europie ustalwszy, tak dalece odstraszyły zewnętrznych nieprzyjaciół, iż na znaczny przeciąg czasu, spokojność Polsce od napadów zagranicznych zapewniły. Bohater chocimski i wiedeński chcąc następnie utrwalić pokój wewnętrzny narodu, a więcéj może los własnego potomstwa, postanowił przez zapewnienie tronu swéj rodzinie tego dokonać. Zdawało się więc, iż jutrzienka potęgi i trwałości bytu Polski, poprzedzając dobroczynne słońce, weszła na widnokrąg kraju naszego.....

O ile Warszawa dopomagała Sobieskiemu do jego powyższych zamiarów, przedsięwzięmy łącznie z innemi wiadomościami w tym tu opisie historycznym wyłuszczyć.

Jan IIIci wybawca chrześcijaństwa, pogromca tylokrotny Turków, lubo dla braku sił wojennych i niesnasek możnowładztwa, nie mógł z wszystkimi ościennemi mocarstwami (1) jednakowo korzystne traktaty krajowi zapewnić, mniemał jednak, iż po zabezpieczeniu wedle zamożności skarbu wszystkich granic państwa, którem władał, od zewnętrznych wojen, następnie wszystkie swe siły należy mu obrócić dla dopięcia równie ważnego celu, losu jego familii, a śmiało rzec można, że losu kraju bliżej obchodzącego. W tym zamiarze, ażeby usposobić naród do przyzwyczajenia i uważania jego najstarszego syna za przyszłego następcę tronu, postanowił Jan III dać możność królewicowi (2) Jakóbowi zasługiwania się na tej samej drodze, na jakiej on swego zaszczytu dostąpił. Po długim posiadaniu przez Turków ważnej dla Polski twierdzy Kamieńca Podolskiego, jak z jednej strony odebranie jój zapewniało dla narodu wielkie korzyści, tak z drugiej, tém śmieliej mogło być torować prawo królewicowi do następstwa. Myśl zdobycia tak ważnej fortecy była najlepszym planem do ustalenia przyszłych praw Jakóba: tę więc wykonać postanowił Jan IIIci. W tym celu, na audyencji publicznej posłów zagranicznych we Lwowie, umieściwszy obok siebie syna na tronie, poruczył mu tak ważną wyprawę, zostawując pod jego komendą hetmanów koronnych. W takim składzie dowództwa, można było łatwo przewidywać, iż, pomimo całego poświęcenia się królewica, dla dopięcia celu poruczonego, pomimo całej waleczności i trudów wojsk, któremi dowodził, wyprawa ta spełźnie na niczém, przez utajoną zazdrość hetmanów. Rzeczywiście skutek ten nastąpił; do zniszczenia jednak tych zamiarów Sobieskiego, przyłożyły się także i zabiegi dworów ościennych. Elekcyja bowiem otwierała im pole do wszelakich korzyści; polityka zaś zagraniczna znalazłszy już wówczas miękkie serca na złoto i zdolne do intryg, tém silniej starała się niszczyć to wszystko, cokol-

(1) Jest tu mowa o traktacie Grzymułtowskiego z r. 1687.

(2) Idziemy tu za pisownią wlecej używaną w tytułach polskich, zwłaszcza, gdy mówimy dotąd w drugim przypadku liczby pojedynczej, *sędzica*, *podstolica*, *wojewodzica*, *kasztelanica*; a nadto znaleźliśmy w dawnych pismach XVIIgo wieku, iż używano dwojako wyrazu *królewica* lub *królewicza* w 2gim przypadku.

wiek ich zamiarom stawiało opór i jakąkolwiek przeszkodę. Umieszczenie królewica na tronie na publiczném posłuchaniu, bardzo widocznie dało poznać postom ościennych narodów, jakie są zamiary króla Jana względem swego następstwa. Nadto, krwawa wojna domowa za Jana Kazimierza, o wyznaczenie następcy powstała, zbyt jeszcze świeże pamiątki miała wryte w usposobieniu narodu. Z tych przyczyn, wszelkimi możliwemi środkami, wyprawę na odebranie Kamieńca starano się wniwecz obrócić, a znalazłszy osobisty interes hetmanów i usposobienie narodu sobie przychylném, tém łatwiej intryga mogła być dopiąć swego celu, i dopięła.

Niezrażony Sobieski tą pierwszą wyprawą, zachęcony poprzednią audyencyą we Lwowie, postanowił publicznie na sejmie walnym w Grodnie w r. 1688, syna Jakóba powtórnie obok siebie na tronie dać poznać narodowi. Zabiegi jednak zagraniczne, a zwłaszcza dworu austriackiego, znalazłszy przystęp do swych widoków u królowej Maryi Kazimiéry, potrafiły i tym razem zniweczyć plan Jana III, przez zerwanie tego sejmu, nim jeszcze wybrano marszałka izby poselskiej. Kierując polityką kraju, nietylko dworu, wytresowana we wszelkich manewrach dyplomatycznych za rządów Ludwika XIV, Marya Kazimiéra nietylko królem, jego osobą i czynami, ale wszystkimi sprawami państwa rządziła podług swęj własnej woli. Zdawało się, iż Jan III po powyższych bezskutecznych działaniach tém bardziej upadł już był w swoim zamiarze, ustalenia tronu dla swęj rodziny, skoro nawet królowa była mu ciągle jego widokom przeciwną. Ostatni jednak środek pozostał jeszcze Sobieskiemu, a ten zasadał się na połączeniu syna związkami małżeńskimi z jedném z państw potężnych i ościennych. Zespolenie bowiem sił dwóch narodów, mogło być po jego śmierci nietylko obalić wszelką intrygę zagraniczną, ale nadto ustalić nazawsze tron w jego familii. Po bezskutecznych usiłowaniach króla w tym celu z domem austriackim przedsiębranych, prawdopodobném było, iż potęga wzrastająca domu brandeburskiego zdawała się być najdogodniejszą, do spełnienia zamiarów Jana III. Znaczne siły wojenne, jakie utrzymywał i powiększał ciągle elektor Fryderyk Wilhelm (1), tém więcęj skłaniały Jana IIIgo do połączenia się związkami małżeńskimi z tym domem panującym. W tych widokach wysłał król do Berlina Jana

(1) Był to ostatni elektor, synu jego bowiem w roku 1701 przyjął tytuł króla.

Franciszka Bielińskiego, wojewodę malborskiego (1), celem starania się u elektora, dla królewica Jakóba, o rękę Ludwiki Karoliny Radziwiłłówny, wdowy po margrabi Ludwiku synie elektora. Zaledwie przyjechał w tym celu Bieliński do Berlina, nadzwyczajny wypadek zdawał się i tym razem niszczyć powyższe zamiary króla; albowiem Fryderyk Wilhelm w dniu 9 maja rano, 1688 roku zmarł w Potsdamie z wodnej puchliny, na którą zaledwo dni kilka cierpiał. Bieliński jednak niezrażony tak gwałtownym wypadkiem, a stając zawsze wiernie i mężnie przy dostojności majestatu polskiego, postanowił nowego elektora nakłonić do widoków, w jakich został wysłany. Jakoż po wielu staraniach w tym celu przedsięwziętych, i za wpływem posła francuzkiego Rebenac, Bieliński zdołał doprowadzić układy u nowego elektora Fryderyka do tego stopnia, iż przyrzeczenie zaręczyn księżniczki Radziwiłłówny z królewicem Jakóbem przyszło do skutku. W miesiącu jeszcze maju tegoż roku, przyjechał królewic do Berlina, gdzie wyjednawszy od Fryderyka IIIgo zezwolenie, po widzeniu się z księżniczką uzyskał od niej pod dniem 25go lipca 1688 roku przyrzeczenie ślubu, a w razie uchybienia obietnicy, zapewniono mu dokumentem, że wszystkie jęj dobra jemu się dostaną (2). Spółczesny dziejopis, doktor nadworny Jana IIIgo Bernard Oconor, tak nam te zaręczyny opisuje (3):

(1) Syn Adama z Sokołowa stolnika zakroczymskiego. Dla wielkich zasług wyświadczonych krajowi w pokoju i w wojnie, Jan Franciszek Bieliński pierwotnie miecznik koronny, następnie podkomorzy płocki, starosta malborski, osiecki, mławski, w końcu został wojewodą malborskim. Warszawa beznych dobrodziejstw doznawała od tej rodziny, jak świadczą uchwały magistratu Starej Warszawy: Jedną z dnia 16 listopada 1682 r., mocą której na obchód zaślubin Kazimierza Ludwika Bielińskiego (syna wojewody) z Ludwiką Maryą Morsztynówną, podskarbianką koronną, oskarowało miasto podarunek wartości złp. 400 ówczesnych; drugą uchwałą z dnia 11 lutego, roku 1701, miasto będąc nadzwyczaj udręczone rabunkiem żołnierzy z komendy generała Dönhoffa, do tego stopnia, iż żołdactwo rozhukane na Dunaju, na Targowicy i po innych ulicach, najbledniejszym przekupniom gwałtem żywność zabierało; w takim położeniu upraszało protektorów miasta, między którymi był i wojewoda malborski, aby raczyli wstawić się za niem do króla, o pohamowanie zdzierstw takich.

(2) Nader ciekawy ten dokument znajduje się w *Źródłach do dziejów polskich*, przez Alexandra Przędzieckiego i Grabowskiego wydawanych, tom I, str. 169. Sam oryginał jest w archiwum nieświeżskim księcia Radziwiłłów.

(3) Pamiętniki o dawnej Polsce, t. IV, str. 400.

„Królewic Jakób odezwał się był o bogatą księżniczkę Radziwiłłównę, bezdzietną wdowę po elektorze brandeburskim, bracie tego, który dziś panuje. Wysłany zatem poseł do Berlina; sam królewic w licznej komitywie tamże się udał. Tegoż czasu książę Karol, brat elektora palatyna i cesarzowej rzymskiej, przybył tam także jedynie, by być na tém weselu. Księżna z Radziwiłłów brandeburska postrzegłszy go, niesłychaną ku niemu zajęła się miłością, a lubo już królewicowi Jakóbowi była przyrzekła, przecież namówiła księcia Karola, by o rękę jęj prosił; i tyle przeciw oczekiwaniu wszystkich dokazała, iż w wieczór przed wyznaczonym dniem na ślub z królewicem, poszła za księżęciem Karola”.

Jan III nie wiedząc bynajmniej o tak nagłym zmianie, zaufany w słowie raz wyrzeczoném, zawarł był za staraniem prymasa Radziejowskiego z elektorem brandeburskim w dniu 29 lipca tegoż roku przymierze dla obudwóch stron wielce korzystne wtedy, gdy około dnia 24 tegoż miesiąca i roku (1) księżna Radziwiłłówna ślub zawarła z księciem Karolem Filipem Nejburskim. Tak więc zawistny los Polsce, nagłą i gwałtowną odmianą zniweczył i tym razem najpiękniejsze nadzieje króla polskiego. „Żywo Jan IIIci zniewagę tę uczuł, i surowo od elektora brandeburskiego domagał się, za krzywdę podobną zadośćuczynienia. Elektor (jak w rzeczy samęj było) jawnie dowiódł, iż nic o rzeczy całej nie wiedział, że wszystko przez lekkość i podejście niewieście stało się (2).”

Gwałtowny ten cios nietylko cały dwór polski oburzył, ale nadto królowę i naród. Wyczytujemy z listu Gałęckiego kasztelana poznańskiego, pisanego do króla Jana pod dniem 6 listopada 1688 r. jak to oburzenie narodu dało się najprzód poznać na sejmikach, a zwłaszcza w Szrodzie, gdzie wojewodowie poznański, kaliski i łęczycki, oraz cały zgromadzony tamże stan rycerski, oświadczyli gotowość zemsty, za taką zniewagę wyrządzoną domowi królewskiemu (3). Marszałek wiel. kor. Lubomierski taki list w tém zdarzeniu napisał do króla (4):

(1) Bandtkle I lni naznaczają sam dzień 24 lipca; wspomniony jednak wyżej dokument ks. Radziwiłłowej dany d. 25 lipca królewicowi Jakóbowi, aż nadto jawnie przekonywa o mylności daty ślubu tęg księżniczki z ks. Nejburskim.

(2) Pamiętniki o dawnęj Polsce, t. IV, str. 400.

(3) Listy różnych osób do Jana Sobleskiego pisane, z archiwum Radziwiłłów w Nieświeżu, drukowane w Athenaeum, szereg nowy, oddział IIgł, zeszyt VI, str. 54. (4) Pamiętniki o dawnęj Polsce t. IV, str. 494.

„Najjaśniejszy Miłościwy Królu, Panie i Dobrodzieju mój! Nieomieszkam tą pierwszą pocztą, stanąwszy tu odezwać się do W. K. M. Pana mego miłościwego, a najprzód wyrazić serdeczny żal mój, który jako wiernego i życzliwego majestatu W. K. M. i najjaśniejszego domu jego sługi boleśnie dotyka, z wiadomości które tu zastałem o podejściu królewicza Jego Mości przez księcia Neuburskiego, w małżeństwie księżnej margrabiniej. Nie będę ja tu tłumaczył tej tak płochej, bo takiego godna nazwiska i nieprzyjacielskiej akcji, bo W. K. M. wszystkie jej circumstances najgłębiej przenikasz; to tylko z osobliwym namienie sentymentem, że tak wielki afekt, dobrodziejstwa, które W. K. M. wyświadczyła, pierwszy na obronę państw cesarskich wszedłszy, a w nią Wenecyą i Moskwę wprowadzwszy, a przytém zdrowie własne i głowę swą pańską na odsiecz Wiednia niosąc, i przez to do dalszych szczęśliwych progressów usławszy drogę, nie godziło się takową W. K. M. płacić niewdzięcznością. Wiem, że tak wielka od niewdzięcznej ręki zadana rana, dobrotliwe W. K. M. serce przenikać musi; ale i mnie jako wiernego sługi, rana ta serdecznie boli. Jako zaś nie wątpię, że W. K. M. właściwe honorowi i reputacyi swojej i najjaśniejszego domu swego sposoby przedsięwziesz, tak wszelką do tego usługę W. K. M. Panu memu miłościwemu ofiaruję, i pokornie radzę, aby W. K. M. miał w rejestrze tych, którzy za dostojenstwo majestatu pańskiego i najjaśniejszego domu W. K. M. krwi swojej żałować nie będą. Nie moja rzecz przytém miłościwy panie, Waszój Królewskiej Mości, jako wielkiej przezorności i uwagi panu przed oczy wystawiać tak wielką, bez granic prawie wzrastającą przewagę cesarską, która gotuje się tak Najjaśniejszemu W. K. M. domowi, jako rzeczypospolitój ciężką być swego czasu, kiedy to już od zachodu rachując, aż ku wschodowi, opasawszy Polskę teraz przez tę kolligacyę małżeństwa, i od północy zagarnia i weiska się w sam środek prawie rzeczypospolitój. Zaczęć jakie idą konsekwencye, i jeżeli niepodobny sąsiadom moment nas nieszczęścia, łąco każdy nietylko wiedzieć, ale dotknąć się może, przypominając sobie owę wielkiego kanclerza Zamojskiego przestrożę, którą jedną między trzema, strzeżenia się od facyi i potencji rakuzkiej, mądrze położył. Jedyna tylko w osobie majestatu W. K. M. zostaje nadzieja, że jako pan mądry i waleczny dogodnie zaradcze środki przyszłej niedoli wcześniej przedsięwziesz i gotującemu się zabiczysz nieszczęściu. Moc przeciwko

mocy, przez potężne *apponendo* kolligacye; co *ex zelo* i afektu ku majestatowi W. K. M. i dobru pospolitemu namieniam i proszę pokornie *Veniam ubertati* pióra, które szczere i życzliwe wyptywającego jak oliwa na wierzech serca, wyraża *sensus*. Księżnój zaś margrabinój, a teraz felcgrafowój, tak szpetny postępek, godzien wielkiej W. K. M. animadwersyi, ażeby przynajmniej poczuła, że jest w poddaństwie W. K. M. i substantia jěj pod panowaniem W. K. M. zostaje, i masz moc oddalić ją od niěj, kiedy tak sama na się *in casum* kontrawencyjnie napisała dekret. Nie zda się, aby książę elektor miał być spółnikiem těj akeji margrabinój, bo zaraz ostro z nią *per Ministros* expostulował. Widziéć się z nią, ani z Neuburskim nie chciał i z Berlina wyjechał, co i interesa stanu domu brandeburskiego *persuadent* i wierzyć każą *contraria* zdawna z domem neuburskim, względem dyfferency i jakiejści nieprzyjaźni, którą terazniejszy elektor *Palatinus* pokazał nieboszczykowi kurfirsztowi brandeburskiemu, w ekluzyi osoby jego z traktatu imperyi w Neomagium zawartego, co W. K. M. lepiej wiedziéć raczysz. Prawdziwój zaś przyjaźni kurfirszta *in tractu temporis* jako się dalej stawi, łączo W. K. M. dojdziesz. Ja teraz *perplexus* jestem, *ratione* mojej do Prus naznaczonej funkcyi, jeżeli do niěj aplikować się będą, kiedy to takie *interoccurrunt* w domu kurfirszta rzeczy, i radbym wiedział w takim stanie jako Wasza Królewska Mość zechcesz tę kommissyą dysponować i pokornie o informacyą upraszam, i jeżeli w tamtę mam się gotować drogę. Ma wiadomość p. Wickert, że przy końcu października naznaczył kurfirszt bytność swoję w Królewcu, ale o czasie homagii nic nie ma, ani książdz kardynał prymas żadnój w tém nie ma nauki, o którą wyraźnie do samego kurfirszta pisał. Neuburski z margrabiną 21 sierpnia wyjeżdżali do Düsseldorfu, od której wszyscy domowi abdikowali. Mówiłem téż tu z panem Wickierem, którego sensa widzę stosujące się do interesów majestatu W. K. M., bo mi pokazał informacyą, którą *in scriptis* daje pryncypałowi swemu, co mu należy czynić i co *praevidere* w terazniejszych okolicznościach, i że z Waszą Królewską Mością jako najściślej, przeciwko przeciwnój stronie wiązać się powinien, któremu ja niektóre potrzebne *status sugges consideratte* (sic), *conformes* interesom majestatu W. K. M. Skarżył się téż tu pan Szymański resident na mnie, że'm nieprzyjaciel cesarski, i że tą intencyą za W. K. M. jechałem na Ruś, że masz imnie W. K. M. wyprowadzić z wojskiem na odebranie Multan; zkąd do uwagi należy, jako so-

bie tamta strona o osobie W. K. M. tłumaczy i jaką ma do mnie niechęć, której codziennie doznawam przez perswazyą niewinną w Rzymie, a tu przez kardynała Pallaviciniego, wielkiego całej Polski i imienia W. K. M. nieprzyjaciela, i domowego szpiega. Gazety posyłam, z których W. K. M. informować się będziesz, jaka i przez co *ecrescit* potencya cesarzowi, jeżeli majster Teutonicus zostanie biskupem leodickim, na co się kasze i blizki jest tego, i że znać zdesperowawszy o elektorstwie kolońskiem Finitemberg, na toż *aspirat* biskupstwo. *Applaudit* tu bardzo kardynał Pallavicini, zasłemu księcia Neuburskiego małżeństwu, czego mu *assecte* jego i *Fautores* dopomagają i co mogą *pro gloria* cesarza głoszają, a króla francuzkiego za cale nic nie mają, że jak *Incapax Gubernii*. To tedy z życzliwości mojej i z szczerego ku majestatowi W. K. M. Panu memu miłościwemu affektu, oraz i z okazji terażniejszych okoliczności, i publicznych wiadomości do uwagi podawszy, czekać będę ochotnie pożądaných W. K. M. rozkazów, życząc sobie, abyś W. K. M. i na tém tu miejscu *exercitował* wierną usługę moję i zażywał mnie *confidenter* do niej, a ja przy należytej wierności, starać się o to wszystkimi siłami będę, abym godnym jej stawszy się, to w każdym terminie usługi W. K. M. pokazał, zem jest i dożywotnie być chcę.

W. K. M. Pana i Dobrodzieja mojego miłościwego, wierny, życzliwy i najwierniejszy sługa

Lubomierski mar. kor.

P. S. Nizko supplikuję majestatowi W. K. M., aby przeczytawszy ten list kazać go spalić, abym mógł napotém *efficaciter* służyć W. K. M.'

Z listu Ogińskiego kanclerza w W. Ks. Lit. do króla Jana pod dniem 11 listopada 1688 r. pisanego (1) wyczytujemy, że falcgrałowa reńska, ks. Ludwika Radziwiłłowa do wszystkich swych krewnych w Polsce pisała jednocześnie listy usprawiedliwiające powyższy związek: jeden z takich listów bez daty, został przesłany Janowi III przy powyższym liście Ogińskiego (2). Obrażona powaga króla i narodu sprawiła, iż poprzednio na sejmikach, a następnie na walnym sejmie, cały stan rycerski i senat oświad-

(1) Listy różnych osób pisane do Jana Sobieskiego: w Athenaeum, szereg nowy, oddział II, tom 6.

(2) Tamże.

czyli swoje gotowość do zemsty, za poniesioną obelgę. Zdawało się, iż przyjdzie bezzawodnie do nieuchronnej wojny, lecz partya austryacka, obecnie spokrewniona z ks. Neuburgskim, potrafiwszy skłonić obrażoną królowę na swoją stronę, nadto silnemi wpływami działając na zgromadzony sejm w Warszawie dnia 17 grudnia 1688 r. rozpoczęty, tyle sprawiła, że pomimo zbyt dotkliwej obelgi narodu, pomimo gotowości zemsty za nią, potrafiiono przeciągnąć na jej stronę taką liczbę posłów i senatorów, iż sejm ten w niesłychanym dotąd zgiełku, ze zgrozą powagi narodu, zerwany został dnia 31 marca 1689 r.

Elektor brandeburski mimo którego woli księżniczka Radziwiłłówna poszła za falcgrafa księcia Nejburskiego, pojmował całą obrazę znieważonego honoru króla i narodu polskiego, a dowiedziawszy się o oburzeniu powszechném i przygotowującej się zemście, wkrótce po zamęczeniu księżny Radziwiłłówny, piérwszy zaproponował związek siostry spomnianego księcia Karola Nejburskiego z królewicem Jakóbem. Zabór dóbr księżny Radziwiłłówny, jaki w skutek zerwania umowy przedślubnej z królewicem Jakóbem powinien był nastąpić, tém więcéj zniewalał elektora brandeburskiego do starania się wszelkiemi siłami, aby temu wcześniéj nietylko przeszkodzić, ale także zupełnie zniszczyć. Znane były elektorowi niesnaski z królem i powaga Sapichów w Litwie, nie tajne mu było postępowanie królowej z Janem III, która trząsając wolą jego i narodu, wszystko podług swéj myśli drogą frymarzeń i przekupstwa dokonywała (1). Przez takie dwie silne sprężyny działając, potrafił elektor w krótkim czasie całą burzę grożącą zupełnie odwrócić w następnym sposobie. Dochodzenie praw królewica Jakóba na dobrach ks. Radziwiłłówny, puszczono na drogę przewlekłych negocyacyj, które pod silnym wpływem Sapichów, nie tak prędko mogły być jakikolwiek skutek zapewnić. Co zaś do królowej, znając jej słabość dla syna Alexandra, potrafiiono ją omamić zaślubinami: 1ód ulubieńca z arcyksiężniczką austryacką; 2re królowej Kunegundy Teressy z arcyksięciem Józefem królem węgierskim; 3cie królewicowi zaś Jakóbowi przyobiecano w miejsce małżonki biret kardynalski (2): lubo dzieje

(1) Wyczytujemy w jednym autorze, że sądy i ministry jej (Maryi Kazimiery), pierścionka (t. j. listów) słuchali, a ten pierścionek sowite jej dochody przynosił. Czacki wyd. Raczyńskiego, t. II, str. 69.

(2) Załuski II, str. 643.

następne wyświecają, że Jakób do tego stanu bynajmniej nie miał powołania. W tak perspektywicznych omamieniach, królowa zupełnie stronę dworu austriackiego trzymając, potrafiła jak zwykle męża swego, pomimo tak silnej obrazy jego domowi wyrządzonej, zupełnie do swoich widoków nakłonić. Po takich przygotowaniach, gdy pierwotny projekt elektora brandeburskiego został przez cesarzową niemiecką Eleonorę Magdalę przedstawiony dworowi polskiemu, można było łatwo osądzić, iż z pewnością może być, i został przyjęty. Związek ten królowica Jakóba z siostrą księcia Karola Nejburskiego Elżbietą Jadwigą Amalią, tém więcej zyskiwał ważności i powagi, iż był popierany silnie przez jej rodzoną siostrę cesarzową niemiecką, a prócz tego łączył dwór polski z domami panującymi: hiszpańskim, portugalskim i mantuańskim.

Gdy stosowne negocjacje zapewniły już te związki, zwierzchność Warszawy zawiadomiona o mającym się odbywać akcie weselnym królowica Jakóba w tymże grodzie, natychmiast przedsięwzięła wszelkie rozporządzenia, jakiemiby miasto w tak ważnym dla króla zdarzeniu, mogło nietylko myśl jego wykonać, lecz w dalszych widokach dopomódz. Zbawca Wiednia i chrześcijaństwa zasłużył na wdzięczność dla jego osoby i całego potomstwa. Nigdy aż do owój epoki Warszawa z takim przepychem i z tak wielkimi wydatkami, nie okazywała swojej radości królowicom lub królowom polskim. A jeżeli rozważymy, iż po tylu szturmach i zniszczeniu stolicy przez Szwedów, po grabieżach i złupieniu przez Rakociego, miasto było w tak wielkim ubóstwie, iż na swoje własne potrzeby nie posiadało dostatecznych dochodów; łatwo z tego ocenić będziemy mogli, jaką i jak wielką ofiarę ponosiło w wydatkach na wystawny i wspaniały ohchód wesela pierworodnego syna zbawcy Wiednia.

Ażeby uczcić godnie pamięć tyle ważnego dla Jana III aktu uroczystego, Stara Warszawa bez żadnej pomocy od innych miast, miasteczek i jurydyk okolicznych, postanowiła pod dniem 11 grudnia 1690 r. na publicznej sessyi magistratu składkę, w uchwale następującej:

„Ponieważ najjaśniejszego królowica JMci Jakóba pożądane z Jaśnie Ośw. ks. Nejburską zbliża się małżeństwo, aktowi zaś weselnemu czas w Warszawie na d. 25 lutego, roku blisko następującego 1691 jest naznaczony, na który, że kosztu całego miasta potrzeba, osobliwie na prezent téjże ks. JMci weselny, na

przywitanie Jego Kr. M., królowej Jmci, także królowica Jmci, i téjże prywatnego Ks. Jmci przywitania, tudzież i na wystawienie bramy tryumfalnej, na ognie, jako téż i na inne całego miasta potrzeby; w skarbie zaś miejskim dla szczupłych dochodów żadnych pieniędzy gotowych nie masz; zaczém, że jest potrzebna kontrybucya, jednomyślnie i jednogłośnie przez wszystkie trzy porządki uchwalono, która odtąd jest postanowiona i aby do takowój kontrybucyi wszyscy w ogóle, tak mieszczanie jako i obywatele warszawscy bez wyjątku należeli i onę według tacy postanowionój opłacali, pod karami uchwalono. Do postanowienia tedy téj tacy z grona szlchetnego magistratu wyznaczeni są: Andrzej Kna-be, Andrż. Minich, rajcy; z koła ławniczego, Chryztof Skrzecz-kowicz i Mik. Mokolin; z koła 20 mężów: Jan Łętowski i Ja-kób Szytz. Do wybierania zaś téj kontrybucyi wysłani są: sławetni Jakób Biwet, Mikołaj Mokolin, ławnicy, i Jan Major jeden z 20 mężów starój Warszawy."

Tyle ofiar ponosząc dla okazania swój wdzięczności zuboża-łe miasto, chciało przynajmniej, aby przez taką uroczystość z po-wodu spodziewanego licznego zjazdu znakomitych osób, sami je-go mieszkańcy chrześciance, przez stosowny odbył mienie swe poprawili. Klasa wyznawców Mojżeszowych, mając tylko do-zwolony pobyt w stolicy w czasie walnych sejmów i to za opła-tą (1), potrafiła od wielu lat pod rozmaitemi pozorami, pomimo wszelkich obostrzeń, skarg, reklamacyj władzy ówczesnej miasta, w niektórych jego częściach zamieszkiwać, i odbierać zarobki miejskie ponoszącym wszystkie ciężary tego grodu. Głównie po jurydykach powstałych, założyciele sprzyjali im, bo znaczne do-chody i ryczałtowo zapewniali, a Stara Warszawa nie posiadając władzy nad okolicznemi częściami, nie mogła była w żaden spo-sób ani zapobiedz, ani oprzeć się upadkowi własnemu; uchwyciła więc tę chwilę obchodu uroczystości, aby zupełnie z téj plagi dla siebie raz na zawsze otrząsnąć się. W tym celu wydała w dniu 15 stycznia 1691 r. uchwałę następującą:

„Uważając jako w prędkim czasie akt weselny królowica Jmci Jakóba tu w Warszawie następuje, na który takowy zjazd, ażoby pp. mieszczanie albo obywatele pod pozorem publicznego

(1) Według urzędowych rachunków dzierżawił w r. 1690 tak zwa-ne *sejmowe* od żydów Daniel Zacharyasiewicz i opłacał miastu ówczes-nych zlp. 120.

zjazdu, żydom mieszkań, ani żadnych sklepów najmować nie wazyli się, ponieważ same wyraźne prawa księstwa mazowieckiego i miejskie tego zabraniają, i tylko na sam sejm walny koronny tymże najmować pozwalają, onym surowo przykazuje się pod winą sta grzywien polskich. Kupcom jednak cudzoziemskim na tenże akt weselny przyjeżdżającym, najać mają sobie dozwolone z tym jednak warunkiem, ażeby ci cudzoziemscy kupcy sklepów nie otwierali, i towary swoje w otwartych sklepach, nie na łokiec, funty i kwarty, lecz tylko w zamkniętych sklepach całkiem przedawali."

Jak usilnie zaś miasto starało się następnie tę plagę od siebie odwrócić, najłatwiej dadzą nam wyobrażenie wydatki poniżej wyłuszczone. Skutek okazał, iż pomimo licznych ofiar, oporu, wstawiań, zabiegów, klasa ta mieszkańców potrafiła jeżeli nie wprost, to przynajmniej potajemnie i pokątnie, zarobkowaniem w mieście trudnić się. Mając zaś ułatwione przebywanie po jurydykach sąsiedzkich, tém swobodniej plany swe przeciwko Starłej Warszawie ciągle rozwijała.

Kiedy to się działo w stolicy, obaczmy jakie przygotowania robiono w przyjęciu królowej za granicą. Załuski biskup historyk, społeczny świadek tak nam opisuje w swoich listach (1):

„Dnia 8 lutego r. 1691 ukończone zostały zaręczyny, tyle upragnionego od królowica Jakóba małżeństwa z księżniczką Nejburską. Pan Proski złożył od narzeczonej pierścień królewicowi, jako znak jęj zezwolenia i przywiązania; w skutek tego od Najjaśniejszych Państwa ja wysłany będąc na jęj spotkanie, wziętem z sobą za towarzysza podróży Wessla starostę rozańskiego, z którym ujechawszy kilka mil za Wrocławiem, 7 marca w Juk-sanach z księżniczką Nejburską złączyłem się, a po oddaniu jęj listów niedługo bawiąc (takie bowiem miałem zlecenie), powrót przyspieszyłem. Narzeczona zaś następnego dnia publicznie do Wrocławia wjechała i tamże wedle swego dostojęństwa od swych braci przyjętą była. Wkrótce potęm 12 marca królewic z Kępna wyjechał, a po przebyciu dwóch mil za Szyjowem ku Oleśnikowi pospieszał, gdzie gdy koło południa zatrzymał się, my także w godzinę po jego przybyciu szczęśliwie jeden po drugim nadjechalismy, i połączywszy się z królewicem, razem obiadowalismy. W ciągu tego czasu, kuchmistrz koronny doniósł

nam, że z pewnością nowonaręczona z Wrocławia wyjechała; gdy zaś po ubiegłej zimie utrudniona była podróż, opanowała królowica wielka tęsknota (jak to zwykle bywa w miłości niecierpiącej żadnej zwłoki), która jednak po przybyciu narzeczonej koło 8 godziny, na tém większą zamieniła się radość. Wprawdzie życzył on sobie widzieć twarz narzeczonej, gdy jeszcze w karecie jechała; lecz dla zamkniętych okien powozu, nie mógł się cieszyć tym widokiem. Przybywszy księżniczka Nejburska do zamku wprzód, aniżeli mogła być witaną przez narzeczonego, zaraz jej oznajmiono o nadjechaniu krajczego wiel. kor. z orszakiem znakomitej szlachty, który będąc wysłany od królowej, życzył sobie aby mógł natychmiast obowiązku swego dopełnić, oraz dary przedstawić; dlatego upraszano ją, czyli to bez żadnej nieprzyjemności nastąpić może, do czego naręczona przychyliła się. Bezwłocznie więc w ciągu jednego kwadransa, krajczy z całą świtą przybył, i zlecenia swoje wykonał. Do tego orszaku przyłączył się także królewic, który nie inaczej mógłby być poznany, chyba po ofiarowanym pierścieniu. Niepodobna wyrazić wzajemnej radości, a szczególnie ze strony królewica Jakóba, który w uniesieniu swego serdecznego zadowolenia, dał się słyszeć, iż, jeżeliby jemu udzieloną była od Boga moc utworzenia dla siebie towarzyszkę życia, nie mógłby żądać innej, zgodniejszej z życzeniami jego. Po odbyciu ceremonii, gdy już czas wieczorny zbliżał się, każdy uważał za stosowne udać się w swoje strony; sam także królewic pod nieznanym nazwiskiem wydalł się do swych pokoi. Chociaż bowiem jakiś domysł powstał o jego obecności, nie dano jednak temu zupełnej wiary, dopóki po wieczorze, gdy powtórnie odwiedzając z orszakiem swoim, został zapytany od narzeczonej, jakby daleko królewic był oddalony, musiał wyznać, iż tylko o jeden krok jest odległy; po rozpoznaniu prawdziwej osoby, zaraz objawiła się szlachetna miłość w wzajemnych objęciach. Sama twarz jaśniała mocnym przywiązaniem, które zwiększyła kilkogodzinna rozmowa. Już w późnej nocy przy odejściu, odprowadzony królewic przez narzeczoną aż do samych podwoi, nawzajem księżniczkę napowrót przeprowadzał, i tak ciągle walczo zobopólną grzecznością, dopóki ona sama tego nie zaniechała, z największą wzajemną przyzwoitością, aż do odejścia na spoczynek. Królewic zaś udał się do pościa na wiozczerzę, która przeciągnęła się do dwóch godzin; około zaś trzeciej po północy przeszło miłą królewic ujechał, gdzie daleko

więcej z magnatów przybyło, aniżeli ci tylko, co byli w Wrocławiu. Z tego miejsca około jedenastej godziny, królewic konno na spotkanie odprawiał drogę, w towarzystwie rycerstwa i różnych osób, będąc poprzedzony ofiarowanemi końmi z trębaczami. Orszak przybył do miejsca, w kształcie amfiteatru pokrytego sukniem, i na ten cel zbudowanego, aby tamże obrzęd przywitania zaręczeni odbyli. Wprzód na nim stanął królewic, a potem narzeczona, która dowiedziawszy się, iż jest już oczekiwaną, kazała przyspieszać drogę, aby jak najprędzej oddać się w objęcia narzeczonego. Naprzeciw księżniczki wysłaną była jedna karetą królewica Jakóba, innym rozkazano pozostać. Wkrótce po wzajemnym przywitaniu się w amfiteatrze, gdzie także obecni byli poseł z małżonką, narzeczona wsiadła do swojej karety nadzwyczaj okazałej, za którą jechało 4 hajduków tak samo ubranych, jak służba królewica, z małą tylko różnicą w kolorze czerwonym sukna. Liczny orszak pieszy otaczał tłumnie boki, cztery inne karety przewoziły damy dworskie narzeczonej (1); poseł także wsiadł do swjej kolaski. Sam tylko królewic konno, poprzedzony znacznym orszakiem, jechał przed pojazdem, dopóki nie przybyto do dworu, gdzie wojewodzina małżonka generała Wielkopolski, wojewodzina chełmińska; kasztelanowe: sieradzka i wieluńska wraz z innymi dostojnymi damami narzeczoną witały. Prowadził ją biskup poznański, małżonkę zaś posła, kasztelan sieradzki i podkomorzy wieluński. Wkrótce narzeczona inny ubiór przybrała z swojemi damami dworskimi, ponieważ dotąd tylko nosiła się w ubiorze węgierskim i zwierzchnim francuzkim (*robe de chambre* zwanym), jaki od królowej miała sobie ofiarowany. Następnie królewic odwiedził posła cesarskiego, gdzie zawsze po prawej ręce zajmował miejsce, bądźto siedząc pod baldachinem, bądź też przechadzając się; nawzajem poseł cesarski odwiedzając królewica, podobnie prawej strony trzymał się. Dnia 15 wyjechano następnie, dla odbycia przyjęcia orderu złotego runa; poprzedzało mnóstwo karet, za pojazdem zaś narzeczonej jedna tylko kolasa postępowała, generałowej wojewodziny wielkopolskiej. Uroczystość rzezoną obchodzono w Kępnie, gdzie do tego wyznaczony hrabia holsztyński, order złotego runa w obliczu narzeczonej włożył królewicowi. Po skończonym obrzędzie, odprawione nabożeństwo przez najprzewielebniejszego Potockiego, poczem narzeczona wsiadła do swjej karety z małżon-

(1) Zwano to dawniej fraucymcerem.

ką posła i do dworu udała się; za nią zaś postępowały jak poprzednio karety dam jej dworskich. Królewic zatrzymał się tu nieco, lecz zaraz za księżną postępował, wsiadłszy do powozu miecznika koronnego; w tymże czasie krajczy koronny odprowadził posła cesarskiego do pojazdu królewica. Późno w tym dniu obiadowano; porządek osób u stołu był następujący: po prawej ręce narzeczona i małżonka posła, po lewej królewic Jakób, poseł, generałowa wojewodzina i inne damy z dworu narzeczonych; za posłową po prawej stronie biskupi: poznański i łucki; wojewodowie: poznański, łęczycki i chełmiński; kasztelanowie: sieradzki, wieluński i w. i. Ban Wrocławia gubernator Czech, zasiadł przy stole w pośrodku senatorów, zaś hrabiego Bana gubernatora Szlązka, umieszczono naprzeciwko dam dworskich i innych zagranicznych osób, które towarzyszyły księżnie; na końcu stołu siedziała reszta gości, o ile miejsc wystarczyło. Przy stole królewica usługiwali pp. Waslewski i Kaszewski, którzy zarazem potrawy roznosili; damom usługiwał p. Druzbic; p. Makowiecki zaś nadzór miał i wskazywał porządek potraw coraz smakowitszych, tak głos miarkując, iż nim nie obrażał słuchu. W czasie bankietu zdarzyło się, iż niektórzy byli niegrzeczni w domaganiu się, ażeby ręce narzeczonych do ucałowania, im przez stoły były podawane; co gdy odróżwiono, zaczęto się obrażać i mniej przyzwoicie wyrażać. Był także zastawiony i drugi stół przy którym siedzieli: podkomorzyna koronna i wieluńska, krajczy, podczasz i kuchmistrz koronni. Nastąpiły podarunki; już przedtém posłał był królewic narzeczonych do Szyjowa, przez p. Siekierzyńskiego, krzyż dyamentowy w literach, tegoż zaś dnia wieczorem, pierścień brylantowy zdjęty z swego palca księżniczce ofiarował; nawzajem dostał od niej rączkę misternie wyrobioną, utrzymującą serce z brylantów. Trudno opisać jak oboje wzajemnie byli zadowoleni; niełatwo mógłbym także opowiedzieć, jak narzeczona wszystkich serca ujęła uprzejmością i przystępnnością. Zagraniczne damy nie mogły dosyć podziwiać, jak nasze ceremonialne zwyczaje, księżniczka bez żadnej pogardy przyjmowała. Królewic nie poprzestając na obdarzeniu samej narzeczonych podarunkami, okazał się także hojnym i dla jej orszaku; hrabiemu holsztyńskiemu, w miejsce portretu królewica jeszcze niewykończonego, ofiarowano podarunek wysadzany brylantami, równy tamtemu pod względem wyrobu i wartości, oszacowanej na 1,500 dukatów, przytém konia tureckiego z całym rynsztunkiem, synowi jego dano drugiego konia tureckiego z takiemżo ubraniem; z dam dworskich każdą w szczególności pierścieniem

udarowano; jedném słowem nikogo nie było takiego, coby nie doznał hojności królewica, który wśród tego ciągłemi listami uwiadamił Najjaśniejszych Państwa o zbliżaniu się narzeczonej. Wyjechał naprzeciwko królewica kardynał, gdzie gdy podczas powitania marszałek nachylił łaskę, i zaraz na skinienie biskupa poznańskiego chciał takową podnieść, poczytał to za błąd kardynał, przywodząc, iż nie jest w zwyczaju podnoszenie łaski na cześć królewskiego syna. Następnie wyjechano do Radziejowie, gdzie z okazalnością przez kardynała przyjmowani, wkrótce do Nadarzynia wszystkie dworskie damy zajechały; księstwo zaś w Falentach pozostali. Tam życzył sobie kanclerz wielki (1), ażeby mu dano do spełnienia obowiązek podziękowania za dary przedślubne; jednak inaczej Najjaśniejszemu Państwu podobano się: postanowiono bowiem z zaszczytem dla mnie, ażebym ja w tym razie był mówcą. Ostatnią noc przed wjazdem do Warszawy, przepędziła narzeczona w Ujazdowie, gdzie marszałek koronny (2) częstował prawie całą ludność stolicy, jaka się była dla oglądania narzeczonej tłumnie zebrała, oboje królestwo odwiedzili także *incognito* księżniczkę Nejburską w ogrodzie, i zaraz po przywitaniu odeszli. Następnego dnia narzeczeni przystępowali do stołu Pańskiego; ztamtąd w towarzystwie królewiców Alexandra i Konstantego, którzy przed narzeczonymi nieśli wspaniałe pokrycie *tuwalię* zwane, wprowadzoną została królewiczówna z Ujazdowa do Warszawy przez księżnę Radziwiłłową siostrę króla, i przez dwie siostry królowej: marszałkównę de Bethun i kanclerzynę wielką koronną. Siedziała z niemi także i pani Cwibel, którą niezwykłym dotąd zwyczajem, ogłosił biskup poznański jako posłową, co było zaraz następnie powodem między damami do sporów i sprzeczek. Albowiem kasztelanowe poznańska i wileńska, oraz wojewodzina płocka, zmyśliwszy chorobę, wołały nie być przytomnemi tej uroczystości, jak ustąpić swego miejsca. Nagle powstał także pomiędzy damami dworskimi królowej dumny spór, gdy im polecono połączyć się z damami narzeczonej w ten sposób, iżby w jeden orszak zjedoczyły się; rzeczywiście (jak to zwykły kobiety czynić, jeżeli kto ich raz bodziec dumy urazi), wzgardziwszy rozkazem, ubliżyły posłuszeństwu. Dlatego królowa powtórnie domagała się, aby pierwszym rozkazom uległy, lecz i teraz bezskutecznie; krnąbrniejsza od innych pokojowa Gąsieska dała się słyszeć, że to wykonywać będzie, co jej

(1) Jerzy Dönhoff t. h. biskup przemyski.

(2) Stanisław Lubomirski h. Sreńława właściciel ówczesny Ujazdowa.

kasztelanowa wileńska rozkaże; „odtąd więc już, rzecz królowa, nie jest moją służką.” Taki więc to spór i takie niesnaski między naszymi kobietami istnieją o czyzy punkt honoru! Gdy one tak wadziły się, po odbytych ślubie w kościele św. Jana przez kardynała, owa mianowana jako posłowa przez biskupa poznańskiego, zasiadła także przy stole królewskim, za wstawieniem się nuncjusza apostołskiego. Następnego dnia oddawano podarunki ślubne, których wartość wynosiła przeszło 150,000: nakoniec w publicznych zabawach różnym sposobem okazywano radość, wyprawiano ognie sztuczne, opery, komedye i tańce; nowo zaślubiona zaś dostała dwa tysiące dukatów na gry w karty.

Zaledwo Stara Warszawa postanowiła kontrybucją na akt weselny, wnet mieszkańcy lubo biędni, chętnie ostatni grosz egzaktorom na ten cel wyznaczonym znosili, będąc przekonanymi, że czynią to dla zawdzięczenia ojcu za ocalenie chrześcijaństwa. Znajdujemy w rachunkach z r. 1690, iż na ten cel złożono złp. 5,074, co czyni na dzisiejszą monetę złp. 7,611.

Następująca tabella wszelkich wydatków miasta na ten cel uskuteczionych, da nam najdokładniejsze wyobrażenie o sposobie, jakim miasto wdzięczne swemu ojcu monarsze, chciało w osobie syna uczucie swe okazać.

Wydatki ogólne.

1. Księdzu Ojrzyńskiemu za świeće do bramy tryumfalnej podczas wjazdu królowica JMci Jakóba.....	Złp.	gr.
	47	—
2. Item dla Ich MM. PP. radziec do kościoła.....	6	20
3. Zaboklickiemu od zapalenia.....	6	—
4. Łogoszowym (1) królowica Jakóba.....	3	—
5. JMci panu marszałkowi w. koron. względem żydów, aby im protekcyi nie dawał do mieszkania w Warszawie podczas wesela królowica Jakóba, talerów bitych Nr. 10.....	66	20
6. JMci panu podkomorzemu koron. przywitanego i aby uprosił króla JMci, żeby bramy tryumfalnej nie przedstawiano, tyńfów nr. 200.....	220	—
Do przeniesienia	349	10

(1) Łogosz, Łokosz woźnica, uczenie dyszel kterując wozowy. Linde.

Z przeniesienia Złp. gr.
349 10

7. Księdzu kaznodzieci co miał przeciwko żydom i lutom kazanie, aby panowie protekcyi im nie dawali, na garniec wina..... 6 20

8. JMci ks. kanclerzowi wielkiemu koron. aby także instancją wniósł do królowica JMci, aby im protekcyi nie dawał, ofiarowano cytryny i pomarańcze, które kupiono u Perotta..... 54 —

9. Rajtarom JMci pana marszałka w. koron. gdy Jmci (1) byli na audyencyi u Jmci względem żydów.... 1 20

Wydatki na samą bramę tryumfalną, objęte są w urzędowych rachunkach z r. 1690 pod następującym tytułem:

Expensa na wystawienie bramy tryumfalnej przed OO. Bernardynami podczas aktu weselnego Najjaśniejszego królowica J. M. Jakóba, z Najjaśniejszą Jadwigą księżną Nejburgezanką córką Najjaśniejszego księcia JMci Nejburskiego:

którym niechaj Pan Bóg użyzcza długoletniego zdrowia.

1. A naprzód od dworu J. W. J. M. P. podskarbiego wielkiego koronnego (2), tak dla stolarzy, cieśli, jako i malarzów in summa, dało się gospodarzowi..... 100 —

2. Cieśli co starą bramę w cekauzie zdejmował i rewidował (3)..... 2 —

3. Za abrys stolarzowi zamkowemu..... 40 —

4. Za siano do zatkania świata (globu)..... — 21

5. Za 6 łokci astrachanu na chorągwie..... 7 6

6. Tokarzowi za 4 trąby i galki..... 4 —

7. Na piwo cieślom przy zakładaniu bramy pierwszy raz (4)..... 1 3

Do przeniesienia 566 20

(1) Jest tu mowa o urzędnikach miasta.

(2) Marek Mateczyński, h. Jastrzębiec, wojewoda bełzki, ruski, starosta grabowiecki, hrubieszowski i bełzki.

(3) Jest tu mowa o bramie tryumfalnej, jaką miasto wystawiło w roku 1637, na przyjazd i ślub królowej, małżonki Władysława IVgo Cecylii Renaty, w tém samym miejscu, koło kościoła OO. Bernardynów.

(4) Z rachunków okazuje się, że bramę pierwszy raz postawioną wiatr obalił, lub ją nadwerżył bardzo.

	Z przeniesienia	Złp.	gr.
		566	20
8. Za kłodzinę na słupki przy bramie.		—	26
9. Od zwiezienia bramy, tojest drzewa wygotowa- nego, przez dwa dni ciesielskiej roboty.		16	—
10. P. Hoffmanowi, co doglądał robotników przez niedziel 4		40	—
11. Temuż dano contentatii		20	—
12. Księdzu Dominikowi od OO. Pijarów, co wiersze komponował do bramy (1)		100	—
13. Od zwiezienia stolarskiej i malarskiej roboty do OO. Bernardynów, od koni za dwa dni.		16	—
14. Janowi Milińskiemu malarzowi, według kon- traktu z nim uczynionego, ogółem za wszystkie roboty malarskie, oprócz płótna i ćwieków.		700	—
Tu następują wydatki mniej więcej zajmujące, które ogółowo przytaczamy:			
15. Za płótno.		192	15
16. Ciesielska robota		255	13
17. Usługa i robotnik		202	27
18. Stolarska robota		759	20
19. Tokarska robota		10	—
20. Drzewo i materiał budowlany		738	23
21. Żelastwo (2)		335	13
22. Światło.		16	—
23. Wino i wódka dla robotników		28	1
24. Karunek i surmanki.		77	—
25. Opał mieszkań robotników.		31	4
Dalej w wydatkach zamieszczono po szczególe:			
26. Za 6 gornicy wina dla Ich Mciów (3), podczas przywitania królewicowej Jój Mci.		40	—

Do przeniesienia 4146 12

(1) Wiersze te znajdują się w dziełku, pod tyt.: *Janina*, w 4ce wy-
szłem roku 1739.

(2) Dostarczał Blwettl. Z rachunków okazuje się, iż ćwieki wówczas
najślawniejsze były toruńskie, które sprzedawały się w woreczkach.

(3) Zwyczaj ten pisania oznaczał urzędników miasta z wszystkich
trzech porządków, tojest rajców, ławników i gminnych.

	Z przeniesienia	Złp.	gr.
		4146	12
27. Dla trębaczów co trąbili na bramie tryumfalnej za półtora garnca (1).		10	—
28. Za 5 łokci frendzli do herbów na bramę tryumfalną z robotą		5	—
29. Semenom (2), co chodzili na exekucją względem błota, aby pp. mieszczanie chędożyli podczas wesela królewica J. Mci.		12	—
30. Za olej na smarowanie latarni do ogniów na ratuszu podczas wesela królewica Jmci.		1	22
31. Za lece (lejce) do orłów na bramie tryumfalnej.		1	12
32. Za świeczki do przybijania malowania.		1	—
33. Malarzowi od malowania sukienki płóciennój na Kupidynie.		2	—
34. Za płótno na tęż sukienkę.		2	15
35. Za dwie libry papieru na latarnie na ratusz.		1	6
36. J. M. panu Łosackiemu za farby, które malarz nad kontrakt wybrał.		60	—
37. Item za olej do tych latarni.		—	15
38. Trębaczom co trąbili na bramie tryumfalnej, według ugody.		80	—
39. Na piwo dla nich		1	—
40. Od naprawienia orłów na bramie tryumfalnej.		3	—
41. Od zwiezienia bramy tryumfalnej ze dworu J. Mci pana Zamojskiego		8	—
42. Malarzowi i tokarzowi od naprawienia piramidy, którą wiatr zrzucił.		7	15
43. Malarzowi od abrysu bramy tryumfalnej.		3	—
44. Kantorowi szmigus (3).		1	20
	Do przeniesienia	4347	27

(1) Następnie pod poz. 38 i 39 umieszczony jest wydatek dla nich na piwo i wynagrodzenie.

(2) Stefan Czarniecki zwał *semenami* jazdę z Rusliów zaślągnoną na Ukrainie. (Z notat T. Lipińskiego). Prawdopodobnym jest, iż jaki magnat z tamtych stron bawiący w Warszawie w czasie uroczystości, miał z sobą jakiś oddział tych semenów, których miasto używało za wynagrodzeniem.

(3) Zwyczaj był w Starej Warszawie, iż kantorowi w kościele św. Jana, dawało miasto kolendę na Wielkanoc, która się nazywała *szmigus*. Chcąc go zachęcić do równiej gorliwości, w czasie aktu uroczystego wesela królewica Jakóba, miasto podobne wynagrodzenie udzieliło mu.

	Złp.	gr.
	Z przeniesienia	4347 27
45. OO. Bernardynom kontentacyi od schowania i złożenia bramy tryumfalnej	13	10
46. Od zwiezienia téjże bramy tryumfalnej do ce- kauzu miejskiego	24	—
47. Zagórskiemu na aresztowanie sprawy w sądach marszałkowskich, gdy go było pozwano, że żydom pieczę- tował kramy	1	20
48. Dwie szlachcie ubogim, z niewoli idącym jał- mużny	2	—
49. Exulowi z Flandryi	1	—
50. Pani Rhabowej za świece do latarni, podczas wesela królewica J. Mci na ratusz brane	7	2
51. Krawcowi co obszywał płótno na bramie try- umfalnej	3	—
52. J. Mci panu Rownie, co wydał na furmanów, którzy piasek wozili do naprawiania drogi, chłopom, co przedmieście chędożyli i drogę uaprawiali, semenom co na ekekucją chodzili podczas wesela królewica J. Mci	360	—
53. J. Mci panu Łosackiemu (1), według podane- go rejestru za ryżę papieru i świece <i>gdańskie</i> , co świecili, kiedy fajerwerk był podczas wesela królewica J. Mci	27	10
54. Kapitanowi od próbowania rac, które mieliśmy kupić, tynsów trzy	3	9
55. Za rynienkę na bramę	1	3
56. Na zawiasy do bramy tryumfalnej	2	—
57. Cieśli Szymonowi i jego 5ciu pomocnikom, co przybijali malowanie do tejże bramy	24	20
58. Stanisławowi Rurmistrzowi od téj roboty	7	—
59. Magistrom stolarskim 5, także czeladzi 5ciu, co malowanie przybijali na bramie tryumfalnej	105	—
60. Chłopom co wynosili malowanie od Bernar- dynów	—	22

Ognie na ratuszu.

61. Od malowania latarni wielkich z farbą, za płu- tno i świeczki	18	24
--	----	----

Do przeniesienia 4949 27

(1) Jan Łosacki był starszym porządku dwudziestu gminnych.

	Ztp.	gr.
Z przeniesienia		
	4949	27
62. Drukarzowi od wyrznięcia herbów królewica J. M. i książnej J. M.	6	—
63. Za kop 3 i 20 lichtarzów glinianych od garn- carza.	6	20
64. Drukarzowi od wydrukowania pięciu liber pa- piéru na latarnie	2	15
<i>die 5 martii.</i>		
65. Malarzowi od malowania herbów na tychże la- tarniach małych	8	10
66. Za mąkę na klejstr do tychże herbów	2	—
67. Za papieru liber 5, po groszy 18	3	—

***Praezent na wesele Najjaśniejszego królewica
Jakóba.***

68. Za parę lichtarzów które ważyły grzywien 30 dico trzydzieści augszpurgską robotą: grzywna po jedenaście ta- lerów bitych, czyni talerów trzysta trzydzieści, po złotych sześć i groszy dwadzieścia rachując <i>summa facit</i>	2200	—
dodając wydatki na zrucenie bramy tryumfalnej.	20	4
będziemy mieli przybliżonym sposobem (1) ogół wydatków w ilości	7198	16

jakie ubogie miasto Stara Warszawa poniosło chętnie na
oltarzu wdzięczności dla pierworodnego syna swego mo-
narchy.

Aby okazać jeszcze widoczniej tę ofiarę miasta, przy-
taczamy następujący wyciąg z urzędowych rachunków Sta-
rój Warszawy w r. 1690 sporządzonych. Dochodu ro-
cznego było w ogóle złp. 31,044
wydatków złp. 32,688

zatem brak złp. 1,644

(1) Dlatego dodajemy przybliżonym sposobem, iż niepodobna z ści-
słością oznaczyć, wiele naprawy budowli miejskich murów, wałów i bram
tego grodu kosztowały. Nie wiemy bowiem z pewnością, czyli to uporząd-
kowanie miasta było wówczas skutkiem niezbędnej lub tylko chwilowej po-
trzeby, albo wreszcie dla okazałości samej uroczystości robione.

który dodał ówczesny prezydent Alexander Czamer z własnych fundusów (1).

Nadto porównywając powyższy wydatek na obchód zaślubin królowica Jakóba w ilości..... złp. 7198 gr. 16 z dochodami miasta z r. 1690 wynoszącemi.... złp. 31044 gr. — wypada, iż wydatek na powyższą uroczystość wynosił przeszło czwartą część ogólnych dochodów, nie licząc wszelkich innych nakładów na ochędóstwo, ozdobę miasta, jakie trudno przypuścić, aby nie miały miejsca w czasach istnienia tego obchodu.

Jan III po udzieloném od stanów koronnych i litewskich zezwoleniu, na małżeństwo królowica Jakóba z siostrą cesarzowej, rozpisać kazał listy do cesarza i jego małżonki od siebie i królowej, do matki elektora, do elektora palatyna Renu i do króla francuzkiego. Po odebranych odpowiedziach, rozpoczął się dnia 25 lutego akt weselny, na który senatorowie obojga narodów bardzo liczno zjechali się. Na bramie tryumfalnej wystawionej na Krakowskiem-Przedmieściu, w środku było popiersie cesarza Leopolda, po bokach zaś wizerunki spokrewnionych osób panujących królów: rzymskiego, portugalskiego, polskiego, hiszpańskiego, książąt Parmy oraz małżonek tychże i matki królowicownej, księżnej Nejburskiej. Pod każdym z tych wizerunków stosowne wiersze łacińskie umieszczono (2); oprócz tego były napisy ku czci nowożeńców na kolumnie po lewej stronie bramy, w wieńcu nad samym portykiem, na innych trzech kolumnach, wreszcie pod globem wystawiającym 4 części świata: Europę, Azję, Afrykę i Amerykę wiezione przez orły (3). Przez tę bramę wprowadzano narzeczoną przy huku dział i nader licznego orszaku, wśród śpiewów, muzyki, okrzyków ludu, zacząwszy od wjazdu aż do pałacu, który najświetniej był przyozdobiony wielu uroczystemi godłami królów. Pomiedzy licznymi miejscami Warszawy, gdzie uświetniano illuminacją ten obchód, odznaczały się szczególnie przezrocza w portyku do pałacu króla w Willanowie i na arsenale (4).

(1) Istniał zwyczaj, iż wszelkie niedobory do pokrycia wydatków rocznych miasta, zastępował swemi funduszami prezydent, podskarbi lub jakl inny więcej zasobny urzędnik miasta, co w następnych latach onemuż zwracano.

(2) Wszystkie znajduj^o się w dziełku pod tytułem: *Janina czyli życie Jana III*, drukowanem w P znanu r. 1739 w 4cc. Wyżej na str. 152 do uleśliśmy, że wiersze te ksiądz Domalik Pijar utworzył.

(3) Wszystkie te napisy tamże.

(4) Tamże.

Jedną z główniejszych ozdób uroczystości wesela królewica Jakóba były widowiska teatralne. Oprócz tych szczegółów, jakie w tym względzie wyżej przytacza Załuski, pozostała do naszych czasów mniej znana dotąd sztuka teatralna (1), jaka wówczas była odegrana, a następnie w 8ce drukiem u ks. Pijarów w r. 1691 została wytłoczona (2). Cała napisana w języku włoskim, wówczas modnym, nosi tytuł następujący: „*Miłość stała, czyli wytrwanie w jej przeciwnościach, drama z muzyką ofiarowana królewicowi polskiemu Jakóbowi i Jadwidze Elżbiecie księżniczce nejburskiej w dzień obchodu ich ślubu w Warszawie, przez Jana Chrzyciela Lampugnani florentczyka*”. Ofiarowanie to nastąpiło d. 20 marca r. 1691 w wyrazach następujących; „Najjaśniejsze księstwo! Poczytałbym za uchybienie głębokiemu i winnemu uszanowaniu Ich Wysokościom królewskim, gdybym wśród powszechnych okrzyków uroczystości i nadziei, jakie mają wyniknąć z chwały ich dostojnego panowania (3), nie przedsięwziął powiększyć choć w małym udziale radość i ukontentowanie, jakie podzielał w chęci najżywszej poświęcenia mój pracy Ich Wysokościom królewskim.

„Uważam więc za hold należny, ofiarować moje drama choć z licznymi błędami, jakie zapewne nie mogłyby ująć, ani cała sztuka mieć powodzenia, bez ich łaskawej opieki i wspaniałej protekcji. Błagam więc Ich Królewskich Wysokości, ażeby raczyli zaszczyścić wspaniale i przyjąć moją ofiarę, nie tyle ile zasługuje, ani ze względu jej wartości, ale jedynie z uwagi na chęć moją uzyskania sławy, dając się tym sposobem poznać, za co do zgony wdzięcznym zostawać będę

Najjaśniejszego Księstwa
najposłusznieszy, najpokornieszy i najniższy sługa
Jan Chrzyciel Lampugnani.“

Do sztuki tej ułożył muzykę Viviano nadworny kapelmistrz króla Jana IIIgo. Treść tej dramy muzycznej czyli dzisiejszej opery była następująca: Alfons król neapolitański przewany Wspaniałym, († r. 1458 mając lat 74) nie kochając już swjej małżonki Arsyndy księżnej de Castro, przedsięwziął podróżować poza granicami swego państwa. Zatrzymawszy się w Messynie, ujrzał Doryzbę córkę Rug-

(1) Wojcicki w opisie teatru starożytnego w Polsce nie wspomina o niej.

(2) Sztuka ta w języku włoskim znajduje się obecnie w księgozbiórce uczonego Ig. Zagórskiego, od którego mieliśmy ją sobie łaskawie udzieliłą.

(3) Autor pisze zupełnie w myśl zamiarów króla Jana III.

giera króla Sycylii, która zachwycającemi wdziękami potrafiła miłość Alfonsa ku sobie obudzić. Powraca natychmiast do Neapolu w tym celu, aby wszystko przygotować do połączenia się z Doryzbą węzłami małżeńskimi. Tajemnie o wszystkiém zawiadomiona Arsynnda, widząc się wzgardzoną, postanawia zemstę. Przebiera się po mężku, jedzie do Messyny, i dostaje się pod tytułem obowiązków sekretarza na dwór księżniczki Doryzby, gdzie bawi jedynie w tym celu, aby przeszkodzić jęj zaślubinom z Alfonsem. Ten nie wiedząc nic o ucieczce Arsynndy, a raczjć wnioskując z jęj zniknienia, iż potajemnie z rozpaczy śmierć sobie zadała, taką o nięj kazał wieść rozgłosić. Tymczasem Ruggier chcąc ustalić następstwo w swęj dynastyi (1), postanowił wydać córkę za swego krewnego Izmena, piastującego znakomity stopień dowódczy wojsk. W tym zamiarze odmawia Alfonsowi ręki Doryzby, ten zaś rozgniewany chce siłą i mocą zbrojną dopiąć swego celu; wydaje wojnę Ruggierowi i występuje z flotą, ażeby po wygranej morskiej batalii, obiedz następnie Messynę. Na tle historycznym usnuta ta opera obejmuje w sobie 3 akty: w pierwszym scen 10, w drugim 14, a w trzecim 16. Rzecz dzieje się w Messynie. Osoby wchodzące do nięj są następujące:

Ruggier król sycylijski.

Doryzba jego córka i narzeczona ks. Izmany dowódczy wojsk sycylijskich.

Arsynnda księżna di Castro w ubiorze męzkim pod zmyśloném nazwiskiem Fileno, prawdziwie przywiązana do Alfonsa króla neapolitańskiego zakochanego w Doryzbie.

Irena dama dworska Doryzby kochająca się w Filenie (przebranej Arsyndzie).

Arzaces kapitan gwardyi Alfonsa króla, narzeczony Ireny.

Don Ferrante doradca króla sycylijskiego.

Drullo służący Izmana.

W ogóle każdy z czytających łatwo rozpozna z treści powyższej opery, iż Lampugnani działając w zamiarach i widokach króla, wcześniej w widowiskach i drukiem nawet chciał usposabiać naród, do zapewnienia tronu familii Sobieskich.

Rok 1691 w którym tak świetnie Stara Warszawa wystąpiła, aby uczcić uroczysty obchód dla rodziny Jana IIIgo, pamiętnym jest także z dwóch ważnych instytucyj, jakie dla bezpieczeństwa i wygody miasta, zaprowadzone lub odnowione w nięj zostały. Do pier-

(1) Podobieństwo do zamiarów króla Jana III.

wszycy liczyć należy zabezpieczenie miasta od nieszczęśliwych wypadków nieostrożnego obejścia się z prochem, a to przez sprzedaż wyłączną, tylko w urzędzonym składzie głównym miasta, w ceikauzie przy nowomiejskich bramach (1). Do drugich należy odnowienie kompasu dla miasta, na wieży ratusza Starój Warszawy istniejącego.

Zrażone miasto tylokrotnemi pożarami, które równie jak klęski wojenne tysiącom mieszkańców odbierały całe mienie wpośród pokoju, a nadto stawały się głównym powodem jego ciągłego ubóstwa (2); bacząc z drugiej strony, iż jedną z przyczyn tak srogiej klęski była wyuzdana swawola rozbukanego tłumu, nieumiejącego wzbogacać się jak tylko w natłoku gorejących budynków, a jeszcze częstsze takie wypadki nieostrożność prywatnych osób zrządzała; magistrat więc postanowił ostateczny kres położyć takiej pladze srogiej. W tym celu wydał w dniu 2 kwietnia r. 1691 w tym przedmiocie na publicznej sessyi uchwałę, którą Jan IIIci król polski przywilejem danym w Willanowie d. 25 czerwca t. r. potwierdził (3).

(1) Celkhaus rzeczony jest dokładnie oznaczony na wldoku trzech bram nowomiejskich z r. 1673, znajdującym się w *Starożytnościach Warszawskich* T. I, zeszytcie 2gim.

(2) W r. 1684 d. 19 listopada zapalone prochy przez nieostrożność w sklepie Giclera ławnika Starój Warszawy, tenże sklep z izbą przednią na powietrze wysadziły; rzeczony zaś urzędnik z wszystkimi dziełmi i całą czeladzią padł ofiarą tego nieszczęsnego wypadku.

(3) Oryginał tego przywileju, znajduję się w aktach dawnych Warszawy.



(1) Oryginał po polsku znajduje się w bibliotece winałowej. Kopia zaś pochodzi od Przewodniczącego w powiatu swietin kłobucki, z którego to nam dostawiono niniejszą kopia.

**Listy panujących monarchów pisane w przedmiocie
zaślubin królewica Jakóba Sobieskiego.**

LIST I^{sz}.

Jan Trzeci & Bożey łaski Król Polski, W. X^{ta} Litewski i t. d. i t. d.

do

Szczuki starosty Lubelskiego (1).

Urodzony uprzejmie Nam mily! Przychodzi w tym momencie y powtorna znowu confirmacja o sprawie Berlińskiej, a to od urodzonego starosty Naszego malborgskiego już *de data* 13 *praesentis*. Są listy y od panien Sienickiej y Gruzewskiej, które Margrabiniey tegoż momentu waledikowały y obiedwie tu do Polski powracają. Jest y od Pani Karnicowey iey wielkiej Przyziaciołki, córki Wielmożnego Generała Szeneka a żony pierwszego faworyta Kurfirsza JMci. Wszystkie te listy tak tę damę tractują jako najmizerniejszą osobę. Kurfirsz sam niewypowiedzianie, jako dobrze stawa. Wyjechał zaraz z Berlina y póty tam nie powróci, póki ona z państw iego nie wyiedzie, z czem do niey pierwszych swoich posłał *Consiliarios et Ministros* z deklaracją, że na tę infamią ani patrzeć ani iey w państwach swoich cierpieć może. Już się to tedy *sine scrupulo* ogłosić y z tym się przed PP. Hetmany y przed drugimi użalić może. Nadeszła też y poczta krakowska z której mamy z Wiednia, że już Xiążę Imci Bawarski z wojskiem cesarskiem pod Beligradem stanął, przeprawy na rzece Sawie bardzo słabo bronili Turcy, lubo y sam był *in persona* przytomny terazniejszy nowy Seraskier Giengen Pasza. Attakowali tych Turcy, którzy się pierwsi przeprawili z Cesarskich, nizeli się *assecurowali*; ale gdy ich coraz więcej przybywało, straciwszy sześćset ludzi w swoich atakach Turcy ustąpili. Gdy zaś woysko już podstępowało pod sam Beligrad, miasto zapaliwszy, ustąpili z niego ludzie w różne strony. Sam Giengen Pasza *ut fertur* z Tekielim poszli ku Konstantynopolowi, wrzuciwszy w zamek 4,000 Janczarów. Już tedy otworzyli, a proszę Cesarscy y co dzień się do fortece zbliżają, y tuszą w krótkim bardzo czasie przywieść to miasto *ad detitionem*. To tedy opowiesz Uprzeźmość Twoja Naszem Wielmożnym Hetmanom imieniem. Armata już się ze Lwowa ieszcze

(1) Oryginał po polsku spisany znajduje się w bibliotece wilanowskiej, kopią zaś posłada hr. Przezdziecki w bogatym swoim zbiorze, z którego nam łaskawie udzieloną została.

dnia wczorayszego ruszyła ku Brzeżanom, iako nam znać daie Winy Woiewoda Kiiowski, którego powtórny Naszym znowu zagrzewamy listem, aby iako nayprędzey pospieszała. O woysku Naszem ani tu ani we Lwowie żadney y dziś nie mamy wiadomości, co nas iuż ustraszyło; ieżeli Uprzeomość Twoia w drodze iakie potkasz wiadomości, chciey Nam oznaymić, któremu Naszą ofiaruiemy Łaskę. Dan w Żółkwi dnia 27 Sierpnia roku Pańskiego 1688, panowania Naszego 15.

Jan Król.

Urodzonemu Stanisławowi Szcuce Staroście Naszemu Lubelskiemu, Regentowi kancelaryi koronney, uprzejmie Nam miłemu.
pilnie, pilnie, pilnie.

LIST II^{gi}.

Króla Jana III do Cesarza Leopolda (1).

Staranie to, jakie W. C. Mość co do związków małżeńskich N. królewica Jakóba pierworodnego syna Naszego najukochańszego, z N. księżniczką Elektorską Nejburską, w zawrzć się mającym ślubie za skuteczne mieć sobie życzył, i w szczególnem wstawieniu się przez swe zezwolenie uzupełnił, tak nakoniec przez nas dokonaniem jest, iż, po podpisaniu dokumentów przez kommissarzy Naszych co do zawartego układu, i po uzyskaniu względem tego jednogłośnego powinszowania od przytomnego Senatu, oraz uroczystych życzeń, naznaczyliśmy dla odbycia tego aktu dzień 25 lutego roku następnego w stolicy Naszej w Warszawie; dla N. zaś narzeczonej do przeprowadzenia Jój z wszelką odpowiednią okazałością, z Nejburga do miejsca i na czas najbliższy, oraz do wymiany umów przedślubnych i innych zwykłych mających się wykonać obrzędów, posłów Naszych wyznaczaliśmy. Gdy zaś o tém wszystkiem W. C. Mość zawiadamiamy, nie nam nie pozostaje do życzenia, jak, aby W. C. Mość z najlaskawszym Swojém dalszém przywiązaniem ku Nam i Naszemu domowi jawnie pozostał, a wiecznie takowe okazując, raczył trzymać się ułożonych artykułów połączonych przyjaźni świętym węzłem, które, aby bez końca spólną radość W. C. Mości Nam i całemu chrześcijaństwu sprawiały, w oczekiwaniu z najszczerzym ślubem, długoletniego życia i najpomyślniejszych powodzeń spraw, z duszy życzymy.

(1) List ten i wszystkie następne po łączuie pisane znajdują się w dziełku drukowanem pod tyt. *Jantna*.

LIST III^{ci}.

Królowej Maryi Kazimiery do Cesarzowej.

Pociechy te, jakie wróżąc szczęśliwie z tylko co umówionego i pomyślnie zawartego małżeństwa N. królewica Jakóba pierworodnego syna Naszego najukochańszego, z N. księżniczką Elektorską, rodzoną siostrą W. C. Mości na N. Dom Nasz mają spłynąć, do kogóż bardziej należeć powinny, jeżeli nie do W. C. Mści jużto dlatego, iż przez przywiązanie ku siostrze, zapragniesz żeby ono były jak największe, już téż, że dla głębokiego i szczególnego przywiązania, zmierzać będziesz do uwieńczenia ich wszelakim doświadczoneym szczęśliwym wypadkiem. Rzecz sama niech za łaską Niebios odpowiada najjaśkawszym W. C. Mści dobrodziejstwom, i tym sposobem najpomyślniejsze skutki tego zdarzenia, niech spełnią życzenia W. C. Mści tak, jak Nasze macierzyńskie bez granic, ku Najjaśniejszym Narzeczonym mają zadosyć uczynić orzekiwaniu. W spełnieniu reszty, W. C. Mość samemu uroczystemu obrzędowi, w oznaczonym czasie mającemu się odprawić, przez najwyższą Swą łaskę tak raczy być przytomną, jak trwałe i nigdy rozerwać się niemające przyrzekasz związki, w których życzymy z serca widzieć W. C. Mość długo zdrową, szczęśliwą w najpóźniejsze lata.

LIST IV^{ty}.

Króla Jana III do Cesarzowej.

Zawarta z łaski i woli Boga umowa małżeńska, N. królewica Jakóba pierworodnego syna Naszego najukochańszego, z N. księżniczką Elektorską Elżbietą, rodzoną siostrą W. C. Mci., o tyle ze swego skutku winna jest wdzięczną pamięć W. C. Mci., o ile skutecznymi życzeniami i szczególném przywiązaniem do tego usilnie raczyłaś nakłonić się. Tuszymy sobie tylko o następnych jeszcze mających nastąpić łaskach W. C. Mci, nietylko w przeprowadzeniu N. narzeczonój, do której zaszczytne wyprawiliśmy poselstwo Nasze, ale nadto, że i w samym obrzędzie uroczystem, d. 25 lutego roku następnego w mieście stołeczném Naszém w Warszawie mającym się odprawić, okaże się w tém najbardziej przywiązanie W. C. Mci ku

siostrze, jeżeli ją tak z progów ojcowskich raczysz wypuścić, iż nigdy nie ścierpisz pozbawienia jej głębokiego Twego przywiązania. To Nam zapewne przyobiecując, z serca życzymy W. C. Mci zupełnego zdrowia i szczęśliwego powodzenia.

LIST V^y

Króla Jana III do matki Elektorowej Księżnej Nejburskiej.

Zawarta i podpisana przez kommissarzy Naszych umowa związków małżeńskich N. królewica Jakóba syna pierworodnego najukochańszego, z N. księżniczką Elektorską Elżbietą, córką N. W. Ks. Mci., oraz dzień na ten obrzęd uroczysty oznaczony, 25 lutego roku następnego w mieście Naszém stołeczném w Warszawie, nie wątpimy, iż zapewne przynoszą macierzyńskim życzeniom N. W. Ks. Mci te pociechy, jakie odpowiednie będą w okazaniu i udzieleniu najobfitszych błogosławieństw, przy odjechaniu na naznaczony kres N. narzeczónj, dla odprowadzenia którój, z całą przyzwoitą godnością, posłów Naszych wyznaczylśmy; W. Ks. Mśc raczy być także przekonaną, że z macierzyńskich progów i objąć wypuszczoną tę N. córkę swą, znajdzie o tyle w odpowiednich i najczulszych przywiązaniach, o ile tylko w mocy Naszej będzie zastąpić rodzicielskie. Wśród więc wszystkiego dobrego i szczęścia, oczekując niecierpliwie na najukochańszego gościa, życzymy W. Ks. Mci długoletniego zdrowia i zawsze najszczęśliwszych powodzeń.

LIST VI^y

Jana III do Króla Arcy-Chrześcianańskiego (francuzkiego).

Skłonieni najważniejszymi powodami, a szczególnie pamięcią wpływu stolicy apostolskiej jeszcze niewygasłego dla Rzpltej w dawniejszych związkach N. N. królów polskich z N. Domem Nejburskim, (1) oraz z innych przyczyn tak domowych, jak Państwa, korzystnych dla użytku króla Chrześcianańskiego, uznaliśmy za potrzebne połączenie związkiem małżeńskim N. królewica Jakóba syna Naszego pierworodnego najukochańszego, z N. księżną Elektorską Nejburską Elżbietą; w tym zamiarze, gdy już tylko co podpisane umowy zwią-

(1) Córka Zygmunta III Anna Katarzyna poślubiła w Warszawie d. 8 czerwca 1642 r. Filipa Wilhelma ks. Neuburskiego syna palatyna Renu.

ków małżeńskich przez kommissarzy Naszych, z oznaczeniem dnia na obrzęd mający się odbywać, 25 lutego roku następnego w Warszawie, mieście Naszém stołeczném, cały przytomny obecnie Senat z serdecznemi powszechnemi oklaskami winszował, pozostaje tylko, abyśmy W. K. Mei radość tę N. Domu Naszego w udzieleniu objawili. Ufamy bowiem, że W. K. Mość zawarty ten związek tém łaskawiej w sercu swoim przyjmiesz, im bliższym węzłem powinowactwa do niego wchodzisz, i im szersze mieliśmy Nasze starania i chęci wejścia w ściślejszy z W. K. Mścią węzeł przyjaźni. Powiększy następnie W. K. Mość Naszę radość, jeżeli o tyle najznakomitsze swe życzenia spomnionego związku raczy do Nas przesłać, o ile nietylko powinowactwo, ale i głęboka przychyłność Nasza ku Niemu wymaga, którą po królewsku stale zachowując, pragniemy długo oglądać W. K. M. szczęśliwym i przy najpomyślniejszych powodzeniach w zdrowiu cieszącym się.

LIST VII^{my}.

Króla Jana III do Elektora Palatyna Renu.

Wdzięczną wznawiamy pamiętkę, połączonych niegdyś przyjaźni związkiem małżeńskim N. N. królów polskich z N. Domem Nejburskim, gdy najświeższej umowy małżeńskiej N. królowica Jakóba pierworodnego syna Naszego najukochańszego z N. księżniczką Elektorską Elżbietą siostrą rodzoną W. Ks. Mści po podpisaniu dokumentów, dla uroczystego tychże odbycia dzień 25 lutego roku następnego w Warszawie oznaczony, cały przytomny obecnie Senat o tyle z poklaskiem serdecznym winszował, o ile szczere przywiązanie ku imieniu i Domowi W. Ks. Mści okazał. Ażeby zaś następnie w dniu naznaczonym N. narzeczoną przed wszystkiemi uściskać w przywitaniu najczulszém sercem, w wróżbie szczęśliwych progach Naszych, wyznaczylśmy jak najprędzej posłów Naszych, z najroziaglejszém umocowaniem do wymiany rzeczonych dokumentów, i już wysyłamy. Pozostanie tylko, aby W. Ks. Mość z objęć braterskich tak ją raczył wypuścić, jak łącząca i wieczna miłość pomimo oddalonych miejsc w sercu i przywiązaniu nigdy nie jest odległą, a Nam i N. Domowi Naszemu zawsze tém samym przyniesie pociechy z błogosławieństw pożądaných. Czego życząc z sercem ojcowskiém, zasyłamy modły o podobne, tojest wesole i szczęśliwe dla W. Ks. Mości powodzenie spraw w najtrwalszém zdrowiu.

KRONIKA LITERACKA.

Dwór i Dworki. Szkic do powieści przez Leona Kunickiego. Warszawa. 1851. Nakład i druk S. Orgelbranda. 8ka, str. 174.

Znane, a poprzednio umieszczane obrazki p. Leona Kunickiego w Album Literackim i Bibliotece Warszawskiej, jak: *Stary sługa, Rezydent, Flis* i *Salony wiejskie*, zwróciły uwagę dokładnością w oddaniu postaci przedstawianych, stylem wdzięcznym i prostotą ujmującą. Młody ten pisarz umiał zręcznie pochwycić zarysy wydatne do swoich obrazków, wpatrzył się we wzory żyjące, i z prawdą je zrysować.

W obszerniejszych ramach daje nam teraz szkic do powieści p. n.: *Dwór i Dworki*. Główną postacią jest młody Stanisław, dziedzic pięknego majątku, syn dawnego wojaka, który wychowany poczciwie, później przez złe towarzystwo uległ chwilowemu obłudowi: prawdziwa miłość zwraca go napowrót do tych szlachetnych uczuć i prawego postępowania, które mu cześć dawniej zjednywały. Stary Walenty, sługa domowy, pani Adamowa szafarka, a w pobliżu kościoła i plebanii w białych dworkach zamieszkała ciotka dziedzica panna Scholastyka, pan kapitan Wawrzyniec były rezydent na dworze nieboszczyka ojca, pan Bartosz ekonom zacyjny i poczciwy, dalej państwo Wojtasińscy chorujący na arystokracją z dorosłą córką Konstancją, p. Józef Aniszewski szuler i rozpustnik, urocza postać Anny Woleckiej, i poczciwa jój ojca dawnego majora—owoż są wszystkie osoby wprowadzone w ten mały dramat. Każda z nich wydatnieje prawdą w oddaniu charakteru właściwego, i jeżeli niektóre do uśmiechu pobudzają, to drugie rozrzewniają przywiązaniem, uczuciem i poświęceniem. Jeżeli możemy zarzucić autorowi brak zajęcia w układzie tego szkicu, dziwaczne nawet w części podane warunki młodemu Stanisławowi, przy zezwoleniu na oddanie mu ręki córki Anny; to znowu hojnie wynagradza nam te usterki wprowadzeniem w życie

swego dramatu kilku postaci zajmujących charakterystyką wiernie skreśloną, z całą utudą prawdy. Myśl szlachetna i zaena, przebija widocznie w tym małym utworze, który uważamy za pełną nadziei zapowiedź w dalszym za wodzie literackim p. Kunickiego.

K. W.

O wsiach tak zwanych wołoskich, na północnym stoku Karpat. Przez Alexandra hr. Stadnickiego. We Lwowie, w drukarni Zakładu narodowego imienia Ossolińskich. 4ka, str. 92.

Przystępując do zdania sprawy z tój napozór małej, lecz bogatej w wiadomości książki, użyjemy słów samego szanownego autora, aby dać poznać treść przedmiotu, a następnie cel, w jakim napisaną została:

„Szczupłe nader i niedokładne są nasze wiadomości o wołoskich osadach w Polsce. Że takie osady istniały i w znacznej liczbie istnieć musiały, o tém nam wprawdzie już same uniwersały poborowe od roku 1552 do roku 1629 wątpić nie pozwalają, ponieważ wszystkie wsiom wołoskim osobną rubrykę poświęcają, i dla ich osadników osobny podatek wymierzają.

„Lecz gdzie się te wsie znajdowały, wiele ich było, jak się nazywały i pod jakimi kondycyami lokowane zostały? żadna konstytucya, żaden autor dawniejszy nas nie uczy”.

Zadaniem więc autora było zebranie i wyjaśnienie wszelkich, jakie mógł zebrać szczegółów o tych osadach, których pochodzenie sam Czacki niedostatecznie objaśnił. Lecz autor szczupłe mając pod ręką materyały, czuł najlepiej, że do wyczerpania tego przedmiotu wiele mu jeszcze brakuje, bo tóż przy rozproszeniu dokumentów urzędowych po różnych miejscach, przy odszukiwaniu ich mozolném, trudno mu było odrazu wszystko uchwycić i w jedną zebrać całość. Dał więc to, na co go stać było, prosząc zarazem wszystkich o dopełnienia, jakieby tylko pod tym względem komuś pod rękę nasunąć się mogły.

Rozprawa o wsiach wołoskich obudziła w nas wielkie zajęcie, a dogadzając życzeniu szanownego autora, tém bardziej, żeśmy na niektóre nowe natrafili szczegóły; skoro nam czas pozwoli, w obszerniejszej rozprawie postaramy się uzupełnić niedostatki, jakie w obecnej znajdujemy pracy. Dziś do ważniejszych powołań zatrudnień, mimowoli odłożyć to musimy.

Rozprawa ta ucząc nas nowych wcale faktów, przytacza na poparcie swoje dokumenta urzędowe i przywileje. W badaniach swoich autor używa tylko przywilejów wsi wołoskich w cyrkule sanockim i sandeckim położonych; w końcu tylko znajdujemy przywilój dla jednej wsi (Wieżów) w starostwie samborskiem będącej, a przecież wsi tych było więcej i po różnych jeszcze innych miejscach lokowanych. Lecz nie powinien nikt za złe brać tego autorowi: dziś odszukanie dawnych pamiątek przeszłości bardzo jest trudne, rzeczywista więc należy mu się zasługa, bo przedmiot dotąd tak lekko, jakby wcale nietknięty, może kogoś natchnąć nową myślą rozwinięcia kwestyi, łączącej się ściśle z bytem dawnym krain Polski.

Czterdzieści siedm nomenklatur wyliczone są jako wsie wołoskie; na północnym stoku Karpat położone, a przywileje dla nich przez różne osoby i w różnych epokach nadawane, stanowią bogate tło do badań i wniosków nad prawem osadników w dawniej Polsce, do wykazania różnic między temi wsiami, a królewszczynami, a nareszcie do stanowczego wyjaśnienia, czy pierwotni osadnicy tychże istotnie Wołochami byli.

Najwcześniejszy z przywilejów jest nadany dla wsi *Ustrzyk*, i nosi na sobie rok 1509; inne po tym roku ciągną się w różnych odstępach aż do 1572, to jest do chwili, w której dla wsi *Poławy* prawo wołoskie nadane zostało. Z przywileju tu zacytowanego autor następny robi wywód: „Mamy tę wieś za ostatnią, która prawem wołoskiem osadzoną została, ponieważ cytowane już kilka razy słowa przywileju poławskiego: *hominibus tam polonis quam ruthenis locandi*, brak osadników wołoskich, a drugi ustęp tego przywileju: *jure Valachico quod in eo passu sum aliis concordare debet judicandi*, już przewagę krajowego prawa nad obcemi dowodzi. Przyjmujemy więc okres panowania Zygmunta Igo i Zygmunta Augusta za epokę osiadania u nas Wołochów”.

Czy wniosek ten jest sprawiedliwy? czy nie było wcześniejszych? i czy rok 1572 już ostatnią ma stanowić granicę? równie jak i wiele innych rzuconych kwestyj, do późniejszego pozostawiamy rozstrzygnięcia.

L.

ROZMAITOŚCI.

Kobiety poetki w Ameryce północnej.

Upowszechnione jest mniemanie, że Amerykanie zajmują się jedynie handlem i przemysłem. Dzieło pana *Grisvold*, pod napisem: *Kobiety poetki w Ameryce*, zaprzecza temu zupełnie, przytacza bowiem między innymi dziewięćdziesiąt imion samych kobiet, poświęcających się poezji. Europa podobno nie poszczyciłaby się taką liczbą! Byłoby zatem niestusznie obwiniać Stany Zjednoczone o literackie uśpienie. A jednakże z liczby czterechset wymienionych przez pana *Grisvold* literatów, trzy lub cztery imiona zaledwie przebiegłszy przestrzenie oceanu, odbiły się o stary ląd Europy. Literatura nie poprzestaje bowiem na harmonijnych marzeniach, na pełnym wdzięku naśladownictwie, na uroczej fantastyce, jak zarówno dla poezji niedość muzykalności rytmu, wytworu wyrażenia, ani dokładnej znajomości języka. Poezja hędcą jak każda inna sztuka, zmysłowem upostaciowaniem natchnienia myśli, powinna wypływać z głębi życia. Jest ona zewnętrznym objawem życia narodowego, zdaniem sprawy krajowca, owianego duchem swego plemienia, o tajemniczym bycie jego narodu, o dążnościach, pragnieniach, o wierze religijnj jego współziomków. Poeta jest tłumaczem duchowego usposobienia kraju, do którego należy, wobec innych ludów; a dzieła jego powinny być wiernym odbiciem obyczajów i zwyczajów współczesnie przyjętych w jego narodzie. Poezja niedopełniająca tych warunków, nie jest poezją; ktokolwiek pisze wiersze, jeżeli dążnością i pragnieniem nie zespolił się z ogółem, jeżeli nie wiódł, że zadaniem jego jest, aby wyraził myśl bezkształtnie krążącą w narodzie, jeżeli w miejsce tego własne wyraża myśli i uczucia—nie jest hynajmniej poetą.

Jeżeli takie są warunki poezyi, dlaczegoż Ameryka północna nie posiada samoistnej literatury? Czemuż pozbawioną jest wielkich twórców, i ograniczać się musi na trzech imionach: *Cooper'a*, *Channing'a*, *Emerson'a*, które najdokładniej wyrażają jej umysłowe dążności? Ameryka posiada wszelkie warunki, potrzebne wielkim poetom: dumę narodową posuniętą aż do zbytku, wiarę religijną silną, obok swobody wyznania, słowem, życie bystrym płynące potokiem. Czemuż więc żaden gieniusz nie wypowiedział nam dotąd owych cudów kolonizacyi, owęj zadziwiającej śmiałości przedsięwzięstw, owych gorących objawów ludzkich czynności, owego powszechnego ruchu? Czemuż żaden poeta nie wyśpiewał dotąd awanturnicznych przygód bohaterów handlu i przemysłu; czemuż nie zwrócił uwagi na to dziwne połączenie cnót domowych, z wiecznie koczującym umysłem; czemuż nie uczył owęj gorącej miłości rodzinnego ogniska, pomimo nieustannych przesiedleń? Przecież i to ma swoją poezyą! Tu dotykamy najciekawszego i niedosyć może zbadanego punktu historii literatury w ogólności.

Czyliż Amerykanie są przeto nieszczęśliwemi, że im brak prawdziwej literatury? Przeciwnie! los ich nawet godzien z téj strony zazdrości w pewnym względzie. Kiedy poezya objawia się u narodów, nie jestto koniecznie proroczym godłem ich przyszłej wielkości, ale raczej, jestto odbłaskiem dawniej ich chwały; nie zapowiada im bynajmniej nowych przeznaczeń, ale opowiada im zapadłe w przeszłości dzieje. Ilekrotnie zabłyśnie wielki poetyczny gieniusz, można być pewnym, że wiara i obyczaje, które opiewa, blizkiemi są zniknięcia. Tak *Szekspir*, ów wierny odbłask średnich wieków i życia feodalnego, pojawia się wraz z reformą i XVIym wiekiem; *Kalderon* z upadkiem hiszpańskiego katolicyzmu. Wtedy wiara i obyczaje przybierają się w szatę poezyi. Kiedy przestają być rzeczywistością, wówczas ideał w najświetniejszych przedstawia nam się barwach, odbijając przedmioty już nieistniejące. Szczęśliwe ludy niemające dziejów, powiedziano kiedyś niedarmo! Szczęśliwe ludy pozbawione wielkich poetów, powtórzyłyby się godziło. Jestto dowodem, że używają w pełni życia, że nie żalują przeszłości, że oddychają jeszcze pierwotną świeżością, rodzimą siłą swęj przyrody. Godném jest zastanowienia, że ludzie ożywieni bohaterską wiarą nie mają świadomości wielkiej poezyi tkwiącej w owęj wierze, która ich wiedzie do czynu. Czyliż piérwsi Purytanie, którzy śmiało i bez zasobów na wątlým statku powierzyli się falam oceanu, pragnąc na nowym lądzie wyznawać swobodnie swą wiarę, nie ukazują nam się dzisiaj w pełni poetycznego uroku? Zważmy więc, jaka była literatura owych ludzi natchnionych prawdziwie

biblijnym duchem, jakie były pierwsze poetyczne próby ogłoszone w północnej Ameryce. Tu nasamprzód uderza nas imię *Anny Bradstreet*, która przybyła wraz z ojcem do nowej Anglii. Poezye jej wydane były po raz pierwszy w Bostonie, 1640 roku pod napisem: *Niektóre poezye, zalecające się wszechstronną nauką i rozumem, pełne wdzięku, zawierające głównie rozprawę i opis czterech żywiołów, różnych pór wieku człowieka, jako też pór roku; z dokładnym skreśleniem trzech pierwszych monarchij: assyryjskiej, perskiej i greckiej, początków społeczeństwa rzymskiego, aż do śmierci ostatniego króla, oraz inne przyjemne i nauczające poemata, przez pewną damę z nowej Anglii.* Owa Anna Bradstreet, nazwana dziesiątą muzą, gorliwa protestantka, wzywała nieustannie Feba, i naśladowała nędznych współczesnych wierszopisów. Nie domyślała się ona bynajmniej, jako też żaden z ówczesnych osadników amerykańskich, owęj dzikięj poezyi, zawartęj w protestantyzmie, którą dziś zaledwie odkrywać poczynamy. Tak samo czynią i dzisiejsi Amerykanie, a brak poezyi jaki u nich spostrzegać się daje, nietylko że nie jest złowróbnym znakiem, ale raczej służyć może za dowód narodowęj ich siły i potęgi.

Trudno zaiste wymagać arcydzieł od amerykańskich poetów; szukać w nich raczej należy śladów narodowego ducha, objaśnień historycznych, połysków rodzinnej filozofii, a nie zmyśleń poetycznych zręcznie i wymownie przedstawionych. Wspomniane naprzykład poetki północnej Ameryki, stoją na ciekawém dla Europejczyków stanowisku. Ów tłum dziewic i niewiast tworzących poemata, dramy i sonety, nie ma żadnego podobieństwa z znanemi w Europie autorkami. Na świeżym gruncie Ameryki nie wylągl się jeszcze potwór niewieści, znany u nas pod nazwiskiem *bas bleu*. Słowem, żadne ogniwo nie wiąże uczonych europejskich kobiet, z poetkami Ameryki. Owe córki i żony amerykańskich mieszczan, kupców, bankierów, urzędników i teologów, nie piszą jak nasze autorki, przez próżność i dumę, ale raczej piszą z rzeczywistego upodobania w poezyi. Wielka ich liczba posiada prawdziwie głęboką naukę i gruntowne wychowanie. Poezye ich nie stoją zapewne na najwyższym szczeblu sztuki, ale niepodobna przewyższyć dziewiczej ich skromności. Miłość macierzyńska jaśnieje w nich najświetniejszym blaskiem, a wszelkie inne uczucia kryją się niejako w półcieniu, otoczone tajemniczą zastoną. Amerykanka nie odzywa się głośno o miłości, unika uczuciowych zwierzeń, lęka się zbrudzić pióro kreśleniem burzliwych namiętności. Pragnienia ogólne i bez celu, chłodne połyski marzenia, błyszczą tam niekiedy. Niekiedy widać głęboki żal, bolesne wspomnienie, zawód w wymarzoném szczęściu i nadziei; ale uczucia te wyrażone są zwykle

ogółowo. Miłość nawet małżeńska nie bywa nigdy treścią owych poezyj. Słowem, woneją one niezrównanym wdziękiem skromności, przywoitości, i prawdziwie delikatnego smaku.

Ztąd wprawdzie niekiedy wypływa nudząca jednostajność: to też trudno stawiać owe utwory na wysokiem stanowisku sztuki. Ale za to mamy w nich wierny obraz amerykańskich obyczajów i charakteru. W tém mnóstwie elegij, dum i monologów, łatwo odkryć ślad cnót rodzinnych, otoczonych mglistą zastoną jednostajności. Życie amerykańskich poetek, jak je biograf przedstawia, ciche było i spokojne, pozbawione przygód i gwałtownych namiętności. Trzy główne wypadki składały je jedynie: urodzenie, małżeństwo i śmierć. Biograf przemilcza o szczegółach ich życia: znać, że poświęcone było spełnieniu powinności, nakazanych Bożkiem i ludzkim prawem. Trzy jednak kobiety tak przez swój talent, jako też przez odrębne położenie w świecie, odbijają wydatnie na jednostajném tle wspomnianego dzieła.

W liczném gronie córek i żon kupców, teologów i urzędników, widzimy jednak dwie kobiety nieznanego i zależnego urodzenia: murzynkę *Philis Wheatley-Peters* i służebną *Maryą James*. Murzynka urodziła się w końcu XVIII wieku, i została żyjącem świadectwem ku poparciu pism Franklina i filantropów, mówiących przeciw niewoli murzynów. Owa czarna córka Senegału, dzięki urodzeniu swemu i przeznaczeniu odgrywała historyczną rolę. W szóstym roku życia przedana w Bostonie na targu niewolników, dostała się w ręce *mistriss Wheatley*, szanownej niewiasty, i z jej łaski otrzymała naprzód wychowanie, następnie zaś nazwisko. Owa murzynka dztś zupełnie prawie zapomniana, miała w swoim czasie chwilę niezwyktęj świetności. Odbyła podróż do Londynu, gdzie ją otoczono powszechném uwielbieniem. *Washington* pisywał do niej listy, a *l'abbé Gregoire* znany w rewolucyi francuzkiej, ogłosił ją wielką poetką, w dziele swém *O zdolnościach umysłowych murzynów*. Zwolennicy oswobodzenia czarnych, przyklaskiwali jej z zapalem. Skromna niewolnica murzynka była czas niejaki w oczach świata najwyższym typem swego rodu. Ona wobec europejskiej cywilizacyi przedstawiała wszystkich swych współbraci; ukazanie się jej było ważnym historycznym wypadkiem; słowem, miała pewien udział w wielkiem wstrząśnieniu świata. *Marya James* z swjej strony była ubogą dziewczyną, córką wychodźcy z kraju Gallów. Pozbawiona nauki, całą swą umiejętność wyczerpnęła z biblii i kilku dostępnych jej książek, a jednak owa biedna dziewczyna stworzyła najdokładniejszą z pieśni lirycznych, przytoczonych w dziele p. *Grisvold*. Oto próba poezyi *Maryi James*, która jeżeli nie może służyć za wzór sztuki, pełną jest przecież głębokiego religijnego

uczucia, i zwraca mimowoli serce czytelnika do wiecznego celu ludzkiego przeznaczenia.

Pielgrzymi.

„Spotykamy się tutaj jakoby pielgrzymi, dążący do świętego miejsca, których godziny podróży sptywają na słodkiej rozmowie od południa do mroku, a których dusze jednocześnie się nawzajem, w miarę jak wypowiadają swe troski i nadzieje, przechodząc wspólnie przez smutną dolinę łez i niedoli.”

„A jednakże mówią radzi o swych trudach i radości, o wicherze pustyni, który im spocząć nie dozwala w noc ciemną, o spieku co ich pali w dzień; albowiem dla serca wiernego zawsze się znajdzie towarzysz pod bokiem, jakoby cień skały na jałowej ziemi.”

„Spotykamy się tutaj jakoby walczący żołnierze. Zanim zwycięstwo zostało dokonano, zanim nadeszła chwila złożenia wojennych przyborów, zachęcają się oni nawzajem do walki w nadziei otrzymania wieńca chwały.”

„Codziennie wprowadzie wszczynają bój krwawy, i walczą liczne wroga zastępy, a jednak pielęgnują głęboko w sercu nadzieję zbawienia, oczekują na ciche ustronie, gdzie im najwyższy władca przyrzekł takie rozkosze, o jakich ucho nie słyszało, jakich oko nie widziało niczyje.”

„Spotykamy się tutaj jakoby żeglarze na obszernych głębiach oceanu. Pienią się morskie wały, ryczy burza, a przystań nazbyt daleko; ale oni urągają burzy, walczą z szalonym pędem fali, pewni, że ich ocali wiekuisty żeglarz, w którym położyli nadzieję.”

„Żyją oni domowych przygód wspomnieniem, obawą przyszłych walk i niebezpieczeństw, aż dopóki nie zarzucą kotwicy w cichém i spokojném ustroniu, gdzie szczęście zupełne jest i niechybne, dopóki nie ujrzą dnia jednego oddalonych wieżyc wiecznego mieszkania, błyszczących jak gwiazda na tle wieczornego pomroku.”

„Spotykamy się tutaj jakoby bracia, wyrzuceni na obce wybrzeże, których serca unoszą się radośnie w miarę jak wspominają rodzinną okolicę, dom ojcowski, i tkliwą pieczołowitość rodzica i miłość jego bez grantc.”

„Spodziewają się w końcu połączyć na zawsze w owym pięknym grodzie, gdzie mieszkają wśród głębokiego spokoju, wśród radości bez końca, wybrani Pańsey w białej szacie, gdzie hymny pochwalne wzbijają się nieustannie przed tron niewinnego baranka.”

Ale ze wszystkich kobiet poetek w Ameryce, najslawniejszą jest niewątpliwie *Marya Brooks*, zwana w Ameryce *Maryą z zachodu* (del

Occidento) zmarła w 1845 roku, autorka szczególnego poematu pod nap. „*Zophiel*”, o którym Karol Lamb powiedział, że jest zanadto nadzwyczajny, aby mógł być utworem niewieściej głowy. Ten poemat zadziwiający bogactwem wyobraźni przypomina nieco Tomasza *Moora* i *Shelleja*. Utwory liryczne Maryi *Brooks* pełne są życia, ruchu i zapału. Trudno sobie wyobrazić dziwne połączenie słodyczy i potęgi w jej rymach pełnych natchnienia. Zda się, że widzimy skromną gołębicę uzbrojoną w orle skrzydła, która mimo sztucznej potęgi, zachowuje niewinną postać, pierwotną przyrodę; lęka się własnej swój siły i nie śmie patrzeć bez trwogi w słoneczne oblicze ideału. Widać tu niezwykle moc myśli, uczucia śmiałe, niedokładnie wyrażone, jak gdyby autorka lękała się niesłychanej potęgi własnego serca. Często nawet myśl i uczucie wpadają w metafizykę i abstrakcyę. Miłość macierzyńska dla zmarłego dziecięcia natchnęła Maryą *Brooks* najszczytniejszą poezyą. Zabawy niewinnej istoty której już nie ujrzy, połączone z wspomnieniem ciemnych puszczy, okiem nieścignionych przestrzeni, i szumnych wodospadów, nadają macierzyńskiemu jej uczuciu pozór nieskończoności amerykańskiej przyrody. Ze wszystkich kobiet-poetek nowego świata, Marya *Brooks* posiada najwięcej wieszczego ducha i natchnienia sławnych europejskich współauterek.

W zbiorze p. *Grisvold* Marya *Brooks* świętny i jedyny stanowi wyjątek. Jej współtowarzyszki w poezyi, czerpią natchnienie nie tak we własnym życiu, jak raczej w odebranym wychowaniu i nauce. Ztąd więc mało pomiędzy niemi spostrzedz można różnicy; ale za to, dzięki owej pozorniej jednostajności, łatwo w ich utworach schwycić główny amerykański charakter. Uczucie religijne przebija wprawdzie w ich utworach, ale jestto powien rodzaj chrześcijańskiego deizmu, który coraz wydatniej odbija się w amerykańskim protestantyzmie. Duch Chrystusa wieje na każdej karcie, ale postać Chrystusa rzadko się ukazuje. Chrystus jest tu zawsze Zbawicielem świata, ale odkupiciel ukrzyżowany zda się być zapomniany. Syn Boży objawia się tu takim, jakim się ukazał uczniom, gdy przemienionego na górze *Thabor* ujrzeli w stoku światła, z *Eliaszem* i *Mojżeszem*, prorokami dawnego zakonu. W miejscu uczniów i oniemiałej rzeszy, u stóp świętej góry, postawmy ukorzoną ludzkość, a mićc będziemy wyobrażenie ducha, jaki obecnie wiara religijna przyjmuje w Ameryce. Ale cierpienia i zgon Bożego Syna, ale krzyż *Golgothy*, cała traiczna strona historii Zbawiciela na ziemi, którą ludy średnich wieków i pićrwni chrześcijanie wiecznie chowali w umyśle, poszły w zupełną niepamięć. Wskazujemy ten wypadek jako zasługujący na uwagę umysłów religijnych i filozoficznych obecnej epoki: jestto symptomat

niochybnego przesilenia w protestantyzmie, które prędkiej lub później nastąpić koniecznie musi. Uczucie deistyczne stanowiące tło pism Channing'a i Parkera, daje się czuć nieustannie w każdym rymie dotyczącym religii.

Opisy przyrody nie uderzają nas tutaj nowością, jakby się spodziewać należało. Napotykamy wprawdzie niekiedy wspomnienie palmy, bawełny, kokosu, lub też imiona roślin nieznanych w Europie, ale mimo to, nie mamy plastycznego obrazu nowój i nieznanój nam przyrody. Niekiedy tylko barwy wydają nam się nieco żywsze, jak naprzykład w obrazku panny Franciszki Gren, który tu przytaczamy:

„Najmniejszy wietrzyk nie wiał w lesie i nie poruszał drobnego liścia; niekiedy tylko ptaszyna ścieląca gniazdko, zaszeleściła wpośród drzew. W oddali słyhać było szmer pieniającej się wody, jakoby cichy śpiew Najady, zabierającej się do południowego spoczynku. Drżące gałązki osiki wydawały lekki odgłos, podobny do poruszenia nocnego widma: zdało się, jakoby duch muzyki przesunął się głucho, nie wydawszy żadnego dźwięku. Anemon tęskno pochylił głowę i zdawał się marzyć o południowym zelirze, który go miał zbudzić ze snu trudzącego i nowo nadać mu życie. Głóg roztaczał czarowną woń dokoła, a róża ukazywała rumiane swe pączki. Woda płynęła zwolna po cichój dolinie i w cieniu gęstych zarośli, zwalniając bieg swój nieustanną zmianą łożyska. Lilie bujnie rosły na wybrzeżu, a Najady wychylając się z głębi przejrzystej fali, igrały z niemi swobodnie.

„Pszczola dzika brzęczała rozkosznie dotykając zaledwie kwiatów, a potém ugięta pod ciężarem miodu, przesycona słodczą, tonęła w głębi wonnego ich kielicha. Para synogarlic tulila się nawzajem do siebie. Wąż świecąca okryty łuską wił się na słońcu, a zając natężając słuchy wybiegł bacznie z kotliny i zniknął pod liśćmi paproci. Wiewiórka zaś zręczne wyprawiała skoki i t. d.”

Ładneto zapewne wiersze, zanadto może ładne; natura odbija w nich nadobnie, ale przypominają nazbyt opis wiosny Owidyusza. Zdaje nam się czytając je, że spoczywamy w cieniu europejskich lasów. Też same widzimy drzewa, też same kwiaty i zwierzęta, tylko że drzewa bujniejszym pokryto liściem, zieloność żywsza, słońce jaskrawsze, woda cieplejsza. Słowem, nie widzimy tu samodzielnego opisu wielkiej i poważnej amerykańskiej przyrody.

Uczucie piękności, ideału, słabo i ogółowo maluje się w owych poezjach. Niewiadomo czyli te kobiety poetki pojmują i kochają sztuki, a mianowicie sztuki plastyczne. Muzyce jednakże zdają się dawać pierwszeństwo. Zastanowienia jest godnym zamilowanie nowoczesnych lu-

dów w muzyce. Pierwszeństwo jakie jęj powszechnie dają nad malarstwem i rzezbą przypisać należy temu, że muzyka lepiej odpowiada ich wrodzonym uczuciom. Muzykę nazwać można wyłączną sztuką XIX wieku: ona najlepiej wyraża trudne do urzeczywistnienia marzenia i nadzieje. Pojmowana zarówno przez wszystkie żyjące twory, nie wyłączając zwierząt, muzyka, aby być zrozumianą, nie wymaga ani nauki, ani gruntownego wykształcenia: zadawalnia świat cały, każdemu opiewa własne jego sny i marzenia. Ażeby naród wydawał rzeźbiarzy, poetów i malarzy, potrzebuje długich wieków, dziejowej przeszłości, wielkiego zasobu podań, zwyczajów, uświęconych czasem; ale narody świeże, jak ludy Ameryki, uprzedzają wieki, działają z pośpiechem, i nie mają cierpliwości czekać na podania i dzieje. Ztąd wypływa ich wyłączne zamiłowanie w muzyce, najdosłępniejszję i najmniej kosztownęj sztuce. Lubią oni muzykę, jak się lubi wieczorną pogadankę lub senny spoczynek po całodziennęj pracy. Muzyka jest więc, jeżeli się tak wyrazić godzi, sztuką ludów, którym brak czasu do rozwagi i myśli; sztuką ludów pełnych gorączkowego zapału: bo aby ją pojąć, dosyć mieć duszę i zmysły. W zbiorze wspomnianych poezyj znajdujemy dwa sonety na cześć Bethowena i Mozarta, w których gieniusz obudwóch mistrzów, doskonale jest pojęty i oceniony. Sonety te są utworu hrabiny d'Ossoli, zmarłej w roku zeszłym skutkiem rozbicia okrętu w powrocie jęj do Ameryki.

Bethoven.

„O najidealniejszy z mistrzów sztuki! Ty, który najlepiej wyraziłeś duch człowieka, i zadziwiającą różnorodność świata! Jakże dziwne połączenie myśli, zrodziło natchnione twe pieśni! Dopiero melancholiczny *tenor* porusza najgłębsze tajniki serca, a już poważny *bas* wskazuje szalę rozsądku; tylko co słyszeć się daje cichy szmer westchnienia pełnego miłości, a już dziwna fantazyja szaloną wprowadza burzę. Przeszłość już poszła w niepamięć, nadzieja wdzięcznie nam się uśmiecha, i cała istota nasza promiennym jaśnieje blaskiem, gdy nagle ponad usłaną kwiatem ziemią słyszeć się daje głuchy jęk rozpaczny. Prerażeni pragniemy zerwać łańcuch który nas oplata, ale ty zabrzmiałeś tryumfalnie i pozostajemy niewolnikami twemi.”

Mozart.

„Jeżeli Bethoven przemawia do pojęcia i do namiętności z niezrównaną potęgą, jeżeli nas siłą czarodziejskiej rószezki unosi w nieznaną kraj fantazyji; ty Mozarcie, cudowny tłumaczu przyrody, zachwycasz nas niezrównaną słodyczą i tkliwością. Anieli sami błogostawiają czystość srebrnych twoich pieśni; smutne są struny twęj liry, duchu stęskniony do

nieba! Miłość nieziemska odzywa się tajemniczo zpośród twych radośnych i ochoczych tonów. Błogosławiona owa tęsknota, która unosi serca i odrywa je od ziemi!"

Przytaczamy obadwa sonety, malujące ducha wielkich mistrzów, jako próbkę ukształcenia estetycznego w Ameryce.

Niekiedy w owych poezjach przebija się uczucie amerykańskiej dumy. Wspomnienie pierwszych osadników, opis Ameryki gdy zamieszkaną była przez dzikie hordy, nakoniec porównanie dawnego stanu barbarzyństwa z cudami przemysłu XIX wieku, napotykamy na nioktórych kartach.

Widzieliśmy nawet z uśmiechem pewne ustępy, w których cienie starych Indyan błogosławią obecną cywilizacyą i zdają się dziękować Przedwiecznemu, za to, że dozwolił wyćpić szczątki ich plemienia, wygnać je z rodzinnych błoń i puszczy. Nakoniec poezye te mało zawierają przedmiotów historycznych: ograniczają się zaledwie na kilku wspomnieniach Washingtona i Napoleona. Większą ich część zajmują marzenia, fantazyje i elegie, nieobjawiające żadnej wyraźnej dążności.

Trudno zaprawdę utaić słabość tych utworów, bo też w nich czego innego szukać należy. Wyższemi nad te poezye są bez wątpienia moralność i cnoty, jakie w nich odbijają. Wiersze te złożone zostały wśród głębokiego spokoju, obok domowego ogniska, na łonie przyjaciół i rodziny. Niejedno zapewne tkliwe uczucie przejrzało się w tym czystym i niewinnym potoku, niejedno ucho mitéj doznało pociechy pod wpływem owój nadobnej harmonii, niejeden kupiec po całodziennym trudzie słuchając pieśni żony lub córki, schwycił mimowoli polysk ideału, i marzyć począł nad cudami, o jakich dotąd nie miał wyobrażenia. W owym rzeczywistym kraju niejedno tym sposobem przyjęło się ziarno poezyi, niejedna dusza prozaiczna pod jój wpływem straciła zbyt twardą powłokę; otóż owe niewinne poezye wywarły wpływ zbawienny i okazały się prawdziwie praktycznemi. To też w miejscu surowej krytyki, winniśmy wdzięczność owym kobietom-poetkom, za czyste ziarna pobożności, cnoty i szlachetności, jakie już zasiały i sieją w własnym kraju. Spelniają one ze swéj strony cicho i bez przesady, ważne zadanie cywilizacyi.

O dawnym województwie sieradzkim.

(Ciąg dalszy).

Czarownice, według wyobrażenia ludu, dawne województwo sieradzkie zamieszkującego, idąc przed wschodem słońca na miejsce, gdzie bydlę pasać zwykły, przeciągają rącznikiem po rosie, mówiąc:

Biorą pożytek,
Ale nie wszystek;

skutkiem czego bydło nabiał odbierają. Nadto zadają one ludziom rozmaite słabości, jakoto: ból oczu, kołtuny, ustrzały, uroki i t. p.; lecz najczęściej parobkom, którzy się z nimi żenić nie chcieli, albo w tym celu, ażeby się z nimi ożenili, a one z tej choroby po ślubie ich wyprowadzą. Pewnego razu wypatrzył parobek, jak niewiasta w nocy dotknąwszy się garnuszką, jakąś mieszaniną napełnionego, kominem wyleciała. Ciekawością dręczony dotknął się go także, lecz natychmiast wyleciał kominem, i przybył na równinę ponad wodę, gdzie poznany i potężnie wybity, nocą do domu powracać musiał. Inną razą czarownice polubiwszy sobie jednego parobka, brały go ze sobą nocną porą na Łysągorę, gdzie przy tańcach i biesiadzie wesoło czas mu schodził; lecz gdy sekret takowy wyjawił, i towarzyszeki swoje z nazwisk wymienił, te mszcząc się, pozostawiły go samego przy bankiecie; wtém kogut zapiał, zniknęły stoły, potrawy i światło, a gaduła wśród ciemnej nocy uczuł się na wierzchołku dębu osadzonym, na którym bojąc się spadnięcia, aż do samego rana pozostać musiał. Za czarowników uchodzą szczególnież owczarze: onito bowiem zamawiają strzelby, iż takowe albo nie wystrzelą, albo strzał chybia, albo wreszcie, iż zwierzyna widocznie śmiertelnie postrzelona, zrywa się po upadku, i z rąk myśliwemu uchodzi. Onito podkopują pod progi owczarni rozmaite przedmioty, ażeby owce zdychały; oni wilków do owczarni sprowadzają, z wilkołakami w bliżkiej są styczności. Czarownice w dzień Wielkanocny świątyni z procesją trzy razy obejść nie mogą, tylko za drugą razą do kościoła się chronią. Kapłan celebrujący odwróciwszy się w niedzielę Wielkanocną lub w oktawę Bożego Ciała z monstrancją do ludu, tylko sam jeden może widzieć przez monstrancją czarownice i odróżnić je po skopkach na głowach, nikomu innemu niewidzialnych. Dom, w którym czarownica się znajduje, po tém poznać można, iż przed nim niedźwiędź wyuczony, po kraju prowadzony, tańcować nie chce. Skutkiem tego nieszczęsnego zabobonu o czarowni-

each, jeszcze w roku 1775 w miesiącu sierpniu, we wsi Doruchowie, w powiecie ostrzeszewskim, ziemi wieluńskiej położonej, 14cie kobiet z Doruchowa i wsi pobliskich o czary posądzono, a gdy spławiane nie tonęły, za czarownice okrzyczane, do śpichlerza w beczki w postaci kłęzących wsadzone, wobec trzech zakonników, z miasta pobliskiego Grabowa sprowadzonych, trzech sędziów i dwóch katów, na tortury wzięte, z hańbą dla obecnych i właściciela wsi, z nazwy: ukrytego na stosie z smolnych szczap, pomiędzy Doruchowem i Piłą przyrządzonym, spalone zostały; o czem obszerniej Krzyżanowski w Dawniej Polsce (str. 537 do 540) traktuje.

Djabła, czarta, biesa czyli złego ducha, wyobraża sobie lud w kapelusiku stosowanym, we fraczku i spodniach opiętych. Siedliskiem jego są wierzby wypróchniałe, zameczyska, stare, opuszczone dwory, granice i drogi krzyżowe: złądło pobożny kmiotek krzyżową drogę przebywając, takową żegna. Po lasach i błotach także djabeł przebywać lubi, uwodząc ludzi w postaci ptaka, psa lub kozła. Główny jego pobyt w województwie sieradzkim był na Widoradzu pod miastem Wieluniem, gdzie nadpitego częściowego z Olewina szlachezca, tak na jego żądanie tabaką poczęstował, że mu nos od krowieńca zapuchł.

Znane są jeszcze ludowi przypołudnice czyli południe, które nie wszystkim widzialne, błakają się w samo południe po polach i lasach, i ludzi pracujących, lub po pracy śpiących, przestraszają.

Nim rzecz o dawnym województwie sieradzkim ogółowo zakończymy, przytoczmy jeszcze niektóre zabobonne zwyczaje mieszkańców tegoż województwa powyżej nietknięte, oraz życie ich domowe.

Jeżeli właściciel jakowej włości, drogę do wsi swój prowadzącą drzewkami urodzajnymi lub dzikimi obsadzi, niechętnym okiem lud na to patrzy, w mniemaniu, iż w tej wsi dzieci chować się zdrowo nie będą, i stara się ile możności, drzewka takowe zwolna potajemnie wytępniać. Grochu polowego chronią się siał w dniach tych, w których nazwie litera *r* się znajduje, np. we wtorki i t. p., gdyżby sę robaki w niego wdały; podobnie utrzymują, iż raki są najtłusciejsze i najsmaczniejsze w miesiącach, do których litera *r* wcale nie wchodzi, np. w lipcu. W dzień Wielkanocny po spożyciu święconego, i rozdzieleniu go pomiędzy czeladzią, kości psom z umysłu zwołanym rzucają, ażeby od wściekliczyny wolne były. Po stajniach eugowych i fornalskich, widzieć można ogon wilczy na kiju przywiązany, lub srokę zabita u belki zawieszoną, albo kozła poważnie postępującego, dla odwrócenia wszelkich czarów od koni, i aby takowe dobrze się pasły (kto wie, czyli czasem zapach kozła nie jest przeciwny szczurom, konie od obroku odgryzającym?). Sowy, jastrzębie, krogulce lub puszczyki ubite, przybijają gwoździemi z rozłożonemi skrzydłami nad

drzwiami dworu, lub po wrotniach stodół. Kukułkę po raz pierwszy na wiosnę usłyszawszy, uderzają się o kieszęń dla wydobycia brzęku pieniędzy, ażeby takowe przez cały rok ich się trzymały, albo się odzywają:

Kukułeczko, panienczko ze ziela,
Powiedźże mi, ile mam lat do wesela?

a ile razy ptak zakuka, tyle lat jeszcze w stanie wolnym zostawać będą. Jeżeli krowa bliźniaki z byczków upłęże, chowają je starannie, czyszczą, a skoro na wołców wyrosną, oborują nimi dokoła granicę, ażeby w tej wsi grady nigdy nie szkodziły, lecz owszem powodzenie we wszystkiemu jój towarzyszyło. Gwizdanie kobiety zgrozą przeraża, ażeby ziemia się nie zatrzęsła. Żeby ogrody plonny urodzaj wydawały, zawieszają włościanie na kołach od płotów szkielety łbów końskich. Ogół utrzymuje, iż przed świętym Janem, ksiądz Pana Boga o dżdżecz uprosić nie może; po świętym zaś Janie, lada baba to skutecznik; dlatego więc, jeżeli dżdżecz przed dniem 24 czerwca na jarzyny potrzebny, nie pada, składają się gospodarze na wotywę, aby Stwórcę o niego uprosić, a niektóre gospodynie zajmują ze wsi kobiety i dworskie dziewczki do ciągnięcia sani z beczką prózną do rzeki najbliższej, napełnioną zaś wodą do wsi przyciągają, a dżdżecz przez czarownicę zatrzymany, w dni kilka rześisty padać będzie.

Niektóre osoby dostrzegają palenie się pieniędzy na polu pod gruszką, figurą lub kamieniem, płomieniem niebieskawym; spieszą w to miejsce, i jeżeli przed ich nadejściem płomień nie zgaśnie, rzucają w niego jaką część odzieży swojej, to jest czapkę lub bót, bo inaczejby tam nie trafili. Nazajutrz kopią, i pieniądze tak głęboko znajdują, jak wysoko czapka od ziemi się nosi, lub na wysokość bóta; gdyby się później poszło, pieniądze mogłyby się w inne miejsce przenieść. Po wydobyciu skarbu, dołu zarzucać nie można, gdyż osoba zawalająca go, życieby w ciągu roku zakończyła. Temuto właśnie przesądowi winni jesteśmy, iż po skarbie wydobytym pozostaje zwykle w ziemi ślad kociołka, garnuszka lub donicy, co daje łatwą sposobność wyrachowania objętości skarbu, i dochodzenia bliższego starożytnych pieniędzy, w czasach dzisiejszych przez nummofilów tak poszukiwanych. Gdy kto wilka w drodze spotkawszy, pierwszy go spostrzeże, wilk przed nim ucieka; skoro zaś wilk pierwój człowieka zoczy, wtedy ta osoba stanie jak wryta, i z przestachu odezwać się nie będzie w możności. Młodzież struże tak jabłko dokoła, ażeby z całkowitego nieprzerwaną ostrużynę uzyskać, którą następnie rzucają przez głowę poza siebie, a do jakiej litery kształt rzuconej podobieństwo mieć będzie, na taką literę imię narzeczonego lub narzeczonej zaczynać się ma. Włosy ostrzyżone palą natychmiast, gdyż na dwór wyrzucone, i przez wróble na gniazdo wzięte, sprawiłyby ciężki ból głowy. Kiedy dziecię-

ciu zęb wypadnie, matka każe mu go wrzucić na piec i mówić: masz myszko zęb kościany, a daj mi żelazny. Kobiét ciężarnych wzbraniają się prosić w kłmotry, gdyż przez to jedno z dzieci, bądź do chrztu trzymane, bądź spodziewane, wkrótceby umarło. W piątek wstrzymują się od wszelkich wesołości, w mniemaniu, że kto w piątek się cieszy, w niedzielę płakać będzie, a kto w piątek mięso jada, przybraknie mu go na niedzielę. W czasie jądła obojczyk od kury natrafiony, łąnią dwie osoby pomiędzy sobą, a w której rękę część większa pozostanie, takowej większe szczęście towarzyszyć będzie. Studniarze kopiąc nową studnię, kiedy się w pewnej głębokości wody dokopią i tamże skrzynię dziurawą zakładają, muszą w niej koniecznie zatopić grosz srebrny z czasów króla Stanisława Augusta, ażeby miejsca tego ciągle się woda trzymała. Jaskółki, podług wyobrażenia ludu, chwytając się przy końcu jesieni za nóżki, zanurzają się w wodzie, aby z niej na wiosnę odżyć; ztąd więc niektórzy świadczą, iż w czasie zimy wylawiano niekiedy siecią taki sznur martwych jaskółek, które do ciepła przyniesione odżyły; skowronki zaś chowają się na zimę pod kamienie, zpod których po św. Agnieszce wylatują. Kto raz pierwszy do jakowego miasta się udaje, żartują z niego, iż starą babę przed bramą całować musi.

Niepoślednią rolę grają i wróżki, które rzecz skradzioną przepowiadają, że jest ukrytą w lesie, na wschód, na zachód słońca i t. p., tudzież cyganki, prawiąc z podanej sobie ręki o długości wieku, o czasie zamęścia, szczęściu w małżeństwie, o przygodach w życiu, lub o nieprzyjaciółkach. Rzecz skradzioną starają się także wywróżyć za pomocą sitka tym sposobem: iż utkwione w łupku sitka nożyczki trzymają 2 osoby na serdecznych palcach, i wymieniają ludzi podejrzanych; przy którego nazwie sitko się obróci, ten jest złoczyńcą. Wyższa klasa lubo przekonana, iż sen mara, a Bóg wiara, wszelako, kiedy jej się przyśni o pszczołach, obawia się pożaru, gdy o ogniu, spodziewa się słońca świecenia, wypadnięcie zęba grozi śmiercią osoby jakowej z rodziny, psy oznaczają nieprzyjaciół, a zwierzątko białe z głowy, rokuje wpływ pieniężny.

Wstąpmy w zagrody domowe mieszkańców dawnego województwa sieradzkiego. Dwór, czyli rezydencya szlachcica bywał zwykle drewniany, z czterema po rogach przystawkami, z gankiem od przodu i tyłu na filarach drewnianych, oraz kapliczką. Na podwórzu stał gołębnik wysoki, od spodu blachą obity, dla zabezpieczenia ptaków tych od kuny, tchórza lub kotów; wyniosły opodal dąb, wkoło okrzesany, służył bocianom za letni przytułek; studnia z korytem przy niej zamieszczonóm, napawała inwentarze, a sadzawka zapełnioną była gęsiami i kaczkami, które nurzając się, karasków chciwie wyszukiwały. Dzwonek na rozło-

żyłstój gruszcze, lub na wysokim słupie pod daszkiem, z umysłu na ten cel wystawionym, zawieszony, budził z rana czeladkę do pracy, w południe i wieczorem dawał znak do rozejścia się z pańskiego robotnikom, a pobożnych do modlitwy zachęcał; dzwonił w niego przy wyprowadzaniu umarłego, na gwałt w czasie pożaru, i na zbieranie się kobiet wiejskich w Wielką Sobotę z święconém, za przybyciem proboszcza do dworu. To wszystko, wraz z sadem owocowym za dworem, okalał płot wysoki z gałęzi świerkowych, końcami do góry sterczący, albo z żerdzi sosnowych, u wierzechu cierniem gęsto poprzeplatany.

W sieni na kółkach zawieszano ubitą zwierzyńcę, i wieńce z okrężnego; obszerna skrzynia na kółkach zamykała pościel dla gości, a druga służyła na skład podręczny drzewa do opalania pokojowych kominków. Komnaty z obiciami na płótnie pomalowanemi, framugami w ścianach blisko kominków pod zamknięciem, z stołami i krzesłami dębowymi na niskich nogach z wysokimi oparciami, niekiedy bez poręczy, stanowiły zwykle salę jadalną, w której portrety antenatów wisiały; stół duży wsuwany lub z klapami spuszczanemi na środku, zegar na klucz zamykany przy ścianie, a kredens z sagankiem i dzbanem miedzianym w narożniku stały; dalej pokój sypialny, gdzie przy ścianach naprzeciw sobie były gospodarstwa kotary, zewsząd zasłonięte, albo łóżka pod wspianiami karmazynowemi z adamaszku, kitajki lub persy zawieszonemi pawilonami; potem pokój dziecinny, kobięcy i innych. W sypialni dostrzegłeś zawieszono nad łózkami obrazy świętych, krucyfiky cyprysowe z relikwiami, paciorki z medalikiem i gromnicę; na oknie zaś różgi palmowe poświęcane, książki do nabożeństwa, jakoto: Heroinę i Ołtarz złoty, a przy drzwiach na kołku pęki kluczy od spichrza, stodół, lamuza i t. p., z przywiązaniem do nich rogami baraniemi lub klockami z drzewa. Z boku drzwi wchodowych przybita była kropielniczka cynowa z wodą święconą, dla żegnania się, zrana wychodząc, w podróż wyjeżdżając lub po powrocie z téjże do domu.

Przy stole cichość jak w czasie mszy ś. panować musiała; utrzymywano bowiem, że śniadanie winno być jak kazanie, obiad jak msza św. a wieczerza jak nieszpory, przy których z wszelką skromnością zachować się trzeba było. Przed jadłem i po spożyciu odmawiano modlitwy; śmiechy zaś i figle młodzieży surowo karcono. Miejsce dzisiejszej kawy z rana zastępowało piwo firlane z chlebem kruszonym, cukrem, żółtkami od jaj, z masłem lub śmietaną firlejkiem rozbite, w filiżankach gorąco rozdawane; bigos hultajski z kiełbasą lub flaki z imbirem o wpół do południa zastawiano. Obiad stanowiły: barszcz z rurą lub uchem wieprzowém, sztuka mięsa z chrzanem, jarzyna jakowa i pieczywo z prosięcia lub

drobiu. Na kolacyą jadano potrawkę z kapłona z cytryną, albo zrazy z kaszą tatarczaną. W dniach postnych, przy braku ryb kontentowano się kluseczkami lanemi, karaskami stodołnemi (kluski), pierogami, łazankami z sérem, kaszą tatarczaną z maślanką, naleśnikami, lub białemi rakami (jaja gotowane). Dla oszczędzenia bielizny stołowój umieszczano na stole deskę podłużną kształtnie wyrabianą, lub plecionkę z słomy, *prawdą* nazwane, a na nich zastawiano wazy, półmiski i solniczki cynowe. Przyniesienie czerniny wobec ubiegającego się o rękę córki gospodarskiej młodzieńca, było oznaką iż związek ten nie zgadza się z wolą rodziców, i że nie życzą sobie więcéj kawalera tego w domu swoim oglądać.

W czasie żałoby po jednym z rodziców, która rok i sześć niedziel trwała, przestrzegano wstępowania w związki małżeńskie. Dzieci z wszelkiém dla rodziców uszanowaniem, nie śmiały w kościele w jednej ławce przy nich zasiadać. Rano i wieczorem odbywano klęcząc z rękoma złożonemi pacierze przed obrazem Bogarodzicy Częstochowskiej, przed którym co środa i sobota świeciła się noc całą świeca albo lampa, w rodzaju trybularza zawieszzonego, umieszczana. W drodze śpiewano godzinki do Matki Bozkiej, lub odmawiano pacierze za umarłych, paciorki kokosowe z krzyżem z kości słoniowej w palcach przesuwając. Przy nadjechaniu zaś nad mogiłę, na którą lud pieszy gałęzie rzucał, a które później palono, modlono się za duszę osoby zamordowanej.

Gospodyni domu miała swoje apteczkę w której ujrzałeś butlo z przywiązaniem kartkami, pełne wódek tatarakowych, piołunowych, dzięgłowych i selerowych; tam stała okowita, a w niej macerowały się żmije żywcem wpuszczone, ówdzie spirytusy bocianowe, mrówczane, jałowcowe; gdzieindziej maście topolowe, rozchodnikowe, macierzankowe, pszczelne, sadła wilcze, lisie, bocianie, jaźwiowe, skrom zajęczy, kwiaty suszone bzowe, lipowe, różane, centuryi, powidelka bzowe, jałowcowe; gdzieindziej zaś konfitury z głogu, agrestu, berberysu, i soki wiśniowe, porzeczkowe, malinowe, żurawinowe, a to wszystko własnej roboty ku wsparciu biędnych chorujących kmiotków, i gości przyjęciu. Bigos zaś w fasce, albo pieczeń huzarska, masło w garnuszku, chléb i puzderko porzegradzane z rozlicznemi wódek gatunkami, były nieodstępniemi towarzyszami obywatela w dalszą podróż się wybierającego.

Jako zwyczajnych domowych napojów używano piwa, w dzbankach miedzianych z pokrywami na zawiasach, tudzież miodu własnej roboty. Że piwa wyborne być musiały i obficie odchodziły, uczy nas przysłowie:

Sieradzanie dobrzy ludzie,
Piją piwo w lada budzie.

W czasie uroczystości jakowej, chrzcin, lub zaślubin, występowało gospodarstwo z całą otwartością i szczerością serca; nie znano szampa-nów ani szambertynów, lecz czysty węgrzyn, beczkami w piwnicach sto-jący, krążył z rąk do rąk kolejką; a kiedy podochocona szlachta już w dobre humory wprowadzoną była, wtedy wása pokręciwszy i pasa po-prawiwszy, zaintonowała z wszelką przyzwoitością chórem:

Pije Kuba do Jakóba,
Jakób do Michała,
Wiwat ty, wiwat ja,
Kompanija cała.

A kto nie wypije,
Tego we dwa kije:
Łupu cupu, łupu cupu,
Niechaj dobrze pije.

Całe grono obywateli tworzy w największej zgodzie, jakoby jedną familią; rumieniec młodzieńczy występuje na twarze chwalebniemi blizna-mi zorane, a ceniąc staropolską braterską gościnność, zwraca się ku go-spodarstwu z puharem nucąc zjednoczonym głosem:

Kiedy nam się pora zdarza, pora zdarza,
I taka doba (bis.)

Pijmy zdrowie gospodarza
Co się podoba (bis.)

Pijmy zdrowie gospoayni, gospoayni,
Choćby do rana, (bis.)

Mości panie Karolu
Ja do waćpana (bis.)

W końcu na uczczenie damy jakowej zbliżają się do niej poważnie i proszą o trzewik z nogi, a kiedy takowa zdjąc się go wzbrania, na kłę-czkach z wszelką grzecznością sami go zdejmują, a za jój zdrowie z kie-licha w trzewiku umieszczonego sok Bachusa aż do dna wysączają. Kie-dy już zajechały kolasy i powozy, i do nich goście, pożegnawszy się, wsiadali, hojny gospodarz ścigał uprzejmie lube mu osoby na ich uraczenie aż do pojazdów i tam ich do przyjęcia na pożegnanie, lub na wiwat „ko-chajmy się” ostatniego puhara błagał, przy wzniesieniu pienia pożegnał-nego:

A kiedy odjeżdżasz, bywaj zdrów,

O naszej przyjaźni dobrze mów i t. d.

Przy mniej świetnych zabawach grywano w karty w wentenia, hal-becwelwe, ówika, maryasza, balamuta lub kasztelana; tuzy, kralki i wy-żniki niepoślednie trzymały miejsce. Młodzież za dźwiękiem klawikortu zapuszczała się w tany, za którą i starsi niekiedy miodem rozgrzani ośmie-lili się do menueta lub drabanta; a kiedy muzyki domowej nie było, grywano o fanty w cenzurowanego, w gotowalnią, pastora, adwokata, da-rowanego lub w ślepą babkę.

Goarliwi myśliwi uderzającego (trąbiącego) w trąbkę w czasie gra-nia ogarów lub stanowisko opuszczającego okładają sforami po skończo-

nóm polowaniu, a kiedy nowicyusz po raz piérwszy w życiu kota strza-
łem powali, dają mu przy wypaproszaniu odprawę, obmazując twarz jego
znieńacka zakrwawionemi jelitami. Niekiedy namawiają ciekawego aspi-
ranta do polowania na derkacze, dają mu nieś wórek na łąki, i uczą go
jak ma wabić chróścieli; w miejscu zaś oznaczoném wsadzają go w wórek,
obwiązują, każą mu ptastwo wabić, a potóm sami zwiędzonego wydoby-
temi z ukrycia powrozami porządnie okładają, wołając ze śmiechem, żeby
pamiętał polowanie na derkacze. Coś podobnego miało miejsce przy sy-
paniu kopców przez podkomorzego lub komornika pomiędzy kilku dziedzi-
nami: chwyłano pastuszków przypatrujących się zblizka, pokładano na
kopcach i nielitościwie ćwiczone, powtarzając:

Pamiętaj chłopcze.

Że tu są kopce.

Jakoż każdy chłopiec takowy pamiętał przez całe życie, i dzieciom
swoim pokazywał to miejsce, gdzie go niewinnie skatowano, a lat zgrzy-
białych dożywszy, przysięgał sumiennie, że tam istniał kopiec, lecz go zni-
weczono.

Chłopiec siedział w chałupie słomą krytej, o kominie z drągów,
wałami z gliny grubo pooblepianym, jedną tylko izbę z całą swoją fa-
milią zajmując, gdzie przypiecek lub zapiecek dzieci główném schronie-
niem były; glina ubita zastępowała mu podłogę, szybę sześciocienną
w ołów obsadzoną gdy mu kura lub dziecko wybiły, zaprawiano deszczuł-
kami. Sprzętami jego są: liczne obrazki świętych na ścianach po-
przylepiane, ławka, półki z miskami, garnkami i łyżkami drewnianemi,
niekiedy stół, skrzynka na przyodziewek i warsztat do robienia płótna.
Nie zna on świecy, ani lampy: łączywo z smolnych pieńków na kominie
zapalone zastępuje ich miejsce. Krowa, trzoda lub cielę wspólnie czasem
z nim goszczą, lub przynajmniej w komorze; różnej maści króliki ska-
czą po izbie, a przestraszono kryją się po norach pod łóżkiem; rozinno-
żone zaś służą mu na pożywienie. Potrawami jego domowemi są: żur ze
spérką (słonina), kasza, kluski, groch, brukiew, a natomiast raczy się
w mieście kielbasą i faryną (kiszka z wątroby i juszki). W święto latem
wychodzą po południu włościanie przed chałupy, a na ziemi rozciągnięni
wygrzewają się na słońcu. Podstarzały włościanin, dla braku sił do pracy
niezdolny, zapuszcza brodę, a torbę i łachmany przywdziawszy, wychodzi
z długim kijem dla obrony od psów, skórką jeżową u dołu opatrzonym do
wsi okolicznych na żeber (kwesłę).

Chłopcy grywają w święta po drodze przez wieś idącej w krag
drewniany, pałkami opatrzeni, wykrcęją długimi tyczkami gniazda wró-
bli po dachach, lub szukają na błotach, po kępach jaj czajki, albo ka-

czek dzikich, by z nich jajecznicę sobie sporządzić. Za bydłem w kupkę zebrani bawią się w pliszki, rzucając je i łapiąc jedną ręką, albo w zajączka, kładąc po jednym palcu obok siebie, i mówią takowych się dotykając:

Janie, Fabianie,
Pasiesz konie na wygonie;
Czém je pasiesz? złotą sieczką,
Czém je poisz? studzieneczką.

Figiel, migiel
Wyrwij piórko,
Leć na półko.

Z kupki tej wychodzą losem po jednemu i chowają się gdzie mogą; ostatni pozostały szuka ich lub przy odgłosie: „zajączek do pana” chwytają zbiegających się którego tylko zdoła. W zimie chłopcy wiejscy łapią ptaki na siła, pod deskę, w potrzaski, pomiędzy cegły, lub w gołe ręce pod strzechami stodół, albo w noc ciemną po szopach przy blasku latarni; ślizgają się po lodzie niekiedy boso, albo bałwanów ze śniegu w powróśla i kije przystrajają.

Zwyczaj, zabobony, przysłowia i mowę ludu wiejskiego uważać możemy za zwierciadło poniekąd upłynionych wieków; o pierwszych mówiliśmy obszerniej, lecz o tyle, o ile sposobność obznajmienia się bliżej z takowemi nam dozwoliła. Przejdźmy teraz przysłowia mniej znane i mowę ludu byłego województwa sieradzkiego, o ile takowe słuchu naszego doszły. Przysłowiami takimi są:

Dobra gąska, dobra gąska,
Wyśpię się pod pierzyną,
I najem się mięska.

Ryba, ochyba,
Lepsza chleba skiba.

Służka,
Wyléź mu tam zpod łózka.

Koszula nie błdzi,
Kiedy brzuch rządzi.

Po pańskim obiedzie,
Niedaleko zajędzie.

Kto się brata z dworem,
Ten przyplaca worem.

Chociaż chłopa jeno (tylko) skóra,
To musi być jego góra.

Matka mężowa,
Jak skórka jeżowa.

Kto pożycza igły,
Nie odbiera nigdy.

Kiedy się obrodzi,
Ma gospodarz i złodziej.

Co gospodarz zbierze workiem,
To wyniesie żona garkiem.

Czyja kosa piórsza,
Tego łąka szersza, (bo przybierze sąsiednicję).

Komornika kura
Gospodarską krowę wybodzie.

Bliższa koszula ciała,
Anizeli sukmana.

Zkąd data?

Z Mixtata. (Miasteczka w ziemi

wieluńskiej, powiecie ostrzeszowskim położonego). Przysłowie to oznacza niewłaściwość objawionego wystąpienia się.

Każde województwo dawniej Polski miało właściwy sobie dyalekt, czyli narzecze, mniej więcej od innych się różniące. Odznaczało się i w tém województwo sieradzkie; z takowego wyrazy niektóre z ust ludu wyjęte, a obecnie jako zastarzałe, z mowy towarzystw wyższych usunięto, przywiedziemy nadając rzeczy formę rozmowy pomiędzy kmiotkiem, żoną jego i córką, z zachowaniem wbrew ortografii, sposobu wymowy ludu wiejskiego.

Żona. Ociec (1).

Kmieć. Hau.

Żona. Kajeś to dział kukiołki, co je Kuba z miasta za ceski przynios.

Kmieć. Cpitech je na worek z perkami pzy werku.

Żona. Wejl jak nasa Halka z Gierką wartko leci, musiała doma co zaboczyć?

Córka. Matsiu! Wy nie wieta, a pociot przyjechał z omentrą Niemcem, co łoni tak wytzescał na wos ślepie, kiejswa z tatusiem śli do gościńca. Ciotynka kazali wos pozdrowić; pedzieli, ze jój scywno pzez wos, i orędownali, byšta jój ksynę sasoków posłali.

Kmieć. Matko! Jonek pono chory; nackoł sie siłka kuli, rozepchoł kałdon, psi noród; a miasto iść na pańskie, poswazył się z Kozokami o młode glapy; wyprałem go za to kijem, piznołem o ziemię i kujnołem pięścią za kark.

Żona. Juści.

(1) Tłumaczenie na dzisiejsze wyrazy jest takie co do słowa:

Żona. Mężul

Kmieć. Czego?

Żona. Gdzieżeśto podział bułki, które Jakób z miasta za ceski (6 groszy) przyniósł?

Kmieć. Rzuciłem je na worek z kartoflami przy łożku (wiszącym).

Żona. Patrzał jak nasza Helena z Giertrudą spieszone bleży; musiała w domu co zapomnieć?

Córka. Matko! wy nie wicie, a mąż ciotki przyjechał z geometrą Niemcem, który roku zeszłego tak zwracał na was oczy, gdyśmy z ojcem szli do karczmy. Ciotka kazała wam się kłaniać; powiedziała, że jej tęskno bez was i prosiła, ażebyście jej trochę kartofli posłali.

Kmieć. Żono! Jan podobno chory; zjadł dużo brukwi, zapelniał brzuch, ten niepoń; a zamiast pójść na pańszczyznę, pokłócił się z chłopcami o młode wrony; wybiłem go za to kijem, rzuciłem o ziemię i uderzyłem pięścią za kark.

Żona. Tak jest.

Kmieć. Wszakże go już dawno nogi bolały. Przeklęty chłopak, chociaż niby kulawy, biega jak czart za tą niegodziwą Barbarą, a wziąć jej nie chce za żonę; nawet potrawy jej wynosi, i to ze skwarkami (słoniną). W drugi dzień jarmarku kupił jej suknię, którą zaraz na siebie włożyła. Korci go grośwo.

Żona. Niebezpiecznie z nim jechać, bo cierpi wielką chorobę (Epilepsis), i konie słuchać go nie chcą. Nie pomnę (nie pamiętam), kiedy to było, on wołał

Kmieć. Dyć go just dawno kulosy bolały. Wściornaski chłopok, a choć skomo kulawy, loto, mero bies, za tą klempą Boską, a pojąć i nie chce; nawet strawe i wynosi i to ze swedami. Na potazyne kupił i kabot, który zaroz na siebie wdzioła; mierzi go grosiwo.

Żona. Nieprzespicientie z nim jechać, bo cierpi bożą wołą, i skapska słuchać go nie chcą. Nie boć kiej to było, on wołał chetta, a te sły na ćwisa. Zakamiały! wraz mu w kieszeń glon chleha, on ci go ciśnie, a kiej mu chce wetchnąć ili wsciubić kęs sera, on gada, ze mu go tza podać na jakiś farfurce, albo wzesey, by mu smelki ugotować. On ani uzendnika sie nie stracha. Niechej go just. Cyt!, hajwo ktoś pzeleciał, psejdzie tendyk, posłuchajwa, co powiê; dyć to okomon.

Ekonom. Hej! chłopie! chamieł skórka na bóty, język na podeszwy!

Kmieć (cicho). Parch! ślacheic ma głowę z tarcie.

Ekonom. Ty psubracie! obiesiu! ośle dardański! co tam mruyczysz pod nosem? Ruro do barszczu! pójdź sam bękarcie i tłumacz się dlaczego Jonka nie przysłał, co miał odwieźć Węgrzyna do Łyków, jeżeli nie chcesz bym ci skórę wyćwiczył!

Oto mamy krótkie wyobrażenie o mowie gminnej ludu tego.

w prawo, a te szły na lewo. Ten ladaco! włóż mu w kieszeń kawał chleba, on ci go rzuci, a kiedy mu chcesz włożyć albo welsnąć kawałek sera, on mówi że mu go trzeba podać na jakimś talerzu, albo woła, żeby mu wodzianki ugotować. On ani osleyallsty się nie boi. Nie tykaj go już. — Cicho! — tutaj ktoś przebiegł; przejdzie tędy, posłuchajmy co powiê. — Wszak to ekonom.

Ekonom (używa obelżywych wyrazów, któremi szlachta włościan traktowała).

Kmieć (mruczy wyrazy obelżywe przez włościan na szlachtę rzucane).

Ekonom (dodaje jeszcze więcej zwykle dawniej używanych obelg). Ty psubracie, urwisie, ośle dardański co tam mruyczysz pod nosem? Ruro do barszczu! chodź tu bękarcie i tłumacz się, dlaczego Jana nie przysłał, który miał odwieźć handlarza win do mieszczan, jeżeli nie chcesz, ażebym ci skórę wyćwiczył!

Podobuń utarczki włościanina z panem, wierszami dość lichemi oddanej, pod oczy w rękopismie mi podpadłej, nie mogą pominąć dla jej trafności:

Pan. Ty chłopie! chamieł!

Chłop. — Mości panie!

Gdy Ewa kądził psędła, Adam glinę kopał,

Radbych wiedział naówczas, kto tam komu chłopiał?

Jak w wysokich pałacach, tak i w niskiej budzie,

Wsyseyśwa w Boskich oczach równi z gliny ludzie;

I jeste nam jaśnieje niepłonna nadzieja,

Ze w Kruświcy obrano królem kołodzieja.

Tak mości panie!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

....Ciekawo ślady Bolesława Krzywoustego i jego rodziny znalazłem rozproszone po świecie. W kościele św. Idziego (St Gilles) niedaleko Nismes, którego facyata architektury romańskiej, najpiękniejszą jest w tym rodzaju we Francyi, modlił się Bolesław jako pielgrzym r. 1128, jak świadczy wspomnienie w aktach dawnego opactwa, przechowanych w archiwum departamentu w Nismes, które mi w kopii autentycznej wydano. Dwie wnuczki jego panowały: jedna w Prowancyi, druga w Lotaryngii. Pierwsza Ryxa (po niemiecku Richenze, po francuzku Richilde), córka Władysława II i siostry cesarza Fryderyka I Rudobrodego, wyszła naprzód za Alfonsa VIII, który się tytułował cesarzem Kastylii; gdy owdowiała, ożenił się z nią Raymund Berenger III hrabia Prowancyi, i z powodu tego ożenienia z siostrzenicą cesarską, dostał od Rudobrodego inwestyturę Prowancyi r. 1162 na sejmie w Turyngii, aktem (dochowanym w Bouche, *Histoire de Provence*), ale którego znalazłem tranzumpt na pergaminie z r. 1262, w archiwum depart. w Marsylii. W kilka lat później ta sama Ryxa, po raz drugi wdowa, wyszła za Raymunda V *de St. Gilles*, hrabiego Tuluzy. W kilkanaście lat później, stryjeczna siostra Ryxy, piękna Ludmilla, córka Mieczysława III, panowała w Lotaryngii z księciem Ferrym II.

Ale najciekawsze pomniki z owych czasów, znalazłem w kościele Zwiefalter w Szwabach, niedaleko Ulm; sąto liczne relikwie, między innymi ręka św. Szczepana pierwszego męczennika, z zupełnie dochowaną skórą i paznogciami, jak ją opisywał w XII wieku Benedyktyn *Ortlieb*, który ją z Polski przywiózł. W bibliotece stuttgardzkiej znalazłem rękopism na pergaminie z XIII w. opisu tej podróży, i kilka innych ciekawych rękopismów, z których wyjątki drukowane zostały w rzadkiem dziele: *Arsenii Sulgeri, Annales Zwifaltenses*. Wypisałem wszystkie warianty i miejsca niedrukowane; udało mi się też dostać samo dzieło, i drugie, niemniej ważne dla szczegółów tyczących się Polski, *Hessii, Monumenta Guelphica*. Z tych materyałów da się już wyrobić jakiś obraz towarzystwa polskiego w XII wieku.

Jeszcze dawniejszych czasów sięga posąg w katedrze naumburskiej, przedstawiający fundatorkę, żonę Ekharda, margrabiogo Misnii, a córkę Bolesława Chrobrego, którą list biskupa naumburskiego z XIII wieku nazywa *Relegindą*, czy *Regilindą*. Mam rysunek tego posągu. Nie mogąc dojechać aż do Ossyaku, starałem się mieć dokładne rysunki grobowca Bolesława Śmiałego, i dzięki uprzejmości pana Ostrowskiego, który w tamte strony jechał, dostałem takowe, oraz wiele materyałów do wyjaśnienia tego zagadkowego dotąd pomnika. Nateraz poprzestaję tylko na tej pokrótce skreślonej wiadomości, zanim pośpieszę z tylu ciekawych materyałów jakąś całość ułożyć.

Alexander Przędzicki.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1850.

106. Kile słow wo Kaszebach e jich zeml przez Wójkasena. Tudzież rzecz o języku kaszubskim ze zdania sprawy Prajsa. Cena złp. 1. Dochód przeznaczony dla ochron krakowskich. 12ka. Kraków. 1850. Nakładem księgarni i czcionkami pod Sową. Str. 36. (Z przedmową Lesława Łukaszwicza).

107. Piotr Skarga i jego wiek (,) przez M. J. A. Rychlickiego. (Z godłem): Wysławiajmy męże chwalebne i ojce nasze w rodzaju swoim..... i t. d. 8ka. Kraków. 1850. W zakładzie wydawnictwa dzieł katolickich. Str. 447. Złp. 15.

1851.

87. Czasy Zygmunta Augusta. Ustęp z przeszłości przez Seweryna Gołębińskiego. 2 tomy. 8ka. Wilno. 1851. (Nakład autora). Drukiem J. Zawadzkiego. Tom I, str. 227. II, 320. Złp. 26 gr. 20.

88. Dziecię królewskie. Powieść Ad. Am. Kosińskiego. 12ka. 3 tomy. Wilno. 1851. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Tom I, str. 415. II, 471. III, 488. Złp. 22.

89. Geometrija wyłożona sposobem umysławiającym, do użytku młodzieży w gimnazyjach niższych przez Dra A. E. Urbaiskiego, docenta fizyki matematycznej przy uniwersytecie lwowskim, skryptora c. k. biblioteki tegoż uniwersytetu i czynnego Członka c. k. galicyjskiego towarzystwa gospodarskiego. 8ka. Lwów. 1851. Nakładem P. Stockmana, drukiem P. Pillera. Str. 245. (Z 5 tablicami). Złp. 10.

90. Loterya chronologiczna obejmująca lata wstąpienia na tron monarchów państw starożytnych i nowoczesnych od narodzenia Chrystusa do teraźniejszych czasów, przez Władysława Zygmunta Ołtarzewskiego. Wilno. 1851. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Str. VIII i 24, 1 kart w formacie podłużnym nliczb. 33.

91. *Do nru 26 Kroniki z r. 6.*

Nowe Wędrówki oryginała. Z rękopismu nieznanego autora, ogłasza Józef Korzeniowski. Tom IIgi. 12ka. Wilno. 1851. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 400. Za 2 tomy złp. 20.

92. Obrazy litewskie przez Ignacego Chodźkę. Serya druga (zawiera Brzegi Wilni). Wydanie drugie poprawne. 3 tomy w jednym. 12ka. Wilno. 1851. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. 312. Złp. 6 gr. 20.

93. Ostap Bondarczuk. Powieść przez J. I. Kraszewskiego. Wydanie drugie poprawne. 12ka. Wilno. 1851. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Str. 240. Złp. 7.

94. O życiu i pismach Tadeusza Czackiego, tajnego radcy Jego Imperatorskiej Mości, prezesa Kommissyi Sądowej Edukacyjnej gubernii wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej, wizytatora szkół tychże gubernij, członka różnych uczonych zgromadzeń, orderów Orła Białego i świętego Stanisława kawalera. Rzecz czytana na zebraniu gimnazjum i Towarzystwa Królewskiego Warszawskiego Przyjaciół Nauk, 30 lipca 1813 roku; przez k. Alojzego Osińskiego kanonika katedralnego łuckiego..... Wydanie wtóre. 8ka. Kraków. 1851. (Bez wymienienia drukarni; podobno pod Sową). Kart napis. 1 przyp. 2 i str. 194. Złp. 4.

95. Pamiętniki o dawniej Polsce z czasów Zygmunta Augusta, obejmujące listy Jana Franciszka Commendoni do Karola Borromeusza. Z biblioteki Barberyńskiej zebrał Jan Albertrandt biskup zenopolitański. Z rękopismów włoskich i łacińskich wyłomaczył Józef Krzczkowski. Wiadomość o życiu Commendoniego tudzież potrzebne sprostowania i objaśnienia dodał Mikołaj Mallnowski. 2 tomy. 8ka. Wilno. 1851. Nakładem księgarni Rubena Rafałowicza, druk J. Zawadzkiego. Tom I, str. LVIII i 268. II, 328. Złp. 26 gr. 20.

96. Polska wieków średnich czyli w dziejach narodowych polskich postrzeżenia. Tom III... 8ka. Poznań. 1851. Nakładem J. K. Żupańskiego, druk Ludwika Merzbacha. Str. VIII i 356. (Z 7 tabellami). Złp. 18.

97. Szatan ziemi i anioł. Oryginalnie napisane przez Emila Deryog. 3 tomy. 12ka. Wilno. 1851. Nakładem księgarni Rubena Rafałowicza, druk M. Zymelowicza. Tom I, str. 231. II, 236. III, 246. Złp. 15.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

— Zeszyt IIgi: „Wizerunków polskich”, rysowanych z natury i litografowanych w Paryżu przez Maxymiliana Fajansa, obejmuje wizerunki: W. A. Maciejewskiego, K. Wł. Wojcieckiego i Xaw. Kaniewskiego.

— Nakładem S. Orgelbranda wyszedł już poszyt 5ty dzieła W. A. Maciejewskiego pod tyt: „Piśmiennictwo polskie.” Poszyt ten rozpoczyna tom IIgi i zawiera: Szkoły polskie i ruskie; uniwersytety polskie, ruskie i pruskie; licea, gimnazya, kolegia jezuickie i t. d. Pisarze, wzorowi pisarzowie i pisarki. Ogólny pogląd na to wszystko.” Następnym poszytem wyjdzie d. 20 października.

— Dr. T. Tripplin ogłosił przedpłatę na powieść w 4 tomach z rycinami, pod napisem: „Pau Zygmunt w Hiszpanii.” Cena złp. 20.

— Feliks Żochowski nauczyciel literatury i języka polskiego w Instytucie szlacheckim, wkrótce wydać zamysła grammatykę, pod napisem: „Mowa języka polskiego.” Przedpłata wynosi rub. sr. 1.

— Nakładem J. Bernstejua wyszły: Tablice zamiany wszelkich wag zagranicznych w handlu używanych, obrachowane na wagę rossyjską w pudach, funtach i złotychkach, wraz z tablicą wykazującą stosunek różnych miar zagranicznych do płynów, w porównaniu z rossyjskim stakanem. Cena złp. 4.

— Księgarnia J. Czecha w Krakowie zajmuje się wydaniem nowego dzieła Ambr. Grabowskiego, pod napis: „Starożytność wiadomości o Krakowie. Zbiór pism i pamiętników tyczących się opisowej i dziejowej przeszłości, oraz zwyczajów tej dawnej stolicy kraju. Z dodatkiem różnych szczegółów Polaków zająć mogących.” 8ka wielka.

— We Lwowie w druk. Zakł. Ossolińskich wyszło dziełko hr. Kazimierza Wodzickiego pod tyt: „O wpływie jaki wywierają ptaki na gospodarstwo tak polne jak i lesne w ogólności, a w szczególności o owadach lasom szkodliwych.” 8ka. str. 27. Złp. 1.

— W Nowym Sączu, drukiem i nakładem Józefa Pisza, ukazało się w r. b. dziełko: „Krótki rys geografii w pytanjach i odpowiedziach stopulowanych, ułożył ks. Jan Śmiątek. 8ka. str. VI i 312.

— Zakład Ossolińskich we Lwowie drukuje w wielkim nakładzie: „Pamiętniki starego szlachcica.” Wydanie będzie poprawne i powiększone, a przytém bardzo tanie.

— Adam Gorczyński napisał dla teatru krakowskiego oprócz „Anglika” nową komedią „Francuz”, którą w czerwcu przedstawiono. Wkrótce tenże autor obdarzy repertoar trzecią z kolei komedią: „Włoch.”

— Dnia 12 maja b. r. rozpoczął w uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie odczyty okulistyki dr. Antoni Sławkowski.

— W Wiedniu w księgarni Pfautsch i Voss wyszło dzieło w języku niemieckim: *Die Sprichwörter der Polen* (Przysłowia Polaków), objaśnione historycznie z poglądem na właściwości tego rodzaju u Litwinów, Rusinów, Serbów i Słowianów, a porównane z podobnymi innych narodów, z przyłączeniem oryginałów. Dodatek do wiadomości o stanie oświaty słowiańskiej, przez dr. Konstantego Wurzbacha bibliotekarza przy ministeryum Spraw Wewnętrznych. Drugie, znacznie powiększone wydanie, w 8ce.

— W Berlinie wyszedł słowiański katalog księgarza i autykwaryusza J. A. Stargarda, zawierający dzieła z księgozbioru klasztoru oliwskiego; katalog ten mieści w sobie stare dzieła, tyczące się szczególnie dziejów Polski i Gdańska, a po części Rossyi, Szlązka, Czech, i t. d., i obtuje w 224 planów miast z XVI i XVIII wieku.

— Paryzka akademia umiejętności przyznała nagrodę w summie 2,000 fr. p. Galuskiemu, za przekład francuzki słynnego dzieła Humboldta: „Kosmos.” Pierwszy raz akademia francuzka przyznaje nagrodę za tłumaczenie dzieła napisanego w żyjącym języku.

— Przy zakładaniu kolei żelaznej w Prusach, znaleziono pod Malborgiem starożytności polskie i krzyżackie, jakoto: olbrzymie ostrogi, strzały, kule muszkietowe, szkielet ludzki i pieniądz srebrny z popiersiem Chrystyana III króla duńskiego z r. 1569.

— W Pradze wyszło drągle wydanie „Krakowiaków” Wacława Han-ki, z czeskim tekstem i nutami. Czysty dochód ze sprzedaży przeznaczony jest dla pogorzalców krakowskich.

— W d. 26 maja b. r. przybyli do Krakowa z Wiednia hr. Thun i dy-ktor medalów p. Böhm, w celu ocenienia zbioru obrazów przez ś. p. Sko-tnicką uniwersytełowi Jagiell. zapisanych, z warunkiem wysyłania ucznia szkoły malarzkiej do Rzymu.

— Dr. Józef Dietl, zaominowany przez ministra Oświecenia profes-forem kliniki lekarskiej w uniwersytecie Jagiell. w Krakowie, w miejsce dr. J. Brodowicza, który się oddał na spoczynek, rozpoczął w dniu 12 maja r. b. swój wykład. Dr. Dietl należy do lekarzy zupełnie nowej szkoły; mo-żna go nawet nazwać twórcą nowej teoryi, którą w swoim dziele: *Klinika anatomiczna chorób mózgowych* (Anatomische Klinik der Gehirnkrankheiten, v. Dr. Joseph Dietl. Wien. 1846) dokładnie rozwinął. Aż dotąd lekarze uży-wali w oznaczeniu choroby *sposobu zbiorowego*, czyli z wybadania i poró-wnania pojedynczych przypadków oznaczali chorobę; przeciwnie, Dr. Dietel operując się przy badaniu chorych na anatomii opisowej, patologicznej i fizyologicznej, jak również na zjawiskach fizycznych i chemii patologicz-nej, przy pomocy *pukania* (perkussyi) i *przysłuchiwania* (auskultacyi) *sposobem rozbiorowym* wyprowadza chorobę *a priori*, oznacza jej źródło, a następnie przypadłości: złą następstwa smutne lub pomyślne dla chorego stanowczo oznacza.

— † W miesiącu maju r. b. uniw. Jagielloński w Krakowie ponosił stratę w osobie profesora medycyny sądowej i historii sztuki lekarskiej dr. Fryderyka Hechell, zmarłego w Greffenbergu.

— † Z dnia 8 na 9 maja b. r. zakończył życie w Wronławach: Stan-ław hr. Plater, autor Geografii wschodniej części Europy i wielu innych dzieł, b. oficer inżynieryi b. wojsk polskich.

— † Dnia 5 czerwca b. r. w Wrocławiu zmarł dr. Bogusławski prof. astronomii przy tamt. uniwersytecie. Świat uczoney stracił w nim jednego z niezamordowanych pracowników. Urodził się w Magdeburgu r. 1789. W młodości służył w wojsku pruskim, zkąd w 1815 r. wystąpił w stopniu kapitana artyleryi; następnie gospodarował, i był członkiem kommissyi wło-ściańskiej. W r. 1831 został konserwatorem gwałzdarńi, a w r. 1836 profes-forem. Lubo ani słowa po polsku nie umiał, mienił się być Polakiem i utrzymywał, że pochodzi z rodziny, która wydała tegoż imienia sławnego pisarza dramat. i dyrektora teatru warszawskiego.

— † Dnia 24 lipca r. b. w Puławach zakończył życie Dominik Bar-toszewicz inspektor Alexandryjskiego Instytutu.

— † Dnia 9 sierpnia b. r. umarła w domu obłąkanych w Wrocławiu znana autorka pani Julia Wojkowska.

— † Dnia 2 września r. b. w Krakowie umarł Józef Kurwyski, arty-sta. Miał lat 42.



Wielopięć 1851.

Dostarczanie w Obserwatorium

Miejsce dostawców wiadomości jest 367,0 stopni paradyżi nad poziom morza czyli w roku 1841-25,66 na w

Dnia	Barometru w miarce słupkowej do 0°				Termometru			
	0	10	1	10	0	10	1	10
1	740.00	740.00	740.00	740.00	17.0	17.0	17.0	17.0
2	741.00	741.00	741.00	741.00	17.0	17.0	17.0	17.0
3	742.00	742.00	742.00	742.00	17.0	17.0	17.0	17.0
4	743.00	743.00	743.00	743.00	17.0	17.0	17.0	17.0
5	744.00	744.00	744.00	744.00	17.0	17.0	17.0	17.0
6	745.00	745.00	745.00	745.00	17.0	17.0	17.0	17.0
7	746.00	746.00	746.00	746.00	17.0	17.0	17.0	17.0
8	747.00	747.00	747.00	747.00	17.0	17.0	17.0	17.0
9	748.00	748.00	748.00	748.00	17.0	17.0	17.0	17.0
10	749.00	749.00	749.00	749.00	17.0	17.0	17.0	17.0
11	750.00	750.00	750.00	750.00	17.0	17.0	17.0	17.0
12	751.00	751.00	751.00	751.00	17.0	17.0	17.0	17.0
13	752.00	752.00	752.00	752.00	17.0	17.0	17.0	17.0
14	753.00	753.00	753.00	753.00	17.0	17.0	17.0	17.0
15	754.00	754.00	754.00	754.00	17.0	17.0	17.0	17.0
16	755.00	755.00	755.00	755.00	17.0	17.0	17.0	17.0
17	756.00	756.00	756.00	756.00	17.0	17.0	17.0	17.0
18	757.00	757.00	757.00	757.00	17.0	17.0	17.0	17.0
19	758.00	758.00	758.00	758.00	17.0	17.0	17.0	17.0
20	759.00	759.00	759.00	759.00	17.0	17.0	17.0	17.0
21	760.00	760.00	760.00	760.00	17.0	17.0	17.0	17.0
22	761.00	761.00	761.00	761.00	17.0	17.0	17.0	17.0
23	762.00	762.00	762.00	762.00	17.0	17.0	17.0	17.0
24	763.00	763.00	763.00	763.00	17.0	17.0	17.0	17.0
25	764.00	764.00	764.00	764.00	17.0	17.0	17.0	17.0
26	765.00	765.00	765.00	765.00	17.0	17.0	17.0	17.0
27	766.00	766.00	766.00	766.00	17.0	17.0	17.0	17.0
28	767.00	767.00	767.00	767.00	17.0	17.0	17.0	17.0
29	768.00	768.00	768.00	768.00	17.0	17.0	17.0	17.0
30	769.00	769.00	769.00	769.00	17.0	17.0	17.0	17.0
31	770.00	770.00	770.00	770.00	17.0	17.0	17.0	17.0
Suma	770.00	770.00	770.00	770.00	17.0	17.0	17.0	17.0

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatorium Astronomicznym
WARSZAWSKIEM.

Sierpień, 1851.

	mm.	c.	f.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.978	27	8 905
Najwyżej dochodził — d. 20 o g. 10 r.	750.29	28	0.591
Najniżej — d. 28 o g. 10 w.	738.50	27	3.374
Średnia zmiana dzienna barometru	3.162		1.402
Największa zmiana dzienna barometru			
d. 19—20 o g. 6 rano	11.38		5 045
Średnia wysokość barometru jest wyższą o	1.525		0.676
od stanu normalnego z 25 lat			
poprzedzających	749.453	27	8.229
Średnia temperatura sierpnia wynosi:	+ 17.0805 C.	+ 14.0244 R.	
i ta jest niższą o	0.307 „	0.246 „	
od stanu normalnego z 25 lat po-			
przedzających	+ 18.112 „	+ 14.490 „	
Największe ciepło dochodziło d. 1			
o godz. 4 wiecz.	+ 30.2 „	+ 24.16 „	
Najniższa temperatura była d. 31			
o godz. 6 rano.	+ 8.3 „	+ 6.64 „	
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.445 „	1.956 „	
Największa zmiana dzienna			
d. 18—19 o godz. 10 rano.	9.8 „	7.84 „	

Termometrograł wskazał:

Maximum: + 25^o.1 R. d. 1 po połud.

Minimum: + 4^o.5 „ d. 27 rano.

Wody z deszczu spadło wysoko na 88,9 milim., czyli 39,41 lin. par. ilość ta jest większą o 6,56 lin. par. od ilości wody jaka u nas w sierpniu zwykle spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 73,95 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 11,22 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza, wilgotność ta jest o 0,015 większa jak zwykle.

Dni pogodnych było 15, napót pogodnych 10, pochmurnych 6.

Dni deszczu 12 (d. 2, 10, 15, 16, 18, 19, 25, 27, 28, 29, 30, 31).

— mgły 3 (d. 9, 12, 31).

— gradu 1 (d. 25).

— grzmotu 2 (d. 16, 25).

— błyskawic bez grzmotu 3 (d. 15, 25, 28).

Wiatrów mocnych było 2: 1 Pn., 1 Z.

Wiatry panujące były: Północny, Północno-Wschodni i Południowo-Zachodni.

Miesiąc sierpień, lubo w tym roku był najpogodniejszy i najcieplejszy, i on tylko jeden stanowił u nas właściwe lato, wszelako w porównaniu do stanu normalnego, zimniejszy był o 0,25 stop. R. Pierwsze pięć dni były gorące i parne; średnia ich temperatura dochodziła do 17,3 stop. R.; siedm dni od d. 18 do 25 były także gorące i parne; ostatnie zaś sześć dni były chłodne i słotne. Deszcze w drugiej połowie miesiąca osobliwie w siedmiu dniach ostatnich padały często i obficie. Najcieplejsze dni były: d. 1, 2, 3, 4, 5, 9, 10, 11, 15, 16, 17, 18, 23, 24, 25. Najchłodniejsze d. 20, 30, 31. Dnia 2 woda na Wiśle pod Warszawą dochodziła do wysokości 11 stóp, 11 cali.

Dnia 24 między godziną 9 a 10 wieczorem pokazała się *Zorza północna* w świetnych kolorach.

Dnia 25 o godz. 5 min. 38 wiecz. powstał wiatr Z. mocny.

ZNACZENIE PIENIĘDZY

FILOZOFICZNE, MORALNE I EKONOMICZNE.

I.

Pomiędzy umiejętnościami moralnymi, ekonomia polityczna najpóźniej zajęła miejsce. Jój przeszłość zaledwo liczy wiek jeden, a obok jednak téj krótkotrwałości, jój znaczenie coraz bardziej się wzmaga, zakres jój badań coraz się więcej rozszerza, stanowisko jój coraz się uogólnia, jój powołanie coraz bardziej staje się ważniejszém i coraz więcej zdobywa charakteru właściwego *prawdziwej umiejętności społecznej*.

Wielkość jój znaczenia nie stwierdza się li samą ważnością szczegółowych pytań i przedmiotów, których ona poznaniem się zajmuje; ale jako najświeższy utwór umysłu ludzkiego, odpowiada ona nietylko nowym potrzebom i dążnościom społeczeństw, ale co większa, odsłania nowe stanowisko moralne i rozumowe w poglądzie na stosunki ludzkie. Chcąc go gruntowniej poznać, zdaje nam się stosowném zauważyć go względnie do filozofii, którą do tego czasu najżywotniejsze pytania społeczne, najogólniejsze i najważniejsze zadania człowieczeństwa prawie wyłącznie zajmowały, i która przybierając nazwisko *wszechmądrości*, wszystkie wątpliwości chciała rozwiązać, wszystko poznać i zrozumieć, i w wiedzy zdobyć *pewność* tak dla sumienia, jak równie i dla czynów ludzkich.

Usiłowanie to jakkolwiek wielkie i znakomite w skutkach, nie zostało uwieńczone wypadkami zaspokajającemi i organicznemi. W całym ciągu swój historycznej egzystencji, filozofia nie

mogła podnieść się do wysokości, odpowiedniej prawdziwej umiejętności, ale bezustannie błędziła po bezdrożach biernego krytycyzmu, i na czczych abstrakcyach i ujemnej moralności kończyć musiała.

Pomimo bezowocności w swych poszukiwaniach, jednostronności w swych opiniach i wnioskach, filozofia nie tylko nie mogła dostatecznie usprawiedliwić swego stanowiska, ale co większa, przez fałszywość swego poglądu, zniewolona była negować je i zaprzeczać.

Skutkiem sprzeczności i nieloiczności w samym początku swego wyjścia, jakkolwiek była ona objawem i zatwierdzeniem poczucia się samodzielności jednostkowej, protestacją rozumu indywidualnego:—następstwami swemi zaprzeczyć je musiała, i w ofierze dla swój jednostronności poświęcić samodzielność osobistą, równie jako i jej dalsze rozwinięcie i udoskonalenie.

Zkądże więc pochodzi ta niedostateczność filozoficznego zapatrzenia się, zkąd ta ujemność wypadków filozoficznych, zkąd ta sprzeczność w ich objawie i opiniach?

Niedługo potrzeba szukać odpowiedzi na te ważne pytania, ale dla jej otrzymania, dosyć obejrzyć znakomitsze systema filozoficzne, poznać świetniejsze ich pomysły.

Czyli to weźmiemy pod uwagę Sokratesa „poznaj siebie samego”, czyli Kartezjusza „myślę, a więc jestem”, czyli Fichtego „jaźn”, czyli Hegla „jedność myśli i bytu”; wszędzie widzimy, że stanowisko filozoficzne opiera się na pojęciu tożsamości, że wychodzi li z osobistego poczucia się, bądźto czy ono jest wyrażane w formie psychologicznej lub logicznej.

Jakież następstwa muszą być takowego stanowiska? do jakich wypadków podobny pogląd może doprowadzić? Pojęcie tożsamości podniesione do bezwzględnego znaczenia, z konieczności logicznej wiedzie do panteizmu, który względnie do zapatrzenia się filozoficznego, musi być albo materyalnym lub spirytualnym.

Z natury panteizmu wynika zniweczenie wszystkich jednostek, zaprzeczenie wszelkich samoistności i celu, i cała różnorodność świata utonąć musi w nieoznaczonej i w bezdennej pierwotnej ogółowości.

Zapatrzenie się zaś czysto indywidualne, polegając li na uznaniu się osobistém, wyłącza wszelki cel zbiorowy, wszel-

ką twórczość społeczną, i indywiduum tylko stawia za ostateczny wynik stworzenia, za najdoskonalszy wyraz mądrości odwiecznej.

Ponieważ to jednostronne stanowisko nie przypuszcza celu zbiorowego, a tém samém twórczości zbiorowej; dlatego moralność, która jest pełnią żywota, która jest ciepłem czynności ludzkich, węzłem wiążącym wszystkich ludzi w pewną harmonijną całość, która warunkuje ich zobopólne uznanie się, i jest zarazem objawem ich wspólnej samodzielności i twórczości, nie może z niego wypływać, ale *kontemplacya* jako odrębny i odosobniony żywot od całego świata, musi być przezeń poczytywaną za najwyższy obowiązek ludzki, którego Brahminizm jest ostateczną rzeczywistością.

Chcąc się bardziej przekonać o ujemności filozofii, o jej całkowitem ubóstwie ze względu moralnego i organicznego, dosyć pokrótce wejrzyć na najnowszych naszych filozofów, którzy nie posiadając tak wielkich zasobów naukowych i erudycyjnych jak Niemcy, w przystępniejszych formach jaśniej i całkowicij odślaniają nagość i bierność filozoficzną.

Przyjąwszy bądźto *myśl* za organ właściwy do wszechpojęcia, lub *wyobraźnię* albo *intuicyę*, nie odślania się żadnego nowego stanowiska, nie pokazuje się żadnego nowego kierunku dla umysłu ludzkiego. Opierając się li na uznaniu osobistém, czyliż nie można przyjąć uczucia, wiary, słowem wszystkich władz i przymiotów ducha ludzkiego, za pierwiastki filozoficzne? Nietylko można, ale historia filozofii najdosłateczniej dowodzi, że wszystkie te stanowiska niekiedy nawet z wielką świetnością i gienialnością obrabiane były; lecz równie ta sama historia filozofii stwierdza, że ich loiczną wynikłością był i musi być zawsze panteizm.

Gdybyśmy się teraz zapytali o praktyczną mądrość filozofów, wejrzeni w ich rozmaite historyozofie, czyliż możemy się zbudować, czyliż podziały historii na trzy epoki: klassycyzmu, romantycyzmu i przyszłości, wiele więcej nas nauczają nad powszechną troistość czasu: przeszłość, terażniejszość i przyszłość? Czyliż historyozofowie Buchez i August Comte, którzy pierwsi poznanie przyszłości policzyli za konieczną i wypełniającą część, całość historyczną, postawili zasady pewne i twórcze; czyliż wykazali prawa idei i faktów historycznych, dopełnili ich klasyfikacyą, odślonili ich stosunki?—Bynajmniej. Słowa martwe pozostały w książkach, a duch ludzki we własnej energii, w swój wewnętrznej

twórczości i loiczności, musiał szukać dla siebie tak nowych zasobów, jako i bussoli do swego kierownictwa i oryentowania się.

Jeżeli się zaś fantazyą użyje za czynnik filozoficzny, jakżeż obszerne pole do marzenia, do błędzenia po eterycznych przestworzach, do zaczarowania wszelkiej rzeczywistości, wszystkich kształtów żywotnych w cienia nadprzyrodzone, w upiory osłonięne w obłok fantastyczny i nieujęty żadnym poczuciem rzeczywistości? Jakżeż łatwo jednostronne poglądy Tomasa Carlyle, Emmersona, ześrodkowujących wszechmocną działalność Opatrzności w *pojedynczych gieniuszach*, podnieść jeżeli nie do systematu racjonalnego, to przynajmniej utworzyć z nich pewną sztuczną budowę mistyczną, do której podziwu nie zabraknie nigdy na pewnej liczbie sentymentalistów i ascetów? Czyliż fantazyja gorączkowa i chorowita z pojedynczych gieniuszów, nie może potworzyć kolumn duchowych, które jak krople deszczowe z obłoków spadać mogą na ludzkość? Czyliż zexaltowana inspiracya nie może rozpocząć podróży lunatycznój po niebie, i sny swe ogłosić za słowa boże, za mądrość odwieczną?

Bezwzględne stanowisko filozofii zaprzeczające czas i przestrzeń, a zatem zasadnicze i podstawowe warunki wszelkiego istnienia, każdego bytu, tworzy sobie nadprzyrodzone koło działania, przenosi się w wieczność, gdzie rozum filozoficzny snuje z siebie jak pająk delikatne i subtelne nici, które pierwsze lepsze poruszenie zdrowego rozsądku niekiedy w zupełności rozrywa i niweczy.

Owa metoda chcąca wszystko *á priori* poznać, odtworzyć niejako na nowo świat, odsłonić myśl Boga, tajemnicę wszechstworzenia jednym poczuciem się samodzielności odgadnąć; w miejsce umiejętności pozytywnej, jednocząc w sobie tak fakta jako i idee, tak pomysły jako i czyny, tak indywidua jako i społeczeństwa: tworzy sztuczną atmosferę znaną pod nazwiskiem *spekulacyi*, która niczem innem nie jest, jak tylko grą sofisteryi i doktryneryzmu, świadectwem bierności umysłowej, ogołoconej po części z prawdziwej samodzielności i twórczości, i będącej niekiedy idyotyzmem umysłowym.

Pod ciężarem subtelnej sofisteryi, umysł obłąkany w krętych ścieżkach spekulacyjnego doktryneryzmu, oderwany od świata, pozbawiony poczucia rzeczywistego, niemogący się domagać prawdziwej drogi, celu istotnego, upada w samotności, w zwątpieniu i sceptycyzmie wypowiada wyrok śmierci swój, lub w konwulsyj-

nych drganiach mistycyzmu odmawia psalmy pokutne, świadczące o swém przeżyciu i konaniu.

Przykre w istocie zjawisko jednostronności umysłu ludzkiego, gdzie albo czczość, samobójstwo, lub konanie jest jój żywotem; gdzie w całej swój pracy i walce duchowej towarzyszą jój tylko szkielety abstrakcyjne, upiory bez życia i serca; gdzie nie dochodzi promień światła prawdziwego, gdzie panuje bezludność, gdzie głos ludzki w swój dziewiczości młodzieńczej nie daje się słyszeć, gdzie tylko echa śmierci i spustoszenia władają i istnieją!

Dalecy jesteśmy całkowicie potępiać filozofią, odmawiać jój wszelkich zasług i korzyści, jakie w dziejach historycznych dokonała. Owszem jój protestacye przyczyniły się do wyrobienia jednostek, do odstonienia samodzielności, do podniesienia osobistości. Na jój wezwanie i pod jój przewodnictwem wszystkie niemal epoki historii widziały występujący duch protestantyzmu, ona przysposabiła wszelki rozkład moralny, ona nadawała potęgę krytycyzmowi; a zaklinając śmierć, przysposabiła nowe życie, świeże zaranie nowych idei i pomysłów.

Lecz pomimo jój wielkich przysług jakie dokonała w procesie historycznym, pragnąc być zawsze *umiejętnością umiejętności*, poza krytycyzm nie mogła się wychylić: on był dla niej zaczarowanym kołem, którego przekroczyć nie podolała, pod brzemieniem ujemności i samój negatywności upadała i nie mogła przejść na pole organiczne, wziąć się do działania twórczego, gdzie myśl i czyn powiązane są przez moralność w harmonią piękną, obejmującą w sobie tak interesa, jako i myśli osobiste i zbiorowe.

Dziwić się równie nie należy, że praktyczna sfera jój działania była zawsze szczupłą, że nie wychodziła poza pojedyncze sekciarstwo lub utopią; które, jakkolwiek były wzniosłym i pięknym połyskiem genialności, nigdy dobić się nie mogły znaczenia powszechnego, nigdy nie mogły zostać ogólniejszym węzłem moralnym wśród ludzi, ani być dla nich sumieniem i wiarą. W jój stanowisku spoczywała jój zasługa, ale równie zarazem jój upadek; w samém wyjściu czerpała dla siebie tak światło jako i ciemność, tak życie jako i śmierć.

W jakimże więc kierunku spoczywa przyszłość prawdziwej umiejętności, gdzież jest to stanowisko wszechstronne, z którego by wszystkie strony moralne i materyalne żywota społecznego obejrzeć i poznać można było? Czyliż nauka ekonomii politycznej, która do tego czasu nie mogła dla siebie znaleźć stosownej na-

zwy, która mianując się raz umiejętnością produkcji, drugi raz umiejętnością wymiany, wartości, dystrybucyi bogactw, nie zdobyła się jeszcze na stanowcze orzeczenie, na pewne oznaczenie przedmiotów swych badań i poszukiwań, ma wypełnić niedostateczność filozofii? Czyliż nauka Smithów i Millów ma być prawdziwą metafizyką? Czyliż loika ekonomii politycznej de Quincey ma być zarazem umiejętnością rozumu? Czyliż katechizm ekonomii społecznej Ellisa, ma służyć za podstawę wychowania elementarnego? Czyliż nauka ta, która po większej części uważana jest dotychczas za umiejętność li interesów materialnych, której celem ma być interes osobisty, która codziennie oskarżaną bywa o najgrubszy materializm, zdolną będzie rozstrzygnąć pytania zarazem moralne i materialne społeczeństw, wykazać środki zaspokojenia ich potrzeb i pokazać zarazem ich prawa, według których powszechne dążności człowieczeństwa się kierują i na których spoczywa cała budowa społeczna?...

Gdybyśmy się chcieli odwołać do gieniuszów naszych czasów, oprzec się na nowym heroizmie przemysłowym, którego wzbogacają wielkie imiona: James Wath, Richarda Arkwrightt, James Horgreaves, Samuela Crompton, Edmunda Cortwright, Berthollet, Bell i wielu innych znakomitych wynalazców i czynnych myślicieli, nie innegobyśmy nie dokonali, nad proste wypowiedzenie dążności nowszych czasów, gdzie przemysł spożywa najwięcej twórczości i działalności ludzkiej; gdybyśmy wskazali na Anglią, przytoczyli 4000 szkół w których się ekonomia polityczna wyklada i coraz więcej staje się nauką powszechną elementarną, stwierdzilibyśmy li tylko ten fakt, że przy przeważających usiłowaniach industrialnych, ich poznanie nietylko jest ważnym, ale nawet koniecznym.

Nam nie idzie tylko o pokazanie pewnej ważności nauki samej, o wykazanie jej znaczenia względnego, jej użyteczności i potrzeby; ale co większa, o wypośrodkowanie jej stanowiska moralnego, jej miejsca stosunkowego w dziedzinie umiejętności.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę zasadnicze przedmioty ekonomii politycznej, jakoto np. podział pracy, wymianę, konkurencyą, cyrkulacyą, i zapytamy się o ich twórcę, o początek z którego one powstały: widzimy, że one nie zawdzięczają swego istnienia pojedynczej samodzielności, nie są dziełem jednostkowej twórczości, ale są wyrazem zbiorowej pracy, są rzeczywistością spontanicznej siły społeczeństw; razem z nimi powstały, i równie wspólnie z nimi istnieją i rozwijają się.

Nauka mająca na celu poznanie twórczych czynników życia ludzkiego, odstonienie praw dziających przez powszechne prawodawstwo społeczeństw, w przedmiocie samym znajduje dla siebie najlepsze i najwszechstronniejsze stanowisko; tu ginie wszelka dowolność osobistych względów, tu indywidualne zapatrywanie się poddać się musi pod wpływ powszechnej twórczości, która dla siebie samą jest najlepszym ustawodawcą i organizatorem, a pojedynczy rozum może ją tylko wypowiedzieć, przywieść ją do wiedzy, wyczerpnąć z niej następstwa.

Ekonomia polityczna zajmując się przeto poznaniem spontanicznej strony społeczeństw, śledząc jej prawa i dzieła, słusznie uważaną być może za prawdziwą umiejętność społeczną.

Fałszywe i jednostronne uważanie stosunków ekonomicznych, chaos i rozdarcie w wiedzy, błędne zapatrywanie się na strony moralne i materialne dążności ludzkich i społecznych, powoduje nieuznanie prawdziwych warunków istnienia społecznego, które dla swój istoty harmonijnej w różnorodnych kształtach swego rozwoju odtłaczają jedno piętno, przedstawiają jeden charakter i naturę.

Prawa ekonomiczne wyrażając samoistość i twórczość ducha społecznego, uważanego w zastosowaniu do podbicia i przekształcenia natury, nie mogą i nie są różne od praw moralnych; co do istoty są one jedne i też same, pole ich tylko zastosowania jest odmienne, względne tylko przedmioty do których się odnoszą są różne.

Zastanówmy się pokrótce nad tem bardzo ważnym pytaniem: jaki stosunek zachodzi pomiędzy prawami moralnymi a ekonomicznymi, lub czyli praca ekonomiczna w istocie swój jest różną od pracy umysłowej?

Pięknym i bardzo stosownym orzeczeniem J. Mill utrzymując, że człowiek kieruje i przywodzi tylko ruchowi natury, określił zadanie pracy, jej znaczenie i powołanie. Bo cóż w istocie człowiek dokonywa przez swą pracę, przez swe usiłowania, jeżeli nie przyswaja sobie sił twórczych natury, jeżeli nie obraca ich na swój cel i na użytek? Opanowując je wlewa w nie myśl swego gieniuszu, uczłowiecznia niejako naturę, przekształca jej formy, upiększa ją, urozmaica i staje się dalszym stwórcy światu.

Praca zatem ekonomiczna brana i uważana w właściwym znaczeniu, nie jest materialnym zatrudnieniem, mechaniczną jakąś robotą, ale jest czynnością rozumu, obróconego do działania na

naturę, twórczością ducha ludzkiego oblekającego się w powłokę materii, ucieleśniającego się w kształty przyrodzenia.

Twórczość ludzka jakkolwiek jednej istoty, objawia się w dwóch odrębnych kierunkach: raz umysłowo, w kreacyi czysto idealnej, drugi raz względnie do natury, czyli w kreacyi materialnej; ale jej prawa, jej tło wszędzie jest jednakowe. Kategorie więc pracy i rozumu równie muszą być też same, gdyż wychodzą z jednej zasady i jednego początku.

Ekonomia polityczna zatem w umiejętnym uważaniu nie jest nauką produkcji, wymiany lub wartości, ale jest umiejętnością twórczości ludzkiej zastosowanej do natury; przemysł zaś wydobywa z jej łona nowy świat wykształcony przez pracę na obraz potrzeb i usposobień ludzkich.

Jeżeli się zastanowimy nad pierwotnymi objawami rozumu i pracy, przekonamy się nietylko o podobieństwie ich form, ale co większa, o tożsamości praw jakim one podlegają.

Podobnie jak myśleć człowiek nie może bez pewnego związku, podobnie jak w umyśle jego każda myśl wywołuje nowe myśli i idee, które łącząc się między sobą stanowią tak nazwaną *asocjacyą idei*; tak równie praca nie może istnieć sama przez się, nie może w odosobnieniu pojedynczym rozwijać się, ale do jej żywota, do jej potęgi potrzeba innej pracy, czyli technicznie się wyrażając, podziału pracy.

Przez podział pracy wyraża się społeczna natura ludzka, pokazuje się wielkość i szlachetność celu człowieczeństwa, przez nią wchodzi człowiek w społeczeństwo, przez nią łączy się z drugimi i zawiera przymierze wspólności, według którego wszyscy ludzie pracując dla siebie, pracują zarazem dla drugih.

Ponieważ to prawo pracy jest zasadniczą podstawą wszelkiej egzystencji społecznej, równie jak wszelkiego jej rozwoju i udoskonalenia tak moralnego jako i materialnego; przeto postęp społeczny mierzyć się musi jego wszechstronniejszym zastosowaniem, bardziej rozumowem użyciem.

W początkach społeczeństw, wyrażając się językiem Wakefilda (1), współdziałanie było bardziej pojedyncze; z postępem zaś ich cywilizacyjnym, współdziałanie to stawało się coraz więcej skomplikowanym i rozumowem.

Im bardziej skombinowane współdziałanie następuje w społeczeństwie, tém bardziej indywidualum wzmaga swą twórczość si-

(2) Note to Wakefield's edition of Adam Smith; vol. 3, pag. 26.

łami produkcyjnemi nietylko natury, ale zarazem całego społeczeństwa, sfera jego działania jest obszerniejszą i skuteczniejszą, moralnie i materyalnie potęgą jego samodzielności zyskuje, rozum i wola jego wzbogacają się i wzmacniają.

Tak w stanowisku swém, równie jak i dalszém zapatrzaniu się na historyczny rozwój społeczny, ekonomia polityczna ciągle postępuje drogą wybitą samodzielnym pochodem społeczeństw, i spisuje tylko i liczy ich kroki; wszędzie stara się odgadnąć tajemnice twórczości powszechnej i tę podnieść do wiedzy i nauki.

Podobnie jak praca ekonomiczna jest zastosowaniem moralności i umiejętności do przekształcenia natury; tak równie ekonomia polityczna będąc poznaniem twórczości przemysłowej, praktycznie sprawdza tak moralność jako i pojęcia naukowe: faktami stwierdza ich prawdziwość lub fałszywość, i ciągle łączy teorią z praktyką, i dla tej właśnie dążności zdolną będzie z czasem podnieść się na wysokość prawdziwej umiejętności społecznej i w organiczném i syntetycznym uważaniu rozstrzygnąć najważniejsze i najtrudniejsze pytania.

Wykazawszy pokrótce i szkicowo stosunek ekonomii politycznej do filozofii, możemy teraz przystąpić do szczegółowszego oznaczenia naszego przedmiotu i wyjaśnienia, co rozumiemy pod znaczeniem pieniędzy filozoficznym?

Uważając człowieka we wszystkich kierunkach jego pojawu, wszędzie napotykamy dowody jego istoty społecznej, wszędzie widzimy o ile jego przymioty i siły indywidualne rozwijają, kształcą i potęgują się udoskonaleniem i wyrobieniem organizmów zbiorowych i społecznych.

Myśl sama, brana w oderwaniu od ludzi, nie istnieje; do jej początku, wykształcenia i urzeczywistnienia potrzeba warunków społecznych, współdziałania towarzyskiego. Za pośrednictwem słowa, alfabetu, druku, przechodząc ona z ust do ust, przybiera towarzyski charakter, i jako wiedza zostaje potęgą społeczną.

Ten sam ruch widzimy w sferze ekonomicznej: praca istnieje i rozwija się jedynie w społeczeństwie, przez współdziałanie ludzi pomiędzy sobą, objawia ona swą twórczość, kształci się i udoskonala.

Wymiana zbliżając do siebie jej dzieła, ułatwiając ich przejście z jednego miejsca na drugie, zaspokajając wspólne potrzeby, nadaje im przez to charakter społeczny, przekształca je niejako na własność powszechną.

W najogólniejszym uważaniu jest ona funkcją towarzyską, za pośrednictwem której myśli, pojęcia i dzieła ludzkie przechodzą w obieg powszechny, który wyraża nietylko stosunek pojedynczych jednostek do społeczeństwa, ale zarazem stopień ich bogactwa materialnego i moralnego.

Podobnie jak do wypowiedzenia myśli, pojęć i idei, słowo, alfabet i druk są konieczne; tak również do wymiany produktów są nieodzowne pieniądze, wexle, kredyt, które będąc narzędziami cyrkulacyjnymi, wypełniają jedną z najgłówniejszych funkcji społecznych, odgrywają jedną z najważniejszych ról w dziedzinie bogactwa powszechnego.

Z tego cośmy dotąd powiedzieli pokazuje się bardzo jasno, że podobnie jak pomiędzy przymiotami moralnymi człowieka, rozum jest jednym z najwznioślejszych i najidealniejszych, tak w życiu ekonomicznym społeczeństw najogólniejszym i najpotężniejszym czynnikiem jest cyrkulacja, ku której zmierzają wszystkie siły zbiorowe i z której czerpią swą potęgę i życie.

Dlatego uważając jakim sposobem wyrabiała się cyrkulacja w społeczeństwach, przechodząc i porównyując pomiędzy sobą pojęcia i przymioty jej czynników, odsłoni się historyczny postęp zbiorowego rozumu i towarzyskości pomiędzy ludźmi, na drodze praktycznej wypośrodkuje się takowych prawa i dążności.

Jeżeli filozof chcący zbadać wykształcenie się umysłowe społeczeństw, nie może przestawać na formalnym poznaniu języka, ale musi uważać jego stopniowe się rozwijanie i odróżnić jego historyczne przemiany, porównać je pomiędzy sobą, wykazać o ile słowo spotęgowane przez alfabet i druk wywarło wpływu moralnego i cywilizacyjnego; tak również ekonomista śledzący historią cyrkulacji, na udoskonaleniu się jej narzędzi, dopatrywać musi nietylko praktycznych polepszeń i korzyści, ale zarazem szukać w nich znaczenia moralnego i takowych wpływu na postęp towarzyski społeczeństw. Badacza języków i ekonomisty zastanawiającego się nad cyrkulacją cel jest jeden; z tą tylko różnicą, że pierwszy pracuje w kierunku umysłowym, a drugi zaś w kierunku ekonomicznym.

Chcąc więc wykazać znaczenie filozoficzne pieniędzy, zamierzaliśmy poznać nietylko ich stanowisko materialne w społeczeństwie, ale przechodząc o nich rozmaite pojęcia, wskazując przymioty im przyznawane, porównyując fikcyjne różnorodne towarzyszące ich zidealizowaniu, spotęgowaniu ich działania i wpływu,

chcemy na drodze ekonomicznej wykazać postęp i prawa, według których takowy się rozwija i urzeczywistnia.

Wpatrzywszy się gruntowniej i głębiej w historią instytucji kredytowych, śledząc coraz doskonalsze idealizowanie się narzędzi cyrkulacji, pomimowolnie nasuwa się to przekonanie, że to jest forma ekonomiczna najwłaściwsza, która wiedzie rozum do uznania i objawu swego celu i istoty. Żadna inna strona życia ekonomicznego nie odkrywa takiego ścisłego stosunku pomiędzy myślą a wolą, między teorią a praktyką. Historia cyrkulacji przedstawia historią rozumu powszechnego, a w jej pojęciach pokazują się najważniejsze stanowiska jakie on zajmował i przez jakie przechodził.

W pierwotnym stanie człowieka potrzeby jego były szczupłe, wyobrażenia jego nie przechodziły ciasnego zakresu instynktu i zmysłowych wrażeń, praca jego nie ulegała żadnej kombinacji, żadnemu organizmowi; ale żył on prawie czysto indywidualnie, przestając na zaspokojeniu chwilowych swych potrzeb, nie troszcząc się wcale o przyszłość i nie pomnąc na przeszłość.

Z powstaniem społeczeństw obudziło się w ludziach myślenie, powstała pewna jedność w pojęciach i ideach, utworzył się pewien sąd powszechny, który będąc dziełem wszystkich, stanowił zarazem ich kryterium moralne, ich sumienie publiczne.

Według tego samego prawa w dążnościach ekonomicznych, praca musiała się wyróżniać, przybierać rozmaite szczegółowe funkcje; lecz dla pogodzenia tych pojedynczych zatrudnień, dla wypośrodkowania stosunku tak pomiędzy producentami, jako i ich produktami, potrzeba było pewnej normy, pewnego kryterium ekonomicznego, które służąc do porównania wartości pomiędzy sobą, przykładało się zarazem do wymiaru pewnej sprawiedliwości społecznej.

W życiu więc społeczeństw uważaném tak pod względem umysłowym jako i ekonomicznym, głównie chodzi o wyrobienie pewnych jedności, pewnych ogólnych zasad, które są zarazem pewnikami moralnemi i ekonomicznemi. Im które społeczeństwo posiada takowe lepiej oznaczone, im bardziej rozumowo je pojmuje, ogólniej i idealniej je przedstawia; tém więcej ono umysłowo i materialnie postępuje, tém silniej jego twórczość się objawia, tém więcej panuje moralności i wiedzy w jego stosunkach życia.

Jeżeli zastanowimy się nad historycznymi kształtami pojęć ludzkich, widzimy, że pierwszą formą sądu, a tём samém początkowym objawem poczucia się towarzyskiego pomiędzy ludźmi był fetyszizm; wówczas jeszcze natura całkiem władała umysłem ludzkim, samodzielność jego uszpięta nie była zdolną podnieść się do ogólniejszych wyobrażeń, przedmioty zewnętrzne nią kierowały i jęj przywodziły. Z rozwinięciem się wyższém umysłowości, pojmowanie się wzmogło, władza uogólniania i idealizowania zwiększyła się, i duch ludzki wznosił się do coraz wszechstronniejszych zapatrzeń, do rozleglejszych związków i stosunków, i przez politeizm przygotował się do zrozumienia jedności monoteistycznej i obejmującej w sobie tak całość świata, jako i pojedyncze jego twory, tak ich zobopólny cel, jako i prawa.

W świecie ekonomicznym znajdujemy również to samo prawo wykształcania się stosunków społecznych. Początkowo nie posiadał człowiek żadnej jedności wymiennęj, ale każdy produkt odbywał tę funkcję. Z wzrostem dopięro produkcyi, z powstaniem większej twórczości indywidualnej i zbiorowej, ten pierwotny i naturalny sposób wymiany nie wydostarczał; dlatego dla zaspokojenia nowych potrzeb, dla oszczędzenia czasu i ułatwienia wymiany rozmaitych przedmiotów pomiędzy sobą, społeczeństwa zniewolone były przyjąć za środek wymienny albo pewien produkt szczegółowy, albo stworzyć sobie pewną jedność sztuczną, do którejby odnosić mogły wszystkie wartości, i według tężej takowe porównywać i oceniać. Później zaś przy dalszym postępie ekonomicznym, metale drogie uznały za stosowniejsze do tego celu; przez wagę oznaczały takowych względną wartość i porównawczą jedność. Później zaczęły być pieniądze, nadając im przez wyrażenie stosunkowej ich wartości w liczbach i przez znaki pewne symboliczne tytuł i charakter społeczny.

Pierwszą więc powagą ekonomiczną, którą się spotyka w stosunkach pojedynczych i zbiorowych, jest *powaga pieniędzy*.

Pieniędz, jako *wartość ustanowiona społecznie*, służy nietylko za narzędzie porównawcze dla wszystkich produktów, lecz jest zarazem czynnikiem możliwym całej cyrkulacyi. Jako wszechwładca bezwzględny panuje i rządzi w wymianie usług i produktów. Jego władza dotyczy wszystkich niemal warunków ekonomicznych, i odgrywa ważną rolę w czynnościach administracyjnych i społecznych.

W dziejach społeczeństw i ludów, przez twórczość zbiorową i pojedynczą wypowiada się ich dążność moralna, ich stanowisko umiejętne; przez nie odbywa się praca ekonomiczna, one służą do przekształcenia natury, do ustanowienia stosunków ludzi pomiędzy sobą.

Umiejętny pogląd na historią, bądźto we względzie naukowym lub ekonomicznym, zauważyć powinien dwa te elementa twórczości ludzkiej, oznaczyć ich czasowy stosunek do siebie, dopatrzeć praw według których one się rozwijają i rozpoznać zasady i pojęcia historyczne do jakich one doszły, i według jakich postępowały i kształciły się.

Spółczenstwa nie mogą istnieć pod wpływem samej zbiorowej i spontanicznej twórczości, w formie bezpośredniej wiary nie mogą zamknąć swęj moralnej działalności, ale przez wyrobienie się coraz wyższe i doskonalsze pojedynczych jednostek przetwarzając i przekształcać muszą pierwotne swe zapatrzenia, i wiedzę i umiejętnośćią zdobyć dla nich charakter pewności i prawdy. Z tęg przyczyny indywiduum ciągle zakłada protest swą samodzielnością i czynnością swego ducha, chce dobić się znaczenia moralnego i stanąć na wysokości powszechnego i społecznego uznania.

Wpatrując się głębiej w dzieje historyi, obok powszechnęj i zbiorowęj twórczości, widzimy równie obudzającą się jednostkową działalność, przez którą rozum przychodzi do pojawu, przywołuje filozofią, umiejętności pozytywne do życia, przez nie tworzy krytycyzm teoretyczny i praktyczny, podnoszący i utwierdzający poczucie się osobiste i wyższy stopień moralnego i ekonomicznego wykształcenia.

Dla tęg dążności leżącej w istocie ducha ludzkiego, z wzrostem przemysłu, z wzniesieniem się twórczości jednostkowęj, praca uszlachetniała się poczuciem swęj godności, w wiedzy zdobywała dla siebie swe uznanie i cel swego przeznaczenia. Wystąpiwszy człowiek w świecie moralnym naprzeciw wiary z rozumem, z tęg samej konieczności, w następstwie logicznego biegu pojęć i idei, w sferze ekonomicznej utworzył nowe narzędzie cyrkulacyjne, znane pod nazwiskiem wexla, które wyrażało jego samodzielność i godność osobistą.

Podobnie jak w dążnościach umysłowych napotyamy ciągłą walkę pomiędzy teologią i filozofią, i podobnie jak w względnym ich stosunku do siebie pokazuje się czasowa samodzielność rozu-

mu i dojrzałość umiejętna; tak równie w świecie ekonomicznym dwa najgłówniejsze elementa cyrkulacji: pieniądz i wexel, występują; a przez ich względne stanowisko odslania się większa twórczość pojedyncza i zbiorowa, i wyższe takowych znaczenie moralne i społeczne.

Zastanówmy się pokrótce nad tym ruchem podwójnym umysłu i czynności ludzkich, a z porównania tego pokaże nam się wielka ważność cyrkulacji w stosunkach społecznych i jej znaczenie moralne i rozumowe.

We wszystkich epokach bezpośredniości, teologia starała się o władnię wszystkie gałęzie umiejętności, przywłaszczyć sobie wychowanie i panować samowładnie w szkołach i uniwersytetach. W świecie ekonomicznym pieniądz równie pokazywał dążności ortodoxyjne i wyłączne. Chcąc pozostać jedynym i wszechwładnym czynnikiem cyrkulacji, ześrodkował swe działanie w banku składowym, gdzie panował bezwzględnie, uświęcając wartości fikcyjne swą władzą i gwarantując je swą nieomylnością.

Lecz jak z czasem rozum i umiejętność przyszedłszy do znaczenia, zyskały na wpływie w opinii i wychowaniu, tak równie z wzrostem pracy, z większą czynnością przemysłową, potęga wymiany rozwinąć się musiała, i wexel wstąpił do przybytku bankowego i zrodził tak nazwane banki wypłaty (eskonty) i cyrkulacji.

Poznawszy dążności cyrkulacji, jej czynniki i instytucye stworzone wewnątrz i niejako naturalnym rozwinięciem się stosunków i czynności ekonomicznych, zastanówmy się teraz nad rozmaitemi pojęciami o pieniądzu, przejdźmy najważniejsze systemata o kredycie i cyrkulacji, ocenimy ich stronę metafizyczną i zobaczymy o ile umiejętność doszła w tej mierze i jakie pewniki i zasady postawiła.

W świecie starożytnym, gdzie praca nie była podniesioną do znaczenia moralnego i obyczajowego, trudno szukać pojęć ekonomicznych, które tylko z jej uznaniem powstać i wykształcić się mogą.

Stosownie do ducha jaki przywołał starożytności, filozofowie i inni znakomici pisarze, teorie i opinie swe opierali na zwyczajach i elementach właściwych ich towarzyskiemu układowi. Idea państwa jedynie ich zajmowała, rycerskość była dla nich najwyższym ideałem obywatelstwa.

W tych ciasnych granicach zapatrzenia, gdzie niegdzie znaleźć można pomimowolnie i nawiasowo niejako rzucone myśli

i uwagi o prawach produkcji, o podziale pracy, lecz obszerniejszego i gruntowniejszego poglądu nigdzie.

Ubóstwo i bogactwo przez Platona i Arystotelesa uważane było bardziej ze strony obyczajowej, aniżeli w przyczynach jednostronnych i fałszywych układu społecznego. Rządność pewną i umiarkowanie w wydatkach, poczytywali oni za główne prawie przepisy życia ekonomicznego. Dlatego w tych pisarzach z wielu innych względów tak znakomitych, będących pomnikami rozumu i umiejętności starożytnej, równie jak jej źródłem historycznym, zbyt mało można skorzystać w przedmiocie ekonomicznym.

Mysłący ekonomista wiele może znaleźć w nich materiałów do spostrzeżeń bardzo filozoficznych i moralnych, wiele dowodów świadczących nie tylko o ważności praw ekonomicznych, ale co większa o wpływie jaki one wywierają na sposób myślenia i moralność. Wyjaśniwszy kiedyś nauki ekonomiczne, to wielkie i poważne pytanie, rzucą nowe światło na rozwijanie się społeczeństw, i stwierdzą nowemi poszukiwaniami o ile istnieje harmonii między rozumem a pracą, teorią a praktyką.

Jeżeli bogata fantazja Platona idealizowała wszystkie strony społeczne starożytnego świata, to zaś Arystoteles uważał je w ich realnych względach, więcej jako historyk, człowiek stanu, aniżeli poeta lub filozof. Dlatego jego opinie dokładniejsze mogą dać wyobrażenie o pojęciach pieniędzy w starożytności, aniżeli innego któregokolwiek pisarza. Z tej więc przyczyny przytaczamy w tej mierze jego następnę zdanie: „Przyjęto, utrzymuje on, przyjmować i dawać w wymianie przedmiot użyteczny i cyrkulacji łatwy. Ku temu celowi używano żelaza, srebra i innych metali. Początkowo wartość tego czynnika wymiany mierzyła się objętością i ciężarem; później dla uniknięcia dalszego sprawdzania oznaczono go znakiem pewnym, wyrażającym jego względną wartość. Z wprowadzeniem pieniędzy w stosunki wymiany, nastąpiła wielka zmiana w sposobach spekulacji; handel się pojawił. Może początkowo był on bardzo prostym i pojedynczym, lecz później chęć ciągnięcia o ile możności największych zysków z wymiany, stworzyła kombinacje bardzo sztuczne i skomplikowane. W skutek tego przyzwyczajono się uważać pieniądze za główny przedmiot spekulacji, przypisywano spekulantom za jedyne i wyłączne zatrudnienie nagromadzenie metali kosztownych, gdyż ich celem jest nabywanie złota i bogactw. Lecz czyliż pieniądze nie są majątkiem fikcyjnym? Ich wartość leży w prawie. Gdzież jest ich wartość

naturalna? Jeżeli opinia która je przyjmuje w cyrkulacyą zmienia się, gdzież jest ich cena rzeczywista? jakież potrzeby życia mogą one zaspokoić? Obok sztuki złota niedostawać może najniezbędniejszych przedmiotów do życia. Jakież szaleństwo nazywać ten dostatek bogactwem, wpośród którego umiera się z głodu!"

Jakkolwiek znakomity ten filozof nie zaprzecza pewnej użyteczności pieniądзом w stosunkach społecznych; przyznaje im tylko wartość fikcyjną udzieloną im przez prawo, nie pojmuje ich znaczenia powszechnego, ich stosunku do produkcji i w wymiarze sprawiedliwości, pod której wpływem wypełnia się rozdawnictwo bogactwa społecznego. Pomijamy dalsze uwagi nad temi jednostronnemi pojęciami znakomitego tego filozofa, ponieważ w różnorodnych nowszych kierunkach, tak w teorii jako i praktyce pokażą one nam się jaśniej i wybitniej, rozprawdzone do ostatecznych następstw, jakie tylko z ich fałszywości wyprowadzić się dały.

Każdy wyższy szczebel udoskonalenia towarzyskiego podnosi działalność moralne i materyalne społeczeństw, proteguje ich wpływ tak na siły produkcyjne natury, jako i na formy jój jestestwa, czas i przestrzeń. Opanowując człowiek ruch czynników twórczych w świecie, kieruje nim, i w myśli i czynie staje się potężniejszym i władniejszym. Według tego prawa opatrzności, w stosunkach ludzkich twórczość moralna pociąga zarazem twórczość materyalną; nowe idee rodzą nowe wynalazki, jest więc ciągle harmonia, tak w ich istocie jako i w ich objawach. Pod tym wpływem odkrycie Ameryki będąc faktem fizycznym rozprzestrzeniającym umysłowi ludzkiemu granicę świata, otwierając mu nowe pole działania, było zarazem wielkiem wydarzeniem moralnym, wpływającym przeważnie tak na sposób myślenia, jak równie na charakter pracy i przemysłu.

Z tym wypadkiem energia twórczości podniosła się; żywe słowo spotęgowane drukiem, nietylko że wzmogło łatwość działalności moralnej, ale co większa było szczęśliwym zwiastunem późniejszych dążeń, w skutek których rozum ludzki przyswoił sobie elementa natury, jak np. parę, elektryczność, zawładnął czasem i przestrzenią, i w krótkich chwilach więcej przeżywa, przebiega, ile dawniej w całych wiekach uskutecznić można było.

Nowy świat odsłaniający człowiekowi swą pierwotną i naturalną dziewiczość, wdziękiem swój rozmaitości, bogactwem swój ziemi i płodów, zdawał się wzywać go do pracy; i ten dotknięty jakby jego magicznym wpływem, rzucił się z zapalem w nowo

pole usiłowań, przeczuwając niejako, że praca zostanie kiedyś dla niego jedyną i poważną zasadą, że uchwyci się w zapasy z naturą i przemysł podniesie do historycznego znaczenia: w imię jego rozpocznie nową epokę żywota, gdzie myśl i wola, gdzie umiejętność i praktyka łączą się z sobą, aby za ich pośrednictwem przelać gienialność swego ducha w naturę i tę uczłowiczyć, przekształcić na obraz i podobieństwo potrzeb i usposobień swoich.

Lecz jak zwykle każdy peryod nowego życia społeczeństw, rozpoczyna się w bezwiedni sposób, gdzie samodzielność usiona, nie może ostać się swą mocą, ale jej potrzeba zewnętrznej pomocy; tak równie i w tej mierze twórczość pracy, bogactwo nieocenione jej plodów nie zostało zrozumianem i uznanem; ale jedną z najmniejszych jego części i nawet najmniej ważną, to jest metale drogie podniesiono do najwyższego znaczenia, i pieniądz został jedynym celem usiłowań ogólnych, symbolem i rzeczywistością zamocności i bogactwa powszechnego.

Ta fałszywa i jednostronna dążność opanowała tak indywidualna jako i społeczeństwa, i pod nazwą systemu merkantylicznego stała się wiarą i dogmatem powszechnym. Pierwszy raz prawie w historii zasada ekonomiczna podniesiona została do znaczenia administracyjnego i politycznego, i pierwszy raz niemal owładnęła wszystkie stosunki i nadała im nowe warunki i kierunek.

Nieuznanie prawdziwego źródła bogactwa wszelkiego w pracy, która jest jedynym czynnikiem twórczości naszej, stworzyło w świecie ekonomicznym pewien dualizm i nadnaturalizm, którego wpływ na społeczeństwa, musiał być szkodliwy i uciążliwy. Do utrzymania jego w stosunkach społecznych potrzeba było utworzyć sztuczny organizm ekonomiczny, tamujący samodzielność i twórczość tak pojedynczą jako i zbiorową.

Wielkie pytanie, które nieraz w dziejach historycznych podnoszonym było: czyli duch ludzki lub słowo jest twórczém w stosunkach ekonomicznych, wystąpiło teraz na jaw w formie pracy i pieniędzy. Zadanie umiejętności przeszło w życie i w praktyce miało się rozstrzygnąć, znaleźć dla siebie stosowną odpowiedź i rozwiązanie.

Podobnie jak w kierunku umysłowym i moralnym, nadanie zewnętrznemu objawowi ducha ludzkiego charakteru nieomyślności, wyłącza wewnętrzną tegoż twórczość, ogranicza jego samoistność i samodzielność; tak równie w stosunkach ekonomicznych toż samo stanowisko, też same zrobić musiało następstwa i wypadki.

Jednostronność pojęć o bogactwie, dla utrzymania fałszywego stanowiska i przeznaczenia pieniędzy, spowodowała uciążliwy system prohibicyjny, który pracę poniżył i skrępował ją tysiącem sztucznych przeszkód, zpod których ona ani wystąpić samodzielnie nie mogła, a tём bardziej świetnie i potężnie się rozwijać i wzrastać.

Wobec tych fałszywych dążeń pojawił się człowiek gieniuszu, który pierwszy postawił poważniejszą teorią o wymianie, pieniądzach i kredycie, i od którego śmiało datować można początek umiejętności w tём mierze. Tym gieniuszem był właśnie Law.

Jakkolwiek wiele krytykowano, rozbierano jego plany i teorye, mało się jednak do tego czasu zajmowano wykazaniem wpływu moralnego i filozoficznego, jaki ten wielki reformator finansowy wywarł na swą epokę.

Law, tak jak wszyscy wielcy ludzie, był wiernym odbiciem swego czasu. Uważając, iż potęga pieniędzy opanowuje coraz przemożniej usiłowania i cele ludzkie, powiedział sobie: ponieważ pieniądze są jedynym bogactwem rzeczywistym, a zatem staraniem rządów i ludów powinno być zwiększenie ich ilości; podnieśmy więc pieniądze do znaczenia politycznego, zrobmy z nich najgłówniejszy żywioł społeczny, a wówczas przywoźdź one będą wszechwładnie światu, zostaną celem dla siebie samych, opanują kredyt i cyrkulacyą, i ów pewnik: „że państwo udzielać powinno kredyt, a nie odbierać go”, stanie się prawdą i rzeczywistością. Jakież powinowactwo idei! Jakież nierozdzielny związek pomiędzy światem moralnym a ekonomicznym! Czyliż wszystkie systemata teokratyczne nie opierają się na uznaniu zewnętrznych instytucyj, które wydzielają moralną łaskę i zbawienie, monopolizując w sobie wszechmądrość, zaprzeczają samodzielność ducha ludzkiego.

Aby lepiej poznać ważność czasową tego systemu i jego zarazem fałszywość, rozważmy najgłówniejsze jego zasady, które podadzą nam klucz do zrozumienia dostatecznego całej tём sztucznej budowy:

„Wartość przedmiotów nie powstaje w stosunku ich względnego użytku, lecz w stosunku ich ilości większej lub mniejszej, uważanej porównywanawczo z ich żądaniem. Woda, jakkolwiek jest bardzo wielkiego użytku, nie posiada jednak wielkiej wartości, gdyż jój ilość przewyższa jój żądanie. Dyamenty, chociaż ich uży-

teczność niewielka, mają przecież znaczną wartość, gdyż ich żądanie wysoko bardzo przewyższa ich ilość istniejącą.”

„Wartość przedmiotów zmienia się z dwóch przyczyn różnych: to jest większą lub mniejszą obfitością produktów i mniejszą lub większą obfitością pieniędzy. Jedna z tych dwóch przyczyn uchyla się spod wpływu ludzkiego, kiedy druga jest mu uległą. Nie leży w mocy człowieka, aby ilość zboża, wina, i t. d. zostawała ciągle w równowadze z potrzebami, lecz zawisło od niego utrzymanie prawdziwego stosunku pomiędzy ilością pieniędzy, a takowych żądaniem. Skoro te nie będą miały wartości wewnętrznej, i nie będą ani w złocie, ani w srebro; przez to nastąpi bardzo wielka korzyść, albowiem pieniądze stanowią zasadę pracy, kultury i ludności. Krajami bogatemi są te, które wiele pieniędzy posiadają; ubogimi zaś te, którym niedostaje takowych.”

„Nad papier nie ma nicstosowniejszego do spełnienia funkcji pieniędzy. Obok korzyści właściwych w tej mierze drogim metalem, posiada on jeszcze inne przymioty, na których tamtym zbywa: 1) Łatwiej się liczy i przenosi. 2) Nie kosztuje nic, lub bardzo mało, kiedy tymczasem złoto i srebro trzeba drogo opłacać. 3) Nakoniec z tej przyczyny nie wyprowadza się z kraju, a zatem jego ilość musi zawsze odpowiadać jego żądaniu.”

„Ten ostatni punkt jest nadzwyczajnie wielkiej ważności.

„W rzeczywistości panuje ciągła walka pomiędzy właścicielami przedmiotów, a posiadaczami pieniędzy. Pierwsi naznaczają prawa drugim, wówczas kiedy produkta i towary wszelkiej natury są rzadkie; lecz przeciwnie, oni ulegają nawzajem tamtym, skoro tych ilość się zwiększy. Tymczasem sprawiedliwość i interes powszechny wymagają, aby wartość lub cena przedmiotów nie przewyższała kosztów produkcji. Jeden jest tylko sposób prowadzący do dopięcia tego celu, to jest: aby ilość pieniędzy zostawała ciągle w równowadze z ilością przedmiotów; — hipoteza, która się urzeczywistni wtenczas, kiedy będzie można dostarczyć pieniędzy pod gwarancjami rzeczywistemi wszystkim tym, którzy ich żądać będą. Jeżeli pieniądze w formie metali to *desideratum* czynią niepodobnym, to ono da się bardzo łatwo skutecznicić przez pieniądze w formie papierowej (1).”

W tym krótkim streściowaniu pojęć systematu Lawa, widzimy głębokie prawdy i fałsze zarazem, wielkie poczucie ważno-

(1) Te idee rozrzucone są w różnych pismach Lawa: *Considerations sur le numéraire. Lettres sur le nouveau système des finances.*

ści stosunków cyrkulacyjnych, ale oraz niedostateczne ich zrozumienie i ocenienie. Obok jednak jednostronności i błędów, pierwszy Law, który postawił ideał dla wymiany, wskazał cel i zadanie, do jakich umiejętność ekonomii zmierzać winna. Naznaczając granicę dla wartości przedmiotów w kosztach ich produkcji, pierwszy pojął ważność sprawiedliwości w stosunkach ekonomicznych i takową uznał za prawo wymiany; chcąc zaś dopiąć tego wielkiego ideału za pośrednictwem papierów tworzonych li wolą rządu, ważne pytanie historyczne, zajmujące się oznaczeniem stosunku pomiędzy bytami rzeczywistymi a ideami, a znane w systematach filozoficznych pod nazwiskiem nominalizmu i realizmu, wprowadził w dziedzinę ekonomiczną i odtąd pojęcie i określenie stanowiska pomiędzy indywiduami a społeczeństwem, zostało najważniejszym zadaniem umiejętności ekonomicznej.

Pytania zatem sprawiedliwości, stosunku jednostek do pewnych organizmów zbiorowych i reprezentacyj takowych, które do tego czasu zajmowały prawie wyłącznie teologią lub filozofią, zostały zadaniami ekonomicznymi, i na przyszłość ich rozwiązanie w stosunkach społecznych, rozświecić musi ogólny pogląd moralny i umiejętny. Z tej przyczyny śmiało powiedzieć można, że Law podniósł ekonomią polityczną do znaczenia nauk moralnych i umiejętnych, rozprzestrzenił jej zakres zapatrzeń i wprowadził ją na pole metafizyczne i ogólne.

Pomimo wielkich zasług jakie on przyniósł nauce, pomimo śmiałości i gienialności niektórych pomysłów, uważając bogactwo w pieniądzach, opierając li na takowych zamożność pojedynczych osób i narodów, uznał tylko zewnętrzne strony produkcji, nie dopatrywał jej wewnętrznych i prawdziwie twórczych czynników, i dlatego wolą osobistą poddał pod wpływ sztucznej fikcji, nieprodukującej nic przez siebie samą i niemogącej mieć żadnego bezpośredniego współdziałania w wielkiej działalności przemysłowej.

Fałszywe przypuszczenie, że cyrkulacja nie ulega pewnym właściwym i niezłomnym prawom, które zarazem są wynikiem produkcji i przez nią są warunkowane, lecz że jedynie zawisła jest od woli człowieka, który nią może kierować i samowolnie władać; doprowadziło go do fałszywych i zgubnych następstw, że przez papiery nietylko zastąpić można pieniądze, ale co większa, stworzyć nowe Eldorado bogactw i dobrego bytu. To zewnętrzne i niejako teologiczne zapatrzenie się Lawa na stosunki wymia-

ny, sfałszowało jego pogląd i niekorzystnie wpłynęło nietylko na czas w którym żył, ale oraz na przyszłość, gdzie utopia jego często występowała, dając nieraz czuć w praktyce swe smutne następstwa, i która często była podnoszoną i bronioną przez umysły nawet głębsze i świetniejsze.

Takie jest w ogóle znaczenie moralne systemu Lawa, systemu, który dla swój fikcyjnej strony, z pewną słusnością uważany być może za teologią pieniędzy.

Przystąpmy teraz do filozofii tychże, poznajmy jej znaczenie i charakter, a zobaczymy o ile przez nią harmonia udzielnosci moralnej i ekonomicznej jest popartą i stwierdzoną.

Jednym z największych metafizyków ekonomii politycznej był bez wątpienia Ricardo. Ricardo uznając cyrkulacją za najpotężniejszy czynnik kombinacji handlowych i przemysłowych, za najenergiczniejszy element wymiany, celem zmniejszenia wszechwładności pieniędzy, powziął myśl częściowego przynajmniej wyzwolenia się z pod jej przewagi i wpływu. Radził więc stopić pieniądze na sztaby złota i srebra, i złożyć je w skrzyniach bankowych jako rękojmnią biletów przez niego wypuszczonych. W skutek tej kombinacji pieniądze zostaną złożone w banku, a papiery owładną wymianę i cyrkulacją.

Cel i doskonałość cyrkulacji oznacza on w sposób następujący (1).

„Można, mówi on, uważać cyrkulacją za doskonałą, skoro posiada stopę niezmienną, do której się ciągle odnosi, i skoro w czynności swój zachowuje największą oszczędność.” Dalej utrzymuje: „Użycie metali drogich za tytuł pieniężny może być bez wątpienia uważane za jeden z kroków najważniejszych i najświetniejszych, jakie były uczynione w dziedzinie handlu i cywilizacji przemysłowej. Lecz postęp doświadczenia i oświaty przekonywa nas także, że jeszcze jest jeden krok do zrobienia, i że potrzeba im odebrać tę funkcję, którą spełniały w epokach mniej oświeconych.”

„Zabezpieczyć publiczność przeciwko wszystkim zmianom nieoznaczonym przez stopę samą, wykonać ruchy pieniężne za pośrednictwem czynnika mniej kosztownego, dosięgnie się przez to naj-

(1) Proposals for an Economical and Secure Currency, with Observations on the Profits of the Bank of England, as they regard the Public and the Proprietors of Bank Stock.

wyższego stopnia doskonałości, do jakiego tylko cyrkulacją kraju doprowadzić można“.

Voltaire i Rousseau, wyłączając bezwzględność absolutną z ziemi, i umieszczając ją w krainie nieskończoności abstrakcyjnej i zaświatowej, postąpili sobie w ten sam sposób w kierunku umysłowym, jak Ricardo we względzie ekonomicznym.

Każdy system ma swe zasady i swe następstwa niezbędne; dlatego jednostronne zapatrzenie się ekonomiczne, odpowiednie deizmowi w filozofii, musiało doprowadzić inne konieczne stanowisko, znane pod nazwiskiem panteizmu i ateizmu. Rozum nie mógł uniknąć tych dwóch następstw nieodzownych.

Cieszkowski przeniósł na pole ekonomiczne idee spekulacyjne Spinozy. Znakomity ten pisarz (1) uważając pieniądze za substancją wszechtwórczą, które się ciągle reprodukują i przywodzą we wszystkich gałęziach cyrkulacji i są warunkiem i koniecznością wszelkiej wymiany, pojął myśl, aby wszystkie przedmioty, które posiadają wartość rzeczywistą, jakoto: ziemie, domy, narzędzia pracy, kapitały wszelkiego rodzaju, były przekształcone czyli raczej reprezentowane przez pewien znak produkcyjny i doskonały; w ogóle wszelka materya pierwotna i produkta powinny być podniesione do potęgi i znaczenia pieniędzy za pośrednictwem biletów rentowych. Jest więc bardzo jasnym, że skoro wszystkie przedmioty i wartości staną się pieniędzmi, muszą one wówczas utracić swe dotychczasowe wymienne stanowisko i znaczenie.

Teorye zaś Atwooda, Muntza, Spoonera, Salka i innych członków ligi anti-pieniężnej (anti-gold-law-league) jak w ogóle cała szkoła Birmingham, przedstawiają nam całoznacznie ateistyczne stanowisko Halbacha. Podobnie jak on zaprzeczał Boga, uznając materyę za czynnik twórczy i kierujący potęgą swój fatalności losami ludzi i rzeczy, takrównie powyżej wymienieni ekonomiści zaprzeczają pieniądze i utrzymują, że państwo, jako jedyna i wszechwładna według nich powaga, powinno za pośrednictwem papierów dostarczyć produkeyi ilość dostateczną narzędzi pracy i zapewnić społeczeństwu dobry byt powszechny. Oni więc chcą państwo uczynić regulatorem wymiany i polecić mu rozdawnictwo bogactwa narodowego. Przewaga więc pieniędzy ma być zastąpiona przez fatalność dowolności i przypadkowości.

Ciasny pogląd empiryzmu opierającego się li na samych faktach i wydarzeniach, niezdolnego pojąć ich stosunków i praw,

(1) Le credit et la circulation.

wyciągnąć z nich ogólnęj idei, jak we wszystkich kierunkach rozumu ludzkiego, do fałszywych i jednostronnych doprowadzać musi wypadków; tak równie i na polu ekonomiczném niedostateczność i słabość jego pokazuje się i stwierdza.

Przed 150 laty wielki filozof Locke w piśmie swém, które wstrzymało parlament angielski od fałszywego przedsięwzięcia, mającego na celu przebicie pieniędzy i osłabienie ich tytułu istotnego, wypowiedział: że powszechne przyzwolenie ludzi nadało pieniądzom wartość fikcyjną, z powodu ich przymiotów właściwych i odpowiednich czynnikowi wymiany.

Wielki ten myśliciel czasu swego sądząc empirycznym zmysłem, nie wznosił się nad faktyczne pojęcie pieniędzy, nie umiejąc zrozumieć ich wartości i charakteru społecznego. Lecz w tój mierze postępował on sobie tak jak wszyscy empiryści, jak filozofowie szkoccy, którzy pytania moralne dowodzą powszechném przyzwoleniem, nie mogąc wytłumaczyć ich rozumowości i ogólnego znaczenia.

Późniejsi ekonomiści jakkolwiek niedostateczne, ale przynajmniej wyraźniejsze dali pojęcie pióńiędzy. Lord Liverpool (1) definiuje pióńiędze w sposób następujący: „Pióńiędze są narzędziem, które służy nietylko za miarę w wymianie, lecz posiada zarazem samą przez się wartość“.

Pojęcie to bardzo jest ciasne, gdyż nietylko pióńiędze, ale zgoła wszystkie produkta które weszły już raz w cyrkulacyą, służą wspólnie sobie za miarę i mają równie same przez siebie wartość. Pióńiędze muszą mieć jednak wyłączną i szczegółową własność, dla której są poszukiwane, i przez którą mogą wymieniać się za wszystkie inne przedmioty. Ekonomiści tkwiąc w fałszywém i jednostronném uważaniu wartości, pojmując ją li jako wartość użytku i wymiany, nie widzą tój konieczności, że podobnie jak w podziale pracy pokazuje się prawo ekonomiczne, które powoduje zbiorowe współdziałanie, czyli stowarzyszenie się producentów; tak równie w wymianie musi się przedstawiać socyalność, wyrażająca się właśnie przez pióńiędze, będące wartością społecznie ustanowioną.

Z tych przyczyn ekonomiści empiryczni nie mogą uchwycić ich stron moralnych i niejako metafizycznych. Zewnętrzne ich własności tylko wykazują, i bardziej zastanawiają się nad przymio-

(1) A Treatise on the wina of the Realm.

tami ich materyalnemi, jak nad ich powołaniem i znaczeniem społeczném.

Na dowód tego posłużyć mogą opinie Chevalier'a, (1) który w téj mierze wszystkie niemal odcienia uważań ekonomistów zebrał i kategorycznie takowe przedstawił.

Przymioty jakie powinien mieć pewien przedmiot, aby mógł odpowiadać przeznaczeniu właściwemu pieniądзом, są według niego następujące:

1. Musi być przez się towarem, to jest przedmiotem zostającym w stosunku z pewnemi naszymi potrzebami, i musi być pożądanym od ludzi bez względu na przymiot nadający mu właściwość pieniędzy.

2. Być wartości jednostajnej i łatwiejszej do przeniesienia jak inne towary, to jest pod małą objętością powinien obejmować wielką wartość względną; ażeby każdy mógł go używać wygodnie za spółmierną wartość w zamian przedmiotów, których chce nabyć.

3. Nie ulegać zepsuciu, aby każdy mógł go posiadać trwałym bez starań szczegółowych i nieustannych.

4. Posiadać dokładną jednostajność i jednorodność, aby pojedyncze i proste sprawdzenie mogło dostatecznie stwierdzić jego naturę.

5. Ulegać podzielności nieskończonej, aby mógł wyobrażać wartości bardzo małe, nie utracając jednak przez podział swych korzyści; co każe przypuszczać, iż jego części oddzielne lub zostające w kombinacji z innymi substancjami, z wielką łatwością dadzą się łączyć i oddzielać.

6. Koniecznym jest, aby przedmioty przeznaczone na tę funkcję były zdolne przyjmować i zachowywać pewne cechy delikatne, dające je łatwo odróżnić i poznać.

7. Nie podlegać o ile możności zmianom w swój wartości, a zwłaszcza gwałtownym, które w rolnictwie powodują różnicę produkcji jednego roku od drugiego, a jakie w rękodzielnictwie wynikają ze znacznych przemian narzędzi i sposobów fabrykacyjnych.

8. Aby były twardo i rozplaszczalne, a tém samém nieuległe złamaniu, aby posiadały przymioty pewne i szczegółowe, za pomocą których możnaby je łatwo odróżnić od innych przedmiotów, którymby przez sfalszowanie nadano formę, cechę, odgłos, wielkość i ciężkość specyficzną, właściwą metalom drogim.

(1) La monnaie.

Wyliczywszy te ogólne przymioty, uzdolniające przedmioty pewne za narzędzia wymiany, przystępuje do porównania ich ze złotem i srebrem, które w następnych punktach obejmuje:

1. Złoto i srebro są towarami, pomimo ich przeznaczenia jako pieniądze. Mają właściwą użyteczność, odpowiadają pewnym naszym potrzebom; dla swego blasku i piękności materialnej były nawet wprzód poszukiwanemi, nim je obrócono na pieniądze.

2. W porównaniu prawie wszystkich produktów pracy ludzkiej, złoto i srebro są najłatwiejszemi do przenoszenia.

3. Złoto i srebro są trwałemi; pieniądze lub posągi ukryte za czasów Faraonów, przechowały się aż do naszych czasów takimi, jakimi je przypadek lub ręce pobożne, albo strachliwe, powierzyły ziemi.

4. Nic nie jest więc jednorodnym nad metale, gdyż one są ciałami pojedynczemi, tak, iż złoto Siedmiogrodu raz oczyszczone jest zupełnie tego samego gatunku, co złoto Syberyi, Brazylii lub Kalifornii.

5. Podzielność złota i srebra jest nadzwyczajna.

6. Złoto i srebro ze wszystkich towarów posiadają najstalszą wartość, czyli najmniej ulegają zmianie.

Z porównania tego wnosi Chevalier, że złoto i srebro są właściwsze ze wszystkich przedmiotów na pieniądze. Lecz długiem swém wyliczeniem wykazał jedynie przymioty fizyczne metali, ale nie postawił żadnej ogólniejszej idei, któraby była zdolną wytłumaczyć ważność cyrkulacji, jej potrzeby społeczne, i dlaczego w narodach zaczynających się cywilizować, z wzrostem produkcji zwiększa się ilość pieniędzy, kiedy w narodach dojrzałych moralnie, używających większej kultury, przeciwny skutek następuje.

Pozostają nam jeszcze do poznania opinie mistyczne i nieoznaczone, które podobnie w tej mierze jak i we filozofii opierają się na dowolnych i fantastycznych przypuszczeniach.

Ważne to pytanie: czém są pieniądze, długo i obszernie było traktowane w Anglii. Zawieszenie wypłaty biletów bankowych przez bank angielski od 1797 do 1821, przez cały ten period 24 lat dawało do tego powód, i późniejsze prawa zajmujące się oznaczeniem warunków istnienia i atrybucyi tej wielkiej instytucyi, jak równie i innych banków, odświeżały często tę ważną kwestyą. W ciągu tych dyskusyj wiele się opinii pojawiło, któ-

re mniej więcej były fałszywe, gdyż zostawały albo pod wpływem zupełnym istniejącego stanu pieniędzy papierowych, albo ulegały jego świeżej jeszcze pamięci.

I tak w debatach parlamentarskich r. 1811, po sławnym raporcie *Bullion commite* (1), ministrowie i inne znakomite osoby, pod wpływem żywych wrażeń politycznych, nie wahali się utrzymywać, że bilety bankowe nie spadły wówczas, kiedy uncya złota tytułu 22 karatów, zamiast być płaconą w biletach bankowych 3 f. szter. 17 sch. 10½ d., co jest taryfą legalną, sprzedawała się w biletach 4 f. szter. 12 sch. a nawet więcej. Wobec tego faktu tak oczywistego i przekonywającego, mówcy ministeryalni musieli ostrzyć swój dowcip, aby wynaléć stosowne pojęcie o pieniądzech usprawiedliwiające bilety i uzasadniające ich opinią. Z téj przyczyny definicje najśmieszniejsze i najfantastyczniejsze były wypowiedziane i bronione przez najznakomitszych ludzi. Lord Castlereagh jeden z ministrów utrzymywał, że pieniądze wyrażają *uczucie wartości* (a sense of value), w stosunkach narzędzia wymiany z rozmaitemi produktami. Pan Bosanquet jeden z najznakomitszych kupców Londynu, wystawiał pieniądze za jednostkę wartości będącej procentem 3½ od 33 f. ster. 6 sch. 8 de.; procent, który nazywał funtem szterlingów i który się płaci w biletach bankowych jako w monecie obiegowej. P. Bosanquet był przeciwnikiem Ricardo, który występował z wielką świetnością; a lord Castlereagh był zwalczany osobliwie przez Canninga, który nie szczędził ani żartu, ani sarkazmów na owe sławne *uczucie wartości*. Nawet wielki mąż stanu, który się najwięcej przyłożył od pokoju r. 1815 do restauracyi systemu pieniężnego Anglii, z powodu prawa 1844 r. o banku, poparł swą poważną powagą definicyą pieniędzy, podciągającą pod takowe bilety bankowe.

Opinie ekonomistów co do miary wartości są bardzo różne. Niektórzy, jak Hushisson i Horner uważają za najodpowiedniejszą w téj mierze zboże; inni zaś, jak: Smith, Ricardo, pracę; postawiając ją za typ miary z powodów, które Germain Garnier następująco określa: „Praca ludzka uważana w sobie saméj jest niezmienną; wszystko to co kosztuje robotnika, który pracuje, poświęcenie jakie robi z czasu swego, z sił swych i wolności, jest jedno i toż samo we wszystkich okolicznościach. Stanowią one

(1) Komitet metalów drogich. Komitet ten izby niższej, którego reporterem był Hornes, wnioskował o placenie biletów bankowych w monecie.

jedność stałą i pewną, oznaczoną przez prawa naturalne na podobieństwo biegu gwiazd lub pory roku. W tém więc znaczeniu praca jest miarą wartości. Jeżeli zatem wiemy jakiej ilości pracy potrzebaby było do nabycia lub rozrządzenia pewnym przedmiotem w epokach danych, wiedzieć zarazem możemy, jaka w nich była wartość względna tegoż samego przedmiotu”.

Te jednostronne pojęcia wywołały również rozmaite teorie i przypuszczenia. W r. 1795, kiedy zbyteczny upadek assygnatów utrudniał położenie finansowe i polityczne, chciano zaradzić temu przez ustanowienie pewnej stopy, do której możnaby odnosić tak assygnaty, jako i inne wartości.

Skoro drogie metale nie przyjęto za miarę wartości, wówczas Jean-Bont-Saint-André radził przyznanie takowej zbożu, jako wartości powszechnej u wszystkich ludów, i do której inne przedmioty odnosić się winny. Według téj zasady obliczywszy ilość zboża, jaką za pewną sumę w danéj epoce dostać było można, assygnatami zapłaciłoby się dała wszelka wartość mogąca nabyć téż samą ilość zboża.

W Anglii podobne usiłowanie było przedsiębrane przez reformatora Owen, który uważając pracę za miarę wartości, chciał takową spieniężyć, i to przedsięwzięcie nazwał *wymianą sprawiedliwą pracy narodowej*. Zniesiono pieniądze i zastąpiono je przez godziny pracy.

Obok tych różnorodnych wyobrażeń, jakie do tego czasu poznaliśmy, wejrzeć nam potrzeba jeszcze w stosunki rzeczywiste i zastanowić się nad ich biegiem i układem, aby dostateczniej i wszechstronniej zrozumieć znaczenie i przyszłe stanowisko pieniędzy.

Znakomity ekonomista amerykański H. C. Carey (1) odnosząc cyrkulacyę do ogólnej produkcji krajowej, i wyrażając ją w dniach, utrzymuje:

że cyrkulacya we Francyi równa się produkcji powszechnej	144 dni
Anglii	110 —
Stanów Zjednoczonych	33 —
Nowej Anglii	21 —

Kapitał zaś używany w formie pieniędzy wynosi:

we Francyi.	129 dni
w Anglii.	40 —

(1) The credit system in France, Great Britain, and the United States.

w Stanach Zjednoczonych 7 dni
w Nowej Anglii 5 1/2 —

Według zaś głębokiego i genialnego Fullartona (1), przez mechanizm rachunkowości handlowej jako i przez sposoby wypłaty używane powszechnie w Anglii za pośrednictwem banków i bankierów, 1/10 transakcyj odbywa się bez pieniędzy i biletów. Ilość zaś pieniędzy i biletów istniejących w stosunku do masy tytułów mogących obiegać w cyrkulacji lub wypełniających tenże sam skutek, nadzwyczajnie jest ograniczoną i małą.

Z tego wszystkiego pokazuje się najdostateczniej, że z postępem produkcji ilość pieniędzy coraz bardziej się zmniejsza, a w to miejsce rozwija się zaufanie i rachunkowość. I czegoż to dowodzi? Oto, że praca podniosła się w swój twórczości i udzielnosci, a tём samém i jój produkcya; że towarzyskość wyrobiła się dokładniej i wszechstronniej pomiędzy ludźmi i przez to łatwiej i moralniej się wyraża i udziela; nakoniec że produkta przyszły do znaczenia wartości społecznej, i jako takie są prawdziwém bogactwem i rzeczywistą rękojmnią wszelkiej wymiany.

Główne przeto zadanie cyrkulacji nie polega na mnożeniu czynników wymiany, na zastąpieniu pieniędzy przez rozmaite i dowolne fikcje; lecz owszem jój celem jest wzajemność stosunków pomiędzy ludźmi wyrazić prościej i łatwiej.

Praktyka i teoria stwierdza tę wielką i moralną dążność cyrkulacji, gdyż z rozwinięciem produkcji i przemysłu wzmagają się zarazem i rozpowszechnia system przekazów i rachunkowość handlowa. Co właśnie najdokładniej świadczy, że im wzajemność bardziej wzrasta pomiędzy ludźmi, tём więcéj zwiększa się ich zawistość od siebie, tak, iż jedni drugim są wierzycielami i dłużnikami, celem i środkiem zarazem.

Jeżeli w kierunku ekonomicznym pokazuje się nieustanna dążność do coraz wyższej moralności i umiejętności; toż samo wnosić można, że i w świecie umysłowym wyrobić się musi pogląd pewny, który śledząc prawa rozumu zbiorowego z życia samego wydobędzie naukę organiczną, będącą przez to samo prawdą i światłością.

(1) On the Regulation of Currencles.

(Dokończenie nastąpi).

UŁAMEK

Z PAMIĘTNIKA NIEBOSZKI.

(Ciąg dalszy).

Naśladujcie miłość, starajcie się o dary duchowe,
lecz najwięcej o to, abyście prorokowali.

Rozd. XIV do Koryntów.

Kończyłam rok piętnasty, kiedy się rodzice moi przenieśli na wieś.

Pierwszy raz ujrzałam świat za murami wielkiego miasta; świat bez ciasnych ulic, bez wysokich domów, bez okazałych a cuchnących śmiercią pałaców, bez ludzi nagich lub strojnych w kosztowne łachmany, bez cnoty, bez zbrodni, bez świętyń, bez więzień!... Świat, jakim go Pan Bóg stworzył: niepokalany, wielki, cudowny, harmonijny; w którym życie jest pieśnią uwielbienia, miłością, szczęściem!

Domek nasz drewniany, czysty, bielony, otoczony ogrodem, stał jakby w koszyczku na zieloném wzgórzu po prawej stronie Wisły, która szerokiém korytem rozlana płukała piaszczyste brzegi swoje, i hojnie podlewała wierzbowe kołki, przyszłe wiano dziewcząt nadwiślańskich.

Ojciec miał książki, matka gospodarstwo, ja, moję izdebkę na poddaszu, istną kapliczkę: czystą, cichą i poważną. Byłato cela ascety, pustelnika, jeżeli chcecie, w której praca i myśl były sprzętem i ozdobą. Z okna mego widziałam najprzód niebo, potem Wisłę, a duch mój płynął w niebo jak Wisła do morza niczém niewstrzymana, nieukrócona. Za Wisłą leżało miasto: grób starych a krwawych pamiątek, przed któremi się mimowolnie wzrok

i serce cofało. I były tam zapewne straszniejsze rzeczy od krwi saméj, bo lzy i cierpienia!! Dziwniśmy ludzie! dziwni. Patrząc na rany, na kalectwo, poczuwamy się prawie zawsze do obowiązku litości; a rany serca, a tęsknota, a zwątpienie, a trwoga o ukochanych i to wszystko co jest męką ducha, to się płaci śmiechem szyderskim!? Oburzamy się na krew, choć to krew tylko; a łzom urągamy, które są potem i krwią ducha naszego!!... Toż, kiedy kto syty, odziany i niebity, a cierpi i płacze krwawemi łzami, to nań świat patrzy jak na szalonego! Wy co płaczecie, nie dziwcie się światu; bo on tylko jest ciałem, a wy duchem jego; on błędem, a wy pokutą i odpuszczeniem błędu. Zrozumieć wam trzeba, że święci nie płaczą z bólu lub z niedostatku, ale płaczą jak Zbawiciel nad Jerozolimą i nad Łazarzem.

Jeszcze jedno moje dziwactwo. Oto nie lubię pamiątek murowanych, ani ręką ludzką z żelaza wykutych, które najczęściej bywają tylko urągowiskiem prawdy. Te pamiątki są żywe, te pomniki trwałe, które zbudowano w sercach i spadkiem testamentowym przekazano z pokolenia na pokolenie, z wieków na wieki! Kto czynem przeżył siebie, złym czy dobrym, ten sobie za życia zbudował wieczny pomnik hańby lub chwały; pomnik, którego wichry nie roztluką, woda nie zaleje, ogień nie spali. Mniejsza o mur, o żelazo, o drewno dla tych, którzy sobie nieśmiertelność życiem zawarowali. Jak na kogo... Na mnie, mury choćby stare, choćby pleśnią okryte nie robią wrażenia, nie dają życia, ale zniechęcenie. I dlatego ilekroć wyjrzałam oknem, wolałam patrzeć na świat żyjący, wiecznie młody, piękny i odradzający się sam z siebie jak ów ptak złotopióry, co z popiołów własnych zmartwychwstawał.

Patrząc na tę niezmierną świątynię Pańską, na ten panteon cudów wszechmocy Bożej, czułam jak mi ogień z piersi do twarzy wytryskał, i w uniesieniu zakrzyknęłam: Ojcie! Ojcie wielki! wielki! Zrozumiałam co to modlitwa, natchnieniem piękna wywołana, ale słów do niej nie było.

Słońce w dyamentowej koronie opromieniło dziedzinę ludzką, wszystko co było martwe, zimne i smutne, rozlało ciepłem, życiem, weselem. Wszystkie twory ziemskie pojmowały instynktem prawo Boże, i każde z nich znajdowało dla siebie dostatek rzeczy potrzebnych.

Kwiaty nie zazdrościły sobie barwy, woni, kształtów; nie wydzierają sobie wzajem ani światła niebieskiego, ani soków zie-

mi. Żywiły się w miłości razem, i dziękczyniły słońcu za światło, ziemi za pokarm.

Ptaki niebieskie leciały w niebo z wieścią o ziemi karmielce swojej i opowiadały słońcu o braciach do ziemi przykutych, którzy wzlecieć nie mogą, bo skrzydeł nie mają, a łakną promieni słonecznych.

Zwierzęta w jarzmo ludzkie wprężone ugiwały kark pod brzemieniem pracy i znoju; lecz nie czując w sobie przyrodzonej siły, któraby im to brzemień lżejszemu uczynić mogła, poddawały się w milczeniu woli pana swego, człowieka, który je za to ze wzgardą bydłętami nazywał. Biedne bydłeta! pomyślałam sobie; czemuś im Panie dał siłę, której ani uznać w sobie umieją, ani Ci za nią dziękują szczęściem i spokojem?!

Płazy i owady podziwiała siłę braci swoich w jarzmo ludzkie wprężonych, i litowały się ich niedoli, nie zazdroszcząc im darów Bożych.

Łąd i woda ustępowały sobie wzajem, niebo i ziemia wyciągały ku sobie ramiona, świeczniki niebieskie zapłonęły w przestrzeni, jasno, wspaniale, i stała się na chwilę cisza w przybytku Pańskim; gdy między niebem a ziemią, między Bogiem a tworcami jego stanął człowiek, i promieniem Bożym w piersi swój tlejącym oświałnął wszystko, co nierozumne i martwe. Stanął jako kapłan w świątyni Pańskiej, ciałem na ziemi, z myślą w niebo płonącą, i rzekł w modlitwie ducha swego:

„Panie! niech Ci się podoba udzielić mi darów potrzebnych, abym świątynię Twoję uchronił od wszelkiej zwały, i aby wszystkie dzieła rąk Twoich stały ci w niebo pieśń dziękczynną, a nigdy ku Tobie nie wzniosły skargi; bo skarga ich, byłaby potępieniem mojem. I daj mi Panie zrozumienie woli Twojej przedewszystkiem!..

A Pan mu odrzekł:

„Wola moją jest, abyś był szczęśliwym w niebie, na ziemi, i na każdym miejscu. Serce twoje uczyniłem rajem na początku; bo wszystko co z rąk moich wyszło, wyszło święte i czyste! W raju serca twego założyłem panowanie moje, i szczęście twoje, jako rękojmią przyszłego zbawienia w królestwie mojem! Dopóki bez trwogi patrzeć możesz w to serce, wierz: iześ zbawiony; lecz jeżeliś je w piekło zamienił, tego piekła nikt ci z piersi wydrzeć nie potrafi!.. A wszakże potępienców nie chcę ja na ziemi! Jam złego nie stworzył! Jam świętość zlał na dziedzinę ludzką, i świę-

tość z niej zbierać żądam! *A świętość jest tajemnicą!* Przeko mądrość ludzka wyczerpywać się będzie w dociekaniach; siłą dobierać się zechce człowiek do dna owjej przepaści; prorocy nie przestaną o niej prorokować; pobożni modlić się o nią we łzach i w postach, a wszakże nie objawi się ona nikomu, jedno ludziom czystego a gorącego serca, ludziom miłującym Boga i bliźniego; tym dane będzie zrozumienie zakonu i proroków, aby sami w Imię moje prorokowalił."

„A teraz synu człowieczy ktokolwiek jesteś, uczyć się będziesz zrozumienia słów moich po wszystkie wieki, bo słowa moje są doskonałością i celem twójego żywota!”

I zamilkł głos Pański.

A całe stworzenie odwodziło głosowi temu pieśnią uwielbienia: Święty! święty! święty!!

Lecz kiedy człowiek rozpamiętywał w ciszy serca swego niepojętą tajemnicę świętości, ozwał się w sumieniu jego głos inny. Ten głos wgrzyzał się jadem żmii, wsączał po kropli, i zwołna wypalał w sercu miłość Boga i bliźniego. Wtedy myśl człowieka pochylila się ku ziemi, i zamieniła się w gadzinę niecných pokus, aby mu kiedyś była przekleństwem; ta, co się w łonie samego Boga poczęła. I nadszedł czas, w którym mądrość ludzka rzuciła klątwę na myśl i uczucie.

Człowiek uwiedziony potępił w sobie boskość, tak, że serce stało mu się piekłem, myśl potępieniem, wola Boża kaźnią! a życie — śmiercią!

Aniołowie płakali w niebiesiech nad upadkiem człowieka; on jeden nie płakał nad sobą, upodobawszy sobie w nicości swojej, i powtarzał to jedno przez długie wieki: „prochem jesteś, w proch się obrócisz!” Odtąd nadzieja stała się dlań bluźnierstwem. I to mu tylko było wiarą, co widział; a to miłością, czego nie widział. Wierzył w złe obecne, bez nadziei w dobro przyszłe; miłował Boga niewidzialnego, a nienawidził brata w którym mu się Bóg uwidomił. Odtąd raj ziemski stał się padołem płaczu, a człowiek powołany do królestwa Bożego, został potępieńcem.

Kiedy mi się ten świat stworzony tak przed oczyma duszy rozwijał, patrząc nań, pomyślałam sobie: czyby mu nie lepiej było bez ludzi? i czy nie lepiej byłoby ludziom bez świata? I uczułam natychmiast, że myśl ta była bezbożną, że bluźniła najwyższej mądrości i przeciwiała się celom Stworzyciela. Myśl moja upokorzyła się natychmiast przed myślą Boga, ciemność ustąpiła światłości,

i zaczęłam się modlić najgorętszą modlitwą serca, aby mi Pan dał widzenie tego, co jeszcze być ma przed skończeniem wieków..., i aby otworzył przedemną drogę doskonałości, chociażby ta droga prowadzić miała pod górę Kalwaryi!.. Bo życie powszednie, cnoty powszednie, nie wystarczały żądzy mojej wielkiej jak świat, świętej jak zbawienie!

I zrozumiałam, że wydzieranie się ducha naszego z terażniejszości, to najczystsza modlitwa nasza; to poemat nadziei przeczący prozie rzeczy dokonanych, skończonych, terażniejszych i przeszłych!

Tak nas Bóg stworzył w mądrości swojej, że czego rozum nie wymyśli, to serce przeczuje, wywieszczy, wymarzy. Sercem też lecimy w przyszłość; pamięcią żyjemy tylko w przeszłości, rozumem w terażniejszości. A co z tego trojga najlepsze?... — Serce i przyszłość!... To też tylko ludziom serca, ludziom uczucia dane jest pożądanie i jasnowidzenie rzeczy przyszłych; bo i czémże byli prorocy wszystkich miejsc i wieków, jeżeli nie ludźmi uczucia?!

Ale powiadają nam znowu ludzie słabiej wiary a małych nadziei: „Czy my tylko wiemy napewno czego chcemy? i czy to, czego dziś najgoręcej pożądamy, osiągnięte w czasie, nie wyda nam się jako cacko złamane, żądzy mądrego człowieka niegodne?! Przecież to są rzeczy stare jak świat, powtarzane na każdej kartce dziejów ludzkości: *pożądanie, dobiecie się celu i zniechęcenie do rzeczy osiągniętej.*”

A ludzie silniej wiary odpowiadają im: „I cóż ztąd za wniosek? Wprawdzie, mędracy pewnego wieku wywiedli z tego najzgubniejszy dla człowieka system, to jest: — pogardę doczesności i rozbrat z życiem ziemskim; a całą nadzieję złożywszy w śmierci, stracili wiarę w odkupienie. Mybysmy sobie inaczéj chcieli wytłumaczyć te dziwne sprzeczności w duchowej naturze człowieka: my wolimy w niej widzieć rękojmnię postępowości; nie żądę osobistą, ale potrzebę udoskonalenia tego, co jest, w nieskończoność, w Boskość samą. A jeżeli nie poprzestajemy na tém, co w możności naszej uczynić obecnie, to dlatego, że duch nasz przeczuwa przyszłość doskonalszą, że się ku niej rwie pomimo woli naszej, że łaknie tego zbawienia, które dlań ojciec niebieski zgotował.”

Kto nie czuje w sobie tej żądzy, kto poprzestaje na tém co jest, i nic lepszego nie przeczuwa: tennie zna ani Boga, ani siebie.

Zakonodawcy wszystkich wieków, którzy, jako gwiazdy przewodnice narodów, od czasu do czasu pojawiali się nad ziemią ciemnościami okrytą, byli to także prorocy. Oni nigdy ducha ludów swoich w teraźniejszości nie zagrzebywali. Oni wzrokiem orłów przenikali odległe wieki, i w pełnych tajemnic wyrazach opowiadali maluczkiemu przyszłe królestwo Boże.

Każda księga mądrości zawiera właściwe duchowi swemu słowa *Vedasa*, których się Brama uczyć kazał mędrcom swoim do skończenia świata; a chociaż niejeden świat już przeminął, mędracy uczą się jeszcze i rozmyślają zawarte w nich tajemnice.

Z przybyciem na wieś rozpoczęło się dla mnie życie zupełnie nowe.

Muszę tu powiedzieć, jakim sposobem okoliczność napozór mało znacząca przekształciła wszystkie moje wyobrażenia; a jeżeli nie przekształciła, to przynajmniej nadała pewny, obmyślany kierunek bezcelnym dotąd marzeniom moim.—Aż do owej chwili, uczyłam się jak Pan Bóg zdarzył; mało czytałam, a mniej się jeszcze domyślałam, co by te stopy nagromadzonych po sklepach książek zawierać mogły. Ciekawości, jak na kobietę, miałam niewiele; może dlatego, że mi nianka kiedyś powiedziała: „Ciekawość, to pierwszy gradus do piekła”. Dziś radabym wiedzieć z kąd to podanie urosło?—Mniejsza o to. Dosyć na tém, że z natury niebardzo się rwałam do książek, a te, które mi w ręce przypadkiem wpadły, nie podlegały bynajmniej do zapamiętane go czytelnictwa.

W dzieciństwie mojem słyszałam nieraz, jak mężczyźni z ironią mówili o uczonych kobietach, jak same kobiety z przekąsem wymawiały wyraz *autorka*; wyraz, którego wóczas nie rozumiała, a który mnie jednak trwoga przejmował. Czemu?—Alboż ja wiem!

Otóż jednego wieczora kazała mi matka uporządkować książki pozostałe po s. p. dziadku moim. Było tam wszystkiego pod dostatkiem: i prozy, i poezyi, i filozofii, i teologii i historii. Kto inny byłby się ucieszył widokiem tylu ustawionych w szeregi i pięknie oprawnych rozumów ludzkich; mnie nawet pokusa nie brała dowiedzieć się nazwiska owych mądrych pisarzy. Było prawdziwie grzech niewiedomości; i dlatego musi znaleźć odpuszczenie. Otóż na samym spodzie szafy znalazłam dwie książki zhrudzone, prawie zdarte (snadź dużo i często odczytywane), w grubych okładkach, bez przedmowy i bez nazwiska autorów:

byłyto ewangelie i O Naśladowaniu Chrystusa. Księgi, jak powiadają, z nieba ludziom podane.

Nie spowiadając się z tego nikomu, wzięłam je sobie do mojej izdebki; najprzód zaczęłam przerzucać kartki, czytać od końca ku początkowi, potem od środka ku końcowi, a potem znów od początku. Niewiele mając narzuconych sobie z góry wyobrażeń, przystąpiłam ze swobodnym umysłem do rozpamiętywania wielkich prawd, wielkich tajemnic, które ludzkość z grzechów jej odkupić, i w królestwie Bożem zbawić mają. Dlatego więc tam, gdzie się pospolicie myśl ludzka cofa, kurczy i zwija trwogą i zwątpieniem przejęta: tam się przedemną rozwijał coraz jaśniejszy widnokrąg, coraz wspanialsza droga! Byłato jazda powietrzna po gwiazdach, po planetach, dalej ku słońcu, ku światłu, ku Bogu! Wszędzie mi było jasno, spokojnie, błogo: bom wszędzie widziała Boga wszechwładnym, mądrym, a miłującym stworzenie swoje!

Pierwszy raz w życiu objawiła mi się w książce prawda, którą w sobie i naokoło siebie czułam, alem jej z siebie nie umiała wydobyć na zewnątrz, ani ją sobie przedstawić w pewnych kształtach ziemskiego przeznaczenia. Jak dziś jeszcze dla wielu, tak dla mnie naówczas tajemnicze wyrazy pisma św. miały czysto abstrakcyjne znaczenie; zaledwie domyślałam się w nich zasady życia, a przecież na słowo Pana uwierzyłam, że one są zbawieniem tych, którzy mieć będą miłość.

Uwierzyłam, że obwarować prawdę jakimś czasem, lub jakimś miejscem, byłoby to samo, co ją zabić w duszach naszych; że położyć jakiś kres udoskonalenia się w miłości bratniej, czynić ją warunkową, od pewnych form zależną, byłoby to samo, co przeczyć jej potędze. Uwierzyłam, że im silniej wzrosnę w myśl i uczucie, tém bliższą będę Boga, źródła miłości i prawdy.

Spotkanie się moje z ewangelią na samym wstępie do życia, wpłynęło stanowczo na całą moją przyszłość i rozwinęło wrodzone usposobienie do cudownych marzeń. Nocy bezsenne schodziły mi na rozpamiętywanie słów Pańskich, które się coraz wyraźniej przedstawiały myśli mojej. Czytając o powołaniu wybranych, zdawało mi się, że i ja muszę być świętą; a świętość pojmowałam w pierwszej chwili mego nawrócenia, tylko w oderwaniu się od ziemi, tylko w najwyższym stoicyzmie serca! Szczęścia miałam zadość! więc cierpienia pragnęłam, aby się stać podobną temu, który cierpiał za wszystkich! Myśl puściłam w niebo, i modliłam

się o zrozumienie tajemnic, o dar proroctwa, o zbawienie; nie wiem czy własne, gdyż siebie nie czułam w modlitwie mojej i nie śmiałam prosić Boga za sobą i dla siebie, pomnąc na słowa Mistrza: „*Nie wiecie o co prosicie.*” Modlitwa była mi potrzebą, nie zasługą; i była taką, jak owe pierwszych zborów chrześcijańskich natchnieniem wywołane modlitwy, które dotąd świat bezmyślnie powtarza, bo nowych stworzyć nie zdolen!

Daj mi Boże! i daj wam Boże! żyć życiem takim w niebie, jakim ja żyłam na ziemi, kiedy Pan otworzył przedemną księgę żywota, jedną i drugą: księgę *prawa Chrystusowego*, i księgę stworzenia. Jam miała wówczas chwilę Mojżesza na górze Synajskiej, i chwilę uczniów Pańskich na szczycie Taboru, kiedy w zachwycie serca rzekli: „Dobrze nam tu!” Dziś mówię o tém, nie wątpiąc, że każdy powołany jest do królestwa niebieskiego; że i najgorszy i najlepszy z nas musiał mieć aby jedną chwilę w życiu, która mu niebem zapłonęła, prawdą zabłysła, miłością rozgorzała; inaczej, nie byłby człowiekiem stworzonym na podobieństwo Boże. Ta chwilka w życiu jest mu namaszczeniem i utwierdzeniem w wierze, ilekroć nań szatan pokusą zwątpienia uderzył!



Choćbym mówił językami ludzkimi i anielskimi a miłością bym nie miał, byłbym jako miedź brząkająca. I choćbym miał proroctwo, i wiedziałbym wszystkie tajemnice, i wszelką umiejętność, i wszystką wiarę, iżbym góry przenosił, a miłością bym nie miał: nicem nie jest.

Paweł św. do Koryntów, rozdz. XIII.

Mieszkając na wsi, mniej się podobno jest na ustroniu, niż w zgiełku wielkiego miasta. W mieście żyjesz jak ci się podoba, przyjmujesz kogo chcesz i kiedy chcesz; wolno ci w każdej chwili drzwi zamknąć przed nosem gości, zostawując im prawo odwetu, lecz nie obrażając bynajmniej ustaw modnego świata, gdzie się ludzie odwiedzają sami nie wiedząc na co i po co? Na wsi, znów rzecz inna. Jeżeli masz sąsiada jednego, drugiego a trzeciego, to obliczywszy się, znajdziesz zaledwie dwa dni w tygodniu bez zjazdu z łomokami, z dziećmi, z końmi, bodaj nie z całym inwentarzem ptasim i czworonogim, które ci dom do góry nogami przewrócą, spiżarnię wypróżnią, ludzi domowych umęczą, a ciebie samego na śmierć zanudzą; jeżeli *nota-bene* nie masz córek na wydaniu, w karty nie grywasz, i plotek nie lubisz.

Były i u nas takie zjazdy, rzadsze, niż gdziekolwiek, ale były. Żeby więc dać jakie takie wyobrażenie o życiu towarzyskiem, to jest o przyczynie zbliżającej ludzi do ludzi, a czasem *nie*ludzi do *nie*ludzi; muszę koniecznie, choć wiem że najniezgrabniej, odszkicować niektóre egzemplarze szanownych sąsiadów naszych.

Przyczyny zbliżające ludzi do siebie, stanowiące siłę atrakcyjną pomiędzy Pawłem a Gawłem, są najprzód interesa czysto materialne, potem widoki nadal, czasem ciekawość, czasem próżność, a zawsze wielki, żelazny egoizm, pod złoconą blaszką przyjaźni. Jednym słowem co dotąd wiąże ludzi pomiędzy sobą?... Oto—złoto, błoto, dym i śmieci! To mi cyment! To mi spojuja! I dlatego tak wszystko pięknie i szczelnie spojone?!

Więc mówmy o sąsiadach, jak można najgrzeczniej i najostrożniej, ale mówmy prawdę, historyczną, niezmyśloną prawdę.

Sąsiedztwa nasze podzielę na cztery strony świata, jak kiedy mowa o granicach państwa. Od północy mieszkał pan Kalasanty, wdowiec milionowy a bezdietny, jak opiewa legenda do robkowiec i dziediec pól rozległych, na którychby się same chwasty rodzić powinny, gdyby się sprawiedliwość boska zawsze objawiała w stosunku do zasług naszych, czyli, jak mówiono klasycznie, gdyby Jowisz nie był oślepił Plutusa na szkodę pocziwych ludzi... Pan Kalasanty byłto człowiek *co się nazywa*, postępowy; w wielu względach nie czynił jak drudzy, i miał swoją wolą: złą, czy dobrą, w to już nie wchodził. Uznana wyższość jego w całej okolicy da się najlepiej wytłumaczyć owém przysłowiem: *iz w królestwie ślepych, jednooki może być królem*. Owoż zacny ten obywatel nie grywał w karty, chociaż się do niego sąsiedzi na partye zjeżdżali; polowania nie lubił, bo chromał na prawą nogę i wzrok miał tępy; wina nie pijał, bo się lękał pedogry; ale piorunował na przesady, skupował nowe książki w pięknych okładkach; zaprowadzał maszyny dla oszczędzenia pańszczyzny, i gospodarstwo płodozmienne dla poprawienia gruntu; urządzał gorzelnie i pędził po 16 kwart okowity z korea kartofli; ustanowił miejscową monetę dla zapobieżenia demoralizacyi włościan, którzyby się inaczej na cudzej gorzałce rozpic mogli i wynosiliby gotówkę do sąsiednich karczem;—nakoniec zamyślał nawet o założeniu szkółki dla dzieci wiejskich, gdzie miejscowy organista wykładać miał nowy katechizm i nowy kodeks obowiązków parafii względem dworu i kościoła.

Byłto, jak widzicie, wzorowy gospodarz, człowiek *porządny*, sprężysty, może nawet nieco *zasprężysty*, kiedy chodziło o utrzymanie porządku w jego machinie gospodarskiej. We włości jego było wszystko pomalowane, ogrodzone, oczyszczone i utuczone, wszystko, — ludzi wyjąwszy; którzy w pomalowanych chałupach nie mieli się przy czém ogrzać na zimę, ani czém od głodnej śmierci zachować na przednówku.

Panowie obywatele rozmaicie mówili o panu Kalasantym: wyśmiewali, obmawiali za oczy, odgrażali się nawet na seryo, jeżeli się np. któremu worał w granicę lub zarwał przypadkiem kawałek lasu; ale zawsze miliony JW. Pana miały swoje znaczenie i chroniły go od procesów z uboższymi sąsiadami.

Oprócz wszystkich innych zalet, miał jeszcze sławę głęboko uezonego dyplomaty, bo czytywał gazety drukowane w pięciu europejskich językach, rozprawiał o zmianach ministeryalnych, domyślał się tajemnic gabinetowych i ze wszystkiego wyprowadzał wielkie wnioski, ważne wstrząśnienia, które z trójnoga delfickiej wyroczeni zaciekawionym sąsiadom swoim tłumaczył.

Co jeszcze?... Oto przesiedziawszy z chorą żoną lat kilka we Włoszech, rozbudził w sobie uwielbienie do sztuk pięknych, do muzyki, może nawet i do poezyi; tak dalece, że wróciwszy do kraju postanowił z synowicy swojej Jadwisi zrobić artystkę, chociażby go ta metamorfoza najwięcej kosztować miała. I stało się wkrótce zadosyć woli pana, gdyż po kilku latach mitręgi za granicą, powróciwszy do domu, zyskała Jadwisia szeroką sławę w całym powiecie, jako znamienity talent muzyczny. Sąsiedzi i sąsiadki zjeżdżali się tłumnie, aby podziwiać i uwielbiać to, czego zrozumieć nie mogli; a pan Kalasanty nie omieszkiał każdemu z przybywających opowiadać od jakich mistrzów synowica jego brała lekye za granicą, i wiele go to wszystko kosztuje.

— A jednakże—dodawał—zrobitem to poświęcenie, bo dla panienki wychowanie jest najpiękniejszym posagiem; a wiadomo każdemu, że wychowanie bez muzyki, dziś, kiedy wszyscy grają, żadną miarą obejść się nie może. Bogiem a prawdą, na rozumie nie każdy się pozna, a nawet nie wszyscy go lubią; ale z muzyką, panie! to gdzie chcesz zajedziesz: wszędzie cię przyjmą z otwartymi rękami, bo co odgłośne, to się ludziom podoba. Alboż nie widziano temi czasy niejednego głupca rozpierającego się ze skrzypcami na hrabiowskich i książęcych fotelach, kiedy znów niejeden

uczony i zasłużony za drzwiami wyczekiwać musi z biletem na prenumeratę nieśmiertelnego dzieła.

— Wielka prawda! — odezwał się poważny starzec — doszedłem jój doświadczeniem i pracą lat wielu; pisałem i drukowałem to, com w nocach bezsennych z młodzieńczego ducha wysnował, i nikt mi za to nie powiedział nawet: Bóg zapłać! Przyszedł czas, iżem się pogniewał na książki; a synom moim kazałem grać i tańcować, kiedy świat taki chory, że się odurzać musi, aby tylko boleści swoich zapomnieć....

— No, widzicie, panie Stanisławie, nie ubliżając wam literatom, książki i nauka sąto bez wątpienia piękne rzeczy; ale i to przyznajcie, że muzyka, że sztuki w ogóle niezmierny wpływ wywierają na ducha ludzkiego, że rozbudzają w nim uczucie i zamiłowanie piękna, że go czynią tkliwszym na cierpienia bliźniego....

— O! co do tego to przepraszam, i gotów jestem stanowczo zaprzeczyć tego zbawiennego wpływu muzyki na uczucie ludzkie. Nie teorią, ale doświadczeniem przekonany i nauczony śmiem twierdzić, że sztuki piękne w ogóle, a muzyka w szczególe, zaledwie działają na zmysły, na przytępione zmysły nasze! Działają na wzrok i na słuch, tak, jak inne przyjemności działają na smak i na powonienie. Gdyby było inaczej, gdyby sztuki piękne jakkolwiek wpływały na uszlachetnienie, na umoralnienie ducha naszego, toż ludzie otoczeni arcytworami piękna, ludzie napawający aż do przesyty zmysły swoje arcydziełami sztuki, powinni być archaniołami, cherubinami, serafinami wśród innych.. A czém są?.. to wiécie...

— Ależ, Mości Dobrodzieju, pan jesteś młody i występujesz z taką herezyą, wprawdzie dokumentną, ale zawsze sprzeciwiającą się opinii całego świata. Jak można nie lubić muzyki, kiedy ją świat cały lubi?! To istotne dziwactwo! Przecież drapieżne zwierzęta łagodnieją przy odgłosie harmonijnych tonów; przecież dzikie ludy nie obojętne są na dźwięki muzyczne, a pan zaprzeczasz stanowczo sztukom wpływu na uczucia.

— Zaprzeczam i dowodzę, że zwierzę drapieżne, że człowiek dziki ma tylko zmysły rozbudzone do przyjmowania wrażeń, i dlatego je tak, jako i my przyjmuje: łagodnieje na chwilę, ale swój dzikiój natury się nie pozbywa.

— Ależ panie! bój się pan Boga! Czémże byłaby Grecya bez muz swoich!? bez arcytworów sztuki!? Oneto usposobiły ją do

przyjęcia wiary świętej przez uwidomienie pięknych ideałów, któreby inaczej do jej ducha nie trafiły.

— Przepraszam panów, że śmiem tu występować z protestacją, chociaż bynajmniej do tego nieupoważniony; ale niech mi wolno będzie stanąć w obronie moich indywidualnych przekonań, chociażby te nie zgadzały się nawet z historią starożytnych Greków. W każdym razie niegodzi nam się zapominać, że czém była Grecya i jej muzy, tém my pod żadnym względem nie jesteśmy. Grecya tak żyła ideałami sztuki, jak my powietrzem. Muzy jej mieszkaly na Parnasie nie troszcząc się o byt materialny; i dobrze im było! Artysta grecki był artystą z natchnienia; duch jego miał siłę elektryczną przenikającą do głębi ducha narodu: wieniec bluszczowy i poklask ludu były mu chwałą i nagrodą. A nam, którzy mówimy o wpływie arcytworów sztuki na uczucie, nam ludziom zmysłowym i zmaterializowanym aż do rdzenia duszy, nam powietrze, wieniec, poklask nie wystarczą! I gdzież wątpliwość, że zmysłami tylko przyjmujemy wrażenie, które niegdyś ludy przyjmowały duchem z ducha artysty!?

— To wszystko prześliczne, mój panie Kazimierzu, ale strasznie niezrozumiałe! I co do mnie, podzielałam zdanie szanownego sąsiada, że z muzyką, czyto pannie, czy kawalerowi, otwarta droga w świat szeroki: bo grajkom wszędzie radzi, a uczonych nie każdy rozumie. Ja też to moim dziewczętom zawsze powtarzam, i trzymam nawet w domu Czecha, któregoś sobie umyślnie z Pragi zapisał, aby im w palce rozumu napędził.

— Jużto kiedy panowie sąsiedzi zaczną rozprawiać o wychowaniu swoich córek, to jest czego posłuchać—zawołał pan sędzia—Chcieliby z nich Salomonów porobić, a Bóg widzi, na nie się to nie zdało! Bo i te włoskie trele, i francuzkie *perle, perle*, nie dadzą chleba, kiedy go nie zasiejesz, i nie dadzą grosza, kiedy go nie zbierzesz!

— A wybac pan, panie sędzio, ale tak się niegodzi poniewierać talentami—zawołała z uniesieniem pani baronowa, niegdyś śpiewaczka opery lwowskiej—pan chciałbyś z nas porobić klucz-nice i kucharki! Już minęły te czasy i nie wrócą więcej.

— To i szkoda! Mościa pani baronowa! Bo co tam światu przyjdzie z tych waszych literatek i artystek? Co im z tego przyjdzie, że zostaną staremi pannami? Rozum i talenta, to rzeczy niepopłatne na szlacheckiej zagrodzie! Ani to kapitał, ani

hypoteka! ale o! próżność i dym!! No, wszak prawda p. Kazimierzu, coś tak pięknie dowodził, że te wszystkie *kopersztychy* i figurki, i kuranty, na licha się zdadzą!?

Pani baronowa zatuliła sobie uszy na takie bluźnierstwa i odeszła na drugi koniec salonu.

Tymczasem Jadwisia z promieniejącym obliczem usiadła do fortepianu. Ciżba wąsatych i brodatych pseudo-znawców okoliła ją murem, a wszyscy nadstawili ucha. Pan Kazimierz słuchał także. Pod jej drobnymi paluszkami jękała cała mechanika londyńskiego klawicymbału, podłoga zadrżała i odgłos uderzył o sklepienie. Wszyscy w uniesieniu dali huczne brawo. Rączęta Jadwisi skakały ponad klawiaturę; ona sama, stosownie do przyjętej dziś mody, przechylała się na lewo i na prawo, lub odskakiwała od krzeselka za każdym silniejszym akordem. *Capriccio* zakończyło się istnym napadem szaleństwa. Trwoga opanowała obecnych, bo harmonia zamieniła się w przeciągły huk piorunu!

Dla ludzi słabych nerwów, byłoby to cokolwiek za uciążliwe, za drażliwe.

Na złość p. Kazimierzowi, panie się popłakały, panowie ruszali wąsami, niby ze wzruszenia; szczęściem nikt nie umarł, jak niegdyś na przedstawieniu tragedji Sofoklesa w Atenach.

Po skończonym popisie panowie zasiedli do kart, panie do plotek, panienki do ploteczek i głupiuteńkich rozmówek o rozmaitych gałgankach, których nazwania nie pomnę.

Wrażenie muzyki przeminęło. Ludzie są tém, czém byli: ani lepsi, ani gorsi. To, co weszło w ucho, uchem napowrót wyszło, nie zbudziwszy żadnej szlachetnej myśli, żadnej pocziwej chęci, nie wywołałszy żadnego czynu miłości.

Pan Kazimierz przerzucając na stole jakieś mody paryzkie, głęboko się nad niemi zamyslił, aż go Jadwisia z ironicznym uśmiechem zapytała: czego tam szuka?

— Szukam wrażen — odpowiedział jej głosem politowania.

Panienki parsknęły głośnym śmiechem i wyniosły się do ogrodu, wiodąc za sobą cały szereg wielbicieli.

Są ludzie, którzy sobie życiem za życia piszą nagrobki, i oszczędzają potomności kłopotu o nekrologi: „Tu leży człowiek, który się urodził, ożenił i umarł”. A jeżeli się nie ożenił,

tedy pomiędzy dniem urodzenia, a dniem śmierci, bezpiecznie położyć można zero, jako wartość upłynionego życia. Nic pospolitszego nad takie biografie, jeżeli dodamy jeszcze w jakich się uczył szkołach, i czém zarabiał na chleb swój powszedni.

Takich ludzi nazywają powszechnie *bardzo pocziwemi ludźmi!* Oni nie przestąpili zapewne żadnego z dziesięciorga przykazań Bożych we względzie zakazu, ale się też nigdy nie domyślili, aby w prawie Boskiem, obok rzeczy zakazanych, były jeszcze i *nakazane* obowiązki. Ich nic na świecie nie zasmuciło, nie nie ucieszyło, do nikogo nie mieli nienawiści; ale też i nikogo nie kochali, nawet podobno i siebie!

Zwierzę się raduje i cierpi, kocha i nienawidzi; roślina czuje wpływ burzy, słońca i rosy; wszystko w naturze żyje wzajemnym pociąganiem, jednoczy się wzajemną potrzebą; bo warunkiem wszelkiego bytu jest życie, a życia warunkiem są czyny!

Nad mrowiskiem spokojnych ludzi nieraz grzmiały burze powietrzne, płynęły chmury po gwiazdach, krwawe i siarczyste deszcze spadały; a mrówki zbiorami zajęte nawet głowy ku niebu nie wzniosły, aby ujrzeć zkąd te cuda? te zjawiska? Im dobrze na ziemi, kiedy ciało niegłodne! O duszę, mniejsza troska.

Oh! nieraz przyszło mi pozazdrościć szczęścia tym ludziom, którzy nie znają ani smutku, ani wesela! Bo coto za męka kochać i zawodzić się, nienawidzić i cierpieć, cieszyć się i rozpaczać! To najkrwawszy, najzapamiętaleszy dramat odgrywający się na dnie ducha ludzkiego! Wszystko co się z niego na zewnątrz w pewnych kształtach objawia, niczém jest! bo co się łzami wypłaczę, co się skargą świata wypowiada, to jest zaledwie słabym odbłyśkiem burzy wewnętrznej!

Takimi pocziwemi a szczęśliwemi ludźmi byli sąsiedzi nasi od wschodu.

Pan Wojciech siał i zbierał, zapisywał pańszczyznę i sprzedawał wełnę; żona jego smażyła konfitury, urządzała wędliny i bielita płótno; panienki wyszywały kwiatki i ptaszki na wszystkich sprzętach domowych; panicze mieli ku zabawie konie, psy, strzelby i węgierze. Tam wszystkie dni tygodnia, i wszystkie dnia godziny były do siebie podobne; a ludzie poruszali się jak kółka w zegarku za pomocą ukrytej sprężyny.

Jeżeli piorun uderzył w sąsiednią wioskę, jeżeli grad zniszczył sąsiednie niwy, pan Wojciech wyjrząwszy oknem, mawiał

jak najspokojniej: „Stała się krzywda sąsiadowi z dopuszczenia Bożego, a więc nam się w to nie mieszać; niech sobie radzi jak może; my zostaniemy w domu, bo chmury bokiem przeszły.

Pani Wojciechowa obtarła suche oczy, panienki dalej rachowały ścięgi; i była znów cisza w rodzinie, jak gdyby grzech jakiś ciężył na sumieniu.

I zaiste był tam grzech, o którym przepomniano w katechizmowej nauce; a chociaż przepomniano, on się przecież odzywa w sumieniu naszym i oskarża o brak świętej miłości.

Dajmy pokój ludziom, kamieniom, a idźmy dalej. Jak ludzie apoplektycznych ratują od śmierci krwi upuszczeniem, tak my, umysłowo apoplektyczni, ratujemy się w walce przeciw innej śmierci, wypowiedaniem złych i dobrych myśli naszych; chociaż z góry przekonani jesteśmy, że się one nikomu na nic nie przydadzą; ale nam ciężą, nas bolą!

Wszakże umierać dobrowolnie za prawdę, której świat obecny bluźni i nie wierzy, jest największym heroizmem na ziemi! W świecie pogańskim jeden tylko Sokrates dał życie za nieuznaną ideę; w społeczeństwie chrześcijańskim niezliczone takiego heroizmu widzimy przykłady: i to się nazywa cierpieć za wiarę, za chwałę nieśmiertelną!

Ale idea, to myśl Boga przed stworzeniem świata,— to dopiero Genesis w przyszłości. Zaś trójcą żywota ludzkiego są owo troje: —myśl, słowo i czyn. Wszystko troje potężne, ale jedno bez drugiego zbawić niezdolne.

Myśl płynąca ze źródła światłości przedwiecznej napęłnia cudownie piersi człowiecze. Tam, pracą niewidzialną ducha wydziera się na świat:—pieśnią, słowem, skargą, gromem! Buduje i burzy. Aż nakoniec wypowiada swoje:—*Stać się!* I oto słowo staje się ciałem, rzeczywistością, czynem. Oto Genesis z metafizycznego pojęcia przechodzi w życie i objawia się ową troistą działalnością ducha, który słowem swoim stwarza świat nowy.

Bo myśl—to cień! A czyn miłości—to prawda wcielona

.

Wróćmy do ludzi, zawsze do ludzi, złych czy dobrych; i *gniewajmy się, ale nie grzeszmy*, sądźmy, ale nie gorszmy, i nie wynośmy się z tego, co nam dane jest zrozumieć przed innymi: bo dar proroctwa doskonały jest, lecz dar miłości jeszcze doskonalszy!

Poludniową sąsiadką naszą była wdowa po wysokim dygnitarzu, a ciotka owego pana Kazimierza, który jako odszczepieniec i prostak, pozwalał sobie ubliżać sztukom pięknym i artystkom, za co też wklęty został przez synagogę nowój Babilony. Pani dygnitarzowa była gwiazda cudowna przyświecająca całej okolicy wielką pobożnością; dom jej był prawdziwą kaplicą ustrojoną jak święty obrazek: wszystko tam było poświęcone i pobłogosławione, otarte o relikwie jakiego świętego, lub sprowadzone z cudownego miejsca. Jej oratorium; w którym długie na modlitwie spędzała godziny, byłoto istne pieścidelko upstrzone niezliczonym mnóstwem obrazków, krzyżyków, różańców i koronek różnokolorowych, srebrnych i kryształowych lampek, świeczników, relikwiarzy i ksiązek nabożnych, których treści nie pomnę. W tém błogim ustroniu, gdzie wszystko tak potężnie działało na zmysły, święta pani rozpamiętywała we łzach krwawe dzieje apostołów i męczenników Pańskich.

Wychowaniem jej czworga dzieci zajmował się ksiądz kapelan, i Francuzka sprowadzona umyślnie ze słynnego instytutu Sacré-Coeur w Paryżu; oprócz tego była w domu bona Angielka, Czech do muzyki, Włoch malarz do rysunków, i jeszcze jakiś reprezentant któregoś europejskiego narodu, do nauk przyrodzonych i do matematyki. Spodziewam się, że z takim zastępem uczonych ludzi, można było zdobyć i przyswoić sobie wszystkie umiejętności, a nawet dojść do stworzenia nowych jeszcze świata nieznanych! Być może. A jednak umiejętność, talent, nauka, to twierdza, niezawsze dająca się zdobyć złotem i kulami. Gdyby było inaczej, gdyby wszystkiego za pieniądze kupić można, gdyby dary Ducha Sgo sprzedawały się na wagę złota, to gdzież byłaby sprawiedliwość Boska? Wszak apostołowie darmo dawali, co darmo wzięli, i potępili symonię jako wbrew przeciwną idei chrześcijańskiej.

A my, cóż robimy? Oto powtarzamy za panią matką pacierz: „za pieniądze wszystkiego kupić można”, i na tej zasadzie otworzyliśmy sklepy na różnorodne towary, tylko że w nich zamiast owocu, często sprzedają próchno, świecące próchno!

Wychowanie człowieka, to zagadka Sfinxa, rzucona przechodniom ku pokusie w ich pielgrzymce ziemskiej; a rozwikłanie tej zagadki ma być człowiekowi śmiercią lub życiem! Któż ją dotąd odgadł i kto ją rozwikłał?

Jeżeli kamieniem węgielnym tej budowy ma być sama umiejętność; to się ród ludzki weźmie do stawiania nowój wieży Babelu i nigdy rozumu swego z niej nie wyplącze, choćby był olbrzymem

o stu głowach! Arcytworami sztuki chcecie rozbudzić w piersi ludzkiej uczucie, a rozbudzacie i drażnicie tylko stępione zmysły człowieka; formułkami filozoficznymi określacie mu jego przeznaczenie ziemskie, w ludzających obrazach przedstawiacie mu jego przyszłość nadziemską, do której ani na nogach, ani na skrzydłach dostać się nie może, i dziwicie się jeszcze, że on, biedny człowiek, samemi idąc manowcami, z pustyni zwątpień wybląkać się nie może!?. Zapalcie przed oczyma jego pochodnię wiary, okażcie mu ideał religijny w najwyższej praktyce życia, dajcie mu poznać prawdę w czynach miłości najwyższej, rozniećcie w nim iskrę żywota wiecznego:—a będzie człowiek, jakim go Bóg stworzył na obraz i podobieństwo swoje.

Ktoś powiedział: życie jest sztuką. Jabym powiedziała: życie jest naturą rozwijającą się wedle praw postępu, to jest według utajonej, do czasu, myśli Bożej. Ludzie zepsuli życie, stracili przed oczu cel drogi swojej; z tego co było dobrem najwyższem, zrobili złe najwyższe: i dlatego *drzewo wiedzy* stało im się grzechem, a życie—pokutą za grzechy.

Sąsiedzi zazdrośnym okiem spoglądali na wykwintną pobożność i wykwintną edukacją pani dygnitarzowej. Gdyby zazdrość nie była grzechem śmiertelnym, to zawsze byłaby głupstwem niesłychanym; a w tej okoliczności była jednym i drugim niezaprzeczeniem. Ojciec mój, mający u sąsiadów opinią literata, jako *człowiek książkowy*, wszędzie był mile przyjmowany, a z tej przyczyny i nam kobietom wszędzie byli radzi. Jeździliśmy przeto w odwiedziny ku czterem stronom świata, jak to zwykle bywa, żeby się pokazać i zobaczyć coś nowego.

Co do mnie, wypraszałam się od tych przejażdżek, jak od najcięższej kary. Nie byłam już dzieckiem, i nie byłam jeszcze panną na wydaniu: z dziećmi się bawić nie umiałam, a do towarzystwa dorosłych panien czułam wstręt nieopisany. Raziła mnie w nich szczególnie jakaś zalotna próżność, brak osobistej godności, czczość niesłychana w mowie; i patrząc na nie z boleścią myślałam sobie nieraz: I toż są ludzie?— I gorzko mi było z tą myślą. A na mnie, zapewne także z podziwieniem patrzano, i rówiennice moje szeptały pomiędzy sobą: cóż to za śmieszne stworzenie!

— Prawda że śmieszne! Grać nie umie, tańcować się nie uczyła, po francuzku nie mówi... Jak się ona w świecie pokaże, taka niezgrabna, nieśmiała; nie wiedzieć do czego podobna?

— Dajcież jej pokój — przemówiła z cicha panna Irena, córka dygnitarzowej—mama bardzo poważa jej ojca, bo to uczonego człowieka;

szkoda tylko, że same heretyckie książki czyta i ma stosunki z ludźmi wątpliwéj wiary. Ojciec Innocenty powiada, iż zbawienie jego duszy w wielkiém jest niebezpieczeństwie...

— To mnie tylko dziwi — przerwała panna Jadwiga — że człowiek uczony tak mało dba o wychowanie swéj jedynaczki, która guwernantki nie miała, i zaledwie lat parę była na pensyi.

— *A propos*, moja duszko, gdzież się podział wasz kuzynek? Czy zawsze taki dziwak? Ostatnim razem ślicznie się popisał na wieczorze u pana Kalasantego. Jadwinia nie może mu darować lekceważenia z jakim mówił o sztukach pięknych; stryjenka baronowa oburzona jest na niego. Ja nie pojmuję, jak wy się z nim zgodzić możecie!

— Kazimierz wyjechał na dni kilka do miasta, pokłóciwszy się przed wyjazdem z ojcem Innocentym.

— Ale, ale, wystaw téż sobie moja najdroższa, że ten przesłiczny Karolek, który się ostatniego kornawału chciał zatańcować, zrobił temi czasy niepojęte głupstwo. Pokochał się na zabój w staréj hrabiance, i cały jéj majątek w ciągu dwóch miesięcy przepuścił w karty. Familia hrabianki zrobiła mu proces, a teraz powiadają, że się biédaczek z kozy nie wykrepi.

— Czemuż się lepiéj nie ożenił z hrabianką dla załagodzenia téj sprawy? przynajmniejby honor ocalił...

— Jakżeż chcesz, kiedy mu Fruzia tak weszła w serce, że tylko dukaty hrabianki mogły mieć przed nią pierwszeństwo... Byłto figiel, nie więcéj.

— Piękny mi figiel, siedzieć w kozie za oszustwo! — odezwał się któryś z podsłuchujących mężczyzn.

— A cóż się stało z Fruzią, z tą śliczną sylfidką, za którą tak nasi panowie przepadali?

— Aha! biédna Fruzia! Tańcowała prawda prześlicznie, ale cóż z tego, kiedy nie miała posagu; tańcem téż majątku zrobić nie mogła. Chybaby weszła do baletu... A więc, koniec końców, żeby starą panną nie została, wydała ją ciotka za mąż, i jest teraz, ni mniej ni więcéj, tylko młodą żoną starego prezesa. Zawsze lepiéj, niż starą panną.

— Musi jéj być ślicznie w czépeczku!

— Ale przy starym mężu, bójcie się Bogal!

Panna Irena spojrzała na matkę i spuściła oczy; potém zmieniając rozmowę, przerwało:

— Oto pójdźmy, pokażę wam cudnej roboty wazon etruski, nadesłany mamie z Rzymu przez jednego z świętych kapłanów naszych, więcej jako relikwii, niżeli jako arcydzieło sztuki. Miał on być znaleziony w katakumbach pomiędzy kośćmi chrześcian, pomordowanych za czasów Dyoklecjana.

To mówiąc, panna Irena zaprowadziła swoje towarzyszek do gabinetu matki, gdzie poza adamaszkową karmazynową firanką, ukryty był ołtarzyk z alabastrowym krucyfiksem i Madonną Rafaela, a u stóp jego stał ów święty wazon etruski.

Panienci przykłęknąwszy na znak pobożności i uczczenia świętych relikwii, podziwiała gieniusz etruskiego snycerza; ale podobno nierównie więcej unosiły się nad koronkowym obruskiem pokrywającym ołtarzyk i prześlicznie haftowanym kłęcznikiem.

Panna Irena prowadząc swoje przyjaciółki do oglądania relikwii, chciała je natchnąć świętymi myślami i oderwać od rzeczy znikomych; lecz i tu się pokusa próżności znalazła.

— Ciekawam — odezwała się jedna — jak ludzie pozbawieni tych wszystkich prześlicznych ozdób, modlić się mogą? Zkąd oni biorą natchnienie? za co oni Panu Bogu dziękują, kiedy nie widzą świetnych darów Jego?

— Tamci—odezwał się ktoś w gabinecie—tamci modlą się w duchu i w prawdzie.

Panienci krzyknęły, a odsłoniwszy firankę zawołały wszystkie razem:

— A to zkąd pan Kazimiérz?!

— Jak zły duch przybywa—dodał młodzieniec z uśmiechem nawpół szyderskim.

— Cóżto się stało, że kuzynek dziś powrócił?—zapytała panna Irena.

— List odebrałem w drodze, i ten mnie do powrotu nakłonił. Ale nie trwoż się kuzynko, ja się dziś sprzeczać nie myślę; jestem i owszem w usposobieniu nader zgodném, i gotów jestem na wszystko z góry podpisać, wyjąwszy na to, czemu wchodząc w te progi zaprzeczyłem.

— Otóż jest! Spierać się nie chce, a znów wypowiada nam wojnę.

— Ja tylko moje zdanie objawiam, śliczna kuzyneczko, ale narzucać go nie chcę nikomu. Bo i coby mi z tego przyszło, gdybym kogo gwałtem chciał przekonywać? Ja w takie nawrócenie nie wierzę. Strach i słabość ducha, to zbyt krucha podstawa do mojej wiary!

— A jakieżże pan jesteś wiary—zawołała najśmielsza z dziewcząt—czy lussyta? czy hernhut?

— Odstępujemy od rzeczy. Panie mówicie o religii, a ja o wierze; trzeba nam tę kwestyą subtelniej rozebrać...

— Mój kuzynku, my się nie znamy na niemieckiej filozofii i nie wytrzymamy z tobą dysputy; a zresztą niewolno nam wchodzić w takie sprzeczki, bo mogłaby na tém religia ucierpieć...

— Prawo Mahometa każe swoim prawowiernym odpowiadać mieczem na zarzuty innowierców; panie chcecie mi odpowiedzieć milczeniem: niech i tak będzie!

— Oto lepiej mówmy o czém inném, mój kuzynku. Powiedz nam, na przykład..... coś takiego, żebyśmy się nie posprzeczali. Oto, co widziałeś najpiękniejszego w czasie twoich kilkoletnich wędrówek po świecie??

Kuzimiérz przyłożył palce do czoła, jakby sobie chciał coś przypomnieć, a potem rzekł najspokojniej:

— W ludziach, czy w naturze?

— Oh! znowu z takim pytaniem!

— Ja potrzebuję wiedzieć, na co mam odpowiadać.

— Niech i tak będzie! a więc w naturze.

— W naturze wszystko jest piękne, o ile ludzie natury nie zeszpecili; ale najpiękniejsze to, co stanowi harmonią świata, to, co wywiera dobroczynne wpływy na rozwój życia...

— Dobrze, ale cóżto jest? to...

— Poczekajcie, moje ładne panie; ja rzeczy odrazu nie nazywam po imieniu, bo rzeczy wielkie, same sobą wypowiadają swoje nazwanie: one nie potrzebują żebyśmy je chrzcili po naszymu... Same panie powiedzcie jak się zowie to, co jest piękne dobrocią, a dobre piękném, co daje życie i szczęście, co zdoła, cieszy, wznosi, krzepi i daje zbawienie duszom naszym na żywot wieczny..?

Panienki się nie śmiały, bo pan Kuzimiérz mówił bardzo poważnie.

— Cóż to jest? Świat odpowiada: Bóg; a Bóg czém się ludziom objawił? czém się Chrystus objawił światu? To właśnie najpiękniejsze jest w naturze rzeczy stworzonych, a nazywa się—miłością.

Panienki pospuszczały oczy, i nie śmiały pytać dalej, bo im wytłumaczono, że *miłość* a *grzech*, to jedno. Ale że w mowie młodzieńca, że w głosie jego był jakiś niewypowiedziany urok prawdy, jakaś anielska czystość myśli; więc założywszy rączki, śmieliej spojrzwały mu w oczy, i rzekły:

— To bardzo piękne co pan mówisz. Tak, jak gdybyśmy śliczną jaką książkę czytały..... albo poezją naszój wielkiój poetki!

— Ależto i poezya i książka jest miłością kiedy oświeca, poprawia, leczy i uszczęśliwia.

— A więc czemuż są tacy, którzy nam się każą wypierać tego, co jest takie piękne i dobre!

— Czemu? bo oni sami zespecili piękno, i zepsuli dobro; tak, iż pod brzydką, obrzydliwą łupiną, zdrowego jądra poznać nie można.

— No, ale co tam! A w ludziach, w ludziach, co najpiękniejszego widziałeś pan, panie Kazimierzu?

— W ludziach? widziałem to samo, co i w naturze. Szukałem, wszystko brałem w rękę, do wszystkiego przykładalem natężone ucho. Smutno powiedzieć czegom się doszukał:—wiele dymu ponad bryłami twardego lodu; a uchem, dosłuchałem się odgłosu *brzających miedzi*. I rozumiałem że to już wszystko! że nie tam pięknego nie masz. Aż poznałem człowieka, który cierpiał długie lata; cierpiał nie za grzechy swoje, bo jemu cierpienie jeszcze było rajem! Utracił zdrowie, rodzinę, przyjaciół; znosił niedostatek i obelgi zaślepionój tłuszczy; zabrali mu wszystko, tylko duszę w ciele zostawili skazując ją na tęsknotę, zwątpienie i rozpacz. Tój duszy w otchłani uwiezionój tak było ciasno, i tak gorzko, że się modliła krwawemi łzami o ukrócenie męki, jak Chrystus pod drzewem oliwném i z wyżyn Golgoty wołał do Ojca prośbą i skargą! Aż ulitował się Ojciec boleściom tego człowieka, i rzekł mu: „Cierpisz, bo nie kochasz.“ A z temi słowy zstąpił na męczennika jasny promień niebieski, który piersi jego niewymowną napełnił słodyczą; boleści jego osobiste, obecne, zmalły na ziarno gorczyczne w przestrzeni miejsc i wieków, tak, że ich nie czuł, bo widział miliony podobnych sobie istot wyciągających ręce z téjże samój otchłani! I chrzest miłości spłynął na rany jego cudownym balsamem. Człowiek męczennik całą duszą ukochał cierpiących braci swoich; umarł dla siebie—dla nich ożył! Uczucia w piersi nie zamknął, nie zmarnował, ale wylał je na całe obumarłe stworzenie pieśnią życia, ukojenia i pociechy.

Człowiek ten wśród ludzi był najpiękniejszym, bo cierpiał jak męczennik, a kochał, jak Bóg!

Siedząc w najciemniejszym kąciku przyległego salonu, przysłuchiwałam się téj rozmowie z szczególném wzruszeniem, bo usłysza-

łam własną myśl moję wypowiedzianą z takim zapalem, z takim przekonaniem, że w nią koniecznie uwierzyć było trzeba.

Tego samego dnia, wieczorem odczytując sobie listy świętego Pawła do Koryntów, natrafiłam przypadkiem na ów przecudny rozdział o miłości, jako cnocie najwyższej a wiecznej, mającej przetrwać nadzieję i wiare samą.

Gdy w milczeniu rozmyślałam nad słowaniami pisma, usłyszałam w tajni ducha mojego jakoby głos mówiący te słowa:

„A podstawą wszystkiego, końcem wszystkiego jest miłość.“

„A zhawieniem, a życiem wiecznym, a królestwem Bożem jest miłość w najwyższym onęj pojęciu, w ostatecznym zjednoczeniu Boga z ludzkością wszechświatów, wszechplanet, gdziekolwiek myśl i uczucie zapanowało nad ciałem rzeczy stworzonych!“

„Alfa i Omega wszelkiego bytu teraz, zawsze i po wszystkie wieki!“

A serafinowie odwóczyli w niebiesiech: Amen, Amen, Amen!

(Dokończenie nastąpi).

ZBURZENIE JEROZOLIMY.

Skonał Jozyas, skonała z nim cnota,
Wiara się w nierząd, cześć w hańbę zmieniła;
Siegnęli nieba i padli wśród błota,
A złość ich trądem zbrodni owrzedziła.

Dwa razy brzmiały dla nich słowa wieszcze,
Dwa razy wrogi kraj judzki zalali,
A Bóg wszechmocny przebaczył im jeszcze,
Wstać im pozwolił—oni z hańbą wstali!

Trzech królów siadło na tronie Judei,
Trzech królów słabych, bez wiary, bez cnoty;
Każdy żył marnie, każdy padł z kolei,
I wniósł następcy spuściznę sromoty.

Czwarty Sedekiasz ujął rządu wodze:
Staby jak inni, jak inni skalany,
Wstąpił w tor złości, szedł po zbrodni drodze,
I jadem swoim zjątrzył ludu rany.

Wtedy Jeremiasz przyszedł po raz trzeci,
I zabrzmiał straszny gniewu oburzeniem;
On wpiérw przestrozę niósł dla słabych dzieci,
Dziś groził śmiercią, hańbą i zniszczeniem.

„Gdzie Bóg twój?“, wołał „o niewdzięczne plemię,
Bóg, który wznosił cię nad wszystkie narody;
Który twym ojcom dał tę piękną ziemię,
I bujne pola, i wspaniałe grody?“

„Gdzie Bóg twój, królu, co krwi nieskalanej
Rodu Dawida wznosił tron okazały?
Na którym z tylu pokoleń wybrany
Szczep ojców twoich, zabłyś światłem chwały?“

„Gdzie Bóg wasz, ludy, gdzie Bóg wasz, kaptany,
Który świat stworzył i słońce co świeci,
Który w swym blasku chwały niezrównany,
Wyrwał was z błota i kochał jak dzieci?“

„Bóg wasz:—źdźbło piasku, garść prochu zbutwiała;
Bóg wasz:—kłęb dymu, pęk liści, snop trawy,
Bóg wasz:—to drewno, kruszec albo skała,
Zwierz, ziemia, robak, lub też gad plugawy.“

„Hańba ci, hańba, o rodzie szalony,
Cześć grzebać w błocie, hołd mieścić w kamieniu,
Dym marny święcić, zwierzom bić pokłony,
I widzieć Stwórcę w nikczemnym stworzeniu!“

„Hańba ci, hańba, o tłuszczo złowroga!
Nieba nie sięgniesz, chcesz zbrodnią mićć w niebie;
Sama nikczemna, chcesz znikczemnić Boga,
By skalanego unżyć do siebie!“

„Drżj Judo! czas już, by z haniebnych czynów
Wzrósł owoc kary na gruzach zniszczenia,
I krwią zwilżony dla przykładu synów,
Zakwitł wśród mieczów, dojrzał wśród płomienia.“

„Drżj Judo! Bóg rzekł: wyniszczę tę ziemię,
Która mą ziemią przez tyle lat była:
Przeklnę te ludy, wytracę to plamię,
Gdzie się cześć moja w sprosnej czi zhańbiła.“

„Drżj Judo! zginiesz—wróg ciebie zaleje
Falań orężów i morzem płomieni,
I lew pogromczy porzuci Chaldeję,
I kraj rozkoszy w pustynię zamieni.“

„I twierdze padną, i miasta, i mury,
I zmilkną ptaki, i zwieądnie liść w lesie;
Gad tylko z gliszczów wypełźnie ponury,
I robak z trupów waszych się podniesie.“

„Słyszycie szum fal—jak piętrzą się morza,
Słyszycie trzask drzew—jak palą się miasta?
Na was to, na was, bałwan wstaje z łoża,
Na was to, na was, płomień zguby wzrasta!“

„Słyszycie grzmot chmur—jak huczy donośnie,
Słyszycie ryk lwa—jak z echem gór płynię“

Na was to, na was, burza zniszczeń rośnie,
Na was to, na was, lew rzuca pustynie!“

Mówił wciąż prorok; a jak nurt spieniony,
Jak trzask pożaru, szum fal, świst płomieni,
Jak hurkot gromu, jak lwa ryk szalony
Grzmiał wieszczem słowem głos jego w przestrzeni.

A gdy już skończył, rozległ się dokoła
Chór złorzeczenia z okrzykiem szaleństwa;
I tłum nikczemny wzniósł zhańbione czoła,
Zaszemrał?głucho, i parskł w śmiech szysterstwa:

„Szalony człeku!—krzyknie lud zuchwały—
Ten mur zbyt silny, zbyt twarda ta skała,
Ten most zbyt ciężki, zbyt grube to wały,
By ręka wrogów pokruszyć je miała.“

„Gród nasz stać będzie, jak od wieków stoi,
Miecz go nie dotknie, płomień go nie strawi;
Żadna moc naszych nie sięgnie podwoi,
Zaden strach ludów naszych nie zniesławi.“

„Ty drżysz nikczemnie, ciebie mara ludzi,
Mami widziadło, bojaźń i szaleństwo;
Przejęty twogą, chcesz twogę wlać w ludzi,
Wybladły strachem, chcesz w strach zmienić męztwo.“

„Więdz jednak, jaka otchłań nas oddziela:
Ty gniesz się słaby—my siłą jaśniejem;
Ciebie strach hańbi—nas męztwo ośmiela;
Tyś padł—my wzrośli; ty drżysz—my się śmiejem!“

„Ty zniewieściały truchlejesz tajemnie,
Ty mocy w Bogu, siły szukasz w niebie;
My łaski Boga nie żebrzem nikczemnie:
Sobą potężni—wielbim tylko siebie.“

* * *

Mijają doby, godziny wciąż płyną:
To brzask się rodzi, to powstają cienie,
I z dobą każdą, i z każdą godziną,
Groźby proroka zbliża się spełnienie.

Każdy prąd wiatru strach w swym szumie niesie,
Każdy głos tworzą strach w swym dźwięku płodzi;
Strach huczy z falą, drży z liściem po lesie,
Splata się z echem, z grzmiotem chmur się rodzi.

Strach płynie wszędzie z obawą tajemną,
 Strachem przejęty zwierz w bory się chrooi;
 I gad straszliwy pełźnie w grocie ciemną,
 I potwór morski zagłębia się w toni.

Strach z słońcem wschodzi, strach z mrokiem się szerzy,
 Z bałasem rośnie, skupia się z milczeniem;
 Wszystko drży strachem—a człowiek nie wierzy,
 Szczęsny, wesoły, brzmi rozkoszy pieniemi!...

Jemu się wiara marzeniem wydaje,
 W nim hańba enotę, złość czucie zwycięża;
 I czas nadchodzi, w którym wyżej staje
 Instykt zwierzęcia, od rozumu męża!

I czas nadchodzi, w którym wola Boga
 Straszne przyszłości spełni przeznaczenie,
 W którym z rozkoszy wyrodzi się trwoga,
 W którym z potęgi wyrośnie zniszczenie!

I przyszła chwila: a w całej Judei
 Pogromczym mieczem zabrękli mściciele,
 I wielki władca potężnej Chaldei,
 Groźbę w czyn zmienić, w jęk śmierci wesele.

A ród Jakóba, jak ów mąż szalony,
 Co nad przepaścią w sennych legł marzeniach,
 Powstaje nagle, chwicje się strwożony,
 I ginie w czarnej otchłaui przestrzeniach.

Łza—tarczą jego; pociskiem—błaganie;
 Mieczem—krzyk żalu; rozpacz—siłą dłoni;
 On nawet z męztwem upaść nie jest w stanie,
 Bo walczy hańbą, sromotą się broni.

Żebrze litości, przebaczenia prosi,
 Gnie słabe karki, blade chyli czoła,
 I jęczy trwogą, i łzą ziemię rosi:
 On żyć nie umiał—on umrzeć nie zdoła!

O straszna, straszna godzina zniszczenia!
 Pada ród cały, całe plemię ginie,
 Cała Judea krwią się rozczzerwienia,
 Krew w piaskach krzepnie, krew rzekami płynie.
 W morzu krwi staje gród z wieków wspaniały:
 Ni wielkość siły, ni nędza słabości,
 Ni matka, dziecko, ni starzec zgrzybiały
 Wybrać sobie nie mogą litości!

I noc nadchodzi, a wśród nocy cieni
 Błyska punkt mały na czarnej oponie,
 I świeci zdala, jak gwiazda w przestrzeni,
 I niby gwiazda wśród warstwy chmur tonie.

Wnet za nim drugie światelko wyrasta,
 I trzecie, czwarto mrok nocy przebija;
 I sto światełek zabłysło wśród miasta,
 I sto płomieni w cieniach się rozwija.

I każdy płomień podnosi się w górę,
 Kręci się, wije, migocze, czerwieni:
 Raz w siebie wchodzi, raz wystrzela w chmurę,
 Zuów przyska w koło tysiącem promieni.
 I w krocich ramion płynie fal miliony,
 I rosną fale, i huczą donośnie;
 Świszczą płomienie, grzmi żywioł szalony,
 I morze ognia w straszny pożar rośnie!

Znika cień nocy z posępną powłoką,
 Jaskrawym prążkiem okala się chmura;
 I gdzie myśl sięgnie, gdzie dostrzeli oko,
 Wszędzie w żar łuny łśni złota purpura.

I z wolna z cieniów powstał blask czerwony,
 Blask, który nędzę i cierpienia płodzi,
 Blask, który niesie w sobie łez miliony,
 Z którym śmierć rośnie, z którym jęk się rodzi.

A razem z blaskiem zawyło straszliwie
 Tysiące głosów w krzyk zgrozy, szaleństwa;
 I tysiąc jęków dziko, przeraźliwie,
 Okropnym chórem zagrzmiało przekleństwa.

Trzasnęły mury, wieżo się zachwiały,
 A z gmachów nowe wytrysły płomienie;
 I ogrom ognia potężny, wspaniały,
 Wzniósł się poważnie pod niebios sklepienie.

I pożar straszny wzbijał się do góry,
 I wzrastał wkoło pomrok dymu ciemny,
 I z siwych kłębów rozlewał się chmury,
 I nikt powoli w przestrzeni tajemnej.

A jak wśród burzy załśni niebo blaskiem
 I grom wyleci z chmur posępnych łona; a;
 Tak w kłębach dymu z przeraźliwym trzaskiem,
 Runęły mury grodu Salomona.

I krocie iskier do góry wytrysło,
 A obłok dymu skrył wszystko swym cieniem;
 Lecz wkrótce w dymie nowe światło błysło,
 I nowym ognień wystrzelił płomieniem;

Nowy gwar zawrzał, nowe krzyki wzrosły.
 Nowy błysk ciemnię rozświecił z kolei,
 Nowe się jęki z płomieni podniosły,
 I nowy pożar załał gród Judeil

Ogniul kto ciebie pojmie i określi,
 Kto marność zbada, kto wielkość osławi,
 Potęgi słońca czyje sięgną myśli,
 Czyj rozum w drobnej iskierce się strawi?

Ogniul tyś wielki i nikiemny razem!
 Przed chwilą czczony, stajesz się przeklętym;
 Siłą zniszczenia—tyś piekła obrazem,
 Potęgą życia—darem niebios świętym!

Ty plag tysiące niesiesz w iskrze małej,
 Ty z szumem wiatru w straszny pożar płyniesz;
 A gdy się zdaje że świat strawisz cały,
 Kroplą wilgoci znów w iskierce giniesz!

Męczarnią śmierci wyrastasz z płomienia,
 Rozkoszą życia sptywasz w blasku z nieba;
 Ogniul! obrazie łaski i zniszczenia,
 Ciebie i wielbić, i potępiac trzeba.

* * *

Przygasły światła, zniknął dym w przestrzeni,
 Ustały krzyki, gwar się w ciszę zmienił;
 I wyjrzał księżyc z chimur posepnych cieni
 I blade światło nocy rozpromienił.

A tam, gdzie piękny gród wznosił swe mury,
 Gdzie brzmiał śniéché szczęścia i wesela pienie,
 Z kopconych zgliszczów został gruz ponury,
 Trupy, krew skrzepla, i głuche milczenie.

Tylko gdzieniegdzie posepny, czerwony,
 Wyrosł płomyczek na gmachów ruinie:
 Podniósł się, błysnął, zachwiał w różne strony
 I znikł wśród gruzu w rozwartéj szczelinie.

Tylko gdzieniegdzie, przy belece, przy murze,
 Siny dym srebrnym wystrzelił promykiem,

I rosnąc zwolna fałdował się w górze,
I rzedniał lekkim rozwtany wietrzykiem.

Czasem iskierka z popiołów trysnęła,
Czasem coś zdala w gruzach zatrzeszczało;
I znów zmilkł turkot, znów iskra zniknęła,
I znów się głucho milczenie rozlało.

I zwolna w górze pod niebios sklepieniem,
Zaszeleściło ptasich piór tysiące:
I chmara kruków zakryła swym cieniem,
Nocnego światła promienie mdlejące.

I nad śmiertelnym zniszczenia padolem,
Złowieszcze płastwo w gromady się skupia,
I w długich skrętach płynie czarnym kołem
Tam, gdzie je wabi zgnilizny woń trupia.

A na opoce, pośród gruzów stosu,
Siedzi potomek zgasłego narodu.
I płacze braci nieszczęsnego losu,
I płacze ojców wspańskiego grodu.

Ten cień przeszłości — to Jeremiasz stary,
Co całe życie brzmiał słowem zbawienia;
A dziś, gdy grzesznym nieść nie może wiary,
Trupom przynajmniej niesie łzę cierpienia.

„O Jeruzalem! ojców moich grodzie,
Córo Syonu, chwało Salomona!
O wielki, święty Jakóba narodzie,
Gdzie jest cześć twoja, gdzie twoja obrona?“

„Próżno cię szukam strapiiony dokoła,
Próżno nad tobą boleję i płacę;
Próżno myśl moja z rozpaczą cię woła,
O Jeruzalem, już cię nie zobaczę!“

Rzekł, trzasły mury, i błysły płomienie,
I chmara kruków wzbiła się wysoko;
I znów się głucho rozlało milczenie,
A on samotny podumał głęboko:

„Corko Syonu! zaparłaś się cnoty,
Przed czią bałwanów ugięłaś kolana,

I wstał z ołtarzy świętych cielec złoty,
I potysk kruszczu przyemił chwałę Pana.“

„Sromota z ojców spłynęła na synów:
Wykwitł trąd złości z nieczystego łona,
A pośród hańby niegodziwych czynów,
Runęłaś własną sromotą strawiona.“

„O Jeruzalem! ni obronne wały,
Ni Bogi cudze, ni siła ramienia,
Ni moc, ni oręż, wznieść cię nie zdołały:
Bóg chciał—i padłaś, wśród gruzów zniszczenia!“

Rzekł, spuścił głowę, i załamał dłońie,
I jęk tłumiony skonał w piersi skrycie,
I ból okropny zawrzał w spiekłym łonie,
I łzy po twarzy spłynęły obficie.

„O Jeruzalem! już twoje kapłany
Nie mogą świętój nieść Bogu ofiary;
Brzmi krzykiem żalu lud z ludów wybrany,
Wala się w prochu przybytek twój wiary.“

„Biędna sieroto, opuszczono dziecię!
Ty łzami zrosisz stopy obcych ludzi,
Ty płacz rozniesiesz po obszernym świecie,
A żadna łezka litości nie wzbudził“

„Zdarto twe szaty, o córko Syonu!
Sława twa w gruzach, cześć twoja w popiele;
Śmiech twój się zmienił w bolesny jęk zgonu,
Łaska w przekleństwo, w płacz zgrozy wesele.“

„Padły twe gmachy, runęły twe mury,
Wymarli męże, znikły pokolenia
Świętego grodu. O zgliszczu ponury,
Stoisz jak szkielet w pośrodku zniszczenia!“

„Pałace twoje—mieszkanie puchaczy;
Świątynie—gadów; gmachy—żmij siedliskiem;
Każda krwi kropla gruz twój hańbą znaczy,
Tyś zgrozą swoim, wrogom pośmiewiskiem!“

„O Jeruzalem, chwało Salomona!
Wzrost twój był szczytnym, straszna twa zagłada;
Powstałaś święta, runęłaś zhańbiona.
O Jeruzalem, biada tobie, biada!“

Zapłakał starzec, a przy nim ponuro
Trzasnęły mury, błysnęły płomienie;
I błądy księżyc ukrył się za chmurą,
I smutne nocy rozlały się cienie.

I chmara ptastwa, z przeraźliwym głosem,
W czarnej do trupów spłynęła gromadzie;
I świerszcz samotny pod kamieni stosem,
Żałośnie krwawej zanucił biesiadzie.

Brzmiał gwar złowieszczy zniszczeniem wokół,
I budził echa ponure z kolei;
A starzec zamilkł, skrył w dłonie swe czoło,
I płakał biedny nad zgubą Judei!...

Pisałem w Radoszewicach,
dnia 19 marca 1851 r.

Ludwik Niemojowski.



WSPOMNIENIE

O DAWNÉJ MIEJSCOWÉJ OPIECE NAD UBOGIEMI.

Od pierwszych wieków chrześcijaństwa, politowanie nad cierpiącym i nieszczęśliwym, tudzież świadczenie mu miłosierdzia, należało nie tylko do cnót, lecz do głównych obowiązków wyznawców wiary Chrystusa.

„Estote misericordes, sicut et pater vester misericors est. Luc: VI, 36. Misericordiam volo et non sacrificium. Mat. IX, 13.”

Ze ścisłości tego obowiązku i przypuszczenia, że każdy prawdziwie pobożny chrześcianin wypełniać go musi, powstało to mniemanie, że dla zaradzenia niedoli ludzkiej, dosyć jest odwołać się do miłosierdzia chrześcijańskiego, i że nie ma potrzeby urządzić opieki nad ubogimi, których utrzymanie dary zamożniejszych dostatecznie opatrzyć potrafią.

Są dziś zkądinąd bardzo szanowni i znakomici ludzie, którym się zdaje, że zajmowanie się losem ubogich i zaopatrywanie ich potrzeb, ani współdziałania władz rządowych, ani ich pośrednictwa nie wymaga; są inni co utrzymują nawet, że mieszanie się do tego władz rządowych, zamiast polepszać, pogarsza przykre położenie ubogich. U ludzi tego rzędu zakorzeniło się głęboko przekonanie: że ubodzy sami sobie pozostawieni, z ufnością polegąby mogli na pomocy, którą im społeczeństwo z własnego natchnienia nieść jest w gotowości, gdyby tylko chrześcijańska jałmużna żadnej przeszkody nie napotykała, i gdyby się więcej starano wpajać i rozkrzewiać miłosierdzie, z zasad i obowiązków religii płynące.

W doświadczeniu wszystkich wieków i krajów nie sprawdziły się te mniemania. Owszem, przekonano się, że litość i dobroczynność ulegać muszą, podobnie jak wszystko inne, stałym zasadom porządku: bo wszędzie okazało się, że miłosierdzie prywatne nie tylko samo nie

zaradzało nędzy, ale nawet mniej świadczyło, jakby przy połączonych siłach i przy stosownem i trofném urzędzeniu opieki nad ubogimi świadczyć mogło.

Dziś opieka ta we wszystkich ucywilizowanych krajach stonowiąc jedną z ważnych nader gałęzi służby rządowej, zatrudnia wszędzie wielką liczbę dobrze myślących i należycie uzdolnionych ludzi. Obowiązki tych, co się nią zajmują, chyba tém tylko różnią się od innych służb rządowych, że tutaj nie przewodniczy chęć wyniesienia się, ani jest zachętą nadzieja otrzymania nagród; tylko sama czysta miłość bliźniego, jednajaca zasługę przed Bogiem, do gorliwości i poświęceń pobudza.

Lecz nie dzisiaj, nie od kilkadziesiąt lat, ale od kilku nawet wieków istniało także przekonanie, że władza zwierzchnia ma obowiązek zajmowania się opieką ubogich, kierowania miłosierdziem i dobroczynnością prywatną.

Czy, jak to dawniej miało miejsce, władza ta była duchowną, czy też jak dzisiaj, jest wypływem władzy rządowej, zarówno duchownym jako i świeckim do wykonania poruczoną; dosyć, że oddawna już była w krajach zmierzających do ustalenia porządku towarzyskiego jakaś zwierzchność, która urzędzała opiekę nad ubogimi, i czuwała nad ściśłym wypełnianiem przepisów ludzkich względem miłosierdzia chrześcijańskiego.

Nie sięgając podać historycznych obcych krajów, zamierzylśmy przytoczyć dawne urządzenia w kraju naszym wydane, w celu ograniczenia żebractwa i zapewnienia opieki nad ubogimi: aby okazać, że jeżeli z jednej strony starano się zapobiegać rozpuszcieniu i zepsuciu obyczajów, które przy wolnej i jawnie znoszonej żebranie miały miejsce; to z drugiej znowu nie spuszczano z uwagi losu prawdziwie nieszczęśliwych, wsparcia i przytułku potrzebujących, a zatem na politowanie zasługujących: przyczém to może ciekawém i zajmującym będzie, że dawne urządzenia są podobne do dzisiejszych, i odznaczają się jednakową troskliwością o los ubogich.

Jeszcze przy schyłku XV wieku król Jan Albert w statucie z r. 1496 zalecił magistratom po miastach, proboszczom zaś po wsiach, aby liczbę prawdziwych żebraków w każdej parafii ustanowili, i uznanych za istotnie ubogich pewnymi znakami zaopatrzyli. Kto by zaś prócz tych żebranie oddawać się poważył, pojmany i w ręce starostów oddany, miał być użyty do ciężkich robót obronnych:

„statuimus ut in civitatibus oppidis et villis regni nostri non plures mendici habeantur, quam quot communitates et domini loco-

rum decernant habendos, quibus in locis civitatibus et oppidis consularatus, pro tempore existens, in villis vero Plebani, sub quorum parochiis villae consistunt, et locorum Dni signa imponant sub illis, ad designandum numerum eorum, quos habendos duxerint mendicatos. Qui vero absque signis reperientur, decernimus ad servitia capiendos, aut in manus capitaneor. nostror. tradendos, a quibus illos pro laboribus castrorum Turcis et Tartaris commetaneorum fossarumque successive recepturi summus etc." V. L. I p. 267 i 268.

Statut teni ponowionym został na sejmie koronacyjnym za Zygmunta III w r. 1580 odbytym, z zagrożeniem kary *centum marcarum*, gdzieby przez urząd grodzki albo miejski nie był exekwowan (V. L. II pag. 1243).

Synod prowincjonalny gnieźnieński, r. 1628 pod prezydencją Jana Węzyka arcybiskupa gnieźnieńskiego w Piotrkowie zebrany, pomiędzy innymi różnemi urządzeniami dla duchowieństwa i kościoła polskiego uchwalonemi, które papież Urban VIII potwierdził, wydał także i o opiece oraz zarządzie szpitali postanowienie:

„Wielką podporą dla biédnych jest litość prawowiernych, tudzież troskliwy i należyty szpitali zarząd; którato rzecz, ponieważ wchodzi w obręb ważnych obowiązków pasterskich, plebani powinni się starać o to, iżby nietylko oni sami z oszczędności i rządności swoich szli w pomoc potrzebom biédnych, ale także i inne osoby, do którychby czuwanie nad temiż potrzebami należało, do pilnego spełniania obowiązków swoich nakłaniali.”

„A nasamprzód gdzie na mocy statutu, przywileju, lub fundacyi nie masz stałych administratorów szpitali, niech się starają poruczyć ten obowiązek mężom zacnym, przezornym, obrotnym; wszakże nie zbyt nie za takowym obowiązkiem ubiegającym się, lub téż szpitalowi jakimbądź tytułem obowiązanym, zmieniając ich co lat trzy. Ci zaś będą powinni corocznie sporządzać inwentarz wszystkich rzeczy i przedstawiać takowy miejscowemu biskupowi lub téż jego wizytatorom, niemniej téż składać rachunki z wpływów i darów.”

„Niech zaś baczą iżby żebracy, którzy albo przez pracę mogą sobie zarobić na utrzymanie, lub téż innym jakim sposobem mogą wyżyć, nie byli przyjmowani do szpitali, i aby przez udzielanie jałmużny, lenistwo próżniaków nie miało poparcia; lecz tylko chorobą lub wiekiem znękani, tudzież kalecy i do pracy wcale niezdatni, w szczególności zaś mieszkańcy miejscowi byli przypuszczani. Włóczęgom zaś i zdrowym, jeżeliby nie chcieli pracować, plebani nie mają pozwalać

żebrac pod kościołami, a władza świecka ma ich wyganiać ze wsi i z miast."

„Dalej w każdym szpitalu izby i komory mężczyzn mają być oddzielone od kobiecych, i nie ma być nigdy dozwoloném, izby mężczyzn z kobietami razem przebywali."

„W razie, gdyby się znajdowali tacy, którzyby jaką zaraźliwą chorobą innych dotknąć mogli, takowi mają być odosobnieni od towarzystwa i przebywania z innymi."

„Tymczasem zaś, gdy ciała ich bywają leczone, należy pamiętać o ich duszach; dlatego téż pleban lub ich właściwy kapłan powinien ich często nauczać cierpliwości i artykułów ściągających się do zbawienia. Ciągłe mają się oddawać modlitwie, a przynajmniej raz w miesiąc wypowiedawszy się, mają przystępować do stołu Pańskiego. Wreszcie, potrzeba napominać prawowiernych, izby prócz codziennych jałmużn, które albo siedzącym pod drzwiami kościelnymi żebrakom wydzielają, albo kollektorowi do tego wyznaczonemu w puszkę lub skarbonę zamkniętą wkładają: czasami szcudrzejsze jałmużny posyłali przez swoich, lub składali sami, tudzież zwiedzali szpitale i tamże przywykali usługi czynić ubogim czyli raczej samemu Chrystusowi w tychże; za któreto jałmużny połączone z rocznym przychodem, jeżeli jest takowy, ma być opatrywane utrzymanie i ubieranie ubogich, pościel, lekarstwa i inne potrzeby."

„Izby zaś tém rychlej i z większym porządkiem dało się to przywieść do skutku, plebani mają dołożyć starania, aby rajcy lub inna zwierzchność miejscowa z administratorem lub proboszczem szpitala, tudzież z samemi parafianami przynajmniej raz w miesiąc lub téż częściej, jak tego potrzeba zajdzie, w dniach świątecznych zeszli się w miejscu do tego wyznaczoném, dla naradzenia się we względzie należytego zarządu szpitalem; a jeżeliby z czasem zaszło coś takowego, coby uważali iż potrzebuje narady, pomocy lub pracy, mają to przedstawić, naradzić się i użyć środków odpowiednich. A przedewszystkiém mają temu zapobiegać, izby przy rozdziale jałmużn lub dochodów szpitalnych, Chrystus w ubogich nie został pokrzywdzonym."

W ustawie szpitalnej dzisiejszej z r. 1842, znajdujemy wszystkie niemal główne zasady we względzie zarządu szpitali i opieki nad ubogimi, jakie owa uchwała synodu gnieźnieńskiego z r. 1628 zawiera; warto zatem poświęcić jaką chwilę dla przekonania się o zgodności dwóch tych urządzeń, dwoma wiekami przeszło od siebie oddalonych.

Uchwała dawniejsza gnieźnieńska miała to głównie na celu aby należyty i troskliwy zarząd szpitali wszedł w obręb obowiązków

pasterskich, i aby plebani nie tylko sami nieśli pomoc biednym, lecz starali się jeszcze, aby i świeckie osoby spełniali obowiązki swoje miłosierne, przykładając się ofiarami do zaopatrywania potrzeb ubogich.

Ustawa dzisiejsza szpitalna odwołuje się także do współdziałania duchowieństwa, a mianowicie plebanów, w ważnym dziele przyniesienia ulgi cierpiącym i łakącym: bo przeznacza osoby duchowne na członków do składu rad szpitalnych i dozorów parafialnych, i porucza plebanom nadzór nad domami schronień, oraz opiekę nad ubogimi, w parafii zamieszkałymi.

Uchwała gnieźnieńska nakazuje powierzać zarząd szpitali mężom zacnym, przezornym, obrotnym, co lat trzy obieranym, i za powinność im przepisuje sporządzać inwentarze własności szpitalnych, oraz здаwać rachunki z dochodów corocznie. Nie jestżeto też sama zupełnie myśl, jaka się odbija w ustawie dzisiejszej, mianowicie w zaprowadzeniu rad szczegółowych szpitalnych, i dozorów parafialnych, domami schronień zawiadujących, których członkowie są równie wybierani na lat trzy z pomiędzy obywateli miejscowych, znanych z poświęcenia się swego dla dobra ludzkości?

Jak trafnym jest to zastrzeżenie starodawniej uchwały, aby nie obierać na zarządców czyli opiekunów szpitali takich, którzy się zbyt nie za takim obowiązkiem ubiegają, w tém, ile się zdaje, przypuszczeniu, że kto tylko tytułu pragnie, ten zwykle gdy go dostąpi, o przedmiot swoich starań mniej dbałym się okazuje.

Dla tych (1), którzy obstają za bezwarunkowym rozdawaniem jałmużny żebrakom, bez względu na to, czy takowa dostaje się w ręce oszusta lub rzeczywiście ubożego; jako i dla tych, którzy dają się powodować pobudkami osobistych względów i łnski, niezasażenie świadczonej: niech służy za naukę uchwała synodu w tym punkcie, gdzie każe baczyć:

aby żebracy, zdolni do pracy lub mający z czego żyć, nie byli przyjmowani do szpitali; aby udzielanie jałmużny lenistwa próżniaków nie podsycalo; aby włóczęgom zdrowym nie pozwalać żebrać pod kościołem, lecz ich wyganiać ze wsi i z miast.

Czyż te urządzenia w związku z postanowieniami, objętymi statutem króla Jana Olbrachta, nie są zgodne z ustawami i przepisami policyjnymi przeciw żebractwu i tułactwu dzisiaj obowiązującymi? Czyż

(1) Niepamiętnych na słowa św. Pawła: „Jeśli by kto nie chciał robić, niechże też i nie jé” II. Ths. III., 10.

organizacja domów schronień parafialnych nie zamyka w sobie takiego samego przepisu, jak rozporządzenie synodu, stanowiące: że tylko chorobą lub wiekiem znękani i do pracy niezdatni, w szczególności zaś miejscowi mieszkańcy, w szpitalach winni znaleźć dla siebie przytułek.

Przepisy względem oddzielania po szpitalach osób podług ich płci, względem odosobniania chorych, zaraźliwemi chorobami dotkniętych, są i dzisiaj podstawą porządku szpitalnego.

Ustanowienie kapelanów przy głównych szpitalach, oddanie w wielu zakładach chorych pod opiekunczą staranność siostr Miłosierdzia, powołanie członków duchownych do składu rad szpitalnych i poruczenie plebanom zarządu domów schronienia: nie sążto wszystko środki, ułatwiające wykonywanie po tych zakładach obowiązków duchownych, i utrzymywanie w nich ducha religijnego, podług zleceń w uchwale synodu przepisanych?

Lecz jakże ważnym, zwłaszcza na czas w którym był pisany, jest ustęp synodu, który zaleca napominać prawowiernych, aby nie ograniczali dobroczynności swojej na jałmużnach żebrakom, przede drzwiami kościelnymi siedzącym, lecz ażeby przez ciągłe składki, na szpitale i ubogich czynione, wywiązywali się z obowiązku miłosierdzia.

Rozporządzenia takie władzy duchownej obalają całą teorią przeciwników zakładów dobroczynnych i ustaw dotyczących się ubóstwa, którzy powstając przeciw utrzymywaniu ubogich w szpitalach i domach schronień, dopominają się dla nich bezwarunkowej wolności żebrania, i utrzymują, że hojnie przed kościołami rozdawane jałmużny, są już same przez się zdolne zapobiec szercząc się prowadzić nędzy.

Dowody przez nas przywiedzione, sięgające dość odległej epoki, okazują, jak mylném jest to twierdzenie nieraz przez nich powtarzane, iż za ojców naszych nie było zakładów niby dobroczynnych, w których ubogich zamykano, ani żadnych zakazujących żebractwa, ani urządzenia stałych składek na zaspokojenie potrzeb szpitali.

Ostatni ustęp przytoczonego przez nas wyjątku z synodu gnieźnieńskiego obejmuje urządzenie rad szpitalnych, do których powołuje rajców lub inną zwierzchność miejscową i mieszkańców parafii, celem naradzenia się nad potrzebami zakładów. Przepisy te we wszystkiém odpowiadają dzisiejszej organizacyi rad szczegółowych szpitalnych, i zdają się dowodzić, co i niektóre erekcyje szpitali parafialnych skutecznie popierają, że od wieków w kraju naszym istniały ustanowienia pewnych miejscowych władz dobroczynnych,

z duchownych i ze świeckich osób złożonych, których instytucją dziś rozwiniętą i upowszechnioną, inne kraje europejskie zazdrościć nam mogą.

Skutkiem zapewne gorliwości duchowieństwa w wykonywaniu obowiązków miłosierdzia chrześcijańskiego, tak trafnie przez synod z r. 1628 określonych, powstały po parafiach kraju naszego szpitale parafialne, przeznaczone na zapewnienie schronienia ubogim mieszkańcom wiekiem przyciśnionym lub kalectwem dotkniętym, które dla rozróżnienia ich od szpitali dla chorych po miastach urządzonych, otrzymały w ostatnich czasach nazwę domów schronień, i zostają dzisiaj pod zawiadywaniem dozorów parafialnych.

Są wprawdzie w przywilejach królewskich, konstytucjach, nadaniach biskupich, w erekcyjach i różnych zapisach, pochodzących z dawniejszej epoki, dowody, że jeszcze przed rokiem 1628 istniały w kraju naszym podobnego rodzaju zakłady, ręką dobroczynną wzniesione; ale nie mogły one w początkach swego zawiązania się wejść w zakres właściwej sobie działalności, bo im niedostawało siły organizacyjnej; siły, ruch, życie i porządek utrzymującej. Brak ten zastąpiła uchwała synodu gnieźnieńskiego, tyle razy przez nas wzmiankowana, tę jeszcze ważną dla ludzkości wyświadczywszy przysługę, że do ofiar na otarcie łzy cierpiącym silniejszy, ile się zdaje, nadała popęd. Odtąd szerzyć się i upowszechniać zaczęły fundacye szpitalne. Do dawnych uposażeń przybywały nowe, zagęściły się liczne zapisy, łączące w sobie cel religijny razem z celem miłosierdzia. Czyli to pochodziło ze zwykłej wówczas pobożności, czyli z wpływu, jaki ustawa synodu na umysły wywarła, trudno odgadnąć; dość, że później gorliwość fundatorów musiano aż prawami tamować (ustawy z lat 1631, 1635, 1669, 1676, 1726, o nieoddalaniu dóbr ziemskich od stanu świeckiego).

Tym sposobem szczupły w początkach, a z postępem czasu znakomicie wzrosły, powstał majątek, składający się z dóbr ziemskich, domów, gruntów, summ, dziesięcin, czynszów, danin, służebności, w zarząd plebanów pod strażą biskupów pierwiastkowo oddany, który stanowi obecnie uposażenie domów schronień i jest podstawą dalszego ich utrzymania.

Przy wszystkich podobnych fundacyach ta jeszcze okoliczność godna jest uwagi, że obok zamiaru dobrze czynienia ubogim, chcieli pobożni fundatorowie zjednać sobie wdzięczne przypominki obdarowanych i modły kościelne za dusze swoje; przywiązywali więc zwykle do zapisów pewne obligacye kościelne, jakoto: odprawianie mszy św.

anniwersarzy i t. p. Niekiedy także wkładano na ubogich, w obdarowanych szpitalach utrzymywanych, obowiązek dopełnienia ciągłej posługi przy kościołach parafialnych, a niekiedy i obowiązek modlenia się za dusze fundatorów.

Gdy zaś opieka nad szpitalem parafialnym i wypełnianie zastrzeżonych obowiązków kościelnych należały do plebanów, a nie było w kraju żadnej władzy centralnej, któraby czuwała nad ścisłym spełnianiem woli fundatorów, oraz pilnowała tego, iżby fundusze ubogich nie zostały pomieszane z funduszami kościelnymi: wynikło stąd, że cel zapewnienia opieki ubogim z parafii, poświęcanym nieraz bywał potrzebom kościelnym; tam zwłaszcza, gdzie szczupłość uposażenia probostwa do tego zagnęła. Za tém poszło, że owe trafne i tyle przeczne przepisy synodu gnieźnieńskiego poszły z czasem w zapomnienie, że owe rady miejscowe, losem ubogich trudnić się mające, albo wcale zwoływane nie były, albo téż obojętnie patrzyły na odwrócenie się funduszków ubogich od właściwego im przeznaczenia, i że szpitale parafialne z przytułku dla starców i kalek miejscowych, stały się mieszkaniem sług kościelnych i plebańskich.

W drugiej połowie zeszłego wieku napotykaemy dopiero ślad ściślejszego wejrzenia władz rządowych świeckich w fundusze i zakłady dla nich przeznaczone.

Jakoż prawo sejmowe z r. 1768 (V. L. VII, p. 754 i 755) nakazuje kommissarzom na kommissyje *Boni Ordinis*, wyznaczać się mającym:

„żeby wraz *cum Ordinariis locorum* w fundacye szpitalów wszelkich po miastach, miasteczkach i wsiach wejrzeli, czyli im się zadosyć dzieje, uznali, i na przyszły czas porządek ku wygodzie chorych i ubóstwa, według przepisu fundatorów i sposobności, *ex statu praesenti* tychże fundacyj wynikającej, pomnożenie dochodów przez jak najlepszą administracyą, jako im to instrumentem osobliwym przepisano będzie, ustanowili.”

Prawem zaś dalszém z r. 1775 (V. L. VIII p. 173 et seq.) ustanowiono osobne kommissyje z określeniem szczegółowém ich władzy i obowiązków.

Powody, jakie do uchwalenia prawa tego skłoniły rząd ówczesny, niemniej przepisane dla kommissyi obowiązki są i dość ważne, i dość ciekawe; nie sądzimy więc, abyśmy nadużyli cierpliwości czytelników, gdy je także, chociaż w wyjątkach, dosłownie przytoczymy.

Wyraża się naprzód na samym wstępie prawo z r. 1775;

„Litość nad bliźniami, starością, chorobą, i ubóstwem przyciśnionemi, wzbudziła od dawnych czasów cnotliwych obywatelów rzeczypospolitój, że po różnych miastach i miejscach nędznym, chorym, zestarzałym i zarobić sobie niemogącym ludziom, przytulenie obmyślili; ale że te pobożne rozrządzenia, najwyższej władzy nie miały na siebie pilnego oka, jużto okolicznościami czasów, już roztrągnięciem dozorców, ledwie niewszędzie wycieńczone, zamieszane, zrujnowane, i prawie wniwecz obrócone zostały: na przyprowadzenie więc do swoich klub rzeczy tak świętej, za sprawiedliwą i nader zbawienną potrzebę sądzimy, ażeby wyznaczyć kommissyę z osób zdatnych, i przyzwoitego szpitalom rządu gruntowną wiadomość mających, tak do Korony, jako Wielkiego Księstwa Litewskiego, którymby jedynie dozór, staranie i władza nad szpitalami, podług artykułów niżej wyrażonych, poruczona była”.

Daléj zaś przepisuje:

1. „Zaczną pomienione kommissyę urząd swój od spisania przez wyznaczonych lustratorów, punktualnie i sumiennie we wszystkich województwach wszelkich funduszów szpitalnych, z konnotacją praw i possessyj tych funduszów lub samych tylko possessyj, gdzieby prawa były zatracone; o której possessyi, i jéj dawności informować się lustratorowie będą w niedostatku praw od ludzi wiary godnych, z pośredka miejscowego obywatelstwa wybranych. Napomną lustratorowie, ażeby niniejsi dozorecy tych szpitalów wiernie prawa funduszowe pokazali, i possessyą opowiadali, gdyż wszystkie z pobocznej wiadomości zaciągnięte i lustracyi podane fundusze, *jus petendi* ubezpieczone mieć będą; a przeciwnie zatajenie przed lustratorami praw i possessyj, nietylko utratę onych, ale nawet wrócenie zysków niegodziwie odniesionych za sobą pociągnie. Tę więc powszechną lustracyą, gdy odprawiona będzie kommissya szpitalna, stany rzeczypospolitój przez konstytucyą potwierdzą i tym sposobem fundusze ubezpieczą.”

2. „Possessyc, grunta szpitalne odległe od szpitalów, mają być przez tychże lustratorów otaxowane, a potem przez kommissyą puszczone *in Emphiteusim*, bądź na zawsze, bądź téż do pewnych lat, z opisem kanonu rocznego po pięć od sta na dwie raty podzielonego. Gdyby się przytém pokazało, iż fundusze *in Emphiteusim* dawniej puszczone sprawiedliwego podług proporeyi nie płacą czynszu: tedy kommissya na fundamencie lustracyi, której wszystkie bez braku fundusze podlegać mają, uchyliwszy zaszłe niesprawiedliwe opisy, obowiązek płacenia proporecyjnalnej kwoty, i do nich rozciągnie; poblizsze zaś possessyc i grunta szpitalom zostawią kommissyę, dla wikturu

alów, warzyw, miejsca prania bielizny, trzymania bydła, drobiów i innych nieuchronnych potrzeb i wygód szpitalnych.”

3. „Mieszkania pojedyncze szpitalne odległe i niepotrzebne, przedane być mają *plus offerenti*, które pieniądze na budowę wielkich szpitalów łożone będą.”

4. „Jest potrzeba, żeby w każdym województwie przynajmniej jeden szpital generalny być mógł; więc staranie o to kommissye przedsięwzją, a w czém potrzebować będą od nas i rzeczypospolitej wsparcia, na sejmoch przekładać to powinny.”

5. „Na te generalne szpitale zdadzą się *collegia post suppressam Societatem*, po tych miejscach, gdzie kommissyi edukacyjnej zdawać się nie będzie zażyć *eadem collegia* albo na szkoły, albo na mieszkanie nauczycielów; dlaczego zaleca się kommissyi edukacyjnej, żeby w czém będzie można, była kommissyi do szpitalów wyznaczonój na pomocy.”

6. „Przy ułożeniu tych generalnych szpitalów, mają kommissye na to uważać, aby *mens foundationis* we wszystkich artykułach punktualnie wykonana była, tojest:

1. „Szpitale, które są przy kościołach parafialnych po wsiach i miasteczkach, nie erygowane *in titulum Beneficii*, najłatwiej fundusz ich przyłączony być może do kassy generalnej, a na opatrywanie szpitalów generalnych; które zaś są erygowane *in titulum Beneficii*, ponieważ w nich są proboszcze *cum institutione Canonica*, więchy znosić się z stolicą apostolską, *et locorum ordinarius* trzeba, aby *onera* do szpitalnych probostw przywiązane, *ad Ecclesias parochiales* były przeniesione, i zamiast proboszcza szpitalnego, był *penes Ecclesiam Parochialem* kapelan do pomocy *ad curam animarum*, i ten rzeczony szpitalne obligi wypełniał. Kościoły zaś szpitalne, które po większej części po kraju są drewniane, i bardzo w złym stanie, żeby te co są nadrujnowane, były rozebrane i na tém miejscu cmentarz został *pro sepultura parochianorum*, przez co uprzątzione będzie *illud inconueniens*, że na cmentarzach dla ciasności ich, czasem trup na trupie leży, i w kościołach chociaż tam grobów nie masz umarłych grzebiąc, dają się czuć zdrowiu szkodzące *exhalacye*: które zaś kościoły są murowane, lub drewniane w dobrym stanie, i *locorum ordinarius* zdawać się będzie obrócić je *in Ecclesias parochiales*, albo tak je zostawić, i fundum na konserwacyą ich *aliunde* mieć będą, to w tém niech się wola *eorundem loci ordinariorum* stanie. Wspomnieni proboszczowie szpitalni, znajdujący się po miejscach, gdzie będą szpitale generalne albo mniejsze przez kommissyą ustanowione, już

nie do kościołów farnych, jak się wyżej rzekło, *applicarentur*, ale zostaliby *ad obsequia Spiritualia* tym samym szpitalom *adscripti*."

2. „Ułódzy wszyscy w każdej fundacyi teraz znajdujący się przeprowadzeni będą do szpitala wielkiego, i tam konserwowani, zostawwszy na usługę kościołów z proporcjonalnym funduszem tyle tylko ubogich z niewiast i mężczyzn, ileby ich do téj usługi konieczna była potrzeba, jakoto: na zamiatanie kościoła, pranie bielizny kościelnej, dzwonięcie na nabożeństwo, oświecenie ołtarzów etc.”

3. „Dyssydentskie szpitale będą osobno; inaczej, chcąc je łączyć z katolickimi, mogłaby być ustawiczna okazy kłótni; wątpić zaś nikt nie powinien, iż *in casu* potrzeby, nawet katolickie szpitale przyjmą dyssydentów i ich potrzeby opatrywać będą.”

7. „Ażeby się pozbyć wszystkich żebraków, osobliwie w Polsce urodzonych, mają być zabierani do szpitalów; ale się to rozumie tylko o tych, którzy nie mogą sobie zarobić chleba: inni zaś do robót publicznych będą brani. Co aby porządniej się stało, kommissye należytą repartycją między szpitalami numerem 4 wzmiankowanymi, wyznaczając każdemu z nich swoje *territoria*, aby jeden szpital nad drugi obcemi extraterytoryalnemi ubogimi nie był przeładowany, i zabierający onych aby wiedzieli, do jakiego szpitala oddać zabranego mają. Co się tyczy zabierania włóczęgów do roboty zdalnych, tu powinność wkłada się na starostów i miasta, i onymże zaleca się, aby żebraków niemogących się pracą rąk wyżywić zabierać kazali, i do szpitalów generalnych, podług ich repartycyi, swemi ludźmi odsyłali.”

8. „Obywatele wszyscy chorujący i niedostatni tego województwa, w którym będzie wielki szpital, przyjęci być mają i w tymże medykamentami i wiktem aż do uzdrowienia opatrzeni, jeżeli prawdziwe *Testimonia paupertatis* od plebana i magistratu, albo od dwóch godnych wiary świadków pokażą.”

9. „Ci zaś, którzy takowego *Testimonium paupertatis* nie pokażą, a będą chcieli, aby w tych szpitalach byli leczeni, ugodzą się z doktorem za wikt, lekarstwa i starunek około przywrócenia ich zdrowia, a przy wyjściu umówioną kwotę prokuratorowi szpitala zapłacą: gdyby zaś według ugody nie zapłacili, sąd najbliższy nakaże im nieodwłocznie *expensę* uczynioną szpitalowi nagrodzić.”

10. „W tychże domach dzieciom ospa szczepioną będzie.”

11. „Wszystkie brzemiennie ubogie i *defloratae*, jako téż i sieroty i porzucone dzieci przyjęte być mają.”

12. „W każdym takim szpitalu musi być doktor i felczer wcale umiętni, a drugi, aby oraz przy położach koniecznie dopomagał.”

13. „W tychże domach felczerowie i białogłowy do połogów doskonale wyuczeni będą, i do wszystkich miast i wsiów rozsyłani.”

14. „Każdy doktor i felczer obowiązany jest objechać powiat swój, jeżeliby się w nim pokazały choroby epidemiczne, i usilnego starania w tych okolicznościach dołożyć, jako też w przypadku chorób między bydłem i owcami.”

15. „Kassa wszystkich szpitalów będzie pod dozorem komisji, do tego dzieła od rzeczypospolitej naznaczonej.”

16. „Prokurator szpitala mający swoje posesyą i człowiek wypróbowany w wierności, trzymać będzie kasę szpitalną i expensować za wiadomością doktora; w miesiąc zaś registra percepty i expensy poda do examinowania i podpisania doktorowi i kapelanowi, a na końcu roku przesłane być mają do komisji, i téj wolno będzie zsyłać na miejsce do powtórnego likwidowania i weryfikowania tych rachunków. Dopiero za takimi ostrożnościami komisja kwitować będzie prokuratora.”

17. „Każdy szpital ma mieć swoje osobną aptekę, nad którą doktor będzie miał dozór i aptekarz jemu rachunki zdawać będzie. Tenże doktor co rok rewidować będzie w swojej okolicy apteki, które powinny być uprzywilejowane, jeżeli medykamenta są świeże, dobre i sprawiedliwą ceną przedawane. Za rewizyą apteka płacić ma ośm czerwonych złotych; połowa z tego pójdzie na doktora rewidującego, połowa na fundusz apteki szpitalnej. Do tego doktora należec będzie także, mieć dozór nad wszystkimi doktorami i felczerami w okolicy będącemi, aby zamiast pomocy, szkody zdrowiu ludzkiemu nie czynili.”

18. „Kommissye wyznaczą collegium doktorów, i to będzie miało władzę dobierać zdatnych doktorów, felczerów i aptekarzy do szpitalów; zakaze obcym nieumiejętnym tułaczom wdawać się w leczenia: którzy jeśliby niedoskonałych swoich kuracyj nie poprzestali, uwiadomi komisją, a ta przez zwierzchność swoją biegających z miejsca na miejsce szarlatanów ukarze. Obcy zaś doktorowie do kraju przychodzący, powinni się starać o approbacyą swojej umiejętności u tegoż collegium; a tak pokazawszy się zdolnemi otrzymają pozwolenie: inni zaś bez pozwolenia nie będą się wdawać w kuracye pod wielką karą. Lekarstwa sekretne mają być wprzód approbowane, niż przedawane obywatelom, które przez niewiadomoś sposobu zażywania ich, i na jakie służą choroby, są częściej szkodliwe, jak użyteczne; inaczej lekarstwa takie bez approbacyi i zezwolenia

wzmiankowanego collegium przedawane podpadać będą konfiskacie, a sprzedający przykładnie karani."

19. „Ze wszystkich funduszków szpitalnych trzeba, ażeby się okroiła summa dostarczająca na fundacyą i utrzymanie szpitala dla inwalidów wojskowych w Warszawie lub w inném miejscu, któryto szpital także do kommissyi, nad szpitalami dozór mającej, należeć będzie, i ta rzeczonych inwalidów za abszytem od kommissyi wojskowej i zaświadczeniem, jako warci są kosztem publicznym do śmierci ichże dochowania, przyjmować każe."

Zabierano się do dzieła tyle pod wielu względami ważnego i chwalebnego; różne jednak ówczesne trudności i wypadki krajowe przeszkodziły jego spełnieniu, tak, że musiano nawet w lat kilka odstąpić od wprowadzenia w wykonanie prawa z r. 1775, a wrócić się do dawniejszego z r. 1768 i pozostawić kommissyom *dobrego porządku* uporządkowanie funduszy szpitalnych, jak tego dowodem jest prawo z r. 1780, pod tytułem: szpitale w Koronie i W. X. Lit. (V. L. VIII p. 979).

W dalszym upływie czasu ze zmianą stosunków kraju, jedno jeszcze za dawniejszego rządu wyszło prawo na sejmie w r. 1791, którym szpitale i domy miłosierdzia, oraz ich własności i wszelkie fundusze oddano pod zarząd kommissyi policyi, a ta zajmując się wykonaniem zleconych sobie obowiązków, przedsięwzięła naprzód wyjaśnienie i zgromadzenie wszystkich w całym kraju funduszków. Wydała w tym celu różne uniwersały zalecające:

1. Aby duchowni tak świeccy jako i klaszorni, najdalej w niedziel cztery wszelkie erekcyje, zapisy i jakiegokolwiek legata do kommissyj cywilno-wojskowych podali i o wszelkich funduszach tymże kommissyom donieśli.

2. Aby magistraty po wszystkich miastach również w niedziel cztery wprost kommissyi policyi wyciągi wszelkich erekcyj, zapisów i funduszków pobożnych z summaryuszem i tabelą, podług dołączonego wzoru nadesłały, a zarazem o stanie wszelkich szpitalów oraz domów miłosierdzia, tudzież o procesach względem windykacyi funduszków rozpoczętych, doniosły, pod rygorem prawa na nieposłusznych.

Prócz tego, kommissya policyi wyznaczyła oddzielne deputacye szpitalne do spraw szpitalnych każdej prowincyi. Deputacye takowe rozpoczęły czynność swą od zlustrowania jedenastu szpitali warszawskich, jakie wówczas istniały, a były niemi: Iszy, św. Ducha przy

Paulinach, 2gi św. Łazarza, 3ci św. Ducha pod imieniem PP. Marcinkanek, 4ty św. Jana przy kolegiacie, 5ty św. Benona, 6ty Panny Maryi, 7my Bonifratrów, 8my św. Rocha, 9ty św. Kazimierza, 10ty św. Krzyża, 11ty Dzieciątka Jezus; w skutku czego dochód roczny tych szpitalów, sumnę złp. 264,157 gr. 16 wynoszący, wykrytym został.

Następnie zatrudniały się deputacye, każda w obrębie właściwym swój prowincyi, wynalezieniem ilości szpitalów, ilości ubogich w nich pomieszczonych, ilości kapitałów, dochodów rocznych szpitalnych, i wypadki ze swoich poszukiwań przedstawiły, mianowicie:

że prowincya Wielkopolska miała szpitali 90, ubogich 1,600, uposażenia w kapitale złp. 1,103,371, intraty rocznej z dóbr, prowizyj i jałmużn złp. 276,405 gr. 15 1/2; a prowincya Małopolska szpitali 213, ubogich 1,862, uposażenia w kapitale złp. 1,675,952, intraty rocznej złp. 138,397, gr. 29.

Do ostatnich wreszcie urzędzeń względem szpitalów i dobroczynnych zakładów tutejszych należy jeszcze i prawo na sejmie grodzieńskim w r. 1793 wydane, stanowiące:

aby kommissye wojewódzkie porządkowe, zajęły się rozpoznaniem wszelkich funduszków szpitalnych i raporta kommissyi policyi złożyły; ta zaś kommissya miała sobie poleczone, rozróżnić po otrzymaniu tych raportów fundusze ubogim zapisane od kościelnych, i cały ten przedmiot uporządkować.

Prawo to, dla zaszyłych nadzwyczajnych wypadków krajowych, powszechnie znanych, nie weszło wcale w wykonanie.

Z przypomnienia główniejszych tych dawnych krajowych przepisów okazuje się:

że od wieków zajmowano się u nas urządzeniem opieki nad ubogimi i zakładami, w których starzy i kaleki miejscowi przytułek znajdowali; że władze tak duchowne jako i świeckie czuwały nad całością ich funduszków, przedsiębrały troskliwe środki do zaprowadzenia ulepszeń, i że mieszkańcy zamożniejsi wspierali tę dążność zwierzchności krajowej, tak za pomocą hojnych darów i zapisów, szpitalom parafialnym ofiarowanych, jako i przez czynny udział w nadzorze i porządném utrzymywaniu zakładów dobroczynnych.

Oddając tkliwą cześć tym usiłowaniom przodków naszych, do dobra uciśnionój ludzkości zmierzającym, możemy z pociechą przyznać sobie, żeśmy nie tylko nie pozostali w tyle za niemi, lecz żeśmy

uczynili znakomite postępy w zawodzie przez nich rozpoczętym; bo zakłady nasze pod wspaniałomyślną opieką rządu wzniesione, bo cała organizacya opieki ubogich, na poświęceniu, na miłosierdziu i na bezpłatnej usłudze obywateli oparta i po całym kraju rozpostarta, nie tylko obcym krajom nie ustępuje, ale nawet pod wielu względami za wzór im służyć może.

J. P.



NOWA EPOKA LITERATURY HISTORYCZNEJ POLSKIEJ.

PRZEGLĄD

PRZEZ

Juliana Bartoszewicza.

Ciąg drugi.

Utwory wydane w Warszawie.

Historya ludzkości wystawia ruch i postęp ludzkości, to jest wskazuje drogę jój, jaką przebiegła od chwili swojego narodzenia się aż do nas, z ką znowu się pomknie ku niewiadomym szlakom przyszłości. Historia danego narodu przedstawić téż powinna rozwój ciągły sił fizycznych i moralnych narodu od jego początku aż do końca.

Wszystko na świecie musiało z czegoś powstać, i dlaczegóż powstać. Nauka ma objaśnić jedno i drugie ważne zadanie. Ale dlaczegóż naród dany żyje i jakie zajmuje pomiędzy spółbracią stanowisko w ludzkości, pokaże to dopiero historia jego, wzięta w całym przebiegu. Z czego naród powstał i kiedy? Sąto już pytania niezawsze rozstrzygnięte dla nauki, a ważne same przez się. Monografie i systemata dziejowe zajmują się już narodem uorganizowanym, zastanawiają się nad różnemi okolicznościami jego życia, badają przeszłość ze źródeł napisanych już przez sam naród; ale krytyka dziejowa sili się objaśniać same zagadki. Żaden naród nie może oznaczyć kresu, w którym żyć zaczął, jako naród: bo okoliczności i wieki dopiero tworzą odrębne urywy, ni-



by rozczłonia jednéj ludzkości. I nic dziwnego: kiedy rodzi się dziecko, rodzice skrzętnie zapisują dzień, miesiąc i rok jego przyjścia na świat; ale gdzież są rodzice narodu, którzyby dzień jego narodzenia się i metrykę zapisali? Nic się jednakże bez przyczyny nie dzieje, i dlatego krytyka dziejowa ma za cel główny znaleźć początek narodu, objaśnić przyczyny i wypadki w życiu ludzkości, które dany naród przywołały do życia. Ztąd ważność krytyki dziejowej, i większe jéj znaczenie w pewnym względzie od wszystkich innych prac historycznych. Spójrzmy w księgi, w systemata dziejów polskich, które nam napisali: L. w przerobieniu Wagi, albo w Polsce Średnich Wieków, Bandtkie, Maciejowski, a teraz Bielowski, że nie wspomnim innych pisarzy; każdy z nich prawie inaczej i odmiennie opowiada dzieje początków narodu polskiego. Jeden występuje z gminą, drugi z prawem rycerskiem; jeden widzi od niepamiętnych czasów rodzaj Rplitéj pomiędzy Słowianami lechickimi, drudzy widzą ciągle monarchią i pierwiastek samowładztwa w ręku królów, aż do czasów Bolesława Krzywoustego. Jeden mówi, że plemię słowiańskie zniemczone, najechało ziemię nadwiślańską z zachodu, i uorganizowało naród podbity po szlachecku; drudzy, że szlachta powstała u nas przez dobrowolne naśladowanie feudalnego rycerstwa, więc nie była narzuconą instytucją. Nawet wyrazy *lach* objaśniają rozmaicie: jedni w tém nazwisku widzą imię własne, drudzy imię pospolite oznaczające rycerza. Nawet o początkach wiary chrześcijańskiej w Polsce, opowiadają nasi badacze każdy inaczej. Jeden utrzymuje, żeśmy przyjęli wiarę z Rzymu za Mieczysława; drudzy, że przed Mieczysławem rozwijał się już u nas obrządek słowiański; inni jeszcze gotowi utrzymywać, że Bolesław Wielki panował nad połową najmniej bałwochwalców; a Bielowski już w pierwszym wieku ery chrześcijańskiej wskazywał na ślady nauki Zbawiciela pomiędzy przodkami naszymi, siedzącymi nad Dunajem. Kiedy Słowianie pokazują się w Europie? Jedni mówią, że byli przed Chrystusem; drudzy, że nadeszli razem z Hunnami przy wielkiej wędrówce narodów; inni, że ich osiedlenia się nie może zapamiętać historia. Ile pytań, tyle rozmaitych rozwiązań. I zkadże przecież te sprzeczności?—Ztąd, że krytyka dziejowa domyśla się i buduje z napomknięć, z oderwanych słów kronikarzy, którzy o czém inném wcale pisali, nie myśląc o tém, jaki z nich krytyka robić będzie użytek; ztąd słabość jéj wniosków, i często mylność dowodzeń. Mimo to wszy-

stko jednak, krytyka zajmuje się sprawiedliwie tém odgadywaniem. W początkach każdego narodu tkwi zawsze jego cała przyszłość. Jak w człowieku pojedynczym są wady i przymioty, które się potem rozwijają w namiętności, w gieniusz i cnotę: tak i w zbiorowym człowieku, czyli narodzie. Trudno zaprzeczyć temu, żeby ludy nie miały nadanego sobie jakiegoś charakteru, jakiegoś poslannictwa. Ileto Niemcy zajęli słowiańskiej, rzymskiej, gallickiej, bretońskiej ziemi! Ztąd krytyka historyczna objaśnia nietylko początki polityczne narodu, ale wszystkie naraz jego początki: zarody jego prawodawstwa, zarody jego umysłowych zdolności. Ogół tego wszystkiego, stanowi narodu cywilizacją.

Dlatego, chociaż wnioski krytyki dziejowej są tak bardzo rozmaite, że jeden często z drugim się nie klei: zawsze dlatego krytyka zaczyna historią, a inne dopiero prace dziejowe pokazują rozwinięcie się narodu. Będziemy więc mówili naprzód o krytyce w Warszawie. Nauka przedewszystkiém domysłów i wniosków, a nie faktów, przyniosła nam przecież w owocach swoich pewne fakta, które spłyną do ogólnej skarbnicy dziejów polskich.

a) ODDZIAŁ KRYTYKI HISTORYCZNEJ.

Maciejowski, Rychtcr, Szulc, Tyazyński i Lewestam.

Kiedy nam o badaczach pierwiastkowych dziejów Polski mówić przychodzi, przedewszystkiém i mimowolnie zwraca się uwaga na prace Wacława Alexandra Maciejowskiego. Rozgłośnego imienia po całej Słowiańszczyźnie, pisarz ten pomyślał i napisał już olbrzymie dzieła. Erudyt to ogromny nawet w Europie, a u nas w Warszawie bez wątpienia piérwszy. Dlatego nie rozszerzając się zbyt nad jego znaczeniem, wskażem tutaj na owoce prac Maciejowskiego, i ocenim wpływ na badania dziejowe autora *Historyi Prawodawstw Słowiańskich*.

Maciejowski właściwie prawnik, zaczął pracować pierwiastkowo nad prawem polskim; potem, kiedy się zakres jego przedmiotu rozwijał, zastanawiał się nad prawem wszystkich ludów słowiańskich. Cztery tomy wydane w tym przedmiocie, zwróciły na naszego autora oczy Europy; ale wskazały mu zaraz wszystkie niedostatki zamierzonego i zaczętego już dzieła. Żeby napisać dobrą historią prawodawstw słowiańskich, p. Maciejowski

widział potrzebę zająć się razem i dziejami plemion słowiańskich: musiał zastanawiać się nad ich początkiem, wzrostem, charakterem; musiał pisać dzieje kościoła, literatury, sięgać krytyką nawet w bałwochwalskie wieki, dopytywać się borów, i ziemi, i pieśni gminnych, w co przodkowie nasi wierzyli, co kochali, czém się zajmowali przed zapoznaniem się z nauką Chrystusa. Taki ogrom pracy mógłby zastraszyć niejednego; p. Maciejowski przecież mając ciągle oczy na jeden przedmiot zwrócone, po wydaniu *Historji Prawodawstw*, wypracowywał udzielne niby ustępy wielkiego dzieła, w których rozwijał swoje spostrzeżenia i dowodził tego, o czém tylko w *Historji Prawodawstw* napomknął. Tak wszystkie dzieła p. Maciejowskiego, któreśmy już mieli od lat kilkunastu, wspólne miały źródło z którego płynęły. Autor wydaje w obecnej chwili dzieje piśmiennictwa polskiego, i ubolewa, że czas mu już nie starczy opracować dzieje kościoła polskiego.

Autor spieszy się przedewszystkiém, bo chciałby zrobić jeszcze drugie wydanie *Historji Prawodawstw*, i żałuje, że tak długo bawił się nad pojedynczemi ustępami, odbiegłszy od głównego przedmiotu.

Chcąc więc wskazać pierwiastki prawa polskiego, p. Maciejowski zajął się badaniem pierwiastków samego narodu. Każde dzieło jego zawiera jakieś twierdzenia, których prawdy doszedł p. Maciejowski, i których tém samym dowodzić musiał. Prawd tych jest wiele; a że nasz obecny przegląd rzuca oko na niedawną przeszłość literacką i wskazuje na jej owoce: celniejsze twierdzenia p. Maciejowskiego tutaj przytoczym, nie bawiąc się długo nad drobnostkami.

P. Maciejowski objaśnia inaczéj wyraz *lech*, *lach*, jak inni pisarze słowiańscy, a raczéj bierze go w dwojakiém znaczeniu. Lech byłto rycerz, osadzony na lesze. Lechów znały wszystkie dawne plemiona słowiańskie, a zwłaszcza zachodnie. Ale ludy niemieckie w pierwszych wiekach po Chrystusie odparły ku wschodowi naszych praojców, same osiedliły się nad Elbą, a raczéj od Elby na zachód, ku Renowi i starożytnéj Gallii. Ludy niemieckie przychodziły do nas z feudalnymi pojęciami, miały więc stany i główszczyznę. Niemiecki naczelnik wędrownego tłumu zawsze ród swój od bogów wywodził, i uważał się za coś wyższego od innych ludzi, bo krew niebian płynęła w jego żyłach. Nierówność towarzyska była zasadą niemiecką. U nas i u Słowian powód, kiedy w sądzie dochodził winnego zabójstwa, wyszczególniał

w skardze, ile szkód rodzina zabitego przez jego śmierć poniosła, i o zapłatę należności dopominał się; przeciwnie u Niemców, powód nie miał potrzeby szacować głowy, kiedy samo prawo ją oszacowało: za zabójstwo najniższej klasy ludzi płaciło się połowę mniej, jak za ludzi więcej uprzywilejowanych (frylingów), a za tych jeszcze o połowę mniej, jak za głowę prawdziwej szlachty, to jest panów wieszających się u domu książęcego (edelingów). Pan Maciejowski w starych kronikach niemieckich dostrzegł, że w okolicach nad Elbą występują wciąż jacyś Lazzi, Lassi i t. d., a zawsze na samym spodzie towarzystwa. Był to więc stan trzeci, upośledzony w prawodawstwie niemieckim. Lassi do tego przypominali słowiańskich *Lechów*; mogli więc być synami Słowian, którzy ulegli przemocy Niemców, i dlatego na ostatni stopień hierarchicznego porządku przez nich byli strąceni. Nie ma wątpliwości, że przed najściem Niemców, wielu lechów, czyli rycerzy słowiańskich ustąpiło na wschód do spółbraci, i że ci tylko zostali się w kraju zająowanym, których albo nieprzyjaciel zabiegł gwałtownie, albo którzy dla wielu rozmaitych przeszkód i przyczyn, odeprzeć napaści lub cofnąć się zawczasu nie mogli. Ci lassi, czyli lesi, Lehowie, kilka wieków ulegając Niemcom, przyzwyczaili się do feudalnych pojęć swoich panów; ale coraz więcej przez nich uciskani, usuwali się powoli na wschód za dawnymi wychodźcami, starym dobrze utartym szlakiem. Nastal wreszcie czas, że Lachowie zawładnęli całą ziemią słowiańską, od brzegów Warty aż pod Karpaty i Dniestr. Na tej przestrzeni pozakładali księstwa, na tej przestrzeni uorganizowali stany niemieckie; ztąd powieść o dwudziestu stryjach panujących Popiela. Powieść ta wskazuje związki, jedność drobnych księstw słowiańskich, dawno-polskich, pod władzą lechickich panów. Kiedy Ziemowit obalił tron Popiela, to się znaczy, że ziemianie, tubylcy słowiańscy, niezarażeni jeszcze duchem niemieckim, i mający inne pojęcia o rządzie społecznym, obalili przywileje stanów czyli szlachtę.

Pan Maciejowski przyszedł do tego odkrycia, jako prawnik. Widział u Słowian dawnych rząd gminny, a więc równość wszystkich w zasadzie; widział, że pierwiastek stanów, instytucya szlachty, była napływową, i rozpoznał w niej zaród niemieckich wyobrażeń: objaśnił więc wędrownictwem Lechów znad Elby nowe zasady, jakie u Słowian polskich zaczęły wchodzić w życie już za czasów historycznych. To pewna przynajmniej, że gmina zaciera się cokolwiek pod panowaniem pierwszych Piastów, i że *opola*, instytucya czysto słowiańska, ustępuje nową już zasadzie

feudalnój, ale złagodzonój duchem słowiańskim. Pokazują się i u nas trzy stany i główszczyzna, a dawniej ani jednego, ani drugiego nie było.

W innym ustępie pan Maciejowski objaśnia nam, że jeszcze dobrze przed Mieczysławem Iszym w wielu stronach późniejszej Polski, rozszerzała się znakomicie wiara chrześcijańska, i że Mieczysław przyszedł do gotowego, bo naród jego był już oddawna przysposobiony do uroczystego wyznania wiary Zbawiciela. Nie znaczyło to jednak, żeby już w Polsce po Mieczysławie wcale bałwochwalców nie było; owazem, i ucieczka Ryxy i czas bezrządu aż do powrotu Kazimierza Odnowiciela, dowodzą aż nadto jawnie, że dawne pogańskie jeszcze nawyknięcia nietylko polityczne, ale i religijne, odżyły w całej sile wśród wiosek polskich, kiedy lud zabijał katolickich kapłanów i burzył kościoły. Taki wypadek jak przyjęcie wiary przez naród, nie jest wypadkiem natchnienia, nie wypływa z rozkazu księżęcia. Jestto chwila uroczystego przełomu dwóch czasów: skończyła się jedna epoka, zaczyna się druga; stare zasady konają, a nowe płyną w krew i w żyły na przyszłe życie. Przyjęcie wiary, to nie świetne, a choćby najświetniejsze zwycięstwo, od którego rachują się okresy życia narodu; to nie zawojowanie kraju jakiego, nie prosta zmiana konstytucyi. To naraz zmiana wszystkich pojęć, wszystkich przesądów, do których tak lgnie serce ludzi zostających w pierwiastkowym stanie swojego dzieciństwa. Przyjęcia wiary nie mógł więc nakazać Polakom Mieczysław, boby go nie posłuchali, gdyby sami w znacznej części nie mieli do niej pociągu. Kiedy pod napływem wyobrażeń nowych, stare ustępują widocznie, to znak, że czas się zbliżył.

Pan Maciejowski też za pewnik wziął to, o czém inni zaledwie napomykali. Powtarzając słowa kronikarzy, p. Maciejowski powiedział, że Mieczysław uznał urzędowo wiarę chrześcijańską za wiarę swojego ludu, bo lud ten był już zasadami jęj przejęty.

W istocie, przed Mieczysławem, przed Ziemowitem jeszcze, na Morawach zakwitło potężne państwo słowiańskie, które Świętopełk wyniósł do szczytu wielkości. W tém państwie przepowiadali wiarę chrześcijańską dwaj bracia, uczeni Grecy, rodem z Saloniki: Metody i Cyryll. Przełożyli oni pismo św. na język słowiański. Cyryll umarł prędko, ale Metody bywał w Rzymie i tam nawet się święcił na dostojność arcybiskupią. Byłto czas jeszcze, kiedy jedność wiary i dogmatów panowała w całym chrześcijań-

skim kościele, na Wschodzie i na Zachodzie. Papiież rzymski i patriarchy konstantynopolitański rozdzielili pomiędzy siebie cały świat wiernych, i spierali się tylko o granice swoich dyccezyj, ale nie o dogmata. Państwo Świętopelkowe obejmowało z późniejszej Polski, dzisiejsze sandomierskie i krakowskie doliny i góry, dotykając Karpat i Wisły. Niezawodnie więc w tym kawałku morawskiego państwa, rozszerzała się wiara Chrystusowa. Metody po słowiańsku przemawiał do swoich owieczek, bo przychodził z Carogrodu, a patriarchy nowego Rzymu pozwalał ludom nawróconym przepowiadać wiarę w ich rodzinnym języku, i nawet ten język zaprowadzał do nabożeństwa w kościele. Morawska dyccezya leżała w granicach jurysdykcyi patriarchy carogrodzkiego, i dlatego właśnie w Morawach rozszerzał się słowiański obrządek. Skarżono o to arcybiskupa przed papieżem, ale kiedy następca Piotra św. przywołał Metodę do Rzymu i przekonał się, że nauka świętego męża była czysto katolicką, uprawnił tém samym jego starania i prace, a niechętni zamilkli. Ztąd też chrześciance morawscy modlili się po słowiańsku czas jakiś, aż póki nie pokazało się oddziaływanie w Czechach na stronę języka łacińskiego i obrządków rzymskich. Reakcyja ta jest już faktem znanym, bo przypadała za czasów historycznych.

To od południa było w dawniej Polsce; ale od północy i zachodu niemniej także czynnie zabiegali Niemcy. Z tej strony od Magdeburga i Mersburga oczywiście przychodziło do Słowian nabożeństwo chrześcijańskie w szacie rzymskiej i przemawiało językiem łacińskim. Cesarze w Poznaniu stanowili stolicę biskupią jeszcze przed Mieczysławem.

Tak więc na ziemi dawno polskiej, granica dwóch dyccezyj przypadła: wschodniej i zachodniej. Na tej przestrzeni od Karpat ku dolnej Wiśle i Warcie, puszczała się kapłani słowiańscy; od Warty ku górnej Wiśle, niemieccy. A nie znaczy to wcale, żeby jedni uczyli czego innego, a drudzy czego innego. I ci i tamci uczyli jednych zasad, jednej moralności chrześcijańskiej, prawili o jednym kościele, tylko każdy innym językiem. Mieczysław dopiero jawnie oświadczył się za Rzymem i przerzucił się na stronę cywilizacji zachodniej. Ztąd ciężenie Polski wraz ku wschodowi.

Taki był pod tym względem systemat pana Maciejowskiego, i źle go rozumieli ci, którzy sądzili, że p. Maciejowski kazał Mieczysławowi zmieniać wiarę jedną na drugą, to jest zasady wiary. Tego nasz autor nie powiedział.

Ale najważniejszym owocem z badań p. Maciejowskiego jest niezawodnie upatrzony związek rozmaitych podań kronikarskich, które zdają się dowodzić: że Słowianie od niepamiętnych czasów na dzisiejszych swoich stanowiskach siedzieli. Wprawdzie nie pana Maciejowskiego to myśl, ale jego jest, przedstawienie faktów w nowém świetle. Wyjściem badaczy jest i będzie zawsze Scytya Herodotowa, i niejednen już autor silił się objaśnić te napót dzikie nazwiska Melanchlenów, Nurów, Budinów. P. Maciejowski widzi także w Scytyi Herodotowej Słowian, jak Słowian w podaniach Strabona i Pomponiusza Meli, i stanowczo się oświadcza za tém zdaniem, że *Boulanes* starożytni, to późniejsi *Polanie*, mieszkańcy nadgoplańskich i nadwartańskich równin. Jeżeli więc Słowianie mieszkali ciągle w naszych stronach, to nietrzeba się zrażać szczupłemi podaniami, jakie o nich zachowały nam piśmienne zabytki. Rzymianie kiedyś świat cały podbili: Gallami wojowali Bretonów, Germanami Partów, Kartagami ujarzmili afrykańskie ludy. Tak samo Słowianie czynni być mogli pod przewodem Hunnów; Gottów, Wandalów, i t. d. Te obce narodowości, napływowe były na ziemi naszej: ztąd jedna pomykała się w przepaść za drugą, i niknęły z kolei wszystkie. Nietrzeba wierzyć kronikom, powiada pan Maciejowski, kiedy zakreślają szeroko granice tych germańskich plemion. Niemcy tam byli u góry, ale Słowianie u spodu. Tak samo rzecz się dzieje i w Germanii Tacyty. Znakomity historyk rzymski pisał o rzeszy ludów, ale nie o jednym narodzie niemieckim, który się niby rozciągał od Renu aż do Wisły. W jego Germanii trzeba zważać na charakterystykę ludów pojedynczych, a nie zważać na słowa i nazwiska często niehistoryczne, często w ustach Rzymianina zmienione do niepoznania. Jak w podaniach kronik nie ma nic o Słowianach, a jednak niejedna do nich należy; tak w Germanii Tacyty niejednen lud, niejednen wypadek przytoczony jest słowiański. Pan Maciejowski szczególnież w tym wyrazie *Swewi* widzi Słowian. *Swewi*, powiada, to prawie *Slawi*.

Sąto wszystko główne wywody badań uczonego. Drobniejszych szczegółów, jak np. że postrzyżyny były obrzędem chrześcijańskim, nie pogańskim, że Dąbrówka była nie córką Bolesława czeskiego, ale siostrą, trudno tutaj choćby nawet w przelocie dotykać: tak ich wiele. Rozwijają one pierwszorzędne twierdzenia pana Maciejowskiego i splywają do jego systematu. Rys mitologii słowiańskiej, który dał nam autor w *Pierwotnych dziejach*, jest

zawsze szacownym ustępem, pomimo wszelkich zarzutów, jakie mu robić można. A kiedy jeszcze zwrócim myśl na nowe przedsięwzięcie pana Maciejowskiego, na jego chęć opowiedzenia nam dziejów wszystkich plemion polskich, każdego pojedynczo, nim się zlały razem w jedną całość, i państwo Bolesławowe złożyły, trudno nie podziwiać i zamiaru, i wielkich skutków, jakie ztąd mogą spłynąć na wyrozumienie nie tylko naszych dziejów pierwotnych, ale i całej zachodniej Słowiańszczyzny. Już autor rozpoczął tę pracę; na początek dał nam Roczniki i kroniki Polski przedlechickiej, a potem roczniki Lechów i Lechii. Z kolei ma dać nam dzieje czyli raczej kronikę Polski podlechickiej w przestworze lat 862—992, to jest przedstawi nam epokę pierwszych Piastów od Ziemowita aż po śmierć Mieczysława I. Dalej iść ma kronika Mazurów, ludu może najciekawszego pomiędzy plemionami polskimi, bo tajemniczego, osadzonego w ostepie na granicach Litwy; ludu, który w przedhistorycznych jeszcze czasach miał jakieś stosunki z Prusami, prowadził z nimi wojny i godził się, który aż do Jagiellów zachował swoją niezawisłość i odrębną od reszty Polski fizyognomią. Po Mazurach ma iść kronika Wiślan, u których panował Wyszewit, postać historyczna, niedawno dla dziejów naszych zdobyta, książę potężny, którego chrzcili jeszcze Świętopełk. Mają iść za nim kroniki Chrobatów Czerwonych i Białych, w których znajdziemy historią Walgierza z Tyńca i Helligundy. Gdyby te kroniki spisał pan Maciejowski, jego pojęcia więcejby się rozwidniły, i niejedno, co się dziś wydaje zagadkowym i niepewnym, w badaniach jego alboby znalazło poparcie, albo spadłoby w rządy nieprawd historycznych, powtarzanych na ślepo. W każdym razie, czy autor spisze te kroniki, jak obiecał, czy nie spisze, myśl już rzucona, interes dla badań takich rozbudzony: bo co chwila nowe na tém polu gromadzą się spostrzeżenia i uwagi, a niedaleka może przyszłość wyrzuci z naszych ksiązek elementarnych rozdział dziejów bajecznych, żeby na ich miejsce prawdę historyczną postawić.

Nie ma wcale sporu o wypadek, który nam opisali naoczni świadkowie; ale inaczej się wcale rzecz ma z dziejami pierwotnymi. Tu trzeba wyrozumiewać błędne rozmaite podania kronik starych, a te kroniki nie były właśnie naocznymi świadkami tego, co opisują. Kronikarze pisali z nasłuchu, z opowieści tylko. Każde podanie przechodząc przez tysiące ust, zmienia się, podlega różnym tłumaczeniom, tak dalece, że niejednen potem zbieracz

tych podań, niby uczone, bo pisarz, szczegółów pofalszowanej prawdy nie umie rozróżnić i podaje baśni potomstwu, które nie wie jak sądzić o tém wszystkiém, co czyta. Tak Maciejowski za te szczegóły pofalszowanej prawdy wziął nasze kroniki Galla, Mateusza Cholewy, Wincentego syna Kadłubka; tak je téż wziął nowy badacz pierwotnych dziejów naszych, Bielowski. Dobrze zrobili, że nie odrzucili tak odrazu rodzinnych podań: bo w nich, przekonani jesteśmy, zachowała się jeszcze i dla nas iskierka prawdy, która może pochodnią rozbliśnie. Dziwim się, jak mogli dawniejsi autorowie, Naruszewicz np. wziąć na karb przyzwyczajenia do kłeczeń, te wszystkie opisy o Leszkach i Popielach, starych naszych kronikarzów. Zmyśla tylko wierutny kłamca, ale nigdy historyk. Krytyka wskazała przecież na wysoką wartość pod pewnym względem, tych autorów, którzy nam zachowali podania praocjów o związkach narodu polskiego. Ani Gallus, ani Mateusz, ani Wincenty, ani Bogufał nie zasłużyli na sąd niesprawiedliwy; mają oni nieraz i dobrą stronę, a czasem nawet i polot artystyczny, który wyższe daje wyobrażenie o ich zdolnościach i wyobrażeniach, jakie mieli o pisaniu historii. Jeżeli zatem podania ich o pierwiastkowych dziejach są mylne, nie mozem tego w żaden sposób przypisać złej ich woli i chęci fałszowania historii, o co ich długo oskarżano, ale obwinmy raczej mętne źródło, z którego czerpali. Zarzucimy im mało doświadczenia, mało zdolności krytycznych, kiedy powtarzali lada co, kiedy czasy i wyobrażenia plątali; ale nigdy nie przyznamy, że psuli wątek dziejów umyślnie. Kłamca jest zawsze kłamcą, a cóż dopiero kłamca dziejowy? — pisze on paszkwil, nie historją. Wincenty, artysta w czwartój księdze kroniki, którą sam napisał, nie może być w żaden sposób bezsumiennym zmyślaczem w trzech pierwszych księgach, które przerabiał z Mateusza. Więc cóż dziwnego, że mętne źródło czyszcząc, każdy z badaczy pierwiastkowych dziejów naszych, inaczej wyrozumiewa prawdę? Nie ma sporu o wypadek znajomy, ale trwa spór o dzieje pierwotne; pod tym względem muszą być systemata pewnych widzeń, musi być starcie się mniemańuczonych.

Maciejowski miał téż przeciwników swoich, którzy go rozbięrali, krytykowali, oceniali rozmaicie, ale najwięcej miał ich w Warszawie. Placem turniejów była długi czas Biblioteka Warszawska, a w części i Przegląd Naukowy. Umilkły już te spory i mozem teraz o nich sądzić. Jeden z przeciwników Maciejowskiego odmówił mu zupełnie zasługi; drugi i trzeci przyznał

ją, ale każdy inaczej; a przecież trudno zaprzeczyć, że dzieła pana Maciejowskiego obudziły powszechny interes nietylko u nas, ale i za granicą, pomiędzy Słowianami i pomiędzy Niemcami.

Piérwszym z kolei antagonistą Maciejowskiego był Ignacy Lojola Rychter, znakomity erudyta i filolog. Rychter starał się utrzymać przy niewzruszonej powadze podanie kronikarzy, że Polska dopiero za Mieczysława poznała światło religii chrześcijańskiej, i to z Zachodu. Ależ Maciejowski temu bynajmniej nie przeczył, że Mieczysław piérwszy stanął po stronie Rzymu, i tém samém rozciągnął granice papieżkiego władztwa więcéj na wschód, jak to było za czasów Kiryła i Metodogo. Maciejowski tylko utrzymywał, że w późniejszej Polsce byli już przed Mieczysławem wyznawcy Chrystusa, katolicy zawsze, tylko jedni modlili się w łacińskich kościołach, drudzy w świątyniach, w których śpiewano, powiedzielibyśmy po polsku, gdyby ślady były, że język nasz już wtedy odstrychnął się tak mocno od ogólnego pnia mowy słowiańskiej, że mógł już stanowić samoistne narzecze. Było modą powstawać czas jakiś za to na Maciejowskiego. Bielowski gniewał się razem z innemi na autora *Dziejów pierwotnych* za ten wniosek, a oto teraz niedawno w swoim *Wstępie krytycznym* utrzymuje też samo, co Maciejowski, i szeroko rozpowiada o losach kościoła słowiańskiego w Polsce. Utrzymuje Bielowski, że kościół ten upadł dopiero w krwawych zapasach po śmierci Mieczysława Gnuśnego, po ustąpieniu Ryxy do Niemiec, a przed powrotem Kazimierza, tojest około połowy XIgo wieku. Co większa, autor *Polski Średnich Wieków* chociaż utrzymuje, że Mieczysław z poganina został wyznawcą rzymskim Chrystusowój wiary, w ostatnim tomie swojego dzieła, któreśmy wymienili, wskazuje na widoczne ślady obrzędu słowiańskiego u Wiślan, tojest na południe późniejszej Polski. Wszyscy walczyli, a wielu w końcu przyznało słuszność Maciejowskiemu. Na obrządku słowiańskim, Bielowski nawet wiele swoich hipotez zbudował.

Spory Maciejowskiego z Rychterem przybrały wprędce charakter zbyt namiętny; i nie dziwnego: nowemu bojownikowi przedewszystkiém chodziło o wywalczenie samoistności naszego plemienia, co zdaje się, żadnych dowodów nie potrzebowało, bo ta samoistność świeciła słońcem w przeszłości. Staczały się więc harce o wyrazy, ale nie o rzeczy. Byłto olbrzymi bój, w którym dyalektyka ciskała pioruny. Nie można było odmówić Rychterowi zdolności do tego rodzaju walki: byłto prawdziwie uczony

człowiek, ale mógł spierać się długo na zadany temat, bez wewnętrznego jednak przekonania. Zdaniem naszym, sam uroił sobie nieprzyjaciela. Rychter nie darował nawet Maciejowskiemu jego *Polski pod względem obyczajów* i t. d., i znowu w recenzji swojej tego dzieła widział to, czegośmy wcale nie widzieli. Krytykowi zdawało się, że to pismo jest stekiem obelg na naród i na całą jego przeszłość: wziął więc obronę akademii krakowskiej przeciw Maciejowskiemu. Nasz autor powiedział, że akademія bawiła się w scholastyczne spory, że odznaczyła się li tylko w matematyce i w astronomii, że zapomniała o swoim przeznaczeniu, a przyjęła pewne formy raz na zawsze, za które przestąpić niewolno jój było. Święta prawda. Rychter dowodził przeciwnie, że akademія położyła wiele zasługi na każdym polu naukowym, a Maciejowskiego zarzuty nazwał potwarzami. Któż się spiera o to, że akademія nie położyła zasługi? Jedno oko zawsze coś więcej widzi, a ślepy nic nie widzi; ale akademія jedno miała oko i nie umiała się rozwijać z postępem czasu i wyobrażeń. I cóż się stało?—Odepchnęła od siebie rady ludzi światłych, rządząc się swojemi zasadami. Biła na Jezuitów, a za Jezuitami kroczyła i naśladowała ich w nietolerancyi i w ubóstwie naukowym. I upadła tak nisko, tak nisko, że cała okrzyczana jój mądrość, stanęła niżej od mądrości kollegium Konarskiego; a całe jój życie upływało w dysputach o wiatr, o czei patronów, odzywało się na obchodach uroczystości i kanonizacyi świętych. Tak było nawet do r. 1778, tojest do środka panowania króla Poniatowskiego.

W czasie sporów Maciejowskiego z Rychterem, w obronie *Polski pod względem obyczajów* stanął Wojciecki przeciw napastnikowi, rycerzowi dyalektyki, tojest próżnej szermierki. Autora Klechd, zbieracza pieśni ludu, męża, który tyle wpłynął na literaturę i czas co się rodzi, nie posądzi nikt zapewne o stronnictwo. Wojciecki stawał w obronie *Polski*, bo czuł to, że Rychter ma tylko rozumowanie za sobą, ale nie prawdę. Niedługie lata przeszły: przez ten czas Wiszniewski napisał nam dzieje literatury, Łukaszewicz *Historyą szkół*, Muczkowski tyle broszur rzucił na świat literacki o akademii. Zajrzyjcie do tych autorów: wszędzie tam też same zarzuty robione akademii, które robił i Maciejowski, które robi każdy, co się z jój dziejami bliżej zapozna.

Rychter był człowiekiem wyższych niezawodnie zdolności, ale też nie umiał ciągle pracować. Ztąd pozostawił tylko kilka rozpraw oderwanych, które więcej są dowodem jego naczytania

się, jak wyczerpania przedmiotu. Między jego pracami nie było żadnego związku. Wziął się pod koniec krótkiego życia do pisania dziejów akademii Zamojskiej; był u źródła, bo urzędnikiem w samej bibliotece ordynackiej. Mógłby przysłużyć się dziełem znakomitęj wartości dla literatury, jednak ociężałość wzięła górę: zbierał, zbierał ciągle, nareszcie śmierć przyszła, i przerwały się piękne nadzieje, jakie o nim powzięto. Dziwne to może zbliżenie, ale powiedzić potrzeba, że zmarły młody pracownik, i także rokujący nadzieje, Seweryn Sierpiński położył pod tym względem więcej zasługi od Rychtera; on, prawie samouczka, wziął pierwszeństwo przed professorem i zdolnym filologiem. Po Sierpińskim pozostała się rozprawka o akademii zamojskiej (drukowana podobno w *Jaskółce*); po Rychterze z ogromnych przygotowań, nic nie zostało.

Dlatego i zerwanie się uczonego krytyka, aby *veto* swoje położyć naprzeciw wnioskowi Maciejewskiego, jest prędkiej manifestacją, jak rozprawą o dawnych czasach i o pierwiastkach naszego plemienia. Dziwne pojęcie historii, kiedy w niej jeden fakt wolą Opatrzności wywołany, ma być sławą, a drugi niesławą narodu. Spory te najwięcej Rychterowi zrobiły imienia w literaturze, bo teraz nazwisko jego ciągle płatać się będzie w rocznikach naszej krytyki historycznej. Ale owoce małe dla dziejów z jego badań. Recenzent własnej myśli nie otworzył w rzeczy tak ważnej, ani też myśli Maciejewskiego nie podał całkowicie.

Drugim z kolei przeciwnikiem Maciejewskiego był Dominik Szulc. Szulcowi szło o zaprzeczenie oryginalności dyplomatom tyńickim Bolesława W., które odkrył i dał nam poznać Maciejewski. Byłyto najdawniejsze dyplomata nasze.

Pan Szulc ma dosyć znane imię w naszej literaturze. Nie wiemy dlaczego, ale widzimy to, jak każde słowo jego, uczeni i nieuczni ludzie, a najwięcej ci ostatni wysoko cenią, rozbierają, przywodzą. P. Szulc, to jakaś potęga umysłowa, która działa gdzieś niewidzialna, jakby Jowisz, poza krańcami literackiego świata. Nie widać skutków wielkich tój potężnej zdolności, która się mało przejawiała w literaturze; a przecież wpływ p. Szulca odzywa się nie dla jednego głosem sybillińskiej albo delfickiej wyroczni.

My nie przeczym zdolnościom, bo te ma p. Szulc rzeczywiście; ale nie sposób nie spostrzedz zarazem, że zasługa nie odpowiada jeszcze tym zdolnościom. P. Szulc prędko pomyśli i prędko wykonywa. Jestto także dyalektyk; jemu idzie tylko o przeko-

nanie swoich stronników, że widzi i pisze lepiej jak wszyscy. Zdolności w nim to robią, że jest coś w pracach jego oryginalnego i pięknego, bo zresztą ma p. Szulc bujną imaginacją i wiele poetycznego usposobienia, a to są rzeczy wcale niepotrzebne przy badaniach pierwotnych dziejów. Na fantazyą też widocznie pan Szulc choruje; fantazyja też tworzy przed jego oczami obrazy, które autorowi zdają się, że są historyczne, ale w nich często i cienia prawdy nie ma. Pan Szulc nie obejrzy wszechstronnie przedmiotu; i dziwi się po tym, że rzuca na świat podania swoje, w których kontruje bez zasady podaniom i wnioskom innych badaczy? Postaramy się zdanie nasze rozjaśnić.

Zapowiadano nam od bardzo dawna te znakomite zdolności, tę przyszłą sławę literatury krajowej. Jeszcześmy p. Szulca znali tylko po tłumaczeniu grammatyki łacińskiej Bredera, kiedy już nam rozprowadano o nim cudowne rzeczy. Mówiono z kolei, że pisze: to dzieje literatury, to dzieje narodu. Obiecywano spełnienie najświetniejszych może nadziei.

O ile nam się zdaje, pierwszą pracą, którą nasz autor wyjął z bogatej teki swojej historycznej i puścił na świat, była rozprawa o pieśni Bogarodzicy. Te rozprawę autor czytał niegdyś na akcie uroczystym szkół w Lublinie, potem ją przerabiał i dorabiał, i w lat kilka ogłosił ją w Pamiętniku Moralnym. Mówiono, że Czesi mają króloworski rękopis, że Ruś ma Nestora i Słowo o pułku Igorowym, i ubolewano nad tym, że Polska podobnych pomników swojego języka i literatury nie miała, i że reprezentantem jej dawniej nauki są latopisy łacińskie. P. Szulc postanowił zaprzeczyć temu twierdzeniu; postanowił okazać, że i my mamy pomnik naszego języka równie szacowny, jak stary. Św. Wojciech był starszym niezawodnie od Nestora i od autora króloworskiego rękopisu; szło więc o to, żeby dowieść, że pieśń Bogarodzicy jest pieśnią napisaną po polsku przez św. Wojciecha. Były wprawdzie o tym podania, którym wierzone aż do naszych czasów; ale p. Szulc chciał ocenić te podania, roztrząsnąć i postawić je tak, żeby świeciły rzeczywistą prawdą dla wszystkich. I trzeba mu oddać zupełną sprawiedliwość: rozprawa o pieśni Bogarodzicy jest znakomitą w swoim rodzaju. Autor dowiódł świetnie trudnego zadania.

Za tym p. Szulc rzucił się grzebać w przeszłości naszego Pomorza. Krew mu wzburzyła pretensya Niemców, że Kopernika naszego bezkarnie sobie przywłaszczali. Postanowił więc do-

wieść im, tym Niemcom, że całe Pomorze, jak nateraz, rozciągając się od Wisły aż do Niemna, było słowiańskiem, polskiem; i że, naturalny wniosek, kiedy tam panowali Niemcy, byli tylko przychodniami, którzy klócili spokojność naszych praocjów. Jako pierwszą próbkę tój pracy dał p. Szulc rozprawę i także w Pamiętniku Religijnym: O Tarnowie mazowieckim. Tarnów był niczem innem tylko późniejszym Toruniem; był w XIII wieku małą wioszczką mazowiecką na pograniczu od Prus, należąca do dóbr stołowych biskupstwa płockiego i przez Gietkę biskupa nadaną Chrystyanowi i zakonowi braci Dobrzyńskich. Nazwisko jego *Thorn* jest późniejsze i już widocznie zniemczone przez Krzyżaków.

Niedługo potem zaczęły się drukować w Bibliotece Warszawskiej ważne badania Szulca *O znaczeniu Prus dawnych*. Zdawało się, że to początek prac olbrzymich, zdolnych aureolą najpiękniejszej sławy otoczyć imię badacza; było to chwila prawdziwego tryumfu naszego autora: — trwała tak krótko!

W istocie, trzeba oddać sprawiedliwość p. Szulcowi; w jego dziele o Prusach jest nowy pogląd na rzeczy, jest uczucie, duch, styl ożywiony, język piękny: jest wszystko, co tylko potrzeba było autorowi, żeby umiał zająć chociaż suchemi badaniami, swoich czytelników. Pan Szulc zastanawia się naprzód nad rodowością Pomorza, dowodząc prawdy jasnój jak słońce, ale dla Niemców jednak niezrozumiałej, że pierwiastkowo na tój ziemi, o ile możem sięgnąć w oddal wieków za pomocą piśmiennych naszych zabytków, mieszkały słowiańsko-polskie plemiona. Przechodząc do imienia ziemi, autor słusznie dowodzi, że nazwisko dalszego Pomorza, to jest sam wyraz *Prusy*, jest polskiem, chociaż jego rodowód dzisiaj dla nas zagubiony. Na pograniczu naszego Mazowsza, jak się dzisiaj kończy od Prus, dalej ku Bałtykowi, nie mieszkali zaraz Litwini, krewni tych, co się osadowili nad Wilią aż poza Dźwinę. Prusacy mieszkali więcj na północ, w ostępie ściśniętym cokolwiek, i nie rozszerzali się tak daleko, jak niektórzy sądzą, żeby aż granic dzisiejszego Mazowsza osadami swojemi sięgali. Szulc wskazuje następnie na rysy charakteru narodowego, dowodząc, że i na tём Pomorzu Słowianie mieszkali; a nawet dalej się zacieka. Jadźwingów, Jatwieźów, ród litewski, wygubiony w krwawych wojnach za Bolesława Wstydliwego, autor nasz ma za Polaków, czyli raczej za Słowian, i dlatego im nazwę Podlasian nadaje. Odkrył p. Szulc na Podlasiu wieś Daj-

nowo i dlatego całą krainę Jadźwingów jeszcze ziemią dajnowską nazywa, niby tam jeszcze wskazując na pochodzenie polskie mieszkającego w niej ludu.

Kończy znakomite to dzieło szczegółowy opis ziem składających Prusy wzięte w rozległym znaczeniu, jakie miały za Rplitej polskiej. Autor zaczyna ten pochód swój od Torunia i od ziemi chełmińskiej; następuje więc obraz historyczno-statystyczny, pięknie i śmiało pomysłany.

Byłato praca mozolna, ale sownie opłacająca trudy. Autor wskazuje na ślady miast i ludzi słowiańskich na Pomorzu, wydobywa z kronik i z dyplomatów stare nazwiska, które brzmią czysto po polsku, już nawet za czasów rozpoczętej wojny przeciw narodowości ziemi. Zkądże te nazwiska się wzięły, jeżeli jeszcze nie były przed Niemcami? Niemcy kiedy zakładali nowe osady na Pomorzu, to je już chrzcili odrazu swojemi nazwiskami, a nawet stare siedziby nasze przekreślali tak, żeby je potem za niemieckie uznać można było. Jeżeli z przemianą jedną albo dwojga głosek udało się zniemczyć wyraz polski, robili z Tarnowa *Thorn*; jeżeli nie, całkiem wymyślali nowe, niebywałe jeszcze imiona: tak z Kwidzyna powstało *Marienwerder*. Jeżeli więc dzisiaj po upływie kilku wieków napotyka się gdzie nazwiska polskie na Pomorzu, czyż te nazwiska przeciwko Niemcom nie świadczą?

Autor w każdej ziemi Prus starych przywodzi te nazwiska miejsc i nazwiska osób, które w tych ziemiach działały z nienawiścią dla Niemców. Ułożył więc i herbarz rodzin szlacheckich dawnego Pomorza.

Widoczna i tutaj wszędzie fantazja naszego autora, a jednak rzecz o znaczeniu Prus dawnych, czyta się z pewną wiarą w moc jego rozumowań. I łatwo też było powyciągać p. Szulcowi ze starych zaplesniałych akt dowody rodowości tej ziemi. Walczyła ona długo z przemocą wyobrażeń niemieckich, aż wreszcie do braci wyciągnęła ręce. Długi opór zahartował ją w nienawiści plemiennej; chociaż Niemcy Pomorzanom narzucali swoje prawa i swoje nazwiska, oni przecież rodzinne zachowali dla potomstwa, niby na oznakę dumy słowiańskiej. Polskie imiona odbiły się echem w tysiącach bitew pojedynczo i tłumnie z najezdźnami hufcami staczanych, i musiały przejść témże echem aż do nas. Jak nie było znaleźć tych dowodów, kiedy się po ziemi waleśały wszędzie, kiedy w każdym lasku tkwiły, w każdym pagórku, rzeczce, jeziorze, ustroniu; bo już Niemcy wyparli je z miast na

równiny. Trzeba się tylko było schylić po ziemi, a zastyszalbyś na tej ziemi wszędzie pieśń słowiańską rodzinném uczuciem owianą. Trzeba tylko było wejść do chaty wieśniaczej, żeby w niej spotkać starą gościnność, a nie zdradę krzyżacką, nie przyjęcie niemieckie.

Cała w tém zasługa pana Szulca, że padł na myśl szczęśliwą jak Kolumb na odkrycie Ameryki, i że nam uroczy krajobraz przedstawił przed oczy. Ale praca ta wieleby zyskała na dokładności, gdyby autor nie nadrabiał fantazyą i domysłami, a starał się poznać osobiście ziemię, za której narodowość walczył. Niejedno nazwisko zachowane w dyplomatach zepsute do niepoznania, zachowało przecież słowiańskie brzmienie, tak, że prawdziwego dociec łatwo. Ale wiele, innego doznało losu. Pan Szulc potłumaczył te nazwiska na język polski jak mu się zdawało, nie bacząc na to, że ubliża majestatowi historii, kiedy domysł podaje za prawdę; a przecież odkryć się z czasem może niejedno błędne jego tłumaczenie: jakaż wtedy pokaże się zasługa pana Szulca, kiedy dojdziemy, że historycznemu miejscu przyswajał nazwę niehistoryczną? Tak Sambia, nazywa się u Szulca krainą ziembińską; dlaczego? Może ona w samej rzeczy była ziembińską, ale my tego nie wiemy. Lepiej więc w takim razie pozostać przy łacinnioném nazwisku. Tak grają w jego dziele rolę ziemie Barcińska, Gołędzińska, powiat Pogodziński i t. d. Nie dotykamy już miast i wiosek. Zkądże ta pewność? Jaroszewicz zaprzeczył jawnie wywodowi polskiemu Szulca o Jaćwieży i ziemi dajnowskiej. Zaprzeczenie to nie jest dla innego punktu widzenia rzeczy, i nastąpiło nie dla sporów dyalektycznych, bo Jaroszewicz zna dobrze Podlasie, ziemię dawnych Jadźwingów, którą pan Szulc opisywał z nasłuchu, a nie uwodził się nigdy fantazyą w śledzeniach dziejowych. Zład prace jego historyczne może nietyle zajmujące stylem i obrazowością, co Szulca, nierównie są od nich wyższe swoją wartością.

Olśniony blaskiem, jaki na niego rzuciły badania o znaczeniu Prus dawnych, autor nasz odbył jeszcze podróż na drugie Pomorze zaodrzańskie, aż ku Elbie, i morzu Niemieckiemu. Jeżeli w Prusach pomagała mu w zmudnych poszukiwaniach fantazyja, to tutaj na zaodrzańskiem Pomorzu wyłącznie już zapanowała. Nasze myśli o drugim dziełku pana Szulca wyłożyliśmy już niedawno w Bibliotece Warszawskiej (miesiąc październ., 1850). Autor naraził swoje wziętość historyczną i sławę literacką, kiedy się tak lekko wziął do pracy ważnej w pomyśle, ale słabej w wyko-

naniu. Zdaje się, znać na niej widoczny pośpiech: brak wreszcie czasu należytego do rozwagi i porównania świadectw dziejowych. W Prusiech, na Pomorzu nadwiślańskim, Szulc co krok znajdował dowody których szukał; — ale za Odrą? Ta ziemia, to drugie Pomorze, później wystąpiło na scenę politycznego życia w takiej sile jak Polska. Za Bolesława Krzywoustego dopiero ochrzcił je św. Otton z Bambergu. To się znaczy o trzy wieki później wkroczyła na zaodrzańskie Pomorze cywilizacja zachodniej Europy, która pomiędzy Słowian tamiecznych przyniosła księgi łacińskie i sztukę układania ksiąg i chęć spisywania zdarzeń rodzinnego kraju, która pomiędzy nich wprowadziła kapłanów i ludzi uczonych, zbierających ułamki dziejów pogańskich. Właściwie historia tego zaodrzańskiego Pomorza, powinna się zacząć dawniej od historii Polski, bo na tamtejsze ziemie bił częściej i silniej piorun Zachodu i przed Karolem, i po Karolu Wielkim.

Ale upor Słowian przy rodzinnych obrzędach, przy wierze praojców opóźnił tylko bieg cywilizacji, która świat europejski przebież miała, a zniszczył pamiątki. Ani tam walki były tak mordercze, ani tak częste jak w Prusach. Na Pomorzu nadwiślańskim, Krzyżacy wszystko „oreżem tępić musieli: osady, ludzi i język i wiarę; inaczéj się wcale działo na Pomorzu zaodrzańskim. Historia nie zachowała nam pamiątek tamtejszych wojen w takiej ilości, jak tutaj, w bliższych nam okolicach. Plondrowali i tam wprawdzie Niemcy, miecz i ogień wnosząc pomiędzy siedziby mieszkańców; ale ich zawsze wyparto ze stratą. Byli tam Niemcy napływową i chwilową ludnością; ale tutaj panowali jak udzielni książęta i tępiłi narodowość. Ztąd większa zaciętość na Pomorzu nadwiślańskim. Jednego roku nie było tutaj bez wojny. Niemcy raz wraz wysyłali wyprawy: to na wschód, to na zachód, to na północ i południe. Dopiero co zawojowali jedną stronę, a już w kilka miesięcy nowe w niej powstanie musieli przytłumiać, i to jeszcze z boku zarywał ich jaki Świętopelk, Sambor albo Mestwin. Nareszcie i przemarodowienie się niemieckie zaodrzańskiego Pomorza, następowało bez walki, a skutkiem jedynie ważnych wypadków europejskich. Za Odrą, po ciężkich klęskach sami książęta słowiańscy przyjmowali z rąk Niemców wiarę i poddaństwo, zapisując się na hercogów świętego rzymskiego państwa. Wymarodowienie więc stało się po długim oporze, prawie dobrowolnie; rzekłbyś, że Słowianie zaodrzańscy skamieniali w rozpacz.

Ten odmienny bieg wypadków na jedném i drugim Pomorzu był przyczyną, że nierównie więcej mamy zachowanych wiadomości o nadwiślu, jak o zaodrzańskiej ziemi. Tam każdy kamień był prawie historyczny; tutaj oprócz wspomnień miast wielkich i książąt wojowniczych, nic prawie nie zostało.

O jedném i o drugim Pomorzu wiadomość zachowali nam Niemcy: ztąd na ponadwiślu spotykamy dzikie dla nas imiona Galindyi, Sambii, Pomeranii, Natangii i t. d. Ztąd na Pomorzu zaodrzańskiem mieszkają ludy słowiańskie z niemieckimi nazwiskami, Wagiri, Stoderani, Lutici. Nadwiśle opierało się; ztąd jego historia, lubo płynęła jakiś czas oddzielném korytem, ma echo w naszych dziejach; ale historia Zaodrzańców ma echo tylko w Niemczech, a ci całą terminologią słowiańską popsuli. Polskie nazwiska do dziś dnia są na ponadwiślu, a jakże ich mało na zaodrzańskiej ziemi!

Ztąd, kiedy pan Szulc, pomimo nierównie szczuplejszych źródeł, jakie miał dla Prus, napisał geografią historyczną zaodrzańskiego Pomorza, prawie obszerniejszą i dokładniejszą jak nadwiślańskiego, jakaś się nieufność pomimowolnie dla pracy jego obudza. I w samęj rzeczy, rzadki, ale bardzo rzadki tam fakt, który przyjmie krytyka jako nabytek dla historyi; fantazyja rozdzieliła panu Szulcowi i lądy i wody na ziemi i powiaty; najdrobniejszy tam znajdziesz szczegół, a gdybyś wątpił, pan Szulc cię natychmiast przekona, że np. ziemia pyżska szła tą niezawodnie granicą, a wiecławska tamtą. Fantazyja téż panu Szulcowi podyktowała i herbarz szlachty zaodrzańskiej w czasach przed-historycznych prawie. Taki herbarz nie raził na ponadwiślu: towarzystwo np. jaszczurcze miało w swoim gronie wiele polskich nazwisk, ależ gdzie takie towarzystwo jaszczurcze za Odrą? Jedność pochodzenia płatała być może, te ziemie niewidzialną nicią; wiele rodów szlacheckich, które pan Szulc odkrył za Odrą, kwitnie pomiędzy nami dziś jeszcze. Miałyż przejść do nas z zaodrzańskiego Pomorza?

Powiedzieliśmy, że p. Szulc był przeciwnikiem Maciejowskiego, w kwestyi dyplomatów tynieckich. Nie bronimy tych dyplomatów, i zawieszamy jeszcze swój sąd o nich do pewnego czasu, aż dopóki nowe odkrycia nie wyjaśnią tajemnicy, za którą się dzisiaj cała rzecz ukrywa. Ależ i w téj sprawie trudno nie widzieć, jak pan Szulc lekko brał poważne rzeczy.

Dlatego, że Gall powiedział gdzieś o Kazimierzu I „szczególniej liczbę zakonów władca ten powiększył”; dlatego, że Bogu-

chwał biskup poznański założenie opactwa tynieckiego synowi Ryxy przypisuje; dlatego nareszcie, że Długosz powiada o sprowadzeniu Benedyktynów przez tego króla: pan Szulc ma za fakt niezaprzeczony i to podanie kronikarzy, że Kazimierz założył opactwo tynieckie. Cytuje na to jeszcze powagę Paprockiego, który miał z Żarnowskiego przepisać wiadomość, a więc z drugiej już ręki, że Tyniec odebrał Starzom Kazimierz. Co u Paprockim myśli pan Szulc, widzieliśmy niedawno z jego urywku o pomysłach historycznych Bielowskiego, umieszczonego w Gazecie Warszawskiej: w kwestyi dyplomatów, przecież Paprocki jest powagą; w recenzji Bielowskiego, jest ostatniego rzędu bazgraczem.

Żył jednakże jeszcze za czasów Bolesława Wielkiego opat Thunni, którego wbrew panu Szulcowi nazywają wszyscy opatem tynieckim. Więc wszyscy zgadzają się, lubo nie ma na to oczywistych dowodów, że opactwo już wtedy istniało, a trzeba powiedzieć, że nie ma też dowodów, żeby za Kazimierza Igo założone było. Tutaj dowodem nie może być słowo Galla albo Boguchwała, ale dokument urzędowy, dyplomata.

Dziwne są zarzuty Szulca robione autorowi Dziejów pierwotnych. Maciejowski powiada np. swojemu przeciwnikowi, że *fundare* w łacinie średnich wieków znaczyło nietylko zakładać, ale i danego zakładu fundusz nowemi nadaniami powiększać, niby drugi raz zakładać, fundować. Przecież i dzisiaj dobrodzieja, który na kościół zapisze jaki znaczny fundusz, albo kaplicę jaką przymuruje, albo wieżę z dzwonnica wystawi, nazywamy fundatorem, a ten tytuł nie ubliża wcale pierwszemu założycielowi kościoła. Pan Szulc łapie za wyraz, przywodzi fakt z Długosza, że król Jagiełło *fundavit* biskupstwo raz wileńskie, drugi raz żmudzkie, i śmieje się z tego dowodu: „Tak, Jagiełło powiększał fundusz tych kościołów, śnać je poganie zakładali.” Maciejowski się nie mylił: *fundare* w łacinie średnich wieków brało się w podwójnym znaczeniu, i to wyrażenie się Długosza, że król fundował biskupstwa na Litwie, nie znaczyło tutaj bynajmniej, że lepij je uposażał i że kościół chrześcijański poganie zakładali.

Oto drugi zarzut. Wyrażenie się biskupa tuskulańskiego: *Gloriosus rex*, Maciejowski do Bolesława Wielkiego odnosił. P. Szulc łapie znów za wyraz; mówi, że tenże biskup, Krzywoustego w tymże dyplomie *gloriosissimus* nazywa: więc (tu dowcip) chyba dowiedzie p. Maciejowski, że wbrew zasadom wszystkich

języków, stopień najwyższy mniej znaczy jak równy, jeżeli przypuszcza, że *gloriosus* ma być odznaczeniem koniecznie Bolesława Wielkiego. Próżna fatyga autora; do panujących dzisiaj mówimy: największy, najpotężniejszy, najmiłościwszy, najjaśniejszy panie; a przecież Bolesława i Kazimierza dlatego nazywamy *wielkimi*. Ten tytuł *wielki* jest uczczeniem, jest historyą; ten tytuł *największy*, jest prostą formą. Tak i wyraz *gloriosus* przy imieniu Bolesława położony, może być w rzeczy samej przydomkiem; *gloriosissimus* jest tylko prostą grzecznością dla Krzywoustego, grzecznością formami uświęconą.

Pan Szulc nie przyjął więc żadnych wywodów Maciejowskiego: wszystkie zbijał po kolei; a jednakże, patrzmy co może fantazy! Autor *Dziejów pierwotnych* w Germanii Tacyta widział rzeszę ludów, to jest Słowian obok Niemców, i granice naszego plemienia daleko za Elbę prowadził. To się wielu zdało zbyt śmiałym, a mianowicie ostatnie przypuszczenie. Pan Szulc schwycił za wątek téj myśli: Swewów wziął jak Maciejowski za Słowian, Germanią wziął za Słowiańszczyznę, i jedném pociągnięciem pióra wyparł Niemców całkiem ze Słowiańszczyzny, wymazał ich z liczby narodów. A oni dzisiaj wymazują krok za krokiem narodowość słowiańską, z mapy naszej części świata.

Dlaczego Germanie mają być Słowianami? — A oto dlatego. Są u nas wioski Jerzmanowo i Jerzmowo, a w złączeniu te nazwiska brzmić muszą: Jermania, Germania. (Ten wywód autora znajduje się w dziełku: O Pomorzu Zaodrzańskiem str. 31 33). Przypomina się nam niemieckie nazwisko *Sklaven, Schlaven*, jakim nas sąsiedzi udarowali. Z tego francuzkie *Esclavons*. Jestto tytuł niewolników; Niemcy też mówili niegdyś, że Słowianie nigdy nie znali wolności, i dlatego przezwali się tak szkaradnie. Tak, to Jerzmanowo polskie pana Szulca ma źródłosłów w *jarzmie*. Podajemy jeden jeszcze dowód dla systematu p. Szulca. Narody też germańskie jak i słowiańskie Ingewony, Istewony, także bardzo łatwo mogą być objaśnione ze źródłosłowa polskiego: końcówki zwłaszcza są wiele mówiące.

Był jeszcze trzeci w Warszawie przeciwnik Maciejowskiego i razem badacz naszych dziejów pierwotnych, a nie prosty jedynie recenzent, bo rozwinął także swój systemat oddzielny i wbrew przeciwny wywodom Maciejowskiego, lubo między nim a pisarzem Historji prawodawstw słowiańskich, znalazły się nawet pewne punkta zbliżenia. Tamci dwaj pisali dla dyalektyki, więc

wszystkiemu przeczyli; Tyszyński (bo o nim tutaj mowa) pisał z pewną miłością dla przedmiotu. Mówimy z pewną, bo nie tait się z tém, że nie lubi śledzeń dziejowych, które mu tylko podają *zblizenia* do prawdy, nie *prawdę* samą. Miał wielką słuszność po sobie. Ale dlatego właśnie, że Tyszyński lubił prawdę, a Rychter i Szulc kochali spory scholastyczne, zacny autor Amerykanki (używamy tutaj wyrażenia, które już na zawsze przy nazwisku pana Tyszyńskiego pozostanie: widać, że jest do tego sprawiedliwy powód), autor Amerykanki, powtarzamy, badał na gruncie kwestyą i zajmował się nią wielostronnie, czego dwaj ostatni nie robili. Recenzya Pierwotnych Dziejów Maciejowskiego jest dlatego faktem w dziejach naszej krytyki historycznej. Nie powiemy tego o żadnych pracach Rychtera i Szulca.

Jeden znakomity mówca dzisiejszej Francyi mówi na raz o bardzo wielu przedmiotach, mając mówić o jednym: powiadają téż o nim, że każda mowa jego, to mała encyklopedia. Toż samo powiedzieć można i o Tyszyńskim, bo w każdej jego recenzji jest filozofia, literatura, dzisieje, a wszędzie ścisła logika, wątek rozumowań tak związany, tak silny wymową i treścią, że prawie zawsze trzeba przyjąć jego wyniki i kochać każdą jego encyklopedyą.

Tyszyński pisał kiedyś w pierwszych latach życia Biblioteki Warszawskiej: Rys historyczny oświecenia plemion słowiańskich. Rys oświaty każdego ludu słowiańskiego, poprzedzał tam wzmiankę o jego dziejach zewnętrznych. Z kolei dotknął i plemienia leskiego. Dawno więc już myślał nad pierwotnemi dziejami Polski. Kiedy wyszła książka Maciejowskiego, przeczytawszy ją, przekonał się, że wnioski jego niektóre są wprost przeciwne wywodom autora Historji Pravidawstw. Ztąd pisał jego recenzyą, nie dla próżnych przechwałek z erudycyą, ale z miłości dla prawdy. Robiąc zarzuty dziełu Maciejowskiego, chciał, żeby na te zarzuty autor odpowiedział, żeby wątpliwości zniósł, a samo z siebie wynika, że prawda przez to jaśniejszaby się wydała.

Maciejowski opowiadanie swoje dziejów Polski zaczął od pierwszego wieku chrześcijaństwa, to jest od Germanii Tacyta. Ligiów Tacytowych wziął za Łęczan, i na to się z nim zgodził Tyszyński; ale wziął téż Maciejowski Bulanów Ptolomeusza za Polaków, w czém się z nim Tyszyński nie zgodził. W samej rzeczy autor Dziejów pierwotnych nie pomyka się głębiej w czasy przed-

Chrystusowe, a jego recenzent zaczątek historii naszej z równym stopniem pewności cofa jeszcze o wieków kilka, i widzi ją w Scytyi Herodotowej. To prawda, ale te wieki przed-Chrystusowe interesują więcej Słowian w ogóle, jak nas Polaków. Sam przecież pan Tyszyński dopiero w IIIim i IVtym stuleciu ery chrześcijańskiej, Słowian od stron karpackich przenosi na nasze nadwiślańskie i nadwartańskie równiny. Że całą tę przestrzeń między Wisłą a Elbą zamieszkiwało już wtenczas słowiańskie plemię, rdzeń Polski późniejszy, zupełnej pierwotnej jedności, na to my się zgadzamy z Tyszyńskim przeciw Maciejowskiemu, jeżeli tak rzeczywiście utrzymywał autor *Dziejów pierwotnych*. Zdaje się jednak, że tutaj małe nieporozumienie. Przyjmując *Bulanów* Ptolemeuszowych za Słowian, przodków naszych, Maciejowski powiedział, że nie tylko nad Wartą, ale i nad górną, nad dolną Wisłą i nawet nad Odrą mieszkali Słowianie. Owszem, Maciejowski Słowian dalej prowadził, jak może rzeczywiście oni zaszli, kiedy źródłostów *Westfalii* tłumaczył z polskiego. Autor *Dziejów pierwotnych* powiedział tylko, że po Słowianach różne narody stapały, że historia praojców naszych utonęła w historii Gotów, Wandalów, Scytów, Sarmatów i innych nazwisk narodów. Obcy przybysze całą ziemię naszą zajęli i przemknęli się po niej jak huragan wszystko niszczący. Co chwila spotykasz nazwy obce; jedno tylko imię *Bulanów* ma być swojskie: w tém właśnie najslabsza strona systematu pana Maciejowskiego, to mimowolne ocalenie dla historii imienia *Bulanów*. Czemużto inne słowiańskie narody w téj okolicy dały się ugiąć chociaż pod chwilowe jarzmo, a nie dali Polanie?

Robimy więc zarzut panu Tyszyńskiemu: że to jego cofnięcie historii słowiańskiej „z równym stopniem pewności” aż do czasów Scytyi Herodotowej, dla nas Polaków nic nie przysporzyło starożytności, i twierdzim, że kiedy Maciejowski zaczynał dzieje Polski od Igo wieku po Chrystusie, idąc za śladem *Bulanów*, zaczynał te dzieje nierównie wcześniej od pana Tyszyńskiego, lat trzysta, czterysta przynajmniej.

Jakkolwiekbyż można ten sporny przedmiot uważać, nam się zdaje rzeczą pewną, że Słowianie osiedli w czasach przedhistorycznych na całej téj przestrzeni, jaką dziś jeszcze Słowiańszczyzna zajmuje, zamknięta pomiędzy Dnieprem a Elbą. Tyszyński przodków naszych za Herodota sadowi już na północ Karpat, ale pod

Baltyk i dolną Wisłę z niemi się nie zapędza. Tyszyński w tém się téż nie zgodził z Maciejowskim, żeby Słowianie lescy mieli do nas nadejść z Zachodu; utrzymuje owszem, że przybyli z Południa. Że pierwiastkowo przybyli z Południa i ze Wschodu w nasze okolice, to żadnej zdaje się nie ulega wątpliwości. Pochód ludów ze środka Azyi aż do Atlantyku, tę drogę wskazywał od wieków; ale był ten pochód daleko dawniej jak przypuszcza Tyszyński. W pierwszym wieku ery chrześcijańskiej już Maciejowski widzi Słowian, rdzeń Polski późniejszy, nad Bałtykiem i nad Wisłą, a w dalszą ich przeszłość nie wgląda. Zapytany o to, pewnieby nie zaprzeczył, że nim nad Wisłą byli Słowianie, siedzieli wprzód może nad Dnieprem, Dunajem, Bohem. Maciejowski już w Iszym wieku ery naszój widzi praojców słowiańskich w ich dzisiejszych siedzi-
bach, a my ich dawniej jeszcze widzimy.

My sądzimy, że już w tych siedzibach zastał ich Herodot, kiedy swoją Scytyą pisał, a ich grobowce i stare wioski przeglądał, i ich zwyczajom i życiu się przypatrywał. Niejeden już dowcipny badacz tłumaczył tę Scytyą Herodotową. Znamy rozprawę Karola Sienkiewicza, Ejchwalda, a teraz niedawno poznaliśmy badania Nadeždina, pod tym względem nadzwyczaj ciekawe i ważne. Może dla nauki nie będzie bez użytku powtórzenie tutaj kilku zbliżeń, kilku tych faktów i wniosków.

Herodot dzieli Scytów na królewskich czyli właściwych i wolnych, i na niekrólewskich, niewłaściwych Scytów, więc niewolnych. Jedni panowali, drudzy ulegali. Jedni byli napływową ludnością, bo jakąż inną ludnością mogli być zwycięzcy? drudzy byli zawojowani, więc siedzieli na swojej ziemi przed najściem obcych. Ci zawojowani bylibo Słowianie, a w takim razie twierdzenie Maciejowskiego, że górą przepływały po naszych praojcach ludy niemiecko-gotyckie, dziwném podobieństwem uderza. Myślałbyś, że przeznaczeniem starój ziemi Słowian było służyć za jakiś przewodnik elektryczny dla wszelkich obcych narodowości. Słowianie ulegali za Herodota napływowym ludnościom, ulegali im w pierwszym wieku ery chrześcijańskiej.

W Scytyi więc już widzieliśmy Słowian: bo nam się w żaden sposób w głowie pomieścić nie może, żeby lud tak ogromny jak słowiański, dopiero w drugim, trzecim wieku, tém bardziej w czwartym, rozlał się szeroko po Europie. Tyszyński jednak utrzymuje, że cesarz Konstans rozgromił potężnie Słowian około r. 360. i odrzucił ich z nad Cissy na północ; że świeża ta war-

stwa słowiańskich ludów, wlała ruch nowy, nowy okres życia w pokolenia nad Wisłą.

Nad Wisłą mieszkali już podług niego Słowianie, którzy jednak niedawno tam zejść musieli, bo w pierwszym wieku ery naszej nie ma ich żadnych śladów na północy. Na południu płynęły wtenczas Dunaj, Wisła, Drawa, Sawa: rzeki z brzmieniem słowiańskiem; a na północy Guttalus i Elba, która ma pochodzić z wyrazu *albis* (znaczącego środek). Tak więc tu na północy, w pierwszym wieku ery nie było Słowian, podług pana Tyszyńskiego. Rzeki tego nie pokazują. Nie mamy nic przeciw temu zdaniu. Autor zauważał i sprawiedliwie, że lasy, wioski, pomniki i same miasta, nikną w kolei wieków i giną; lecz nie boją się ani czasu, ani żywiołów rzeki, i nazwiskami świadczą.

Wypada z tego całego rozumowania, że jakkolwiek dawniej, za Herodota jeszcze, mieszkali i nad Wisłą Słowianie, byłoby przecież tylko nad górną Wisłą, i że dopiero po zwycięstwach Walensa zajęli ostatecznie swoje granice pomiędzy Elbą, Bałtykiem i już wtedy dolną Wisłą. Takim sposobem już za czasów historyi mieli zapanować w północnych stronach nasi naddziadowie; nam się nie zdaje, żeby lud tak mnogi, tak wielki, który na miejscu mógł wzrastać, ale nie przychodzić z kądś, był tak mało znaczący, żeby tej jego głównej wędrówki na północ i osadowienia się aż ponad morze, nie pochwyciła i nie zanotowała historia. Zresztą, jest może tutaj sprzeczność w dowadzeniu: bo jeżeli Tyszyński przypuścił, że za Herodota już między Wisłą a Elbą zamieszkiwało słowiańskie plemię; nie mógł przypuścić, iż po wypędzeniu przodków naszych przez Konstansa, nowe ziemie przybyły nam dla wspólnego dziedzictwa. Zgadza się, że przejście tych wygnañców na północ, za Karpaty, wlało nowe życie między ludy nadwiślańskie; ale nie sądzim, żeby skutkiem dopiero tego przejścia, było zajęcie północnych krajów. Że mogli rozszerzyć się wtenczas więcej na zachód, nie przeczym. Zresztą Bielowski, który poszedł w tym razie za Tyszyńskim, lepiej czas tej wędrówki oznacza: bo mówi z pewnością, że Trajan cesarz, po zwycięstwie nad Decebalem, przerzucił Daków czyli Słowian za Karpaty. Podług Bielowskiego aż do tej chwili, to jest do IIgo wieku po Chrystusie, Słowianie tylko w Illiryi, Węgrzech, Siedmiogrodzie i t. d. aż po Grecyą mieścili się, i dopiero wtenczas całą siłą uderzyli na północ. Ale i zajęcie odrazu tak ogromnego kraju od Karpat aż po Bałtyk i od Elby aż po Dniepr byłoby wypadkiem

światowym. Wypadek ten musiałaby koniecznie zapisać na swęich stronicach historia.

Dziwnie pięknie tłumaczy Sienkiewicz Scytyą Herodotową. Zapewne są w nim tylko etymologiczne zbliżenia, ależ te zbliżenia mówią całą potęgą, zdaje się, rzeczywistych kombinacyj. Takie zbliżenia rodzą mimowolnie wiarę dla faktu.

Herodot podaje nazwiska narodów pozmyślane, bo nie nazywa ich nigdzie swoim rodzinnym nazwiskiem, którego pewnie spa-miętać a może i wymówić nie mógł, ale nadaje im swoje dowolne miana, wzięte od natury ziemi i od sposobu życia. Nauka geo-grafii stała wtenczas na niskim stopniu: uczeni nie pojmowali potrzeby nazywać rzeczy ich właściwym nazwiskiem. Wszakże i dzisiaj są tacy, co *Schwarzwald* badeński tłumaczą Czarnym-la-sem, a *Rocky Mountains*, górami skalistemi. Tak mógł imiona własne i stary Herodot tłumaczyć. Zapewne, że etymologiczne wywody najmniej znaczyć mogą w historyi; ależ takie np. zbli-żenia, jak te co następują, wiele mówią do przekonania.

Scytów jeden naród nazywał się *Georgi*, tojest polni lu-dzie, a to wychodzi na Polan, którzy mieszkali około Kijowa. Jedno to było plemię co i Borystenitów. Dniepr nazywał się u starożytnych Beresten, Berestyniec, od drzewa berestu, berezy, brzozy. W tej okolicy płyną różne rzeki podobnego nazwiska: Berezyna, Berczwica i t. d. Na północ cokolwiek był lud Be-rescian, tojest Brześcian. Inne plemię scytyjskie nazywało się *Hylea*, tojest krajem lesistym, co na Drewlanów wychodzi. Tu-taj jest Hulcza, Hulaki, Hulajpole. Ztąd rodem Anacharsis. Sienkiewicz pisze to imię: *aNACHARsis*; w brzmieniu więc wy-razu znajduje się *znachor*, tojest wieszcz, uczony, mądry, jakim był Anacharsys. To coś natrąca Ukrainę. Ojciec jego był *Gnu-ros*, to także wieszcz, znachor. Inny był lud scytyjski zwany u Herodota: *Alazoni*, z przydechem czytało się Halazoni: to Ha-liczanie, mieszkający pomiędzy Bohem a Dniestrem. U *Gerrów* znajdowały się groby królów scytyjskich: imię to znowu wskazy-wało na słowiańskie *góry*. Inny był lud *Nurów*; w okolicy która na ten lud wypada, płyną rzeki Nur, Narew, Norynia, Norzyńsk, Ner. *Nori* wspomnieni są u Nestora. Nur znaczy w języku słowiańskim *ziemię*. Zwyczaj widać starodawny był u przodków naszych, krainy swoje dzielić na ziemie; zwyczaj ten przetrwał aż do ostatnich chwil bytu Rplitej polskiej. *Budyni*, inny naród, bierze nazwisko swoje od *budy*. Herodot mówi, że lud ten żywił

się węzami i rybami razem: to na myśl nawodzi Polesie, i wiuny, piskorze. U tego ludu było miasto wielkie obcym rodem zamieszkałe, przewiskiem *Gelon*, może Wołyń, który także był u Słowian miastem wielkiem, stolicą ziemi wołyńskiej. *Melanchlery* mieszkali w okolicy Dniepru; mieli czarnego coś w nazwisku; w istocie tutaj znajduje się, Czarne pole, Czarny las i Czarny szlak, Czarnygród. *Hyperborei* nareszcie, to ludzie za borem mieszkający, zaborowi, tam gdzieś u stóp Bałtyku.

Te wywody są dowcipne, ale taki dowcip mimowolnie przekonywa. Gdybyśmy chcieli jeszcze Ejchwalda i Nadeżdina wypisywać, pomnożylibyśmy tylko prawdopodobieństwo (1).

Dlategośmy prędzej przypuścić gotowi, że Herodot wszędzie w Scytyi widział Słowian, tylko po słowiańsku dobrze nazwać ich nie umiał; że już całą przestrzeń od Karpat do ujścia Wisły (nie wspomnim o granicach zachodnich i wschodnich) zajmowali najmniej na cztery wieki przed Chrystusem Słowianie, rdzeń Polski późniejszy.

Pod tym względem i Maciejowski nie może się różnić z Tyszyńskim, Słowianie przyszli od wschodu i południa na swoje dzisiejsze ziemie, ale przyszli jeszcze przed Herodotem. Późniejsze napływy zakarpackich Słowian w strony nasze, jak po zwycięztwach Trajana i Walensa, mnożyły tylko bogactwo ludności słowiańskich przed Karpatami, u początków i ujścia Wisły, ale nie były pierwszemi osadami, które tutaj niósły słowiańskie życie.

Było więc wychodźtvo ludzi ku zachodowi, ale czy też było kiedy i wychodźtvo Słowian z zachodu na wschód? Czy prawda to jest, że kiedy Słowianie zbyt się w dzisiejszą krainę niemiecką zapuścili, potem przed niewolą uciekać musieli do braci? Tyszyński mówi, że nie było tak; Maciejowski że było. Na to jednak żaden z badaczy nie może postawić stanowczych dowodów. Pewno, że prąd ludów ku wschodowi z zachodu nie był naturalny, kiedy parło się wszystko wprost w przeciwnym kierunku, jak to zaświadcza dzieje; nie idzie przecież za tém, żeby fałszywy jaki akord nie mógł się czasem odezwać wpośród téj ogólnej harmonii. Dlatego przejście Lachów z zachodu do braci, nie miało związku

(1) Rozprawę Ejchwalda o Scytyi Herodotowej razem z rozprawą Sękowskiego, objaśniającą pewien punkt sporny, przetłumaczył na język polski podobno Alexander Groza, i drkował je w Athenaeum Kraszewskiego. Nadeżdina wytłumaczył Jędrzej Podbereski, ale ta rozprawa nie drukowana jeszcze po polsku.

żadnego z całą wędrówką narodów: to mogła być tylko zmiana wewnętrzna stosunków. Badaczom idzie o wytłumaczenie nazwiska Lechów, Lachów, i o wykazanie przyczyn, dla których w najodleglejszej już historii polskiej napotykamy ślady wyobrażeń i pojęć niemieckich, w instytucjach Piastów. Pana Maciejowskiego systemat tłumaczy właśnie te przyczyny; może pozornie, może bez widocznych dowodów, ale je tłumaczy. Ale jak Maciejowski nie może powiedzieć, że tak było w rzeczy samej; tak i Tyszyński, że było inaczej. To systemata: potrzeba je tylko wyrozumić i znać jako hipotezy, które może potem prawdę odkryją; ale dzisiaj są tylko tém, czém są. Dlatego nie możemy rozumić namiętnych sporów, jakie często uczeni ludzie prowadzą za hipotezy. Ileż takich domysłów jest w fizyce, w chemii, a w ogólności w naukach przyrodzonych, a przecież jedne powtarzają się obok drugich i nie zważają nawzajem sobie dopóty, aż prawda błysnie.

Za hipotezy gniewali się Szulc i Rychter; ale poważnie całą tę sprawę, stosownie do godności nauki, rozbił Tyszyński.

Znalazł się w Warszawie jeszcze piąty pisarz, który ogłosił swoje badania nad dziejami pierwotnemi Polski. Ale belletrysta, filozof, dziennikarz więcej jak historyk, wziął się do nowej dla siebie roboty raczej dlatego, żeby i swoje pojęcia o tym przedmiocie wyjaśnił, niż żeby badał samodzielnie. Dlatego też i *Pierwotne dzieje Polski* były jakby wstępem tylko odosobnionym zupełnie w życiu literackim p. Lewestama, bo o nim tutaj mowa. Autor znajduje w dziełach Cezara Bojów, a *bój* to słowiański wyraz, więc i w Galii byli Słowianie. Lexobii to wyraźnie Lachowie, Morlaix w dzisiejszej Francyi, to okolica zamieszkała przez Lachów morskich, Morlachów, jacy dzisiaj jeszcze panują nad półbrzeżami Adryatyku. P. Lewestam dalej zaprowadził Słowian jak wszyscy przed nim i po nim badacze, bo oparł ich aż o Atlantyk, który kąpie brzegi Armoryki, starodawne siedlisko Druidów. Ostatecznym wynikiem badań Lewestama było, że nasi ojcowie wyłącznie panowali od krańca do krańca w środkowym pasie Europy, i że pomiędzy nimi najcelniejsze pokolenie było Lachów. Dziełko to osnowane więc także na grze wyrazów, lubo ma czasem i dowcipne zbliżenia, nie zaważyło wiele na szali historii, bo dzisiaj jest już zupełnie zapomniane.

(Dalszy ciąg nastąpi).

F. KALLIMACHA GEMINIAŃCZYKA

O KRÓLU WŁADYSŁAWIE

CZYLI

O KŁĘSCE WARNEŃSKIEJ.

Księgi dwie, Augsburg, r. 1519, w drukarni Zygmunta Grima doktora i Marka Fürsunga.

PRZEŁUMACZYŁ I PRZYPIŚNĄM OBJAŚNIŁ

Michał Głiszczyński.

WSTĘP.

Nie wiem z kąd przychodzi mi zaraz do głowy myśl, że rosnące pokolenie nie lubi języka łacińskiego, że nawet młodzi literaci z trzeciej ręki biorą materyały, bo sami do oryginałów nie zaglą-
dają, bo tam wszędzie łacina; i dlatego brak im oparcia silnego i powagi szperaczy. Ale to do rzeczy nie należy. Dobrze więc jest przepolszczać łacińsko-polską literaturę, bo tym sposobem czyni się przystępnymi dla wszystkich oryginalne źródła.

Na tej drodze dużo już zrobili panowie Mikołaj Malinowski, Muczkowscy, Syrokomla, i inni.

Właśnie w tym czasie między innemi książkami nadestano z Kalisza do biblioteki rządowej w Warszawie rzadkie bardzo dzieło Kallimacha o wyprawie warneńskiej, a raczej historia Władysława Jagiellończyka od chwili obrania go na tron węgierski, aż do śmierci pod Warną. Dziwna rzecz, że nigdzie nikt dobrze téj książki nie opisał, chociaż o jój istnieniu wiedziano.

Obecny exemplarz składający się z 57 całych kart, ma taki tytuł: „*P. Callimachi Geminianensis, historia de rege Vlad-*

slao seu clade Varnensi. Pod spodem: Cum privilegio Imperiali. Na końcu: Augustae Vindelicorum excusa in officina Sigismundi Grimm, medici, atque Marii Vuirsung. Anno virginis partus 1519, XXX die Mense Mai. Libri duo".

Jestto najpewniej pierwsze wydanie, a zatem ma powagę niezaprzeczoną, bo tego dowodzi umieszczony na początku list Zygmunta Scheufler kanonika fryzynkińskiego (1) do Egidiusza Re-ma kanonika i doktora padewskiego.

Pan Wiszniewski taki daje tytuł: „*De rebus gestis a Vladislao Polonorum atque Hungarorum rege ad Casimirum regem. Libri III. Augusto Vindelicorum, Sigismun. Scheufler 1519, 4to*”.

Różnica bardzo wielka, a jednak jestto tytuł jednéj i téj saméj książki, jak się to z przytoczonych wyjątków w Historji Literatury Polskiej tom IIIci pokazuje. Dziwna rzecz! Nie mogę inaczej sobie tego wytłumaczyć tylko tém, że albo p. Wiszniewski widział późniejsze jakie i zmienione wydanie, albo że na wiarę cudzą tytuł powtórzył. Radbym bardzo, aby kto z biegłych rzecz tę objaśnił.

Gołębiowski w swojej Historji Władysława Jagiełły i Warneńczyka, ma niektóre wyjątki z téj saméj jak się zdaje książki, ale na nieszczęście, także tytułu jéj żadnego nie wypisał.

Pan Malinowski w tłumaczeniu Wapowskiego czy objaśnia, czy różnice wykazuje Długoszem, a w dwóch tylko miejscach wspomina Kallimacha. A przecież jeżeli prawdą jest, co pan Wiszniewski powiada, że dzieło to Kallimacha nie jest jego, że przez niego tylko wydane pod jego imieniem niesprawiedliwie zostało, bo rzeczywiście ma to być praca Grzegorza z Sanoka: to zawsze współczesni mają więcej wiary, i czy Kallimach czy Grzegorz, to wielkie bardzo powagi. W żywocie Grzegorza z Sanoka sam Kallimach naiwnie przyznaje, że Grzegorz napisał historję elekcyi Władysława na króla węgierskiego i jego śmierci w dwóch księgach, i że przyjaciółom kopie z nich porobił. Zapewne więc odmieniwszy cokolwiek, pod swoim nazwiskiem pracę Grzegorza wydał; czego dowodzi i exemplarz, który mam pod ręką na dwie księgi dzielący się, a nie na trzy; jak Wiszniewski i inni cytują, i nic innego tylko samę elekcyę Władysława i dwie jego wyprawy na Turków obejmującej.

(1) Frislugen, miasto biskupie w Bawaryi.

Rozczytawszy się w tój pracy tak dawnój, oderwać się od niój nie mogłem. Zadziwia w niój naprzód biegłość w języku, sposób pisania jędrny i energiczny, wymowa potężna i porywająca owych starszych jeszcze, a słynnych greckich i rzymskich historyków, znajomość doskonała stosunków i położenia Polski, Węgier, Turcyi i drobnych słowiańskich dzielnic. Niewiele takich pomników mamy, i to mię do przełożenia na polską mowę dzieła tego skłoniło.

Wapowski opisując tęż samę epokę, ma dużo szczegółów takich samych, jakie w Kallimachu się znajdują. Powiedziałbym nawet, że w wielu miejscach żyweem z Kallimacha wypisał, tak tęż same wyrazy i kolęj opowiadanych faktów w jego dziele widać, a w niektórych znowu ustępach rozszerzył tylko niezmiernie ściśliwe i dlatego jędrne opowiadanie Kallimacha. Nigdzie niema żadnego więcj, ale za to dużo jest mniej szczegółów. Ale jużto nie ten Tucydydowski lub Liwiuszowski duch: nie ma w nim tēj siły, powagi, wewnętrznego przekonania i wymowy, jakie miał sławny doradca Jana Albrechta. Same mowy jego, jakie w tēm dziele w usta wielu kładzie, gdyby nawet nie historycznego w sobie nie zawierały, warte były tłumaczenia, bo drugich takich z owēj epoki nie mamy. Wiszniewski mówi o tēm dziele: „Nie sąto słowa czcze i wystawna gadanina, ale uwagi głębokie, rozwinięta genealogia pobudek wewnętrznych, rys żelaznej konieczności, odsłonięte przed okiem czytelnika pobudki: wszystko rzeczy ważne, które po największēj części w ramki mów powstawiał”.

Zresztą nigdzie i nie lepszego z opisów owego warneńskiego dramatu nie mamy. Wszyscy późniejsi powtórzyli zmieniając lub skracając tylko to, co Kallimach napisał; powagą więc pierwszą i nieodwołalną jest on sam tylko, bo ani Długosz, ani Kromer, ani Wapowski nic nowego nie dodali, a jeszcze mniej mają szczegółów i siły historycznej.

Kallimach urodził się 1437 r. w San Geminiano w Toskanii. Nazywał się właściwie Filip Buonacorsi. Nauki pobierał w akademii w Rzymie i tu dostał nazwisko Kallimacha, do czego jeszcze przydano mu późniěj epitet „*experiens*” biegły w rzeczach politycznych.

Paweł Hgi papież następca Piusa Hgo nie lubił uczonych, i ci, jak się zdaje, spiski przeciw niemu knuę poczęli. Gdy się zamiary ich wydały, uciekać z Rzymu musieli. Wyszedł i Kalli-

mach i tułał się po świecie. Był w Egipcie, Grecyi, na wyspie Cypr, Rodus, w Azji, Węgrzech, wreszcie do Polski przybył.

Tutaj we Lwowie przez jakąś Świętochnę życzliwie przyjęty, w wielu ją potem wierszach wychwalał (1). Poznał się potem z Grzegorzem z Sanoka, Derśławem Jastrzębiem z Rytwian i Zbigniewem Oleśnickim; ci polecili go królowi i został nauczycielem dzieci królewskich. Prędko dał poznać zdolności swoje, to też on i wielki jego przyjaciel Piotr z Bnina biskup władysławski rządili królem i Polską. Godności i dostatki lały się na szczęśliwego, ale mądrego Włocha. To narobiło mu wielu zazdrosnych, a między nimi i Długosza, za co też ani słówka o Kallimachu nigdzie nie wspominał. Potrafili niechętni podburzyć przeciwko niemu króla, i Kallimach wtedy schronił się do Lwowa do Grzegorza z Sanoka. Ale urosł jeszcze więcej w znaczeniu i powadze, kiedy Jan Albrecht na tronie zasiadł i we wszystkim Kallimacha się radził i we wszystkim mu ufał. Umarł w Krakowie 1496 r., pochowany z niesłychaną pompą w kościele Dominikanów śtój Trójcy, gdzie ma wspaniałą nagrobek.

Odbywał różne poselstwa: na synod łęczycki 1466 o posiłki od duchownych na wojnę z Turcyą; do Konstantynopola r. 1475 w sprawie między Polską i Wołoszczyzną; r. 1476 do Fryderyka III cesarza i do papieża Innocentego XIII; wreszcie do Wenecyi o zawarcie przymierza przeciw Turkom. (Wiszniew. Hist. Lit. Pol. T. III).

KSIĘGA I^{szn.}

Zygmunt król węgierski dostąpiwszy siłą cesarstwa, podbiwszy sobie później i Czechów, rządził jednak przeszło pięćdziesiąt lat z takim umiarkowaniem, że kiedy umarł bez potomka płci męskiej, Węgrzy nikomu nie chcieli podlegać, tylko Albertowi księciu Austrii, któremu już dosyć dawno Zygmunt swą córkę był poślubił. Wydawało się, że przez to ukołyszają tęsknotę po dobrym i świętym monarsze, jeżeli się na jego córkę patrzeć będą; chociaż to uczucie niewiele potem córce i wnukowi pomogło. Albowiem kiedy Albert także niedługo po swém wstąpieniu, zostawiwszy ciężarną wdowę, zszedł z tego świata; wnet liczni ma-

(1) Była ona wnuczką sławnego rycerza Leszka Bobrzyckiego. Ożenił się też później z nią Kallimach.

gnaci węgierscy, wspólnie z posłami (mówcami) władcy Rascyi i hrabiego Cylii (1) pospieszyli do Budy, gdzie mieszkała królowa, i zaczęto o sprawach kraju się naradzać. Zaraz rozdwojenie w umysłach się pokazało. Wielu z nich radziło na szczęśliwe rozwiązanie królowej oczekiwać i twierdzili, że nie można nic o nowym królu stanowić, dopóki ona nie urodzi; że się to należy pamięci na zasługi Zygmunta, który dla nich był prawdziwym ojcem; że nie ma potrzeby rzucać się nieroztropnie pod berło obcych monarchów, kiedy może u siebie w domu będzie taki, co jak dziad rządzić będzie sprawiedliwością i łaskawością. Przemogłaby była liczba i miła dotąd pamięć Zygmunta, gdyby był Jan Huniad, przed wielu innymi dawnymi i swego wieku mężami wojownik i wielkorađca pamiętny, nie był o groźnym niebezpieczeństwie przypominał: że i miasto Sunderovium (2), i cała prawie Rascia, niby przedmurze Węgier, za którym bezpiecznie sobie siedzą, już przez Turków zajęte zostały. Mowa ta żalosne po zmarłym umysły, ku obecnym potrzebom zwróciła, i zaczęli sami między sobą rozbiierać i szczupłość królestwa, i rosnącą z dnia na dzień potęgę turecką, i łatwy dla nich do Węgier przystęp. Co więcej, gdyby doczekano się rozwiązania królowej i chociażby, jak sobie sami życzyli, urodziła potomka płci męskiej; nie na wieleby się to przydało do ocalenia państwa, bo męskie umysły pogardzają rządami niewieściami, dla niedołężności tej płci wrodzonej; a jeżeliby pogrobowcowi opiekunów wyznaczono, niebezpiecznym byłoby w podobnych okolicznościach losy państwa wystawiać na chciwość i namiętność kilku. Królowa sama, chociaż bardzo troszcząca się o to, nie wiedziała coby w tak nagłych okolicznościach przedsięwziąć wypadało. Jedno z dwojga: albo synowi, gdyby się urodził, odbierze dziedziczne jego państwo, albo je wystawi na łup Turkom. A i to nie było jeszcze pewnym, czy się chłopiec urodzi, i czy, gdy się coś twardszego przytrafi, życzliwość Węgier dla niej i dla jej dzieci nie zachwieje się do końca.

Gdy tak różni różnie dowodzili, najwięcej było takich, którzy za najstosowniejsze uważali, aby Władysław król polski, który niedawno młodzieńczego dosiagnął wieku i którego zdolności i męstwo prawie nadludzkie u wszystkich głośną sobie zjednały

(1) Rascia północna część Serbii, a Cyllia południowa część Styryi.

(2) Działaj Semendria. Długosz nazywa je Sunderowem, Gołębiowski Senderów.

sławę, zaślubił królową wdowę i nad obudwoma władał narodami. Przy grożących wewnątrz i zewnątrz niebezpieczeństwach ten jedyny był ratunek, jeżeli tém zbliżeniem połączy się ze sprawą Węgier niezwyczęzona dotąd waleczność Polaków.

Przewidziano zaraz i to, że niepewne dzieci swoich następstwo przy ciężarności królowej, najwięcej może odstręczyć Władysława; dlatego za zgodą królowej uradzono zaraz, że gdyby się chłopiec narodził, nad Austryą i Czechami, a dzieci nowego króla jeżeli się urodzą, nad Węgrami panować będą, i że pod tym warunkiem królestwo i małżeństwo ofiarują Władysławowi. Zastrzeżono jednak, aby nie wprzód o następstwie dzieci wspominać, ażby trudność tej okoliczności tego wymagała. Wyznaczeni tedy za zgodą wszystkich na posłów: Jan biskup segnijski, Mateusz Talautius, Emeryk Marcellus, Jan Pereny, Władysław Palocius (1). Gdy tedy owi posłowie do Krakowa przybywali, wystąpił Władysław o 1000 kroków naprzeciw nich brata swego Kazimierza, a przyjęci od niego wzajemnym pozdrowieniem, wprowadzeni do miasta, trzeciego dnia otrzymali posłuchanie i w tych do króla, jak mówią, odezwali się słowach:

„Gdyby sąsiedztwo i różne różnemi czasy stosunki, nie były połączyły królestwa naszego z twojém wzajemnymi i licznymi przymierzami i obowiązkami: to i tak dzielność i sława twoja, Najjaśniejszy Panie, byłyby nas ku tobie w nieszczęściu naszym zwróciły. Gdy bowiem nie podobało się Najwyższemu, aby nad nami panował Albert, któregośmy wprawdzie wybrali nie dla wielkich złąd korzyści, ale że tego po nas wymagała wdzięczność i świeża jeszcze, a zatém żywa pamięć na Zygmunta; wszyscy teraz jednozgodnie wybrali ciebie, abys królem naszym był. Pomijamy to, że przymioty twoje prawdziwie królewskie, że przodków twoich świetność, wszystkich umysły zniewoliły i zapewniły, że ty tylko tak rozległych państw sprawom podobać możesz; ale co wa-

(1) Oprócz Jana biskupa, jednakowo przez wszystkich nazwanego, inne nazwiska nasi historycy każdy inaczej mniej więcej przekreślali. *Kromer*: Jan biskup sygienski, Mateo v. Mathias Talocinus Dalmaclae et Croatiae praefectus. *Emericus Marcellus* magister Curiae, *Joannes Perennis* major et *Ladislaus de Polocius*. *Długosz* z polska ich nazywa: Jan biskup, Mateo de Talencz, Emericus de Marcellis, Joannes major de Peren, et Ladislaus de Palencz. *Gołębiowski*: Jan biskup, Mathias Talonecius, Emeryk Marezatty, Jan Peren i Władysław Gallocyusz. *Wapowski* tylko Jana biskupa wymienia.

źniejsza, że losy obu narodów często wiązały się z sobą i że prawie zawsze dzieliły one z sobą wszelakie szczęście, gdy ich nieszczęsny jaki los w zamiarach i sprawach nie rozdzielił. Jak kiedyś Gotowie, jak Wandalowie i inne ludy przez nieznaną prawie na ziemi drogę; jak potem Tatarzy przez Polskę do Węgier naprzód, a potem do innych wtargnęli krain: tak i teraz, jeżeli cię Bóg nie natchnie tą samą myślą do przyjęcia królestwa naszego, z jaką my ci go ofiarujemy, tak i teraz prawdopodobnym jest, co ze zgrozą przewiduje umysł, że Turcy otwarli sobie drogę przez Węgry, na was potem wojnę i zniszczenie obrócą. Rascia i Bułgarya, dwie królestwa naszego tarcze napadnięte zostały, a my poleniliśmy się iść im zbrojnie na pomoc, i dlatego wpadliśmy w to krytyczne położenie, że zamiast, jak wypadało, bronić granic cudzych, musimy teraz znosić napad i wojnę w naszych własnych granicach. Gdybyśmy tedy o nic więcej cię nie prosili, jak o to, żebyś nam pomógł w nieszczęściu naszym, powinieś to uczynić: bo lepiej bronić cudzego, niż swoje na niebezpieczeństwo narażać."

„Teraz zaś, gdy nietylko opiekę, ale prawa i losy najbogatszego państwa pod nogi ci rzucamy: czegożbyś się miał wahać? Czyliż za tak wielką i świetną nagrodę nie chciałbyś iść na harce wspólnymi siłami przeciw owemu wrogowi, którego my sami, własnymi piersiami nieraz rozbijaliśmy? Czyliż się obawiasz, że nie dotrzymasz bezbronnemu i rozbitemu nieprzyjacielowi, którego my sami, bez obcych posiłków za nic zwykle mieliśmy? Imię samo twoje, jak żywie Bóg, wystarczy na to: a jeżeliby przyszło do walki, to wspólnymi siłami obu narodów tym pewniej go przemożemy i na wieki się od niego uwolnimy. Nie myśl zaś, że przyszłszy tu do ciebie dlatego, żeśmy już zropaczyli o naszym położeniu. Nie! Z przekonania rozumowego, a nie z potrzeby wybraliśmy sobie ciebie za króla: bo wiemy, że będziesz umiał tak dzielnie, jak poprzednicy twoi, rządzić naszym państwem. Bezpieczniej zapewne połączonymi obu krajów siłami bronić nas będziesz i powinieś, bo obecnie jedno i toż samo grozi nam niebezpieczeństwo.“

„Nie będziemy tu wspominać o tém, ileto szczęścia majestadowi twemu ztąd przybędzie, ileto prawdziwej doda ci sławy teraz i w potomności, uznanie tak jednomyślne dzielności twojej przez niepoślednie państwo; ileto chwały przyczyni ci, gdy tych, co tak życzliwie dla ciebie chowają uczucia, dobrą i chętną wolą pod władzę swą przyjmiesz, a nieprzyjęciem, od czego niechaj

nas Bóg zachowa, w przykre i niebezpieczne nie popchniesz położenie. Pomijamy i to, że ten sam los czeka i twoje państwo: ale czyż nie powiedziano o tobie, żeś nie tylko sąsiedzkie i przyjazne państwo w biedzie opuścił, aleś nadto jedyną zastonę i obronę imienia chrześcijańskiego zgubić dozwolił. Wszakże wielkość tego imienia ramieniem i piersią naszą stała się, i że stać będzie, mamy nadzieję; ale pamiętaj, że fortuna niestała bogini, i że niełatwo ją potem uchwycisz, gdyś nią pogardził wtedy, kiedy ci się sama podawała."

„Nie ma po co wystawiać łaskawości nieba i ziemi, jaka wylała się na królestwo nasze: bo i przez sąsiedztwo i przez wielość a głośność spraw naszych nie możesz o tym nie wiedzieć; ale nie zawadzi przypomnieć, że kraj nasz jest tego rodzaju, że warto o niego wielkimi trudami a nawet i wojną się dobijać, a cóż dopiero spokojnie i życzliwie ofiarowany przyjąć. I żebyś lepiej jeszcze uczuł, jak wszystko składa się ku szczęściu twojemu, oświadczamy ci, że i królowa, chociaż z początku przeciwną temu była, prosi cię o to samo, o co i my prosimy, i na utrwalenie tak korzystnego dla obu krajów przymierza, rękę swoją ci ofiaruje. Owa szlachetność jej i znaczenie nie mogą cię nie poruszyć, a wiek jej i piękność nie są do pogardzenia. Ale czyż godzi się w tak ważnych celach wspominać o tak marnych i przemiennych rzeczach? Czyliżto małżeństwa zawierają się dla cielesnej rozkoszy, a szczególnie między monarchami, gdzie godność ich tylko i nadzieja liczego potomstwa ma się na względzie. A jeżeli się głębiej jeszcze sięgnie, to, ponieważ królestwem zwykle jeden tylko rządzi, królowie takie kobiety za małżonki wybierać sobie powinni, któreby najmniej były płodne. Ty zaś nie odrzucaj tego, co ci dobrowolnie oddajemy, a o coby wielu ogniem i mieczem się dobijało, i nie chciał być lub wydawać się mniej szczęśliwym, niż się Bóg i ludziom o tobie podoba."

Kiedy takie prośby i przełożenia szły od posłów węgierskich, przybyli także posłowie tureccy. Zaskoczyła ich w Krakowie śmierć Alberta, lecz albo o niej rzeczywiście nie wiedzieli, albo dla interesu niewiedomość udawali, bo takie mieli zlecenia. Amurat cesarz turecki ofiarował przez owe poselstwo ludzi i pieniądze Władysławowi do prowadzenia wojny z Albertem w Czechach, gdzie po śmierci Zygmunta spierały się dwa stronnictwa; jedno z nich za Kazimierzem bratem Władysława, drugie za Albertem jako zięciem Zygmunta trzymało. Oczywiście zresztą było, że przymierze to do tego zdążyło, aby Władysława i Polskę, gdy całe Czechy poddadzą

się Kazimierzowi, od przyjaźni i związku z Węgrami oderwać. Gdy tedy przez śmierć Alberta sprawa ta inny obrót wzięła, posłów tureckich pod różnemi pozorami w Krakowie zatrzymano, bo chciano się doczekać, jaki kierunek wezmą sprawy w Węgrzech po śmierci ich króla. Gdy tedy posłowie przez tłumacza się dowiedzieli, jakie Węgrzy przynoszą zlecenia, opanowała ich, jak to łatwo można było z ich twarzy wyczytać, wielka trwoga i smutek.

Ale i Polacy niejednakowym umysłem te zlecenia Węgrów usłyszeli. Naprzód zaraz nie u wszystkich jednakowy wyraz oczu i twarzy, niejednakowe ruchy, a potem i niejednakowe mowy. Byli tacy co utrzymywali, że Węgry nie oprócz wojny nie przynoszą, że już wprzód wielu innych błagali, ale napróżno, żeby do nich przybyli, i że nie wypada brać na siebie ciężaru, o którym tylu innych zrozpaczyło. Co więcej, niekorzystnym jest króla swego oddalać gdzieś tam na odległe władztwo, bo przez to własne królestwo wystawia się, jakby w bezkrólewiu jakim, na zamieszki i niesnaski wszelkiego rodzaju. Czyżbo to podobna, aby się okręt bez sternika, albo wojsko bez dowódcy obejść mogło; albo czyż jeden sternik dwom okrętom, albo jeden wódz dwom wojskom pożytecznie przywozдить potrafi? Zakryte przed człowiekiem to nawet, co się jutro stać może: to też przy nieobecności królewskiej niegodziwość złych urosłaby do nieskończoności i zawichrzyłaby srodze państwem, boby brakło dobrym opieki i obrony. Zresztą, pominąwszy wszystko, mamy do prowadzenia w domu wieczną wojnę z Tatarami, a bez króla ani jęj silnie utrzymać, ani silnie rozwinąć niepodobna.

Młody umysł Władysława, czujący wstręt ku małżeństwu, które mu wraz z królestwem i ciężarną królową ofiarowano, bardzo chętnie byłby poszedł za tą radą; ale bardzo wielu innych, a mianowicie Ostroróg, Jan Czyżowski i Grzegorz z Sanoka inaczej radzili. Wychwalali oni bogactwa i potęgę królestwa, które mu oddawano, dowodzili, że dla pogromienia zupełnego Turków, koniecznie warunki przyjąć trzeba. Co się tyczy nieobecności króla, to zupełnie do rzeczy nie należy: bo oddawna przyzwyczajono się działać bez niego, gdy do Litwy odjeżdża, bo Buda bliższa Krakowa niż Wilno. Można by się zaś bardzo łatwo o tém, czego by się obawiać albo życzyć wypadało, z królem teraz naradzić; a gdyby co nadzwyczajnego się przytrafiło, król będzie prawie na zawołanie: bo oba państwa tak są z sobą połączone, że jakby nie nad dwoma, a nad jednym tylko panował krajem. Tém więcj nawet stałby się potężniejszym, im bardziej połączenie obu państw stanie się głośniejszém. Od napadów zaś zdra-

dzieckich Tatarów wystarczą rodzime siły Podola i Rusi. A gdyby wojnę otwartą wypowiedziano, dalekoby łatwiej było połączonemi obu narodów siłami ją odeprzeć. Nie można odrzucać tój okoliczności i dla wielkiej ztąd sławy, że król polski i w Węgrzech będzie panował, i że on jeden przed innemi monarchami osądzony był za godnego do rządzenia tak wielkiem państwem. Dla tak wielkiej chwały nie masz warunku, którego by nie przyjąć, ani niebezpieczeństwa przed którym cofnąchy się można.

W wojnie grożącej Węgrom nietylko idzie o utratę wolności, ale raczej idzie o to, aby nie pogwałcono i nie podeptano instytucyj i obyczajów przodków, aby nie sprofanowano świątyń i świętości, aby nie rozrzucono grobów i kości ojców, i aby małżonek, siostr, braci i dzieci nie uprowadzono albo do niewoli, albo do sprośnej rozputy. Daleko nawet korzystniej jest tak straszne klęski usuwać w obcych granicach, niż się na nie we własnych wystawiać. Potomne wieki głosić będą chwałę naszą, kiedy tak strasznie groźne nieszczęście oddalimy od owego nietylko tyle słynnego państwa, ale sąsiadującego i przymierzami powiązanego z Polską; i byłoby to nawet niewinnioną nigdy zbrodnią, gdybyśmy je teraz opuścili. Sama wieść o tym tak silnym dwóch narodów związku, wystarczy do powstrzymania Tatarów i Turków w ich krwawych napadach.

Do tego tedy już doszło, że gdy nikt więcej się nie sprzeciwił, Władysław warunki przyjął. Wtém doniesiono, że królowa pogrobowca urodziła, a tak na nowo całą tę sprawę zbijać poczęto: bo pocóżby miał Władysław pojmować żonę, jeżeliby dzieci jego dziedziczyć po nim nie miały? Lecz kiedy posłowie węgierscy uwiadomili, jakie o synu, jeżeli się urodzi, wydano w Węgrzech postanowienie, a tym sposobem i tę przeszkodę usunęli; poczęto na nowo podmawiać Władysława, aby się podniósł na wysokość tak wielkiej chwały i tak ważnej sprawy, i żeby nie dawał się odstręczyć mniej ognistą zapewne rozkoszą, jaką w poważniejszej już po innym wdowie, spodziewał się znaleźć.

Dla dania odpowiedzi Węgrom naznaczono dzień uroczysty i kościół na zamku w Krakowie. Gdy tedy licznie ze wszystkich stanów zbiegli się na to widowisko ludzie; gdy i pierwsi w narodzie w przygotowanym dla nich miejscu zasiedli: wtedy zwróciwszy się do posłów, Władysław oświadczył im naprzód, stosownie do miejsca i czasu, wdzięczność swoję za obecnie okazaną mu życzliwość. Wyznał potem, że warunki pod jakimi oddano mu władzę i opiekę nad Węgrami korzystne będą dla obu narodów, że co tylko człowiek

uczynić jest w stanie, uczyni, aby Węgrzy wyboru swego nie żalowali; do nich zaś należy starać się, aby to, co imieniem całego narodu przyrzekli, trwałem pozostało, on zaś w stosownym czasie obietnic swoich dotrzyma.

Gdy skończył, zagrzmiały zewsząd okrzyki radości, a we wszystkich kościołach składano Bogu uroczyste dzięki.

Uwiadomiono potem posłów tureckich, jaki obrót rzeczy wzięły po śmierci Alberta; ci też rozjątrzeni wnet wyjechali. A nawet, jeżeliby Amurat chciał w granicach swoich usiedzieć i na warunki pokoju przystać, daleko stosowniej będzie do robienia o to układów wtedy, gdy Władysław królem węgierskim będzie.

Odebrawszy pomyślną odpowiedź Węgrzy uradzili między sobą, żeby jedni z nich przy Władysławie pozostali i wyjazd jego do Węgier przyspieszyli, a drudzy żeby królowej i panom donieśli, co tu zrobiono i postanowiono. Zostali tedy w Polsce: Jan biskup segnijski i Władysław Palocy; inni, hojnie obdarzeni do królowej powrócili. Władysław z swój strony uważał za stosowne wyprawić z niemi swych posłów, aby ci królowej i panom publicznie i prywatnie podziękowali, i o przyjeździe jego do Węgier donieśli. Wyznaczeni do tego zostali Ostroróg i Jan Koniecpolski (1).

Spieszyli się z powrotem posłowie węgierscy, aby jak najprędzej uwiadomić swoich o szczęśliwie, jak mniemali, dokonanej sprawie, i serca wszystkich radością napęłnić. Polacy powolniej za nimi jechali.

Tymczasem przyjście na świat następcy do tak wielkich przeznaczonego rzeczy, zatrwożyło umysł królowej; i czy okrutném i niesłychaném wydawało jój się, aby matka, jak gdyby przez miłość ku nowemu małżonkowi, miała zapomnieć na najświętszą powinność, i własnego syna od należnego mu dziedzictwa odsądzić; albo czy namowami nieprzychylnych interesom Polski, do tego nakłoniona: — zmieniła swe chęci, powracających z Polski posłów do więzienia wtrącić rozkazała, i rychło potem publicznie wolą swoją w tym względzie ogłosiła. Na to postanowienie królowej wpływał najwięcej hrabia Cylii, bo miał nadzieję, że będzie opiekunem pogrobowca, a z czasem i rejentem państwa.

Wiadomość ta różnie od różnych była przyjętą. Jedni oburzyli się na to, że tak zbawienne dla obu krajów zamiary, niestałością je-

(1) Pierwszy wojewoda poznański, drugi kauclerz korony.

dnęj kobiety i nieumiarkowaną dumą hrabiego Cylji wniwecz poszły: radzili tedy, że, gdyby się przekonać i przy danych obietnicach wytrwać nie chciała królowa, siłą ją do tego zmusić potrzeba; w przeciwnym bowiem razie, zamiast zewnętrznej wojny, którąśmy odeprzeć chcieli, będziemy mieli wojnę domową, jeżeli Władysław wybór swój na królestwo zbrojno popierać będzie. Widoczném było, że wielu w takim razie lubiących niezwykle położenie rzeczy, mających nadzieję poprawienia sobie losu w czasie domowych zamieszek, złamnie przysięgę wierności daną Władysławowi i przy królowej stanie. Inni znowu dowodzili, że Bóg sam przeciwny owemu złaniu się dwóch narodów, natchnął tą myślą królowę; bo chociaż nie można zaprzeczyć, że połączenie to dawało niejaka pomoc do odparcia wojny grożącej od Turków: zawsze jednak powaga i świetność imienia węgierskiego mocnoby na tém cierpiała, a chwala dokonanych czynów wewnątrz i zewnątrz spadałaby na Polaków. Niktby bowiem inaczej tłumaczyć sobie nie mógł przyzwania na tron obcego monarchy, jak tém, że Węgrzy bez pomocy Polaków ostać się nie mogli. Odpowiadali na to inni, że tyłowickowém doświadczeniem przekonano się, że dla utrzymania godności swojej Węgrzy nigdy niczyjój nie potrzebowali pomocy, ale że Władysław będzie zawsze więcej sprzyjał swoim niż Węgom, i że wreszcie sam Bóg, przez urodzenie następcy, wyraźnie objawił swą wolą, kto ma u nas panować.

Takie i tym podobne zdania sprzeczne krążyły nietylko między prywatnemi, ale nawet i na radzie panów. Miasta nawet niektóre, bliżej granic Polski leżące, żywy w tej sprawie udział wzięły, jakoto: Kassowia, Baradinum, Lubolia i Kremnic (1). Wiedziały one na co się to przy tak niezgodnych umysłach zanosi; nie mogły więc z założonemi rękami wypadków oczekiwać. Rychło zgromadziwszy wewnątrz murów wszystko, co za stosowne uważały do wytrzymania i odparcia oblężenia, zaczęły rowy, mury, szanice naprawiać i umacniać. Gdy się o tém posłowie polscy w drodze dowiedzieli, nawrócili się do ojczyzny, a chociaż królowa usiloio nalegała, aby przyjechali, nie chcieli jój zaufać; a kto wie, czyby byli sami tej sprawy, tak jeszcze nowój, nie załatwili.

Ale nietylko zniemność umysłu królowej wstrzymała Władysława na jakiś czas od podróży do Węgier: więcej jeszcze różne we własnem państwie trudne okoliczności. Zygmunt książę litewski

(1) Dzisiaj Koszyce, Bardejowo, Lubacza i Kremnica.

zabity; klótnie i zamieszki ztąd wynikłe; głód tak okropny, że ludzie jak zwierzęta korą z drzew i korzonkami żywić się musieli; potem zima straszliwa, co siła ludzi i zwierząt wygubiła, a naostatek niezwykłe a niezmiernie szkodliwe powódzie.

Mimo to jednak Władysław rozkazał przygotować do podróży konie, broń i ludzi, naznaczył punktem zbornym Sandecz, gdzie miano ostatecznie postanowić: i o tém co w kraju się działo, i o tém jak podróż ma się odbyć. Poprzedzili króla do naznaczonego na zjazd miejsca: matka jego królowa Zofia, Bolesław książę mazowiecki, wszyscy prawie panowie polscy, oprócz tych, co przy królu byli, i poselstwo litewskie. Gdy tedy król z bratem swoim Kazimierzem przybył, wysłuchano zaraz Litwinów, a ci donieśli, że kraj ich po zabiciu Zygmunta w wielkiem jest zamieszaniu i na różne rozpadł się stronnictwa, że magnaci chcą mieć za pana Władysława, a lud Michała syna Zygmunta. Oprócz tego Świdrygiello z rodu udzielnych władców pochodzący, zajmuje kilka zamków, dokąd Krzyżacy dosyć często zaglądają, żeby w mętnej wodzie ryby łowić, że nawet i książę mazowiecki zbrojno Drohiczyn zajął. A tak, jeżeliby się szybko nie zapobiegło szerzącym się wewnątrz rozruchom, może stać się łatwo, że kraj i imię litewskie przepadnie. Gdy się tedy panów o radę zapytano, najwięcej pokazało się takich, którzy Węgry zaniechać radzili, a całą siłą własnym zaradzić nieszczęściom. Dowodzili, że zadosyć się uczyni powinnościom sąsiada i przymierzeńca, jeżeli Węgrów pod opiekę tylko się przyjmie; a w obecném położeniu rzeczy, kiedy umowę pogwałcono, nierozsądnémby było zaniedbawszy własne kłopoty, brać obce na siebie i to jeszcze dosyć niebezpieczne. Wtedy tylko z prawdziwą chwałą mogą Polacy udać się do Węgier, kiedy ich przeciw Turkom o pomoc prosić będą; ale mieszać się do wewnętrznych i domowych zamieszek, i niebezpiecznie i szpetnie. Trzeba tedy odprawić do ojczyzny węgierskich posłów, jeżeliby ci uważali, że związek obu krajów pod jednym monarchą, bez żadnych gwałtownych środków przywrócić są w stanie, i gdyby przyznali, że wina niedotrzymanej wiary ciąży na nich samych, a tymczasem załatwić sprawy litewskie.

Do tego zdania przychyliła się najwięcej królowa matka: jużto dlatego, że jój żal było oddalenia syna, a jeszcze bardziej żal, że panna tam idzie; już téż, że jako urodzona Rusinka, cierpiała bardzo nad tém, że jój ojczyzna przez zamieszki w Litwie, na zaburzenia wystawioną zostanie. A i Bolesław książę mazowiecki szeroko się

nad tém samém rozwodził, bo nie życzył sobie nieobecności króla dla zaczętej z Litwą walki, którą chciał za prawną i sprawiedliwą wydać.

Grzegorz z Sanoka, Jan Czyżowski i Krzesław z Kurozwęk i wielu innych, którzy od początku zaraz przyjęcie warunków doradzali, utrzymywali i teraz, że albo trzeba było wcale nie przyjmować poselstwa węgierskiego, albo przyjęte warunki wypełnić; zresztą nie dla samych Węgrów korzyści przyjęto je, ale dla odparcia wspólnego niebezpieczeństwa: że tém stałej trwać przy nich należy, im bardziej w Węgrzech zamieszki łatwiejszém czynią opanowanie całego kraju. Łatwiej nawet teraz zaraz, niż później rozbuwane namiętnościami umysły uspokoić: bo gdy zobaczą, że Polacy stoją przy swoim, usmierzą się i do przyrzeczonej wierności powrócą, i królowa nawet ustąpić musi, gdy zobaczy przemagające siły. Gdybyśmy zaś całą tę sprawę oddali na wolą stronnicych miotań, to oczywiście jest, że albyby przepadli, albyby się zwrócili do kogo innego, któregooby potęga groźną, a niedołęztwo bardzo kosztowném dla nas być mogło.

Dla uspokojenia Litwy możnaby postać Kazimiérza; bo nawet i Litwini umiarkowaniéj sobie będą poczynać, gdy ujrzą, że Władysław został królem węgierskim. Do tego jeszcze dodali posłowie węgierscy, że opór królowéj przeciw powszechnéj wszystkich woli niewiele znaczy, bo niewiele zostanie przy niéj, a i ci co zostaną na jéj stronie, nie sąto ludzie wielkiéj powagi i wziętości. Ci zaś, w rękach których losy ich kraju spoczywają, bardzo dobrze wiedzą, że nie nad to pożyteczniejszego dla obu, szczególniéj dla ich kraju być nie może; że nie pozwolą, aby kaprysem jednéj kobiety, ocalenie i pomyslność narodu na szwank były wystawione, i że dostatecznie rozważyli i z rozmysłem postanowili to, co im się najkorzystniéj wydawało. A i królową albo zdrową radą, albo siłą można zwrócić do dawnéj myśli: niechby tylko Polacy silnie trwali przy tém, co tak roztropnie przyjęli.

Przemogło tedy zdanie Grzegorza z Sanoka i wyjazd Władysława do Węgier został postanowiony. Kazimiérz miał z wojskiem pociągnąć na Litwę, gdzie mu dla rady dodano Dersława z Rytwian i wojewodę lubelskiego. Z Bolesławem księciem mazowieckiém, dla długiej króla nieobecności, dobre stosunki utrzymać wypadło; a o tém wszystkiém, wraz z wyłożeniem konieczności i korzyści z odjazdu króla, uwiadomiono litewskich posłów, w odpowiedzi na ich domaganie się.

Wyznaczono potem do zastąpienia króla i rządzenia Polską w czasie jego nieobecności w Krakowie Jana Czyżowskiego, w Poznaniu Piotra z Bujna (1), a na Podolu Teodoryka Buczackiego, (Gunascunum).

Gdy tedy wszystko już było przygotowane, wszystko urzędowe i wszystko przewidziane, rozesławszy wszystkich na naznaczone im miejsca, z wybranymi do téj podróży wyruszył Władysław, matkę i brata przez dwa dni mu towarzyszących trzeciego dnia pożegnał, napomniawszy Kazimiérza jak ma z Litwinami postępować. Pojechali zaś z nim, oprócz mnóstwa pospolitych ludzi, mężowie zacni i pierwsi w narodzie, dla pomocy i rady w trudniejszych okolicznościach: dwaj Tęczyńscy, Andrzej i Jan, dwaj Ostrorogowie, Dobrogost i Sędziwój, dwaj Janowie Tarnowscy, Wincenty i Scidwa Szamotulscy, Łukasz Górka, Mikołaj Lasocki i Grzegórz z Sanoka, który potem przez dwadzieścia pięć lat był arcybiskupem lwowskim. Słynął on już wtedy nauką i wielkimi zdolnościami; a do rady i działania niezmiernie zdalny, mógł najbardziej królowi w Węgrzech być pożytecznym. Do tego jeszcze kształtniej był postawy, a miał serce tak czyste i niepokalane, że nikt nad niego nie był godniejszym błagać Boga o łaski i powodzenie dla króla, co mu téż szczególnie powierzono. Jak Grzegórz do błagania nieba, tak Leszek Bobrzycki do staczania bitew niezmiernie ważną dla króla był osobą. Słynął on oddawna między naszymi z mężstwa, śmiałości, i dlatego téż sam król wybrał go sobie do boku. Był zaś ten Leszek dziadem bożkiój Fannii (2) którą wierszami opiewałem, chociaż niewielka może z nich dla mnie chwala.

Kiedy tak szedł do Węgier Władysław, przybywały do niego po drodze całe oddziały rozmaitych zacnych i porządných mężów: jedni z nich obawiali się, aby nie powiedziano o nich, że jako niedołężni odrzuceni zostali; inni chcieli w tak szlachetnej wyprawie waleczność swoją okazać, ale byli i tacy, co tylko poświecić zbroją, koniem i ubiorem przybywali. Cokolwiekbydz, uwierzyć prawie niepodobna, jak wyborną pod każdym względem miało owe wojsko postawę: żołnierz prosty miał minę dowódcy; a wieść także, jak się to zwykle w nadzwyczajnych okolicznościach zdarza, powiększyła to wszystko i wystawiła królowej owe siły polskie do zwyciężenia niepodobne.

(1) Wszyscy inni nasi historycy namiestnikiem w Wielkiej Polsce podają Wojciecha Małskiego wojewodę łęczyckiego.

(2) Owa Świętochna, która pierwsza we Lwowie Kallimacha przyjęła życzliwie, i z którą się później ożenił.

Znajdowali się wtedy przy niej: Dyonizyusz Zacz arcybiskup strygoński, Władysław Gara ban i wielu innych; ale chociaż miała wszystkie miejsca uzbrojone, gdy się dowiedziała, że Władysław przybliży się i że Kesmark otworzył królowi bramę, wpadła znowu w trwogę, sama nie wiedząc co robić. Wreszcie, czyto straciła nadzieję uzyskania pokoju i zgody, po tak jawnych ze swój strony nieprzyjacielskich okazach, czy też nie miała żadnych od swoich rady, którąby uczciwie przyjąć można było, postanowiła siłę siłą odpiierać. Wiedząc zaś, że w ważnych wypadkach są pewne oznaki zewnętrzno i ceremonie jakieś, któremi można łatwo pociągnąć i utrzymać umysły ludów: pojechała co prędzej do Wyszehradu, gdzie dowodził Władysław Gara, aby uwieźć ztamtąd koronę, którą obyczajem i obrzędem dawnym królowie węgierscy przy wstąpieniu na tron zwykli się koronować. Myślała sobie, że gdyby ją Władysław dostał, wnetby cały prawie naród do niego przeszedł.

Gdy tedy dowódca fortocy nie sprzeciwiał się temu, wyłamała skryte miejsce, w którym koronę chowano, zabrała ją, pozostawiwszy wszystkie inne klejnoty przy obrzędzie koronacyi używane, i jak najspieszniej ze swojemi stronnikami do Komorna wyjechała. Inni znowu, czy nowością wypadków, czy przysięgą wierności przez posłów Władysławowi złożoną, czy bojaźnią kary zniewoleni, kiedy kto mógł do króla przybywali. Różne wtedy napady na mieśmianych stronników królowej mimo-jazdem poczyniono; szczególnież też Szymon Rozgoni biskup z Agrii (1), dowiedziawszy się, że miasto *Emperiascium* (2) nie ma ani czujnych straży, ani żadnego porządku nie zachowuje, ale sobie spokojnie i bezpiecznie po dawnemu poczyna, niespodzianie w nocy ubiegł je i opanował. Umocnił je potem załogą i do Kesmarku przybył donosząc o tém Polakom. To wszystko pokrzepiło umysły naszych już odretwiąte i upadłe z powodu poruszeń królowej; najznacniejsi panowie węgierscy przybywali do Kesmarku, za niemi pójdą mniej zamożni, a resztę niechętnych łatwo będzie przemódz orężem.

Gdy tak nadzieja w naszych ożyła, że zaczęta wyprawa dobrze się powiedzie, odesłano drugie poselstwo Litwinów, które aż na to miejsce przybyło, żeby Władysława do Litwy odciągnąć. Polecono mu udać się do Kazimiérza, jako do sprawowania Litwy naznaczonego; a chociaż wiele z Janem Tęczyńskim trudami znużonych i smu-

(1) Dzisiaj Erlau, po słowiańsku Jager.

(2) Dzisiaj Eperies, Preszów.

tnemi wypadkami, o jakich Litwini donieśli, zafrasowanych, miało niezmyśloną chęć powrócenia do Polski; zatrzymały ich jednak wstyd i bojaźń niesławy, czego im bardzo żywo i wymownie Grzegorz z Sanoka i Jan z Jarostawia dowiedli.

Postanowiono tedy, zostawiwszy w Kesmarku mocną załogę pod Mikołajem Perenem, wyruszyć do Budy. Gdy zaś tak połączone obu narodów siły nie mogły szybko postępować, umyślono wysłać naprzód jakiś oddział do zajęcia Budy, aby uprzedzić w tém królową, któraby ztamtąd, gdyby jój pozwolono czasu do umocnienia się, mogłaby opóźnić działanie Władysława, albo je zupełnie sparaliżować. Polecenie to powierzono biskupowi z Agrii, a dodano mu Wincentego z Szamotoł, Andrzeja Tęczyńskiego i Leszka Bobrzyckiego. Gdy tedy przybyli, lud przyjął ich w swe mury, i bardzo chętnie rękami i jak kto mógł, do umocnienia miasta pomagał; dowódzca zaś zamku Wawrzyniec Endrewera (1), ani się opierając, ani poddając, czekał co się stanie, widocznie przychylny téj stronie, która mniej w kraju zamieszek sprawi. Przybywał z przeciwnéj strony z pięćdziesięciu jeźdźcami Fryderyk hrabia Cylii, posłany przez królową po to, aby także Budę opanował; ale dowiedziawszy się, że się tam już Polacy znajdują, nie widząc nic innego do czynienia, zmitrężony do Komorna powrócił.

Powiększały się siły Władysława przybywającemi do niego zewsząd Węgrami. Kiedy zaś król przybył do Emperiascium i dniówkę tam naznaczył, smutny wydarzył się wypadek. Sekretarz królewski (2), niezmiernie mu miły, na polowaniu chcąc ratować jastrzębia z kaczorem walczącego, w podtój rzece utonął, a wnet po tém niezmiernéj wielkości grad z szumem i traskiem upadł. Oba te zdarzenia rzuciły popłoch na umysł Polaków; nie umieli bowiem ani pierwszego do przypadkowości, ani drugiego do zmienności atmosfery odnieść, ale zaraz za cudowne ostrzeżenie biorąc, jak kto miał myśl i wiarę, tak różni różnie to sobie tłumaczyli.

Królowa dowiedziawszy się, że Polacy już Budę opanowali, że Władysław do Agrii się zbliża, że lud go tam z otwartemi rękami oczekuje, uczyniwszy odezwę do innych miast, aby jój wiernemi pozostały, do Alby królewskiej (3) wyjechała, gdzie dowodził jój stronnik Mikołaj Frystarchy. Tutaj idąc za radą tych, co z nią przybyli, syna

(1) Długosz nazywa go Hedżewera; Wapowski, Hederwara.

(2) Długosz nazywa go Joannes Stenkonts de Semnlów. Nikt inny nazwiska jego nie wymienia.

(3) Białogród stoliczny.

swego ledwie cztery miesiące liczącego, w kościele zwykłym, koroną i tytułem króla ukoronowała; myśląc, że przez to więcej powagi, a dla ludu i miast węgierskich jakby świętym będzie! Wielu bowiem, przez samą obawę zdrady majestatu, wierni mu zostanie. Przytomni byli téj koronacyi ci sami prawie, którzy niedawno przyzwanie Władysława radzili: arcybiskup strygoński (1), Jaurineński biskup Benedykt Tum, hrabia Cylii, Mikołaj Frystarchy czy Frysztačky i Stefan Rozgony, i wszyscy potem z królową do Jaurina wyjechali.

Wiadomość o tém znowu zatrwożyła Polaków, ale tak daleko już zaszli, że się bez wstydu cofnąć nie było można. To téż wyruszył Władysław z Agrii i wygodnemi drogami i odpoczynkami do Budy przybył. Wyszedł naprzeciw niemu dowódzca zamku Wawrzyniec Endrewera z dwojgiem dzieci i mnóstwem ludu: król zaś bojąc się jakiej zdrady, po wzajemném przywitaniu, osądził za stosowne pozostać w namiocie, i do Budy tego samego dnia nie wjeżdżać.

Tymczasem królowa przyrzekając Endrewerze przez posłów morza i góry, usilnie go błagała, aby wiernym pozostał; i mało brakło, że nie przeszedł do niej, powodowany do tego więcej pamięcią na Zygmunta, niż przyrzeczeniami tak ponętnemi. Przemogła jednak myśl, że Władysław silniejszą jest rękojmą do utrwalenia losów chwiejącego się państwa, i oddał mu zamek, a król polski przez wdzięczność, w godności dowódcy go utrzymał: bo był pewnym, że na zawsze wiernym mu zostanie, gdy na stronę jego przeszedł nie w szale namiętności lub uniesienia, a ze spokojną rozważą.

Rzadkie to i znakomicie świetne było widowisko, kiedy Władysław do Budy wjeżdżał; oprócz niesłychanie przepysznych statków, któremi go przez Dunaj razem z wojskiem przewieziono, wszędzie magnaci, panowie i lud walczyli z sobą o pierwszeństwo w tym względzie, aby wjazd jego uczynić jak najświetniejszym. Wyszli téż naprzeciw niemu z Budy i dowódcy z wojskiem w paradnych mundurach i duchowienstwo w szatach kościelnych ze świętościami, i różnego ludu niezliczone tłumy.

Szli potem piérwsi w kraju panowie, porządkiem starszeństwa i zastug; a gdy do kościoła weszli, podziękowali uroczyście Panu Bogu za szczęśliwe przybycie Władysława, którego wnet do zamku odprowadzono, a lud wesołość swoją z powodu takiej uroczystości do

(1) Strygonium po niemiecku Graa, po słowiańsku Ostryhom; lepiej Stryhom.

późnej nocy przeciągał, czyniąc po ulicach różne processye, śpiewy i tańce; panowie zaś widząc, że co najważniejszym w tej sprawie było, już dokonano, spokojni udali się na spoczynek rozmyślając teraz o tém, jakby ją do końca bez zwłoki i zawady doprowadzić.

Kiedy wieść o zajęciu Budy przez Władysława rozeszła się, wnet przybyło do niego wielu z powinszowaniami i oznakami wierności, nietylko tych co mu sprzyjali, ale i takich, którzy na wypadki oczekując, stanowcze oświadczenie się dotąd odwlekali. Naprzód Mateusz Talaucy, z więzienia gdzie go królowa wtrącić rozkazała, przez cyrulika swego oswobodzony, Mikołaj Frystarchi, Stefan Rozgoni, Jan starszy Pereny, a co najważniejsza, Jan Huniad. Oprócz tego, biskupi: wesperyjski, pięciokościelny, transylwański, nitreński, sirmiński, walciański, waradyński i arcybiskup koloczeński; miasta prawie wszystkie uznały Władysława, oprócz Kassowii i tych, które z początku zaraz uzbroiły się.

Przybyło także poselstwo od króla Bośni, mężami i powagą znakomite. Przypominali oni, że wspólnego z Polakami są plemienia i że wspólny mają język, i że dla tej wspólności pochodzenia języka, władca ich niezmiernie się rozradował, gdy się o szczęśliwem w Węgrzech powodzeniu Władysława dowiedział. Szeroko się potem rozwodzili nad korzyściami dla obu pokrewnych ludów, gdy się wspólnymi siłami i zamiarami na groźące a straszne tyranstwo tureckie obróca; że dlatego przymierze i przyjaźń między Bośnią i Węgrami trwale być powinny, i że dlatego oni o toż przymierze i przyjaźń Władysława proszą.

Łaskawie im odpowiedziano, że bardzo słusznie powodzenie Władysława ucieszyło ich króla: jużto dla owój, jak nadmienili, wspólności pochodzenia i języka, już téż dlatego, że im wspólnie dużo na tém zależy, aby, gdy się Węgrzy uspokoją, całemi siłami na wspólnego uderzyć nieprzyjaciela. Podziękowano tedy Władysławowi za to, że pomoc swoją przeciw Turkom przyrzekał i że plany, jakie w tym względzie ułożone będą, przysłać im nie zaniedba; nie przestano na tém, ale w uniesieniu życziwości, przymierze między obu narodami potwierdzone zaraz zostało.

Przybyli także posłowie despoty Rascyi (1), a mowa ich, jak przystało, skromna i potulna była. Był albowiem ów władca przez Turków z państwa swego wyrzucony, a przez królów węgierskich żywiony. Litując się losu takiego człowieka, umieścili go na granicy

(1) Stefan.

królestwa, naznaczyli mu w niektórych miastach dochody i prawa, tak, że i obecność nie była mu tak przykrą, a i żal po przeszłości nie tak bolesny. Owóż posłowie ci, tak jak i Bośniacy, wspomnieli na-
 przód o tożsamości pochodzenia i języka z Polakami, a potem unie-
 winniali samego despotę, że jak był powinien osobiście nie przybył,
 bo wybranego już w drogę zatrzymali Turcy, zabraniając mu to czy-
 nieć. Zresztą od chwili, kiedy mu państwo zabrano i dzieci do nie-
 woli uprowadzono, teraz pierwszy raz odetchnął, i nie wie, czy swoje
 własne szczęście, czy powodzenie Władysława więcej go wzruszyło.
 Zawsze jednak wieszkuje mu, że dostąpił już i dostąpi jeszcze więk-
 szej z pomocą Bogo chwały i znaczenia: a kiedy tak wysoko stanie,
 to zapewne i o nim nie zapomni. Złupiony z ojcowizny, wyrzucony
 nietylko z dzielnicy swojej i z ojczyzny, ale nawet z domu i familij-
 nego ogniska, nieszczęsny żebrak żyjący litością obcych, ma teraz na-
 dzieję w tobie, że nietylko położenie jego obecne polepszy się, ale że
 nawet do godności dawniej i fortuny swojej powróci. Potem zaczę-
 li rozprawiać o połączeniu sił dwóch niezwykniętych narodów, nad
 które żaden inny ani harmonią, ani energią głośniej nie słygnął. Wi-
 dzi on już, jakby własnymi oczyma, jak przerażenie rzuca Turków
 w rozsypkę, jak ziemie ich ogniem i mieczem są pustoszone, jak on
 sam do siedziby przodków swoich powraca, i dlatego nadludzką napa-
 wa się radością. Władysław dla niego jest największym w świecie
 monarchą; a gdy tak wielkie rzeczy dokona, i gdy mu władza i pań-
 stwo dostaną się znów w ręce, będzie jego najpierwszym pomocni-
 kiem i towarzyszem. Aby zaś nie zdawało się, że przyrzeka to, czego
 nie ma, poddaje się zaraz królowi jako ochotnik, na wszystkie trudy
 i niebezpieczeństwa gotowy.

Wzruszył niepomału i króla i obecnych los tego męża i poko-
 ra posłów. Odpowiedziano im tedy, aby dobrą nowinę zanieśli swe-
 mu władcy, żeby nie upadał na duchu, i że bardzo wiele będzie spo-
 sobności do wzajemnych usług i korzyści zład. Tymczasem niech
 miejsca powierzone mu tém silniej od Turków strzeże; wnet zaś
 Władysław z siłami przybędzie i położonej w siebie nadziei nie za-
 wiedzie.

Tymczasem arcybiskup strygoński i Władysław Gara, którzy
 najbardziej ukoronowanie pogrobowca doradzali, czy rozpaczyli już
 o sprawie królowej dla wielkiego powodzenia Władysława, czy my-
 śleli, że przejściem swojem pociągną za sobą wielu innych, a tym spo-
 sobem i umysł królowej przełamają i pokój w Węgrzech przywrócą:
 zaczęli potajemnie z Władysławem przez posłów traktować, aby im

wolno było bez żadnej odpowiedzialności do niego przejść. Gdy na to zapewnienie otrzymali, do Budy pospieszyli. Władysław zaś wiedząc dobrze, jak wielką mężowie ci mają wziętość u swoich nie tylko między ludem, ale i szlachtą, jak wielki wpływ wywierają na umysły: skoro tylko się dowiedział, że do miasta się zbliżają, wyszedł na ich spotkanie, łaskawie ich uścisnął, i żeby mu ufali i wierni zostali, rozkazał. Nazajutrz, gdy przedniejsi obu narodów w jak najokazalszym przepychu u króla się zebraли, posłano po nich, aby przyszli na owe zebranie, i arcybiskup strygoński tak zaczął mówić:

„Uniewinnić się naprzód prześwieatny monarcho z tego musimy, żeśmy w tak ważnych rzeczach trzy razy już zdanie zmieniali. Naprzód, żeśmy cię do panowania nad nami zapraszali, żeśmy potem do królowej syna swego koronującą odpadli, i że teraz znowu porzuciwszy tamtą sprawę, do ciebie powracamy. Czynimy to dlatego, ażebyś nami, jako niedoleżnemi głowami albo nie pogardzał, albo w podejrzeniu nie miał, że i tobie teraz więcej wierniemi nie będziemy. Zmieniając bowiem zdanie i wiarę nie sprzecznego nie uczyniliśmy, bośmy wszędzie i zawsze tam byli, gdzieśmy nadzieję uspokojenia i chwały ziemi naszej widzieli: tośmy jedynie mieli na celu, a nie żadne widoki i podle zyski. Ani też nas nie zaślepiła głupia niewiadość tego, coby najlepszym dla kraju naszego było, żeśmy raz to, drugi raz owo radzili. Nie zmieniamy tedy zdania, a zwracamy się zawsze ku temu, co za najskuteczniejsze nam się zdaje, nie przez namiętność stronnictwa, ale przez miłość ku ojczyźnie, której szczęście i znaczenie wydawały się nam zagrożone”.

„Nie dlatego bowiem, wyznaje otwarcie o sobie to, co zapewne u wielu ionych było w myśli, gdy cię na państwo zapraszali, nie dlatego zgodziłem się, żeś nam się wydawał najgodniejszym dla dzielności twojej i przez chwałę twych przodków. Prawda, że i ten wzgląd wpływał niepomalu na moje zdanie; ale nie myślałem wcale o tém, żeby cię nową tą chwałą przyozdobić lub potężniejszym uczynić. Kiedy po śmierci Alberta królestwo nasze osieroczone niejako, na łup Turkom miało się dostać, przyszła nam zaraz na myśl niezwyęczona dotąd państwa twojego potęga; wydawało się, że sąsiedztwem i jedným przymierzem powiązany z nami powinieneś chcieć, a przez wspaniałomyślność i siłę łatwo nas obronić potrafisz. Był w tém nawet własny twój interes, abyś groźnie nasze nieszczęścia odparł. A tak, gdy ściśle jeden i ten sam dla nas i dla Poluków miał nastąpić skutek z biegu obecnego rzeczy, ufni nadto w potęgę i charakter państwa twojego, jednogodnie przybiegliśmy do ciebie, spodziewając się, że

pod rządem twoim i opieką położenie nasze wewnątrz i zewnątrz znamienicie zasłynie. Kiedy zaś królowa, czy przez złą radę, czy przez jakieś fatalne zrządzenie, zaczęła się od zdania ogólnego odsuwać, chociaż i ja, i ci, co ze mną poszli, jasno widzieliśmy, że niewiele tam było rękojmi na usunięcie publicznych nieszczęść; przystaliśmy jednak do niej, już dlatego, że podłością było opuszczać królową, kobietę, i to córkę Zygmunta naszego, kiedy nic tego po nas nie wymagało; już też i dlatego, żeby ją, jeżeli będzie można, na dobrą drogę naprowadzić. Sambyś odpadnięcie nasze pochwalił, gdybyś był wiedział, żeśmy o niczem inném tylko o uspokojeniu zaburzeń domowych myśleli, a które rychłe twoje przybycie, obok wahającej się królowej, wywołało."

„Żywa przejmowała nas boleść na myśl, że przyzwanie ciebie na tron, zamiast zewnętrzną usunąć, domową zapali wojnę. Dlatego to, żeśmy woleli wszystko znieść, a rozlewu własnej krwi nie dopuścić, dotąd uparcie przeciwko tobie staliśmy, dopóki obowiązek względem królowej i najmilsza dla nas pamięć Zygmunta, miłości ojczyzny nie krępowały. Kiedy zaś ambit królowej tak wyniosłym się pokazał, że nie chciała na niebezpieczeństwo kraju i poddanych pamiętać; kiedyśmy się w tak krytycznym ujrzeniu położeniu, że albo ojczyznę zdradzić, albo powinność zgwałcić wypada: woleliśmy aby nas za dobrych obywateli, niż za wiernych stronników uważano. Opuściliśmy tedy ową kobietę, która ani państwa dostać, ani się na niem utrzymać, bez wszelkich klęsk kraju naszego nie mogła, a wróciliśmy do ciebie, bo nam powaga twoja wewnątrz pokój, a potęga zbrojna zwycięztwo zewnątrz zapewnia. Taż sama miłość ojczyzny, która nas do przywołania ciebie nakłoniła, która nas potem na stronę królowej przerzuciła, taż sama nas teraz do ciebie przyprowadza. A stałość ta i wierność nasza dla kraju naszego, dla którego nawet sławy osobistej nie pożądowaliśmy, powinna cię bardzo o uczuciach naszych przekonać. Wolelibyśmy prawda, aby pierwsze nasze zamiary były się udały, i abys u nas tak rządził, żebyśmy wiernemi królowej i pamięci jej rodzica zostać mogli. Spokojni wtedy u siebie, podparci silnie twoją i twoich walecznością, nietylkobyśmy mogli wyprzeć nieprzyjaciela z granic naszych, ale nawet na jego własną ziemię ponieść miecz i zniszczenie. Kiedy jednak niepodobne jest jedno i drugie razem, przychodzimy do ciebie przez miłość i chęć ocalenia ojczyzny, i błagamy cię, abys pobłażliwy na powody, które nas przy królowej zatrzymały, nie poczytał nam za zdradę tego, że,

gdy radą pokoju wzgardziła, odbiegliśmy od niej a do ciebie przyszli. Zresztą jakimi nas w przyszłości znajdziesz, za takich nas miej.”

Władysław im odpowiedział, że nigdyby im był nie zawierzył, i nie pozwolił przystąpić do siebie, gdyby ich nie miał za dobrych i zacnych ludzi; że wie dobrze, jak spokojność ojczyzny każdemu drogą być powinna, a szczególnie dla tych, co wysoko znaczeniem i godnością stoją; że wszystko co zrobili przyjmuje za zrobione przez miłość pokoju i dla szczęścia kraju, a nie wprost przeciwko sobie. Nic albowiem nie popełnił takiego, coby mu nieprzyjaciół narobić miało; chyba, że się o to na niego urazili, że opuściwszy najświetniejsze swoje państwo, że pozostawiwszy Litwę na wolą zawichrzeń, po zabójstwie jój księcia powstałych, zwrócił cały swój umysł i wszystkie siły na obronę ich królestwa. Co się tyczy królowej, nie można im wcale brać za złe, że nad jój wolą przenieśli szczęście całego kraju; nie dla obalenia bowiem, a dla bronienia królestw, są królowie, i wierność im się należy. Zachęcał ich potem, aby wszystkich sił dokładali do ukończenia zupełnego téj sprawy; przyrzekał im, że spokojność ogólna, której tak sobie życzą wkrótce nastąpi, jeżeli oni tylko radą i czynem wyrazy swoje potwierdzą.

Królowa chociaż z żalością widziała, jak jój stronnicy łamią wiarę i gonią za szczęśliwą gwiazdą Władysława, ukryła jednak sławnie kobiecą trwogę, aby pozostałych swych stronników nie przerażać. Wezwała do siebie hrabiego Cylji, i poradziwszy się z nim, rozesała posłów do *Kassowiz* i innych miast, które uznać Władysława nie chciały, rozkazując im, aby nie traciły ducha, i donosząc zarazem, że wnet nadejdą posiłki i że bezpiecznie wtedy trzymać się będą mogły, a Władysław zupełnie z kraju wypartym zostanie. Zaraz téż najemne wojska z Czech sprowadziła, i za zgodą biskupa jak najstaranniej *Jaurinum* (1) umocniła, osadziwszy w nim swe wojska, jakoby w miejscu do czynienia wycieczek na Władysława bardzo korzystném; z synem zaś do *Posonium* wyjechała (2).

Gdy się o tém Polacy dowiedzieli, wysłał Władysław liczne, z obu narodów złożone wojsko do oblegania Jaurinu, pod dowództwem Jana Huniada i Stanisława Ostroroga. Przypadkiem wydarzyło się tak, że hrabia Cylji, który tam przybył, aby obejrzyć czy wszystko w należytym stanie uzbrojenia się znajduje, i czy wszyscy stale i mężnie na stronie królowej trwają, popadł wraz z innemi w oblężenie

(1) Raab, albo Rab, po słowiańsku Jawrzyn, nad rzeką Raab.

(2) Posonium, Preszburg.

przez wojska Władysława. Byłto mąż energicznego i odważnego serca; zachęcał tedy naprzód swoich do dzielnego wytrzymania oblężenia, a potem ożywił ich nadzieją rychłej pomocy, którą z Austrii i Czech przybyć miała. Że zaś uważał za konieczną swoją obecność przy królowej, aby jej w żadnym razie, chociaż tak silne były przedsięwzięcia Władysława, na duchu upaść i zdania zmienić nie dozwolić, i ponieważ widział, że w otwartej wycieczce nic nie podoła, postanowił tajemnie do Pozonium się przedrzeć. Z małą garstką tedy swoich, nocą przez strażę nieprzyjacielskie się przekradł, i minawszy Raab, na wyspie jednej na Dunaju się ukrył, myśląc, że już złamąwszy łatwo do królowej się dostanie. Gdy się tedy nosi przez szpiegów o tém dowiedzieli, wysłano natychmiast z Leszkiem Bobrzyckim kilkunastu doświadczonych żołnierzy, na ściganie i pojmanie uciekającego. Wnet i hrabia Cylii dorozumiał się, że ucieczka jego odkrytą została, i że ma z tyłu za sobą nieprzyjaciół. Nie szukając ocalenia swojego w szybkości, zamydlić oczy ścigającym postanowił. Rozkazał więc swoim, aby się łatwo ścigającym uchwycić dozwolili, i udawali, że pan ich w mieście pozostał, a ich samych z różnemi zleceniami do królowej wysłał. Bez żadnej potem zwłoki, sam w gęsty i niezmierny las się zapuścił. Gdy zaś pochyceni jego przybocznicy i badani wszyscy pojedynczo na jedno się zgodzili, i gdy poszukiwania wszelkie były nadaremne, już mieli Polacy swe miejsca opuścić, kiedy jakiś *Samscia* chytrze zagadnął ujętych, że podle pana swego opuścili, i że żołnierze polscy nie znając go, niedaleko stąd w lesie zabili. Na tę doskonale zmyśloną wiadomość wykryły się zaraz myśli i uczucia niewolników, rozpoczęto na nowo poszukiwania, przetrząsnięto wszystkie kryjówki, i wreszcie sam Leszek znalazł i ujął hrabiego, z wielką całego oddziału radością, i zaraz go do Budy do Władysława odesłał.

Kiedy się publicznie miał okazać, zebrali się nietylko przedniejsi obu narodów, ale i wszelkiego stanu mnóstwo. Jedni żalowali i litowali się obecnego losu tak wielkiego znaczenia męża; drudzy sądzili, że bardzo słusznie spuścił na niego władca rzeczy ludzkich taką karę za jego przoniewierstwo. On zaś sam, nie uniewinniając się wcale, zapomniawszy wrodzonej mu srogości, błagał o litość zmienionym głosem i oznakami pokory. Władysław bez najmniejszego wyrazu gniewu, podniosłszy go, rzekł:

„Wolałbym był, aby cię tu wierność twoja jako przyjaciela, a nie szczęście moje, jako niewolnika do mnie sprowadziła. Nie-trudném, jak żywie Bóg, byłoby to dla ciebie, gdybyś był umiał po-

wściągnąć twą dumę; aleś ty wyroił sobie w głowie, że zamiast być towarzyszem moim, możesz być rejentem państwa, które do mnie należy. Kiedyś tedy losu mego raczej, niż łaskawości chciał wypróbować; kiedyś przez prózną nadzieję życzliwość moją dla ciebie zabił; kiedyś szedł przeciwko mnie, chociaż wiedziałeś, że jednozgodnie wybrany zostałem na to, abym wam panował: nie będziesz miał mi za złe, że i ja z mojej strony więcej na obecne twe czyny, niż na mój wybór, od którego bez mojej winy odpadłeś, pamiętać muszę”.

I zaraz w więzieniu osadzić go rozkazał.

Tymczasem Władysław czy przez troskliwość o Litwę, domoweni rozruchami niszczoną, czy przez tęsknotę do rodzinnej ziemi, czy przez wstręt ku długiej domowej wojnie, którą w Węgrzech będzie musiał prowadzić, czy wreszcie chęcią jawnego poznania, co o nim teraz Węgrzy myślą, powodowany, zwoławszy wszystkich co przedniejszych godnością i doświadczeniem, tak do nich przemówił:

„Wiedziałem ja dobrze, że kiedyście mnie na królestwo wasze zapraszali, więcej to krytycznemu waszemu położeniu, niż mnie przypisać należało. Nietylko posłowie wasi nie ukrywali tego przede mną, ale i wielu z pomiędzy was otwarcie to samo wyznaliście. Chwała Najwyższemu, miałem i bez was szerokie, przestronne i sławne państwo, a jednak wziąłem na siebie ten wielki ciężar urzędzenia spraw waszych dlatego, żebym proszącym sąsiadom i sprzymierzeńcom pomógł, a nie dlatego, żebym władzę moją daleko rozszerzył, bom tego nie potrzebował. Donieśliście mi, że w całym kraju u was spokojność panuje, i że wole wszystkich na jedno się zgadzają; powiadaliście, że co tylko trudów, pracy i niebezpieczeństwa się znajdzie, to wszystko przeciw takiemu tylko nieprzyjacielowi miałem obrócić, którego pokonanie niezmierną sławę i głośność ma mi zjednać u wszystkich ludów, religią chrześcijańską wyznających. Nie chcę was przez to obrażać, ale wcale inaczej dzieje się tu wszystko: bo i wielu z was różnicie się w zdaniach, a i daleko więcej bojowania będzie w domu, niż z zewnętrznym wrogiem. To też w przykrém postawiliście mnie położeniu, że albo odstąpić będę musiał od zaczętej sprawy, albo będę musiał zostać przywódcą w walce, bardzo dużo do ojcobójstwa podobnej. Zresztą i dla was i dla mnie lepiej zapowne będzie wyrzec się nadziei, którąście mi zrobili, niż się jęj domową wojną dobijać. Już teraz nawet mam przed oczami obraz całej tej wojny. Jesteście jednolitym narodem, a nie jak wiele innych z przybyszów różnych losem połączonych, złożoną całością; macie jeden i ten sam język, jedno i to samo gniazdo; jesteście wszy-

scy razem i pojedynczo, niby członkami jednej rodziny. Tak dalece jesteście złączeni między sobą krwią i różnemi związkami, że was raczej domem, niż narodem nazwać można. Nikt nie może być między wami pokrzywdzonym, żeby krzywda jego nie oburzyła wszystkich, i przez jakieś krążenia pokrewne spada wreszcie na tego, kto ją wyrządził. Ta to ścisłość stosunków pomiędzy wami zawsze wam dużo pomagała, a i mnie miała także dużo dopomódz w zewnętrznej wojnie; teraz zaś rozrywać ją i zaburzać byłoby to gwałcić prawa natury, i wszystko, co w niej jest świętego i godnego szacunku. Wypadki wojny bardzo są wątpliwe; a kiedy wytoczmy krew ojców, braci i krewnych, czyż myślicie, że i wtedy nieprzyjaciel ulegnie przed nami? Przypuśćmy, że Turek napadnie teraz; my stawimy przeciwko niemu domową wojną wyniszczonego żołnierza, a co gorsza, stać obok siebie będą pokrewni i powinowaci zabitych: jakaż tu nadzieja zwycięstwa w tak rozjątrzonych nienawiścią szeregach, krwią, ranami i zdradą swoich zniesławionych. Bóg tego nie chce, a wiek też mój i położenie nie jest takie, żebym przez tak obmierzłe walki dobijał się rozszerzenia granic mej władzy. Nie braknie mi siły i mężstwa na uczciwsze boje, ale teraz, dopóki wzajemnemi zbrodniami nie zhańbione jeszcze wasze ręce, dopóki siły waszego państwa jeszcze całe, a broń krwią współrodaków niezacerwieniona, może pogodzić się jeszcze zdolacie, i wróciwszy do dawnego znaczenia, obrońcie sobie jednogodnie wybierzecie. Ja zaś myślę, że najlepiej i najgodniej sobie postąpię, gdy jako przyczyna zamieszek między wami wrócę do domu; a jak mnie nie będzie, bardzo łatwo się uspokoiacie. Gdyby wam nawet zarzucano, żeście często w tak ważnych rzeczach zdanie i czyn zmieniali, łatwo się z tego uniewinnić potraficie tém, żeście zawsze los całego kraju i jego szczęście mieli na myśli. Jeżelibyście znowu do mnie się udali, pamiętny na pierwsze i drugie zaprosiny, błagam was teraz, abyście mi wierzyli, że przy oddaleniu się mojem nic innego jak szczęście wasze miałem na celu. Zapewniam was, że nigdy z serca mego nie wypuszczę sprzymierzonego z Polską, a mnie tak drogiego narodu, a Litwę tak urządzę, że gdybyście mię znowu na obrońcę losów waszych wybrali, swobodniej będę mógł działać.”

Ta mowa Władysława z wielką pochwałą umiarkowanych przyjęta, wielom łzy z oczu wycisnęła. Gdy tedy powstał już i odejść chciał, aby w naradach wszelką im swobodę zostawić, ze wsząd podniosły się głosy, że właśnie on tu jest najpotrzebniejszy, bo tak do serca wziął ich sprawy, że na chwałę i potęgę swoje zapo-

mniał, i że dlatego samego godzien pozostać ich królem, bo przekłada szczęście narodu nad chciwość panowania. Kiedy go wybierali, nie znali go jeszcze; teraz zaś, gdy sami i stałość, i mężstwo, i szlachetność prawdziwie królewską w nim uwielbiają, nie mogą na żaden sposób na to pozwolić, aby o nich kiedyś powiedziano, że mądrzy byli w wyborze, ale nie mieli serca i stałości do utrzymania wybranego króla.

Kiedy Władysław usiadł znowu, i gdy wszyscy jakby nie na obradach na wyścigi usługi swe królowi ofiarujący, ucichli, wysłuchano głosu Huniada (1). On wybór obcego króla za konieczny przy obecnie grożących nieszczęściach, uważa, bo dopókiby pogrobowiec nie dorósł, krajby albo zewnętrzną wojną, albo wewnętrznymi spiskami mógł upaść. Twierdził potem, że wszystko co względem wyboru Władysława mówiono i uczyniono, z rozważki i potrzeby czasu i położenia wypłynęło, a co znowu przeciwko niemu przedsiębrano, to wszystko albo ułomności ludzkiej, albo wierności do królewskiego rodu przypisać należy. Wić on, mówił dalej, że królowa ma daleko więcej stałości niż jaka kobieta mieć jej może; ale i bez tego trudno kobiecie wyrzec się naturalnych przywiązań. Trzeba jej wybaczyć, jako matce, że kiedy się jej niespodzianie syn urodził, wszystko dla niego chce poświęcić; a jeżeli nie może czy nie chce przystać na to, co państwu i jej samą jest najzbawienniejsze, to darować trzeba niewieście. Tylko tacy dotąd przy niej pozostali, którzy dojrzyć korzyści w wyborze twoim nie mogą; ci zaś, którzy dla dobra ogólnego obok Władysława się zgromadzili, poznawszy jego charakter, wierni mu na zawsze pozostaną. Ale i owi pierwsi chociaż są w błędzie, i przywiązaniem do królowej w przeciwną nam stronę odciągnięni zostali, zmieniają zdanie swoje; a kiedy tak rzadkie i świetne ciała i duszy przymioty nowego króla rozgłoszą się, chętnie mu się poddadzą.

Dokonano już wreszcie najważniejszych rzeczy. Buda stolica królewska wzięta, i hrabia Cylji, który jeden tylko podtrzymywał nadzieję królowej i do zamieszania podnawiał, na szczęście wszystkich ujęty i w więzieniu osadzony. Inni bez broni, bez walki, bez rozlewu krwi poddadzą się; bo nie będą chcieli wystawiać się na gniew króla, a zaufają raczej jego wspaniałomyślności; tém więciej, że nierówni na siłach nietylko o zwycięztwie marzyć, ale nawet

(1) Długosz i Wapowski utrzymują, że Andrewera na mowę króla odpowiadał.

utrzymałby się nie potrafili. Wdzięczność sama nie pozwala królowi opuścić w takim zamieszaniu życzliwych mu poddanych, tém bardziej, że odjazd jego powiększył jeszcze niebezpieczeństwo. Stronictwo królowej uporczywiej bronić jej wtedy będzie, a i ci, którzy dla dobra ogólnego od niej się odłączyli, zacięciéj jeszcze przy swoim stać będą. Turcy wtedy na rozdwojonych niesnaskami domowemi i pozbawionych obrońcy napadną i łatwo podbiją. A chociażby wszyscy do królowej przystali, to i tak bez wodza, bez głowy, gwałtownego napadu Turków nie wytrzymają.

Co więcéj, i to się stać może, że albo znudzeni, albo panowaniem kobiécem zawstyżeni, zwrócą się do kogokolwiek innego, któryby potem dla Polaków mógł być bardzo przykrym jako władca Węgier.

Dla samego nawet króla odjazd taki nie byłby zaszczytnym, bo niktby inaczej sądzić nie mógł opuszczenia tak świetnego królestwa, tylko że albo rządzić, albo go obronić nie umiał. Zaklinał potém króla na szczęście obu narodów, aby w przedsięwzięciu wytrwał i tak dobrze zaczęta sprawę do końca doprowadził. Że wszystko w krótkim czasie spokojném będzie, i że ci, co przy nim są, gotowi są na nowo królem go obwołać, i przysięgę na wierność jako prawemu władcy wykonać.

Słowa te tak znakomitego umysłu męża, poruszyły bardzo Władysława. Za niemi odezwaly się krzyki wszystkich błagających go, aby ich w tak krytyczném położeniu nie opuszczał, jednozgodnie siebie, wszystko swoje pod jego władzę poddających. Ogłoszono go tedy na nowo królem, i natychmiast o jego koronacji naradzać się poczęto.

Nasunęła się dosyć ważna przeszkoda do odbycia téj uroczystości starodawnym i święcie dotąd dochowywanym zwyczajem, bo właśnie korona do tego używana, była w ręku królowej.

Nie chciano przytém użyć do tak wielkiéj rzeczy byle jakiej korony, aby się nie zdawało, że to wszystko jedno i to samo. Gdy tedy nie było żadnéj nadziei do przekonania lub zmuszenia w tym względzie królowej, gdy uroczystość koronacji królewskiej nową koroną spospolicie nie chcieli, postanowili, zmuszeni do tego nagłacemi okolicznościami użyć innéj korony, ale prawie tyle co tamta świętej, to jest korony, którą się Stefan piérwszy węgierski król koronował, a którą jako przypominek męztwa i sprawiedliwości dla jego następców z niezmierną czcią przechowywano.

W takim kłopotcie wszyscy łajac Władysława Garę poczęli, bo za jego pozwoleniem królowa koronę uwiozła. Chociaż słaby był

i chociaż król wstawiał się za nim przez wzgląd za jego dobrowolne ku niemu przejście, mimo to wszystko w więzieniu osadzony został; gdy jednak później król nalegał, że przez to słowo jego, wiary i chwałę narażają, uwolniono go trzeciego dnia, ale mu dowództwo nad Wyszegradem odjęto, a na miejscu jego nazaczył król Wincentego z Szamotuł kasztelana międzyrzeckiego.

Gdy tedy ujrzała królowa, że przez uwięzienie hrabiego Cylii i z rody ogołoconą, że działania jej sparaliżowane zostały; gdy ujrzała, że stronnicy jej, jakoto brychiskup strygoński, odbiegają ją: wtedy, jak niektórzy twierdzą, a czego ja na żaden sposób w tak znakomitej kobiecie przypuścić nie mogę, rzuciła się do zdrady i zbrodniczego podejsścia. Wybrała tam kogoś ze swoich jako najwierniejszego, przyrzekła mu wielką nagrodę, i wysłała go do Budy, aby tam Władysława jakimkolwiek sposobem otrut. Ale chciwość, którą owego wysłańca do tak niegodziwego przedsięwzięcia popchnęła, sprawiła potem to, że wyznał wszystko Władysławowi, myśląc, że więcej za odkrycie zamiaru, niż za samę zbrodnię dostanie. Król albo nie uwierzył, albo że nie wierzy udawał, nie chcąc srogim zarzutem zbrodni otrucia obciążać królowej, i przez to wszelką nadzieję pojednania się z nią utracić.

Oburzony tedy na donosiciela fałszywych rzeczy, odejść mu precz rozkazał; ale panowie węgierscy skoro się o tém dowiedzieli, godnym go wszelakich mąk osądzili. Wybrawszy cztery najdzielniejsze konie, rozerwali go na cztery części, myśląc, że najsprawiedliwiej go ukarali, chociażby prawdę nawet a nie fałsz wykrywał.

Udali się potem wszyscy do Alby królewskiej na koronację Władysława, dokąd już z Wyszegradu przeniesiono skrzynię, w której ozdoby religijno-koronacyjne się znajdowały.

Złożono je na środku i dodano, jak to piérwój uchwaloném zostało, koronę Sw. Stefana. Taki zaś był ów obrząd koronacyi.

Pomazanie odbywa zawsze najwyższy stopniem duchowny, mając około siebie wszystkich, do których mianowanie króla należy. Przyszły król stawa przy ołtarzu, gdzie go zaraz kanonicy rozbierają, a celebrujący odmawia uroczystą modlitwę. Prosi w niej Boga, aby królestwo i króla wziął pod swoje opiekę, aby na niego zesał łaskę i spokój, żeby mu dozwolił szczęśliwie zawsze i wszędzie sobie, państwu, miastom, wsiom, sąsiadom i innym narodom panować, żeby rozszerzył jego zdolności i owoce, żeby granice i potęgę państwa rozszerzył, a powagę i chwałę jego rozgłośnia uczynił. Wtedy dłonic jego krzyż i głowę świętym olejem namaszcza, i ubrać go rozkazu-

je. Przybranemu w święte szaty koronacyjne podaje naprzód krzyż, na znak że papież pierwszym jeszcze królom węgierskim dał pozwolenie do mianowania biskupów, potem berło, jabłko i chorągiew, tłumacząc mu zarazem znaczenie każdego z tych przedmiotów. Potem wyniósłszy na środek księgi praw i instytucyj, przysięę mu złożyć rozkazuje, podług słów już naprzód ułożonych. Gdy przysięę wykona, siada ukoronowany na przygotowanem do tego podniesieniu, i wielu na rycerzy pasuje, na znak, że broń ocala państwo i że dla królów nic nad siłę zbrojną i wojskową karność nie powinno być większém: wszystko inne przystraja, ona jedna broni i powiększa państwo.

Przechodzi potem nowo koronowany do kościoła św. Piotra i Pawła, tam na trybunale zasiada, i kilka spraw rozsądza, także na znak, że po wojsku i waleczności, sprawiedliwość najświętszą dla niego być powinna. Wsiada potem na konia, zwiedza miasto, wyjeżdża za bramę, wychodzi na wieżę św. Marcina jako najwyższą. Tam wyciągnąwszy jak najszerzej ramię, macha na cztery części świata gołym mieczem, jak gdyby zewsząd królestwo obronić, i daleko granice jego rozciągnąć pragnął; wraca potem do miasta i tu rozpoczynają się bankiety, ucztę okazałe, a domy i ulice brzmią powszechną radością.

Gdy tedy zwyczajem owym, podług tych ceremonij arcybiskup ukoronował Władysława, wszyscy obecni uchwalili trzeciego dnia potem, aby koronę i szaty ceremonialne ukryć i zachować do koronacyi przyszłych królów, jeżeliby się nie udało owęj świętej odzyskać.

Koronacyą pogrobowca unieważniono, i biskup Agrii aż do zadości innym w łuskach u Władysława będący, ogłosił edykt, aby nikt syna Alberta za króla uważać nie odważył się. Zrobiono nową królewską pieczęć, ażeby ztąd jakaś zdrada lub błąd nie wyniknął, wywołano powagę dawniej pieczęci i ogłoszono, że żadne inne dokumenta piśmienne ważne nie będą, tylko opatrzone tą nową pieczęcią, i że wszystkie przywileje i nadania dawnych królów mają być tą pieczęcią stwierdzone. Rozdano potem wiele nagród w godnościach i dobrach tym, co królestwu i królowi dobrze służyli, a wielom, jeżeli się godnemi tego pokażą, łaskę królewską przyrzeczono. Niedługo potem, gdy już bardzo łatwo było uspokoić ostatki zamieszek, i że bez obcej pomocy dosyć tam sił mieć będzie Władysław, wielu z Polaków za zezwoleniem królewskim do ojczyzny powróciło.

Królowa dowiedziawszy się o koronacyi Władysława, srogie i dotkliwie Węgrom czyniła wyrzuty, że się tak bardzo niższemi od Polaków pokazali; tamci nie tylko młodego króla z największym staraniem wychowali, nie tylko czczą go najświęciej u siebie, ale nawet ze szkodą własną na obce poprowadzili go królestwo; oni zaś prawnego władcę niedawno przez siebie ukoronowanego, syna Alberta, a wnuka Zygmunta przez niesłychaną zbrodnię z ojcowskiego i dziadowskiego tronu wyzuli, a cudzoziemca, z pokrzywdzeniem praw i słuszności, do siebie przyzwali. Co więcej, że będąc mocniejszymi, przez zaciekłość jakąś natrzęsają się z niej, kobiety i dziecka króla, a przecież i pleć i wiek szanować należało przez wzgląd na zasługi przodków. Zapominają na Boga mściciela, który przecież więcej od nich może. Rozesławszy potem posłańców, aby ci potajemnie obszedliszy po kraju, ile można w wierności jej stronników utrzymywali, i zamiary jej im oznajmili, do Austrii wyjechała, i tam Fryderykowi cesarzowi jako stryjowi, dziecko swoje i koronę świętą węgierską pod opiekę oddała. Zaufana jeszcze w stałość i wierność kilku miast, ztamtąd nawet usiłowała tajemnymi drogami magnatów węgierskich do siebie przyciągnąć; z Austryakami i z Czechami o posiłki zbrojne ciągle się układała, a to wszystko dlatego, aby jakimkolwiek sposobem Władysława z Węgier wysadzić.

Tymczasem Turczyn myśląc, że łatwo przy wewnętrznych rozterkach Węgry opanuje, zaczął miasto Belgrad zdobywać. Gdy mu się szturmem nic nie udało zrobić, postanowił je oblężeniem do poddania się zmusić. Miasto Belgrad tak jest na brzegu położone, że z dwóch stron przy zejściu ze sobą oblewają go Dunaj i Sawa; z trzeciej zaś strony murem i fosami, jakby od lądu oddzielone się wydaje. Wybudowali tedy Turcy statki, postawili je na straży na obu rzekach, aby ani posiłków, ani żywności do miasta nie dopuścić; obóz przytém z trzeciej strony tak urządzili, że nikt z oblężonych wyjść, ani nikt do miasta wejść nie mógł. Oni zaś wszelką mieli łatwość podchodzić aż pod mury, probować ich siły, machinami je rozbijać, zasypywać fosy, tak nawet, że od strony zamku miejskiego pobudowali dosyć duże wieże do spędzania z murów oblężonych. Zaczęto jednak i Turkom brakować już żywności; nie spodziewali się oni, że tak długo oblegać miasto będą, i zdawało się, że dłużej już nie wytrzymają. Ale, chociaż coraz dotkliwiej głód czuć im się dawał, to tylko ich jeszcze przy obleganiu utrzymywało, że mieszkańcy miasta straciwszy zupełnie nadzieję pomocy, gdy kraj ich kłótniami wewnątrz jest zajęty, nie potrafią się dłużej bronić i poddać się muszą.

Dowódcą nad wojskiem i miastem był Jan Uranus (1), mąż wyprobowanej odwagi i słynnej w sztuce wojennej biegłości. Pochodził on z Florencyi, i obok zwykłej zdolności germańskiej, posiadał dziką prawie waleczność Węgrów. Wszyscy też przekonani byli, że miasto długo i silnie bronić się będzie; tém więcej, że Belgrad był jakby bramą do całego królestwa.

Władysław pojął dobrze, że potrzeba jak najprędzej wstrzymać gwałty tureckie; ale nim wojsko zbierze i uzbroi, postanowił naprzód przez posłów o odstąpienie od oblężenia układać się: pamiętny na to, że go dawniej już o przyjaźń Turcy prosili, i że mu nawet posiłki do Czech przyrzekali. Wysłani zostali Dobrogost Ostroróg i Łukasz Górka (2). Gdy już byli na miejscu, przypomnieli Turkom ich poselstwo do Krakowa, prośbę o pokój i przyjaźń, a nawet przyrzeczenie posiłków do Czech, gdyby były Polakom potrzebne. Te wszystkie okazy ich zezłości tak poruszyły umysł Władysława, że nie chciał mieczem wojny przez nich zaczętej odierać, dopóki wprzód o pokój i dobre stosunki z niemi się nie porozumie.

Owóż gdyby się Turcy cofnąć chcieli i nie napastować Węgier, które już z woli Boga i ludzi do Władysława należą, łatwo bardzo przymierze zawartém być może. A Władysław znowu wszystko uczyni, aby im nie zarzucono zbytnej miłości pokoju i zawięskiego na wzajemne stosunki względu: bo gdyby chcieli bronią walczyć i sił swoich doświadczyć, możeby i im udało się zwyciężyć. Gdy to wszystko Turczyn wysłuchał, pod pozorem żeby posłów polskich od wszelkiej zniewagi, przy tak wielkiem zbiegowisku zastonić, i żeby swobodniej naradzać się mogli, do Sunderowium odesłał; sam też, chcąc wprzód nim jakąkolwiek da odpowiedź, wszystkiego, co w mocy jego będzie, popróbować, polegając najwięcej na tém, że miasto wnet się podda, zaczął zulożę i mieszkańców jeszcze świetniejszemi obietnicami do poddania się namawiać. Przywiązawszy listy do strzał, rzucił je do miasta z owemi świetnemi obietnicami zdrady; ale ani

(1) Mall. tłum. Wapow. str. 364 takl przypisek o nim dodał: „Uranus czyli Wrasa w Dalmacyi była głównem siedliskiem zakonu Templaryszów w Węgrzech; po ich zalesieniu Uraua i inne miejsca dostały się rycerzom św. Jana Jerozolimskiego. Przeor wrański, jako wódz zakonu w Węgrzech, w każdej potrzebie, a zwłaszcza z niewiernymi, bronił kraju. Jan zwany przez Turocz Zowannus rodem z ziemi raguzańskiej był bratem Macieja z Thalocz, bana dalmackiego, znanego z poselstwa do Krakowa.

(2) Długosz i Wapowski utrzymują, że posłem od króla do Turków był Piotr Łączyński z Łączna.

jednej odpowiedzi na nie nie odebrał. Zwołał tedy radę ze swoich, i w te do nich odezwał się słowa:

„Pokój ofiarują nam nieprzyjaciele; nie chciałem sam o odpowiedzi stanowić, i żądam, ahyście i wy żołnierze zdanie swoje wyrzekli. Wojna którą teraz prowadzimy, ma na celu nietylko szczęście czysto ludzkie, którym ja u was rozrządzam, ale i świetność i rozprze-strzelenie religii naszej, co znowu i do mnie i do was zarówno należy. Różnimy się wprawdzie i bardzo formą życia naszego, ale wszyscy jednej i téj saméj po śmierci spodziewamy się nagrody. Owoż chciałbym, ahyście to wszystko co wam powiem, tak uważali, jakby to nie odemnie, a z umysłów wszystkich pochodziło. Gdybym tylko na moje osobiste interesa miał wzgląd, mam tyle w Azji i w Europie, że każda z tych części nie do pogardzenia, stanowi całość; i gdybym tylko dbał o zachowanie tego co mam, a nie o zabór cudzej własności, miałbym i tak znakomitą fortunę. Ale tu chodzi o was, czy każdy ma tyle ile potrzebuje; a gdybyśmy złożyli broń, czyby nie powiedziano o nas, żeśmy przy materyalnych zyskach o religii i o Bogu zapomnieli. Nieprzyjaciel prosi naprzód o to, aby wojnę przerwać, a wtedy dopiero o pokój układać się przyrzeka. Pomijam hańbę, że oblegającym i silnym, oblężeni a słabi; mocnym i wytrwałym, niedo-łężni a wyniszczeni, pokój przyrzekają; pomijam i to, ile już pracy podczas tego oblężenia na wybudowanie machin, holowanie statków podjęliśmy, a to wszystko jakbyśmy zamknięci i zwyciężeni byli, nieprzyjaciel nam opuścić rozkazuje. Bułgarya i większa część Rascyi, już oddawna uległa przed naszym orężem, a i w Serbii wiele do nas należy. To wszystko albo zachować, albo wraz z innemi w Europie nabytkami utrucić trzeba. Ktokolwiek zaś, co dobrze i nieprzyjaciel rozumieć, będzie miał w swój mocy miasto, które oblegamy, będzie miał zaraz nietylko tarczę i pewność swój sprawy, ale także zamek i najdoskonalsze miejsce do czynienia na sąsiadach zaborów. Królestwo nieprzyjaciół rozdzielone jest teraz domowemi kłótniami. Sily, które z Polski połączonej z Węgrami przychodzą, paraliżują owe zamieszki, i dlatego tylko o pokój układać się chcą z nami, żeby zyskać na czasie, żeby uspokoić swoje królestwo i żeby potem połączo-nemi silami na nas uderzyć. Gdybyśmy zaś od oblężenia odstąpili, bardzo łatwo, utrudniając warunki, dopóty na formalny nie przystaliby pokój, dopóki by albo szczęście Władysława, albo upamiętanie się Węgrów, domowych rozterek nie uśmierzyło. Wtedy dumniejby jeszcze o warunkach mówili, boby zbrojno przeciwko nam wystąpić mogli; kiedy teraz, sami w niebezpieczeństwie wewnątrz u siebie bę-

duc, ściśnieni prawie przez nas, jakby zwycięzcy jacy, żądają wprzód odstąpienia od Belgradu, nim nam pokój przyślą.“

„Już teraz obijają się o me uszy owe dumne domagania się, o powrócenie Bułgarii i Rascyi, i innych jeszcze miast i prowincyj, któreśmy krwią naszą i życiem nabyli. Gdybyśmy tedy przystali teraz na pokój, to wojna zaczepna, którą rozpoczęliśmy, przez wzgląd na domowe niesnaski nieprzyjaciela, spudnie potem na nas, gdy się Węgry uspokoją i Polacy z niemi się połączą. A chociażbyśmy i przyjęli tak haniebne i zwrotu tylu podbojów wymagające warunki pokoju, to myślicie może, że despota spokojnie usiedzi? Połączenie się dwóch tak świetnych i potężnych państw, umysł jego i nadzieje niezmiernie podniosło, tak, że nietylko chce odzyskać co stracił, ale grozi wydarciem nam wszystkiego, co w Europie posiadamy. Nie usnie on spokojnie, wiem pewno, aż wtedy, kiedy połączone siły Węgrów i Polaków na nas sprowadzi, i kiedy ogniem i mieczem naszą, tak jak my jego ziemię, spustoszy.“

„A jeżeli, czego niechaj Bóg i prorok nie dopuszczają, a co jednak stać się może, jeżeli powtarzam los na ich stronę padnie: jakież okropne klęski i cierpienia na lud nasz spadną od rozgniewanego zwycięzcy, który męczyć nas za świętą uważa sobie powinność, i na żadne przymierze wtedy nie uważa. Czyżbyście chcieli odstąpić od wyznania religijnego przez przodków wam przekazanego, a przeszli do innej jakiejś, do wiary niepodobnej nauki? Wierzy ów nieprzyjaciel nasz, że najdoskonalej i najskuteczniej zasłuży się Bogu swemu, jeżeli świątynie nasze zburzy i sprofanuje, jeżeli obrzędy nasze i najświętsze tajemnice wyśmieje, jeżeli bóstwa nasze i kapłanów znieważy; i żebyście lepiej pojęli, z jaką zawziętością przeciwko nam i religii naszej walczą, to wiedźcie, że każdy z nich, kto w walce z nami na placu legnie, za świętego między niemi jest uważany.“

„Naprawdę, żołnierze! byłoby się ludzi nadzieją pokoju wtedy, kiedy zbierze, połączy swe siły i uzbroi się: bo ani zdobyczy, ani chwały u ludzi, ale aż nieśmiertelności w niebie w walce i zwycięztwie szuka. Cięższe roboty już dokonaliśmy, a co jeszcze zrobić mamy, jest łatwem, bo i stoimy tłumnie naokoło, i szanse grożące muirom usypaliśmy, a macie nawet i maszyny: to też miasto prawie już za zdobyte uważać należy. A pamiętajcie jeszcze na to, że Belgrad właśnie jest takim miastem, że gdy je mieć będziemy, będziemy zewsząd bezpieczni i pewni, a nieprzyjaciel otwarty i na napady nasze i zdobycze wystawiony. Jeżeli tylko choć trochę sił waszych natężycie, jeżeli, pamiętni na męstwo przodków waszych, pomyślicie tyl-

ko, że jeżeli jutro mury nieprzyjacielskiego miasta padną przed nami, obronimy tym sposobem nasze domy, świątynie, religią i wszystkie ludzkie i boskie sprawy, zwyciężymy nie na raz tylko, ale na całą przyszłość. Gdybyśmy nie innego z tej walki odnieść nie mieli, tylko silne bezpieczeństwo kraju naszego, zdaje się, że to jest dosyć duża nagroda za wszelkie trudy, a nawet i za śmierć samą. Co więcej, zwycięstwo to niby murem i szańcem nas otacza, a nieprzyjaciela znowu odkrywa i odłania. Dotąd walczyliśmy w śnieżystych górach Bułgarii i Rascyi, gdzie głód, pragnienie, trudy, zwątpienie ciągle nas niszczyły, a my wszystko w tej jedynie znosiliśmy nadziei, że kiedyś do bogatych Węgier się dostaniemy, i tu nagrodę i sławę za nasze prace znajdziemy. Stoimy już przy bramie, a poza nią nie ma ani skał niedostępnych, ani pustyni bezdrożnych, a same tylko najprzejmniejsze z natury i ręką ludzką uprawne okolice. Będzie dla ludzi i dla koni pożywienia nietylko tyle co potrzeba, ale aż do zbytku nawet: będzie ziemia urodzajna, niebo pogodne i wody podostatkiem. Co z wielkim mozolem gdzieindziej praca zaledwie wydobywa, to tam sama ziemia z siebie wydaje, i wydałoby się, że natura za przykład uprawy ziemi Węgry innym narodom wskazała, tak wybornie umieją tam gospodarować. Nie skąpiej uposażyła ich i w bogactwie: bo złoto, które inni śmiertelni tak skąpo i rzadko, i z takim mozolem wykopują, Węgrzy jakby jaki wybrany naród, stosami mają. Od was teraz żołnierze zależy, czy chcecie otworzyć sobie bramę do owego raj, lub własną swoją ziemię na łup nieprzyjacielowi oddać. Kiedy pójdziecie do szturm, przypominajcie sobie wszystkie obrazy szczęścia; pamiętajcie, że za tym miastem z przodu spotykają was bogate i urocze łupy nie bronione wcale, a z tyłu dzieci, żony, bogi domowe, domy i świętości religijne zachowane, będą nagrodą zwycięstwa. A jeżeli nie zdobędziecie miasta, to nietylko nic nie zyskacie, ale jeszcze ściągniecie na to wszystko gniew i zaciekłość nieprzyjaciela, który wszelkimi udreczy i zniszczy nas cierpieniami. Ja zaś podług tego jak walczyć będziecie, jak więcej do rozkazywania niż do niewolnictwa okażecie chęci, dumnym domaganiom się nieprzyjacielskich posłów odpowiem. Wy zaś i ciało i broń, jak potrzeba przygotujcie, abyśmy jutro, równo ze świtem, na mury się dostali.“

Rozeszli się z weselem żołnierze, i jak gdyby już zwyciężyli i zdobycz bogatą w rękę mieli, tego sobie pohulawszy; resztę noce, żeby do szturm mieć więcej siły, spokojnie przespali.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA LITERACKA.

Księga poselska litewskiej metryki, zawierająca w sobie dyplomatyczne stosunki Litwy za panowania króla Stefana Batorego, od r. 1576 do 1583, wydana z polecenia Cesarzkiego moskiewskiego towarzystwa historyi i starożytności rossyjskich, przez profesora Pogodina i magistra Dubińskiego; w Moskwie, r. 1843.

Materiały historyczne z dobrą wiarą i z prawdą wydane, jestto granitowy fundament, na którym kiedyś wielki człowiek dźwignie budowę wspaniałego kościoła przeszłości. Potrzeba założyć fundament i nagromadzić masę wiadomości krytycznie obrobionych; ten zwrot przebiega się w dzisiejszej historycznej literaturze polskiej, tę prawdę pojęło całe pokolenie piszących.

Na rozmaitych punktach ogromnego rossyjskiego państwa ogłaszają ciekawe pomniki, które równie obchodzić powinny mieszkańca Moskwy jak Warszawy. W Moskwie przed ośmiu laty, staraniem towarzystwa historyi i starożytności rossyjskich, wydane zostały z największą dokładnością dwie księgi poselskie litewskiej metryki z czasów Zygmunta Augusta i Stefana Batorego, a żadne pismo zbiorowe nie zwróciło na nie uwagi. Wydanie pierwszej księgi było poruczone księciu Michałowi Oboleńskiemu i profesorowi Daniłowiczowi; wydanie drugiej prof. Pogodinowi i Dubińskiemu. Z pierwszej księgi korzystałem pisząc „Czasy Zygmunta Augusta,” teraz ogłaszam wiadomość o stosunkach dyplomatycznych Litwy, ułożoną z dokumentów zawartych w księdze drugiej.

Dewlet Giraj słysząc, że panowie litewscy mają zamiar wybrać za króla syna W. księciu, ciągnął z wojskiem do litewskiego państwa, i już był nad rzeką Sakhą, gdy nadbiegł goniec królewski Jan Badowski, z wiadomością o wyborze Stefana Batorego. Wkrótce też doszły wieści o kozackich napadach: o północy w 600 ludzi wdarli się na zamek Islam, ale ich załoga pobili i odparła. Potem Kozacy znad Dniepru połączywszy się z drugimi, w 3000 ludzi ze strzelbą podeszli pod Islam gród, spustoszyli okolice i jedną wieżę zbili. Tatarzy widząc, że nie ma czego

dosiadywać, co można było wybrali i wynieśli się z zamku (poselstwo Dezan Tymira, nr. 8).

Ostatnich dni listopada 1576 przybył goniec tatarski Hasan, a następnie razem z gońcem królewskim Janem Badowskim poseł Dezan Tymir. Król Hasana obdarzył i wyprawił, a posła w wielkiej ucteiwości przy dworze trzymał. (Odprawa gońca krymskiego Hassana nr. 4.)

W Toruniu na sejmie Dezan Tymir odprawił poselstwo skarżąc się w imieniu Dewlet Giraja na Kozaków, że w czasie bezkrólewia wielkie szkody wyrządzili w ziemiach cesarza tureckiego. Z tego powodu carewicz Adel Giraj wpadł do Korony, i na wielu miejscach spustoszenia i szkód niemało poczynił. Dewlet Giraj domagał się, żeby król kazał ukarać Kozaków, a ponieważ przez lat ośm nie dawano Tatarom dani, żeby kazał wyliczyć 20,000 cz. zł., za co przyrzeka wpaść na wiosnę do ziemi wspólnego nieprzyjaciela W. księcia (poselstwo r. 1576, nr. 8.)

Król wyprawił do Dewlet Giraja razem z wracającym Dezan Tymirem sekretarza i dworzina swego Andrzeja Taranowskiego, któremu polecił postanowić przymierze na innych warunkach, niż bywało za Jagiellów. Przymierza żeby był takowy sposób: żeby żaden gwałt i żadne szkody nie były czynione królewskiemu państwu i wszelakiego stanu ludzimu; żeby car, synowie i poddani jego nie mieli żadnego spółku i porozumienia z Wielkim księciem; a gdy te dwa warunki zostaną dopełnione, król zapłaci jurgieltu 20,000 talarów, które będą oddawane na święto Bożego Narodzenia w Barze, albo w Kamieńcu, albo w Czerkasach. Nadto Dewlet Giraj i jego następcy kiedy będą przez list albo przez posła wezwani, powinni ze wszystką mocą jechać na wojnę przeciw W. księciu, i stawić się ze wszystkiem wojskiem ku bitwie na to miejsce, które król naznaczy; co gdy uczyni, król daruje jemu oprócz dorocznych, drugie 20,000 talarów. A gdyby syn jego albo który z poddanych wtargnął do polskiego kraju i szkody czynił; car powinien skarać go na gardle, wieźnio odesłać, łupy zwrócić i szkody nagrodzić; a jeśli tego nie uczyni, nie tylko jurgieltu nie dostanie, ale będzie poczytany za gwałtownika i krzywoprzysięcę. Kozaków niżowych wolno mu mieć i na gardle karać; gdyby przyszli na tę stronę Dniepru gdzie są zamki, król każe ich starostom karać. Horda bazaraska, Turcy, Trakowie, Armeni, żydzi i inni kupey nie będą przyjeżdżać za posły, ani gdy w towarzystwie z posły przyjadą, stacye im dawane będą. Gdyby car chciał jurgieltu częścią pieniądzy, częścią suknem, powie poseł, że dawniejsi królowie dawali sukno, ale naówczas mieli przyjaźń z Niemcy; dzisiaj gdy Niemcy są nam nieprzyjaciele jako i cesarzowi tureckiemu, sukna od nich mieć nie możemy, i dlategośmy naznaczyli większy jurgielt pieniężny; a gdyby car w tój mierze był przytrudny, można postąpić jurgieltu do 24,000 talarów. O Niżowcach gdyby co przekadał, poseł odpowie, że to mnóstwo ludzi jest skupione z Moskwy, z Wołochów i naszych tóż poddanych, którzy będąc na gardło skazani, do nich się udali, a przybyło ich niemało po wtargnieniu, które tak rok carewicz w ruskie ziemie uczynił, albowiem przyłączyli się do Kozaków ci, którzy potracili majątności; k temu zaś nam będąc poruszeni, rodziców, żon, braci, dzieci mordorstwy i więzieniem. A gdyby car był bardzo oporny, powie, że my posłamy do Konstantynopola posła naszego,

on też swojego niech pośle, i zdamy się na rozsądek najmożniejszego cesarza. (Instrukcja dana Taranowskiemu w Toruniu ostatniego grudnia 1576 r. nr. 7). W dalszym ciągu księgi nie ma wzmianki ani o zawartém z Tatarami przymierzu r. 1578, ani o skargach na najazdy kozackie i o zamierzonym napadzie Tatarów r. 1582.

Batory pragnąc być w zgodzie i pokoju ze wszystkimi panami chrześcijańskimi, wyprawił do Jana Groźnego swoich dworzan: Jerzego Grudeńskiego i Lwa Buchowieckiego, zawiadamiając go o wstąpieniu na tron i prosząc o przysłanie głejtu na wielkich posłów (List do W. księcia N. 1, z Warszawy, 12 lipca 1576). W. książę przyjął Grudeńskiego i Buchowieckiego nie według zwykłego obyczaju, a o królu wspominał bez należytego względu (list do W. księcia nr. 22); jednak posłańców z tém odprawił, że nie jest od spokojnego zniesienia się z królem, wydał głejtu na posłów i zapewnił, że na pograniczu ludziom swoim każe zachować się spokojnie (List do W. księcia z Zawołocza, 2 sierpnia r. 1581 nr. 74). Za tym głejtem król wyprawił wielkich posłów: Stanisława Kryskiego woj. maz., Mikołaja Sapiebę woj. miń., i Teodora Skumina Tyszkiewicza podskarbiego nad lit. (Nauka wydana w Bydgoszczy 28 marca 1577). Polecił im prowadzić do zgody i wiecznego pokoju ze zwróceniem wszystkiego co zabrano w Litwie i w Inflantach; a gdyby nie było mowy o wiecznym pokoju, panowie posłowie powinni mieć na uwadze, że dla W. księcia, który wiele posiadał, czasowe przymierze jest pożyteczniejsze jak dla króla. O Parnawę i o inne zamki w czasie pokoju pobrane, zwłaszcza o Lemzał, już za panowania króla Stefana wzięty, mają się upominać, i wszelkim sposobem strzedz tego mają, żeby pokój zawarty służył zarówno ziemi inflantskiej, jak innym państwom króla jegomości; także państwu króla szwedzkiego, który jest złączony z królem dobrą przyjaźnią. Tytułu nie mają przyczyniać, ani mianować W. księcia carem, ani smoleńskim, ani połockim, ani inflantskim. (Druga nauka dana panom posłom, nr. 12).

Kiedy posłowie byli w drodze, niemałe wojsko pod dowództwem Tymoteusza ks. Trubeckiego wkroczyło do ziemi inflantskiej, pustosząc ogniem i mieczem; ludzie Krzysztofa Radziwiłła nadwornego lit. hetmana, kilka razy bitwę z niemi stoczyli. (List do W. księcia, 13 lipca r. 1577 z obozu pod Gdańskiem, chociaż datowany w Malborgu. Nr. 15). W. książę sam przyjechał do Pskowa, żeby urządzić ziemię inflantską, wiele zamków pobrał i wziął w niewolę Alexandra ks. Połubińskiego (1). Potém go wypuścił, a z nim 50 więźniów polskiego i litewskiego narodu, i przez niego napisał do króla (z Wolmaru, 12 września 1576) zawiadamiając go, że za pomocą Bożą oczyścił swoje dziedzinę, ziemię inflantską. Król wstrzymał posłów na granicy i wyprawił z listem dworzanina Marcjana Polujana. (Nauka wydana gońcowi Polujanowi, nr. 16). Chcąc doskonale wyrozumić zamysły W. księcia, kazał posłom udać się w dalszą drogę. Gdy przystąpili do układów, W. książę odłączył Inflanty od Korony i od Litwy. Trzymając posłów w trudném chowaniu, przymusił ich do za-

(1) W. książę pisał do Połubińskiego, wyprowadzając ród swój od brata Cezara, Prusa, który założył Gdańsk, Chojnice, Toruń i Malborg. (Nr. 1).

warcia rozejmu w styczniu 1578 r. na trzy lata, licząc od Zwiastowania 1576 r. z wyraźnemi opisami, że rozejm zabezpiecza tylko granice między Litwą a Rosyją, z wyłączeniem Inflant; a gdy przyszło do zaprzysiężenia, w liście swoim przydał takie rzeczy, na które postowie zgodzić się nie chcieli: Inflanty i Kurlandją aż po Żmudź i Prusy sobie przyznać, na króla włożył obowiązki, żeby poddanych swoich nie bronił i próśb od nich nie przyjmował (Listy rozejmowe nr. 17 i 18). Dwa listy rozejmowe na które przysięgli W. książę i postowie, nie były z sobą zgodne, a z tego można było korzystać łamiąc je na wszystkie strony. Batory zawiadomiony o tém domagał się należytego rozejmu. (List do W. księcia 12 marca 1578, nr. 19); ale W. książę gońca Piotra Haraburdę na stronę usunął i długi czas trzymał jak w więzieniu, a tymczasem w Inflantach dobywał zamków; od Kiesi dwa razy odparty stracił siłę wojska i dział. Wielcy postowie Piotr Gołowin i diak Taras Gramotin, przybyli dla odebrania od króla przysięgi. Król odprawiwszy sprawy ruskie we Lwowie dał im posłuchanie; a ponieważ nie chciał mówić językiem, którego nie umiał i jako żywo nie słyszał, postowie odeszli nie sprawując poselstwa (1). Król posłów zatrzymał dopóki nie wrócił Piotr Haraburda; wtedy ich puścił i wyprawił Wacława Łopacińskiego z wypowiednym listem. (List do W. księcia z Wilna, 26 czerwca r. 1579, nr. 22). Sam wsiadł na koń i poszedł pod Połock. Z zamku połockiego dopomniął się o wypuszczenie Łopacińskiego listem, który zaniósł Bohdan Prosielok (16 września 1579 r. nr. 24). Na to odpowiedział W. książę (z Nowogrodu 21 listopada, 1579, nr. 25), że postępował tak jak jemu przystało, a o innych rzeczach mówić nie ma potrzeby (2); zapewniał że chce przyjaźni i braterstwa, że kazał się spokojnie zachować na granicach od Korony, od Litwy i od Inflant. Łopacińskiego wolno puścić (w piątek po Trzech Królach 1580 r. nr. 28) (3); polecił jemu, żeby mówił z panami Mikołajem Radziwiłłem, Eustachym Wołowiczem, Stefanem Zbaraskim i z innymi, a z Janem Chodkiewiczem nie ma co mówić, bo on wielkiego zamieszania między gospodarzami narobił (Andrzej i Wasyl Szczółkanowy mówili do Łopacińskiego te słowa. Nr. 29).

Jan Groźny żądał przysłania posłów wielkich (z Moskwy, 6 stycznia 1580 r. nr. 31); na to król Stefan odpowiedział, że chciał żyć w pokoju i w dobrej przyjaźni z sąsiadami, a gdy posłów W. książę odprowadził z niezwykłym postanowieniem, drugi raz narażać się na to nie będzie; panom rady, którzy znosili się z bojarzami, pozwolił wydać glejt na posłów wielkich (z Grodna, 16 marca 1580 r. nr. 33). Bojarowie odpowiedzieli, że to nowy a niezwykły obyczaj, że zawsze postowie litewscy pierwsi przycho-

(1) „Wieleli nam na wspomnianie imieni twojego niezwykłym obyczajem dudkował, i pri tom jakobyś ty był jakij cudotworiec, wo imia twoje jazykom tym, ktoroho jesmo nietolko nie umieli, ale piered tym jako żywo nie słyszali, mowit' coho ostonocznoh.” (List Batorego nr. 74).

(2) „A nam kak było prihożo i my tak byli s toboju i zdiatali... a o tych wsich rzeczach, kotoryje w toj statui pisany, nynie howoriti nie jest' potreba.”

(3) „W hramotie k' nam pisał Stefan korol, kakby s rozmielom i mnohii ukoriznyie słowa pisał da i naszu pieremirnju hramotu otostał, i kotoryje liudi s takimi hramotami jezdiat i takich wiezdie kazniat.”

dzili (z Moskwy, w lutym 1580, nr. 34). Z rozkazu królewskiego wojna przez czas jakiś była wstrzymana; potem siadając na koń Batory, znowu glejt na posłów wielkich posłał (z Wilna, 13 czerwca 1580 r. nr. 40). Gońiec Naszczokin już otrzymał odprawę, ale zażądał znowu posłuchania i 14 czerwca podał królowi list otworzysty, aby mu dano wiare, że co mówi, z woli W. księcia mówi; potem oznajmił, że W. książę chce posłów wielkich posłać i prosi, żeby król osobą swoją z miejsca się nie ruszał i wojsk do jego ziemi nie wysyłał. Król odpowiedział, że jeszcze przez pięć tygodni wstrzyma się od wojny i na posłów czekać będzie (z Wilna, 14 czerwca 1580, nr. 41). W. książę dał znać przez gońca Szyszmarewa, że w tej chwili wyprawił posłów: ks. Jana Sickingo jarosławskiego stolnika, Romana Piwowa radnego szlachcica, i diaka Tomasza Drużynę Pietielina; ale w tak krótkim przeciągu czasu nawet postaniec na podwodzie nie jest w stanie pospieszyć; prosi zatem, żeby król wstrzymał się od wojny do przyjazdu posłów w połowie sierpnia (z Moskwy, 2 lipca 1580, nr. 43). Zrozumiał Stefan, że te posyłania i pisania do niczego nie doprowadzą, że to się dzieje dla zmarnowania czasu do wojny dogodnego; oznajmił zatem, że gdziekolwiek z wojskiem będzie, postowie znajdują do niego wolny przystęp (z Wilna, 22 lipca 1580), że Nowogród W. i Psków, kraj smoleński i siewierski do Litwy należą, że Inflanty stanowią część Korony i W. Księstwa, że on cudzego nie pragnie, a swojego bronić będzie.

Postowie przyjechali do obozu pod Wielkimi-Łukami 28 sierpnia 1580, a nazajutrz byli u króla (nr. 53). Na wstępie oświadczyli, że mają polecenie od hospodara, żeby nie gdzieindziej, jedno w państwie króla jegomości poselstwo sprawowali; więc odeszli z niczem, a król kazał silnie pracować nad zdobyciem Wielkich-Łuk. Postowie 2 września znowu przyszedli do króla i odprawili poselstwo. W rozmowach z panami rady postowie odstępowali Połocka, Uświata, Jezieryszcz, Kurlandię, a w Inflantach tego, co arcyksiążę Magous posiadał pod władzą królewską. Zatem król zamku dobywał, a postowie po dostateczną naukę posłali do W. księcia. Razem z ich gońcem pojechał Grzegorz Łozowicki i zaniósł list królewski (posłuchanie posłów nr. 53, list królewski 5 września 1580, nr. 54). Po odjeździe gońców nazajutrz wzięto zamek wielkolucki. Zawiadomił o tym Batory W. księcia; nalegał, żeby rzekł się Inflant, jeśli chce stałego pokoju (z Wielkich-Łuk, 9 września 1580, nr. 56). Król z Wielkich-Łuk wrócił do Warszawy i pojechali za nim poslowie; podczas sejmku znowu sprawowali poselstwo i bywali na rozmowach z panami rady i z posłami ziemskimi; a ponieważ nie podawali słusznych warunków dla postanowienia pokoju, król ich odprawił z zapewnieniem, że bez zupełnego odstąpienia Inflant pokoju nie będzie. (Nr. 60 i 61.)

W. książę naznaczył nowych posłów: Eustachego Puszkina, Teodora Pisiemskiego i diaka Jana Trefanowa; i dał im moc zupełną, że co oni postanowią, to wiecznemi czasy trwało będzie (list pełnomocny nr. 64). Postowie mieli posłuchanie w Wilnie 26 i 29 maja, 1 i 2 czerwca 1581; na rozmowach z panami rady postępowali po dwa, po trzy zameczki; aż nareszcie oznajmili, że pan ich odstępuje ziemi inflantskiej z wyjątkiem czterech zamków: Nowogródka inflantskiego, Serenka, Adeża i Rugodiewa czyli Narwy; w zamian prosili Wielkich-Łuk, Chełmu, Wielizy

i Zawołocza. Król oddawał Zawołocze, Chełm i Wielkie-Łuki, a Wieliz tylko chciał zatrzymać; domagał się spalenia Siebieża leżącego wśród jego posiadłości, zwrotu ziemi inflantskiej bez żadnych wyłączeń, zwrotu kosztów wojennych 400,000 zł. węg. i wypuszczenia zatrzymanych kupców z tém, co do nich należy (nr. 66 i 67). Posłowie do W. księcia posłali po naukę.

Zdawało się, że lada chwila pokój będzie zawarty; Batory działania wojenne zawiesił do czterech tygodni: wtém nieprzyjacielskie wojska podstępily pod zamki naddnieprskie, pod Dubrownę, Orszę, Kopyś, Szklów, Mohilew, Radom i inne (list panów rady do bojarów, z Zawołocza 2 sierpnia 1581, nr. 75), a przez Krzysztofa Dzierzka królewskiego gońca W. księżę przysłał list grzmiący i długi. Zarzucał Batoremu dumę i pragnienie krwi chrześcijańskiej, zarzucał panom rady że niezgodę sięją między gospodarzami. Nie tak bywało za dawnych królów pobożnych i niechciwych krwi rozlew; posłowie zjeżdżali się z panami rady, nieraz się pokłócili i pogodzili znowu, układy odbywały się powoli, a wy chcecie wszystko skończyć w jednej godzinie. Powiadacie, że posłowie targują się o ziemię inflantską, która u nas była pod hołdem, jak u was Prusy. Rozhovor nie targ, a tym targiem oni wam postąpili 70 grodów. Nazywacie się gospodarzem chrześcijańskim, a nie po chrześcijańsku złamaliście przysięgę, którą w Moskwie wykonali wasi posłowie. Nazywacie się gospodarzem chrześcijańskim, a chcecie, żeby wam 400,000 zł. zapłacić jak bisurmanowi. Za co? za to żeście wojowali, żeście brali nasze grody i niszczyli ziemię. A kto was o to prosił, kto wam bił czołem? Pod Sokolem twoi żołnierze wybierali co lepszych wojowników i dzieci bojarские i wyrzynali im zółć i sadło jak czarownicy. A takiej bezbożności nawet u bisurmańskich gospodarów nie bywa, żeby wojsko się biło, a posłowie posłowali. Włoczyłeś ich za sobą przez jesień i przez całą zimę, a winę na nas zwalasz. W Warszawie podczas układów przychodziło 40 postów ziemskich, a twoi panowie powiedzieli, że to twoja mniejsza rada: tego za twoich przodków nigdy nie bywało. Za Siebież panowie rady obiecują Drysę spalić:—dzieci tak oszukują. My każemy Siebież spalić, ty każesz Drysę spalić, ziemia będzie należeć do ciebie i kiedy zechcesz nowe zamki odbudujesz. Cóżto za pokój, kiedy z naszej strony same straty. Ale ty chcesz uzyskać nad nami przewagę. Kiedys silny, kiedy pragniesz krwi chrześcijańskiej, bierz i krew rozlewaj. Na co postów posyłać, na co dawać grody, kiedy wy całym krajem rwiecie się do krwi rozlew. Co za przodków stracone, to przepadło: alboż tamci mniej mieli od was rozumu? Ruś i Litwę zaużysz wojną, a potem Ruś i Litwa pójdzie na łup bisurmanom. Chcesz pokoju, bierz taki, jaki posłowie dają, bo my i za lat 50 nowych postów do ciebie nie pošemy (z Moskwy, 29 czerwca, 1581, nr. 68).

Dzierzek przyniósł list 15 lipca, a 18go posłowie byli u króla, i na zapytanie czy nie mają jakiego poruczenia, odpowiedzieli, że zdadzą z tego sprawę przed panami rady. Na rozmowie z panami powiedzieli, że mają polecenie zawrzeć rozejm na lat sześć lub siedm, że gospodar odstępuje tych zamków, które Bóg podał w moc królowi: Wielkich-Łuk, Chełma, Zawołocza i innych; w ziemi inflantskiej zostawił sobie Narew, Dorpat i 34 zamki. Po takim oświadczeniu nie wdawali się w żadne rozprawy,

ale odjechali do gospody. 20 lipca król dał im odprawę (Rozmowa panów rady z posłami, nr. 73).

Odpowiedź Batorego była równie długa jak list W. księcia. Odbijając od siebie wszelkie zarzuty, dowodził: że dobra chęć i prawda były z jego strony. Dowodził, że W. książę do Inflant nie ma żadnego prawa, a król Zygmunt August został ich panem z dobrej woli mieszkańców. Nie chcesz Siebieza zburzyć dlatego, żebyśmy się znówu czego nie naparli; nie chcesz zwrócić małej części nakładów wojennych: czas pokaże, kto na tém straci, bo im dłużej wojna będzie się zaciągać, tém więcej od ciebie będziemy wymagali. Cierpiał Bóg długo aż się miara przebrała, i kto wie, czy siekiera nie jest już przyłożona do korzenia. Dajesz nam nazwanie brata; brat brata powinien bronić od krzywdy, nie sam krzywdzić: a za nazwanie, jedną włóki nie ustąpimy. O owém sadle ani mogliśmy wiedzieć, a kiedyśmy się dopytywali, powiedziano nam, że wzięli go coś Niemcy cyrulicy na lekarstwa; ale tego okrucieństwa nikt nam nie zarzuci, że żywych mordujemy, że znęcamy się nad więźniami, bo sprawy nasze jawne są przed światem. Nie wstydzi nas to bynajmniej, że urodziwszy się w prywatnym stanie, cnotą i mężstwem dostąpiliśmy królewskiego zaszczytu. Uczciwa to jest rzecz urodzić się z szlachcica cnotliwego i szlachciance wiary niepodejrzanej, bo szlacheckiego urodzenia nie wypiera się żaden cesarz ani król żaden. Na ustach masz ciągle psalmy i wyjątki z Pisma Świętego. „Poznacie ich po czynach,” powiada Pismo. Poznaj sam siebie, bo to jest największa mądrość; ażebyś siebie lepiej poznał posyłamy ci książki, które o tobie po świecie piszą i drukują, za przywilejem Zygmunta Augusta i za przywilejem cesarza Maxymiliana. Udajesz pokorę, a powiadasz w duchu: pójdę i rozszerzę moje państwo na wschód i na zachód, żeby się wstawiło imię moje, i moje państwo szczytem nieba dosięgnie. Kiedy ci się powiodło w Inflantach, wsiadłeś na koń, obwieszasteś się na krzyż łańcuchami, z których na jednym wisiła ewangelia, na drugim zegarek, w rękę wzięteś kopiją i porasywałeś się, że idziesz z nami wojować. Chcesz oszczędzić rozlewu krwi chrześcijańskiej: naznacz czas i miejsce, a rozprawimy się sami jak mężom przystoi. Niech Pan Bóg dopomaga dobrej sprawie (z Zawołocza, 2 sierpnia 1581 r. nr. 74).

Pod Pskowem Batory odebrał list od W. księcia, w którym go zawiadamiał, że Antoni Possewin poseł Grzegorza XIII listem przystanym przez swojego sługę Andrzeja skłaniał go do pokoju, i że W. książę gotów wysłać z zupełną nauką posłów do Zapolskiego Jamu, między Porchowem a Zawołoczem, którzy wejdą w układy z królewskimi posłami za pośrednictwem Possewina (list W. księcia ze Słobody, 27 października 1581, przyniesiony przez gońca Zacharego Bołtina; nr. 76). Król zgodził się na wysłanie posłów (z obozu pod Pskowem, 14 listopada 1581 r. nr. 78).

Do Zapolskiego Jamu przybyli od W. księcia posłowie: książę Dymitr Jelecki, Roman Ollieriew, diak Nikita Biereszczagin i podiaczy Zachar Swijaziew; od króla Janusz Zbaraski woj. bractawski, Albrecht Radziwiłł marszałek nad lit. i Michał Haraburda pisarz lit. 13 grudnia zeszli się w gospodzie u posła papieżkiego. Posłowie W. księcia zaraz po przywitaniu, pierwój nim usiedli podali list wierzący. Posłowie królewscy trochę posiedziawszy zapytali, gdzie jest pełnomocnictwo do zawarcia pokoju,

bo to co widzieli nie jest pełnomocnictwo, ale list wierzący, który nie daje mocy ostatecznego postanowienia. W spóźnionej porze rozjechali się z tém, że posłowie mają dostać na piśmie moc zupełną od W. księcia.

Nazajutrz znowu zeszli się u Possewina. Posłowie pytali siebie nawzajem, jakim obyczajem król i W. książę czynić kazał postanowienie. Zatem posłowie królewscy nie wdając się w długie targi oświadczyli, że król przedewszystkiém żąda zwrotu ziemi inflantskiej bez żadnych wyłączeń i objęcia przymierzem króla szwedzkiego. Posłowie W. księcia odpowiedzieli, że całej ziemi inflantskiej nie mają prawa odstępować, ale postąpią niektóre zamki jeśli król zwróci Wielkie-Łuki, Chełm, Zawołocze, Wieliz, Newel i inne. Co do króla szwedzkiego nie mają nauki, ani rozkazu; ale jeśli królowi szwedzkiemu trzeba, niech się znieśie przez posłów z hospodarem. Tego dnia więcej o niczém mowy nie było.

15 grudnia posłowie królewscy domagali się ziemi inflantskiej, posłowie W. księcia zwrotu zamków zabranych. Posłowie królewscy pożegnali ich i odjechali; w nocy Possewin przysłał cedulę, zawiadamiając, że po ich odjeździe mówił z posłami W. księcia, i okazała się potrzeba, aby raz jeszcze się zjechali. To zjechanie się 16 grudnia nie doprowadziło do niczego, bo obie strony stały przy swoim, robiąc małoznaczące ustępstwa. Posłowie królewscy odnieśli się do pana kanclerza, który odpowiedział, żeby postąpili W. księciu w ziemi inflantskiej Serenieska, Nowogródka, i Nowokostyra, a żeby starali się zatrzymać Wielkie-Łuki i pozyskać Siebież. A gdyby nie można było, odstąpić Wielkie-Łuki, Zawołocze, Wieliz i Newel w zamian za ziemię inflantską.

Posłowie królewscy wytargowali Wieliz i domagali się, żeby w list rozejmowy wniesiono, że król ma prawo dochodzić zamków zabranych przez Szwedów; a gdyby W. książę równie chciał ich dochodzić, wojna o te zamki nie przejdzie za granice szwedzkich zaborów. Ponieważ posłowie W. księcia nie chcieli się na to zgodzić, posłowie królewscy złożyli protestacyą na ręce Possewina. Potóm odebrali drugi list od pana kanclerza, żeby jak najbardziej starali się o postanowienie pokoju; wojewodowie i starostowie ukraiinni pisali do nich, że jeżeli pokój nie zostanie zawarty, ludzie z zamków zejną. Znowu zaczęły się targi, i znowu kanclerz do nich napisał, pilnie a pilnie napominając, żeby jako tako ten pokój kończyli. Posłowie W. księcia narzekając żałośnie, nie chcieli odstąpić Dorpatu i pokazywali daną sobie naukę; posłowie królewscy grozili zerwaniem układów i pokazywali nakaz królewski, żeby zatrzymać Wielkie-Łuki, Zawołocze i Newel. Zatem posłowie W. księcia na drugi dzień odstąpili Dorpatu, prosząc z wielkim płaczem papieżkiego legata, żeby wziął ich pod swoją obronę, bo oni bez rozkazu oddają Dorpat i gardła swoje narażają za gardła wielu ludzi. Umówili się, że z obu stron zamki będą oddane z taką strzelbą, z jaką były wzięte, wyjąwszy gdzie strzelba zgorzała, jak w Wielkich-Łukach. W Inflantach te zamki miano poddać królowi: Kukonos, Skrowny, Lenward, Kruźbork, Borzun, Czestwin, Trykat, Rowny, Włodzimierzec, Ałyst, Howię, horodyszczu Laudun i Holbin, zamki: Reżycę, Łużę, Wlech, Porkel, Sałacz, Dorpat, Nowogródek, Kerepet', Mukow, Randeg, Ryngol, Konhot, Kawlet', Kurslow, Lais, Tar-

wast, Połczew, Pajdę, Weljan, Parnawę starą i nową. O więźniów nie mogli się zgodzić; posłowie królewscy żądali 300,000 zł. węgierskich albo Siebiez i Opoczkę; posłowie W. księcia zwrócili mowę do papieżkiego legata, dziwując się, że chrześciance, chrześciance szacują i przedają. Na to odpowiedzieli posłowie królewscy, że po zdobyciu Połocka, gospodar chciał za więźniów Uświata i Jezieryszcza, a kiedy król się nie zgodził, on więźniów oszacował i wziął za nich niemały okup: za pana Dowojnę 10,000 zł. węg. i więźnia, a drugich odstąpił do Kazania i do Astrachania. Przytém posłowie królewscy dopominali się o wypuszczenie kupców zatrzymanych z towarami.

Potém rozmawiano od kogo piérwój mają być posłowie. Królewscy dowodzili, że od W. księcia, bo kto potrzebuje, ten piérwszy posłów wysyła. Posłowie W. księcia przekładali, że już nieraz posłów do króla wyprawiał, i po kilka razy wstając prosili, żeby uczció gospodarza, bo oni i bez tego wzięli na siebie ciężką odpowiedzialność. Wdał się w tę rzecz legat papieżki i zapewnił posłów królewskich, że król do tego wielkiej wagi nie przywiązuje. Zgodzili się zatem, że posłowie królewscy będą u W. księcia na dzień św. Trójcy, a posłowie W. księcia u króla na dzień Wniebowzięcia Panny Maryi.

Posłowie W. księcia domagali się przyznania carskiego tytułu; posłowie królewscy stanowczo na to zgodzić się nie chcieli. Co do czasu pokoju, królewscy chcieli go mieć na rok, W. księcia na dwa lata, legat papieżki na dziewięć. „Niechaj będzie na 8, na 7, na 5 lat, tylko nie na 9,” powiedzieli posłowie królewscy, „bo to słowo dziewięć między wielkimi gospodarzami i w piśmie nie uchodzi.” Posłowie W. księcia odpowiedzieli: „niechże będzie na lat 10,” i na tém stanęło. Kiedy napisano listy rozejmowe, posłowie królewscy spostrzegli dorzucony wyraz: że gospodar z *ojcowizny swojej* ziemi inflantskiej odstępuje królowi te i te zamki. Posłowie królewscy nie chcieli brać listu i odjechali po długim sporze; w nocy przyjechał do nich legat papieżki przekładając, żeby się nie upierali; ale oni uważali te słowa za wielce szkodliwe. Nazajutrz 15 stycznia 1582 napisano nowy list bez tych wyrazów. W nocy o godzinie 5, naprzód posłowie W. księcia, potém królewscy wykonali przysięgę i zamienili się listami rozejmowymi i rejestrem strzelby, która miała zostać na zamkach. Tym sposobem z pomocą Bożką pokój zawarli. (Rozmowy posłów, nr. 81).

Posłowie królewscy: Janusz Zbaraski w. bractawski, Mikołaj Talwosz kaszt. żmudzki i Michał Haraburda pisarz lit., wysłani dla odebrania przysięgi, otrzymali polecenie, żeby usuwając wszelkie wątpliwości i zawady do dobrej przyjaźni, oświadczyli, że król uważa za swoją własność zamki będące w posiadaniu króla szwedzkiego: Narwę czyli Rugodiew, Rewel czyli Kolywań, Rakobor, Tolszczobor, Pacz czyli Padys, Lihowier, Kołowier, Apsel, Wigiel, Syreńsk i inne, i jak swojej własności dobywać i bronić ich będzie. O tytuł wyrozumieją posłowie jakiego tytułu pragnie W. książę, bo za Smoleńsk i za ziemię siewierską, a wreszcie za zrzeczenie się Infantant mają prawo przyznać tytuł cara ruskiego. Co do więźniów król ma wielu ludzi rycerskich, wojewodów i przełożonych nad wojskami; Wielki książę mniejszą daleko liczbę i to ludzi lekkich i nieznakomitych: zatem domagać się za więźniów Newła

i Zawołocza, albo Newla i Siobieża, a gdyby W. książę nie chciał przystać, niechaj idzie na zamianę i na okup; król odeśle swoich jeńców do Jezieryszcz, W. książę swoich do Wielkich-Łuk. Domawiać się o wolny handel podług starego obyczaju, wszakże nie zawzięcie; jeśli W. książę postanowił składować w Smoleńsku, król postanowi składować podług swego upodobania. Gdy będzie mowa o spaleniu Brańska, powiedzić, że ludzie królewscy nie wiedzieli o zawarciu pokoju; a ponieważ ludzie W. księcia spalili Łojową Górę i niemało ludu nabili, niech więc idą krzywdy za krzywdy. Gdyby W. książę żądał przymierza na czas dłuższy, posłowie mogą zgodzić się na termin podany: gdyby chciał wiecznego pokoju, mają się odwołać do króla. A w innych rzeczach mają się zachować według swego baczenia, przestrzegając sławy królewskiej i pożytku Rzeczptęj. (Nauka dana posłom z Rygi, 28 marca, r. 1582, nr. 91).

Bojarowie dali od siebie zapis posłom, że w przeciągu lat dziesięciu do św. Piotra i Pawła 1592 r. gospodar nie przystąpi z wojskiem do zamków które zabrał król szwedzki w Inflantach; posłowie zobowiązali się, że król Stefan nie będzie zdobywał na Szwedach dziedzicznych zamków W. księcia w okręgu nowogrodzkim: Jamgrodu, Kopia, i Koreli. (List bojarów w lipcu, 1582, nr. 99).

Do króla przyjechali odbierać przysięgę książę Dymitr Jelecki, Jan Puszkin i diak Tomasz Drużyna Pietielin. Domagali się, żeby król wykonał przysięgę po rusku i żeby list rozejmowy W. księcia leżał pod krzyżem i pod listem królewskim. Król kazał im odczytać po rusku przysięgę, sam wykonał ją łacińskimi słowy. Co do położenia listu dogodził ich żądaniu, oświadczając, że przez to nie zobowiązuje się do uznania tytułu. Posłowie Odpowiedź udzieloną sobie na piśmie odesłali królowi z Okuniewa (Odpowiedź królewska, nr. 101).

Na tem kończą się w księdze poselskiej wiadomości do panowania króla, którego Palewoj nazywa „jasną gwiazdą między współczesnemi monarchami.”

Seweryn Gołębiowski.

Grammatyka języka polskiego zawierająca naukę rozbioru i składni,
przez J. A. Czajkowskiego N. J. P. w S. P. i S. R. Warszawa. 1851.

Gdy po pilnym przejrzeniu i odczytaniu nowo wyszłej grammatyki przystępuję do jej rozbioru i ocenienia, stają mi na myśli wszystkie niemal dzieła grammatyczne polskie od wiekopomnego wyjścia *Pierwszych zasad Grammatyki* J. Mrozińskiego u nas wydane, a przezemnie na drodze urzędowej lub w *Bibliotece Warszawskiej* różnocześnie oceniono, z których nowy nasz grammatyk mógł i powinien być korzystać: a mianowicie J. Muczковского dwie Grammatyki (poznańska i krakowskiej 2 wyd.), M. Jakubowicza (wileńska 2 wyd.), T. Kurhanowicza (wileńska bezimienna z r. 1834, a warszawska *Składnia* z r. 1841 i 1844), D. Łazow-

skiego najobszerniejsza i A. S. Krasieńskiego najkrótsza ze wszystkich tu wymienionych, nareszcie ważne dzieło grammatyczne F. Żochowskiego pod napisem: *Części mowy odmieniające się przez przypadki*. I moja Grammatyka Polska do użycia szkolnego zastosowana, której *Część I*sza od r. 1838 doczekała się już 4go, a skrócona 6go wydania, *Część II*ga od r. 1847 dotychczas jeszcze nie zaprowadzona po szkołach, jako też recenzye różnoczesnych grammatyk polskich przezemnie drukiem ogłoszone, mogły nastęrczyć nowemu grammatykowi wiele postrzeżeń i uwag, a wytknięte sumiennie w ocenionych grammatykach, posłużyć mogły za zbiwną przestroę.

Winienem godnemu nowój grammatyki autorowi oddać sprawiedliwość, że się nie dopuścił wstecznego nowatorstwa, oprócz w rozkładzie i formowaniu trybów; a lubo poszedł w ślady M. Jakubowicza, J. Muczkowskiego, T. Kurhanowicza i D. Łazowskiego w bezpotrzebnym wykładzie albo raczej opisywaniu znaczenia naszych przyimków: pokazał się jednak w tej mierze umiarkowańszym od swoich poprzedników. Lubo też wcisnął niepotrzebnie *j* przed *a*, *ą*, *o*, w wyrazy cudzoziemskie, nie dopuścił się wszakże kazirodztwa grammatycznego w wyrazach swojskich i cudzoziemskich przez łączenie *j* z *i*. Ograniczając tedy szerzące się coraz dalej *j*, zbyt już i tak zageszczone w naszej pisowni, oraz nie dopuszczając dziwotwornój zamiany *i* lub *y* na *j* w wyrazach cudzoziemskich, pokazał się w tych dwóch względach wyższym nad F. Żochowskiego, T. Kurhanowicza, D. Łazowskiego i innych, zbytujących w użyciu *j*. Jeszcze i w tém ma niemałą zasługę, że nie obciążył swojego dzieła tylą niepotrzebnemi drobiazgami jak D. Łazowski, ani w ułożonój przez siebie *Składni* nie pominął wielu trudności grammatycznych jak A. S. Krasieński; a przejąwszy od J. Muczkowskiego i F. Żochowskiego dobre pomysły albo raczej trafne postrzeżenia o wewnętrzném znaczeniu zakończeń wyrazowych, nie przejął jednak błędnej pisowni w wyrazach *wzjąć*, *wzjęty*, ani urojonego stopniowania w rzeczownikach *koń*, *konik*, *koniczek*. Nareszcie, korzystając najwięcej z J. Muczkowskiego, naukę o użyciu zaimków obszerniej i dokładniej wyłożył od wielu swoich poprzedników.

Po tak szybkióm i polotném ocenieniu zasługi nowego autora Grammatyki Polskiej w porównaniu z jego poprzednikami, wezmę następnie pod uwagę sam układ dzieła i ważniejsze w niem szczegóły, zwłaszcza podlegające sprawiedliwym zarzutom; nie żebym chciał rozpocząć jaką polemikę grammatyczną, ale że radbym szczerze, aby najnowsza podziś dzień grammatyka ulepszoną została przynajmniej w następném wydaniu: na które zasługuje mianowicie część IIIcia czyli *Składnia*, znana mi niegdys w rękopiśmie od lat kilkunastu, a teraz już znacznie ulepszona.

A najprzód co do układu dzieła: powinienem uczynić tę uwagę, że autor nielogicznie swoje grammatykę podzielił na trzy Części, z których IIga jest tylko gdzieindziej powtórzeniem, a prawie wszędzie niedokładnym rozwinięciem Części Iszej. Wreszcie nienależycie tu zniesione wszelkie większe i mniejsze podziały, tak iż to jest we wszystkich znanych nam językach pierwsza książka prawidłowa, nie mająca ani rozdziałów, ani paragrafów, w której wszystkie szczegóły treści jój składające idą jak-

by nawałem jedno po drugim, bez żadnego oznaczenia, gdzie się co zaczyna lub kończy.

Następnie co do szczegółów podlegających zarzutom, będę z nich wybierał tylko co najważniejszego, idąc porządkiem stronic; lubo nie zaniedbam upatrywać niezgodności upatrzonych w jednej i tój samej rzeczy na różnych, nawet odległych od siebie stronicach. Wezmę zaś szczególniej pod uwagę wykład i pisownią przyjętą przez autora, tudzież pomysł różniący nową grammatykę od innych; nareszcie wskażę i opuszczenia niektórych ważnych postrzeżeń, mianowicie w Części 2giéj i 3ciej.

We wstępie zaraz na początku stronicy 1széj zbyt ogólne azatém niedokładne jest oznaczenie *Grammatyki polskiejj*, że to jest *nauka języka polskiego*; bo nauka języka nie kończy się w grammatyce. Niepotrzebnie téż i opacznie przy tak niedokładném oznaczeniu grammatyki polskiejj załączony taki dodatek: *język czyli mowa służy do wyrażenia myśli*. W dalszym znowu ciągu tegoż wstępu, przy wyszczególnieniu dziesięciu *części mowy*, brakuje objaśnień przykładowych czyli przykładów, któreby to wyszczególnienie do pojęcia dzieci zbliżyły. Nie pojmie tedy bynajmniej żaden początkowy uczeń gołych wyrazów grammatycznych: *rzeczownik, przymiotnik, słowo, zaimek, imiestów*, i t. p. a miałby o nich jakiegokolwiek wyobrażenie, gdyby obok każdego z nich podano były przykłady; przez co łatwiejby mu było i zatrzymać w pamięci sameż wyrazy. Nareszcie w 5tym ustępie na téjże stronicy czytamy: „*Części mowy są ze sobą w związku, a ten związek utrzymuje się za pomocą końcówek*”; tu nienależycie przydano *e* do przyimka *z*; mówi się bowiem i pisze *z sobą, z tobą, z sobą*, nie zaś *ze sobą, ze tobą, ze sobą*, a *z* bez *e* przy *s, t*, wymawia się jak *s*: tak więc błędne pisanie powyższych wyrazów na wzór *ze mną, ze Lwowa*, pociąga za sobą i błędne wymawianie. Nie można téż mówić: „*że związek między wyrazami w mowie utrzymuje się za pomocą końcówek*, kiedy nie wszystkie wyrazy nawet odmienne, a przynajmniej niezawsze, zmieniają swoje końcówki. Tak gdy mówimy: *bądź zdrow i wesół*, utrzymujemy albo raczej wydajemy związek między wyrazami myśl naszą wyjawiającami, chociaż żaden z nich nie zmienił swojej *końcówki* albo raczej pierwotnego zakończenia. Nie mogę tu nie wspomnieć, że u naszego autora pierwotne zakończenie słów czyli końcówka zachodzi w osobie 2giéj l. p. trybu rozkazującego, jak to później się pokaże. Wreszcie na str. 7miej i dalszych używane są naprzemian *końcówki* lub *zakończenia*, jak gdyby te dwa wyrazy odmienne miały znaczenie; a nawet na str. 45tój (rzecz dziwna i niesłychana!) przyimki nazwane są *nowemi końcówkami*; na dowód czego przywiodę słowa samego autora: „*Te nowe końcówki kładą się przed imionami. i dlatego nazywają się przyimkami*”. Jakże można było nazwać końcówkami nasze przyimki, które kładą się przed *imionami* podług własnych słów autora; co na jedno wychodzi, jak gdyby kto nazwał początek końcem (1).

(1) Tu mi się przypomina objawiony kiedyś w Bibliotece Warszawskiejj osobliwszy pomysł jednego z naszych nowotnych grammatyków (T. K.): aby przymiotniki nazwać przyimkami, dlatego, że się kładą przy imionach *rzeczowych* lub *osobowych*, tak nazwanych podług podziału i nomenklatury przejętej od M. Jakubowicza.

Na str. 5tej i 6tej po bardzo niedokładnym oznaczeniu rzeczownika: *jestło nazwisko osoby lub rzeczy*, następuje wyszczególnienie imion rzeczownych stosownie do ich znaczenia.

Na str. 6tej pomiędzy rzeczownikami *rodowemi* niewłaściwie podane są: *Jan, Michał, starosta, kasztelan, radca, radczyni*, bo z pomiędzy nich tylko *Chlebowicz, Sapięha i Fredro* są właściwie rodowe; a jednak na str. 16tej *Sobieski, Potocki*, wyrazy tegoż samego znaczenia co *Sapięha i Fredro*, policzone zostały między przymiotnikami rodowemi, dlatego zapewne, że mają zakończenie przymiotników rodz. męz. Czemuż znowu na str. 17 *Walery, Antoni, podskarbi, Noe, Jozue*, mające zakończenia przymiotników na *y, i, e*, nazwane są rzeczownikami?

Na str. 7mej pod napisem u góry: *Przypadki, liczby i rodzaje*, czytamy: „Każdy rzeczownik bierze rozmaite końcówki czyli odmienia się przez przypadki i liczby”. A w piątym znowu ustępie: „Każdy rzeczownik bierze zakończenia albo *męzkie*, albo *żeńskie*, albo *nijakie*, a to stosownie do znaczenia lub zwyczaju”. Gdy więc podług pierwszego ustępu każdy rzeczownik *bierze rozmaite końcówki* na wydanie liczb albo przypadków, a podług piątego *bierze zakończenia* albo *męzkie*, albo *żeńskie*, albo *nijakie* na wydanie rodzajów; odmienia się więc każdy rzeczownik nie tylko przez liczby i przypadki, ale jeszcze i przez rodzaje: co wszakże tak nie jest, ani tak autor nie myślał, tylko się nienależycie wystawił. Owoż w piątym ustępie zamiast wyrazu *bierze*, należało użyć wyrazu *ma*, a nie byłoby sfalszowane wystowienie czyli wykład, który aż do końca jest utrzymany, jak następuje. „Jeżeli imiona żywotne znaczą płeć męzką, np. *pan, wół*, więc biorą zakończenia męzkie; jeżeli imiona żywotne znaczą płeć żeńską, np. *pani, owca*, więc biorą zakończenia żeńskie; imiona żywotne zwierzęce, jeżeli niewiadomo jaką płeć oznaczają, np. *kurczę, jagniątko*, biorą zakończenia nijakie”. I na cóż trzeci rodzaj nazywać nijakim: lepiej już było nazwać go *nieoznaczonym*. Na téjże str. 7mej u dołu znajdujemy znowu niewłaściwe albo raczej zbyt zaniedbane wyrażenie: „Nauka tych końcówek nazywa się przypadkowaniem.” Aby skracać, o ile tylko można, mające się czynić uwagi nad tak wyłożoną grammatyką, będące pomijał w dalszym ciągu mojej recenzji drobniejsze błędy i uchybienia wykładu.

Na następnych stronicach aż do 14tej, podając autor *naukę końcówek* w 3ch formach, opatrniej sobie postąpił od M. Jakubowicza i J. Muczkowskiego, którzy niepotrzebnie podali najprzód tabellaryczny wypis gołych końcówek, jak gdyby uczniowie początkowi mieli cierpliwość wyuczać się samych zakończeń oddzielonych od wyrazów. Należało jednak dla ułatwienia uczniom téj i tak dość mozolnej nauki, podać pierwój pytania na siedm zapowiedzianych przypadków. Niepotrzebnie też pooddzielane są końcówki łącznikiem nawet w przypadku 1szym wyrazów na samogłoskę zakończonym; co na pozór tylko ułatwia, w rzeczy zaś samój utrudnia naukę: bo jakże tu czytać *pan-i* napisane zamiast *pani, koni-e* zamiast *konie*, a cóż dopiéro *uczni-owi-e* zamiast *uczniowie, uczenie*, i t. d. Po formach dopiéro w *Uwagach nad przypadkowaniem* podane są na str. 14 pytania na owe siedm przypadków, i to bardzo niedokładnie: bopuszczono jest pytanie *czyż?* na przypadek 2gi, a nie wskazane użycio

przyimków w przypadku 2gim, 3cim, 4tym i 6tym. Na téjże str. 14tój wzięte są za cechę formy 1szój i 2gój zakończenia przypadku 2go na *a* lub *u*, na *i* lub *y*, a za cechę formy 3ciój zakończenia przypadku 1go na *e*, *e*, *o*; podług tego więc *serce*, *dziecię*, *miasto*, należą nie tylko do formy 3ciój, ale i do 1szój, bo w przypadku 2gim kończą się na *a*.

Na str. 15tój: „Imiona ludzkie mają często podwójne w 1szym przypadku l. m. zakończenie: męzkie *owie* i krótsze czyli żeńskie *e*, *i*, *y*, np. *pan-owie-y*, *krót-owie-e*, *wzruk-owie-i* (c) *y*.” Mówi się wszakże *Rzymianie*, *cieśle*, *kaznodzieje*, *kapłani*, *chłopi*, *poeci*, a tu *e* krótsze czyli żeńskie, jako też *i* są zakończeniami męzkiemi; lepiej tedy było odłożyć to rozróżnienie dwoistego lub nawet troistego zakończenia przyp. 1go l. m. do Części 2giej, niżeli tak niedokładnie o tém wspominać. Na téjże str. 15tój w podanej formie przypadkowania liczebników pierwotnych i zbiorowych, błędnie są umieszczone *dwóch* obok *dwaj*, *pięciu* obok *pięć*, *wielu* obok *wiele* w przypadku 1szym.

Na str. 19. „Nie stopniają się nigdy przymiotniki *własne*, *rodowe* i *liczbowe*.” Wszakże i przymiotniki uformowane z rzeczowników także się nie stopniają, np: *ojcowski*, *ogrdowy* i t. p. Na téjże str. 19tój do wyrażenia tak nazwanych stopni pośrednich zle dobrane wyrazy: *nadto pilny*, *malo pilny*, za *pilny*, *zbyt pilny*, *arcy pilny*, *pilniuchny*, *pilniusiński*, a oznaczenie zaimka przejęte od J. Muczkowskiego *ciemne* i *zawile*. Nie mogą też nie wytknąć tak osobliwszego wysłowienia: „*Zaimki stosownie do użytku, jaki w mowie przynoszą, są:*”

Na str. 20tój zaimek zwrotny *swój* umieszczony jest między dzierżawczemi; a znowu między nieoznaczonemi *jaż*, *tyż*, *onże*, *tenże*. Tu także następujący ustęp jest ciemny i fałszywy: „Tylko zaimki *osobiste* wyrażające 1 i 2 osobę *ja*, *ty*, *tudzież zwrotne* i *pytające*, ponieważ wyrażają przedmioty obecne, lub zupełnie niewiadome, nie odmieniają swoich zakończeń na męzkie, żeńskie i nijakie.”

Na str. 21szój niepotrzebnie przejęte od F. Żochowskiego i J. Muczkowskiego *ony* zamiast *one* w przypadkowaniu zaimków osobistych.

Na str. 22gój zaimki nazwane piérwój nieoznaczonemi przy rozgatkowaniu zaimków, występują znowu pod nowem nazwiskiem *nieokreślonych*.

Na str. 23ciój w przypadkowaniu zaimków *który*, *co*, znajdujemy *co ku niemu*, *co ku nim* zapewne zamiast *ku którym*, jak się nie mówi i nie pisze; a na str. następnej 24tój powtórzone *co ku nim*, z załączeniem takich dwóch przykładów: „czyta list, *co do niego* napisany; czyta książkę, *co do niej* tyle wartości przywiązuje.”

Na str. 25tój: „Słowa posiłkowe oznaczają istnienie, bytność wszech rzeczy; jedno jest tylko słowo posiłkowe *być*. Słowa *biernie* wyrażają czynność braną, przyjmowaną przez osoby lub rzeczy: np. *ojciec jest kochany*, *praca jest chwalona*.” I cóż praca bierze, przyjmuje?

„Słowa nijakie nie wyrażają ani czynności, ani bierności, ale własność szczególną osób lub rzeczy: np. *ojciec śpi*, *praca ustaje*.”

Na str. 27mój: „Tryb łączący i życzący wyraża sąd połączony z innym sądem”; tu nie wskazane odróżnienie trybu łączącego od życzącego,

a ściśle biorąc, i tryb rozkazujący wyraża także sąd połączony z innym domyślnym sądem.

Na téjże str. 27miej: „Aby się nauczyć wszystkich odmian słowa czyli *czasowania*, dość będzie uważać, jak się odmieniają słowa niedokonane i dokonane, a najprzód posiłkowe.”

Następnie podana jest forma na czasowanie słowa posiłkowego *być*, po niej idą 4 formy na czasowanie słów foremnych. W tych 4ch formach dla ułatwienia nauki *czasowania*, jak czytamy w napisie u góry, umieszczony jest najpierw tryb *rozkazujący*, potem *bezokoliczny*, dalej *oznajmujący*, po oznajmującym *łączący* w nierozdzielnym połączeniu z *życzącym*, a na końcu *warunkowy*; po czém jeszcze idą *imiestwowy* odmienne i *nieodmienne*, po imiestwach *rzeczownik słowny*, aż nareszcie *czas przeszły nieosobisty*. W tak osobliwym tedy układzie odmian, jakim podlegają słowa, bierze nasz autor tryb rozkazujący za pierwotny, z którego się formuje nie tylko tryb bezokoliczny i oznajmujący, ale oraz imiestwowy, rzeczownik słowny i czas przeszły nieosobisty. Cały ten układ oparty na mylnie upatrzonym *pierwiastku słowa, ogołoconym ze wszelkiego zakończenia*, w 2giej osobie l. p. trybu rozkazującego, pomimo pozornój prostoty i snadności swojej, żadną miarą utrzymać się nie może. Wątpliwość przyjętej zasady i opartego na niej układu okaże się w wielorakich względach, z których tylko ważniejsze wezmę pod uwagę, a o innych zaledwo wspomnę.

Jak można było na czele trybów stawiać tryb rozkazujący, wyraźnie podrzędny, w którym się zawsze objawia domyślna wola, chęć lub życzenie mówiącego, i który się nawet używa niekiedy za tryb *życzący*, z nowój grammatyki wprawdzie nie wyłączony, ale jakby zagłuszony, postawionym obok niego na pierwszym miejscu trybem łączącym. Że tryb rozkazujący miewa znaczenie trybu *życzącego*, pokazuje się to na przyjętych powszechnie sposobach mówienia: *Święć się imię Twoje*, zamiast *obey się święciło*; *bądź zdrow*, zamiast *obys był zdrow*; *żyj lata Matuzalowe*, zamiast *obys żył*, albo *życzę ci*, *abyś żył*. Tu widzimy, jak nienależycie i opacznie w formach *czasowania* słów dane pierwsze miejsce trybowi podrzédnemu i zastępczemu, jakim jest tryb rozkazujący, przed głównym i naczelnym trybem, jakim jest oznajmujący, któremu posługują wszystkie inne tryby, a nawet imiestwowy i rzeczownik słowny, czasem zaś tylko niektóre z nich zastępują go, mianowicie kiedy się ma łączyć ze spójnikami lub zaimkami względnymi. I tryb bezokoliczny bardzo opacznie jest umieszczony we środku pomiędzy innymi trybami na 2gim miejscu, tuż po rozkazującym; bo jego właściwe miejsce jest albo ostatnie, jakie ma w słownikach i grammatykach języka łacińskiego, albo piérwsze, jakie ma w słownikach i grammatykach języków później ukształconych, niżeli staro-rzymska łacina. Tryb ten, nie znaczący właściwie żadnej okoliczności, służy zwykle za dopełnienie innym trybom, i nader rzadko bywa używany zastępczo za tryb *życzący*, łączący lub rozkazujący, a przeto w układzie trybów ostatnie miejsce zajmować powinien; ale że nie podlega żadnym odmianom grammatycznym i najprostszy jest w swoim układzie, z tego jedynie względu może i powinien uważać się za pierwotny, bo z niego najdogodniej jest formować wszystkie czasy naczelnego trybu, jakim jest co

do znaczenia swego tryb oznajmujący, azatém, jako uważanemu za pierwotny, piérwsze mu miejsce należy, przez co się rzeczywiście ułatwia nauka czasowania słów. Opatrznie tedy sobie postąpił J. Muczkowski przy wyszczególnieniu trybów i opisaniu ich znaczenia, uważając dopiéro aż na końcu tryb bezokoliczny, a w podanych formach na czasowanie słów, dał mu piérwsze miejsce nawet przed trybem oznajmującym; trybowi zaś rozkazującemu nie tylko w formach czasowania, ale i w wyszczególnieniu trybów, ostatnie miejsce między trybami okolicznymi przeznaczył. Co do trybu łączącego, który niepotrzebnie w nowój grammatyce jest postawiony obok życzącego, należało go raczej opuścić; bo te dwa tryby co do zewnętrznego składu swego różnią się jedynie przydawaniem do słowa spółnikami, a oznaczając przyszłość, która jest zawsze niepewną, jeżeli wyrażają jaki stopień pewności pochodzi to od trybu oznajmującego, zawartego domyślnie w trybie życzącym. Jeden tylko tryb oznajmujący oznacza pewność, chociaż często i mylną, wyrażając mniejszą lub większą potęgę woli, uczucia i przekonania; piérwsze mu tedy miejsce między trybami okolicznymi dać albo raczej zostawić należało. Nareszcie czas przeszły nieosobisty, umieszczony najopaczniej na końcu aż po rzeczowniku słownym, miałby najwłaściwsze dla siebie miejsce i zaraz po czasie przeszłym osobistym trybu oznajmującego, zwłaszcza że ten czas należy do odmian grammatycznych słowa; gdyż w rzeczowniku słownym zachodzi tylko odmiana etymologiczna. Tak wadliwy układ trybów i czasów naraził autora na mnogie trudności i błędy w wywodzie formowania nie tylko samychże trybów i czasów, ale oraz rodzajów, osób i liczb. Cóżto za spółgłoska przybierająca, naczelna, która ubywa w trybie bezokolicznym, tudzież w czasie terażniejszym, przeszłym i przyszłym wszystkich słów należących do formy 1szej, oprócz w osobie 3ciój l. m. czasu terażniejszego i przyszłego, a nadto jeszcze ubywa w trybie bezokolicznym słów jednozgłoskowych na *ac*, *ic*, *yc*, *uc*, i wielozgłoskowych na *owac*, *iwac*, *ywac*, jako téż wielu słów jednozgłoskowych i wielozgłoskowych na *ec*, *ac*; gdy w systemacie spółgłoskowym, któremu nasz język podlega, żadna spółgłoska do pierwiastku wyrazu należąca, w odmianach grammatycznych ubywać nie może i nie powinna, chyba w nader rzadkich przypadkach dla uniknienia dwuznaczności lub dla szczególnych względów harmonii? Jak znowu można było samogłoskę *e* wyraźnie eufoniczną, dla rozdzielenia tylko zbiegających się spółgłosek w osobie 1szej i 2giój czasu przeszłego używaną, nazwać samogłoską rodzajową i uważać ją za niesłychaną cechę rodzaju męskiego? Niepodobna téż rozpoznać podług podanych w nowój grammatyce zasad, które słowa należą do formy 1szej, a które do 2giój, 3ciój, lub 4tój, kiedy głoska pośrednia służąca do rozpoznawania formy w czasie terażniejszym trybu oznajmującego jest dwojaka: *a* lub *e*, w formie 2giój także dwojaka: *y* lub *i*; w formie zaś 3ciój znowu jak w drugiej *i*, a w formie 4tój także jak w 2giój *y*. Niepotrzebnie nawet forma 3cia oddzielona od 4tój, bo natura samogłosek *y*, *i*, jest jednaka; a jak dobrze to uważał J. Mroziński, wymawianie jednej i drugiej zależy od natury spółgłosek je poprzedzających; te więc obie samogłoski jedną tylko cechę formy stanowić powinny. Trudno wreszcie po-

jęć, jak od pierwiastku *pnij* formuje się tryb bezokoliczny *piąć*, albo czas teraźniejszy *pnę*, a pierwiastek *gnij* od słów tak odmiennego znaczenia *giąć* i *gnić*. jest wszakże jednaki albo raczej jeden i ten sam. Jakżo opacznie wydaje się tryb rozkazujący w słowach: *módz*, *musieć*, *woleć*, *widzieć*, a jednak jako *pierwiastku*, nie można go było opuścić; znajdujemy tedy w grammatyce dziwaczne wyrazy *moż*, *muś*, *wol*, *widz*. Ani tego nam nie wytłumaczył nawet w Części 2giój autor, dlaczego w osobie 2giój i 3ciój l. p., tudzież w osobie 2giój l. m. pośrednią głoską jest *y*, a w osobie 1szój l. m. *e*; np. *słyszysz*, *słyszysz*, *słyszycie*, a *słyszemy*, nie zaś *słyszymy*, jak być powinno.

Pomijam resztę szczegółów formowania słów, a nawet całą część 2gą, w której pomimo najmoźolniejsze stosowanie albo raczej naciąganie szczegółowych wywodów do mylniej zasady pierwiastku źle upatrzonogo, nie są uprzątnięte hynajmniej trudności zasiane w części 1szój. Tę ma jedyną zaletę Część IIga, że w niej autor na ostatnich stronicach, zaczawszy od str. 78mój aż do końca. mówiąco *znaczeniu wewnętrzném głosek*, tudzież o przyimkach wchodzących w skład wyrazów, i o końcówkach *gatunkowemi* zwanych, nie zapędził się tak daleko jak J. Muczkowski w granice słownikarstwa, i starał się więcej wskazać niżeli wyczerpnąć naukę o zmianie znaczenia wyrazów przez przydawane do nich na początku lub przy końcu cząstki składowe, tak rozmaite w odmianach etymologicznych.

Nie mogę wszakże tego pominąć, że pomiędzy wyrazami *ze znaczeniem dźwięku* na str. 79tój nienależycie są przywiedzione: *wieć*, *wiecha*, *wicher*, *wiatrak*, *powiew*, *świst*, *powiat*, *wiatr*, *wiek*, *wiolki*, *wiesć*, *wir*; nie należy bowiem szmeru, szumu albo świstu, a nawet huku i łoskotu brać za jedno z dźwiękiem. Niewłaściwie też podane na str. 81tój oznaczenie wyrazu *wschodzić*, to jest: *zaczynać ruch w oznaczonym czasie*, bo cząstka składowa *wz*, *ws* we wszystkich wyrazach ze znaczeniem ruchu, np. *wzrastać*, *wspinać się*, znaczy *kierunek w górę* albo *do góry*, który względ tu pominięty. Ani zawsze końcówka *ec* znaczy *wyobrażenie wieku*, np. *leniwiec*, *opętaniec*, *chudziec*, *krawiec*, *bywalec* i t. p. Ani nareszcie zakończenie gatunkowe *ący* wyraża czynność obecną; lepiej było powiedzieć *równoczesną* innej czynności lub działaniu np. *blagający*; nietylko bowiem można powiedzieć: *widzę*, ale *widziałem* albo *zobaczę* człowieka *blagającego* o wsparcie. I końcówka *awy* nie zawsze *wyraża posiadanie w małej ilości* przyimotu, np. *prawy*, *łaskawy*, *jaskrawy*, *ruchawy*.

Przystępuję teraz do ocenienia *Części 3ciój*, którą uważam za najlepší obmyślaną w porównaniu z *Częścią 1szą* i *IIgą*. I tu jednak nie obeszło się bez uchybień, azatém nie obejdzie się bez zarzutów, które na rzeczy tylko ważniejsze zwrócę, podobnie jak uczyniłem w ocenieniu dwóch części poprzedzających.

Na str. 89tój: „*Mowa składa się ze zdań czyli myśli*”. Lecz co innego są zdania, a co innego myśli: zdania przez kogo wymówione możemy słyszeć, lub napisane czytać; myśli zaś czyje przenikać trudno, a czasem i niepodobna.

„Zdanie składa się z przedmiotu i opowiednika”. I dalej „opowiednik, albo się składa z przymiotu upatrzonego w przedmiocie i łącznika, albo się wyraża słowem”. Tu wyrazy grammatyczne: *przedmiot*, *opowiednik*, *przymiot* są nieszczęśliwie dobrane i użyte. Co innego zupełnie znaczy przedmiot w powszechném rozumieniu, a co innego w nowej grammatyce; bo w tém np. zdaniu: *widzę las*, podług nowej grammatyki jest przedmiot domyślny *ja*, a w rzeczy samej nie *ja*, ale *las* jest przedmiotem mojego widzenia. *Opowiednik* niby znaczący to samo co łacińskie *attributum*, albo raczej *praedictum*, jestto wyraz bardzo mądry na średniowieczne lub starożytne czasy, a dziś bardzo niestosowny i niepotrzebny, podobnież jak u J. Muczkowskiego *orzeczenie*; bo jeżeli opowiednik czyli orzeczenie składa się często z 2ch wyrazów, należało powiedzieć, że w skład zdania wchodzić mogą 3 wyrazy główne, a oprócz tego jeszcze wyrazy określające lub dopełniające, które nawet niezawsze służą do określenia lub dopełnienia przedmiotu albo opowiednika, ale określają lub dopełniają zdanie, np. krety kryją się *w ziemi*; tu wyraz *w ziemi* służy do dopełnienia zdania „*krety kryją się*” złożonego podług nowej grammatyki tylko z przedmiotu i słowa będącego opowiednikiem. Lecz i *łącznik* jest słowem, należało go tedy odróżnić od innych słów. Wreszcie nie należyce wyraz oznaczający *przedmiot* nazwany jest przedmiotem, a wyraz oznaczający przymiot *przymiotem*. Coż gdy na str. 90tej znajdujemy tak błędne wyrażenie: „Kaźde słowo zawiera w sobie *imiesłów czyli przymiot*”; tu już imiesłów wzięty jest za jedno co *przymiot*.

Na téjże str. 90tej: „Dopełnienie jestto wyraz, który dopełnia czyli uzupełnia znaczenie słowa”. I dalej na następującej str. 91szej: „Dopełnienie zależy zupełnie od słowa i nazywać się może jego rządem.” A jednak w tém zdaniu: „*mięj litość nad nieszczęśliwym*” wyraz dopełniający „*nad nieszczęśliwym*” nie zależy od słowa *mięj*, ale tylko od wyrazu dopełniającego *litość*.

Na str. 92głej: „Przedmiot może być ukryty, i takie zdanie nazywa się nieosobiste”. I dalej: „Wyrazy, które służą do określenia czyli opisanja części zdania, nazywają się w ogólności *określeniami*, up. Bóg, pozwala pożywać *u swojego stołu*”; tu wyraz „*u stołu*” nie jest określeniem, ale raczej dopełnieniem.

Na str. 100tniej liczebniki *trzech*, *czterech*, *sześciu*, *ośmiu*, *wielu*, nie są użyte rzeczownio w przypadku 1szym, jak błędnie utrzymuje nowy grammatyk, ani w 4tym, jak utrzymywał M. Jakubowicz, ale użyte przymiotnie w przypadku 2gim zgadzają się z rzeczownikami *książyć*, *gółców*, *braci*, i t. d., a te rzeczowniki są także wyjątkowo w przypadku 2gim zamiast 1go i wyrażają osoby, o których jest mowa; nie są więc *określeniami*, ale raczej same, jako wyrazy główne, są określone liczebnikami *trzech*, *czterech* i t. d. Również grubym jest błędem uważać za *adpozycyę* liczebników *dwaj*, *dwie*, *dwa*, *trzej*, *trzy*, rzeczowniki *podróźni*, *siostry*, *gółabki*, *mędracy*, *wilczki*; bo przeciwnie te rzeczowniki, jako wyrazy główne, określone są liczebnikami użytymi przymiotnie w przypadku 1szym.

Na str. 101szej mylnie jest upatrzona zgoda przymiotnika z rzeczownikiem w przykładach: *pracowite* (jest) *rzemiosło*, *piękną* (jest) *jodła*,

piękny (jest) *jawor*; bo tu rzeczywiście zachodzi zgoda między *przymiotem* będącym częścią *opowiednika a przedmiotem*, a w tym rodzaju zgody używa się niekiedy przymiotnik w przypadku 6tym zamiast w 1szym, co nigdy się nie zdarza w zgodzie przymiotnika z rzeczownikiem: ten więc dwoisty rodzaj zgody należało odróżnić.

Na str. 102giej, 3ciej i 4tej dobre są i niektóre wcale nowe pomysły o użyciu zaimków, jako też dobrze podobierane przykłady; ale na str. 103ciej mylnie przyrostek *to* uważany jest za zaimek w wyrazie *któż to* (jest)? albo w tym przykładzie „*Złato radość*, po której żal chodzi”. Niepotrzebnie też wprowadzone na str. 104tej domyślne wyrazy: *godnego, stosownemu, stosowném*, podobnie jak na stronicach poprzedzających w przykładach podanych na szczegółowe i bardzo starannie wyłożone prawidła zgody, niepotrzebnie i nawet opacznie są wprowadzone domyślne wyrazy: *ona przy praca* utrzymuje, *ono przy próżnowanie* szkodzi, (str. 96); *ludzie, kobiety, istoty* (str. 97); *zwierzęta, rzeczy* (str. 98); *rzeczy, małżonkowie* (99); jak gdyby tu autor nasz przejął niegdyś poważny a dziś powszechnie prawie zarzucony błąd O. Kopczyńskiego.

Na str. 105tej. „Imiesłowy... tém się różnią od przymiotników, że rządzą dopełnieniami.” Wszakże i przymiotniki rządzą dopełnieniami, np. *posłuszny matce, podobny ojcu* albo *do ojca*. Błędnie też na następującej str. 106tej powiedziano jest o przysłówkach, że te nie rządzą dopełnieniami, bo rzeczywiście niektóre przynajmniej z nich rządzą temiż samemi dopełnieniami co i przymiotniki, z których są uformowane: np. *zgodny* albo *zgodnie z rozumem, powotniejszy*, albo *powotniej od żółwia*. Na téjże str. 106tej zachodzi błąd sprzeczności w tych słowach: „Dopełnienie jest najbliższém określeniem słowa”; wszak co innego jest dopełnienie, a co innego określenie; nie może tedy być jedno drugiem.

Na str. 108mej: „Przysłówki ilość wyrażające i liczebники nieoznaczone określają się przypadkiem 2gim”; nie określają się one rzeczownikami, ale raczej służą samo do określenia rzeczowników położonych w przypadku 2gim: tu nawet można powiedzieć, iż rząd zastępuje miejsce zgody. Toż samo się ma rozumieć i o rzeczownikach liczebnych albo miarę lub wagę oznaczających: gdy więc mówimy: kupilem *kopę* gruszek, *łokieć* sukna, *funt* cukru, *beczkę* wina, nie znaczy: że kupilem *kopę, łokieć, funt, beczkę*, ale kupilem *gruszki*, których było 60 czyli kopa; *sukna*, którego było łokieć; *cukru*, którego było funt; *wina*, którego była pełna beczka: tu znów w naszym języku rząd zastępuje miejsce zgody, a Niemcy dla uniknięcia tego zastępstwa, aby koniecznie zgodę utrzymać, mówią: *ein Fass Wein* albo *ein Glas Bier*, nie *Weines, Bieres*; albo mówią *Bierglas*, jako też *viel Geld, wenig* albo *ein Stück Brod*.

Od str. 107 podano są często zbyt drobiazgowo opisy użycia i znaczenia przypadków względnych czyli zależnych, bądź samych, bądź z przymkami kładących się. Tu nasz autor mniej wprawdzie od swoich poprzedników M. Jak, T. Kurh. i J. Mucz. wrywa się jednak zadaleko i najczęściej w granicę słownikarstwa; a użycie *z, ze* z przypadkiem 4tym mylnie podaje na str. 122giej, bo tamże powiada, że tu *z, ze* tworzy okre-

ślenie przysłówkowe: należało raczej powiedzieć, że ma znaczenie przysłówka nie zaś przyimka,

Na dowód jak są niedokładne opisy znaczenia przyimków, przywiodę dwa następujące wyimki:

Str. 120. „Przez z przypadkiem 4tym wyraża rzecz, środkiem której działanie przechodzi; wyraża osobę lub rzecz, za pośrednictwem której co się działa, np. *przez próżniactwo człowiek wszystko w sobie doskonalić zaniedbuje.*” Gdzież tu działanie w zaniedbywaniu? raczej daje się postrzegać brak działania znamionujący próżniactwo.

Str. 124. „Z z przyp. 6tym wyraża rzecz lub osobę złączoną z drugą i razem działaniu podległą lub działającą”; to się nie prawdzi wcale na wyrażeniach następujących: *walczyć z przeciwnikami, równać się albo porównywać się z nimi, rozstać się z przyjaciółmi, pożegnać się z pieniędzmi, robić co ze wstrętem odrazą, obrzydzeniem, wszystko uleciało z dymem.*

Str. 128. „Słowa czynne, jeżeli działanie przez nie oznaczone rozciąga się do całkowitej rzeczy, lub kiedy z przeczeniem nie są położone, dopełniają się przyp. 4.” Mówi się jednak oczekiwać *matki*, szukać *siostry*, nie zaś *matkę, siostre.*

Str. 129. „Gdy jedno zdanie łączy się z drugim, powstaje złąd zdanie złożone”. Tu nasz autor podziela błąd z J. Muczkowskim, który zdanie złożone nazwał *ściągniętym*, a dwa lub więcej zdań połączonych z sobą stanowią podług niego zdanie *złożone.*

Na téjże str. 129tój. „Słowo w zdaniu głównym kładzie się w trybie oznajmującym lub rozkazującym”, a na str. 133ciej samże autor mówi, że *przy zdaniu głównym kładzie się spójnik by*: to nie spójnik, ale przyrostek warunkowy, azaćm i tryb warunkowy może wchodzić w skład zdania głównego.

Na str. 130tój i 134tój niedokładnie są odróżnione zdania dopełniające od określających, jak powyżej źle i niedokładnie były odróżnione dopełnienia od określeń, czyli wyrazy dopełniające od określających, tak, iż autor w jednym i tym samym przykładzie dwa razy na 2ch osobnych stronicach przywiedzionym wyraz *które* niewłaściwie uważa za dopełnienie na str. 103ciej, a znowu na str. 137tój zdanie „które się własną rdzą trawi”, dobrze uważa za określające. Podobnież na str. 145tój błędnie wzięto jest dopełnienia za określenie w przykładzie: „*rosa błyszczy na smugach*” i niżej na téj samej stronicy w tém wyrażeniu: *blask bogactw*, a takich błędów naliczyłoby można i więcej na innych stronicach, które już pominąłem.

Str. 140. „Zdania główne łączą się ze sobą przez proste obok siebie położenie i t. d.; np. *przebież kraje, przerzuć role, zjedź świat cały, przepłyn morze, nie ma kraju nad Podole*”; tu nie wszystkie zdania nazwane *główne* są spólrzędnymi, a po wyrazie *morze* należało położyć dwukropek, nie zaś przecinek.

Na téjże str. 140tój: „Zdania główne łączą się, gdy ze zdania ogólnego wyprowadza się szczególne, albo ze szczególnego ogólne (a priori, a posteriori); „jakże to wytłumaczyć uczniom, co za ledwo pojmie jaki nauczyciel!... Ani tak zawziętego dla uczniów wykładu nie objaśniają do-

statecznie podane cztery przykłady, a mianowicie czwarty przykład wzięty z Minasowicza, który trąci niemczyzną: *Zastał się puls natury, i ubiegło życie.*"

Str. 141. „Zdania główne łączą się ze sobą za pomocą spójników łączących *i, a, też, tudzież, także, oraz*; np. trzeba szanować czas i być rządym w jego użyciu"; tu nawet nie ma dwóch zdań głównych, ale tylko jedno zdanie złożone: dobrze tedy opuszczony jest przecinek przed *i*. Wreszcie, nie same tylko zdania główne łączą się za pomocą spójników łączących, ale i poboczne.

Niżeli wdawać się w tak niedokładne wyszczególnianie, kiedy i jak łączą się z sobą zdania główne, należało raczej podać naukę o składzie *okresów*, co wszakże autor całkiem pominął, i dlatego podana przez niego nauka o tak nazwanem *przecinkowaniu* czyli użyciu znaków piersarskich, mianowicie przestankowych, bardzo jest niedokładna pod wszelkimi względami, jako nie mająca prawie żadnej zasady. Zaledwo wzmianka jest o peryodzie na str. 152giej z tak niedokładnym oznaczeniem peryodu, że to jest *myśl skończona*. Oprócz opuszczonej nauki o składzie okresów, opuszczona także niezmiernie ważna nauka o używaniu trybów i czasów, co było tylko zlekka i wcale niedostatecznie dotknięte w Części Iszej i IIgiej. Nie ma też ani wzmianki o zgodzie *przymiotu* albo raczej wyrazu oznaczającego *przymiot, działanie, czynność* lub stan rzeczy, o której głównie jest mowa, w zdaniu z *przedmiotem* czyli wyrazem oznaczającym *przedmiot*, który lepiej już było nazwać, idąc za Jakubowiczem, *rzeczą zdania* albo imieniem przedniejszém, jak znowu *przymiot* lepiej było nazwać imieniem *przysądżoném* albo *przysądźnikiem*, przez co uniknęłoby się przynajmniej dwuznaczności. Nareszcie przy rozgatunkowaniu zdań pominięto są zdania *włączne* i *nawiasowe*, które w nauco o *przecinkowaniu* niewłaściwie *wtrąconemi* nazwane.

Więcej może niżeli opuszczeń znajdzie się powtarzanek dosłownych lub z lekkimi zmianami: niektóre z nich tylko przywiodę:

Str. 25. „Słowo wyraża sąd albo zdanie o osobie lub rzeczy.” Str. 68. „Słowo wyraża sąd, a więc samo słowo jest już myślą czyli zdaniem.” Str. 89. „Zdanie jestto sąd o osobie lub rzeczy”; to wygląda na kółko błędliwe.

Str. 37. „Czas przyszły w słowach dokonanych tak się formuje, jak terażniejszy w słowach niedokonanych.”

Str. 73. „W słowach dokonanych czas przyszły formuje się jak terażniejszy w niedokonanych.”

Str. 103. „Zazdrośni podobni są do żelaza, które własną rdzą trawi. Krasiecki.” Str. 137. „Zazdrośni podobni są do żelaza, które się własną rdzą trawi. Krasiecki.”

Str. 120. „Przez próżniactwo człowiek wszystko w sobie doskonalić zaniedbuje. Śniadecki.” Str. 140. „Przez próżniactwo człowiek wszystko doskonalić zaniedbuje. Śniadecki.”

Nie mogę też pominąć niektórych przynajmniej źle dobranych albo może i pofalszowanych przykładów, które się odznaczają raczej szumnością i przesadą wyrażenia, niżeli gruntownością i prawdą:

Str. 119. „Tylko orły patrzą jasną źrenicą w życiodawcze słońce.” Tak szuinnne wyrażenie wcale nie uchodzi, zwłaszcza w grammatyce.

Str. 130. „Trzeba wzory brać za cel, aby (można) zostać wzorem.”

Str. 131. „Trzeba wzory brać za cel, aby zostać wzorem”. To zdanie chociaż dwukrotnie powtórzone, jakby co nieomylnego, najgorzej jest dobrane; bo, mianowicie w zastosowaniu do sztuk pięknych, pokaże się nieprawdą wierutną, wsteczną, i dawno już zwietrzałą. Wszak podług dzisiejszego pojmowania *sztuki*, naśladowanie okarła talent, wstrzymując polot i swobodę ducha.

Str. 151. „Matematyka jestto królowa wszystkich nauk... Śniadecki.” Śniadecki powiedział tylko w zagorzałej przechwale ulubionej sobie nauki: „*Matematyka jest królową nauk*”, a nasz grammatyk jeszcze przesadził i tak już przesadne wyrażenie Śniadeckiego, i tym sposobem powiększył nieprawdę. Bo każda nauka panuje rzeczywiście i panować powinna w swojej dziedzinie, a wszystkie inne zwłaszcza z nią blisko niby spokrewnione, albo nawet daleki i ledwo dojrzany związek mające, więcej lub mniej pomagają jej i posługują. Tak więc i matematyka nie panuje w żadnej części fizyki ogólnej, ani nawet w optyce i mechanice, w których wszystko podlega ścisłemu obrachowaniu i wymiarowi; ale wielką w nich jest i ważną pomocą, ułatwieniem, poparciem; często oraz służy im za grunt i zasadę. Powinien był Jan Śniadecki powiedzieć: *Rozum wyższy i bystry, wsparty gruntowném rzeczy poznaniem, jest panującym w każdej nauce*; a wtenczas zdanie jego można było przywieść w przykładzie grammatycznym, bo grammatykowi głównie chodzić powinno nie o powagę, ale o prawdę i o czystość języka (1).

Str..... „*Dobrze żyć, jestto mieć dobre obyczaje*”; w tym przykładzie zachodzi podwójna dwuznaczność, bo trudno w nim rozpoznać *przedmiot i przymiot*; *dobrze żyć*, mógłby kto rozumieć, że znaczy *żyć wygodnie*.

Str. 135. „Żywię z modrzewiu używano u nas za kadzidło, kiedy stały niewyniszczone toporem puszcze i bory lipowe. Waga”. Autor odwołuje się do swojego dzieła, że nie popełnił grammatycznego błędu w przywiedzionym przykładzie z podpisem swego nazwiska, bo w oryginalne musiało być *żywicy*, a nie *żywię*.

Kończy się grammatyka podaną nauką o pisowni, i zaraz na wstępie (str. 154) położona trudna i prawie niepodobna do zastosowania zasada jako *ogólne pravidło pisowni*: „*pisz tak, aby nie można było inaczej czytać, tylko jak się mówi*”.

Zbyt krótka, bo na dwóch tylko stronnicach podana nauka nie obejmuje wszystkiego, a znaczniejsze błędy przeciwko poprawniejszej pisowni po całej książce uzbierane zachodzą w następujących wyrazach: *Rossyja*, *Julija*, *Kuryjer*, (zamiast *Rossya*, *Julia*, *Kuryer*), z *pierwiastka* (u), *mę-*

(1) Znatem mechanika praktycznego, który, wydoskonaliwszy się w Anglii przy warsztatach, nie umiał wcale matematyki, a jednak w robionych przez siebie machinach nigdy nie chybił wymiaru; bo miarę miał w oku i niepospolitą zręczność w wykonywaniu nabył przez wprawę; nie umiał też wytłumaczyć uczniom dlaczego tak, a nie inaczej się robi: umiał tylko pokazać.

ski, (z, chociaż sam autor sprzeczny z sobą każe pisać *męstwo*), *pojedynczy* dlatego że pochodzi od jeden (wszakże *n* zmiękcza się w naszym języku przed spółgłoskami syczącymi: *pański*, *pańszczyzna*, od *pan*, *Ateńczyk* od *Ateny*, *oponcza* od *opona*, *gałgański* od *gałgan*, *łaciński*, *łacińszczyzna* od *łacina*, *doński* od *Don*, *gończy* od *gon*), *tem dobrem* od *dobre* nie od *dobro* (e), z *dobrymi ubogimi* (o), *widziemy*, *myślimy* (i), *słyszemy* (y), *schańbity* (zh), *chałas* (h), *jedz* (é), *tnij*, *dmi*, *kwitnij*, jak u J. Muczkowskiego (*éj*), *łzej*, *zwięj*, *lej*, *wrzej* (*éj*), *zryj* (*éj*); *dla tego*, *że* (zamiast *dla tego że* czyli *bo*).

Dnia 1go września, 1851.

T. Sierociński.

Piosenki gminne ludu pińskiego. Zebrał i przekładał Romuald Zienkiewicz. Kowno, w drukarni M. Zymelowicza typografa. 1851. 8ka. Str. 424.

Był czas, począwszy od 1832 roku, kiedy zdawało się, że na wyścigi zbieracze pomników pieśni i podań ludowych ubiegali się o coraz nowe skarby nieznanych tych, a drogocennych zabytków, które czas zacierał lub niszczył, a nie tak wierne już usta, jak dawniej, szczerbiły.

Po objawionym ruchu tak żywym z początku, mamy kilka znanych zbiorów pieśni ludowych: to polskich, to galicyjskich (polskich i ruskich), to krakowskich i wielkopolskich. Karol Lipiński i Oskar Kolberg przechowali melodye ludowe; pierwszy zjedyny do tego przez przyjaciela swego i wydawcę pieśni galicyjskich, Wacława z Oleska (Zaleskiego, późniejszego gubernatora Galicyi, zmarłego przed parą laty) na wydanym zbiorze ustali; Oskar Kolberg ciągle tej pięknej pracy oddany, coraz większą zbiorów swoje i bogaty zasób.

W ciągu lat kilkunastu następnych, zjawiały się podania, powieści ludowe; ale jakby mniej dbano o to źródło rodowe, tyle skarbów ukrywające, cisza coraz większa na tém polu zalegała. Przerzywał ją czasami J. Kraśzewski swoim Athenaeum, w którym to ruskie przysłowia, to pieśni Ukrainy ze zbioru Izopolskiego ogłaszał. Przy opisie powiatu borysowskiego (Wilno 1847 r.) poświęcono ustęp pieśniom, przysłowiom i zwyczajom ludowym; w r. b. dopiero góralom bieskidowym przyjrzelśmy się bliżej (Górale Bieskidowi zachodniego pasma Karpat. Kraków, 1851 r.), a teraz otrzymujemy zbiór pieśni ludu pińskiego p. Romualda Zienkiewicza, bogaty, bo z górą 200 śpiewanek obejmujący, a ważny i zajmujący, bo zupełnie nieznanne pieśni nam podaje, które myślą i oddaniem podziw wzbudzić muszą.

P. Zienkiewicz zbierał je nad rzeką Pisią, Prypecią i Cną. Znać tak w przedmowie, jak z troskliwości w opisie obrzędów i całym zbiorze, z jak szlachetnym zamiłowaniem zbierał te pomniki ludowe. Dotknięty

ciężkiem kalectwem, bo utratą wzroku, zajął się ich przekładem, dodając tekst oryginalny obok. Tym sposobem zbiór swój dostępniejszym dla ogółu uczynił.

Dzielo swoje podzielił stosownie na ustępy. 1) Na pieśni kolędowo. 2) Pieśni weselne. 3) Pieśni wiosenne (wiośnianki). 4) Pieśni *kustowe*. 5) Pieśni kupalne. 6) *Pieśni letnie*. 7) Żniwiarskie. 8) Pieśni treści religijnej. 9) Pieśni rozmaite. Zamknął swój zbiór dodatkiem pieśni z Polesia wołyńskiego.

Gdy zbiór tak bogaty daje nam cudny materyał i pod względem prawdziwej poezji ludowej, i świetnej wyobraźni bratniego plemienia, w tak zbliżonóm narzeczcu do naszego języka, przeto szczegółowo przedziem oddział każdy.

1. *Pieśni kolędowe.*

Znanym jest zwyczaj powszechny u ludu naszego, chodzenia po kolędzie, i śpiewania pieśni o narodzeniu Chrystusa. Ale wśród tych pobożnych śpiewanek, przechowały się i ukryły z przedchrześcijańskich czasów obrzędowo-pogańskie pieśni, które właśnie w czasie *gód* śpiewano. Do takich policzamy następną, którą dajemy w przekładzie polskim p. Zienkiewicza:

Gdzie przewóz staje,
Brzoza cień daje,
Na brzozie lśnista,
Kora złocista.
U brzozy wici,
Z jedwabnych nici,
Z rajskiego stada,
Ptastwo napada.
Ptastwo napada,
Brzozę obsiada,
I korę dziubie,
I różeczki skubie.
Gdy to postrzegła
Panna, wybiegła,
Kłaśnie w rączęta:
Szył szy! ptaszęta,
Dalej wędrujcie,
Brzozy nie psujcie.
Chustkę otwiera,

Korę w nią zbiera,
Z różeczek wiązeczkę,
Składa w chusteczkę,
Niesie gdzie złotnik,
Ozdób robotnik:
„Mój ty złotniczku,
Mój rzemieślniczku,
Ot z brzozy lśnista
Kora złocista;
Chcę z niej przepaski,
Zrób mi ją z łaski.
Z brzezków, z reszteczek,
Spój pierścioneczek:
Z tych gałązeczek,
Uwij wianeczek.
Pasek uwdzięczy,
Pierścień zaręczy,
Wianek na gody,
Jak będzie młody!

Tok jój cały i wyrażenia zbliżają pieśń tę do owych, które znany badacz Czarnocki (Zoryan Dołęga Chodakowski) w swoim zbiorze odnosił do przedchrześcijańskiej doby.

Więcej barwy tój pogańskich czasów ma pieśń *Koza*.

W dzień Nowego Roku z rana, kiedy jeszcze całonocne pieśni kolędowe nie ucichły pod oknami, zjawia się tam i kolędowa koza. Jeden

z najzręczniejszej młodzieży sielskiej przebiera się za kozę, ustrojoną we wstążki i dzwonki; na czele śpiewaków i skrzypka podchodzi pode drzwi lub pod okna domów, w krotochwilnych piasach wita gospodarzy, i nader pociesznemi ruchami zręcznie stosuje się, przy wtórzo skrzypiec, do następnego śpiewu wieśniaków:

Hejżo, hej! kozeczko!	Ukłon niech darzy
Hej kózko siwa,	Cnych gospodarzy,
Hej śnieżno-grzywał	Niech i gromadco
Nuż wszędzie czołem,	Pokłoni w chatce.
Zarżyj wesołem,	Gdzie koza stopą,
Jak dom szeroki,	Tam żyto kopą;
Nuż wszędzie skoki.	Gdzie koza rogiem,
	Tam żyto brogiem! i t. d.

Zasługuje na przytoczenie w całości następną pieśń kołędowa, dla rzewnej myśli i poetycznego obrobienia:

Tam pod lasem wysokim koników gromada,
 Skubią trawkę na łące, a jeden z nich gada:
 „Nikt mnie tu nie ulowi, choć i zajdzie zdradnie,
 Nie okietzna, ni siodła na mnie nie nakładnie.”
 Młody Janek zawoła: „Ja ciebie ukroczę,
 Uzdeczkę i siodelko na ciebie narzucę,
 I na tobie w otwarte pole pokłusuję,
 Dziewięć lisów, i jeszcze kunę upoluję.
 A będę futrem ciepłym matkę mą odziewać.”
 Słyszy to jego miła, i pocznie się gniewać:
 „Czemuż nie mnie futerko?” — „Nie gniewaj się miła!
 Tyżes mnie nie nosiła, tyś mnie nie karmiła,
 Matka to mnie nosiła, matka mnie karmiła;
 Przez ileż ciemnych nocy, oczu nie zmrzyła,
 Ani ognia jasnego dla mnie nie gasiła.
 Jak w nocy tak i we dnie, jej nóżka strudzona,
 Weciąż u mojej kołyski była zaczepiona.”

Dziwna fantazyja uderza w tej śpiewance kołędowej, w której lud piński w postaci jaskółki widzi Najświętszą Pannę:

Święty wieczór, świat!
 Na siném morzu ściszyły się fale,
 A jaskółeczka kąpie się na skale.
 I krasna panna to z brzegu postrzegła,
 I zadziwiona do matki pobiegła:
 Ach matko! matko! jesteś już sędziwo,
 Cóż znaczy dziwne com widziała dziwo?
 Na siném morzu ściszyły się fale,
 A jaskółeczka kąpie się na skale.
 — Moja córeczko, moja gołąbeczko,
 Jaskółka twoja nie jest jaskółeczka;

W piórach jaskółki blask świętego lica,
Przed tobą skryła przeczysta dziewica.
Ach! to widziałaś przeczystą panienkę,
Na skale, w morzu myjącą sukienkę,
Dla niebożątka, Bożego dzieciątka,
Chrystusa Pana, a jój niemowlątka,
Na jego w dniach Narodzenie Boże,
I na święteczną Bazylego zorze!

Zbiór pieśni weselnych daje nam nietylko dokładne wyobrażenie całego obrzędu ze szczegółami, jak go przechował dotąd lud piński, ale wiele zawiera takich, których myśl i oddanie poetyczne zadziwia. Przywiedziemy tu kilka z tego oddziału:

W dzień ślubu.

Ach cóż dziwny sen mój znaczy.
Sen z soboty na niedzielę?
Któż mi jego wytłumaczy?
Śniłam ja gołębi wiele,
Same siwo naleciały,
Biały bisior (1) rozgrzebały,
Szczerę złoto rozsypały.

— Mało jeszcze córko umiesz,
Gdy snu tego nie rozumiesz:
Tych gołąbków siwych stado,
To do ciebie swaci jadą;
Bisior biały rozgrzebany,
To twój warkocz rozczesany;
Szczerę złoto rozsypane,
To twe łezki nie wstrzymane.

Pieśń dla sieroty.

Sieroto biedna,
Tyś sama jedna,
A dzisiaj twoje wesele;
Wśród dużej chatki,
Ojca, ni matki,
Zbór mały, krewnych niewiele.
Na Ukrainę,
Po mą rodzinę,
Poślę kukulkę żalosa;
Pośle do nieba,
Że ojca trzeba,
Słowik wyspiewa to głośno (2)!

Lecz z Ukrainy,
Nie ma rodziny,
I kukulka nie przybywa;
Słowik nie wrócił,
Co w niebo nócił (3),
A ojciec tak się odzywa:
„Wstać cię pocieszyć,
Z radą pospieszyć
Chciałbym, o miła córeczko!
Lecz mi mogiła,
Drzwi przywaliła,
Zakryła i okieneczko.”

(1) Bisior najdelikatniejsza tkanina ze lnu albo z wełny.

(2) W oryginalnym ludowym tekście brzmi to lepiej i mocniej:

„Poszlu zowzulku,
Na Ukrainońku,
Po swoju rodinońku,

A sołowejka do jasnaho nieba
Szczo baciuka mni potreba.“

(3) Inna myśl oryginału: „A sołowejko nie doletaje.“

Przy wyjeździe z domu rodziców.

Szaro-biały mój sokole
 Leć do ojca, siądź na stole,
 Wołaj głośno,
 I donośno:

Już powraca syn twój zdrowo,
 Z bogactwami i z synową!
 Siedem wozów skarbów wiezie,
 A na ósmym sama jedzie,
 Wdzięczna, zręczna, nieleniwa,
 W domu skrzętna i troskliwa!

Po długiej mroźnej a śnieżnej zimie, wiosna dla rolnika jest ową radosną dobą, kiedy zpod dachu chaty swojej ochoczo na rolę do pracy wychodzi. Do téj pory wesołej roku, lud przywiązał szczególnie śpiewanki i nazwał je *wiośniankami*.

Przytoczym tu naprzód w narzeczu ludu pińskiego jedną piosnkę wiosenną, a następnie w przekładzie p. Zienkiewicza:

Oj wiosna, wiosna!
 Jakżeś ty krasna!
 My dietońki śpiewajem,
 Miło tiebie witajem.
 Śpiewajmoż my brateńki,
 Koło swojej chateńki.
Zaworonok (1) wzlataje,
 Piosenku nam śpiewaje,
 A *holubok* (2) siwenki,
Brukuje (3) nam milenki.
 On wiesnu witaje,
 Nam radości dodaje,
 My dietinki z soboju,

Wiesielimsia wiosnoju,
 Poplesajmo ruczkami,
 Poskaczymo nużkami.
Poženimo (4) woliki,
 Budiem paświeć koniki,
 Na dubrowie traweńcy,
 W miłej wiosni, mateńcy (5),
 Hryjet sońce jasnienko,
 Nam, bratejki, kraśnienko,
 Staniem *cwielki* (6) zbierati,
 I w wienoczki splełati,
 Dla naszego ihrania,
 Miłoho nam śpiewania.

Schylały się wierzby gęstwiny,
 Kozak zbłąkał się z dróżyny,
 Przybił się pod dąb zielony,
 Pod nim usiadł utrudzony.
 Wtém kukulka zakukuje,
 Kozak u niéj zapytuje:
 Powiedz szara kukuleczko,
 Którą isę mam ztąd ścieszczką?

—Nie pytaj mnie o twą drogę,
 Smutną wieść tylko nieść mogę,
 Tyś młodziutki i nadobny,
 Wieści moich głos żałobny;
 Spytaj tego co z piosenką,
 Wstaje przed ranną jutrenką,
 Słowik lepiéj ci doradzi,
 On na drogę wyprowadzi.

(1) Skowronek. (2) Gołabek. (3) Grucha. (4) Popędzimy. (5) W miłej wiosnie, mateczce: przydomek matki wiosnie nadany z pieszczoty. (6) Kwiatki.

Daj Boże zachód złocisty i czysty,
 Mąż mój wyjechał za domek ojczysty,
 Jedzie w kraj cudzy, w smutku mię porzucił,
 Gdybyż to z drogi do domu już wrócił!
 Wróc się mój miły, wróc pod cień domowy,
 Żal mi zdejmi z serca, zdejmi smutek z méj głowy!
 — Wrócić nie mogę żono w cień domowy,
 Ani zdjąć żalu, ni smutku z twój głowy.
 — W zielone żyto przeszłam się o świcie,
 Wywiodła dziatki przepióreczka w życie.

Wywiodła, tuli,
 I tak się rozczuli:

— Pisklęta małe! przepadłam ja z wami,
 Nie ma tu ojca, gospodarza z nami.
 — Nie smuć mateczko, w piórka się opierzym,
 To w bór, to w lasy, w pola się rozbieżym.
 A wtém łąk pożar wionął i na pole,
 Dziatkom przepiórkom ogień w nóżki kole:
 „Nic to mateczko,
 Stara przepióreczko!
 W pogorzelskach będziemy żerować,
 Będziem w zielonych dąbrowach nocować.“

W jednej z wiośnierek szczególnie znajdujemy wspomnienie Warszawy. Śpiewanka opisuje śmierć Kozaka; konający wojownik wysła do rodziny swój konika, aby jój doniósł, że wziął sobie żonkę Warszawiankę, tojest miejsce w ziemi na mogiłę!

Dwadzieścia dwie pieśni zebrał p. Zienkiewicz jako należące do obrzędu nieznanego nam dotąd, pod nazwą *Kusta*.

„W Pińszczyźnie (mówi wydawca) na drugi dzień Zielonych Świątek, dziewczęta i młodyce ubierają wybraną dziewczę w gałązki i liście klonu zielone, stawiają ją na czele, same szykują się za nią w pary podług wieku, tak, że w pierwszych parach męzatki (jeżeli zabawę tę dzielą), potem dziewczęta starsze, dalej młodsze, a na końcu dzieci. Dziewczyna co przodkuje przystrojona w maj zielony, przybiera nazwanie *Kusta*. Cały orszak w takim porządku idzie do dworu, do sąsiadów, domostw, a śpiewając różne pieśni, otrzymane dary, składające się zwykle z jadła i napitku znosi do jednego gospodarza, a ten wyprawia z nich ucztę. Orszak wchodząc do chaty obranej na biesiadę, w te się słowa odzywa:

„Ot tut Kusta da pity, jesty dati,
 Ot tut Kusta da na stanceje stati!“

Na tój ucztę tańczą, śpiewają, bawią się noc całą, a często i do dnia białego.

Takie nam daje objaśnienie p. Zienkiewicz: my w tym obrzędzie widzimy bardzo starożytny obrząd: tém więcęć, że w Serbii dochował się on stale. Zbieracz pieśni tego plemienia Wuk Stefanowicz Karadziez w swojej *Dannicy* opisał takież sam obrząd od wieków trwający w Serbii,

z tą różnicą, że tam dziewczyna przybrana w maj zielony, zwie się *Dodola*.

Pieśni pińskie pod tym obchodem *Kusty* umieszczone, nie rzucają żadnego objaśnienia co do tego zwyczaju: sąto śpiewanki bowiem, których treścią jest to miłość, to otrućie z zazdrości, to tęsknota z oddalenia. Jedną więc mniej powszednią piosnkę przytoczę. Jak w ogóle lud nasz *dole*, czyli szczęście osobiste i przyszłość człowieka uosabia, tak i Pińczuk *dole* podobnież sobie wyobraża. Owóż pieśń tej treści ze zbioru obrzędu *Kusty*:

Pójdę w czyste pole,
Gdzie brat orze rolę,
Gdzie brat rolę orze,
Na pszeniczne zboże.

— Porzuc bracie orać, daj wypocząć roli,
Pójdziem bracie szukać, gdzie niebądź mój doli.“

— Szukałem jęj wczora i dziś siostra moja,
Lecz nie mogłem zgadnąć, która to z nich twoja?

Czy ta co na ławie,
Z czarą przy zabawie,
Czy co ciężko wzdycha,
I w polu usycha?

— Nie ta co na ławie,

Z czarą przy zabawie,

Lecz to moja dola,

Co jęczy wśród pola,

Moja ciężko wzdycha,

Wśród pola usycha.

W pieśniach kupalnych czyli sobótkowych uderza szczególnież ów przesąd stary ludowy, że wigilia do św. Jana, jest chwilą najprzyjazniejszą dla *widm* i czarownic. Widzimy w nich jak djabeł wiedźmę rzuca przez parkan, a potem wydziera jęj oczy.

Do najpiękniejszych pieśni należą tak nazwane *Pieśni Letnie*, z powodu, że zwykle śpiewają je latem. Dla oddania ich w całej prostocie, i w całym rodowitym wdzięku, nie możem używać przekładu p. Ziemięwicza, raz, że często jest zarozciągly, dopełniający nawet to, czego w oryginalu nie ma, a nadto niewszędzie wierny. W ściśłem więc tłumaczeniu dosłownem podamy parę naszym czytelnikom:

1.

Płyną łabędzio cichą wodą: oj nie znuć mojej młodości za lichą dołą! Dolo moja, dolo! gdzieżeś się podziała, czyś w ogniu zgorzała, czyś się utopiła? Jeśliś w ogniu zgorzała, to leż choć w popiele; jeśliś w morzu utonęła, to przyplłyn do brzeżku.

Oddała matka córkę daleko od siebie, i przykazała, aby siedm lat u uięj nie był! A ona nie wycierpięła, w piérwszym roku przyleciała. Siadła, padła w ogródeczku na wierzchołku wiśniowym. Siadła, padła, zakawała, i żałośnie zapłakała. Oj! wyszła stara matka tęg kukułki słuchać.

— Oj wyjdź mój synku z nowéj świetlicy. Oj zabij mój synku tę szarą kukulkę.

— Oj wyjdź, wyjdź mój braciszku z nowéj świetlicy, nie zabijaj swojej rodzonej siostrzyczki.

— Jestliś siostra moja, to proszę do chaty; a jestliś szara kukulka, to idź w ługi kować.

Poleciała ona bujnemi lasami, i zatopiła ona te bujne lasy drobnemi łezkami!

2.

Zielono dąbrowo, czemu szumisz rano. Jakże mi nie szumić, przeczennie ciągną Tatary, szablami tną me zarosłe. Wiodą Wołyniankę, to młodą Ukrainkę. Za nią spieszy pogoń, jój rodzony ojciec. Ona spogląda za siebie, powiewa chustą.

— Oj wróć się mój ojezuszku, bo ty mnie nie dogonisz, tylko konika zhasasz.

Zamorski słowiku, czy ty dawno z zamorza? czy nie przylecisz w te strony? To powiedz mojemu ojcu, niechaj po mnie nie tęskni, bo mi tutaj dobrze, jak pszczołce gdy w miodzie stoi, jak jaskółce pod strzechą.

Pieśni żniwiarskie, dożynkowe, jakkolwiek odmiennie układem, myślą zbliżają się do znanych piosnek ludowych. W oddziale pieśni religijnych, snąc że to nie lud ich twórcą: zbyt erudycją swoją razią, a miarowością wierszy i ogłada, wskazują już wprawna rękę i odczytanie. Pierwsza tylko jest niewątpliwym utworem ludowym; główna w niej myśl ta sama, co w krakowskich i mazurskich. Otwiera się niebo, wybrani pokłonili się Jezusowi, tylko te się duszyczki nie mogły pokłonić, co nie uszanowali i ojca i matki.

Oddział *pieśni rozmaitych*, należało połączyć z *pieśniami letniemi*, gdyż to ich ciąg dalszy właściwie. Sąto *dumy*, osnową i treścią wypadki starowieczne, które tak uderzyły wyobraźnią ludową, że w swych pieśniach je zachował. Godne uwagi, jak jedno zdarzenie, w różnych narzeczach słowiańskich opiewano. Siostra trująca wracającego z wyprawy brata dla młodego wojewody, a po dokonanej zbrodni wzgardzona przez niego, dała wątek pieśniom u Serbów, u Słowaków w Tatrach, w Krakowskiem, Mazowszu, i w Galicyi, i doszła do zapadłej Pińszczyzny.

U polskich górali w okolicach Babiégóry powszechną jest дума o sławnym rozbójniku, który pod przybraną postacią żeni się z młodą i krasną panną, nieświadomą jego rzemiosła: musi prać chusty zhroczone krwią zamordowanych, a po koszuli i paleu z pierścieniem poznaje, że mąż zabił jój brata. Przeklina męża i małego syna, i sama z rąk zbrojcy ginie. Teżże treści z małą zmianą znajdujemy w zbiorze p. Zienkiewicza. W pieśniach ludowych polskich mamy obszerną dumę o dzieciobójczyni, i tu podobną znajdujęm. Jest tu także, lubo w nieco odmiennym przystroju owa pieśń tak upowszechniona na całej przestrzeni dawnéj Rptej: „No chodi Hryciu na wieczornicy”.

Toż pieśń o Trójzielu, znana z wyborowego przerobienia Augusta Bielowskiego.

Za każdą więc nową zdobyczą na polu ludowej literatury, coraz więcej dowodów niezbitych wspiera rzuconą przez nas myśl dawniej, jak jeden duch poezji powiewa u plemion tych słowiańskich, które z naszą ziemią zbliżone w stosunkach braterskich zostawały. Z oddziału pieśni rozmaitych przywiedziem choć w treści niektóre, ściśle do oryginalnego tekstu zastosowane.

1.

O siwe gęsi, białe łabędzie, czyście nie słyszeli, czy nie widzieli jasnego sokola?

— Latał jasny sokół, ale już zabity leży udatny molojoc. Leży na trzech drogach. Przylecą do niego trzy jaskółki: pierwsza jaskółka, to rodzona matenka: druga jaskółka, to rodzona siostra: trzecia jaskółka, to jego żonka. Płakała matka od wieku do wieku, płakała siostra od dnia do dnia, płakała żonka od świtu do obiadu: a po obiedzie poszła w ogródek, uwiła wianek, i poszła w taniec.

2.

Oj huknęły zórawie w czystém polu na roli. Czy lepsza rola ranna, czy lepsza późna? O, na rannój pszenica, a na późnój mietlica. Czy lepsza żonka pierwsza, czy lepsza żonka druga?

— Z pierwszą ja dziatki miał, a przy drugiej je rozegnał. Idźcie dziatki w świat służyć.

Poszły dziatki w świat służyć, ojciec tęsknił za niemi. Poszły dziatki skacząc w świat: ojciec płakał za niemi.

A w niedziele rano chodzi ojciec po dworze, drobne łzy roni, swoje dziatki zbiera.

— Dziatki moje malenkie, jak gołąbki siwutkie, chodźcież do domu, bo mi trudno żyć samemu.

— Żyjże ojczu jak Bóg dał, boś żoneczkę piękną wziął, a nas małych rozegnał. Teraz dziatki swe zbierasz, drobne łzy wylewasz!

3.

Oj ty słowiczku malutki, czemuż ty tak smutniutki?

Jakże mi nie być smutnym: hodowałem lubą ptaszkę, strzelec ją zabili. Żeby u wody, nie tyle żalu, ale to na górze, w jedwabnej trawce.

— Oj ty Kozaczko młodziutki, dlaczego taki smutniutki?

— O jakże mi nie być smutnym, kochałem dziewczynę, a wzięli mi ją ludzie. Żeby choć we wsi, nie żalby było, ale to do dworu, i to towarzysz mój. Po wodę idzie, dzień dobry daje: z wodą powraca, dobrą noc daje, memu sercu żalu dodaje. Oj żebyż ja miał malarzy swoich, kazałbym malować jój lice: postawiłbym na ganeczku, wpatrywałbym się co rano; postawiłbym na piecu, wpatrywałbym się i w dzień i w noc.

W dodatku wydawca umieścił pieśni z Polesia wołyńskiego, z nad Bugu w okolicach Lubomla. Oprócz innych mieści się już pieśń

(z małemi zmianami) duma o Sawie (1) i nieznana o *Goncie*, którego imię tak głośne w rzezi *humańskiej*. Zaczyna od wspomnienia Puławskiego, starosty wareckiego, a kończy śmiercią Gonty, jak żywcem z niego drą pasy i na pal wbijają.

Takim jest zbiór pieśni ludu pińskiego p. Zienkiewicza. Zasobny, bogaty, daje nam wiele prawdziwie pięknych kwiatów poezji ludowej. Nie mogliśmy w niniejszym przeglądzie wymienić mnóstwa owych zwrotów, porównań, które żywcem przez artystę pochwycono do utworu poetycznego, zjednałyby podziw i poklask: bo trzebaby kartę niemal po kartce studyować. Jakażto tam świeżość obrazów, jakiż cudowny powiew przyrody, jaka czerstwość myśli, obok prawdy głębokiej! Trzeba umieć czytać, i pojąć te pieśni; lud skąpy w wyrazy, niezawsze całą myśl, całe uczucie swoje wypowie: zawsze przecież tyle nam daje, że tę myśl i uczucie jasno zrozumieć możemy.

Nie przesadzamy zaprawdę w ocenieniu wartości tego rodzaju pomników, a poznawszy je gruntownie, zawsze uważać nie przestaniemy za najcudniejszy materiał dla naszej rodowej poezji.

Wdzięczni szczerze p. Zienkiewiczowi, za zbiór tyle ważny, widzimy, że pojął znaczenie nie tylko w ogólnym poglądzie pieśni ludowych, ale zwrotem szczególnym troskliwości przy oddziale pieśni weselnych. Jakoż w nichto najstarożytniejszy zwyczaj i obrzędy, dochowały się najmniej skazone.

Nie możemy w ogóle pochwalać przekładu p. Zienkiewicza, szczególnież też w wielu pieśniach, gdzie więcej od oryginalnego tekstu ludowego odbiegał. Pojmujemy całą trudność wiernego, dosłownego tłumaczenia, a do tego rymowym wierszem. Jakkolwiek to tylko pobratymcze narzeczce, ma jednak tyle właściwych sobie prowincjonalnych zwrotów, tyle zdrobniałych, pieścizotliwych wyrazów, myśl tak zwięzle rzucona, nawet niepełna, niezawsze jasna, że przekład rymowy dosłowny, niepodobny. Czuł te trudności p. Zienkiewicz, i w przedmowie je przyznaje. „W przekładzie starałem się (mówi) ile możności oddać ducha i zewnętrzną powłokę pierwowortu. W pierwowortu jest wiele pieśni nierymowanych, ułomkowych, i bez jednolitej całości: w tych przekładzie nie mogłem sobie więzić zupełną ścisłością, jednak usiłowałem myśli ich główne przeniknąć, dopełnić, i w jedną całość przelać.”

Przyznajem, że wydawca miał tę sumiennność, iż w przekładzie usiłował trzymać się myśli oryginału; ale tu nie tylko o myśl idzie: wyrażenia i zwroty poetyczne, nieraz główną wartość pieśni ludowej stanowią. Kilka wyrazów, jakby z niechcenia rzuconych, ubarwiają obraz żywiej.

Oceniając przekład p. Zienkiewicza, widzimy, że każdą pieśń pierwój studyował, a pojawiający się myśl oryginału oddawał ją w tłumacze-

(1) Obok dumy ludowej o Sawie, przywiódł p. Zienkiewicz pieśń o Sawie bohaterze konfederacyi barskiej, którą ułożył podług *Pamiętników starego szlachcica*. Starał się w niej naśladować tok i zwroty ludowej śpiewanki.

ROZMAITOŚCI.

O dawnym województwie sieradzkim.

(Ciąg dalszy).

Dzieje powszechne uczą nas, iż narody ościenne, pod względem mowy, zwyczajów, charakteru i wyznań do siebie niepodobne, żyją po największej części z sobą w niezyczliwym sąsiedztwie (1). Województwo sieradzkie, że nie powiem cała strona zachodnia Wielkopolski, granicząc przez tyle wieków z Niemcami, nie dziw, iż w ustach mieszkańców swoich zachowało pamięć wzajemnej niechęci, która i u Niemców przyległych dostrzegać się daje. Lud nasz, niedosyć że djabła, jak wyżej powiedziano, w niemieckim przedstawia sobie stroju, i wyraz „Niemiec” za jednoznaczny z wyznawcą konfessyi augsburskiej uważa, ale nadto dopuszcza się ubliżeń w chłopskich przysłowiach.

Niemkami nazywa dotąd lud tutejszy pewien gatunek bedtek z dużemi kapelusznami w lasach rosnących; a kto się kuso ubrał, mawiano o nim: „istny Niemiec”, albo „wystroił się jak Niemczyk”. O przystuchującym się rzeczom niezrozumiałym dla niego, powtarzano: „siedzi jak na kazaniu niemieckim”. Osoby mowy niemieckiej nierozumiejące, nazywały ją „baranim językiem.” Lecz oddawano i sprawiedliwość w rękodzielniach niemieckiej pracy, a polską nieumiejętność gromiono przysłowiem:

Francuz zmyśli,
Niemiec zrobi,

Polak głupi
Przyjdzie i kupi.

Swawolna młodzież, z wady wrodzonój do wyszydzeń skłonna, wyszukując wyrażoń z mowy polskiej, których częstokroć Niemiec, przez

(1) Znaną nam zawziętość w walce pomiędzy Rzymianami i Kartagińczykami, wyprowadza Wirgiliusz z przekleństwa Dydony na Eneasza i na jego potomków rzuconego w sławnych wierszach:

Litora litribus contraria, fluctibus undas

Imprecor, arma armis: pugnent ipsique nepotesque. Aeneld. IV, 628.

lat kilkadziesiąt w Polsce osiadły, dla jój dyalektu zupełnie odrębnego i szorstkiego dla niego, czysto wymawiać nie zdołał: ucząc go nibyto mowy swojój, poddawała mu do powtarzania:

Chrząszcz brzmi w trzcinie.—Albo
Miała panna gołębicę;

a z opacznie wymawianych wyrazów żarciki sobie stroiła.

Lecz i Niemcy nam pograniczni nieszczupły mają zasób wyrażen w przysłowie weszłych, prześladowania Polaków. Kraj nasz przedstawiali sobie nawpół dziki i barbarzyński, i mówiono dawniej:

„In Polen ist nichts zu holen.”

a jednak do niego z chudobą przyszedłszy, tu się panoszyli. Inni chcąc wyrazić w najwyższym stopniu nieład, używali wyrazów:

„Es geht wie in Polen zu.”

Uliczniki miasteczek bliższych niemieckich poznawszy po stroju lub ruchu Polaka, wołają: „Jak sze maczo,

„Kurze Finger, lange Tocze.”

Młodzież polska, gdy się ze świąt jakowych o kilka dni z powrotem do szkół niemieckich spóźniła, witana była słowami: „Nie dziw, że się tak spóźniacie, bo u was konie są małe, a mile duże.”

Na zakończenie ogółowego o dawnóm województwie sioradzkim wyobrażenia, pomówmy jeszcze o budowie ciała mieszkańców, o ich ubiorach, płodach, wyrobach, handlu, a w końcu o znakomitych mężach, ród swój z tego województwa wywodzących.

Wzrost zwyczajny, lecz barczysty, oko śmiałe i wypogodzone, budowa ciała krzepka i kształtna, bardzo rzadko kiedy ułomnością nacechowana: były zwykłemi przyrodzonymi szlachty ozdobami, z któremi łączył się zwyczaj podgalania głów wysoko, noszenia starannie utrzymywanych wąsów i bród, następnie (od środka XVII wieku) samychże wąsów, bez bród i faworytów, dopóki przy końcu XVIII stulecia nie zeszpeciła ich moda, z zagranicy przejęta, aby głowy u obu płci białym proszkiem pudrować. Kniutek, silniejszej z natury budowy, odznaczał się odwiecznie długo zapuszczanymi włosami, i krótko podstrzyżonym wąsem; a przywiązanie jego dla państwa, na których dworze wzrosł jako psiarek, koniarek, a wykształcił się jako postugacz paniczów w szkołach, hajduk lub stangret, nie pozostawało bez wynagrodzenia go zagrodą, lub półrolkiem. Wielkim dziwem było ujrzyć garbatego chłopka, co nawet i dzisiaj powtórzyć możemy, pomimo, iż dzieci wiejskie bez dozoru zostawiane, na tysiączne niebezpieczeństwa rozlicznych naturalnych przypadków wystawiano bywają.

Ubranie porządne obywatela stanowiły: żupan, na haftki zapinany, na który przywdziewano kontusz z wylotami czyli wiszącami od ramienia rękawami, spodnie bez szelek wpuszczane w buty, które bywały żółte lub czerwone, a w czasach późniejszych czarne ze sztylpami żółtymi, z kąd urosło przysłowie: znać pana po cholowach. Kołnierz wywinięty od koszuli z płótna kolińskiego odkrywał gołą szyję, pod którą kosztowna spinka zapięta była; na gołym ciele szkaplerz zawieszony na piersiach

i plecach z zaszytymi świętościami, albo medalik Matki Boskiej Częstochowskiej, całe życie mu towarzyszył, a nawet i w grobie. Chustkę białą do nosa wywieszano w tyle z kieszeni, lub przywiązywano z przodu u pętelki; a pas jedwabny, srebrem lub złotem przerabiany z rzęsiestemi frendlami opasywał kontusz, i dał początek przysłowiu: wysoki pod pas. Trzcina długa z gałką z kości stoniowej, srebrną lub złotą, z kutasami, pierścienią złotą, z herbem na krwawniku wyrzniętym, i obrączka złota ślubna, oraz czapka wysoka, stojąca, czworograniasta, konfederatką zwana, dokończyły stroju dawnego szlachcica. Zamożniejszy używał zegarka, z wypuszczanemi dewizkami, przy których ujrzałeś pieczętkę herbową lub sygnet złoty zawieszony; uboższy obywatel się bez niego, powtarzając, że

Kto ma zegarki,

Musi mieć folwarki;

gdyż reparacya częsta zegarka, znakomitych na niego wymagała nakładów. W czasie zimy na to wszystko używał, w podróż się wybierając, lisiury, wilczury, i bótów dużych z psiej skóry sieroią na zewnątrz. Na funkcyjach i obradach publicznych nie inaczej, jak tylko w polskim stroju każdy obywatel miał się znajdować *sub carentia activae et passivae vocis*. Na sejmiku w Szadku w dniu 23 lipca 1788 r. dygnitarzo, urzędnicy i rycerstwo województwa sieradzkiego, wraz z ziemią wieluńską zebrani, uchwałą swoją (1) mundur województwa sieradzkiego oraz ziemi wieluńskiej odmienili, stanowiąc: aby odtąd żupan biały, kontusz jasno-niebieski, obszlegi czarne, guziki żółte, dla województwa sieradzkiego i powiatów z literami W. S.; dla ziemi wieluńskiej i powiatu ostrzeszowskiego z literami Z. W. od obywatelów noszonemi były. Szlachcianki przywdziewały suknie axamitne grube, lub jedwabne, z tegiej materyi, które od habki niekiedy w sukcesyi aż do wnuczek przechodziły, a te jeszcze je na ornaty do kościołów oliarowały. Nosily włosy do góry podezsane, i trzewiki korczaste na wysokich obcasach, które zręczni w strzelaniu podochoceni mężowie mieli zadowolenie kulą z pistoletu odcinać; pod suknią obwiązywały dwie kieszenie przy bokach, na grubej łasiemce przyszyte. W czasie zimy okrywały się szubą lisami podolskiemi podbitą, a ręce ogrzewała mufka ze skórek kunich, u biedniejszych zaś z królików sporządzona. W lecie chłodzono się rozłożonemi wachlarzami, z wyrobionemi na tychże rozmaitemi figurkami. Dzieci ubierano w płóciénka drukowane swojej roboty, w dni zaś świąteczne w syce, nankiny i persy. Służbę dworską, po największej części z własnych poddanych utworzoną, ubierano w domu chociaż ubogo, ale chędogo; lecz za przybyciem gości, lub udaniem się w gościnę, przywdziewano jej liberyą, *skarbową* zwaną, którą następnie w schowaniu na kołku zawieszano.

Chłopiek porą letnią chodził w domu lub w polu boso, w kapeluszu ze słomy pszennej przez siebie uplecionym, w koszuli wstążeczką pod szyją podwiązaną, i w spodniach bez szelek z rozporkiem na boku spinanymi. Do kościoła ubierał się w sukmanę zgrzebną białą, bóty z obcasami, grubemi podkówkami podkute, tudzież w kapelusz czarny z nadgłówkiem kulistym i dużemi brzegami. W czasie zaś zimy używał czapki z siwym

(1) Terr. Sirad. Ann. 1788, Lib. 98, p. 773.

barankiem, wstążkami jasnokolorowemi rzęśisto przybranój, pod którą niekiedy i w lecie się pocił; sukmany niebieskiej, granatowej lub białej z kołnierzem stojącym, taśmami seledynowemi lub czerwonymi obszytój, przewiązanój pasem czerwonym wełnianym, i kożucha baraniego, lecz zawsze z szyją odkrytą; nie znał on chustki do nosa, a poła sukmany czasom ją zastępowała. Kobięty wiejskiej nigdy nie ujrzałeś z gołą głową; obwiązywały one takową chustką kolorową w kwiaty, albo białą, z końcami długo z tyłu spuszczone; szyje ich zdobiły różnobarwiste szklane paciorki, palce zaś pierścionki brązowe z Matką Boską Częstochowską, lub obrączki mosiężne. Wełniak własnej roboty w pasy z nici i wełny kolorowych, dodawał im ciepła, a kaftan granatowy z guziczkami świecącemi, wkłoło i z przodu poprzyszywanemi, ozdoby. Zahartowane na zimno zwykle boso chodziły, w potrzebie zaś używały trzewików na wysokich napiętkach; dziewczki przypinały kwiatki do chustek na głowie i włosy zpod tychże cokolwiek odstaniały.

Żydowskie plemię, odwiecznióm województwie osiadłe, trudniło się po wszech skupowaniem skórek króliczych, zajęczych, lub owczych, paleniem gorzałki, albo szynkowaniem jej jako arendarze po karczmach, i wypiekaniem bułek; w miastach zaś zakładali sklepiki, faktorowali obywatelom za sprawunkami przybyłym, a najczęściej krawiectwu się oddawali. Jak wszędzie, tak i tutaj prześladowani bywali, że zanieczyszczają ślędzie na sprzedaż wystawione, że krwi dzieci katolickich do maców swoich używają, i że jednego z nich w dzień sądny djabeł żywcem porywa. Przechrzczeni nawet, i imiona dawne np. Butterfasów lub inne na polskie przekształciwszy, nie mogli się otrząsnąć z chciwości i dziwactw poprzednich, a zostawszy neofitami dla interesu nie zaś z przekonania, wywołali przysłowie: Żyd chrzczony, wilk chowany, zawsze jednym torem chodzą. Nosili żydzi suknie długie czarne, aksamitem tegoż koloru wykładane, haftkami od góry do dołu pozapinane, spodnie krótkie pod kolanami podwiązane, pończochy białe i trzewiki ze sprzączkami; czapka z kuny albo sobola z manszestrem czarnym w tył spuszczone, a najczęściej kapelusze czarne, stroju ich dopełniały. Żydówki zawieszały perły, łańcuchy złote, lub medale duże na szyjach, a czépki ich błyszczały od blaszek srebrnych, złotych i pereł.

Prowincye składające dawne województwo sieradzkie obfitowały znacznie w płody zwierzęce, roślinne i kopalne. Co do płodów zwierzęcych, hodowane były: konie, bydło rogate, owce, trzoda chlewna, kozy, pszczoły, gęsi, kaczki, kury i t. p. Z dziczyzny, pomijając niedźwiedzie i bobry, od wieków już wytępione, natrafiają się: wilki, lisy, kuny, wydry, borsuki, dziki, jelenie, danielce, sarny, zajace, tchórze i skrzeczki, czyli polne pieski; z ptastwa: cietrzewie, jarząbki, bekasy, słonki, kuropatwy, kaczki dzikie, czaple, żórawie, a rzadko orliki; z ryb: sumy, szczupaki, karpie, liny, węgorze, barwanny, jaźwice, bolenie, leszcze, i inne pomniejsze, niekiedy i jesiotry; z płazów: węże, żmije, padalce, jaszczurki, a czasem i żółwie.

Płodami roślinnemi są po lasach: sosna, świerk, brzoza, olsza, dąb, osiczyna, grabina, leszczyna, jałowiec; rzadziej lipa, klon, jesion, buk, cis, a bardzo rzadko modrzew. Przy drogach rosną wierzby i topole, w sa-

dach owocowych: grusze, jabłonie, wiśnie, śliwy, rzadziej morele, brzoskwinie i morwy; z krzaków odznaczają się: agrest, porzeczki, maliny, głóg, tarka i berberys, a z krzaków jagodowych: żórawiny, poziomki, borówki, czernice i t. p. Zboża różnego gatunku uprawiane bywają, jakoto: żyto, pszenica, jęczmień, owies, tatarska, groch, proso, len, konopie, rzepak i chmiel; z ogrodowizna: kartofle, kapusta, bób, rzepa, buraki, brukiew, bania i ogórki; po łąkach wszędzie prawie rośnie manna; po lasach różne gatunki grzybów; np. grzyby, maślaki, bedłki, smardze, rydze, kurki, koziebrody i inne. Z płodów kopalnych znajdują się po różnych miejscach: glina garncarska, wapno, torf i ruda żelazna, lecz po większej części błotnista.

Co do wyrobów, takowe z własnych produktów najwięcej urządza: len przerobiony na płótno dostarczał przyodziewu; z konopi wyrabiano sieci na ryby i na łowy, powrozy, liny; skóry ze zwierząt służyły jako surowiec do ubioru na konie, czarno zaś wyprawne na rozliczne obowią, i na pokrycia bryk brockich; ze siercią na zimowe bóty, na pokrycie do sani i na różne kozuchy. Miejscowego drzewa używano na sprzęty gospodarcze i pokojowe, wyjąwszy cyprysy, mahonie i bukszpany. Słynne są do dziś dnia drobne kaszki wyrabiane z tatarski w okolicach Radomska, i obwarzanki ze Złoczowa, smaczne i kruche, chociaż bez jaj i masła wypiekane. Za czasów Zygmuntofskich mnóstwo było w tém województwie hut żelaznych, jakoto: w Brąszewicach, Kaszewicach, w Ruścu i w innych miejscach, jak nazwa wsi niektórych i pozostałe kupy żużli obecnie jeszcze przekonywają; z podupadłą atoli oświatą znikają i fabryki, tylko huty szkła gdzieniegdzie były jeszcze w ruchu; dzisiaj sprowadzane z kądinąd żelazo przekształcają na potrzebne wyroby. Ze siolnych pieńków wysącza smolę, z popiołów robiono potazie, a z gałganów papier. Za świetnych Rzeczypospolitej czasów mnóstwo było cechów rzemieślniczych; po miastach i miasteczkach istnieli złotnicy, kotlarze, (caldeatores) konwisarze, (cantifasores), płatnerze, szkatulnicy, pancernicy, nożownicy, ślusarze, iglarze, pasamownicy (cingalatores) powroznicy, rymarze, (crumernarii), siodlarze, stolarze, bednarze, kołodzieje, cieśle (carpentarii), sukienicy, tkacze i wielu innych, lecz z oświatą upadł i przemysł.

Kwitnął niegdys i handel; rzeka Warta mniej więcej do miasta wojewódzkiego Sieradza przez rozliczne konstytucye (o których niżej będzie) splawną uczyniona, dostarczała klepek dębowych do Szczecina. Nie wstydzila się szlachta zapuszczać za handlem na Podole, Wołyń, Ukrainę i Węgry, z kąd tabory koni, stada wołów lub trzody chlewniej przypędzwszy, takowe Szlązkowi do Brzega lub Wrocławia dostarczała, a nakupwszy tamże pasów, ciężkich materyj, tyfcików, płótna holenderskiego, korzeni, śledzi i sztokfisu, z znakomitym zyskiem do domu powracała. Rzetelność w dotrzymaniu słowa była główną kredytu podstawą. Do obiegu wewnętrznego handlu niemało przyczyniały się słynne jarmarki: śródopstny w Widawie na konie i bryki; w Wieluniu i Warcie na konie; w Sieradzu w dzień Wszystkich Świętych na kozuchy i kamienie młyńskie; w Rozprzy i w Tuszynie na bydło; w Przedborzu i w końcu w Błaszczach na trzodę chlewną. Miejsca cudami słynne, kompaniami pobożnych chrześcian z odleglejszych nawet okolic gromadzących się odwiedzane, niemałą

sposobność dawały w pozbywaniu pomniejszych wyrobów; w rządzie tych miejsc odznaczały się odpusty na Matkę Boską we wsiach Gidlach, Charłupi Małej i Wierzchach; na św. Idzi w Mikorzynie, a na inne uroczystości w miastach Uniejowie i Warcie, które się zwfokami dwóch błogostawionych, tojest: Bogumiła i Rafała z Piotrowic zaszczycają. Szły i produkta w znacznej liczbie za granicę, a w szczególności obok zboża, koni, bydła i trzody, miały pokup łoje, skóry, konopie, lny, kaszki, manna, wosk i miody.

Wydało województwo sieradzkie niemało mężów, odznaczających się wiernością monarchom, przywiązaniem do kraju rodzinnego, hartem duszy i mocą charakteru: tych opisowi dziejów krajowych, innych poezyi lub naukom w ogólności, owych stanowi duchownemu, a znów innych rycerskiemu zawołowi poświęcających się, z których znakomitszych przytoczyny. Do rzędu pierwszych z chlubą policzeni być mogą: Jan Długosz (Longinus) z Niedzielska († 1480), Marcin Bielski († 1575), syn tegoż Joachim Bielski († 1599) i Stanisław Pomian Kobierzycki († 1665). W poezyi odznaczyli się Sebastyan Fabian z Sulmierzyc Klonowicz (Acerus) († 1608) i Konstanty Tymieniecki († 1814). Familia Koniecpolskich wstawiła się prawemi mężami, z których Alexander († 1609) wojewoda sieradzki, godnych siebie synów spłodził: Stanisława hetmana wielkiego koronnego, Krzysztofa († 1659) wojewodę bełzkiego, Remigiana († 1640) biskupa chełmskiego, i Jana († 1661) wojewodę sieradzkiego, a których potomkowie Alexander († 1659) wojewoda sandomierski, Jan Alexander († 1720) wojewoda sieradzki, Stanisław Karol wojewoda († 1670) parnawski, oraz Stanisław († 1682) kasztelan krakowski, błogie, zaszczytne, i niewygaste pamiątki w sorcach rodaków po sobie zostawili. Nicodrodną od nich była rodzina Korabltów Łaskich, w osobach Jana († 1531) arcybiskupa gnieźnieńskiego, autora Statutu, i brata jego Jarosława (około r. 1527 †) wojewody sieradzkiego, którego synowie Hieronim († 1542) i Stanisław († 1550), oraz wnuk Wojciech († 1605) godności wojewodów sieradzkich nie dla zachości urodzenia, lecz przez zasługi prawdziwe dostąpili. Komuż są obcemi bracia Pomianowie z Łubny Łubieniecy: Maciej († 1652) arcybiskup gnieźnieński, i Stanisław († 1640) biskup płocki. Droga przez nich wskazaną postąpili zacni ich potomkowie: Kazimiérz († 1719) biskup krakowski, Floryan († 1761) wojewoda poznański, Władysław († 1708) arcybiskup gnieźnieński, i Felix († 1848), hrabia, powszechnie uwielbiany w narodzie minister.

(Dalszy ciąg nastąpi),

Wiadomość o wynalezionych urnach popielnych, popielnicach, w okolicy Krakowa.... Podał Ambroży Grabowski.

Oddawna już zastanawiało to uwagę moję, że podczas gdy w różnych okolicach Polski znajdują się grobowiska dawnych przedchrześci-

zańskich jej mieszkańców, i z nich wydobywają urny popielne i inne pamiątki po bałwochwalczych przodkach naszych. W ziemi krakowskiej dotąd podobnych pamiątek zbyt mało zostało odkrytych, a przecież zasiadali na niej dawni Chrobotowie i innych nazwisk słowiańskie ludy, o których w starych kronikarzach naczytać się można.

Pod tym względem, ziemia krakowska podobną była do owęj zakłą: tój księgi czarodzieja Twardowskiego, której (jak lud nasz opowiada) nikt nie mógł czytać, gdyż była zakutą w łańcuch i ogromnym przywalona kamieniem. Takim łańcuchem i kamieniem na okolicach Krakowa była nieuwaga i niewiadomość poprzedników naszych, którzy, chociaż pług lub motyka wyłoniły na powierzchnię dawną jaką popielnicę lub sprzęt kamienny, nikt na nie bacznego nie zwrócił oka i wnet też zmarzeniu ulegały.

Od niedawnej dopiero chwili, gdy wydział archeologiczny Tow. N. Krak. odezwą swoją powszechną obudził uwagę, zaczęto zwracać na to dawnych wieków szczerą troskliwą bacność, i już z łona ziemi wyszła niejedna pamiątka, dawno przypominająca wieki; a spodziewać się należy, że odtąd mieszkańcy okolic Krakowa nie zmarzną obojętnie tego i nie podadzą zapomnieniu, co przypadek z głębi ziemi wy dostał, jak tego piękny już uczyniony jest początek.

Na zachód Krakowa o półtoręj mili odległości, za wsią Morawica leży folwark do hrabstwa Tenczyńskiego należący, nazwiskiem Popówka. Na polu orném pomiędzy tym folwarkiem i folwarkiem Kleszczów, do wsi Aleksandrowie należącym, dzierżawca Popówki około połowy września r. b. doglądając świeżej orki, za odwróceniem skiby postrzegł okrągłego kształtu wycisk: a gdy się bliżej nad tém zastanowił, ziemię rękami odgrzebywać począł, znalazł naczynie haniaste z gliny wypalonej, około pół łokcia w przecięciu mające. Wpadł on zaraz na domysł, że to musi być urna popielna, lecz mimo wszelkiej w odgrzebaniu jej ostrożności, nie mógł jej przecież w całości z ziemi wy dostać, gdyż wystawiona przez mnogie wieki na działanie wilgoci w ziemi łożawej, popękała w kawałki i tylko ją w ulamkach wydobył; poczem troskliwie kawałki te złożone, gdy obeschły i stwardniały, zostały poklejone i piękna z nich ukształciła się całość, którą znający się na ważności podobnych pamiątek znalazca, Wny Kryspin Ocetkiewicz, do zbioru Tow. N. Krak. ofiarował.

Kształt naczynia tego jest u spodu węższy, środkiem wypuklejszy, baniasty, i znowu u wierzchu zwężony, z dwoma na zewnątrz uszkatkami, zupełnie w składzie swym podobny do popielnicy r. 1850 we wsi Brzeziu pod Krakowem znalezionój. — Obok téjże urny znalazły się i dwa naczynia małe w formie miseczek, które zapewne są łożawicami. Wewnątrz zaś wielkiej popielnicy ziemią wypełnionój, która tam po zniszczeniu nakrywy się dostała, znajdowały się na spodzie kawałki małe niedopalonych kości.

Gdy poszukiwanie to dalej posuwał, pokazało się, iż miejsce to było dawném grobowiskiem, cmentarzem, gdyż znalazł i inne popielnice w niewielkich odstępach w linii od wschodu na zachód ustawione; wszystkie atoli jak i pierwsza w kawałki, skutkiem wilgoci rozpeknięte, i kilka

takich odgrzobał. Sięgając w głąb ziemi cienkiem żelazem, doszedł, że takich naczyń znaczna liczba w miejscu tém się znajduje, które lepszej do wydobywania ich na powierzchnię, choćby w utłamskach spojonych być mogących, gdy obeszna i stężeją, oczekują sposobności....

Gdy wieść ta po Krakowie się rozeszła, dwaj członkowie wydziału archeologicznego udali się do Popówki d. 27. września celem zbadania tego odkrycia, do których i ja się przyłączyłem. Tam przybywszy, Wny Ocetkiewicz zaprowadził nas na to *Campo-santo*, i w naszej obecności trzy podobne urny, lecz niestety w samych tylko obłamskach, odgrzebane zostały, które dopóki były w ziemi, kształt swój zachowywały w całości. Grobowiszcze to leży wprawdzie w ukrytym ustroniu, otoczone z trzech stron lesistemi wzgórzami, z czwartą dającą piękny widok na zawiśle ku Tatom. — Lud, który sobie to zacisze w wiekach zamierzłych na siedzibę i złożenie popiołów przodków swoich obrał, musiał być ludem lubiącym pokój, oddanym rolnictwu i pasterstwu, który tu ciche dni przeżył sobie zamierzał.

Niedopióroto podobno szczęty dawnych popielnic pług na tém polu wydobywał, czego dowodzą rozrzucone ich po tój roli odłamy; lecz to nikomu z więcej usposobionych pod oczy nie podpadły, a wieśniacy uprawą ziemi się trudniący, uważali je być zwykłemi skorupami naczyń kuchennych.

Popówka oprócz tój archeologicznej ważności, jest jeszcze piękną krakowską okolicą, w której ołówek rysownika znalazłby niejednen widok godny przeniesienia na papier. Jest tu niewielki wąwóz, który formują dwa rzędy skał malowniczych kształtów, przetrzynięty małym strumieniem, do którego ściekają czyste wody z źródeł pod skałami wytryskujących. Miejsce to nie ustępuje w piękności dolinie Muikowa, a przecież zbyt mało jest znaném.

Pisałem w Krakowie, d. 29 września r. 1851.

Józef Kurowski.

W dniu 2 września r. b. zakończył dni swoje w Krakowie, po kilkumiesięcznej chorobie sercowej. Strata Kurowskiego jako człowieka niejednemu w kraju i za granicą zwiłży żalu oblicze. Niejednen z artystów-malarzy przenikniony będzie żalem z utraty kolegi, współzawodnika w wzniosłej sztuce w tak młodym jeszcze wieku, który przyobiecował długim szeregiem dzieł przysłużyć się tój sztuce w kraju naszym.

Józef Szymon Kurowski urodził się w Krakowie r. 1809. Rodzice go zawczasie odumarli. P. Ignacy Mieroszewski sam znakomity artysta, opiekował się nim w dzieciństwie; a gdy talent Kurowskiego do rysunku wcześniej się dał poznać, ku temu go też zacny opiekun kierował. Jeszcze w młodocianym wieku dał się poznać w Krakowie kilkunastu litografiami, przedstawiającemi grupy historyczne z balu danego dla obywateli Krakowa przez ś. p. Artura hr. Potockiego w sali Knotza. Przez lat bli-

zko 14, to jest do roku 1844 przemieszkował w Paryżu, poświęcając się bez przerwy ulubionej sztuce, i tam mnóstwo portretów znakomitych osób, z talentem i szczególną trafnością dokonał, oraz kilka obrazów historycznych wypracował. W r. 1844 udał się do Włoch, gdzie wzory najznakomitszych mistrzów studyował. Pomiędzy innymi robił tam portrety papieża Grzegorza XVI i Piusa IX, a malował olejno *Madonnę* i *Chrystusa*, którego prześliczny wyraz twarzy, tutejsi miłośnicy podziwiać mogą. Powróciwszy do kraju nie ustawał w pracy, a pożar 18 lipca w Krakowie, nadwreżył znacznie zwątlone już zdrowie. Widzieli go Krakowianie z jakim zapalem, wytrwałością pracował przez cały czas pożaru; wszędzie był obecnym, gdzie niebezpieczeństwo groziło, a przykładem, własnem poświęceniem i nawet pieniędzmi zachęcał, dodawał ochoty do ratowania rodzinnego, ulubionego miasta. Nie ustało poświęcenie jego i po pożarze: by nieść ulgę pogorzelncom, na ich korzyść dał litografować piękny widok pożaru, ze zgliszczów Dominikańskiego kościoła. Podróż w porze zimowej odbyta, zaziębienie z tego powodu, ukróciły jak się zdaje dni jego. Powrócił ze Lwowa, gdzie już mocno był chory, aby spocząć w rodzinnem miejscu, gdzie kości ojców jego leżą. Pozostawił w puściznie stroskanęj wdowie i dzieciom imię bez skazy, szacunek i miłość powszochną, jakiej za życia używał; a kilka obrazów po nim pozostałych. Umieszczą go w liczbie niepoślednich malarzów polskich. Zwłoki jego w dniu 4 września na cmentarzu złożono. Pokój zacnemu i prawdziwemu przyjacielowi ludzkości w duchu miłości chrześcijańskiej!

Dodatek do życiorysu ks. Piotra Skargi.

Nie znajdując w wydanym niedawno przez Kaz. Wł. Wojcieckiego życiorysie ks. Piotra Skargi, ani też w rozprawie o życiu i pismach ks. Piotra Skargi na popisie uczniów gimnazjum wołyńskiego przez ks. Alojzego Osieńskiego 13 lipca 1812 czytanęj, żadnęj wzmianki o pobożnym zapisie tego czcigodnego kapłana, którym całą swą ojcowiznę na utrzymanie szpitala w mieście Grojcu w powiecie i gubernii warszawskiej dziś położonego przeznaczył: pospieszam z udzieleniem szczegółów w tym względzie wiadomości.

W księdze 158 Metryki koronnęj na stronnicy 86 znajduje się zapis przez Andrzeja Bobolę podkomorzego królewskiego wsi Szadków (Sadkowiec) i Wólka Sadkowska szpitalowi miasta Grodziec (Grojec). Z aktu tego przekonywamy się, że *feria quinta post Dominicam Passionis*, to jest 9 kwietnia 1615 roku stawił się przed aktami kancelaryi mniejszćj Andrzej Bobola z Wielkich i Małych Piask podkomorzy królewski, starosta pilzneński i dyhowski, i zeznał:

Iż niegdy wielcebný Piotr Skarga poprzednio kanonik lwowski, późnićj zaś Towarzystwa Jezusowego teolog i ordynaryusz czyli kaznodzieja nasz (to jest Zygmunta III króla polskiego) a zeznajęcego wyż wymienionego od młodości najściślejszy przyjaciel, pragnąc zawsze tam majątek

swój umieścić, gdzieby ojczyźnie najpożądańszem było, aby to nietylko kapłana, ale i chrześcianina godnem się stało, tam pozostawić, z kąk majątek ów wziął swój początek i tego z uwagi nie spuścić, na co obróconym został: z tych przeto względów pewną summę pieniężną, która mu się z ojcowizny dostała, przeznaczył na wieczny fundusz i utrzymanie dla ubogich (których ręce są skarbcem Chrystusa) i takową Xenodochium czyli szpital miasta Grodziec w ziemi czerskiej, w dyecezyi poznańskiej położony uposażyć zamierzył. Gdy mu wszakże do tego stosowna nie wydarzyła się sposobność, na przypadek swój śmierci (nastąpionój jak wiadomo w Krakowie 27 września r. 1612, a zatem na lat blisko trzy przed datą zeznania obecnego aktu) wyż wspomnianemu zeznawającemu władzę do wykonania tego zamiaru i owę summę pieniężną do rozporządzenia pozostawił.

Następnie uznaje Boboła, iż pobożny ten zamiar do skutku przywodząc zakupił wsie Sadków i Wolę Sadkowską (po dziś dzień o milę od Grojca leżące) i takowe na rzecz szpitala przy parafii grojeckiej na wieczysty fundusz na utrzymanie ubogich zapisuje.

Że dar ten nie był mały, dowodzi dalsze rozwinięcie téj instytucyi przez Bobołę, gdy przypuszczalny dochód z zapisanych wiosek według zdania znawców na 200 do 300 ówczesnych Cassulae oblicza (z których każdy po złotych dwa szacując, czyli dzisiejszych około dwóch rubli, gdyż według Colberga w r. 1611 wartość złotego była naszych zł. 7 gr. 1, a w 1616 spadła na zł. 6 gr. 17, uczyni rocznie od 3000 do 4000 złp. ze zbioru samych tylko zbóż ozimych). Inne przychody ze zbóż jarych, propinacyi i t. d. na koszt utrzymania gospodarstwa i wydatki gruntowe obracając przeznacza, i z takowych dwudziestu ubogich szpitala grodzieckiego żywionych i utrzymywanych być winno.

Tak więc wyż wymieniony stawający Andrzej Boboła podkomorzy królewski, zgodnie z zamiarem zmarłego fundatora postanowił i zaleca (co według powszechnego zdania uważane jest za możebne), aby ze zbiorów i przychodów takowych najmniej dwudziestu ubogich żywionych i utrzymywanych było.

Leonard W.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Gdy dwa elektromagnesy równej siły ustawione są obok siebie, wtedy między nimi umieszczona kula żelazna lub niklowa sprawia zmianę w położeniach linii siły magnesowej promieniujących z ich biegunów, skupiając bliższe ku swemu środkowi, a dalsze zbaczając tylko ze swego pierwotnego położenia. Jeżeli w tym razie ogrzewać będziemy kulę, dojdziemy do temperatury, przy której kula zaczyna utracać własność działania na zmianę kierunku linii siły magnesowej, a w końcu zupełnie pozbędzie się tej własności. Dla żelaza temperatura odpowiednia dość jest wysoka, dla niklu wystarcza temperatura wrzącego oleju.

Faraday okazał, że kwasoród, podobnie jak żelazo, utracą swą siłę magnetyczną z podwyższeniem temperatury i raz ogrzany nie może być więcej przyciąganym przez magnes; nadto, że temperatura w której przypada ta zmiana zawiera się w granicach zwyczajnych temperatur atmosferycznych. Przytém dowiódł, że kwasoród powietrza, albo co na jedno wychodzi samo powietrze oziębione, zwiększa swą siłę magnetyczną.

Weźmy pod uwagę część wolnej przestrzeni poprzecznanę liniami siły magnesowej równego natężenia, wtedy te linie będą prostymi i równoległymi między sobą; gdy zaś umieścimy w tej przestrzeni kulę z jakiego ciała paramagnetycznego (żelazo, nikiel), linie siły przestaną być równoległe, zwracając się ku temu ciału; gdy zaś to ciało będzie dyamagnetyczne, linie odwrócą się od niego przestając znów być równoległymi.

Faraday przedstawia ziemię jako źródło siły magnetycznej, z którego wypływają linie siły po przestrzeni według znanego szczególnego rozkładu, podległego ogólnym prawom rządzącym ich tworzeniem naokoło foremnego magnesu. Można przyjąć, że w pustej przestrzeni siła magnetyczna rozchodzi się z pewną łatwością zmieniającą się dopiero przez bytność jakiegokolwiek ciała, para lub dyamagnetycznego. Właśnie atmosfera jest ciałem, które działa na zmianę kierunku

linij siły magnetycznej wychodzących z ziemi. Cztery piąte objętości atmosfery jest azotem, gazem, który zimny lub ciepły nie objawia żadnej zmiany w swym sposobie działania na linie siły; pozostała piąta część atmosfery będąca kwasorodem, przez zmianę temperatury objawia wielką różnicę w działaniu magnetycznym; skoro temperatura wzrasta, siła paramagnetyczna kwasorodu zmniejsza się, i odwrotnie. Tę własność kwasoród udziela atmosferze.

Ztąd ukazywanie się słońca i jego zachodzenie codzienne, przez zmianę temperatury atmosfery wpływają na linie siły magnetycznej tak pod względem ich kierunku, jako też i natężenia. Faraday wskazuje na zastosowanie tej zasady do wyjaśnienia rocznych, dziennych, równie jak i nieregularnych zmian w natężeniu siły magnetycznej różnych miejsc; wskazuje, jakie różnice w zboczeniu, nachyleniu igły wywierać powinny różne miejsca słońca na niebie, rozmaite położenie ładu stałego, mórz i t. d. Na zmiany nieregularne igły magnesowej wywierają wpływ zjawiska, jakoto: zmiana ciśnienia w atmosferze, bytność wiatru i wielkich atmosferycznych prądów, deszczu, śniegu, zorze północnej i t. d. wywołujące zmiany w kierunku linii siły magnetycznej. Co większa, Faraday utrzymuje, że masy powietrza posiadające różną temperaturę są poruszane przez siłę magnetyzmu ziemskiego, a to według działania różnicowego powstałego z działań odmiennych tejże siły na kwasoród ciepły i zimny tychże mas, tak, że w naszej atmosferze oprócz innych, mogą jeszcze istnieć silne burze magnetyczne, materialnie czuć się dające. (*Bibl. de Genève, 1851*).

* Doświadczenia Biota wykonane na rurach surowcowych długich na 951 metr. w celu poznania prędkości rozchodzenia się głosu wskazały, że biorąc rozchodzenie się głosu w powietrzu za jedność, szybkość głosu w żelazie jest 10,5. Teoretycznie, przyjmując współczynnik sprężystości żelaza za 12,000, wypada na szybkość głosu 12,2. Wartmann i Breguet powtarzając doświadczenia nad szybkością głosu w żelazie, użyli do tego drutów telegrafu elektrycznego idących wzdłuż kolei wersalskiej. Druty na tym telegrafie mocno naciągnięte, umieszczone są na słupach niskich, co podwójną przedstawiało dogodność dla obserwujących, bo i druty bliżej były ucha obserwatora i mniej podlegały powiewom wiatru. Znaki dawali przez uderzenie młotkiem o słupki; dźwięk ztąd powstały był więcj ostry. Obserwatorowie oddaleni byli na 4050 metrów, co licząc na długość drutu wyniosło 4067 metr., gdyż pod uwagę podciągając należało wyginanie się drutu, nierówną wysokość słupków, ich grubość i t. d. Z licznie powtarzanych obserwacyj okazało się, że głos w jednej sekundzie po drucie żelaznym przebiega 3485 metr., co czyni prawie 12096 stóp polskich. (*Bibl. de Genève 1851*).

* Prof. Ch. Page zajmujący się zastosowaniem siły elektro-magnetycznej do poruszania machin, doszedł do wypadków tyle obiecujących, iż dekretem senatu amerykańskiego otrzymał 20,000 dolarów na dalsze badanie tego ważnego przedmiotu. Jakkolwiek zasada będąca podstawą prób p. Page jest dotąd tajemnicą, jednak z listu p. Silliman następnę szczegóły doszły do wiadomości publicznej.

Wiemy, że skoro przez spiralną znacznych wymiarów przejdzie strumień elektryczny, spiralna w swym środku może utrzymać sztabkę żelazną, a to w skutek magnetyzmu w téjże sztabce wzbudzonego. Wyciągając w części tę sztabkę pionowo ustawioną, po usunięciu ręki, sztabka napowrót wraca do swego położenia, jakby zagniona sprężyną niewidzialną. Ten ruch prostolinijny zwrotny użytym podobno został do maszyny amerykańskiej. Biorąc jedną tylko spiralną otrzymujemy punkta, w których działanie siły elektromagnetycznej dochodzi maximum, w innych zaś minimum; otaczając zaś sztabkę kilkudziesięciu krótkimi spiralnemi, kolejno w działaniu strumieniem galwanicznym wprowadzanemi, zwiększa się liczba wspomnianych punktów, a ztąd sztaba żelazna staje się popychaną z wielką szybkością.

Dotąd w przedsięwziętych próbach zawsze zachodziła znaczna strata siły podczas zmiany kierunku strumienia w spiralnej lub spiralnych, bo jak wiadomo, wtedy powstają strumienie elektryczne indukcyjne, krążące w kierunkach przeciwnych. Page podobno zdołał usunąć tę ważną przeszkodę w maszynach elektromagnetycznych, jak to w liście do sekretaryatu admiralicyi nadmienia. Pierwsza maszyna przezeń urządzona miała być pionową, a motorami w niej były dwie sztabki z miękkiego żelaza na 3 stopy długie, szerokie na 6 cali. Podobna, lecz ulepszona dała siłę 2 koni. Następnie przez usunięcie przeciwwagi równoważącej ciężar sztab i innych części mechanizmu, autor zdołał dojść do siły 4 koni. Utrzymanie w ruchu takiej maszyny kosztowało mniej aniżeli utrzymanie maszyn parowych najkosztowniejszych, lecz więcej jak maszyn najoszczędniejszych. W dalszych pracach Page przekonał się, że maszyna kołowa pierwszeństwo mieć winna przed maszynami o ruchu zwrotnym, i według téj myśli ukończył maszynę, która ma na 1" robić 110 obrotów i przebiega $\frac{1}{3}$ mili. (*Bibl. de Genève*).

* Elektryzując ciecz po której pływa areometr, postrzegamy, że ten aparat wznosi się oznaczając jakoby zwiększenie gęstości, i to tém więcej, im mocniej ciecz została naelektryzowana. Po odjęciu elektryczności z cieczy, areometr wraca do pierwotnego położenia. Charault, który pierwszy obserwował opisane zjawisko, dostrzegł podnoszenie areometru wynoszące około 5 linii, przy użyciu maszyny elektrycznej mającej taflę przeszło półtora-stopowej średnicy. To wszakże podnoszenie się areometru nie jest skutkiem zwiększającej się gęstości użytej cieczy, lecz jedynie wypływem odpychania elektrycznego, zachodzącego między cząstkami cieczy a powierzchnią areometru. W samą rzecz po naelektryzowaniu cieczy, objawia się odpychanie między cząstkami cieczy a powierzchnią walca areometru; siły odpychające między cieczą a powierzchnią boczną walca wzajemnie się niszczą, jako działające w kierunkach wprost przeciwnych, tak, że pozostają jedynie siły wywierane na dno walca, jako nie zrównoważone przez inne z góry działające. W skutek tego walec unosić się musi dopóty, aż ciężar jego nie zrównoważy się z wagą wypchniętej cieczy i siłą elektryczną odpychającą cząstek cieczy. Ztąd wypada, że jeżeli ciało będzie zupełnie zanurzonem w płynie

naelektryzowanym, wtedy żaden ruch miejsca mieć nie może, bo pod wpływem sił ze wszech stron działających, następuje równowaga.

Zbliżając do areometru pływającego w cieczy naelektryzowanej, ciało jednoimiennie z nią elektryczne, wtedy areometr opada; przeciwnie następuje podniesienie, gdy ciało jest różnoimiennie elektryczne.

Jeżeli używamy cieczy słabo przewodzącej elektryczność, np. olej, i areometr metalowy, natenczas za wstawieniem drutu idącego do maszyny, blisko powierzchni cieczy areometr opada; zagłębiając drut do połowy głębokości areometru lub pod areometr, aparat ten posuwa się w kierunku poprzecznym. Do oleju w tém doświadczeniu dodając trocin drzewnych, można widzieć strumienie krążące po płynie podobne do tych, jakie uważamy podczas ogrzewania cieczy z dołu.

Przy użyciu strumieni elektrycznych dynamicznych, niepodobna dostrzedz zmian w położeniu areometru pływającego po cieczach dobrze lub źle przewodzących elektryczność. (*Annales de Phy.* 1851, *Juin*).

* W widmie słonecznym otrzymaném za pomocą dobrego pryzmatu, rozróżnić się dają trzy rodzaje promieni częściowo się pokrywających, a mianowicie promienie ciepikowe, świetlne i chemiczne. Wykryto, że dwa pierwsze gatunki mogą być polaryzowanemi, a więc i usuniętymi; należało jeszcze poznać pod tym względem naturę promieni chemicznie działających. To uskutecznił Wartmann w następujący sposób: Użył dwóch pryzmatów Nicolsa: jednego polaryzującego światło, a drugiego analizującego, osadzonych w jednej rurce, za któremi ustawił blaszkę srebrną poprzednio wystawioną na pary jodu, potem bromku wapna i znów pary jodu w celu uczynienia warstewki fotograficznej o ile można jak najczulszą. Obracając pryzmat analizujący na 45° względem pierwszego, rysunek otrzymany w ciągu $80'$ był bardzo wyraźny i czysty. Gdy ten kąt wynosił 90° , rysunku wcale nie było, czy przedmiot kopiowany znajdował się w cieniu, czy na słońcu. Ztąd wniósł, że promienie chemicznie działające podobnie jak ciepikowe i świetlne podlegają polaryzacji, i to przy podobnych warunkach. (*Bibl. Gen.* 1850 *Nov.*).

S. P.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1850.

108. Wstęp krytyczny do dziejów Polski przez Augusta Bielowskiego. Nakładem Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego. 8ka. Lwów. 1850. Druk Zakładu Narodowego Ossolińskich. Kart 4, str. IV i 542. (Z tabelłą rodowodu książąt lechickich). Złp. 23, gr. 10.

1851.

98. Klechdy, starożytne podania i powieści Indowe. Zebrał i spisał K. Wł. Wojcieki. Wydanie drugie pomnożone. 2 tomy. 12ka. Warszawa. 1851. Druk Jaua Jaworskiego. Tom I. kart 2 i str. 266. II. 248. W każdym rejestrze karta 1.

99. Komedjaucel. Powieść przez J. I. Kraszewskiego. (Z godłem):

..... wszyscy na teatrze

Ja diabie lubię teatr, bo jak się zapatrzę,

To mi się czasem zdaje, że ja widzę ludzi. . . .

Fredro. *Przyjaciele.*

12ka. 2 tomy. Petersburg. 1851. Nakładem B. Wolffa, drukiem J. Zawadzkiego w Wilnie. Tom I, str. 270. II, 232. Złp. 13 gr. 10.

100. Michała Wiszulewskiego Historia Literatury Polskiej. Tom VIII. Przytém facsimile tytułu Akaistów Skoryny. 8ka. Kraków, 1851. W drukarni uniwersyteckiej. Kart 2, str. IV i 503. Złp. 20.

101. Podróż malowicza po najciekawszych okolicach ziemi naszój. Podług Humboldta i innych znakomych podróżnych i badaczy natury, dla młodzieży pici obojej. Przez Bronisławę Kamińską. 16ka. Wrocław. (Bez roku). Nakładem Z. Schlettera, druk Storch'a i Spółki. Str. IV i 284. (Z 4 kolor. rycinami). Złp. 15.

102. Przewodnik dla podróżujących w Europie, podług najnowszych źródeł ułożony, z dodatnem mappy drożnej kolei żelaznych i dróg pocztowych. 12ka. Warszawa. 1851. Nakład i druk S. Orgelbranda. Przedmowy, z podpisem: *Jan Flasteński*, str. 8. XLVI i 874. W oprawie złp. 21.

103. Szwedzi w Polsce. Romans historyczny przez autora Anny, Powłastek i Gawęd. 2 tomy. 8ka. Petersburg. 1851. Nakładem B. M. Wolffa, druk E. Prätza. Tom I, str. 274, II, 331. Złp. 20.

104. Szwecya (.) Wspomnienie jesienne przez Alexandra Przędzickiego. (Wydanie drugie poprawne). 8ka. Wilno, 1851. Nakład i druk T. Glücksberga. Str. 154 i kart 2. Złp. 8.

105. Wawrzyna. Powieść przez Paulnę z L. Wilkońską. (Z godłem):

La femme a beaucoup de mission angelique.

B. Saint Bonnet.

12ka, 1851. Petersburg (rzeczywiście w Warszawie, drukiem J. Ungra). Nakładem B. M. Wolffa. Str. 206. Złp. 6, gr. 20.

1852.

1. *Historya święta dla młodocianego wieku, przez autora Nowej Metody. Po polsku i po francuzku. Wydanie drugie. 12ka. Warszawa. 1852. Nakładem S. H. Merzbacha, druk Ungra. Kart 2 i str. 319. (Z 3 rycinami). Złp. 8.*

2. *Józefa Unger Kalendarz Warszawski popularno-naukowy na rok przestępy 1852, który ma dni 366. Wydany staraniem Sk. Rok siódmy. 4ka. Warszawa. Nakładem i drukiem wydawcy. Str. XVI, 92 i 13, (z drzeworytami). Złp. 2 gr. 17.*

3. *Kalendarz astronomiezo-gospodarski na rok 1852, który jest rokiem przestępnym mającym dni 366. Opisy roślin, rok piętnasty. 4ka. Warszawa. Nakładem i drukiem J. Jaworskiego. Str. 48 i XII. Złp. 2.*

4. *Oda. Powieść z czasów Bolesława Chrobrego. 8ka. Wrocław. 1852. Nakładem Z. Schlettera, druk Storcha i Spółki. Str. 54. Złp. 4.*

5. *Powieści historyczne A. Wleniarskiego. (Zawierają: Kościół OO. Bernardynów w Lublinie. Bernard Cilkowski. Tamko. Gabryel Zarnek. Wieś Krupa. Szymon Szymonowicz. Wygnanowiec). 2 tomy. 12ka. Warszawa. 1852. Nakład i druk S. Orgelbranda. Tom I, str. 248, II, 213.*

6. *Ptasznik, to jest wyjawienie sposobów łapania, obłaskawiania, pielęgnowania, rozmnażania i leczenia ptaków śpiewających. (Na okładce dodano: z dołączeniem przepisów chodowania (h) kanarków). 8ka. Kraków. 1852. Nakładem i drukiem Józefa Czecha. Str. 73 i karta 1. Złp. 3, gr 10.*

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Drugie pomnożone wydanie *Klechdów K. Wł. Wójcickiego*, we 2ch tomach, wyszło z drukarni J. Jaworskiego.

— Znany tłumacz Mollera, Franciszek Kowalski, objawszy w zarząd archiwum w Tulczyńie, przygotowywa bogaty zbiór pomników dziejowych, celem wydania takich. Wynałazł oryginalne korespondencye Jerzego Mulszcha, i Jana i Stanisława Tarłów, wojewodów sandomierskiego i lubelskiego, i dużo materyałów zebrał do epoki saskiej, i ostatnich czasów od 1700 do 1796 r. Książę Roman Sanguszko ma się zająć porównaniem archiwum w Tulczyńie, ze swoim własnem, jakie posiada w Zasławiu, pragnąc dopełnić pracę p. Kowalskiego.

— Znany autor Słownika, sędziwy starzec Mrongowlus, obecnie liczący lat 88, kaznodzieja przy kościele śtej Anny w Gdańsku, zachęcony przez ś. p. ks. Głzewiusza, przełożył z niemieckiego *Naukę chrześciańską* i dodał przekład pieśni, o czem jużśmy dawniej w naszym piśmie wspomnieli. Całą korzyść z tego wydania przeznaczył na fundusz dla pozostałych wdów po plebanach marwaldzkich pod Dąbrownem, gdzie ojciec jego był kaznodzieją polskim.

— Pertz wydał tom jedenasty dzieła swego: *Monumentorum Germaniae*, w którym jest Gallus przez Szlachtowskiego z Köpkem wydany, tu-

dzieł *Kośmy pragskiego* kronika przez samego Köpkego, z przesłannicze robotami podobiznami.

— W *Bulletin de Littérature étrangère* wychodzącem w Genewie, pod rubryką *Polska*, jest spis dzieł polskich, które na język francuzki przełożone, mają być ogłoszone w roku następnym. Oto są te dzieła: Pisma W. A. Maciejowskiego. Kronika Wapowskiego. Pielgrzymka do ziemi świętej Hołowińskiego. Klechdy K. Wi. Wojcieckiego. *Collectanea* Sękowskiego. Stannica Hulajpolska Michała Grabowskiego. Pielgrzymka do Częstochowy M. Ballńskiego. Felicyta Odyńca.

— Józef Szanława architektura akt dawnych w Sieradzu, po ukończeniu opisu dawnego województwa sieradzkiego, pracuje obecnie nad szczegółowym opisem powiatu sieradzkiego pod względem fundacy kościołów, klasztorów, miast, wsi znaczniejszych, ze źródeł archiwalnych, ze zwrotem uwagi na zwyczaje i obyczaje ludowe.

— Młody rzeźbiarz p. Rogozliński w Krakowie, wykuł obecnie w pracowni p. Stehlika kamienny posąg św. Jana z Kent, który wraz z podstawą wynosić będzie stóp 18. Posąg ten zamówiony został przez miasto Kenty, pragnące uczcić pamięć błogosławionego rodaka, i przeznaczony jest na tamtejszy rynek.

— Znany rysownik i litograf czeski Wacław Koutojk przybył do Krakowa, w zamiarze zebrania pomników i pamiątek starożytnych, których litografą na miejscu przedsiębrać zamysła.

— Oprócz Wurzbacha, który zajął się jak widać życiem Polaków w Galicyi, jak tego dowiódł między innymi i przysłowiami, najświetniej, bo też i najpierwszy talentem w plejadzie poetów niemieckich wystąpił Anastaziusz Grün, dając przekład, a raczej wyborne przerobienie *pieśni krańskich*; za nim poszedł Siegfried Kapper, wyśpiewując z pieśni serbskich bohaterskie dzieje cara Lazara; następnie Vogel przysłużył się tłumaczeniem całego cyklu pieśni o Marku królewiczu; a najwięcej p. Frankl, który ogłosił piękny przekład jużto bohaterskich dum serbskich, już pieśni obrzędowych, zebranych pod napisem: *Guße. Serbische Nationallieder von Ludwig A. Frankl. Wien. 1852.*

— W kolegium Jagiellońskim w Krakowie ma stanąć pomnik na cześć Długosza, ojca naszej historii.

— Nakładem księgarni braci Jeleniów w Przemyślu wyszły: „Przykłady do tłumaczenia z greckiego na polski, i z polskiego na grecki, według układu Kihnera, przez Franciszka Koźmińskiego nauczyciela we Lwowie.”

— W Lesznie u Ernesta Günthera wyszła: „Wycieczka ornitologiczna w Tatry i Karpaty galicyjskie na początku czerwca 1851 r. przez Kazimierza hr. Wodzickiego.

† Dnia 21 b. m. i roku, w Małej Wsi w Płockiem zakończyła życie Anna z Krajewskich Nakwaska, wdowa po b. senatorze kasztelanie Fr. Nakwaskim, autorka powieści: *Czarna Mara*, *Obrazy społeczeństwa warszawskiego*, *Dworu wiejskiego* i t. d. Żyła lat 71.

UWADOMIENIE OD REDAKCYI.

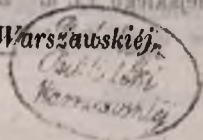
Redakcy Biblioteki Warszawskiej pospiesza zawiadomić swych łaskawych czytelników zamieszkałych na prowincyi, a szczególniej w Cesarstwie, iż za pośrednictwem poczty mogą otrzymywać Bibliotekę Warszawską w oddzielnych kopertach i pod swoim adresem, za dopłatą *jednego* rubla sr. na rok do ceny prenumeracyjnej, która wynosi rub. sr. 9.

Korzystać ząd dla prenumeratorów w Cesarstwie podwójna: unikną zwłoki w odbieraniu miesięcznych zeszytów, i mniej jak dotąd płacić będą. Dla tych zaś czytelników, którzyby z tój dogodności korzystać nie chcieli, cena pozostaje ta sama: t. j. w królestwie rub. sr. 9 rocznie, lub rub. sr. 4 k. 50 na pół roku, a w Cesarstwie rub. sr. 12 rocznie.

Ktoby więc z łaskawych prenumeratorów życzył sobie na rok 1852 odbierać w kopertach Bibliotekę Warszawską, raczy nadesłać *franco* rub. sr. 10 (dziesięć) albo do Expedycyi Gazet w Warszawie, albo wprost do redakcyi; wyraziwszy czytelnie swoje nazwisko, miejsce zamieszkania i stacyą pocztową, z której chce pismo nasze odbierać.

Adres: Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej przy ulicy Senatorskiej, Nr. 468 i 9; albo: Do Expedycyi Gazet w Warszawie.

Redakcy Biblioteki Warszawskiej.



Wrzesień 1851.

Barometra w Obserwatorium

Miejsce dostawcy wainstone jest 307,5 stopni przy kielich nad poziom m...
 cely w luku 1841,25 na w...

TERMOHETR		BAROMETR		w milimetrach słupkowych		do 0°	
10	11	10	11	10	11	10	11
10.0	11.0	748.41	748.02	748.41	748.02	10.0	11.0
10.1	11.1	748.40	748.01	748.40	748.01	10.1	11.1
10.2	11.2	748.39	747.99	748.39	747.99	10.2	11.2
10.3	11.3	748.38	747.98	748.38	747.98	10.3	11.3
10.4	11.4	748.37	747.97	748.37	747.97	10.4	11.4
10.5	11.5	748.36	747.96	748.36	747.96	10.5	11.5
10.6	11.6	748.35	747.95	748.35	747.95	10.6	11.6
10.7	11.7	748.34	747.94	748.34	747.94	10.7	11.7
10.8	11.8	748.33	747.93	748.33	747.93	10.8	11.8
10.9	11.9	748.32	747.92	748.32	747.92	10.9	11.9
11.0	12.0	748.31	747.91	748.31	747.91	11.0	12.0
11.1	12.1	748.30	747.90	748.30	747.90	11.1	12.1
11.2	12.2	748.29	747.89	748.29	747.89	11.2	12.2
11.3	12.3	748.28	747.88	748.28	747.88	11.3	12.3
11.4	12.4	748.27	747.87	748.27	747.87	11.4	12.4
11.5	12.5	748.26	747.86	748.26	747.86	11.5	12.5
11.6	12.6	748.25	747.85	748.25	747.85	11.6	12.6
11.7	12.7	748.24	747.84	748.24	747.84	11.7	12.7
11.8	12.8	748.23	747.83	748.23	747.83	11.8	12.8
11.9	12.9	748.22	747.82	748.22	747.82	11.9	12.9
12.0	13.0	748.21	747.81	748.21	747.81	12.0	13.0
12.1	13.1	748.20	747.80	748.20	747.80	12.1	13.1
12.2	13.2	748.19	747.79	748.19	747.79	12.2	13.2
12.3	13.3	748.18	747.78	748.18	747.78	12.3	13.3
12.4	13.4	748.17	747.77	748.17	747.77	12.4	13.4
12.5	13.5	748.16	747.76	748.16	747.76	12.5	13.5
12.6	13.6	748.15	747.75	748.15	747.75	12.6	13.6
12.7	13.7	748.14	747.74	748.14	747.74	12.7	13.7
12.8	13.8	748.13	747.73	748.13	747.73	12.8	13.8
12.9	13.9	748.12	747.72	748.12	747.72	12.9	13.9
13.0	14.0	748.11	747.71	748.11	747.71	13.0	14.0
13.1	14.1	748.10	747.70	748.10	747.70	13.1	14.1
13.2	14.2	748.09	747.69	748.09	747.69	13.2	14.2
13.3	14.3	748.08	747.68	748.08	747.68	13.3	14.3
13.4	14.4	748.07	747.67	748.07	747.67	13.4	14.4
13.5	14.5	748.06	747.66	748.06	747.66	13.5	14.5
13.6	14.6	748.05	747.65	748.05	747.65	13.6	14.6
13.7	14.7	748.04	747.64	748.04	747.64	13.7	14.7
13.8	14.8	748.03	747.63	748.03	747.63	13.8	14.8
13.9	14.9	748.02	747.62	748.02	747.62	13.9	14.9
14.0	15.0	748.01	747.61	748.01	747.61	14.0	15.0

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIEM.

Wrzesień, 1851.

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	752.638	27	9 642
Najwyżej dochodził — d. 17 o g. 10 r.	761.15	28	1.416
Najniżej — — d. 3 o g. 6 r.	745.20	27	6.345
Średnia zmiana dzienna barometru	2.630		1.166
Największa zmiana dzienna barometru d. 3—4 o g. 6 rano	7.66		3.396
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 25 lat	1.778		0.788
poprzedzających	750.860	27	8.854
Średnia temperatura września wynosi: + 13.°18 C. + 10.°54 R.	0.535	„	0.432 „
i ta jest niższa o od stanu normalnego z 25 lat po- przedzających	+ 13.715	„	+ 10.972 „
Największe ciepło dochodziło d. 29 o godz. 4 wiecz.	+ 22.2	„	+ 17.76 „
Najniższa temperatura była d. 9 o godz. 6 rano.	+ 4.2	„	+ 3.36 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	1.643	„	1.314 „
Największa zmiana dzienna d. 6—7 o godz. 4 wiecz.	5.8	„	4.64 „

Termometrograf wskazał:

Maximum: + 19.°1 R. d. 29 po połud.

Minimum: + 10.8 „ d. 9 rano.

Wody z deszczu spadło wysoko na 38,1 milim., czyli 16,9 lin par. ilość ta jest mniejszą o 4,4 lin. par. od ilości wody jaka u nas w wrześniu zwykle spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 81,4 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 9,52 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza, i ta jest wyższą o 0,03 od normalnej.

Dni pogodnych było 5, napół pogodnych 12, pochmurnych 13.

Dni deszczu 15 (d. 2, 3, 7, 8, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 21, 23, 26).

— mgły 6 (d. 17, 18, 19, 20, 24, 27).

— gradu krup 3 (d. 3, 12, 14).

— grzmotu 2 (d. 23, 26).

— błyskawic bez grzmotu 6 (d. 1, 3, 4, 22, 25, 26).

Wiatrów mocnych było 2: 1 Pd W., 1 Z.

Wiatr panujący Pd W. i Zachodni.

Wrzesień r. b. był w ogóle chłodny, a pod względem pogody zbliżał się do stanu średniego. Pierwsze ośm dni były ciepłe, następne dziesięć przy wietrze północnym i północno-zachodnim niezwykle chłodne i stłone. Druga połowa miesiąca osobliwie 11 dni ostatnich przy wietrze południowym i południowo-wschodnim, pogodne, suche i ciepłe, jak w porze letniej. Najcieplejsze dni były d. 4, 5, 6, 21, 22, 23, 24, 29, 30. Najchłodniejsze d. 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 16.

Dnia 3 o godz. 6 min. 40 wiecz i d. 23 o godz. 6 min. 20 rano, ukazała się tęcza, z tych dnia 3 podwójna rzadkiej piękności.

Dnia 19 o godz. 1 po połud. koło wielkie otaczało słońce.

Dnid 23 widziano na słońcu 3 grupy plam.

Dnia 24 o godz 1 po połud. i 3 wiecz. koło białe słabe otaczało słońce.

WYCIECZKA ARCHEOLOGICZNA

W NIEKTÓRE STRONY GUBERNII RADOMSKIEJ

odbyta w miesiącu wrześniu r. b.

PRZEZ

F. Max. Sobieszczańskiego.

(Z ryciną).

I.

Miasto Radom. — Wspomnienia historyczne i zabytki. — Kościoły. — Szkoły. — Pogląd na terańniejszy stan miasta. — Gabinet gubernatora cywilnego. — Zbiory prywatne książek, numizmatów i obrazów.

Szybko i wśród ciemnej nocy, zamknięci wprawdzie w wygodnej kuryerce, przemknęliśmy się przez Tarczyn, Białobrzegi, i nad rankiem, ze świtem prawie, stanęliśmy w Radomiu. Zatopiony w archeologicznych myślach i nadziejach, nie miałem czasu poznać towarzyszków mojej podróży; a było ich tam kilku: jeden prawnik, jeden aptekarz, i Niemiec szukający w Polsce chleba, a nareszcie i jedna córka Ewy, która ze smutkiem po kilkunastoletnim pobycie w Warszawie, na zawsze ją opuszczała. Gdybym chciał, mógłbym się być dowiedzieć całego biegu życia tej pani: tak była skora do wynurzania się, a ochotną do mowy. Złe tylko trafiła, i tą rzą, niestety! potomność nawet i o nazwisku jej nie dowie się. Bądź co bądź, już nieraz przekonałem się, iż podróż w naszych dylizansach, *culgo* szteinkellerkami zwanych, ma swoje przyjemną stronę; dla pisarza z żywą wyobraźnią a koniecznie z talentem, jestto pole do zbierania wzorów z rozmaitego rodzaju polskich

podróżników, do skreślenia szczególnych charakterów i nabycia zajmujących gawędek. Tym sposobem nawet opisana podróż po kraju mogłaby być ciekawą, bo nasze szczere i otwarte obyczaje, tak są łatwe do wywnętrzania się, tyle mają właściwej a odrębnej cechy, iż podobne wrażenia i wspomnienia z podróży, byłyby w piśmiennictwie naszym nowością. Lecz wieleżto innych rzeczy jeszcze nam brakuje!

Wróćmy się zatem do mego celu i nauki, maluczko i z piełuch także dopiero wydobywającą się.

Owiany świeżością poranku pięknej tegorocznej jesieni, tak wdzięcznym i ozdobnym ujrzałem Radom, że za pierwszym wrażeniem sądziłem, iż jeszcze w Warszawie znajduję się. Było dzień niedzielny, a czas corocznie tu odbywanego jarmarku; ożywione zatem zwiększoną ludnością ulice, szerokie i piękne, z marmurowymi chodnikami po obu stronach, przy wspaniałych i nowych kamienicach, dopełniły uroku.

Gdzież więc ten starożytny Radom?—pomyślałem sobie; gdzie zmarszczki tej odwiecznej siedziby, gdzie ślady wieków i wypadków tego głośnego w historii krajowej miasta?

Tak wszystko teraz tu nowe, świeże i pobielone, porządne i czyste, że gdyby nieco dalej na ulicy Lubelskiej nie wyglądał kościół OO. Bernardynów z zębata swoją facyatą, z ciemno-czerwoną nietynkowaną cegły wzniesiony, to pierwszy pogląd na całe miasto do rozpaczby starożytnika przyprowadził. Co do mnie, wolę ja już podobne zmiany, niż bogate wspomnienia wśród gruzów, błota i nędzy: bo nareszcie łatwiej marzyć o przeszłości, łatwiej ją sobie przypomnieć, gdy teraźniejszość nie ma ci wzroku i przykre wrażenia uprzęta.

Lecz jeżeli brakuje w Radomiu zabytków zewnętrznej starożytności, silnie za to przemawiają za nim wspomnienia historyczne; nawet rzadko które miasto ma tak piękne i stosowne podania o swoim początku jak Radom, a chociaż one krytyki historycznej nie wytrzymają, to dziejopis tego miasta powinien je zebrać i nie zaczynać od tak zwanych pewnych źródeł; bo wreszcie cóż jest na tym świecie pewnego? Jedno naprzykład tutejsze podanie wywodzi nazwisko miasta, iż tu był każdy rad w domu gościowi, i przewano go zatem *Rad dom*. Inne znowu od odpowiedzi Kazimierza Sprawiedliwego, mieszkańcom o przywilej dla miasta proszącym daną, iż chętnie go udzieli; *Rad dam*, ztąd i nazwisko miało otrzymać.

Wszakże jeżeli tylko piśmiennych źródeł trzymać się będziemy, to terazniejszy Radom dalej nad wiek XIII posunąć swojej historyi nie potrafi. Są jednak ślady, iż Kazimierz Sprawiedliwy w roku 1187, na miejscu dotąd istniejącej fary pod wezwaniem śgo Jana Chrzciciela, pod tymże tytułem wznosił kościół drewniany, który później na murowany przemieniono; że w XIII wieku na górze *Piotrowka* zwanój był zamek obronnie zbudowany i t. p. Co wszystko niewątpliwem być może, zważając na ten dowód, że w roku 1360 Kazimierz Wielki prawa i uposażenie ze starego Radomia do nowego przeniósł, a ślad piérwszego został się dotąd w nazwisku Starego Miasta, na wzgórzcu leżącego. Kazimierz Wielki, jak mówi historia, lubił to miejsce: w zamku chętnie przemieszkiwał, a w gęstych borach grubym zwierzem napelnionych, często polował. Wznosił on tutaj nowy zamek, miasto całe murem opasał, nakoniec przeniósł z prawa polskiego na niemieckie, a następcą jego Ludwik węgierski na miejsce sądów przeczynał.

Odtąd dalsze dzieje tego miasta im nowszych sięgają czasów, tém są pełniejsze: bo Radom ciągle występuje na widowni historyi, tak, iż nie masz archiwum w kraju, w którémby nie znajdowały się akta do niego należące, ani kronikarza w którymby pełno i ważnych o nim nie znalazło się szczegółów. Tu na sejmie 1383 r. obrano Jadwigę za królową polską; tu w r. 1401 piérwszy akt unii z Litwą nastąpił; tu lubiła mieszkać królowa Zofia księżniczka kijowska, ostatnia żona Władysława Jagielly; syn zaś jój Kazimierz jadąc czy wracając z Litwy, czy z sejmów w Piotrkowie lub w Nowém-Mieście Korczynnie odbywanych, zawsze zatrzymywał się w Radomiu. Tu bowiem także oczekiwała na niego małżonka jego Elżbieta arcyksiężniczka austryacka, mająca w oparciu radomskie majetności „które jój był względem wesela król małżonek puścił”, jak powiada Kromer.

Nic zatem dziwnego, iż król Kazimierz Jagiellończyk miasto to w szczególnój miał opiece, i tylą i tak ważnemi je przywilejami obdarzył; chociaż niektóre, jak sam tamże wyraża się, wydawał na prośby matki swój lub żony. Tego rodzaju dyplomata znane są w oryginałach lub w kopiach, na miejscu lub w metryce koronnój znajdujące się, z lat 1444, 1450, 1453, 1456, 1458, 1461, 1464, 1481 i t. d., z których jeden z roku 1456 wydany w Piotrkowie, przedewszystkiemi o wielkiej przychylności monarchy dla Radomia przekonywa. Potwierdza on bowiem w nim wszystkie poprzednie przywileje, a nadto uwalnia mieszkańców od wszel-

kiej zależności od dworu, powierza straż i reparacją murów i wałów miejskich, pozwala wszystkie próżne miejsca tak w mieście jako i na przedmieściu zająć na pożytek miasta, budować tamże i zakładać ogrody, browary i t. d. W Radomiuto podczas pobytu tego monarchy w r. 1469 stany czeskie ofiarowały koronę synowi jego Władysławowi; tu wreszcie epokę prawodawstwa krajowego i początek upadku władzy królewskiej rozpoczął sejm w r. 1505, na którym Jan Łaski kanclerz koronny, a potem arcybiskup gnieźnieński, odebrał rozkaz zebrania i wydania praw polskich. Pamiętny ten sejm zaczął się i skończył dramatycznie: rozpoczęło go przekleństwo Szach-Achmeta hana nadwołgańskich Tatarów za niedotrzymanie traktatów, rzucone śmiało i głośno w obliczu monarchy i senatorów na całą przyszłość państwa. Można sobie wyobrazić tę surową i sędziwą postać Tatarzyna, który wszedłszy w pośrodek obradujących, wznosił ręce do góry, i gromkim głosem struchlałym słuchaczom te wykrzyknął słowa: „Bóg sprawiedliwy wszystkiego złego i dobrego sowity odpłaca; kiedykolwiek sprawę moję z królem sądem nienaganionym rozstrzygnie, a rzewliwego utrapienia i nędzy mojej, k temu przysięgi zgwałconej znaczną pomstą zwetuje” (Kromer). Sprawdziła się niestety wyrocznia Tatarzyna, bo oto zaraz przy końcu sejmku król Alexander Jagiellończyk paraliżem ruszony, ztąd do Krakowa, a następnie do Wilna po śmierć tylko pojechał.

Nie zapomnieli o Radomiu i następn królowie zwiedzając często to miasto, leżące na drodze do Piotrkowa, gdzie sejmy się odbywały, a przytém położone w bliskości Jedlny, upodobanego miejsca łowów monarszych. Ztądto zyskiwał sobie znowu Radom tak częste i obszerne przywileje od wszystkich królów polskich aż do Augusta IIIgo z domu Sasów, do którego to czasu od roku 1520 do 1739 sam widziałem 18 dyplomatów dotyczących Radomia.

Za Zygmunta IIIgo zasłynął znowu Radom trybunałem zwanym Kommissyą Radomską, która tu od r. 1613 do 1767 przez półtora wieku trwała. Kommissya ta odbywała się corocznie przez sześć niedziel, poczynając w poniedziałek po św. Stanisławie biskupie. Prezydujący bywał zawsze biskup, a ostatnim sławny z przywiązania do nauk i ksiązek ks. Józef Załuski. Inni kommissarze wybierani byli z osób wojskowych i cywilnych. Sprawy do niej należały skarbowe i wojskowe, palestra grodu radomskiego służyła do opowiadania spraw, a pisarz trzymał pióro. Wedle współczesnych pamiętników, trybunał ten odznaczał się

od innych także ucztami i bankietami, gdyż zjazd ten składał się po większej części z samych wojskowych, którzy nie potrzebując ceremonii zapraszania, tłoczyli się do stołów i kielichów, gdziekolwiek widzieli takowe zastawione. Kto się zaś chciał popisać z traktamentem, musiał się dobrze przysposobić w trunki i opatrzyć piwnice, aby nietylko gościom zaproszonym, ale téż i nieproszonym a jednak przybywającym wystarczyło.

To wszystko do wzrostu miasta przyczyniało się; lecz z kolei wypadków znanych w historii, uległ Radom pożarom i klęskom wojny, mianowicie za podwójnego najazdu Szwedów, które go do zupełnej ruiny przyprowadziły, tak, iż mieszkańcy przedtém handlem trudniący się, wszyscy prawie do uprawy roli zwrócili się. Atoli jeszcze w r. 1767 mamy ostatnie z czasów dawniej Polski historyczne wspomnienie w zawiązanój tu pod laską księcia Karola Radziwiłła (Panie Kochanku) konfederacyi, popierającej prawa różnowierców, która pomimo napotykanego oporu, przeniosłszy się ztąd do Warszawy, celu swego dopięła.

Dziś z tych wszystkich wspomnień mało już zostało śladów: akta i dyplomata dla historyków, szczątki zamku i kościoły dla archeologów. Udałem się naprzód do zamku; pokazano mi nizki i długi dom dobrze otynkowany, dobrze nakryty i pomalowany, w którym umieszczono hypotekę. Napróżno było szukać śladów poprzedniego jego stanu, lecz znalazłem stary inwentarz opisujący jego postać zewnętrzną i wewnętrzną, z którym się z ciekawemi czytelnikami dzielę. Inwentarz ten spisany był po śmierci Jana Litomirskiego kasztelana sieradzkiego, starostę radomskiego, przez ks. Zawiszę Sikorskiego kanonika warszawskiego „z rozkazaniam króla Jego Mci Anno Domini 1567 począwszy, a die 20 Septembris ad diem 18 Octobris pilnie uczyniony.” Było sobie, mówi ten inwentarz, zamek albo raczej dwór murowany, mający na równi mur około siebie i przekop, w którym były trzy miejskie sadzawki zawsze wodą napełnione. We dworze ujrzałem naprzód mur znowu od kościoła farskiego, na trzy *rosty* wysoki, w którym była brama z wrotami. U bramy od strony zachodniej stał dom murowany, w którym dolne i wyższe gmachy znajdowały się. Naprzód na dole była piekarnia, podle piekarni izba czeladnia, dalej szły kuchnie, a za niemi sklep dla kuchennych rzeczy. Od tego sklepu był wchód do nowo wtenczas zbudowanego blanku i do tarasu albo wieży, która była w murze miejskim na pół staj ode dworu. W téj wieży było więzienie, dobrze

oknami z kratą żelazną opatrzone. W kącie tych dolnych gmachów była furta na wał, od której szedł ganek murowany między sadzawkami, prowadzący do baszty drewnianej, gliną z wierzchu oblepioną. Do wierzchnich gmachów szło się przez tenże ganek do izby, potem izdebki, dalej do *konwanki*, a z tej drzwi prowadziły na blank i na wielki dom do pokoju.

Tak zwany dom wielki stał na południe nad samym przepokiem; był on wszystek, jak mówi inwentarz, *dachówką poskorupioną* i obejmował także dolne i zwierzchnie gmachy. Na dole były piwnice, sklepy i sklepiki, podle sklepów stała wieża, w niej ganek sklepisty poskorupiony; z niego szła sionka podobnie sklepista, z sionki przechodziło się do wielkiej izby mającej drzwi śladowane, wielki piec polewany i okna w ołów oprawne. Stały tam wokół stoły i ławy dębowe, po trzech stronach umieszczone. Do zwierzchnich gmachów wchód był kamienny i drzwi dwoiste; z niego szedł ganek z słupami kamiennymi ochędźnie wyrobionymi (pisze inwentarz). Ztąd wchodziło się do sali mającej drzwi żelazne dwoiste, okna w ołów oprawne i ławy dębowe; po jednej stronie pod oknem był komin marmurowy, na środku stół lipowy. Z tej sali na lewo była wielka izba, z piecem polewanym na fundamencie kamiennym stojącym; drzwi miała także żelazne, stoły sosnowe, ławy wokół, a na ścianach *wokół* listwy do obicia i *pokład* (sufit) z porzucistemi kwiatami, malowany. Dalej z sali szło się do komory w wieży, sionki, izby i komnat. Od tego domu na wschód był mur, przy którym blanki dwoje zwierzchnie, pod którymi znajdowało się 15 komor. Dalej w tymże murze stała biała wieża wpośrodku blanków, wierzch po włosku mająca; tu na dole był *zrab* dębowy dla więźniów z kratą żelazną, izby i komory, a dach gontami pobity.

Takim był zamek radomski w całej swej świetności za czasów Jagiellońskich; w nimto mieszkali królowie i królowe, o których wyżej z kronik o tém dowiedziawszy się, powiedzieliśmy. W nimto w roku 1548 w miesiącu wrześniu, pożegnawszy raz ostatni ziemię rodzinną, przeżyła cztery miesiące nieszczęśliwa Barbara Radziwiłłówna, piękna i prześladowana małżonka Zygmunta Augusta. Przybyła ona pierwszy raz do krajów koronnych z rozkazu króla, podług jego własnego przepisu jadąc z Wilna traktem grodzieńskim, i stanęła w Radomiu jako kresie podróży, gdzie miała pozostać przez czas następnego w Piotrkowie sejmu i przetrwać pierwszą burzę, dalszemu jej szczęściu grożącą. Uroczyste i świe-

ne było przyjęcie tój nadobnej monarchini w Radomiu: król na ćwierć mili za miasto naprzeciwko niój z licznym poczem znakomitych panów wyjechał; cała droga była wysiana czarném Lyon-skiém suknem, z powodu żałoby po ojcu; witały ją mowy kancle-rzów państwa, a otaczali od samój granicy najmożniejsi panowie i panie z Korony. Mowa ze strony królowej była poważna i pokorna. „Témże się to najwięcej ludziom podobało, pisze w jednym liście brat królowej Mikołaj Radziwiłł podczaszy litewski, iż pokornie było.” W Radomiu, wedle pomienionego listu, tegoż dnia wszyscy panowie litewscy i polscy, którzy z królową przyjechali z koni zsiadłszy, prosto szli do stołu królewskiego jeść. „Skoro po obiedzie, wnet od stołu wstawszy Jego K. M. szedł na górę do Jój K. Mci, i był tam z godzinę. Tam jest izba wielka, a było wniej tak wiele ludzi, iż na krążgankach niektórzy stali, patrząc się a dziwując temu stadłu panów naszych.” Byłto zatem ów dom i owa izba wielka z krążgankami, których opis z inwentarza r. 1567 wyjęliśmy, a w której teraz archiwum hypoteczne mieści się. Z listów tegoż Radziwiłła, umieszczonych w Pamiętnikach o królowej Barbarze przez p. Michała Balińskiego, ciekawo czytelnik dowie się wszystkich szczegółów pobytu tój królowej w Radomiu: jak przez cały październik odwiedzała wraz z królem przychylnych sobie senatorów w ziemi radomskiej; jak następnie ku końcowi tegoż miesiąca król opatrzwszy potrzeby nowo utworzonego dworu żony swojej, oddalił się z Radomia na sejm w Piotrkowie, zostawując ją smutną i ze drzeniem oczekującą rozstrzygnięcia swego losu w tém mieście. Ileżto lez tu wyłała ta śliczna pani, gdy ponure i coraz to gorsze wieści dochodziły ją z Piotrkowa!... Ile obawy, ile smutku tu przeżyła, łatwo sobie wyobrazić. Może to tu nawet był początek choroby, która ją w kilkanaście miesięcy potem o śmierć przyprawiło. Cóżkolwiekbydz, to pewna, iż gdy stałość króla pomyslnym skutkiem uwieńczoną została, królowa Barbara jakby chcąc co prędzej rzucić przykre wspomnienia, nie czekała w Radomiu jego powrotu, lecz w połowie stycznia 1549 roku udała się z całym swym dworem do Nowego-Miasta Korczyzna, gdzie też w dniu 2 lutego zastał ją powracający z Piotrkowa czuły królewski małżonek (1).

(1) Współczesni Górnicki i Warszewicki utrzymują, a za nimi wszyscy nowożytni pisarze, iż królowa Barbara przybyła do Radomia w r. 1550; tym-

W kilka lat potem w zamku radomskim płynęły znowu tży drugiey królowej polskiej, gdy król Zygmunt August poróżniwszy się z trzecią żoną swoją Katarzyną córką Ferdynanda I cesarza, aż tu ją odesłał, gdzie przez parę lat w odosobnieniu mieszkała. W Radomiuto odwiedzał ją w r. 1562 Jan Franciszek Commendoni legat papieżki, później kardynał, umyślnie dla pojednania zwaśniionych małżonków wysłany, i z początku silnie za królową obstający. Wtedy nieszczęśliwa, a równie jak przedostatnia żona szczerze kochająca swego królewskiego małżonka, usprawiedliwiała się przed nim królowa ze wszystkiego, co jęj tylko zarzuconém było; a wspominając o okrutnych z sobą obejściach, o królu jednak ze czcią mówiła. Długo i rzewnie płakała królowa przed legatem i zaklinała go, aby opuszczonęj od wszystkich nie odstępował. Nic to jednak nie pomogło. Legat został kardynałem, a Katarzyna przeniosłszy się z Radomia do Wielunia, ztamtąd w r. 1566 do cesarza odesłana, ze smutku i zgryzoty umarła w lipcu 1572 roku. Co było powodem tego poróżnienia, iż król żadną miarą z nią żyć nie chciał, o tém różnie i bardzo różnie współczesni pisali. Sam nawet Commendoni dla zgłębienia rzeczy wysłany nie mógł prawdziwój dociec przyczyny; najpodobnięj, iż bardzięj się przyczyniły do tego powody polityczne, aniżeli fizyczna niemoc. Dlatego tęż najroztropniejsi ówczesni historycy wypadek ten i przyczyny, wiedzy i wyrokom Bozkim tylko przypisywali. Po tych smutnych wspomnieniach milczą dalęj dzieje o zamku radomskim; najpodobnięj iż zburzony przez Szwedów leżał w ruinie, aż dopiéro w drugiey połowie zeszłego stulecia Józef Podkański starosta a późnięj kasztelan radomski, na dwór i archiwum sądowe przekształcił, w tym zapewne stanie, w jakim go dziś oglądamy.

Z zamku udałem się do blisko stojącego kościoła parafialnego, powszechnie farą nazywanego. Długie i smutne przetrwał

czasem listy oryginalne, które p. Michał Baliński w Pamiętnikach o królowej Barbarze T. II. str. 24, 62 ogłosił, dowodnie przekonywają, iż data ta jest błędna, bo podczas drugiego sejmu w dniu 4 maja 1550 w Piotrkowie otwartym, królowa ta przebywała ciągle w Krakowie. Podobnież mylnie jest podanie ogłoszone przez p. K. K. w artykule pod tytułem: Władomosc historyczna o mieście Radomiu, umieszczonym w Radomianinie na r. 1848, jakoby królowa Barbara mieszkała w umyślnie dla siebie zbudowanym pałacu, który teraz mieści w sobie biuro Dyrektcy Szczegółowej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, gdyż na tak krótki czas nie było potrzeby budować osobnego pałacu, zwłaszcza kiedy w zamku pokoje stały gotowe i całe.

téż ten kościół dzieje, i ocalał, chociaż także tylko w resztkach. Pierwiastkowo w stylu gotyckim wystawiony, z wyniosłą z boku wieżą, przechował dotąd śliczne odrzwia z ciosu przy bocznych wejściach i przy zakrystyi znajdujące się, szczególnego rodzaju wiązanie dachu i jeszcze szczególniejsze baniaste sklepienie wieży wewnątrz przykrytój. Jestto godna widzenia osobliwość, iż wieża ta zakończona u góry w kształcie głowy cukru, z cegły z wierzchu polewanój wystawiona, całkowicie już skamieniała, a cegła w gład się przemieniła. Znajdują się tu także starożytne dzwony z wypukło-rzeźbami i napisami, lecz są tak umieszczone, że bez narażenia się na przypadek dostać do nich nie było podobna; a szkoda, bo warto byłoby zdjąć ten napis i bliżej mu się przypatrzeć. Zresztą, gdy kościół ten częstym ulegał zniszczeniom, gdy jeszcze na początku naszego wieku publiczne targi w nim odbywały się, lub na magazyn był obrócony, nie zatém wewnątrz dawnych zabytków nie zostało. Odbudowany w r. 1821, ma kilka obrazów pędzla tutejszego aptekarza Karola Hoppen, zmarłego w r. 1849; ławki i niektóre figury z kościoła sieciechowskiego przeniesione, wszystko zaś razem pod względem sztuki zaledwie na wspomnienie zasługuje. Byłyby tylko bardzo interesowne dzieje tego kościoła, lecz nie zastałem ani proboszcza, ani wikarego; ksiądz zaś obecny umiał mi tylko tyle powiedzieć, że są jakieś akta dawne, które cudem chyba ocalały i te powierzono ks. Gackiemu, który historją tego kościoła zajmuje się. W dobre więc ręce powierzono te ostatki, a autor opisu szkół w Piotrkowie, Jedlny i tylu innych wzorowych i z sumienną dokładnością napisanych artykułów, potrafi je jak należy użyć.

Z kolei zwiedziłem kościół OO. Bernardynów, piękną i jedyną w całości zachowaną starożytną budowlę w Radomiu. Kościół ten początkowo za murami, na przedmieściu niegdyś Jedlińskim zwaném wzniesiony, dziś najcelniejszą ozdobę miasta stanowiący, założony jest pod wezwaniem św. Katarzyny w r. 1468 przez Dominika z Kazanowa Kazanowskiego podkomorzego króla Kazimierza Jagiellończyka, starosty radomskiego. Wystawiony w gotyckim, właściwym dawnym polskim kościołom stylu, z cegły nietynkowanój, ma wystawę w zęby podzieloną i skarpy po bokach. Zniszczony przez czas, odnowionym został kosztem jednego z obywateli radomskich w r. 1836, a w r. 1842 ze składek prywatnych i wieże jego odnowiono. Pomimo to, zachował jeszcze piętno

swojej budowy, ślicznej i okazałej starożytności. Książę Bernardyni w Radomiu ze względu przykaldności i nabożeństwa poważani są tutaj i lubieni jak nasi Kapucyni w Warszawie. Schludność téż i porządek wewnątrz, ubogie lecz chędogie ozdoby, kościół ten odznaczają. Znalazłem tu kilka jednak nagrobków, jedne sztuką, drugie napisami chępiące się. Najdawniejszy i najlepszy pod względem sztuki jest po lewej stronie przy wielkim oltarzu, z szarego chęcińskiego marmuru, ku pamiętce Wszebora Tymińskiego z Jasińca (zm. 1616). Nagrobek ten wyobraża rycerza w półfigurze w zbroi, z brodą i gołą głową, z mieczem przy boku i książką do nabożeństwa w rękę. Umieszczony w wklęstości w formie oltarza z dwiema kolumnami z podobnegoż marmuru, ozdobiony jest u góry szyszakiem i buławą, tudzież herbem Nałęcz. U dołu na tablicy marmurowej, wklęstemi głoskami, już w części zatarty, znajduje się następný napis:

D. O. M.

Supremae et eviternae Posteritati

Que nouerit, quod vixerit

Generosus D. Vseborius Tymiński de Jasińec

Antiquissimi sanguinis Nałęciorum,

Haeres, Nepos, Abnepos, Proneposque.

Qui vixit

Notus orbi et sibi

Charus Deo, Regibus, Patriae suis.

Altior omni invidia, et honore, felix unico partu

Quem

Helizabetha de Hlewiska, vetustissima Odrowążorum

Gente, Genero maritandum reliquit

Generoso Andreae Koryciński de Korytno,

Qui moestus parenti optimae posuit.

Mortuus Anno post renatum orbem MDCXVI.

Co w dosłowném polskiém tłumaczeniu znaczy:

Bogu Najlepszemu i Najwyższemu, dalekić i długotrwałej potomności, która się dowiē że żył Wielmożny Pan Wszebor Tymiński z Jasińca, ze starożytnego szczepu Nałęczów, dziedzie, wnuk, prawnuk i praprawnuk, który żył znany światu i sobie, miły Bogu, królom, ojczyźnie, swoim, wyższy nad wszelkie zawiści i zaszczyty, uszczęśliwiony jedyném potomstwem, które Elżbieta z Hlewisk z najstarożytniejszego Odrowążów rodu, zie-

ciowi do poślubienia zostawiła Wielmożnemu Andrzejowi Korycińskiemu z Korytna, który smętny najlepszemu rodzicowi ten pomnik wystawił. Umarł roku odkupienia świata 1616.

Nieco dalej, z podobnegoż marmuru na wypolerowanej tablicy, krzyż gładko wyciosany z cierniową koroną w ramach, z arabeskami naokoło, nad którymi u góry herb Jastrzębiec. Jestto nagrobek Michała z Szomowa i jego małżonki, którym synowie w r. 1613 wystawili. U dołu umieszczony, a podobnież już zarty, następny czytać można napis:

Acate senili vixerunt

Requiescant in pace

Generosis ac Nobilibus Michaëli de Szomowo.

Districtus Łomzensis ac Helizabethae de Luge

Districtus Łucoviensis conjugibus de armis Lubicz moesti filii, pietatis ergo posuerunt. Anno Domini 1613.

Tojest: *Doczekali się sędziwego wieku, niech spoczywają w pokoju, Wielmożnym i urodzonym Michałowi z Szomowa z powiatu łomżyńskiego, tudzież Elżbiecie z Ług z powiatu łukowskiego małżonkom herbu Lubicz, w smutku pogrążeni synowie na znak przywiązania wystawili. Roku Pańskiego 1613.*

Trzeci nagrobek obok ambony z czarnego i białego marmuru wystawiony, zwyczajnego kształtu, ma u góry okrągły na blasze malowany portret kobiety; na dole zaś, na białym marmurze, złotonemi głoskami napis po polsku:

Dom.

Grobowiec ten oczom czyniących okropny,

Żalowi synowskiemu ciężki,

Łzom JW. Familii złączonym domom

nieprzeżyty,

Kosztowną wysokich doskonałości

JWJMCP. Ewę z Trojanowskich Krasińską

Kasztelanową Wizką

przyciska.

Taxuj na nim czytelniku nabożny

Skruszonego klejnotu szkodę,

Królowi nieśmiertelnych wieków

Do niebieskiej korony zalecaj cnotę,

W której przez lat 48 wieku swego doświadczona,

Do skarbów wieczności zabrana jest

d. 2 Lipca R. P. 1760.

Nakoniec na ścianie przy drzwiach kościelnych umieszczona wielka marmurowa tablica, zawierająca jeszcze obszerniejszy napis, jest grobowcem walecznego i znanego w dziejach Walentego Chomentowskiego, zmarłego w r. 1604; właściwie zaś sęto dzieje całej téj rodziny. Napis ten zdjąłem choćby dla osobliwości; brzmi on następnie:

D. O. M.

Piis manibus

Magnifici Domini

Valentini de Chomentowo Chomentowski

Natalibus, factis, conjugio, Prole, clari. Qui foris sub Regibus Sigismundo Augusto, in omnibus fere expeditionibus miles. Stephano Bathoreo sub Gedano, Wielkołuki, Połocko, nominatissimi illius Equitum Tribuni Pękosławski Capit. Sandomirien. Vicarius. Sigismundo III bellorum cum Maximiliano Austriaco, Valacho aliisque sui temporis Patriae hostibus particeps. Domi omnibus virtutibus, nobilem facientibus ornatus, ex antiquissima cum Illustrissimis Familiis juncta Strzeszkowiorum Familia, accepta consortie, tulit copiosam sobolem et generosam. Cujus quot filii, tot fere Turcicis, Sueticis, Valachicis trophaeis insignes usque modo quamvis conjugis et prole Patriae exhibitis adhuc sub armis, conensesunt. nam medius dedicata strenue operibus martis tota juventute, et pariter virilis aetatis se in Christi perpetuam militiam, sub vexillum Seraphici Francisci, in phalangem Minorum Observantium vulgo Bernardinorum, transtulit. Filiae autem praecipuis sui districtus Familiis, elocatae. Tandem Deo, suis omnibusque charus, Ecclesiasticis Sacramentis praemunitus, obiit sexagenarius, circa Annum Domini 1604. Huic amantissima et moestissima conjunx Magnifica Domina Zophia de Strzeszkowice Chomentowska 45. post decessum pie defuncti anno, cineribus ipsius jam plane consumptis, in signum amoris conjugalis, nunquam consumendi parvulos pronepotes gremio bajulans et o dolendam mortalium conditionem non videns praec senio, titulum hunc posuit, et aram, ipsa jam fere centesimum annum agens, ad quam qui accesseris memor rerum humanarum clementi Deo, animam demortui commenda. Et si sapis, tuam cura posita sunt Anno Domini 1647.

Co znaczy po polsku: B. N. W.

Drogim cieniom Jaśnie Wielmożnego Pana Walentego z Chomentowa Chomentowskiego, jaśniejącego urodzeniem, czynami,

związkiem małżeńskim, potomstwem, który zagranicą pod królami Zygmuntem Augustem we wszystkich prawie wyprawach wojskowo służył; za Stefana Batorego pod Gdańskiem, Wielkimi Łukami, Połockiem jako namiestnik owego znakomitego dowódcy jazdy, Pękostawskiego starosty sandomierskiego; za Zygmunta III był uczestnikiem wojen z Maksymilianem rakuskim, z Wołoszynem i innemi owego czasu ojczyzny nieprzyjaciółmi prowadzonych; w kraju zaś ozdobiony wszystkimi uszlachetniającemi go cnotami, pojąwszy małżonkę z najstarożytniejszej rodziny Strzeszkowskich, spokrewnionych z najpięrowszemi domami, spłodził liczne i znakomite potomstwo, z którego ilu synów, tylu prawie zaszczyconych było zwycięzców tryumfami na Turkach, Szwedach i Wołoszy odniesionemi, aż do niniejszej chwili. Chociaż związkami małżeńskimi połączeni, i chociaż ojczyźnie potomstwo zostawili, dotychczas pod bronią starzeją się, albowiem średni poświęciwszy całą młodzież świetnym czynom Marsowym, podobnież w wieku męzkim zaciągnął się do ciągłej służby Chrystusowej pod chorągiew św. Franciszka Serafickiego w szeregi mniejszych Obserwantów, pospolicie Bernardynami zwanych. Córki zaś zostały połączone z rodzinami w powiecie znakomitszemi. Nakoniec Bogu, krewnym wszystkim miły, opatrzony świętymi Sakramentami, umarł mając lat 60 około roku Pańskiego 1604. Temu najprzywiązana i najzałośniejsza małżonka JW Pani Zofia ze Strzeszkowic Chomentowska w 45 roku po zgonie świętobliwie zmarłego, po zupełnem prochów jego zniszczeniu, na znak miłości małżeńskiej nigdy nie wygasłej, maluczkich prawnuków na swém łonie piastując, a smutnego śmiertelników stanu z powodu zgrzybiałości oczami nie oglądająca, nagrobkowy ten napis wyryła i ołtarz postawiła, do którego każdy przystępujący pomnąc na zmienność rzeczy ludzkich, niechaj duszę nieboszczyka poleca Bogu najlaskawszemu, a jeżeli roztropny, niech o swojej pamięta. Wystawiono roku Pańskiego 1647.

Zresztą, obrazy w tym kościele nie odznaczają się sztuką; ciekawym jest tylko zbiór portretów nad chórem umieszczonych, a dobrodziejów kościoła wyobrażających, z jednej strony mężczyzn, z drugiej kobiet. Szkoda tylko, iż malowidła te już są nadpsute i że nikt nie wie kogo one przedstawiają.

Obejrzawszy te główne ze względu swęj starożytności kościoły, udałem się do tutejszego gimnazjum gubernialnego, przy kościele ks. Pijarów znajdującego się, pod których zarządem szkoła

ta założona, do r. 1832 zostawała. Ma i ten instytut swoją historią: jeszcze przed wprowadzeniem Pijarów była już w Radomiu szkoła parafialną zwaną, w której wyższych nauk, filozofii nawet uczono. Utrzymywali ją swoim kosztem obywatele, a mianowicie pleban radomski; nauczycielów zaś sprowadzano z krakowskiej lub zamojskiej akademii. Atoli pamiętna za czasów Jana Kazimierza ze Szwedami wojna, Radomiowi, jakśmy już mówili, tyle przyniosła klęsk, iż obywatele tutejsi przywiedzeni do ubóstwa, nie byli w stanie nadal żadnej szkoły utrzymywać. Zaniechano sprowadzania nauczycielów, i Radom nie miał odtąd szkoły, gdzieby młodzież początki przynajmniej nauk, lub głównejsze religii i moralności pobierać mogła zasady. Dopiero w początku panowania Jana Sobieskiego niejaki Jan Lewiński obywatel Radomia, człowiek kochający nauki, postanowiwszy kosztem i zapisami swemi powrócić tu szkoły, chciał je powierzyć Jezuitom; lecz szczęściem dla tego miasta, ojcowie ci nie widząc dla siebie na przyszłość żadnej korzyści, ofiary téj nie przyjęli. Wtedy udano się do Pijarów, którzy mniej na własny interes bacząc zjechali do Radomia, i objąwszy zapisy i nowo poczynione fundacye, około zaprowadzenia szkół i konwiktu szczerze krzątać się poczeli. Lecz nie było to łatwo przy szczupłych i ograniczonych funduszach z dobrą chęcią tylko, a z ubogimi darami. Trzeba było wypadku i to dość krotofilnego, aby chwiejący się już ten projekt szczególnym sposobem utrzymany został. Oto co opowiada historia zgromadzenia księży Pijarów w Radomiu. Gdy w r. 1680 prokurator téj nowój fundacyi ks. Hieronim Zawadzki stanął na rynku miasta i kamienie na ten cel przeznaczoną obejrzyć przedsięwziął, w tak złym zastał ją stanie, że z bojaźnią przestępował jej progi, aby w jej gruzach pogrzebanym nie był. Stroskanemu, cała przyszłość stanęła na myśli; przewidywał trudności, przeszkody, niemożność wzniesienia kollegium, gdy niespodzianie ujrzał przed sobą trzech poważnych w kontuszach, z zawieszonymi wąsami szlachciców. Byli to Gaspar Kochanowski podśudek ziemski sandomierski, Mikołaj Pakostawski kasztelan połaniecki i Świętosław Antoni Pigłowski cześnik kijowski. „Nie odwiedziłeś nas Mości księżo, rzecze pierwszy podśudek, podając szeroką dłoń zdziwionemu Pijarowi, a przecież my to twoi przełożeni jesteśmy. Cała okolica zowie mnie *Generalissimus omnium Piiacorum*, Pakostawskiego *Provincialis*, a Pigłowskiego *Guardianus*. My jesteśmy przełożeni *Piiacorum*, wy Pijarami się zowiecie, więc blizkie nazwisk

podobieństwo." Tego téż tylko zręcznemu Pijarowi było potrzeba. „Dobrze, odpowiedział im nisko kłaniając się; Bogu niech będą dzięki, że w tém mieście znajduję przełożonych moich: nie będę się więc troszczył o zaspokojenie potrzeb, bo przełożeni moi zapewne o nich pamiętać będą." Nie było rady na tak stosowne znalezienie się. Szlachta obecna zaraz składkę i wsparcie przyniosła. Kochanowski odtąd szczególnym został dobrodziejem Pijarów radomskich, a za jego przykładem prawie wszyscy obywatele z powiatu niesli im z pośpiechem pomoc i wsparcie. Napotkane w następnych latach trudności, gdy znowu upadkiem temu tak świetnie zaczętemu zakładowi groziły, ostatecznie zapobiegł nowy dobroczyńca Marcin ze Smogorzewa Wąsowicz stolnik zakroczymski, który zapisami w latach 1684 i 1688 znacznych summ pieniężnych dla collegium i na utrzymanie uczni, prawdziwym tego instytutu założycielem został. Atoli pierwiastkowém collegium był to tylko zbiór wyporządkowanych kamienie, połączonych z sobą kościołem drewnianym, aż do roku 1737. Wtedy dopiero, gdy ks. *Antoni Konarski*, brat Stanisława znanego w dziejach wychowania krajowego męża, został rektorem; zaraz rozpoczął budowę tutejszych gmachów i takowe przed rokiem 1756 ukończył. Podniósł je na piętro całe, i wewnątrz urządził. Presbiteryum ozdobił wymurował, resztę zaś kościoła drewnianą zostawił. Stosownie do jego planów kościół pijarski w Radomiu miał być znaczną budowlą; wchodziłby frontem aż w rynek miasta i byłby jedną z najcelniejszych jego ozdób, lecz rozmaite znowu przeszkody nie dozwoliły tego zamiaru dokonać.

Za rządu austryackiego szkoła radomska otrzymała tytuł gimnazjum: lecz gmachy jej na potrzeby administracyjne były zajęte. Dopiero po roku 1815 domy szkolne pierwiastkowemu przeznaczeniu zwrócone, stały się odtąd spokojnem dla nich schronieniem. W roku 1817 na stopień wojewódzkich wzniesione, w 1820 wsparte znacznym zasiłkiem i pieniężnym funduszem, wybudowano znowu nowy dom tyle czyniący ozdoby miastu, w którym wraz ze szkołami i trybunał pomieścił się. Z gmachem tym łączy się kościół, stosownie do legatów cały z muru ukończony, dość obszerny, skromny wprawdzie wewnątrz, ale bardzo porządny i kształtny. Dziś gimnazjum gubernialne tutaj mieszczące się, w zakresie przepisanej nauki prowadząc, piękną i liczną ma bibliotekę, w ozdobnej sali znajdującą się,

tudzież wzorowo utrzymywane gabinety, szczególnie do szkoły realnej należące.

Otóż wszystko, co do wspomnień i zabytków starego Radomia. Ależ i terazniejszy, zasługuje, aby go poznać; ze względu zaś statystyki w obecnym jej pojęciu uważanej, nawet świetnie i zaszczytnie przedstawić się może. Mówiłem już, jak Radom schludną a ozdobną ma powierzchowność; bo też rzeczywiście ten szereg kamienie w długą linią od ulicy Rwańskiej do końca ogromnej i szerokiej ulicy Lubelskiej wyciągniętych, liczne sklepy, okazałe budowle, a nadewszystko wiele stawiających się gmachów, przyjemne na podróznym sprawia wrażenie. Początek tego wzrostu, równie jak wszystkiego co tylko u nas jeszcze się wznosi, od roku 1815 datuje się; bo chociaż Radom był przedtym cyrkułowem, a następnie departamentowem miastem, nie to nie przeszkadzało, iż błoto i nędza przygniatały go tak, jak i inne polskie miasteczka. Odtąd, może dlatego, iż wszystko w gruzach leżało, powstał i odmłodził Radom, tak, iż już w r. 1822 ludność miasta wynosiła 2824 mieszkańców, a murowanych domów 46, drewnianych zaś 201 znajdowało się. Niebawem porządkiem nawet przed innemi zaczął przodkować. Jakoż przed rokiem 1829 zwiedzający to miasto podróżni, już je nazywali częścią Warszawy, a zachwyceni jego czystością, świeżością, zapominali; iż są w prowincjonalnym miasteczku. Pałac b. kommissyi wojewódzkiej, dziś rządu gubernialnego, niedawno był wtedy dopiero ukończony, a leżał w oddaleniu za miastem: snadź dlatego, aby miasto do siebie przyciągnął i skłonił do zabudowania tej przerwy. Ogród publiczny był tylko co na łąkach założony; młody jeszcze, lecz obszerny i z dwóch stron miasto obejmujący, ulice i uliczki przerzynały go w różnych kierunkach, wszystkie wysypane żwirem, ozdobione klombami i kwiatami. Starożytny kościół farny wyrestaurowany, podobnie otaczały klomby z kwiatami, i dziwną sprzeczność z powagą zaczernionych murów tworzyły.

Lecz prawdziwy i olbrzymi że tak powiedzieć można wzrost Radomia, poczyna się dopiero od czasu złączenia b. gubernii kieleckiej z sandomierską, i pod zarządem terazniejszego gubernatora cywilnego JW. Rz. Rady Stanu Edwarda Białoskurskiego. Słabe i nieudolne jest moje pióro do skróślenia zasług i cnót tego światłego a dobru ludzkości poświęconego męża, oraz znakomitego urzędnika; zwłaszcza, iż fakta i rzeczywistość wyższe są nad wszelkie pochwały. Atoli do zmian, które najwięcej na pomysł-

ność Radomia wpłynęły, należą bez zaprzeczenia starania gubernatora około osuszenia miasta podjęte. Miasto to bowiem jest w niskim położeniu, z zaskórną wodą, która przedtém wszystkie piwnice zalewała, a wyziewy rzeczki Mleczny nadzwyczaj zdrowiu szkodliwe, wielką śmiertelność sprawiały. Teraz, podług planu samego gubernatora, zrobiono podziemne kanały, które wszystkie wody z piwnic przyjmują; sporządzono sączki naokoło domów dla ochronienia się od napływów wód zaskórnych; spuszczone dwa stawy, które znacznie podnosiły wodę na rzece Mlecznie; nakoniec uregulowano koryto tójże rzeczki, aby nie dopuścić jój rozlewu, który właśnie owe zgubne wyziewy formował. Skutkiem więc tego wszystkiego, miasto już prawie zupełnie zostało osuszone, a ludność tak szybko podniosła się, iż gdy przed r. 1848 Radom liczył 6000 stałych mieszkańców, dziś ma już przeszło 11000; zdrowie zaś ogólne równie szczęśliwe okazuje rezultaty. Staraniem terażniejszego gubernatora otworzono nowe ulice, wyporządzono rynek, całe miasto wybrukowano, a na niektórych znaczniejszych ulicach marmurowe po obu stronach dano chodniki. I wesołym, ozdobnym teraz jest Radom; a domy jakby czarodziejską ręką coraz to nowe z ziemi wyrastając, zapelniają przestrzeń do gmachu Rządu Gubernialnego wiodącą, przed laty na odosobnieniu będącego, dziś zaś już zupełnie zabudowaną. Gmachy téż publiczne prawie wszystkie dopióro za tego czasu są wystawione, lub jeszcze budują się. Tak ratusz podług planu Henryka Markoniego w roku 1847 wymurowany; szpital św. Alexandra, najwspanialszy pomnik dobroczynności tutejszych mieszkańców, ze składek prywatnych w r. 1848 wystawiony; szpital starozakonnych w tym roku wzniesiony; gmach Towarzystwa Kredytowego na ukończeniu, równie jako i okazała budowa teatru z salami resursy wznosząca się. W obliczu tylu faktów, nazwisko terażniejszego gubernatora nieodłączne jest, a jegoto pracy, zachęceń, staraniom i pomocy wszystko przypisują. Tak dobrze więc na jego stronę usposobiony udałem się do niego z poleceniami, które od władzy mojej otrzymałem; a to co poznałem i własnymi oczyma oglądałem, dopełniło uroku, jakim od czasu przyjazdu mego do Radomia otoczony zostałem.

Niegdyś przed laty byłem w Anglii, kiedy ta podróż była jeszcze trudną i nie tak pospolitą. Widziałem tam zbiory publiczne, muzea prowincjonalne tworzące, w których miałeś wszystko,

co w każdej prowincyi kopie, rośnie, wyrabia i znajduje się; a patrząc na te użyteczne a tak praktyczne zbiory, nieraz w myśli żałowałem, że u nas czegoś podobnego nie mamy. Z jakąż więc radością i szczęściem ujrzałem wchodząc do gabinetu gubernatora, że właśnie taki zbiór posiada już gubernia radomska. Opiszę wam szanowni czytelnicy ten gabinet dla przykładu i wiadomości waszjej, i nie już nie będę mówił o właścicielu, bo wiem, że dopełnić sobie reszty i ocenić jego myśli potraficie.

Gabinet ten jestto obszerna i wysoka sala, mająca ze wszystkich stron szafy, w których umieszczone są porządkiem rzeczy kopalne, roślinne, zwierzęce, a naostatek wyroby rąk ludzkich, co wszystko nie przechodzi poza obręb gubernii radomskiej. Zastanawiają tam naprzód szafy z ptastwem i innymi zwierzętami, które w gubernii po lasach, górach i polach żyją. Niektóre z nich są w ślicznych exemplarzach i bardzo starannie wypchane. Pomędzy temi z rozmaitych odmian orłów celuje orzeł z okolic Szyca, koło Pieskowej Skąły złapany, ze wspaniałego i ogromnego kształtu, i orzeł z niebieską skórką na szyi z Kozienic, tudzież czarny bocian w Brzesku nad Wisłą złapany, i wiele innych aż do najdrobniejszych skowronków i wróbli, a których nazwiska i pochodzenia, pomimo iż każdy ma u dołu na podstawie napis, nie powtarzam z obawy, abym spuszczać się na pamięć, jakiego zoologicznego anachronizmu nie popełnił. W podobnymże komplecie są i zwierzęta. Dalej znowu wszystkie minerały, starannie z napisami gdzie kopiają się, poukładane: od prostych kamieni i piaskowców rozmaitych, aż do kilkudziesięciu gatunków marmurów w tej jedyniej gubernii znajdujących się. Podobnież liczne są kruszce, w rozmaitych stanach i exemplarzach żelazo, srebro, miedź, ołów i t. d.; wszystkie gliny i glinki, krędy, ziemie i nakoniec osobliwości pod względem naukowym, jakoto: skamieniałości, muszle, amonity i t. p. Osobna szafa zawiera szczególniejszą bibliotekę z drzew leśnych ułożoną; sąto książki wyrobione z każdego drzewa w lasach gubernii rosnącego, na których masz korę, słoń drzewa pod heblem i politurą zosobna. W środku takiej książki znajduje się pod względem botanicznym zasuszona gałązka z liściem, kwiatem i owocem, tudzież dwie skrytki, w których w jedyniej masz korzeń, wiór i węgiel, w drugiej zaś na osobnej kartce opisane są: nazwisko drzewa, jego własności i miejsce rośnienia. Niemniej ciekawą jest szafa, zawierająca rozmaite przedmioty handlu i przemysłu téjże gubernii. Znajdują się tam próby wszystkich

wyrobów w naturze i sztuce, od jedwabiu aż do konopi, rozmaite rodzaje skór, drutów, odlewów, modeli machin lub szczególniejszych instrumentów, które tu wyrobione zostały; nareszcie cały zbiór w najodborniejszych formach wyrobów z fajansu i porcelany fabryki w Ćmielowie. Pomędzy modelami znajduje się tu prawdziwe cacko i wzór cierpliwości ludzkiej, to jest model z miedzi i mosiądzu w drobnych kształtach wyrobiony maszyny parowej, w Białogoniu pod Kielcami znajdującój się, który we wszystkich częściach wiernie całą maszynę naśladuje; tém zaś jest interesowniejszy, iż wyrobił go w r. 1845, sam, bez nauki, dawny czeladnik tameczny i rodem z okolic, p. *T. Werdein*. Dodajmy do tego, iż w odstępach szaf mieszczą się meble lub ozdoby podobnież tamecznego wyrobu z drzewa, żelaza lub marmuru; pomiędzy temi ostatniemi zastanawiają wyroby z marmuru wieśniaka z Słupca, i z marmuru chęcińskiego patery, wazy i kolumny, dzieła tamecznych żydów. Najpiękniejszym atoli pod tym względem jest stolik, którego blat w sposobie mozaiki 48 odmianami i gatunkami marmurów krajowych jest wyłożony.

Dopełniają całości porozwieszane na ścianach obrazy, przedstawiające najpiękniejsze krajowidy słynnych i znanych tutejszych okolic, nareszcie zbiór starożytności, które w ziemi były wykopane lub znalezione. Co do obrazów, zacny właściciel przekroczył granice miejscowości; a miłośnik téj pięknej sztuki, może w celu zachęcenia do zbierania lub cenienia tego rodzaju utworów, przesłizne dzieła włoskich, flamandzkich i francuzkich artystów z naszymi pobratał. Pomędzy temi obrazami zasługują na wspomnienie; z obcych:

Van der Meera dwa parzyste obrazy, przedstawiające dwóch smakoszów w półfigurze: praca rzadkiej piękności i prawdy.

Van Ostada wieśniak holenderski siedzi zamysłony przy ognisku; jak wszystko tego mistrza, ślicznie i z wielką prawdą wykończony.

Weicka Tomasza garncarz przy warsztacie; mały, lecz bardzo ładny obrazek.

Rembrandta Pawła kobieta przy jedzeniu; równie dobry obrazek.

Rubensa Pawła obrzezanie P. Jezusa; cudny szkic do wielkiego obrazu.

Dietricha W. M. krajobraz: widok wioski w czasie zimy; z podpisem malarza.

Bourgignona widok bitwy, przedstawiający potyczkę jazdy. Dzieło nieporównanego w tym rodzaju artysty.

Casanowy Franciszka dwa wielkie krajobrazy, z których najlepszy przedstawia cyganów obdzierających podróżnego na gościńcu.

Franka, portret nieznanego mężczyzny.

Pan Jezus na krzyżu: obraz szkoły włoskiej, przywieziony z Rzymu i darowany przez Franciszka Smuglewicza Niegolewskiemu ostatniemu opatowi Benedyktynów Świętokrzyskich.

Trzej królowie: mały obrazek na drzewie dawniej szkoły włoskiej z XV wieku, z zamku szydlowieckiego pochodzący.

Rzeźnicy oprawiają wieprza: obrazek flamandzki z rzadką prawdą i wykończeniem oddany.

Z krajowych malarzy znajdują się tu obrazy:

Zaleskiego Marcina, widoki.

Głowackiego Jana Nepomucena krajobrazy.

Suchodolskiego Januarego, Arab na koniu. Dwa krajobrazy: jeden widok burzy na lądzie, drugi na morzu przedstawiający; prace rzadkie w tym rodzaju tego artysty. Nakoniec szkic tegoż do znanego obrazu ostatniej chwili życia Stefana Czarnieckiego, szkic tak ładny, że wykończonemu obrazowi w niczem nie ustępuje.

Takim jest gabinet tutejszego gubernatora, któremu o ile z radością przyglądałem się, o tyle ze smutkiem opuściłem; bo czyż ujrzę u nas coś jeszcze podobnego, lub czy znajdzie ten przykład naśladowców!

Osobliwością Radomia jest także znakomity zbiór książek p. Jana Łaskiego, prokuratora przy tutejszym trybunale. Zaprowadzono mnie do niego, a z tytułem autora i bibliografa, łatwo wstęp zyskawszy, chętnie i z uprzejmością miałem wszystko pokazane. Światły ten prawnik szczególnie w swoim przedmiocie ma rzadko dobraną bibliotekę, z wielką starannością i zamiłowaniem zgromadzoną. Prawo i historia krajowa są zatem u niego najbogatsze, i w tych oddziałach ma nawet tak zwano w bibliografii polskiej *białe kruki*.

Pomiędzy innemi znalazłem tutaj sławny inkunabuł statutu praw Kazimierza W. w Wislicy w r. 1347 uchwalonych, które pierwszy raz przed statutem kanclerza Łaskiego upowszechnione drukiem zostały.

Rzadkośćo niepospolita, o której wiele i wielu rozprawiało; o tym inkunabule nawet dr. Oelrichs jeszcze w r. 1768 osobną i bardzo dokładną rozprawę napisał. Nakoniec Jan Daniel Hoffman, Janocki, Czacki, Jerzy Samuel Bandtkie, Felix Bentkowski, Ossoliński i inni, albo z jedynych exemplarzy w Krakowie i Porycku niegdyś znajdujących się, albo na wiarę za drugimi powtarzali.

Najdokładniejszy wszakże opis znajduje się w Bibliograficznych Księgach w t. I od str. 56, i gdzie dwa wydania wariantów tego statutu odróżnione zostały, a z czego pokazuje się, że exemplarz radomski jest przedrukowaniem i edycją rzadszą od pierwszej, wydany zaś w Lipsku u Melchiora Lottera pomiędzy rokiem 1489 a 1490, należy do najpięrszych tój drukarni płodów. Prawdziwém atoli bogactwem zbioru ksiązek p. Łaskiego są rękopisy prawne, a mianowicie: autograf dziwnój rzadkości statutu Mikołaja Taszyckiego prawnika i mówcy za Zygmunta Igo, który jakkolwiek był drukowany w Krakowie w r. 1532, Czacki jednak o nim wspomina (O Lit. i pol. pr. I, f. 33) że tylko dwa exemplarze całe, a dwa uszkodzone w życiu swojém widział. Załuski zaś długo go poszukiwał. Przyczyną tój rzadkości było, że wkrótce po wyjściu na świat tego dzieła, exemplarze wykupywano i niszczone. Rękopism radomski jest bez tytułu, piśmem początku XVIgo wieku; brakuje w nim piątój, tojest ostatniej księgi, gdyż kończy się na wyrazach: *Finis quarti Libri Statutorum Regni.*

Niemniej ważnym jest własnoręczny rękopism statutu Jana Januszowskiego, wcale innego od drukowanego w Krakowie w r. 1600. Jestto nowy zbiór praw w języku polskim: dzieło niepospolite i praca ogromna. Exemplarz wprawdzie bez tytułu, lecz zresztą cały, a na końcu i tytuł i dowód nazwiska autora znaleźć można. Tamże spis rzeczy i przedmowa są umieszczonemi. Wypisałem jedno i drugie, aby ciekawy czytelnik wartości całego dzieła osądził. Pięrszy tak zaczyna się:

„Verificatio albo zgadzanie statutu ks. Jana Januszowskiego z statutami Łaskiego i Herburtowemi, łacińskimi i Constitucjami polskimi wszystkimi aż do roku 1609 inclusive.” Poczém następuje przedmowa: „Do łaskawego czytelnika ks. Jan Januszowski. Aby się dostatecznie wiedzieć mogło jakim porządkiem szły prawa w statutach Łaskiego i Herburtu, i które prawa w którym były, i gdzie tych praw wszystkich tu w tym statucie moim szukać, i aby się okazało jeśli się prawo które z tych statutów nie opuściło,

zdało mi się za rzecz potrzebną tę verificatią tu na to miejsce przyłożyć. Naprzód tedy ukazują się folia statutu Herburtowego, druku krakowskiego pod literą H. K., i druku Zamojskiego pod literą H. Z. a przy nich początki praw łacińskie i polskie rzędem obicadła tychże statutów Herburtowych. Po nich idą folia statutu Łaskiego pod literą Ł., a po nim folia statutu drukowanego mego pod literą I. Ten iż się na wieczne, roczne i apokrypha w pisanim nowym dzieli, otóż gdzie które prawo jest, jeśli w wiecznych, tedy pod literą W; jeśli w rocznych, tedy pod literą R; jeśli w apocryphis, tedy pod literą A tam się najdzie, według liczby na karcie naznaczonój. Przy czym trzeba wiedzieć, że pod literą Herburtowego krakowskiego druku najduje się litera B, która znaczy drugą stronę karty tegoż statutu Herburtowego, w nim bowiem folia na drugiej stronie karty znaczone nie były, przetoż tą literą B znaczyć się prawi musiały."

„Po tym zgadzaniu statutów pomienionych idzie zgadzanie drugie z constituciami wszytkimi, począwszy od króla Zygmunta Augusta roku 1550, aż do roku 1600 inclusive. Po tych wszytkich verifikacyach każdy łącno znajdzie gdzie w którym statucie i na której karcie które prawo jest opisane. Czytelnik łaskawy jako inszą pracę, tak i tę niech odemnie z łaską przyjmie."

Tekst tego rękopismu zaczyna się od podziału pierwszego z tytułem. Porządek tytułów i praw wiecznych: prawa wieczne królewskie, statuta praw, constitucie koronne wieczne, księga pierwsza; wtóra księga podobny ma tytuł, z dodaniem, że prawa są roczne; trzecia zaś zupełnie odmienny, następny: Apocrypha to jest prawa i nie prawa różnym czasom służące, niewłasne, zastarzałe, abrogowane, niepotrzebne, wątpliwe, nieskończone, żydowskie, księga trzecia.

Będzie to zatem ostatnia praca tego autora, dworaka, prawnika, drukarza, naostatku plebana w Solcu, który w tym stanie w roku 1613 umarł i snadź przed samą śmiercią rękopism ten do druku wygotował. Pisał go zaś już w stanie duchownym, czego dowodzi głoska X do imienia jego w przemowie dodana. Szczególném zdarzeniem weryfikacya o której wyżej mowa, czy przez samego Januszowskiego, czyli téż po jego śmierci osobno z druku wydaną została, z opuszczeniem wszelkiój wzmianki o istnieniu ostatniego dzieła. Wyszła ona bez głównego tytułu, bez miejsca druku i roku, w arkuszu, karty nieliczbowane, sign. A Diiij; sądząc po czcionkach, zapewne w Krakowie. Jeden z takich egzemi-

plarzy, w bibliografii polskiej nieznany, znajduje się w bibliotece głównej Okr. N. W.

Wreszcie w zbiorze p. Łaskiego znajduje się także tom 3ci tak zwanych akt Tomickiego, obejmujący rok 1515, w którym tyle spraw ważnych się zdarzyło: był zjazd panów litewskich w Brześciu dla układów o żółd zaległy zgromadzonych, gdy starano się pokój z Rosyją skojarzyć, i w którym opis zjazdu monarchów w Wiedniu skreślony. Jestto jednak tylko wierna kopia dobrze i starannie z egzemplarza krakowskiego przepisana.

Daléj pięknie dochowany rękopism łaciński, rodzaj inwentarza praw, materyami sądów rozdzielony, a do roku 1543 doprowadzony, mający tytuł: *Compendium Statutorum Regni Poloniae summarie per ordinem et regestrum diligentissime conscriptum; folio.*

Inny znowu zawiera dekreta prawne z rozmaitych spraw sądowych, po łacinie, charakterem XVI stulecia pisane i dopełniane. Nie ma on ogólnego tytułu, lecz dzieli się na 8 części, każda z osobnym napisem: 1) *Regestrum decretorum officii succamerialis*; 2) *Regestrum decretorum in causis ex officio*; 3) *Judiciorum novorum*; 4) *Sacrae Regiae majestatis in causis criminalibus*; 5) *in causis coram officio commissoriali*; 6) *Officii Castren.*; 7) *Compendium decretorum judicii ordinarii Generalis Tribunalis Regni*; 8) *Terrestria*. Kończy się zaś dodatkiem po polsku: Uchwała sądów głównych trybunału Wielkiego Księstwa Litewskiego na sejmie wolnym warszawskim, przez wszystkie stany sejmowi należące, koronne i Księstwa Litewskiego w roku Pańskim 1581 wydane.

Nakoniec pomiędzy osobliwościami ze względu sztuki kaligraficznój i malowania na pergaminie, zasługuje na wspomnienie dyplom na szlachectwo wydany 24 grudnia 1764 r. dla Wojciecha Jakubowskiego pułkownika wojsk francuzkich, znanego tłumacza bajek Lafontena, z własnoręcznym podpisem Stanisława Augusta króla, i Andrzeja Zamojskiego kanclerza wiel. koron. Nie zdarzyło mi się widziéć tak pięknie wypracowanego dyplomu, z szczególnie ozdobnym herbem i arabeskami naokoło, a robił go zaś nasz rodak ojciec Paulin warszawski, Antoni Bartoszewicz, jak o tém przekonywa na dole pomiędzy arabeskami a drobniuchnemi głoskami umieszczony następny napis: *Scriptis et adornavit P. Antonius Bartoszewicz Ordinis s. Pauli pr. Erem. in conventu Varsaviensi Pater senior A. D. 1764 aetatis suae 54, diebus Decembris, Varsaviae.*

P. Łaskiemu zawdzięczam nadto, że mnie poznał z tutejszemi numizmatykami, doktorami medycyny Janem Freyer i p. Walentym Siekaczyńskim. Obaj mają bardzo ładne zbiorki numizmatów i medali krajowych, dobrze ułożone i w pięknych egzemplarzach dochowane, między którymi są rzadkie i bardzo poszukiwane, zwłaszcza teraz, przy tak obudzonem w tej nauce zamiłowaniu. Dr. Freyer zbiera z całym zapałem i znajomością przedmiotu; ma też wiele osobliwości, których niełatwo gdzieindziej ujrzyć można. Pomiedzy innymi widziałem z tych, co spamiętać mogę, rzadki medal Myszkowskiego biskupa krakowskiego, w złocie, którego dotąd jedyny egzemplarz w Monachium tylko znajdował się; Jana IIIgo na pamiątkę zwycięstwa pod Wiedniem, przez Raczyńskiego nieopisany, w srebro; dwa medale: jeden na pamiątkę założenia, drugi na ukończenie kościoła Ewangelickiego w Warszawie, bite w srebro rzadkiej czystości stępla. Wiadomo, iż takich mało było wyciśniętych: zepsuł się albowiem prędko stępel i niewielką ilość całych w świat było puszczonej. Z monet od brakteatów począwszy ładny ma komplet: są tam rzadkie dukaty króla Michała, a jeszcze rzadsze Jana IIIgo koronne i gdańskie; prócz tego posiada znaczną liczbę dukatów Stanisława Augusta i całą swiętę srebrnych i miedzianych pieniędzy z tegoż panowania, szczególnie w czystych i dobranych egzemplarzach. Zbiór dr. Siekaczyńskiego podobnie ma swoje rzadkości: wielką donatywę Zygmunta IIIgo w złocie, liczny zbiór dukatów i srebrnych pieniędzy, oraz medali tak krajowych, jako i zagranicznych z osobna oddzielonych.

Rozstając się z Radomiem niepodobna mi nie wspomnieć o zbiorze obrazów niegdyś w tym mieście znanym, a po zmarłym Karolu Hoppen obywatelu i aptekarzu tutejszym pozostałym. Spotkał go los prawie wszystkich u nas zbiorów prywatnych, że po śmierci swojego właściciela po Bożym świecie się rozpraszają. Rodzina p. Hoppen właśnie sprzedaje dotąd częściowo niektóre bardzo piękne obrazy po tym szczególnym aptekarzu, amatorze i artyście; znaczna liczba przeszła już do zbioru p. Tomasza Zielińskiego naczelnika powiatu kieleckiego, inne ponabywano pojedynczo, reszta zaś jeszcze w dość znacznej ilości na sprzedaż jest wystawiona. Są tam piękne prace malarskie Ferdynanda Bol. Dietricha, kilka Flamandczyków prześlicznych, obrazy Tiepolo, Casanowy i t. d., portrety Lampiego ojca i Bacciarellego, nadewszystko zaś zbiór rysunków ręcznych po tym ostatnim malarzu pozostały, a z własnych lub nabytych przez niego prac składający się.

Znajduje się jeszcze do nabycia dobrany zbiór rycin, pomiędzy którymi kilka ze ślicznych odbić Rembrandta w wielkich rozmiarach, łoże Rafaela, Volpata i Morghena, ryciny Callota, Nanteila, Tardieu, Stef. Della Bella i t. d. Wszystko to pójdzie w rozsypkę, i bodajby tylko dostało się w ręce umiającego cenić nabywcy.

II.

Szydłowiec. — Wspomnienia historyczne. — Opis kościoła i pomników. — Portret Długosza — Wąchcok. — Kościół i klasztor pa Cystersach. — Ostatni Cysters. — Droga przez zakłady górnicze. — Wykopywanie urn pod wsią Nietulisko Duże i dzieje tego rodzaju starożytności. —

Miasteczko Kunów, wieś Boleszyn i mogiła pod wsią Kotarszyn.

Zbliżając się do celu mojej podróży, aby ją korzystniejszą uczynić, pojechałem na Szydłowiec. To zboczenie winien jestem uprzejmości i szczególnej dobroci towarzysza mojej podróży p. Józefa Bałandowicza assessora ekonomicznego, który chcąc mi wszelkie osobliwości, przy bliższych drogach znajdujące się, pokazywać, kierował moją podróżą i wstęp wszędzie ułatwiał. Szczęśliwym trafem znalazłem w nim najdoskonalszego *cicerone* i uczciwego pod każdym względem człowieka. Cieszył się on najserdeczniej, iż mógł pokazywać to, co sam tak kocha: piękne i urocze widoki naszego kraju, oraz szczątki zabytków po przodkach pozostałe.

Szydłowiec jest miastem rządowem; leży przy szosie warszawsko-kieleckiej o mil 5 od miasta powiatowego Opoczna. Ma 2 kościoły, ratusz murowany i domów mieszkalnych 211. Ludność jego składa się w większej części ze starozakonnych; liczy ich bowiem teraz 2,500, a chrześcian 1,200. Stosunek ten ciągle nawet wzrasta, gdy porównamy, iż w r. 1822 na ogólną liczbę 2,377 tutejszych mieszkańców, samych starozakonnych było 1,500.

Miasto to, jak wiadomo, było gniazdem Szydłowieckich herbu Odrowąż, od niego nazwisko swe biorących, możnej i głośnej w historii krajowej rodziny. Właściwie jednak tylko dwaj ostatni: Krzysztof i Mikołaj bracia Szydłowieccy, co rozumem i majątkiem słynęli. Połączyli się oni z pierwszymi domami w państwo, i jednocześnie prawie obaj bez zostawienia potomka płci męskiej zmarli. Jeden z nich właśnie Mikołaj kasztelan sandomierski

i podskarbi w. koronny tu mieszkał i umarł w r. 1530. Szydłowiec jako miasteczko założone zostało w r. 1427 także przez dwóch braci: Jakóba i Sławosza Odrowążów, którzy odtąd z Szydłowca pisać się już poczeli. Ma zaś dotąd w oryginałach lub w kopiach, w metryce koronnej znajdujących się, następnne przywileje: Kazimierza Jagiellończyka z r. 1470, w którym przenosi miasto z prawa polskiego na niemieckie; Alexandra z r. 1505, w którym król na prośby Mikołaja z Szydłowca podkomorzego i starostę radomskiego ustanawia tutaj dwa jarmarki roczne: na św. Wawrzyniec i we czwartek przed Niedzielą Kwietnią; Zygmunta I z r. 1508, ustanawiający co piątek targi tygodniowe; Zygmunta Augusta z r. 1550, którym mieszczanów Szydłowca uwalnia od cła i wszelkie handle prowadzić pozwala. Wszystkie te przywileje na prośbę Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła marszałka nadwornego litewskiego potwierdził Stefan Batory w Warszawie, na dniu 1 lutego 1578 r. Odtąd sami już Radziwiłłowie, bez odwoływania się do władzy monarszej, aż do końca zeszłego wieku zatwierdzali dawniejsze lub nadawali nowe prawa, urządzenia, podatki i t. p. Długo byłoby o tém pisać, jakich dowolności, co za uciski biedni mieszczańkowie tutejsi doznawali, dopóki porządek i prawo nadużyć tych nie usunęło. Skutkiem zamiany z księżną Anną Sapieżyną, ostatnią dziedziczką, miasto to na własność rządową przeszło.

Z dawnych gmachów Szydłowca ocalały: kościół farny i ratusz, budowle piękne i starożytne. Ratusz włoskiej XVI wieku architektury, z krytym dachem; wyższa część ściany służy do zakrycia tegoż i przyozdobiona jest okrągło zakończonemi niszami; po bokach sterczą wieżyczki, na środku zaś wysoka wieża, a na samym wierzchu chorągiewka z jednogłowym orłem. Ratusz ten zniszczony podczas przechodów wojskowych w r. 1812, wyrestaurowany został w r. 1829, jak o tém napis, na tablicy nade drzwiami głównemi umieszczonej, poświadcza. Dziś budowla ta w dobrym jest stanie i długie wieki przetrwać jeszcze może: tak silne są jeszcze mury i dobrze zachowane.

Dawniejszą jest nieco fara, znać też na niej wyraźnie zmarszczki czasu; pomimo to bardzo jest piękna budowa tej świątyni. Wystawiona w r. 1432 przez Szydłowieckich, ma herby Odrowążów po wszystkich stronach i na samej facyacie umieszczone. Styl budowli jest gotycki, lecz niezwykle tego wieku polskim kościołom, i okazalszy w zewnętrznych ozdobach. Cała z ciosu wysta-

wiona, ze skarpami na boku i z dachem spiczastym dachówką holenderską pokrytym, otoczona jest murem naokoło, przy którym kilka nagrobków tutejszych proboszczów się mieści. W ogóle zaś i w całości swój o ile oryginalną, o tyle prześliczną jest ta świątynia; lecz wymaga już reparacyi i wczesnego ratunku. Wielkimi drzwiami, z osobliwym i starożytnym zamkiem, wchodzi się do wnętrza równie wspaniałego, i w szczegółach niezwyyczajnego. Sufit tu cały jest z drzewa, zamiast sklepienia; na nim zaś obszerne i doskonale dochowane malowidła historyczne: we środku wyobrażony jest monarcha na tronie siedzący w purpurowym płaszczu, gronostajami podszytym, w koronie na głowie, w jednym ręku jabłko, w drugim berło trzyma. Otacza go grono świętych, pomiędzy którymi rozpoznać można czterech ewangelistów i czterech patronów kraju. Na dole pod królem następny jest napis: *Vir nicyte Sigismunde plebem tuam salva sancta intercessionem*. (Zygmuncie, mężu znakomity, ocal lud twój swoim wstawieniem). Co znaczy to szczególne wyobrażenie na suficie kościelnym, kiedy i przez kogo wykonane zostało?—o tém na miejscu dowiedzieć się nie mogłem. Lecz spodziewać się potrzeba po światłym terazniejszym proboszczu ks. Józefie Juszyńskim kanoniku katedry sandomierskiej, iż uporządkowawszy bogate tutejsze archiwum, rzecz tę, jak mi obiecał, objaśni.

Wielki ołtarz należy do tych rzadkich wyrobów z drzewa, których coraz mniej widzieć już można. Wystawiony współcześnie z kościołem, jest, jak zwykle w XV wieku ołtarze, w formie szafy, składany; ozdabiają go zaś rzeźby złożone i figury dobrego i wpraw nego dłuta. Po lewej stronie tego ołtarza umieszczony jest wspaniały z czerwonego marmuru grobowiec Mikołaja Szydłowickiego, zmarłego w r. 1530, który mu brat Krzysztof na rok przed swoją śmiercią wystawił. Śliczny ten pomnik doskonałego i bardzo starannego dłuta, wyobraża męczyznę bez brody i wąsów w postawie leżącój; rycerz w całkowitej zbroi, w czepcu z siatki robionym na głowie, jakoby śpiący na wezglowiu, na jednej ręce się wspiera, w drugiej trzyma włócznię z chorągiewką, na której herb Odrowąż; nogę ma jedną jakby do powstania zgiętą i podniesioną. Tuż obok niego leży przy boku szeroki miecz w pochwie, a u nóg szyszak z piórem strusiém na wierzchu, i znowu na owalnej tarczy herb Odrowąż. Wszystko to wybornie wykonane i doskonale dotąd zachowane, gdyż cała figura jest w pewnej wklęsłości, w ciosowe z arabeskami otoczyny wpra-

wiona i ukośnie na wzniesieniu także z ciosu umieszczona. U góry na tablicy marmurowej znajduje się napis, lecz tak zatarty, iż wyczytać go już w zupełności nie mogłem; nie masz go też w Starowolskim, a kto inny u nas od r. 1659 dotąd zdjęciem napisów grobowych po kościołach nie zajmował się.

Pomiędzy ołtarzami bocznymi, w jednej kaplicy znajduje się także bardzo starożytny składany ołtarz, sprawiony przez jakiegoś Szydłowieckiego, jak o tém herb Odrowąż kilkakrotnie powtarzany poświadcza. Sądząc z malowidła i ozdób, jest on dawniejszy od wielkiego ołtarza, a z osobliwości swój i starożytności bardzo szacowny. Malowidła na drzewie wyobrażają we środku historią męki Pańskiej, na 8 zaś tablicach są wizerunki wszystkich świętych. Według podania było ołtarz obozowy Szydłowieckich, którego następnie jeszcze jakiś Radziwiłł hetman używał, a potem na ofiarę w kościele złożył.

Naprzeciwko téj kaplicy wznosi się wprawdzie nowożytny, lecz bardzo piękny grobowiec. Jestto sarkofag w kształcie ołtarza z czarnego marmuru wystawiony, we środku którego, z czystego białego kararyjskiego marmuru wyrobiona jest niewiasta, na wzór grecki w długą szatę od stóp do głów obwinęta, która w postaci siedzącej z wyrazem smutku i rozpaczony na urnie się wspiera. Dzieło to szczególnie w draperyi udatne, jest dłuta Jakóba Monaldi, znanego spycerza na dworze Stanisława Augusta, jak o tém na boku następny napis poświadcza: *Monaldi Rom. inv. et sculp. 1790.* Wystawił go zaś naprzód Mikołaj książę Radziwiłł starosta radoszkowski dla żony swój z domu Gawdzickiej, siostry jednego z tutejszych proboszczów, lecz nie dokończywszy go, zmarł 1795 roku. Dopiero brat téjże żony pochował ich razem, i grobowiec dla obojga przeznaczywszy, dokończył.

Skarbiec kościelny tutejszy, do którego prowadzą starożytne żelazne drzwi ze sztucznym i niedobyłym zamkiem, sprawionym dopiero wtenczas, kiedy najbogatsze rzeczy były już zład skradzione, nie posiada już ani złotych, ani srebrnych naczyń, o których drogości i wytwornój robocie inwentarze wspominają. Jeden tylko srebrny pozłacany dawny kielich ocalał, ofiara biédnej kobiety, która może całe swe mienie na to obróciła. Nie zaleca się on sztuką, lecz ma następny bardzo wymowny pod spodem umieszczony napis: *Najswiętszy Krwie i Ciula Pana Jezusa, z krwawych prac swoich Magdalena Przekupka.*

Nakoniec do osobliwości téj świątyni należą także schody z ciosu, nader sztucznie wyrobione, a na dach prowadzące, tudzież wiązanie dachu, które wszystkich zwiedzających budowniczych i cieśli zadziwia. Niepodobna bowiem sobie wystawić co to za las jest belek i krokwi wysokich i grubych, w tysiączne i ozdobne sposoby łączących się.

Z kościoła poszliśmy do plebanii, ze schludnego i pięknego domu składającój się. Tam w jednéj izbie wiszą portrety poprzedników terażniejszego proboszcza, pomiędzy któremi w kącie, na czerniałém od starości malowidle, odkryłem portret Jana Długosza, nieśmiertelnego naszego dziejopisa. Nie jestto zapewne portret współczesny, lecz widocznie z prawdziwego i dawnego obrazu, jeszcze w XVI wieku kopiowany. Poznać to z rysunku i napisu na nim umieszczonego. Takiego wizerunku Długosza nikt, o ile mi wiadomo, nie zna. Wyobrażony on jest już w podsztych latach, z postrzyżonemi włosami i brodą, w stroju kanoniczym; twarz ma wywiedłą i zmarszczkami poraną, lecz oczy i czoło szczególnego wyrazu i rozumu. Jakim wypadkiem portret ten tam się znajduje, opowiada oddawna przechowywane podanie, które mi szanowny terażniejszy proboszcz udzielił. Niedaleko od Szydłowca, w tymże samym powiecie leży wieś Długosz, z której historyk nasz ma pochodzić i gdzie na pamiątkę tego, w dawnym kościółku portret rzeźbiony był zawieszony; zlamtąd go zaś jeden z proboszczów do swego mieszkania przeniósł. Ależ jak dotąd wiadomo, Długosz historyk w Niedzielsku się rodził. Był on jednak kanonikiem sandomierskim, a nawet proboszczem w Odechowie, niedaleko od téj wsi położonym, i wtedy może kościółkowi tam będącemu, dla tożsamości nazwiska portret swój darował. Cóżkolwiekby, zawsze pomnik ten ważny i bardzo ciekawy, ze wszech miar zasługuje, aby go sztychem lub litografią rozpowszechnić.

Z Szydłowca udaliśmy się do Wąchocka. Po drodze obejrzeliśmy zakład górniczy w Rejowcu, obecnie nieczynny, niemniej przeto wspaniałemi gmachami odznaczający się, i drugi taki w Parczowie, o 3 piecach kopulowych, jeszcze bardziej opustoszały, i smutne wrażenie sprawiający. Mieliśmy za to ciągle piękne widoki, bo kraj coraz stawał się górzystszym, a łąki i wzgórki lasami okryte, pomiędzy któremi role gospodarskie wyglądały, przyjemnie urozmaicały drogę. Za Wierzbicą, lichém miasteczkiem, jeszcze piękniejsze są widoki, a pod samym Wąchockiem najbar-

dziej zajmujące, bo oto wzgórze któremi jechaliśmy, a które zdala ciąglą równiną być się zdawały, nieznacznie posuwają się w górę i nagle przerywają się obszernym, że tak powiedzieć można, wąwozem. W nimto leży niewielkie miasteczko, pośród którego panują zdala czerniące się mury klasztoru Cystersów; smugi przerznięte rzeką Kamienną ciągną się w poprzek, a z drugiej strony w górę wspinają się łąny, po zebraném zbożu ścierniskiem bielejące, albo jeszcze zieloną jarzyną naprzemiany okryte. Widok to był śliczny i godny pędzla artysty; całą jego tylko winą iż jest krajowy, bo gdyby taki za granicą znajdował się, naprzódby go zdjęto na płótno i papier, a potem dawnoby po salonach naszych amatorów był znany. Lecz wróćmy się do naszej podróży.

W okolicy lesistój i czysto górniczój leży miasteczko Wąchock, do powiatu opatowskiego liczące się, a o wiorst 42 od miasta Opatowa odległe. Składa się ono z 167 domów mieszkalnych, które oprócz dwóch murowanych, wszystkie są drewniane. Ludność tutejsza w ogóle wynosi osób 1,117, pomiędzy któremi 124 tylko jest starozakonnnych. Są tu fryszerki rządowe, gdzie przekuwają surowiec żelazny na sztaby, do handlu i wyrobów zdatne.

Lecz największą osobliwością tego miasteczka jest kościół i ogromny w czworobok zbudowany klasztor, niegdy po Cystersach pozostały; od gmachów tych albowiem powstał Wąchock, a może nawet i cała osada początek swój wzięła. Wiadome są dzieje tego opactwa, bo troskliwi przełożeni na murach i ścianach przy wejściu do kościoła i klasztoru zewnątrz i we środku umieszczali napisy na marmurze wykute, a całą historją tego miejsca obejmujące. Liczne téż dyplomata, do klasztoru lub miasta odnoszące się, archiwa warszawskie posiadają. Podług tych napisów, z Długoszem i innemi historykami zgodzających się, Gedeon biskup krakowski założył w r. 1179 tutejsze opactwo, a Kazimierz Jagiellończyk w r. 1454 wieś Wąchock na miasto przemienił. Odtąd przywilejami królów obdarzane, przy zamożnym klasztorze i bogatych zakonnikach wzrastało miasto, a z handlu, kuźni, kopalni żelaza, tudzież wyrobu kamieni młyńskich, nawet słynęło. Świetny ten stan trwał do r. 1656, w którym Rakoczy książę siedmiogrodzki wraz z Szwedami zajmwszy miasto, złupił i spustoszył kościół z klasztorem, Wąchock zaś na cztery strony podpalił i w popiół obrócił. Odtąd chociaż z gruzów powstało miasto, do dawnego już stanu nie wróciło. Klasztor tutejszy

bogate posiadał dochody: same kuźnice miały mu czynić przeszło 100,000 złp. Starzy ludzie, którzy pamiętają pomyślny byt tego zakonu, powiadają, że tutejsi Cystersi odznaczali się wielką gościnnością i miłosierdziem dla biednych, a obszerny i piękny ogród, niegdyś przy klasztorze będący, z wybornych owoców słynął w całej okolicy. Po zniesieniu tego zakonu, dobra i gmachy rząd objął, a kościół zamieniono na parafialny; dawny bowiem kościół do którego te obowiązki należały, stał bliżej miasta w dolinie, naprzeciwko terazniejszego domu plebanii. W klasztorze pomieszczono urzędników, biuro górnictwa i składy dozorstwa suchedniowskiego. Później i to przy zagrożonej ruinie gmachów wyniosło się, a teraz tylko w bocznych skrzydłach mieści się szpital górniczy. Smutny widok przedstawia terazniejszy stan tych gmachów, a zwłaszcza obszernych sal i cel klasztornych. Są one w zupełnym opuszczeniu i ruinie; sklepienia pozieleniały od zaciekającej wody, powyrywane posadzki kamienne, opadłe sufity, powyłamane deski, powybijane okna, dach już cały niemal dziurawy, a wieża z zegarem, oddawna zardzewiałym i popsutym, do upadku chyli się. Wszystko to przedstawia tak smutny i przykry widok, iż zdaje się, że to są ślady jakiegoś nieprzyjacielskiego napadu, a to tylko są zaniedbania i niestaranności skutki!

Przez wązki, trawą zarosły korytarz, po bokach którego kamienie grobowe przelożonych tutejszego klasztoru są umieszczone, wchodzi się do kościoła. Nade drzwiami w otoczeniu z marmuru oprawnych znajduje się podobna tablica z napisem łacińskim, iż kościół i klasztor złupiony przez Rakoczego, odnowiony został w r. 1695. Znać też w budowie zepsuty styl tego wieku, a tylko wewnątrz kościoła w pierwotnym stanie ocalało. Świątynia ta pod wezwaniem Najświętszej Panny wystawiona, jest niewielka, o łukowatym sklepieniu, wązka i posępna dla braku światła, przez niewielkie okna wchodzącego; a we framugach, w gotyckim pierwszym peryodu tej architektury stylu, zbudowanych, umieszczone są po bokach kaplice, równie ciemne i starożytne. Zresztą, wszystkie ozdoby są nowożytne, lecz i te już przez zaniedbanie zniszczone. Ściany kościoła równie jako i kaplic pokrywają malowidła na suchym wapieniu *al secco*, wyobrażające świętych i biskupów z zakonu Cystersów, cuda zdarzone, oraz dzieje pierwszego wprowadzenia Cystersów do Wąchocka. Malowidła te ze względu sztuki niczym nie odznaczają się: rysunek niedbały, a robota nieumiejętna; wykonane zaś były w r. 1764, jak następny

napis na sklepieniu znajdujący się przekonywa: *Aedes haec erecta est 1179, adornatu 1704.* Przechowało się tu jeszcze i kilka marmurowych nagrobków opatów, pochowanych w tutejszych grobach, pomiędzy którymi najcialsze są Hieronima Sulikowskiego zmarłego 1612 r. i Mikołaja Lezejskiego zmarłego 1680. W jednej z bocznych kaplic wiszą dwa portrety olejno na płótnie malowane, które chociaż są bardzo lichego pędzla, znać z nich jednak, iż z dawniejszych były kopiowane. Jeden przedstawia, jak napis u dołu opowiada, Bolesława Wstydliwego, szczególnego dobrodzieja klasztoru, drugi Gedeona biskupa krakowskiego, założyciela tegoż; oba w naturalnej wielkości ciekawemi są zawsze zabytkami, gdyby nie tak mizernie były wykonane. Atoli największą tutaj ozdobą jest obraz na płótnie, wyobrażający św. Stanisława wskrzeszającego Piotrowina, w ołtarzu bocznym w kaplicy św. Wincentego umieszczony. To dziwnie piękne obok tyłu niedoleżnych malowidło, wnosząc ze stylu, wykonane jest w XVI lub na początku XVII wieku. Wprawny pędzel artysty, wielka prawda w kolorycie i dobry rysunek, przekonywają, iż obraz ten robił niepospolity artysta ze szkoły flamandzkiej; a twarze i ubiory osób otaczających główną figurę świętego, tak są krajowe i swojskie, i tyle mają miejscowego wyrazu, iż niewątpliwie tylko rodak nasz mógł je wykonać. Ale nazwiska artysty napróżno szukałem; pytać się zaś nie było kogo i byłoby to nadaremno. Ileżto dzieł podobnych po zrujnowanych kościołach zginęło, lub nieznanie, jeszcze dotąd butwieją!...

Gmachów klasztoru niepodobna już było zwiedzać; lecz ocalał jeszcze nader starożytny kapitularz w byzanckim stylu wystawiony. Jestto może najdawniejsza część i niewątpliwie z pierwszej budowy XII wieku pozostała. Salę tę na dole klasztoru mieszczącą się, wspierają cztery grube i niskie kolumny z ciężkimi kapitelami byzanckimi, sklepienie w niej łukowate i okna szczególnego rodzaju, z małemi, w ołów oprawnemi szybami, słabe przepuszczają światło. Później kapitularz ten służył za więzienie dla obwinionych zakonników, a według podania jeden z tych nieszczęśliwych był tu niegdyś żywcem zamurowany. Powiadają nawet, iż winą jego była miłość i romans zbyt głośno prowadzony.

Do osobliwości tego miejsca należy także i tutejszy proboszcz, jedyny pozostały Cysters i ostatni przeor klasztoru, ks. Zefiryn Bartyzel, ze szczególnego tylko swego nazwiska ciekawy. Pochylony wiekiem, z obojętnością spogląda na ruiny swego

klasztoru, a o przeszłości nie już nie pamięta. Napróżno więc chciałem od niego zasięgnąć jakiej wiadomości; nie on już nie wie nad to, że złodzieje ostatnie droższe sprzęty, pomiędzy którymi znajdowała się piękna starożytna monstrancya, z kościoła tego wykradli, że teraz nie ma co widzieć i że jemu wszystkiego brakuje. Smutnyto exemplarz szczątków tego wielkiego niegdys zakon!

Opuściliśmy Wąchock udając się drogą ku św. Krzyżowi. Długo jeszcze za nami wspaniale bielity się mury tych ruin, ze wszystkich stron malowniczo wyglądające. Widoki zaś były coraz to rozmaitsze i piękniejsze. Przy drodze bitej górniczej, doskonale utrzymanej, wężykiem wśród pagórków wije się rzeka Kamienna, mająca z jednej strony spadziste wzgórze krzakami zarosłe, z drugiej obszernie łąki; za nią znowu lasy na wzgórzach, a między nimi zakłady górnicze w Starachowicach, Brodach, Michałowie i t. d., z pysznemi budowłami i małemi domkami górników, z muru ozdobnie wystawionemi, które zdaleka u stóp gór rozsiane, czystością i białością się świecą. Nic piękniejszego jak cała ta droga. Potem dalej za wsią Wenecyą i miastem Wiorzbnikiem, ciągle wśród górzystej okolicy, majestatycznie występuje wielki staw Michałowski. i jakby rzeka jaka lazurową tęczą rozlewa się po obszernej dolinie, niknie wśród pagórków i krzaków, potem znowu nagle występuje i obszernością swoją i czystością wody zadziwia. Dodajmy do tego, iż zachwycającej tej podróży sprzyjała najpogodniejsza pora, dni jesienne były jak rzadko ciepłe, niebo czyste, a cała natura dziwnie wspaniała i spokojna.

Takąto drogą przybyliśmy do wsi rządowej Nietulisko Duże, w powiecie opatowskim, do gminy i ekonomii Kunów należącej, a od miasteczka Kunów wiorst 2 oddalonej. Wieś ta składa się z domów mieszkalnych 105; ma zaś ludności 615 chrześcian, a 10 żydów. Dotąd znałą była z wielkiego zakładu górniczego walcowni sztabowej, teraz zaś na jej gruntach pierwszy miałem archeologiczne poszukiwania czynić. Początek tej mojej wyprawy był następujący:

Przed kilku laty sołtys wsi Nietulisko mając role pod górą nade drogą położone, chcąc powiększyć takowe, bliżej do góry się przysunął i część jej nawet zajął; a uprawiając ją pod zasiów, odkrył kilka glinianych naczyń w ziemi zakopanych. Ucieszony wieśniak sądząc że znalazł garoki z pieniędzmi, przykrył je znowu starannie, a w nocy, nikomu nic nie mówiąc, do wydobywania ich

zabrał się. Lecz jakież było jego zdziwienie, gdy nie mógł wydobyć żadnego, bo mu się za dotknięciem w proch rozsypywały, a we środku zamiast pieniędzy, znalazł tylko popiół i kości. Sądząc tedy, jak mi sam powiadał, że go Bóg za ciężkie grzechy karze, a nie tylko garuki, lecz i pieniądze w proch i kości obraca, przestał je wydobywać, i nie nawet o tém nikomu nie mówił. Aliści tego roku ulewne deszcze splukawszy spadziłą pochyłość góry, same kilka takich urn na wierzch wydobyły, a te owiane wiatrem, dały się podnieść i utrzymać. Zatem znowu rzucili się wieśniacy do szukania więcej takich naczyń, zawsze w nadziei odkrycia pieniędzy; lecz przekonawszy się o nadaremnych poszukiwaniach, zdecydowali, że to są grobowce aryńskie i dali znać do wójta; ten znowu doniósł wyższej władzy, a tym sposobem doszło to do gubernatora cywilnego. Gubernator przybył sam na miejsce, a osądzivszy, że nauki mogą odnieść z odkrycia tego jakie korzyści, zabronił dalszego wykopywania, a tymczasem dał znać do Warszawy. Dowiedziawszy się o tém władza edukacyjna, będąca teraz pod sterem J.W. R. R. St. Pawła Muchanowa kuratora O. N. Warsz., męża znanego z prac i zamiłowania w archeologii, mnie znowuż na tę wyprawę delegowała. Upoważniony tedy i wsparty pomocą rządową, przybyłem w tym celu do Nietuliska, a mając dodanych sobie ludzi, zajęłem się dalszém zbadaniem i do wykopywania przystąpiłem. Miejsce na którém wspomniane urny znaleziono, leży o parę staj ode wsi: jestto góra wysoka na 33 sążni, z gruntu piaszczystego, na dole której z jednej strony płynie rzeka Kamienna, a z drugiej rzeczka Swiślina; obie zaś we wsi łączą się z sobą. Po prawej stronie téj góry niedaleko rozciąga się obszerny, las do leśnictwa rządowego Itzy należący, pod samą zaś górą z jednego boku dotykają role wieśniaków, z drugiej strony idzie droga bita Bzińsko Zawichostką zwana. Rozpoznawszy miejscowość, przekonałem się, iż cały spód téj góry na przestrzeni długości sążni 20, a na szerokość sążni 11, zasiany był rozmaitego rodzaju i wielkości urnami. Zakopane one były w piasku szeregiem jedna za drugą, lub pojedynczo po dwie lub trzy razem, obok których malutkie urny po bokach znajdowały się. Atoli wydobywanie ich ztamtąd wielkiej ostrożności wymagało; za najlżejszém bowiem dotknięciem w proch się rozsypywały. Wypadało zatem naprzód każdą urnę z osobna w piasku naokoło okopać, co zaledwo rękoma lub małym nożykiem wykonać było można; następnie zostawić je przez dni kilka na działanie powietrza i słońca, potem dopiero

wynosiły się na wierzch już zupełnie od zniszczenia zabezpieczone, gdyż tym sposobem niemal do pierwotnego stanu trwałości powracały.

Na przestrzeni, którą w obecności mojej skopano, znajdowałem wszędzie urny na trzy, cztery a najwięcej na pięć stóp w głęb pionowo do góry otworami zakopane. Kształt miały one rozliczny; po większej części były u góry otwarte i węższe, ku środkowi szersze i wypukłe, a ku dołowi aż do dna zwężone. Inne zupełnie równe, mniejsze były z dwoma na bokach uszkami; każda zaś przykryta pokrywą z uszkiem jak od rynki, lub w kształcie czapeczki. Wszakże wydobyć w całości z nakrywkami było nader trudną rzeczą, gdyż prawie wszystkie już przez sam ciężar ziemi miały nakrywki zgniecione. Niektóre z tych urn znajdowałem ozdobione centkami i liniami prowadzonymi na krzyż, lub karbami; atoli w większej części były zupełnie gładkie. Najforemniejsze jednak były małe urny, niektóre jak ryneczki z dwoma uszkami, inne w kształcie pękatego dzbanka bez ucha, mające w węższym końcu z obu stron po dwie wyniosłości, jakby miejsce uszu zastępujące. Najmniejsze mają dwa ucha po bokach lub są bez nich; zawsze zaś przykryte były małą miseczką w kształcie grzyba. W ogóle urny te miały wysokości od 4 do 16 cali, objętości zaś bardzo różnej. Świeżo z ziemi wydobyte wszystkie miały kolor surowej gliny, lecz im dłużej stały na słońcu i w suchym miejscu, tym więcej nabierały mocy, a z czasem i koloru ceglanego, czarnego lub popielatego; co dowodzi, iż bywały palone. Prawie wszystkie urny, oprócz małych, znajdowałem napełnione do połowy lub do samego wierzchu popiołem i drobnymi przepalonymi kośćmi, które wystawione na słońce, białeły i kruszały. W kościach tych rozpoznać jeszcze można było obojczyki, jabłka kolan, zęby trzonowe człowieka, noszące wyraźny ślad spalania; pomieszane one były z popiołami spalonego ciała i piaskiem, który pomiędzy nie woda i czas wniósł. Pomiedzy tem wszystkiem, chociaż rzadko, znajdowałem jednak pierścionki brązowe prostego wyrobu, spinki do włosów kobiecych, krzemień obrobiony i t. p., lecz monety ani jakiego znaku, któryby wiek tych starożytności determinował, pomimo pilnego poszukiwania nie znalazłem.

Wszystkie te urny są z gliny zwyczajnej, garncarskim sposobem toczone, a niektóre tylko rękami ulepione; jedne też mają grubą skorupę, inne zwykłą w naczyniach glinianych. Nadzwyczaj

rzadko znajdowałem urny robione z gliny pomieszanej z granitem na proch tłuczonym, to jest z skwarcem, feldspatem i miką.

Skopawszy niemal połowę góry, gdy coraz rzadziej i głębiej urny znajdowały się, zaniechałem dalszego poszukiwania, zwłaszcza, iż kilkadziesiąt całych exemplarzy, które z sobą do Warszawy przywiozłem, dostatecznie ciekawość i badanie zaspokoily.

W ogóle wykopanie to różni się od innych dotąd odkrywanych kształtem swoich urn, licznemi odmianami tychże, i sposobem zakopania. Urny czyli popielnice nie były na podstawach umieszczone jak w Wielkopolsce, ani przykryte komykami na wierzchu, lub zupełnie niczem nie przykryte jak w Mazowszu. Pokrywki nieznanej dotąd są formy, a małe tego kształtu urny, zupełną w archeologii krajowej nowością.

Trudno zaiste z pewnością oznaczyć wiek tych urn; ale zważając, iż Słowianie przed chrześcijaństwem stale tu mieli siedlisko, a niedaleko stąd wznosi się góra Świętokrzyżka, na której niegdyś stały najświetniejsze w tych stronach bożnice pogańskie; nakoniec gdy wiadomo, że za czasów Bolesława Chrobrego dość już powszechny był zwyczaj zagrzebywania ciał zmarłych: wnosić tedy z tego wszystkiego można, iż w urnach tych znajdują się kości i popioły Słowian przed 1000 laty zmarłych, i są szczątkami jeszcze pogańskich ojców naszych. Niezawodnie zatem był na tém miejscu kiedyś cmentarz; wielka zaś ilość urn każe się domyślać, iż może to było dla całej okolicy grobowisko. Nawet ta szczególna nazwa wsi Nietulisko, może niegdyś Nietulisko nosiła imię, oznaczając jakoby miejsce, gdzie nieutuleni z żalu krewni szczątki swoich powinowatych składali. Wszystko to może mieć swoje znaczenie, lecz dowodów na to oprócz domysłów dostarczyć niepodobna. To tylko pewna, iż w odkryciu tém, zważając na prosty wyrób urn, na brak wszelkich cech, któreby epokę czasu odznaczyć mogły, wreszcie na prosty także wyrób pierścionków i innych przedmiotów, które się tam znalazły: wnosić trzeba, iż urny z Nietuliska bardzo odległych przedchrześcijańskich sięgają czasów, służyć zaś mogły tylko dla gminu w osadach tu zamieszkałego, gdy tak obszerna przestrzeń, kilkaset urn zawierająca, żadnego śladu przemysłu w zabytkach swoich nie obejmuje, ani odznaczenia nie przedstawia. Lecz co to były za osady? — o tém powiedzieć niepodobna, bo źródeł piśmiennych z tych czasów nie posiadamy, a miejsce z żadnych wypadków ani w krajowej, ani w obcej historii nie jest znane. Tylko Długosz w swojej *Liber Beneficiorum* z XVgo wieku wspo-

mina o jednej sąsiedniej wsi Prawencin, która dawniej Prendocinem nazywała się, i początkowo była osadą żołnierską, następnie zaś prywatnem dziedzictwem zostawszy, w XVI stuleciu na własność klasztoru XX. Benedyktynów Świętokrzyżkich przeszła. Być zatem może, iż i okoliczne wsie jeszcze za czasów pogańskich podobne osady żołnierskie składały; lecz i na to pewnych nie ma dowodów.

Gdy zatem miejscowość wątku do moich badań nie dostarczyła, spróbujmy gwoli ciekawości czytelników opisać im przy tej sposobności w ogóle co znaczą te urny czyli popielnice, jaki był u nas użytek z tychże przed wprowadzeniem chrześcijaństwa, a nakoniec czy to odkrycie jest u nas nowością?

Najprzód sędzę, iż zbyt rzadką byłoby rzeczą zbijać mylnie, aczkolwiek powszechnie utrzymywane podanie, iż miejsca gdzie popielnice znajdują się, są grobowcami aryańskimi; gdyż Aryanie polscy, Socynianie właściwie, byli chrześcianami, nadto wyznanie to zjawilo się w Polsce dopiero w końcu XVI wieku i przez cały czas kilkudziesięcioletniego u nas tolerowania, nie miało wcale tak licznych zwolenników, aby tyle grobowców po sobie zostawić mogło. Wprawdzie te strony były głównem ich siedliskiem, lecz kilkadziesiąt familij po dawnem dość obszernem województwie sandomierskiem rozproszonych, cały ich zbiór stanowiły. Zresztą, gdyby nawet Aryanie nasi trupów swoich nie grzebali, ale je palili, gdyby ich było w istocie tyle, ile popielnic w kraju dotąd wynaleziono: toby urny te wcale inną miały postać, nie zaś tak starożytną i prostą. Zkąd zaś to mniemanie urosło, że miejsca takie grobowcami aryańskimi przezywają? — oto stąd, iż jeszcze w XVII wieku wyznawcom tej sekty przez chrześcian znieprawionym, co tylko może być najgorszego przypisywano, a zatem i pogrzeby pogańskie palenia ciał pomiędzy ich obrządki położono. Zresztą niektóre nasze podania co do zabytków po całym dawnym państwie znajdujących się, dziwnie i bez zasady są uogólnione; i tak; niech to będą ruiny zamku — Bona go pewnie stawiała; okopy lub wały zawsze są szwedzkie, a kościół stary lub grobowce — aryańskie. I wierz tu podaniom!

Przeto miejsca, w których wykopywane bywają naczynia popiołami i resztkami kości napelnione, są niezawodnie dawnym cmentarzem pogan, a naczynia te są to urny czyli popielnice, w których chowano popiół i pozostałe od spalenia kości ludzkie; co było we zwyczaju u wszystkich starożytnych przed chrześcijaństwem

narodów. U Słowian taki obrząd pogrzebowy nazywał się *tryzną*, zapewne od wyrazu łacińskiego *tristitia*, żal, pochodzący. Ztąd też i miejsca gdzie zakopane są popielnice, w wielu stronach *żalami* i *żalnkami* nazywają. Według Nestora, najdawniejszego latopisca ruskiego, Słowianie tameczni na stosie drzewa palili ciało zmarłego, a zebrany żąd popiołu składano w urny i wystawiano je na słupach około drogi.

W opisie podróży pewnego Anglika odbytej ponad Wisłą przed rokiem 900 po Narod. Chryst. czytamy, iż mieszkańcy tych stron trzymali przez czas niejaki ciało umarłego, a następnie dopiero je palili, poczem wyprawiali ucztę i t. d. Sąto dostateczne dowody dla przekonania, iż zwyczaj palenia ciał i chowania szczątków pozostałych był wszystkim dawnym ludom wspólny.

Obchód ten w następnym sposobie odbywał się. Skoro tylko kto umarł, ubierano go w najlepsze suknie i do najcelniejszej izby wynoszono. Powinowaci i przyjaciele zbierali się tam zaraz, a całując nieboszczyka zamykali mu oczy, rozwodzili żale, i z płaczem śpiewali pieśń: „*Halele lele, i pocóżeś ty umarł, i czyżeś to nie miał co jeść albo pić?*“ pieśń, którą dotąd Chorwaci przy grobach zmarłych śpiewają. Albo jeżeli to był gospodarz, sadzali go na stolku i zdrowie jego pili, mówiąc: „Ja do ciebie piję, miły przyjacielu! i czemuś to umarł, wszak masz swoją miłą oblubienicę, dziatki, bydło, przyjaciół i wszelki dostatek?”. Po kilku dniach tej ceremonii, naczelnik osady uwiadamał miejscowych mieszkańców o zejściu nieboszczyka, za pomocą czarnego w kształcie buławy znaku, od domu do domu przesyłanego: potem zgromadzali się wszyscy, ubierali go w śmiertelną koszulę, *żglen* zwaną (1) i wyprowadzali ze smutnym płaczem, śpiewając: „Idź nieboże z tego nędznego świata na świat lepszy, gdzie wesele wieczne, gdzie ani zazdrosny sąsiad, ani drapieżny nieprzyjaciel nie będzie cię mógł pokrzywdzić.”

Był to zawsze w wieczór albo w nocy, aby przy świetle lamp i pochodni ciała umarłych na miejsce, gdzie zwykle trupów palono, odprowadzać. Biednego człowieka nieśli krewni i przyjaciele na marach w rodzaju terażniejszych noszów, lecz otaczały koniecz-

(1) W Krakowskiem i Małopolsce lud jeszcze dzisiaj śmiertelną koszulę *żglen* nazywa, i często w niektórych śpiewkach ją wspomina. Sam słyzałem pieśń w której była następująca zwrotka:

Przyleciała sówka młoda, niedorośła.

I śmiertelne żgietko dla Kuby przyniosła.

nie kobiety *placzkami* zwane, których obowiązkiem było najrzadziej płakać, śpiewać żalśnie i rozwozić żale, chwając w nich i wysławiając przymioty zmarłego, rozpacz pozostałych i stratę jaką wszyscy ponieśli: zwyczaj dotąd na Rusi zachowywany. Placzkom tym pomagali najbliżsi krewni nieboszczyka, łączy zaś płynące w małe naczynia gliniane lub szklane zbierano. Miejsce na którym palono ciała, położone było zawsze za wsią, na górze, pod lasem, rzeką lub nad gościńcem, a zwano je pospolicie *trzebą*; ztąd tęto pochodzą tak liczne nazwiska dotąd istniejących wsi lub miasteczek, jakimi są w samym królestwie: *Trzebin, Trzebień, Trzebina, Trzebie, Trzebieszów, Trzebiałów, Trzebnieca* i wiele innych tym podobnych. Tam z rozmaitego łatwo palącego się drzewa układano umiejętnie stos, zwany *żarem*, od którego zapewne są także nazwiska wielu wsi, jakoto: *Zary, Żarki, Żarowo, Żarowiec, Żaryń*, i t. d. Stos ten różnej bywał objętości, stosownie do wzrostu, postaci i wieku zmarłego; ułożony był w kwadrat, u dołu szerszy, a u góry węższy, aby ogień odrazu cały mógł objąć. Na takim stosie na wierzchu kładziono trupa wraz z noszami i podpalano go, a gdy wszystko zgorzało, opuszczali znowu z płaczem to miejsce i wracali do wsi, gdzie krewni wyprawiali uczę, *strawę* zwaną, łożąc na nią wydatki z pozostałej po zmarłym majątności, lub kosztem rodziców, jeżeli był jeszcze niepełnoletni. Bo u Słowian, przodków naszych, smutek czy radość uczę kończyć się musiały: jedli i pili na urodzinach, na weselu jeszcze lepić, a przy pogrzebach i smutek obficie zalewano.

Po tém wszystkiém w dni kilka najbliżsi krewni wracali znowu na miejsce spalenia, *zgliszczani* wtedy zwane: mężczyźni w żałobne szaty przybrani, kobiety z rozpuszczonemi włosami, a zdjąwszy z nóg obuwie, czystemi rękoma zbierali starannie pozostałe kości, obmywali je w mleku, odłączali popiół z ciała zmarłego pochodzący, który łatwo od popiołu z drzewa odróżnić było można, gdyż żgło czyli koszula śmiertelna była maczana w pewnym rozcieku, który całkowicie spalić jej się nie dozwalał, a tym sposobem i popioły z ciała przechowywał; zebrawszy zaś wszystko, w przygotowaną na ten cel urnę umieszczali. Zebranie atoli kości i popiołów do kobiet tylko należało, które, dla odróżnienia płci, igły, pierścionki, paciorki i śpilki do włosów, do urny w której szczątki spalonej kobiety mieściły się; siekiery zaś i młotki kamienne, krzemień i inne przez mężczyzn używane sprzęty, do urn męskich wkładały. Następnie dopiero urny te albo na miej-

scu ogólnego grzebowiska, albo pojedynczo w ziemi lub piasku, pod górą, nad brzegami rzeki, pod lasem lub nade drogą przykrywszy kamykami lub pokrywą, zakopywali. Obok nich stawiali ma-lutkie urny *łzawnicami* zwane, łzy pozostałych zawierające, dla oznaczenia żalu i smutku, jaki zgon drogiej osoby sprawił. Czuly i rzewny zwyczaj, a więcój w sobie poezyi zawierający, niż te-razniejszy piasek na trumnę sypany.

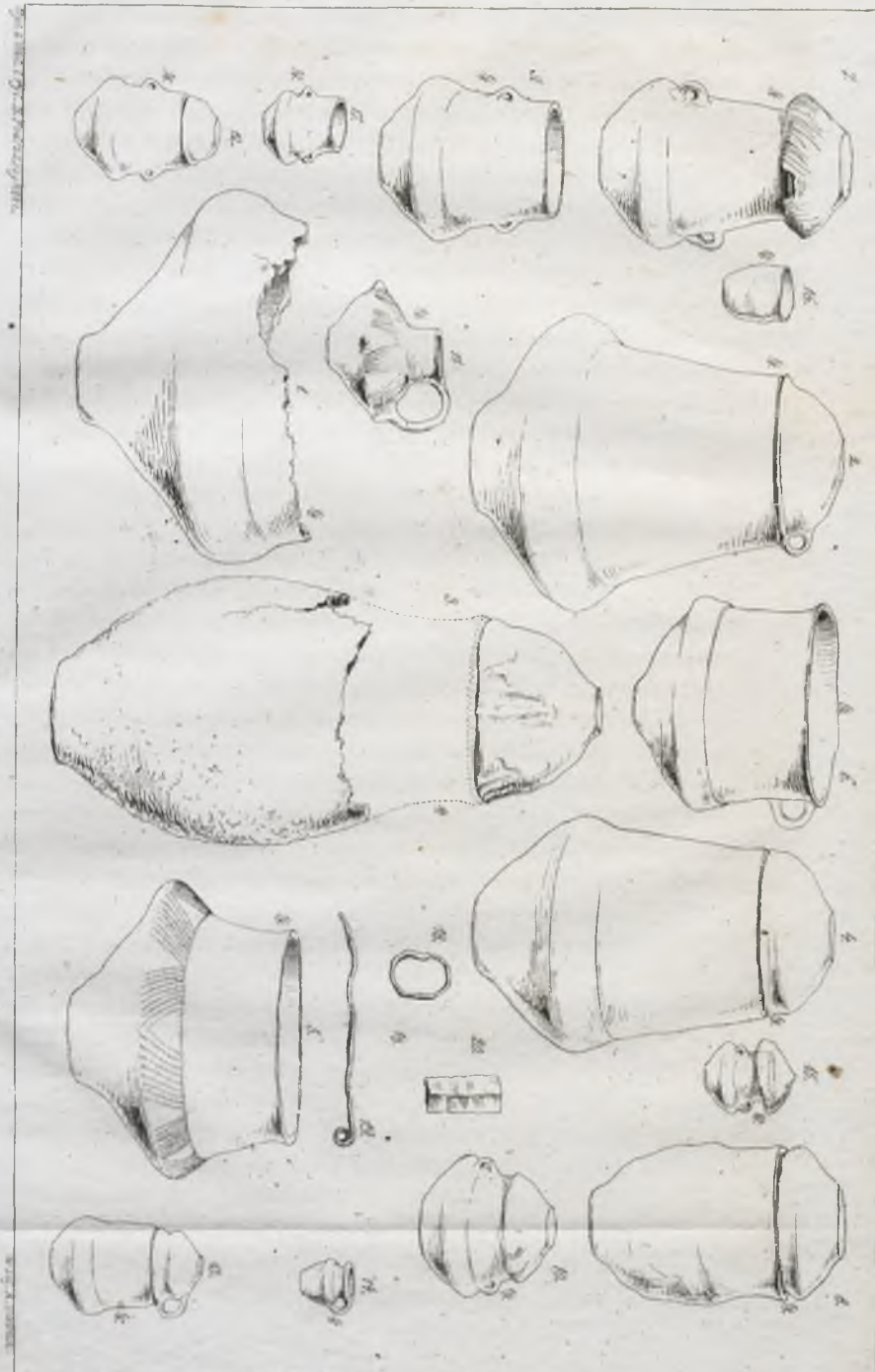
Takie były pogrzeby przodków naszych przed chrześciań-stwem, szczególnie ubogiego ludu, bo możniejsi z większemi cere-moniami to odbywali, nie łączyli się z tłumem, a nad popiołami swemi wysokie mogiły wznosili, które pojedynczo w rozmaitych miejscach sypano, a których także niemało u nas dotąd znaj-duje się.

Skreślony wyżej opis przekonywa, iż wykop w Nietulisku był tylko miejscem pogrzebu kości z popiołów wieśniaków; urny zaś, których wizerunki na osobnej rycinie tu załączam, większe pod numerami 1, 2, 3, 4, zawierały kości mężczyzn w pewnym wieku; ozdobniejsze, jak pod nr. 5, 6, kobiet; mniejsze młodzieży, nr. 7, 8, 9, 10; jeszcze mniejsze niemowląt, nr. 11, 12, 13, a najmniejsze nr. 14, 15, 16, 17, przedstawiają łzawnice, u Ru-sinów *słoznicami*, u Litwinów *assaruve*, a u Rzymian *luchrimitorium* zwane. Nakoniec wyroby z bronzu, jak pierścionek nr. 18, igielnica nr. 19, wyraźnie są kobiece, tak jak już obrobiony krzemień nr. 20, do mężczyzn należał.

Czy z odkrycia tego może nauka jakie odnieść korzyści?—na to odpowiedzieć łatwo. Pierwiastkowe dzieje nasze, jak początki wszystkich narodów, gruba zakrywa pomroka: bo pisma nie zna-no, a podania zniknęły lub zamącone później przyrostami baśnia-mi, trudne są dziś do rozwiązania. Ostatnią więc ucieczką jest ziemia. Wiemy już to dobrze, iż wszyscy z ziemi powstałiśmy, lecz i to jeszcze pewnym być może, iż w jej wnętrzu i pierwiastki naszych dziejów odkryć możemy.

Wszakżeto pilne poszukiwania archeologów, z zabytków w grobach znalezionych, najszcześliwsze odkrycia poczynił; a po szczątkach naczyń i sprzętów, po resztkach z ubioru i stroju, jak z kości odkrytych nieśmiertelny Cavier odgadł świat zwierzęcy przed potopem, tak dzisiejsi uczeni przedstawili nam zwyczaje, stroje, stopień oświaty, przemysłu i handlu dawnych Germanów, Gallów, Celtów, Liwów i t. d. Tylko u Słowian mało nad tém pracowano i pracują, a co gorsza, iż na obszerniej niegdyś ich zie-

POPELNICZE WYKOPANE W NIETULISKU DUŻYM



mi, terazniejsi archeolodzy sąto wprawdzie pracowici i uczeni Niemcy; lecz ze krwi swojej uprzedzeni, a narodowością dumni, za- bytki znajduwane, jeżeli te czémkolwiek odznaczają się, zaraz przy- pisują je przodkom swoim, liche zaś, proste i ciemne szczątki, Słowianom zostawiają. Trudna rada, gdy i klócić się z nimi nie ma komu, a pracujących na téj niwie niewielu. A przecież, gdyby od czasu jak podobne starożytności u nas są odkrywane, spisy- wano je starannie lub gdziekolwiek zgromadzano, moglibyśmy mieć dzieła do licznych i wiarogodnych wniosków służące, a na pierwotne dzieje narodu niemało wpływu mające. Bo podobne odkrycia nie są wcale u nas nowością. Wykopywanie naprzykład popielnic oddawna już znano; a w XIV wieku w całej ówczesnej Polsce i na Szlązku w tak znacznej ilości je znajdowano, że nie mogąc sobie inaczej wytłumaczyć, mniemano, co nawet naszemu uczonemu Długoszowi zdawało się, iż one same w ziemi rosną; któreto zdanie doktor Miechowita jeszcze w XVII wieku po- wtórzył. Mniemanie to było nawet powszechném, gdy i w kro- nikach niemieckich znaleźć je można, a jeden kaznodzieja czeski rozprawiając o urnach w tym kraju znajdujących, gniewał się na wiernych, iż sądzić poważyli się, że to są grobowce pogan, i dowodził, iż one są ręki Boskiej i natury dziełem.

O popielnicach, w różnych stronach dawniej Polski znajduwa- nych, wspominają: Rzączyński, Ładowski, Duńczewski i wielu in- nych. Ten ostatni nawet w kalendarzach swoich odkrycia te umieszczał; tak naprzykład w roku 1672 powiada, iż we wsi Wo- li pod Warszawą wykopano urny gliniane, mieczem obwinięte. Podobne urny znalazł na początku XVIIIgo wieku w pobliżu Miedniewic, o mil kilka od Warszawy, o których ks. Koralewicz Reformat w dodatku do kroniki swego zakonu, w roku 1722 z druku wydanym, wspomina, a które pojawiły się i w później- szych wykopaniach. Nawet w naszych czasach w r. 1826 w Le- sznie w powiecie błońskim znaleziono popielnice, wokoło których okręcony był obosieczny miecz bez rękojeści; podobnie w Galicyi w pobliżu Kamionki, w obwodzie kołomyjskim, o milę od Ober- tyna, i indziej mieczem obwinięte urny często się znachodzą. Znaczyły one niewątpliwie, iż obejmowały w sobie szczątki da- wnego wojownika.

Jezuita Rzączyński powiada, iż w r. 1720 znaleziono w Gem- bicy w Poznańskim urny, w których oprócz popiołu i kości, było

mnóstwo cienkich jak blaszka pieniędzy; byłoby niezawodnie brakteaty albo może kufickie monety, które dziś tak wielkie światło na stosunki Słowian ze Wschodem rzucają.

W roku 1817 pomiędzy Kaliszem a Kołem, pod miasteczkiem Turek zwanem, gdzie podług miejscowych powieści stare miasto Turk znajdować się miało, w rozkopanych pagórkach obok wzgórza leżących, natrafiano na urny napelnione kośćcami i popiołem. Urny te były nadzwyczaj proste i bez ozdób, ani żadnych innych przedmiotów w sobie nie zawierały. Podobnie popielnice poznajdowano w siedmiu innych miejscach b. województwa kaliskiego, dziś gubernii warszawskiej. Te, które wykopano na polach wsi Chmielnika pod Kaliszem, i w górach wsi Kościelec, między Kołem a Russocinami leżących, niczem nie różniły się od popielnic pod Turkiem znalezionych; wszystkie zaś te miejsca o 1000 przeszło kroków od wsi najbliższej były odległe.

Później w wielkiej liczbie po różnych stronach znajdowano urny; np. pod Kozienicami, w Brześciu Litewskim, pod Bydgoszczą i t. d; lecz dokładnych ich opisów nikt nie dostarczył, co tém większa szkoda, iż w niektórych rozmaite wyroby, a nawet pieniądze i medale znajdowano. Tak np. między wielu innymi miejscami w r. 1813 w powiecie kamińskim, między Nakłem a Piłą, na polach pod samem miasteczkiem Wyrzysk, na parę stóp w głębokości ziemi, na mnóstwo takowych popielnic rozmaitego kształtu i wielkości natrafiono, gdzie pomiędzy popiołami i kośćcami poznajdywano kawałki narzędzi kruszcowych, tudzież monety miedziane i ołowiane; ale ci co widzieli te monety, tyle tylko powiedzielić umieli, iż postacie lub napisy na nich były niewyraźne. Na Podlasiu i ponad Bugiem na północnym jego brzegu, w Wielkiem Księstwie Poznańskim nad rzeką Wartą, w powiecie obornickim w Lubaszu, na Krasoń górze, wykopywano w znacznej ilości popielnice, nawet wytwornie wyrabiane. Podobnie pod Szmigłem, w Galicyi około Jarosławia, w cyrkułe Przemyskim koło Rajtarowic, lub w Rzeszowskiem we wsi Pniowie i Wielowisi nad Wisłą, gdzie odkryto urny z mosiądzu i cyny w kształcie dzieży i dzbanków wyrobione, w których oprócz zwyczajnych popiołów i kości, znaleziono posążki miedziane i różne ozdoby z drutu i srebra; lecz gdzie się teraz znajdują i kto je opisał?

O milę od Stanisławowa i Okuniowa we wsi Cygowie, pod dworem na dziedzińcu, w odwiecznym grzebowisku dotąd można odkryć rozmaite urny; a w r. 1842 we wsi Nowodwory, obok

Tarchomina, milę od Warszawy, znaleziono mały, naksztalt wału pagórek, w którym wykopano podobnież urny. Niektóre z nich, jak mi powiadano, otoczone były gałązkami: snadź byłyto wieńce dla odznaczenia zmarłych młodzianów i dziewic, o którymto zwyczaju jeszcze w XVI wieku Jan Kochanowski dochowując ówczesne podania od przodków pozostałe, w nagrobku dla swęj opłakiwanęj Urszuli tak wspomina:

Nieście kwiatki na ten grób panny i młodzieńce,
A jej szlachetne kości przyodziejele w wieńce.

Nakoniec świeżo i pod Krakowem w r. 1850 znaleziono urny we wsi Brzeziu, a w roku bieżącym piérwszy raz w tamtych stronach odkryto je pod folwarkiem Popówka, o których zacny nasz starożytnik p. Ambroży Grabowski w przeszłym zeszycie Biblioteki Warsz. donosił.

Otóż wszystko, co w naszëj archeologii o urnach znajdujących dotąd udało się wyszukać.

Czytelnicy zapewne raczą mi przebaczyć, za ten mały ustęp, który dla objaśnienia przedmiotu koniecznym mi się zdawał; zwłaszcza, iż nawet tak zebranych wiadomości dotąd jeszcze nie mieliśmy.

Skończywszy moję wyprawę z urnami, które dość tam hałas narobiły, bo szlachta i wieśniacy z okolic przybywali umyślnie, aby widzieć, jak mówili, stare garnki, po które aż z Warszawy przysłano. Gdy zatém wytłumaczyłem im użytek i ważność tych skorup, zachęcając, aby jeżeli znajdą takowe, nie niszczyli, ale owszem na pamiątkę chowali lub do Warszawy odsyłali: zmniejszyło się może na czas niejaki lekceważenie tych zabytków, a nawet uważałem, iż malutkie łzawnice czułym tutejszym paniom do serca przypadły. Potém dopiéro dalszą podróż rozpocząłem.

Jeszcze téż i wieś Nietulisko miała godne widzenia, aczkolwiek niestarożytne osobliwości: rezerwoar 150 sążni długości i tyleż szerokości mający, dla połączenia kanałów od rzeki Kamienny i Swiśliny; i wspaniałe ciosem wyłożone i z ciosu wystawione, okazałëj budowy śluzy, są tu pięknym pomnikiem dobrych, chociaż do praktyki niezastosowanych chęci. Przed rokiem albowiem 1830 był zamiar uczynić rzekę Kamienną spławną, która przygotowana na ten cel, miała fabrykom i do przewozu wyrabianych przedmiotów służyć. Nie wszystko się udało; a kosztowne kanały, jedne ukończone, drugie zaniedbane, prze-

konywają, iż w całym tém przedsięwzięciu tylko zmysłu przewidywania brakło.

Jeden atoli z tych kanałów, opatrzony dwiema śluzami przesłicznie i strojnie wybudowanemi, dostarcza wody zakładowi górniczemu w Nietulisku, gdzie wielka walcownia sztabowa, poruszana kołem wodnym o sile 60 koni w ciągłej jest czynności. Pyszny to zakład: budowle wielkie i na sposób angielski urządzone, porządek wzorowy, a zawiadowca człowiek światły, z zamiłowaniem i znajomością swego przedmiotu.

Dla braku czasu zwiedziłem ten zakład późno wieczorem w towarzystwie dam i kilku ciekawych gości. Uprzejmy zawiadowca przygotował wszystko na nasze przyjęcie: w ruch puszczone koła, zapalono ogień, a tłum robotników z całym energicznym, górnika odznaczającym zapalem, przystąpił do dzieła. Trudno sobie wyobrazić ten szum i hałas z szaloną szybkością obracających się kół, ten szuk młotów i syczenie poruszanych wodą maszyn. Dodajmy do tego, iż ziejące ogniem piece wpośród ciemności, w obszernym gmachu, tak fantastyczne i straszliwe rzuciły światło, iż twarze robotników i wszystkich obecnych zdawały się być śmiertelną białością pokryte i jak potępione duchy wyglądały. Kiedy zaś z rozpalonych pieców wyjęte żelazo długimi kleszczami ciągnąc do rozmaitych maszyn wkładano, wtedy ogień i iskry zewsząd sypiące się, jeszcze okropniejszą im postać nadawały. Ogólna zaś całość tak dziwnie piękny i uroczy, a godny pędzla Rembrandta przedstawiała obraz, iż szczerze żałowałem, dlaczego który z naszych artystów tego cudnego widoku nie przeniósł jeszcze na płótno.

Powiadano mi, iż zakład ten do wielkich i nader korzystnych rezultatów wyroby swoje może posunąć, że przeszło 80,000 centnarów żelaza przerabia, wielkie blachy sporządza i t. d. Uwierzyłem w to wszystko zważając na zakład i człowieka, który nim kieruje; lecz w szczegóły nie wchodziłem, a nawet opowiadanych nie spałem, bo nie a nie na fabrykach się nie znam, i otwarcie się do tego przyznaję.

O dwie wiorsty od Nietuliska, jak wyżej wspomniałem, odległe jest miasteczko Kunów. Zwiedziłem je też parę razy, chcąc gwałtem coś więcej niż o błocie i nieporządku jego opowiedzieć. Bo Kunów jestto bardzo starożytna siedziba, a musiało być kiedyś miastem znakomitým, gdy już za Kazimierza W. do liczby najcelniejszych w kraju było policzone. Należało ono niegdyś do biskupów krakowskich,

którzy tu dwór swój mieli, a dla blizkich lasów, do łowów sposobnych, często w niém mieszkali. Podług podania do prawdy bardzo zbliżonego, dwór ten stał na tém miejscu, gdzie teraz jest dom p. Mejsel wójta i dzierżawcy rządowego, nadto bardzo gościnnego i uprzejmego człowieka. Właściwie jednak na wzgórzu, gdzie teraz p. Mejsel ogród zakłada, i z kąd prześliczne na całą okolicę są widoki, stał ów wielki dwór biskupów. W nimto w XIII wieku najbardziej lubił mieszkać, hulać i dokazywać sławny ze swoich obyczajów Paweł z Przemankowa biskup krakowski. Podobały mu się bowiem szczególnie góry i lasy tutejsze, w cieniu których mógł bezpiecznie broić, zapamiętale polować i gorszące wyprawiać zabawy. Tu go odwiedzali książęta Litwy i Jadźwingów, z którymi przyjaźnił się, polował i przy kielichu bratał. Tu naostatek w połowie stycznia 1271 roku, kiedy biskup po jednej z takich uczt twardym snem zasypiał, dwaj rycerze: Otton i Żegota z rodu Toporezyków napadli na dwór, domowych rozbroili, a samego biskupa schwyciwszy, przez lasy i bory z nim uciekając, do Sieradza dowieźli i w ręce obrażonego nań Leszka Czarnego księcia kujawskiego i sieradzkiego oddali. Uwolniony Paweł z Przemankowa zapewne jeszcze nieraz dokazywał w Kunowie; lecz gdy pobożni kronikarze nic o tém już nie wspominają, i ja więcćj powiedzieć o nim nie potrafię. W kilkadziesiąt lat po tém zdarzeniu, inny biskup krakowski Jan Muskata, rodem Szlązak, w r. 1311 uwięziony był znowu we dworze kunowskim z rozkazu Władysława Łokietka, przez zemstę, iż przeciwnikowi jego Bolesławowi Opolskiemu sprzyjał. Na początku zaś XV wieku mieszkał tu z upodobania mąż w dziejach głośny, piérwszy z Polaków kardynał, Zbigniew Oleśnicki; lecz sam surowej cnoty nie dbał o lasy i góry, które to miejsce otaczały, owszem troskliwy o wzrost całego miasta, nowe mu przywileje udzielił, ku wygodzie staw obszerny wykopać kazał, i tak licznemi obdarzył swobodami, że potomność długo Oleśnickiego założycielem Kunowa sądziła.

Słynęło tedy miasto z kopalń kamienia, z fabryk sukiennych i rozmaitych rzemiosł, gdy za króla Alexandra Jagiellończyka w r. 1502 Tatarzy krymscy złupili je i spalili do szczętu. Wtedy zapewne zniknął stary drewniany dworzec biskupów, a odbudowany znowu z drzewa, dopiéro w piérwszej połowie XVI wieku, wspaniale z muru przez sławnego Piotra Tomickiego był wystawiony. Co się atoli z tym gmachem stało, śladu dotąd znaleźć nie mogłem. Lecz miasto jako do stołu biskupów krakowskich należące, otrzymywało następnie rozmaite od monarchów przywileje, mianowicie za staraniem biskupa Andrzeja Zebrzydowskiego; i snadź

znowu w świetnym było stanie, gdy w dyplomacie Zygmunta Augusta z roku 1554 czytamy, iż mieszczanie i przedmieszczanie tutejsi uwolnieni byli od opłaty cła od wszelkich towarów, koni, bydła, sukna i innych wyrobów, co téż i następni aż do króla Stanisława Augusta potwierdzali. Nakoniec w ostatnich czasach administratorem tego klucza *sede vacante* był znany w literaturze Józef Żaluski biskup kijowski. Szymon Starowolski w swoim opisie Polski w r. 1632 pierwszy raz z druku wydany, powiada, że w Kunowie były kopalnie marmuru zielonego i czerwonego; lecz gdzie one były i kiedy ustały, napróżno dotąd w dziejach szukałem i na miejscu dopytywałem się. Upadły zapewne po wojnach, gdy wszystko u nas znędzniało, a pamięć nawet lepszego bytu zniknęła. Za Stanisława Augusta ks. Józef Osieński opisujący polskie fabryki żelaza, powiada, iż kopała się tu i ruda do szafranu podobna, o której także nic teraz nie wiemy.

Dziś Kunów jest miastem rządowém, nad traktem ilżycko-opatowskim położone; liczy domów mieszkalnych 170, jeden murowany kościół, a ludności ma chrześcian 910, żydów zaś 103. W r. 1822 było tu chrześcian 668, żydów tylko 52; domów murowanych 7, drewnianych 121; domy wprawdzie murowane pomnożyły się, lecz i starozakonnnych w dwójnasób przybyło. Mieszczanie tutejsi prawie wszyscy z ojca, dziada i pradziada są kamieniarzami; na ulicach téż i rynku, pod domami, leżą ogromne sztuki kamienia, których wyrobem jedni ciągle, inni tylko w czasie od zatrudnienia około roli zbywającym, zajmują się. W ogóle mieszkańcy tu są zamożni i widać to po ich hardéj i butnéj minie, stroju od wieśniaków różniącym się i długiej lasce, bez której mieszczanin Kunowa nie stąpi. Domy niektóre mają odrzwia ciosowe, także u okien futryny; lecz cóż po tém, kiedy w mieście i po ulicach błoto tak okropne, i kałuże z najobrzydliwszymi wyziewami tak głębokie i przepaściste, że sławne błota wołyńskie niczém są w porównaniu. I błoto to pod same domy podchodzi, weiska się niemal do sieni, w niskich chatkach do okien zagłada, a oni z dziwną niedbałością grzęzną w niem obojętnie, chorują od nieczdrowego powietrza, a przecież żadnego ścieku nie zrobią, kamienia tak łatwo im przychodzącego do wybrukowania nie użyją, i dalej, dopóki Bogu się podoba, żyją smutnie z bladą i nabrzekłą twarzą, z choremi w chacie dziećmi. Lecz żeby temu zaradzić i byt swój pod tym względem polepszyć, o tém ani myślą, i chyba tylko przymusem możnaby to zrobić.

Cóż powiecie zaci moi czytelnicy, że pośród tego błota, chodząc za materiałami do niniejszych notatek, znalazłem w całym zna-

czeniu artystę, którego życie mogłoby p. Kraszewskiemu za przedmiot do nowego romansu służyć.

— Czy nie pójdziesz odwiedzić najlepszego tutejszego kamieniarza? — spytał mnie raz gniewającego się na kunowskie błoto zacny mój towarzysz.

Rozumię się że poszedłem. A to, co tam widziałem, czytałem lub opowiadane słyszałem, powtarzam. W samym rogu rynku, zawsze jednak w błocie, stoi chata nieco od innych porządniejsza; tam mieszka dziecko Kunowa, Jan Duchnowski. Ojciec jego był, jak wszyscy inni, kamieniarzem; lecz w młodzieńcu wczesnie do młota i dłuta użytym zaświeciła myśl, iż na świecie więcej czegoś nauczyć się można, i tak długo niepokoił rodziców, iż nareszcie zgodzili się posłać go do Warszawy. W Warszawie uczył się pilnie u Pawła Malińskiego i odgadł znowu, że trzeba mu jeszcze gdzieindziej po naukę bieżąć.

Wziął więc tłumoczek na plecy i z szcuptym zasobem krwawo zapracowanego grosza, z odwagą i nadzieją w sercu poszedł za granicę.

W Wroclawiu uczył się w akademii, pracował w Dreźnie, Berlinie i Hamburgu, a w końcu zaszedłszy do Monachium, najdłużej tam pozostał. Budowano wtedy sławną Walhallę, potrzeba więc było robotników, a rzeźbiarzy przedewszystkiem; nasz Duchnowski zatem prędko został przyjęty i jeszcze prędzej od innych odróżniony, bo wielki mistrz nowożytniej rzeźby Xawery Schwanthaler, prędko upodobał sobie polskiego artystę, w którego oczach błyszczała miłość do sztuki, a upodobanie w pracy odznaczało. Odtąd najlepsze dzieła powierzano Duchnowskiemu, wzięto go do robót w zamku królewskim wykonywanych, a co tylko najpiękniejszego i wielkiego Schwanthaler tworzył, brał go do pomocy, chwalił i wszystkim za wzór przedstawiał. Tam miał sposobność kształcić się na wzorach pierwotworów sztuk greckich, wykopywanych na wyspie Aeginie, których znaczna ilość znajduje się w Monachium. Tam pokochał śliczne wzory i ryciny najpiękniejszych greckich i rzymskich utworów, na których nabycie cały swój zarobek poświęcał.

I Niemcy byli z niego kontenci, do pozostania na zawsze namawiali, obietnicami zachęcali; napróżno! bo nagle owładnęła naszego artystę tęsknota za błotami Kunowa: ścisnęło mu się serce i dłuto z rąk wypadło. Nie było rady: Schwanthaler z żalem dał mu najchlubniejsze świadectwo, intendent zamku królewskiego podobnie; on zaś zabrawszy na plecy wzory mistrzów z któremi nie mógł rozstać się, do chaty ojców swoich wrócił.

Starzy rodzice jakby tylko na niego czekali, niebawem z pustego domku i kawałka roli na zawsze ustąpili. Osiadł więc tu artysta, i aby ściślej z sąsiadami swemi połączyć się, pojął za żonę młodą i hożą tutejszą mieszczankę. Z zapalem i nadzieją wziął się znowu do roboty, i z kunowskiego kamienia prześliczne zaczął tworzyć dzieła; lecz róż, kiedy nie było komu je kupić, a tém bardziej ocenić. Tymczasem Pan Bóg dał dzieci, a skoro za nimi niedostatek i nędza za witaly, rozpacz i zniechęcenie dokonały resztę, i celujący uczeń Schwanthalera, aby na kawałek chleba zarobić, zmuszony był proste płyty kamienne ciosać. Ciężka robota wkrótce wyczerpała jego sily, choroba i niedostatek zwiększyły się, a bięda ze straszliwemi swemi następstwami osiadła w domku artysty.

W takim stanie zastałem najlepszego kamieniarza w Kunowie. Tylko co był powstał z choroby, jeszcze chwiejąc się na osłabionych nogach, z żółtą, wychudłą twarzą, z przyćmionemi i z zapadłemi oczyma, przywitał nas ze smutkiem, z trudnością na zapytaniu odpowiadał, a kiedy przejrzawszy jego papiery odważyłem się cieszyć go nadzieją lepszej przyszłości, jeszcze smutniej się uśmiechnął, zdjął z pulki pyszne ryciny dzieł Kanowy i Thorwaldsena, a otworzywszy te wielkie i kosztowne księgi, które może w ostatniej nędzy jeszcze nie chciał zbywać lub nie było komu je kupić, machnął ręką, łza w oczach błysnęła, i nic już więcej nie mówił.

I powiadają, że obraz losu artysty w Słixie Kraszewskiego jest nienaturalny i przesadzony!...

Zwiedziłem téż i kościół tutejszy, w pięknym na wzgórzu położeniu stojący, a świeżo jeszcze teraz restaurowany. Na tém miejscu była kiedyś bardzo starożytna świątynia, którą, gdy czas i pożary zniszczyły, jeden z proboszczów ks. Szymon Koch w XVII wieku żyjący, swoim własnym nakładem z gruntu na nowo terazniejszy kościół wystawił, jak o tém napis na tablicy marmurowej, przy wielkim ołtarzu umieszczonej, poświadcza. Obecna restauracya zmieni znowu stan i postać kościoła w Kunowie; wybudowano mu już nową wieżę, dach blachą pokryto, wewnątrz zaś prawie wszystkie ołtarze są nowe. Pobożni tutejsi kamieniarze swoim kosztem niektóre ołtarze wystawili; inne albo z funduszu rządowego, albo staraniem gorliwego terazniejszego proboszcza stanęły. Obrazy do nich malował p. Ignacy Urbański nauczyciel gimnazjum gubernialnego w Lublinie, a z tych Matka Boska Rożańcowa, św. Anna i Wniebowstąpienie Pańskie najlepiej mu się udały i są wcale nie złą robotą. Atoli najcenniejszą ozdobą tego kościoła jest wielki i piękny obraz pędzla p. Bonawentury Dąbrow-

skiego z Warszawy, kosztem górników sprawiony, a wyobrażający św. Barbarę, u nóg której dwóch polskich górników klęcząc, modlą się. Gdy restauracya skończy się, kościół ten będzie niezawodnie najporządniejszy w tych stronach, bo proboszcz jest staranny, dbały i światły człowiek. Z uprzejmością a radością pokazywał on nam wszystkie swoje projekta na przyszłość, a co dokonał przedstawiał. Byłem nawet nim zachwycony, kiedy mi pokazał dość grubą księgę w której uczenie i pracowicie sam opisał dawniejszy stan kościoła, jego historią, wszystkie napisy i nagrobki już poniszczone, a niegdyś tu znajdujące się; dalej były tam żywoty proboszczów, na końcu przywiłaje i nadania wszystkich włóści parafią składających, jakie tylko gdzie mógł znaleźć w księgę tę przepisał i umieścił. Chwaliłem więc szczerze szanownego plebana i naturalnie prosiłem o pozwolenie korzystania z gotowój już pracy. Z chęcią i radością, jak uważałem, nie tylko że przystał na to, lecz chcąc mi ulżyć w pracy sam podjął się przepisać potrzebne szczegóły, i do mieszkania nazajutrz jak najsoleńniej zobowiązał się przysłać. Niestety! mała napozór okoliczność pomimo mojej woli nie tylko mię z nim poróżniła, lecz co gorsza, wszystkich tych ciekawych notat pozbawiła.

Słabą stroną tego zkadynąd uczonego księdza jest znajomość na malarstwie; dla zadowolenia więc tego upodohanca, a nawet dla odświeżenia starych w kościele obrazów, sprowadził sobie młodego człowieka z Warszawy, któremu Pan Bóg nie dał żadnego talentu, a szkoła nic a nic nie nauczyła. Otóż chcąc mi wszystko przedstawić, zachwalając naprzód bardzo, zaprowadził mię do swego mieszkania aby pokazać, jak mówił, najwyborniejsze obrazy, przez genialnego młodzieńca do lepszego niż przedtém stanu przyprowadzonych.

Okropne tam ujrzałem rzeczy! Młodzieniec wprawdzie był jeszcze młodzieńcem, ależ prace jego z częstochowskiemi tylko mogą o pierwszeństwo walczyć; przemalowane zaś obrazy, może nawet przedtém lepsze, zpod jego pędzla najokropniejszymi i o gwałt krzyżującami smorowidłami wyszły.

Ksiądz się jednak niemi zachwycił, a malarz z tryumsem na nas spoglądał.

Byłem tak ostrożny, iż nie mogąc chwalić, na zapytania i ciągłe wykrzykniki radości, uporeczywie w jego obecności milczałem. Lecz na moje uieszczęście, nie umiałem długo wstrzymać języka, a skoro wyszliśmy od niego, żałowałem głośno przed mojami towarzyszami, że tak dobre chęci na niczém pełzną, malarza zaś i jego roboty z całą otwartością potępiałem.

Wszystko to księdzu proboszczowi doniesiono, i kiedy nazajutrz napróżno obiecanych notat oczekiwałem, a jeden z miejscowych obywateli w dobrych z nim stosunkach będący, posłał po nie umyślnego, otrzymaliśmy następną odpowiedź:

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

„Ponieważ pan delegowany z Warszawy niekorzystnie się wyrażał o obrazach w kościele moim, przez co nabrałem o nim złego wyobrażenia i sprawiedliwie przypisać mu mogę nieznamomość na malarstwie; przeto nie chcę aby spod pióra jego coś wyszło o kunowski kościele, i dlatego notat żadnych nie załączam”.

Łączę wyraz szacunku i przyjaźni

A. J. D.

I tak mocno był obrażony, iż wszelkie później wstawiania się za mną, przeprosiny, wymówki, nietylko że odrzucał, lecz nawet ani widzieć, ani przyjąć odemnie tłumaczenia nie chciał. Otóż na inny raz nauka! Gdybym był ciągle milczał, opis Kunowa byłby lepszy, historia dokładniejsza, a obrazy jak były, tak będą pomazane.

Droga z Nietulisko do wsi Boleszyna przez wąwozy, oraz wieś Doły i Prawencin prowadzi. Z jednej i drugiej strony góry i skały z kamienia piaskowca białego i czerwonego, dość wysoko się piętrzą, a przedzielone głębokim wąwozem, przykrą i przepaściwą sprawiają drogę. Lecz za to zachwycające są widoki: domki gdzieś niedzie na skałach zawieszzone, na dole strumyk ciągle mrużący, albo spadając ze skał, w kaskadach się pieni. Cudna i malownicza okolica! Przed niewielką laty miejsce to było bardzo ożywione, gdyż tutaj były główne kopalnie ciosu do robót, przy splawie rzeki Kamienniej przedsiębranych. Stoją jeszcze bardzo porządne domki, gdzie urzędnicy i czeladź główniejsza mieszkali, i źródło w dolinie z doskonałą wodą, i droga w góry z romantycznymi altankami. Dziś wszystko to prawie puste; łomy kamieni już obrobionych w nieładzie nade drogą leżą i mechem obrastają, gzymsy nieukończone, porzucone, roboty pozaczynane, wyglądają jakby nagle od ludzi były opuszczone.

Wieś Boleszyn była miejscem, zkąd wszystkie wycieczki w okolicy odbywałem. Niedyś własność opatów świętokrzyżkich, dziś do rządowych należy. Tu w r. 1785 urodził się Wincenty Reklewski żołnierz, poeta, nauczyciel i przyjaciel Brodzińskiego, i sam czuły pisarz sielonek, w r. 1811 z druku wydanych. Mnie tu zatrzymała

starodawna gościnność, dom jakich rzadko, szlachetnej rodziny państwa F.....: sędziwa matka na dawnych dworach historycznych imion polskich wychowana, która wiele rzeczy widziała i dobrze opowiadać je umieć, przytém wzorowa gospodyni, a co jeszcze rzadziej, sam gospodarz biblioman.

Pan Alexander niegdyś uczeń b. uniwersytetu warszawskiego wszystkie uczucia swoje, nawet można powiedzieć cel swego życia, na zbieranie polskich książek poświęcił. I wśród lasów i gór, od lat kilkunastu nigdzie do miasta nie wyjeżdżając, zebrał ich kilka tysięcy, nawet w bardzo rzadkich i pięknych egzemplarzach: Opisać jego radość i tryumf, że miał komu swoje skarby pokazać, byłoby trudno: a kto znał kiedy w swoim życiu człowieka, którego namiętność zbierania książek ośwładnęła, ten łatwo sobie zanego mego gospodarza wyobrazi. Dość powiedzieć, że rozrzucił je wszystkie, aby mi jaką rzadkość pokazać, ścigał wszędzie z odszukaném dziełem w rękę, a w nocy śpiącego budził, kiedy przypominał sobie, że którego jeszcze nie pokazał, i czy je znam, dopytywał. A przy tём wszystkiém patrzył mi bystro na ręce, aby co do mnie nie przyłgnęło, i drżał z obawy, kiedym się czego napięrał. Gdy zaś przyznałem, że jakiej książki, którą on posiadał nigdy nie widziałem, tak go to uszczęśliwiał, iż wylatywał z nią do matki i siostry, a nawet do swoich służących, i wołał co miał siły: „Patrzcie! mam książkę, której nawet ten pan nie zna.” Dla miłości to książek wyrzekł się związków małżeńskich, dla nich gorliwie pracuje, niekiedy zaś trafia się, że część zebranego z pola zboża ktoś za książki zabiera. Tym sposobem doszedł do znakomitego już zbioru; widziałem u niego wszystkie kroniki, najcenniejszych ascetów, pyszne i czyste egzemplarze *Kozań* i *Żywotów Skorgi*, *Statut Herburta*, wiele konstytucyj osobno wydanych, *Zwierciadło Saskie Szczerbica*, *Prawo Magdeburgskie Groickiego* pierwszą edycją, rzadkie dzieła *Klonowicza* i wiele innych.

Buwając w Boleszynie, gdy pobyt mój i zajęcie, jak już wspominałem, obudziły ciekawość mieszkańców tych okolic, otrzymałem z kilku miejsc doniesienia i wzywania, gdzieby można rozmaite starożytności znajdować. Nie mając otoli stosownego potemu polecenia, przymuszony byłem na inny czas takowe odłożyć, a tylko do najbliższych udałem się; mianowicie zaś, gdy dowiedziałem się o istnieniu wśród jednego pola szczególnej mogiły, a legendę do niej przywiązaną usłyszałem. Była to mogiła na gruntach dóbr suprymowanych *Nosowa*, pod wsią *Kotarszyn*, w powiecie opatowskim znajdująca się. Usypana w kwadrat na lokci 21, miała u spodu śre-

dnięcy łokci 22, czyli promień 11 łokci. Forma jęj była szczególna i widocznie z wielką starannością wzniesioną; obrosła trawą, utrzymuje się dotąd w całości, a zdala wśród gładkiego zewsząd pola jest widoczną. Chcąc jęj znaczenie odgadnąć, zwołałem najstarszych ludzi ze wsi i o podanie pytałem. Jedni mówili, że to ostatki wałów szwedzkich (zwykła wszędzie legenda), inni sumienniejsi do niewiadomości przyznawali się. Tylko jeden siwy i wiekiem pochylony wieśniak wzruszał na te mowy ramionami, i zdawał się więcęj coś wiedzieć. Zbliżyłem się zatem do niego i zapytałem:

— A wy ojczy, co o tęg mogiłę powiecie?

— Oto Wielmożny Panie—odrzekł nisko do kolan kłaniając się—rodzice moi byli starzy i taką gadkę od nich słyszałem, jakoby na tych polach dawno i bardzo dawno temu była wojna, a dużo ludzi i jeden najstarszy poganin zginął, którego według ich obyczaju wszyscy zgromadziwszy się spalili, a z nim jego żony, niewolników, konie, wozy, wszelkie sprzęty i wojenne rynsztunki. Na tęg zaś miejscu na wieczną pamiątkę mogiłę własnemi rękoma usypali.

— A nie wiecie jak się ten starszy i to wojsko nazywało?—jeszcze raz spytałem.

— Ojciec mi mówił— odpowiedział znówu kłaniając się— że to wojsko hań z zagranicy przyszło.

Więcęj trudno było dowiedzięć się, bo i tak podanie dość czystęm dochoowało się. Wiadomo bowiem, że za czasów przedchrześcijańskich nad popiołami znakomitych wodzów sypano u Słowian, tak jak i u innych dawnych narodów, wysokie mogiły. Herodot powiada, iż Scytowie szczególnie starali się jak największe mogiły nad grobami swych królów usypywać. Pallás znajdował podobne nad brzegami Wolgi i u stóp Uralu, w stepach Kirgizów i Kozaków; Jefferson opisuje takowe w Wirginii; Altwater w państwie Ohio; Spartmann u Kafarów; Barrow u Hottentotów. Sam wyraz *mogiła*, u Czechów *mohyla*, u Ilirów *gomila*, już był powodem do bardzo uczonych wywodów. Zródłosłów *moh* we wszystkich indyjskich narzeczach wielkość i wzniosłość oznacza; tak wyraz *moho* znaczy *wielki*, a u Czechów *molu*, *mohutny* to samo, co u nas potężny, silny; dalęj u Greków *megas*, u Rzymian *magnus mons*, u Wendów *mol*, zawsze wysokość i wielkość oznacza.

Takich mogił dużo się u nas znajduje, tylko nie jednakowęj postaci; jedne są podłużne, inne więcęj okrągłe, wyższe lub niższe, może stosownie do znaczenia lub lepszego zachowania. Takimi są dotąd koło Krakowa i w Sandomierskięm, koło Czarnocina, Pro-

szowie i Ruszczy. Są też mogiły w Kaliskiem w Stolcu; są na Żmudzi i koło Nowogrodu Wielkiego. Lecz rzadko już podanie opowiada dla kogo usypane zostały: jak Wandy i Krakusa pod Krakowem, Gedymina pod Wilnem lub Gostomysława pierwszego posadnika nowogrodzkiego na Wołotowie koło Wielkiego Nowogrodu.

Najpełniejsze atoli podanie od kronikarzy powtórzone ma mogiła Gedymina. Kiedy książę ten zginął, pisze jeden kronikarz, synowie, rycerstwo i lud prowadzili z paradą ciało do Wilna, i tam gdzie Wilejka do Wilii wpada, stos wielki smolnej sośniny przygotowawszy, ubrano go w szaty i odzież książęcą, dano szablę, włócznię i sajdak z łukiem, sokołów i chartów parę, konia z siodłem żywego, i sługę najwierniejszego z nim na stos położono; potem drwa wokół zapalwszy, rzucali nań broń i część łupów nieprzyjacielskich, a w końcu trzech zbrojnych jeńców żywcem z nim spalili. Następnie popiół i kości księcia, sług, konia i chartów razem zebrawszy, na miejscu tém w ziemi pochowano, a nad niemi wysoką mogiłę usypano.

Zwyczaj chowania z człowiekiem ulubionego zwierzęcia, oręza i trunku, przechowywał się najdłużej na Rusi litewskiej, a według Gołębiowskiego, przed niewielą laty w lesie pod Nowogrodkiem znaleziono kamień z napisem dawnemi głoskami, na którym następnie odczytano wiersz:

Tu Iwan Domaszko leżył,
W nożach czorny sobaka (pies) tużył (tęskni),
W hołowach flaszka horyłki (gorzalki) stołł,
W rękach ostry mecz derżył (trzyma)
Ho! ho! ho!
Szezoż komu do toho?

Jakoż w rozkopanej mogiłe znaleziono kości człowieka, psa, resztę wódki niezmiernie mocnej i żelazce od szabli.

Usłyszawszy zatem pod Krotoszynem owe podanie, zgadzające się z prawdą historyczną chowania dawnych u pogan wodzów, poświęciłem parę dni czasu na rozkopanie tamecznej mogiły, spodziewając się, iż w jej wnętrzu jaki ślad bliżej rzecz objaśniający znajdę. Kilkadziesiąt wieśniaków z rydlami i motykami na rozkaz wójta gminy miałem dostarczonych, a odkreśliwszy promień kopca na łokci 13, szerokości łokci $4\frac{1}{2}$, kazałem go skopać do gruntu, tak jednak, aby całego kształtu mogiły nie zepsuć i dalszym wiekom pamiątkę tę zostawić. Kopana ziemia widocznie była nasypana i z blizkiego pola nanoszona; różniła się bowiem barwą i gatunkiem od tej, na której stała mogiła. Doszedłszy zaś w głąb na łokci $5\frac{1}{2}$, pokazał się na

środku pokład ziemi zupełnie białej i jakoby z kości i popiołów złożonej, który na pół łokcia w głąb, a ledwo na 2 łokcie we środku tylko znajdował się; po bokach już była zwyczajna nasypowa ziemia, a pod spodem grunt roli, na której cała mogiła wznosiła się.

Wziąwszy więc z sobą kilka brył tej ziemi, nie więcéj, pomimo najpilniejszego poszukiwania nie odkryłem.

Czyje to są popioły i kości? O tém dziś trudno z pewnością powiedzieć. Może to który z wodzów tatarskich z straszliwej armii Pety czyli Bajdara tu pochowany został, gdy wiadomo, iż w pierwszej połowie XIII wieku ogniem i mieczem ta szarańcza ludzka tutejsze strony niszczyła; tak okropną pamięć po sobie zostawiając, iż podług Długosza, drogę nad rzeką Kamienną i około Ilży, którądy hordy te ciągnęły, drogą Batego nazwano.

Może... lecz gdybyśmy wodze domysłem puścili, coby było z historią, i tak już bujną wyobraźnią kaleczoną!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

UŁAMEK

Z PAMIĘTNIKA NIEBOSZKI.

(Dokończenie).

I stworzył Bóg człowieka na wyobrażenie swoje; na wyobrażenie Boże stworzył go: mężczyznę i biatogłową stworzył je.

Genesis, I. 27.

Kiedy mi Pan Bóg zabrał ojca, zostałyśmy we dwie z matką na kawałku ziemi, która nas powinna była wyżywić i odziać. A więcéj téż człowiekowi żądać niewolno, jeżeli zechce położyć granicę pomiędzy zbytkiem a potrzebą.

Ja tak myślałam.

W skutku pokazało się, że nas ziemia ani odziać, ani wyżywić nie mogła, i że to, co się zdawało być naszym, było zadłużone, a więc nie nasze.

Mój ojciec był poczciwym człowiekiem. Sąsiedzi nazywali go niepraktycznym gospodarzem, bo niedosyć zdzierał i uciemniał chłopów, nie rozpał ich dla powiększenia intraty z propinacyi, i szedł w pomoc każdemu, kto jéj od niego zażądał. Byłato zaiste wielka niepraktyczność!!

Zresztą, chociaż nie miał urojonych potrzeb, i na ich zaspokojenie długów nie zaciągał, był wszakże, jak to mówią, w złych interesach: bo nie potrafił spekulacyami i procesami oczyścić wziętej w spadku z długami ojcowizny.

Panie! nie miéj mu tego za grzech, i świeć pocziwéj duszy jegol
Z rady w radę, trzeba się było starać o zamożnego dzierżawcę, któryby gospodarstwo podratował, i wioskę od sprzedaży przez licytacją ochronił. Tym dzierżawcą był czwarty nasz sąsiad,

pan Jan Ciemięga: ni stary, ni młody kawaler, były wojskowy z czasów Księstwa Warszawskiego, człowiek, jak mówiono, nieskazitomych obyczajów i rzadkiej poczciwości. Niech i tak będzie! Trudno było wybrać stosowniejszego opiekuna i doradcę dla wdowy i sieroty, zwłaszcza, gdy nie było w czem wybierać, ani przebierać.

Życie mojej matki zamykało się dotąd w obrębie domowego gospodarstwa; o procesach, wykrętach prawnych, o układach z wierzycielami nie miała najmniejszego wyobrażenia: dziwić się przeto nie można, iż przyjęła z wdzięcznością ofiarowaną sobie pomoc.

Nie wiem czy mi się godzi, i nie wiem czy potrafię przedstawić tu p. Ciemięgę takim, jakim mi się wówczas wydawał; ale to wiem, że zrazu ani sympatyj, ani antypatyj do niego nie czułam. Wiek jego nie pociągał ku sobie zapalem młodzieńczym, ani obudzał należnego starcom poszanowania; nie było w nim ani prostoty, ani wykwintności, ani wad, ani zalet; ale było to sobie na dwóch nogach chodząca proza, uosobiona antyteza wszelkiej wzniosłości, kółko w mechanicie powszedniego życia, ściśle wykonywające cyrklem odmierzoną drogę:—ani mniej, ani więcej.

U niego ten był mądry, komu się w polu najlepiej urodziło, kto najdrożej sprzedał pszenicę, najtaniej zgodził robotnika, a najpóźniej mu zapłacił: *summa summarum*, kto więcej zarobił niż wydał.

Pan Ciemięga zajmując się gospodarstwem naszym, które dzierżawił, częstym u nas był gościem, i wkrótce też pozyskał całe zaufanie mojej biednej matki. Mówię biednej, bo zawiedzionej, chociaż dopiero po śmierci. A nie znam boleśniejszej rany dla duszy nad zawód, nad skałeczenie czystej wiary naszej w nieomylną poczciwość ludzką.

W takich stosunkach upłynął dla nas rok cały, jeden, i drugi. Zdrowie matki oddawna bardzo wątłe, widocznie przybierało stan chorobliwy. Słabość piersiowa przed czterdziestym rokiem rozwijać się zaczęła gwałtownie, tak gwałtownie, że w przeciągu sześciu miesięcy szybkim postępując krokiem, stanęła nad krawędzią grobu! Umierała z wolna, z wiedzą że umrze. Nie lękała się śmierci dla siebie, ale jej się lękała dla mnie, pozostawiając mię samą na ziemi z usposobieniem niekoniecznie praktycznem do przeżycia jakiego dziesiątka lat o własnych siłach, bez tak zwanój opieki męzkiej. Biedna matka! mało liczyła na Opatrzność, która żywi mdle pisklęta, i lilie polne odziewa w stubarwne szaty, i drzewo nad przepaścią wzrosłe od upadku chroni; chociaż to tylko pisklę, kwiat, drzewo, które nie ma ani serca, ani rozumu, ani rąk do pracy zdolnych!

A ja przecież miałam to wszystko w pewnym stopniu, i byłabym sobie poszła z duchem matki mojej, pod opieką Bożą, żyć z ludźmi i dla ludzi, w ludziach i przez ludzi, ileby sił starczyło! *Starą panną* nie lękałam się zostać; bo przecież w społeczeństwie chrześcijańskiem dla wszystkich jego członków znaleźć się musi stosowne miejsce; i na to pamiętałam, że czas oczekiwania Messyasza minął (mówiąc po żydowsku), i że przekleństwo, rzucone słowy Zbawiciela na drzewo nieurodzajne, nie odnosi się do niewiast chrześcijańskich ugodnionych i w prawo człowiecze obleczonej. Z zupełnym ukojeniem serca prosiłam matki, żeby była o mnie spokojną, żeby nie myślała ani o śmierci dla siebie, ani o życiu dla mnie, gdyż jedno i drugie w mocy boskiej, a troska o przyszłość osobistą na mało się przyda. Wszak ziemia Pańska, i my na niej Pańscy! Gdziekolwiek przyjdzie nam spocząć z Bogiem, w miłości z ludźmi, tam znajdziemy pokój i zbawienie, a pracą i modlitwą nakarmimy ducha i ciało!... Czegóż więc potrzebę?

Pomimo wszystkiego jednak, względy ludzkie i tak zwana pozycja w świecie przemagały nad słowami nauki Zbawiciela, i ciężko trapiły myśl i serce matki. A co ja przytém ucierpiałam jej boleścią, to Bóg wie!

— Moje dziecko!— mówiła kiedyś tuląc mnie do piersi—ja spokojnie w grobie nie usnę, dopóki losu twego nie będę pewną, dopóki nie ustalę nad tobą opieki takiej, któraby ci ojca i matkę zastąpić mogła.... Czy ty nie kochasz nikogo?....

— Ja?... Moja matko! zapytaj mnie raczej czy kogo nienawidzę?—nad tём musiałabym pomyśleć. Ale co kochać, to wszystkich i wszystko jak Bóg przykazał kocham, chcę kochać, jeżeli nie uczuciem, to uczynkiem zawsze....

Matka moja uśmiechnęła się boleśnie. Ja mówiłam szczerą prawdę. Zwyczajną miłością dziewic dążących do małżeństwa nie kochałam nikogo, a gdybym nawet kochała, to poezji uczucia nie chciałabym zamienić na prozę małżeńską! Lecz gdybym z duchem jakim, z myślą jaką zjednoczyć się mogła, to byłabym jej siostrą po wszystkie wieki!

— To swoją drogą, moje dziecię; ale *pójść za mąż* to przeznaczenie kobiety, to prawo natury, to wola Boża, aby każda z nas oddała to dzieciom swoim, co sama odebrała od ojca i matki. Wszakże Bóg stworzywszy Adama, rzekł, iżby źle było człowiekowi samemu na ziemi.... i przeto stworzył niewiastę.

— Dobrze, matko! dobrze! lecz ja nie będę sama na ziemi: ja dla ludzi żyć chcę, i na życie pracować potrafię!...

— Czy myślisz, że się zawsze ludzie na tobie poznają?... że tak sama wystarczysz sobie w każdej potrzebie, i że po cierniach życia pójdziesz bez zachwiania aż do końca?... Zresztą, chciałabyś zostać starą panną?...

— A to czemu nie? moja matko.

— Broń Chryste Jezule! ja o tym myśleć nie chcę! — I lzy rzewne spłynęły po jej zapadłych policzkach. A mnie się gorzko zrobiło, bo straszno patrzeć na lzy matki; lecz po chwili uspokoiłyśmy się obie.

— No, no, matko! matko moja! Tylko znów nie płaczmy tak nad sobą! To dzieciństwo! Bo widzisz, ja się nie chcę zestarzeć; ja zawsze taką będę jak dzisiaj. Pomówmy tylko rozsądnie i zobaczymy, co to jest starość; czy nie w mocy naszej pozostać młodemi aż do śmierci, wcześniej czy później? Ja sobie starość tak wyobrażam: jeżeli ktoś, mężczyzna czy kobieta, wszystko jedno, przyjdzie na ten świat boży, i wywinąwszy się z pieluch pełza rakiem po ziemi; potem, stanąwszy na nogach o własnych się dźwiga siłach, a obejrzawszy się na lewo i prawo zaczyna podrażniać całą naturę, począwszy od kotka, pieska i ptaszka, a skończywszy na otaczających go ludziach; jeżeli tak wciąż podrażniając z dziecka wyrasta na dziewczę lub młodzieńca, i w tym stanie metamorfozy znów się ogląda na wszystkie strony: cóż spostrzeżę? — oto, że trzeba kogoś ukochać na własność, aby się zamienić w małżankę lub żonę. Wtedy się kocha. — A dla czego?... Bo przez małżeństwo chce sobie zrobić pozycję na świecie.... Tu kończy się młodość, a przechodzi się w wiek dojrzały.

Człowiek zaczyna rozumować zwracając wszystko do kółka swoich osobistych a poziomych widoków. Człowiek, mężczyzna czy kobieta, szuka dla siebie, dla siebie tylko, drugiej połowy swego ja. I dobiera się para czegoś, żal się Boże! niewyrównywająca sobie ani wzrostem serca, ani miarą rozumu, ani jednością obmyślanych celów; para, odważona i odmierzona wartością rzeczy posiadanych na zewnątrz, kształtem ciała, ciężarem kieszeni, lub marnym jakim przydomkiem. Otóż matko, mamy parę zgrzybiałą, która nie nie żyła, i za życia umarła! Tak można się zestarzeć w dwudziestym, w czterdziestym, jak i w osmdziesiątym roku pielgrzymowania swego na ziemi. Ale...

— Zkąd tobie takie myśli? Patrzałaś przecie na życie rodziców swoich, i widziałaś, żeśmy żyli w miłości pilnując dróg Pańskich...

— To też był wyjątek, a ja patrzę na ogół. Ja widzę nokoło siebie samych zgrzybiałych ludzi! Ludzi pozbawionych młodzieńczego zapału, tego świętego szaleństwa, nad którym ciąży klątwa starego świata, a przecież ono świat z sobą porywa i unosi go w przestrzeń wieków na falach płynącej lawy!— Cóż mi z tego, że widzę młode twarze, świeże lica, artystycznie wykute posągi, jeżeli za dotknięciem zamiast iskry elektrycznej, uczują zimno kamienia lub twardość najtwardszego kruszcu!... Cóż mi z tego, że widzę ludzi uczonych, zimno rozumujących o rzeczach najświętszych, rzucających światu z trójnoga swój nieomyślności coraz nowe zagadki?.. Cóż mi z tego, że widzę ludzi, którzy na całe odmierzyli przed sobą drogę doskonałości i obracając się wkołko mniemają, że daleko zaszli? Ja nie chcę ani takiego piękna, ani takiej nauki, ani takiej doskonałości, w której serce życiem nie bije!..

Moja matka westchnęła i spojrzała mi w oczy tklawie, ale bawdawczo, niby z trwogą i niedowierzaniem.

— Otóż ja zawsze tём się martwię, żeś ty do innych kobiet niepodobna, a z tego tylko bięda na całe życie! Niejedna co ciebie niewarta, szczęśliwszą będzie od ciebie.

— O! już co tego, moja matko, to nie mów! Szczęśliwszej oderonie nie ma na świecie, a i potём, aż do śmierci przysiędz ci mogę, że nieszczęśliwą nie będę, chyba by mnie Bóg ciężko doświadczył odjęciem rozumu i wolnej woli. Ja się zawsze potrafię pogodzić ze złem, jeżeli mnie ono tylko osobiście dotknie, zewnętrznie utraپی, pozostawiając mi wszakże pokój wewnętrzny i świadectwo dobrego sumienia. Jak żyję, nie zazdrościłam nikomu niczego; a jeżeli pożądam jakiego wielkiego dobra całą niewypowiedzianą żądzą mojej duszy, to go nie chcę dla siebie, na swój użytek, dla swego osobistego zbawienia: bo wtedy żądza owa byłaby prawdziwём nieszczęściem! ale pragnę wszelkiego dobra dlatego, aby się wola Boża spełniła na ziemi!..

Co do nas, moja matko, to powiem ci szczerą prawdę, że mi nieraz serdeczną modlitwą zapłakać przyjdzie, kiedy patrzę na ten nasz świat ludzki, taki sponiewierany sam przez siebie, taki biędny, chociaż ubogacony wszystkimi darami Ducha Świętego!

O! siostry moje! byłyście już kwiatkiem, cackiem, bożyszczem, sługą, błotem ziemi, i aniołem jasnym!... Byłyście już dzieckiem w powiciu, i starcem zgrzybiałym, a czemuż dotąd jeszcze nie jesteście człowiekiem?... Czemu serca wasze takie ciasne?... myśl taka pozioma? taka mętna? — Czyż nie dwoje ludzi, czy nie człowieka

w dwójni stworzył Bóg na początku?.. A gdzie dotąd ów drugi człowiek?..

Wmówiono w was, żeście niezdolne do niczego: wiekami wrosłaście w niedoleżtwe ducha, i pysznicie się jeszcze tą nędzą waszą!.. I zdaje wam się, żeście doskonale, święte, błogosławione, jeżeli dopełnicie wrodzonych, instynktowych powinności waszych i nikomu żadnej nie wyrządźcie krzywdy!.. Nawykliście kochać wszystko dla siebie i w siebie! Kola uczuć waszych rozprzestrzenieć nie chcecie, lubo ciasno w niém sercom waszym... Oh! i bardzo ciasno!

Gdybyście tam dalej wyjrzały, i ten świat Boży jak długi i szeroki światem swoim uznały, i pracowały w nim jako ludzie około zbawienia duszy ludzkiej, i ogarnęły wszystko miłością Chrystusową, niewyczerpaną, ową najświętszą miłością czynu: tożby wam dopięro przybyło szczęścia, zasługi, błogosławieństwa!.. Ale gdzie tam! To głos wołającego na puszczy: obje się o skały, ale ich nie skruszył!

Młodość, powiadacie, przemija; trzeba z niej korzystać, używać trzeba! I tém używaniem pozbywacie się jej czémprędzej, starzejecie się z przesytu, i serca wasze więdną bez miłości, duch martwieje bez czynu! Macie przed sobą tylko ów świat skończony, dopełniony, zawarty na wieki wieków... A tamten świat, gdzie myśl i uczucie z wonnego kwiatu przechodzi w owoc świętego czynu, tamten, wiecznie dla was pozostańcie ideałem pozaświatowym?..

— Moje dziecię! to są piękne słowa, doprawdy tak piękne, iżby je wydrukować można, gdyby się kobiecie godziło książki pisać... Ależ nie idzie za tém, abyśmy żyły samotne, lub uciekały na puszcze.

— A! uchowaj nas Boże! moja matko; owszem raz na zawsze wyprzysięgam się tego wszystkiego, co dzieli i rozrywa wieniec stosunków ludzkich. Jabyń tylko chciała, żeby małżeństwa nasze więcej były chrześcijańskie, żeby je duch kojarzył, nie zaś osobiste poziome a brudne widoki;... żeby mąż i żona nie wyzuwali się z godności człowieka, żeby przedewszystkiém pozostali, bądź co bądź, członkami Chrystusowego kościoła. Ale to nieszczęście, że my wcale nie rozumiemy przykazania miłości Boga i bliźniego; zrobiliśmy z niej prawdziwie Platońską utopią, wymarzoną a niezastosowaną. U nas pomiędzy anielstwem a zwierzęcością nie ma środka ludzkiego; bując sercem w obłoku, a potem zanurzyć się po szyję w kałuży błota: oto jest poezya i proza miłości, w praktycznym jej zastosowaniu do życia! Innej, wznioślejszej, takiej, coby umierających zbudziła do życia, a żywych obdarzyła nieśmiertelnością; coby na wszystkie rany duszy i ciała zlewała się cudownym balsamem: takiej miłości szukaj-

cie w dzień jasny ze świecą pomiędzy ludźmi, a czy ją znajdziecie? —nie ręczę!

— Z tego wszystkiego nie rozumiem wcale, jakiego ty chcesz małżeństwa?

— Jakiego ja chcę? moja matko! Odpowiedź na to nietrudna. Oto żądam przedewszystkiém, aby między dwojgiem owych ludzi stanowiących małżeństwo, była jak najzupełniejsza synteza uczuć i pojęć. Zresztą— wszystko podrzędne. Jeżeli w takiej zgodzie ducha zjdzie się dwoje ludzi na ziemi, to powiedźmy sobie, że przybyło hartowne ogniwo do społecznego łańcucha; jeżeli takich ogniw więcej będzie, jeżeli wszystkie będą takie: to go żadne burzo nie rozewrą, żadna moc piekielna nie skruszy. I przypadnie owo przysłowie, że kto się ożeni, ten się odmieni, (rozumieć się na gorsze). Od tych dwojga ludzi uczuciem i pojęciami zjednoczonych, nie żądam niczego więcej, prócz miłości w uczynkach, chrześcijańskiego zastosowania religii do życia, a podniesienia życia do ideału religijnego. Chcę, żeby niewiasta była, jak Matka Chrystusowa: odważna, cierpliwa i wytrwała; żeby umiała pogodzić drobne obowiązki powszednie, z świętymi powinnościami człowieka chrześcijanina, i aby w razie wszystko im poświęcić umiała. Ja chcę, żeby siła fizyczna i siła moralna równoważyła się w ludziach wzajemném poświęceniem, a żeby każde święte natchnienie przyjmowali w prostocie serca, a przyjawszy i rozumiawszy, nie postawili świecznika pod korzec, lecz w górę podnieśli, tak, aby jasno było ludziom dobrej woli, a ztąd chwała na wysokościach Panu!

Matka patrzała na mnie z gorączkową niespokojnością.

— Dobrze moje dziecię; lecz dla takiej kobiety jakiegożby trzeba męża, aby z nią był szczęśliwym?...

— Wszak powiedziałam: dla człowieka, potrzeba człowieka. Sprzężmy bydlę z ptakiem, przywiążmy trupa do żyjącego człowieka, i dowiedzmy, że w tym stosunku żadna się krzywda ostatniemu nie dzieje!... Jeżeli wedle słów proroka: *Bojowanie jest żywot człowieka*: toć trzeba dwojga odważnych a silnych ludzi, aby ten bój zwycięzko przewiedli, a żeby, gdy jedno upadnie, drugie zastąpiło go piersią swoją; żeby ten związek między dwojgiem ludzi stanowił ich wzajemną siłę, a nie upoważniał do słabostek, do niedołęztwa, ani męża, ani niewiasty! Kto się wpręga w jarzmo małżeńskie, niech pomni, że w każdym doświadczeniu podwójnym musi być człowiekiem: z mężem, w cierpliwości wytrwać do końca, bądź co bądź! i nie upaść pod krzyżem, i nie pochylić głowy pod koroną z cierni!...

— Ależ na to potrzeba Chrystusa, nie grzesznego i słabego człowieka!....

— A komuż my podobni być mamy? Czy nie Chrystusowi?... Tylko że trudno w nas dopatrzeć tego podobieństwa, takeśmy się wyrodzili i upadli! Nie ma się czemu dziwić. Jesteśmy wszyscy jako ruchome kółka, odbywające bezwiednie czynność swoją w machinie społecznej, a nie domyślając się nawet parę nas tam ów niepojęty mechanik osadzili... Ludzie specjalni w zastosowaniu czynów swoich do widoków osobistych, przerabiający wszystkie skarby ziemi na piękno swego pomysłu, i na pożytek swego ciała! Wielcy ludzie! w społeczeństwie mrówek, pszczół i bobrów, gdzie każdy wszystkie siły żywotne zużywa pracą fizyczną, tak, iż ducha nieśmiertelnego poczuć w sobie nie może i nie chce! Otóż jabym chciała, żeby mąż, żeby ten co pisze, nie zamienił się w pióro; ten co naucza, nie zamienił się w formułkę scholastyczną; ten co ziemię uprawia, nie zamienił się sam w bryłę gliny; ten co rękami pracuje, nie zamienił się w drzewo, w kruszec, w kamień! Żeby nad tą instynktową pracą około rzeczy przemijających a martwych, powiewał duch nieśmiertelny, wszystko ożywiający!

Już nie pamiętam com dalej mówiła, i nie wiem, czy sobie kiedy przypomnę, ile mi wtedy różnych myśli przestrzeliło w pamięci, jak błyskawice po czarném sklepieniu! Wiem tylko, że mi było gorzko i słodko, smutno i wesoło, jak kiedy w godzinie rzeczywistego szczęścia zbudzi się nagle przecucie złego, lub kiedy w chwili świętego zapалу, serce zwątpieniem zastygnie, albo pochodnia w rękę zbląkanego wędrowca zagaśnie.

Co się wówczas działo w mojej duszy, było nieujęte jak światło, wielkie jak natchnienie prorocze, niewypowiedziane—jak uczucie!

A wszystko razem było cierpieniem i rozkoszą! Czego ja chciałam od ludzi? od świata? Alboż ja wiem?... Gdyby mi kto był szponami z piersi ducha wydarł, i rozłożył go na pierwiastki na jakiej filozoficznej retorce, niezegoby się zapewne więcej nie dowiedział odemnie...

Matka wyjęła zpod poduszki relikwią krzyża Chrystusowego, i przeżegnała mnie uroczyście.

— Moje dziecię! o jedną łaskę cię proszę: żebyś tyle różnych książek nie czytywała; to ci ujmuje zdrowia, niszczy twoje siły, których i tak nie masz zanadto. Wszystkie młode dziewczęta twojego wieku, takie hoże, czerstwe, rumiane; ty, pomiędzy niemi wiotka i blada, jak kwiat na lodydze upałem zwarzony. Tyle tylko, że ci się oczy iskrzą, a i to Bóg wie, czy nie z gorączki!...

Wziąwszy rękę matki przyłożyłam ją sobie do czoła, do skroni, do pulsów.

— Gdzież tu symptomata gorączki?... Jam zdrowsza od tych, co rumiane i czerstwe! Zresztą przecież nie mówię od rzeczy, tylko tak mi się potrzeba czasem wygadać przed wami, bo i gdzież pójdę z myślą moją, jeżeli nie do matki!? Kto inny słuchałby mnie może nie chciał, a matka zawsze głos dziecka swego zrozumie!...

— Ale czemu ty mnie, dziecko moje, zrozumieć nie chcesz, kiedy ja ci mówię o twoim przyszłym losie, o twojem szczęściu!

— O tém nie mówmy, matko! bo to grzech, *troszczyć się i frasować około wiela, kiedy jednej tylko rzeczy do zbawienia potrzeba*. Będzie ze mną jak Bóg zdarzy, i będzie dobrze! Gdybyśmy sobie nawet i mózg wysuszyły rozmyślając tak nad sobą, to przecież nie ujdziemy naszego przeznaczenia! I najlepiej podobno, co do przyszłych, niezawisłych od woli naszej zdarzeń, poddać się z pokorną ufnością w miłosierdzie ojcowski! Ja tam tylko nie widzę woli Bożej, gdzie człowiek źle czyni: bo tam jest zła wola człowieka, woli Bożej przeciwna. Chociaż i to wiemy z doświadczenia, że przewrotność ludzka przypisuje Bogu większą część utrapień swoich, a sobie przyznaje dobro od Boga wzięte. Cóż robić z ludźmi na tym świecie, kiedy ich przekonać, nie można?

— Trzeba znosić i przebaczać, mój aniele!

— Oh! tak, przebaczać dopóki można, i dopóki Bóg zechce, bo na wszystko jest miara i czas.... Czytałam w jakiejś książce o wychowaniu, że cnoty biernie przechodzące w ostateczność, zamieniają się w słabość charakteru, i w niedołęztwo moralne. Jestto poniekąd prawdą w życiu uznaną, że umiarkowanie zamienia się w obojętność, pokora w poniżenie, prostota w głupstwo, oszczędność w sknerstwo, i t. d. bez końca; przeto na wszystko musi być miara i czas..

Matka przerwała mi z uśmiechem:

— Szkoda, moje dziewczę, żeś ty się chłopcem nie urodziła, bo byś mogła śliczne książki pisać, albo gdzie z ambony słowo Boże opowiadać; ale dla kobiety co po tém wszystkiém?... Od mądrych kobiet, mężczyźni uciekają jak od powietrza, wyśmiewają ich rozum, i najmędrsi pomiędzy niemi powiadają: że uczona kobieta, jestto uczona.... Niech im Bóg odpuści!

— No, moja matko droga, przecież mnie nikt ani do uczonych, ani do mądrych kobiet nie policzy. I owszem, słyszałam na własne uszy, jak przyganiano ojcu, że niewiele dbał o moje kształcenie,

choć sam był człowiekiem uczonym. Ja tego nie powiem, i niech wam Bóg płaci za to, coście mi dali! bo daliście wszystko z pod serca, i dlatego też u mnie tylko serce bogate! Ale pytam, czemu by w niewiastach rozum i nauka miały być grzechem, kiedy są w innych zasługą? Zkąd się wziął dla nas przywilej głupstwa, a dla innych przywilej mądrości? Złe użycie rozumu jest grzechem, ale grzechem we wszystkich, którzy go na złe używają. Jeżeli nauka rodzi pychę, próżność lub samolubstwo: to wszakże nie wina czystego ziarna, które upadłszy przypadkiem na złą niwę, zagłuszone zostało chwastem i glogiem. Ziarno było pełne, tylko niwa niewdzięczna, a tą niewdzięczną niwą niekonicznie bywa kobieta! Był czas, kiedy wątpiono czy kobieta ma w sobie duszę nieśmiertelną; dziś wątpią, ażali ma umysł zdolny do przyjęcia naukowego wykształcenia; a w miarę jak ta wątpliwość ustaje, zaczynają dowodzić mędracy tego świata, że nam rozum niepotrzebny, nauka niebezpieczna, i że zamilowanie w niej rodzi próżność i sprowadza zawrot głowy... Być może! Ale pytam, czy nieświadomość czyni nas lepszymi i szczęśliwsiemi? czy nam daje odwagę i wytrwałość w nieszczęściu? czy nas chroni nakoniec od próżności, pychy i samolubstwa? Doświadczenie odpowiada, że — *nie*. Więc o cóż chodzi? Niepotrzebnie mówię o tém, co już tysiąc razy napisali i wydrukowali najmędrsi ludzie kilku ostatnich wieków. Lecz o nowe myśli trudniej, niż o nowy kapelusz, i dlatego trzeba się starami żywić dopóki można.

* * *

Uplęnęło kilka tygodni zupełnej ciszy.

Pan Ciemięga całe dni u nas przesiadywał, rozmawiając z matką o gospodarskich interesach, a ze mną o niczem. Uważałam, że matka chciała nieraz wynaléć jaki przedmiot rozmowy dla nas, ale jój się nie udawało; i zawsze tak wypadło, że albo on mnie nie rozumiał, albo ja jego. W skutku niceśmy podobno oboje na tém nie stracili, więc nie ma czego żałować.

Pan Ciemięga, który uchodził u pewnych ludzi za dowcipnego, należał rzeczywiście do liczby tych, u których milczenie zastępuje rozum. Otóż miewał np. czasem dosyć oryginalne zdania, jeżeli to zdaniem nazwać można: nie wierzył historyi, mówiąc: „albo to prawda, co tam kiedyś pisali.“ Dla niego to tylko było prawdą, co zaszło na świecie od czasów Księstwa Warszawskiego. Dawniejsze wypadki, a nawet historia jego dziadka, którego nie znał, należały do podan

bajecznych, i dlatego dziwił się kiedy mówiono o przeszłości, jako o prawdzie niewątpliwie dokonanej.

Religią o tyle tylko uznawał za potrzebną, o ile ona dogadzała osobistym jego widokom i stosunkom, jakie miał ze światem. Zresztą, moralnej potrzeby, strony poetycznej, duchowej, niebędącej w związku z życiem materialnym, nie upatrywał bynajmniej. I wyznać nam trzeba, że pan Ciemięga nie stanowił wcale wyjątku ze swoją naturą pozytywną, specjalno-ziemską! On się nie lubił wyróżniać, i wszelkiej oryginalności lękał się jak morowego powietrza.

Byłto co się nazywa w zwyczajnej mowie: *pocziwy człowiek*. Życie bierne przemawiało za nim pod każdym względem, a sąsiedzi, którzy nie mieli do niego żadnej urazy, uczcili go przydomkiem *zaczynego* obywatela. Mówiono nawet że miał dobre serce, bo płakał kiedy się stodoła ze zbożem spaliła, i kiedy przypadkiem charta na polowaniu zastrzelił.

Chociaż Bogiem a prawdą, łzy niezawsze świadczą o skruszeniu serca, jak słowa niezawsze są objawem ukrytej na dnie duszy myśli człowieka.

Wszakże już zdarzyło mi się widzieć ludzi śmiejących się przy odgłosie pogrzebowej muzyki, wśród pożegnalnych uścisków braci z bracią! A śmiech ten straszliwszym był od łez i jęków czyścowych, od samej klątwy potępionych, nie mających już nic przed sobą, nic za sobą. A wszakże byłto śmiech!.. Na uszy moje słyzałam!.. Odtąd, łzom nie wierzę, uśmiechom nie wierzę, słowom litości nie wierzę, jak starzec, którego ludzie z czystej a świętej wiary jego obdarli! A przecież, Boże! nie karz mnie za to odjęciem światłości wiekuistej, wróć mi wiarę moję w ludzi, gdyż bez niej nie zajdę do Ciebie!..

Kiedy zmija zwątpienia okręci się o serce, i jadem je swoim napelni, i całą szkaradę uczynków ludzkich w potwornym stawi obrazie; wtedy człowiek w mękach piekielnych czuje tylko sam siebie, i woła w rozpacz: „Co mi do ludzi? niech przepadną wszyscy, byłem ja się zchawił, byle męka moja ustała.“

Jestto przesilenie na śmierć, lub życie. Sprawiedliwi oglądają wtedy cuda Pańskie. Serce ich rozprzestrzenia się nagle, tak, iż peka ją pierścienie żmii, wiara spływa balsamem w zbolalą duszę, pokusa przepada, a prawda i miłość zwycięża.

Potém widziałem niebo nowe, i ziemię nową.

Objawienie św. Jana, rozdz. XXI.

Po długiej z matką rozmowie, siedząc raz późno w noc oparta na krawędzi jej łóżka, gdy usnęła, modliłam się całym sercem do Pana, aby mi drogę pielgrzymowania mego uprościł, aby mi zesłał jednego z aniołów swoich, któryby mi tajemniczy cel życia mego objawił. I czemu miałam umrzeć, a żyje?!

Gdy się tak modliłam coraz ciszej, coraz wnetrzniej, czułam jak mi ręce i nogi cierpły, a głowa i piersi coraz gwałtowniej płonęły. Zmysły we mnie zamarły, a duch z grobu powstał. Odtąd już nie widziałam i nie słyszałam, jedno czułam!....

Nagle, całe niebo roztoczyło się, jak wielkie panorama w głębi mej duszy. Jasność, woń, harmonia, składały atmosferę tego nieba. Wszystko tam było cudem Wszechmocy, a Wszechmoc była miłością! Drobne a święte uczynki ludzkie leżące śmieciem na ziemi, podnosiły się z niej w górę i zamieniały w jasne, coraz jaśniejsze gwiazdy, aż słońca w przestrzeni zawieszono przy nich pobladły! Duchy nieśmiertelne, co z wiarą i nadzieją walczyły o życie przeciw śmierci wiecznej, wstępowały zwycięzko w raj wszechmiłości. Potrzeba tylko było wyraźnego głosu, aby to wszystko wypowiedział; ale głosu tego nie rozumiałaby ziemia, chociażby się nawet znalazł w mowie ludzkiej, bo głos ten jest dla niej jeszcze tajemnicą. Ja, wygnanka ziemi, tonęłam duchem w tej niebieskiej powodzi, kiedy nagle jednym z pięciu zmysłów moich ujrzałam przed sobą postać ludzką! Człowieka, który nie był ani starcem, ani młodzieńcem, ani mężem, ani dziećciem, ale był wszystkiem odrazu! Na głowie miał koronę nie złotą, nie jasną, ale owszem jakąś ciemną, a krwawą. Od ramion aż do ziemi pokrywała go gruba a spłona szata, powrozem opasane miał biodra, a w ręku kij pielgrzymi.

Ta postać ludzka, na której obliczu malowała się prostota dziecięcia, i odwaga męża, i tkliwość niewiasty, i powaga starca, postąpiwszy ku mnie złożyła obie ręce na mojej głowie, i przemówiła do mnie językiem ziemskim:

— Chcesz wiedzieć siostró, czemu miałaś umrzeć, a żyjesz; chcesz poznać drogę i cel pielgrzymki twojej i prosiłaś o to wierząc, że otrzymasz:... przeto z woli Pana objawiam tobie, że celem życia twego jest: *praca i doskonałość*, owa niepojęta, którą tylko w przeczuciach anielskich widzą sprawiedliwi i niepokalani na du-

chu. Wydarła śmierci, pracować będziesz około zbawienia cierpiących w doczesnej otchłani, których Pan czasu zmartwychwstania swego wprowadzi do raju.... I ciałem ku ziemi, duchem ku Panu iść musisz długo i daleko, mało się weseląc z rzeczy obecnych, a radując się nieskończeniem nadzieją przyszłych.... Gdy wolą i duchem wystąpisz z siebie, wszystko co dotąd w olbrzymich przedstawia ci się rozmiarach, zmaleje w oczach twoich na ziarnko suchego piasku; wieki minione wydadzą się jako ubiegłe godziny wieczności, i w całej przestrzeni, od Zenitu do Nadyru, tylko zbrodnia będzie straszna — tylko cnota wielką!...

Jam także syn ziemi, człowiek boleści! wiekowy, ale nie wieczny! Jeżeli wytrwasz i zrozumiesz, opowiem ci krwawą i łzawą przeszłość moją... Żyłem długie lata w niewiedomości przykazań Pańskich, jako niemowlę na łonie matki, bez winy i bez zasługi. W owej pierwszej chwili życia mojego, na którą się wieki składały, ziemia rodzicielka była mi matką i ojcem, zaspokajała wszystkie żądze moje, o ile żądze zaspokoić można. Lecz kiedy drzewo rajskie, *drzewo wiedzy* rozrosło się ponad głowę moją i osłoniło ziemię od promieni słonecznych, uczulem zimno we wszystkich członkach moich, a w duszy jakąś niezmierną a bezcelną tęsknotę. Widziałem potem, jako się wszystko naokoło kształtuje w arcydzieła sztuki. Sama natura się wynaturzyła i przestała być sobą, zamieniając się w dzieło myśli człowieka. Cuda stworzenia, ustępować zaczęły cudom dzieł ludzkich; bogowie ubiegali się o pierwszeństwo w sztuce z synami ziemi. I życie całe oblekło się w formę, boskie ideały okuto w ramki pewnego rozmiaru, myśl żywiła się jedynie wrażeniami z otaczających ją przedmiotów, a wyższe natchnienia przedrzeć się nie mogły w serce człowieka przez gęstą atmosferę żądz, naciśkających zewsząd duszę jego.

Z zagastą pochodnią w rękę, z zwiedłym laurem na skroni przeszedłem wszędy i wzdłuż przestrzeni ziemską, a uczyniwszy wszystko na obraz i podobieństwo swoje, pokloniłem się obrazowi mejemu! Nieszczęśliwy! byłem bałwochwalcą! Z raju niewiedomości wpadłem w grzech pychy rozumu, i przeto wiedza zamiast owocu zbawienia, wydała owoc pokuty. Rozumiałem, że ona sama da mi doskonałość, że mnie uczyni Bogiem i panem stworzenia; i wszystkie promienie ducha zanurzyłem w ziemi, i wszelkie ziarno myśli na ziemię posiałem, zlewając je krwią i potem własnym; lecz rosy niebieskie zawisły nad ziemią i spłynąć na nią nie chciały. I poznałem dopiero, że ta krwawa praca rozumu, że ten siwmy myśli w błoto rzuconych, zgniły

tylko może wydać owoc, i przekonałem się, że mądrość moja w obec nieskończoności—głupstwem była.

Z siejby wiekowej wyrosły tylko ciernie, i zaplotły mi się w koronę ponad głową i wrosły mi w skronie, i bolały przez długie lata! Wycierpiałem straszliwe męki. Wierzyłem i wątpiłem; nie widziałem i kochałem; żyłem i umierałem, walcząc wciąż bezbronny, przeciwko samemu sobie. Wiłem się po ziemi jak gadzina, której głowę stopa niewiasty zetrzeć miała, i w męce mojej bluźniłem Temu, który mnie stworzył niedoskonałym, a szukać doskonałości przykazał. Więc przekląłem własne ciało, i duszą z niego chciałem się wyrzucić, i lecieć w świat inny, nieznany; ale droga do tego świata była dla mnie tajemnicą.

Kiedy wybiła trzecia godzina życia mojego, niebiosy rozjaśniły się ponad ziemią. Jakieś głosy anielskie rozlegały się w powietrzu, samo powietrze grało pieśnią chwały—Panu na wysokościach, a pokojem—ludziom dobrej woli na ziemi! Duch, w językach ognistych rozplonął mi ponad głową, aż mózg pod niemi roztajał, i po raz pierwszy uczulem, że oprócz głowy mam jeszcze serce, które dotąd we mnie nie biło; po raz pierwszy uczulem się człowiekiem nieśmiertelnym, a myśl swobodnie popłynęła w niebo czystą i gorącą modlitwą podzięką za wszelkie zło przemienne i wszelkie dobro wieczne.

Odtąd rozum jest mi pochodnią, a serce przewodnikiem do królestwa Bożego, którego strzeże Cherub świętej miłości, aby tam nie weszło nic skalanego pychą, zemstą lub nienawiścią! Uszedłem już większą połowę drogi mojej, a jeszcze jej końca przed sobą nie widzę. Tak się przed okiem moim olbrzymie piętrzą skały, takie się niezmierne u stóp moich rozlewają oceany, że je zaledwie skrzydłem ducha przemierzyć można. Lecz ja, wędrowiec niestrudzony, z drogi swojej nie zбочę, bo gwiazda moja dniem i nocą w szarym świetli obłoku: ta sama, co nad stajenką betleemską jaśniała wiodąc mędrców do ukorzenia się przed cudem miłości; ta sama, co świeciła prorokom izraelskim na szczytach Horebu i Synai, kiedy kataklizm złudzeń i występków zalował człowieczeństwo... Tą gwiazdą moją jest wiara, za którą już tysiąc razy umarłem, w imię której tyleż razy zmartwychwstałem!...

Słyszając tę mowę ludzką, rzekłam ze drzeniem w ludzkiej mowie:

— Jam nauką nie grzeszna, tylko sercem bogata: może sercem zrozumieć?... Powiedz mi, synu boleści, wiekowy pokutniku, co uczynić mogę, aby czas twojej pokuty był skrócony?...

— W imię Ukrzyżowanego! siostró, pójdź za mną, ja się bez ciebie zbawić nie mogę, ani ty bezemnie. Razem pielgrzymując, wypiszemy na ziemi imiona nasze zgłoskami świętych czynów... Każda łza, którą mi otrzesz, każda kropla krwi, którą w relikwiarz dziejowych pamiątek zbierzesz, zaświeci na skroniach twoich perłą, dyamentem nieśmiertelnego blasku!... Pójdziem, siostró! dokąd nas wola Boża prowadzi, nie ustając w trudach i w cierpliwości. Na pustyniach znajdziemy oazy, po krańcach oceanów bezpieczne przystanie, i w życiu znajdziem chwile wytchnienia, po których znowu praca i znój!...

— A spocznem, gdzie? i kiedy?...

— Duchy nieśmiertelne spoczynku nie znają! Im życie wciąż gra pieśnią dzieł Pańskich, pieśnią świętych czynów, przechodzących wiecznie z bytu w byt, ze skończoności w nieskończoność! Na ziemi są groby i cmentarze wielkie, gdzie drżemią proch i kości, czekając godziny sądów; lecz duchów śmierć nie uspi na zimnym łonie swym: one wciąż w górę płyną, w niebo wstępują, okiem ludzkim nie dojrzane, aż po ostatni dzień Apokalipsy, kiedy Duch Boży ponad cmentarzem powieje!.....

Przebudziłam się zimnym potem oblana. Złodowaciała ręka matki leżała sztywno na mojej płonącej głowie!.... Co się dalej stało, już nie pamiętam i przypomnieć sobie nie chcę! Sen przeminął, lecz wrażenie pozostało w myśli mojej na wieki... Zstąpiłam z nieba na ziemię, i nieśmiertelna stanęłam wobec śmierci!..

Ja byłam w niebie, i widziałam Ojca, Syna i Ducha; widziałam Ich jako jednego, w chwale, w miłości i w działaniu nieustającym, w jedności nierozzerwaną. Nigdzie początku, nigdzie końca; lecz wszędzie i zawsze pełnia życia, światła i miłości!

Kiedy gniewny Jehowa przemówił do proroka swego, zachwiały się góry na podstawach swoich, a strachem zadrzało pelzające u stóp ich stworzenie; lecz kiedy Ojciec przemówił do Syna, a Słowo Jego stało się ciałem i zamieszkało pomiędzy nami wraz z Duchem Ojca i Syna: wtedy głos Ojca nie przeraził ziemi, ale ją wzruszył do głębi!.. Przez twardą jej skorupę dostał się do jej wnętrza, i przetopił kruszce w łonie jej zawarte, i zmiękczył odwieczne glazy, tak, że łzami żalu i oliwą ukojenia spłynęły!

Gdzież zemsta Boża? pokażcie mi gdzie są jej ślady?!.. Czy w cudownych przeobrażeniach dzieł natury?.. Czy w harmonii krążących naokoło siebie światów?.. Czy w bezlicznych zastępach

słońce i planet pozawieszanych w przestrzeni?.. Czy gdzie dulej jeszcze?..— Oh! nie. Tam wszędzie chwała! miłość! działanie życia w zgodzie z myślą Bożą!

Zemsty, kary i złości—to nie rosy niebieskie; to są mgły pośpiesznie ciężące nad ziemią, których słońce w niebo nie ciągnie, lecz je z promieni swoich otrząsa; to są wyziewy serc namiętnościami zepsutych, grzechy aniołów strąconych w przepaść!.. To co nas boli jest dziełem rąk naszych, serc pomyśleniem, ust wymówieniem, woli naszej czynkiem! Bóg się nie mści, tylko człowiek grzeszy, a grzesząc, bluźni Bogu!

Synu człowieczy! odejmij grzech od ziemi, a ziemia stanie ci się rajem, w którym znowu głos Pański rozlegać się będzie! Wtedy zrozumiesz i przeznaczenie swoje, i świętą tajemnicę przyszłego żywota, i wieczne prawo przeobrażenia rzeczy stworzonych; a ubogacony darami ducha skierujesz rozwój wiedzy twojej w pełną mądrości myśl Bożą!.. Gdy drzewo rajske zakwitnie powtórnie, owoc jego da ci żywot wieczny, abyś się stał Bogu podobny—przez miłość!

Niech zabijające wyziewy serc nieczystych zbiorą się w kałuże błota, i niech je zimno biegunowe zetnie mrozem śmierci! Niech grzechy obojętności zleją się w stojące jeziora, w martwe morza, od których żyjące twory uciekają! W tych wodach ryba nie zagości, ptak nad ich powierzchnią nie przeleci, stopa ludzka ich brzegu nie dotknie; lecz pozostaną wśród łądów po wszystkie wieki, świadcząc przeciwko złemu, które pochłonęły!

A kiedy wszystkie głosy w naturze nastroją się do jednego tonu, wszystkie serca w jeden zaplotą się wieniec, wszystkie myśli w jeden zleją się strumień, i wszystkie barwy w jednej zabłysną tęczy:—natenczas niebo i ziemia wyciągną miłośnie ramiona ku sobie, i będą jako Jeden!

A Syn człowieczy ukaże się w chwale Ojca, otoczony zastępem wyznawców i męczenników swoich, kiedy w przestrzeni zabrzmie wszystkimi głosami, głos jeden:

Oto Słowo które stało się Ciałem, i zamieszkało pomiędzy nami na wieki!

Te były ostatnie wyrazy na 18 str. pisma nieboszki. Kilku następnym kartek brakowało: zdaje się, że zniszczone były umyślnie. Dalej znalazłam dwie ćwiartki papieru, częścią złane atramentem,

częścią przedarte; na innych myśli bez ładu, bez związku kreślone; to znów modlitwy takie serdeczne, takie wzniosłe, że się przed niemi mimowolnie kolana uginały... Stały mi w pamięci listy po śmierci jej matki do mnie pisane, i wszystko naraz powlokło się przedemną tajemniczą zasłoną. Nie rozumiałam nic a nic!.. Trzecia godzina po północy wybiła w przyległej izbie, lampa przedemną dogorywała, mnie samą słabo się robiło. Tyle zaledwie miałam przytomności, żeby wypróżnioną tekę na właściwe miejsce położyć, listy moje pozbiierać, i jako-tako ułożyć się do spoczynku. Światło zgasiło i ja oczy zamknęłam.

— 1881 —

PRZEGLĄD PRAC

USKUTECZNIONYCH I NADAL ZAMIERZONYCH W CELU POŁĄCZENIA MORZA ŚRÓDZIEMNEGO Z CZERWONEM PRZEZ MIĘDZYMORZE SUEZ W AFRYCE,

t u d z i e ż

OCEANÓW ATLANTYCKIEGO I WIELKIEGO PRZEZ MIĘDZYMORZE PANAMA W AMERYCE.

PRZEZ

Jana Mikiewiczza.

Połączenie Śródziemnego morza z Czerwonem w Afryce przez między morze Suez, a oceanu Atlantyckiego z Wielkim w Ameryce przez między morze Panama, są dwa nader ważne przedsięwzięcia w teraźniejszym porządku dziennym, które ku sławie naszego wieku mają być wykonane za naszych czasów. W Afryce, (1) choroba sędziwego Mehmed - Alego, śmierć Ibrahima-Baszy, polityczny stan Europy i towarzyszące mu przesilenie handlowe, odwlekły na jakiś czas doprowadzenie do skutku tak ważnego zamiaru, ulubionéj niegdyś myśli i marzenia starego wice-króla, a którego wykonanie, nadzwyczaj wieleby wpłynęło na rozszerzenie handlu Europy z bogatemi krajami południowéj Azji, mogłoby nawet całkowicie i najkorzystniéj zmienić handlowe stosunki Zachodu ze Wschodem. W Ameryce zaś szczęśliwe dla Stanów Zjednoczonych ukończenie meksykańskiej wojny i wynalezienie metalicznych bogactw w Kalifornii, przyspieszyły skutecznienie zamiaru, który niejako był w niepamięć puszczony, i może bardzo długo pozostałby jeszcze jako projekt, bez wykonania.

(1) Pisano w r. 1849.

Korzyści, jakie handel spodziewa się odnieść przez skrócenie dalekiej podróży, gdy niepotrzebna będzie opływać nader niebezpiecznych przyładków Dobrzej Nadziei i Horna, są tak widoczne i pewne, że na obydwóch międzymorzach zamierzono urządzić podwójne komunikacye: wybudować koleje żelazne, a niezależnie od nich przekopać kanały, któremiby mogły wielkie okręty przechodzić.

Międzymorze Egipskie.

W Afryce, Śródziemne morze przedzielone od Czerwonego wąską piaszczystą przestrzenią, w czasach odległych daleko wewnątrz Egiptu zachodząc, tworzyło zatokę równoległą do brzegów morza Czerwonego i z niem się łączyło naturalnym związkiem. Ciągłe niziny dotąd w tych miejscach istniejące, pokryte napływami morskimi, na których znajdują się solne jeziora, potwierdzają to domniemanie, podzielane przez wielu pisarzy.

Przestrzeń ta, międzymorzem Egipskiem (1) albo *Souyes* (2), zwykle zaś *Suez* zwana, przedziela zatokę Arabską czyli morze Czerwone, a następnie ocean Indyjski od morza Śródziemnego na odległość 120 kilometrów, pomiędzy 30⁰ a 31⁰ północnej szerokości. W odległej starożytności, stanowiła ona najkrótszy i najlepszy naturalny środek komunikacyjny pomiędzy krajami południowej Europy a stałym lądem azjatyckim.

(1) Władomości o międzymorzu Suez wzięte są z rozprawy czytanej w sekcyi technicznej Towarzystwa Naukowego w Medyolanie (*Société d'encouragement des sciences, lettres et arts*), na dniu 5 czerwca 1847 r. przez inżyniera Corte, a później wydrukowanej w styczniowym zeszytce 1848 r. w *Annales universelles de statistique, d'économie politique etc. Milan*. Następnie pan Atanazy Gros przetłumaczył ją po francuzku i uzupełniwszy późniejszymi wiadomościami, wydrukował w *Journal des Économistes* w marcowym zeszytce 1849 r. nr. 95, stron. 381—395. My zaś wzięliśmy text p. Gros z powyższego francuzkiego dziełnika prawie dosłownie, pozwoiliwszy sobie zmienić nieco porządek redakcyi i dodawszy jeszcze niektóre spostrzeżenia i uwagi z innych źródeł.

(2) Arabowie nazywają *Souyes* miasto teraźniejsze, które powstało na miejscu starożytnego *Kolzum* v. *Qolzum*. Inżynier Le Père b. prezydujący w komisji mianowanej przez generała Bonapartego do rozpoznania kanału przez międzymorze Suez, rzuca pytanie, czy wyraz ten nie pochodzi od słowa *Souyen*, co znaczy *oaza*, t. j. miejsce w stepie bezludnym zamieszkałe. Langies w swoim Dykcyonarzu wyprowadza ten wyraz do egipskiego słowa *Ouahe*, toż samo znaczenie mającego, a które Grecy zamienili na *Oasis* czyli *Oaza*.

Ważność połączenia obu mórz szlucznym sposobem, uczuwano w czasach nader odległych; za świadectwem Arystotelesa, Strabona i Pliniusza, pierwszą myśl o przerobieniu między niemi kanału, powziąć miał Sezostrys, który panował za czasów Trojańskiej wojny, odpowiadającej podług wyrachowania Volneja (1) epoce panowania Salomona, t. j. na 1.000 lat przed nar. Chr. Kanał nie miał łączyć bezpośrednio obu mórz, ale, jak podaje Diodor sycylijski, miał być poprowadzony od brzegów morza Czerwonego, od miasta *Qolzum* (Clizma u Greków) do Nilu niedaleko Memfis. Kanał ten zaczęty był na wielką skalę: miał 170 stóp szerokości, z odpowiednią dla pływania wielkich okrętów głębokością; wszakże nie został ukończony, gdyż król spostrzegł, że powierzchnia wody morza Czerwonego leży znacznie wyżej od Nilu, a więc z obawy aby słona woda morska, mieszając się z Nilową, nie szkodziła urodzajności gruntów, roboty kazał zaprzestać. M. Letronne w artykule swoim: *Isthme de Suez, canal de jonction des deux mers, sous les Grecs, les Romains, et les Arabes*, (2) mniema, iż z Herodota wnosić wypada, że nie Sezostrys, ale daleko później król *Nechos* syn *Psametyka*, około 600—615 r. przed Nar. Chr., pierwszy zaczął ten kanał kopać, i kiedy już 120 tysięcy ludzi koło niego pracujących życiem tego przypłaciło, roboty wstrzymano w skutek wyroczni, że król pracuje dla barbarzyńców. Później za panowania Persów, *Daryusz* syn *Histaspa* prowadził dalej prace rozpoczęte przez *Nehosa*, a następnie *Ptolomeusz* *Filadelf* II ukończył je w zupełności, i uskutecznił wszelkie poprawki i naprawy, które tak prędko powoduje woda, jeżeli nauka i ciągły dozór nie potrafią temu zapobiedz. Kanał nosił imię *Ptolomeusza*, *Canal* *Ptolomaei*, nazywano go także *kanałem królewskim*. Bądź z powodów politycznych, jak niektórzy sądzą, bądź też z obawy, aby nie ściągnąć do środka kraju burzliwych fal Śródziemnego morza, lub też jeszcze dlatego, że miejscowość przedstawiała mniej trudności i że w owych czasach głównym celem mogło być ułatwienie tylko handlu wewnętrznego: dla połączenia obydwóch mórz nie zmieniono dawnego kierunku i nie obrano prostój, zatem najkrótszej drogi przez międzymorze, lecz poprowadzono kanał od odnogi *Nilu*, *Peluzyjską* zwaną, niżej miasta *Bubast*, w bliskości teraźniejszego *Koiru*, przez dolinę *Quady-Tounilat* i *Gorzkie jezioro*, które on przecinał, podo-

(1) Wyrachowanie Volneja:—jemu właściwe. *Mémoire sur la Chronologie ancienne*. 1782.

(2) *Revue des deux Mondes*, vol. XXVII. 1841.

bnie jak Rodan przecina jezioro Genewskie, do miasta Arsinoe, czyli *Cleopatris*, leżącego na samym brzegu północnym zatoki Arabskiej. Kanał królewski czyli Ptolemeusza miał 165 kilometrów długości, a był szeroki od 35 do 40 metrów, nigdy zaś nie był mniej nad 5 metrów głębokim, a posilkował się wodą Nilu. Okręty przybywające z Czerwonego morza do odnogi *Peluzyjskiej*, mogły z łatwością dopływać z wodą do wszystkich portów Śródziemnego morza, lub iść pod wodę do Memfis, a ztamtąd aż do Teb. Kanał ten, oprócz dobrodziejstw jakie czynił dla handlu, dostarczał obficie wody do irygacyi nader znacznej przestrzeni okolicznych gruntów, na międzymorzu położonych, które stawszy się urodzajnymi, wkrótce pokryły się ludnością: przy samym kanale powstały pyszne miasta *Phagroriapolis*, *Heroopolis* czyli *Heroum* i *Serapeum* niedaleko od *Arsinoe*.

Z czasem jednak wdzierające się piaski zamuliły dno, a w końcu i znaczną przestrzeń kanału zupełnie zasypały, Cesarz Adryan korzystając z pokoju, którym cieszyło się rzymskie cesarstwo, kazał odnowić kanał, i dobudować na kilka stadyów nową odnogę, która zaczynała się niedaleko miasta *Heroum* i łączyła się z Nilem poniżej Memfis, przy wojennej stacyi rzymskiej *Babilon*, (*Babul* v. *Bablion*), naprzeciwko piramid. Nowo wyporządzony kanał otworzony został dla handlu. Adryan nazwał go *Rzeką Trajana*, dla uczczenia dobroczyńcy, który go na następcę tronu powołał. Kurcyusz nazywa wybudowaną przez Adryana odnogę *Oxius*, a Arabowie *Merahemi*.

Czas i niedozór zniszczyły na nowo i te prace. Kalifowie arabscy starali się o przywrócenie starożytnego kanału do należytego stanu. Słynny *Omar-ebn-el-Kattab* w r. 640 po Narod. Chryst. polecił wielkorządcy Egiptu, *Amru*, wznowić go, aby ułatwić dowozy żywności dla Arabii, a szczególnie do miast *Mekki* i *Medyny*, doznających z przyczyny nieurodzajów głodu. Wznowiony przez *Omara* kanał, uległ niewielkiej zmianie co do kierunku; nieco bowiem bliżej niż przedtem łączył się z Nilem, pod starym *Kairem*, niedaleko terazniejszego *zamku wodnego* (*Chateau-d'eau*) i był nazwany kanałem *księcia prawowiernych* (1). Przez niedbałość

(1) Arabowie nazywali go początkowo: *kanał Messr* czyli *Fosthâtk*. Kiedy generał *Diauhher* założył miasto *Kair* na wschodnim brzegu kanału, nazwano go kanałem *Kairskim*; zwano go także *kanałem peret*, a terazpiwsze u krajowców ma nazwiska: *Hhâkem* (*el-Khalydie-ël-Hhâkemy*), *Khalydie-allouloua*, *Khalydie-almorakham*. *Recueil des observations et des recherches qui ont été faites en Egypte pendant l'expédition de l'armée française*. Druga edycya T. XI, str. 360.

arabskich rządców, kanał znowu się zamulił; nakoniec w r. 1775, kalif Abu-Diafur-al-Mansor, aby przeciąć dowóz zboża do Medyny, która natenczas zbrojnie przeciw niemu powstała, kazał go zupełnie zasypać, do czego zapewne przyczyniła się także i obawa, aby przy wielkich przyptywach Czerwonego morza, nie wtargnęła woda i nie zalala wnętrza kraju, co podług francuzkiego inżyniera Le Pére, nie było niepodobnem. Od tego czasu kanał nie był więcej wznowiony, lecz część jego dotąd istnieje pod nazwiskiem *Kalisch*, w okolicach północno-wschodnich Berket-el-Hadi czyli jeziora Pielgrzymów. *Kalisch* przeto jestto ten sam kanał, który co rok przy wezbraniu Nilu, pomiędzy 15 a 20 sierpnia, z wielką uroczystością otwierają dla irygacji gruntów. Miasto *Quotzum* czyli *Clysmá*, pod którym kanał do Czerwonego morza wchodził, również od kilku wieków nie istnieje: pozostało tylko imię, a na miejscu gdzie stało miasto wznosi się pagórek z cegieł i kamieni, zasypany piaskiem, w odległości 300 kroków na północ od Suez, na samym brzegu morza przeciw brodu prowadzącego do źródeł el-Naba.

W krajach żyznych i w płody bogatych, związki handlowe biorą początek na brzegach rzek wielkich, które ułatwiają stosunki pomiędzy mieszkańcami, tworzą wewnętrzny handel; gdy zaś ten jest czynny i przemysłowi sprzyjający, stanowi najpewniejszą podstawę pomyślności krajowej i przyczynia się do rozszerzenia handlu zewnętrznego, zależącego często od przypadkowych okoliczności. Ale handel wewnętrzny stanowi własność narodu, z nim razem żyje i ginie. Egipt, jak wiadomo z historii, umiejętnie korzystał ze swojej ziemi i geograficznego położenia; w odległych bardzo czasach, kraj ten był spichrzem Syrii, Arabii, następnie Rzymu, jak dziś Konstantynopola; był głównym składem indyjskiego handlu, który prowadzono morzem Czerwonem w miastach portowych Berenice, Cosseir, Arsinoe i Suez, i stanowił środkowy punkt handlu *karawanowego* i tranzytowego pomiędzy Afryką, Azją i Europą, co nadewszystko ułatwiał Nil, będący splawnym od *Elefantyny* czyli *Geziret-el-sag* (kwitnącej wyspy), to jest prawie od samych wodospadów aż do ujścia.

Z natury wynikało, że przy tak czynnym i kwitnącym handlu, jakim się bogacił Egipt, już w nader odległej epoce myślano o połączeniu dwóch mórz, do których kraj ten przytykał. Wyżej powiedzieliśmy z jakich powodów początkowy kanał szedł nie w prostym kierunku pomiędzy zatoką Arabską u morzem Śródziemnem, lecz ku stronie Kairu do odnogi Peluzyjskiej dążył. Do tych powodów

przyczyniła się zapewne jeszcze i ta okoliczność, że Egipt w ogólności odnosząc znaczne korzyści ze swego handlu, szczególnież tranzytowego, mógł poprzestawać na tém co miał u siebie, nie szukając nowych źródeł w obcych odległych krajach; nie miał także nigdy dość własnych lasów do wystawiania okrętów w ilości odpowiedniej obszernemu handlowi zewnętrznemu; zresztą w owój epoce, ludy, prócz może Fenicyan i Kartagińczyków, nie miały jeszcze téj myśli naszych czasów: — zagarnąć handel na całej kuli ziemskiej.

Znakomity wódz francuzkiej wyprawy miał rozleglejsze w tym względzie widoki, i obok zwycięstw nad brzegami Nilu odniesionych, nie zaniedbał zjednać sobie nowego tytułu do sławy: — dwóch mórz połączeniem.

General Bonaparte za przybyciem do Egiptu postanowił udać się do Suez osobiście, a pierwój mianował kommissyą pod przewodnictwem inżyniera Le Pére, do zbadania miejscowości i ułożenia planu robót. Zwiedzając Suez, oglądał stary kanał i ledwie życiem tego poświęcenia się nie przypłacił, gdy wracającego od źródeł Mojżesza, d. 28 grudnia 1798 r. w nocy, przypływ morski ogarnął. Bonaparte podzielając zdanie kommissyi o ważności połączenia dwóch mórz, odezwał się do niej w te słowa: „Dzieło to jest wielkie; ogłoscie drukiem rozprawę i zniewolcie rząd turecki, aby w wykonaniu tego projektu chciał zrozumieć swój interes i swoją sławę (1).”

Kommissya zbadła miejscowość dokładnie pod względem technicznym i naukowym; raport w tym przedmiocie przedstawiony był pierwszemu konsulowi 14 sierpnia 1803 r. w Paryżu, i później ogłoszony drukiem pod tytułem: *Mémoire sur le canal des deux mers*, w I tomie znakomitego dzieła: *Recueil des Mémoires sur l'Égypte*, ułożonego z rozkazu cesarza i wydanego w r. 1809 przez Panckouke (2).

Napoleon przywiązywał nader wiele wartości do wybudowania kanału Suezskiego, bo zostawszy jego panem byłby panem Indyi, a szczególnież w czasach w których nie znano jeszcze żeglugi parowej; i zapewne przedsięwzięcie to byłby doprowadził do skutku, gdyby los, który go powołał do rządzenia wielkim narodem, nie zmienił się następnie.

(1) La chose est grandiose; publiez un mémoire et forcez le gouvernement Turc à trouver dans l'exécution d'un tel projet, son intérêt et sa gloire.

(2) W drugiem wydaniu z 1822 r. rozprawa ta jest zamieszczona w tomie XI, str. 371.

Projekt wypracowany z rozkazu Napoleona, był pierwszym od czasu jak kalif Abu-Dżafar-al-Mansor kazał zasypać kanał. Ogłoszono potem cztery jeszcze projekty, tak, iż dotąd jest ich pięć, jakoto: projekt inżyniera Le Père, Colin'a, Golloway'a, Harris'a i wypracowany z rozkazu Mehmed-Alego.

1. *Projekt inżyniera Le Père.* Z prac kommissyi pod przewodnictwem Le Père ustanowionej, wynika: 1) że przestrzeń między miastami *Suez* a *Tyneh*, na płaskim i otwartym brzegu morza Śródziemnego, niedaleko zwalisk starożytnej *Peluzyi*, wynosi w czasie małych przyptywów morskich 120 kilometrów; 2) że poziom małego przyptywu morza Czerwonego w Suez, w czasie Syzygii, wyższy jest o 8,12 nad poziom morza Śródziemnego w *Tyneh*; 3) że wzniesienie się przyptywów nad zwyczajny stan morza bywa w Suez 1^m,78, w *Tyneh* zaś nigdy wyższy nad 0^m,38; ztąd wypada, że w czasie wielkich przyptywów, różnica pomiędzy poziomem obydwóch mórz wynosi 9^m,58, a przy średnich przyptywach różnica ta bywa 8^m,34, t. j. o ośm razy większa aniżeli, jak wiemy z postrzeżeń M. Llyod, pomiędzy oceanami Atlantyckim i Spokojnym w Panamie i w Chagres.

Z odniesienia tych poziomów do poziomu Nilu pod Kairem okazuje się, że w czasie zwyczajnego niskiego stanu wody w Nilu, powierzchnia jego przy Kairze jeszcze jest wyższa od małego przyptywu morza Śródziemnego o 5^m,28, a w epoce największego wezbrania rzeki wzniesienie nad mały przyptyw wspomnianego morza dochodzi do 12^m,86. Wypada więc, że w tym ostatnim stanie, to jest w czasie najwyższego wezbrania rzeki, Nil wznosi się nad poziom zatoki Arabskiej w Suez, gdy ta jest w niskim wodostanie, o 4^m,74, w czasie zaś niskiej wody w Nilu, ten ostatni bywa niższy od zatoki Arabskiej tylko o 2^m,84. M. Sainte-Preve w nocy przedstawionej w 1847 r. akademii paryzkiej nauk, dowodzi, że pomiar uskuteczniiony przez kommissyą Le Père, z powodu różnorodnych trudności, które ona co krok napotykała, nie jest dokładny; w skutek czego akademia miała dać polecenie panu Rochet d' Hericourt, który po raz trzeci odpływał do Abissynii, aby okoliczność tę sprawdził. Podług ostatnich najnowszych wiadomości, z niwellacyi uskutecznionej z rozkazu Mehmed-Alego pod kierunkiem Linant-Beya, różnica pomiędzy morzem Śródziemnym a zatoką Arabską, nie wynosi więcéj jak 2 do 3^m, co nadzwyczajnie rzecz zmienia i kanalizacyą międzymorza nierównie łatwiejszą wystawia.

Powierzchnia ziemi na przestrzeni międzymorza mało ma nierówności; najwyższe punkta nad poziomem małego przypływu morza Śródziemnego, dochodzą 7 do 10^m, 12.

Ogromna zapadłość *gorzkiego jeziora*, zwanego przez Arabów *morzem krokodyłów*, ma 40 kilometrów długości i w przecięciu 11 kilometrów szerokości; dno jego położone jest o 16^m niżej, jak małe przypływy w Suez. Zapadłość ta może w czasie wielkich przypływów zbierać wody zatoki Arabskiej, i tym sposobem stanowić obszerny rezerwoar na posilkowanie kanału, który będzie wpadał do morza Śródziemnego.

Podług projektu Le Père, kanał powinien być poprowadzonym obok starego *królewskiego kanału*, o którym wspomnieliśmy poprzednio. „Jednakże”, mówi dalej Le Père „teraźniejszy stan rzeczy dozwoli łatwiej niż przedtem przeciąć międzymorze w prostym kierunku, chociaż wiele uwag przemawia za starym kierunkiem, który jest dogodniejszy i z tego powodu, że przecinając międzymorze bezpośrednio, wypada koniecznie wybudować port na peluzyjskim brzegu.”

Generał Andréossy w rozprawie swojej o *okolicach jeziora Menzaleh*, zamieszczonej w témże dziele co i rozprawa komisji (1), również dowodzi, że zawały które się tworzą przy ujściu Nilu, czynią grunt tak ruchomym i zmicunym, że tam niepodobna urządzić stałego portu.

Z tych powodów Le Père projektował podzielić kanał na cztery sekye:

Pierwsza sekye, długości 19,490 metrów, zaczynając się od Nilu pomiędzy kanałem *Mouyes* w Bubastie, a tamą Seneki, miała być poprowadzoną do doliny *Ouudy Poumlat*. Druga długości 72,500 metrów, przerywając wspomnianą dolinę, miała dotykać brzegów jezior gorzkich.

Dno obu dwu tych sekcyj powinno było być równe z poziomem powierzchni najniższego stanu Nilu w ten sposób, aby one mogły być posilkowane tylko w epoce wezbrania rzeki, i aby żegluga mogła się odbywać w przeciągu prawie ośmiu miesięcy (od sierpnia do marca). Daremnie usiłowanoby, mówi autor, przedłużyć peryod żeglugi, gdyż sam Nil tylko w przeciągu tego czasu spławny bywa. Trzecią sekyą długości 40,000 metrów stanowi jezioro gorzkie. Wody z Nilu powinny tu przypływać w czasie wezbrania rzeki i napełniać rezer-

(1) W drugiem wydaniu 1822 r. T. XI, fol. 519—554; taż sama rozprawa była wydrukowana w Kairze w dekadach egipskich w r. 1799.

woar, tak, aby powierzchnia jego stale dochodziła poziomu małego przypływu zatoki Arabskiej. W tym celu, niezależnie od konstrukcyj zatrzymujących wodę od strony poprzedzającej sekcji, trzeba wybudować podwójny system śluz od strony czwartej i ostatniej sekcji, która na przestrzeni do Suez miała mieć długości 21,439 metrów. Dno czwartej sekcji powinno być blisko 3^m,50 niżej od poziomu małego przypływu, a cała sekcya tak wybudowana, aby w kanale mogła się mieścić ilość wody odpowiednia wysokości wielkiego przypływu.

Długość całego kanału, włącznie z gorzkimi jeziorami, miała wynosić 153 kilometry, a sam kanał, nie rachując powyższych jezior, 113 kilometrów 50^m. Kanał ten podług autora wybudowany dla wewnętrznej żeglugi statkami Nilowemi, mógłby jednak unosić okręty morskie zanurzające się do 4 metrów, lecz tylko w epokach największego wezbrania wody, t. j. w przeciągu czterech miesięcy w roku.

Dla zapobieżenia téj ważnej niedogodności, że przerywa się żegluga, p. Chevalier doradzał później, aby przynajmniej dla mniejszych statków czyli Nilowych, wybudować na środku długości kanału należycie obszerny rezerwoar, w którymby zbierała się woda Nilowa w czasie wezbrania; w epokach zaś niskiego stanu rzeki, aby rezerwoar zaopatrzać wodą z Nilu, przez umyślnie wybudowany posilkowy kanał, który należałoby poprowadzić z Nilu do rezerwoaru. Lecz podobny rezerwoar, bez względu na inne warunki uboczne i zależące od konstrukcyi samego posilkowego kanału, powinien być obszerniejszy, aniżeli starożytne jezioro *Moeris*. Oprócz tego, jak i sam Chevalier robi uwagę, gorący klimat i palące wiatry ze stepów wiejące, powinny zrządzić taki ubytek wody z wielkimi kosztami zebranej, że to sztuczne jezioro nie będzie mogło zadość odpowiedzieć zamierzonemu celowi; a więc podług zdania samego autora, urządzenie stałej bez przerwy żeglugi między Suez i Nilem we wszystkie pory roku, jest problematem, którego rozwiązanie przedstawia nader wiele trudności.

Dopłynąwszy od Suez do Peluzyjskiej odnogi Nilu, zostaje jeszcze większa połowa drogi do Śródziemnego morza; trzeba płynąć pod Alexandryą do Abukiru, jedyne punktu na całym egipskim wybrzeżu, przystępnego dla okrętów większej objętości. Tu właśnie dogodność spowodowała Alexandra Wielkiego do założenia w tém miejscu miasta, które on słusznie swoim imieniem ozdobił.

Dla przebycia téj przestrzeni potrzeba najprzód przepłynąć znaczną część Rozetańskiej odnogi Nilu, która dla utrwalenia żeglugi

przez podniesienie poziomu wody za pomocą urządzenia nadbrzeżnych tam (*barrages*), wymaga wybudowania niewielkiego pobocznego kanału. Można w tym celu chociaż nie z wielką dogodnością użytkować z kanału *Mamouhdich*, który Mehmed-Ali kazał wybudować czyli raczej odnowić, a który na przestrzeni 80 kilometrów łączy *Fouah* z *Alexandryą*. Ta druga część drogi, t. j. korytem Nilu, wynosi 180 kilometrów, co razem z pierwszą czyni 413 kilometrów, czyli cztery razy tyle, co przestrzeń w prostej linii przez międzymorze pomiędzy *Suez* i *Tineh*.

Inżynier Le Père doradzał także przywrócenie starego *alexandryjskiego* czyli Kleopatry kanału, który się zaczyna od miasta *Rahamameh* nieco powyżej *Fouah*. Kanał ten powinien być w niektórych miejscach sprostowanym i wpadać do koryta jeziora *Madiech*, z kąd miał również być poprowadzonym wodociąg dla zaopatrzenia Alexandryi wodą zdatną do picia, której tam często brakuje.

Co się tyczy połączenia bezpośrednio *Suez* z *Peluzą* przez osobny kanał, Le Père jest zdania, że przecięcie międzymorza w tym kierunku przedstawia dogodności, których nie będzie mógł mieć kanał wewnętrzny. W samej rzeczy, mówi on, żegluga może być nieustojąca, ponieważ nie będzie zależała od podniesienia lub opadnięcia wody w Nilu; znaczna głębokość może być łatwo utrzymywaną przez sprowadzenie wody z obszernego rezerwoaru *gorzkich jezior*, a przez stosowne urządzenie spadków, pęd wody nabierze takiej mocy, że potrafi zapobiedz, aby się nie tworzyły piaszczyste zawały, zrzadzane wiatrem ze stepów. Nie ma także obawy, aby w kanale powstawały ławy lub haki, ponieważ woda ze wspomnianych jezior nie zdoła nanieść żadnego mułu, a silne jej działanie utrzyma kanał zawsze wolnym; kanał ten wybudowany łącznie z wewnętrznym kanałem, uzupełni przedsięwzięcie tak użyteczne i wielkie.

Najgłówniejszą trudność w doprowadzeniu do skutku, stanowi urządzenie i utrzymanie w bliskości *Peluzy* dobrego portu. Wszelako Le Père mniema, że raz wydrążywszy port, można go utrzymać wolnym od zawałów piaszkowych, przez działanie wielkich mass wody, która w czasie wezbrania Nilu wprowadzana do portu, pędem gwałtownym będzie go mogła zupełnie z piasku oczyszczać. Sławny *Prony*, w raporcie swoim do paryzkiej akademii nauk, podziela to zdanie. Konstrukcyje wodne w *Ostendzie* w taki sam sposób z najlepszym skutkiem tameczny port oczyszczają.

Koszta robót doradzanych przez inżyniera Le Père, włącznie z kanałem, od *gorzkich jezior* do morza Śródziemnego, chociaż co

do tego ostatniego, inżynier francuzki nie mógł otrzymać wszystkich dat potrzebnych, obrachowane są jak następuje:

Kanał od Suez do Nilu 113 kilometrów, roboty ziemne.....	7,268,000 fr.
Kanał od gorzkich jezior wprost do Peluzy, 66 kilometrów.....	2,500,000 fr.
Roboty sztuczne dla obudwu kanałów.....	5,600,000 fr.
Nieprzewidziane wydatki, wynagrodzenie za szkody, płaca służbie, dozorowanie robót i t. d. . .	6,800,000 fr.
Razem.....	22,168,000 fr.

Do obliczenia nie weszły roboty na urządzenie portów w Suez, Alexandryi, Tyneh, i t. d., a które mogą wynosić drugie tyle; cały więc koszt dochodziłby blisko 50 milionów franków.

Te wydatki równałyby się tylko połowie kosztów, jak obrachował inżynier Garella, na wybudowanie daleko mniejszego kanału na międzymorzu Panamskiem, pomiędzy Chagres a Panamą, a które 94 miliony franków wynoszą. Długość tego ostatniego kanału jest tylko 76 kilometrów; długość zaś kanałów od Suez do Peluzyjskiej odnogi Nilu i od gorzkich jezior do Peluzy, 179 kilometrów, t. j. przeszło 2 razy więcej jak kanał panamski. Różnica ta ztąd najwięcej pochodzi, że dla urządzenia amerykańskiego kanału wypada przebić pod wysokimi górami znacznej długości tunel i poprowadzić z obudwu końców jego bardzo głębokie galerie. Sama ta część robót, obliczona jest przeszło na 46 milionów franków.

2. *Projekt p. Collin.* P. August Collin z Marsylii, przez cztery lata dla rozpoznania międzymorza w Egipcie bawiący, ogłosił w 1848 r. rozprawę pod tytułem: *Du retablissement de l'ancienne route de l'Inde*, w której doradza wybudowanie kanału wprost pomiędzy dwoma morzami, a osobno kolei żelaznej od Suez do Kairu. Później znowu opisał swój podwójny projekt w dziennikach *la Phalange* i *la Démocratie pacifique*, proponując, aby się utworzyła kompania Suezkiego międzymorza, która by zajęła się doprowadzeniem do skutku obudwu tych przedsięwzięć.

Splawny kanał Collina ma objąć gorzkie jezioro, i ztamtąd, niewiele zbaczając, iść do Peluzy; wzdłuż lewego brzegu tego kanału ma być urządzony drugi kanał-wodociąg, który wzięwszy początek w Nilu, dostarczałby wody do picia w Suez, gdzie niedostatek jej więcej jeszcze niż w Alexandryi lub gdzieindziej czuć się daje.

Collin w projekcie swoim roztrząsa więcej ekonomiczne i handlowe widoki, niż przedmiot techniczny. Koszta na roboty ziemne i sztuczne są obrachowane podług zasad przyjętych przez inżyniera Le Pére w jego projekcie. Koszta te włącznie z robotami do wykonania przystani w Suez i z konstrukcją kamienną tamy dla złamania pędu wody przy ujściu kanału w morze pod Peluzą, wynoszą do 9,287,000 fr.

Z powodu różnicy jaka wynika w rozmiarach konstrukcyjnych sławnego zwyczajnego kanału a kanału *morskiego*, t. j. dla wielkich okrętów, p. Collin bierze powyższą sumę we dwójnasób czyli na . . . 18,574,000 fr.

Na wybudowanie dobrego portu w Peluzie, na urządzenie służby do oczyszczania go z piasku, i innych służ. 28,000,000 fr.

Na urządzenie tam wzdłuż brzegów jezior gorzkich dla utrzymania wody zapasnej w należytej głębokości i dla zapobieżenia od zalewów ze strony doliny Oudy-Tomlad 3,000,000 fr.

Razem na kanał 49,574,000 fr.

Wodociąg zaś, który będzie poprowadzony wzdłuż wspomnianej doliny do samej starożytnej świątyni Serapisa, użytkując z pozostałego śladu starożytnych kanałów, podług Collina ma kosztować 3,000,000 fr.

Dwie filialne odnogi wodociągu, jedna do Suez, druga do Peluzy. 7,000,000 fr.

Razem na wodociąg . . . 10,000,000 fr.

Kolej żelazna ma być poprowadzoną od Suez do Kairu, a wybudowanie jej będzie ułatwione przez poprzednią konstrukcją wyżej wspomnianego wodociągu; kolej ta przeznacza się dla wewnętrznego handlu w kraju. Kompania, która ją wybuduje, może później odstąpić ją na rzecz rządu.

Długość kolei wynosi 112 kilometrów. Koszta konstrukcyjne, z powodu jednostajności położenia gruntów, obliczone po 100,000 fr. na kilometr, czyli na 11,200,000 fr.

Na kupno lokomotyw. 600,000 fr.

Na budowę magazynów, stacyj i t. d. 300,000 fr.

Razem 12,100,000 fr.

Wogóle zaś na budowę kanału i kolei żelaznej 71,674,000 fr.

Dodając do téj summy koszta administracyi w czasie trwania robót, wydatki niezbędne na stopniowe wykarczowanie i uregulowanie gruntów przyległych kanałowi, które staną się własnością kompanii, i wydatki nieprzewidziane, powyższa liczba, jak to przewiduje sam p. Collin, powiększy się do 90,000,000 fr.

Podług niego ilość towarów przez suezki kanał przewozić się mających, obliczona jest rocznie na 1,500,000 beczek czyli tonn, a pobierając od każdej beczki po 10 fr. tytułem cła tranzytowego, kompania będzie otrzymywała rocznie 15,000,000 fr.

Potrącając wydatki na pilnowanie i dozór towarów, tudzież koszta administracyjne. 2,500,000 fr.

pozostaje netto. 12,500,000 fr.

Przychód od kolei żelaznej brutto obrachowano na 600,000 fr., z których potrąciwszy 20,000 fr. (1) na koszta utrzymania i administracyi drogi, zostanie 580,000 fr.

a więc razem 13,080,000 fr.

czyli przeszło 14% na sto kompania otrzyma na 90 milionów kapitału przez nią zaliczonego, nie rachując innych prerogatyw i koncesyj, które jéj udzielone być mogą.

Pod względem politycznym, kompania, podług p. Collina, powinna zachować charakter zupełnie neutralny i spokojny, i znajdować się pod opieką wszystkich mocarstw. Międzymorze i kanał przecinający go, będą ogłoszone niezależnemi od żadnego wyłącznie państwa. Kapitałisci wszystkich krajów będą zaproszeni do przyjęcia udziału w tém przedsięwzięciu, i żegluga pomiędzy dwoma morzami zostanie na zawsze otwartą i wolną dla okrętów wszystkich narodów, wyłączając wszakże okręty wojenne, albo przewożące wojsko i amunicyą. W skutek tego kompania powinna mieć sobie udzielone prawo czuwania w tym względzie, i mieć pod swojemi wyłącznemi rozkazami siłę zbrojną; nakoniec w przypadkach specjalnych kompanii wolno będzie zażądać pomocy wojskowej bądź od paszy Egiptu i rządu syryjskiego, bądź od każdego innego europejskiego państwa.

Pod względem ekonomicznym i administracyjnym, będzie nadane kompanii prawo pobierania cła tranzytowego przez lat 99, po

(1) Ta summa jest nadzwyczaj mała i niepodobna, aby mogła wystarczyć na powyższe koszta.

upływie których kanał ze wszystkimi należącymi do niego budowlami, stanie się publiczną własnością wszystkich krajów. Kompania może być wieczna, lecz wtenczas nie będzie miała innego prawa, nad pobieranie tylko *minimum* opłat od przewozu towarów, niezbędnie potrzebnych na utrzymanie kanału z budowlami i na koszta administracyi.

Taki jest podwójny projekt p. Collin, który on pod sąd znawców oddaje, a który, poprzedzony kilku ogólnemi przez p. Daly spostrzeżeniami, ogłoszony został w *Revue de l'architecture des travaux publiques*, w 4 zeszytcie 6 tomu, 1845 r.

3. *Projekt p. Gallowaj.* Jeszcze w 1833 r. Mehmed - Ali polecił angielskiemu inżynierowi p. Gallowaj, będącemu w służbie u jednego handlowego domu w Alexandryi, aby zbadał terytoryum dla rzucenia kolei żelaznej pomiędzy Suez a Kairem. Sporządzony przez p. Gallowaj projekt nie miał wszakże dalszego skutku, pomimo, że pasza zakupił na ten cel znaczną ilość żelaza od angielskich fabrykantów, którzy kazali sobie dobrze za nie zapłacić. Właśnie uzasadniając się na tej okoliczności, niektóre osoby namawiają Anglików, aby się starali o doprowadzenie do skutku kolei żelaznej, przenosząc ją nad kanał, gdy Francuzi przeciwnie usiłują, aby ten ostatni był wybudowany.

4. *Projekt p. Harris.* Wilhelm Harris, major korpusu inżynierów w Bombay, zaproponował urządzić nie kolęj żelazną zwyczajną, lecz kolęj żelazną *morską*, na którejby można przewozić od jednego morza do drugiego okręty od 800 do 1,200 beczek objętości mające, wrz z ładunkiem i ekwipażem.

Na samo proste oświadczenie podobnej myśli, nie wszyscy pojmą, jak wielkie trudności w jęj wykonaniu się nastęrczają. Wielu nie waha się policzyć jęj do problematów niepodobnych do rozwiązania; pomimo to, p. Costa z Neapolu czytał w tamecznej akademii rozprawę swoję o *najdogodniejszym środku urządzienia związku pomiędzy dwoma morzami, przedzielonemi międzymorzem Suez* (1), i podzielał w zupełności myśl p. Harris. Jeszcze poprzednio w liście, ogłoszonym w *Antologii wojennej*, w którym p. Co-

(1) *Sur la meilleure voie de communication à établir entre les deux mers séparées par l'isthme de Suez*, rozprawa wydrukowana w 29 numerze: *Comptes rendus des séances de l'académie de Naples. Septembre et Octobre 1846.*

sta roztrząsał wnioski *pro i contra*: czy pierwszeństwo dać kanałowi, czy też kolei żelaznej, zadał sobie pytanie, czyby nie można wybudować z daleko większą łatwością i oszczędnością czasu i kosztów kolei żelaznej, na którejby można przewozić całe okręty z ładunkiem? Rozwijając ten wniosek, autor mówi „za pomocą wielkich kół podwójnie sprzężonych, przy użyciu systemu inżyniera Mortona z Edynburga, podług którego wydobywają się z wody najcięższe okręty, systemu z taką korzyścią używanego w Ameryce i w Anglii, możnaby podwójny cel osiągnąć: zachować pionowe położenie okrętu i sprawić to, żeby jego ciężar nie stawiał przeszkód w jego przeprowadzeniu. Działanie ciężaru możnaby bowiem zmniejszyć przez podwojenie kolei, a bardziej jeszcze przez użycie licznych punktów podparcia. Gdyby zaś to wszystko okazało się niedostatecznym, łatwo byłoby powiększyć wytrzymałość podpór i innych części kolei.”

Podług tych zasad p. Costa robi swoje obrachowanie. On żąda, aby okręty mające być przeprowadzanemi od jednego morza do drugiego, nie były większe nad 800 beczek; chce, aby szerokość kolei objęta między kołami każdego podwójnego sprzężenia, wynosiła 2^m 40, odległość zaś tychże kół 1^m 20, przez co cała szerokość podwójnej kolei, wynosiłaby 6 metrów. Chce on nakoniec wóz przeznaczony do przeprowadzenia okrętu umieścić na 4ch wielkich kołach, za pośrednictwem rolek tarcia i zbudować go z wielu części, albo też złożyć z małych pociągów, mogących poruszać się i w tych miejscach, w którychby droga przedstawiała krzywizny niowielkiego promienia.

Przy takich założeniach przypuszczając ciężar każdego wozu czyli pojedynczego pociągu 40 beczek czyli tonn, i przyjmując, że cały ładunek spoczywa na stu rolkach tarcia, wypadnie, że każda taka rolka, czyli punkt podpory, na 840 tonn całego ciężaru cugu, będzie musiała utrzymywać cząstkowy ciężar, 8^t 40; a ponieważ przestrzeń pomiędzy każdą parą rolek będzie taka sama jak pomiędzy podstawkami (*coussinets*), to każdy podkład (*support ou traverse*), będzie znosił równy ciężar, t. j. 8^t 40. Gdy jednak ciśnienie takie większym będzie niż to, które na zwyczajnych kolejach podkłady znoszą, wypada zatem opór szyn na kolei egipskiej powiększyć, czyli zrobić je grubszymi.

Aby nakoniec uniknąć zaprzęgania dwóch lokomotyw do jednego cugu, potrzeba, podług zdania p. Costa, żeby lokomotywy na ten cel przeznaczone były największej siły, takie, jakich już kilka zostało

wybudowanych w Anglii i w Ameryce, a między innemi jak znajdu-
jąca się na drodze od Brighton do Birmingham, nadzwyczajne-
go rozmiaru, która na jeden raz ciągnie za sobą 1,000 tonn ciężaru.

Lecz czy łatwo będzie zadość uczynić wszystkim tym warun-
kom? P. Collin najprzód nie tając, jak trudno urządzić na gruncie
egipskim kolej żelazną, którejby wytrzymałość odpowiadała przewożeniu
podobnych ciężarów, mówi, że wybudowanie kanału morskiego bę-
dzie mniej kosztowne a korzystniejsze; następnie robi uwagę, że po-
dwojne przeładowanie okrętu z morza na kolój i potem z kolei do
morza, nie jest tak łatwem i dogodnem, jak się zdaje p. Costa, cho-
ciażby nawet używano do tego sposobu Mortona, albo innego podo-
bnego. Nakoniec największą przeszkodę, podług p. Collin, w urzą-
dzeniu powyższym sposobem kolei pomiędzy Taneh i Suez, będą sta-
nowiły wzgórza i pagórki z nadzwyczaj miłkiego piasku, który na-
noszą wiatry w tych okolicach w każdym miejscu, w którym znajdują
jaki opór przeszkadzający rozścieleniu się po stepie, a to do tego
stopnia, że w okolicach Rozetty, piaski takowe czasami palmowe
drzewa całkowicie zasypują.

Tę ostatnią przeszkodę, najważniejszą bez wątpienia, możeby się
i dało podług projektu autora pokonać, jeżeli zważymy na to, co mie-
szkańcy Egiptu niegdyś czynili i teraz ze skutkiem czynią, aby ochro-
nić swoje grunta od zajęcia przez piaski, które wiatry ze stepów na-
noszą. W samej rzeczy, podług poszukiwań i objaśnień p. Persig-
ny, piramidy w starożytności wybudowane były jedynie w celu, aby
zasłonić urodzajne grunta od zajęcia przez piaski; topograficzne po-
łożenie tych piramid, ich ogrom, kształt, wszystko usprawiedliwia
to ich przeznaczenie. Znajdują się one przy ujściu doliny, przerywają-
cój libijski łańcuch właśnie w miejscach, w których się te góry prze-
rywają i robią luki; piramidalny kształt otrzymał pierwszeństwo dla-
tego, że nie sprawia stanowczego oporu piaskom, jakby to czyniły
tamę lub wały, i jeszcze dlatego, aby naodwrot ułatwiał przeciwnym
wiatrom, wiejącym w stepy, odpędzanie piasków i rozsiewanie ich na
wielkich przestrzeniach. W dzisiejszych czasach, gęstemi krzakami
i plantacyami trwałych krzewów, starają się mieszkańcy zapobiedz
tworzeniu się nowych i przenoszeniu się z jednego miejsca na drugie,
starych piaszczystych pagórków i zawałów, a więc dałoby się w ten
sposób zabezpieczyć od nich i kolój żelazną; na przypadek zaś nad-
zwyczajnych wiatrów, możnaby dodawać do parowozu stosowny przy-
rząd do oczyszczenia szyn, a w końcu, użyć do téj roboty specyjal-

nych drożników, których liczba stosownie do potrzeby, powiększoną być powinna.

Pomimo dowodzeń i zaradczych środków przez neapolitańskiego inżyniera i p. Collin wskazanych, poprowadzenie morskiej kolei żelaznej na międzymorzu Suez pomiędzy Taneh a Suez, wiele osób uważa jako myśl poetyczną i urojenie, nawet bacząc na olbrzymie konstrukcje starożytnego Egiptu i zadziwiające wynalazki wieku naszego. Z naszej strony znajdując to zadanie nader trudnym do rozwiązania i mniej użytecznym, dajemy pierwszeństwo kanałowi morskemu.

5ty Projekt. Mehmed-Ali zwołał kommissyą z cudzoziemskich inżynierów, na czele której znajdowali się pp: *Talabot, Stephenson* i *Negrelli*. Vice-król polecił kommissyi zająć się bezwzględnie rozpoznaniem miejscowości dla urządzenia bezpośredniego kanału przez międzymorze, splawnego dla wielkich okrętów, zupełnie od Nilu niezależnego, i w tym celu oddał do rozrządzenia inżynierom okręt wojenny, dla rozpoznania brzegu morskiego pomiędzy Damietą a Rozettą, i obrania dogodnego punktu na wybudowanie wchodowego portu od morza Śródziemnego. Zastrzegł wszakże, iż lubo chce korzystać z doświadczenia i wiadomości kommissyi, w każdym jednak razie życzy sobie, aby przedsięwzięcie zostało w jego ręku, i jeżeli można, było doprowadzone do skutku przez niego samego (1).

To się działo w miesiącu kwietniu 1847 r. Od tego czasu głównejsze dzienniki europejskie chętnie chwytają wszystkie wiadomości z Egiptu, w których donoszono o postępie tych prac przygotowawczych. W miesiącu wrześniu tegoż roku, podług innych wiadomości, Linant-Bej ze strony vice-króla odjechał z inżynierami z Alexandryi do Kairu, aby ukończyć przygotowawcze roboty, rozpoczęte przez inżynierów niemieckich. Projekt Linant-Beja miał być odesłanym do Paryża, pod rozpoznanie tamecznej rady dróg i mostów. PP. Talabot, Stephenson i Negrelli, mieli się zjechać w grudniu w Egipcie, aby się porozumieć osobiście z Mehmedem-Ali i rozpocząć, jak mówiono, roboty.

Nakoniec pod dniem 4 listopada doniesiono z Suez do dziennika francuzkiego, że gruntowanie i niwellowanie portu suezkiego postępuje naprzód i do grudnia ukończonem będzie. Tenże list oznajmuje, że wszystkie prace przygotowawcze, skierowane zostały po-

(1) Porto Foglio Maltese.

dług planu Linant-Beja, który obrał linią wprost pomiędzy Suez a Peluzą.

Journal des Débats z 29 października tegoż roku przyznaje p. Linant-Bej pierwszą myśl urządzenia kanału w powyższym kierunku, chociaż, jak z niniejszego historycznego opisu widać, rzeczywiście tak nie jest. Rozprawa Linant-Beja nie była ogłoszona drukiem, lecz należy mu oddać sprawiedliwość, że pierwszy wskazuje środki wybudowania kanału daleko taniiej, jak jego poprzednicy. Kosztorys jego wynosi tylko 10,441,049 franków: więcej jak o połowę taniiej, niżeli obliczył p. Le Père. *Journal des Débats* znajduje ze swojej strony, że to nader mało; wszakże zapewnia, iż w żadnym przypadku koszta nie wzniosą się wyżej jak do 30 milionów, na wszystkie roboty razem, to jest na urządzenie portu i t. d. Drugą zasługą p. Linant-Beja jest ta, że sprawdził ważną omyłkę, popełnioną przez pierwszą francuzką kommissyą, która obrachowała w przecięciu różnicę poziomu morza Śródziemnego i Czerwonego na 8^m,84, gdy Linant-Bej tylko ją od 2 do 3 metrów ocenia, jeżeli ta ostatnia liczba jest prawdziwą (1).

Podług projektu Linant-Beja nie ma potrzeby budowania portu na morzu Śródziemném, co znakomicie ogólnie koszta umniejsza; dwie śluzy z obudwu końców kanału, są prawie jedyne sztuczne roboty, których on wymaga; sam kanał ma być wykopany w piasku, z należytą pochyłością brzegów. Sposób taki został już użyty z zupełnym skutkiem przy budowie kanału, który Mehmed-Ali kazał przekopać, a przez który parowe statki dzisiaj przepływają z Alexandryi wprost do Nilu i do Kairu. Nie więc dziwnego, że tak uproszczony kosztorys Linant-Beja, tylko dziesięć i pół milionów franków na wszystkie roboty wyciąga, i że opuszczając urządzenie portu na morzu Śródziemném, zostawia ogromną rubrykę na nieprzewidziane wydatki, które jednak 20stu milionów nie przejdą.

Z przeglądu powyższych prac okazuje się, że możliwość połączenia dwóch mórz bezpośrednio przez międzymorze, nie ulega wąt-

(1) Towarzystwo geograficzne paryzkie ogłosiło w *Nouvelles Annales des Voyages* (zesz. za listopad 1850 r. str. 212) następujące różnice między pomiarem inżyniera Le Père w r. 1799, a pomiarami p. Bourdaloue 1847 r.

	1799 r.	1847 r.
Poziom morza w Tineh, w stanie zwyczajnym, to jest w czasie odpływu.	0.00	0,00
Poziom morza podczas przyływu w Suez.	9.90	2,27
Poziom Nilu podczas niskiej wody przy Mekias	5 29	13,27

pliwości, i że najlepsze i najdogodniejsze dla powszechnego handlu połączenie, byłoby przez *kanal morski* od Tuneh do Suez. Dla uzupełnienia niejako tak wielkiego przedsięwzięcia, stary wice-król położył już węgielny kamień na wybudowanie ogromnych tam czyli zastaw (barrage), któreby utrzymywały wody w Nilu, przeznaczone dla irygacyi znacznej części niższego Egiptu. Koszta tych robót podług obrachowania inżyniera Mougela, głównie kierującego niemi, mogą wynosić blisko 6 milionów franków. Ale cóż znaczą te wydatki, razem z obliczonymi przez Linant-Beja, dla przedsięwzięć, z których jedno podwoja urodzajność tak żyznego kraju jak Egipt, a drugie skracając znacznie drogę do Indyi i do Chin, uczyni wszystkie narody starożytnego ładu wieczystemi hołdownikami uprzywilejowanego właściciela kikunastu mil bezużytecznego stepu?

Oprócz powyższych przedsięwzięć, Mehmed-Ali miał zamiar rzucić koleje żelazne: od Suez do Kairu, od Suez do Peluzy na groblach kanałowych (do przebycia téj przestrzeni, potrzebaby było tylko 5 godzin jazdy), od Kairu do Alexandryi wzdłuż brzegów Nilu, i od Alexandryi do Rozetty, Damietty i Peluzy wzdłuż morskiego brzegu.

W ten sposób urządzone związki, łącznie z kanałem morskim od Peluzy do Suez, rozwijając do najwyższego stopnia wewnętrzny handel krajowy, uczyniłyby zarazem Egipt środkowym punktem handlowych stosunków Zachodu ze Wschodem.

Przez urządzenie *morskiego kanału*, żegluga od Marsylii, Genui, Liwurny, Tryestu i t. d. do Indyi skróci się przeszło o 3000 mil franc.; z Amsterdamu, Hawru, Antwerpii, Londynu i t. d. do Jawy i do Chin, przeszło o 2000; a przeszło o 1000 mil do tychże miejsc z Atlantyckich portów północno-amerykańskich Stanów. Tylko jeden *kanal morski* potrafi odwrócić dotychczasowy kierunek handlu Zachodu ze Wschodem, wszelkie zaś inne środki nie odpowiedzą potrzebom handlowym, i kupecy zawsze będą woleli odbyć trzy razy dłuższą, około przylądka Dobrój Nadziei, niebezpieczną lecz jednostajną podróż, niż przeladowywać na międzymorzu towary. Anglicy dowożą dotąd tym kierunkiem do Aden swój węgiel kamienny, pomimo wszelkich polepszeń w Egipcie i zapewnionego transportu łądem przez międzymorze.

Ten, ktoby został panem morskiego kanału na międzymorzu Suez, stałby się panem całego handlu w Indjach Wschodnich, Arabii, Abissynii, i całego wybrzeża wschodnio-afrykańskiego, ponieważ Gibraltar jako forteca nie nie broni, i nie tamuje bynajmniej że-

glugi przez Gibraltarską zatokę; jestto tylko przedmiot miłości własnej krajowej, zbyt drogo kosztujący Anglią (I), a nadzwyczaj obrażający Hiszpanią. Drugiej zaś drogi do wspomnianych krajów, tyle skróconej i dla handlu dogodnej, nie ma ani z Europy, ani z Ameryki; zawsze przyładki Dobrzej Nadziei i Horua na zawadzie będą.

Stary wice-król najlepiej rozumiał ważność tego kanału; a że i to przewidywał, iż bezwarunkowe z czasem posiadanie jego mogłoby stać się powodem do wojny, albo co na jedno wychodzi, do zbrojnej ze strony państw morskich interwencji, i zawszeby było przedmiotem zazdrości i wymagań krajów, wielki handel ze Wschodem prowadzących: dlatego miał zamiar dać udział w przedsięwzięciu kapitalistom całego świata, zapewniając im znaczne korzyści i prerogatywy, lecz zachowując tytuł własności wyłącznie dla siebie.

* * *

Uskuteczniając zamiary Mehameda-Alego terażniejszy władca Egiptu, postanowił wybudować kolej żelazną między Alexandryą a Kairem, o którą Ibrahim-basza miał jeszcze poprzednio układać się z angielską kompanią. Chodziło tylko o najwyższe zezwolenie sultana, które według wiadomości we wrześniu b. r. ze Wschodu otrzymanych, miało nastąpić pod warunkami: 1) aby na koszt budowy nie była zaciągana pożyczka zagraniczna; 2) aby ludność Egiptu nie była użyta do robót w sposób przymusowy, i 3) aby budowa tak prowadzoną była, iżby roczne wydatki na nią stosowały się do rocznego dochodu krajowego. Podług zaś ostatnich doniesień, i te trudności, któreby w dopełnieniu powyższych warunków nastąpić się mogły, przez firman sultonański usunięte zostały, a budowa drogi ostatecznie jest zatwierdzoną.

(1) Słowa Napoleona do angielskiego admirała Coxburn, kiedy ten ostatni powiedział cesarzowi, że w Anglii jakiś czas mniemano, iż Napoleon miał zamiar atakować fortecę Gibraltar.

(Dokończenie nastąpi).



F. KALLIMACHA GELINIAŃCYKA

O KRÓLU WŁADYSŁAWIE

CZYLI

O KLĘSCIE WARNEŃSKIEJ.

Kolegi dwie, Augsburg, r. 1519, w drukarni Zygmunta Grimm doktora i Marka Fürsung.

PRZETZUMACZYŁ I PRZYPISAMI OBJAŚNIŁ

Michał Głuszczyński.

(Ciąg dalszy).

Równy ze świtem dostali się do murów, niosąc rozmaite pęki słomy i wici dla wyrównania drogi, i zapelniając fossy drzewem i darnią. Nieśli równie drabiny i drągi i inne maszyny do zdobycia fortecy potrzebne. Tymczasem ci, co za drewnianymi wieżami ukryci, walczyli, nie pozwalali oblężonym wystać na murach, i rażąc silnymi pociskami nieprzyjaciela, swoim najłatwiejszy przystęp przygotowali. Nie zatrwożyli się tém wcale mieszkańcy miasta, bo naprzód wiedzieli, że Turczyn siły użyje, skoro tylko nadzieja, że miasto się podda, na niczém spetzła. Gdy tedy bisurman do poddania się namawia, tymczasem oblężeni te strony miasta, które się rzek dotykały, przeciw szturmowi z okrętów, ludźmi, armatami i innymi maszynami ognie i kamienie wyrzucającami, jak najtajemniej wzmocnili. Z drugiej zaś strony, gdzie już tarany rozmaite wyłomy poczyniły, gruzem i ziemią szybko, tak wysoko jak potrzeba było, zasypali, a w czasie ciemnej nocy

smołą, olejem, siarką i prochem palnym, o ilo mieli, drzewo nieroztropnie w fossy wrzucone, polali. Zresztą wszystko do obrony, co same okoliczności i rozważa nasuwała przewidzieli i przygotowali, nietylko pod względem broni i pocisków, ale i pod względem karności i porządku.

Tak więc kiedy Turcy tém nieostroźniej, im bezpieczniej na mury śpiesząc na owych pękach, któremi drogę usłali, stanęli; obłożeni nagle wyrzuciwszy z miasta pochodnie i inne ogniste pociski naprzód przygotowane, nietylko zrazu okropny postrach rzucili, ale zupełną w końcu klęskę nieprzyjacielowi zadali.

Wznicili tym sposobem w kilku miejscach pożar, który się wnet na całej powierzchni, którą Turcy szli, rozszerzył, tak, że ani naprzód się posunąć, ani w tył cofnąć nie mogli. Straszliwe tam były szamotania się, bo i wieże drewniane płomieniem się zajęły, i w obozie popłoch się rozszerzał, dokąd dym i płomień, zwykle rankowe wiatry przy rzekach, zanosily. Ta okoliczność ochroniła samo miasto od pożaru. Pomieszał się tedy porządek i szyk wojenny; każdy o ocaleniu własném myśląc, spostrzegłszy co się naokoło dzieje, broń rzucać i gdzie tylko mógł przy tak groźnym niebezpieczeństwie, uciekać począł. Ale ogień własną siłą i wiatrem pędzony, gwałtownie wszystkie palne przedmioty opanował, uciekających parząc wstrzymywał, i wszystkie wyjścia przeciął. Jednym dym drogę zastaniał, drugim przerażenie przytomność odbierało; a tak wszyscy prawie spaleni zostali, bo ich nagłość tak straszliwej klęski nieruchomemi prawie uczyniła. Bardzo niowielu, i to z ostatnich szeregów, poparzonych i napół umarłych do obozu się schroniło. Wszyscy inni w niezmiernej liczbie zginęli w pożarze, razem ze wszystkimi przygotowaniami do oblężenia.

I na okrętach szczęśliwiej się nie powiodło: bo jedne z nich kamieniem z machin rzucone pogruchotały, drugie ogień zniszczył, reszta albo z winy przerażonych sterników i majtków, albo przez tłumne wdzieranie się na statki uciekających i na nich ocalenia szukających, niedaleko od miasta rozbiły się.

Zgnębiony tą klęską Turczyn, jak gdyby ją na niego nie ludzka, a boska jaka zesłała ręka, postanowił od oblężenia odstąpić. Rozesła się do tego jeszcze wieść, że znakomite wojsko przez króla już zebrane, ku Segedynowi nadciąga. Nie chcąc jednak przed nieprzyjacielem najmniejszego znaku trwogi okazać, wezwawszy do obozu posłów polskich, ostro im odpowiedział: że do-

tąd ani słuchać chce o pokoju, dopóki mu Władysław nie ustąpi części Rascyi, którą już posiadał, i nie odda Belgradu, który oblega, na zakład dotrzymania warunków przymierza; odstępuje jednak od oblężenia, aby Władysławowi miejsce i czas do naradzenia się zostawić. Radzi mu przytém, aby przyjazne stosunki na tych warunkach utrzymał, i nie chciał dla takiej fraszki narażać w wojnie losów dwóch królestw. Wszak tego tylko domaga się, co mu się prawem wojny należało jeszcze wprzód, nim Władysław na tron węgierski wezwany został, a czego właśnie Węgrzy nie mieli prawa czynić, bo przez to gwałcili prawa trzeciego. Jeżeliby zaś Władysław wołał cudze ziemie zabiierać, niż swoje spokojnie dzierżyć, przybędzie on w stosownym czasie, a z nim przybędzie także rzadca i mściciel sprawiedliwości—Bóg.

Na to doniesienie, a jeszcze więcej i dlatego, że od królowej Elżbiety nie można się było nic dobrego spodziewać, uznał król za konieczne wysłanie poselstwa do Polski, aby o stanie Węgrów i o grożącej od Turków srogięj wojnie donieść, a zarazem o posiłki w ludziach i pieniądzech prosić. Wysłany tedy został poseł Grzegorz z Sanoka (1), którego wymowa i gwałtowna konieczność sprawy łatwo mogły wymódczyć zgodzenie się Polaków na żądania królewskie. Zgromadzili się tedy pierwsi w kraju do Korczyna, dokąd przybył i Grzegorz, i tak do zgromadzonych przemówił:

„Gdybym nie pamiętał z jak szlachetnym uczuciem doradzaliście, chociażby największe na drodze leżały przeszkody, aby nie odrzucać ofiarowanego tronu: rozповідаłbym wam szeroko czegośmy już szczęśliwie w Węgrzech dokonali, i jak bliżej już jesteśmy tego, że przemogłszy tysiączne niebezpieczeństwa, i swoje i obce królestwo w pokoju i bezpieczeństwie utrzymać potrafimy. Ale ponieważ brzmią mi dotąd w uszach owe przestawne zdania wasze, że nie można na żadne trudy i niebezpieczeństwa się oglądać, że nie można tu nietylko mienia, ale i krwi, życia nawet oszczędzać, aby tylko chwałę Węgrów związanych z naszą ziemią podtrzymać: to nie powiem wam, jak dzielność i szczęście Władysława ziszczyły prawie zupełnie wasze życzenia. *Emperiascium*

(1) Wap. tłum. Mallu. powiada, że posłem od króla był Jan z Tęczyna. W tém miejscu także Długosz i Wapowski opowiadają, że kardynał Zbigniew w powrocie do Polski w miasteczku Kwewesz od pospólstwa był napadnięty. Jego przyboczni dzielnie go bronili i miasto spalili. Nic o tém nie ma w Kallimachu, a przecież jako przyjaciel wielki Zbigniewa byłby nie zapomniał i o jego pobytcie w Węgrzech, i o takim niebezpieczeństwie wspomnieć.

w naszych rękach; Buda, stolica królestwa przez nas zajęta; hrabia Cylia, od którego rady, zamiary wszelkie i czyny królowej zależały, ujęty, w więzieniu osadzony został. Od despoty Rascyi i króla Bośni przybyli posłowie z prośbą o przyjaźń i z przyrzeczeniem posłuszeństwa. Co więcej, wszyscy prawie magnaci węgierscy poddali się zupełnie pod rozkazy króla. Arcybiskup i inni, którzy z początku przy królowej zostali, do nas już przeszli, a wreszcie za zgodą tych wszystkich, do których to należy, król uroczysto ukoronowanym został. Tak strasznym wnet się przez to uczynił, że na pierwszą o tém wieść Turczyn od oblężenia Belgradu odstąpił, a królowa wprzód jeszcze zwątpiwszy o swojej sprawie, trwożna do Austryi wyjechała, zostawiwszy niewielką w Jaurinum załogę, już przez naszych obleganą. Inne mniejsze miasta, które się na wszelki przypadek także umocniły, oglądają się więcej na wasze, niż na królowej przedsięwzięcia, i bez trudu do posłuszeństwa zmuszone być mogą.“

„Te i tym podobne szczęśliwie dokonane dzieła niech wychwalają ci, którzy wojnę przez chciwość zysków, a nie dla sławy i godności doradzają. Dla was zaś inne przynoszę wieści. Nietylko po Europie, ale i po Azyi nawet rozleciała się już wiadomość o tém, żeśmy wzięli na siebie trudny ciężar bronienia i ocalenia Węgier. Nietylko ci, co na waszej są stronie, ale i ci co są waszemi przeciwnikami, oczekują co wypadki pokażą; wszyscy wyznający religią chrześcijańską widzą dowodnie, że losy jej w waszych rękach leżą, i że od was teraz zawisło, aby imię chrześcijańskie nietylko teraz, ale nigdy nie zaginęło.“

„Przeciwnie ma się rzecz z poganami. Przeczuwają oni koniec bałwochwalstwa swego i wiedzą, że nawet z Europy mogą być wyparci, jeżeli z równą stałością przedsięwzięcie wasze popierać będziecie, z jak wspaniałomyślną szlachetnością na siebie je włożyliście. Nie chcecie dopuścić, aby pierwsi napróżno nadzieją się łudzili, a drudzy napróżno strachem się przerażali. Kiedy będziecie mieli stanowczą na żądania królewskie wydać odpowiedź, pomyślcie sobie wtedy, że jesteście niby na scenie, że niezliczone ludy i narody na was spoglądają i oczekują jaki los, jakie położenie dla nich, dla dzieci, małżonek, rodziców i wszystkich drogich osób; jaką przyszłość oltarzom, świątyniom, religii i świętościom od dziś dnia gotujecie. Pomyślcie i to jeszcze, że od wyroku waszego nietylko Węgier, ale całej prawie kuli ziemskiej losy zależą; że podług tego, jak to lub owo postanowicie, w takim

stanie znajdują się w tych lub owych królestwach i ziemiach sprawy ich duchowne i świeckie."

„Wolno wam było wtedy, kiedy was wzywano, wezwanie odrzucić; teraz zaś musicie wytrwać w tém, co raz postanowiliście, chociażby was to nie wiem wiele miało kosztować: bo niewolno wam już opuścić tak wielkiej, a raz przedsięwziętej wyprawy. Nim króla waszego do Węgier posłaliście, już one przez wiele lat wprzód radząc same sobie, niby mur jaki, własnymi siłami, własnym kosztem Turków od granic swoich i od granic całej chrześcijańskiej Europy odpierali. Teraz na ich miejscu wy stanęliście; i gdy nietylko ich kraju, ale i całego chrześcijaństwa bronić macie, hańbąby było cofać się, gdyście już tak daleko zaszli, że i Węgry i całe chrześcijaństwo albo zagubić, albo ocalić możecie. Nie zawadzi tu przypomnieć, ileto już ludzi dla utrzymania i powiększenia chwały swój ojczyzny, poginęło, ileto ludzi chwałę z ocalenia życia pojedynczej osobie, nad własne życie przekłada. A jeżeli dla chwały jednego państwa i dla ocalenia jednego obywatela, naraża się z ochotą życie, co jest niezmiernie zaszczytném; z czémże tedy porównać chwałę jaką was wszyscy otoczą, kiedy nie jeden już, a wiele krajów i królów, nie jednego obywatela, a niezliczoną liczbę narodów ocalicie?"

„Daleko zapewne mniejszą naznaczaliście sobie nagrodę, gdyście się o wysłanie króla do Węgier naradzali; a chociaż wam wtedy przedstawiano wszystkie trudności i niebezpieczeństwa w domu u was i zewnątrz: woleliście jednak owę ciernistą chwałę się dobijać, niż spokojnie przy swoich interesach siedzieć. Gdybyście się tego byli spodziewali, czyż szczęście każdego z was, ba! nawet dzieci waszych i ojców ocalenie i wolność, nie byłobyż się wam przez Bóg żywy matém w porównaniu z tak ogromną chwałą wydało? Ale dzięki Bogu, w walce obecnej nie chodzi ani o głowy, ani o wolność waszą. Szczupłym żołnierzem i niewielkim kosztem możecie owę chwałę dostąpić, jeżeli tylko królowi waszemu na pomoc pójdziecie. Żąda on tego po was nie dlatego, żeby nie ufał szczęśliwój swój gwiazdzie, swym siłom i poświęceniu się i powadze tych, co za nim poszli; lecz żeby bez domowego rozlewu krwi i bez walki zaciętój, pod władzę swoją przywiódł tych wszystkich ludzi i te wszystkie miasta, które dotąd wahają się raczej niż sprzeciwiają; i dlatego jeszcze że wie, jakieto gwałtowne nienawiści wyradzają się z wojen domowych, i ileto sił i zbawiennych rad domowe rozterki, kiedy się miecz

krwią bratnią zaczerwieni, zużywają i do zewnętrznych działań paraliżują.”

„Sama wieść o posiłkach przez was wysłanych może zakończyć te smutne boje; woli tedy czynnej życzliwości waszój posiadanie Węgier być winnym, niż je mieczem zranione posiadać. Nie dobrzeby nawet było, gdybyśmy owe królestwo przez wyniszczenie sił jego podbili; bo chociaż Turczyn na domaganie się króla od oblężenia odstąpił, gdyby jednak zebrawszy silniejsze wojsko, znowu później napad uczynił, i gdyby wtedy albo jeszcze zakłócone, albo kłótniami wyniszczone państwo znalazł: potrzebaby było do odparcia go wtedy daleko większych wysiłen, niż teraz do zholdowania kilku małych miast, które jeszcze między królową i królem się chwieją. Skłonnniejsze są one nawet do odpadnięcia od wątpliwój sprawy, a przystąpienia do szczęśliwszój; tém bardziej, że dotykając granic naszych, ztąd od nas, zamtąd od króla nacierane, nawet nadziei utrzymania się mieć nie mogą. Gdy tak bez żadnego nadwerczenia sił naszych Węgry posiadziemy, nie tylko Turczyn od napadów się wstrzyma, gdy nas silnemi i spokojnemi ujrzy, nie tylko chrześcijaństwo swobodnie odetchnie, ale nawet będziemy mogli, czego właśnie całe chrześcijaństwo od nas oczekuje, zanieść wojnę daleko, i niegodziwe bałwochwalstwo dzikiego ludu nie tylko z Europy precz usunąć, ale nawet w Azji ścigać i do szczytu znieść.”

„Wyobraźcie sobie teraz z jednéj strony sławne i bogate królestwo, nie tylko sąsiedzkie i sprzymierzone z wami, ale będące dotąd obroną i zasłoną waszą; dodajcie do tego świeży jeszcze okaz jego życzliwości, kiedy się naszemu królowi dobrowolnie poddało; złączcie z niem Włochy, Francją, Hiszpanią, Niemcy, Grecją i inne jeszcze chrześcijańskie kraje; pomyślcie tylko ileto tam narodów, ludów, prowincyj, miast, wsi; ile publicznych i prywatnych ozdób, ile świątyń, świętości i gmachów; jakie umocnienia i pałace, ile tam wielkich monarchów i sławnych książąt, ile przesławnych mężkich i żeńskich zakonów:—a wszystko to z losem naszego króla powiązane! Z drugieój strony cóż jest? Niewiele żołnierzy i trochę pieniędzy, których król od was żąda, aby mógł swoje szczęście i tych wszystkich com wam wypomniał, ustalić.”

„Czyliżbyście nie woleli, aby ci żołnierze i te pieniądze bez nadziei przepadły, niż żeby tyle ludzi i rzeczy jednę chwilę w niebezpieczeństwie się znajdowały? A gdy nie na żadne niebezpieczeństwa i nie na zgubę idą, ale po to, żeby mieli udział w zwy-

ciężtwie i chwale, jaka się słusznie obrońcom tyłu krajów, ziem i miast należy; toć powaga i mądrość wasza nie pozwala wam od takiej chwały odbiegać, dla której wy sami niedawno, zapomniawszy na własne kłopoty, wszystko przedsięwziąć radziście. Kiedy o tém samém macie teraz stanowić, nie zapominajcie, błagam was, że owemi szczupłemi zasiłkami nietylko was i wasze sprawy, ale całe chrześcijaństwo na bezpiecznej stopie postawicie; że okryjecie się na zawsze nieśmiertelną sławą, kiedy całą Europę wraz z tak dobrym dla was waszym monarchą, i ze wszystkimi ludzkimi i boskimi w nią rzeczami, ocalicie. Przeciwnie, gdybyście przez niepojęte jakieś skąpstwo czy niedołężność, zawiedli oczekiwanie wszystkich: gdybyście i króla własnego i sąsiedzki a sprzymierzony z wami naród opuścili, i jako podłe zbiegi od chrześcijańskiego imienia odpadli: nietylko od wszystkich pogardzeni i opuszczeni, ale sami w sobie zmitręceni i zropaczeni musielibyście stanąć do walki o życie i wolność, z najpotężniejszym wtedy nieprzyjacielem."

Kiedy skończył, wszyscy razem zgodzili się na to, że trzeba posłać posiłki, ale nie wszyscy na liczbę żołnierza i pieniędzy. Byli tacy, którzy chcieli, aby wszystkie siły państwa do Węgier wysłać i uspokoiwszy ów kraj, zaraz na Turków uczynić wyprawę radzili, dopóki przełknięci, nieprzygotowani, znękani oblężeniem Belgradu, niby rozbitki po wielkiej burzy, nie będą mogli się jeszcze opamiętać. Inni przeczyli temu, twierdząc, że nie można tak pusto zostawiać Polski dla napaści tatarskiej i rozruchów litewskich, że trzeba ograniczyć liczbę żołnierzy i pieniędzy: i jedni najwięcej 12,000, a inni najmniej 2,000 posłać pozwalali. Postanowiono jednak, aby kosztem ogólnym wysłać królowi 5.000 żołnierzy z rocznym żołdem, i pozwolono każdemu, ktoby sobie tego życzył, prywatnie o własnym koszcie iść na wyprawę do Węgier (1). Dostyc tego będzie królowi do uspokojenia Węgier, a gdyby się gwałtowniejsza jaka potrzeba pokazała, liczbę owę powiększyć można.

Gdy się to w Polsce i w Węgrzech dzieje, tymczasem królowa nalegała na mieszkańców Kassowii i innych miast, które się zaraz przy początku tych wypadków umocniły, aby jej załogi swe przeciw Władysławowi przysłali. Zaczęła także i panów węgierskich na nowo już prośbami, już wielkimi obietnicami ku so-

(1) Uchwalono jeszcze pobór na żołd: od kmieci z każdego łanu po groszu; a od szlachty i ludzi wolnych włościan niemających, po grzywnie.

bie przyciągać. Czasami znowu srogie czyniła im wyrzuty, że zapomnieli na dawną swą godność, którą przed jej ojcem, przed nią i jej mężem słynęli; że znoszą cierpliwie jak ich Władysław niżej od jednego biskupa z Agrii kładzie, jak gdyby ród jego i zasługi tak wielkie były, że ani ich wszystkich miłośność kraju, ani ich wszystkich wierność, ani ich wszystkich zasługi wyrównać mu nie zdołają i w zapomnienie dlatego poszły. Tém tak ich ubodła, że arcybiskup i Władysław Gara i wielu innych znowu do niej przeszli. Wnet naradzać się z sobą zaczęli co mają począć, i widząc, że wielu Polaków do ojczyzny wróciło, że Władysław w wątpliwém znajduje się położeniu, zgodzili się na to: że królowa przyprowadzone przez siebie wojska z Austrii, Morawii i Czech odesła do wzmocnienia Kassowii i innych miast, oraz do wprawienia ludności tamtejszej do walk z Władysławem, powiększy załogę Jaurina, a sama do Strygonium odjedzie. Władysław zaś Gara zebrawszy ile będzie mógł, z drugiej strony wojnę rozpocznie, i jeżeli mu szczęście posłuży, połączy się z wojskiem królowej pod Jaurinem, i razem albo oblegną Budę, albo ją zdobędą. Co postanowiono, szybko dokonano. Wojskami najętymi z Czech i Austrii, które od Kassowii działać miały, dowodził Jan Iskra, mąż wypróbowanej waleczności, i między wojownikami owéj epoki znajomością sztuki wojennéj i siłą ciała najpierwszy; był on przytém i na wojnie dzielny, i w pokoju nie ostatni.

Gara tymczasem między swojemi sroząc się, winę wielką w tém Władysławowi czynił, że łaskę swą, która się wszystkim należała, jednemu tylko biskupowi z Agrii okazał. A przecież nie jego samego kosztem i staraniem Władysław wezwany i koronowany został; więcéj daleko znaczyły tu zdania i powaga tych, którzy rodem, majątkiem, prywatnemi i publicznemi zasługami, niezmiernie wyżej od biskupa stali. Jeżeli tylko mamy patrzeć na rosnącego biskupa z Agrii, jeżeli mamy tylko od jego woli być zależnemi, nie było po co cudzoziemskiego króla do siebie przywoływać: mogliśmy i bez tak wielkiego kosztu, i bez tak wielkich wewnątrz zamieszek oddać biskupowi najwyższą władzę. Odrzucając pogrobowca, chcieliśmy właśnie uniknąć owych rejentów i opiekunów, którzy między równymi wnet powagą i samowolnością przeważają i przewodzą; a jeżeli mimo to mamy to samo teraz znosić, daleko słuszniejby było, żeby się to stało przez wzgląd na dziada i ojca pogrobowca, a nie dla rozszerzenia sławy imienia polskiego. Tym sposobem ciągle przeciw Władysławowi i biskupowi z Agrii drażniąc umysły, odciągnął od Władysła-

wa całą prawie tę część Węgier, która do Dalmacyi dotyka (1). Wnet też dlatego zebrał dosyć silne wojsko.

Wszystkie te okoliczności nie a nie Władysława nie zatrwożyły. Zaczął po szczególe wszystko rozważać, i dopóki posiłki w żołnierzach i pieniądzech z Polski nie przyjdą, dopóki nie będzie miał tyle siły, żeby wszędzie nieprzyjacielowi dorównać mógł, postanowił mniej niebezpieczne nieprzyjaciół ruchy sztuką uwodzić, a wszystkie siły tam zgromadzać, z kąd większe niebezpieczeństwo groziło, gdyby je zaniedbano. Tak więc gdy los walki, którą Iskra od Kassowii rozpoczął, miał prawie w swym ręku, i prędko, gdyby chciał, mógłby ją Polakami zakończyć; polecił jednak Janowi Perenie staroście kesmarskiemu, aby Iskrę ciągle niepokoił, dodawszy mu żołnierzy, którzy załogami w różnych miejscach stali. Sam zaś aby nieobecnością swoją w nikim chęci do zmienienia stronictwa nie wywołać, bo i wojsko królowej w bliskości stało, i żeby zawsze na wszelki przypadek niby we środku się znajdował, w Budzie pozostał. Wypadło tedy wszystkie siły skierować przeciw Władysławowi Gara, bo przy nim najgłówniejsza leżała sprawa, i to tém prędzej, żeby się ani wódz do rozkazywania, ani spędzone tłumy do szykownych bojów nie nazwyczaili. Wystąpił przeciw niemu Huniada, jako niezwykle w sztuce wojowania biegłego, równie do czynu jak do mowy zręcznego. Do tego jeszcze miał on niezmierną łatwość zjednywania sobie umysłów i serc ludzi i wojska. Polecił mu tedy Władysław i upoważnił do tego, aby zgodę przedewszystkiém zawrzeć usiłował, bo może Gara, na niepewność miecza bacząc, od zamiarów terażniejszych razem z wojskiem da się odciągnąć. Gdyby zaś namową nic nie poradził, wtedy siły niech użyje. Dodał mu dlatego do pomocy Mikołaja Frystarcha i przybocznych swoich żołnierzy, i tych, którzy dotąd raczej trapiłi, niż oblegali Jaurinum. Wystąpił w pole Huniada i jakby zewsząd zagrożony, ciągnął w bojowym szyku, wszędzie pilnie drogi badając. Zalecił także swoim żołnierzom, ażeby, dopóki najmniejsza będzie nadzieja zgody, od łupieztwa i zniszczenia się wstrzymywali: bo chciał przyrzeczeniem przebaczenia i łaski raczej do zgody, niż orężem do walki jedнопlemienne wojska naprowadzić. Nie dalej jak o 5000 kroków od miasta Batty będąc, staranniej jeszcze wszystko obejrzał, wszystkich zachęcił, zewsząd obóz umocnił, aby nie takiego nie

(1) Działaj pograncze wojskowe.

uczyniono, co by zamiary jego zawarcia pokoju pomieszać mogło. O tysiąc kroków od nieprzyjaciela rozłożył się obozem i umocnił w takim miejscu, że nieprzyjacielskiego obozu nie było widać: bo się obawiał, aby uczucie braterskie i widok rodaków naprzeciw siebie, nie rozstroiły hartowności jego żołnierzy.

Wysłał potem do Władysława Gary posłańca z prośbą, aby na umówione miejsce dla rozmówienia się przybył. Ale Gara nietylko nie usłuchał propozycji, ale dumną jeszcze przystał odpowiedź: że wiedział dobrze wprzód jeszcze nim za broń uchwycił, co dla niego i dla królestwa najlepszym będzie; że jeżeli tylko po to ich król przystał, żeby się z nim rozmówili, to żałuje jego daremnych trudów. Rozkazał więc posłom Huniad powtórzyć te wyrazy na radzie, a potem sam tak przemówił:

„Wolałbym zaiste dostąpić chwały z pogodzenia umysłów ku dobru ogólnemu, niż odnosić zwycięstwa nad ludźmi, co się na zgubę swój ojczyzny usadzili. Gdy jednak ani uznać zbrodni do której się wciągnąć dali, ani kraju własnego zaburzeniem, ani bojaźnią Boga i wstydem przed ludźmi poruszyć się nie dają: trzeba wydobyć miecz i los ojczyzny żelazem rozstrzygnąć. Nie bójcie się wcale, nie pójdziem przeciw braciom waszym, ale przeciw zaciętym ojcobójcom; bo nie odzież ciała, nie rysy twarzy swoich od nieprzyjaciół odróżniają, ale myśli, zamiary, czyny i mowy. A u tych, co ich widzicie przed sobą, wszystko nietylko nieprzyjacielskie, ale ojcobójcze nawet. Patrzcież tedy pilnie wszyscy i pojedynczy, aby, gdy do walki przyjdzie, umysły wasze nie trwożyły się i zapal nie stygnął, kiedy zobaczycie ojczyste ubiory i zwyczaj; bo między owemi ludźmi i końmi ubiór tylko i broń jest węgierska, a wszystko inne najjaźrściej nieprzyjacielskie. Z daleko zimniejszym sercem wychodzi się zwykle na boje z zewnętrznym wrogiem, bo takich wojen często sprawiedliwe bywają powody, a i tych co walczą za kraj swój i chwałę zawziętość mocniejsza: bo idzie wtedy nietylko o klęskę, ale i o chwałę całego narodu. A ci tu, nietylko bez słusznej przyczyny, ale z pogwałceniem wiary i przysięgi daniej, nie dla rozstawienia, a dla zniszczenia i zaguby zupełnej imienia rodaków swoich za broń uchwycili. Nie masz więc litości dla tych, którzy puściwszy się za szaleństwem kilku, przychodzą przez chciwość i dumę nie opanować, a wyrzucić z gruntu najdroższą naszą ziemię; a wy po to, żebyście ją z ostatniej toni wyratowali. Wszak wszyscy wiecie, że jest Bóg mściciel przestępstwa i zdrady; i was do tego wybrał,

abyście krwią zdrajców, wiary Władysławowi zaprzysiężonej dowiedli i szczęście swego kraju utrwalili. Niewiele to nawet trudów będzie was kosztować: stoi bowiem naprzeciwko was tłum bez broni i porządku, ani do dowódcy, ani do szyku nieprzyzwyczajony, i nie za sobą nie ma, chyba to przekonanie, że złej sprawy broni. Gdyby się ich zapytano teraz czego chcą, nie wiedzieliby co odpowiedzieć; to też jak nierozsądnie do boju stają, tak za pierwszém na nich natarciem w rozsypkę pójdą.”

Wywiódł potem i uszykował wojsko na nieprzyjaciela, a i Gara walki nie zwlekał. Z tąż samą dzikością z jaką postom odpowiedział, wybiegł z obozu ciągnąc za sobą wojsko, i jak kto pierwszy był pod ręką, tak go do szyku ustawiał, bez żadnych prawideł sztuki wojennej. Równa tedy była broń na obu stronach, ale nierówny porządek i karność. Na jednej wszystko porządnie uszykowane, wszystko przewidziane nie tylko do walki, ale na wszelki losu przypadek; na drugiej ani śladu karności wojskowej. Pierwszych przekonanie, drugich złość podburzała: to też starcie było gwałtowne. Z początku długo z równém szczęściem walczone, bo wodzowie wszędzie obecni, nadzieją i groźbą swoich podbudzali; ale kiedy Huniad mając doskonale uszykowane wojsko, ciągle świeże przeciw zmęczonym, całe przeciw przerzedzonym szeregom stawiał: wtedy żołnierze Gary, wytrzymując dotąd jako tako walkę, znużeni ciągłym bojem, ranami i potem okryci, ustępować pomatu zaczęli. Spostrzegłszy to Huniad wezwał do walki Mikołaja, którego na nieprzewidziane wypadki w odwodzie trzymał, i wszystkimi siłami uderzył na chwiejące się już szeregi tłumnie zebrane: ani obozu, ani wodza, ani chwały ze zwycięztwa, ani hańby z ucieczki nieznające, i rozbił je zupełnie. Wielu w boju i w ucieczce zabito, wielu też do niewoli wzięto, a między niemi byli i tacy, co powagą i znaczeniem niepoślednie zajmowali miejsce. Gara napróżno po kilka razy nawrócić uciekających usiłował; z niewielu swoich umknął, a bojąc się ich raczej, niż im ufając, i sądząc, że nigdzie bezpieczniejszym nie będzie, skrytymi drogami do Strygonium do królowej uszedł. Huniad sprawiwszy jak najlepij zlecenie, z niewolnikami i zdobyczą do Władysława powrócił; a ten niewolników dosyć łagodnie o złamanie wiary i przysięgi zgromiwszy, jak równie przypomniawszy im wspólność pochodzenia Polaków, Kroatów i Dalmatów, i że tym sposobem jakby przeciw własnej krwi walczyli, pod straż oddać ich rozkazał. Wielkie potem pochwały i łaski wylał na Huniada

i Frystarcha, a do tego dodał im jeszcze nową godność—książąt siedmiogrodzkich. Że zaś Huniad słynął przed innemi jako wojownik, oddał mu w posiadanie te miasta, które przy granicy tureckiej leżały, i dodał mu ile mógł żołnierza, aby nietylko się bronić, ale i w nieprzyjacielską ziemię zapuszczać się mógł; co też często czynił, a przez to Turkom strachu niemało napędził i w swoich niezmiernie nadzieje rozbudził. Wiele potem roztropnych postanowień wydał Władysław; a skutek okazał, że on jeden do tej sprawy godnym się okazał, i że on jeden chrześcijaństwo upadkiem grożące podtrzymać był w stanie.

Niedługo potem wszyscy niewolnicy na wolność puszczeni zostali; wielu z nich wsparcie na drogę dostało, a wszyscy wdzięczni, wielkie potem przysługi królowi wyświadczyli. Przynieśli oni między innemi, że wszystkich, których zwycięstwo w ostatniej bitwie oszczędziło, na stronę Władysława przeciągną; postano zatem z nimi Mikołaja Lassockiego i Grzegorza z Sanoka, aby ci wszystką ziemię obszedłszy, mieszkańców do odstąpienia królowej namawiali; co też prędko uskuteczniłi samem przypomnieniem tożsamości pochodzenia i krwi. I nietylko wiarę zaprzysięgli, ale i pieniądze złożyli na żołd dla żołnierzy, których przeciw Iskrze wyprowadzić miano.

Nie tak bowiem szczęśliwie w tamtej stronie powodziło się Janowi Perenie. Iskra nietylko często wielkie zdobycze czynił, ale nawet Spekuzyjską ziemię (1) ogniem i mieczem pustoszył, a niektóre miasta zabrał i ograbił, jakoto: Emperiascium, Skaruscium i Klisticum (2). To ostatnie długo oblegał, podkopami wreszcie opanował; a leżało ono na wysokiej górze i niby skała urwista Kassowii groziło. Ztamtądto Iskra kłeskę za kłeską roznosił, i albo za zdobyczą wychodził, albo ze zdobyczą w Kassowii się ukrywał. Ale i Jan Perena nie zasypiał sprawy, i albo zasadzkami szarpał nieprzyjaciół, albo w otwartém polu z nimi się potykając, jak miejsce lub los pozwalał, czasem zwycięzcą, a czasem i zwyciężonym bywał. Niemniej natarczywie i niemniej często jak Iskra zapuszczał się za zdobyczą w nieprzyjacielską ziemię, i chociaż wszelkich starań dokładał, aby odzyskać utraczone miasta, nie mógł nic sprawić, i na tych usiłowaniach rok cały prawie upłynął.

(1) Księstwo spizkle.

(2) Dzisiaj Preszow, Szkaros, Klizik.

Królowa zaś namawiała wszelkimi sposobami Władysława Gara jeszcze raz do walki: że nie mężką jest rzeczą nie próbować kilka razy szczęścia, i za pierwszym nieudaniem zaraz na umyśle upadać; że nie ma tak zmiennego na świecie jak szczęście w wojnie, bo tam najmniejsza rzecz wielkie skutki czasem za sobą pociąga. Ale napróżno były wszelkie prośby i zachęty; to też w końcu domagała się od niego, aby jej tylko pieniędzy na zaciągnięcie wojska pożyczył. Nie otrzymawszy nawet i tego udała się do Jaurinium, a niedługo potem dowiedziawszy się, że Czechy o obiorze króla myśleć poczynają, aby ich w wierności dla pogrobowca i dla siebie utrzymać, do Austrii wyjechała. Pojechał za nią i Władysław Gara, a tam Fryderyk cesarz do więzienia go, jakby zdrajcę wtrącić rozkazał, i dotąd siedział zamknięty, aż go król na prośbę Węgrów wykupił, za cenę jakiej żądał Fryderyk (1).

Tymczasem żądane przez Władysława posiłki z Polski nadeszły w znacznej liczbie i wyborynym stanie. Zaraz też z początkiem następnego roku, chociaż bardzo skąpo było zboża, i chociaż zima ostro się trzymała, wyruszył Władysław z Budy ku Kassowii, bo chciał jak najprędzej całe królestwo uspokoić. Iskra nie mając ani o połowę tyle wojska i tak dzielnego, nigdzie do boju stanąć nie chciał, a ciągle się w murach ukrywał. Owóz bez wielkiego wysilenia odebrawszy miasta i zamki, które przeszłego roku albo same odpadły, albo zabrane zostały; postanowił król ruszyć ku Kassowii i ku innym miastom, które dotąd ciągle królowej się trzymały, ażeby, jeżeliby Turczyn znowu co przedsięwziął, wspólnymi na niego uderzyć siłami. Ale Węgrzy sami obawiając się, aby dla bliskości położenia Władysława do Polski nie uszedł, puścili wieść, że królowa chce pokój z nim zawrzeć, i że nierozsądkiem byłoby wojną zdobywać to, co zgodą łatwiej otrzymać można. Namówili go tedy do tego, że powrócił do Budy, zostawiwszy tam tyle wojska, ile do zakończenia téj wojny było potrzeba.

Złakł się mocno cesarz Fryderyk, gdy o wyprawie króla się dowiedział; myślał bowiem, że gdy pozabiera twierdze królowej i całe Węgry mu się poddadzą, łatwo wtedy wojnę do Austrii zanieśie, domagając się świętej korony, którą królowa u niego złożyła; mówiono nawet, że już o wydanie jej układać się począł.

(1) Za 70,000 czerwonych złotych. Wapow. tłum. Mallu. str. 377.

Lecz gdy usłyszał że król wojsko opuścił, i że przez namiestników wojna pod Kassowią prowadzi się, odetchnął swobodniej, i wszystko zerwał. A i królowa pokrzepiła upadły umysł; nie była ona dawniej zupełnie od pokoju, teraz zaś dumną odpowiedź dała posłom od panów węgierskich, którzy z nią o warunki zgody umawiać się przybyli. Do tego przyszła jeszcze zaraza grasująca po królestwie, szczególnie w Budzie, gdzie tak się srożyła, dotknięciem i leczeniem chorych szerząc się, że co dzień po kilka pogrzebów rozpaczą i myślą o śmierci rychłej przerażała wszystkich umysły. To wszystko ożywiło nadzieję królowej, że będzie przerwa w działaniach wojennych, i że będzie miała czas przygotować wszystko, co za potrzebne do wzmocnienia sił swoich uważała. Władysław tymczasem dowiedziawszy się, że królowa ani myśli o pokoju, zaczął tém pilniej o zdobyciu Kassowii przemysliwać. Wysłał tedy Jana, przydomku Haler (1), z licznym piechoty i jazdy oddziałem, aby połączywszy się ze starostą kesmarskim, wspólnemi siłami i radami, natychmiast na Iskrę, gdziekolwiekby się znajdował, napadli, wyparli, lub silnie oblegli. Iskra zaś, ponieważ mu miasta na stronie królowej będące, już dawno chętnie podatki opłacały, i monetę téż z napisem i wizerunkiem pogrobowca wybijał, zebrał w Czechach nowe posiłki, i do szeregów swoich dołączył.

Nie miał jednak Iskra dosyć wojska, aby mógł w otwartém polu wystąpić: to téż siedział w Kassowii, gotowy na wszelki przypadek, i czekał dokąd królewscy najwięcej siły swe skierują. Gdy tedy właśnie na ten punkt wszystkie wysilenia skierowano, zawzięcie z obu stron dobywano i broniono się. Silne często wycieczki czynił Iskra na oblegających, często téż małe utarczki się trafiały, a wielu z obu stron padało: co bardzo szkodziło obleżonym, nie mogli bowiem niczém ubytku w ludziach zastąpić. Gdy tak codziennie liczba ich malała i widocznym było, że niedługo już bronić się będą mogli; w tak krytycznym położeniu, chociaż rzadko się to udaje i tylko w ostatecznym razie się używa, Iskra ze swoimi z miasta się wydarł. Wtedy królewscy widząc rozpaczne położenie mieszkańców, pewni prawie byli zdobycia miasta, a usypawszy szanice, prawie bezczynnie naokoło niego leżeli. Liczba mieszkańców wewnątrz niezmiernie większą była od ilości zboża i prowiantu; owoż zgromadziwszy wszy-

(1) Wap. tłum. Malln. str. 384 nazywa go Jan Czapek.

stko co do jedzenia w mieście było, dwóch dowódców załogi i dwóch obywateli, codziennie, ile im się zdawało koniecznym do utrzymania życia, pożywienie rozdzielali. Miara ta jednak co dzień szuplała, stosownie do tego, jak więcej czasu upłynęło i im mniej zapasów było. Głód zmusił wreszcie do jedzenia nieczystych zwierząt, i złe to samo z siebie, powiększała jeszcze rozpacz, że znikąd żadnej nadziei pomocy nie mieli. Zaczęły tedy między mieszczanami rosnąć szemrania o poddaniu się, a i załoga rozmaicie myślała, i to tylko opóźniło jej ucieczkę, że nielato było bez niebezpieczeństwa z miasta się wymknąć. Nie wiedzieli o tém królewscy, a znudzeni tak długim oblężeniem, gdy i zima już się zbliżała, dla braku żywności słabnąć poczęli, i w samej porze zwycięstwa obleganie zwolnili.

Tymczasem załogi czeskie z innych miast roznosiły naokoło spustoszenia, aby królewskich od oblężenia na pomoc napadniętym odciągnąć. Wnet doszła także wiadomość, że miasto Kesmark nietylko że się źle od owych napaści broni, ale nawet o poddaniu się zamyśla. Gdy tedy dowódzca królewski widział, że żołnierze nawet bez jego pozwolenia oddalają się, chcąc przynajmniej Kesmark w posłuszeństwie utrzymać, odstąpiwszy od oblężenia Kassowii, spieszenie tam pociągnął. Ale i to mu się nie powiodło, bo dniem wprzód, nim przybył, Czesi zdradą wpuśczeni, miasto zajęli. Ale chociaż dowódzca załogi Mikołaj Pereny, w zamieszaniu trwożliwie ze swojemi z Kesmarku uciekł; pozostali jednak żołnierze trzymali się w kilku wieżach, i łatwo by było miasto napowrót odzyskać, gdyby jakakolwiek pomoc przybyła. Los chciał, że w tym samym czasie do Podoleńca przybyły z Polski świeżo dla Władysława posiłki, pod dowództwem Wawrzyńca Zaremby i Mikołaja Stora (1). Królewscy usilnie ich na pomoc Kesmarkowi wzywali, i nie masz wątpliwości że byłiby Czechów wyparli; nie chcieli jednak iść na pomoc, czyto z obawy, aby zaczepiwszy Czechów, drogi sobie do króla nie zagrodzili, czy też dlatego, że jako posłani do króla, bez jego polecenia w żadne wprzód działania wdawać się nie powinni. Odrzuciwszy tedy prośbę, nikogo nie szarpnąwszy, i sami od nikogo niezaczepieni, do Budy się dostali.

(1) Wap. tłum. Malin. nazywa go Skóra. Potomkowie Jego nazywali się Skoraszewskiem; str. 387. Musi to być omyłka druku w Kallimachu, bo widocznie Skóra jest nazwisko polskie. Zaremba kasztelan sieradzki, Skóra sędzia ziemi poznański.

Ze zdobyciem Kesmarku, wojna ku Podolińcowi się przeniosła, gdzie dowódcą załogi był Mikołaj Komorowski. Z obu stron wszelkimi sposobami i sztukami wojowano. Gdy się tedy królowa o zwycięztwie swoich i o odstąpieniu od oblężenia królewskich dowiedziała, rozradowana do Posonium wiernego sobie ciągle miasta przybyła. Na zamku w Prezburgu (Posonium) była załoga Władysława pod dowództwem Stefana Rozgoniego. Zaczęła go wnet królowa oblegać, korzystając z sprzyjającego usposobienia mieszkańców, silnie ją popierających. Ale ponieważ niesłusznieby było swoich nakładami różnemi obciążać, bo chociażby to nawet zrobiono, nie wystarczyłoby i tak żywności dla wielkiej cywilnych i wojskowych ludzi liczby: wysłała po zdobycz do tyrnawskiej ziemi, z kąd mnóstwo różnego rodzaju zapasów zwożono, i tym sposobem wszyscy w Prezburgu obficie byli żywieni, a Tyrnawczycy, klęskami ziemi swojej zmuszeni, od króla odpadli.

Stefan szczęśliwym przypadkiem z zamku się wymknąwszy, do Budy do króla przybiegł i opowiedział, w jakim niebezpieczeństwie zamek się znajdzie, jeżeli mu jak najprędzej żywności, żołnierzy, i innych rzeczy do odparcia lub wytrzymania dłuższego oblężenia nie przyśle. Zapewnił go król, że to wszystko uczyni, rozkazał mu przytém nie upadać na duchu i jak najspieszniej do załogi zamkowej powrócić. Bez zwłoki zaraz wysłał do Tyrnawy Andrzeja Tenczyńskiego ze znacznym Polaków i Węgrów oddziałem, zalecając mu, aby i swoich od najazdów nieprzyjacielskich bronił, i ziemię prezburgską pustoszył, i zamkowi w czém będzie mógł, pomagał. Dzielnio się z polecenia sprawił: zboże, żołnierzy, maszyny i różnego rodzaju pociski do zamku wprowadził, nadzieję zdobycia zamku zupełnie królowej odebrał, i natarczywemi napadami na ziemię prezburgską tyle dokazał, że słusznie za oblężonych, a nie za oblegających się uważali. Zacięte z obu stron staczano walki, i wiele także z obu stron padało na placu boju; aż wreszcie Tenczyński w zasadzkę nieprzyjaciół wciągnąwszy, tak straszną zadał im klęskę, że o mało w zamieszaniu, ścigając zwyciężonych, miasta samego nie zachwyił. Klęska ta położyła koniec wycieczkom wojsk królowej; trzymali się odtąd za murami i fossami, i ztamtąd na nowo wszelkimi sztukami i machinami zamku pilniej dobywać poczęli. Przy końcu roku zaczęło im brakować żywności, a naciskani różnego rodzaju potrzebami i rozpaczą, do gwałtownych posunęli się kroków. Pobudowali tedy ruchome wieże, i różnego rodzaju pociskami broń się królewskim nie dozwolali; wybiwszy potem w kilku miej-

scach wyłomy, wszelkimi siłami chcieli się przez nie, albo po drabinach do zamku dostać. Nie byłaby nigdy załoga takiej natarczywości wytrzymała, gdyby był król, dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie zamku, mimo srogą zimę z Budy nie nadbiegł, mając przy sobie wyborne obu narodów wojsko. Pomoc ta dodała ducha swoim, a królową tak przeraziła, że zostawiwszy tam cokolwiek wojska, sama z innemi do Wiednia potajemnie wyjechała. Król do zamku posiłki wysłał i próbował zarazem, czyby mu miasta nie udało się opanować. Gdy jednak długie oblężenie wszystko wewnątrz i zewnątrz wyczerpało, i gdy przy ostrój porze roku, niemniej ze strony nieba i ziemi, jak od nieprzyjaciół spodziewać się można było trudnych położeń; naprawiwszy co z większą popsute przez nieprzyjaciela umocnienia, do Budy powrócił.

W tym samym czasie oddział Polaków, samych ochotników bezżołdowych, pod dowództwem Piotra Odrowąża (1) do Węgier idąc, napadnięty został przez Czechów utrzymujących się w wąwozach gór. Wybrawszy tedy bardzo zimny, pochmurny i dżdżysty dzień, najniepozorniejszy do marszu, wysławszy do tego naprzód kilkudziesięciu tęgich młodych chłopaków, którzy zastępujących im drogę, gdyby byli, zabijać mieli, przez zwinięte straże czeskie, bez żadnej zaczepki wąwóz przebyli i wnet miasto Kapuściany, niedaleko od Baradinum leżące, zdobyli. Gdy jednak król do siebie ich wezwał, natychmiast, jak należało, opuściwszy zaczęta sprawę, do Budy się udali, gdzie z wielką pochwata i podziwieniem od Węgrów zostali przyjęci: bo i rażni i doskonale uzbrojeni, i tak chętni na pomoc królowi swemu przybyli.

Władysław zaś pochwaliwszy wszystkich razem i oddzielnie każdego podług jego godności i zasług, przyrzekłszy im swą życzliwość, wysłał ich na zdobycie Kassowii (2), z kąd częste i wielkie klęski w owęj ziemi codziennie Czesi na stronników króla roznosili. Powierzone sobie zlecenie Polacy prędko wykonali, i żeby przerażeniem napełnić całą załogę, wszystkich Czechów, którzy im tylko w ręce wpadli, na śmierć skazywali.

Tymczasem doniesiono z Polski, że Tatarzy na Podole napadli. Król tedy widząc, że z ucieczką królowej wszystko się polepszyło, a Iskra rodzimemi siłami łatwo pokonanym być może:

(1) Wojewoda i starosta lwowski.

(2) Wapowski powiada, że ich do Roznawy posłał. Ale dotąd o Roznawie jako fortecy nigdzie wzmianki nie było.

żeby barbarzyńcy ogołoconej z wojska Polski nie zastali, napowrót do ojczyzny Odrowąza z jego oddziałem odesłał, a dla honoru, kilku panom węgierskim do granicy odprowadzić ich kazał. Gdy tedy do Agrii przybyli, hojnie przez biskupa przyjęci, czy ufni w swe siły, czy że w szczęściu zaniedbanie się łatwiejsze niż w nieszczęściu, podhulali sobie bardziej, niż tego czas i blizki nieprzyjaciel pozwalał. Telefus, który w owym czasie załogą w Kassowii dowodził, myśląc, że mu się bardzo korzystna podaje okoliczność do zwycięstwa, z silnym oddziałem nocą, spiesznym marszem wybiegł. Gdy tedy, jakby w pokoju zupełnym, żadnej straży nie znalazł z téj strony, z którój mu się najlepiej wydawało, przez mury przelazł, pożar dla większego strachu w niektórych miejscach podniecił, i jak gdyby już miasto zdobył, ogromne krzyki podniósłszy, na uspiionych i bezbronnych napadł i odrazu wiele domów i wozy polskie złupił. Gdy zaś nasi krzykiem, mordami, rabunkiem i ogniem przerażeni, napół senni, nie mogli dość prędko broni uchwycić; z ogromną zdobyczą bydła, ludzi i wielu innych rzeczy uchodzić począł. Węgrzy téż i Polacy z przestachu ochłonawszy, zbiegli się razem: już uzbrojeni. Nie trudnem było doścignienie uciekającego nieprzyjaciela i odzyskanie zdobyczy, bo zmordowany i obciążony wolniej uchodził: to téż natychmiast w całym pędzie koni za nim się udano. Daleko jeszcze było ku zachodowi, kiedy już z tyłu usłyszał nieprzyjaciel szum i świst pogoni. Telefus widząc, że żołnierze jego szybkością nocnego marszu i bójką są znużeni, i że dla wielkiej i ciężkiej zdobyczy uciec nie zdoła, postanowił się siłą odpierać. Zabrał on był do niewoli Piotra Odrowąza, a że to był wojewoda lwowski, miał więc nadzieję, że albo wielki okup za niego dostanie, albo wielu jeńców za niego jednego wymieni. Polecił potem poufnemu swemu, jakiemuś Soloma, którego wierność i obejrzałość bardzo dobrze, jak mniemał, znajoma mu była, aby wojewodę do blizkiego miasta odprowadził i dobrze strzegł. Bez żadnej zwłoki, mając szczęścia próbować, dalej naprzód zdobycz wysławszy, do swoich przemówił, że licha garstka nieprzyjaciół goni za nami, bezbronna, nieszykowna, a do tego jeszcze klęską minionej nocy przerażona, poraniona i osłabiona. Nie mieli siły i ducha do bronienia się we własnych domach, a teraz szaleni za broń chwycili, jak gdyby łatwiej było walczyć w otwartém polu i stratę odbijać, niż jój w zamknięciu poza murami strzedz. Jeżeli były jakie niebezpieczeństwa i trudy, to już przeszły. „Szybkim i niespodzianym napadem macie już w ręku bogatą zdobycz, a daleko

łatwiej niż porwać, obronić ją teraz przy równych siłach możecie. Wielu nieprzyjaciół w naszym jest ręku, a sąto ludzie najdzielniejsi, których ani sen, ani strach, ani nagłe zamieszanie podejść bezbronych nie mogło; ci zaś co pozostali, winem i snem dotąd znużeni, poranieni, zaledwie na koniach utrzymać się mogą. A chociażby zresztą wszystkie okoliczności równemi się z obu stron pokazały, daleko mocniejszymi powinni być ci, co bez nadziei przebaczenia i życia walczą, niż ci, co dla odzyskania blahéj straty za broń uchwycili.“ Przypomniał im potem, jak to srogo i okrutnie z ich rodakami obchodzono się niedawno pod Kassowią, że powinni walczyć do ostatniéj kropli krwi i zginąć raczój, niż w ręce nieprzyjaciół się dostać, żeby potem jakby bydlę jakie pójść na śmierć nieochybną. Im silniéj opierać się będą, tém bezpieczniejszą uchodząca zdobycz, a sami pewniejszymi ocalenia będą.

Zbliżyli się już nieprzyjaciele; to téż zwróciwszy się ku nim Czech, silnie i tęgó wytrzymał kilka piérwszych i gwałtowniejszych napadów, i tak dzielnie odpierał, że ani znaku na ludziach i koniach po przebyłych trudach nie było widać. Dodawało im sił zrozpaczenie o darowaniu życia i chciwość obronienia i zatrzymania zdobyczy; Polaków zaś i Węgrów nietyle strata materialna, ile wstyd zagrzewał. Szpetnémbó było dla nich, że daleko mniejszój liczbie, winem i snem rozmarzeni, dali się podejść, i że zwycięstwo tylko może zmyć z nich tak szkaradną plamę. Wątpliwie tedy długo walczone, a wielu już i raniono i poginęło; wreszcie znużenie przemogło, i żołnierze Telefa ustępować zrazu poczęli, a potem w ucieczce ratunku szukać byli przymuszeni. Wielu wtedy zabito, wielu końmi roztratowano, zdobycz w zupełności odzyskano, Telefa zaś z wielu Austryakami i Czechami do niewoli zabrano i biskupowi z Agrii pod straż oddano.

Soloma tymczasem nic o klęsce swoich nie wiedząc, cały zajęty myślą, aby powierzonego sobie Odrowąża w bezpieczném ukrył miejscu, jak najspieszniéj do zamku Mikołaja Zudar się udał. Mikołaj ów niedawno temu do królowój przeszedł, a myśląc, i bardzo słusznie, że powaga Władysława i sprawa jego przez ucieczkę królowój do Austrii niezmiernie zyskała, i że mu się teraz dobra sposobność do prześlągnięcia Władysława podaje, więźnia, o którym wiedział, że jest między swojemi rodem i godnością wiele możliwym, do Budy do króla odprowadził, i jak przewidział, przebaczenie uzyskał.

Wpóśród tak zmiennój kolei wypadków, kiedy noc, przypadek, strach, napad ciągle po sobie następowały, wiele dziwnych przypadków śmierci i niezwykłych usiłowań w napadzie i obronie często się przytrafiło. Między wielu innemi wypadkami, następujący godny pamięci i niezmiernie był żałośliwy:

Był w Agrii człowiek ludu, młodością i kształtem odznaczający się, i zakochał się w młodej panience swojego stanu i wieku. Dosyć często z wszelkiemi ostrożnościami nocą do niej zwykł chodzić, nie po to jednak, żeby tęsknotę swoją owocami miłości zaspokoić, ale żeby ją jeszcze bardziej rozjątrzać. Gdy tedy rabunek miasta przy kochance go zaskoczył, myśląc, że to swoi pijani rozbiegli się po mieście i trwogi mieszkańców nabawili, tém więcej że wiedział, jak dużo wina wczoraj wypili, na pierwsze usłyszane krzyki z miejsca się nie ruszył. Ale później, kiedy nietylko chrzęst zbroi i tętent jazdy, ale i płacze i wyrzekania niewiast i krzyk dzieci zawielkie mu się zdały; domyślając się, że chociaż pijani, tak wielkić kłótni, przekleństw i narzekań nie wywołałoby: chciał, dokąd wzywało go niebezpieczeństwo, natychmiast polecieć. Zatrzymała go jednak kochanka i upomniała, aby drzwiami nie wychodził, boby mógł przy takim zamieszaniu, pobudziwszy domowników obcych, jaki przypadek na siebie lub na nią wywołać; oknem więc do sieni domu się spuścić. Wypuściwszy go na podwórze, sama schodami za nim pobiegła; wtém nadbiegli już nieprzyjaciele, i bramę wylamawszy do domu wpadli. Na wychodzącego młodzieńca mieczem napadają i ranią, tém zawzięcić, że sam jeden nieustraszony wpóśród powszechnć trwogi odważnie się potykał. I nie uległ tak prędko: chociaż ciężkie już odebrał rany, dzielnie się bronił, i dwóch jeszcze nieprzyjaciół zabił. Wtedy kochanka jego boleścią i rozpaczą uniesiona, nie chcąc przeżyć swojego lubego, o ile jćj miłość, gniew i rozpacz sił dodały, wyrwawszy broń jednemu z zabitych żołnierzy i natrzęsając się srodze z żywych, zanim ją ująć pomyślano, bo za wstyd sobie walkę z kobietą pocztywali, wielu raniła. Pojmana wreszcie, opowiedziawszy przyczynę takićj zawziętości, tém samém żelazem, którym śmierci kochanka swego pomścić się chciała, przebiła się, i w tćj chwili obok trupa, droższego jćj nad życie, upadła. Obecni żołnierze oniemieli z podziwienia, i kiedy towarzysza ich ze zdobyczą z miasta uchodzili, oni jedni w tym domu bezbronni i przerażeni w ręce Polaków się dostali.

Takiż sam los, jak Telefa, spotkał także w tym samym czasie Czajkę i Komorowskiego. Pierwszy z nich w Bronsonitium (1), drugi w Podolińcu załogą dowodził. Gdy się bowiem przez szpiegów dowiedzieli, że miasto Emperiascium niedbale jest strzeżone i niesilną ma nawet obronę; wziąwszy ze sobą każdy jakich miał najlepszych w załodze żołnierzy, jak najciszej, nocą tam się udali. Przystawili drabiny do murów i jak gdyby do swojej fortecy bez najmniejszego oporu do miasta weszli. Gdy zaś krzyk, a potem mordy, nie tylko przeraziły nieprzyjaciela, ale mu zmysły prawie odebrały, tak, że nie tylko do broni, ale do rady nawet trafić nie mógł: jakby za pozwoleniem lub dla zabawki wielką zdobycz uczynili. Przypadkiem dnia poprzedniego przyszło do Emperiascium pięćdziesięciu Czechów, którzy się do Iskry, zbierającego wojsko na oblężenie Rychnawy, udać mieli. Ten tedy oddział, jak się to zwykle w zamieszaniach dzieje, kiedy każdy nie o tym co powinien, lub co może, ale o własnem ocaleniu myśli, kiedy Polacy miasto rabowali, zajął wieżę doskonale umocnioną, i dzielnie się w niej bronił. Trudno było zdobyć ją, a bali się i tego Polacy, aby czasem Iskra niedaleko zład będący, z wojskiem nie nadbiegł; nie mogliby bowiem i miasta niezupełnie podbitego bronić i zdobyczą zatrzymać: a więc zład przyszli, tam i odeszli. Prędzej niż myśleli, dowiedziawszy się o klęsce swoich, i mając już dawniej zebrane i wywiczone wojsko, Iskra nadbiegł chcąc znięcać, jak zwykł, na rozstrojonych pomyslnością nieprzyjaciół napaść. Nie zastał tu już Polaków, bo prędko z zdobyczą nazad odeszli; pognął za nimi i doścignawszy ich, mając nie tylko przemagającą liczbę, ale świeżego jeszcze żołnierza, bardzo łatwo rozbił i rozpędził wszystko; nie było nawet oporu i bitwy, bo zmęczeni i zdobyczą obciążeni Polacy, pierwszego nawet natarcia nie czekali. Czajka i Komorowski z niewielu innymi do niewoli zabrani zostali, i nikt się w gwałtownej ucieczce o wyrwanie ich z rąk nieprzyjaciela nie pokusił. Iskra zaś, jako mąż dzielny na wojnie, po tém zwycięztwie prosto ku Berzewicz pociągnął, bo mając w ręku dowódcę owego miasta myślał bardzo sprawiedliwie, że je łatwo zdobędzie. Kiedy przybył, zastał mieszkańców daleko lepiej niż przewidywał przygotowanych do obrony, i już nie chcąc nawet probować szczęścia zabierał się do odwrotu, kiedy jedna z wież, a było ich dwie, czy

(1) Berzewicz.

przypadkiem, czy zdradą, zapaliła się. Oblężeni spiesznie do drugiej przeszli, a obawiając się aby i z tą to samo się nie stało, dobrowolnie poddali się Iskrze. I oczywistém z tego było, że los dla obu stron równą radość i równy smutek rozdzielić chciał.

Wprowadzili potém Polacy świeże załogi do Podolińca i Lubolii, a Iskra na zdobycie Rychnawy wyruszył, zabrawszy z sobą posiłki ze wszystkich miast, które pogrobowcowi sprzyjały. Polacy murów silnie bronili, musiał tedy formalne rozpocząć oblężenie. Wojsko naokoło rozłożył, i mury taranami i innemi machinami rozbijał. Ale co on w dzień zepsuł, to w nocy natychmiast oblężeni naprawili, i tak kilka miesięcy przetrwało oblężenie. Gdy jednak gwałtowne potrzeby z jednej, a z drugiej nieprzyjaciel naciskać począł; gdy konieczne poddanie się, nadzieja tylko odsieczy od biskupa agryjskiego zwlekała, a on nie przybywał, a głód i natarczywość oblegających co dzień się zwiększały: poddali się wreszcie, wymówiwszy sobie, że wolni z bronią i dobytkiem z miasta wyjdą, zamek próżny oddadzą, i że Polakom żadna krzywda się nie stanie. Jak raz nazajutrz po poddaniu się biskup agryjski z wojskiem nadbiegł i niedaleko od Iskry obozem stanął, jak gdyby chciał wszystkiemi spotkać się z nim siłami. Ale do walnej bitwy i do rozwinięcia chorągwi nie przyszło, chociaż oba wojska w małych utarczkach często się szarpały; bo i Iskra szczęścia kilku lat w jednym dniu utracić nie chciał, a i biskup agryjski nie ufając swoim, jako świeżo zebrany i wcale niewyćwiczonym, wolał zwłoką, w okolicach już wyniszczonych codziennemi harcami, przywieść nieprzyjaciela do niedostatku w żywności, niż otwarty bój stoczyć. Tak więc, gdy Iskrze i jego żołnierzom, jak się tego spodziewał biskup, niedostatek żywności prędko dokuczać począł, i gdy widoczném było, że na żaden sposób, a przynajmniej bez wielkiego niebezpieczeństwa nie będzie się mógł w tych miejscach utrzymać, bez żadnej większej pomocy do Kassowii powrócić.

Niedługo potém zaczęły się między Iskrą a biskupem agryjskim układy o zgodę; po długich a bardzo różnych ustąpieniach, zaślubił Iskra synowicę biskupa. Tak więc nie tylko pokój, ale i pokrewne stosunki między sobą zawiązali, a bardzo wielu wątpiło, czy się to wszystko dobrą wiarą stało. Nie przyszło bowiem na to, jak wypadało, pozwolenie królowej, a i Czesi widocznie wiarę złamali, bo wypuściwszy podług umowy wszystkich jeńców na wolność, zatrzymali Czajkę i Komorowskiego, chociaż

i ci w umowie wymienieni byli. Iskra do tego jeszcze miasto (1) na Spiżu, którym teść jego nowy dowodził, zabrał, i na stronników króla ciągle napadał i rabował.

Rozdwojone były w tym czasie umysły chrześcian względem najwyższego kapłana. Jedni przyznawali papieżem Eugeniusza, przez kolegium kardynałów wybranego, drudzy stali przy Felixie, którego w Niemczech sobór bazylejski naznaczył. Wielu jednak monarchów i książąt i ludów, a między niemi Polacy i Węgrzy, czekając jaki skutek tak wątpliwe i drażliwe rozdwojenie mieć będzie, zdanie swoje zawiesili, a tymczasem ceremonie i obrzędy, jakie od przodków swych w spadku dostali, najgorliwiej spełniali. Gdy tedy tak Felix jak Eugeniusz nietylko przeciwników swoich, ale i tych, co obojętni, ukrywszy uczucie i przekonanie, żadnemu z nich pierwszeństwa nie przyznawali, różnemi sposobami namawiać i na stronę swoją przeciągnąć usiłowali, wysłali też oba poselstwa do króla.

Felix V wysłał Alexandra z książąt mazowieckich pochodzącego, niedawno kardynałem i biskupem trydenckim przez siebie nominowanego, myśląc, że jako krewny Władysława, łatwiej sprawy jego bronić potrafi; a chociażby względ na pokrewieństwo niewiele miał wagi, zawsze jednak coś znaczy. Od Eugeniusza przybył kardynał Julian Cesarini, a ten szeroko dowodził, że Rzym, jako miasto skropione krwią ś. Piotra i Pawła i wielu innych wyznawców nauki Chrystusa, jest najstosowniejszém miejscem do wyboru i rezydencyi najwyższego kapłana; że prześwintne kolegium kardynałów ma prawną i dziedziczną powagę, a zatem; że on sam tylko jest prawnie wybranym następcą ś. Piotra; że całe Włochy i umysły Greków dały za Eugeniuszem swe głosy. „A cóż przytoczy druga strona na swoje poparcie? — mówił dalej—oto chęć zamieszek niewielu złych ludzi, co zmarnowawszy fortunę, ani się bojąc Boga, ani wstydząc ludzi, w zaburzeniu stronnictw bez powagi, bez porządku, bez powodu, zebrali się na stanowienie o rzeczach świętych.” Alexander zaś kardynał twierdził, że nie miejsce, ale czystość umysłu i serca, i świątobliwość żywota do religii należą; że to nie nie znaczy, gdzie mieszka lub wybranym został najwyższy kapłan, kto i od kogo wybranym został; że w szczupłym zanadto obrębie ogranicza się filar nauki chrześciańskiej, jeżeli naczelnik jój tylko w Rzymie ma się wybierać i stanowić. A cóż będzie wtedy, jeżeli przypad-

(1) Wapowski nazywa je Podgrodzie.

kiem wiekuiste miasto wpadnie w ręce barbarzyńców, albo zupełnie zniknie z ziemi? Jeżeli w rzeczy najzupełniej na samym umyśle i uczuciu opartej, miejsce to lub owo ma mieć jakieś znaczenie, toć Jeruzalem świętszą daleko krwią, niż krew św. Piotra i Pawła poświęconém zostało. Tam jest najprawdziwsza głowa naszej wiary, tam wszystkie tajemnice naszej nieśmiertelności spełniły się. tam godności najwyższego kapłana pierwsze zaczątki, nie przypadkiem ludzkim, lecz wolą i wyborem samego Boga przypadły. Wszakżeż wszyscy wiecie, że św. Paweł jako zapozwany do Rzymu przybył, a św. Piotra ściągnęła do tegoż samego miasta próżność magika Szymona. Co się tyczy kardynałów, niewiele znaczą ich tytuły i nazwiska: bo kapryśnej fortuny zachcenia mogą to wszystko i takiemu nawet udzielić, który na to wcale nie zasługuje. Inni przecież, chociażby nigdy Rzymu nie widzieli, chociażby tytułu kardynała nie posiadali, są jednak przed Bogiem prawdziwymi wiary naszej podporami i fundamentami, bo ich nauczanie, życie, obyczaje, czyny, myśli nawet, zupełnie z religią się zgadzają. Nie tu nie znaczy, jaki kto posiada stopień i godność: bo Bóg nie na to co zewnątrz człowieka, ale co w myśli i sercu jego jest spogląda i z tego go sądzi; i nie szczęśliwego, ale najcnotliwszego zdanie, w rzeczach do religii należących, ma wagę. Że ani ceremonie zwykle przy obiorze, ani zajmowanie stolicy rzymskiej, nie są oznakami prawdziwego boskiego następstwa na namiestnikostwo Chrystusowe: bo gdziekolwiek dobrzy zgromadzą się, tam zaraz zamieszkuje między nimi Duch Święty; cokolwiek tedy oni powiedzą, uczynią i postanowią, to wszystko za natchnione od owego Św. Ducha uważać należy. Byłoby to nawet nietylko nierozsądném, ale i niebezpieczném, dla kilku upartych umysłów, które przez złe sumienie przy swoim trwają, odrzucać postanowienie publicznego rzeczypospolitej chrześcijańskiej, soboru. Ani Eugeniusz, ani ci co przy nim stoją, nie wątpią o powadze swojej i soboru; ale mimo to nie jaśnieją cnotami chrześcijańskimi, bo od samej wiary duchem i czynem daleko odpadli. Gdyby im tylko o samą naukę Chrystusa chodziło, nie sprzeciwialiby się soborowi, którego właśnie największém zadaniem jest zachowanie religii w zupełnej świętości i godności. Wszyscy papieże, którzy dotąd kościołem Chrystusa rządzą, nie byłiby nigdy przyznawali tyle powagi soborom, gdyby byli nie widzieli, że daleko pewniej może stanowić o rzeczach boskich zgromadzenie z całego chrześcijaństwa zebrane, niż kilku rzymskich kardynałów

lub biskupów. Zresztą to, co słusznie do wszystkich należy, o tém téż wszyscy obmyślać powinni. Dlatego, jakby jakim czterem ewangelistom, kościół przyznawał zawsze i przyznaje nieodwołalną powagę czterem soborom: niceńskiemu, konstantynopolitańskiemu, efezkiemu i chalcedońskiemu, na których, oprócz różnych wielu postanowień względem świętności i trwałości religii naszej, zbijano i wyniszczano niegodziwe i szkodliwe herezye, któremi zasady wyznania naszego obalić chciano. Jeżeli tedy w Nicei Aryusza, w Konstantynopolu Macedoniusza, w Efezie Nestoryana, a w Chalcedonie Entychiusza błędy bezbożne wykazano i potępione zostały; niemniej tedy i następnych soborów postanowienia moc obowiązującą zachowały. Nie żądają zaś ci, co się w Bazylei zgromadzili, aby im nieomylnie wierzone, co do postanowień o szczęściu wszystkich, i o najwyższej i o najniższej w kościele godności, coby i nierozsądkiem i bezbożnym było; ale domagają się, aby na roztrząszenie i wydanie o tych przedmiotach ostatecznego wyroku, wszyscy, do których to należy, zwolani zostali.

Gdy tedy tak ten i ów przed królem i jego radą stronę swoją popierali, nie wyrzeczono nic stanowczo o przyznaniu któremu z nich godności i praw papieża. Julian Cesarini do własnej swój sprawy dodał jednak jeszcze i to, że Eugeniusz i ci, którzy o całość religii chrześcijańskiej dbają, z przykrością widzą, jak Węgry, najpotężniejsza osłona i przedmurze chrześcijańskiego imienia, szarpią się wewnątrzniemi rozterkami; radził zatem, aby złożono dla zgody broń, i że on, jeżeli obie strony na to pozwolą, słuszne warunki pokoju ułoży. Kiedy mu zaś oświadczone, że król niczego nie zaniedbał uczynić, aby pokój przywrócić, i że napróżno kilkanaście poselstw do królowej posyłał; prosił, aby mu dozwolono poprobować jeszcze raz, czy się co nie da zrobić: czego mu téż nie odmówiono. Widząc tedy, że Władysław najzupełniej był skłonny do pokoju, pojechał do królowej. Tu wypowiedziawszy jej wszystko, co uważał za stosowne do rzeczy, wystawiwszy jej korzyści pokoju, a szkody i niebezpieczeństwa na wojnie, zwrócił jej uwagę na godność i pleć jej, na zmienność przywiązania ludzi i niestałość fortuny, czego tyle razy doświadczyła. A teraz cóż pocznie z garstką swoich: czyliż podola w wojnie, przeciw siłom i zgodzie wszystkich prawie, tak bardzo niższa w siłach, radzie i zasobach? Stoi bowiem z przeciwnej strony cała potęga polska, a z nią większa

część Węgrów jaśniejących między swojemi bogactwami i znaczeniem; mają do tego i ludzi, i zaprzęgów i żywności w zapasie dosyć, że na wszelki przypadek mają czém wojsko podpierać i odświeżać. A ona i mało ma żołnierzy i to jeszcze najemnych, których wierność nie z serca płynie, a za pieniądze kupiona; przyjaźń nawet Iskry i biskupa agryjskiego bardzo sprawiedliwie podejrzaną się jój wydaje. A nawet to wszystko, co ona ma przygotowane i za obmyślane doskonale uważa, los jednej bitwy zniszczyć może; a jakimże sposobem wzmoże się znów na siłach, jeżeli raz zwyciężona zostanie? Oby żył jak najdłużej pogrobowiec; ale trzeba jednak pamiętać, na ileto przypadków życie ludzkie jest wystawione, a im mniej dzieciństwo ma siły do odparcia chorób, tém bliższe jest zniszczenia. Niech tedy pamięta, aby i sobie, i dwom dorosłym już córkom losu nie zagradzała; bo chociaż wielu jeszcze nadzieja łaski pogrobowca w wierności utrzymuje, osierocenie jednak królestwa przerzuci ich na przeciwną stronę. Trzeba tedy obmyśleć dobrze, ażeby, gdyby przedwcześnie śmierć syna z królestwa wyzuła, córki przynajmniej utrzymały się przy niém, i żeby chociaż jedna z nich, jako żona króla panowała. Między mężem i żoną, gdyby o to tylko chodziło, żeby rodzicami być mogli, płęć wszystko stanowi; ale Władysław posiada do tego jeszcze wszystkie przymioty, które go godnym którejkolwiek z królewien mężem a jój zięciem czynią. Położenie zaś czasu i rzeczy nietylko obie strony do zawarcia pokoju nakłania, ale go koniecznym prawie czyni. Powinna wreszcie pamiętać na męża i ojca swego, którym, oprócz czci prawie boskiej, z niezachwianą wiernością służył ciągle ów naród, którego szczęście ona teraz na niebezpieczeństwo wystawi, jeżeli się na pokój nie zgodzi. Mężom wybaczają się niekiedy, że dla podtrzymania godności jednego człowieka, [narażają czasem losy wielu narodów; ale kobiecie, jako kobiecie nie wypada kłaść wyżej nadzieję słabego dziecięcia, nad szczęście i spokojność tylu miast i ludzi, którzy się jój nie były jako zasłużyli. I sądu ludzi i zemsty Boga powinna się obawiać, gdyby przez nią niegodziwa i dla chrześcijańskiej sprawy niebezpieczna wojna, nie mogła być odpartą.

Na to królowa odpowiedziała: że zna dobrze stan swój i stan nieprzyjaciół, i że niemniej wie, ile siła i los mogą na wojnie. Że daleko znośniej i nie tak boleśniej jest ustąpić w bitwie, niż przez tchórzostwo i próżną bojaźń z królestwa być wyzutym. Że sprawa jój jest najsluszniejszą, że Bóg, mściciel sprawiedli-

wości, nie opuści jój, i że syn jój zdrów jest i za łaską Boga zdrów będzie. A jeżeliby nieszczęsny jaki przypadł na nią los, i wtedy poradzić sobie będzie umiała. Wić ona, że zasługi Węgrów względem niej i drogich jój osób są niezmierne, ale im większe są, tém ona usilniej starać się o to powinna, aby ich wy dobyć z nienawistnego im poddaństwa. Żeby się to bez rozlania krwi i zaciętych mordów stać mogło, bardzo sobie tego życzy.

Na te słowa Julian pochwaliwszy królową, że gdyby konieczność ją zmusiła i wojny się nie obawia, i że pokoju nie odrzuca, aby tylko korzystne otrzymała warunki, zaczął się z nią o zgodę układać. Po wielu rozmaitych z obu stron przytoczonych i odrzuconych warunkach, gdy serce matki równie o los dwóch dorosłych już córek, jak i o szczęście dziecka niepomąłu się troszczyło; zgodziła się w końcu królowa na przesłanie Władysławowi następujących praw i zasad zgody:

Przedewszystkiém, aby jedną z królewien on sam, a drugą brat jego Kazimierz namiestnik podówczas w Litwie poślubił. Kazimierzowi przyrzekała królowa wypłacić posagu sto dwadzieścia tysięcy czerwonych złotych; Władysławowi zaś ustępowała 200,000, na ziemi szlązkiej ulokowanych, którą mu w dzierżawę puszczała, zastrzegając sobie prawo okupu, kiedyby tylko zechciała. Co się tyczy Węgier, Władysław rzecze się tytułu króla, zatrzyma zaś zarząd i opiekę aż dotąd, dopóki pogrobowiec stosownych lat nie dojdzie; a gdy dorośnie, Władysław i opiekę złoży. Gdyby zaś pogrobowiec albo dzieckiem, albo kiedykolwiek bezpotomnie zmarł; wtedy tytuł i prawa króla na Władysława przejdą. Wreszcie na pokrycie kosztów, na wyprawę obecną poniesionych, ziemia spizka na zawsze do Polski przyłączoną zostanie, a Węgrzy ze swój strony dobrowolnie zrzeką się wszelkich praw, jakie kiedykolwiek do Podola i Wołoszczyzny rościli.

Władysław byłby przyjął niewątpliwie te warunki, tak korzystne dla obu państw, a szczególnie dla Polski; wielu nawet Węgrów obawiając się wojny zewnętrznej i w obrzydzeniu mających wewnętrzną, zgadzało się na przełożenia królowej. Ale ponieważ byłato sprawa o całość stanu i rozległość królestwa, wypadalo tedy czy przez posłów, czy listami, zasięgnąć jeszcze rady tych panów, którzy obecnymi nie byli. Ci, jak to zwykle, jak kto rozumiał takie dali zdanie: nietylko rozmaite, ale zupełnie sprzeczne. Byli tacy co twierdzili, że aby tylko z zewnątrz nic im nie zagrażało, daleko gorsze potem warunki otrzymać będzie

można, a inni utrzymywali, że w żadne układy niewarto wchodzić, i że najlepiej aby broń o pokoju stanowiła. Im więcej jedni przez bojaźń trwożliwie, drudzy przez rzutkość niebezpiecznie radzili, tém łatwiej zdanie Huniada przyjętém przez wszystkich zostało, bo na żadną stronę wyraźnie się nie nachylało. Pisał on, że dla grożącej od Turków napaści, byłoby nieroztropnością odrzucać pokój, ale też chciwie ku niemu się garnąć, równie nie zaszczytném. Bo chociaż pokój sam w sobie wyższym jest nad wojnę, i nie dla czego innego wojny się prowadzą, tylko dla utrwalenia pokoju: trzeba jednak dobrze rozpatrzyć warunki zgody, aby, jeżeli niekorzystne były, inne potem dostać, a najwięcej na to baczyć, aby pokój i zgodę w kraju przywrócić. Wtedy odłożwszy na bok nienawiści wszelkie, pójść na zewnętrznego wroga. Gdyby zaś królowa, przez wzgląd na siebie i na swoich chciała wytrwać przy obecnych warunkach, któremi nietylko wiele prowincyj obcym w dzierżawę puszcza, ale niektóre nawet zupełnie od królestwa odrywa: wszystkimi siłami opór stawić potrzeba. Nie braknie ducha i sił do wymuszenia i lepszego pokoju, i mniejszym kosztem, niż zgoda, którą teraz nam ofiaruje.

Julian powtórnie do królowej pojechał, i przywiózł od niej zmienione nieco warunki. Ale gdy i tych Węgrzy przyjąć nie chcieli, znów pojechał; i tak jeździł po kilka razy, a zawsze czy z téj, czy z tamtéj strony nowe ustąpienie wymógł. Nareszcie dopiął tego, co mu się najważniejszém wydało: że Władysław do Jaurinum do królowej pojedzie, a wtedy obecność i rozmowa osobista, daleko skuteczniejszemi będą w zawarciu pokoju, niż rady i przekonywania obcych.

Gdy tedy się zjechali, nie mogli się sobie dosyć nadziwić; z jednéj bowiem strony wiek ledwie młodzieńczy, a zdolności mężkie i ogromnemu zadaniu rządzenia dwoma królestwami wyrównywające; z drugiejj wiek już podeszły, a wielkość umysłu w niebezpieczeństwach i wielu innych działaniach niepospolita, godnemi ich szacunku czyniły. Jak się tego można było spodziewać, sprzeczki i uniewinnienia wzajemne pierwsze zajęły miejsce; bo obie strony zarzucały sobie zgwałcenie praw i słuszności, i że za broń z konieczności, a nie z własnej woli chwyciły. Przeciągnęły się owe rozmowy o pokoju kilka dni, wreszcie ustąpiły obie strony ze swoich domagań się, pogodziły się, i wzajemnie a bogatemi uczciły się darami. Jakim sposobem broń złożyć

miano, nie ogłoszono. Niedługo potem królowa do Budy wyjechała, i tutaj uwolniwszy wprzód z więzienia hrabiego Cylii, w którym od początku wojny zamknięty siedział, zawarła ostatecznie pokój. Podobało się niezmiernie królowej ułożenie i charakter słodki Władysława; chodziła też wieść, że królowa przyrzekała pod przysięgą oddać mu zupełnie Węgry, aby tylko król polski albo prośbami, albo bronią wydarł z rąk cesarza Fryderyka i koronę świętą węgierską, i samego pogrobowca. Korzystając bowiem z jej wdowieństwa, zabrał i użytkuje posiadłości dziecka, bez żadnego wynagrodzenia.

Wróciwszy do Jaurinum zachorowała królowa, i po trzydniowych mękach umarła; nie bez podejrzenia o otrucie dla tak nagłej śmierci, i dla różnych na ciele zewnętrznych oznak.

Władysław zmartwił się niepomału jej śmiercią, bo przewidywał, że gdy śmierć uniosła z sobą zakład i pewność pokoju, Czesi na nowe wypadki chciwi, zaczną przeciw pokojowi intrygować, aby znów działania wojenne i rabunki rozpocząć. Tak się też stało: bo niedługo potem, razem z miastami, w których załogą stali, do cesarza odpadli, i już nie ukradkiem, ale jawnie otwartym bojem na królewskich napadać zaczęli.

W tym samym czasie przybyło znakomite mężami i okazałością poselstwo od Amurata; więcej, jak wieść niiosa, dla wybadania obecnego stanu Węgier, szczególnież rozruchów wewnętrznych, które go najbardziej obchodziły, niż dla popierania swych żądań. Chociaż Huniad, któremu, jak powiedzieliśmy, powstrzymanie napadów tureckich zleconém było, nietylko ich dzielnie odpierał, ale ufając mężtwu i dzielności swojej, często się za zdobyczą na nieprzyjacielską ziemię zapędzał, i niemałe Turkom klęski zadawał, i tak mądrze sobie poczynił, że w końcu Turcy nabyli tego przekonania, że łatwiej zwyciężonemi niż zwycięzcami zostaną: mimo to jednak, temiż samemi prawie słowami, z jakimi w Belgradzie posłów polskich odprawili, i teraz pokój ofiarowali, domagając się albo Belgradu, albo rocznego haraczu.

Przybył tymczasem posłaniec od Huniada z doniesieniem, że znowu dwa razy Turków pobito, że wielu do niewoli zabrano, wielu w ucieczce śmierć znalazło, a między niemi dwóch znaczniejszych dowódców; że kilka chorągwi i wiele innych rzeczy zabrano, że wreszcie obok zwycięstwa i bogate łupy naszym się dostały. Daleko tedy ostrzej odpowiedziano posłom, niż się spodziewali; w końcu dodał król, że się względem ich żądań

zniesie z Huniadem, i że podług tego, jak los jemu lub Turkom sprzyjać będzie, przysła niedługo przez swoich posłów odpowiedź na ich żądania.

Po śmierci królówéj, wszyscy węgierscy panowie do Władysława przeszli; nie było tedy już wewnątrz żadnego oporu: jedno tylko miasto Kassowia z okolicznemi miastami wytrwale przy swoim stało, ale i tam powinowactwo Iskry z biskupem agryjskim, nadzieję pokoju łatwą czyniło. Sam nawet cesarz, do którego część owa Węgier odpadła, nie będąc nigdzie niczego pewnym, przez wrodzoną miłość spokoju, zgodę nad wojnę przekładał.

Widząc tedy Julian kardynał, że teraz najstosowniejszy byłby czas do rozpoczęcia wojny z Turkami, zaczął i króla publicznie, i panów węgierskich prywatnie do niej podmawiać.

Przypomniał Władysławowi nadzieję, jaką w nim położyli wszyscy chrześcijańscy monarchowie, kiedy się dowiedzieli, że na tron węgierski wezwanym został: bo wielką w tém korzyść dla chrześcijańskiego imienia przewidywali. Wszystkich życzenia i uroczyste modły o jego pomyślność ku niebu poszły, i jeżeli uspokoił tak prędko całe królestwo węgierskie, niemniej to modłom wszystkich chrześcian, jak własnemu orężowi winien. Powinien tedy wszystkich starań dołożyć, aby tak ogromnego o sobie oczekiwania nie zawiódł. Wymaga po nim tego nietylko religia, którą wyznaje, ale i konieczność jego położenia, i opieka nad temi, którzy mu się jako wierni poddani powierzyli. Nie może nie przedsięwziąć téj wyprawy, jużto dlatego, że przysiągł na broń Węgier, już toż i dlatego, że bezpieczeństwo tego kraju ściśle z bezpieczeństwem Polski jest powiązane. Powinien nadto zemścić się za znieważające domaganie się haraczu, dowieść, że prawie żartem wojnę dotąd z nimi prowadzono, i okazać całą różnicę między wyprawą z jego polecenia odbywaną, a wyprawą, w której on sam już będzie dowodził. Porównawszy zaś to, czego dokazał Huniad ze szczupłą garstką żołnierza, z tém, co on sam, mając daleko silniejsze zastępy, dokonać potrafi: nie można na żaden sposób wątpić o zwycięztwie.

Do panów zaś węgierskich przemawiał, że Bóg sam natchnął ich myślą przyzwania na tron Władysława, i połączenia razem sił dwóch tak potężnych narodów; że tym sposobem nietylko władzę i granice państwa swego obronią, ale je nawet aż do Hellespontu

i egejskiego morza rozszerzą; że nie powinni opuszczać tak przy-
jawną okoliczności, której los i szczęście wyraźnie sprzyja, kiedy
właśnie usunął królową, aby tym sposobem koniec wewnętrznym
rozterkom położyć. Nie im wszakże nie brakuje do utrwalenia
szczęścia ogólnego, nietylko nateraz, ale i nazawsze, jedno do-
brzej chęci; niechże tedy nie krzyżują się sami z sobą, kiedy im
wszystko razem, rozum, los, szczęście, zwycięztwo zapewnia.

Do tych namów dołączyły się błagania natarczywe i ciche
łzy despoty, który nietylko króla, ale wszystkich z kolei prosił
i z płaczem błagał, aby nie opuszczali tak stosownej pory do
pomszczenia krzywd chrześcianom wyrządzonych, i mąk najbez-
karniej zadanych. Ze zgrozą wszystkich żałośliwie opowiadał,
jak mu wszystko Turcy zabrali, synom oczy wylupili, i wstydlī-
we członki oberzngli. Przypomniawszy potem królowi i pier-
wszym w radzie, jak niedawno temu silne państwo, dzieci, i obfi-
te dary fortuny posiadał, a teraz, niby żebrak jaki, liłością ob-
cych żyje: zaklinał wszystkich, aby i za niego samego, i za dzieci
jego, i za całe chrześcianstwo pomścili się. Dodał jeszcze, że
burza zbliża się już do granic węgierskich, i że lepiej jest bronić
od krzywdy obce krainy, niż czekać aż razem z niemi i własną ich
ziemię rozbiją niewierni.

Niewiele jednak miały znaczenia i sprawiedliwe wyrzekania
despoty, i mądre doradzania Juliana Cesarina. Dla tak ważnej
rzeczy zwołano do Budy wszystkich panów, a na zgromadzeniu
te same cośmy wyżej przytoczyli, mowy powtórzone, i wiele no-
wych dodano; a szczególnież Julian kardynał przyrzekał, że i inni
chrześcianscy monarchowie na pomoc Węgróm przyjdą. Posta-
nowiono tedy jednozgodnie, aby z początkiem zaraz wiosny, król
zebrawszy jak największe i wyćwiczone wojsko, do Bulgaryi wy-
ruszył. Zaczęto zaraz z cesarzem albo o pokój, albo o przymie-
rze się układać; wzywano go, aby albo sam osobiście, albo posil-
ki dla sprawy całego chrześcianstwa przysłał. Wysłano również
liczne w różne strony poselstwa, nietylko do sprzymierzonej już
Polski, ale i do Krzyżaków i do Wołochów, wszystkich na wypra-
wę przeciw Turkom wzywając.

Cesarz na dwuletni rozjem przysłał, ale na wyprawę, całemu
chrześcianstwu tak potrzebną i konieczną, ani sam nie przybędzie,
ani posilków nie przysła, dając za wymówkę zaburzony stan
Czech. Tak samo sobie i wielki mistrz począł. Przypomniaw-
szy, że długie wojny niezmiernie ziemię jego spustoszyły, żadnej

nadziei na jego posiłki nie zostawił. Z Polski i Wołoszczyzny przysłano posiłki w piechocie i konnicy z półrocznym żołdem. Za nimi szły tłumy uzbrojonych, które ani na chwilę nie wahały się opuścić dla takiej walki domy, małżonki, dzieci, ojczyznę, i wszystkie przyjemności i wygody; nie przez doradzanie czyjś, nie dla zysku i nagrody, ale przez czystą pobożność i chęć bronięcia i rozszerzania religii chrześcijańskiej. Rodzaj ten wojska, krzyżem naznaczony, na wieść o wyprawie religijnej, przybyszami ze wszystkich krajów niezmiernie urósł.

Po odprawieniu tedy modłów i suplikacyj uroczystych, oraz spowiedzi, która się ze wszelkimi ceremoniami kilka dni ciągnęła, około końca maja król z Budy wyruszył (1), przeprowił wojsko przez Dunaj i postępował ciągle małemi marszami, czekając na swoich, którzy jeszcze dotąd nie zbrali się. Przebywszy potem przez Fibiscum, znowu do Dunaju przytarł, i u Słonego Kamienia całe już wojsko przeprowiwszy, prosto szedł do Bulgaryi, na zdobycie Sofii, gdzie despota z wojskiem królewskim swoje wojsko połączył.

Miasto owe nie tylko z położenia swego niebardzo mocne było, ale je jeszcze niespodzianie nagle przybycie króla zaskoczyło, a tak w krótkim czasie bez wielkich wysiłen zajęte zostało. Ale ponieważ więcéjby kłopotów przyczyniało utrzymanie go w posiadaniu, niż samo zdobycie; zabrawszy znaczną w niem zdobycz, król dalej ruszać rozkazał. Zajawszy równie szczęśliwie i zdobycz wszędzie uniosłszy z wielu mniejszych miasteczek, do Morawy rzeki przybył, i tam obozem stanął w miejscu ani zupełnie wzgórzystym, ani zupełnie płaskim.

Wysłano ztąd zaraz pięćset jeźdźców, jużto po zdobycz, jużto na prześpiegi, aby wojsko bezpieczniej dalej postępować mogło. Ze wschodem słońca wyruszywszy, napadli około południa na garstkę Turków, także na zwiady wysłaną: czterech z niej ludzi złapali, i dowiedzieli się od nich, że około dwóch tysięcy nieprzyjaciół lasem przybliży się. Nierówne mając do walki siły, i do tego zadaleko od rzeki zasadiwszy się, uciekli nasi, a wnet téż i Turcy z tyłu się pokazali, i jeszcze bardziej strach i chęć do ucieczki w nich powiększyli. Między uciekającemi i rzeką leżała wynioślejsza ziemia, a z wierzchołka jój daleko rozlegał się widok na zamorawskie krainy; nie widać jednak koryta rzeki obok płynącej.

(1) Wapowski tłum. Mallu. powiada, że król wyruszył 22 lipca 1443,

nację, gdy wzrok na dolinę, przez rozpościerającą się równinę jak najdalej na przeciwległe pagórki sięga.

Gdy tedy uciekający królewscy pagórek już przebyli, i dla niezmiernej wysokości i spadzistości brzegów, na drugą stronę do swoich dostać się na żaden sposób nie mogli: część z nich na koniach rzuciła się w rzekę, a część na brzegu pozostała, odważna na wszystko; bo i nadziei obronienia się lub ucieczki nie miała, i pewną śmierć przed sobą, od przemagającego liczbą nieprzyjaciela. Na szczęście król na polowanie z wielu uzbrojonymi na tę stronę rzeki się przepawił, i wnet przybliżającym się na przeciwległy pagórek Turkom wpadł w oczy. Wnet przyszło im na myśl, że to utajona zasadzka, bo daleko więcej i innego żołnierza ujrzeli, niż których z tyłu ścigali; dlatego też nagle w biegu się zatrzymali. Kiedy król nieprzyjaciół dostrzegł, wnet od polowania do walki rzeczywistej odciągnięty, z niesłychaną bystrością ze swojemi ku rzece poskoczył. Ci zaś, co dotąd między nieprzyjacielem i nieprzebytym jak mniemali brzegiem, opuszczeni i zrozpaczeni, nieochybniej wyglądali śmierci: kiedy ujrzeli swoich, którzy im jakby z nieba na pomoc przybywali, ducha nabrawszy, z ogromnym krzykiem, dla zmazania wstydu z ucieczki, napowrót co sił na górę się darli. Tymczasem i król ze swojemi nad brzegiem stanął, i nie wybierając wcale dogodniejszego do przepawy miejsca, z urwistego i przepaścistego brzegu w rzekę wskoczył, a za nim wszyscy tak szybko na oślep się rzucili, że wielu z nich wpadłszy w wir, gwałtownością wody uniesieni zostali; wielu znowu przy swém szamotaniu z koni spadłszy, ciężkością uzbrojenia do dna pociągnięni, w jednej chwili w oczach wszystkich potonęli. Turcy jednak nie czekali chrześcian i bez walki tył podali.

Król potem o dwa dni drogi za rzekę się posunął, wysławszy po drugi raz na zwiady o liczbie i zamiarach nieprzyjaciela. Wnet też doniesiono mu, że Turek z ogromnemi siłami niedaleko stąd zasadzkę uczynił, i czeka tylko przyjaznej do napadu chwili. Dowiedziawszy się o tém Władysław, wybrał co najdzielniejszych 10,000, i posłał z niemi Huniada, aby nocą, niczego nieobawiających się nieprzyjaciół, zeszedł i poraził.

Szedł tedy za przewodnikami od południa aż do wieczora, i gdy już niedaleko był Turków, przy świetle księżyca zajął swojemi szeregami wszystkie miejsca, przez któreby nieprzyjaciel mógł mu ujsć z ręki; i nagle ogromny krzyk wydawszy, na uspiionych i o żadnej walce niemarzących nawet, napadł. Pierwszym też

napadem takiego strachu tłumom napędził, że każdy nie o broni już, a o ucieczce tylko myślał. Ale gdy wszystkie miejsca do ucieczki przecięte zostały, jak to zwykle w takich razach się dzieje, straciwszy zmysły, zaledwie władać końmi i bronią zdołali; z drugiej strony Huniad zachęcał swoich, aby jak najdzielniej na bezbronno jeszcze i z pierwszego snu przestraczem zbudzonego nieprzyjaciela uderzyli, i zwyciężyli.

Tak więc zaraz z początku samego przerażeni Turcy nie tęgo się bronili, i byłato raczój bójka na oślepi i zamęt, a nie porządna walka. Kiedy zaś dowiedzieli się jeszcze, że sam Huniad jest obecny, ów mąż, którego imię częste zwycięstwa nietylko sławnym, ale i straszny dla Turków uczyniły, i że wszędzie swoi od zasadzonych nieprzyjaciół pobici zostali; że ci, co dotąd zdrowo uciekli z rannymi, napół umarli z umierającymi pomieszani, przedstawiają straszliwy obraz ginących, podług mniejszej lub większej bojaźni: przez niedostępne miejsca cierniami i krzakami zarosłe ujść usiłowali, ale nieprzyjaciel tuż za nimi bardzo łatwo gonił.

Straszną tedy w uciekających uczyniono rzeź; daleko większą, niżby się można było po liczbie zwycięzców spodziewać. Powiadają bowiem, że do 30,000 Turków zabito, a 4,000 do niewoli zabrano i dziewięć chorągwi zdobyto. Takto ów nagły napad chrześcian, na przywykłych oddawna do porażek, najzupełniej pomieszał Turkom zmysły; tak, że ani na wielką ilość swoich, ani na szczupłość sił nacierających, uwagi nie zwracali. Wiele także obozów wpadło w ręce zwycięzców, które spalono, wyniosłszy z nich bogatą zdobycz. Huniad pochwaliwszy niezwykłe czyny swoich żołnierzy, z wielką radością wrócił do króla, gdzie go z niezmierną chwałą przyjęto.

Był pomiędzy jeńcami jakiś muzułmański ksiądz, z nauki i religijności pomiędzy swojemi sławny. Owoż Grzegorz z Sannoka, jako ciekawy badacz obyczajów i obrzędów cudzoziemskich, zarzucił mu, że wszystko co w historii kościelnej Muzułmanów się znajduje, jest albo bezbożne, albo szpetne; Turczyn zaś ani losu swojego obecnego, ani wyznania nie zapomniawszy, odpowiedział, że nie wypada mu, jako zwyciężonemu, o błędach jego religii rozprawiać. Gdy zaś Grzegorz nalegał na niego, żeby albo przyznał, albo obronił uczynione religii jego zarzuty, co nawet jako ksiądz tém bardziej uczynić powinien, odpowiedział: że i Turcy są ludźmi, że też same zasady, co i inni śmiertelni, wyznają, że wierzą w ciało i duszę, i że, jeżeli się w tém wszyst-

kiem, co zmysłami pojąć i osądzić się da, z całym rodzajem ludzkim się zgadzają: to i w tém także, co przekonanie i pojętność wyrabia, bez widocznych przyczyn wcale się nie różnią.

Po takim zwycięstwie, wiele bulgarskich miast już z nienawiści ku Muzułmanom, już z przychylności do wiary chrześcijańskiej i do Polaków, jako jedнопlemiennego i jednojęzykowego z sobą narodu, wyparty z załogi tureckie, do króla przeszły. Inne znowu, przy tak ogromném przerażeniu siłą zdobyte zostały: już to przez królewskie wojsko, już téż przez ochotników krzyżowców, którzy pod dowództwem Juliana, bardzo wiele głośnych dokonali czynów.

Tak tedy zwycięzcy wnet do granic Tracyi dotarli, nie bez wielkich korzyści, ale téż i nie bez strat. Od rzeki Tyabru, oddzielającej kiedyś Mizyjczyków od Trybullów, Bułgarya z tyłu góry Hemus na wschód i zachód się rozciąga, od południa Tracyi dotyka, a na północ ku Dunajowi się wyciągając, zajmuje część Niższej Mizyi. Owoz środkowe owego kraju okolice same nieprzystępne urwiska i przepaściste skały zajmują, niższe zaś części, chociaż już dużo w równinę się zmieniają, głębokimi lasami pokryte, są puste i nieurodzajne. Ziemia téż najzupełniej niepłodna, a nawet do hodowania była niebardzo przydatna; dlatego téż, obok innych przykrości, któremi drogi już przy nadchodzącej zimie, trudnemi się stawały; obok tego, że i nieznośne zimno i znużenie, wiele ludzi i zwierząt wygubiło; dawał się jeszcze czuć dotkliwy niedostatek żywności. A chociaż pieniędzy było dosyć, ale nie było gdzie kupić zboża, a tak do głodu rozpacz się przyłączyła.

Wojsko znękanе tylu przeciwnościami, byłoby się z pewnością rozeszło, ale je zatrzymały perswazye Huniada; a twierdzenia jego, jako znajomego dobrze z miejscowością i biegiem rzeczy, z wielką nadzieją przyjęte zostały.

„Ile tylko już zimna, głodu, unużenia, rozpaczy wycierpieliście, mówił, tyle znowu, gdybyście się cośać chcieli, wycierpicie. Że tyle ludzi i zaprzęgów wyginęło, nietyle pusta i nieurodzajna kraina, ile wojenne starcia temu są winny; a zresztą daleko więcej pustyni i trudności za wami, niż przed wami, pozostało. Jeżeli pójdziecie dalej, chociaż przez daleko wyższe pasmo gór, niż te góry trackie przechodzić będziecie musieli, ale za to w dwóch dniach staniecie na granicy szczęśliwszego kraju, gdzie nietylko przyjemność położenia, ale i obfitość wszystkich rzeczy do por-

dzwignienia sił waszych znajdziecie. Tyle tylko pracy mieć będziecie, że albo sami zdobywać, albo zdobywszy bronić będziecie musieli. Nie będzie to wojna, a spustoszenie. Pamiętajcie tylko z jaką ochotą i szybkością wszystkie dotąd niedostępne i bezdrożne miejsca przebywaliście, chociaż sama natura na zawndzie wam stała. Ale to wszystko na nicby się nieprzydało, gdybyście ze zwycięstwa waszego korzystać nie chcieli; bo chociaż znakomicie pobity został nieprzyjaciel, ale łatwo postawi się na nogach rozjątrzony bardziej, niż zwyciężony: zajmie znowu opuszczoną przez nas ziemię, miasta, i znowu będziecie przymuszeni odpierać wojnę od własnych granic, ognisk i bogów domowych, kiedy ją teraz na obcej ziemi ukończyć możecie. Niepewnym jest i to jeszcze, czy z równym szczęściem będziecie na nowo walczyć; lepiej więc nie opuszczać nieroztropnie obecnej chwili, kiedy Bóg i los wyraźnie wam sprzyja. I nietylko byście wstydem się okryli, żeście nie chcieli z tak szczęśliwych okoliczności korzystać, ale byście samego Boga na siebie rozgniewali."

Tak i tym podobnie często na radach i do żołnierzy przemawiał Huniad, i razem z despotą, którego cała nadzieja odzyskania swych posiadłości na obecnej wojnie polegała, podtrzymywali upadające umysły nietylko żołnierzy, ale i dowódców.

Dopóki tedy oni mówili, dotąd każdy na wszystko był gotów; ale jak tylko głód i inne przykrości dokuczać zaczęły, wpadli wszyscy na nowo w dawne zwątpienie i rozpacz. Byłyby w końcu, jak się to często trafia, dolegliwości ludzkie zwyciężyły obawę wstydu, gdyby ich była wieść o zbliżającym się nieprzyjaciela nie zatrzymała; a zostali więcej przez bojaźń, aby ich rozproszonych, rozdzielonych, nieświadomych do tego położenia, nieprzyjaciel nie wymordował, niż w nadziei zwyciężenia przy tylu naciskających nieszczęściach. Zresztą miliej było razem, cokolwiek wypadnie, i walczyć i zginąć. Gdy tedy dowiedzieli się, że nieprzyjaciel wnet przybędzie, rozradowali się wszyscy i szczerze Bogu składali dzięki, że im podał sposobność do walki i do zgonu: bo nie samej śmierci wprzódy, ale rodzaju śmierci obawiali się: bo nie chcieli jakby liche jakie zwierzęta, głodem na pustyni poginać. Z takim zapalem w całym obozie wszyscy broń gotowali, że łatwo można było przewidzieć, iż gdy nieprzyjaciel przyjdzie, bez porządku, bez rozkazu na niego uderzą.

Tymczasem Huniad, z niewielkim oddziałem na górze będący, doniósł, że Turcy na szczytach gór zasiedli, jak gdyby w bo-

jowym szyku walczyć nie mieli, ale tylko królowi przejście zagrozić. Obóz bowiem tam założyli, kamieni i drzewa naznosili, i tym sposobem, jak naprędce mogli, przystęp do siebie zaparli. Nie omylił go domysł, bo Amurat, kiedy się o klęsce ostatniej dowiedział, obawiając się, co się właśnie stało, aby wojna do Tracyi lub do Macedonii nie przeniosła się, wysłał zaraz silny oddział, aby przejście naszym w górach przeciąć. Ściągnął on swe wojska z Azyi i połączył je z temi, co od ostatniej klęski ocalały; i poleciwszy im, aby się na żadne stanowcze bitwy nie puszczali, rozkazał zająć wąwozy w górach, i tak ciągle trzymać na oku Władysława: bo wiedział, że i bez tego nasi nietylko od zimna i głodu, ale i od innych jeszcze nieszczęść wiele ucierpią.

Dowódcą owój wyprawy był Karambus (1) basza suygijski, mąż i ręki i umysłu prędkiego. Widział on ze szczytu gór, jak królewscy ruszać się poczynali, i w wielu miejscach bez rozkazu dowódców, tłumnie i nieroztropnie do walki się darli, i gwałtowniej niż wypadało, po pochyłościach do góry się pięli. Owóz czy zniecierpliwiony tём, że się go nasi nie bali, czy myślał, mając większe wojsko, że zwycięztwo tak pewne, jakby je miał już w rękę; przeciw wydanym rozkazom stoczyć bitwę postanowił, w nadziei, że chwała ze zwycięztwa, winę z przestąpienia rozkazu pokryje.

Zwinąwszy tedy obóz, chorągwie na nieprzyjaciół wysunął. Gdy tedy Władysław spostrzegł, zawoławszy do siebie Huniada i despotę, przemówił do żołnierzy, którzy więcej nadzieją prędkiej a uczciwej śmierci, niż zwycięztwa pędzeni, tłumnie na góry biegli.

„Bóg sam — mówił — sprzyja nam i pomaga. Onto nieprzyjaciółom naszym natchnął myśl, że opuszczają górne szczeliny, gdzie tak bezpiecznie siedzieli, i z kąd mogli byli napaść oczy swoje zgubą naszą: bo nas i głód, i zimno, i wszelkie złe nęka. Lecą teraz zaślepieni na nas, a nie widzą, że my tu wszyscy stajemy do walki z tём przekonaniem, żeby jój nie przeżyć. Włot chwytajmy taką porę, bo możemy wszyscy chwalebnie zginąć, a jeszcze pewniej zwyciężyć: bo nic tak do zwycięztwa nie pomaga, jak odwaga i niepamięć na śmierć. Im kto z większą rozpaczą uderza na nieprzyjaciela, tём pewniej go odpiera i zabija; a tak śmierci szukając, zwycięztwo znajduje.”

(1) Karambej. Kallimach przekręcił nazwisko tureckie, bo prawdziwe było: Kasim-bej.

Ani chwili nie zwłócząc z despotą i Julianem wyruszył, a resztę odesłał do oddziału Huniada, który rozpierzchtych nieroztropnie zbierał, i wszystko układał o ile mu nagłość sprawy, niecierpliwość, i wściekłość spieszących na tę stanowczą wyprawę, pozwalały, aby zaciekłość owa szalona nie stała się więcej naszym, niż nieprzyjaciółom szkodliwą. Postępując więc spieszenie za bezładnym tłumem, napominał każdego i wszystkich, aby biegnąc na góry uszykowali się, żeby się na oczywistą zgubę, jakby na rzeź, nie wystawiali; bo nie w ich śmierci, a w klęsce nieprzyjaciół spoczywa koniec cierpienia i dolegliwości. A chociażby i nadziei zwycięstwa nie było, to niech każdy mężnie walczy dlatego, żeby się śmierci własnej pomścić; ale zawsze nie jak bezrozumne bydłota, ale jako dzielni mężowie, w szyku i porządku bojowym: idzie tu bowiem jeszcze i o przyszłą chwałę, aby krwawego zwycięstwa nad sobą nieprzyjacielowi nie dozwolić. Mówiąc to, o ile przypadek i zamieszanie pozwalały, każdego do szyku ustawiał, łagodnie w tył cofał, na równinie gromadził, zkąd łatwiej na wyniosłości piąć się można było. Król tymczasem z resztą wojska nadbiegł, a i Turcy szybko z gór zstępując, tak już byli blisko, że pociskami zdaleka bitwę rozpoczęli. Błahe mi strzałami wielu przed bitwą jeszcze ranili, im gęściej stali królewscy, i im kto zapalczywiej na spotkanie nieprzyjaciela się wydierał. Lecz kiedy do bliższego boju przyszło i mieczem działać zaczęto: wtedy Polacy przed wszystkimi innymi rozpaczą i gniewem miotani, z zaślepieniem prawie rzucili się na nieprzyjaciół i rozbili tak natarczywym napadem, że się w żadnym miejscu utrzymać nie mogli, i szyki ich połamane mieszać się poczęły. W tak krytycznej chwili nadbiegł Karambus, i wielu ze swoich: jednych mieczem i ranami, drugich głosem i groźbami, wstrzymawszy, wyrzucał im na oczy, że przez podłe tchórzostwo zwyciężyć się pozwalają znękanym zimnem i znużeniem. Przywrócił tedy w szeregach porządek, i bitwę na nowo rozpoczął. Wszędzie, gdzie silniej potyczka wrzała przytomny, wołał, że oślepiiony rozpaczą nieprzyjaciół sam na zgubę idzie, i że tylko naciągnąć luki potrzeba, a wszyscy poginą; słowem, wszystkimi sposobami dzielnego żołnierza i dowódcy, wypadek niebezpiecznej dla siebie bitwy przeciągał.

Wielu tymczasem z obu stron albo padało odrazu, albo tak ciężko byli ranni, że upadłszy na ziemię, nie mieli już siły do po-

wstania: roztratowani kopytami końskimi, tém nędzniej ginęli. Ale najokropniejsze dla oczu były rany, koniom przez polskich krzyżowników zadane. Byłito prawie sami piechotni żołnierze, ale nosili lance; tém się tylko od myśliwych różnili, że nietylko żgać, ale i rąbać równie zręcznie i dokuczliwie potrafili. Owóz oni to między jazdą turecką uwijając się w miejscach różnemi zarosłami pokrytych, nietylko brzuchy koniom nożami rozrzynali, ale i nogi od ciała odcinali, kadłuby głębokimi ranami razili, i tym sposobem większą część Turków do pieszej walki zmusili. Nie umieli oni potykać się pieszo, i o ile doskonale bili się na koniach, o tyle nie pieszo podolać nie mogli, i widocznie ustępować poczeli. Koń wreszcie, na którym siedział Karambus, w brzuch lancą ugodzony, boleścią uniesiony, wpadł obces z jeźdźcem między naszych, i wnet rozeszła się między Turkami pogłoska, że wódz ich albo zginął, albo do niewoli się dostał. Wtedy tłumnie zwróciwszy się, w góry uciekać poczeli, chcąc się tam uchronić. Pognali za nimi chrześciance i tak ich zapalczywie ścigali, jakby chcieli aż na najwyższe szczyty, przez przykre i bezdrożne miejsca się dostać. Lecz ponieważ daleko więcej trudności przedstawiała sama miejscowość niż nieprzyjaciel, i dzień już się miał ku schyłkowi, a w nocy na równych nawet miejscach, łatwo było zabłądzić: król rozkazał swoim wstrzymać się od ścigania nieprzyjaciela w niedostępnych miejscach, i dał znak do odwrotu. Z przeciwnych wojsk ci co od rzezi ocaleli, bojaźnią i pośpiechem pędzeni, przez skały, przepaści i urwiska, rzuciwszy broń, chwytając się rękami wyrostłych gdzieniegdzie krzaków, schronili się do tych, którzy uzbrojonego obozu na wierzchołkach gór strzegli. W czasie samój bitwy Karambus i inni znakomici mężowie rodem i godnościami do niewoli zabrani, a wielu w ucieczce zginęło (1).

Utraciwszy wodza i wszystką prawie odwagę, pewnym było, że Turcy żadnego już nie wytrzymają napadu, jeżeli silne zastępy tuż za nimi pójdą; dlatego téż zaraz nazajutrz król obozem stanął przy wejściu do gór, które Turcy zajmowali. Dodawała odwagi naszym dopiero co szczęśliwie stoczona walka, a niemniej żywa chęć przebycia gór, dostania się do lepszych okolic, gdzieby wszystkie kłeski, tak długo ich trapiące, usunąć mogli. Ztąd między zwycięstwem i nędzą nie mając wyboru, rzucili się na po-

(1) Bitwa ta stoczona była przed samém Bożém Narodzeniem, 24 grudnia 1443 r.

ohyłości gór; ale ich ze szczytów strzałami potężnie raził nieprzyjaciel. Ujrzawszy tedy król jakie trudności są miejscowe, i że z wielką stratą swoich, a bez żadnej szkody nieprzyjaciół, kusić się nawet o przebycie gór niepodobna, nieroztropnie wyprowadzone szeregi do obozu cofnął. Wnet potem, myśląc, że dosyć już było tegorocznej wyprawy, że zrobił niemało; postanowił przed srogością zimy i przykrością miejscowości ustąpić.

Upierał się mimo to Huniad przy swém zdaniu, aby wszystkiego wprzód wypróbować, nim się odwrót uczyni. Dostrzegł on, że pochyłości gór nie są urwiste, do wejścia na niebardzo przystępne; a sądząc, że tamtędy może się dostać aż na sam wierzchołek, poprowadził swoich tą drogą. Sterczał z tej strony pionowy i przepaścisty szczyt, który przed Turkami naszych, wdzierających się na góry, zasłaniał, i dlatego nietylko łatwo, ale i bezpiecznie szli do góry. Gdy to król ujrzał, zmieniwszy myśl, z resztą wojska za Huniadem wyruszył. Pierwsze szeregi przebyły już sam szczyt, właśnie tam, gdzie się Turcy usadowili, aż tu ogromna skała i przepaść przejście dalej zupełnie przecięły. Nadbiegł zaraz Huniad, i sam ujrzał że przepaść ta była tak wielką, że ani niczem tak prędko zapełnić się nie da, ani też mostu przez nią zarzucić nie można. Nie będąc dalej jak o dwa staje od nieprzyjaciela, posłał dzielnych i doświadczonych, żołnierzy, aby prostą drogą przejście przez góry zajęli, jeżeliby się udało ruszyć Turków z miejsca. Sam zaś jak najspieszniej wy kierował na nich maszyny, i niezwykłej wielkości kamienie do nich wyrzucał. Szum, jaki one sprawiały, strachem, nieprzyzwyczajone uszy przerażał, a do tego sama siła rzutu i tak wielkich kamieni, wielu przygniotła, i mało brakowało, że Turcy nie uciekli przerażeni nową i dziwną zasadzką: bo jeden kamień na nich spadły zabijał wielu odrazu, i to różnego rodzaju ranami, a nie mogli się od tych pocisków uchronić, tylko ucieczką. Lecz Ali-bey, po wzięciu do niewoli Karambeja, wodzem przez swoich okrzykniony, nauczył ich zaraz, że bardzo łatwo ochronić się mogą, jeżeli jak tylko świst usłyszą, natychmiast do ścian skalistych się przycisną; i tym sposobem nietylko od ucieczki wstrzymał, ale i do oporu zachęcił. Gdy tedy raz i drugi wyrzucone na siebie machinami urwiska skał, nie im nie szkodziły, zaczęli nawzajem nacierać i szarpać królewskich, chcących koniecznie przejście opanować.

Władysław też znowu widząc, że nieprzyjaciel dobrze osłonięty, próżnemi czynił wszelkie wysilenia jego wojska, aby mogli

zdobyć sobie przejście; gdy nietylko ostrość zimy odbierała zupełnie nadzieję przejścia przez góry, ale i głód do wytrzymania prawie niepodobny czuć się już dawał: zaczął znów o odwrócie przemyślać. Despota Rascyi przeciwnie, wiedząc że od tej wojny odzyskanie krajów i godności jego zależało, wszystko raczej znieść gotowy niż na odwrót dozwolić, twierdził, że hańbą byłoby cofać się teraz, kiedy i dowódzca Turków w niewoli i wojsko ich rozbite, a resztki same przerażone, jak dzikie zwierzęta po jamach i norach się ukrywają. Że i oni cierpią takiz sam niedostatek jak i królewscy, i też samą ostrość pory znosić muszą; i że wnet ulegną przed rozmaitemi przykremi potrzebami, jeżeli choć trochę nasi wytrwają: bo ciała ich rozpuszczone azyatyckim zbytkiem, nie są tak wytrwale na wielkie przykrości, jak ciała Niemców i Węgrów, od młodości zaraz do przykrych zmian nieba i ziemi przywykłe. Że da pieniędzy ile będzie potrzeba do zakupienia zboża, którego wszędzie w okolicy wielka jest obfitość.

Julian kardynał także różne podobne tamtym powody przytaczając, odciągnąć króla od przedsiębranego odwrotu usiłował. Tymczasem ludziom i zaprzęgowi coraz mocniej i dotkliwiej głód i zimno dokuczać poczęły, do takiego stopnia, że już i wątpliwa nawet nadzieja przejścia przez góry straciła swój urok: to też w końcu dolegliwe potrzeby, zwyciężyły w rozpaczonych umysłach wzgląd na zacność sprawy. Zwinąwszy tedy w tył szeregi, na równinę zeszedli; tutaj zaraz zebrawszy i naprzód wysławszy wozy, drogą, którą przyszli, odwrót uczynili.

Gdy tedy Turcy ujrzeli, że nasi o zwycięztwie rozpaczyli, rozradowani i nową nadzieją zagrzani, z wierzchołków gór zbiegli, i silnemi napadami z tyłu cofających się szarpać poczęli, i chociaż niewielkie, ale częste korzyści odnosili, sami często porażeni. Wysyłano przeciwko nim najdzielniejszych żołnierzy, a ci wielu Turków ubijali, i na chwilę napad ich wstrzymywali. Często jednak próżne były ich usiłowania, bo Turek zaraz w rozsypkę idzie, i wnet znowu zbiera się, i znowu napada, a nasze wojsko dla wielu wozów i wielkiej zdobyczy, dosyć prędko ustępować nie mogło.

Był im na drodze gęsty las, a miał on nietylko dużych i wysokich, ile raczej rosochatych i karłowatych drzew i krzaków. Oprócz tego otoczony załamaniem wijącemi się, przepaścistemi i bagnistemi, jak to zwykle się dzieje w miejscach, któredy dawniej rzeki płynęły, skoro albo praca ludzka, albo siła natury koryto odmieniła. Dlatego

cały był bezdrożny, a jedyna drożyna, którą można było przejść, była bardzo wązka, i częstemi przekładana mostkami. Gdy tedy do tego lasu się zbliżyli, wystali naprzód z bagażami lekko uzbrojonych, a z tyłu umieścili pancernych, aby, jakby mur jaki, ustępujących zastaniali, i w tym porządku ową wązką drożyną postępowali. Turcy przyzwyczajeni do ciągłych napadów, gdy już większa część jazdy w las się zapuściła, rzucili się na ostatnich, a ci krzykiem wnet swoich ku sobie zwrócili. Im kto żywiej, a zatem i nieroztropniej biegł swoim na pomoc, wnet z drogi zbaczal i wpadał na trzęsawiska i błota, z kąd po wielkich trudach, zsiadłszy z konia, siebie i konia zaledwie wydobyć zdołał; gliniasta bowiem ziemia tam była, i łatwo w niej zabnąć, ale trudno wydobyć się było. Tymczasem Turcy zabrali do niewoli około 80 naszych; ale gdy królewscy z błota się wydostali, dopędziwszy uciekających odbili swoich, i jeszcze około sześćdziesięciu do stu w niewolę zabranych natychmiast życia pozbawili: resztki rozbite uciekły. Daleko trudniej szła przeprawa dla złych dróg, niż w otwartém polu walka z nieprzyjacielem. Głód codzieln mocniej naciskał, Turcy nużyli częstemi utarczkami: to téż obok innych dolegliwości, ubytek sił żywotnych prawie w całym wojsku jawnie się pokazał; dlatego wszystkie bagaże mniej potrzebne a próżnym tylko ciężarem dla wojska będące, zebrano i spalono, zaprzęgi zmizerowane lub zbyteczne pozabijano, a broń albo z zabitych żołnierzy, albo zdobyczą zabraną, zakopano. Co dokonawszy, wojsko jakby zmartwychwstałe, nowych zupełnie sił nabrało, i większemi już marszami, tak, że Turcy napadać na nie nie mogli, do Belgradu przybyło. Tutaj kilka dni wypocząwszy, wyruszył król dalej, zmierzając do Budy. Gdy się w mieście o jego przybyciu dowiedziano, wyszło przeciwko niemu w pontyfikalnym ubraniu duchowieństwo, ogromne wszelkiego stanu tłummy, i z okrzykami radości wracających witały. Sam król, jak ślubił, szedł pieszo prosto do kościoła katedralnego; przed nim postępowali znakomitsi niewolnicy z Karambejem, potem niesiono chorągwie na nieprzyjaciela zdobyte i część zdobyczy, która pozostała. Za temi szło wojsko: naprzód polscy krzyżownicy, energicznie, jak żołnierze, pod niebiosa wynosząc chwałę imienia Władysława, że on jeden tylko był, co dzielność i męstwo prawdziwie królewskie miał i okazywał; obrzucali innych srogim zarzutem, że licho i niedołężnie w domu pozostawszy, odbiegli od sprawy całego chrześcijaństwa, które dopięro co głowę podniosłszy, wnet do dawniej smutności powróci.

Obok zasług Władysława, niemniej wysławiano imię Huniada, bo jego gieniuszowi i przezornój waleczności, świeże zwycięztwo przy-

pisywano. Zresztą, widok owego powrotu byłby daleko okazalszym, gdyby była konieczność wyprawienia gdzieindziej wojsk temu nie przeszkodziła, i gdyby byli większej części łupów nie spalili lub nie zakopali. Gdy tedy uroczyste dzięki za tę pomyślność Bogu złożono, zawieszono chorągwie u sufitu, i wymieniwszy wszystkie czyny każdego w szczególności dowódcy, szczerze ich za nie wynagrodzono. Żeby zaś sława ich i zasługa aż do potomności przeszła, najstaranniej herby ich i nazwiska w najwidoczniejszym miejscu kościoła wymalowano (1).

(1) Oto są nazwiska Polaków wypisane na ścianach kościoła Panny Maryi w Budzle: 1. Piotr ze Szczekocin podkanclerzy koronny, h. Odrowąż. 2. Piotr z Szamotuł, h. Nałęcz; 3. Paweł Wojnicki z Sienna, h. Dębno; 4. Jan z Tarnowa, h. Leliwa; 5. Mikołaj Chrzastowski, h. Kościelesza; 6. Mikołaj z Zakrzewa, h. Róża; 7. Nioko z Bain, h. Topor; 8. Michał Lasocki, h. Dołęga; 9. Stanisław z Pleszowa, h. Sullwa; 10. Zbigniew Rosperski, h. Piłmieńczyk; 11. Jan Ligęza z Bóbrka, h. Półkozic; 12. Piotr Kamieniecki, h. Piława. Długosz dodaje jeszcze jeszcze trzynastego Tomasza Wawrzynowskiego, h. Pomian.

Koniec księgi Iszėj.

PODHALE I PÓLNOČNA POCHYŁOŚĆ TATRÓW

CZYLI

TATRY POLSKIE (*).

PRZEZ

Ludwika Tejsznera.

(ciąg dalszy).

Wydojne mléko zlewa bacia do potężnego kotła miedzianego, wi-
 szącego na haku w środku szalasu, pod którym pali się nieustanny
 ogień; skoro się zagotuje, dodaje podpuszczki z żołądka cielęcego,
 i wtedy mléko się ścina, a sér oddziela od serwatki czyli żetycy. Po
 wystudzeniu bacia muszkularnemi rękoma zbiera pływający sér, robi
 z niego wielką kulę i kładzie do worka, by odciekla reszta serwatki.
 Z tak słodkiego séra wyrabiają w formach drewnianych oszczepki,
 małe baryłkowate sérki. Niekiedy bardzo ozdobne, przeznaczone są
 na podarki dla wielmożnego, (tak nazywają dziedzica), lub dla dobro-
 dzieja czyli plebana. Nietylko serki wygniatają w bardzo pięknych
 formach, ale nadto plecionki, siatki, i zdobią niemi sam oszczepek;
 nieraz taki sérek podobny jest do kutasa u bogatj uprząży konia tu-
 reckiego. Bryndzę robią z tegoż samego séra; poprzednio musi wszakże
 odbyć pewien rodzaj fermentacyi. Kule séra solonego kładą jednę
 obok drugiej na długiéj desce, umieszczonej w komorze przy szalasié;
 gdy dwa do trzech tygodni poleżą i sfermentują, rozcierają je, i wte-
 dy bryndza jest do jada zdadną. Zdawałoby się, że bujna roślin-

(*) Zob. Bibl. Warszaw. r. 1849. T. I, str. 57 i 535. T. III, str. 411.
 T. IV, str. 1.

ność, kwiecista wiosna powinny wydać najlepszą bryndzę; tymczasem wprost jest przeciwnie: wiosenna nierównie jest gorszą od jesienną. Najlepsza bryndza pochodzi z mléka dojonego w miesiącach sierpniu i wrześniu, gdy go owce niewiele wydają; wtedy wyrobiona bryndza szczególnie jest tłustą i w smaku niezwyczajnie przyjemną. Niemaló wpływa rodzaj paszy na bryndzę; nierównie jest lepszą, gdy się owce żywią na wysokich holach okrytych wonnemi, im właściwemi roślinami, aniżeli na niższych górach.

Jedynym prawie pokarmem juhasów, przez 3 do 5 miesięcy, jest od séra oddzielona żętyca, w której pływają płatki séra. Ten napózór biędny pokarm, nadzwyczajnie jest pożywny; po 3 lub 4 tygodniach juhasy widocznie tyją, i przedstawiają obraz najwyższego stopnia zdrowia.

Żętyca jest skuteczném lekarstwem przeciw różnym słabościom, a mianowicie przeciw piersiowym i wynikającym z ogólnego osłabienia organizmu. Im z wyższych gór pochodzi, tém jest skuteczniejszą; nie masz wątpliwości, że na to głównie wpływają alpejskie rośliny, odmienne od rosnących po niskich górach lub równinach. Mało wszakże osób używa serwatki owczej, albowiem pod Tatrami niewiele jest miejsc, gdzieby można wygodnie mieszkać, i być zaopatrzonym w potrzeby konieczne do życia wygodniejszego.

Zwyczajem jest od niepamiętnych czasów w Tatrach zaprowadzonym, że bacia biorący dójki (owce dojne), oddaje oznaczoną ilość séra ich właścicielom. Oznaczenie to odbywa się następującym sposobem. Trzeciego dnia po wyjściu owiec na letnie pasze, przybývają do hol gazdowie na mir, czyli na wyznaczenie ilości séra, jaką mają tygodniowo otrzymać ze swych owiec. Z długoletniego doświadczenia wiadomo, że wydój w holach trzeciego dnia uczyniony jest miarą mlékodajności owiec. Wydojone mléko zlewają do skopca i mierzą je laską drewnianą, mającą podziały odpowiadające funtom séra, które ma oddawać bacia. Po dokonanym mirze odchodzą gazdowie do domów, zostawiając jemu zupełne staranie o owcach, i co kilka tygodni odbierają sér ze szafasów.

Bacia jest w całym znaczeniu tego wyrazu rzędcą powierzonych mu owiec; rozdziela je na dojki i skopy, każde stado umieszcza w właściwym koszarze czyli czworograniastém ogrodzeniu, w którym owce wracające z paszy stoją przez noc, wyznacza juhasów czyli pasterzy do pilnowania owiec po holach w letnich miesiącach, i wysła *kierdel* czyli stado owiec do miejsc oznaczonych. Skopy wychodzą na cały dzień i zwiedzają najwyższe turnie; na bliższych górach pasą

się dojki, pospolicie wracające na południe do szałas, gdzie je powtórnie doją; po południu znów wychodzą na paszę, a trzeci dój odbywa się wieczorem. Baca strzeże również owce, jak powierzono mu sery. Owce stojąc przez całą noc pod gołym niebem, wystawione na wszelkie zmiany powietrza, często wśród nader ostrego klimatu, są wcale zdrowe; ale gdy śniegi na holach spadną, wtedy tracą nagle mleko i głód im zagraża: natenczas pasterze opuszczają z owcami wysokości, schodzą do stóp Tatrów, a nawet gdy deszcze nie ustają, wracają do domów, i napowrót zabierają się do górnych siedzib, gdy się niebo wypogodzi.

Życie pasterskie niepospolicity ma powab dla mieszkańców podhola; młode chłopcy mają sobie za pewien rodzaj zaszczytu, paść owce po stromych holach i być juhase. I w samej rzeczy, jest to zatrudnienie ze wszech miar pojętne. Kiedy wspaniałe słońce roztoczy jasne promienie, i ukażą się nieprzeliczone turnie, gubiące się w eterycznej dali, okryte kobiercem uwitym z najcudniejszych kwiatów: tak czarujący widok musi szczególnie działać, przynęcać te dzieci przyrody. Do zwiększenia powabu niemało przyczynia się trudność zwiedzenia stromych turni, na które mało ludzi jest w stanie dostać się. Przypatrując się nieraz juhansom i owcom rozrzuconym na stromiej skale, nie można pojąć, jak się dostali na tak niedostępne miejsca; najmniejsze poślizgnięcie nogi grozi tam śmiercią. Młode chłopaki wchodzą jednakże na najniebezpieczniejsze turnie, ale niekiedy zuchwałą śmiałością srogo oplacają. Kóz niewiele w Tatrach chowają, bo psują drzewa leśne; bywa ich jednak kilka w szałasie. Gdzie się żadna owca nie wydostanie, tam wchodzi koza; ale i im się zdarza spadać albo umierać z głodu, bo na trudniej dostępne miejsca łatwiej wejść, aniżeli z nich schodzić. I nieraz zginęła koza na stromiej turni z głodu, wydając żalosne głosy, a nikt nie śmiał jej sprowadzić. Taki przypadek wydarzył się raz w dolinie Kondratów: koza wyszła na skałę wapienną, i nie mogła zleźć; śmiały juhase wylazł do niej, i za pomocą sznurów spuścił widocznie osłabioną przez strach i niedostatek pokarmu.

W każdym szałasie niezbędnym jest pies, wierny towarzysz człowieka pod wszystkimi szerokościami i na każdym wyniesieniu ziemi, nieodstępujący człowieka przy lodowatych biegunach i pod skwarą niebem przyrównikowych krain. Na wysokich górach tatrów czterech do pięciu psów wykonywają najważniejsze posługi: strzegą owce i szałas w nocy i we dnie od wilka i niedźwiedzia,

i od równie niebezpiecznego nieprzyjaciela, od złodzieja. Już w znacznej odległości od szalasu czują obcego, i szeczekaniem ostrzegają juhásów o nadchodzącym człowieku; a gdy się zbliża przychodzić, pędem rzucają się nań, z wściekłością nie do opisania. Gdyby ich nie odwoływali juhasy, możnaby być na największe niebezpieczeństwo narażonym; posłuszne wracają do ich nóg, a niektórych trzeba trzymać, by się nie rzuciły na obcego. Psy te należą do właściwej, mało co rozpow szechnionej rasy; największe mają podobieństwo do newfundlandzkich, tylko nieco są mniejsze i zupełnie białe. Okrywa je długi biały włos, na karku i ogonie dłuższy; pysk podłużny spiczasty, czarne iskrzące oczy, mówią o ich niepospolitej zmyślności i odwadze. Gdy stado owiec wychodzi do hol, jeden lub dwóch psów zwyczajnie towarzyszą mu; utrzymują stado w porządku, rozbiegające się owce zganiają w kupe, i to się odbywa tak zwinnie i szybko, że trudno sobie wystawić lepszych wykonawców woli pasterza. Psy te w znacznej są cenie: za pięknie wyrosłego trzeba zapłacić 21 do 30 złp. Życzyłoby należało, aby się upowszechniła ta rasa po całym kraju, mająca tyle nieporównanej wyższości nad zwyczajnemi psami owczarskiemi. Żywią się także żelęcą, i sprowadzone na równiny nie chcą jeść innych pokarmów: zwolna tylko trzeba je przyzwyczajając do nich.

Przy szalaszach przeznaczonych dla owiec i krów ogradzane łąki nazywają się *polanami*; uprawiają je obficie mierzwą, dlatego też gdy w jesieni pożółkną okoliczne łąki, polany jeszcze zachowują świeżą zieloność. Dotąd nie skrapiają polan sztucznie, i właściwie nie masz tego potrzeby, bo w dolinach tatrowych padają co kilka dni obfite deszcze; często nawet bywają zbyt ciężkie. Polany są zbiorem najpiękniejszych kwiatów, często bardzo miłe pachnących; botanik zaś znajdzie tu najrzadsze rośliny górskie, niektóre Tatom wyłącznie właściwe. Na początku albo w połowie sierpnia gazdowie przyległych wiosek przybywają na kośbę do hol; każdy gazda ma swoje polanę, a na niej szopę, w której chowa skoszone siano; w zimie zwożą je na sarniach do domu. Najliczniej zaludniają się Tatry, gdy kośbiarze przybywają do gór; wtedy wesołość, krzyki i śpiewy słyszeć w każdej dolinie. Po tygodniu zwyczajnie odchodzą, a za nimi wkrótce postępują i pasterze: bo gdy się zbliża czas żniwa, co w dolinie Dunajca, we wsiach Czarny Dunajec, Rogoźnik, Charkłowa, Maniowa zaczyna się w drugiej połowie sierpnia, a u stóp Tatrów zaledwie na początku września; pospieszają więc do domów, by pomódz żniwiarzom.

Nim człowiek przeprowadził wielkie dzieło oblaskawienia zwierząt i zdobył na przyrodzie tak zwane domowe, gonił i zabijał dzikie

zwierzęta. Z życiem myśliwych pasterskie wiele ma spólnego; dlatego Podhalanie są namiętnemi myśliwcami, i należą do najcelniejszych strzelców. Tatry w ogólności nie są bogate ani w zwierzynę, ani w ptastwo. Znajdują się tu głuszcze i jarząbki, ale ich niewiele; za-
 zbyt mało pożywienia dają im te lasy. Sarny również nie są liczne; niedźwiedzie i wilki przybywają z Orawskich Tatrów, ale ich nie brak co rok, i robią niemałe szkody; ślady niedźwiedzia często można napotykać, mianowicie gdy borówki dojrzeją. Najcelniejsze polowanie jest w Tatrach na dzikiego kozła (*Antilope rupicapra*, *Chamois*, *Gemse*), z którym żadne inne nie da się porównać. Potrzeba bowiem umieć chodzić po najniebezpieczniejszych górach, przygotować się do nadzwyczajnej wytrwałości, i mieć chęć zrobienia tego, co niewielu w życiu dokonywa. Wiadomo jest powszechnie, gdzie dzikie kozły zwykły przebywać. Strzelcy wychodzący na nie wysyłają naprzód dwóch lub trzech górali, którzy im zachodzą drogę i naganiają na strzelców, rozstawionych na najwyższym grzbiecie po szczybinach, znanych jako zwyczajne przejścia tych chybkich zwierząt; jeżeli polowanie ma się udać, potrzeba, aby każda szczybina była obsadzona. Skoro baczne kozły spostrzegą ludzi, biegną na znajome *percie*, (tak nazywają mieszkańcy odwieczne ścieszki na wysokich holach, wydeptane przez baranów), i zmierzają na szczyty gór, aby mieć na oku zbliżającego się nieprzyjaciela. Wtedy kozły zbliżają się najbardziej do strzelców, i nieraz, chociaż padną na nie strzały, a nie zostaną rani-
 one, pędzą jak błyskawice do szczybin, nie zważając na człowieka. Wtedy potrzeba od razu kłaść się na ziemię, bo inaczej kozioł zepchnie myśliwego; tym sposobem niejeden strzelec stojący na stanowisku, utracił życie. Nie masz zwierza bardziej chybkiego nad kozła dzikiego, i nie wiem, czy bardziej trzeba uwielbiać szybkość, z którą niezmiernie przestrzenie przebiega, czy śmiałe skoki, któremi wznosi się na szczyty. Tam, gdzie człowiek zajdzie w górę za godzinę, kozioł przebiega tę przestrzeń w 3 lub 4 minutach. Co do ogólnej postaci, kozioł dziki podobny jest do sarny, tylko około 3 do 5 cali wyższy; w lecie ma sierść szarą, a w zimie prawie czarniawą; szyje z przodu białą, przez oczy przechodzą białe pręgi, na głowie ma dwa rogi prosto stojące, w końcach ostro w tył zakrzywione; oko szczytniej ma piękne, czarne, świecące jak u sarny. Sąto nader twarde a silne zwierzęta, i nie tak łatwo giną; postrzelone często uchodzą strzelcowi. Mięso ich należy do najwyborniejszych, jeżeli jest stosownie przyrządzone. Aby dostatecznie skruszało, trzeba je 2 do 4 tygodni trzymać w occie; i wtedy odznacza się delikatnością i częmsiś

niezwyczajnym, co nader mile lechce podniebienie. Szczególniej chwałą pieczeń z młodych kozłat. Dziedzina kozła, t. j. okolice w których przebywa, rozpoczyna się dopiero nad granicą lasów, a zatem 4,200 do 4,500 stóp wysoko nad poziomem morza, począwszy od kosodrzewiny aż do najwyższych nagich szczytów; tam znajdują właściwe sobie zioła, mianowicie kozłowiec, tak ulubioną roślinę, z wielkim żółtym kwiatem. W dwóch najwyższych częściach Tatrów, najrzadziej przez człowieka odwiedzanym, przebywają najchętniej dzikie kozły, tojest w grupie gór najwyższych pomiędzy wierzhami Morskiego Oka, Swinnicy, Krywania i szczytu Łomnickiego, tudzież na potężnych szczytach zachodniej części Tatrów, zwanych Rohaczami; a zatem trzymają się gór 8,000 stóp wysokich. Rzadko tylko przebiegają zniżający się grzbiet Tatrowy 5 do 6,000 stóp wysoki, łączący te wysokie szczyty. Liczba kozłów dzikich nie jest wielka; strzelecy znający dobrze miejscowość zapewniali mnie, że ich nie ma więcej w całych Tatrach nad sto, a nawet mniej. Liczba ich zmniejsza się coraz bardziej, bo mnóstwo ludzi czyha na nich, i tylko ostrość klimatu i nieporównana chybkosc głównie bronią je od zagłady. Wszelkie jest prawdopodobieństwo, że jeżeli rząd nie wda się i nie utrudni na nie polowania, jak się to dzieje w puszczy Białowiezkiej ze żubrami, kozły dzikie zaginą w Tatrach i należeć będą do historycznych zwierząt, jak bobry żyjące w średnich wiekach po potokach niedalekich Krakowa. W czasie zimowym, gdy niezmiernie śniegi okryją niebotyczne szczyty Tatrów, i gruba warstwa śniegu okrywa zupełnie kosodrzewinę; wtedy chronią się kozły do lasów. Staszyc (1) nazywa je capami; tój nazwy nigdy wszakże nie słyzałem.

Również wysokim góróm właściwy, lubiący lodowy klimat i eteryczne powietrze, jest świstak (*Arctomys marmotta*, *la marmotte*, *Murmelthier*), należący do innego zupełnie rzędu, do tak nazywanych gryzących czyli szczurowatych. Nazwę tę otrzymał od szczególnego szczekania, przemieniającego się w przeciągły, nader przenikliwy świst, który składa się z pojedynczych głosów czyli szczekań. Dwa razy chowałem świstaków tatrowych w moim pokoju, i wielokrotnie miałem sposobność przekonania się o tém. Ile razy zachciało się jeść świstakowi, zaczął służyć, i wydawał przenikliwe świsty; w chwili kiedy mu się coś podawało, zwalniał głos, a wydawał w pewnych odstępach pojedyncze świsty, do szczekania podobne. Świstak jest nader osobliwym zwierzem; wygląda, jakby powstał z czę-

(1) Ziemiolorodztwo Karpat. 1815, str. 155.

ści kilku innych zwierząt. Głowa jego podobna jak u myszy, reszta zbliża się do niedźwiedzia, a łapy przypominają kreta: dlatego nazwał go Cuvier *Arctomys*, niedźwiedzimysz. Kolor futra podobny bardzo do szopów. Świstak daje się zupełnie obłaskawić, a chociaż wydaje się na pierwszy rzut oka tępym, więcej ma pojęcia, aniżeli nam się zdaje; w ogólności jest dobrym i potulnym. Jeden bardziej się obłaskawił i zawołany przychodził do mnie; bardzo lubił towarzystwo ludzi, bawił się sukniami, i gdy o co prosił, zaczął służyć i przednimi łapkami dawał znaki; polubił wszystkie pokarmy roślinne, ale od mięsa zawsze się wstrzymywał. Z początku żywił się kapustą; czerwoną jadł chętniej aniżeli białą; potem jadał różne owoce, jabłka, gruszki, dalej chleb kwaśny i bułkę; szczególnie lubił ciasta, a im były słodsze, tém chętniej brał się do nich: nawet pił wino słodkie i poncz. Na lato wpuściłem jednego do ogrodu; wtedy idąc za przyrodzonym pociągami, kopał głębokie nory, od dnia do dnia dziczał coraz bardziej; drugi zachował obłaskawienie, również kopał, i co tylko miękkiego mógł zabrać wciągał do swych podziemnych kryjówek; na zawołanie znajomego mu głosu wychodził. W holach tatrowych żyjąc w dzikości robi sobie świstak długie rozgałęzione nory, wyściela je mchem i trawą, aby w tak przygotowaném schronieniu odbył sen zimowy. W jesieni tyje do najwyższego stopnia, jak gdyby przygotowywał w sobie zapas zimowy, wchodzi do nory i następnie zasypia; odbywa wtedy sen zimowy przez 4 do 5 miesięcy. Jednego i tegoż samego chowałem w zimie w ciepłym pokoju. W grudniu i styczniu był bardzo ponury; chociaż miał daną wolność wychodzenia z leżyska, zaledwie godzinę korzystał z tego; mało jadał, wyraźnie był ociężałym, i zwolna wracał do swego zwyczajnego stanu, w miarę wznoszącego się wyżej słońca. Innę zimę tegoż samego świstaka chowałem na otwartém powietrzu; zakopawszy się w siano, zasnął i strętwiał, tak, że go wcale nie można było zbudzić; wydawał się jakby trup, i bez przerwy spał 4 miesiące. Robiłem doświadczenia nad stopniem ciepła, jakie wydaje to zwierzę w tym stanie: serce zdawało się zupełnie nie bić; pomiędzy pachwinami trzymany bardzo czuły termometr podnosił się do $+9^{\circ},40$ podziałki stustopniowej (prawie $7\frac{1}{2}$ stopnia Reaumura), gdy równocześnie termometr inny zawieszony w otwartém powietrzu, pokazywał $-5^{\circ},40$ równie stustopniowej podziałki. Przez pół godziny leżał świstak jak martwy, nie wydawszy najmniejszego znaku życia, nawet nie można było dostrzedz oddechu. Z snem zimowym świstaka nietylko przestają działania zewnętrzne zmysłów, ale nadto do najwyższego stopnia wolniejają funkcyo wewnętrzne; zdaje się, że obieg

krwi prawie ustaje, a z nim oddychanie. Ciekawa tu rzecz, gdzie ma wtedy siedlisko siła żywotna, tak zupełnie stłumiona. Gdy się świstak zabiera do snu zimowego i kryje się w wyrobionych norach, wykopują go Podhalanie dla otrzymania sadła, które drogo cenią, bo u nich nie masz lekarstwa jemu równego: leczy wybornie wszystkie choroby. W całych Karpatach nie masz świstaka, tylko w Tatrach i w małej części Niżnych Tatrów (pasmie hardziej na południe rozciągniętym, a równoległym z poprzedniem) pod najwyższymi górami Solisko i Diumbier.

Prócz tych dwóch odznaczających się zwierząt, charakterystycznych typów gór alpejskiej wyniosłości, nie wiadomo czyli się znajdują jakie inne wyłącznie Tatrom właściwe; nie zastanawiał się dotąd nikt ani nad ich ptakami, rybami, gadami, ani nad owadami, których wielka jest obfitość. Lepiej znane rośliny opisane przez wielkiego szwedzkiego botanika Wahlenberga, i pracowitego Herbicha. Wahlenberg zebrał i opisał rośliny gór lapońskich i alpszwajcarskich; ciekawą więc byłoby rzeczą dla botaników wiedzieć, czyli też same rosną na wysokich Tatrach, i czy też same grupy roślin występują w krajach wschodniej Europy co w zachodniej. Właśnie w owym czasie odbywała się straszna wojna Wschodu z Zachodem, wojna, która złamała potęgę wielkiego cesarza Franków. Młody Wahlenberg nie zważając na te przeciwności wyruszył ze Szwecyi, a za pomocą stosunków w Wiedniu zrobionych, udał się do Tatrów. Ale czekały go tu nowe przeciwności, niezawisłe od ludzi. Rok 1813 był nadzwyczajnie dżdżystym; pamiętne są jego straszne powodzie. Nie ustraszły Wahlenberga deszcze, wstąpił na główne szczyty Tatrów, zbierał rośliny na nich rosnące i wielką część barometrem pomierzył. Niemało mu pomogły do uzupełnienia swego, zielniki tatrowe zbierane przez skromnych a pracowitych uczonych spizkich. Flora Wahlenberga służy nadto za wzór, jak wykonywać należy podobne monografie. Aby gatunki zebranych roślin oznaczyć z naukową ścisłością, porównywał je z najcelniejszymi zielnikami Niemiec, Francyi, Anglii i Szwecyi. Jestto najszacowniejsza praca naukowa wykonana nad roślinami krajowemi, i dziwna rzecz, że to wielkie dzieło mało kto u nas zna, a tém mniej ocenia. Wahlenberg zajmował się więcej południową pochyłością Tatrów, aniżeli północną, gdzie niektóre tylko celniejsze doliny rozpoznawał; przeciwnie Herbich (1) poświęcił swe badania tylko dla roślin północ-

(1) *Additamentum ad floram Galiciae. Auctore Herbich. Leopoli. 1831.*

nego stoku Tatrów i zebrał ich mnóstwo nieznanym szwedzkiemu botanikowi.

Podgórze Podhala dziwnie odbija z swém nadzwyczajném ubóstwem roślinném od żyznych pól zalegających nowotargką dolinę. Patrząc na te wzgórza pokryte w kupy złożonemi kamieniami, zdaje się, że tutaj kończy się roślinność. Przyczyna tego osobliwego ubóstwa nie tak pochodzi od klimatycznych stosunków, jak raczej od rodzaju ziemi; na piaszczystych rolach, pomieszanych z kamieniami nie znajdują rośliny pożywienia sprzyjającego ich rozwinięciu. U stóp Tatrów znów roślinność w całej sile i obfitości wabi oko zwiedzającego. Wszędzie widać smukłe świerki, jodły i buki, gęsto obok siebie rosnące, a pomiędzy niemi łąki okryte kobiercem najcudniejszych kwiatów. Trzy pasy roślin, jeden od drugiego wyższy, odróżniają się wyraźnie na obydwóch pochyłościach Tatrów. Najniższy, pas leśny, rozciąga się pomiędzy stopami Tatrów a granicą zakreśloną w tych górach dla drzew, czyli pomiędzy 3000 stóp nad poziomem morza, a 4,200 stóp; średni pas, pas kosodrzewiny (krzaki do sosnowych podobne) wznosi się od granicy drzew do 5,600 stóp; trzeci pas trawiasty, sięga aż do najwyższych szczytów, więcej jak 8,000 stóp nad poziom wyskakujących. W pasie leśnym znajdujemy obraz siły roślinności; nie widziałem nigdzie dorodniejszych jodeł i świerków jak w Tatrach. Jeden z najpiękniejszych lasów, składający się z pomienionych drzew, znajduje się tuż przy zakładzie hutniczym Zakopanego, i w pobliżu otworu doliny Kościeliskiej. Nieraz słyszałem ubolewających, że istotną krzywdę czyni siekiera roślinności tatrów. Chorobliwy to sposób widzenia rzeczy. Są miejsca, gdzie przyroda ma niewyczerpane siły odnawiające się nieustannie, a takimi są właśnie boki Tatrów; ilekroć bowiem żelazo położy bujne lasy, tyle razy, jakby siłą czarodziejską wywołane, wznoszą się nowe drzewa, ozdobione wdziękiem młodości. To nieustanne odnawianie się roślin, daje obraz wiecznej działalności potęg przyrody.

Lasy na północnej pochyłości Tatrów składają się ze smreków czyli świerków, jodeł i buków. Dwa pierwsze gatunki znakomicie nad ostatniemi przeważają, które ograniczają się do pojedynczych dolin. Dolinę Bialską pod Gewantem, i boki góry Nosal przy zakładzie hutniczym Zakopanego, okrywają bujne lasy bukowe; gdzie się dwa te rodzaje drzew stykają na granicy z jodłami, powstaje zwyczajnie mieszanina drzew śpilkowych z liściowemi. W lasach świerkowych pokozują się pojedyncze jawory; nigdzie nie uważał tego drzewa zdrowo i wesoło rosnącego; zdaje się chorować, a jeden bok jego

okrywają zielone mchy, jakby dla osłony od zbyt zimnych wiatrów. Wśród gęstych lasów bywają zupełnie bezdrzewne przestrzenie, okryte łąkami cudnej zieloności; na nich mały szałas i kilku pasterzów lub pasterek pilnujących owce lub krowy, odejmują dzikość tym oazom leśnym. Aż do wysokości 3,500 stóp świerki, jodły i buki rosą w całej sile; wyżej jednakże mają chorowite wejrzenie, nie wyrastają wysoko, na gałęziach czepiają się siwe porosty, do długich warkoczy albo bród podobne, (*Usnea barbata*); a jeszcze wyżej świerki i jodły karłowacieją, lub jako krzaki okrywają znaczniejsze przestrzenie. Często widać ich gałęzie gęstym liściem okryte, w jeden kierunek zwrócone; widoczny to skutek zimnych wiatrów, bo w okolicach od przeciągów powietrza zasłoniętych, pomimo znakomitego wyniesienia wyrastają drzewa dość wysoko. Na wysokości, gdzie świerki i jodły niedobrze rosą, czyli na granicy drzew, znajduje właściwy sobie przyjazny klimat drzewo do sosny podobne, zwane limbą (*pinus cembra*, Linneusz); aczkolwiek ma fizjonomię do sosny bardzo zbliżoną, odróżniają ją przecież liczne charaktery. Śpilki limby są dłuższe, osadzone po pięć w jednej pochewce, i dlatego oliścienie jest nierównie gęstsze, niżeli sosny zwyczajnej; szyszka jest nierównie większa, bo dochodzi do wielkości mierniej pięści, a w niej kryją się nasiona wielkie jak jądra łaskowego orzecha. Drzewo limbowe odznacza się wieloma pożytecznymi własnościami: wydaje z siebie miłą woń, która odstrasza robaków, i dla tych powodów poszukiwanem jest bardzo od Podhalan, wyrabiających z niego skrzynie i inne domowe narzędzia. Teraz jednakże mało jest limb w Tatrach; pojedyncze drzewa rosą przy szałasie Morskiego Oka i na boku Wielkiego Uptazu, sterczącego nad doliną Kościeliską.

W niektórych dolinach pokazują się liczne krzaki bzu koralowego, i *Lonicera nigra* z wielką czarną jagodą. Z ziół zaś temu pasowi właściwych, odznacza się głównie świecznik (*Gentiana asclepiadea*, Lin.) z pięknym szafirowym kwiatem, celna ozdoba w miesiącu sierpniu lasów tatrowych.

Pas kosodrzewiny czyli krzakowy ma szczególne wejrzenie, właściwe górom alpejskim. Kosodrzewina (*pinus mughus*) należy do familii roślin sosnowatych; nie wyrasta nigdy w drzewo, a krzaki jej zakrzywiają się jakby kosy, i ztąd poszła nazwa. Szczególna ta forma sosny zupełnie jest podobna do zwyczajnej (*Pinus silvestris*), ma śpilki i szyszki zupełnie podobne, różni się tylko mniejszym wzrostem, nie wyrasta w drzewo, nawet gdy się spuszcza niżej pomiędzy drzewa leśne. Gdyby to nie był właściwy gatunek, musiały-

by się sosny znajdować w niższych częściach boków Tatrów, a tych nigdzie nie masz; dopiero 3 mile dalej na północ od ich stóp, pomiędzy Ludźmierzem a Nowymtargiem rośnie bujny las sosnowy, przypominający zupełnie lasy Mazowsza. W ogrodzie botanicznym krakowskim pokazują wielką sosnę, która z kosodrzewiny z Tatrów przyniesionej wyrosć miała w potężne drzewo. Kosodrzewina na bokach Tatrów nigdy takich zmian nie doznaje; zdaje się zatem, że ta wiadomość nie jest uzasadnioną. Pas kosodrzewiny rozciąga się pomiędzy 4200 stóp a 5600; pojedyncze krzaki dochodzą nawet do wysokości 6100 stóp, a na szczycie Łomnickim ostatnie jęj krzaki sięgają do 6800 stóp. Kosodrzewina w dolnych częściach pasu wyrasta nierównie bujniej, aniżeli w górnych; w pierwszych dochodzi do wysokości 10 — 12 stóp, a w wyższej części krzaki zaledwie mają dwie stopy. Wraz z kosodrzewiną pokazują się niektóre inne krzaki, a mianowicie karłowaty jałowiec (*Juniperus alpina*), krzaki skoruszyny czyli jarzębiny (*Sorbus aucuparia*), bez koralkowy (*Sambucus racemosa*), i kilka pelzających wierzb, które botanicy nazywają *Salix herbacea*, *S. reticulata*, *S. retusa*.

Trzeci pas, stanowiący najwyższą dziedzinę alpejskich roślin, rozpoczyna się na wysokości 5,600 stóp, i sięga aż do najwyższych szczytów. Roślinność jego składa się z poziomych mechów, traw i wielu rzadkich roślin, właściwych najwyższym turniom. Niektóre wierzchołki okrywa sam mech islandzki grubą warstwą (pół stopy); kiedy na nich panuje posucha, co arcy rzadką jest rzeczą, wygodnie jest chodzić po tej pokrywie roślinnej, uginającej się pod nogami. Wielkie powierzchnie na holi Kondratowej okrywa ten mech sprężysty. Jednego razu zastałem go zupełnie wyschniętym; mój przewodnik chcąc mi sprawić niespodziankę, skrzesał ognia, złożył kupkę mchu i zapalił ją. Nagle ogarnęły płomienie cały szczyt; trzeba było szukać miejsca bezpiecznego, aby się przypatrywać temu ogniewi na wysokim szczycie. Zadał wiatr od południa i płomienie spędził do doliny: tu ognista rzeka jakby błyskawica spadła; szczęśliwy chciał przypadek, że się płomienie zatrzymały przy skale sterczącej, opaliwszy nieco kosodrzewinę. Ta igraszka mogłaby się łatwo stać przyczyną pożaru lasu, nieraz przytrafiającego się w Tatrach. Nietylko mech przewagę biorą w górnych tych dziedzinach, ale nieraz napotykać można bujne trawy, dające wyborną paszę owcom, wołom i koniom. Przypadek ten trafia się na wszystkich szczytach otaczających kolistą dolinę Kościeliską, jakoto: w końcu góry Ornak przyty-

kającą do Pyszny, na górze Wysoka i Tomanowa Polska; dalej na Małolączniku, i na przełęczy Liliowe przy stawach Gąsienicowych; obfitość kwiatów nadała nazwę ostatniemu miejscu. Wprawdzie na niektórych szczytach dla nieprzeliczonych, nieustannie zsuwających się glazów, nie mogą się utrzymać i najmniejsze rośliny, bo ruchoma podstawa głównie temu staje na przeszkodzie. Tak jest na potężnej górze Świnnica, na niezmiernych turniach wznoszących się nad Morskim Okiem i nad Czarnym Stawem, na potężnym wirchu zakrzywionym Krywań, sterczącym prawie na granicy Liptowa i Spiza. I tutaj spotykamy poziome zioła, nawykłe do nizkiej temperatury i małego ciśnienia powietrza; zbierają się one w tych wysokich dziedzinach w pomniejsze kupki, i wydają się jakby zielone oazy wśród obumarłej przyrody. Jeżeli zaś pojedynczo się pokuszają, wtedy pełzają po ziemi, albo są jakby przylepione do glazu, chroniącego je od gwałtowności wiatrów; mchy zastępują skały, i nieraz widać wśród brunatnego mchu islandzkiego ukrytą *gentianę* lub *kampanulę*. Na najwyższych szczytach w Tatrach rosną liczne i rzadkie rośliny, a mianowicie: *Lichen nigricans*, *Gentiana frigida*, *Saxifraga bryoides*, *Ranunculus glacialis*, *Poa disticha*. Zazwyczaj jednak najwyższe szczyty ogolone są zupełnie z roślin, a obraz martwej przyrody wywołuje jakieś melancholiczne usposobienie duszy.

Nietrzeba długo podróżować po Tatrach, aby nie dostrzedz uderzającej różnicy zachodzącej w roślinności skał granitowych a wapiennych. Na téjże samej wysokości, na jednymże boku, gdzie jednakowo słońce dogrzewa, i równe ilości spadają deszczu, widać te uderzające przeciwieństwa. Na granitach rosną poziome rośliny, gdy na wapieniach bujną florą wita podróżnego; wspaniały jej kobierzec uwity z różnobarwnych kwiatów czerwonych, niebieskich i żółtych, niewygasłe sprawia wrażenie. Kto widział mającą boki wapienne Miętuśią dolinę w całej świetności kwiatów, ten poznał bogactwo przyrody tatrów. Do celniejszych roślin, na stromych szczytach wapiennych rosnących, należą: *Gentiana verna*, *Linum alpinum*, *Papaver alpinum*, *Aster alpinus*, *Gnaphalium leontopodium*, *Saxifraga aizoides* i wiele innych. Kwiaty szczególnie upodobały sobie ściany wapienne, wystawione na działanie słońca. Małe ich kupki zdają się wyrastać ze szarego wapienia, i niemało przyozdabiają sterczące skały. Jak wszędzie, przezorna przyroda przygotowała warunki sprzyjające rozwinięciu się roślin. W najmniejszych zagłębieniach nagich ścian, tworzy się czarna ziemia jak węgiel z rozłożonych roślin, niestępująco najwyborniejszej inspektowej, i w tych naturalnych doniczkach kwitną z cudnymi barwami rośliny

alpejskie. Wahlenberg znalazł trzy rośliny Tatrom właściwe, i opisał je w swój florze karpackiej: *Gnaphalium carpaticum*, *Avena carpatica* i *Dicranum contortum* (1).

Jak Podhale różni się od krajów polskich, tak samo odróżniają się jego mieszkańcy. Po wysmukłej postaci, ciała można odrazu poznać tatrowego od innych górali polskich, siedzących od Olsy aż do granic jasielskiego obwodu. Z mieszkańcami równin, z Lachami, górale nie mają fizycznie prawie nic wspólnego; zdaje się, że to są zupełnie inne plemiona, mówiące tylko jednym językiem. Podhalanie odznaczają się zwykle bujnym wzrostem: sześć stóp wysokie chłopcy bardzo są pospolici; często jeszcze wyżej wyrastają. Twarz mają podłużną, rysy wydatne, poważne, z oka czarnego przemawia bystry rozum. Kobiety przeciwnie nie mają tak wybitnego charakteru; w ogólności nie są dorodne, wielkie, z rysami grubemi, nie mają téj wyższości fizycznej, która tak odznacza mężczyzn. Wyjątkowo tylko bywają doskonałej piękności, a wtedy płeć mają delikatną, wejrzenie szlachetne, i tyle zalet, że mogłyby błyszczeć w gronie najpowabniejszych niewiast. Jeżeli niezaprzeczoną jest rzeczą, że na rozwinięcie fizyczne Podhalań wpłynęły stosunki przyrodzone, nie można im wyłącznie te odznaczające różnice przypisać, bo w podobnychże stosunkach żyją graniczący na zachód Orawcy, a na przeciwniej pochyłości Tatrów liptowskie Słowaki, a ci nie mają ani téj smukłej budowy ciała, ani tego sprężystego umysłu, co tak charakterystycznie odznaczają polskiego górala pod Tatrami. Różnice te mają źródło swe w rozmaitości szczepowej, do których dwa te ludy należą. Nie zdaje mi się, iżby różnica ta wynikła, jak niektórzy utrzymują, z pomieszania się górala polskiego z niemieckimi kolonistami tam przybyłymi; mają to dowodzić niektóre nazwy wiosek, jak Waxmund, Czorsztyn, góry Gewantu, Raniszberg, i kilka wyrazów w mowie potocznej używanych, ale tych jest tak mało, że to dowolne przypuszczenie nie dowodzi. Podhalań uważam za czystych górali polskich, zmienionych przez właściwe stosunki przyrodzone. Na ich kierunek wykształcenia przeważnie wpłynęły stosunki socyalne. Góry te uważano w całej Polsce za nieużytki, i już w średnich wiekach oddane były na wieczyste posiadanie tamtejszym góralom i różnym ludziom przybyłym, pod warunkiem płacenia małego czynszu, lub odrabiania

(1) *Flora carpatorum principalium* (Tatry) *exhibens plantas in montibus Carpaticis inter fluvium Wagum et Dunajetz, eorumque ramos Arvam et Popradium crescentes*. 1814. Göttingae.

corocznie kilka dni w zamku krakowskim. Tak udarowanych nazywano soltysami. Przywileje te potwierdzał zawsze każdy nowo panujący król. U soltysów Kalatów mieszkających we wsi Szafłary, niedaleko Nowegotargu, widziałem liczne nadania ich familii uczynione, poczynszy od Kazimierza W. aż do Stanisława Augusta. Ta pewność posiadania własności, przyczyniła się głównie do powiększenia się ludności na Podhalu. Następcy zaczęli się dzielić gruntami i holami, a tém samém role staranniej uprawiać. Rozrodzone familie trzymają się jakby instynktowo swego gniazda, i stawiają nowe obok głównego domu; liczba ich niekiedy do dziesięciu dochodzi.

Wielkie jest prawdopodobieństwo, że z początku nie było w górach właściwych wiosek; każdy budował się na własnej roli, zwolna obok naczelników familii wzniosło się więcej domów, i nieznacznie rozrzucone pojedyncze kupki domów po bokach gór lub na wyżynach zlały się w jedną całość, i są jeszcze w stanie pierwotnym. Trudno jest jeszcze dopytać się o nazwę wioski, bo o tój rzadko wie góral; wiedzą tylko, że tam *bywają* (mieszkają) Bilińowie, Janikowie, Pitony, Stankowie, Toporowie, Gasionicowie, Mrozkowie i t. d., ale jak się nazywają wsie, o tém wiedzą tylko wójci albo radcy gromady. Jednakowe zajęcin, trudność wyzycia, wiadomość, że własny przemysł zapewnia znośny byt: wyrobiły pomiędzy Podhalanami jedne obyczaje. Prawie wszystkie potrzeby domowe sporządzają sobie sami, poczynszy od domu i wozu aż do sukien.

Domy i zabudowania gospodarskie mają bardzo porządną, nawet miłą zewnętrzną. Stawiają je z okraglaków, do czego proste świerki służą wybornie; dachy okrywają gontami albo deskami, okna są nieco większe jak gdzieindziej, a szyby czyste. Na Podhalu nie widać tych walących się lepianek, tak pospolitych w Polsce, nawet wśród najżyźniejszych niw w Krakowskiém, lub w Mazowszu. Niemal do tego przyczyniają się wielkie lasy okrywające Tatry; najwięcej jednakże pracowitość i zamięłowanie porządku mieszkańców. Zewnętrzność pospolicie jest odbiciem wnętrza; każdego więc podróźnego ujmuje ogólnie rozpostarty lud, a po domach pewien rodzaj wygody, o której nie mają wyobrażenia nasi wieśniacy z równin. Śień dzieli zwyczajnie dom górala na dwie części: na lewo jest izba czarna, na prawo biała. Pierwsza pospolicie obszerniejsza, całkiem zakopcona, odpowiada nazwie w całym znaczeniu; w jednym jój końcu jest ognisko, z którego dym nie wychodzi kominem, lecz się rozchodzi po całej izbie, i przez rozwarłe drzwi zmierza pod dach. Kiedy się pali na ognisku, unosi się gęsty dym do połowy wysokości

izby; kto nie nawykł do niego, nie może wyhyć w takiej izbie, bo nie-
 znośnie szczybie w oczy. Tu gotują, tu czeladź w zimie przebywa,
 tu mają wstęp ciele z krową i inne czworonożne domowe zwierzęta,
 bo co żyje garnie się do ciepła, mianowicie w tak ostrym klimacie
 jak Podhala. Po prawej stronie sieni jest izba biała; czystość ogólna
 powszechnie njuje wchodzącego. Podłoga z desek wymyta,
 wokół ścian przytwierdzona jest ława; w jednym rogu izby stoi
 wielki stół cisowy albo jaworowy czysto wymyty, w przeciwnym, na
 mniej lub więcej długich pułkach rozstawiają różnobarwne talerze,
 miski, miseczki; nad niemi wiszą rzędy garnuszków i dzbanków
 ozdobnie malowanych. Na drugiej stronie izby, w rogu, naprze-
 ciw stołu, stoi wielkie łóżko, licznemi pierzynami wystane, powleczo-
 ne płótnem niebieskiem z kwiatkami białemi, a nad niem wiszą
 obrazy świętych na łokcie kupowane; wreszcie w przeciwnym kącie
 sterczy piec, a przy nim komin wybielony. Czyste szyby przepu-
 szczają obficie światło. Pewien rodzaj wygody oddycha w całym
 mieszkaniu. Tu przebywa gozda (tak nazywa się gospodarz), tu
 odbywają się zabawy domowe.

Pięknie, z pełną prawdą kreśli obraz wnętrza domu więsz na-
 stępujący:

Co małe,

To całe.

Nic ani szasnie—cichutko wszędzie;

Należna wkóło znieciona,

Słychać jak pajak nitkę swą przedzie,

I serce bije u łona.

A na nalepie jasnym płomieniem

Pał się drzewka bukowe,

A święci patrzą ostrém wejrzeniem

Z ścian, na rzędy domowe.

W górze na pułkach rzeźbionych drobno,

Kolejno miski pisane,

A rząd dzbanuszków stoi osobno,

A przy nich kubki w rząd szklane.

A jak tu miło, czysto i gładko,

I nie niedłuzac nikomu!

„Powiedźcie, proszę, mi moja matko,

To wam tu dobrze w tym domu?”

—„A jużciż dobrze nam, Bogu dzięki!

Jak możem, statek nasz krasim:

Trzydzieści niedziel żywiemy z ręki,

Resztę po halach już pasiem.”

„A zresztą przedziem, i kopiem grędy,
Skąpo człek sobie pozwala,
Lecz gdy się dobrze zakrzęta wszędy,
Stanie na kawał chleba.”

Nietylko domy, ale i wszelkie zabudowania gospodarskie odznaczają się porządkiem. Małe stodołki, stajnie, wozownie, tworzą czworobok; a co nie zagradzają budynki, dopełnia parkan. Podwórko bywa niekiedy całkiem płytami wyłożone. W stajni stoi piękny, krępy konik, często bywa ich więcej; obok nich kilka krów i wołów, i stadko owiec. U nieco majątniejszego gazdy zastanie zawsze kilka lekkich i zgrabnych wózków.

Przed domem sadzą pospolicie jesiony; nigdzie to drzewo bujniej i weseliej nie rośnie, jak na Podhalu; musi tu znajdować najwięcej sprzyjających warunków do swojego wzrostu. Jesion nietylko przyozdabia dom, ale daje pożyteczne, prawie niezbędne drzewo góralowi, z którego wyrabia sobie wózki i inne domowe sprzęty. Przy domach, mianowicie w wioskach zbliżonych do doliny Nowotargkiej, jakoto we wsiach Szallary, Biały i Czarny Dunajec, gazdowie miewają sady, nawet na znaczniejszej przestrzeni. Jeden z najohsowniejszych sadów jest we wsi Biały Dunajec, należący do majątniejszego soltysa Pawlikowskiego; jednakże rzadko dojrzewają zupełnie owoce; bardzo często chybują, albo nie dochodzą w tym ostrym klimacie; uprawa zaś delikatniejszych drzew owocowych wcale się nie udaje, bo po kilku latach zwykły wymarzać.

Górale, a z niemi Podhalanie różnią się ubiorem od mieszkańców równin; zastosowali go całkiem do właściwości swojego kraju. W ogólności ubiór ich jest obcisły, musi bowiem nie być na zawadzie do wstępowania na wysokie wirchy, i do przedzierania się przez nieprzebyte lasy, pozawalane często nieprzeliczonemi pniami, które od niepamiętnych czasów gniją na stromych bokach Tatrów. Mężczyźni noszą długie opięte nogawice, z grubego białego sukna, wyszywane z węgierską różnobarwną włóczką; nogi okrywa kawał skóry zwinięty w kształcie trzewika, przymocowany rzemieniem okręconym na nodze; obuwie to nazywają *kirpce*. Ten szczególny rodzaj lekkiego, zostającego na mniejszym stopniu wykształcenia trzewika ma swoje zalety; noga zachowuje giętkość daną od przyrody, i dlatego nasi górale chodząc po niebezpiecznych turniach nie potrzebują owych ostrych żelaz, jakie Szwajcary przypinać zwykli do grubych i ciężkich trzewików. Podhalanie mało zważają, że *kirpce* drą się predko, i nie zasłaniają nogi od wilgoci; mocnemu ich zdrowiu nic to

nie szkodzi. Kto nie nawykł używać tego rodzaju obuwia, uczuje zbyt dotkliwie twardość kamieni. Krótką koszulkę płócienną, równą połowie zwyczajnej, łączy na piersiach wielka mosiężna spinka, często kilka lutów ciężka: im bowiem jest szumniejsza, czyli piękniejsza, rozumie się w pojęciu mieszkańców Podhala, tém jest większą, sztuczniej wyrabianą, liczniejsze łańcuszki z niej spadają. Młode juhasy wielką wagę przykładają do téj ozdoby. Po niej poznać można lwów podhalańskich. Pasem z czerwonej skóry, często więcéj jak pół łokcia szerokim, przepasywać się zwykł każdy Podhalanin; wielkie mosiężne sprzączki i guziki mniej więcéj licznie wybite na skórze, stanowią niemałą ozdobę pasu; służy on góralowi za kieszenie, i w nim chować zwykł wszystkie drobne przedmioty: pieniądze, tytoń, krzesiwko, papiery, i nóż na rzemyku uwiązany. Gunia stanowi wierzchnią suknią, pospolicie z brunatnego sukna, rzadko z białego, krojem naszych paletotów sporządzona: aby się mieszkańcy jednéj wsi mogli poznać, obwodzą jęj kołnierzą wypustką sukienną z czerwonego i białego sukna. W lecie zarzucają gunię na ramiona, a kiedy chłodno wdziewają ją na rękawy. Długość guni stosują do wysokości gór, w których przebywają. Mieszkańcy bardziej równych okolic, rozumie się w znaczeniu górali, jak Szaffar, Rogoźnika, noszą nierównie dłuższe gunie, jak Zakopańscy lub z wioski Bukowiny. W czasie zimy używają *serdaka*, pewien rodzaj kamizelki z rękawami, z granatowego sukna albo z kozucha baraniego. Młodszy noszą dłuższe kozuchy, na cały ubiór zadziane. Głowę pokrywa mały kapelusik z okrągłym deukiem i niezbyt szerokim obwodem. Wstążkę zastępuje na nim sznurek z białych morskich muszelek, wysoko cenionych na całym Podhalu. Inni zamiast kostek, tak nazywają muszelki, używają wstęgi skórzanéj, wybitéj w piramidy mosiężnymi gwoździkami. Włosy Podhalanie mają bardzo piękne, i zapuszczają je długo; pospolicie są czarne jak kruk: zwyczajnie spadają aż na barki, co ich podłużnym, pełnym wyrazu twarzom niemało dodaje powagi i wyrazistości. Podhalanie prócz kapelusza cały ubiór sami sobie sporządzają. Również i kobiety niewiele potrzebują obcych przedmiotów: na nogach noszą także kirpce, a w dnie świąteczne żółte safianowe bótiki, na wysokich korkach; zwyczajnie nie zwykły w nich chodzić, tylko wdziewają je przy wstępie do kościoła. Używają długich spódnic z płótna ciemno niebieskiego z rzucikiem białych kwiatków, i fartucha nazywanego opaską; na to wdziewają brunatną gunię, podobną do męzkiéj. Dawniej męzatki nosiły na głowie białe chustki; zastąpiły je teraz różnokolo-

rowe, kupowane na jarmarkach. Dziewczęta czeszą pięknie włosy i splatają w warkocz, spadzający często poza połowę ciała, a jego koniec zdobi wielka kokarda.

Od najdawniejszych czasów Podhale stanowiło właściwe starostwo nowotargkie; rzadko przybywał tam starosta dla sądzenia spraw lub wydania małoważnych rozporządzeń, ale zjeżdżał bardziej, aby obejrzeć te strony: i dlatego mieszkańcy ci, geograficznymi stosunkami oddzieleni, żyli długo prawie sobie oddani. Zmienił się wszakże stan rzeczy: po przyłączeniu Galicyi do Austrii, starostwo nowotargkie przyłączone zostało do dóbr koronnych, któremi rządziła właściwa administracya, zwana kamerą. Jednakże bardzo małe zyski, a nawet straty przynosiły te niurodzajne ziemie, więc sprzedano dobra. Tym sposobem powstały nowe stosunki. Kilku właścicieli osiadło na Podhalu. Niemalby wpływ wywarła ta zmiana, jako i rozwinięcie się znaczniejszych zakładów hutniczych, na tych górskich mieszkańcach; styczność z ludźmi więcej wykształconemi niemało ogładziła ich obyczaje, i dała poznać Podhalanom inne kraje, prócz ich niurodzajnych gór. Jednakże pierwotne oddzielenie przez naturalne stosunki, a nadewszystko obudzony umysł mieszkańców, nie zmieniły ich obyczajów, a własność gruntowa trwająca tutaj od niepamiętnych czasów wyrobiła to zaufanie, że każdy opiera się na własnej pracy. Z tych razem wziętych przyczyn Podhalanie uważają się za członków jednej wielkiej rodziny. Od przyległych na północy górali odróżniają się, a tém więcej od mieszkańców równin, których nazywają Luchami. Gdziekolwiek się spotykają Podhalanie, okazują sobie gorące przywiązanie, i często zdaje się, jakoby ich najściślejsze węzły łączyły, chociaż po raz pierwszy spotkają się w życiu. Najlepszy to dowód, że stosunki przyrodzone są najpotężniejszym środkiem łączenia ludzi. W ogólności cnoty towarzyskie wysoko u nich są wykształcone. Odwiedzających przyjmują z serdecznością; ile razy wydarzyło mi się szukać noclegu u nich, bywałem zawsze przyjęty z wielką uprzejmością; wszelkiemi sposobami starali się być uslužnemi, co mieli najlepszego, tém częstowali: to świeżo wydojoném mlekiem, to oszczypkami lub bryndzą, i tylko prosili, aby więcej pożywać.

Nie mogę dać lepszego obrazu gościnności Podhalan, jak przytaczając wiersz naszego znakomitego poety, malujący z prawdą a trafnością życie domowe polskich mieszkańców podtatrzanskich:

Gdzie miło, tam człowiek i rad się przysiedzie,
A dobrze, jak mówią, z dobrmi jest wszędzie.

„Czy dobrze powiędzie nas do wsi ta ścieszka?”

—A dobrze powiędzie, przez ławę, na łoży.

„A gdzie to mój ojcz, ów strzelec wasz mieszka,
Co bije po górach te kozy?”

—A już to nie inny, jak pono Junaka,
Pytajcie tam wyżej o Sobka Sobczaka,
Na domu u niego róg będzie jeleni,
A dziewczę powita was w sieni.

I szliśmy przez ławę, i szliśmy przez łoży
Do strzelca śmiałego, co dzikie zna kozy;
I zdala ostrzegął pies swoim szczekaniem,
Że rychło i we wsi już staniem.

Odwieczne jesiony cieniły podwórko,
Pod niemi stał domek ciosany pod górka,
Na domu od wschodu róg sterczał jeleni,
A dziewczę witało nas w sieni.

I wzięło za ręce i wiodło w świetlicę,
A jako słończko jaśniało jój lice
Niewinną radością, serdecznóm witaniem,
I ludzkim, pocziwém kochaniem.

I wiodła i śadzi na ławie za stołem,
Jak gości po Bogu szanować przywykła;
A potem jak fryga skrećiła się kołem,
Klasnęła w rączęta i znikła.

Sobczaka nie było, bo poszedł gdzieś z listy.
Przybory myśliwskie wisały na ścianie,
A cichy był domek, i cichy i czysty,
Jak człeka dobrego sumienie.

Po chwili przybiegła napowrót znów Kasia,
A za nią przybiegła i Polka i Basia,
I wszystkie się spodem krzątając, aż rosły,
I Bożych nam darów naniósły.

A mléko aż pachło, a masło majowe,
A séry takroczone aż niby różowe,
A wszystko i białe i rażno zastawne,
A noże w róg kozi oprawne.

„Pozwólcie téż sobie, nie skąpo co chcecie!
 Prosimy co Bóg dał; no bierzcie i krajcie!
 Jam do was przypila—a pijcieże przecie,
 A proszę, kęsajcie! kęsajcie!”

„Ja skoczę z dziewczkami po gazdach wokoło,
 I sproszę tu gości i będzie wesoło;
 Są ludzie i u nas—nie luźni choć prości,
 I znają jak gościć i gości!”

„Choć ojca mojego nie naszliście w domu,
 To będzie tu przecie pogościć was komu,
 Bo u nas jest taki obyczaj już z pniaka,
 Że miło w gościnie Sobczaka.”

I jakoż przybyło i gazdów po chwili,
 I grajków i dzieci i niewiast i dziewczek,
 I myśmy téż naszój baryłki dobyli,
 I kubek okrzętał wśród śpiewek.

Od kubka i śpiewek, do śmiechów i w tany,
 I ciasno już było w tym domku pod górka,
 Więc z izby do sieni, a z sieni w podwórko,
 Wysypał się orszak rumiany.

I stała się radość i wielkie wesele,
 I zmienił się dzionek powszedni w niedzielę,
 I w całej wsi było pod wieczór już święto,
 Choć ludzi nieznanych podjęto.

Poważnie gwarzyli gazdowie, jak Piasty,
 Wesoło, rozmownie prawity niewiasty,
 Jak wieniec róż polnych zaplotły się w koło
 Śród tańca dziewczęta wesoło.

Nie sztuki zastuga, że kształtne i zgrabne,
 Nie gładkie ich rączki, lecz dusze ogładne,
 I lanne koszulki a serca jedwabne,
 I słówka nie strojnu a ładne.

(Dokończenie nastąpi).



KRONIKA LITERACKA.

Athenaeum. Pismo zbiorowe poświęcone filozofii, literaturze i sztukom. Wydawca J. I. Kraszewski. Rok 1850. Wilno. Drukiem J. Zawadzkiego.

Nie kładliśmy za cel naszego literackiego zawodu pisania krytyk i przeglądów z bieżącej literatury; ale są chwile, kiedy obowiązek sumienia podaje pióro do ręki, a wtedy niewolno składać się nieudolnością i czekać aż kto inny wystąpi z tém, co widzimy być koniecznem w sprawie umysłowego ruchu. Oto przed nami sześć tomów *Athenaeum*, pisma zbiorowego, a pomimo swój okrzyczanej bezbarwności, od lat dwunastu jest organem i wyrazem literatury naszych prowincyj. Przez lat 12 niezłomowany redaktor bojował z tysiącem przeszkód umysłowych i materialnych, z obojętnością znarowionej, kapryśnej i za nowościami jeno pędzącej publiczności, ogłosił tysiące artykułów, a w tej liczbie kilkanaście niezmiernie ważnych, i w nagrodę szlachetnej pracy dożył ze swém pismem do tego, że publiczność o niém zapomniła, iż nawet nie wie, czy *Athenaeum* dotąd wychodzi. Słyszemy za całą odpowiedź, że *Athenaeum* znuśniało, oschło, straciło interes. Jużci w życiu pisma, jak i w życiu człowieka są chwile znużenia i wyczerpania; na siedmdziesięciu dwóch tomach *Athenaeum* możnaby kilka tym zarzutem obarczyć: zeszyty mniej zajmujące może są obrazem mniej zajmujących chwil literatury, kiedy stagnacya powszechna, Bóg wie zkąd, Bóg wie dlaczego, ogarnia piszących, czytających, księgarzy; ale ogół pisma aż do dziś dnia nie stracił tego stanowiska, na jakim *Athenaeum* od początku staęło. Nie mając wyraźnego *wyznania wiary*, a przecież sumiennie i pracowicie redagowane, *Athenaeum* nie uwodząc się nigdy duchem stronnictwa, witało równie oętnie objawy talentu każdej szkoły, każdej koteryi: i oto wygrana korzyść nad innemi pismami! Bo czyż nie widzieliśmy, jak nieraz zbyt goręca namiętność, uprzedzenie, słowem tak zwano *zadanie redakcyi*, przynosiło szkodę, owszem zabijało pismo, któremu zostawało wiele — wiele do spełnienia postannictwa. Wpóśród obecnego zubożenia publiczności nie ustaje na swój drodze, daje przykład niesłychanego u nas wytrwania. Aby okazać, że to, co mówimy jest prawdą; przebieżmy sze-

reg artykułów w sześciotomowym zbiorze za rok 1850, z którego czytająca publiczność jasno obaczy, iż dzięki energii redaktora i dziś jeszcze Athenaeum żyje, i dziś jeszcze może chodzić o lepszą z wielu naszych, owszem zagranicznych dzienników i przeglądów, lubo samo nie jest ani dziennikiem, ani przeglądem, jeno przypadkowym zbiorowym pismem; lubo wszyscy niemal współpracownicy jak płochy motyle ulecieli na inne kwiaty, na karty dzienników świeżych, a więc poczytniejszych.

Przepatrzmy wedle oddziałów ważniejsze artykuły pomieszczone w Athenaeum za rok 1850.

W materjałach historycznych i w ogólności w rzeczach tyczących się krajowej przeszłości pierwsze trzyma miejsce tak co do czasu, jako i co do ważności, krytyczny artykuł p. O. o piśmie Karola Szajnochy: *Bolesław Chrobry*. Sprawozdawca z tej ważnej książki idąc w ślad za autorem, przebiega mgliste a pełne znaczenia czasy Piastów, światło a krytycznie idzie za nim w ustępy kreślące początki narodu, stosunki Polski do Europy, i cały wielki zawód Chrobrego swojemi słowy uroczo opowiada. Mniej powszechnego znaczenia mający, ale ważny jako stary zabytek jest *Przywilej fundacyjny kościoła katolickiego w Obolcu*, przez Władysława Jagiellę r. 1383, który p. Józef Zajączkowski redakcyi udzielił z archiwum archikatedry mohilewskiej. Kościół w Obolcach *ma się uważać za pierwszy co do swego założenia nad wszystkie kościoły w ziemi litewskiej zbudowane* (słowa przywileju). Dalej idą ciekawe *Wyjątki z akt miasta Słucka*, z opłakaniej epoki Jana Kazimierza, dowodzące, że lubo owoczesny dziedzic Słucka Bogustaw Radziwiłł w smutnym zaślepieniu łączył się ze Szwedami, wszelakoż obywatele Słucka pełni wierności dla krajowego rządu, brali przed się dzielne środki stawienia oporu, i z bohaterską prostotą wytrzymali obłężenie. Redaktor dał ciekawą *Notatkę o uczonych i pisarzach zakonu Kaznodziejskiego* z księgi rękopiśmiennej, która mu wpadła w ręce. Rękopism ten głównie obejmuje uczonych Dominikanów prowincyi ruskiej; żałujemy tylko, że o ludziach głośniejszy sławy, jako o Bzowskim, Bardzińskim, Birkowskim, Szymaku, Siejkowskim, Lubomleczyku, Okolskim, oraz o klasztorach nie wypisał obszerniejszych wiadomości. Tenże redaktor pracujący od lat wielu nad dziejami sztuki w Polsce uczynił przegląd krytyczny ostatniego w tym rodzaju dzieła p. Maxymiliana Sobieszczańskiego, a ze swój ważnej *Ikonotheki* dał zajmujący artykuł o sztucharzu polskim *Jeremiaszu Falku*, któremu Forszterowskie, gdańskie i amsterdamskie edycye dzieł tyczących się Polski, winny swoją ozdobę. Wspomnijmy nakoniec *Notatki lekarza w czasie morowego powietrza 1623 r. we Lwowie*, jako zawierające kilka rysów obyczajów domowych staropolskich.

W literaturze nadobnej. Redaktor nie ograniczając się pięknymi pracami tych z literatów krajowych, którzy mu jeszcze jako tako dotrzywali placu, chciał dać polskiej publiczności wiadomość o ważniejszych utworach zagranicznych, i w tym celu przełożył *Nowe pamiętniki* Lamar-tiu'a (*Nouvelles confidences*), przebiegł z czytelnikami romansu barona Eotwos *Notaryusz wiejski*, a co lepsze, zdał sprawę z ważnych europejskich artykułów, stanowiących najżywotniejszą treść francuzkich i angielskich przeglądów. Winniśmy p. Kraszewskiemu, że publiczność polską

obznajmił z ważnemi, na które Europa tak ciekawie wyteżyła oczy, *Podróżami Augusta Layrd* w celach starożytniczych poszukiwań dawniej Assyrii, z *Wędrowkami po klasztorach Wschodu Roberta Curzon*, który przywiózł do Londynu tyle bibliograficznych skarbów skazanych na zagubę w rękach ciemnych mnichów Małej Azji i Egiptu. Wiadomość historyczna o hanach krymskich, artykuły o Saharze, o telegrafii elektrycznym i t. d. z dzienników europejskich, tłumaczą, jak gorliwie redaktor pragnie zaznajomić publiczność polską z tém, co się dzieje u reszty świata.

Ale najwybitniejszą fizyonomią pism zbiorowych stanowią artykuły swojskie w lekkiej literaturze. O tych pomówimy obszerniej, gdyż pomimo szczupłej liczby współpracowników, Athenaeum może się pochlubić wcale ładnemi rzeczami. Pocznijmy od tych, których zbiór 1850 r. zawiera dalsze ciągi lub dokończenia. Tu na pierwszym miejscu stać powinny gawędy żołnierskie Józefa Drzewieckiego z czasów kampanij włoskich. Dziennik bez pretensyi, bez przesady, ręką co raczej do pałasza, niż do pióra przywykłą, kreślony, odśtaniający w poufalem malowidle wielkie oblicze Napoleona, relacya bojów, nędzy, pojedynków, hulanków żołnierskich; takie rzeczy wolne są od obowiązku wygładzonego stylu i zalet czysto literackich. Ale p. Drzewiecki człek z wykształceniem, bywalec światly, miłym jest gawędziarzem; ręka jego nie tak bardzo zgrubiła dzierząc się rękociesci pałasza, aby nie umiał delikatnie władać pędzlem i zdać porządną sprawę ze swych czynów i wrażeń. Podobny nazwiskiem, ale różny epoką i manierą pisarską współczesny wędrowiec po Wschodzie p. Karol Drzewiecki (wyznajmy) mniej nas zadowalnia. *Podróż* humorystyczna na zelwiański jarmark lub na kijowskie kontrakty zajęłaby czytelnika lekkim a dowcipnym tonem; ale *podróżować* po Wschodzie, przebiedz morze Śródziemne, żeglować po Nilu i drapać się na wierzchołki egipskich piramid jedynie dla złapania konceptu, jestło ofiara dla humoryzmu niestychana, i niestety niewdzięczna. Z tych listów *Podróży na Wschód* pokochaliśmy p. Drzewieckiego za jego nieoceniony, poczciwy, dobry humor; ale nie mamy siły wędrować po raz drugi po kartach jego dziennika: tak pierwsze przeczytanie ekliwo nam się wraziło w pamięć.

Tłumacz Moliera, p. Franciszek Kowalski, dał czwartą część swojego poematu *Tymon*, którego początek przypominamy sobie gdzieś w ugłę przedhistorycznej pierwszej połowy XIXgo wieku, (bo przecie żyjemy w drugiej połowie). Bohater poematu *Tymon* jest już we dwudziestym wiosnie swojego życia; dusza jego ulata już w krainę fantazyi, szuka chwały, i z młodzieńczą wiarą nie wątpi, że gniach jej znajdzie, że w orlium locie swych skrzydeł nie złamie. Przegląda się niebiosom, wybiera swe cele: owo Alfred, Gustaw Adolf, Kazimierz Wielki, Batory; ... owo Homer, Szyller, Gothe, Szekspir, Krasicki, Malczewski; ... owo nasz wielki Kopernik; ... ku któremuż z tych słońc młody orle chcesz ulecieć? po którego prawicy z tych wielkich ludzi marzysz zasiąść w blasku twojego majestatu? Szerokie pole marzeń, ale młodzieńcze, oto świat rzeczywiście, oto idą boleści co twe serce zakrwawiają, odczarują, oziębiają. Śmierć ojca Tymona już rozpoczyna szereg udręczeń, co mają się nad

nim pastwić w drodze dalszego żywota. Kiedyż nam p. Kowalski dośpiewa dalsze dzieje tego interesującego młodzieńca?

Z marzeń Tymona idziemy w *Marzenia* nowe (bo niestety! tak ciernisto na tym świecie, że jeno marzyć musimy). Oto p. Józefa Smigielska na piórach swych poetycznych skrzydeł ulatuje z kart Athenaeum ponad brzegami Syrii i Fenicyi, mknie nad Archipelagiem greckim, nad Spartą, Atenami, Rzymem, Afryką, i marzy nad ruinami starego świata, starych idei. Tęczowe jój marzenia to zaglądną we wnętrza naszego powszedniego bytu, to lecą w krainę przyszłości odgadywać niepojętą zagadkę postępu. Miło z nią westchnąć, zaśmiać się, zapłakać; ale jak trudno podzielić to smętne zrozpaczenie nad losem ludzkości, tak niełatwo bezwarunkowo uwierzyć tym złotym marom postępu, któremi p. Józefa Smigielska nas tak uroczo otacza.

Mniej marzeń, ale więcej ruchu, więcej barw i więcej, rzec można, rzewności jest w obrazku p. K. W. Wojcieckiego pod tytułem: *Bielany pod Warszawą*. Jak nie pokochać tego weterana naszej literatury, który przez połowę życia szperając po prochach przeszłości, nie wyziębł swój duszy; owszem, lekko, poetycznie i młodzieńczo przypomina swe przeddwudziestoletnie chwile, kiedy go zajmowały odpust wiejski, przygody romantyczne, dószcz co rozpędził festujący na Bielanach świat warszawski. Podobny obrazek w Album Literackim pod tytułem: *Czeraniaków*, nie wątpimy iż żywo pozostał w pamięci czytelnika.

Ale niech nie obraża weteranów naszej literatury, gdy powiemy, że ozdobą Athenaeum za r. 1850 w oddziale belletrystycznym jest powieść p. Adama Pługa pod tytułem: *Dzieciobójca*. Możemy się zgodzić z redaktorem, że autor wybiera zbyt czarno sceny z życia naszego ludu i naszych obywateli, lecz w powieści jego tyle jest prawdy artystycznej i społecznej, iż nie wątpimy, że oczarowany czytelnik-szlachec otworzy swą duszę świętym przekonaniom, i nad dolą powierzzonego sobie ludu szczerzej pomyśli. Takie powieści są prawdziwie krokiem do postępu, a p. Pług jeżeli nie imię postępu (takiego jak go pojmują wyobrażenia pewnej szkoły), ale sam postępek żywo weźmie do serca, może się spodziewać powodzeń literackich uwiecznionych społeczną korzyścią. W przeszłych ciągach Athenaeum czytaliśmy tego autora artykuł pod tytułem: *Spowiedź*; znamy w rękopiśmie inną jego pracę *Pan Marcin*; obecna powieść *Dzieciobójca* jest koroną tych utworów. P. Pług manierą, zapalem i artystycznym żądłem przypomina powieści Kraszewskiego; on go nam kiedyś zastąpi. Jedna tylko braterska uwaga: niech raczej z natury i z życia, niż z pisanych wzorów bierze swe studia, niech rozwinię się, niech się nauczy być sobą.

Szkoda, że nie wiemy imienia autora *Gawędki legionisty Fra Dja-wolo*; jestto obrazek tak zwawo, tak mile, tak dobitnie nakreślony, iż trudno nie pożądać, abyśmy częściej spotykać się mogli z utworami tegoż pióra.

Techniczny a lekki i pouczający artykuł p. F. Bohdanowicza p. t. *Mysli o muzyce. Fortepian*, kończy szereg oddziału lekkiej literatury w Athenaeum.

Oddział *Rozmaitości* chlubnym być powinien artykułami p. W. W., który przed kilką laty tak się świetnie, tak po meżku zaprezentował publiczności swojemi rozbiorami pism hr. Rzewuskiego. Zasluga jest Athenaeum i jego redaktora, wywołanie do pracy piśmienniej człowieka tak myślącego, tak zdolnego w sposób grzeczny i pojednawczy rozbiierać najdrażliwsze zadania czasowe, tak oznajmionego z dziejami polskiej przeszłości, tak umiejącego spojrzeć na nią z właściwego stanowiska. W obecnym ciągu jest znakomity p. W. W. artykuł: *Pamiętniki w porównaniu z historią*, w którym rozbięra Paska, Chrapowickiego, i epoki historyi krajowej, z których są wspomniane zabytki. Inny artykuł tegoż autora p. t.: „Czego życzymy sobie i czytelnikom naszym na Nowy Rok” wywołał żwawe wrzaski ludzi tak zwanych postępowych, ale i mniej postępowym boleśno jakoś robi się na sercu po przeczytaniu tego, co mówi autor o nowych teoryach towarzyskich: bo na cóż z serc ludzkich wydierać świętą wiarę w lepsze jutro, na co tak boleśnie szydzić z chęci dobrych, z marzeń zbawczych, chociaż może zanadto niepraktycznych. Redaktor zaprotestował przeciw głównym myślom autora, ale rozebrać ich ściślej nie miał czasu — i słusznie. Podobne zadania czas jeno rozjaśni.

Korrespondencye, okruszyny, nekrologi, archeologiczne poszukiwania i t. p. stanowiące feleton Athenaeum, dowodzą gorliwych chęci redaktora, aby pismo jego wiernie odbijało to wszystko, co w kraju lub za granicą godnego jest uwagi w bieżącej chwili. Nikomu nie przymawiamy, ale niejedna z liczniejszymi współpracownikami redakcyi, potężniejsza środkami, daje się wyprzedzić redakcyi Athenaeum w skwapliwości przysługiwania się czytelnikom.

Czytelnikom? co za gorzkie szyderstwo, co za nadużycie przyjętego wyrazu! Athenaeum nie ma czytelników! Publiczność nasza znużona od lat 12 widokiem tychże okładek, tójże tytułowój karty, najobojetniej opuszcza pismo, godne zaiste aby się zrosnąć i zalogować z nami. Cóż począć z kapryśnemi zaobczeniami nowości? Ale czy godzi się być kapryśnym jak niewiasta, jak dzięcio, tam, gdzie idzie o życie lub śmierć jednego z ważnych objawów literatury krajowej? czy godzi się rozmyslnie zabijać to, co dzięki niez mordowanym pracom jednego, żyje jeszcze? czy wolno nam po tém wszystkiém przywłaszczać sobie imię miłośników krajowego piśmiennictwa?

Athenaeum pomimo tysięcznych przeszkód, w bieżącym roku jeszcze wychodzi. Czy i w następnym wychodzić będzie? — któżby wątpił: wszak mamy u siebie światłą, gorliwą, słowem czytającą publiczność. Redaktorowi nie schodzi na dobrych chęciach: czyż stać się może, aby mu zabrakło naszego współczucia?

Władysław Syrokomla.

Górale Bieskidowi zachodniego pasma Karpat. Rys etnograficzny zwyczajów i obyczajów włościan okolic Żywca. Skreślił L. D. Kraków, nakładem i drukiem Józefa Czecha. 1851. 12ka. Str. 151.

Po zbiorze pieśni ludu Podbalan p. L. Zejsznera, i rozprawie przedwstępnej, która nas dokładnie obznajomiła z tak mało znanem plemieniem naszym, w siedm lat otrzymujem drugie dzieło w tym samym przedmiocie. Pan L. D. nie zbierał wprawdzie pieśni ludowych górali, ale uważnie badał zwyczaje i obyczaje okolic Żywca. Ciekawe te zarysy są niejako jakby dalszym ciągiem badania Zejsznera, i w wielu względach nieznanie lub przemilczane szczegóły, uzupełniają zajmujący obraz polskich górali.

Dziełko pana L. D. przyznajem że bogate jest w szczegóły, ale nie ma tego ścisłego ciągu, jakim się rozprawa p. Zejsznera zaleca. Znać jeszcze pióro młode i mało wprawne, lubiące nieraz na polu szumnej deklamacji pobujać, z uszczerbkiem wykładu przedmiotu, z samego siebie już zajmującego.

Pomimo to, znać zarazem i myśl zacną i szlachetno pobudki, które go skłoniły do tak pięknej pracy.

Autor opowiada nam, jak z młodu pokochał góry, jak wyobrażnię jego zapalił więcej pustelnik z podgórskiej okolicy, urodzony w górach. Opowieści jego pełne fantazyi; szczegóły o halach, szałasach, hacach, dodały bodźca wrodzonej już ciekawości. „Wkrótce (mówi) stało się więcej nad moje życzenia, przez zdarzone kupno włości w górach żywieckich, przy granicach węgierskiej położonej, którą zapłaciłem bez widzenia; a party splinem Anglika, puściłem się natychmiast w drogę, aby czémprędzej poznać *terram incognitam*.”

Pomijamy mnóstwo szczegółów ubocznych, któremi swoje pismo autor urozmaicił i ożywił, a przystępujemy głównie do dania w treści charakterystyki górali Bieskidowych.

Jeżeli ludy w górach zamieszkałe najpiękniejszemi są w kraju *Galiicyą* zwanym, to nad temi ludami górale z okolicy Żywca celują w urodzie i pięknej postaci. Młodzieniec w 18 roku może służyć za model na posąg Apollina, w 30 na Herkulesa, a ciężar lat 80 jego prostej i śmiałej budowy ciała nie pochyli. Ta okolica piękniejszych dostarcza żołnierzy. Rysy ich twarzy nie mają żadnej pewnej cechy rasowej, jak u się u narodów odosobnionych zawsze widzieć daje; przewagę jednak biorą nad innemi rysy greckie.

Góralki odznaczają się nietylko pięknnością twarzy, ale głównie krojem kibici; a tak drobnych rąk, małych stóp, i śmiałej a zręcznej postawy, trudno znaleźć gdzieindziej w pracowitej klasie kobiet. Dziewczęta dorosłe, same bez matek chodzą do kościoła i do gospody na taniec. Mężatki są mniej samowolne, i więcej napozór skromne.

Górale (mówi autor) więcej są fałszywi niż zuchwali, więcej uporni niż złośliwi: lubią się pieniać, odgrażać sobie, lżyć się słowami jak żydzi, ale do bitwy rzadko kiedy, nawet po karczmach, przychodzi. Urazy

prędko zapominają, a często dwaj szermierze z podbitymi oczyma, w najlepszej zgodzie z karczmy wracają. Widząc raz jednego z ogromnym guzem na czole, pytałem, kto go tak dzielnie uczęstował? „Ej, to mój psyjaciel, dobrodzieju.”

Dla dziedziców swoich mają wielkie uszanowanie i ufność w ich sądach; dlatego w 1846 roku cała okolica była w spokoju. Dzieci swoje serdecznie kochają, pudków (kmotrów) więcej szanują, niż własnych rodziców. Wesela odbywają z mniejszym zachodem i uroczystością jak włościanie w innych okolicach.

Zaproszeni na wesele goście przynoszą różne jadlo: wódka jest tylko obowiązkową na kieszeń gospodarza. Orkiestra nieliczna bywa, ale głośna; jeden kobziarz i jeden skrzypek potrafią zagłuszyć całą gawieź pijanych biesiadników. Panna-młoda ani druchny nie mają wieńców z rozmąrynu, ani z ruty; głowy ich upstrzone są mnóstwem różnokolorowych wstążek, z tyłu długo rozpuszczonych, które powiewają. Czasem jednak panna-młoda miewa błyszczący krakowski wieniec na głowie: jestto dar oblubieńca, jeżeli ten żeglował kiedy z drzewem do Krakowa. Przy czepinach nie strzygą włosów *młodusz*, tylko kładą jęj na głowę obrączkę, i tę wkoło włosami obwijając, przytwierdzają. Na to kładzie się czepiec u dołu sznurkiem zmykany, i przywiązuje, a na zakończenie opasuje się wstęgą lub galonkiem szerokim; co ma minę biretu albo furażerki. Nie tańczą tu krakowiaków, ani mazurów, tylko stawają tancerze i ich tancznicze naprzeciwko siebie rzędem, potem chwytają się pary, i kręcą do zawrotu głowy; potem puszcza ją się, i robią naprzeciw siebie przysiadki i skoki z kozacka po węgiersku. Podczas gdy jedni tańczą, drudzy śpiewają, ale każdy na swój ton, ile mu głosu starczy, zastosowany do głosu krzykliwój kobzy.

Jak są nabożni, tak przesądni zarazem: tak zarówno odważni i tchórzliwi.

„Gdy zwierchnik krzyknie surowo (pisze autor), pozorny Herkules tak się przeleknie, że często bywa, iż zachoruje. W takim razie proszą o szczyptę włosów z głowy straszyciela, dla nakadzenia chorego, poczem gdy kichnie, to i kryzys się kończy. Zdarzyło się (mówi autor), że spotkałem kobietę biegnącą i zapłakaną, i pytałem gdzie biegnie i co się stało? „Oto idę do dworu po kudły z tego smoka, co tak mojego chłopca piestraszył, że się na umor roznieomógł.” Znając góralską terminologią, wiedziałem, że taką nazwę dają w gniewie człowiekowi, i sądziłem, że który z moich służących to zrobił. Pytam więc: a któryżto taki, czy Kazimiierz, czy Józef? „Nie dobrodzieju, jacy pies.” Ów zaś przestraszony był żołnierzem dymissyonowanym, który mi dopiero dniem wprzód cuda waleczności swojej opowiadał.”

Mimo to, wielką przecież okazują odwagę: czyto w łowach na niedźwiedzie, czyto głównie, co z każdą powtarza się wiosną, przy spałwie drzewa. Tam odwaga i zimna krew, przy zręczności, odznaczają góralsi świetnie. Niewiele lubią pracować około własnej roli, lubo się dobijają chęciwie o nabycie gruntu. W uprawie, w sprzęciu zboża, w sadzeniu ziemniaków mają swoje szczególne sposoby, jako téż w łowieniu

pstrągów i podrybków (małych łososi); w czém, jako téż do opisu strony przemysłowej Żywczanów, odsyłamy czytelnika do samego dzieła. Z kosa latem nie do Polski, ale do Węgier na zarobek chodzą, w zimowych wieczorach opowiadają swoje w téj ziemi przygody, i cuda owéj krainy. Przywiedziem tu o djable jedną powiastkę we właściwém narzeczu górali żywieckich:

„Widziołem go roz na swoje ocy, jak tańcowoł po dachu w rogatym kapelusie i kuséj psyodziewie: a jakie ślipie, a jakie pazury! Stanolem i dziwom się zdjonem kapelus, i rzekę tak po naseńsku: Panie debble, pytom wos, jakoście jagudka, dejeie mi tes kiela zultych piniędzy. A on mi prawi po mimiecku: Swainder, mainder, dej mi dusę. I ja to do razu zrozumioł, i tak są myślę: Pockaj psio wiaro! I ucionem bzu, dostolem z niego dusę, psiwiażolem do kamienia, i frygnąłem mu na dach. Debeł zlapoł, obejzroł, dobył mieska, włożył w niego kamiń i prawi: Hunder, dunder, jaka dusa takie piniądze,—i rznena mie nim ta mercha w łeb.”

W budowie mieszkań uderzył autora zwyczaj taki, że wszystkie okna ku wschodowi, a rzadko ku drodze zwrócone; lubo mu góral tłumaczył powód: „Oto, zeby nam w nocy jaki pijany debeł, idąc drogą, syb nie wybijał.”

Ciekawe czytamy wiadomości o obszernych domostwach bezkominowych, o chowie bydła, pasterskiém życiu; a nieznanne szczegóły o *śdach rugowych*, i dawnych *patrymonialnych*, poparte miejscowemi dokumentami, nieochojētne są dla prawodawstwa krajowego. Autor korzysta z każdéj sposobności, i urozmaica swoje opisy ustęпами ciekawemi, prawie w każdym rozdziale. Tak podaje nam *Dumkę góralską* w narzeczu właściwém o *sierocie*, którą w polu podstłuchał; to daje pamiętkę prawdziwą, o namiętnej, szalonéj miłbóci żydówki do młodego górala; to o bandzie sławnego rozbójnika *Proczpaku*, Słowaka, co się zawił w tych okolicach około r. 1790, i postrachem je napelnił. Wielbićciel płci pięknej, zakochał się w jednéj z dwóch córek dziedziczki wioski, przebierał się aby ją widziéć, aż raz, kiedy właśnie wśród licznych gości bawiono się wesoło we dworze, wszedł w to grono radosne, przestrojony z przepychem, i uzbrojony należycie. Kiedy się wszyscy przestraszyli, Proczpak najgrzeczniej prosił do tańca pannę, którą kochał. Dziewczę ochłonawszy ze strachu, podało mu dłoń białą, a bandyta z węgierska rozpoczął taniec w skokach i przysiadach. *Nakicawszy* się do woli, wypiwszy zdrowie matki i córki, na szyję tanecznicy swojej włożył ciężki złoty łańcuch, i opuścił dwór spokojnie. Zginął, jak podobni mu bohaterowie—na szubienicy, zdradzony przez zazdrosną kochankę ze wsi Kamecznicy.

W rozdziale ostatnim wymownie malując autor namiętne przywiązanie do rodzinnego gniazda górali, wyborny stawia obrazek powracającego do domu wojaka.

Mały słowniczek wyrazów i wyrażéń góralskich objaśnia ustępy, przez autora podane w narzeczu tameczném.

Z całego dziełka wybija prawdziwe uczucie autora dla tego ludu, dążność usilna w rozpoznaniu charakteru w każdym odcieniu, badanie sumienne szczegółów; a wiele ustępów oddanych z życiem, prostotą a prawdą, nadają téj pracy pana L. D. wdzięk i zajęcie ciekawe w czytaniu.

Warszawa, d. 20 października 1851.

K. Wł. W.

Odpowiedź p. T. Sierocińskiemu na jego krytykę mojej Grammatyki, umieszczoną w Bibliotece Warszawskiej za miesiąc listopad r. b.

Po pilném odczytaniu uwag p. T. Sierocińskiego nad moją Grammatyką, winienem odpowiedzieć na zarzuty i usprawiedliwić układ przyjęty w mojem dziełku. W odpowiedzi mojej trzymać się będę tego samego porządku, w jakim następują postrzeżenia recenzenta; być może, że zdołam inaczej zapatrujących się na rzecz, przekonać mojemi dowodami, jeżeli zaś to nie nastąpi, przynajmniej dowiodę, że miałem mój własny pogląd na przedmiot, o którym mowa, i nie poszedłem lekkomyślnie za mojemi poprzednikami, powtarzając za nimi błędy, jakie im zarzucają. Wreszcie mając na celu podać młodzieży książkę elementarną, z którejby najprostszą drogą otrzymała korzyści, odnoszące się do poznania swego języka, starałem się przedewszystkiém o wykład prosty i jasny, usuwając z niego to wszystko, co jój pod tym względem utrudzało pojęcie. Czas pokaże, czy książka moja rzeczywiście jest użyteczną: wszakże nie robiłem ani szumnych ogłoszeń przed jój wyjściem, ani starałem się przed jój ukazaniem, aby przez Władzę do użycia była naznaczoną: poddałem ją pod swobodną opinią publiczną, aby dowiedzieć się o jój wartości. Dlatego téż, chociaż szanuję szanownych krytyków i zdania ich bardzo ważę, jednak czekać będę na sąd publiczny, a raczej na pożytki dla uczących się, i czy im nabycie tych pożytków ułatwioném będzie.

Inna rzecz pisać książki elementarne i rozprawiać o ich wartości w uczonych krytykach, a inna, z tych książek uczyć dzieci. Często się zdarza, że książka elementarna, która się zdawała wyborną w teoryi, pokaże się nieużyteczną w praktyczném nauczaniu. Można mieć naukę, a nie umieć jój udzielić drugim, a jeszcze dzieciom, bo tu trzeba wiele warunków połączyć: trzeba zniżyć się do ich pojęcia, trzeba wyszukiwać środków, aby to pojęcie ułatwić, a szczególniej trzeba być baczny w wykładzie, w którym wszystko powinno się widomie wiązać, łączyć i wspierać. Uczony pisarz dzieła elementarnego, musi często dla jasności wykładu, poświęcać wiele swoich oderwanych widoków, drobiazgowych postrzeżeń, śmiałych pomysłów, aby nie zepsuł jedności dzieła i nie zaciemnił tego, co musi być jasném, jeżeli ma być zrozumiałém. Szczególniej téż w nauce takiej jak grammatyka, najłatwiej albo rozproszyć i utopić istotę rzeczy w szczegółach, albo nie związawszy wszystkiego

jednością zasady, nie doprowadzić nigdy uczącego się do ogólnego widoku nauki, co przecież powinno być koniecznym celem umiejętności. Kto przyjdzie do takiego ogólnego widoku zdolności swojego języka, będzie umiał utworzyć z niego dokładne narzędzie do wyrażania swoich myśli, a znając zasadę ogólnego mechanizmu mowy, potrafi wszystkie szczegóły i wątpliwości sam wyjaśnić i prawdziwą naznaczyć wszystkiemu przyczynę. Brak takiego celu i kierunku w naszych grammatykach, jest przyczyną, że nie znając ani ducha, ani zdolności naszego języka, zatrudniamy się drobiazgami i tych jeszcze objaśnić sobie nie możemy: ten nie chce *Drezna* ale *Drezdna*, tamten mu zaprzecza; ten pisze *joty*, tamten je wyrzuca; ten miękczy spółgłoski, choć nikt ich miękko nie wymawia, tamten boi się zmienić głoskę w zakończeniu wyrazu, bo podług jakiejś wymarzonej formy tak być nie powinno. Ale niech nauka swojego języka będzie obrazem obecnego jego rozwoju, niech przedstawi jego dostatki i zasoby, niech ukaże zasadę i podstawę jego możliwego doskonalenia, a znikną drobiazgowo spory około kropek i kresiek, około ilości form na przypadkowanie i czasowanie, około pierwszeństwa dla tego lub owego trybu i czasu; uczący się nabędą rzetelnych znajomości swojego języka i ustanie niepewność w przyjęciu tego lub owego przepisu.

Daleki jestem od mniemania, abym w książce mojej uczynił zadość wszystkim warunkom, których wymagać należy od dzisiejszych grammatyków; że jednak miałem na celu przedstawić nie *zbiór uwag*, nie *prawidła mówienia i pisania po polsku*, ale zwięzły obraz zasobów i dostatków języka, objawiających się w łatwości jego form, w giętkości jego mechanizmu, o tém starać się będę przekonać szanownego recenzenta, odpowiadając przytém szczegółowo na jego zarzuty.

Na wstępie swojej recenzji, p. S. wymienia grammatyków, z których dzieł mogłem korzystać; zapewne, najgorzejby ten wyszedł, ktoby chciał być oryginalnym w takiej nauce jak grammatyka; ale i ten najmniepotrzebniej hrałby się do pióra, ktoby do niej żadnego sprostowania lub ułatwienia, lub lepszego układu nie wprowadził. Są też i pochwały, że nie zbytuję w użyciu *j*, że m. Zochowskiego nie przejął urojonego stopniowania w rzeczownikach *koń, konik, koniczek*, że nie piszę błędnie wyrazów *wzjąć, wzjęty* i t. p.; jest i życzenie, aby ta najnowsza grammatyka ulepszoną została w następném wydaniu, na które zasługuje, mianowicie Część III. W szczeróść życzenia wierzę, za pochwały dziękuję, ale wolałbym za co innego je słyszeć, a nie za takie bagatele. Tymczasem następuje szereg ważnych napozór zarzutów, które recenzent zaczyna od pierwszej stronnicy mojej książki.

Zarzuca mi recenzent, że zbyt ogólne a zatem niedokładne zrobiłem oznaczenie *grammatyki polskiej*, że to jest *nauka języka polskiego*, ho nauka języka nie kończy się w grammatyce. Właśnie ja sądząc, że nauka języka kończy się w grammatyce, zrobiłem najobszerniejszą jój definicyą, naukę bowiem np. stylu, logikę, retorykę, wzory piśmiennictwa, wcale za naukę języka nie uważam; a toż gdybym do wyrazu *nauka* dodał np. określenie *mówienia i pisania dobrego po polsku*, tobym ścieśnił niezmierznie znaczenie grammatyki; nie mogłem też nazwać jój *zbiorem*

uwag, prawideł, bo w zbiorze może nie być żadnego ładu i systematu, gdy tymczasem *nauka* zwłaszcza *języka*, wymaga najściślejszego związku i następstwa w całym układzie. I zaraz powiedziawszy, że *grammatyka* jest *nauką języka*, mówię do czego służy *język* czyli *mowa*, dalej, z czego się składa *mowa*, czém są jej części, ile ich jest, jak się wyraża między niemi związek, i przychodzę do potrzeby końcówek i ich odmian.

Takięto ściśle następstwo uwag starałem się zachować w całym dziełku, i dlatego prócz ważniejszych nadpisów, nie ma w niem, ani rozdziałów, ani paragrafów, na co recenzent zwrócił uwagę, ja zaś zrobiłem to umyślnie, aby przez działy i podziały nie psuć związku tam, gdzie go najwidoczniejszym zrobić należy. Pytania zaś na końcu każdej Części grammatyki umieszczone, na które, aby odpowiedzieć, trzeba poznać, co się w książce mieści, zastąpić mogą tak zwane rozdziały i paragrafy.

Wyliczając części mowy, nie przytoczyłem zaraz przykładów, jak to recenzent mieć chce, bo przykłady dopiero wtenczas mogą być zrozumiane, gdy się powie, jakie jest znaczenie każdej części mowy.

Zarzuca mi recenzent, że nie logicznie podzielił grammatykę na trzy części, z których druga, jest prawie wszędzie niedokładnym rozwinięciem części pierwszej.

W Części I mojej Grammatyki wskazałem szczegółowo znaczenie części mowy, a na przykładach podałem naukę odmian, nie wdając się wcale w rozumowania nad temi odmianami, ani objaśniając ich mechanizmu. W Części II wypadło koniecznie okazać, jak się robią odmiany, objaśnić wszelkie nieforemności pozorne, które pochodzą z koniecznej zamiany głosek na głoski, do czego system głoskowy Mrozińskiego wybornie mi posłużył: tu więc następują szczegółowe postrzeżenia nad każdą formą przypadkowania i czasowania, z czego jeszcze wynikła potrzeba zastanowienia się nawet nad znaczeniem pojedynczych głosek i zakończeń, a wyciągnięte ztąd postrzeżenia, posłużyły mi do ułożenia wzorów, podług których można formować nowe wyrazy i odmieniać ich znaczenie. Ta część grammatyki tak ważna, dotąd pomijana w tego rodzaju dziełach, może służyć za wykład dla uczniów klasy II, którzy w I nauczyli się tylko odmian na przykładach, nie wiedząc jeszcze wcale, jak wytłumaczyć osobliwości tych odmian. Sądzę więc, że plan II części mojej Grammatyki jest wynikłością konieczną z części I i że osiągnięte zadanie, aby nauczyć uczniów rozbioru każdej części mowy, czego dokładnie nigdy zrobić nie potrafią, dopóki im w teorii nie będzie ukazana cała anatomia wyrazów wchodzących do mowy i ich znaczenia, dopóki nie poznają środków, jak to znaczenie uwiecznione zostało w kształty głosek, w pierwiastkach wyrazowych i zakończeniach. A więc nauka *składnia* musiała stanowić część IIIcą ogólnego planu grammatyki, bo uczeń znając pojedyncze wyrazy, ich znaczenie, odmiany i części służące do wyrażania związków, teraz dopiero łatwo zrozumieć użytek całego mechanizmu, gdy się złoży całość, stanowiąca narzędzie do wyrażania myśli. I gdzież jest nie logiczność w podziale mojej Grammatyki? mniemałem, że przynajmniej tego zarzutu nikt mi nie zrobi.

Powiedziałem, że związek między wyrazami *utrzymuje się za pomocą końcówek*, część też pierwsza Grammatyki jest nauką samych tylko

zakończeń, których usługa później pokaże się w *składni*. P. S. zdaje się zaprzeczać mojemu twierdzeniu, a jednak jestto prawda jedna z tych, których nie można dosyć powtarzać, jeżeli uczących się zamierzamy przywieść potem do ogólnego widoku zdolności języka. Później, gdy z kolei przyszło mówić o *przyimkach* i *spójnikach*, okazałem, że i tych cząstek inowy przeznaczeniem jest utrzymanie związku między wyrazami. Ponieważ zaś 7 przypadków nie wystarcza, potrzeba więc utworzyć nowe przypadki przez dodanie nowych końcówek. *Te nowe końcówki kładą się przed imionami, i dlatego nazywają się przyimkami*. P. Sierociński oderwał to ostatnie wyrażenie od poprzedzającego i chcąc okazać rzecz *dziwną* i *niesłychaną*, powiedział, że ja przyimki nazwałem *nowemi końcówkami*. Nadmienilem już, że w mojej książce starałem się o ścisły związek i następstwo w postrzeżeniach nad językiem, i dlatego zdanie odcięte od tych, które je poprzedzają, może się wydać dziwnym i niesłychanym, ale nie będzie takim w połączeniu z niemi.

Dlaczego wyrażenie: *rzeczownik jestto nazwisko osoby lub rzeczy* ma być u recenzenta bardzo niedokładnym oznaczeniem tej części mowy, nie pojmuję; bo na pojęcie oderwane, wyrażenie najogólniejsze jest koniecznym; wyszczególniając zaś dopiero rozmaite rzeczowniki, i znaczenie ich określiłem szczegółowo. Ten sam porządek zachowałem mówiąc i o innych częściach mowy. Ponieważ zaś imiona rodowe jedne biorą zakończenia rzeczowników, drugie przymiotników, a poznanie różnic w zakończeniach, stanowi główne zadanie Części I grammatyki, nie więc dziwnego, że *Sapieha*, *Fredro* są nazwane rzeczownikami rodowymi, a *Sobieski*, *Potocki* policzone między przymiotniki rodowe.

To com powiedział, wyliczając odmiany rzeczowników, że *każdy rzeczownik bierze rozmaite końcówki* czyli *odmienia się przez przypadki i liczby*, a te końcówki, że są albo męskie, albo żeńskie, albo nijakie, nierównie jest prostsze i jaśniejsze, niż długie rozdziały i paragrafy o *rodzajowaniu*, *przypadkowaniu*, *liczbowaniu*, któremi grammatycy zapychają swoje dzieła, a których to rozdziałów dzieci wcale nie rozumieją. Zresztą, tak zwane *rodzaje*, zależą na różnicy zakończeń, zależą od zwyczajów lub znaczenia wyrazu; że zaś zwyczaj dzieciom polskim jest wiadomy, idzie więc w tak zwanym *rodzajowaniu* tylko o pokazanie im różnicy w zakończeniach męskich, żeńskich i nijakich. Ztąd jeszcze powstało i to moje wyrażenie, że wyraz *bierze zakończenie*, a nie *ma*, bo wybór tu zależy od zwyczajów, i często prawidłom grammatyków jest przeciwny.

Recenzent radzi mi, aby rodzaj *nijaki* nazwać *nieoznaczonym*, ale daruję, że tej rady nigdy nie usłucham, bo już to z całego dzieła mojego mógł dostrzedz, że nienawidzę nowych wyrazów, zwłaszcza w nauce, do której jeszcze Kopczyński tak wyborną wprowadził nomenklaturę; zresztą, ciekawy jestem po co rzeczy dawno znane nazywać nowemi wyrazami? czy na tem nauka zyska? czy autorowie? Biada nauce, którą codzień w nowe sukienki chcą stroić.

Nie zgadzam się z p. S. że dla nauczania przypadków, należy najprzód uczyć uczniów pytań, po których je rozpoznać mają; doświadczenie wieloletnie przekonało mnie, że uczeń polegając na pytańach, i że za ich

pomocą zawsze odgadnie odpowiedź, nie uważa na końcówki, których wyuczyć się powinien, i dlatego też wszędzie końcówki pooddzielałem od pierwiastków wyrazowych, aby były widoczne i utkwiły w pamięci uczących. Później dopiero, po przedstawieniu form, podałem pytania po których się przypadki rozpoznają i wskazałem zakończenie w przypadku 2 lub 1, po których można oznaczyć formę, i nie zdarzyło mi się dostrzedz, aby uczeń tym sposobem szukając formy wpadł na myśl, że to samo imię może należeć do dwóch różnych form.

Podwójne i potrójne zakończenia dla imion ludzkich w przypadku 1 l. m. odróżniłem w Części II, jak to recenzent mieć chce; w Części zaś I zaraz po formach, nadmieniłem tylko, które z tych zakończeń są męskie, a które żeńskie, aby wczesnie zwrócić uwagę uczących się na tę różnicę; a więc postrzeżenie recenzenta nad tym przedmiotem może jest zbyt-czno. Ale co mnie mocno dziwi, to twierdzenie p. S. że liczebniki *dwóch*, *pięciu*, *wielu*, nie są pierwszymi przypadkami; później w składni jeszcze raz o tém pomówimy, teraz tylko następujące przedstawie okoliczności. Liczebniki są imionami zbiorowemi nieokreślonymi; bo widzimy, że potrzebują określeń w przyp. 2; mówi się bowiem: *dwóch braci*, *sióstr dwie*, *pięciu braci*, *pięć siostr*, *wielu uczniów*, *wiele książek*, i t. p.; jeżeli więc *dwie*, *pięć*, *wiele*, są liczebnikami w przyp. 1, w jakimże przypadku są użyte liczebniki *dwóch*, *pięciu*, *wielu*? Toż widoczna jest rzecz, że *dwóch* *dwa* i *dwie*, *pięciu* i *pięć*, *stu* i *sto* są te same przypadki, i ta tylko między nimi różnica, że *dwóch* używa się przy imionach ludzkich męskich, *dwa* przy wszelkich innych, *dwie* przy wszelkich żeńskich; podobnie *pięciu*, *stu*, przy ludzkich męskich, *pięć*, *sto*, przy wszelkich innych.

W składni, gdy przyjdzie zgadzać słowo z przedmiotem, wyrażonym przez liczebniki, znajdzie się jeszcze nowy dowód na potwierdzenie mojego postrzeżenia. Już i w Muezkowskim jest coś podobnego; już on *pięciu*, *stu* przyjmuje za 1 przypadek, a więc i *dwóch*, *trzech*, *czterech* muszą do tej samej kategorii należeć. Pozwolę sobie teraz wytłumaczyć przyczynę twierdzenia recenzenta: oto zwiódło go podobieństwo zakończeń w przyp. 1 i 2; nie chce wierzyć, aby *dwóch*, *pięciu*, *stu*, i t. p. miały być przypadki 1, dlatego że w 2 przyp. jest także *dwóch*, *pięciu*, *stu*.

Mówiąc o stopniowaniu przymiotników, recenzent przytacza ostatnie moje twierdzenie: „Nie stopniują się nigdy przymiotniki *własne*, *rodowe* i *liczbowe*”, ale gdyby je był połączył z poprzedzającym, nie byłby mi zrobił uwagi, że także i *ojcowski*, *ogrodowy* nie stopniują się.

Oznaczenie zaimka w znanych grammatykach, że *zastępują imię* jest zupełnie niedostateczne; musiałem więc powiedzieć, że albo je zastępuje, albo tylko określa, albo i zastępuje i określa, inaczej ani podziału zaimków, ani ich użytku nigdy uczący się nie zrozumieją. Nic więc dziwnego, że ten sam zaimek raz jest osobistym, drugi raz wskazującym, albo nieokreślonym; wynikło to z definicyi przeznaczenia zaimków.

Przyszedłszy nareszcie do uwag p. S. nad *słowem*, a w szczególności *czasowaniem*, które ja, uszczęśliwiony mojemu odkryciami, za arcydzieło uważałem, a któremu recenzent żadnej zalety nie przyznaje. Smutną rzecz widzieć swój układ, swój systemat nauki z taką oględnością obmy-

ślany, przez tyle lat wypróbowany, teraz uznany za błędny, wadliwy. bo zasada jego ma być wąta.

Że u mnie jest zasada, na to się i pan S. zgadza; idzie tylko o to, czy prawdziwa, czy fałszywa; jeżeli prawdziwa, posłuży do wytłumaczenia wszystkich trudności w mechanizmie słowa, jeżeli fałszywa, zagmatwa i to, co dotąd było jasne. Aby ukazać uczącym wszystkie grammatyczne odmiany słowa, które jakby z jednego pnia wyrosły i do rozmaitych użytków w mowie służą, stawiam im przed oczy *pierwiastek* słowa, pozbawiony wszelkiego zakończenia; następnie oznaczywszy stałe końcówki dla trybów, osób, imiestów, oznaczywszy jaką głoską znaczy się pojęcie przeszłości, różnica rodzajów, liczb, pokazuje, jak te wszystkie końcówki harmonijnie zlewają się z pierwiastkiem słowa i tworzą z tój części mowy, że tak się wyrażę *małą mowę, język na małą skalę*.

Słowo, to już cała mowa, to mądrość ojców zawarta w głoskach milezących i niemych, ale niech tylko padnie ozywające światło na te tajemnicze hieroglify, a opowiedzą mądrość, której strzegły. Otóż mówiąc bez przesady, aby wyszukać tój mądrości *słowa*, utworzyłem prawdziwą anatomią jego, owego bogactwa mowy naszej, które tak słusznie podziwiano; starałem się pokazać wartość tego bogactwa.

Widzieliśmy już, że aby utworzyć naukę *słowa*, potrzeba mieć *pierwiastek* i znać wszelkie możliwe *kończówki*, które przybierać może; jeżeli gdzie końcówka z trudnością łączyć się będzie z pierwiastkiem, użyjemy głosek eufonicznych, które ja nazwałem *pośredniemi*. Z pierwiastka nie ginie, bo tam jest: *myśl, duch słowa*, może tylko zginąć *jota*, najulotniejsze ze brzmień spółgłoskowych, jak się to i w imionach trafia; ale w pierwiastku może się zmienić samogłoska; bo ona nie stanowi treści myśli w języku ludów północnych, i dlatego też w naszym języku układ spółgłoskowy tak jest ważnym. Powiedziałbym, że spółgłoski sąto *częstki myśli zawartej w słowie*, tak jak wyrazy są *częstkami myśli zawartej w mowie*. Z tego stanowiska spojrzymy teraz na najpiękniejszy utwór mowy, *słowo*, utwór nie wiem czy człowieka, bo jest Boski, a ujrzymy tam wiele rzeczy nowych do podziwu.

Pierwiastek, niby pierwocina słowa, jest często jednozgłoskowy, często także mający za ostatnią głoskę, najulotniejszą *jotę*, np. *myśl, czyn, tłum, stan, chwał, kraj, błagaj*. Często pierwiastek słowa jest zarazem pierwiastkiem imienia, do czego albo żadnej zmiany robić nie trzeba, np. *myśl, tłum, kraj*, albo tylko dość zmienić ostatnią spółgłoskę na twardą, np. *czyn, stan*. Jeżeli do tak wynalezionych pierwiastków, przyłączymy, np. zakończenie *ć*, i użyjemy za głoski pośrednie *a, e, i, y*, będziemy mieli cztery najforemniejsze wzory na czasowanie słów, np. *kraj-a-ć, myśl-é-é czyn-i-é, wierz-y-é*. W pierwszym tylko wzorze czyli formie, pierwiastki zwłaszcza dwuzgłoskowe, zakończone na ulotną *jotę*, gubią ją, przez co odstania się samogłoska *a*, i z nią już łatwo spajają się końcówki spółgłoskowe, np. *blaga-(j) é, blaga-m*; w 3ciój zaś osobie licz. mn. ponieważ koniecznym jest samogłoskowe zakończenie *a*, więc *jota* powraca, np. *blagaj-a*.

Jeżeli mamy gdzie podwójne zakończenie dla tój samój osoby, jak np. dla 1 l. p. czasu teraźniejszego *ę* lub *m*, a więc gdy *jota* z pierwiastka

ubywa, *m* stanie obok odkrytej samogłoski; gdy *jota* nie ginie lub gdy pierwiastek kończy się na inną jaką spółgłoskę, wtedy zakończenie samogłoskowe *e* będzie koniecznym.

Gdy ostatnia głoska w pierwiastku zawsze jest spółgłoską, a pierwsza w zakończeniu także jest spółgłoską, używa się dla ich połączenia głosek pośrednich, np. *myśl-e-my*, *czyn-i-cie*; nie dlatego, aby były konieczne, ale aby odróżnić odmiany czasu teraźniejszego od odmian trybu rozkazującego, w którym pośrednich nigdy się nie używa, np. *blagaj-my myśl-cie*, i w pierwiastku nawet *jota* zostaje.

Głoski *pośrednie* używane do spojenia końcówek z pierwiastkiem, są stosowne do każdej formy; głoski takowe nie są jednostajne we wszystkich odmianach i osobach tego samego słowa, a nawet tego samego czasu, bo jako samogłoski ulegają wpływowi spółgłosek i zmieniać się mogą stosownie do tego wpływu, albo uwagi na monotonią i harmonią, i dlatego np. w formie 2 w osob. 1 l. m. mówimy: *myśl-e-my*, a nie *myśl-i-my*, aby przerwać monotonią trzech sylab, jednobrzmiącą samogłoskę mających, zwłaszcza że *e* jest już pośrednią i w trybie bezokol. *myśl-é-é* i w czasie przeszłym a w liczbie mnogiej także na *e* przechodzi, np. *myśl-a-łem*, *myśl-e-liśmy*. Różnica głosek pośrednich stanowi różnicę form. W 3 oso. li. poj. czasu teraz. nie ma szczególnych, odrębnych zakończeń, więc głoski pośrednie właściwe każdej formie, zastępują zakończenia.

W czasie przeszłym szczególniej skomplikowany jest mechanizm odmian słowa, a jednak pełen harmonii i prostoty. I tu pierwiastek słowa łączy się najprzód z głoską cechową *ł*, którą można by uważać niby za hieroglif przeszłości, za połączenie zaś jęj z pierwiastkiem statecznie służą w formie 1 i 2 samogł. *a*, w 3 *i*, w 4 *y*. Po głosce *ł* wyobrażającej czas kładzie się samogłoska wyobrażająca *rodzaj*, a po tej dopiero głoska wyobrażająca *osobę*. Oto cząstki sądu naszego, *oznajmującego* nauki przeszłości: *myśl-a-ł-e-m*.

Konieczną jest rzeczą aby pierwiastek w trybie rozkazującym zawarty, na czele każdej formy był postawiony, a po nim tryb bezokoliczny jako późniejsza z niego formacja, a w słowach mniej foremnych znacznie czasem od pierwiastku różna, i której osobliwości powtarzają się potem w czasie przeszłym, tak jak w teraźniejszym powtarza się sam pierwiastek, np. *bierz*, *bra-ć*, *bior-e*, *bra-łem*. Oto w pierwiastku głoski *b-rz* przedzielone samogł., w trybie bezokol. obok siebie stoją, w czasie teraźniejszym są więc rozdzielone, a w czasie przeszłym złączone, i cała nieforemność zależy tu na zamianie głoski pierwotnej *e* na *a*, i postawieniu jęj po spółgłoskach pierwotnych *b-r*. Ale ponieważ mamy już zasadę do śledzenia zmieniającej się postaci *słowa*, dlatego też nawet niekształtności tej postaci wytłumaczyć sobie możemy.

Tryb rozkazujący uważany pod względem źródłowym okazuje się pierwotnym, ale okaże się jeszcze takim, gdy sięgnemy myślą do kolebki narodów i ujrzymy człowieka wołającego, proszącego pomocy brata. Prośba o pomoc była pierwszą potrzebą, jak pierwszym poznaniem słabość nasza, i nazwanie trybu proszącego rozkazującym, musiało już



przez grammatyków być dokonaniem, którym i dziś często się zdaje, że ich rozkazów język słuchać musi.

Umieszczenie po trybie rozkazującym bezokolicznego w *nauce słowa*, nie przeszkadza, aby w słownikach ten ostatni przytaczać najprzód, jako twierdzenie bezwzględne. Tryb *łączący, życzący, warunkowy*, zawierają się tylko w znaczeniu spójników, a w formach czasowania figurują tylko dla pokazania, gdzie się wtedy końcówki osobowe umieszczają, i podobnych trybów możnaby tyle natworzyć, ile jest spójników wyrażających okoliczności podrzędne, zawisłe od sądu głównego; bo jak przyimki służą niby do utworzenia nowych przypadków, tak spójniki do utworzenia trybów.

Imięstowy sąto znowu inne formacje słowa: zakończenia ich przymiotne łącząc się z pierwiastkiem, nadają słowu znaczenie przymiotu, a czas niesobisty, najpodobniej-zy formacją do imiesłowu biernego, przy nim też w układzie czasowania stoi.

Formy czasowania służą do uporządkowania systematu odmian; możnaby ich i więcej jak 4 utworzyć, gdybyśmy z takich nieforemności jak np. *pracuj, pracować, jaśnień, jaśnieć, gin, ginąć, piel, pleć, rwij, rwać*, chcieli układać wzory czyli formy; tu uwaga na pierwiastek i odmianę jego w trybie bezokolicznym, będzie dostateczną, aby się nie pomylić w innych odmianach.

W niektórych słowach nieforemnych pierwiastek sam się nie używa, np. *móż, mus, wol, widz*, ale dlatego nim być nie przestaje, i *dziwaczynym* będzie tylko dla tych, którzy mojego systematu nie przyjmują.

Po takim objaśnieniu układu mojego czasowania, na szczególne zarzuty recenzenta odpowiadać nie będę; przyjąwszy bowiem stałą zasadę, wytłumaczyłem odmiany słowa; niechże grammatycy w swoich dziełach pokażą mi coś podobnego, co by za sobą miało tyle cech pewności, a wyrzeknę się mojego układu.

Nad II-gą częścią mojej grammatyki, recenzent nie robi żadnych uwag, bo zdaje mu się, że szczegółowe wywody są naciągane do mylniej zasady, źle upatrzonych pierwiastków. Logicznie sobie postąpił, bo skoro nie uznał mojej zasady odmian, nie mógł więc rozbierać szczegółowych postrzeżeń nad ich mechanizmem. Ja chciałem na jaw ukazać wszystkie możliwe zdolności wyrazów, i dlatego całą część II-gą poświęciłem tego rodzaju badaniom, których wypadkiem są: prawa odmian na wyrażanie stosunków między częściami mowy i prawa na odmiany ich znaczenia.

Przystępuje nareszcie recenzent do ocenienia części III, którą uważa, zapewne tylko przez grzeczność, za najlepiej obmyśloną w porównaniu z częścią I i II. Otóż nie mogę wierzyć w pochwałę mojej *składni*, jeżeliby zarzuty, które recenzent zrobił, miały być sprawiedliwe. Zobaczmy, jakie one są.

Powiedziałem: *Mowa składa się ze zdań czyli myśli*, recenzent postrzega, że co innego jest zdanie, a co innego myśl; prawda, ale zdanie jest kształtem widomym myśli, a odróżnienie w tym względzie właściwie należy do logiki, w składni zaś, gdzie idzie tylko o najłatwiejsze dla

pojęcia dzieci definicyo, postawienie tych dwóch pojęć obok siebie, bardzo do powyższego celu pomaga.

Zdanie składa się z przedmiotu i opowiednika. W opowiedniku mieści się albo przymiot i łącznik, albo słowo. Recenzent postrzega, że nazwania *przedmiot, opowiednik, przymiot* są nieszczęśliwie dobrane. Już w przypisku umieszczonym w Grammatyce na str. 90 tłumaczyłem się, dlaczego wyraz *przedmiot* uważam za najdokładniej przedstawiający to, o czém sąd wydajemy. Tymczasem u grammatyków naszych w jakiejś nienawiści jest ten wyraz; powiadają, że on co innego znaczy w powszechném rozumieniu. Aby tego dowieść, recenzent przytacza przykład: *widzę las*, i powiada, że tu przedmiotem widzenia jest *las*; prawda, ale tu nie idzie o przedmiot widzenia, ale o przedmiot *sądu* wyrażonego w słowie *widzę*, a ten przedmiot zaraz uczący postrzega, gdy usłyszy część zdania, zwałą *opowiednikiem*, a uwaga jego nawykła do szukania wszędzie *przedmiotu sądu*, będzie potém bacniejszą na wszystkie nawet czyny i postęпки człowieka. To co uzupełnia pojęcia zawarte w opowiedniku, co ja nazwałem jego *dopełnieniem czyli rzędem*, nigdy uczący za przedmiot sądu nie weźmie, bo to wreszcie nie stanowi koniecznej części zdania; wszakże *dopełnienie* może być, może nie być, więc chyba tylko owi średniowieczni u recenzenta grammatyce, co się dosyć naczitali o łacińskich *objektach*, wezmą wyraz *las* za przedmiot sądu objawionego w słowie *widzę*. Podług mojej zaś grammatyki, w słowie *widzę*, jest sąd o przedmiocie *ja*, a w wyrazie *las*, jest dopełnienie widzenia. Zresztą, o co tu idzie? o wyrazy, których znaczenie jest konwencyonalne; w użyciu ich starajmy się więc, abyśmy nietylko siebie rozumieć mogli, ale żeby nas rozumieli wszyscy.

I wyraz *przymiot* oznaczający część składową opowiednika, nie podobna się recenzentowi, a wszakże sąd nasz o *przedmiotach* składa się z przymiotów w tych rzeczach postrzeganych, wszakże rozróżniamy rzeczy tylko po ich przymiotach, które jakby z niemi zrosły i razem bytują, a te przymioty wyrażać możemy wszystkiemi częściami mowy (oprócz przymioków i spójników). Otóż wszelką własność *przedmiotu* czy opowiadając ją użyjemy rzeczownika, przymiotnika, imiesłowa, trybu bezok. lub przysłówka, nazwałem *przymiotem*, któryto wyraz, zdaje mi się, najszczęśliwiej tu użyty został, bo go łatwo rozumieć, tak łatwo, jak *przedmiot*, a ja chciałem żeby inni wszyscy rozumieli. Ale co jeszcze: aby pokazać, że *słowo* samo może zastąpić *opowiednik*, mówię, że mieści w sobie *imiesłów*, czyli, że ma w sobie gotowy *przymiot* i domyślne wyobrażenie *bytności*; recenzent i to nazywa błędném wyrażeniem; to już nie wiem, co będzie więcęj prawdziwém.

Wyraźnie także oznaczyłem na str. 90, czém się wyraża *łącznik*; recenzent zarzuca mi, żem tego nie zrobił; tak ważnego opuszczenia w układzie nauki, która ma przedstawić wprawdzie nie sztukę porządnego myślenia, ale jego kształty w formach mowy, nigdybym sobie nie przebaczył.

Słuszna uwaga recenzenta, że w tém np. zdaniu: *mięj litość nad nieszczęśliwemi*, dopełnienie *litość*, zależy od słowa *mięj*, ale drugie dopełnienie *nad nieszczęśliwemi* zależy nie od słowa *mięj*, ale od rzecz-

wnika *liczebność*. A więc w mojem twierdzeniu o dopełnieniach jest tylko niedokładność, należy bowiem jeszcze dodać, że dopełnienie może nie tylko od słowa, ale i od innych części mowy zależeć, a w prawidłach rzędu potrzeba szczególnie takie zdarzenia wykazać.

Otóż znów przychodzimy do liczebników *trzech, czterech, pięciu, dziesięciu, wielu*, które ja uważam za imiona zbiorowe w przypadku 1 określające się rzeczownikami w przypadku 2 i z którymi się słowo zgadza, jak ze zbiorowemi rodz. nijakiego. P. S. chce imiona określające te liczebniki uważać za wyrazy główne, ma się rozumieć za *przedmioty* zdania, ale zaraz dodaje, że to tylko wyjątkowo; w takim razie, pytam go, z czém się zgadzać będzie słowo, gdy i liczebnik i jego określenia będą położone w przypadku 2? A więc żeby nie tworzyć wyjątkowych praw, tam gdzie jest najwidoczniejsza jedność tej samej zasady, liczebniki *dwóch, trzech, pięciu, stu*, uważam za przypadek 1szy i słowo do nich odnoszę, a nie do imion określających je, i tak robię zawsze, ile razy przedmiotem jest np. przysłówek albo tryb bezokoliczny, a wszakże i z niemi słowo tak się zgadza, jak z liczebnikami, np. *dwóch ludzi poszto, dość ludzi poszto, iśe było obowiązkiem*.

Liczebniki początkowe *dwa, dwie, trzy, cztery*, ponieważ nie określają się przyp. 2gim ale 1szym, czyli mają przy sobie tak zwaną adpozycyę, a więc słowo jest teraz z czém zgadzać, bo jest przypadek 1szy, np. *dwa domy zgorzały*; ale niech tylko liczebnik zbliży się do słowa, a określenie jego zamieni się na przypadek 2gi; oto co się ze słowem zrobiło? już ono nie z pojęciem *jakości*, ale z pojęciem *ilości* się zgadza, np. *domów dwa zgorzało*. A więc ogólne prawidło na zgodę słowa z liczebnikami jest: jeżeli są określone imieniem w przypadku 2gim, słowo zgadza się z niemi, jak ze zbiorowemi rodz. nijakiego; jeżeli zaś są określone imieniem w przypadku 1szym, słowo zgadza się z określeniem.

Aby nauczyć mechanizmu zdania, trzymam się zawsze jednej zasady, zawsze okazuję gdzie jest *przedmiot* dla *sądu*, i wolę go koniecznie widzieć, niżeli zamykać na niego oczy, dlatego, że niby wyraz mający go oznaczać, niebardzo ma końcówkę podobną do przypadku 1go, który sam tylko ma przywilej, że w nim się *przedmiot* przedstawia. Nigdy także za przedmiot nie wezmę określeń w przyp. 2gim, choćby w nich mieściły się i najgłówniejsze pojęcia, bo w takim razie musiałbym się udawać do wybiegu, o którym recenzent wspomina: otóż w naszym języku rząd zastępuje miejsce zgody.

Zarzuca mi recenzent, że gdy się słowo odnosi do kilku przedmiotów, radzę, aby je zgadzać z domyślném imieniem *ludzie, kobiety, istoty, zwierzęta, rzeczy*, i że w tym względzie *przejąłem niegdyś poważny, a dziś powszechnie prawie zarzucony błąd Kopczyńskiego*. A mnie się zdaje, że Kopczyński bardzo logicznie postąpił, radząc zgadzać słowo z pojęciem, które w przytomnym umyśle sądzącego ogarnia rodzaj, liczbę, gatunek sądzonych przedmiotów, aniżeli, jak to nowotni grammatycy robią, nakazując dzieciom szukać *przedniejszego imienia* albo *przedniejszego rodzaju*, dla zgodzenia z nim słowa.

Nie wiem, dlaczego recenzent uważa opisy użycia i znaczenia przypadków bądź samych, bądź z przyiunkami za rzecz słownikarstwa; ja prze-

ciwnie uważam tę część składni za bardzo ważną, i wysoko cenię Jakubowicza za wzorowe jęj wypracowanie; bo czyż nie lepiej jest, aby nauczyć uczniów jak się robią dopełnienia i określenia, ukazać znaczenie przypadków samych i z przyimkami, niżeli np. wyszczególniać, czém każde słowo się dopełnia? To rzeczywiście tylko w słownikach da się zrobić; jednak i w grammatyce, chociaż w inny sposób wykonane być powinno. Prawda, że wszelkie podobne definicje przypadków i przyimków, jako pojęć ogólnych, są niezmiernie trudne i niedokładności pod tym względem recenzent w mojej książce podostrzegał; dlatego jednak, że to są rzeczy trudne, nie można ich odsyłać do słowników, gdy one wchodzą w zakres grammatyki.

Nie wiem, co może być jaśniejszego dla uczących się, nad taką definicją *zdania złożonego*: Gdy jedno zdanie łączy się z drugim, powstaje ztąd zdanie złożone. Zapewnio, byłoby to niedostatecznym, gdybym zaraz idąc od praw ogólnych do szczególnych, nie powiedział, jakie zdania wchodzą w skład zdania złożonego, i nie odróżnił, co są zdania *dopełniające*, a co *określające*. Recenzent, jakby tego nie czytał, powiada, że jak wyżej niedokładnie były odróżnione *dopełnienia* od *określeń*, tak teraz *zdania dopełniające* od *określających*, i na dowód tego przytacza, że zaimek *które* na str. 103 nazwany jest *dopełnieniem*, a na str. 137 w tym samym przykładzie *określeniem*. Tu jest maleńkie przeoczenie ze strony recenzenta. Na str. 103 jest mowa, czém jest zaimek *które* dla słowa, należącego z nim do jednego zdania, jest mowa, że bywa *dopełnieniem* dla tego słowa, ale jest *określeniem* dla imienia, które zastępuje i które do poprzedniego zdania należy, i z którym się tylko w rodzaju i liczbie zgadza; na str. zaś 137 jest mowa o zdaniu określającym, połączonym z głównym przez zaimek *które*. A więc zarzut niesprawiedliwy, bo zaimek *który* zawsze jest *określeniem* dla rzeczownika do którego się odnosi.

Recenzent chcąc pokazać sprzeczność w moich twierdzeniach, stawia je obok siebie i powiada: Autor na str. 129 mówi: *Słowa w zdaniu głównym kładzie się w trybie oznajmującym lub rozkazującym*, a na str. 133: *przy zdaniu głównym kładzie się spójnik warunkowy by*. Mniejsza o to, czy *by* jest spójnik warunkowy czy przyrostek, nad czém się recenzent rozwódzi, ale to niedobrze, że recenzent, tylko ostatni wiersz mojego przepisu przytoczył, i zrobił sprzeczność to, co jest bardzo logicznym. Ja wyraźnie wskazałem szczególny przypadek, kiedy i dlaczego w zdaniu głównym kładzie się *by*: oto, gdy zdanie dopełniające wyraża *warunek przypuszczony*. Kto spełnienia woli robi zależnym od warunku przypuszczonego, więc i to spełnienie jest także warunkowym, niepewnym; ale żeby nie gmatwać nauki stosunków między zdaniem, wołałem ten szczególny przypadek oznaczyć w taki sposób, że spójnik *by* kładzie się w zdaniu głównym, jako niepewnym, niżeli głosić, że tryb warunkowy może być w zdaniu głównym.

W nauce o łączeniu ze sobą zdań tak pobocznych z głównymi, jak i głównych z głównymi, poszedłem za wykładem najlepszych dzieł, które traktują ten przedmiot ze stanowiska logiki, a nie za wykładem grammatyków, którzy patrząc na zewnętrzne formy myśli, używane w języku,

nie odnoszą ich wcale do koniecznych zasad myślenia, i tworzą tyle cudackich nazwisk, na oznaczenie rozmaitych gatunków zdań. I dlatego upatrzwszy stosunki, jakie zachodzić mogą między myślami, odznaczyłem formy, jakie się na to wszystko znajdują w języku i podałem szczegółowe przepisy na łączenie zdań. — P. S. za nie tę moją pracę waży i dodaje: Nizeli wdawać się w niedokładne wyszczególnienie, kiedy i jak łączą się z sobą zdania główne, należało raczej podać naukę o składzie okresów.—A toż ze zdań składają się okresy, a nawet zdanie bez żadnych określeń wyrażone, może stanowić okres, jak to widzimy w stylu ucinkowym; więc umiając wiązać i łączyć zdania, umiemy tworzyć okresy, i budowy okresów inaczej nie pojmujemy, nie zbadawszy wszelkich możliwych stosunków między zdaniami, i nie nauczywszy się, jak one wyrażają się w mowie. I w składni nie można się więcej zajmować okresami tylko pod względem zdań je składających; uwagi zaś nad przymiotami okresu, jakimi są: jedność, całość, długość i t. p. należą nie do składni, ale do nauki stylu.

Tak więc prawa łączenia zdań głównych, są zarazem prawami budowy okresów, a przepisy, dotyczące *przecinkowania*, i wynikające z potrzeby robienia zawieszek głosu przy czytaniu lub mówieniu, muszą się stosować ściśle do gatunku zdań i stosunków, jakie między nimi zachodzą. Ale pan S. wyobraził sobie, że nauka okresów należy do składni, i nie znalazłszy w mojej książce nigdzie tego napisu: *składnia okresów*, pospieszył się z wyrzeczeniem, że o okresach nie powiedziałem, a przecinkowanie podałem prawie bez żadnej zasady. Albo i to także szczególny zarzut recenzenta, że opuściłem ważną naukę o używaniu trybów i czasów. Zaraz przekonam, jak wyżej, że nie kładąc napisów o użyciu trybów i czasów, powiedziałem jednak o tém wszystkiém. Tryb rozkazujący i oznajmujący służą do wyrażania zdań głównych, a więc ich użycie szczegółowych wskazań nie potrzebuje; inne zaś tryby zależą na umiejętnóm użyciu spójników wyrażających stosunek słowa do słowa; że zaś o użyciu spójników powiedziałem więcej niż ktokolwiek inny, a więc masz pan naukę o użyciu trybów.

O użytkach trybu bezokolicznego powiedziałem gdzie należało.

Dziwię się, że recenzent nie zrobił mi jeszcze zarzutu, czemu np. w mojej składni nie powiedziałem nic o *budowie wierszy*, o *miarach* i t. p., a wszak i o tém rozpisują się niektórzy grammatycy. Przyznaję, że jakkolwiek piękną jest rzeczą o wszystkiém wiedzieć i pisać, ja jednak zrobiwszy plan mojego dzieła i w wykonaniu jego trzymając się ścisłego następstwa uwag i postrzeżeń nad budową języka, o tém tylko mówić musiałem, co ścisły z mojm zadaniem i celem miało związek, i nigdy nie zrozumieć, jaki związek z grammatyką mogą mieć np. okresy pod względem przymiotów uważane, albo robota wierszy.

Za dostrzeżenie niektórych powtarzank w mojej książce, bardzo dziękuję recenzentowi, i jeżeli przyjdzie do zrobienia nowój edycji, postaram się, aby ich nie było.

W tym przykładzie: *Trzeba wzory brać za cel, aby zostać wzorem*, autor dostrzega najgorszy wybór, utrzymując, że zdanie takie zastosowa-

no do dzisiejszego pojmowania *sztuki*, będzie wstrzymywać polot i swobodę ducha. Ale trzeba pamiętać, że książka moja jest dla dzieci, które na takie stosowania powyższego zdania, nigdyby się nie zdobyły; a i w *sztuce* nawet czy rzeczywiście bez wzorów można się obejść?

Najmocniej przepraszam szanownego p. Wągę, za błąd drukarski w zdaniu, z jego pism wyjętém.

Dlaczego w uwagach nad pisownią, które mogą być bardzo krótkie dla tego, kto zna zasady grammatyki, radzę używać *joty* między dwiema samogłoskami do dwóch sylab należącemi, usprawiedliwiłem na właściwém miejscu.

Warszawa, d. 25 listopada, 1851.

J. A. Czajkowski.

ROZMAITOŚCI.

O dawném województwie sieradzkim.

(Dokończenie).

Mamże pominąć Porajów z Bużenina Pstrokońskich: Macieja († 1609) biskupa kujawskiego, Stanisława († 1657) biskupa chełmskiego, i Macieja († 1710) wojewodę brzesko-kujawskiego, tudzież Antoniego Paporonę († 1843) gorliwego starożytności miejscowych badacza? Nie wygasną imiona z Kalinowy Zarembow: Marcina, w r. 1430 wojewody sieradzkiego, syna tegoż Jana (1481) wojewody kaliskiego i wnuka, Jana (1525), także wojewody kaliskiego, oraz Józefa zmarłego około r. 1773 biegłego i mężnego wojownika.

Liczny szereg mężów nauką słynnych z województwa sieradzkiego pochodzących, podaje nam Album krakowskiej akademii, której w dostojności rektorskiej przewodniczyli: Jan z Wielunia w r. 1430, Paweł z Brudzewa († 1435) syn Włodzimierza herbu Dołęga, Mikołaj ze Spycymierza r. 1439, Paweł Pascovius z Piotrkowa († 1441), Paweł z Kłobucka r. 1463, Stanisław Floryan z Szadka w latach 1469 i 1474, Jakób z Szadka r. 1475, Mikołaj Prokopowicz z Szadka r. 1548 i Wacław Widawski r. 1600. W téjże samej akademii Henryk z Kłobucka był w roku 1441 professorem teologii i filozofii, Jan z Szatkowic przyjął r. 1443 baka-laureat filozofii, Wincenty Tyminiecki herbu Zaręba w r. 1453 piérwszym wieńcem filozofii obdarzony, Michał z Wielunia († 1487) słynął z biegłości w starożytnych językach, Wojciech Blar z Brudzewa (Albertus Vigellus) † 1497 był publicznym i prywatnym w matematyce Kopernika nauczycielem, a Jan Broscius (Brzoski) w r. 1581 w Kurzelowie urodzony, znakomite miejsce w téjże akademii jako matematyk zajmował.

Obok pówyższych wydało to województwo pisarzy prawnych: Wojciecha Larysę Madalińskiego przed r. 1660 zmarłego, i Stanisława Kozuchowskiego, który około r. 1740 życie zakończył; z rzędu arcybiskupów gnieźnieńskich: błogosławionego Bogumiła Poraja († 1182), Jana Dymitra Solikowskiego († 1603) i Jana Wężyka († 1638); z biskupów zaś

krakowskich: Jakóba Zadzika († 1642) i Andrzeja Trzebieckiego († 1679). Tu się rodził Piotr z Widawy († 1441) sędzia ziemski sieradzki, znakomite miejsce za Władysława Jagiełły mający, tu mieli protoplastów swoich generał Antoni z Niedzielska Madaliński († 1804), księżę namiestnik Józef z Wrzący Zajączek († 1826), hrabia Edward z Raczyna Raczyński († 1845) i hrabia Alexander Colonna Walewski († 1845). Nie przestała jeszcze ziemia ta wydawać mężów znakomitych, do liczby których słusnie policzeni być mogą Stefan Złotnicki († 1847) odznaczony załozeniem i trafniem urzędzeniem miasta fabrycznego Zduńskiej Woli, Stanisław Kackowski, znany przez prace swoje literackie, Nepomucen Chomanowski niepoślednią na scenie warszawskiej rolę grający, i Marcus Maxymilian Fajans, urodzony d. 6 maja 1826, którego zręczność w rytownictwie, zamiłowanie i wytrwałość w pracy, znakomitych w przyszłości owoców na niwie sztuk pięknych spodziewać się każą.

Odwieczna ziemia sieradzka jest także odwiecznym gniazdem rozlicznych familij, których przodkowie nie bajeczni, nie naciągani, lecz krytyczni i prawdziwi, zagubiają się w pomroce czasu, lub dla braku równoczesnych rękopismów żyją w podaniu narodu. Naruszewicz, idąc za Długoszem i krytycznie uważanym Kozmasem pragskim przywodzi (1), iż kiedy w czasie domowych w Czechach rozruchów Wojciech biskup pragski do Polski się przeniósł, brat jego Poraj uniknąwszy śmierci, braciom tegoż w czasie mszalnej ofiary w zamku Lubiku okrutnie zadanej, uszedł około roku 996 do króla Bolesława Chrobrego, który go wielu obdarował włościami. Żaden z autorów nie wspomina wprawdzie nazwy tych dóbr ani miejsca ich położenia, lecz domysł nas naprowadza, iż to musiały być okolice Bużenina, co nawet Łubiński biskup płocki w życiu Pstrokońskiego potwierdza (2). Bolesław Śmiały nie mogąc poczciwości Krystyny, ani ostrożności jej małżonka Mściława czyli Mieczysława z Bużenina oszukać, gwałtem ją w r. 1077 nastanemu żołdactwu porwać rozkazał. Potomkowie tychże, podzieliwszy się dobrami przyległomi: Bużeninem, Mojaczewicami, Wielką Wsią, Pstrykoniemi i Swierzynami, pisać się poczęli Porajami Bużońskimi, Mojaczewskimi, Wielewigskimi, Pstrokońskimi i Swierzynskimi, a następnie zostawszy właścicielami wsi okolicznych: Dąbrowy, Niechmirowa, Górek, Gruszczyc, Boryszowie i Żdżar, przybrali nazwy Dąbrowskich, Niechmirowskich, Góreckich, Gruszczynskich, Boryszewskich i Żdżarowskich. Rozrodzeni na liczne gałęzie, przynosić się i do innych powiatów poczęli, zmieniając w ziemi wieluńskiej od Lipnika nazwę na Lipnickich, w Ostrzeszowskiem od Mikorzyna na Mikorskich, w Szadkowskiem z Podłęzyc na Podłęskich. Rozszerzyli się i w powiat piotrkowski, w którym od dóbr Dobrzełowa, Jeżowa, Suchcic i Złobnicy, przez siebie posiadanych, przezwali się Dobrzelewskimi, Jeżowskiemi, Sucheckimi i Złobnickimi. I powiat radomski osiadły przez nich został, a wsie Gidle, Kobiela, Kodręb, Łagiewniki, Raczkowice i Zamoście dały początek nazwie Porajów Gidzielskich, Kobielskich, Kodręb-

(1) Historia narodu pols. pod r. 995. Edyc. Ilps. T. IV. p. 53. przypis 1.

(2) Niesiecki pod wyrazem Bużeński herbu Poraj.

skich, Łagiewnickich, Raczkowskich i Zamojskich. Przyjmowali oni i zasłużoną nieszlachtę, za wiedzą króla i sejmu do herbów swoich, jak mamy przykład w r. 1598 na Piotrze Mniszku, mieszczaninie z Sieradza, za odznaczenie się w bitwie pod Byczyną do zaszczytu szlacheckiego z herbem Poraj wyniesionym.

Miasteczko Wieruszów w powiecie ostrzeszowskim, nad rzeką Prosną położone, jest gniazdem familii Wieruszów, którzy już na początku XIVgo wieku występują (1), a następnie licznie rozrodzeni, od włości swoich dziedzicznych Biały, Kępna, Kowali, Michałowa, Walknów w ziemi wieluńskiej, tudzież Niemojewa i Stolea, pogranicznych wsi powiatu sieradzkiego, przyjęli nazwę Wieruszów Bielskich, Kępińskich, Kowalskich, Michałowskich, Walknowskich, Niemojewskich i Stoleckich.

Znakomity szereg mężów województwa sieradzkiego, herbu Korab na tarczach swych używających, i kasztelania Spicmirska w sieradzkim powiecie, już około r. 1081 przez Roberta Korabitę rządzona, naprowadzają na domysł, iż i Korabitowie w ziemi niegdyś sieradzkiej zawiązać się musieli. Tutaj wyszli z powiatu sieradzkiego z Chociszewa Chociszewscy, z Czartek Czartkowscy, z Kobierzycka większego Koberzyccy, z Kocielek Kocielkowscy, z Miłaczewa Miłaczewscy; z powiatu szadkowskiego z Łasku Łascy, z Łopatek Łopateccy, z Ostrowa pod Wartą Ostrowscy, z Wojstławie Wojstławscy, a z Russocic i Łasku Russoccy; z ziemi wieluńskiej z Bieniędziej Bienieccy, z Dąbrowy Dąbrowscy; z powiatu ostrzeszowskiego z Godziętów Godziątkowscy, a z radomskiego, z Kuchar Kucharscy, i wiele innych.

Komuż nie jest znana przygoda Floryana Szarego z Mojkowic, w bitwie pod Płowcami roku 1331, d. 27 września z Krzyżakami stoczonej, którego trzema włóczyniami przebitego i jelita własne w wnętrzości wpychającego, król Łokietek od złego sąsiada uwolnił, całą mu wioskę Bąkową Górę zakupił i herbem Jelita zaszczycił (2). Zamek Surdega w powiecie piotrkowskim nad rzeką Pilicą położony, a własnością Floryana tego będący, wydał liczno familie Saryuszów, zamożnością, walecznością i zasługami w narodzie wstawionych; wnuków mnogich Floryana tego wspominają księgi piotrkowskie i radomskie, jako dziedziców na Mojkowicach, Woźnikach, Górze i innych (3). Potomkowie ich osiedliwszy się w Piotrkowskiem we wsiach Białocinie, Gomolinie, Kamocinie, Kozierogach, Łochyńsku, Piwakach, Postękalicach i Wilkoszewicach, przyjęli stałą nazwę Białeckich, Gomolińskich, Kamockich, Kozierowskich,

(1) Sommersberg t. II. p. 189—190 przytacza w anonimie o życiu biskupów wrocławskich, iż roku 1319 kapituła wrocławska rozdwojona, wybrała jednocześnie dwóch biskupów wrocławskich, to jest Wita Niemca i Lutolda kanonika wrocławskiego Polaka, z familii Wieruszów. Przez lat 7 obledwle strony popierały swą sprawę przed papieżem; sprawa Wita wzięła górę, lecz tenże w dni 8 po otrzymanej o tém wiadomości, życie zakończył.

(2) Naruszewicz, Historia narodu polskiego, wyd. Lipskie, t. VIII, p. 238.

(3) Księgi piotrkowskie grodzkie i ziemskie biorą swój początek od roku 1308; radomskie grodzkie od r. 1397, ziemskie zaś od r. 1410.

Łochyńskich, Piwakowskich, Postekalskich i Wilkoszewskich; w Radomskiem zaś od wsi Gawłowa, Jajek (1), i Skapy, przewali się Gawłowskiemi, Jajkowskiemi i Skąpskiemi, a od Mokrska w ziemi wielunińskiej Mokrskiemi; podobnie powiat szadkowski z wsi Paprotni, Wrzesiu i Tarnówki, szczylił się Paprockiemi, Wrzesińskimi i Tarnowskiemi. Zaszczupłe już było dla tak rozgałęzionej familii Saryuszów województwo sieradzkie, przenieśli się i do innych, nietylko pogranicznych, lecz nawet odleglejszych, z którychto Saryuszów pochodzi szczytna rodzina ordynatów Zamojskich.

Wieś Wola Wężykowa w powiecie szadkowskim położona, była główną siedzibą Wężyków, z których Mcugius Wanszig czyli Msczyvius Wanzik w księgach ziemskich sieradzkich jeszcze pod rokiem 1386 jest przywiedziony (2). Potomkowie jego wsie sąsiednie i okoliczne włości Siedlce, Osiny, Rudę, Podole i Widawę osiadłszy, od tychże Wężykami z Woli Siedleckiemi, Osińskimi, Rudzkiemi, Podoleckimi i Widawskimi nazywać się zaczęli.

Zarębów słynna familia, na pograniczu województw kaliskiego i sieradzkiego niegdyś osiadła, pisząca się z Taliszkowa, Sławska, Komorowa, Grabowa, a po największej części z Kalinowy, płodna w mężów, znakomite godności krajowe piastujących, rozróżnić się zaczęła w czasach późniejszych od dóbr, odwiecznie po mieczu na siebie spadłych; z takowych potomkowie jeszcze dzisiaj na dawniej ziemi sieradzkiej pozostali, mianują się z Kalinowy z Zarębów kościelnych, leśnych, ciemnych, górnych i święckich.

Herb Pomian, jeżeli nie w województwie sieradzkim, to przynajmniej blisko takowego w Wielkopolsce musiał wziąć swój początek. Sam prawie tylko powiat sieradzki zawierał w sobie protoplastów Pomianów, którzy od wsi przyległych Łubny, Cieni, Brudzowa, Kobierzycza małego i Żerostawic, nazywać się zaczęli Łubińskimi, Cieńskimi, Brudzowskiemi, Kobierzyczkami, Żerostawskimi, a od dalszej Grabna Grabińskimi.

Podobnie i herb Swinka zdaje się być często wielkopolskim, gdyż jego antenaci znakomite tutaj piastowali dostojności. Piotra Swinki kasztelana spicimirskiego, w roku 1364 na Chartupi matęj dziedzica, następcy pisali się Zajączkami z Wrzący, a rozgałęzieni po włościach Mącznikach i Kakawio, nadali początek przy schyłku XV wieku familiom Zajączków, Mączyńskich i Kakawskich. W tychże samych okolicach powiatu sieradzkiego powstała rodzina Kaczkowskich herbu Swinka (3).

Włość Rokszyce w powiecie piotrkowskim leżąca, przydała niemałą gałąź czysto sieradzką herbowych Pobogów z Rokszyce piszących się,

(1) W naszych czasach przekształcone na Janki.

(2) Księgi ziemskie sieradzkie poczynają się od roku 1386.

(3) Kaczkowscy herbu Swinka przez Niesteckiego zupełnie opuszczeni, pisali się z Kaczek w powiecie sieradzkim położonych, które dzieliły się, jak z ksiąg miejscowych wypływa, na Kaczki, Slewieruszki, Średnie, Stare, Trzaskowe, Plastowe, oraz Kaczki zwane Strzeżek i Muchtowe.

któremi byli Rokszyccy, Dąbrowscy, Pągowscy, Ruszkowscy i Zapolscy. Przodkiem ich był Mscugius (Mściwosz) z Koniecpola, piszący się z Rędzin, brat rodzony Stanisława z Rząśni, podsędek (od r. 1440—1442), a następnie sędzia ziemski sieradzki (od r. 1442—1450), który w roku 1432, wieś Rokszyce od Jana Thasko z Koniecpola za wieś Rędziny i 100 grzywien nabył (1). Księgi sieradzkie uczą nas, iż ten Mściwosz zaczął się mianować z Rokszyce, a z Wężykównej siedmiu pozostał synów, z których Jan był kanonikiem sieradzkim, i proboszczem w Grabnie, Andrzej proboszczem w Szadku, Jan dziedzicem na Sobiepanach, Jerzy dziedzicem na Luboli, a zaś Jakób na Rokszycach pozostały, podstoli, podsędek, a następnie sędzia ziemski sieradzki, familii Rokszyckich dał początek. Stanisław na Dąbrowie Wielkiej utworzył linią z Rokszyce Pobogów Dąbrowskich; z synów jego Jan na Dąbrowie pozostał, a zaś Andrzej, Złoczów i Ruszków w dziale zyskawszy, familii Ruszkowskich stał się założycielem. Ostatni Mściwosza syn, z imienia niewyraźny, na Pągowie dziedzic, przez syna swego Andrzeja z Ruszkowską ożenionego, został głową rodziny Pobogów z Rokszyce Pągowskich. Któryś z powyższych Rokszyców potomek, wieś Zapolice w szadkowskim powiecie nabywszy, od niej Zapolskim z Rokszyce na początku XVI wieku pisał się zaczął.

Zawitali i Jaksowie herbu Gryf do województwa sieradzkiego, a osiadłszy powiatu szadkowskiego wsie Kwiatkowice i Krobanów, przezwali się Kwiatkowskimi i Krobanowskimi, w Piotrkowskim zaś od Byków i Żeromina, Jaksami Bykowskimi i Żeromskimi, a w Ostrzeszowskiem od Wiktorowa Wiktorowskimi.

Możnaby jeszcze więcej herbów i herbownych z województwa sieradzkiego początek biorących przytoczyć, lecz podrzędność materyi, i za długie jednemu przedmiotowi poświęcenie, sprawiłyby pewien rodzaj znudzenia; to tylko dodać muszę, iż na gruncie ziemi dawniej sieradzkiej, stoją pod dziś dzień włości herbów niektórych nazwy mające, jakoto: Leliwa i Nieczuj w powiecie sieradzkim, Poraje i Nałęcz w wieluńskim, Róża w szadkowskim i piotrkowskim, Ostoja w piotrkowskim i wieluńskim, oraz wiele innych.

Mieszkańcami dawnego województwa sieradzkiego byli pod względem narodowości: Polacy do roli i szabli przywiązani, Niemcy rzemiosłom i fabrykom się poświęcający, żydzi, handlowi i szacherkom oddani, tudzież cygani, trudniący się ślusarką, sprzedają po jarmarkach koni, i wróżbą z dłoni, w ziemi wieluńskiej wśród lasów Lututowa osiedli. Pod względem religii, dzielili się na katolików, ewangelików, kalwinów, arianów i wyznawców Mojżesza; nieznano tutaj zwolenników alkoranu ani Focyusza.

Reformacya w Niemczech, na początku XVI wieku zawiązana, wyniesienie się w roku 1549 wszystkich studentów z akademii krakowskiej za granicę, niezadowolonych wyrokiem w sprawie z sługami ks. Andrzeja Czarnkowskiego proboszcza wydanym, przytułek w Polsce dawany różnowiercom gdzieindziej prześladowanym, i zwiedzanie przez polską

(1) Castr. Strad. Lib. 6. pag. 354.

młodzież zagranicznych akademij: sprowadziły do Wielkopolski, a zarazem i na ziemię sieradzkaą zwolenników Lutra i Kalwina. Chwyciła się tych nowości i oświecenijsza klasa Sieradzanów, jakoto: historycy Bielscy, familie Łaskich, Koniecpolskich, Brudzewskich i inne; w ślad za nimi poszła i część szlachty. Znalazł i Faust Socinus swoich wyznawców, a Krysztoporscy wznosić poczęli w Piotrkowskiem świątynie arianom; lecz wystąpienie publiczne Jezuitów, gorliwość Wazów w nawracaniu, która Janowi Kazimierzowi tytuł *Regis Orthodoxi* (prawowiernego) od papieża Alexandra VII zjednała, i prześladowania powszechno różnowierców, wbrew przywilejom poprzednio tymże nadanych, sprawiły, iż bardzo wielu z nich, bądź z przekonania, bądź dla interesu, bądź z przymusu do pierwotnego powróciło wyznania, lub za granicę się wyniosło. Przetrwały to wszystko familie dziś jeszcze na ziemi sieradzkiej będące, reformowanego wyznania: Bronikowskich z Opolna, Karczewskich z Karczewa herbu Samson, Kurnatowskich z Bytynia herbu Łódzia, Nieszkowskich, Nekandów z Czapel, Trepków herbu Topór, Unrugów i Żychlińskich herbu Szeliga.

ANNA NAKWASKA.

(Wspomnienie).

W zeszłym miesiącu październiku umarła w dobrach swych *Mała Wies* o 10 mil od Warszawy, *Anna Nakwaska*.—Wszystkie pisma czasowe wychodzące w Warszawie doniosły o jój zgonie, wszystkie owszem po dwakroć i po trzykroć poświęciły wspomnienia pamięci zmarłej.—Nakwaska należała zapewne do znakomitszego światowie koła towarzyskiego; iluż jednak światowo-wielkich zchodzi ze świata, a żadna głośniejsza wzmianka życia ich nie przedłuża? Nakwaska uprawiała piśmienność, lecz wyznajmy: udziałem zmarłej autorki nie był gieniusz; jakż więc powód spółczucia?—Zmarła Nakwaska była to przyjaciołka rzetelna ludzi, kraju i piśmienności krajowej, a życie jój, życie długie, byłoto nieprzerwane i żywe pasmo oznak owój przyjaźni.

A. Nakwaska (z domu *Krajewska*, urodzona 1779 r. we wsi *Gołąb* dziś gub. lubelskiej) wzrosła była z lat młodych z sercem żywem i kochającym, i podzieliła wczesnie tę miłość między świat ludzi i myśli. Powołana aby zostać autorką, zawód ten uważała nie jako główny, lecz dodatkowy w swém życiu, jako pomoc i jako środek do wyrażenia pierwszego z tych uczuć. Wychowana wpół z cudzoziemską, języka krajowego ucząca się lepiej dopiéro od męża (był nim *Franciszek Nakwaski* b. kasztelan i senator), pierwsze utwory pióra ogłaszała w języku francuzkim, a celem ich było: zaznajamianie czytających językiem tym z przedmiotami swojego kraju. Kiedy w r. 1816 czy 17, ukazał się pierwszy

oryginalnie po polsku napisany romans: *Malwina*, powieść tkliwa, i jak się wyraził Feliński „samemi niedoskonałościami swemi ujmująca”, a piórem kobiety napisana, *N.* pospieszyła donieść o tryumfie tym cudzoziemcom i przetłumaczyła *Malwinę* na język francuzki (1). Wkrótce potem wydała w dwóch tomach *Trois nouvelles*, opowiadające tymże językiem kilka szczegółów z historii krajowej (2). W tym też czasie, zdaje się, iż się dopełniło było pewne przeważenie wyobrażeń w autorce; jéj to bowiem był pióra umieszczony bezimiennie w *Pamiętniku Warszawskim* (jeżeli się nie mylimy z r. 1821), artykuł pod napisem: *O wychowaniu Polek przez Polkę*. W artykule tym z powagą, ale wdzięcznie napisanym, ogłaszała autorka, snać nowe na owe czasy odkrycie, że dobre wychowanie Polek winno być polskie. Obowiązek wykonywania objawionych przez siebie samą zasad, wyuczenie się władania językiem krajowym, i wreszcie przykład znakomitszych Polek, sprawiły: iż wszystkie odtąd ogłoszenia Nakwaskiej były w tymże języku.

Ogłoszenia te składały częścią powieści, częścią opisy podróży. Do pierwszych ile wiemy należą: *Aniela*, *Młodość Kopernika* (3), (powiastka przełożona na francuzkie i niemieckie); dwa tomy powieści p. n. *Odwiedziny babuni* (4), *Czarna Mara* (powieść historyczna z ostatnich czasów udzielnosci księżstwa mazowieckiego) (5), *Dwa obrazy z towarzystwa warszawskiego*, (6) *Chrzestna matka w Koronie, ustęp z XVIgo wieku*, *Otton i Berta* (7) i wreszcie *Powieści starego stolarza* (8); do drugich: *Wspomnienia z podróży w Szwajcaryi i Tyrolu z r. 1837* (9), oraz *Wspomnienie z podróży 1844 roku*.

Powieści Anny Nakwaskiej mają wszystkie jeden sobie właściwy charakter. Historyczność byłato sfera może zaniewłaściwa, zaciężka dla autorki światowej, tém więcéj lot poetyczny lub barwa filozoficzna; powieści *N.* sąto opowiadania poprawne, potoczne, jasne, złożone z charakterów i węzłów nieraz spotykanych na świecie; kopie obrazów i rozmów rzeczywistości wierne, rzec można zanadto wierne, albowiem do sfery sztuki prawie niepodnoszone; cel ich zwykle obyczajowy. Nie czyniąc okresu w gałęzi, opowiadania te jednak mogą bezpiecznie i korzystnie pomnożyć każdy gabinet czytelni domowej. Za interesowną mianowicie poczytujemy *Młodość Kopernika*, a za najwięcéj odpowiadające celowi *Powieści stolarza*. Gałąź mająca służyć dla wychowania i za lekturę dla klas średnich jest może najuboższą w naszej literaturze, brak

(1) *Malwina ou l'instinct du cœur. T. II. Varsov. 1817.*

(2) *Trois nouvelles et suite de trois nouvelles. Vars. 1821.*

(3) Powieść umieszczona w uowor. *Jutrzenka* z r. 1833.

(4) *Odwiedziny Babuni, powieści dla dzieci.* T. II. Warszawa. 1834.

(5) *Czarna mara, powieść historyczna z XVIgo stulecia.* T. II, Warsz. 1841.

(6) *Dwa obrazy z Towarzystwa Warszawskiego.* Poznań, 1841.

(7) Obie te powieści umieszczone były w dzienn. *Pielgrzym.*

(8) *Powieści starego stolarza.*

(9) Drukowana w *Przeglądzie Nauk.*

ten każe nawet nieraz zapominać w tej klasie umiejętności czytania; Powieści stolarza, (t. j. przez starego stolarza w wieczory niedzielne opowiadane powiastki), lubo częstkowém, ale wyborném są zastąpieniem tego braku. Każda z powiastek zbioru opowiedziana poprawnie, jasno, ma swój interes i morał. Książeczka ta przełożoną jest na język włoski (przez Szwajcarkę, pannę *Lajsering*).

Wrażenia z podróży podobnie należą do zakresu miłego i korzystnego czytania.

Pisano wiele o *Pamiętnikach*, które pozostały w rękopismach po A. Nakwaskiej; pamiętniki te czytaliśmy i rzeczywiście nie możemy im zaprzeczyć zajęcia. Sąto wprawdzie notatki nieodznaczone ani dramatycznym ruchem, ani bogactwem szczegółów historycznych, ale sąto notatki z przeciągu lat więcéj 30, pisane w miejscu, które może ze wszystkich miejsc świata, najwięcéj przez przeciąg tego czasu przemian widziało, i pisane przez postrzegaczkę, mającą z pewnej strony korzystne położenie do czynienia spostrzeżeń, (mąż autorki przez cały czas Księstwa Warszawskiego, do którego Pamiętniki głównie odnoszą się, był prefektem departamentu warszawskiego, i dom Nakwaskich należał wtedy do najwięcéj ożywionych ruchem czasowym). Pamiętniki te ogłoszone pomnożyłyby materyał jeżeli nie do ogólnej historyi krajowej, to jednak do historyi przemian towarzystwa wyższego m. Warszawy, przez cały ciąg piérwszój ćwierci naszego stulecia.

Lecz prócz pism i poezyi, niemniej mającemi znaczenie dla życia myśli, były: rozmowa i towarzystwo Anny Nakwaskiej. Nie podzielały bynajmniej narzekań i nieraz powtarzanych zarzutów, (zarzutów do których tylko przemijający pozór powodem być może): jakoby w gruncie naszych klass wyższych tkwiła pogarda do tego co jest krajowe, do tego co jest uprawą myśli i t. p. I owszem, gdybyśmy w tém mieście w którym piszemy, chcieli wymienić te domy, które odznacza zamiatowanie tego co piękne, krajowe, sztuk, nauk i t. p., musielibyśmy ledwie nie wszystkie znakomiteze wymienić; wszakże nie można zaprzeczyć, iż to przywiązanie i to zajęcie się ruchem krajowym moralnym, było o stopień wyższe w zmarłej Nakwaskiej. Anna Nakwaska o poezyi, o książce, nie wahała się nieraz mówić, nawet w dzień balu. Nie było w literaturze krajowej żadnego imienia, zjawiska nowego, o którymby wnet nie wiedziała, żadnej nowój książki (z działu przynajmniej literatury pięknej), którójby zaraz po wyjściu na stoliku u siebie nie miała, nie odczytała, i o jej wartości rozmowy po kilkakroć nie przeprowadziła. Miłość własna, to uczucie nader zapewne godziwo dla duszy człowieka, nie była obcą autorce, a wrodzona otwartość, (ten znak nieomylny prawości), wiekiem przytém w ostatnich latach mnożona, przedstawiała ją nawet nieraz żywo na zewnątrz. O pismach swych autorka rada mówiła, rada słuchała je przed sobą odczytywane w gronie nowych słuchaczy, a z głosów zwracających wtedy uwagę na zalety części szczególnych, głos samój autorki nie był ostatni. Przypominamy w tej chwili, iż kiedy przed laty kilką krążyła i odczytywaną była w mieście korespondencya dwóch znakomych naszych autorek (*Rozrywki dla dzieci i Myśli o wychowaniu ku-*

biel), w której obie pierwszeństwa sobie nawzajem ustępowały, *N.* opisała tę walkę w krótkiej allegorycznej powiastce, której myśl była taką: „*Fijolek* i *Róża*, dwa piękne kwiaty, zwracały uwagę ludzi wdziękiem swych zalet, i słusznie; ale przyszły skwary i burze, i piękne kwiaty znikły, a cichy *nieśmiertelniczek*, który rość zdala i nie zwracał uwagi ludzi, przeżył i *fijołki* i *różę*.” Wszakże ta miłość *własna* ustępowała zawsze w autorce, *ogólniej*; np. radości z dobrej nowój książki krajowej, i radość tę owszem wokoło podzielać i przelewać w innych lubiła. Kiedy w ostatnich latach literatura nasza zyskała kilka rzetelnój i wyższej piękności powieści i romansów, autorka traciła nawet na chwilę otuchę ducha, i słyszeliśmy sami mówiąca: „o jakże też piszą już dzisiaj! nie będę już więcej pisać.” Winniśmy dodać, iż to zniechęcenie chwilowe wkrótce zniknęło, a myśl i pióro autorki nie przestawały być czynno i w coraz nowe odziewać się kształty, prawie do śmierci. Ostatnim jej utworem, ile słyszeliśmy, były wiersze, któremi polecała siebie pamięci kmiotków.

Przyjaciółka wytrwała myśli, niemniej była wszakże (i owszem, w stopniu wyższym) przyjaciółką wytrwałą świata. Miesiące zimowe zwykła była zmarła Nakwaska zawsze w Warszawie przepędzać, a wiek nie sprawił był zmiany w porządku życia i nie przytępił żywości młodej. Licząca w ostatnich latach więcej 70 lat życia, wdowa, prawie zupełnie pozbawiona wzroku, składająca dom swój sama, z témże zajęciem się i oddaniem światu jak zawsze podzielała zabawy miasta. Postać zmarłej *N.* była taką, jaką młode pokolenie ma za ideał: kasztelanowej albo wojewodzinię; lecz chociażbyś jej nie poznał w zebraniu po tej postaci (po tej np. poważnej ale szykownej tuszy, puklach pod strojnym czépkim obfitych, lśniącym a zawsze czynnym wachlarzu i t. p.), odróżniłś obecność jej zaraz po głośniej, żywej, (a w dwóch językach z równą łatwością prowadzonej) rozmowie, wesołości, zwrotach dowcipnych i t. p. Ta sprzeczność, ta łączność w jednej osobie powagi i żywości dziewczęj, jesieni i wiosny, miłości namiętnej świata i razem myśli, obok pewnych zasług dla obu, szczeroci słowa: czyiły zmarłą Nakwaską wyłącznym, sobie właściwym wzorem, i dlatego tu zapisujemy te szczegóły. Zebrania i zabawy w domu Nakwaskiej odbijały też cechę podwójną: zebrania te odznaczały się zwykle towarzystwem świetnym, i wynalazkiem jakiegoś ożywienia moralnego.

Tak żywą, tak oddaną światu i myśli, widzieliśmy ją jeszcze przed rokiem, i owszem, zaledwie nie przed miesiącem, gdy przyjechała tu tegoroczny a ostatni dzień swych imienin (dzień św. Anny) przepędzić. Nieodstępując zwyczaju, gotowała się właśnie do przepędzenia w Warszawie 43ciej czy 44tej z kolei zimy, gdy ją już prawie na wyjeździe będąc, śmierć zaskoczyła.

Rzec można, iż mury Warszawy zdziwione będą, nie widząc z nadejściem zimy wśród siebie Anny Nakwaskiej, że zabawy zimowe nie będą wiedziały jakim iść biegiem, i literatura krajowa uczuje też brak jednego z żywych ognisk wśród swego rozbiegu.

Z uczuciem istotnym żalu, i my w tym piśmie, poświęcamy te kilka słów jej pamięci.

Przyjaciółka tak szczerą światą, oby długo nie była odrzuconą z pamięci światła!

Przyjaciółka piśmienności krajowej, oby nie była przepominana w dziejach tój piśmienności!

A. T.....ski.

Wspomnienie o K. N. Wysockim.

Imię artysty, który talentem swym niejedną uprzyjemnił nam chwilę, a który niezmordowaną i sumienną pracą zastrzyżył sobie na wdzięczność licznych uczniów: powinno zaiste być przekazaném niezgasłej pamięci, tém bardziej, gdy imię to nosił artysta, który długo wśród nas Warszawian przebywał i tu pozostawił ślady i owoce swój pracy i talentu. Kraj nasz niezbyt wielki liczy poczet ludzi odznaczających się w muzyce; tém skwapliwiej chwytajmy każdy szczegół, jaki o ich życiu dojść może naszej wiadomości.

Kasper Napoleon Wysocki urodził się w mieście Pińczowie dnia 6 grudnia 1810 r., z ojca Tomasza Wysockiego, naówczas rektora szkół pińczowskich, a następnie krakowskiego liceum. Początkowe nauki pobierał w Krakowie. W dzieciństwie już wieku okazywał usposobienie do muzyki, a postępy w niej tak były widoczne, że w r. 1822 słynny w owym czasie fortepianista Arnold, w przejeździe przez Kraków dostrzegłszy znakomite zdolności muzyczne dwunastoletniego młodzieńca, oświadczył się z chęcią dalszego kształcenia go; w skutek czego młody Kasper wysłany został przez rodziców do Berlina, gdzie parę lat przez Arnolda w zamiłowanej przez siebie sztuce był doskonałym.

W roku 1829 przybył do Warszawy, i tu stałe zamieszkiwał, z wyjątkiem odbytych kilkakrotnie za granicę wycieczek artystycznych, lub też dla poratowania zawsze wątłego zdrowia. W Warszawie, Wrocławiu i Dreźnie dał się poznać jako biegły fortepianista i grywał kilka razy publicznie. W miesiącu lipcu 1849 r. z powodu znacznie pogorszonego stanu zdrowia udał się do wód w Ems; doznał tam chwilowej w cierpieniach ulgi, i gdy właśnie familia i liczni przyjaciele powrotu jego oczekiwali, otrzymano smutną wiadomość, że dnia 22 września 1850 r. w mieście Zurych w Szwajcaryi żyć przestał.

Człowiek cichy, łagodny, uprzejmy, posiadał rzadki takt w postępowaniu i wiele dowcipu; zdrowia słabowitego, nerwowego, był bladej i niski. Wielce ceniony, jako nauczyciel miał znakomitą wziętość. Skłonny z natury do wielkiej pobożności, i skołatany rozlicznymi przeciwnościami, przy schyłku życia oddał się religijnym praktykom nad miarę słabych sił swoich, a pielgrzymka pobożna, odbyta w czasie słotnym na kilka tygodni przed śmiercią, przyspieszyła zapewne zgon jego.

Jako kompozytor wystąpił zaszczytnie nasz Wysocki ułożeniem wielu krakowiaków, ćwiczeń (études), mazurów, rapsody i t. p. na for-

te pian, oraz piosnek do śpiewu. Z tych mało dotąd wyszło na widok publiczny, a krakowiaki jego w Lipsku wydane (dzieło 1sze, dwa zeszyty) liczą się do najpiękniejszych jakie kiedykolwiek napisano. Prócz tego wyszły rapsodye i walc, a w Warszawie 12 pieśni z towarzyszeniem fortepianu. W rękopiśmie posiadamy wielki krakowiak z orkiestrą (dzieło 7me), grywany kilkakrotnie przez autora na swych koncertach.

Pomiędzy melodyjami ludowymi charakterystycznymi, krakowiak główne zajmuje miejsce, bo tę ma szczególną własność, że zarazem jest pieśnią i tańcem (1). Ta własność nadaje mu osobną barwę, niezwykłą wyrazistość i oryginalność; które czerpane z miejscowości i z ducha mieszkańców, nietyle są zrozumiałe dla cudzoziemców, ale tém miłsze dla nas, że wyłącznie własno. Któż w tych melodyjach nie czuje wesołej swobody pracowitego rolnika, pod natchnieniem pięknej górzystej krainy u podnóża Karpat, i komuż na myśl nie przyjdzie „Albośmy to jacy tacy!” W ośmiu krakowiakach Wysockiego jest parę takich, gdzie charakter dziarski przyskajający tego tańca z dźwiękiem i szcękaniem mosiężnych kółteczek u pasa jak najszcześnieściej schwycony; większa część jednak nosi na sobie cechę pieszczotliwej wesołości lub smętnej góralskiej tęsknoty, z towarzyszeniem jakoby dalekiej kobzy. Życzyćby należało, aby pozostałe w rękopiśmie kompozycye, mianowicie krakowiaki, znalazły chętnego wydawcę, gdyż są między niemi dzieła z serca wysnute, a jako rodowe, godne upowszechnienia między prawdziwie muzykalną publicznością.

O. K.

(1) Co wprowadzić i o obertacie powiedzieć można, acz w daleko mulejszym stopniu.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

Nowy metal donar (Donarium). Przy doświadczeniach z minerałami norwęjskimi, tojest welerytem, cyrkosienitem, i t. p. wydzielił Bergemann ciało, które tak w postaci niedokwasu, jako też i w związkach, zdawało się różnić od wszystkich dotąd znanych pierwiastków. Nadał mu więc nazwisko *donar*, od bożka teutońskiego tegoż imienia.

Minerał w którym rzezonny metal został znaleziony, nietrudno się rozkłada, a z kwasem solnym tworzy galaretę zupełnie przezroczystą, bez najmniejszego osadu. Z powyższej rudy z łatwością pierwiastki wydzieleć można: a przypuszczając, że krzemionka, niedokwas donaru i woda, stanowią główne jej części składowe; bo węglanu wapna z innymi ciałami znajduje się w 100 częściach minerału, tylko 0,825; a zatem to uważać można za przypadkowe zanieczyszczenie. Skład tójże rudy jest następujący:

krzemionki	18,463
niedokwasu donaru	74,338
wody	7,199.

Niedokwas donaru zawiera 13,072 na 100 kwasorodu; ruda zaś tego metalu jest *krzemionkanem niedokwasu donaru*.

Wodan niedokwasu donaru wilgotny, jest biały; ale stopniowo żółknie. Wysuszony w cieple zwyczajném, tworzy ciało podobne do gumy, żółte, które wydaje proszek czerwony; ten zaś jest wodanem czystego niedokwasu. Powyższy wodan rozpuszcza się w cieple zwyczajném we wszystkich kwasach, a za użyciem kwasu solnego nie wywiązuje się przy tém chlor.

Donar metaliczny otrzymuje się przez ogrzewanie niedokwasu donaru z potażem; wtedy rozkład szybko następuje przy wywiązywaniu się światła. Potém nalewa się na wszystko wody, a wtedy metal wydziela się w postaci proszku ciężkiego, czarnego jak węgiel kamienny. Zlewając szybko z wierzchu roztwór alkaliczny, a proszek przepłukawszy wodą, można go przechować pod wodą zimną przez 24 do 36 godzin bez zmiany; w wodzie jednak cieplej, nabiera stopniowo barwy szaro-żółtawej, co pochodzi od jego zniepokwaszenia się. Proszek suchy ucierany

w móżdżerzyku agatowym, okazuje połysk metalowy. Przy wsypywaniu go po trochu w płomień lampy, płonie światłem czerwonym, i zmienia się w niedokwas czerwony; toż samo spostrzegamy przy ogrzewaniu go na łyżce platynowej. Kwas solny gorący i zimny, nie działa na ten metal. Kwas saletrowy nie rozpuszcza go wcale na zimno, a słabo na gorąco. Woda królewska zmienia go prędko w niedokwas czerwony, z którego małą cząstkę rozpuszcza. Kwas siarkowy tworzy natychmiast z niedokwasem, siarkan.

Niedokwas donaru otrzymany przez prażenie wodanu, jest w proszku ciemno-czerwonym, bardzo ciężkim; bezwodny trudno łączy się z kwasami. Roztwory wodanu tego niedokwasu w kwasie saletrowym i siarkowym, są bez barwy; roztwór jednak w kwasie solnym jest żółty, jakby sól żelazna. Ale ta barwa za oziębieniem niknie, a na nowo powstaje przy ogrzewaniu.

Niedokwas osadza się z swych roztworów, przez potaż lub sodę, i nie rozpuszcza się w nadmiarze tych dwóch alkaliów; węglany potażu sody i amonii tworzą w jego solach osad biały, rozpuszczający się w ich nadmiarze. Sinek żelazisty potasu żółty, daje w solach donaru osad cielisty, wpadający w brunatny; wodoród siarkowy, i roztwór galasu nie tworzą w nich metów.

Pod dmuchawką niedokwas donaru nie okazuje szczególnych zjawisk. Na samym węglu nie zmienia się w metal; ale topiony z sodą tworzy guzik, w którym pływają cząsteczki niedokwasu nierozpuszczonego; te zaś za oziębieniem rozpoznać można przez szkło powiększające, po ich barwie czerwonej. Z boraxem wydaje guzik żółty, który niknie za oziębieniem. (Treść z pisma *Ann. der Phys. und Chem. April, 1851.*)

J. B...a.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1851.

106. Benvenuto Cellini przez Alexandra Dumas. Przełożył z francuzkiego J. B. 5 tomów. 12ka. Warszawa. 1851. Druk Józefa Tomaszewskiego. Tom I, str. 226, II, 194. III, 203. IV, 211. V, 198.

107. Jerzy Cuvier i jego prace. Przez P. Flourens Dzieło obejmujące treść historii naturalnej zwierząt, czyli zoologii, anatomii porównawczej, nauki o szczątkach kopalnych zwierząt świata pierwotnego czyli paleontologii, osteologii, tudzież historii naturalnej szluzoficznej. Przełożył z francuzkiego Gustaw Belke członek czynny Imperatorskiego towarzystwa badaczy natury w Moskwie. 8ka. Wilno. 1851. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Str. VII i 195. Złp. 8.

108. Katechizm mniejszy i większy. Dzieło ś. p. biskupa Albertrandego, na wszystkie szkoły, pensje i dla sposobnych do świetlejszego wychowania i ćwiczenia. Z rękopismu należącego do biblioteki uniwersytetu wileńskiego pierwszy raz na jaw ogłoszony. Wydanie drugie. 8ka. Wilno. 1851. Nakład i druk Zawadzkiego. Str. 188. Złp. 2.

109. Książka do nabożeństwa dla niewiast przez autorkę Pamiętki po dobrej matce. Wydanie mniejsze. 8ka. (1851). Kraków. Nakładem i drukiem D. E. Friedleja. Napisów kart 4 i str. 391. Rejestru str. VII. (Z ryciną na stal i tytułem, wyobrażającym odrzwia kaplicy ś. Kuneg ndy w Starym Sączu). Złp. 12.

110. Mineralogja czyli nauka o kamieniach, zastosowana do potrzeb ogólnych przez Wojciecha Jastrzębowskię. (Hist. nat. część III). 8ka. Warszawa. 1851. Druk J. Tomaszewskiego. Kart 4, str. XVI i 420. Złp. 13 gr. 10.

111. Mszał wspólkapłański dla osób świeckich, zawierający czterdzieści modlitw podczas Mszy świętej odmawiać się mających, stosownie do tego jak kapłan według różności tajemnic Boskich różne msze święte czyta i ofiaruje. Przez X. Marcina Kochemenna ułożony, z łacińskiego na polski język przetłumaczony. 12ka. Wilno. 1851. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. XXI i 184. Złp. 2 gr. 20.

112. Opis historyczny zaślubin królewica polskiego Jakóba Sobleskiego. Z ryciną. Podał Alexander Wejnert wydawca Starożytności Warszawskich. 8ka. Warszawa. 1851. Druk Strąbskiego. Kart napisowych 2 i str. 31. (Oddruk z Bibl. Warsz.). Złp. 2.

113. Panna męzátka. Komedia we trzech aktach przez Józefa Korzeniowskię. Wydanie drugie. 8ka. Wilno. 1851. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 115. Złp. 5.

114. Wiadomości z chemii rolniczej z najlepszych wzorów zebrane i ułożone przez F. M. nauczyciela agronomii i nauk przyrodzonych przy szkole niższej realno-agronomicznej w Płocku. 8ka. Płock. 1851. Drukiem Edwarda Paull. Kart 2, str. 87. Złp. 2 gr. 15.

1852.

7. Dwa obrazki z przeszłości. Powieści historyczne. Przez Ad. Am. Kosińskiego. 16ka. Wilno. 1852. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 448. Złp. 8.

8. Krajowe obrazki i zarysy. Skreślił Leon Kunicki. 16ka. Wilno. 1852. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 231. Złp. 5.

9. O grzybach i bedłkach jadowitych i jadalnych krajowych oraz o niesieniu pomocy otrutym jadowitami. Rzecz czytana na posiedzeniu publicznem Towarzystwa lekarskiego Warszawskiego. przez członka tegoż Towarzystwa Juliana Weinberg. 8ka. Warszawa. 1852. Druk J. Ungra. Kart 3 i str. 121. Złp. 4.

10. Pamiętnik o życiu Łukasza Gołęblowskiego. Wydany przez jego syna. 12ka. Warszawa. 1852. Druk Strąbskiego. Napisów kart 2 i str. 111. Zł. 4.

11. Świat i dusza, powieść. Okruszyny z tekt. Szkice. Wianek cierniowy, poezye. Przez Henryka Cieszkowskiego. 12ka. Warszawa. 1852. Nakładem G. L. Glücksberga, druk St. Strąbskiego. Napisów i rejestru kart 3, i str. 327. Złp. 12.

12. Wędrowki oryginała. Z rękopismu nieznanego autora, drukiem ogłoszone przez Józefa Korzeniowskiego. Wydane drugie. 12ka. Wilno. 1852. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 357. Złp. 10.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

— Nakładem księgarza S. Orgelbranda rozpoczął się druk *Obrazków wiejskich* J. K. Gregorowicza w 4 tomach.

— Znany ze sceny naszej dramat Gutzkova: *Wzór do świętoszka*, wyjdzie wkrótce w przekładzie Stanisława Lisowskiego, nakładem J. Bernstejna.

— Lucyan Słemieński pracuje obecnie nad historią literatury polskiej, opowiedzianą w sposób potoczny.

— Julian Bartoszewicz przygotował do druku *Biografie* znakomitszych osób, które się wlicęj odrysowały w dziejach naszych w czasach Augusta IIIgo i Stanisława Poniatowskiego. Dzieło to w obszernych ramach, zajmie trzy spore tomy.

— Athenaeum na r. 1851 dwa pierwsze tomy już są na ukończeniu pod prasą drukarską; następne cztery ułożone w rękopiśmie, wkrótce oddane zostaną do druku. Te sześć tomów kończą cały zbiór Athenaeum, i dalej pismo to wychodzić nie będzie. Piękne zajnie ono wspomnienie w dziejach literatury naszej.

— J. I. Kraszewski ukończył *Komedyantów* seryą 2gą w 2 tomach, i Pamiętniki *Lipskiego* z listów autentycznych. Zbiór swój ryciu powiększył do 11,000 sztuk, a pomnożył go nabyciem kolekcyl L. Słemieńskiego.

— M. Wolff rozpoczął druk drugiego wydania taniego *Zamku krakowskiego* w 2 tomach, kosztować bowiem będzie tylko rubel i srebrem.

— *Portugalia*, jako tom 5ty Wspomnień z podróży dra. Teodora Tripplina w druku ukończonym został, i wkrótce prenumeratom będzie rozdany. Tomu tego kilkaset egzemplarzy odbito na pięknym papierze, w okazałej edycji. Całe wydanie zdobłą drzeworyty, wśród tekstu robione przez pp. Dietricha i Styll w Warszawie, wedle rysunków młodego a pełnego talentu artysty Pillatego, w liczbie 37.

Wyjątek z listu z okolic Łucka, na Wołyniu.

.....Nietylko zbiór numizmatyczny jest ciekawym do widzenia u p. Pawłowskiego, ale także i archeologiczny zbiór wyrobów z kamienia, który tak jest liczny, że można śmiało powiedzieć, iż należy do najbogatszych w Europie. Mieści on w sobie młoty kamienne rozmaitego kształtu i różnej wielkości; paclorki kamienne i gliniane rozmaicie wyrabiane, a także trochę i szklanych; rozmaite narzędzia z kamienia, jakoto: dłuta oszlifowane i tylko odkute rozmaitej wielkości, całe i poprzelamywane; sekiery pojedyncze i z młotami razem; noże i sierpy, na których ślady używania są widoczne; grotty do strzał, ostrza płk i t. d. Zwrócić na to uwagę należy, iż to wszystko znaleziono w majątnościach moszczanickich, lub w ich sąsiedztwie. Domyślać się zatem należy, iż tam musiała się znajdować jaka fabryka; na myśl tę naprowadzają w tak znacznej ilości znajduwane tam powyższe przedmioty, oraz pieniążki kamienne, z tegoż gatunku kamienia co i młoty, które zdają się być wyjętemi za pomocą narzędzi w czasie wyrabiania dziur do rączek w owych młotach. Moszczanice oble leżą między górami, a i okolice też są góryste. Pokład tych gór jest wapienny, w którym znajdują się rozmaite skamieniałości. Tamże znaleziono niecały żąb słońca, ważący 96 funtów.

Konkurentem do podobnych zbiorów kamiennych jest nasz J. I. Kraszewski. Ten znawca i miłośnik starożytności za niektóre tylko (sztuk kilkadziesiąt), dawał konia wierzchowego, ceny 100 czerw. zł, a którego sam nazywa *zdrowiem* swoim.

Oprócz p. Pawłowskiego mamy na Wołyniu dosyć bogate zbiory numizmatyczne, jakoto: Uldyńskiego, byłego nauczyciela hist. w liceum krzem. i S. Nowoszyckiego w Krzemieńcu; Batkowskiego w Batkowie w okolicach Radziwiłłowa; Stypułkowskiego w Równem; Sanguszkę w Sławucie; po Urbanowskim około Stepania; po Radziwiłłskim w pow. ostrogiem w Zawadyńcach i t. d.

Jeżeli pan pojedziesz kiedy w nasze strony, proszę wziąć z sobą p. K. Stronczyńskiego lub podobnego jemu, bo u nas jest wiele zabytków starożytności: zamków, miast, wałów, mogił do malowania i opisania; wszak pod wielu względami nasz Wołyń odznacza się. P. Wileczyński zaledwie dotknął tego wszystkiego w przelocie. Dobrzeby także było, gdyby można kamienie ze zbioru p. Pawłowskiego przerysować i z małym opisem ogłosić światu archeologicznemu polskiemu.

— Przeczytawszy przesadzone i w sposób dotykający mnie ułożone doniesienie literackie, którym wydawca Dziennika Warszawskiego dopełnił trzeciej kolumny na Iszej stronie 215 numeru swojego pisma (z d. 12 b. m.), uważam za powinność sprostować je niniejszém, jako czytelników Dziennika Warszawskiego w błąd wprowadzić mogące,

a mnie narazić na odpowiedzialność przed sądem publicznym. Treścią tego doniesienia jest, że „w drukarni Józefa Ungra wkrótce rozpocznie się druk ważnego dzieła, które zapewne (wyrazy Dziennika Warsz.) sławą europejską się przyozdobi.” Dosyć tych wyrazów, ażeby okazać jak mylną autor doniesienia miał wiadomość o tém, o czém donosi. Nieboszczyk Spiess właściciel księgarni (dziś pod firmą p. Friedlejna), zobowiązał mnie do napisania książki dla młodzieży, obejmującej wiadomości z całej historii naturalnej, zakreślając objętość jej do nie więcej jak 40 ark. druku, i mając już gotowe ryciny, które mu do takiej książki stosownemi się zdawały. Nie mogłem bezpośrednio do wykonania a nawet należytego rozpatrzenia przedsięwzięć jego przystąpić, a tymczasem p. Friedlejn stawszy się udziałnym właścicielem księgarni po śmierci Spiessa, gdy tém samym przejął i układy jego, wchodzi dziś w prawo domagania się odemnie pracy, lecz niewiadomo czy użyje do jej wydania *drukarni Józefa Ungra*, czy też innej, bo żaden jeszcze prospekt nie obwieścił jego postanowienia w tej mierze. Książka zatem o którą idzie, nie może mieć pretensyi do *slawy europejskiej* (jak się spodziewa Dziennik Warszawski), ani też do *wydania bardzo ozdobnego*; tém mniej nadaje się ona do *złożenia dowodów zasług moich*, do czego Dziennik Warsz. pościągając mnie żadnego nie miał prawa.

Autor tak nieugruntowanego doniesienia, ostrzegając na wstępie iż to jest *wiadomość interesująca przedewszystkiem ludzi uczonych*, dającém do zrozumienia, że do ich rzędu nie należy; nie wątpię przecież, że pisząc w Dzienniku, należy przynajmniej do rzędu ucylizowanych, a skoro tak, powinien był wiedzieć, że zwyczaj europejski dozwala, iż tylko gospodarzowi uczyty uchodziłoby donosić gościom co otrzymają z kuchni. Ale bynajmniej nie dziwię się mu, że w szumnym panegiryku dla mnie, który mu podobało się z pomienioném doniesieniem połączyć, mylnie okazuje wyobrażenie i o zasługach moich i o towarzystwach uczonych. Nie jestem bynajmniej *najcelniejszym*, jak powiedział, *zoologiem polskim*, i nie czuję przyjemności w krztuszeniu się dymami kadzidel, ani też nie obłąkała mnie tak dalece wiara w Paryż, ażebym za *najchlubniejszy* uważał *zaszczyt*, gdy mnie tameczne towarzystwo za swojego członka przyjmie. Ja pracuję nad jedną tylko częścią nauki, która we mnie utwierdza miłość prawdy, a pracuję całkiem w ograniczeniu się do kraju w którym mieszkam, i ogłaszam owoce méj pracy tylko wtenczas, gdy je dojrzałemi ujrzę. Dojrzewanie ich nie odemnie samego zależy.

W Warszawie d. 29 listopada 1851 r.

Antoni Waga.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.



Miejsce dostarczenia wydziałowi jest 207,0 stopni paryskich i nad poziom morza
całki w lokalu 412,5 m w

TERMOMETR ASTRONOMICZNY				BAROMETR w milimetrach słupkowych do 0 ^o			
10	9	10	0	10	11	12	13
12.0	11.5	11.0	10.5	750.0	750.5	751.0	751.5
11.5	11.0	10.5	10.0	750.5	751.0	751.5	752.0
11.0	10.5	10.0	9.5	751.0	751.5	752.0	752.5
10.5	10.0	9.5	9.0	751.5	752.0	752.5	753.0
10.0	9.5	9.0	8.5	752.0	752.5	753.0	753.5
9.5	9.0	8.5	8.0	752.5	753.0	753.5	754.0
9.0	8.5	8.0	7.5	753.0	753.5	754.0	754.5
8.5	8.0	7.5	7.0	753.5	754.0	754.5	755.0
8.0	7.5	7.0	6.5	754.0	754.5	755.0	755.5
7.5	7.0	6.5	6.0	754.5	755.0	755.5	756.0
7.0	6.5	6.0	5.5	755.0	755.5	756.0	756.5
6.5	6.0	5.5	5.0	755.5	756.0	756.5	757.0
6.0	5.5	5.0	4.5	756.0	756.5	757.0	757.5
5.5	5.0	4.5	4.0	756.5	757.0	757.5	758.0
5.0	4.5	4.0	3.5	757.0	757.5	758.0	758.5
4.5	4.0	3.5	3.0	757.5	758.0	758.5	759.0
4.0	3.5	3.0	2.5	758.0	758.5	759.0	759.5
3.5	3.0	2.5	2.0	758.5	759.0	759.5	760.0
3.0	2.5	2.0	1.5	759.0	759.5	760.0	760.5
2.5	2.0	1.5	1.0	759.5	760.0	760.5	761.0
2.0	1.5	1.0	0.5	760.0	760.5	761.0	761.5
1.5	1.0	0.5	0.0	760.5	761.0	761.5	762.0
1.0	0.5	0.0	-0.5	761.0	761.5	762.0	762.5
0.5	0.0	-0.5	-1.0	761.5	762.0	762.5	763.0
0.0	-0.5	-1.0	-1.5	762.0	762.5	763.0	763.5
-0.5	-1.0	-1.5	-2.0	762.5	763.0	763.5	764.0
-1.0	-1.5	-2.0	-2.5	763.0	763.5	764.0	764.5
-1.5	-2.0	-2.5	-3.0	763.5	764.0	764.5	765.0
-2.0	-2.5	-3.0	-3.5	764.0	764.5	765.0	765.5
-2.5	-3.0	-3.5	-4.0	764.5	765.0	765.5	766.0
-3.0	-3.5	-4.0	-4.5	765.0	765.5	766.0	766.5
-3.5	-4.0	-4.5	-5.0	765.5	766.0	766.5	767.0
-4.0	-4.5	-5.0	-5.5	766.0	766.5	767.0	767.5
-4.5	-5.0	-5.5	-6.0	766.5	767.0	767.5	768.0
-5.0	-5.5	-6.0	-6.5	767.0	767.5	768.0	768.5
-5.5	-6.0	-6.5	-7.0	767.5	768.0	768.5	769.0
-6.0	-6.5	-7.0	-7.5	768.0	768.5	769.0	769.5
-6.5	-7.0	-7.5	-8.0	768.5	769.0	769.5	770.0
-7.0	-7.5	-8.0	-8.5	769.0	769.5	770.0	770.5
-7.5	-8.0	-8.5	-9.0	769.5	770.0	770.5	771.0
-8.0	-8.5	-9.0	-9.5	770.0	770.5	771.0	771.5
-8.5	-9.0	-9.5	-10.0	770.5	771.0	771.5	772.0
-9.0	-9.5	-10.0	-10.5	771.0	771.5	772.0	772.5
-9.5	-10.0	-10.5	-11.0	771.5	772.0	772.5	773.0
-10.0	-10.5	-11.0	-11.5	772.0	772.5	773.0	773.5
-10.5	-11.0	-11.5	-12.0	772.5	773.0	773.5	774.0
-11.0	-11.5	-12.0	-12.5	773.0	773.5	774.0	774.5
-11.5	-12.0	-12.5	-13.0	773.5	774.0	774.5	775.0
-12.0	-12.5	-13.0	-13.5	774.0	774.5	775.0	775.5
-12.5	-13.0	-13.5	-14.0	774.5	775.0	775.5	776.0
-13.0	-13.5	-14.0	-14.5	775.0	775.5	776.0	776.5
-13.5	-14.0	-14.5	-15.0	775.5	776.0	776.5	777.0
-14.0	-14.5	-15.0	-15.5	776.0	776.5	777.0	777.5
-14.5	-15.0	-15.5	-16.0	776.5	777.0	777.5	778.0
-15.0	-15.5	-16.0	-16.5	777.0	777.5	778.0	778.5
-15.5	-16.0	-16.5	-17.0	777.5	778.0	778.5	779.0
-16.0	-16.5	-17.0	-17.5	778.0	778.5	779.0	779.5
-16.5	-17.0	-17.5	-18.0	778.5	779.0	779.5	780.0
-17.0	-17.5	-18.0	-18.5	779.0	779.5	780.0	780.5
-17.5	-18.0	-18.5	-19.0	779.5	780.0	780.5	781.0
-18.0	-18.5	-19.0	-19.5	780.0	780.5	781.0	781.5
-18.5	-19.0	-19.5	-20.0	780.5	781.0	781.5	782.0
-19.0	-19.5	-20.0	-20.5	781.0	781.5	782.0	782.5
-19.5	-20.0	-20.5	-21.0	781.5	782.0	782.5	783.0
-20.0	-20.5	-21.0	-21.5	782.0	782.5	783.0	783.5
-20.5	-21.0	-21.5	-22.0	782.5	783.0	783.5	784.0
-21.0	-21.5	-22.0	-22.5	783.0	783.5	784.0	784.5
-21.5	-22.0	-22.5	-23.0	783.5	784.0	784.5	785.0
-22.0	-22.5	-23.0	-23.5	784.0	784.5	785.0	785.5
-22.5	-23.0	-23.5	-24.0	784.5	785.0	785.5	786.0
-23.0	-23.5	-24.0	-24.5	785.0	785.5	786.0	786.5
-23.5	-24.0	-24.5	-25.0	785.5	786.0	786.5	787.0
-24.0	-24.5	-25.0	-25.5	786.0	786.5	787.0	787.5
-24.5	-25.0	-25.5	-26.0	786.5	787.0	787.5	788.0
-25.0	-25.5	-26.0	-26.5	787.0	787.5	788.0	788.5
-25.5	-26.0	-26.5	-27.0	787.5	788.0	788.5	789.0
-26.0	-26.5	-27.0	-27.5	788.0	788.5	789.0	789.5
-26.5	-27.0	-27.5	-28.0	788.5	789.0	789.5	790.0
-27.0	-27.5	-28.0	-28.5	789.0	789.5	790.0	790.5
-27.5	-28.0	-28.5	-29.0	789.5	790.0	790.5	791.0
-28.0	-28.5	-29.0	-29.5	790.0	790.5	791.0	791.5
-28.5	-29.0	-29.5	-30.0	790.5	791.0	791.5	792.0
-29.0	-29.5	-30.0	-30.5	791.0	791.5	792.0	792.5
-29.5	-30.0	-30.5	-31.0	791.5	792.0	792.5	793.0
-30.0	-30.5	-31.0	-31.5	792.0	792.5	793.0	793.5
-30.5	-31.0	-31.5	-32.0	792.5	793.0	793.5	794.0
-31.0	-31.5	-32.0	-32.5	793.0	793.5	794.0	794.5
-31.5	-32.0	-32.5	-33.0	793.5	794.0	794.5	795.0
-32.0	-32.5	-33.0	-33.5	794.0	794.5	795.0	795.5
-32.5	-33.0	-33.5	-34.0	794.5	795.0	795.5	796.0
-33.0	-33.5	-34.0	-34.5	795.0	795.5	796.0	796.5
-33.5	-34.0	-34.5	-35.0	795.5	796.0	796.5	797.0
-34.0	-34.5	-35.0	-35.5	796.0	796.5	797.0	797.5
-34.5	-35.0	-35.5	-36.0	796.5	797.0	797.5	798.0
-35.0	-35.5	-36.0	-36.5	797.0	797.5	798.0	798.5
-35.5	-36.0	-36.5	-37.0	797.5	798.0	798.5	799.0
-36.0	-36.5	-37.0	-37.5	798.0	798.5	799.0	799.5
-36.5	-37.0	-37.5	-38.0	798.5	799.0	799.5	800.0
-37.0	-37.5	-38.0	-38.5	799.0	799.5	800.0	800.5
-37.5	-38.0	-38.5	-39.0	799.5	800.0	800.5	801.0
-38.0	-38.5	-39.0	-39.5	800.0	800.5	801.0	801.5
-38.5	-39.0	-39.5	-40.0	800.5	801.0	801.5	802.0
-39.0	-39.5	-40.0	-40.5	801.0	801.5	802.0	802.5
-39.5	-40.0	-40.5	-41.0	801.5	802.0	802.5	803.0
-40.0	-40.5	-41.0	-41.5	802.0	802.5	803.0	803.5
-40.5	-41.0	-41.5	-42.0	802.5	803.0	803.5	804.0
-41.0	-41.5	-42.0	-42.5	803.0	803.5	804.0	804.5
-41.5	-42.0	-42.5	-43.0	803.5	804.0	804.5	805.0
-42.0	-42.5	-43.0	-43.5	804.0	804.5	805.0	805.5
-42.5	-43.0	-43.5	-44.0	804.5	805.0	805.5	806.0
-43.0	-43.5	-44.0	-44.5	805.0	805.5	806.0	806.5
-43.5	-44.0	-44.5	-45.0	805.5	806.0	806.5	807.0
-44.0	-44.5	-45.0	-45.5	806.0	806.5	807.0	807.5
-44.5	-45.0	-45.5	-46.0	806.5	807.0	807.5	808.0
-45.0	-45.5	-46.0	-46.5	807.0	807.5	808.0	808.5
-45.5	-46.0	-46.5	-47.0	807.5	808.0	808.5	809.0
-46.0	-46.5	-47.0	-47.5	808.0	808.5	809.0	809.5
-46.5	-47.0	-47.5	-48.0	808.5	809.0	809.5	810.0
-47.0	-47.5	-48.0	-48.5	809.0	809.5	810.0	810.5
-47.5	-48.0	-48.5	-49.0	809.5	810.0	810.5	811.0
-48.0	-48.5	-49.0	-49.5	810.0	810.5	811.0	811.5
-48.5	-49.0	-49.5	-50.0	810.5	811.0	811.5	812.0
-49.0	-49.5	-50.0	-50.5	811.0	811.5	812.0	812.5
-49.5	-50.0	-50.5	-51.0	811.5	812.0	812.5	813.0
-50.0	-50.5	-51.0	-51.5	812.0	812.5	813.0	813.5
-50.5	-51.0	-51.5	-52.0	812.5	813.0	813.5	814.0
-51.0	-51.5	-52.0	-52.5	813.0	813.5	814.0	814.5
-51.5	-52.0	-52.5	-53.0	813.5	814.0	814.5	815.0
-52.0	-52.5	-53.0	-53.5	814.0	814.5	815.0	815.5
-52.5	-53.0	-53.5	-54.0	814.5	815.0	815.5	816.0
-53.0	-53.5	-54.0	-54.5	815.0	815.5	816.0	816.5
-53.5	-54.0	-54.5	-55.0	815.5	816.0	816.5	817.0
-54.0	-54.5	-55.0	-55.5	816.0	816.5	817.0	817.5
-54.5	-55.0	-55.5	-56.0	816.5	817.0	817.5	818.0
-55.0	-55.5	-56.0	-56.5	817.0	817.5	818.0	818.5
-55.5	-56.0	-56.5	-57.0	817.5	818.0	818.5	819.0
-56.0	-56.5	-57.0	-57.5	818.0	818.5	819.0	819.5
-56.5	-57.0	-57.5	-58.0	818.5	819.0	819.5	820.0
-57.0	-57.5	-58.0	-58.5	819.0	819.5	820.0	820.5
-57.5	-58.0	-58.5	-59.0	819.5	820.0	820.5	821.0
-58.0	-58.5	-59.0	-59.5	820.0	820.5	821.0	821.5
-58.5	-59.0	-59.5	-60.0	820.5	821.0	821.5	822.0
-59.0	-59.5	-60.0	-60.5	821.0	821.5	822.0	822.5
-59.5	-60.0	-60.5	-61.0	821.5	822.0	822.5	823.0
-60.0	-60.5	-61.0	-61.5	822.0	822.5	823.0	823.5
-60.5	-61.0	-61.5	-62.0	822.5	823.0	823.5	824.0
-61.0	-61.5	-62.0	-62.5	823.0	823.5	824.0	824.5
-61.5	-62.0	-62.5	-63.0	823.5	824.0	824.5	825.0
-62.0	-62.5	-63.0	-63.5	824.0	824.5	825.0	825.5
-62.5	-63.0	-63.5	-64.0	824.5	825.0	825.5	826.0
-63.0	-63.5	-64.0	-64.5	825.0	825.5	826.0	826.5
-63.5	-64.0	-					

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.980	27	8.906
Najwyżej dochodził — d. 22 o g. 10 r.	761.72	28	1.667
Najniżej — — d. 31 o g. 10 w.	735.04	27	1.841
Średnia zmiana dzienna barometru	3.332		1.487
Największa zmiana dzienna barometru d. 26—27 o g. 6 rano	21.29		9.438
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 25 lat poprzedzających	0.322		0.132
Średnia temperatura Październ. wynosi: + 10.9420 C.		+ 8.336 R.	
i ta jest wyższą o	2.316 „	1.853 „	
od stanu normalnego z 25 lat po- przedzających	+ 8.104 „	+ 6.483 „	
Największe ciepło dochodziło d. 2 o godz. 4 wiecz.	+ 21.7 „	+ 17.36 „	
Największe zimno dochodziło d. 26 o godz. 6 rano.	— 2.5 „	— 2.0 „	
Średnia zmiana dzienna temperatury	2 646 „	2.116 „	
Największa zmiana dzienna d. 25—26 o godz. 6 rano	11.9 „	9.52 „	

Termometrograf wskazał:

Maximum: + 18^o.8 R. d. 3 po połud.

Minimum: — 3^o.0 „ d. 26 rano.

Wody z deszczu spadło wysoko na 43,4 milim., czyli 19,2 lin. par. ilość ta jest mniejszą o 6,7 lin. par. od ilości wody jaka u nas w październiku zwykle spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 87,16 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 8,70 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza, i ta jest większa o 0,02 od normalnej.

Dni pogodnych było 6, napót pogodnych 7, pochmurnych 18.

Dni deszczu 9 (d. 6, 7, 11, 12, 15, 18, 25, 27, 31).

— mgły 7 (d. 14, 17, 19, 21, 22, 24, 28).

— gradu krup 1 (d. 11).

Wichrów było 2 Zachodnich.

Wiatrów mocnych było 2: 1 PdW., 1 PnZ.

Wiatr panujący: Południowo-Wschodni, częste były Południowe, Południowo-Zachodnie i Zachodnie.

Październik r. b. osobliwie w pierwszej połowie był pogodny i cieplejszy niż zwykle. Sześć dni pierwsze były bardzo ciepłe; od d. 7 lubo temperatura nieco się zniżyła, powietrze jednak było ciepłe aż do d. 17. Cztery dni od 17 do 21 i ostatnie ośm były chłodne; w ogóle jednak miesiąc ten był blisko o 2 stopnie R. cieplejszy niż zwykle. Pod względem pogody zbliżał się do stanu normalnego. Najcieplejsze dni były d. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 15, 16, najchłodniejsze d. 18, 19, 26, 27, 28, 29, 30. Dnia 26 w nocy, pierwszy mróz dochodził do 3 stop. R. Znaczna zmiana dzienna temperatury od d. 25 do 26 wynosiła 9,52 stop. R.; największa zmiana dzienna barometru od d. 26—27 dochodziła 9,44 lin. par. przy wichrze zachodnim.

Dnia 2 wieczorem pokazała się zorza północna w świetnych kolorach.

Dnia 6 o godz. 6 min. 20 rano ukazała się słaba tęcza w PnZ. stronie.

Dnia 11 o godz. 2 min. 55 po połud. powstała burza z wichrem zachodnim.

Dnia 24 przez cały dzień trwała mgła gruba.



SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z R. 1851.

Materyały historyczne.

	Stron.
Pamiętka przyścia szwedzkiego do Warszawy roku 1655.	1
Opis historyczny zaślubin królewicza Jakóba Sobieskiego. Przez <i>Alexandra Wejnerta</i>	134
O dawném województwie sieradzkim, przez <i>Józefa Szaniawskiego</i> (ciąg dalszy i dokończenie).	177, 367, 564
F. Kallimacha Geminiańczyka o królu Władysławie czyli o klesce warneńskiej. Księgi dwie. Augsburg, r. 1519 w drukarni Zygmunta Grimm doktora i Marka Fürsunga. Przetłumaczył i przypisami objaśnił <i>Michał Gliszczyński</i>	299, 480
Wiadomość o wynalezionych urnach popielnych, w okolicy Krakowa. Podał <i>Ambroży Grabowski</i>	372

Biografia.

Mahomet i jego alkoran. (Wyjątek z nowego przekładu alkoranu, wprost z oryginału, przez A. Kazimirskiego; podług wydania 1847 r. w Paryżu)	75
Józef Kurowski	374

	Stron.
Dodatek do życiorysu ks. Piotra Skargi, przez <i>Leonarda W.</i>	375
Anna Nakwaska. (Wspomnienie). Przez <i>A. T.....skiego</i>	569
Wspomnienie o K. N. Wysockim, przez <i>O. K.</i>	573

Nauki społeczne.

Znaczenie pieniędzy filozoficzne, moralne i ekonomiczne	197
Wspomnienie o dawnej miejscowej opiece nad ubogimi. Przez <i>J. P.</i>	256
Przegląd prac uskuteczonych i nadal zamierzonych w celu połączenia morza Śródziemnego z Czerwoném przez międzymorze Suez w Afryce, tudzież oceanów Atlantyckiego i Wielkiego przez międzymorze Panama w Ameryce. Przez <i>Jana Mitkiewicza.</i>	460

Opisy i podróże.

Maurowie niegdyś w Hiszpanii a dziś w Afryce. Przez autora: O Danii i Norwegii, Baskach, Portugalii i t. d. (dokończenie).	18
Wycieczka archeologiczna w niektóre strony gubernii radomskiej, odbyta w miesiącu wrześniu r. b. przez <i>F. M. Sobieszczan-skiego.</i> (Z ryciną).	389
Podhale i północna pochyłość Tatrów czyli Tatry polskie, przez <i>Ludwika Zejsznera</i> (ciąg dalszy).	523

Literatura.

Kobiety poetki w Ameryce północnej	168
Nowa epoka literatury historycznej polskiej. Przegląd p. <i>Juliana Bartoszewicza</i> (ciąg drugi).	271

Powieści.

Ułamek z pamiętnika nieboszki	109, 225, 443
---	---------------

Poezya.

Zburzenie Jerozolimy, przez <i>Ludwika Niemojowskiego</i>	247
---	-----

Rozbiory.

Dwór i Dworki. Szkic do powieści przez Leona Kunickiego. Warszawa. 1851. Przez <i>K. W.</i>	165
O wsiach tak zwanych wołoskich, na północnym stoku Karpat. Przez <i>Alexandra hr. Stadnickiego.</i> We Lwowie. Przez <i>L.</i> . . .	166
Księga poselska litewskiej metryki, zawierająca w sobie dyplomatyczne stosunki Litwy za panowania króla Stefana Batorego,	

	Stron.
od r. 1576 do 1583, wydana z polecenia Cesarskiego moskiewskiego towarzystwa historyi i starożytności rossyjskich, przez profesora Pogodina i magistra Dubińskiego; w Moskwie, 1843 r. Przez <i>Seweryna Gołębiowskiego</i>	334
Grammatyka języka polskiego zawierająca naukę rozbioru i składni, przez J. A. Czajkowskiego N. J. P. w S. P. i S. R. Warszawa. 1851. Przez <i>T. Sierocińskiego</i>	343
Piosenki gminne ludu pińskiego. Zebrał i przekładał Romuald Zienkiewicz. Kowno. 1851. Przez <i>K. Wł. Wojcickiego</i>	356
Athenaeum. Pismo zbiorowe poświęcone filozofii, literaturze i sztukom. Wydawca J. I. Kraszewski. Rok 1850. Wilno. Przez <i>Wł. Syrokomłę</i>	543
Gorale Bieskidowi zachodniego pasma Karpat. Rys etnograficzny zwyczajów i obyczajów włościan okolic Żywca. Skreślił L. D. Kraków. 1851. Przez <i>K. Wł. W.</i>	548
Odpowiedź p. T. Sierocińskiemu na jego krytykę mojej Grammatyki, przez <i>J. A. Czajkowskiego</i>	551

Nauki przyrodzone.

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:

Fizyka, przez <i>S. P.</i>	377
Chemia, przez <i>J. B...ę</i>	575

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>Alexandra Przędzickiego</i>	188
<i>Kronika bibliograficzna</i>	189, 381, 577
Doniesienia literackie.	190, 381, 578
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum warszawskim: za miesiąc sierpień r. b.	193
— — wrzesień r. b.	385
— — październik r. b.	581
Uwiadomienie od redakcyi	384
Uwiadomienie od redakcyi Biblioteki Warszawskiej (na okładce).	

